

ROBERT E. HOWARD

CONAN

BARBARZYŃCA

Wydawnictwo REA-SJ

ROBERT E. HOWARD
CONAN
BARBARZYŃCA

W y d a w n i c t w o R E A - S J

Projekt okładki: Joanna Plakiewicz
Ilustracja na okładce: Wojciech Chełchowski
Ilustracje w książce: Karol Kalinowski, Michał Myszkowski
Mapa świata Ery Hyboryjskiej: Gravite DTP, na podstawie
http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/d/d4/Mapa_de_la_Edad_Hiboria.jpg
autor Cimmerio
Tłumaczenie z języka angielskiego: Agata Bąk
Redakcja oraz korekta pierwszego wydania: Studio Wydawnicze Katarzyna Maćkowiak,
Olsztyn
Opracowanie oraz redakcja tekstu do niniejszego wydania: Andrzej Olejnik
Korekta: Danuta Piętka oraz Agencja Wydawnicza Synergy (opowiadania: *Cienie
w Zambouli, Czerwone ćwieki, Godzina smoka*)

Wydanie drugie, 2016

Copyright © Wydawnictwo REA, 2012, 2015; REA-SJ Sp. z o.o., 2015

ISBN 978-83-7993-145-3

Wydawnictwo REA-SJ Sp. z o.o.
Dział Handlowy
ul. Kościuszki 21, 05-510 Konstancin-Jeziorna
tel. 22 631 94 23; fax: 22 632 21 15
e-mail: handlowy@rea-sj.pl
www.rea-sj.pl

Skład i łamanie wersji drukowanej: Gravite DTP, Olsztyn
Druk i oprawa: Drukarnia SKLENIARZ, Kraków

Wszelkie prawa zastrzeżone. Każda reprodukcja, adaptacja całości lub części niniejszej publikacji, kopiowanie do bazy danych, zapis elektroniczny, mechaniczny, fotograficzny, dźwiękowy lub inny wymaga pisemnej zgody Wydawcy i właściciela praw autorskich.

Skład wersji elektronicznej: Tomasz Szymański

virtualo
konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

OD WYDAWCY

ERA HYBORYJSKA

FENIKS NA MIECZU

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

SZKARŁATNA CYTADELA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

WIEŻA SŁONIA

CZARNY KOŁOS

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

PEŁZAJĄCY CIEŃ

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

SZADZAWKA CZARNYCH LUDZI

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

DOM PEŁEN ŁOTRÓW

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

CIENIE W KSIĘŻYCOWEJ POŚWIACIE

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

KRÓLOWA CZARNEGO WYBRZEŻA

Rozdział pierwszy

Conan zostaje piratem

Rozdział drugi

Kwiat czarnego lotosu

Rozdział trzeci

Horror w dżungli

Rozdział czwarty

Atak z nieba

Rozdział piąty

Stos pogrzebowy

STALOWY DEMON

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

LUENZIE CZARNEGO KRĘGU

Rozdział pierwszy
Śmierć uderza w króla

Rozdział drugi
Barbarzyńca z gór

Rozdział trzeci
Khemsu używa magii

Rozdział czwarty
Spotkanie na przełęczy

Rozdział piąty
Czarny ogier

Rozdział szósty
Góra Czarnych Magów

Rozdział siódmy
Prosto na Imszę

Rozdział ósmy
Panicznie przerażona Devi

Rozdział dziewiąty
Twierdza Czarnych Magów

Rozdział dziesiąty
Jasmina i Conan

I NARODZI SIĘ WIEDŹMA

Rozdział pierwszy
Krwawy półksiężyc

Rozdział drugi
Drzewo Śmierci

Rozdział trzeci
List do Nemedii

Rozdział czwarty
Wilki pustyni

Rozdział piąty
Głos z kryształowej kuli

Rozdział szósty
Skrzydła sępa

SKARBY GWAHLURA

Rozdział pierwszy
Ścieżki intrygi

Rozdział drugi
Przebudzenie bogini

Rozdział trzeci
Powrót wyroczni

Rozdział czwarty
Zęby Gwahlura

ZA CZARNĄ RZEKĄ

Rozdział pierwszy
Conan traci topór

Rozdział drugi
Mag z Gwaweli

Rozdział trzeci
Przyczajeni w ciemności

Rozdział czwarty
Bestie Zogar Saga

Rozdział piąty
Dzieci Jhebbal Saga

Rozdział szósty
Skrwawione topory pogranicza

Rozdział siódmy
Demon odziany w płomień

Rozdział ósmy
Zmierzch Conajohary

CIENIE W ZAMBOULI

Rozdział pierwszy
Bęben bije na trwogę

Rozdział drugi
Kto czai się w mroku?

Rozdział trzeci
Zaciskają się czarne ręce

Rozdział czwarty
Tańcz, dziewczyno, tańcz!

CZERWONE ĆWIEKI

Rozdział pierwszy
Czaszka na skale

Rozdział drugi
W poświęcie ognistych kamieni

Rozdział trzeci

Ludzie wiecznej waśni

Rozdział czwarty

Zapach czarnego lotosu

Rozdział piąty

Dwadzieścia czerwonych ćwieków

Rozdział szósty

Oczy Tasceli

Rozdział siódmy

On nadchodzi z ciemności

GODZINA SMOKA

Rozdział pierwszy

Obudź się, o śpiący!

Rozdział drugi

Wieje czarny wiatr

Rozdział trzeci

Chwieją się urwiska

Rozdział czwarty

„Z jakiego żeś wylazł piekła?”

Rozdział piąty

Groza w kazamatach

Rozdział szósty

Pchnięcie nożem

Rozdział siódmy

Odsłonięcie zasłony

Rozdział ósmy

Gasnące główne

Rozdział dziewiąty

„To król albo jego duch!”

Rozdział dziesiąty

Moneta z Acheronu

Rozdział jedenasty

Miecze Południa

Rozdział dwunasty

Smoczy Kiel

Rozdział trzynasty

„Duch z przeszłości”

Rozdział czternasty

Czarna dłoń Seta

Rozdział piętnasty

Powrót pirata

Rozdział szesnasty

Khemi o czarnych murach

Rozdział siedemnasty

„To on zabił Świętego Syna Seta!”

Rozdział osiemnasty

„Jestem kobietą, która nigdy nie umarła”

Rozdział dziewiętnasty

W Sali Umarłych

Rozdział dwudziesty

I powstanie z prochu Acheron

Rozdział dwudziesty pierwszy

Złowróżbne bicie bębnow

Rozdział dwudziesty drugi

Droga do Acheronu

POSŁOWIE

PRZYPISY

OD WYDAWCY

Drugie, na nowo opracowane wydanie szesnastu opowiadań, jednej powieści i obszernego eseju opisuje przygody Conana z Cymmerii współczesną polszczyzną, jednakże zachowując wszelkie smaczki i niuanse howardowskiej prozy. Poszczególne utwory, z wyjątkiem *Ery hyboryjskiej* i *Godziny smoka* zostały umieszczone w takiej kolejności, w jakiej ukazywały się w czasopiśmie „Weird Tales”. Wiemy, że Howard miał pieczę nad ich redakcją i że ukazywały się z jego błogosławieństwem. Tłumaczenie i opracowanie literackie tekstów zostało oparte na oryginalnych, pierwszych opublikowanych wersjach. Świadomie Wydawca zrezygnował z publikowania utworów, które ukazały się już po śmierci Howarda, bowiem trudno dociec, jak poważnym zmianom redakcyjnym były poddawane i jak bardzo te zmiany odeszły od zamierzeń samego autora. Wyjątek stanowiły tu *Era hyboryjska* i *Czerwone ćwieki*, które wprawdzie zostały wydane po śmierci pisarza ale we wcześniej zaakceptowanej przez niego wersji.



ZAMIAST WSTĘPU

ERA HYBORYJSKA

Żadna część tej opowieści nie powinna być traktowana jako alternatywna wersja obowiązującej historii, ponieważ jest jedynie fikcyjnym tłem dla serii opowiadań. Kiedy zacząłem pisać o przygodach Conana, na swoje własne potrzeby spisałem dzieje owego uniwersum, by w ten sposób nadać snutym przeze mnie opowieściom więcej realizmu i dbać o logiczną spójność następujących po sobie wydarzeń. I zdałem sobie sprawę, że dzięki tym zapiskom łatwiej mi było kreować mojego barbarzyńcę jako pełnokrwistą postać osadzoną w konkretnych realiach, a z kolei dzięki temu uniknąłem koszmaru wielu pisarzy – tworzenia niewiarygodnych, papierowych postaci przeżywających swe przygody w nedorzecznym krainach. Spisując kolejne przygody Conana, których akcję osadzałem w najróżniejszych miejscach, zawsze starałem się wiernie trzymać przedstawionym poniżej „dziejom”. Podziękuję za nimi tak wiernie, jak pisarz parający się twórczością historyczną podziękuje za ustalonymi faktami. Była mi niezbędnym przewodnikiem przy spisywaniu wszystkich opowiadań o Conanie z Cymmerii.

O epoce znanej nemedyjskim kronikarzom jako Era Przed Katakлизmem wiadomo bardzo mało, nieco szerszą wiedzę posiadamy natomiast o jej schyłkowym okresie, ale i ten skrywa mgła tajemnicy. Pierwsze i w jakimś stopniu wiarygodne przekazy historyczne dotyczą właśnie owego okresu, kiedy to w ówczesnym świecie dominowały cywilizacyjnie królestwa Kamelii, Valuzji, Verulii, Grondaru, Thule i Commorii. Ich mieszkańcy mówili podobnymi językami, co świadczy o ich wspólnych korzeniach. Oczywiście istniały wtedy i inne cywilizacje o podobnym stopniu rozwoju,

tworzone przez odmienne rasy, niż wyżej wspomniane, ale, na co jednak dowodów nie ma, znacznie starsze.

Barbarzyńcami w tamtych czasach nazywano Piktów żyjących na dalekich wyspach gdzieś na Oceanie Zachodnim; Atlantydów, którzy zasiedlili mały kontynent pomiędzy Wyspami Piktyjskimi a Kontynentem Thurańskim, czyli tak zwanym Głównym, oraz Lemurian, zamieszkujących archipelag dużych wysp na półkuli wschodniej.

Szerokie połacie lądu pozostawały niezbadane. Cywilizowane królestwa, chociaż ogromne, tak naprawdę zajmowały stosunkowo niewielką część całej planety. Najdalej na zachód wysuniętym królestwem na Kontynencie Głównym była Valuzja, na wschód zaś – Grondar, którego mieszkańcy stali na niższym szczeblu rozwoju cywilizacyjnego niż ich pobratymcy z innych królestw. Dalej na wschód rozciągały się zabójcze, niezamieszkane i spalone słońcem pustynie. W rejonach, gdzie mniej jałową glebę porastały dżungle, a także w majestatycznych górach, zamieszkiwały rozrzucone na znacznej przestrzeni dziesiątki prymitywnych plemion dzikusów. Na odległym Południu kwitła inna tajemnicza cywilizacja, jak się podejrzewa – nieludzka, która nie miała nic wspólnego z kulturą thurańską. Na wschodnich rubieżach Głównego Kontynentu swe miasta wznosiła mała poznana rasa ludzka, także nie thurańska, z którą od czasu do czasu handlowali Lemurianie. Niewykluczone, że owa rasa przybyła z owianego mgłą legendy i mitów, nienazwanego kontynentu, leżącego gdzieś na wschód od Wysp Lemuryjskich.

W opisywanej tutaj epoce cywilizacja thurańska wolno, ale nieubłaganie, chyliła się ku upadkowi. W znacznej liczbie szeregi thurańskich armii zasilali barbarzyńscy najemnicy, by z czasem piastować wysokie funkcje polityczne i militarne, zdarzało się nawet, że przedstawiciele barbarzyńskich ras Piktów, Lemurian czy Atlantydów zasiadali na tronach thurańskich królestw. O ciągłych sporach między królestwami, o ciągnących się latami wojnach pomiędzy Valuzją a Commorią, a wreszcie o atlanckim podboju części Głównego Kontynentu i założenia na zajętych przez nich ziemiach własnego państwa, w późniejszych czasach krążyły głównie opowieści i legendy, w których było tyle prawdy, co kot napłakał. Wiarygodne przekazy historyczne dałoby się policzyć na palcach jednej ręki.

A potem wielki Kataklyzm zdmuchnął z powierzchni planety wiele cywilizacji i zabił setki tysięcy ludzi. Atlantyde i Wyspy Lemuryjskie

pochłonał ocean, zaś Wyspy Piktyjskie zostały wydzwignięte wysoko ponad poziom wód oceanicznych i stały się górskimi łańcuchami nowego kontynentu. Wielkie obszary Kontynentu Thurańskiego zniknęły w oceanie, zatoneły także znaczne tereny i w głębi lądu – tak powstały wielkie śródlądowe morza i jeziora. Na porządku dziennym były gigantyczne erupcje wulkaniczne, a niszcząca potęga trzęsień ziemi wstrząsnęła fundamentami najświetniejszych królewskich miast. Wyginęły całe narody.

Rasy barbarzyńców miały więcej szczęścia niż ludzie cywilizowani. Co prawda mieszkańcy Wysp Piktyjskich zginęli w oceanie co do jednego, ale wielka piktyjska kolonia założona wśród gór na południowej granicy Valuzji, jako pierwszy bastion w przypadku wrogiego najazdu, pozostała nietknięta. Kataklizm obszedł się również łagodnie z kontynentalnym królestwem Atlantydów, będąc teraz schronieniem dla tysięcy ich rodaków uciekających na statkach z pogrążającego się pod falami kontynentu. Stosunkowo mało zniszczone przez Kataklizm wschodnie wybrzeże Głównego Kontynentu, zamieszkałe przez starożytną rasę, stało się nowym domem dla tysięcy Lemurian, a właściwie bardziej piekłem i więzieniem, bo popadli tam w straszną i okrutną niewolę na tysiące lat, o czym do dzisiaj śpiewa się smutne pieśni.

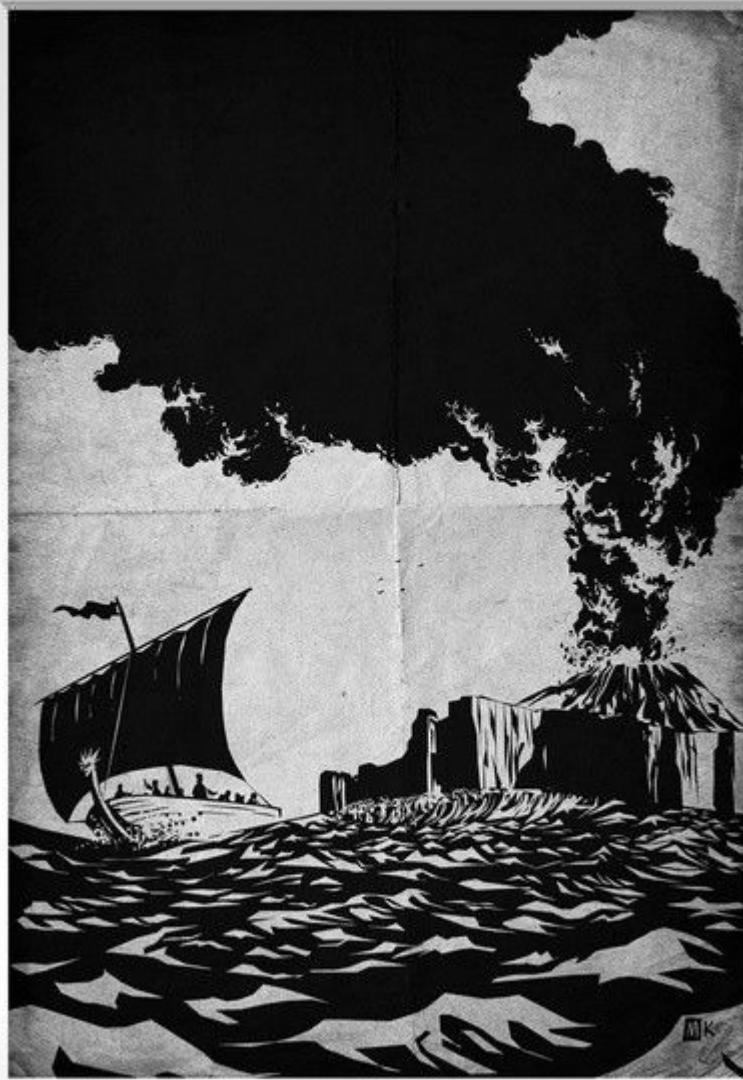
W zachodniej części kontynentu zmieniające się warunki sprzyjały niczym nie skrępowanej ewolucji roślin i zwierząt: gęste i niezmierzone dżungle porosły równiny, wielkie rzeki w swej wędrówce do mórz i oceanów złościły opasłe gardziele kanionów, wypiętrzały się nowe łańcuchy górskie, a wielkie jeziora przykrywały falami ruiny starożytnych miast położonych w żyznych dolinach. W tym czasie kontynentalne królestwo Atlantydów doświadczyło masowego najazdu na niespotykaną dotąd skalę tysięcy najdziwniejszych zwierząt i dzikich plemion – małp i małpoludów, uciekających w popłochu z zalewanych terenów. Atlantydzi zostali zmuszeni do desperackiej walki o przetrwanie, ale ostatecznie udało im się zachować niewielkie pozostałości swej zaawansowanej w rozwoju barbarzyńskiej cywilizacji. Ponieważ nie mieli już dostępu do rud metali, musieli na nowo nauczyć się obrabiać kamień, tak jak ich przodkowie. Kiedy już opanowali tę sztukę do perfekcji, doszło do nieuniknionego ich starcia z kwitnącym państwem Piktów, którzy także byli zmuszeni okolicznościami, by powrócić do obróbki i produkcji krzemienianych narzędzi, a trzeba pamiętać również o tym, że w rzemiośle wojennym rozwijali się znacznie szybciej niż Atlantydzi. Byli rasą niezwykle płodną,

ale prymitywniejszą, nie zachowały się dla przyszłych pokoleń żadne ich malowidła czy wyroby z kości słoniowej, jak po Atlantydach, ale za to pozostawili po sobie setki przykładów wykonanej z niespotykaną maestrią krzemiennej broni. Tak więc w wyniku wieloletniej wojennej pożogi Piktowie zepchnęli ostateczną Atlantydów w otchłań pierwotnego barbarzyństwa, sami zaś zatrzymali się na wieki w rozwoju cywilizacyjnym.

I taki był efekt wielkiego Kataklyzmu, który zmienił oblicze ówczesnego świata. Po pięciu wiekach po barbarzyńskich królestwach pozostały jedynie ruiny, a dwa ostatnie plemiona toczą ze sobą nieprzerwane boje. Piktowie mają znaczną przewagę liczebną i bardziej rozwinięte struktury społeczne, z kolei Atlantydzi stanowią klany połączone dość luźnymi związkami plemiennymi. Taki był ówczesny Zachód.

Tereny na Dalekim Wschodzie zamieszkują Lemurianie, odcięci od reszty świata sięgającymi nieba pasmami górskimi i łańcuchami olbrzymich jezior, ciągle zniewoleni przez pierwotnych mieszkańców tych ziem – starożytną i tajemniczą rasę.

Niewiele natomiast wiadomo o tym, co się działo w owym czasie na głębokim południu. Z całą pewnością wielki Kataklyzm oszczędził te tereny, ale dopiero w przyszłości region ten odegra jakąś bardziej znaczącą rolę w dziejach ludzkości.



A potem wielki Kataklyzm zdmuchnął z powierzchni planety wiele cywilizacji i zabił setki tysięcy ludzi. Atlantyde i Wyspy Lemuryjskie pochłonął ocean...

Na południowym wschodzie, pośród niskich wzgórz, przetrwały niedobitki jednej z nie valuzyjskich ras Kontynentu Thurańskiego – każą się zwać Zhemri.

Tu i tam na całym świecie zamieszkują liczne plemiona dzikusów bardziej podobnych do małp niż do ludzi. Nie zdają sobie nawet sprawy, że kiedyś istniały wielkie cywilizacje i że pochłonął je wielki Kataklyzm. Ale

na północy powoli dojrzewa inna pierwotna rasa, by wkroczyć w końcu na ścieżkę cywilizacyjnego rozwoju.

W czasach kataklizmu nieokreślona grupa dzikich, nie bardzo wyprzedzająca w rozwoju neandertalczyka, uciekając przed zagładą udała się na północ. Dotarli do pokrytych wiecznym śniegiem krain, zamieszkałych przez wielkie, białe, mocno owłosione istoty – pewien gatunek wojowniczych małp, które idealnie dostosowały się do miejscowego klimatu. Rozgorzała długotrwała wojna o to dzikie i nieprzyjazne środowisko, skutkiem której małpy zostały wyparte aż za Koło Podbiegunowe na pewną – jak się zdawało przybyszom z Głównego Kontynentu – zagładę. Ale małpoludy nie wyginęły, wręcz przeciwnie: zaadoptowały się do nowych warunków i przetrwały, kładąc podwaliny pod nowe państwo.

Po tym, jak zmagania Piktów z Atlantydami obróciły w niwecz zaczątki nowej cywilizacji, nastąpił kolejny kataklizm, zwany Mniejszym, który bardzo mocno przeobraził dawny kontynent, pozostawiając na miejscu długiego łańcucha olbrzymich jezior jedno, wielkie śródlądowe morze, w wyniku czego Wschód jeszcze bardziej oddzielił się od Zachodu. Ciąg katastrof naturalnych: trzęsienia ziemi, powodzie i wybuchy wulkanów doszczętnie zgładziły ocalałe resztki barbarzyńców, których los, jak się zdaje, i tak był przesądzony z chwilą, gdy rozpoczęli długoletnie wojny.

Szacuje się, że jakieś tysiąc lat po Mniejszym Kataklizmie Zachód porastała gęsta dżungla, przecinana żyłami rwących rzek i pasmami wielkich jezior. Na północnym zachodzie, wśród porośniętych lasami wzgórz, wegetują koczownicze plemiona wielkich małpoludów, nieznające ani ognia, ani narzędzi, ani mowy – jakkolwiek trudno w to uwierzyć, są to potomkowie dumnej rasy Atlantydów, którzy ponownie stoczyli się w otchłań zezwierzecenia, z której to w takim trudzie i znoju przed wiekami wydzwignęli się ich przodkowie. Z kolei na południowym zachodzie nędzny żywot wiodą rozproszone plemiona dzikusów zamieszkujących jaskinie, władających dość prymitywnym językiem – ciągle zwą się „Piktami” – i trzeba zauważyć, że nazwa ta oznacza teraz pojęcie „człowiek” dla odróżnienia ich od małpopodobnych bestii, z którymi konkurują o przetrwanie. Ale w rzeczywistości tylko to miano łączy piktyjskie plemiona z ich historią. Ani zdegenerowani Piktowie, ani małpokształtni Atlantydzi nie mieli żadnego kontaktu z innymi ludzkimi rasami.

W tym czasie na Dalekim Wschodzie los Lemurian nie był godny pozazdroszczenia. Zepchnięci niemal na skraj zupełnego zezwierżenia przez katorżnicze warunki niewoli w końcu wzniecili krwawe powstanie i wyrznęli swych oprawców do nogi. Od tej pory zamieszkują wśród ruin zniszczonej przez siebie cywilizacji. Ci z ciemżycieli, którym udało się uciec z rzezi, podążyli na zachód, podbili tajemnicze, dość prymitywne królestwo, przejęli tam władzę i tak rozpoczął się proces ich asymilacji, skutkując głębokimi zmianami w kulturze i obyczajach. To był początek królestwa Stygii. Wiadomo prawie na pewno, że przetrwała niewielka grupka pierwotnych mieszkańców tych ziem, i że byli oni przez najeźdźców darzeni dużym szacunkiem.

Obserwując ówczesny świat widzimy, że tu i ówdzie małe plemiona i szczepy dzikusów wydają się powoli ewoluować w kierunku rozwoju cywilizacyjnego, ale są one jednak nieliczne i niewiele o nich wiadomo.

Zupełnie odmiennie rysuje się sytuacja na Północy, gdzie miejscowe plemiona z dnia na dzień rosną w siłę. Nazywają się Hyboryjczykami lub Hyborianami. Wyznają wiarę w boga Bori – mity i legendy opowiadają, że w zamierzchłej przeszłości był ich wodzem i miał większe poważanie niż sam król, bowiem wyprowadził ich w czasie Wielkiego Kataklyzmu z ognia zniszczenia ku ocaleniu.

Cywilizacja Hyboryjczyków rozwijała się bez przeszkód na Północy, skutkiem czego w końcu podjęli niespieszną, ale konsekwentą ekspansję na Południe. W jej toku nie napotykali na inne cywilizacje, tak zatem jedyne konflikty zbrojne prowadzą między sobą. Surowy klimat panujący na Północy przez ponad tysiąc pięćset lat nie pozostał bez wpływu na ich wygląd – teraz to wysocy, jasnowłosi ludzie o ognistym temperamencie, wielkim zacięciu do bitki i wysokiej inteligencji. Mimo że ich kultura stoi dopiero na nienajwyższym poziomie rozwoju, to już cechuje się interesującymi skłonnościami poetyckimi i artystycznymi. Ciągłe jeszcze są cywilizacją łowiecką, ale południowe plemiona od kilkuset lat hodują bydło.

Wiemy, że rozwijali się w całkowitej izolacji od reszty świata, ale zdarzył się raz pewien wyjątek. Pewnego razu powrócił z dalekiej wyprawy na Północ mężczyzna, który opowiadał, jakoby widział tam, na smaganych śnieżnymi wichurami i skutymi wiecznym lodem terenach, uznawanych za niezamieszkałe, liczne i silne plemiona wielkich małpoludów, wywodzących się w prostej linii od małp zepchniętych w te rejony wieki

temu przez przodków Hyboryjczyków. Mężczyzna nalegał, by natychmiast posłać tam odpowiednio silny oddział zbrojnych, by eksterminować ten lud, bowiem, jak twierdził, małpoludy coraz bardziej zbliżają się w swojej ewolucji do ludzi. Oczywiście, wyśmiano go, ale jego słowa przekonały do czynu niewielką grupkę młodych, żądnych przygód wojowników, którzy wyruszyli za Koło Podbiegunowe. Żaden nie powrócił, a i pamięć o nich szybko się zatarła. Tymczasem hyboryjskie plemiona parły na południe, a wraz ze wzrostem liczby ludności, ruch ten przybierał na sile.

Kolejne stulecie było czasem nieustających migracji, podbojów, wojen i anektowania kolejnych terenów. Przez karty wielkiej księgi dziejów świata przemykają setki, jeśli nie tysiące, plemion i szczepów w ciągłym ruchu, tworząc wiecznie zmieniający się obraz.

Spójrzmy teraz na świat w pięćset lat później.

Ekspansja terytorialna Hyboryjczyków trwała w najlepsze, posunęli się w swych podbojach daleko na południe i na zachód, po drodze niszcząc wiele małych, nieznanych bliżej nawet z nazwy plemion. Naturalną kolejną rzeczą, ludzie z pierwszych fal hyboryjskiej migracji mieszały swą krew z podbitymi ludami, wykształcając nowe cechy rasowe. Na nich zaś napierają kolejne fale Hyboryjczyków czystej krwi, spychając przed sobą podbite narody na podobieństwo szczotki niedokładnie wymatającej śmieci. W rezultacie w wielorasowym tyglu, Hyboryjczyków czystej krwi, półkrwi i resztek pokonanych plemion, ewolucja zamieszała, jak w wielkim garze, tworząc nowe plemiona, narody i rasy. I jak do tej pory ekspansywni Hyboryjczycy nie spotkali na swej drodze ras starszych od swojej.

Zerknijmy teraz na południowy wschód. Tutaj potomkowie ludu Zhemri, zmieszawszy swą krew z jakimś bliżej nieznanym plemieniem, starają się wskrzesić, choć w najmniejszym stopniu, swą prastarą kulturę.

Na zachodzie małpokszałtni Atlantydzi właśnie rozpoczynają mozolną wspinaczkę po ewolucyjnej drabinie, kończąc tym samym odwieczny cykl rozwoju – dawno już zapomnieli, że kiedyś ich przodkowie byli ludźmi i wzniesli okazałą cywilizację. Wyruszają oto w nową podróż nieobarczeni bagażem sukcesów i porażek swych starożytnych przodków, by na nowo stać się ludźmi.

Na południe od nich Piktowie wciąż tkwią w stanie półdzikim, będąc jakby żartem z praw natury, bo nie rozwijają się, ani nie cofają w rozwoju, tylko trwają w ciągłej stagnacji. Patrząc jeszcze dalej na południe widzimy kwitnące, uznawane za starożytne, królestwo Stygii, którego wschodnie

rubieże przemierzają koczownicze, nomadyjskie plemiona, już wtedy znane pod mianem Synów Shemu. Pod nosem Piktów, w żyznej dolinie Zinng, odcięte wyniosłymi szczytami, bezimienne plemię, uznawane za spokrewnione z Shemitami, wytworzyło zaawansowaną kulturę rolniczą.

Hyboryjskiej migracji na wielką skalę sprzyjał jeszcze jeden, bardzo ważny czynnik: jedno z plemion odkryło sekret budowania z kamienia i nie minęło wiele czasu, jak świat ujrział pierwsze hyboryjskie państwo, mianowicie prymitywne i ze wszech miar barbarzyńskie królestwo Hyperborei, którego początki sięgają niezdarnie wzniesionej z kamienia twierdzy, będącej bastionem w licznych plemiennych wojnach. Twórcy tej budowli szybko porzucili koczowniczy tryb życia i zamienili namioty z końskich skór na toporne, ale solidne domostwa z kamienia. Czując się bezpiecznie szybko stali się militraną potęgą na miarę ówczesnego świata.

Trzeba pamiętać, że w historii świata niewiele było bardziej dramatycznych wydarzeń, niż powstanie tego silnego i wojowniczego państwa, którego mieszkańcy dosłownie z dnia na dzień odrzucili koczowniczy tryb życia na rzecz osiadłego, budując domy z nieociosanych kamieni, otoczone wyniosłymi murami, a dokonała tego rasa wychodząca dopiero z mroków epoki kamienia gładzonego i to przez czysty przypadek poznając elementarne zasady sztuki budowlanej.

Powstanie królestwa Hyperborei było brzemienne w skutki dla wielu innych hyboryjskich plemion, które, albo pokonane w wojnach, albo też odmawiając składania hołdów lennych wobec swych współplemieńców mieszkających w twierdzach, zmuszono do podjęcia długich wędrówek po niemal całym świecie. Na dodatek plemiona zasiedlające północ kontynentu coraz dotkliwiej zaczęły odczuwać, zrazu słabe i rzadkie, a z czasem przybierające na sile, najazdy olbrzymich, jasnowłosych dzikusów, zaawansowanych w rozwoju niewiele bardziej niż małpoludy.

Opowieść o następnym tysiącleciu to historia wzrostu potęgi Hyboryjczyków, których skore do wojaczki plemiona zdominowały cały Zachód. To wtedy powstają pierwsze prymitywne królestwa. Jasnowłosi najeźdźcy napotkali na swej drodze Piktów, pokonali ich i zepchnęli na jałowe ziemie zachodnie. Zamieszkujący północny-zachód potomkowie Atlantydwów powoli ewoluują z małp w prymitywne dzikie plemiona i jak na razie nie starli się jeszcze z Hyboryjczykami.

Na Dalekim Wschodzie Lemurianie rozwijają własną, dziwną cywilizację, zaś hyboryjskie plemiona tworzą na południu królestwo Koth,

graniczące z krainą pasterzy, zwaną Ziemią Shemu, którego mieszkańcy powoli zrywają z barbarzyńskimi tradycjami i zwyczajami pod wpływem, z jednej strony kultury hyboryjskiej, a z drugiej – stygijskiej, bardziej wojowniczej, bowiem królestwo Stygii całymi latami nękało pasterskie plemiona ciągłymi najazdami.

Jednocześnie lud jasnowłosych dzikusów z dalekiej północy tak bardzo urósł w siłę, że północne plemiona hyboryjskie zmuszone były ruszyć na południe, spychając przed sobą klany swych współplemieńców. Ostatecznie jedno z północnych plemion podbija starożytne królestwo Hyperborei, ale jego nazwa pod nową władzą nie ulega zmianie.

Równie ciekawe rzeczy mają miejsce w innych częściach ówczesnego świata. Na południowym wschodzie od Hyperborei królestwo Zhemri, pod wpływem różnych czynników, zmienia się w państwo zwane Zamorą. Na południowym zachodzie Piktowie najeżdżają żyzną dolinę Zinng i pokonując bez większego trudu miejscową rolniczą społeczność, osiedlając się wśród nich. W rezultacie powstała mieszana rasa, która z kolei została podbita przez plemię Hyboryjczyków – z tego tygla trzech różnych ras ostatecznie powstanie nowe królestwo – Zingara.

Pięć stuleci później granice królestw są już ściśle wytyczone. W świecie zachodnim prym wiodą Akwilonia, Nemedi, Brythunia, Hyperborea, Koth, Ofir, Argos, Corynthia i Królestwo Pograniczne. Na wschód od nich leży Zamora, a na południowy zachód Zingara – ich mieszkańcy nie są ze sobą w jakikolwiek sposób spokrewnieni, jedyne co ich łączy to ciemna skóra i egzotyczne zwyczaje.

Daleko na południu, jakby w północy, trwa Stygia. Co prawda los oszczędził jej wrogich najazdów, ale granice ma już nieco inne, bowiem ludy shemickie zerwały łańcuchy stygijskiej niewoli, dostając się pod uciążliwy protektorat Koth i przepędzając ciemnoskórych ciemnościeli za dwie wielkie rzeki, zwane Styks i Nilus, bądź Nil. Ta druga bierze początek gdzieś w niepoznanych rejonach południowych, po czym zakręca niemalże pod kątem prostym i wartkim nurtem toczy swe wody prosto na zachód, nawadniając żyzne pastwiska Shemu, by wielką deltą uchodzić do oceanu.

Na północ od Akwilonii, tego najbardziej wysuniętego na zachód hyboryjskiego królestwa, leży Cymmeria, której mieszkańców nikt jeszcze nie zmusił do uległości wobec jakichkolwiek agresorów. Są potomkami Atlantydów i dzięki rozlicznym i bardzo intensywnym kontaktom z kulturą

hyboryjską rozwijają się znacznie szybciej niż ich odwieczni wrogowie – Piktowie, którzy osiedlili się w dzikich dżunglach na zachód od Akwilonii.

Upływa kolejne pięćset lat, w trakcie których cywilizacja hyboryjska osiągnęła taki stopień rozwoju, że już sam kontakt z nią powoduje wydzwignięcie się dzikich plemion z mroków barbarzyństwa, jeśli tylko tego chcą. Najpotężniejszym królestwem jest wtedy Akwilonia, ale ma wielu równie potężnych, co ona, wrogów. Hyboryjczycy stali się rasą mocno skażoną obcą krwią. Tak naprawdę to tylko mieszkańcy Gunderlandii, północnej prowincji Akwilonii, mogą poszczycić się najbliższym pokrewieństwem ze wspólnymi przodkami. Jednak dopływ krwi w żadnym stopniu nie osłabił Hyboryjczyków – stanowią oni dominującą siłę w świecie zachodnim, choć na horyzoncie już pojawia się nowy gracz: nieustające w rozwoju dzikie ludy stepowe.

Na północy złotowłosi i niebieskoocy potomkowie jasnowłosych dzikusów z Arktyki wyparli hyboryjskie plemiona ze śnieżnych krain, jeszcze tylko królestwo Hyperborei w morderczych zmaganiach opiera się napierającej z północy sile. Krajem rodzinnym najeźdźców z północy jest Nordheim. Dzielą się na miedzianowłosych Vanirów z Vanaheimu i blondwłosych Aesirów z Asgardu.

A teraz na kartach wielkiej księgi dziejów znów pojawiają się Lemurianie, ale tym razem już jako Hyrkanie. Całe stulecie nieustannie parli na zachód, by w końcu osiągnąć południowe wybrzeże wielkiego, śródlądowego morza Vilayet i na jego południowym krańcu powołać do życia nowe królestwo – Turan. Pomiedzy owym morzem a wschodnimi granicami miejscowych księstw rozciągają się dzikie i niebezpieczne stepy, zaś bardziej na północy i na południu niepodzielnie rządzą wielkie pustynie. Mieszkańcy tych ziem, w żyłach których nie płynie hyrkańska krew, są rozrzuconymi na wielkich przestrzeniach ludami pasterskimi. O ich północnym odłamie nie wiemy nic, południowy zaś zdaje się wywodzić z tubylczych Shemitów o niewielkiej domieszce krwi hyboryjskiej, pochodzącej od wędrownych wojowniczych plemion. Wypada jeszcze wspomnieć, że pod koniec tego okresu inne hyrkańskie klany prą na zachód i okrążając północny kraniec morza wchodzą w konflikt z wysuniętymi na wschód placówkami Hyperborejczyków.

Przyszła teraz pora na poznanie ludzi owego okresu.

Dominujący w świecie Hyboryjczycy nie są już wszyscy jasnowłosi i szaroocy, ponieważ zmieszali swą krew z wieloma innymi rasami. Wśród

mieszkańców Koth bez trudu wypatrzymy ludzi z silnie zaznaczonymi cechami shemickimi, a w niektórych wypadkach – nawet stygijskimi. Podobnie rzecz się ma w królestwie Argos, gdzie jednak silniej wyeksponowana jest domieszka krwi zingaryjskiej. Brythuńcy ze wschodu spokrewnili się z ciemnoskórymi Zamorianami, a ludność południowej Akwilonii przemieszała się ze smagłolicymi Zingaryjczykami do tego stopnia, że czarne włosy i brązowe oczy zaczęły dominować w Poitain, tej najbardziej na południe wysuniętej akwilońskiej prowincji. W żyłach mieszkańców starożytnego królestwa Hyperborei, choć najbardziej odizolowanych od różnych wpływów, i tak płynie wiele obcej krwi, co spowodowane jest cudzoziemskimi niewolnicami przywozonymi gromadnie z Hyrkanii, Asgardu, czy też Zamory. W zasadzie nieskażona obcymi domieszkami pozostaje jedynie krew mieszkańców Gunderlandii, a to z tego powodu, że nie ma tam zwyczaju kultuwowania handlu i trzymania niewolników.

Za to ludy barbarzyńskie zachowały czystość rasy. Cymmeryjczycy są postawni, silni, czarnowłosi, a oczy mają koloru szarego bądź niebieskiego. Mieszkańcy z Nordheimu to także postawni ludzie, ale skórę mają białą, oczy niebieskie, włosy rude lub złotawe. Piktowie zaś nie zmienili się wcale, trwając w swej ewolucyjnej stagnacji – są krępi, niscy, śniadzi, oczy i włosy zazwyczaj mają czarne. Hyrkańczycy o ciemnej karnacji skóry to lud szczupły, wysoki, choć trzeba przyznać, że coraz częściej zdarzają się tam osobnicy o krępej budowie ciała i skośnych oczach, co jest pokłosiem hyrkańskiego podboju, w czasie marszu na zachód, pewnej wysoce inteligentnej rasy, zasiedlającej górskie tereny na wschód od morza Vilayet.

W większości wypadków Shemici to ludzie średniego wzrostu, ponieważ jednak w ich żyłach płynie niewielka domieszka krwi stygijskiej, zdarzają się wśród nich mężczyźni potężni, masywnie zbudowani, z szerokimi barami, z ciemnymi oczami, haczykowatymi nosami i kruczoczarnymi włosami. Co do Stygijczyków, to są wysokimi ludźmi o śniadej karnacji skóry i proporcjonalnej budowie ciała. Ich twarze cechują się prostymi, aczkolwiek szlachetnymi rysami. Ale to jest portret stygijskiej arystokracji. Niższe warstwy społeczne są zadziwiającą mieszanką wielu ras: stygijskiej, shemickiej, a nawet hyboryjskiej. Na południe od Stygii odnajdziemy imponujące wielkością królestwa czarnoskórych ludów Amazonii, Kush, Atlajan, a także zamieszkane przez różne nacje cesarstwo Zimbabwe.

Pomiędzy Akwilonią a puszcą piktyjską znajduje się Pogranicze Bossońskie. Jego mieszkańcy pochodzą od miejscowego plemienia podbitego i zasymilowanego przez jeden z hyboryjskich szczepów już w pierwszych wiekach wędrówki Hyboryczyków na południe. Bossończycy nad wyraz skutecznie opierali się jakimkolwiek wpływom ras bardziej cywilizowanych od nich, skutkiem czego zostali w końcu zepchnięci na skraj cywilizowanego świata. Charakteryzują się średnim wzrostem i średnią budową ciała, oczy zwykle mają szare lub brązowe, a utrzymują się głównie z rolnictwa, mieszkając w dużych osadach, otoczonych potężnymi murami. Formalnie należą do poddanych króla Akwilonii. Ich kraj rozciąga się od Cymmerii na północy aż po Zingarę na południowym zachodzie, tym samym stanowiąc solidne przedmurze dla akwilońskiego królestwa w razie zbrojnego najazdu czy to Cymmeryjczyków, czy to Piktów. Bossończycy w boju wyróżniają się nieugiętością, a nauczeni wieloletnim doświadczeniem wojen z barbarzyńcami z północy, jak i zachodu, opanowali do perfekcji wszelkie strategie defensywne, tak że przełamanie ich formacji obronnych jest w praktyce mało możliwe, o ile w ogóle.

Pięć stuleci później cywilizacja hyboryjska zniknęła z powierzchni ziemi, a jej upadek był wydarzeniem szczególnym w dziejach świata, bowiem nie został spowodowany walkami wewnętrznymi, lecz wzrastającą potęgą plemion barbarzyńców i Hyrkańczyków. Rozległe imperium Hyperborejczyków legło w gruzach, będąc u szczytu swego rozwoju cywilizacyjnego, ale pośrednią przyczyną tej katastrofy była też nieznająca miary chciwość i zachłanność kolejnych władców Akwilonii. Nigdy nie mieli dość nowych ziem i kolejnych podbojów, dlatego prowadzili nieustające wojny ze wszystkimi sąsiadami. Zingara, Argos i Ofir zostały po prostu anektowane, a podobny los spotkał zachodnie miasta shemickie, które dopiero co, podobnie jak i miasta wschodnie, zrzuciły niewolnicze jarzmo Koth, któremu samemu nie udało się uniknąć akwilońskiej ekspansji, w rezultacie czego zmuszone było, razem z Koryntią i wschodnimi plemionami shemickimi, do płacenia wielkich danin, jak i udzielania bezwarunkowej pomocy w wojnach prowadzonych przez władców Akwilonii.

Nie ma co ukrywać, że pomiędzy Akwilonią i Hyperboreą istniał odwieczny spór, który w końcu przerodził się w ostry i otwarty konflikt zbrojny. Szerokie równiny Królestwa Pogranicznego stały się sceną

krwawej i zajadłej bitwy, w wyniku której pokonane armie Hyperborejczyków musiały uciekać do skutych wiecznym lodem fortec na swym terytorium. Syci odniesionym zwycięstwem Akwilończycy nie byli zainteresowani ściganiem odwiecznego wroga.

Nemedejczycy, którzy przez całe wieki skutecznie opierali się zachodniemu sąsiadowi, postanowili raz na zawsze rozwiązać akwiloński problem. W tym celu powstało przymierze Nemedii, Brythunii i Zamory a także, w tajemnicy, i Koth. Cel był prosty: położyć kres imperialnym zapędom Akwilończyców. Ale nim udało się wcielić w życie militarne scenariusze, z zachodu nadciągnął nowy i niespodziewany wróg. To Hyrkańczycy dokonali pierwszego w historii tak potężnego uderzenia na świat zachodni. Turańska armia zasilona dzikimi plemionami, zasiedlającymi tereny na wschód od Vilayet, niemal z marszu podbiła Zamorę, splądrowała wschodnią Koryntię i na zielonych równinach Brythunii zwarła się z Akwilończykami, doznając sromotnej porażki w nieprawdopodobnie krwawej bitwie. W tej sytuacji zdziesiątkowane hyrkańskie oddziały, nieustająco nękane przez zwycięzców, musiały w popłochu i panice uciekać na wschód.

Najazd ten miał poważne konsekwencje dla zachodniego świata, bowiem zawarty antyakwiloński pakt nie miał dość militarnej siły, by podjąć jakiegokolwiek skuteczne działania. Tak więc Nemedia w kolejnych wojnach ograniczała się do obrony swych granic, nie prowadząc żadnych działań zaczepnych, czasem wspomagana nielicznymi oddziałami z Brythunii i Hyperborei oraz, jak zwykle w tajemnicy, z Koth.

Kłęska Hyrkańczyków była namacalnym dowodem potęgi militarnej Akwilonii. Szeregi jej armii w dużej liczbie zasilali różnej maści najemnicy, w tym głównie Zingarczycy, a także barbarzyńscy Piktowie i Shemici. To wielonarodowościowe wojsko bez problemów wypędziło z Zamory Hyrkańczyków. Miejscowa ludność, na początku przekonana o końcu okupacji najeźdźców ze wschodu, szybko zrozumiała, że wpadła z deszczu pod rynnę, bowiem akwiloński korpus ekspedycyjny niemalże od razu zamienił się w korpus okupacyjny. Wznoszone w niesłychanym tempie liczne garnizony służyły nie tylko obronie militarnej wyczerpanego królestwa Zamory, ale przede wszystkim całkowitej kontroli wszystkich mieszkańców.

Hyrkańczycy okazali się jednak narodem upartym i bezkompromisowym, bowiem jeszcze trzykrotnie uderzali na zamoriańskie granice, za każdym

razem ponosząc klęskę, choć szeregi turańskiej armii stale rosły w siłę dzięki ciągłemu napływowi zakutych w stal wojowników, pracujących na zachód dookoła południowego krańca morza Vilayet.

Ale to na zachodzie powoli dojrzewiała siła, której przeznaczeniem było obalenie władców Akwilonii...

Spoglądając na północ zobaczymy nieustające walki, wojny, podjazdy i awantury. Wzdłuż cymmeryjskiej granicy czarnowłosi barbarzyńcy niemalże stale krzyżowali swe miecze z wojownikami z Nordheimu. W pewnym momencie armia Aesiru, wykorzystując chwilowe zawieszenie broni podczas wojny z Vanirem, niespodziewanie napadła na Hyperboreę i krok po kroku, przesuując granice własnego państwa, puszczała z dymem miasto za miastem. Cymmeryjczycy nie wtrącali się do tej wojny, mając w głowie własne pomysły na wzrost znaczenia ich królestwa, czyli walczyli z kim popadnie, także z Piktami i Bossończykami, kilka razy zapędzając się nawet na akwilońskie terytorium. Prawda była jednak taka, że owe wypadki miały raczej charakter wypraw łupieżczych niż dobrze przygotowanych i planowo przeprowadzonych inwazji w celu aneksji określonych ziem. Po prostu w tym wypadku Cymmeryjczycy chcieli sobie pograbić akwilońskie skarbcze, a nie podbijać akwiloński tron.

Tymczasem Piktowie w błyskawicznym tempie zaczęli rosnąć w siłę, czego jednym z powodów był wysoki przyrost naturalny. Nieprzewidywalnym zrzędzeniem losu w tej właśnie chwili wkroczyli na ścieżkę ku utworzeniu własnego imperium, a stało się to za sprawą tylko jednego człowieka i to na dodatek dla nich obcego. Tym człowiekiem był Arus, nemedijski kapłan i nawiedzony reformator. Do dzisiaj nikt nie wie, dlaczego to Piktowie stali się celem jego życiowej misji. Wiarygodne źródła historyczne nie pozostawiają wątpliwości – pewnego dnia Arus ruszył w głąb zachodniej puszczy, niosąc ze sobą kaganek oświaty i szaloną, jak się później okazało, wizję, że dzikich Piktów można ucywilizować, wprowadzając wśród nich wysublimowany kult Mitry. Nie przeraziły go liczne opowieści o tym, co Piktowie zwykli robić z kupcami lub podróżnikami, którzy lekkomyślnie postanawiali zwiedzać ich ziemie. I aż trudno w to uwierzyć, musiał być największym szczęściarzem pod słońcem, bo gdy w końcu natknął się na tych, których szukał, sam, bez broni, zbroi i w podartych sandałach, nie został przez nich na miejscu zaszlachtowany.

Piktowie odnosili wiele korzyści dzięki kontaktom z hyperboryjską cywilizacją, ale, o ironio, zawsze zaciekle się przed nimi bronili. Nauczyli

się niezbyt wyszukanej obróbki miedzi i cyny, których niewielkie złoża mieli u siebie, a gdy potrzebowali tych surowców więcej to zdobywali je albo poprzez szybkie wypadki łupieżcze do Zingary, albo kupowali, oferując skóry, fiszby, kły morsów i tym podobne rzeczy, jakie może posiadać dzikie i niecywilizowane plemię. Nie mieszkali już w jaskiniach i na prymitywnych platformach budowanych na drzewach, lecz wznosili namioty ze skór i szałas, podpatrzony u Bossończyków. W dalszym ciągu wiedli wędrowny tryb życia, gdyż w ich puszczech roіło się od wszelkiej zwierzyny, a i w rzekach oraz morzu ryb nie brakowało. Niby nauczyli się uprawiać ziemię i mieli szczątkową wiedzę o rolnictwie, to i tak woleli kraść ziarno od swych sąsiadów: Bossończyków i Zingarczyków. Ich struktura społeczna miała charakter klanowy, a charakteryzowała się jedną cechą szczególną: klany z ochotą i wielką determinacją wyrzynały się wzajemnie. Z wierzeniami i tradycjami było podobnie: piktyjscy bogowie uwielbiali zapach świeżej krwi o poranku, a obyczaje mogły u cywilizowanego człowieka wywołać odruch wymiotny, co też na pewno spotkało i Arusa z Nemedii. Piktowie z Hyperborejczykami nie mieli bezpośredniego kontaktu, bowiem barierą nie do pokonania dla smagłolicych barbarzyńców były bossońskie forty, które, co już wcześniej było zaznaczone, stanowiły znakomite przedmurze królestwa Akwilonii. Arus sądził, że Piktowie, jeśli tylko dać im sposobność, mogą się szybko i skutecznie cywilizacyjnie rozwijać, a dalsze wypadki potwierdziły słuszność tego założenia, choć, co trzeba od razu zaznaczyć z całą mocą, niekoniecznie w sposób, jaki miał na myśli.

Arus, jak już wspomniano, musiał być w czepku urodzony, bo na swojej drodze spotkał wodza o nieprzeciętnej, jak na piktyjskiego wojownika, inteligencji. A wódz ten miał na imię Gorm i był człowiekiem pełnym sprzeczności i o tak skomplikowanej osobowości, że nigdy do końca nie uda się go w pełni zrozumieć, tak samo jak ma to miejsce w przypadku Dzyngis-chana, Otomana, Attyli czy któregokolwiek z innych wielkich wodzów, którzy zrodzeni na dzikich stepach pośród nieokrzesanych i prymitywnych pobratymców, mieli jednak naturalny i wrodzony talent do prowadzenia wielkich wojen i budowania legendarnych imperiów.

Gdy tylko Arusa postawiono przed obliczem Gorma, kapłan w łamanym narzeczu bossońskim wyjaśnił wodzowi cel swojej misji, a ten, choć w całym swoim życiu nie był tak zdziwiony, zamiast postąpić zgodnie z piktyjskimi obyczajami i kazać przybłędę zgładzić w jakiś spektakularny

sposób, pozwolił mu się osiedlić w swoim plemienu. A jak niesłychanie rewolucyjna to była decyzja, niech świadczy to, że zdarzyła się po raz pierwszy w długiej historii szczepu. W pierwszej kolejności Arus nauczył się języka piktyjskiego, a potem począł cywilizować swych nowych braci zaczynając od przekonania ich, że pielęgnowanie przynajmniej niektórych obyczajów, takich jak składanie ofiar z ludzi, ciągłe krwawe wojny plemienne czy radosne palenie żywcem pojmanyh jeńców, jest błędem, barbarzyństwem i nie przystoi ludowi marzącemu o potędze. Gorm wykazywał się istic boską cierpliwością wysłuchując częstych i nieznośnie długich tyrad kapłana, ale trzeba przyznać, że słuchaczem był uważnym, choć wiecznie milczącym. By lepiej zrozumieć doniosłość tych wydarzeń, wystarczy wyobrazić sobie taką oto scenę: postawny i czarnowłosy wódz Piktów, odziany w tygrysią skórę i naszyjnik z ludzkich zębów dumnie zdobiący muskularną pierś, siedzi w kucki na brudnym klepisku prymitywnie skleconego szałasu i w najwyższym skupieniu słucha elokwentnych, jak na tamte czasy, peror Arusa, odzianego w jedwabne szaty nemedyskich kapłanów i siedzącego na nieudolnie rzeźbionym, wyściełanym skórą jakiegoś drapieźnika mahoniowym ekwiwalencie tronu, naprędce skleconym na jego cześć. Żywo gestykulując szczupłymi i białymi dłońmi opowiada o odwiecznych prawach i sądach podarowanych ludziom przez samego Mitrę. Nie ma wątpliwości, że z przyganą w głosie wskazywał z odrazą na długie, zdobiące ściany szałasu rzędy czaszek i przekonywał Gorma, że oświecenia można dostąpić przebacząc występki wrogom, a nie kolekcjonując i eksponując ich szczątki. Arus był szczytowym osiągnięciem rasy o wrodzonych talentach artystycznych, osiągnęcej apogeum cywilizacyjnego rozkwitu na drodze wielowiekowego rozwoju. Gorm natomiast był człowiekiem zgoła lekko odmiennym, on mianowicie stanowił ukoronowanie trwającego bez mała sto tysięcy lat czystego i nieskażonego cywilizacją dzikiego oraz pierwotnego barbarzyństwa: kroki stawiał ciche jak skradający się tygrys, uścisk jego dłoni o czarnych paznokciach miał w sobie delikatność uścisku goryla, a w jego oczach płonął ten sam ogień zimnej bezwzględności, który widzą rozszarpywane ofiary w ślepiach rozwścieczonego lamparta.

Oczywiście Arus, choć kapłan Mitry, nie do końca był idiotą i wiedział, że tak naprawdę Piktom do wyobraźni, przynajmniej na początku, może przemówić tylko korzyść materialna, czyli, mówiąc krótko: skarby, splendor, sława, a za przykład niesłychanych łask Mitry wskazywał pozycję

i rolę, jaką w ówczesnym świecie zajmowały hyperboryjskie mocarstwa, osiągając to wszystko przez wprowadzanie w czyn nauki wszechmocnego boga. W kółko opowiadał o wielkich miastach, żyznych równinach, marmurowych ścianach, żelaznych rydwanach, o majestatycznych i wysadzanych oceanem drogich kamieni kopułach świątyń, a także o zakutych w najlepszą stal rycerzach, każdego dnia szykujących się do walki. A Gorm, jak to barbarzyńca z dziada pradziada, puszczał mimo uszu tę gadaninę o bogach i, przynajmniej w jego oczach, smętnych oraz niedorzecznych naukach, skupiając całą uwagę na opisach wszelakich dóbr doczesnych, których nie szczędził mu Arus, wspinając się na wyżyny sztuki retorskiej. I to właśnie w tym szalasie ze śmierzącym klepiskiem, gdzie smagłolicy wódz odziany w tygrysią skórę wysłuchiwał opowieści odzianego w jedwabne szaty kapłana, siedzącego na groteskowym mahoniowym tronie, początek miało jedno z największych imperiów w dziejach świata.

Wiemy już, że Arus nie był idiotą, a co więcej, miał wiele cech człowieka praktycznego. Spędzając kolejne dni pomiędzy Piktami odkrył, że inteligentny człowiek może wiele uczynić dla dobra ludzkości, nawet jeśli jej przedstawicielami jest zgraja dzikusów odziana w tygrysie skóry i przyozdobiona naszyjnikami z ludzkich zębów. Jak wielu innych kapłanów Mitry i jego nauczono wielu rzeczy przydatnych w misyjnej pracy. Błyskawicznie zorientował się, że niejedno wzgórze na piktyjskim terytorium skrywa bogate i łatwo dostępne złoża rud żelaza. Nauczył więc dzikusów wydobywania i obróbki minerałów, by potem wytapiać z nich metal i wykuwać dowolne narzędzia – w swej naiwności sądził, że głównie rolnicze. Był autorem i wielu innych rewolucyjnych zmian, ale jego najważniejszym osiągnięciem było rozpalanie w głowie Gorma żądy zobaczenia reszty cywilizowanego świata, nauczanie Piktów obróbki żelaza i nawiązanie pierwszych, pokojowych relacji między piktyjskimi barbarzyńcami a światem zewnętrznym. Na usilne prośby wodza Arus przeprowadził jego i kilku wojowników przez Pograniczne Bossońskie do cywilizowanego świata, gdzie tym prawdziwym barbarzyńskim odludkom aż dech zapierało na widok całego bogactwa i splendoru.

Arus bez wątpienia myślał, że w każdej piktyjskiej osadzie, którą nawiedził, wszyscy nawracali się w okamgnieniu, bowiem zawsze mieszkańcy cierpliwie go wysłuchiwali i żadnemu z nich nie zaświtała w głowie światła myśl, by zarąbać go miedzianym toporkiem. Ale nie brali

sobie do serca świątłych przykazań Mitry, nakazującym im przebaczenie wrogom i porzucenie wojennej ścieżki na rzecz pokojowej koegzystencji z sąsiadami, o co trudno mieć do nich pretensje, bowiem Piktowie nie przejawiali duchowości artystycznej, tylko barbarzyńską, nastawioną na prowadzenie nieustannych wojen i ciągle zabijanie. Kiedy Arus wygłaszał tyrady o wspaniałości i osiągnięciach cywilizowanych narodów, smagłolicy słuchacze chłonęli każde jego słowo, ale nie o kulcie Mitry i prawdach wiary objawionej, tylko o bajecznych łupach, które nieświadomie w swych opowieściach przedstawiał kapłan. Kiedy opisywał, jak Mitra dopomógł niektórym władcom pokonać ich wrogów, Piktowie puszczały mimo uszu fragmenty o cudach dokonanych przez boga, ale za to świeciły im się z pożądania oczy na myśl o formacjach bojowych, konnych rycerzach, manewrach pikinierów czy zawodach łuczniczych. Zawsze Arusa wysłuchiwali w najwyższym, niemal nabożnym skupieniu, zwłaszcza gdy prawił o obróbce żelaza i podobnych rzemiosłach. Twarze mieli nieprzeniknione, wzrok skupiony, a kiedy kończył swą kolejną opowieść, grzecznie i bez słowa rozchodzili się do swych szałasów i namiotów.

Przed jego przybyciem stalowe zbroje i oręż najczęściej podkradali Bossończykom i Zingaryjczykom, z rzadka wyklepując własną, niemiłosiernie prymitywną broń z miedzi lub brązu, ale teraz stanął przed nimi otworem nowy wspaniały świat, a dźwięki kowalskich młotów niosły się po całym kraju. Dzięki poznaniu tajników tej sztuki Gorm powoli, ale systematycznie, zaczął zdobywać dominującą pozycję nad coraz to kolejnymi klanami. Jego asem w rękawie była nowa broń, choć trzeba przyznać, że niejednokrotnie w podbojach wykazywał się nadzwyczajnym sprytem, a także odkrył możliwości dyplomacji. W tej ostatniej dziedzinie osiągnął prawdziwe mistrzostwo, prześcigając w niej w późniejszych latach wszystkich razem wziętych barbarzyńskich wodzów.

Za sprawą wpływów Arusa i dzięki dyplomatycznej ofensywie Piktowie mogli swobodnie podróżować po Akwilonii, podpatrując i ucząc się na potęgę, po czym powracali do piktyjskich wiosek bogatsi o nową wiedzę w kuciu zbroi, pancerzy i hartowaniu mieczy. Jakby tego było mało, zaczęły zaciągać się do akwilońskich najemniczych szwadronów, doprowadzając do wściekłości hardych Bossończyków. Królowie Akwilonii byli w niebowzięci, bo już oczami wyobraźni widzieli, jak ich najemne piktyjskie armie maszerują na Cymmerię, a dzięki temu sprytni władcy pozbyliby się dwóch zagrożeń za jednym zamachem na swojej zachodniej

granicy. Faktem jest, że byli jednak zbyt zajęci kolejnymi krwawymi kampaniami na południu i wschodzie, by zawracać sobie głowę krainami zachodnimi, z których w coraz większej liczbie napływali piktyjscy wojownicy do ich zaciężnych szwadronów. A owi wojownicy po wygaśnięciu kontraktów powracali w rodzinne strony znając już tajniki i fortele armii, w których służyli oraz mając w tej specyficznej barbarzyńskiej pogardzie cały cywilizowany świat, bo wiele razy byli świadkami jego deprawacji, obłudy, chciwości, a nie raz i bezdennej głupoty.

W końcu nadszedł ten dzień, gdy bębny na wzgórzach zaintonowały wojenną pieśń, gdy na wzniesieniach rozpalono wielkie ogniska zwołujące wojowników, a piktyjscy płatnerze wykuwali zbroje i miecze na tysiącach kowadeł. Dzięki podbojom, intrygom i pułapkom tak licznym, że nie sposób ich tu wymienić i omówić, Gorm dokonał niemożliwego – został wodzem wszystkim wodzów, dzierżąc twardą ręką pełnię władzy, co w praktyce oznaczało jedno: Piktowie po raz pierwszy od tysiącleci mieli własnego króla. Długo czekał na ten moment, był już bowiem w wieku, jak na owe czasy, dość zaawansowanym, więc nie marnując czasu ruszył na bossońską granicę, ale tym razem nie po to, by handlować, ale po to, by zdobywać świat i budować imperium.

Arus dopiero teraz dostrzegł swą pomyłkę i zrozumiał, że nie wejrzał należycie w duszę barbarzyńcy, która pozostawała głucha na jego nauki, a w której mocnym płomieniem paliła się odwieczna żądza krwi. Jego elokwentne gadki, tyrady i przemowy nawet nie drasnęły piktyjskiej mentalności, sprowadzającej wszystkie dylematy świata do prostego mechanizmu: giń lub zabij. Gorm nie nosił już tygryskiej skóry. Porzucił ją na rzecz misternie wykutej, posrebrzanej kolczugi. Była to jednak zmiana pozorna, bo w głębi duszy Pikt będzie zawsze Piktem – wiecznym, dzikim barbarzyńcą, gardzącym filozofią czy teologią, nastawionym na grabież i rozbój.

Piktyjska nawałnica przelała się przez bossońską granicę, znacząc przebytą drogę ogniem i mieczem, a trzeba pamiętać, że nie była to już horda półnagich dzikusów w tygryskich skórach, pobrzękująca naszyjnikami z ludzkich zębów i wywijająca miedzianymi toporkami. Piktowie nosili mocne kolczugi, a broń mieli wykutą z najlepszej stali.

Jeśli zaś chodzi o Arusa, to w końcu poczuł na własnej skórze barbarzyńską dzikość, gdy jakiś kompletnie pijany Pikt rozłupał mu

czaszkę, kiedy kapłan zmierzał do Gorma, by podjąć ostatnią próbę powstrzymania piekła wojny, do którego powstania sam się przyczynił. Król nie okazał się być zimnym niewdzięcznikiem – nakazał głowę zabójcy zatknąć na szczycie kurhanu, będącego miejscem wiecznego spoczynku kapłana. I jak tu nie mówić o szyderczym chichocie historii, skoro kamienie przykrywające doczesne szczątki Arusa zostały przyozdobione na typowo barbarzyńską modłę, a przecież pochowany pod ich stertą człowiek naprawdę gardził prawem ślepej zemsty i bezmyślnym rozlewem krwi...

Tymczasem piktyjska kampania mocno straciła na impecie, bowiem nowa broń i zbroje nie wystarczyły, by przełamać bossońską obronę. Granica płonęła całymi latami, a lepiej wyszkoleni, uzbrojeni i zdesperowani Bossończycy trzymali w szachu dzikie hordy. Od czasu do czasu dzielnych obrońców pograniczna wspierały doborowe akwilońskie oddziały. W tle prowadzonych działań wojennych na zachodzie ponownie dali o sobie znać Hyrkańscy, ale zdobyli się tylko na niewielki rajd na przygraniczne terytoria i powrócili do siebie. Niedługo potem Akwilończycy złamali ostetecznie opór Zamory i przyłączyli to królestwo do imperium.

I gdy wydawało się, że Piktowie nigdy nie zdołają pokonać bossońskiego muru, w wojnie nastąpił niespodziewany przełom spowodowany zdradą z najmniej oczekiwanej strony. Nim jednak opowiemy o tym coś więcej, przyjrzyjmy się wpierw akwilońskiemu imperium.

Od niepamiętnych czasów było to królestwo opływające w bogactwa, ale z chwilą coraz to nowych podbojów stało się krainą wręcz pławiącą się w luksusie i zbytku. Miejsce zgrzebnego i prostego stylu życia zajęły ostentacyjny przepych, choć trzeba przyznać, że daleko było Akwilończykom do degeneracji i upadku. Co prawda, kto mógł i było go na to stać, najchętniej nosił jedwabie i bogato wyszywane złotem aksamity, ale ciągle była to rasa żywotna i mężna. Niestety arogancja podszyta pychą zaczęła skutecznie wypierać ich dawną prostolinijność, a słabsze narody traktowali z wyniosłą pogardą, zrzucając na barki podbitych ludów coraz to większe podatki i daniny. Argos, Zingare, Ofir, Zamore i państwa shemicke uznawali właściwie za w pełni podporządkowane prowincje, co szczególnie drażniło dumnych Zingarczyków, którzy regularnie, i to mimo bezwzględnych represji, wzniesali bunty i rewolty. W niewiele lepszej sytuacji było Koth, bowiem pozostając pod „protekcją” Akwilonii na wypadek kolejnego hyrkańskiego najazdu, w praktyce stało się jej

lennikiem. Jednym z nielicznych królestw, które stawiało bardzo skuteczny opór akwilońskiej żądzy dominacji była Nemedia, choć ograniczała się wyłącznie do obrony własnych granic i to głównie dzięki bitnej, dobrze wyszkolonej hyperborejskiej armii.

W tym okresie akwilońskie imperium doznało trzech porażek. O pierwszej wspomnieliśmy przed chwilą, drugą była klęska oddziałów ekspedycyjnych wysłanych do Cymmerii, a trzecią rozbicie w pył armii Akwilonii w wojnie z Aesirami. Tak, jak Hyrkańczycy nie potrafili poradzić sobie z szarżami ciężkiej jazdy akwilońskiej, tak te same doborowe oddziały imperialne w skutych wiecznym lodem i smaganych ciągłymi śnieżnymi zawieruchami krainach nordyckich były bezradne w ciągłych i krwawych walkach wręcz.

Z kolei na południu Akwilończykom wiodło się znacznie lepiej, bowiem wysłana armia dotarła aż do brzegów rzeki Nil, gdzie po zażartej i krwawej bitwie niemalże w pień wycięła stygijskie oddziały, a zdesperowany król Stygii, by zażegnać niebezpieczeństwo inwazji na swoje królestwo, złożył hołd lenny i wypłacił bajeczną wręcz daninę.

Po kilku krótkich, ale skutecznych wypadach militarnych Brythunia w końcu padła i Akwilończycy mogli już teraz ostatecznie rozwiązać dręczący ich problem – nieposkromioną Nemedię. Zabrali się do rzeczy ze znanstwem i determinacją, wzmacniając swą zakutą w lśniąca stal ciężką jazdę licznymi bossońskimi oddziałami zaciężnymi. Tak przygotowani ruszyli na wschód i wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że dni wolności ostatniego niepodległego państwa na Zachodzie są już praktycznie policzone. I wtedy z potężną siłą wybuchła fala niesnasek w szeregach akwilońskiej armii. A sprawa wyglądała tak.

Rozochoceni dominującą pozycją na Zachodzie, niesieni sukcesami imperialnej ekspansji Akwilończycy stali się nietolerancyjni i pyszni. Z nieukrywaną przyjemnością poniżali i szydzili z prostackich i prymitywnych, przynajmniej w ich mniemaniu, Bossończyków, a to zaowocowało coraz częstszymi napięciami we wzajemnych stosunkach. Przy każdej nadarzającej się okazji poniżali jak tylko mogli Bossończyków, a ci zaś nie zamierzali chować głowy w piasek i odpłacali pięknym za nadobne. A gdy Akwilończycy obwołali się ich panami, żądając od najemnych bossońskich oddziałów ślepego posłuszeństwa, miarka się przebrała. Jakby tego było mało, trzeba pamiętać, że imperium nałożyło na mieszkańców Pograniczna Bossońskiego drakońskie podatki i siłą zaczęło

wcielać w szeregi imperialnej armii całe rzesze młodych ludzi, by zaspokoić wieczny głód świeżej krwi do prowadzenia rozlicznych wojen ku wiecznej chwale Akwilonii, chwale, z której Bossończycy nic nie mieli. Na skutki takiej polityki nie trzeba było długo czekać. Pogranicze praktycznie było bezbronne, ledwie Bossończykom starczało oddziałów do strzeżenia własnych granic. Dlatego też, kiedy gruchnęła wieść o Piktach swobodnie wyrzynających bossońskie wsie i miasteczka, wszystkie najemne oddziały wycofały się z kampanii nemedyjskiej i z szybkością godną podziwu pośpieszyły do ojczyzny. Zdążyły w ostatniej chwili, by stoczyć wielką bitwę z Piktami, wygrać ją, a tym samym odepchnąć smagłolichy agresorów z powrotem do puszczy.

Dezercja ta okazała się brzemienne w skutki. Osłabiona akwilońska armia została rozbita przez zdesperowanych Nemedyczyków, a to z kolei ściągnęło na Bossonię straszliwą zemstę pokonanych i upokorzonych Akwilończyków, zaślepionych i nietolerancyjnych swą pychą, co wcale nie jest takim rzadkim zjawiskiem w zauroczonych swą potęgą imperiach. W wielkiej tajemnicy podciągnięto do granicy z Bossonią liczne akwilońskie szwadrony, jednocześnie zapraszając bossońskich wodzów na uroczyste zgromadzenie. W tym samym czasie, tłumacząc się koniecznością przeprowadzenia kampanii przeciwko Piktom, sprowadzono shemickie hordy, które rozlokowano w bossońskich wsiach i miasteczkach. Jak się już można domyślać, wielkie zgromadzenie nie było niczym innym, jak tylko perfidną, ale skuteczną pułapką. Pojmany wodzów od razu ścięto, a bandy Shemitów sprawiły bezbronnej ludności cywilnej krwawą łaźnię, niszcząc i paląc każdą osadę, wioskę czy miasteczko do gołej ziemi. W tym samym czasie pancerne hufce akwilońskiej jazdy uderzyły na zaskoczone i nieliczne bossońskie oddziały z łatwym do przewidzenia skutkiem. Cały kraj spłynął krwią tysięcy pomordowanych ludzi. Gdy imperialna armia wracała do swego kraju, zostawiła za sobą tylko trupy i zgliszcza.

I właśnie wtedy Piktowie zaatakowali ponownie z potworną siłą wzdłuż całej granicy. Nie była to zwykła wyprawa łupieżcza, ale świetnie zaplanowana i przygotowana kampania, w której udział wzięły wszystkie niemal piktyjskie oddziały dowodzone przez wodzów wyszkolonych w czasie służby w akwilońskiej armii. O wszystkim decydował Gorm, to on był bowiem autorem planu ataku i choć już mocno posunął się w latach, jego wybujałe ambicje wcale się nie zmniejszyły. W przeciwieństwie

jednak do lat poprzednich, tym razem na drodze Piktów nie stanęły świetnie bronione i dobrze ufortyfikowane osady, wioski i miasteczka, w których bossońscy łucznicy stawialiby zaciekły opór najeźdźcy do czasu kontruderzenia akwilońskich szwadronów. Niedobitki Bossończyków wyrżnięto niemal z marszu i żądni krwi barbarzyńcy, paląc i łupiąc, przekroczyli granice Akwilonii. Dowództwo imperialnej armii za późno zrozumiało, że nie zdąży na czas ściągnąć na zachód oddziałów znowu walczących z Nemedyczykami.

Zingara od razu skorzystała z nadarzającej się sposobności do zrzucenia lenniczego jarzma, a za jej przykładem poszły Koryntia i Shemici. Całe najemnicze oddziały, jeszcze niedawno oficjalni poddani Akwilonii, buntowali się, dezercerowali i wracali do swych królestw, uprzyjemniając sobie drogę powrotną regularnym rabunkiem, plądrowaniem i mordowaniem każdego, kto im się nawinął pod miecz. Imperium spłynęło krwią.

Piktowie uparcie parli na wschód, miażdżąc i masakrując każdy akwiloński regiment, który stanął im na drodze. Imperialni stratedzy z przerażeniem odkryli, że bez osłony bossońskich łuczników ciężka jazda jest bezbronna, a chmury piktyjskich strzał niosą ze sobą deszcz śmierci. W popłochu i panice z każdego zakątka państwa ściągano pospiesznie coraz to nowe szwadrony, pułki, regimenty, legiony, bataliony, słowem każdego, kto był w stanie tylko udźwignąć miecz, ale tymczasem szeregi najeźdźców zamiast topnieć, z każdym dniem wydawały się powiększać, jakby Piktyjska Puszcza co rano rodziła następne dzikie i krwiożercze hordy. A jakby tego było mało, w sam środek tego chaosu wparowali ze swych wzgórz wściekli Cymmeryjczycy, wieńcząc dzieło zniszczenia wielkiego imperium. Obrócili w perzynę niezliczone miasta, wytłukli mieszkańców, zabrali ogromne skarby i wrócili do siebie. Piktowie zaś przejęli splądrowane przez nich ziemie.

Taki był koniec wielkiego i świetnego imperium, które przeszło do historii utopione we krwi własnych mieszkańców, splądrowane, spalone i upokorzone.

Świat teraz był inny, co też szybko wykorzystali Hyrkańczycy, którzy wielką armią nadciągnęli z błękitnego wschodu, zachęteni nagłym wycofaniem imperialnych oddziałów z Zamory. Podbicie niedawnego wasala Akwilończyków było formalnością, toteż niedługo potem

największe miasto Zamory zostało oficjalnie mianowane nową stolicą państwa Hyrkańczyków.

Warto teraz przyjrzeć się nieco bliżej przebiegowi wspomnianego najazdu.

Inwazja wyszła z Turanu, starożytnego hyrkańskiego królestwa leżącego nad brzegami morza Vilayet. Jednocześnie z północy nadciągnęła druga, o wiele potężniejsza hyrkańska armia. Zakute w stal oddziały ciężkiej jazdy w błyskotliwym manewrze okrążyły północny kraniec morza śródlądowego, przemaszerowały przez skute wiecznym lodem pustynie, wkroczyły na rozległe stepy i pędząc przed sobą uciekającą miejscową ludność zaatakowały zachodnie królestwa. Nie od razu najeźdźcy z północy sprzymierzyli się z Turańczykami, staczając z nimi kilka krwawych bitew i odnosząc wiele znaczących sukcesów, podobnie jak w walkach z Hyperborejczykami. Nastąpiły czasy, kiedy każdy walczył z każdym. Ostatecznie kres temu szaleństwu położył wielki król, który przybył ze swoją armią z odległych wybrzeży Oceanu Wschodniego, jednocząc walczące strony pod swoim przywództwem.

Gdy akwilońska armia przestała istnieć, Hyrkańczycy nie napotykali w swoich podbojach właściwie żadnego skutecznego oporu. Bez większych problemów zdemolowali i podporządkowali sobie Brythunię, obrócili w perzynę południowe tereny Hyperborei i Koryntię. Posiłkując się zastępami czarnowłosych barbarzyńców, pewni siebie i przekonani o własnej potędze, zaatakowali cymmeryjskie wzgórza. Popełnili jednak kardynalny błąd. Z dala od równin nie mieli jak wykorzystać swej ciężkiej konnicy, która w pełnym galopie zwykła przełamywać linie wroga, niczym wezbrana fala przełamuje skleconą z kilku desek tamę na rzece. Cymmeryjczycy rozumieli to doskonale i bezwzględnie wykorzystali. Tylko niemal paniczny i bezładny odwrót ocalił resztki hyrkańskich oddziałów od totalnej zagłady, gdy po całodniowej morderczej bitwie cymmeryjskie hordy były bliskie absolutnego zwycięstwa.

Tymczasem Shemici dokonali krwawej zemsty, podbijając ziemie swego niedawnego ciemiężyciela – królestwo Koth. Ale, gdy zaatakowali Stygię, zostali pokonani. Nie dane im było jednak długo cieszyć się zdobyczami terytorialnymi, bowiem nadciągnęły hyrkańskie armie i znów ludy shemickie dostały się pod obce panowanie. Panowanie, co trzeba koniecznie dodać, bardziej bezwzględne i brutalne od hyboryjskiego.

A Piktowie? Umacniali swą władzę na terenach dawnej Akwilonii, wyrzynając właściwie wszystkich jej mieszkańców, po czym zaatakowali Zingarę. Zingarczyki tysiącami uciekali w panice do Argos, oddając się pod panowanie sunących na zachód Hyrkańczyków. Nowi panowie osiedlili uchodźców w Zamorze.

Po ucieczce Zingarczyków Argos spłonęło w piktyjskim ogniu, a rzeziom i masakrze nie było końca, tak przecież postępowali Piktowie. Następnie nienasycona horda ruszyła na Ofir i na ziemiach tego królestwa doszło do pierwszych bitew z Hyrkańczykami. Ci ostatni po podboju Shemu rozgromili stygijską armię nad Nilem i opanowali rozległe terytoria aż po królestwo Amazon, skąd zaczęli tysiącami ściągać czarnych niewolników, osiedlając ich wśród Shemitów. Niewykluczone, że Hyrkańczyki ostatecznie zakończyliby swe podboje na Stygii, wcielając ją do swego imperium, ale musieli stawić czoła dzikim piktyjskim hordom na zachodzie.

W tragicznej sytuacji była Nemedia, która choć niepodbita przez Hyrkańczyków, musiała desperacko walczyć na dwóch frontach, ścierając się co chwila a to z jeźdźcami ze wschodu, a to dzikusami z zachodu. Wtedy niespodziewanie nadeszła pomoc z najmniej oczekiwanej strony, mianowicie jedno z plemion Aesirów prosto ze swej śnieżnej ojczyzny przekroczyło granice Nemedii i zgodziło się wstąpić do zaciężnych oddziałów. Już wkrótce udowodnili, że są tak doskonałymi wojownikami, że nie tylko powstrzymali hyrkańską ofensywę i odrzucili najeźdźców od granic Nemedii, ale także, co wcześniej wydawało się niemożliwe, powstrzymali Piktów nacierających z zachodu.

Spójrzmy teraz na sytuację geopolityczną ówczesnego świata.

Rozległe imperium Piktów, dzikie, prymitywne i barbarzyńskie, rozciąga się od wybrzeży Vanaheimu na północy aż po najdalej wysunięte na południe prowincje Zingary, na wschodzie obejmuje całą Akwilonię, za wyjątkiem najbardziej wysuniętej na północ prowincji – Gunderlandii, która jako mało znaczące dla akwilońskich panów górskie królestwo, przetrwała zagładę imperium i zachowała niepodległość. W skład imperium Piktów wchodzi także: Argos, Ofir, zachodnia część Koth i wysunięte na zachód prowincje Shemu. Imperium Hyrkańczyków nie jest wcale mniejsze. Jego północne granice wyznaczają górskie łańcuchy Hyperborei, a południowe wielkie pustynie leżące na południe od Shemu. Hyrkańczyki w pełni kontrolują Zamorę, Brythunię, Królestwo Pograniczne, Koryntię, znaczną część Koth, a także wszystkie wschodnie prowincje Shemu.

Granice Cymmerii pozostały niezmiennione, bowiem ani dzicy Piktowie, ani brutalni Hyrkańczycy nie potrafili podporządkować sobie tych bitnych barbarzyńców. Podobnie Nemedia skutecznie odpycha wszelkie przejawy agresji ze strony swych wielkich sąsiadów, a to za sprawą znakomitej zaciężnej aesirskiej armii.

Na północy Nordheim, Cymmeria i Nemedia rozdzielają walczące ze sobą rasy, a południowe terytorium Koth stało się nieustającym polem bitewnym dla piktyjskich i hyrkańskich armii. Czasem udaje się armiom ze wschodu wyprzeć zachodnich barbarzyńców z królestwa, ale oni i tak zawsze powracają – jeszcze silniejsi, bardziej bezwzględni i żądni krwi.

Na dalekim południu Stygia, osłabiona hyrkańską nawałnicą, zostaje napadnięta przez mało poznane królestwa czarnoskórych wojowników, a na północy nordyckie plemiona bez wytchnienia toczą boje z Cymmeryjczykami, od czasu do czasu robiąc sobie przerwę na niepokojenie hyperborejskich granic.

W tym czasie Gorm, wielki wódz Piktów, zginął zabity przez Hailmara, wodza nemedyjskich Aesirów. Starzec miał prawie setkę na karku, a od chwili, gdy po raz pierwszy usłyszał z ust Arusa opowieści o bogactwie Akwiloni minęło lat siedemdziesiąt pięć – w życiu pojedynczego człowieka to prawie cała epoka, ale dla historii całego narodu to tylko krótki epizod. Gorm jednak w ciągu swego życia dokonał wielkiej rzeczy: zbudował imperium, zaczynając jako wódz niewielkiego plemienia, a skończywszy na przewodzeniu całej rasy. Ten bezwzględny, prymitywny dzikus, na progu wielkości siedzący w nędznym szałasie ze śmierdzącym klepiskiem w otoczeniu rzędu zbiegłych na słońcu czaszek swoich wrogów, pod koniec życia siadywał na złotych tronach, zajadając się wołowymi udźcami serwowanymi na złotych półmiskach przez nagie córki potężnych kiedyś królów. Podboje i zdobyczne skarby nie odmieniły mentalności Piktów, a z ruin zniszczonych cywilizacji nie powstała, niczym feniks z popiołów, żadna nowa kultura. Smagłe ręce, które zniszczyły wspaniały dorobek kulturalny podbitych narodów, nigdy nie próbowały go skopiować. Choć dzikie hordy zamieszkały w ociekających od przepychu pozostałościach po majestatycznych pałacach, a nawet zaczęły przyodziewać jedwabne i wyszywane złotem szaty, w głębi duszy Pikt pozostawał Piktem, czyli wiecznym barbarzyńcą, dzikim, prymitywnym, zainteresowanym zaspokajaniem najbardziej prymitywnych potrzeb życiowych, prowadzonym przez przeznaczenie na krótkiej smyczy nieomylnego

instynktu, podpowiadającego, że mord i rabunek wystarczą do pełni szczęścia. Dlatego też Piktowie, mimo że zbudowali wielkie imperium, nie ulegli żadnym znaczącym zmianom, byli, jak zawsze, absolutnie głusi na sztukę czy rozwój kultury.

Odmienne natomiast rzecz się miała z osiadłymi w Nemedii Aesirami. Ci błyskawicznie się zasymilowali, przyswajając sobie wiele zwyczajów od swych sojuszników, adoptując je jednocześnie na potrzeby własnej kultury.

Siedząc okrakiem na ruinach podbitego przez siebie świata przez pewien czas Hyrkańczycy i Piktowie obszczekiwali się wzajemnie, jak dwa wioskowe kundły w stojących naprzeciw budach. I wtedy rozpoczęła się epoka lodowcowa, czas wielkiej migracji ludów nordyckich.

Sunące na południe lodowce zmusiły północne plemiona do opuszczenia swych mateczników, a co za tym idzie, spychały one przed sobą spokrewnione z nimi klany. Aesirów wymazali z map świata prastare królestwo Hyperborei i stąpając na gruzach pokonanego państwa ruszyli na spotkanie hyrkańskich armii. Nemedia od dawna już praktycznie była królestwem nordyckim, rządzona przez potomków aesirskich najemników. Świat czekały wielkie zmiany. Nawet Cymmeryjczycy musieli opuścić swoje górskie siedlisko, spychani przez kolejne fale nordyckiej inwazji. Każda armia, która stanęła im na drodze, została pokonana, każde miasto, które nie chciało się im podporządkować, niszczone do gołej ziemi. Przetoczyli się przez Gunderlandię, niszcząc ją przy tym kompletnie, po czym przemaszerowali przez Akwilonię, wyrzynając stojące im na drodze piktyjskie oddziały. Pokonali nordyckich Nemedyjczyków, splądrowali wiele miast, ale wędrówki nie zaprzestali. Ciągłe parli na wschód, przekraczając granice Brythunii i masakrując tam w wielkiej bitwie hyrkańskie zastępy. W zniszczone przez Cymmeryjczyków krainy wkroczyły nieustępliwe hordy Aesirów i Vanirów, co szczególnie mocno odczuło imperium Piktów, by następnie podbić Nemedię, skutkiem czego ucywilizowani Nordycy porzucili opustoszałe i zniszczone miasta, uciekając przed dzikimi krewniakami. Uchodźcy przyjęli nazwę od starego królestwa, dlatego od tej pory nazywano ich Nemedianami. Gdy dotarli do prastarego królestwa Koth wyparli z niego zarówno Piktów, jak i Hyrkańczyków, przyczyniając się tym samym do wyzwolenia spod niewolniczego jarzma ludów shemickich. Zresztą w całym zachodnim świecie Piktowie i Hyrkańczycy musieli ustępować miejsca młodszym, bardziej dzikim i wojowniczym plemionom.

Pewien odłam Aesirów wygnał hyrkańskie zastępy z Brythunii i osiadł tam, wznosząc nowe państwo i nazywając je mianem zdobyczego królestwa. Nordycy, którzy zdobyli Hyperboreę, tak skutecznie walczyli z wrogami ze wschodu, że ciemnoskórzy potomkowie Lemurian musieli w popłochu wycofać się na dzikie stepy, nieustannie spychani ku Vilayet.

Tymczasem w swojej wędrówce na południowy wschód Cymmeryjczycy splądrowali starożytne hyrkańskie królestwo Turanu i ostatecznie osiedlili się na południowo-zachodnim wybrzeżu morza śródziemnego.

Świetność militarna zdobywców ze wschodu przeszła do historii. Nieustannie nękani przez Nordheimów i Cymmeryjczyków, nie widząc szans na zwycięstwo w tym konflikcie, zniszczyli swe miasta, wyrznęli wszystkich jeńców niezdolnych do długiego i mozolnego marszu i, pędząc przed sobą tysiące niewolników, wyruszyli z powrotem do okrytych mgłą tajemnicy krain na Wschodzie, okrążając Vilayet od północy. W ten sposób zniknęli z kart historii Zachodu, aż tysiące lat później, już jako Hunowie, Tatarzy, Mongołowie i Turcy znów nadciągnęli ze wschodu. Tym razem w ich szeregach ciągnęli także Zingarczycy i Zamoryjczycy, którzy, gdy osiedlili się razem daleko na wschodzie, przez pokolenia mieszały swą krew, aż powstała nowa rasa, znana w późniejszych epokach jako Cyganie.

Również w tym samym czasie awanturnicze plemię z Vaniru przeszło wzdłuż piktyjskiego wybrzeża z północy na południe, i plądrując starożytną Zingarę przekroczyło granice Stygii. Królestwo było w fatalnej sytuacji, bowiem z najwyższym trudem odpierało coraz bardziej natarczywe najazdy czarnoskórych ludów z południa kontynentu, a na dodatek mieszkańców bezwzględnie uciskała arystokratyczna klasa panująca. Rudowłosi Vanirowie wznieśli powstanie i przewodząc zbuntowanym niewolnikom, w serii krwawych bitew, obalili kastę panującą, a jako zdobywcy królestwa przejęli władzę. Potem podporządkowali sobie wysunięte na północ czarne królestwa i zbudowali potężne imperium południowe, które nazwali Egiptem. To od rudowłosych Vanirów wywodzili swe pochodzenie wszyscy egipscy faraonowie.

Zachodem teraz rządzą nordyccy barbarzyńcy. Piktowie nadal kontrolowali Akwilonię, część Zingary i zachodnie wybrzeże kontynentu, ale na wschód od Vilayet i od Kręgu Polarnego aż po terytoria Shemu jedynymi mieszkańcami byli Nordycy. Wyjątek stanowili Cymmeryjczycy, którzy mieszkali w dawnych granicach Królestwa Turan. Po wielkich miastach dawnych imperiów nie pozostał ślad – kolejne najazdy Piktów,

Hyrkańczyków, Cymmeryjczyków, a w końcu i Nordyków, zniszczyły je doszczętnie. Ocalały jedynie miasta na terytorium Stygii i Shemu. Panujący kiedyś na kontynencie Hyrkańczycy przestali istnieć, pozostawiając niewielkie ślady krwi w żyłach swych katów.

Zaledwie kilka nazw ziem, plemion czy miast przetrwało w językach i dialektach barbarzyńców. Przekazywano je z pokolenia na pokolenie w coraz bardziej zniekształconej formie, aż cała historia Ery Hyboryjskiej stała się tylko legendą, a legenda – mitem. W taki właśnie sposób w języku Cyganów przetrwały nazwy Zingara i Zamora. Aesirowie, zdobywcy Nemedii, którzy sami siebie nazwali Nemedianami, pojawiali się później na kartach historii Irlandii, zaś Nordycy zasiedlający Brythunię byli znani jako Brythuńczycy, Brytowie lub Brytyjczycy.

W tych dniach nie istniało jedno imperium nordyckie pod panowaniem jednego władcy i z centralnym ośrodkiem władzy. Każde plemię miało własnego wodza czy króla, a z innymi walczyło zaciekle i brutalnie. Trudno przewidzieć, jaki czekał je los, bowiem po raz kolejny w dziejach świata karty rozdała sama Natura, znowu sprowadzając na kontynent zniszczenie i zagładę, czego wynikiem jest kształt lądów taki, jaki obecnie znamy. Olbrzymie tereny zachodniego wybrzeża pochłonęło morze, tak samo jak Vanaheim i zachodnią część Asgardu – będące od wieków lodowymi i niezamieszkanymi pustkowiami. Ocean zalał zachodnie łańcuchy gór zachodniej Cymmerii, i tak powstało Morze Północne, a wystające ponad fale szczyty stały się wyspami, znanymi dzisiaj pod nazwą Anglii, Szkocji i Irlandii. Gorszy los spotkał Pogranicze Bossońskie i puszcę zamieszkiwaną przez Piktów – na zawsze pochłonęło je morze. Na północy powstało Morze Bałtyckie, dzieląc Asgard na półwyspy, znane dzisiaj jako Norwegia, Szwecja i Dania, a na dalekim południu kontynent stygijski oderwał się od reszty lądu wzdłuż linii powstałej w jego zachodniej części przez rzekę Nil. Argos, zachodnie Koth i zachodnie ziemie Shemu skrywają teraz fale Morza Śródziemnego.

Jest jednak tak, że skoro jedne krainy zostają zalane przez wielką wodę, to inne wynurzają się spośród fal. Tak też się stało w zachodniej części Stygii, gdzie pojawił się rozległy ląd tworzący obecnie zachodnią część kontynentu afrykańskiego.

Zderzające się ze sobą ogromne masy lądów spowodowały wypiętrzenie się monumentalnych pasm górskich w środkowej części kontynentu północnego. Wiele plemion nordyckich zostało zniszczonych, te zaś,

którym dane było ocaleć, musiały wycofać się na wschód. Terytoria wokół wysychającego powoli Morza Vilayet za bardzo nie ucierpiały, i tam, po długiej wędrówce, osiadły nordyckie plemiona, wiodąc spokojny, rolniczy styl życia, pozostając w zaskakująco dobrych relacjach ze swoimi sąsiadami – Cymmeryjczykami, z którymi zresztą po jakimś czasie całkowicie się zasymilowały.

Na zachodzie niedobitki Piktów, wskutek kataklizmu ponownie cofniętych w rozwoju do epoki kamienia łupanego, znowu zaczęły podbijać z typową dla siebie zawziętością okoliczne terytoria, aż do chwili, gdy nie natknęły się na kolejne fale migrujących na zachód Cymmeryjczyków i Nordyków. Zdarzenia te miały miejsce tak dawno po rozpadnięciu się kontynentów, że opowieści o prastarych, wielkich imperiach traktowano jedynie jako legendy.

Owa migracja, która powstrzymała piktyjską ekspansję, zwana jest wielką wędrówką ludów i jest częścią współczesnej historii, dlatego nie ma sensu opisywać tutaj dokładnie jej przebiegu. Należy wspomnieć, że spowodowana była znacznym wzrostem populacji stepowych, zamieszkujących na zachód od Morza Vilayet, które później, gdy znacznie zmniejszyło zajmowany obszar, nazwano Morzem Kaspijskim. Przyrost ten następował w takim tempie, że migracja była koniecznością ekonomiczną, tak zatem wielkie rzesze ludzkie ruszyły na północ, południe i zachód ku terenom, które dzisiaj nazywamy Indiami, Azją Mniejszą, a także środkową i zachodnią Europą. Wędrujące nacje przybyły na owe terytoria jako Aryjczycy, ale pamiętajmy, że pomiędzy nimi istniały znaczne różnice. Niektóre z nich zachowały się do dzisiaj, a niektóre zniknęły i o nich zapomniano. Na przykład jasnowłosi Achajowie, Galowie i Brytowie pochodzili od Aesirów czystej krwi, a Nemedianie z irlandzkich podań to też Aesirowie, tyle że nemedyjscy. Danowie wywodzili się w prostej linii od rodowitych Vanirów, zaś Goci, protoplaści innych skandynawskich i germańskich plemion – w tym i Anglosasów, pochodzili od mieszanej rasy, w której żyłach płynęła krew Vanirów, Aesirów i Cymmeryjczyków. Celtowie, przodkowie Irlandczyków i szkockich górali, wywodzili swój rodowód od pierwotnych cymmeryjskich klanów. Walijskie plemiona z Wysp Brytyjskich były mieszaną rasą nordycko-cymmeryjską, która pojawiła się na Wyspach poprzedzając rdzennych Nordyków, kładąc tym samym podwaliny pod liczne legendy, że Gaelici są rasą starszą. Ta sama krew płynęła w żyłach Cymbrów dzielnie walczących z Imperium

Rzymskim. Ten sam mechanizm odnosił się do Gimmerów poprzedzających Asyryjczyków i Greków oraz Gomerów poprzedzających z kolei Hebrajczyków. Inne cymmeryjskie klany powędrowały na wschód od wysychającego Morza Vilayet, by kilka stuleci później, po zmieszaniu się z Hyrkańczykami, powrócić na zachód już jako Scytowie.

Od prawdziwych przodków Gaelitów, czyli Celtów, zwanych także Cymrami, wzięła się nazwa Krym.

Starożytni Sumeryjczycy nie mieli nic wspólnego z prastarymi rasami z Zachodu. W ich żyłach płynęła zarówno hyrkańska, jak i shemicka krew, będąca spadkiem po najeźdźcach, którzy uciekając pozostawili za sobą wiele podbitych plemion. Niejedno shemickie plemię uniknęło niewoli i z tej krwi, czystej, a czasem zmieszanej z hyboryjską czy nordycką, wywodzą się Arabowie, Izraelici i inni klasyczni Semici. Kannanejczycy i mieszkający w górach Semici pochodzili od shemickich protoplastów, ale spokrewnionych z Kuszytami, osiedlonych wśród nich siłą z woli hyrkańskich panów. Do typowej rasy tego pokroju należą Elamici.

Etruskowie, przodkowie Rzymian, byli potomkami ludu, w żyłach którego płynęła mieszana krew stygijska, hyrkańska oraz piktyjska i pierwotnie żyli w starożytnym królestwie Koth.

Hyrkańczycy, wycofując się ku wschodnim rubieżom kontynentu, zmienili się w plemiona znane później jako Tatarzy, Hunowie, Mongołowie i Turcy.

Pochodzenie innych ras współczesnego świata można prześledzić w podobny sposób – niemal w każdym przypadku ich historia jest dużo starsza, niż się wydaje, i sięga daleko w przeszłość, prosto ku zapomnianej Erze Hyboryjskiej...

Esej opublikowany po raz pierwszy w 1936 roku
w czasopiśmie „Phantagraph” pod tytułem *The Hyborian Age*

FENIKS NA MIECZU

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Powinieneś wiedzieć, mój drogi książę, że czas między zagładą Atlantydy, kiedy to ocean zalał jej wspaniałe miasta, a latami wzrostu potęgi Synów Ariów, to Złoty Wiek niezwykłego rozkwitu pysznych królestw, rozciągających się po świecie niczym drogocenne kobierce pod gwiazdami: Nemedia, Ofir, Brythunia, Hyperborea, Zamora z czarnowłosymi niewiastami i nawiedzonymi wieżami, rycerska Zingara, Koth graniczący z pastwiskami Shemu, pełna skrytych w cieniu katakumb Stygia, Hyrkania, której jeźdźcy nosili zarówno stal, jak i jedwab i złoto. Lecz najdumniejszym królestwem świata była Akwilonia, rządząca niepodzielnie na uśpionym Zachodzie. Tam to pojawił się Conan, czarnowłosa, z posepnym spojrzeniem i mieczem w dłoni, złodziej, szabrownik, zabójca, skory tak do melancholii, jak i uciechy, aby zdeptać dumne trony Ziemi stopą odzianą w sandał.

(Kroniki nemedyjskie)

Nieziemska ciemność i cisza, jaka zapada zazwyczaj przed świtem, spowiła cienistą basztę i błyszczące wieże. Cztery zamaskowane postacie wymknęły się chyłkiem z drzwi otwartych przez ogorzałą dłoń i pobiegły w głąb cienistej alei, jednej z wielu, tworzących prawdziwy labirynt tajemniczych, krętych ścieżek. Szczelnie otuleni płaszczami mężczyźni w milczeniu, niczym duchy, zagłębili się w mrok. Za nimi, w obramowaniu na wpół otwartych drzwi, widniała sardoniczna twarz: para diabolicznych oczu błyszczała złowrogo w ciemności.

– Idźcie w mrok, nocne stworzenia – zadrwił człowiek u wrót. – Głupcy, wasze przeznaczenie goni swój ogon jak ślepy pies, a wy nie macie o tym pojęcia.

Zamknął drzwi na zasuwę i poszedł na piętro domu ze świecą w dłoni. Był to ogromny mężczyzna o ciemnej karnacji, którego ogorzała twarz zdradzała stygijską krew. Wszedł do wewnętrznej komnaty, w której wysoki i szczupły mężczyzna, odziany w znoszone aksamity leżał na jedwabnej kanapie jak leniwy kot, siorbiąc wino z wielkiego złotego kielicha.

– A więc, Ascalante – powiedział Stygijczyk, odstawiając świecę – twoje kukielki wymknęły się na ulicę jak szczury ze swoich nor. Posługujesz się dziwnymi ludźmi...

– Posługuję się? – odparł Ascalante. – Ależ nie, oni uważają, że to ja jestem ich narzędziem. Od miesiący, odkąd Czwórka Rebeliantów wezwała mnie z południowej pustyni, mieszkałem w samym sercu moich wrogów, kryjąc się za dnia w tym obskurnym domu i przemykając nocą przez ciemne aleje i jeszcze ciemniejsze korytarze. I udało mi się to, czego nie mogła osiągnąć zbuntowana szlachta. Posługując się nimi, a także wykorzystując agentów, którzy nigdy mnie nie widzieli, sprawiłem, że całe imperium przesiąkło buntem i niepokojem. Pracując w cieniu, spowodowałem upadek króla, który zajmował tron Słońca. Na Mitrę, sam byłem mężem stanu, zanim zostałem banitą!

– A ci głupcy, którzy uważają się za twoich panów?

– Oni będą dalej myśleć, że im służę, póki nie wypełnimy naszej misji. Kim oni są, by mierzyć się z przebiegłością Ascalante'a? Volmana, skarłały hrabia Karabanu; Gromel, olbrzymi przywódca Czarnego Legionu; Dion, otyły baron z Attalus; Rinaldo, minstrel półgłówek? To ja przywróciłem im siłę i obudziłem drzemiącą w nich nadzieję, a kiedy przyjdzie czas, pokonam ich. Ich własną bronią. Ale to melodia przeszłości. Dziś zginie król.

– Kilka dni temu widziałem imperialne szwadrony opuszczające miasto – oświadczył Stygijczyk.

– Pojechali na granicę, bo zaatakowali ją Piktowie, oczywiście dzięki mocy pewnych... trunków, jakie przemyciłem, aby ich otumanić. Bogaty Dion zapłacił za wszystko. Volmana natomiast umożliwił nam dysponowanie resztą oddziałów imperialnych, które zostały w mieście. Dzięki jego kuzynowi, księciu Nemedii, łatwo było przekonać króla Numę, aby zażądał obecności hrabiego Trocera z Poitanii, seneszala Akwilonii. Oczywiście, aby uczynić zadość jego honorowi, będzie go eskortować imperialna gwardia wraz z jego oddziałami w towarzystwie Prospera, prawej ręki króla Conana. Co znaczy, że w mieście zostanie jedynie osobista straż króla i Czarny Legion. Dzięki Gromlowi przekupiłem oficera tej gwardii, by o północy zdjął mężczyzn ze straży przy drzwiach króla. Potem wejść do pałacu przez sekretny tunel z moimi szesnastoma zbirami. Kiedy król zginie, nawet jeśli ludzie nie powstaną na powitanie nowego, Czarny Legion Gromla wystarczy, by utrzymać miasto i koronę.

– A Dion myśli, że jemu przypadnie korona?

– Tak. Ten tłuścioch uważa się za naturalnego dziedzica korony, bo w jego żyłach płynie jakaś kropla królewskiej krwi. Conan popełnił błąd, pozwalając żyć pociotkom starej dynastii, której wydarł koronę Akwilonii. Volmana chce mieć wielkie wpływy, jakie miał w czasach dawnego reżimu, by uratować podupadły majątek. Gromel natomiast nienawidzi Pallantidesa, dowódcy Czarnych Smoków i – uparty jak każdy Bossończyk – żąda dla siebie dowództwa armii. W przeciwieństwie do nas wszystkich, Rinaldo nie ma osobistych ambicji. Widzi w Conanie krwawą rękę i szorstką stopę barbarzyńcy, który nadszedł z północy, by plądrować cywilizowane ziemie. Idealizuje króla, którego Conan zabił, by sięgnąć po koronę. Pamięta tylko, że poprzedni władca był mecenasem sztuki, zapominając o jego okrucieństwie. A lud zapomina wraz z nim. W mieście śpiewano już całkiem otwarcie *Lament po królu*, w którym Rinaldo opiewa zmarłego króla i nazywa wyniesionego na tron barbarzyńcę Conana „dzikusiem z otchłani o czarnym sercu”. Conan się z tego śmieje, ale ludzie złorzeczą.

– Dlaczego nienawidzi Conana?

– Poeci nienawidzą władzy. Dla nich doskonałość jest gdzie indziej. Uciekają od realiów w sny o dawnych dziejach i marzeniach o przyszłości. Rinaldo jest idealistą z rozgorączkowaną głową. Uważa, że podoła obaleniu tyrana i uwolni lud. Jeśli chodzi o mnie – cóż, jeszcze niedawno moją jedyną ambicją było najeżdżanie karawan do końca moich dni. Teraz stare sny wracają. Conan zginie, a królem zostanie Dion. Ale on też zginie, jak każdy, kto mi się sprzeciwi, czy to od ognia, żelaza, czy zatrutego wina, w pędzeniu którego wszakże jesteś mistrzem. Ascalante, król Akwilonii! Jak ci się to podoba?

Stygijczyk wzruszył szerokimi ramionami.

– Był czas – rzekł z nieukrywaną goryczą – gdy i ja miałem swoje ambicje, przy których twoje wydają się marne i dziecinne. Jak nisko upadłem! Ci, którzy dawniej byli mi równi i moi wrogowie, wielce byliby zdziwieni, widząc Thoth-Amona od Pierścienia jako banitę i niewolnika – cudzoziemca, wspierającego nędzne ambicje baronów i królów.

– Zaufałeś magii i szarlatanom – odparł Ascalante beztrąsko – ja wierzę tylko w swoją przebiegłość i miecz.

– Przebiegłość i miecz są niczym wobec mądrości Mroku – zagrzemiał Stygijczyk, a jego oczy groźnie rozbłysły. – Gdybym nie zgubił Pierścienia, byłbyś na moim miejscu.

– Niemniej – odparł niecierpliwie banita – to na twoich plecach widać pręgi po moim bacie i zapewne wkrótce będzie ich tam więcej.

– Nie byłbym taki pewien – diabelska nienawiść pojawiła się na chwilę w oczach Stygijczyka. – Nie wiem jak, ale pewnego dnia odnajdę Pierścień i wtedy, zaklinam się na węzowe kły Seta, zapłacisz mi za wszystko...

Akwilończyk o gorącym temperamencie wstał i ciężką dłonią uderzył go w twarz. Thoth zachwiał się i krew poczęła spływać mu z ust.

– Nie wywyższaj się zanadto, psie – warknął banita. – Uważaj. Wciąż jestem twoim panem i znam twój mroczny sekret. Jeśli masz odwagę, idź na dach i krzycz, że Ascalante jest w mieście i knuje przeciw królowi.

– Wiesz, że tego nie zrobię – wymamrotał Stygijczyk, ocierając krew.

– Owszem – szyderczo i bez nadziei w głosie odpowiedział Ascalante. – Bo jeśli zdradzisz mnie, bądź uciekniesz i ja zginę, dowie się o tym kapłan eremita z południowej pustyni i złamie pieczęć manuskryptu, który oddałem pod jego opiekę. Kiedy go przeczyta, nim minie północ, wiatr z południa rozniesie wieść po całej Stygii. Gdzie się wtedy ukryjesz, Thoth-Amonie?

Niewolnik zadrżał, a jego ciemna twarz pobladła.

– No dobrze, dosyć tego – Ascalante władczo zmienił ton. – Mam dla ciebie robotę. Nie ufam Dionowi. Poprosiłem go, by pojechał do swego hrabstwa i został tam do wieczora, dopóki nie wykonamy zadania. Ale ten tłusty głupiec nie mógł dziś opanować nerwów przed obliczem króla. Jedź za nim, może dościgniesz go w drodze. Jeśli nie, jedź prosto do jego włości i zostań tam, póki po niego nie pošlemy. Nie spuszczaaj go z oka. Jest takim tchórzem, że mógłby uciec i w panice zdradzić Conanowi cały spiszek w nadziei, że uratuje swoją skórę. Jedź!

Niewolnik, maskując nienawiść w oczach, skłonił się, i zrobił, co mu przykazano. Ascalante ponownie napił się wina. Ponad zdobnymi wieżycami wschodził świt, purpurowy niczym krew.

ROZDZIAŁ DRUGI

*Kiedy byłem wojownikiem, dzwoniły gongi,
Pod nogi mego konia sypano złoty pył.
Teraz jestem wielkim królem, a poddani chcą mnie zdradzić,
Mam truciznę w kielichu, a w plecach sztylety.*

(Droga Królów)

Ogromna, wysoka komnata ozdobiona była bogatymi arrasami na szlifowanych i obitych draperiami ścianach, alabastrową podłogę wyścielały grube dywany, a na suficie widniały zawile płaskorzeźby i srebrne ornamenty. Za wysadzonym złotem biurkiem z kości słoniowej siedział człowiek, którego szerokie ramiona i ogorzała skóra wydawały się nie na miejscu w tym wykwintnym otoczeniu. Wydawał się być raczej dzieckiem słońca, wiatru i wyżyn z dalekich stron. Najlżejszy ruch ukazywał stalowe mięśnie, połączone z bystrym umysłem i sprawnością właściwą urodzonemu wojownikowi. Zachowanie jego nie było w żadnej mierze wyrachowane, nie przejawiał w nim ani rozwagi, ani umiaru. Potrafił siedzieć nieruchomo, niczym statua z brązu, ale też poruszać się czujnie, ze zręcznością i szybkością kota, co powodowało, że nawet spojrzeniem trudno było za nim nadążyć.

Odziany był w bogate szaty, lecz o prostym kroju. Nie nosił pierścieni ani innych ozdób, a jedynie srebrną przepaskę na czarnych, prostych włosach. Odłożył złote pióro, którym skrobał coś mozolnie na woskowanym papirusie, oparł na pięści podbródek i utkwiał zazdrośnie gorejące niebieskie oczy w stojącym przed nim człowieku, który zajęty był sznurowaniem drogocennej zbroi i gwizdał beztrosko, co było dość niezwykłym zachowaniem, zważywszy na obecność króla.

– Prospero – powiedział człowiek za stołem – te wszystkie sprawy związane z rządzeniem nużą mnie bardziej, niż którakolwiek z moich walk.

– To wszystko gra, Conanie – odparł ciemnooki Poitańczyk. – Jesteś królem, więc musisz postępować jak król.

– Chciałbym udać się z tobą do Nemedii – rzekł z zazdrością Conan. – Wydaje mi się, że minęły wieki, odkąd dosiadałem konia. Ale Publius

mówi, że coś dzieje się w mieście, coś, co wymaga mojej obecności. Diabli z nim! Nietrudno było obalić starą dynastię – kontynuował z zaufaniem, właściwym bliskim sobie ludziom – choć wtedy wydawało się to prawie niemożliwe. Kiedy patrzę na życie, jakie wiodłem wcześniej – życie wojownika – cały ten znój rządzenia, morderstwa, intrygi wydają się tylko snem. Ale nie potrafiłem spojrzeć w przyszłość zbyt daleko, Prospero. Kiedy Numedides padł u moich stóp i włożyłem na głowę jego koronę, był to szczyt moich marzeń. Byłem gotów na to, by zasiąść na tronie, ale nie na to, by rządzić. W dawnych czasach wszystko, czego potrzebowałem, to ostry miecz i świadomość, kto jest moim wrogiem. Teraz nic nie jest proste, a mój miecz stał się bezużyteczny. Kiedy pokonałem Numedidesa, traktowano mnie jak wybawcę. Teraz ludzie plują na widok mojego cienia. Postawili tej świni posąg w świątyni Mitry, płaczą i modlą się przed nim, czczą go jak świętego, łaskawego monarchę, który zginął z rąk krwawego barbarzyńcy. Kiedy jako najemnik wiodłem akwilońską armię do zwycięstwa, nikt nie pamiętał, że jestem obcy, a teraz nie mogą mi tego wybaczyć. W świątyni Mitry, ku pamięci Numedidesa, palą kadzidła ludzie, których jego kat oślepił ich i okaleczył, których synowie ginęli w jego lochach, a żony i córki zostały zamknięte w jego haremie. Kapryśni głupcy!

– To w dużej mierze sprawka Rinaldo – odparł Prospero, ściągając ciaśniej pas. – Śpiewa pieśni, które mieszają ludziom w głowach. Powieś go na najwyższej wieży w mieście, w stroju kuglarza. Niech zabawia sępy.

Conan potrząsnął głową.

– Nie, Prospero, on jest poza moim zasięgiem. Wielki poeta jest potężniejszy niż jakikolwiek król, a jego pieśni są silniejsze niż moja władza. Kiedy śpiewał dla mnie, prawie wyrwał mi serce. Ja umrę i zostanę zapomniany, lecz pieśni Rinaldo będą żyć wiecznie. W tym coś się kryje, Prospero – kontynuował król, a w jego oczach pojawił się cień wątpliwości – ma to jakiś ukryty sens, którego nie jesteśmy świadomi. Czuję to tak samo, jak w młodości wyczuwałem tygrysa, przyczajonego w wysokiej trawie. Dziwny, bezimienny niepokój panuje w królestwie. Wyczuwam to niczym myśliwy, który przysiadł przy ognisku w środku lasu, słyszy nieuchwytny szelest kroków w ciemności i niemal widzi błysk płonących oczu. Gdybym miał w ręku coś namacalnego, dowód, który mógłbym rozłupać mieczem! Mówię ci, to nie przypadek, że Piktowie od niedawna tak dziko atakują pogranicze, a Bossończycy poprosili o pomoc, by ich w końcu przegnać. Powinienem był pojechać tam z moimi oddziałami.

– Publius obawiał się, że jak tylko opuścisz miasto, zostaniesz porwany i zamordowany – odparł Prospero, wygładzając na srebrnej zbroi jedwabną pelerynę i podziwiając swoje odbicie w błyszczącym zwierciadle. – Dlatego nalegał, byś pozostał w mieście. Twoje podejrzania to wytwór barbarzyńskiej wyobraźni. A niech gadają! Najemnicy są po naszej stronie, podobnie Czarne Smoki, a każdy łotrzyk w Poitanii jest ci ślepo oddany. Jedynym niebezpieczeństwem jest zamach, ale przecież nie sposób go przeprowadzić, skoro straż gwardii imperialnej strzeże cię dzień i noc. Nad czym pracujesz?

– Nad mapą – odparł dumnie Conan. – Dworskie mapy państw południa, wschodu i zachodu są bardzo dokładne, czego nie można powiedzieć o planach krajów północy. Sam je przygotowuję. O, tu jest Cymmeria, gdzie się urodziłem, a tu...

– Asgard i Vanaheim – Prospero rzucił okiem na mapę. – Na Mitrę, byłem niemal całkowicie przekonany, że te kraje istnieją tylko w legendach.

Conan zaśmiał się dziko, mimochodem dotykając blizn na ogorzałej twarzy.

– Gdybyś spędził dzieciństwo na północnej granicy Cymmerii, wiedziałbyś, że są prawdziwe! Asgard leży na północ, a Vanaheim na północny-zachód od Cymmerii; na tych pograniczach toczy się nieustanna walka.

– Jakie plemiona tam zamieszkują? – zapytał Prospero.

– To ludzie wysokiego wzrostu, o blond włosach i niebieskich oczach. Ich bogiem jest Ymir, olbrzym z lodu, a każde plemię ma własnego króla. Są dzicy i nieprzewidywalni. Biją się całymi dniami, lubią piwo, a nocą z oddali słychać ich dzikie pieśni.

– W takim razie jesteś do nich podobny! – roześmiał się Prospero. – Śmiejesz się z głębi serca, dużo pijesz, a twój śpiew przypomina ryk zwierzęcia. Wszyscy Cymmeryjczycy, których dotąd spotkałem, pili tylko wodę, nigdy się nie uśmiechali i śpiewali ponure pieśni.

– Może to wina tego miejsca – odparł król. – Nie ma bardziej ponurej krainy: górzystej, pełnej ciemnych lasów. Niebo jest tam niemal zawsze szare, a wiatry w dolinach zawodzą upiornie.

– Trudno się zatem dziwić, że ludzie wyrastają tam na ponuraków – rzekł Prospero, wzruszając ramionami. Pomyślał o błękitnych, leniwych rzekach i skąpanych w promieniach słońca radosnych równinach Poitanii, najbardziej wysuniętej na południe prowincji Akwilonii.

– Nie myślą o przyszłości i nie znają nadziei – powiedział Conan. – Ich bogowie to Crom i jego mroczna rasa. Oni rządzą tym wiecznie zamglonym miejscem bez słońca. To prawdziwa kraina umarłych. Na Mitrę! Zachowanie Aesirów jest mi dużo bliższe.

– Cóż – uśmiechnął się Prospero – jesteś teraz daleko od ciemnych wzgórz Cymmerii. Muszę już iść. Wypiję na dworze Numy kielich białego nemedyjskiego wina za twoje zdrowie.

– Niech tak będzie! – mruknął król. – Ale tancerki Numy całuj tylko we własnym imieniu, żebyś nie wywołał wojny!

Jego donośny śmiech długo jeszcze niósł się za Prosperem.

ROZDZIAŁ TRZECI

*Wielki Set śpi skulony w lochach piramid,
W cieniu grobów tańczy jego śniady lud,
Wymawiam słowo z sekretnych czar, co nie znają słońca:
Mój jedyny o świetlistych łuskach, daj niewolnika mojej nienawiści!*

Słońce zachodziło, malując na granatowo-zielonej ścianie lasu złociste wzory. Niknące promienie igrały na grubych, drogocennych łańcuchach, które Dion z Attalus okręcał wokół pulchnej dłoni, siedząc w ogrodzie pełnym kwiatów i kwitnących drzew. Wtłoczył tłuste ciało w marmurowe krzesło i rozglądał się ukradkiem, jakby spodziewał się szpiega. Wiotkie gałęzie rzucały na niego długi cień. W pobliżu szemrała fontanna, dołączając się do nieustającej symfonii innych, stojących w dalszych częściach ogrodu.

Dionowi towarzyszyła tylko ciemnoskóra postać, rozciągnięta na marmurowej ławie tuż obok niego. Niewolnik przyglądał się baronowi ciemnymi oczyma. Dion zdawał się go nie dostrzegać. Słyszał, że Ascalante bardzo mu ufał, ale jak wielu bogaczy, Dion poświęcał niewiele uwagi ludziom niższego stanu.

– Nie musisz się tak denerwować – powiedział Thoth-Amon. – Spisek na pewno się powiedzie.

– Ascalante, jak każdy, może popełnić błąd – warknął Dion, pocąc się na samą myśl o porażce.

– Nie on! – wykrzywił się dziko Stygijczyk. – W przeciwnym razie nie byłbym jego niewolnikiem, lecz panem!

– O czym ty mówisz? – zapytał z pogardą Dion, nie skupiając się szczególnie na rozmowie.

Thoth-Amon zmrużył oczy. Mimo żelaznej samokontroli, długo skrywana hańba sprawiła, że był bliski wybuchnąć nienawiścią i gniewem. Gotów był skorzystać z każdej, najmniejszej nawet, szansy. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że Dion nie widział w nim człowieka z krwi i kości tylko niewolnika, a więc stworzenie niewarte uwagi.

– Posłuchaj, panie – powiedział Thoth. – Niebawem będziesz królem. Nie znasz jednak Ascalante’a. Kiedy Conan zginie, nie możesz mu ufać. Ale jeśli obiecasz mnie chronić, gdy dojdiesz do władzy, pomogę ci. Byłem kiedyś wielkim czarownikiem Południa. Ludzie mówili o mnie jak o Rammonie. Król Ctesphon ze Stygii uczynił mi wielki honor, wynosząc ponad innych magów. Nienawidzili mnie, ale bali się, bowiem kontrolowałem duchy z zewnętrznej otchłani, które stawiały się na moje wezwanie. Na Seta, moi wrogowie każdej nocy mogli obudzić się ze szponami demona na gardle! Uprawiałem straszliwą czarną magię dzięki Wężowemu Pierścieniowi Seta. Znalazłem go w cieniście grobowcu głęboko pod ziemią; został tam ukryty, zanim pierwszy człowiek wypłynął z błotnistej morza. Ale ktoś ukradł mój Pierścień i straciłem swoją moc. Magowie powstali przeciw mnie i musiałem uciekać, by ocalić życie. Podróżowałem z karawaną przez Koth w przebraniu poganiacza wielbłądów, kiedy napadła nas banda Ascalante’a. Wszyscy zginęli; ja ocalałem, zdradzając mu swoją prawdziwą tożsamość i przyrzekając, że będę mu służył. Ciężka to niewola! Aby zniewolić mnie do końca, napisał manuskrypt, w którym ujawnia, kim jestem, zapieczętował go i złożył w ręce eremity, który zamieszkuje południowe granice Koth. Nie mogę zatem zabić Ascalante’a ani wydać wrogom, bo wtedy pustelnik otworzy manuskrypt i zanieś do Stygii wieść, że żyję...

Thoth wzdygnął się ponownie, a jego ciemna skóra przybrała szarawy odcień.

– Ludzie w Akwilonii mnie nie znają – powiedział. – Ale jeśli moi wrogowie ze Stygii dowiedzą się, gdzie jestem, pół świata, które nas dzieli, nie wystarczy, by uchronić mnie od zagłady, która zgmiotłaby duszę brązowego posągu. Tylko król może dać mi schronienie w pałacu strzeżonym przez gwardię. Dlatego powierzam ci mój sekret i namawiam, byś zawarł ze mną pakt. Ja wspomogę cię wiedzą, ty zaś dasz mi schronienie. A kiedy w końcu znajdę Pierścień...

– Pierścień? Pierścień? – pogrążony we własnych myślach Dion nie słuchał słów niewolnika.

Thoth nie zdawał sobie sprawy, jakim egoistą jest baron. Dotarło do niego tylko ostatnie słowo.

– Pierścień? – powtórzył. – To przypomina mi o moim szczęśliwym pierścieniu. Dostałem go od shemickiego złodzieja, który przysięgał, iż ukradł go magowi daleko na południu i że przyniesie mi szczęście. Dobrze

mu zapłaciłem, Mitra sam wie. Na bogów, potrzebuję całego szczęścia świata, biorąc udział w krwawym spisku Volmany i Ascalante'a. Poszukam pierścienia.

Thoth podskoczył i krew napłynęła mu do twarzy ciemnym rumieńcem. Jego oczy zapłonęły gwałtownie, zdał sobie bowiem sprawę, z jakim kompletnym głupcem ma do czynienia. Dion nie zwracał na niego uwagi. Otworzył skrytkę w marmurowym siedzisku i przez moment grzebał w stosie bezużytecznych ozdób: barbarzyńskich amuletów, kawałków kości, tandetnej biżuterii, wszystkich tych przedmiotów, których kolekcjonowanie dyktowała mu jego przesądna natura.

– Ach, tu jest! – triumfalnie podniósł przedziwny pierścień.

Wykonany był z metalu podobnego do miedzi, wyglądał jak pokryty łuskami zwinięty trzykrotnie węży, z ogonem w pysku. Oczy były wysadzone żółtymi, mieniącymi się przygaszonym blaskiem klejnotami. Thoth-Amon krzyknął, jak rażony piorunem. Dion odwrócił się i zbladł. Oczy niewolnika gorzały, jego usta były rozwarłe, a potężne, ciemne dłonie wyciągnięte niczym szpony.

– Pierścień, na Seta, mój pierścień! – zachrypiał. – Ten, który mi ukradli... – Stał zabłysła w dłoni Stygijczyka i jednym zamachem potężnych, ogorzałych ramion pchnął sztylet w tłuste ciało barona. Jego wysoki i przenikliwy wrzask przeszedł w bulgot i opasłe cielsko padło niczym bezkształtna masa. Głupiec zmarł w dzikim przerażeniu, nawet w ostatniej chwili nie zdając sobie sprawy dlaczego. Thoth odrzucił trupa na bok i zapominając o nim zupełnie, chwycił oburącz pierścień. Jego oczy gorzały przerażającym ogniem.

– Mój Pierścień – szeptał podniecony. – Moja moc!

Nawet nie wiedział, ile czasu spędził pochylony nad przeklętym przedmiotem, nieruchomy niby posąg, chłonąc diabelską aurę w głąb czarnej duszy. Kiedy otrząsnął się z zamyślenia i wrócił z mrocznych otchłani, wstawał już księżyc. Marmurowe siedzisko rzucało długi cień. U jego stóp leżał martwy lord Attalus.

– Już nigdy więcej, Ascalante, nigdy więcej – szepnął Stygijczyk, a jego oczy w ciemności płonęły czerwienią, niby oczy wampira. Pochylił się i potarł oczy węży krwią swojej ofiary. Żółte kamienie przykryła purpurowa maska.

– Zamknij oczy, mistyczny węży – zaintonował mrozącym krew w żyłach szeptem – zamknij oczy na światło księżyca i otwórz je w mroku

otchłani! Co widzisz, o Wężu Seta? Kogo przywołujesz z ciemności Nocy? Czyje to cienie padają na niknące Światło? Przywołaj ich do mnie, o Wężu Seta!

Gładząc łuski specyficznym kolistym ruchem palców, zniżał głos coraz bardziej, szepcząc imiona demonów i odrażające zaklęcia, zapomniane już na całym świecie, z wyjątkiem ponurych terenów ciemnej Stygii, gdzie straszliwe potwory wciąż jeszcze przemykają się w cieniu katakumb.

Powietrze wokół niego zawiroowało, jakby jakaś istota próbowała wyłonić się na powierzchnię. Z otwartych drzwi owiał go mroźny wiatr. Thoth poczuł czyjąś obecność za plecami, ale nie obejrzał się. Utkwił nieruchome spojrzenie w spowitym księżycową poświatą marmurze, na którym majaczył mglisty cień. W miarę, jak kontynuował zaklęcia, cień stawał się większy i wyraźniejszy. W końcu przybrał straszliwy kształt jakby olbrzymiego pawiana, jaki nigdy nie stąpał po ziemi, nawet w Stygii. Thoth, w dalszym ciągu nie patrząc za siebie, wyciągnął zza pasa sandał swojego pana – noszony tam zawsze w nikłej nadziei, że kiedyś w końcu go użyje – i rzucił za siebie.

– Obejrzyj go dobrze, niewolniku Pierścienia! – wykrzyknął. – Znajdź tego, kto go nosił, i zniszcz! Spójrz w jego oczy i rozerwij duszę, zanim rozedrzesz gardło. Zabij go! I wszystkich razem z nim! – wołał w ślepej pasji Thoth.

Dostrzegł na ścianie, jak cień potwora zniża zdeformowaną głowę i wietrzy, niby paskudny ogar. W końcu odwrócił się i rozmył, niczym wiatr między drzewami. Stygijczyk w szalonej egzaltacji wyrzucił w górę ramiona, a jego oczy i zęby błyszczały w świetle księżyca.

Pilnujący murów miasta strażnik gwardii krzyknął z przerażenia, kiedy olbrzymi, czarny cień o płonących oczach pojawił się na blankach i przemknął obok niego ze świstem wiatru. Ale zniknął tak szybko, że przestraszony wojownik pozostał na straży, myśląc, że było to przywidzenie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

*Kiedy świat był młody, a ludzie słabi,
Demony nocy wolne wyszły z otchłani,
Wojowałem z Setem
Trucizną upas, ogniem i mieczem.
Teraz, kiedy śpię w czarnym sercu góry,
I kolejne wieki koszą swoje żniwo
Czy zapomnisz tego, który walczył z Wężem,
A kto wybawił ludzką duszę?*

Król Conan spał sam w wielkiej komnacie z wysokim, złotym sklepieniem. We śnie, poprzez wirującą, szarą mgłę, usłyszał dziwne wezwanie, dalekie i niewyraźne. Chociaż go nie zrozumiał, nie sposób było go ignorować. Z mieczem w dłoni szedł przez sine opary, jakby przedzierał się przez chmury. W miarę jak się zbliżał, głos stawał się wyraźniejszy. W końcu zrozumiał wymawiane słowo: było to jego własne imię, wypowiedane w otchłani Czasu czy Przestrzeni.

Mgła uniosła się i Cymmeryjczyk zobaczył, że znajduje się w wielkim, ciemnym korytarzu, wykutym w solidnym czarnym kamieniu. Choć tunel nie był oświetlony, Conan jakimś cudem widział wszystko wyraźnie. Podłoga, sufit i ściany błyszcząły, dokładnie wypolerowane, ukazując wyrzeźbione figury starożytnych herosów i na wpół zapomnianych bogów. Zadrżał, zobaczywszy ogromne, cieniste kontury Bezimiennych Przodków, zdał sobie bowiem sprawę, że stopa śmiertelnika nie stanęła w tym miejscu od wieków.

Wyszedł na wykute w solidnej skale szerokie schody o ścianach zdobionych magicznymi symbolami tak dawnymi i przerażającymi, że przez ciało króla przeszedł dreszcz. Na każdym stopniu widniała bluźniercza figura Pradawnego Węża Seta, tak że z każdym swoim krokiem deptał mu głowę, tak, jak to było zamierzone od najdawniejszych czasów. Mimo to nie czuł strachu.

Lecz oto zawołał go głos i w końcu, poprzez nieprzeniknioną dla jego ludzkich oczu ciemność, doszedł do tajemniczej krypty. Zobaczył

niewyraźną postać z białą brodą, siedzącą na nagrobnej płycie. Włosy stały mu dęba. Chwycił za miecz, ale w tym momencie postać przemówiła mrocznym głosem.

– Człowiecze, czy poznajesz mnie?

– Nie, na Croma! – przysiągł król.

– Człowiecze – odparł starzec – jam Epemitreus.

– Ale mędrzec Epemitreus nie żyje od piętnastu wieków! – wyjąkał Conan.

– Słuchaj! – przemówił rozkazująco. – Jak kamień rzucony do ciemnego jeziora tworzy kręgi, niesione do najdalszych brzegów, tak wydarzenia w Niewidzianym Świecie, niby fale, przerwały mój sen. Dobrze cię nazaczyłem, Conanie z Cymmerii. Nosisz znamię potężnych wydarzeń i wielkich czynów. Ale nad krajem wisi fatum, przeciw któremu twój miecz nic nie wskóra.

– Mówisz zagadkami – powiedział król z niepokojem. – Pozwól mi ujrzeć mego wroga, a rozłupię mu czaszkę.

– Barbarzyńska siła pomoże ci w starciu z przeciwnikami z krwi i kości – odparł starzec. – Nie przed ludźmi muszę cię osłaniać. Istnieją ciemne światy, niepojęte dla człowieka, w których czają się bezkształtne potwory. Mogą zostać przywołane z Nicości przez diabelskich magów i przybierając materialną postać, niszczyć i zabijać. W twym domu, królu, jest wąż. Przybyły ze Stygii gad, o nieprzeniknionej duszy, biegły w wiedzy tajemnej. Niczym człowiek śniący o wężu, który pełźnie nieopodal, poczułem obecność demona Seta, upojonego straszliwą władzą. Ciosy, które wymierza swym wrogom mogą zniszczyć królestwo. Wezwałem cię do siebie, aby dać ci broń przeciw niemu i jego piekielnym towarzyszom.

– Ale dlaczego mnie? – zapytał zdziwiony Conan. – Ludzie powiadają, że śpisz w czarnym sercu Golamiry, skąd w chwili potrzeby wysyłasz ducha na niewidzialnych skrzydłach, by pomóc Akwilonii. A ja? Ja jestem tylko barbarzyńcą.

– Nie trap się tym – nadnaturalny głos rozbrzmiał w olbrzymiej, cienistej jaskini. – Twój los i los Akwilonii to jedno. Wielkie rzeczy kształtują się w łonie Przeznaczenia i żaden żądny krwi czarnoksiężnik nie stanie na drodze przeznaczenia imperium. Wieki temu Set owinął się wokół świata, jak pyton wokół swojej ofiary. Walczyłem z nim całe moje życie, długie, jak życie trzech ludzkich istot. Ściągnąłem go w mrok tajemniczego południa, ale w Stygii ludzie wciąż jeszcze czczą tego demona nad demony.

Jak zwalczyłem Seta, tak zwalczam jego wyznawców, czcicieli i pomocników. Dobądź miecza.

Tak też Conan uczynił, ciekaw, co robi starzec. Ten, kościstym palcem wykreślił na wielkim mieczu, tuż obok ciężkiego srebrnego jelca, dziwny symbol. Znak gorzał w ciemności niby jasny płomień. I nagle krypta, grób i starzec zniknęli. Zdumiony Conan wyskoczył z łoża. Kiedy tak stał zaskoczony niecodziennym snem, zdał sobie sprawę, że trzyma w dłoni swój miecz. Włosy stanęły mu dęba. Na szerokim ostrzu wryty był symbol: zarys feniksa. Przypomniawszy sobie, że na grobie w krypcie widział podobny znak wykuty w kamieniu. Czy na pewno był to tylko posąg? Zadrżał na wspomnienie całej tej dziwnej historii.

Cichy dźwięk w korytarzu na zewnątrz wyrwał go z osłupienia. Założył zbroję, by sprawdzić, co się dzieje. Znów był barbarzyńcą, podejrzliwym i czujnym, niczym osaczony szary wilk.

ROZDZIAŁ PIĄTY

*Cóż mogę wiedzieć o złocie, kłamstwie i skarbach kultury?
Ja, który zrodziłem się na nagiej ziemi i pod gołym niebem?
Milknij filozofia, kiedy miecz śpiewa. Ruszajcie i gińcie!
Byłem człowiekiem, nim zostałem królem.*

(Droga Królów)

W ciszy spowijającej korytarz pałacu królewskiego pojawiło się dwadzieścia rozglądających się ukradkiem postaci. Nagie lub obute w miękką skórę stopy nie wydawały żadnych dźwięków ani na grubym dywanie, ani na gołej, marmurowej posadzce. Pochodnie umieszczone w niszach wzdłuż korytarzy odbijały się w sztyletach, mieczach i ostrym toporze.

– Spokój wszyscy! – syknął Ascalante. – Kto wydaje ten przeklęty, głośny oddech, niech go wreszcie wstrzyma! Oficer nocnej zmiany usunął stąd większość strażników, a resztę spił, ale musimy być ostrożni... No właśnie! Cofnąć się! Strażnicy!

Ukryli się za grupą rzeźbionych kolumn i niemal natychmiast dziesięciu olbrzymów w czarnych zbrojach przeszło obok nich równym krokiem. Na ich twarzach malowała się wątpliwość, kiedy patrzyli na oficera, który zabierał ich z miejsca służby. Oficer był blady; przechodząc obok kryjówki spiskowców, otarł trzęsącą się ręką pot z czoła. Był młody i zdrada króla nie przychodziła mu łatwo. Przeklinał w myślach swoją próżność, która sprawiła, że zadłużył się u lichwiarzy i uczyniła zeń marionetkę w rękach zdradliwych polityków.

Gwardziści przemaszerowali, pobrzękując bronią i zniknęli na końcu korytarza.

– Dobrze – uśmiechnął się Ascalante. – Conan śpi niestrzeżony. Szybko! Jeśli przyłapią nas w jego sypialni, jesteśmy zgubieni. A martwego króla nikt nie będzie bronił.

– Tak, tak, pośpieszmy się! – krzyknął Rinaldo, a w jego błękitnych oczach odbijał się miecz, którym wymachiwał nad głową. – To ostrze jest spragnione krwi! Słyszę już, jak zbierają się sępy! Naprzód!

Lotem błyskawicy przebiegli przez korytarz i zatrzymali się przed zdobionymi drzwiami, na których widniał królewski smok, symbol Akwilonii.

– Gromelu! – warknął Ascalante – Wyważ mi te drzwi!

Olbrzym wziął głęboki oddech i rzucił się z impetem na potężne wrota, które zaskrzypiały i ugięły się od ciosu. Gromel skulił się i uderzył ponownie. Drzwi pękły i załamały się do wewnątrz.

– Do środka! – zagrział Ascalante, pragnąc jak najszybciej zrealizować swoje zamierzenia.

– Do środka! – krzyknął Rinaldo. – Śmierć tyranowi!

Szybko się jednak zatrzymali. Przed nimi stał Conan. Nie przypominał rozbudzonego właśnie, otępiałego człowieka, którego łatwo będzie zaszlachtować. Był całkiem przytomny, ubrany w zbroję i w dłoni dzierżył miecz, gotów do skoku, jak osaczone zwierzę.

Buntownicy stali przez chwilę w osłupieniu, zaskoczeni widokiem uzbrojonego olbrzyma o gorejących oczach, stojącego na środku oświetlonej świecą komnaty. Za nimi tłoczyła się horda włochatych dzikusów. Wtedy Ascalante dojrzał na małym stoliku w pobliżu królewskiego łóża srebrny laur i złoty diadem – koronę Akwilonii. Jego wzrok zapłonął szalonym pożądaniem.

– Do środka, nikkzemnicy! – wykrzyknął. – Jest sam przeciw dwudziestu i nie ma hełmu!

To prawda – Conan nie zdążył założyć ciężkiego, spiczastego szyszaka i napierśnika, nie było też już czasu, aby zdjąć ze ściany wielką tarczę. Jednak Cymmeryjczyk był i tak lepiej przygotowany do walki, niż większość napastników. Tylko Volmana i Gromel byli w pełni uzbrojeni.

Król taksował wzrokiem buntowników, zastanawiając się, kim też mogą być. Ascalante'a nie znał. Innych nie mógł rozpoznać przez opuszczone przyłbice. Rinaldo zaś opuścił swój kaptur głęboko na oczy. Nie było jednak czasu na rozważania, bowiem wrogowie z krzykiem, rozbrzmiewającym aż pod kopułę, zalali komnatę. Gromel biegł na czele, niczym szarżujący byk, z pochyloną głową i nisko opuszczonym mieczem, celującym w brzuch Conana, który skoczył mu naprzeciw i wkładając w uderzenie całą siłę masywnego ramienia, potężnie ciął mieczem. Wielkie ostrze ze świstem przecięło powietrze i spadło na hełm Bossończyka. Gromel bez życia potoczył się po podłodze. Cymmeryjczyk cofnął się, wciąż trzymając złamaną rękojeść.

– Gromel! – wykrztusił.

Jego oczy zapłonęły zdziwieniem, kiedy zdruzgotany hełm odsłonił roztrzaskaną głowę. Ale reszta bandy była już przy nim. Poczłł na żebrach ostrze sztyletu, a krawędź jednego z mieczy mignęła mu przed oczami. Uchylił się przed pchnięciem sztyletu i z całą siłą huknął napastnika w skroń rękojęścią miecza. Ludzki mózg obryzgał mu twarz.

– Pięciu z was, pilnować drzwi! – krzyknął Ascalante, trzymający się w bezpiecznej odległości od rozspiewanego ostrza, bał się bowiem, że Conan przedrze się przez ich szeregi i ucieknie.

Zbiry zawróciły momentalnie, a ich dowódca pchnął kilku z nich w kierunku jedynych drzwi. Conan skorzystał z okazji, doskoczył do ściany i zdjął z niej starożytny topór bojowy, który wisiał tam, nietknięty przez ząb czasu, już od pół wieku.

Stanął tyłem do ściany i przez chwilę patrzył, jak zaciska się krąg wokół niego, po czym rzucił się w wir walki. Nie ograniczał się do obrony. Zawsze, nawet wobec miażdżącej przewagi wroga, atakował przeciwników. Każdy inny człowiek padłby już martwy. Conan też nie wierzył, że przeżyje, ale dziko pragnął wyróżnić tyłu spiskowców, ile się da, zanim zginie. Jego barbarzyńska dusza gorzała, a pieśni starożytnych bohaterów grzmiały mu w uszach.

Odskoczył od ściany i zagłębił topór w bandycie ze zranionym barkiem. Rykoszet zmiażdżył czaszkę kolejnego. Miecze świstały złowieszczo wkoło niego, ale śmierć zawsze mijała go o włos. Ruszył do ataku z oszałamiającą szybkością. Był niczym tygrys wśród małp, kiedy tak lawirował w nieustannym ruchu między napastnikami, a jego topór wirował wokół niego, kreśląc świetlisty krąg śmierci.

Mordercy otoczyli go, na oślep zadając ciosy i przeszkadzając sobie nawzajem. Nagle odstepili w tył – dwa trupy na podłodze były niemym dowodem furii króla, chociaż i sam Conan krwawił z ran na ramieniu, szyi i nogach.

– Łajdacy! – krzyknął Rinaldo, zdejmując obsyty futrem kaptur i błyskając gniewnie oczami. – Wycofujecie się z walki? Czy ten despota ma prawo żyć? Na niego!

Ruszył na Cymmeryjczyka, rozdając szalone ciosy, lecz Conan, który go rozpoznał, roztrzaskał jego miecz krótkim potężnym cięciem i mocno pchnął go otwartą dłonią na podłogę. Przyjął na lewe ramię ostrze Ascalante'a i jedynie skok w tył przed rozkołysanym toporem uratował

życie bandyty. Buntownicy znów się zbliżyli, ale topór Conana miał między nimi zniszczenie. Jeden z zarośniętych szubrawców uchylił się przed ciosem i wskoczył między nogi króla, ale po krótkiej walce z czymś równie nieustępliwym, jak stalowa wieża, spojrzął w górę i ujrzał opadające ostrze topora, za późno, by go uniknąć. W tym czasie jeden z jego kompanów uniósł oburącz miecz i uderzył w naramiennik króla, raniąc mięsień pod nim. Pancerz Conana pokrył się krwią.

Nadszedł Volmana, z dziką niecierpliwością przedzierając się między atakującymi i odpychając ich na boki. Próbował uderzyć mieczem w nieosłoniętą głowę Cymmeryjczyka. Król jednak uchylił się i ostrze ze świstem ścięło pukiel jego ciemnych włosów. Topór błyskawicznie zgniótł stalowy pancerz Volmany, który padł ze zmiażdżoną lewą połową ciała.

– Volmana! – wykrztusił bez tchu Conan. – Rozpoznałbym tego karła w piekle!

Wyprostował się, by wyjść naprzeciw szalonej szarży Rinaldo, który ruszył dziko na niego, uzbrojony jeno w sztylet. Conan odskoczył, wznosząc swój topór.

– Rinaldo! – jego przenikliwy głos brzmiał rozpaczliwą determinacją. – Cofnij się! Nie chcę cię zabić...

– Giń, tyranie! – szaleńczo wykrzyknął minstrel, rzucając się w stronę króla.

Conan opóźniał uderzenie, którego nie chciał wymierzyć. Dopiero, gdy poczuł ukłucie żelaza na odsłoniętym boku, w ślepej desperacji wymierzył cios. Rinaldo upadł z pękniętą czaszką, a Conan zatoczył się na ścianę. Krew ciekła spomiędzy palców przytrzymujących ranę.

– Do środka, teraz, zarżnijcie go! – wrzasnął Ascalante.

Conan oparł się o mur i wznosił topór. Wyglądał jak gigantyczny, muskularny olbrzym, niezwyciężony, kipiący pierwotną siłą: szeroko rozstawione nogi, głowa wysunięta naprzód, jedna ręka dla równowagi przy ścianie, druga wzniesiona z toporem. Pod jego skórą widoczne były potężne zwoje mięśni. Twarz zastygła w grymasie niemej furii, a oczy, choć zalane krwią, błyszczały straszliwie. Napastnicy zawahali się: choć byli dzicy, okrutni i zdesperowani, wywodzili się jednak z cywilizowanego ludu. Przed nimi zaś stał barbarzyńca – urodzony morderca. Odstąpili od niego. Umierający tygrys wciąż jeszcze może zadać śmierć.

Conan wyczuł ich niepewność i uśmiechnął się ponuro.

– Który chce zgiąć pierwszy? – wymamrotał przez rozcięte i skrwawione usta.

Ascalante skoczył niczym wilk i zatrzymał się niemal w powietrzu, by rozpląszczyć się na podłodze, uchylając się przed niosącym śmierć toporem. Odwrócił się błyskawicznie na piętach, by usunąć się z drogi, ale upadł, gdy Conan otrząsnął się z nieudanego ataku i uderzył ponownie. Tym razem topór wbił się głęboko w wypolerowaną podłogę tuż obok nóg Ascalante'a.

Kolejny niezdarny desperat zdecydował się na atak, wspomagany nikłym entuzjazmem sojuszników, zanim Cymmeryjczyk zdołał wyciągnąć topór z podłogi. Przecenił jednak swoje siły. Zakrwawiony topór nagle poszybował w górę i opadając, posłał pod nogi atakujących purpurową karykaturę człowieka.

Nagle z gardeł spiskowców pilnujących drzwi wydobył się krzyk przerażenia. Na ścianę padł czarny, zdeformowany cień. Wszyscy oprócz Ascalante'a odwrócili się, słysząc wrzask i wyjąć jak psy, wybiegli na oślep z komnaty. Obłąkańcza banda rozpierzchnęła się po korytarzach, drąc się w niebogłosy.

Ascalante nie spojrział w stronę drzwi; zajmował go tylko zraniony król. Założył, że odgłosy walki postawiły już pałac na nogi i lojalni strażnicy pojawili się w sypialni, chociaż to dziwne, by właśnie przed nimi zatwardziali mordercy uciekali w takim popłochu. Conan zaś nie miał czasu zainteresować się krzykami, gdyż obserwował buntownika niczym konający wilk.

Cynizm Ascalante'a nie opuścił go nawet w obliczu śmierci.

– Wszystko wydaje się stracone, a zwłaszcza honor – wymamrotał. – Ale oto król umiera pod moimi stopami, zatem... – Nie wiadomo, co jeszcze w tej chwili przyszło mu do głowy, bowiem nie kończąc zdania, podbiegł lekko w stronę Cymmeryjczyka dokładnie wtedy, kiedy ten, oślepiiony krwią, ocierał ją z twarzy uzbrojoną w topór ręką.

Kiedy jednak rozpoczął atak, w powietrzu pojawił się dziwny ruch. Ciężki cios spadł na plecy Ascalante'a i powalił go, a wielkie szpony zatopiły się w jego ciele. Skręcając się desperacko pod napastnikiem, odwrócił głowę i ujrzał pysk pochylającej się nad nim potwornej bestii nie z tego świata. Jej ociekające śliną czarne kły były tuż przy jego gardle, a błysk żółtych oczu paraliżował członki tak samo, jak zabójczy wiatr powala młode zboże.

Ohyda potwora była niewyobrażalna. Przypominał demoniczną i prastarą mumię, ożywioną jakąś ciemną siłą. We wstrętnych rysach było jednak coś znajomego, jakies dziwne podobieństwo do niewolnika Ascalante'a, Thoth-Amona. Cały cynizm opuścił go w końcu i mężczyzna wyzionął ducha z upiornym wrzaskiem, zanim zaślinione szczęki zdołały go dotknąć. Conan, strząsając krople krwi z oczu, patrzył jak skamieniały. W pierwszej chwili pomyślał, że to wielki, czarny pies stoi nad wygiętym ciałem buntownika; lecz kiedy znów przejrzał na oczy, zorientował się, że to nie pies, ani żadne inne zwierzę.

Podobnie jak Ascalante, krzyknął ze śmiertelnym przerażeniem, ale odsunął się od ściany i wyszedł na spotkanie potwora z uniesionym toporem. Uderzył z całą siłą napiętych mięśni, ale ostrze, miast rozłupać pochyłą czaszkę, odbiło się od niej, a siła olbrzymiego cielska odrzuciła króla przez pół komnaty. Ociekające śliną szczęki zacisnęły się na ramieniu, którym Conan osłaniał swoje gardło, ale potwór nie próbował dalej walczyć. Ponad strzaskanym ramieniem króla patrzył wrogo w jego oczy, tak samo, jak patrzył w oczy Ascalante'a nim go zabił. Conan poczuł, jak jego dusza kurczy się, a żółte ślepia próbują wysać ją wraz z życiem z jego ciała. Miał wrażenie, że pogrąża się w odbierającym rozum, narastającym chaosie. Oczy były coraz większe, aż stały się olbrzymie i Cymmeryjczyk zobaczył w nich bezdenną i bluźnierczą otchłań, pełną demonów czyhających w mroku. Otworzył zakrwawione usta, by wykrzyknąć swoją nienawiść, lecz z jego gardła wydobył się tylko suchy skrzek.

Ale przerażenie, które sparaliżowało Ascalante'a, Conana tylko rozwścieczyło do szaleństwa. Z nieziemskim wysiłkiem padł na wznak, nie bacząc na potworny ból rozdartego ramienia, ciągnąc bestię za sobą. Wolną ręką instynktownie namacał coś, co jego oszołomiony umysł rozpoznał jako rękojeść złamanego miecza. Odruchowo chwycił ją i najsilniej, jak potrafił, wbił złamane ostrze w cielsko potwora. Weszło głęboko. Szczęki poczwary rozwarły się w agonii i Conan oswobodził ramię z uścisku obrzydliwego pyska. Został brutalnie odrzucony na bok. Wznosząc się na łokciu, obserwował w osłupieniu konwulsje bestii. Z wielkiej rany buchała gęsta krew. Potwór w końcu znieruchomiał, wznosząc w górę przeraźliwe, martwe oczy. Conan zamrugął, zdawało mu się bowiem, że truchło zmienia się w oślizgłą, gęstą masę.

Wtedy do jego uszu dotarły głosy pobudzonych dworzan i pokój zapełnili rycerze, szlachta, damy dworu... Wszyscy przekrzykiwali się i wchodzili

sobie w drogę. Przybyła także gwardia Czarnych Smoków. Wojownicy rzucali wściekłe przekleństwa i z dłońmi na rękojeściach wykrzykiwali jakieś przekleństwa w obcych językach. Młodego oficera ze straży przy komnacie nikt nie widział. Mimo wysiłków nigdy go nie znaleziono.

– Gromel! Volmana! Rinaldo! – lamentował Publius, wysoki kanclerz, wciskając tłuste dłonie między trupy. – Co za zdrada! Ktoś za to odpowie! Zawołajcie strażę.



Szczęki poczwary rozwarły się w agonii i Conan oswobodził ramię z uścisku obrzydliwego pyska.

– Straż jest tutaj, ty stary głupcze! – warknął z pogardą Pallantides, dowódca Czarnych Smoków, zapominając z nerwów o randze Publiusa. – Lepiej przestań się mazać i pomóż nam opatrzyć rany króla. Może wykrwawić się na śmierć.

– Tak, tak! – zakrzyknął Publius, który był raczej człowiekiem planów niż czynów. – Musimy opatrzyć jego rany. Poślijcie po wszystkich medyków na dworze! O, mój panie, co za straszliwy wstyd dla naszego miasta! Żyjesz jeszcze, panie?

– Wina! – wydyszał król z łoża, na które go przeniesiono.

Służący przycisnęli kielich do jego skrwawionych warg, a on pił jak ktoś na wpół martwy z pragnienia.

– Dobrze! – wymamrotał, opadając na poduszki. – Zabijanie to przekłeta robota, wysuszająca trzewia.

Powstrzymano już upływ krwi i wrodzona żywotność barbarzyńcy zaczynała dawać o sobie znać.

– Obejrzyjcie najpierw ranę od sztyletu w moim boku – rozkazywał nadwornym medykom. – Rinaldo próbował mi w nim wyryć śmiertelną pieśń...

– Powinniśmy go byli powiesić już dawno – mamrotał Publius. – Co dobrego może przynieść poeta? A to kto?

Nerwowo dotknął czubkiem sandała ciała Ascalante'a.

– Na Mitrę! – wykrzyknął dowódca. – Toż to Ascalante, niegdyś hrabia Thuny! Cóż za diabelska robota przywiodła go tu z jego nawiedzonej pustyni?

– Ale dlaczego on tak patrzy? – szepnął Publius.

Odsunął się i wytrzeszczył oczy, a po tłustym karku przeszedł mu dreszcz. Wszyscy zamilkli, patrząc na martwego buntownika.

– Gdybyście zobaczyli to, co myśmy widzieli – zagrzmiał król, siadając na łóżku mimo protestów medyków – nie bylibyście tak zdziwieni. Spójrzcie tam... – głos uwiązał mu w gardle, bo jego palec wskazywał tylko nagą posadzkę. Potwór zniknął.

– Na Croma! – zaklął Conan. – Ta bestia rozplynęła się w obrzydlistwie, które dało jej życie!

– Król majaczy – szepnął jeden ze szlachciców.

Cymmeryjczyk usłyszał to i zaniósł się barbarzyńskimi przekleństwami.

– Na Badba, Morrigan, Machę i Nemaina! – zakończył gniewnie. – Jestem przy zdrowych zmysłach! To było jakby skrzyżowanie stygijskiej mumii i pawiana. Weszło przez drzwi, a większość spiskowców uciekła w przerażeniu. Zabiło Ascalante’a, który był o krok o przesycia mnie mieczem. Potem zabrało się za mnie, ale ja zadałem mu śmierć. Jak? Nie pojmuję, bo mój topór odbił się odeń jak od skały. Ale myślę, że mędrzec Epemitreus miał w tym pewien udział...

– Słuchajcie, wspomina Epemitreusa, martwego od piętnastu stuleci! – szeptali między sobą.

– Na Ymira! – zagrział król. – Tej nocy rozmawiałem z Epemitreusem! Wezwał mnie we śnie, szedłem przez korytarz z czarnego kamienia ze starymi bogami wyrytymi na ścianach, po kamiennych schodach, o stopniach z konturami Seta, aż dotarłem do krypty z feniksem wyrytym w nagrobnym kamieniu...

– W imię Mitry, zamilknij, panie! – krzyknął wysoki kapłan Mitry, a jego twarz poszarzała.

Conan odrzucił na bok swą zmierzwioną grzywę, a jego głos był potężny, niczym ryk podrażnionego lwa.

– Czy jestem niewolnikiem, by zamykać usta na twój rozkaz?

– Ależ nie, skądże, mój panie – wysoki kapłan drżał, ale nie ze strachu przed królewskim gniewem. – Nie chciałem cię urazić – pochylił się nad głową króla, by nikt inny nie usłyszał jego szeptu. – Królu, to są sprawy przekraczające ludzkie pojmowanie. Tylko wewnętrzny krąg kapłanów zna czarny, kamienny korytarz rzeźbiony nieznanyymi rękami w czarnym sercu Góry Golamiry i grób strzeżony przez feniksa, gdzie piętnaście wieków temu złożono na spoczynek Epemitreusa. Od tego czasu żaden żywy człowiek nie wszedł do krypty, gdyż jego kapłani po umieszczeniu Mędrca w sarkofagu zamurowali wejście, by nikt tam nie trafił. Dziś nawet wysocy kapłani nie wiedzą, gdzie ono się znajduje. Tylko ustny przekaz mówi o miejscu pochówku Epemitreusa w czarnym sercu Golamiry. Strzegą go zazdrośnie wysocy kapłani i przekazują ustnie garstce wybranych. To jedna z Tajemnic, na których opiera się kult Mitry.

– Nie mogę powiedzieć, za sprawą jakiej magii Epemitreus przywiódł mnie do siebie – odparł Conan – ale rozmawiałem z nim, a on wyrył znak na moim mieczu. Dlaczego zaś ten znak niesie śmierć demonom, ani jaka

magia kryje się za nim, tego nie wiem. Ale choć ostrze pękło na hełmie Gromla, jego fragment był wystarczająco długi, by zabić potwora.

– Pozwól, królu, że zobaczę twój miecz – szepnął wysoki kapłan przez zaciśnięte gardło.

Conan sięgnął po broń. Kapłan krzyknął i upadł na kolana.

– Mitra strzeże nas przed mocami ciemności – zachłysnął się. – Król naprawdę rozmawiał z Epemitreusem tej nocy! Ten sekretny znak na mieczu mógł zostawić tylko on! To emblemat nieśmiertelnego feniksa, który zawsze powstaje na nowo ze swego grobu! Szybko, świeca! Spójrzmy raz jeszcze na miejsce, gdzie, jak mówi król, padł demon!

Było to w cieniu zniszczonego parawanu. Odsunięto go i światło świecy zalało podłogę. Między obecnymi w komnacie ludźmi zaległa przeraźliwa cisza. Po chwili niektórzy padli na kolana, wzywając imię Mitry, a inni uciekli z krzykiem.

Na posadzce, w miejscu, w którym skonał potwór, widniała, niczym cień, szeroka, ciemna plama, której nie można było zmyć. Bestia zostawiła swój krwawy ślad i nie był to ślad istoty z tego świata. Przerazająca i ponura, zastygła niczym posąg jednego ze straszliwych bogów, przycupniętych na cienistych ołtarzach w mrocznych świątyniach ciemnego kraju Stygii.

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(grudzień 1932) pod tytułem *The Phoenix on the Sword*

SZKARŁATNA CYTADELA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Schwytano Lwa i skuto w kajdany.
Dźwiękiem trąb to obwieszczali.
Krzyczano: Lew na Shamu pojmany!
Krzyczano: w klatce już Lew!
Biada zaś miastom równin i rzek,
Jeśli raz jeszcze Lew wychynie z niej.*

(ze starej ballady)

Ustał bitewny gwar, a triumfalne okrzyki zwycięzców rozbrzmiewały nad pobojuwiskiem, zagłuszając jęki konających i rannych. Zmasakrowane trupy zalegały tysiącami na równinie, niczym skrzące się feerią kolorów liście po gwałtownej jesiennej burzy. Promienie zachodzącego słońca tańczyły na polerowanych szyszakach, srebrnych napierśnikach, złożonych zbrojach i połamanych mieczach. Ciężkie jedwabne sztandary, jeszcze o poranku dumnie wzniesione ku słońcu, teraz poniewierały się w błocie, skąpane we krwi i wyprutych wnętrznościach. Gdzieniegdzie, ponad kobierzec trupów, wystawały wielkie, zwaliste cielska ciężkich bojowych rumaków i zakutych w stal rycerzy; ich zdobne grzywy i paradne pióropusze także przesiąknięte były posoką. Dokoła i pomiędzy nimi leżały poszatkwane, wdeptane w grunt, zmiażdżone szczątki w stalowych hełmach i skórzanych kaftanach – jeszcze niedawno byli to dumni łucznicy i pikinierzy.

Zadudniły rogi i ich triumfalny śpiew niósł się ponad równiną, gdy podkowy bojowych ogierów miażdżyły ciała zabitych, a lśniące stałą szeregi zwycięzców ciągnęły niczym połyskujące w słońcu szprychy wielkiego koła do miejsca, gdzie ostatni z żywych wojowników, jak osaczony tygrys, walczył zaciekle z przeważającymi siłami wroga.

Tego właśnie dnia Conan, król Akwilonii, ujrzał na własne oczy, jak wyrżnięto w pień w nierównej walce kwiat jego rycerstwa.

Plan był prosty. Razem z pięcioma tysiącami ciężkozbrojnej, doborowej jazdy Conan opuścił granice Akwilonii i kierując się na południe, wkroczył na trawiaste łąki Ofiru, by połączyć swe oddziały z wojskami króla

Amalrusa, swego sprzymierzeńca. Ale ten go zdradził, przechodząc na stronę Strabonusa, władcy Koth. Conan zbyt późno odkrył, że znalazł się w potrzasku. Jego kawaleria nie miała żadnych szans w starciu z trzydziestotysięczną hordą rycerzy, łuczników i pikinierów.

Pozbawiony wsparcia piechoty i łuczników nie miał czasu na taktyczne gierki i zabawy; mógł zrobić tylko jedno: uderzyć z całą mocą swojej pancernej, zakutej w stal jazdy dokładnie w środek zgrupowania wrogiej armii. I zdawało się, że ta strategia przyniesie mu niespodziewane zwycięstwo. Impet szarży zmiotł z powierzchni ziemi pierwsze szeregi – widział, jak oddziały Amalrusa padają niczym muchy pod kopiami akwilońskiej jazdy. W bitewnym szale gromili, masakrowali i zarzynali uciekających, gdy stara wojskowa prawda wyszła na jaw, że każdy wojownik dupa, kiedy wrogów kupa. Conan ze swoją jazdą nagle znaleźli się w potrzasku, bo do bitwy włączyły się nietknięte oddziały Strabonusa flankujące środek armii Amalrusa.

Shemiccy łucznicy nie na darmo mieli opinię mistrzów w swoim fachu. Strzelali szybko, pewnie, a przede wszystkim z zabójczą precyzją. Bez problemów znajdowali szpary i szczeliny pomiędzy płytami pancerzy jeźdźców, zabijali pod nimi konie, a do leżących dopadała kothyjska piechota i dopełniała dzieła zniszczenia.

W tym samym czasie rozbita i rozpędzona po pierwszej akwilońskiej szarży ciężka konnica Amalrusa zwarła szeregi, na nowo sformowała szyk i przeszła do kontrnatarcia wsparta lekką jazdą ze skrzydeł, mając miażdżącą przewagę liczebną. Akwilończycy nie zrejterowali, dzielnie odpierali przeważające siły wroga, ale w tej walce nie mieli żadnych szans. Zostali wyrznięci do nogi, a rozległa równina Shamu nasiąkała ich krwią jak gąbka. Jedynie Conan przetrwał tę rzeź. Stał niczym tytan, wsparty plecami o piętrzący się za nim stos martwych ludzi i koni, siejąc wokół siebie zniszczenie i śmierć. Rycerze z Ofiru stawali na głowie, by dopaść akwilońskiego króla, ale ich długie miecze w rękach zdawały się dziecinnymi zabawkami w starciu z ostrzem barbarzyńcy. Muskularni, czarnobrodzi Shemici wsparci wojownikami z Koth, osaczyli walczącego ze wszystkich stron, a ponad pobojuwiskiem co raz przewalał się łoskot stali i rozdzierające wrzaski umierających. Chroniony przez czarną kolczugę Conan był w swoim żywiole: szybki jak błyskawicy, groźny jak kobra, silny jak byk, równo i sprawiedliwie szatkował każdego, komu roіło się, że potrafi zabić Cymmeryjczyka, przypominającego w swym tańcu

śmierci nie szlachetnego rycerza, a prędzej beznamiętnie rozrąbującego wielkie połcie wołowiny rzeźnika. Wokół jego okutych w stal stóp szybko narastał wał porąbanych ciał, który niczym krwawy falochron oddzielał go od kolejnej nadciągającej fali wrogów. Ale ci byli przerażeni skutecznością i desperacją, z jaką walczył ich przeciwnik. Coraz bardziej zniechęceni i bezradni atakowali z malejącym animuszem.

W końcu, rozpychając na boki wrzeszczącą, pobłyskującą stałą horde, nadjechali zwycięscy władcy: Strabonus o wąskich, chytrych oczach, spojierających groźnie z szerokiej, ciemnej twarzy; elegancik Amalrus, szczupły, zdradliwy i niebezpieczny jak kobra; i wreszcie odziany w jedwabną tunikę, podobny do sępa, wielki kothyjski kapłan o czarnych, błyszczących okrucieństwem oczach wyzierających z przeraźliwie chudej twarzy – Tsotha-lanti, o którym opowiadano różne, przeważnie mroźące krew w żyłach legendy. W osadach i siołach na zachodzie oraz południu Koth matki straszyły jego imieniem własne dzieci. Jakikolwiek bunt niewolników łatwiej można stłumić groźbą, że nieposłusznych odda się w krwiożercze ręce maga, niż ogniem i mieczem. Galopujące przez kraj z prędkością ognistego rumaka plotki głosiły, że ma on w swej twierdzy obszerną bibliotekę z tysiącami magicznych ksiąg oprawionymi w skórę zdartą z żywych ludzi, a w katakumbach i lochach wydrążonych pod wzgórzem uprawia czarną magię, kontaktując się z mrocznymi mocami z dna samego piekła, za usługi które płacił młodymi niewolnicami.

Bez wątpienia Tsotha-lanti był rzeczywistym władcą Koth.

Teraz, w chwili triumfu, uśmiechnął się ponuro pod nosem widząc wielkich królów ściągających w popłochu wodze swych rącznych rumaków w bardzo bezpieczniejszej odległości od demonicznej, olbrzymiej postaci w czarnej kolczudze, stojącej na szeroko rozstawionych, mocarnych nogach aż po kolana w zwałowisku trupów.

Nawet najodważniejsi z odważnych tracili rezon i odwagę, ścięci pełnym dzikości i okrucieństwa lodowatym spojrzeniem błękitnych, rozognionych żądzą zabijania oczu, groźnie łypiących spod pogiętego szyszaka. Ciemna, poorana bliznami twarz Conana spurpurowiała z furii, jego czarna królewska kolczuga, teraz powgniatana i poszarpana, ociekała krwią, a wielki miecz aż po jelec był skąpany w posoce.

W bitewnym szale opadły z niego wszelkie pozory oglądy i cywilizowanych zachowań. Był teraz wyłącznie pierwotnym sobą – gigantycznym, tytanicznie umięśnionym barbarzyńcą, dzieckiem okrutnych

i nie znających litości cymmeryjskich gór, tej daleko leżącej na północy krainy hardych górali. Opowieści o drodze Conana na tron Akwilonii i wysławiające jego zwycięstwa, już dawno przestały być tylko historiami, stały się legendami, wręcz mitami, przekazywanymi sobie z ust do ust w licznych pieśniach i poematach.

Świadomi tego królowie trzymali bezpieczny dystans do Conana. Strabonus pieklił się z furii na widok masakry swych ludzi. Słono opłacał zaciężne oddziały i teraz w myślą liczył, ile traci jego kiesa po każdym cięciu miecza ogarniętego żądzą mordu Cymmeryjczyka. Rachować potrafił szybko, więc wydał krótki, rzeczowy rozkaz, by sprawę załatwili łucznicy, choć oni nie bardzo palili się do tego pomysłu.

Wtem Tsotha-lanti pokręcił głową.

– Chcę go żywego!

– Łatwo ci gadać! – warknął Strabonus, nagle, nie wiedzieć czemu przekonany, że jakimś cudem odziany w czarną kolczugę olbrzym przebije się przez szeregi pikinierów aż do miejsca, gdzie przystanęli królowie. – Jak ty chcesz pojmać żywcem wkurwionego tygrysa ludożercę? Na Isztar! On siecze mych najlepszych ludzi jakby to były łany zboża! Masz pojęcie, że wyszkolenie każdego z nich zajmuje siedem lat i kosztuje krocie!? Popatrz, a teraz leżą martwi u jego stóp jak wybebeszone wieprzki przed ucztą. Powiadam: strzały, strzały i raz jeszcze: tylko strzały!

– A ja powiadam raz jeszcze: nie! – uciął rozmowę Tsotha-lanti, zsiadając z konia i, śmiejąc się chłodno, dodał: – Wciąż się nie nauczyłeś, że mój rozum jest potężniejszy od największego nawet miecza?

Najwyraźniej pewny swego mag minął falujące szeregi pikinierów, a potężne chłopcy w stalowych hełmach i mocnych zbrojach pierzchali na bok, zdjęci strachem na samą myśl o dotknięciu jego szat. Jeszcze szybciej z drogi zeszło mu rycerstwo z tańczącymi na wietrze pióropuszcami zdobiącymi stalowe hełmy. Tsotha-lanti dziarsko przemaszerował przez zwałowisko trupów. Nad pobojobowiskiem zapadła głucha cisza. Gigantyczna postać w czarnej kolczudze górowała nad chudym, odzianym w biel kapłanem jak wyniosły szczyt przewyższa ciśnięty do dołu mały kamyk, wznosząc do ciosu wielki, wyszczerbiony dwuręczny miecz skąpany we krwi.

– Conanie, królu Akwilonii, oferuję ci życie – rzekł z wyraźną nutą okrutnej radości w głowie.

– A ja, Tsotha-lanti, jebany magu, oferuję ci śmierć! – ryknął Cymmeryjczyk i ciął potężnym ostrzem, wkładając w to wszystkie siły stalowych mięśni oraz całą swoją dziką nienawiść, by rozplatać na pół stojącego przed nim mężczyznę.

Mag był jednak szybszy. Jednym, zwinnym ruchem zszedł z linii ciosu, a w kierunku odsłoniętego ramienia Conan wystrzeliła, szybka niczym cios kobry, dłoń. Cymmeryjczyk, pociągnięty impetem miecza, który trafił pustkę, poleciał w dół, huknął o ziemię i znieruchomiał.

Tsotha-lanti roześmiał się ponuro pod nosem.

– Po kłopotcie. Podnieście go i nie trzęście tak portkami, bo lwisko, przynajmniej na jakiś czas, będzie niegroźne.

Obydwaj królowie zacięli konie, podjechali do maga i z bezgranicznym zdumieniem w oczach spojrzeli na powalonego olbrzyma. Conan leżał bez ruchu jak trup, ale jego szeroko otwarte oczy pluły wokół bezsilną wściekłością.

– Coś ty mu zrobił? – zapytał mocno zaniepokojony Amalrus.

Tsotha-lanti uniósł dłoń i pokazał szeroki pierścień o dziwnym kształcie. Nagle zacisnął palce i na wewnętrznej powierzchni pierścienia wystrzelił, niczym węzowy język, mały stalowy kiel.

– To maleńkie ostrze jest pokryte wyciągiem z purpurowego lotosu, porastającego nawiedzane przez duchy mokradła południowej Stygii – wyjaśnił mag. – Dotknięcie nim powoduje tymczasowy paraliż. Zakujcie go w kajdany i wrzucie na jakiś wóz. Słońce już zachodzi i najwyższa pora ruszać do Khorshemish.

Strabonus zwrócił się do swojego generała, Arbanusa:

– Wracamy z rannymi do Khorshemish, chronieni przez królewskich gwardzistów, a ty rano z armią pomaszerujesz do akwilońskiej granicy i o świcie następnego dnia rozpoczniesz oblężenie Shamar. Zaopatrzenie po drodze dostarczą ci tabory z Ofiru. Dołączymy do ciebie najszybciej, jak to będzie możliwe.

Rozkazy wykonano bez gadania. Horda rycerstwa, łuczników, pikinierów, wzbogacona o całe tabuny wszelkiej maści pospólstwa, które zawsze ciągnie za każdą armią, jak smród za pospolitym ruszeniem, rozłożyła się obozem opodal pobojuwiska, czekając świtu, zaś obaj królowie i mag, potężniejszy niż jakikolwiek władca, ruszyli pod rozgwieżdżonym nocnym niebem do stolicy Strabonusa, ciągnąc za sobą długi na milę sznur wozów, na które wrzucono rannych. Na jednym z nich,

spętany łańcuchami, leżał Conan, król Akwilonii, z duszą rozpaloną dziką furią tygrysa przeżuwającego gorycz pierwszej porażki.

Wywar z purpurowego lotosu, który sparaliżował olbrzymie ciało, nie miał wpływu na umysł. Gdy wóz podskakiwał na wyboistej drodze, wijącej się przez bujne łąki, Conan miał mnóstwo czasu nad roztrząsaniem przyczyn swojej klęski. Kilka dni wcześniej Amalrus pchnął do niego gońca z gorącym błaganiem o militarną pomoc, bowiem, jak napisał w liście, Strabonus bez ostrzeżenia najechał na wschodnie ziemie Ofiru, które niczym wielki klin tkwiły między granicą Akwilonii, a rozległym i potężnym królestwem Koth. Prosił o tysiąc, zaledwie o tysiąc, ciężkozbrojnych jeźdźców i osobisty udział niezwycięzonego króla w wyprawie dla podniesienia podupadłego morale ofirskiej armii. Conan zmełł w ustach przekleństwo. W swej naiwnej wielkoduszności powiódł ze sobą pięć tysięcy rycerzy, pięciokrotnie więcej, niż o to prosił plugawy zdrajca. Wkroczył na ziemie Ofiru, jak uważał, w słusznej sprawie tylko po to, by wpaść w zastawianą na niego pułapkę rzekomych wrogów. Jedyne, co poprawiało mu humor to świadomość, że spiskowcy obawiali się go tak bardzo, że rzucili przeciwko akwilońskiej jeździe dwie wielkie armie – ponad trzydzieści tysięcy ludzi.



Gdy wóz podskakiwał na wyboistej drodze, wijącej się przez bujne łąki, Conan miał mnóstwo czasu nad roztrząsaniem przyczyn swojej klęski.

W barbarzyńskich oczach szalała pożoga furii, żyły na skroniach nabrzmiały z wściekłości, a puls szalonym rytmem łomotał mu w skroni. Nigdy jeszcze w całym swoim życiu nie zaznał większego upokorzenia i nie czuł się tak zupełnie bezradny. Oczami wyobraźni oglądał panoramę swojego życia, te wyłaniające się z cienia pamięci obrazy, gdy pod różnymi postaciami i w różnych sytuacjach zapisywał stronice własnej historii. Oto

przemierza stepy odziany w skóry zabitych bestii jako bezlitosny i nieczuły barbarzyńca; jest najemnikiem w wielkim, rogatym hełmie i lśniącej w słońcu posrebrzanej kolczudze; jest piratem na smukłej galerze o dziobie w kształcie smoka, znacząc trasy rejsów dogasającymi zgłiszczami i stosami zaszlachtowanych trupów; nosi na sobie zdobną zbroję i dosiada wielkiego, zakutego w stal bojowego rumaka jako kapitan królewskich gwardzistów; w końcu jest i królem na złotym tronie pod dumnie łopoczącym na wietrze sztandarem z groźnym złotym lwem, otoczonym przez usłużny, wielobarwny tłum dworzan oraz piękne, smukłe i chętne do wszystkiego panny dworu. Ale każdy podskok wozu przypominał mu nieustająco o niecnej zdradzie Amalrusa i mrocznej magii Tsotha-lanti. Żyły na jego skroniach nieomal eksplodowały z wściekłości. Jedyne ukojenie, a zarazem dziką satysfakcją, znajdował w unoszących się nad jadącą powoli kolumną przenikliwych jękach rannym i umierających.

Tuż przed północą przekroczyli granicę Ofiru, by o świcie ujrzeć strzelające zza linii horyzontu w chmury, skąpane w różowym świetle wschodzącego słońca smukłe wieże Khorshemish, ponad którymi wisiała ponura, owiana złą sławą, szkarłatna cytadela, wyglądająca z tej odległości jak lepka, brunatnokrwawa plama na tle jaśniejącego z każdą chwilą nieba. Była to siedziba Tsothy-lanti, świadomie wzniesiona na wzgórzu o tak stromych zboczach, by nikt nie mógł się po nich wspiąć. Wiodła do niej tylko jedna, wąska droga wyłożona marmurem i przegrodzona potężnymi, żelaznymi bramami. Z murów cytadeli rozciągał się imponujący widok na szerokie, czyste ulice miasta, minarety, świątynie, ociekające bogactwem rezydencje arystokracji i wijące się bez końca rzędy kramów na placach targowych. Szczególne wrażenie sprawiał królewski pałac, wyrastający z okalającego go pysznego ogrodu otoczonego wyniosłym murem, poprzecinanego szpalerami drzew owocowych, krzewów i rabatami wspaniałych kwiatów, pośród których beztrósco szemrały sztucznie utworzone strumyki i radośnie tryskały liczne fontanny.

Nad tym wszystkim wisiała szkarłatna cytadela, niczym posepny kondor pochylony nad bezbronną ofiarą, pogrążony w cichej, złowróźbnej medytacji.

Potężne bramy flankowane przez olbrzymie wieże zewnętrznego muru otworzono z głuchym łoskotem i król wjechał do swej stolicy w asyście rycerzy w lśniących zbrojach, na powitanie których zabrzmiało pięćdziesiąt trąb, śląc w niebo powitalną pieśń. Tłumy jednak nie wyległy na ulice, by

wyściełać różami drogę królewskiego rumaka. Strabon przybył znacznie szybciej niż wiadomość o wygranej bitwie, dlatego mieszkańcy Khorshemish, zajęci swoimi sprawami z niepokojem zerkali na królewską kolumnę nie mając zielonego pojęcia czy jej niespodziewany powrót oznacza zwycięstwo, czy klęskę ich władcy.

Działanie wywaru z purpurowego lotosu z wolna mijało, dlatego Conan mógł unieść głowę z podłogi wozu i przypatrzeć się cudom miasta, które powszechnie nazywano Królową Południa. Nie tak dawno chciał wmaszerować do miasta na czele swoich słynnych pancernych chorągwi z wielkim sztandarem Akwilonii ze złotym lwem powiewającym mu nad głową. Zamiast tego, przekroczył miejskie bramy ciśnięty na podłogę wozu, jako bezwolny jeniec skuty łańcuchami i odarty ze zbroi. Nie mógł, chociaż chciał, powstrzymać falę szyderczego śmiechu, cisnącego mu się ma usta, który jednak dla powożących wozem żołdaków zabrzmiał jak pomruk rozdrażnionego lwa.

ROZDZIAŁ DRUGI

*Baśń o prawie boskim dała ci koronę,
A ceną mojej były ręce skrwawione.
Tron, który zdobyłem krwią i potem,
na Croma, nie będzie sprzedany
Za obietnice dolin pełnych złota
lub za groźby z Piekieł Bramy.*

(Droga Królów)

W cytadeli, w obszernej komnacie zwieńczonej granitową, bogato rzeźbioną kopułą i niezwyklej urody portykami wysadzanych lśniąco czarnymi klejnotami, odbywało się właśnie dziwne zebranie. Conan, król Akwilonii, stał twarzą w twarz ze swymi pogromcami, brocząc krwią z licznych nieopatrzonych ran. Po jego bokach w pełnej gotowości pełniło straż ponad dwudziestu muskularnych i czarnoskórych olbrzymów dzierżących w dłoniach wielkie, misternie zdobione halabardy. Tsotha-lanti stał wprost przed nim, za plecami maga zaś wygodnie rozłożyli się na masywnych, wykładanych aksamitem niskich leżankach Strabonus i Amalrus, odziani w niespotykane drogie, obsypane złotem i wysadzone różnej maści kamieniami szlachetnymi, szaty. Każdemu z nich usługiwał młody, nagi niewolnik, dbając o to, by ich panom nie zabrakło wina w wyciętych z szafiru pucharach.

Conan w żadnym razie nie pasował do tego towarzystwa – ponury, okrwawiony, odziany jedynie w przepaskę na biodrach, a do tego skuty łańcuchami, miotał gromy spod zmarszczonych brwi, tonących pod burzą czarnych, rozczochranych włosów spadających na niskie, szerokie czoło, z twarzą, w której błękitne oczy kłuły wszystko wokół czystą i dziką wściekłością. Wydawał się górować na obecnymi samą tylko szczerością i prostotą miotających nim emocji, które przyćmiły kiczowaty przepych obu królów. Oni zaś, w skrytości ducha, doskonale zdawali sobie z tego sprawę, i, mimo dumy wyrytej na ich twarzach oraz otaczającej aury splendoru, siedzieli niepewnie w pełni świadomi nieokiełznanej siły drzemiącej w tym olbrzymim ciele.

Tsotha-lanti zaś wydawał się zupełnie tym wszystkim nie przejmować.

– Szybko i skutecznie potrafimy spełniać nasze życzenia, królu Akwilonii – rzekł po długiej ciszy mag. – A naszym życzeniem jest poszerzenie granic cesarstwa Koth.

– I dlatego ostrzycie sobie zęby na moje królestwo? – warknął wściekle Conan.

– Twoje królestwo? – odparował Amalrus. – Przecież ty jesteś nikim więcej jak cholernym przybłędą, który usadził to barbarzyńsko dupsko na tronie mordując kogo popadnie, już nie wspominając o tym, że do tego tronu masz takie same prawa, jak inny, pierwszy lepszy, zawszawiony, a do tego tępy barbarzyńca. My jesteśmy jednak wspaniałomyślni i możemy zaofiarować ci naprawdę stosowną rekompensatę...

– Rekompensatę? – ryknął basowym śmiechem Conan. – Ile, twoim zdaniem, kosztuje infamia i zdrada? Mam się zgodzić, bo jestem zawszawionym barbarzyńcą, więc można kupić moje życie i honor, a przy okazji i moje królestwo wraz z ludnością, za kilka garści złotych monet? Ha! Oświeć mnie, jak ty i ten utyłany w gównie wieprz o czarnym ryju, doszłicie do władzy! Wasi ojcowie żyły sobie wypruwali, by podarować swoim synalkom korony na złotej tacy. To, co odziedziczyliście bez kiwnięcia palcem, może z wyjątkiem wytrucia kilku członków najbliższej rodziny, ja wywalczyłem sam! Siedzicie obydwaj na aksamitach i jedwabiach, żłowiąc wino wyrabiane w pocie czoła przez waszych poddanych i gładzicie o świętym prawie dziedziczenia! Wspiąłem się na tron z czeluści pierwotnego barbarzyństwa, przelewając obficie zarówno krew moich wrogów, jak i własną. Jeśli któryś z nas ma jakiegokolwiek prawo do władania ludźmi, to, na Croma!, tą osobą jestem ja! Królowie, kurwa, od siedmiu boleści ze zdolnościami do rządzenia, jak koń do grania na harfie! Zastałem Akwilonię przygniecioną buciorem podobnej wam świni, która też genealogię swego rodu wywodziła sprzed tysięcy lat. Królestwo zmierzało ku katastrofie, rozszarpywane przez idiotyczne wojenki między baronami, a mieszkańcy cierpieli z powodu krwawego ucisku, wysokich podatków i bezwzględnie ściąganych danin. Dziś żaden akwiloński baron nie śmie podnieść ręki nawet na najmniej znaczącego człowieka, a podatki są najniższe na świecie. A wy? Twój brat, Amalrusie, dzierży w łapskach wschodnią część Ofiru i najchętniej ściałby ci łeb i naszczał do twej czaszki. Nawet teraz, Strabonusie, najemnicy, których tak chętnie najmujesz, bezskutecznie oblegają zamki tuzina zbuntowanych baronów.

W waszych królestwach poddani uginają karki od złodziejskich podatków, a wam i tak mało: chcecie złupić i moich poddanych. Gdybym tylko miał wolne ręce, to roztrzaskałbym wam te puste łby, a mózgi rzucił psom na pożarcie!

Tsotha-lanti uśmiechnął się zjadliwie, widząc wzbierającą w obu władcach wściekłość.

– Dziękujemy za pouczającą lekcję historiozofii, ale my nie o tym chcieliśmy z tobą pokonwersować, bo nic ci do naszych zamierzeń i dalekosiężnych planów. Twoja wielka odpowiedzialność i królowanie dobiegną końca z chwilą podpisania tego pergaminu, który głosi, że oto abdykowałeś na rzecz księcia Arpello z Pelli. Wtedy dostaniesz konia, rynsztunek i pięć tysięcy złotych lunas, a na dodatek, by włos ci z głowy nie spadł, będziesz eskortowany aż do wschodniej granicy.

– A tam mnie zostawicie dokładnie w takiej samej sytuacji, jak wtedy, gdy po raz pierwszy przekroczyłem granicę Akwilonii, by zaciągnąć się do tamtejszej armii. Tylko że tym razem będę nosił piętno zdrajcy! – basowy śmiech Conana zabrzmiał jak krótkie warknięcie głodnego wilka. – Zatem, Arpello? Domyśliłem się już wcześniej, że wybieriecie tego rzeźnika z Pelli. Nie możecie kraść i rabować otwarcie, tylko potrzebujecie takiej gównianej wymówki? Arpello doszukuje się w swoich żyłach wątych śladów królewskiej krwi i pewnie dlatego ma być waszym figurantem! Chcecie rozpirzyć moje królestwo rękami tego bęcwała? No to prędzej spotkamy się w piekle!

– Ależ z ciebie kretyn! – wykrzyknął zdenerwowany Amalrus. – Jesteś naszym więźniem i w każdej chwili możemy pozbawić cię zarówno korony, jak i życia!

Conan zaszczycił króla odpowiedzią, której żaden spisany podręcznik nie uznałby ani za wytworną, ani, tym bardziej, za królewską, bo tak naprawdę dzika i nieokiełznana barbarzyńska natura nigdy nie nagięła się do sztywnych ram pompatycznego dworskiego ceremoniału. Mówiąc krótko, Cymmeryjczyk porządnie odcharknął i splunął Amalrusowi prosto w twarz. Król Ofiru, chwytając w dłoń krótki miecz, zerwał się na równe nogi i z wściekłym wrzaskiem furii skoczył ku Conanowi. W jednej chwili Tsotha-lanti stanął na drodze furiata.

– Chwileczkę, Wasza Wysokość! To jest mój więzień!

– Z drogi, czarnoksiężniku! – wycharczał Amalrus, doprowadzony do białej gorączki pełnym szyderstwa spojrzeniem błękitnych oczu

Cymmeryjczyka.

– Powiedziałem: dość! – wykrzyknął Tsotha-lanti z rzadkim u niego gniewem.

W mgnieniu oka z szerokiego rękawa tuniki wystrzeliła szczupła dłoń i nagle twarz Amalrusa spowił dziwny obłok pyłu. Władca Ofiru rozziewając krzyknął i zachwiał się na nogach, wypuszczając z odrętwiałej dłoni miecz. Trzymając się za twarz, opadł z powrotem na leżankę. Królewska gwardia nawet nie mrugnęła okiem, a Strabonus nagle postanowił ugasić pragnienie, chowając głowę za wielkim pucharem.

Po chwili Amalrus odjął dłonie od twarzy, potrząsając energicznie głową. Powoli jego oczy odzyskiwały normalny wyraz.

– Nic nie wiedzę! – zajęczał. – Coś ty mi zrobił, czarowniku?

– Nic wielkiego – warknął Tsotha-lanti, zrzucając na chwilę maskę szanowanego dostojnika i ukazując swe prawdziwe, odrażające oblicze. – To była łagodna lekcja w temacie, kto tu tak naprawdę rządzi. Strabonus wie o tym od lat, przyszła zatem twoja kolej. Poczestowałem cię pyłem, który swego czasu wpadł w moje ręce w uroczym stygijskim grobowcu. Jeśli sypnę ci nim po oczach raz jeszcze, będziesz ślepcem do końca życia.

Amalrus wzruszył ramionami, uśmiechnął się pojednawczo i sięgnął po puchar, próbując za wszelką cenę zamaskować przerażenie i strach. Należał do ścisłej czołówki wytrwanych dyplomatów cywilizowanego świata, toteż szybko potrafił odzyskać, choćby pozorny, spokój.

Tsotha-lanti spojrział na Conana, któremu nawet brew nie drgnęła podczas oglądanych wydarzeń. Na skinienie maga rośli strażnicy chwycili więźnia i wyprowadzili z komnaty, idąc za magiem. Przeszli pod zwieńczonymi ostrym łukiem drzwiami, wchodząc do krętego korytarza, którego podłogę wyłożono wielobarwną mozaiką, ściany ozdobiono złotymi i srebrnymi ornamentami, z wysklepionego zaś sufitu zwieszały się szczerozłote kadzielnice, zasnuwające wąskie pomieszczenie gęstymi, aromatycznymi chmurami dymu. Następnie skręcili w węższy korytarz obity płytami z jaspisu i czarnego marmuru, mroczny i ponury, zakończony odlanymi z brązu wrotami, nad którymi w przeraźliwym uśmiechu szczyrzyła pożółkłe zęby odrażająca ludzka czaszka. Stał tam z pękiem kluczy tłusty, czarnoskóry mężczyzna o odpychającej powierzchowności – niewolnik Tsothy-lanti, najwyższy rangą eunuch, niejaki Shukeli, o którym po królewskim pałacu krążyły najgorsze z możliwych opowieści, bowiem słynął z dzikiego wręcz zamiłowania do zadawania najbardziej wymyślnych

i okrutnych tortur, by zaspokoić swe chore żądze. Za drzwiami wąskie schody wiodły w dół, jakby sięgały podstawy wzgórza, na którym wzniesiono szkarłatną cytadelę. Grupa podążała nimi niespiesznie, aż w końcu dotarła do żelaznych wrót, niespodziewanej grubości i nadto solidnych. Choć nie prowadziły na zewnątrz, sprawiały wrażenie zbudowanych tak, by powstrzymać uderzenie wielkich taranów i innych maszyn oblężniczych.

Shukeli otworzył drzwi, stanął w ich progu i ustąpił miejsca więźniowi wraz z pilnującymi go strażnikami, którzy nagle, co Conan zauważył kątem oka, zrobili się nerwowi i zaniepokojeni. Ta niewytłumaczalna nerwowość najwidoczniej udzieliła się także eunuchowi, bo gdy wejrzał w ciemność panującą za drzwiami zadrżał na całym ciele. Zaskoczony Cymmeryjczyk zobaczył, że w niewielkiej odległości od progu znajduje się jeszcze jedna przeszkoda: wielka krata z potężnych i grubych prętów, opatrzona niezwykle wymyślnym, niepotrzebującym klucza zamkiem, który można było otworzyć wyłącznie z zewnątrz. Nagle krata wsunęła się bezgłośnie w ścianę do specjalnie zaprojektowanej szczeliny.

Ruszyli dalej i minawszy drzwi, a potem kratę, znaleźli się w kolejnym, tym razem szerokim korytarzu wydrążonym w litej skale. Conan doskonale wiedział, że znajdują się głęboko pod ziemią, znacznie poniżej podstawy wzgórza, na której pobudowano cytadelę. Lepka i wilgotna ciemność ustępowała przed światłem pochodni niesionej przez eunucha, jakby była żywym stworzeniem, umykającym przed otwartym ogniem.

Strażnicy szybko i sprawnie przykuli Conana do stalowego pierścienia głęboko osadzonego w skale. W niewielkiej niszy nad jego głową umieścili pochodnię i dzięki temu barbarzyńca stał teraz w kręgu wąskiego światła. Zauważył, że naprawdę się spieszyli, coraz częściej spoglądając z przestrachem w otaczający grupę mrok i szepcząc coś między sobą podnieconymi głosami.

Tsotha-lanti jednym gestem nakazał im opuszczenie pomieszczenia, co też uczynili spiesznym krokiem, tłocząc się w drzwiach i przepychając w pośpiechu, jakby obawiali się, że otaczająca ich ciemność zaraz przyoblecze kształt jakiejś bestii i rozerwie im gardła.

Tymczasem mag odwrócił się twarzą do Conana i ten zauważył, że oczy Tsothy-lanti lśnią w półmroku, a jego śnieżnobiałe zęby połyskują w ciemności, niczym kły wilka.

– W takim razie, pora się pożegnać, barbarzyńco! – dźwięcznym i pewnym siebie głosem drwił mag. – Mam do załatwienia sprawę w Shamar, czyli, jak wiesz, muszę pomóc w zdobyciu miasta. Za dziesięć dni stanę z moją armią w twoim pałacu w Tamarze. Mam coś przekazać twoim kochankom, zanim zedrę z nich żywca skóry na oprawę moich ksiąg, opisujących wielkie zwycięstwo Tsotha-lanti?

Conan ryknął jak ranny mamut, rzucając w powietrze najgorsze, jakie mu przyszło do głowy, cymmeryjskie przekleństwo, a zrobił to z taką siłą, że zwykłemu człowiekowi popękałyby bębniaki w uszach. Tsotha-lanti jednak tylko zaśmiał się szyderczo i wyszedł. Nim mag ominął kratę i wyszedł przez żelazne drzwi, barbarzyńca uchwycił jeszcze zarys chudej sylwetki przypominającej sępa. Wtem grube wrota zatrzasnęły się z hukiem i wokół zapanowała niczym niezmacona cisza.

ROZDZIAŁ TRZECI

*I tak przez Bramy Piekła wyszedł Lew
Na jego drodze zaległ smętny cień,
Bezimienny kształt, co wielu znękał,
Potwory o ociekających szczękach,
Ciemność zadrgała od krzyku i wycia,
Kiedy Lew wrócił z Piekła do Życia.*

(ze starej ballady)

Conan szarpnął z całych sił łańcuchem, sprawdzając wytrzymałość stali, a także uważnie zbadał pierścień osadzony w skale, do której był przymocowany. Ręce miał co prawda wolne, ale widział, że krępujące go kajdany są zbyt mocne nawet dla niego, nic mu było po legendarnej sile. Ogniwa łańcucha miały grubość jego kciuka, a przytwierdzono je do pierścienia szerokiego i grubego na prawie pół cala. Sama waga tego łańcucha mogłaby przygnieść, a nawet zabić, niejednego człowieka. Spojenie łańcucha z pierścieniem, zwyczajowo najsłabsze miejsce, tym razem wykonano tak starannie, że nawet porządne rąbnięcie młotem kowalskim na niewiele by się zdało. Conan pomyślał o jeszcze jednej możliwości, ale pierścień osadzony w murze, przeciągnięty był przez skałę, a jego zakończenie po drugiej stronie z pewnością dobrze zamknięto.

Cymmeryjczyk zaklął jak niepyszny, a gdy mimochodem spojrzął w ciemność napierającą ze wszystkich stron na wąły krąg światła pochodzący z wiszącej mu nad głową pochodni, obudziły się w nim wszystkie pierwotne przesady i obawy, niepoddające się twardej logice cywilizowanych krain. Jego wyobraźnia, a i nie małe doświadczenie w tym zakresie, zaludniły mrok wokół niego upiornymi kształtami, ponadto doskonale wiedział, że Tsotha-lanti nie wtrącił go do tego lochu, by trzymać w odosobnieniu, wszakże nie miał ku temu żadnego sensownego powodu. Conan zrozumiał, że przygotowano tu dla niego, niemal na samym dnie ziemi, prawdziwy koncert okrutnych tortur. Z każdą chwilą coraz bardziej przeklinał swoją głupotę i upór, przecież mógł przyjąć ich haniebny układ, potem wykiwać, lub przynajmniej spróbować, a dzięki temu miałyby szansę

jakiegokolwiek działania, a tak tkwił w tej norze. Wiedział jednak, że gdyby złożono podobną ofertę raz jeszcze, odpowiedziałby to samo, co wtedy w komnacie, nie miał bowiem zamiaru za żadne skarby świata sprzedać swych poddanych słynącemu z głupoty i okrucieństwa Arpellowi z Pelli. Tak to, podbijając upadające królestwo powodowany tylko i wyłącznie żądzą zysku, on – awanturnik o rękach splamionych krwią – niespodziewanie odkrył i zrozumiał, czym jest odpowiedzialność monarchy za własne państwo i poddanych.

Conan pomyślał o odrażającej groźbie Tsothy-lanti i aż zawył z palącej serce nienawiści, doskonale wiedząc, że nie były to strachy na lachy. Ludzie dla maga znaczyli tyle, ile małe bezbronne robaki dla badającego je mędrca. Te wszystkie wspaniałe kobiety... te delikatne, smukłe alabastrowe dłonie pieścące z oddaniem jego ogorzałą od słońca, poraną bliznami skórę; te ociekające karminem, pełne słodkości usta składające na jego wargach ogniste pocałunki; te rozpalone namiętnością, tonące w nektarze pożądania wzgórki rozkoszy... Wszystkie one miały zostać żywcem odarte z delikatnej skóry, białej niczym kość słoniowa i różowej niczym pąki najdelikatniejszych róż... Z gardła Conana wydobył się tak potworny ryk wściekłości, tak nieludzki wrzask pełen furii i nienawiści, że zmroziłby krew w żyłach nawet samemu władcy wszystkich piekieł.

Głuche, potężne echo zagrało w ciemności, sprowadzając Conana z powrotem do rzeczywistości i zmuszając do ponownego przemyślenia swojego położenia. Zerknął w mrok z niepewnością i obawą, mając w pamięci wszystkie mroczne opowieści zasłyszane przez lata o okrucieństwie maga, a wtedy zimny pot spłynął mu w dół kręgosłupa. Wiedział, że Tsotha-lanti uwięził go w legendarnych Salach Grozy, gdzie mag przeprowadzał najobrzydliwsze eksperymenty na ludziach, zwierzętach, a nawet – jak twierdzili niektórzy – demonach, mając głęboko w poważaniu wszelkie prawa natury. Po królewskich dworach i zapyziałych karczmach plotkowano, że szalony poeta Rinaldo osobiście odwiedził to miejsce, a Tsotha-lanti pokazał gościowi wszystkie najohydniejsze plugastwa i niewyobrażalne potworności, opisane później ze szczegółami przez wierszokletę w słynnym poemacie *Pieśń lochu*. Jak się zatem było łatwo domyślić, przedstawione tam sceny bezceństwa, tortur i wszelkich okropności nie zrodziły się wyłącznie w chorej wyobraźni autora. Wyobraźni, co ważne, którą szlag trafił, gdy pewnej nocy Conan rozłupał pocie czerep, bo temu szajba musiała odbić kompletnie, gdy

wykoncypował sobie, że chce być władcą Akwilonii i na czele skrytobójczego oddziału, rzucił się na Cymmeryjczyka. Poety nie było już wśród żywych, ale słowa jego wiekopomnego dzieła cały czas brzmiały w uszach króla, przykutego grubym łańcuchem do skalnej ściany.

Nagle Conan zamarł, bo usłyszał cichy, ale z wolna narastający szelest. Wytężył słuch do granic wytrzymałości i poczuł jak pazury lodowatego strachu szarpią mu wnętrzności. Nie miał żadnych wątpliwości, bezbłędnie bowiem rozpoznał odgłos wydawany przez oślizgłe łuski na zimnym kamieniu. Poza kręgiem wątego światła wypatrzył ledwie zarysowany, kolosalny kształt i choć na razie nie mógł dostrzec żadnych szczegółów, to i tak był zwyczajnie po ludzku przerażony. Kształt uniósł się w górę, kołysząc olbrzymim cielskiem i wlepiając w człowieka żółte, odrażające ślepia. Stopniowo przed oczami Conana zaczął wyrastać olbrzymi trójkątny łeb, a z ciemności wypełzła powoli rosnąca z każdą chwilą niemożliwa do pojęcia góra mięśni.

Cymmeryjczyk w życiu widział wiele ogromnych węży, ale zdawały się niczym więcej jak marnymi pokurczami przy tym pełznącym gigancie. Od głowy większej niż koński łeb po czubek ogona bestia mierzyła co najmniej osiemdziesiąt stóp. W mdłym i słabym świetle jej białe jak śnieg łuski lśniły chłodem śmierci. Gad zapewne wykluł się w tej ciemnicy i tutaj osiągnął takie rozmiary, ale, wbrew pozorom, na pewno nie był ślepy – skąpane w beznamietnym okrucieństwie ogromne ślepia lśniły żądzą mordy i zaspokojenia głodu. Ułożył swe tytaniczne cielsko tuż przy Cymmeryjczyku i uniósł wielki łeb, kołysząc nim zaledwie kilka cali od jego twarzy. Ohydny, rozwidlony jęzor, wysuwający się rytmicznie, nieomal ocierał się o usta króla, a niemiłosiernie śmierzący oddech przyprawiał o rozrywające ciało nudności. Olbrzymie ślepia patrzyły wprost w oczy Conana, a ten walczył z napędzaną pierwotnym instynktem przemożną chęcią, by pochwycić w swe mocarne dłonie kołyszącą się mu tuż przed twarzą grubą szyję gada. Będąc silniejszym ponad wyobrażenie przeciętnego człowieka, ukręcił kiedyś łeb olbrzymiego pytona po epickiej batalii stoczonej na jednym ze stygijskich wybrzeży w latach, gdy jeszcze bawił się w pirata. Jednak wijące się przed nim cholerstwo nie dość, że było gigantyczne, to jeszcze, jak na złość, jadowite. Conan widział bardzo dobrze białe, długie na ponad stopę kły, wygięte niczym szable, z których kapłała bezbarwna, mętna wydzielina. Pierwotny instynkt, bezbłędnie

zawsze wyczuwający wszelkie niebezpieczeństwo, nie pozostawiał żadnych wątpliwości: to był jad.

Cymmeryjczyk wiedział, że mógłby zapewne huknąć desperackim ciosem pięści w odrażający łeb i powalić bestię, ale wiedział też, że pierwsze drgnięcie jakiegokolwiek mięśnia będzie jego ostatnim, bo gad zaatakuje szybciej niż błyskawica. Trwał tak więc bez ruchu, choć rozum szalał pod czaszką wrzeszcząc, by sprowokował gadzinę i zakończył sprawę, która i tak wydawała się przesądzona. Jednak instynkt przetrwania zadziałał szybciej i silniej, sprawiając, że Conan stał sztywno, tak nieruchomo, iż przypominał raczej odlany z brązu posąg niż żywego człowieka. Bestia jednak nie zaatakowała, jej uwagę przykuł płomień pochodni. Uniosła cielsko, a głowa gada zawisła nad barbarzyńcą – wąż z zainteresowaniem badał, najwyraźniej nieznanne sobie zjawisko. Wtedy kropla jadu spadła na nagie udo Cymmeryjczyka, który pouczył, jakby ktoś wbił mu w nogę rozżarzony do białości sztylet. Ból był nie do zniesienia, przed oczami zobaczył wirujące krwistoczerwone plamy, a mimo to nie drgnął; ani jeden mięsień, ani jeden dreszcz, ani nawet powieka nie okazały ogromu doświadczanego cierpienia. Do końca życia nosił na udzie paskudną szramę, pamiątkę po tym pocałunku śmierci. Gad nieustannie kołysał się nad nim, chcąc mieć pewność, czy aby na pewno w tej nieruchomej postaci nie tli się najsłabsza choćby iskierka życia.

Wtedy nieoczekiwanie do uszu Conan dobiegł dźwięk otwierania wielkich żelaznych wrót. Wąż kierowany typowym dla swego gatunku instynktem, zwinął się z zaskakującą szybkością i odpełzł, niknąc w mroku. Wrota pozostały otwarte, gdy krata wsunęła się w szczelinę w skale, a po chwili w wejściu stanęła wysoka, nadzwyczaj dobrze zbudowana, ciemna postać, oświetlona światłem pochodzącym z zatkniętych w zewnętrznym korytarzu pochodni. Człowiek ów śmiało wszedł do środka i minawszy kratę zasunął ją nieco, dbając, by nie zatrasnął się zamek. Gdy stanął w półkołu światła rzucanego przez pochodnię, Conan ujrzał olbrzymiego, zupełnie nagiego, czarnoskórego mężczyznę, trzymającego w jednej ręce pęk kluczy, a w drugiej słusznych rozmiarów miecz. Przemówił gardłowym dialektem, rozpowszechnionym wśród mieszkańców dalekiego południa, który Cymmeryjczyk poznał, gdy jako pirat plądrował wybrzeża Kush.

– Od dawna chciałem cię spotkać, Amro.

Conan uniósł w zdziwieniu brwi: „Amra”, czyli „Lew”, było jego przydomkiem z odległych czasów, nadanym mu przez mieszkańców Kush.

Mężczyzna uśmiechnął się paskudnie, odsłaniając rząd równych, białych zębów, a w uśmiechu tym nie czaiło się nic przyjaznego, podobnie jak i w lśniących w blasku pochodni, krwistoczerwonych oczach.

– Bardzo wiele zaryzykowałem, by odbyć to spotkanie! Spójrz, oto klucze do twych łańcuchów. Podwędziłem je Shukeli. Co mi za nie zaoferujesz? – zapytał, potrząsając pękiem z kluczami przed twarzą Conana.

– Dziesięć tysięcy złotych lunas! – wypalił w pośpiechu król, czując przypływ ożywczej nadziei.

– Za mało! – wykrzyknął czarnoskóry olbrzym, a jego twarz rozpromieniło czyste podniecenie. – O wiele za mało, jak na takie wielkie ryzyko! Bestie Tsothy-lanti mogą w każdej chwili wypełznąć z ciemności i pożreć mnie, zamiast ciebie. Jeśli zaś Shukeli odkryje, że podprowadziłem mu klucze, to obwiesi mnie za jajca. Nowa propozycja?

– Piętnaście tysięcy złotych lunas i wielki pałac w Pointain – warknął Conan.

Mężczyzna krzyknął radośnie i zabawnie podskoczył, dając upust swojemu szczęściu na iście barbarzyńską modłę.

– Ha! A ja chcę więcej! – wrzasnął. – Jeszcze więcej! Gadaj, co mi dasz?

– Ty czarny kundlu! – Conan spurpurowiał z wściekłości i furii, piorunując czarnoskórego niewolnika morderczym wzrokiem. – Gdybym tylko był wolny, podarowałbym ci twoje własne łajno wciśnięte w te twoje zafajdane usta! Shukeli cię przysłał, aby ze mnie drwić?

– Eunuch nic nie wie o naszym spotkaniu, cholerny białasie! – syknął niewolnik, wyciągając szyję tak, by spojrzeć Cymmeryjczykowi prosto w oczy. – Znam cię od dawna, jeszcze z czasów, gdy byłem wodzem wolnego plemienia, zanim pojмали mnie Stygijczycy i sprzedali w niewolę. Pamiętasz masakrę Abombi? To wtedy ty wraz z bandą piratów wtargnęliście do miasta, wyrznięliście wszystkich w pień, a przed pałacem króla Ajagi z zimną krwią zamordowałeś, a właściwie zaszlachtowałeś jak tłustą świnię, jednego wodza, drugi cudem uszedł z tej rzezi. Tym, który miał pecha, był mój brat, a tym, który uciekł, byłem ja! A teraz nadeszła chwila zemsty! Chcę twojej przeklętej krwi, Amro!

– Cholera, uwolnij mnie, a dostaniesz tyle złota, ile sam ważysz! – rzucił zdesperowany Conan.

W odpowiedzi przekrwione oczy mężczyzny błysnęły zwierzęcym, dzikim płomieniem, a jego zęby zaśniły niczym obnażone kły wilka

w księżycową noc.

– Jesteś, białasie, taki sam, jak reszta twojej cholernej rasy, myślisz, że za złoto odkupisz winy i zmyjesz krew z rąk, ale dla czarnoskórego człowieka złoto to nic nie warta błyskotka, która nigdy nie wynagrodzi śmierci niewinnych! Ja żądam tylko jednego: twojej głowy!

Ostatnie słowa niewolnik wyrzeszczał w opętańczym podnieceniu, wzbudzając w ciemnościach huczące echo. Conan stęzał w przekonaniu, że za chwilę zostanie zarżnięty jak bezbronne cielę, gdy niespodziewanie ponad ramieniem czarnoskórego mściciela ujrzał niewyraźny zarys gigantycznego cielska, kołyszącego się wolno w hipnotycznym tańcu.

– Mag nigdy się nie dowie! – ryczał ze śmiechu niewolnik, zbyt upojony triumfem i zaślepiiony nienawiścią, by dostrzec nadpełzającą śmierć. – On tu nie zejdzie, póki demony nie obgryzą twojego ciała do kości, a później nie wywleką resztek z łańcuchów. Tak czy inaczej, będę miał twoją głowę, Amra!

Czarnoskóry mężczyzna stanął na szeroko rozstawionych nogach, masywnych niczym obsydianowe kolumny, i uniósł nad głowę ciężki miecz, a potężne mięśnie zagrały pod hebanową skórą, lśniąca od potu w świetle pochodni.

Wtedy gigantyczny cień kołyszący się za jego plecami zaatakował z przerażającą skutecznością. Olbrzymia klinowata głowa huknęła ofiarę z taką siłą, że aż po lochu i korytarzach wydrążonych w litej skale poniosło się echo. Z grubych, nagle sinoczerwonych, szeroko rozwartych w agonalnym grymasie warg nie wydobył się najlżejszy nawet dźwięk. Conan zdołał jedynie spostrzec, jak z chwilą uderzenia z szeroko rozwartych w bezgranicznym zdumieniu oczu, uchodzi życie tak szybko, jak gaśnie zdmuchiwany płomień świecy. Odrzucone impetem ciosu ciało rąbnęło bezwładnie o kamienną posadzkę i legło wzdłuż korytarza, ale tylko na chwilę, bo w mgnieniu oka tytaniczne, oślizgłe gadzie cielsko zamknęło w potwornym uścisku smakowity kąsek, zasłaniając lśnącymi splotami hebanową postać. Conan usłyszał, jak z ohydny trzaskiem pękają kości, miażdżone z niewiarygodną siłą.

Wtedy jego serce zabiło mocniej.

Z martwej dłoni niewolnika wypadły miecz i naręcze kluczy, odbijając się od kamiennej posadзки. Szczęśliwym zrzędzeniem losu, klucze wylądowały tuż przy jego stopach. Conan schylił się, mając nadzieję, że zdoła je podnieść, ale łańcuch był o kilka cali za krótki. Czując walące

w piersi serce, zsunął z prawej stopy sandał, wyciągnął się jak struna i delikatnie pochwycił cenne znalezisko palcami, następnie zgiął kolano, podniósł klucze i pochwycił kurczowo, w ostatniej chwili powstrzymując ciskający się na usta okrzyk radości. Po chwili zmagania z zamkami wreszcie był wolny. Podniósł leżący opodal miecz i badawczo rozejrzał się wokoło. Wszędzie panowały ciemności, w których przed chwilą zniknęła bestia wlokąc zmiażdżone i zakrwawione truchło, ledwie przypominające ludzkie ciało. Obrócił się na pięcie i w kilku potężnych susach dopadł drzwi, gdy nagle lepki mrok rozciął szyderczy śmiech, a krata opadła mu tuż przed nosem. Zza stalowych prętów ujrzał wykrzywioną ohydny grymasem tłustą facjatę eunucha Shukeli, który podążył śladem skradzionych kluczy. Upojony odniesionym triumfem nawet nie zauważył miecza w barbarzyńskiej dłoni, a Conan zaatakował z szybkością wściekłej kobry. Tubalny, obleśny rechot w jednej chwili zamienił się w przedśmiertny skowyt agonii, gdy ostrze śmignęło pomiędzy prętami. Shukeli zgiął się w pół, jakby w parodii ukłonu oddawanego swemu zabójcy i rąbnął o posadzkę niczym wielka beczka sadła, na próżno usiłując powstrzymać zalewające mu dłonie parujące wstęgi jelit.

Conan warknął z nieukrywaną uciechą, obnażając zęby w szerokim uśmiechu, niemniej wciąż miał jeden, podstawowy problem: nadal był więźniem. Trzymał w dłoni klucze, ale w tej chwili bezużyteczne, bo zamek otwierało się z zewnątrz, a ponadto wystarczył jeden dotyk żelaznych prętów i już wiedział, że mógłby w nie walić mieczem choćby i tydzień bez widocznego rezultatu, co najwyżej wyszczerbiłby ostrze. Nagle jego palce napotkały coś niespodziewanego i szokującego – wyraźne, głębokie rysy na prętach, przypominające ślady po ugryzieniach wielkich kłów. Zadrzał mimowolnie, bowiem nawet nie potrafił sobie wyobrazić, co za gigantyczne monstra nieznane światu zewnętrznemu byłyby w stanie tak bardzo uszkodzić grube jak ludzkie ramię stalowe sztaby. Kwestia należała do pytań retorycznych, wiedział, że i tak nie znajdzie na nie odpowiedzi, zresztą, nie bardzo miał na to ochotę. Wrócił do miejsca swej kaźni, zabrał pochodnię i ruszył w dół korytarza, dzierżąc w dłoni miecz. Po wężu i jego ofierze nie było śladu, jeśli nie liczyć krwawego szlaku na kamiennej posadzce, prowadzącego w mrok, gdzie bestia zniknęła ze swoim posiłkiem.

Ciemność, niczym wytrwany drapieznik, skradała się wokół na bezszelestnych łapach, ledwie przeganiana migotliwym płomieniem

poходni. Po obu stronach korytarza widział liczne, ziejące mrokiem otwory, ale konsekwentnie trzymał się środka korytarza, bacznie obserwując posadzkę i uważając, by nie zlecieć do jakiegoś dołu lub studni. Wtem usłyszał mknące poprzez ciemność żalosne zawodzenie kobiety.

„Kolejna ofiara maga”, pomyślał, przeklinając Tsothę-lanti soczystą wiązańką. Idąc za szlochem, skręcił w boczny korytarz, niski i wilgotny, wiodący nie wiadomo gdzie. Im bardziej się w niego zagłębiał, tym głos przybierał na sile. W pewnej chwili uniósł nieco wyżej pochodnię i dostrzegł niewyraźny kształt. Postąpił jeszcze kilka kroków i nagle zatrzymał się w miejscu, by nie potknąć się o tłuste cielsko rozciągnięte w poprzek korytarza. Kształt falował, jakby co chwila zmieniał formę, choć w pierwszym odruchu przywiódł na myśl Conanowi wyjątkowo wielką ośmiornicę, choć zdeformowane macki były ewidentnie za krótkie, by dźwigać okazałe cielsko, które drżało jak galareta, samym swoim widokiem przyprawiając o mdłości. Z tego obrzydliwego, monstrialnego worka wnętrzości wystawała niby ropusza głowa i Cymmeryjczyk z przerażeniem odkrył, że przejmujące kobiece zawodzenie dobywało się pomiędzy obleśnych, sinoczarnych warg. Spojrzenie wielkich, ruchliwych ślepi spoczęło na barbarzyńcy, a jęk cierpienia przeszedł w przeraźliwe i obleśne crescendo smagającego drwiną śmiechu. W tej samej chwili galaretowata masa ruszyła niezgrabnie w jego kierunku.

Conan obrócił się na pięcie i pognął przed siebie, nie wierząc w skuteczność miecza. Może i monstrum zostało poczęte z ziemskich pierwiastków, jednak już samo spojrzenie na to coś, tak głęboko wstrząsnęło jego świadomością, że z miejsca zwątpił, by stalowe ostrze mogło uczynić mu cokolwiek złego. Jeszcze przez dłuższy czas słyszał ciągnące za nim odgłosy ni to człapania, ni to pełzania, którym towarzyszył przeraźliwy chichot, tak bardzo ludzki w swojej naturze, że o mało nie doprowadził go do szaleństwa. Raz jeden jedyny słyszał dokładnie taki sam chichot, który wtedy dobywał się z lubieżnych warg dziwek z Shadizar, Miasta Ladacznic, gdy na targowiskach podczas aukcji zdzierano szaty z młodych niewolnic, obmacując je bezwstydnie, aż do upodlenia. Conan nawet nie próbował zgadnąć, jaki to rodzaj magii posłużył Tsotha-lanti do stworzenia tak odrażającej poczwary, ale przeczuwał, że jej istnienie przeczy wszystkim odwiecznym prawom natury.

Ruszył pędem w kierunku głównego korytarza, nim jednak do niego dotarł, wbiegł do niewielkiej, kwadratowej komnaty, do której wpadały dwa

inne korytarze. Kątem oka zauważył jakieś niepozorny, niewielki kształt na podłodze, ale zanim zdążył zwolnić czy zmienić kierunek, zawadził stopą o coś miękkiego, co nagle przeraźliwie pisnęło, a on runął jak długi, wypuszczając z ręki pochodnię, która, upadając na posadzkę, zgasła. Ogłuszony podniósł się z trudem i po omacku macając dłonią, szukał drogi powrotnej, bo chciał dotrzeć do głównego korytarza. Nie mógł się zdecydować, w którą stronę powinien ruszyć. Zupełnie stracił orientację. Pochodni nie szukał, bo wiedział, że nie mając krzesiwa i tak jej ponownie nie roznieci. W końcu doczłapał do ściany, wstał, odnalazł wyloty dwóch korytarzy i zdał się na łut szczęścia, wybierając jeden z nich. Jak długo kroczył przez atramentową ciemność, nie wiedział, gdy niespodziewanie instynkt ostrzegł go przed zagrożeniem.

Stanął w miejscu. Z początku miał tylko wrażenie, potem już pewność, że tuż przed jego nosem znajduje się skrywany przez ciemność brzeg głębokiej przepaści. Opadł na kolana i ostrożnie macając wokoło dłonią, doczłapał do krawędzi tajemniczej studni. Wtedy zrozumiał, że korytarz opadał pod kątem, by urywać się gwałtownie na skraju przepaści. Tak daleko jak potrafił, sięgnął w głąb spowitej mrokiem gardzieli. Wymacał oślizgłą, wilgotną, opadającą bez końca pionową ścianę. Sięgnął po miecz i wysunął przed siebie ramię prosto w ciemność, by się przekonać, że ledwie, bo ledwie, ale jednak, może dotknąć przeciwległego brzegu studni końcówką ostrza. Bez większego ryzyka mógłby ją przeskoczyć, tylko jaki miałby to sens, skoro i tak pomylił drogę, najwidoczniej bowiem główny korytarz leżał gdzieś za jego plecami. Pochłonięty myślami nagle wyczuł coś zastanawiającego, mianowicie lekki podmuch dochodzący z dna czeluści. Włosy stanęły mu dęba na głowie, bynajmniej nie z powodu ciągu powietrza targającego mu czarną czuprynę. Próbował oszukiwać sam siebie, że studnia musi być w jakiś niewytłumaczalny sposób połączona ze światem zewnętrznym, instynkt podpowiadał coś zgoła innego. Znajdował się przecież nie we wnętrzu wzgórza, a głęboko pod nim, znacznie poniżej poziomu miejskich ulic, zapewne gdzieś w czeluściach ziemi, zatem jakim cudem wiatr mógł w tym miejscu wiać od dołu? Niesiony przez ten podmuch odległy, ledwie co słyszalny łomot pulsował rytmicznie, dziwnie przypominając bębnienie tam-tamów gdzieś bardzo, bardzo głęboko...

Conan poczuł zimne dreszcze na plecach. Wstał, obrócił się na pięcie, ruszył przed siebie i... zamarł. Coś wpełzło, a może i wyleciało, ze studni. Nie miał pojęcia, co to mogło być. Ze wszystkich sił próbował przebić

wzorkiem otaczającą ciemność, cały czas wyraźnie wyczuwając ulotną, ledwie zauważalną, jednak nad wyraz konkretną, obecność tajemniczej postaci, która zdawała się być rozdrażniona obecnością człowieka. Nie czekał, co będzie dalej. Pognał z powrotem do wylotu korytarza i nagle ujrzał w oddali małą czerwoną iskierkę. Rzucił się w jej kierunku, nim jednak zdołał do niej dotrzeć, huknął głową o twardą ścianę. Przystanął ogłuszony, potrząsnął głową, spojrzął pod nogi i... zobaczył iskierkę u swych stóp. Była to upuszczona przez niego pochodnia. Płomień zgasł, ale końcówka smolnej szczapy żarzyła się jeszcze, napęniając serce barbarzyńcy otuchą. Z największą ostrożnością podniósł pochodnię i dmuchając z zadziwiającą delikatnością, rozdmuchał na nowo ogień. Odetchnął z prawdziwą ulgą, gdy poczuł na twarzy ciepło płomienia, a mrok wokoło niego nieco zelżał.

Znowu stał w kwadratowej komnacie i tym razem bez trudu rozpoznał właściwy tunel, którym trafił tu z głównego korytarza. Ruszył nim bez zbędnego marudzenia. Nagle płomień pochodni zafalował, jakby rozdmuchiwany przez niewidzialne usta. Po raz kolejny wyczuł obecność jakiejś mrocznej, złej inteligencji. Uniósł pochodnię, rozejrzał się uważnie. Nikogo nie zauważył, ale dałby sobie uciąć rękę, że coś, gdzieś, może tuż obok niego, wlatuje i opada, ociekając obleśnie śliną i obrzucając najgorszymi przekleństwami, których, co prawda, nie rozumiał, jednak podświadomie wyczuwał ich odrażającą naturę. Machnął na oślep kilka razy mieczem, mając wrażenie, że ostrze grzęźnie w gąszczu pajęczyn. Przestraszył się nie na żarty. Pobiegł przed siebie, cały czas czując na plecach niepojęty, palący skórę do żywego, śmierzdzący oddech.

Gdy w końcu wpadł do szerokiego korytarza, poczucie obecności „tego czegoś ze studni” zniknęło. Conan uznał, że ma dość podobnych spotkań i ruszył dziarskim krokiem, uważnie rozglądając się na boki, pewien, że wcześniej czy później z którejś mijanej wnęki wyskoczy na niego kolejne monstrum.

Tymczasem w przepastnym lochu nie panowała już złowroga cisza. Z bezdennych otchłani skutych mrokiem dobywała się istna symfonia najbardziej odrażających jęków, chichotów, skrzeków, warknięć i mlaśnieć. Niektóre przypominały obleśny rechot czy raczej skowyt głodnej hieny, przechodzący niespodziewanie w ludzką mowę, pełną bluźnierstw i wyzwisk. Kilkakrotnie słyszał wyraźnie ciche człapanie wielkich stóp,

a w wylotach bocznych korytarzy co rusz dostrzegał zarysy dziwnych kształtów: olbrzymich, mrocznych, skrzących się potwornością i ohydą.

Conan był pewien, że trafił do piekła, realnego, namacalnego piekła stworzonego przez Tsotha-lanti. Ale cieniste kształty nie wychylały odrażających łbów z bocznych korytarzy, choć Cymmeryjczyk doskonale słyszał zachłanne cmokanie oślizgłych, zaślinionych warg i czuł na sobie ich palące spojrzenia ślepi spragnionych krwi oraz mordy. I nagle wiedział, dlaczego.

Pochwycił zbliżający się za plecami dobrze znany sobie szelest łusek na kamiennej posadzce. W jednej chwili przypadł do ściany najbliższego bocznego tunelu i machnięciem ręki przydusił płomień pochodni. Usłyszał, jak wzdłuż korytarza pełźnie gigantyczny wąż, mocno ospały po ostatnim posiłku. Nagle coś w ostatniej chwili uskoczyło przed jego cielskiem i z piskiem strachu umknęło w mrok. W tej chwili Conan zrozumiał, że główny tunel należał do gada, był jego terytorium łowieckim, a wszelkie inne, nawet te najbardziej odrażające bestie w przestraszu ustępowały mu pola.

Wielka, pełzająca gadzina przerażała Cymmeryjczyka akurat najmniej ze wszystkich napotkanych tu istot. Czuł do niej niemalże sympatię, szczególnie, gdy wspomniał chichoczącą i zawodzącą galaretowatą masę, a także niewidzialne, a może pozbawione fizycznej formy, bluzgające przekleństwami monstrem, które wyskoczyło na niego ze studni. Wąż przynajmniej był stworzony z ziemskiej materii. Gigantyczna, śmiertelnie niebezpieczna, pełzająca zagłada, mogła w ostateczności po prostu Conana zeżreć, natomiast nie był pewien, czy inne potwory z tych lochów przede wszystkich nie żywiły się duszami nieszczęsnych ofiar, wywołując u nich najpierw szaleństwo.

Kiedy wąż odpełznął, Cymmeryjczyk na powrót rozniecił pochodnię i ruszył dalej korytarzem, podążając za bestią w rozsądnie bezpiecznej odległości. Nie uszedł jednak daleko, gdy usłyszał cieniutki jęk dochodzący z wylotu najbliższego bocznego tunelu. Nabyte latami doświadczenia poczucia ostrożności kazało stać mu w miejscu, jednak charakterystyczna dla barbarzyńcy wrodzona ciekawość okazała się silniejsza. Uniósł wysoko dopalającą się z wolna pochodnię i otoczony wątlym półkregiem światła wszedł w mroczną gardziel. Przygotowany był na każdy widok, ale to, co zobaczył, zupełnie zbiło go z tropu.

Zaglądał do przedziwnej, obszernej sali odgradzonej od korytarza gęsto rozmieszczonymi, zamocowanymi solidnie zarówno w posadzce, jak i w sklepieniu, grubymi żelaznymi prętami, tworzącymi w ten sposób całkiem okazałą celę. Na jej środku spoczywała postać – gdy Conan przyjrzał się jej dokładniej stwierdził, że to jest albo człowiek, albo ktoś, lub coś, do złudzenia człowieka przypominającego. Postać tkwiła nieruchomo w objęciach rośliny podobnej do winorośli, wyrastającej wprost ze skalnej posadzki. Pnącze aż ugięło się od liści dziwnego kształtu, obsypanych purpurowymi kwiatami, których kolor nie miał nic wspólnego z naturalną purpurą – ta skrzyła się krwistoczerwoną, ognistą czerwienią, jakby pochodziła z najbardziej plugawych otchłani piekieł. Zapętlone, mocne łodygi dusiły w potwornym uścisku nagie, nieludzko wychudzone ciało, niczym gorąca kochanka zlizująca zapach kochanka wilgotnym, drżącym z pożądania językiem. Jeden z wielkich kwiatów zwisał tuż nad ustami więźnia, z rozwartych warg dobywał się gardłowy, zwierzęcy jęk, a jego głowa, wykręcona pod nienaturalnym kątem, drżała od nieopisanego cierpienia. Szeroko rozwarte oczy spoczęły na barbarzyńcy, ale próżno było szukać w tych mętnych, zamglonych paciorkach odrobiny chociaż rozumu.

Po chwili wielki, purpurowy kwiat pochylił się i przycisnął swe płatki do rozwartych ust. Ciałem więźnia wstrząsnęły dreszcze bólu, a łodygi rośliny zafalowały, wibrując na całej długości, jakby właśnie doznawały eksplozji orgazmu. Tęcza zmieniających się kolorów spływała wzdłuż łodyg, a barwa liści stawała się coraz intensywniejsza i jadowitsza.

Conan nie rozumiał tego, co widzi, ale szybko pojął, że oto jest świadkiem jakiejś mrocznej, nieludzko okrutnej tortury. Ogrom doznawanego przez więźnia cierpienia, nieważne czy był człowiekiem czy demonem, poruszył barbarzyńskim sercem. Szybko odnalazł wejście do celi – małą furtkę między żelaznymi prętami, zamkniętą na masywną kłódkę. Szperał przez chwilę w niesionym przez siebie pęku kluczy i znalazł ten właściwy.

Gdy wszedł do środka, kwiaty rozwarły się szerzej jak kaptur kobry, łodygi, niczym macki ośmiornicy zafalowały groźnie, a cała roślina wychylną w jego kierunku. Już wiedział, że ma do czynienia z istotą obdarzoną świadomością, tajemniczą formą inteligencji przepełnionej złem i sadyzmem w czystej postaci. Roślina widziała go, słyszała i Conan odczuł emanującą z niej nienawiść tak intensywną, że prawie namacalną. Ostrożnie

podszedł bliżej i w gąszczu liści, kwiatów i łodyg wypatrzył główny pień, zaskakująco obszerny, grubszy niż jego mocarne udo. Nie zważając na ciskające się wokoło niego ze złowrogim sykiem pędy, jednym pewnym ciosem miecza przerąbał pień rośliny.

W przedśmiertnych konwulsjach roślina odrzuciła z impetem torturowanego nieszczęśnika w bok; jej łodygi wirowały, skręcały się i pętiły niczym wąż, którego przed chwilą skrócono o głowę, tworząc jedno, wielkie kłębowisko. Liście trzepotały jak szalone, kwiaty konwulsyjnie to otwierały się, to zamykały, aż wreszcie roślina legła na skalnej posadzce, rozciągnięta, bezwładna, a tęcze kolory zaczęły blednąć. W ostatnim akcie agonii z przerąbanego pnia wyciekła obficie biała, śmierdząca nieziemsko substancja.

Conan nie mógł oderwać wzroku od niezwykłego widowiska, gdy do rzeczywistości przywrócił go szmer za plecami. Obrócił się błyskawicznie na pięcie, unosząc miecz do cięcia i tak zastygł ponownie zdumiony, bo oto stał przed nim niedawny więzień zabójczych oplotów, wpatrując się w niego wyzierającymi z wymizerowanej twarzy oczami, które nie były już ani tępe, ani pozbawione wyrazu, tylko żywe, ciemne, skrzące się inteligencją. Osobnik miał głowę wąską, o wysokim, szlachetnym czole i rysach twarzy będących dowodem wielkiej mądrości. Był wysoki, smukły, miał drobne stopy i dłonie, a Conan nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ma do czynienia nie tylko z mędrce, ale i z prawdziwym arystokratą. Jednakże pierwsze słowa wypowiedziane przez nieznanego zaskoczyły barbarzyńcę.

– Który mamy rok? – spytał w języku mieszkańców królestwa Koth po mistrzowsku akcentując sylaby.

– Rok Gazeli, dziesiąty dzień miesiąca Yuluk – odparł zdziwiony Cymmeryjczyk.

– *Yagkoolan Ishtar!* – wykrzyknął z przejęciem nieznajomy. – Dziesięć lat!

Rozmasował skronie smukłymi palcami i wstrząsnął głową, jakby chciał rzucić z ciała oplątującą go pajęczynę.

– Wszystko jest jakieś zamglone, mało wyraźne... ale po dziesięciu latach tortur w samotności trudno oczekiwać, że umysł natychmiast zacznie sprawnie funkcjonować. Może więc zacznijmy powolutku. Powiedz mi, kim jesteś?

– Conan z Cymmerii, król Akwilonii.

W oczach nieznanego pojawiło się zaskoczenie.

– Doprawdy? Co się stało z Nemedidesem?

– Udusiłem złamasa, kiedy siedział na własnym tronie tej samej nocy, gdy zdobyłem stolicę Akwilonii.

Nieco naiwna nuta w odpowiedzi Conana wywołała wcale nie skrywany śmiech na twarzy nieznanego.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. Powinienem ci wpięć podziękować za oddaną mi przysługę. Na swoje usprawiedliwienie powiem, że jestem jak człowiek nagle wybudzony ze snu głębszego niż śmierć, wypełnionego najgorszymi koszmarami, lecz rozumiem jedno: to ty mnie uwolniłeś. Powiedz, proszę, dlaczego przerażałeś pień rośliny Yothga, zamiast wyrwać ją z korzeniami?

– Bo już dawno temu boleśnie się przekonałem, że lepiej nie macać rzeczy, których się nie rozumie.

– Godna pochwały przezorność, dobrze świadcząca o twojej mądrości – rzekł nieznanomy. – Gdybyś zdołał wyrwać Yothgę wraz z korzeniami, wywlókłbyś na powierzchnię rzeczy, przeciwko którym twój miecz okazałby się nieprzydatny, bowiem korzenie tej rośliny tkwią w piekle.

– Gadu gadu, a ja ciągle nie wiem, z kim rozmawiam – zaciekawiał się Conan.

– Znany jestem pod imieniem: Pelias.

– Że co? – wykrzyknął kompletnie zaskoczony Cymmeryjczyk. – Ten Pelias? Czarnoksiężnik? Zaprzysięgły rywal i wróg Tsotha-lanti, który zniknął ze świata żywych dziesięć lat temu?

– Niezupełnie ze świata żywych – mruknął Pelias z kwaśną miną. – Tsotha-lanti wolał zachować mnie przy życiu w łańcuchach gorszych niż przeżarte rdzą żelazo. Wrzucił mnie do tej jamy wraz z tym cholernym kwiatkiem, którego nasiona trafiły na naszą planetę z odległych otchłani czarnego kosmosu, a mówiąc konkretnie ze świata Yag i znalazły stosowną dla siebie glebę, gdzieś na dnie piekła wśród gnijącego tam pewnie ścierywa wielkich czerwi mroku. W uścisku tej demonicznej rośliny straciłem pamięć i zapomniałem o mej magii, tak zatem nie mogłem jej użyć, by się uwolnić. Całymi latami to kosmiczne cholerstwo wysysało ze mnie siły duchowe, czyniąc z mego mózgu naczynie równie puste, co pęknięty dzban. Dziesięć lat! O, Isztar, bądź dla nas łaskawa!

Conan nie miał pojęcia, co mógłby odpowiedzieć, tak więc stał w milczeniu ściskając w jednej dłoni pochodnię, a drugą opierając się na

rękojeści miecza. Z jednej strony był niemal pewien, że rozmawia z szaleńcem, z drugiej zaś w tajemniczych, ciemnych oczach nie tliła się najmniejsza iskra obłądu.

– Powiedz mi – zagadnął czarnoksiężnik – Tsotha-lanti przebywa teraz w Khorshemish? Nie, czekaj, nie musisz odpowiadać, czuję, jak powoli wracają mi moce i mogę czytać w twoich myślach, jak w otwartej księdze. Widzę wielką bitwę i ogarniętego szalem walki króla, zdradzonego i zapędzonego w pułapkę. Widzę też Tsotha-lanti pędzącego na rączym koniu ku rzece Tybor w towarzystwie Strabonusa i tego wymuskanego Amalrusa, króla Ofiru. Dobrze się składa, bo jestem jeszcze o wiele za słaby, by stanąć oko w oko z mym odwiecznym wrogiem. Potrzebuję więcej czasu na regenerację sił, dopiero wtedy odzyskam pełnię magicznej mocy. Zatem, przyjacielu, opuśćmy to śmierdzące ścierwem lokum.

Conan zabrzączał zniechęcony pękem kluczy.

– Łatwo powiedzieć... Krata odgradzająca nas od wrót jest zamknięta na zamek, który można otworzyć tylko z zewnątrz. Nie ma stąd przypadkiem innego wyjścia?

– Owszem, jest, ale wierz mi, żaden z nas nie chciałby z niego skorzystać, zwłaszcza, że wiedzie w dół, a nie do góry – zaśmiał się Pelias. – Nie martwy się jednak na zapas. Chodź, pokaż mi tę niezwykłą kratę.

Czarnoksiężnik ruszył śmiało przed siebie z początku kroki stawiając niepewnie, chwiejnie, jakby nie do końca ufając własnym nogom. Conan podążył za nim, a gdy doszli do głównego korytarza odezwał się z niepokojem w głosie:

– Ten tunel to teren łowiecki cholernie wielkiego węża. Uważajmy, byśmy nie wleźli mu prosto w paszczę.

– Znam go od dawna – odparł z pośępną miną Pelias. – Wiem, co potrafi, bo zmuszono mnie, bym oglądał, jak pożera moich dziesięciu akolitów. Zwie się Satha i pochodzi z bardzo, ale to bardzo zamierzchłej przeszłości. Ulubieniec Tsotha-lanti.

– Rozumiem, że mag wydrążył tę sieć tuneli, by trzymać w nich owoce swych chorych eksperymentów? – zapytał Conan.

– Ależ skąd, on ich nie wydrążył. Gdy trzy tysiące lat temu wznoszono Khorshemish, na wzgórzu i w jego okolicach znaleziono ruiny znacznie starszej osady. Król Khossus V, założyciel miasta, postawił swój pałac na wzgórzu, a kopiąc piwnice przypadkiem natknął się na przegrodzony kamienną ścianą korytarz. Jako że był człowiekiem nader ciekawskim,

kazał ścianę zburzyć i odkrył lochy, które w niezmienionej postaci przetrwały aż do dzisiaj. I pewnie nawet psa z kulawą nogą nie obchodziłby ten fakt, ale jego wielki wezyr pewnego dnia zginął tu w sposób tak makabryczny, że Khossus w panice kazał na powrót zamurować wejście. Ludziom sprzedano bajkę, jak to dzielny urzędnik państwowy uległ nieszczęśliwemu wypadkowi, wpadając głową w dół do głębokiej studni. Wkrótce kazał jednak zasypać piwnice i opuścił pałac, budując sobie nową siedzibę opodal miasta. Jakiś czas potem w panice opuścił i to miejsce, bowiem pewnego ranka znalazł na posadzce swej pilnie strzeżonej sypialni rozsypany czarny pył. Natychmiast kazał całemu dworowi opuścić Khorshemish i dał drapaka aż pod wschodnią granicę swego królestwa, gdzie pobudował nową stolicę. Przez wiele lat pałac stał opuszczony i popadał w ruinę. Kiedy Akkutho I postanowił przywrócić Khorshemis do dawnej świetności, pałac na wzgórzu przekształcił w fortecę. Przetrwała ona w doskonałym stanie, aż do czasów Tsotha-lanti, który przebudował ją ponownie i tak powstała Szkarłatna Cytadela, a przy okazji ponownie otworzył wejście do lochów.

– Nie wiem, co tutaj spotkało wielkiego wezyra, wiem za to, że Tsotha-lanti uniknął jego losu, a już na pewno nie zleciał głową w dół do żadnej studni, co najwyżej do jednej z nich opuścił się na linie na własne życzenie. Gdy wreszcie z niej wypełznął był odmieniony na twarzy, a dziwny wyraz oczu pozostał mu do dziś.

– Wiesz, widziałem ową studnię, czy sztolnię, jak chcą niektórzy, i powiem ci: za żadne skarby świata nie szukałbym tam mądrości. Co prawda jestem wielkim magiem, znacznie starszym niż się wydaje ludziom, ale też i człowiekiem. A jeśli interesują cię plotki na temat Tsotha-lanti, to ludzie powiadają, że pewnej nocy jedna tancerka, a może zwyczajna kurwa, zasnęła zdecydowanie za blisko przedludzkich ruin na wzgórzu Dagoth i zbudziła się ostro posuwana przez odrażającego demona. Owocem tego grzesznego bara-bara miała być przeklęta hybryda, nazywana przez ludzi Tsotha-lanti...

Pelias nie zdołał dokończyć zdania, bo Conan ostrzegawczo wrzasnął i gwałtownie odskoczył w tył, pociągając za sobą czarnoksiężnika. Dokładnie przed nimi kołysało się gigantyczne, białe cielsko Sathy, w którego żółtych ślepiach płonęła czysta nienawiść do wszystkiego, co żywe. Cymmeryjczyk postanowił zagrać *va banque* – napiął wszystkie

mięśnie, chcąc w szaleńczym wypadzie cisnąć w gardziel gada płonąca pochodnię, a potem zadać jeden jedyny skuteczny cios mieczem.

Wąż jednak w ogóle na niego nie zważał, wpatrując się w stojącego za nim Peliasa, który jak gdyby nigdy nic, stał ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami z paskudnym uśmiechem na ustach. I nagle płonąca w żółtych ślepiach bestii nienawiść zaczęła znikać, a na jej miejsce pojawiło się przerażenie. Conan zaniemówił z wrażenia, bowiem po raz pierwszy w życiu zobaczył taki wyraz oczu u dominującego drapieżnika. Tymczasem Satha błyskawicznie zwinął swe potworne cielsko, a uczynił to z taką szybkością, że mężczyźni poczuli na twarzach chłodny powiew. Po chwili gada pochłonęła ciemność.

– O żesz w mordę, co on takiego zobaczył, że się tak wystraszył? – spytał zdziwiony Cymmeryjczyk, zerkając z rosnącym niepokojem na towarzysza.

– Węże widzą to, czego oczy ludzi śmiertelnych nie mogą zobaczyć – wyjaśnił z zagadkowym uśmiechem Pelias. – Ty widzisz me ciało, on zobaczył mą nagą duszę.

Conan poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa, niczym wąż, pełźnie mu lodowate zimno i w tej chwili wcale nie był taki pewien, czy czarnoksiężnik jest tylko człowiekiem, czy raczej perfidnym demonem z dna samego piekła, który przybrał ludzką postać, by go omamić i przywieść do zguby. Może powinien potraktować go mieczem, wbijając ostrze aż po jelec w wychudzone plecy? Rozwahał intensywnie ten dylemat, gdy doszli do żelaznej kraty, której pręty odcinały się smukłymi liniami na tle światła płonących w zewnętrznym korytarzu pochodni. Trup Shukeli wciąż leżał wsparty o kratę, a wkoło niego szeroką kałużą rozlała się szkarłatna krew i długie wstęgi wnętrzości.

Ten widok musiał bardzo uradować Peliasa, bo roześmiał się szeroko i z ponurą satysfakcją.

– Na alabastrowe łądzwie Isztar, a któż to jest naszym odźwiernym?! – wykrzyknął. – Przecież to nie kto inny, jak szlachetny i dobry z natury Shukeli, skurwysyn, który obwiesił za nogi moich wszystkich wychowanków i żywcem obdzierał ich ze skóry! Zasnąłeś, drogi przyjacielu? Czemu leżysz sztywny jak kłoda z zapadniętym brzuszyskiem niczym u sprawionego wieprza?

– Nie żyje – mruknął Conan.

– Żywy czy martwy i tak nam otworzy kratę – zaśmiał się Pelias, po czym klasnął głośno w dłonie i zaintonował głosem o dziwnej barwie

ponurą intakcją. – Powstań, Shukeli! Wracaj tu do nas z piekła! Podnieś się z tej kałuży krwi i natychmiast otwórz wrota swoim panom! Wstawaj, rozkazałem!

Obrzydliwy i nieludzki jęk wystrzelił pod sklepienie lochu. Conan stanął jak wryty, włosy stanęły mu dęba, a krew w żyłach stężała. Truchło eunucha drgnęło raz, i drugi, poruszyło się niezgrabnie, ciągnąc za sobą opuchnięte dłonie. Bezlitosny, przepełniony okrucieństwem śmiech Peliasa, ostry niczym sztylet, ciął powietrze, towarzysząc niezgrabnym ruchom Shukeli, gdy podciągał się na prętach kraty. Pod Conanem ugięły się nogi, bowiem nigdy w swoim życiu nie widział tak makabrycznego przedstawienia. Oczy eunucha były szeroko otwarte, ale puste i zamglone, a z rozciętego wielkiego brzuszyska wylewały się wnętrzności, sięgając aż do podłogi. Jelita plątały się pomiędzy stopami ożywionego trupa, a ten poruszając się niczym wielka marionetka, doczłapał w końcu do zamka kraty i zwolnił blokadę. W pierwszej chwili Conan pomyślał, że jakimś cudem Shukeli jeszcze żyje, ale teraz nie miał już żadnych wątpliwości: wybebeszony eunuch był martwy od wielu godzin.

Pelias spokojnie wyszedł przez otwartą kratę, Conan zaś, ociekając lodowatym potem, poszedł jego śladem, ze wszystkich sił uważając, by nie dotknąć wiszącego na kracie ożywionego truposza, chwiejącego się na nogach ze spuszczoną głową, jakby kontemplował zawartość własnego, wylanego na posadzkę brzucha.

Czarnoksiężnik nawet się za siebie nie obejrzał, a Cymmeryjczyk, z trudem powstrzymując wymioty, podążył za nim. Przeszedł może z piętnaście kroków, gdy odwrócił się odruchowo, słysząc głuchy łoskot za plecami. Trup Shukeli leżał bezwładnie u stóp kraty.

– W końcu ten pieprzony sadysta na coś się przydał – rzucił krótko wielce zadowolony Pelias, nie kryjąc perwersyjnej przyjemności, a jednocześnie wielkodusznie udając, że nie dostrzega wyraźnego drżenia muskularnych ramion Conana. – Zrobił, co do niego należało i powrócił do piekła.

Czarnoksiężnik poprowadził na górę, stąpając po długich schodach i przez odlane z brązu wrota ozdobione ludzką czaszką. Conan mocniej uchwycił rękojeść miecza, spodziewając się wściekłego ataku rzeszy niewolników, ale ku jego zdziwieniu nie musiał nic robić, bo w cytadeli panowała niczym niezmacona cisza. Minęli czarny korytarz i weszli do drugiego, tonącego w oparach wonnego dymu dobywającego się ze

szczerozłotych kadzielnic zawieszonych pod sklepieniem. I ciągle nikogo nie spotkali.

– Niewolnicy i strażę zamieszkują inną część cytadeli – wyjaśnił Pelias. – Skoro Tsotha-lanti tego wieczoru wybył ze swych włości, towarzystwo pewnie śpi spite do nieprzytomności winem lub wywarem z kwiatów lotosu.

Conan wyjrzał przez wielkie ostrołukowe okno wykończone pozłaczonym parapetem, wychodzące na szeroki balkon i zaklął pod nosem, gdy ujrzał ciemnogrnatowe, rozgwieżdżone niebo. Do lochu wtrącono go wkrótce po wschodzie słońca, teraz było już dobrze po północy. Nie mógł pojąć, że tak długo siedział pod ziemią. Poczul palące pragnienie i szarpiący żołądek głód. Pelias zaprowadził go do kolejnej komnaty ze złotym sklepieniem i podłodze wyłożonej srebrem, której ściany z lapis-lazuli ostro kontrastowały z czarnym marmurem bogato zdobianym liczne drzwi prowadzące do innych pomieszczeń.

Pelias z głośnym westchnieniem ulgi padł na niską leżankę pokrytą delikatnym jedwabiem.

– O, bogowie!, nareszcie znów złoto i jedwabie! – zaśmiał się. – Tsotha-lanti świetnie udaje, że jest ponad wszelkimi przyjemnościami i rozkoszami ciała, ale to jakiś piekielny mieszaniec. Ja jestem człowiekiem z krwi i kości i pomimo mej wielkiej magicznej mocy uwielbiam komfort i cielesne rozkosze. Dlatego właśnie Tsotha-lanti mnie uwięził, gdy byłem najbardziej bezradny, czyli mówiąc dosadnie: leżałem schlany jak świnia przepysznym winem. To zawsze była moja największa słabość... Ech, wino, kobiety i śpiew... Cymmeryjczyku, zapamiętaj me słowa: wino to przekleństwo! Nawet teraz, gdy cię przed nim przestrzegam, ten trunek tu jest! Bądź łaskaw, przyjacielu, i napełnij mi puchar, tylko duży... Ach, nie, stój! Zapomniałem, że jesteś królem. Zatem ja ci usłużę.

– Srał pies na etykietę i ceremoniał – warknął spragniony Conan. Napełnił słusznych rozmiarów puchar i podał go Peliasowi, zaś sam przechylił dzban, pociągając sążnisty łyk wprost z naczynia. Podobnie jak mag, westchnął z rozkoszy.

– Ten fiut zna się na winie, jak mało kto – ocenił, wierzchem dłoni ocierając usta. – Ale, na Croma, Peliasie, będziemy tak siedzieć i czekać, aż ta spita horda wytrzeźwieje i postanowi poderżnąć nam gardła?

– Nie zamartwiaj się niepotrzebnie, przyjacielu – odpowiedział spokojnie czarnoksiężnik. – Chciałbyś może zobaczyć, jak się wiedzie Strabonusowi?

Błękitny płomień rozgorzał w oczach Cymmeryjczyka i ścisnął rękojeść miecza z taką siłą, że aż zbieleły mu kłykcie.

– Och, gdybym miał go teraz na końcu ostrza! – warknął rozmarzonym głosem.

Pelias podniósł z hebanowego stołu dużą, lśniąca kryształową kulę i oznajmił:

– Ten kryształ należy do Tsotha-lanti. Jest w nim tyle magii, co kot napłakał, właściwie to dziecinna zabawka, jednak bywa pożyteczna, gdy nie ma się czasu na poważną magię i zaklęcia. Spójrz, Wasza Wysokość, do środka.

Delikatnie położył kulę na stole przed oczami Conana. Ten wejrzał w zamglone wnętrze, które zdawało się żyć własnym życiem. Dziwna mgła wirowała, falowała, w końcu poczęła rzednąć coraz bardziej, aż wyłonił się z niej ostry, wyraźny obraz. Cymmeryjczyk bezbłędnie rozpoznał świetnie sobie znany krajobraz: rozległa równina wiodła ku szerokiej, krętej rzece, poza którą wypłaszczony teren nagle zmieniał się w labirynt niskich wzgórz i łagodnych pagórków. Na północnym brzegu wznosiło się otoczone solidnymi murami miasto, otoczone szeroką fosą łączącą się z dwóch stron z rzeką.

– Na Croma! – wykrzyknął Conan. – To Shamar! Te zawszawione kundle je oblegają!

Najeźdźcy zdążyli już przekroczyć rzekę, a teraz rozstawili namioty na wąskim wypłaszczeniu terenu pomiędzy wzgórzami a miastem. Żołdacy tłoczyli się pod murami, a ich zbroje połyskiwały niemrawo w świetle księżyca. Z murów posypał im się na głowy deszcz strzał i kamieni. Oblegający cofnęli się w popłochu, ale po chwili sformowali szyki na nowo i przypuścili kolejny szturm.

Conan miał na końcu języka jedno z wielu znanych sobie przekleństw, gdy obraz w kuli uległ zmianie. Z wielobarwnej mgły wychynęły strzeliste dachy pałaców i lśniąca złotem kopuły wyniosłych świątyń – król oglądał Tamar, swoją stolicę, w której panował istny chaos.

Przede wszystkim zobaczył zakutych w stal rycerzy z Pointain, najlepszych z najlepszych i najwierniejszych z wiernych, którym pod swoją nieobecność powierzył opiekę nad miastem, wyjeżdżających powoli przez główną bramę stolicy wśród wyzwisk, dzikich wrzasków i rzucanych przez wściekłych mieszkańców przekleństw. Oglądał zamieszki, bijatyki, napady i gwałty, a także liczne oddziały zbrojnych z pelijskimi insygniami na

tarczach, przejmujących władzę w mieście, obsadzających wartownice oraz strażnice. A ponad tym wszystkim majaczyła gdzieś ciemna, triumfująca twarz Arpella z Pelli... i wtem obraz w kuli zmatowiał, zafalował i znikł.

– A więc to tak? – warknął wściekły Conan. – Mój lud zdążył mnie już zdradzić!

– Niezupełnie – odpowiedział spokojnie Pelias. – Przekazano im wieść, że nie żyjesz, więc są zagubieni i zrozpaczeni. Nie mają teraz nikogo, kto obroniłby ich przed wrogiem zewnętrznym lub koszmarem wojny domowej. Żeby uniknąć zwyczajowej masakry podczas jatki o władzę, zwrócili się do najsilniejszego wielmoży, a Arpello był pod ręką i bez wątpienia jest najpotężniejszym księciem w centralnej prowincji. A ponadto mieszkańcy stolicy nie mają za grosz zaufania do Poitańczyków, pamiętając im jeszcze stare wojny.

– Gdy powrócę do Tamary, z Arpella, tego obszczańca, tego sadysty i kretyna, pozostanie bezgłowe ścierwo napchane psim gównem, gnijące sobie wolniutko na śmietniku tuż obok Wieży Zdrajców – wycedził przez zaciśnięte zęby, ledwie powstrzymując wybuch furii, Conan.

– Świetny plan, tylko że Strabonus będzie tam przed tobą – przypomniał mu Pelias. – A po drodze jego armia splądruje Akwilonię.

– To prawda! – Conan miotał się po komnacie, jak wściekły, zamknięty w klatce tygrys. – Nawet na najszybszym rumaku nie zdążę dotrzeć do Shamar przed południem, a i tak co najwyżej będę mógł zginąć z obrońcami, gdy miasto padnie, a padnie na pewno najdalej za kilka dni. Nawet gdyby zajeździć konie na śmierć i co kilka mil je zmieniać z Shamar do stolicy jedzie się co najmniej pięć dni. Zanim więc tam dotrę, zbiorę i wystawię armię, Strabonus będzie walił pięścią do bram miasta. A zebrać mi armię będzie trudno, bo pewnie na pierwszą wzmiankę o śmierci króla, arystokracja, wielmoże i baroni spieprzyli do swoich dóbr i siedzą cicho, jak mysz pod miotłą. Skoro, jak mniemam, mieszkańcy wypędzili Trocera z Poitanii, to nie ma tam nikogo, kto zabroniłby Arpello przejąć koronę i klucze do królewskiego skarbcza. Głowę daję, że ten arystokratyczny kutasina za ten marionetkowy tron zostanie wasalem Strabonusa, ale gdy ten tylko na chwilę straci czujność, spróbuje przejąć pełnię władzy i rozpęta bunt, a baronowie go nie poprą. Wtedy Strabonus dostanie świetny pretekst do zagarnięcia mojego królestwa w majestacie prawa. Na Croma, Ymira i Seta! Gdybym tylko miał skrzydła jak ptak, by popędzić jak błyskawica do Tamary!

Pelias siedział przy stole i wystukiwał paznokciami rytmiczną melodię o jadeitowy blat. Pogrążony we własnych myślach, zdawał się nie zwracać uwagi na wywody Conana, gdy nagle melodia zamilkła, a mag zerwał się na równe nogi i wyraźnym gestem nakazał, by Cymmeryjczyk poszedł za nim. Wyszli z przytulnej komnaty, weszli na marmurowe schody i zaczęli się po nich wspinać, by po dłuższej chwili stanąć na blankach najwyższej w całej cytadeli wieży.

Była noc, silny, porywisty wiatr targał czarną czupryną Conana. W dole, bardzo daleko, migotały nieruchome świetliki – światła Khorshemish, z pozoru bardziej odległe niż gwiazdy nad ich głowami. Pelias, czarna wychudzona postać na tle jaśniejącego księżyca, wyglądał na zamyślonego, nieobecnego duchem, ale w końcu się odezwał głosem dziwnie zmienionym, jakby dochodzącym z głębi jaskini.

– Są w tym wymiarze rzeczywistości istoty żyjące nie tylko na ziemi, czy w wodzie – mówił – ale też i w powietrzu, sięgające gwiazd, bardzo rzadkie, rozproszone po całej planecie, nieznanne zwykłym śmiertelnikom. Ale dla kogoś, takiego jak ja, znającego Słowa, Znaki i Wiedzę, za pomocą których można rządzić wszystkim – niegroźne, łagodne i posłuszne. Patrz i nie bój się!

Pelias wzniósł ramiona ku niebu i zaintonował przedziwny, długi okrzyk, rozchodzący się w atramentowej przestrzeni nocy, niczym niekończący się grzbiet potężnej fali, wibrujący i słabnący na przemian, ale przecież wyraźnie słyszalny, kto wie, może nawet w czerni niezbadanego kosmosu, pośród płonących żarem nieskończoności gwiazd i odległych, obcych dla zwykłego śmiertelnika planet. W ciszy, która zapadła, nagle Conan usłyszał bicie potężnych skrzydeł, dochodzące od strony gwiazd i stanął jak wryty, gdy z mroku wyłonił się czarny, w jakimś sensie podobny do nietoperza stwór, który łagodnie wylądował na blankach tuż obok niego. Barbarzyńca przyglądał się istocie w niemym zachwycie, bowiem było to stworzenie wielkich rozmiarów, o łagodnym, wręcz sympatycznym spojrzeniu spozierającym na niego lśnącymi od księżycowej poświaty i pełnymi mądrości oczami, ze skrzydłami o ponad czterdziestostopowej rozpiętości. „Ani to ptak, ani nietoperz”, pomyślał Conan.

Panującą ciszę przerwał Pelias.

– Dosiądź go i leć – powiedział. – Przed wschodem słońca będziesz w Tamar, stolicy królestwa Akwilonii.

– Na Croma! – wycedził zafascynowany Cymmeryjczyk. – To musi być jakiś sen! Pewnie zaraz obudzę się z tego snu we własnym łóżku, we własnym pałacu, we własnej stolicy! Co jednak stanie się z tobą? Nie mam zamiaru pozostawić cię tutaj samego, otoczonego przez wrogów.

– O mnie się nie martw – odparł Pelias. – O świcie mieszkańcy Khorshemish dowiedzą się, że mają nowego władcę. Pamiętaj, przyjmij z pokorą to, co ześlą ci bogowie! Niedługo spotkamy się na równinie pod Shamar. No, już, leć!

Conan niezgrabnie wdrapał się na pokryty dziwnie szorstką skórą grzbiet istoty i uchwycił się za jej wygięty kark, wciąż przekonany, że to tylko sen, bardzo namacalny, niemalże rzeczywisty, ale jednak tylko sen. Wtem z ogłuszającym łopotem gigantycznych skrzydeł tajemnicza istota wzbiła się w powietrze. Cymmeryjczyk spojrział w dół i dostał zawrotów głowy: gdzieś, tam w dole, ledwie widoczne, migotały z każdą chwilą mniejsze światełka Khorshemish. W końcu zniknęły zupełnie, a wtedy, pośród szumu wichru, tylko atramentowa czerń nocnego nieba inkrustowanego pobłyskującymi klejnotami gwiazd, przypominała mu, że oto on, Conan z Cymmerii, król Akwilonii, pędzi właśnie szybciej niż najszybszy rumak na skrzydłach nienazwanej istoty, na południe, ku stolicy swego królestwa.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Miecz, który zabija króla, przecina więzi spajające imperium.

(przysłowie akwilońskie)

Przez ulice Tamar przelewały się falujące tłumy wściekłego, wyjącego motłochu. Ludzie o twarzach wykrzywionych złością, strachem, a czasem zwyczajną paniką, potrząsali buńczucznie zużytą bronią, o przeżartych przez korniki trzonach i pordzewiałych ostrzach, a las zaciśniętych pięści wznosił się ponad głowami ogarniętego szaleństwem anarchii tłumu. Do świtu brakowało jeszcze godziny, a był to początek drugiego dnia po bitwie na równinie Shamu. Wydarzenia toczyły się z gwałtownością letniej burzy i szybkością błyskawicy, a to przyprawiało ludzi o zawrót głowy. Tylko sobie wiadomymi sposobami Tsotha-lanti rzucił w miasto wieść o porażce i śmierci króla zaledwie kilka godzin po bitwie, wywołując tym samym w stolicy pandemonium nieokiełznanej paniki i chaosu. Arystokracja co koń wyskoczy pognąła do swych włości, by strzec rodzinnych majątków przed zakusami sąsiadów. Dobrze zorganizowane przez Conana i świetnie działające królestwo w ciągu kilku godzin stanęło na krawędzi rozpadu. Bankierzy i kupcy struchleli ze strachu na myśl o pewnym, jak się wszystkim zdawało, powrocie feudalnych porządków. Mieszkańcy stolicy głośno domagali się obrania króla, który obroni królestwo przed wrogami zewnętrznymi, jak i przywoła do porządku rodzimą arystokrację. Hrabia Trocero, z woli Conana namiestnik Tamar, próbował, jak umiał, okiełznać rozgorączkowany motłoch i zaprowadzić na ulicach względny spokój. Po pierwsze, niewiele umiał w tym zakresie, a po drugie mieszkańcy stolicy nigdy nie zapomnieli, jak przed piętnastu laty podczas jednej z licznych wówczas wojen domowych, zdobył miasto i krwawo rozprawił się z jego obrońcami. Narastające z każdą chwilą plotki twierdziły, że Trocero zdradził króla i szykuje się do splądrowania miasta. Spuszczone ze smyczy dyscypliny najemne żołdactwo zaczęło sobie bezceremonialnie poczynać, szlachtując bezbronych kupców na progach ich domów oraz gwałcąc każdą mieszczkę, którą spotkali.

Tym razem hrabia wykazał się inicjatywą i doświadczeniem. Przeciwno rozpasanej hordzie najemników rzucił oddziały królewskiej gwardii, która szybko i sprawnie wyrznęła co bardziej krewkich żołdaków, ścieląc ich porąbanymi ciałami ulice miasta, zmuszając pozostałych przy życiu do powrotu do koszar, a przede wszystkim aresztując przywódców. Niewiele to jednak zmieniło w wizerunku hrabiego – ludzie ciągle plotkowali na potęgę, biegali nie wiadomo gdzie i po co, niektórzy snuli plany o przejęciu władzy, a i tak koniec końców w mieście gruchnęła wieść, że zamieszki wywołane przez najemników to pomysł namiestnika, zrodzony dla jego osobistych korzyści.

W trybie natychmiastowym Trocero zwołał Radę Królewską z nadzieją na szybkie obranie nowego króla, będącego w stanie udźwignąć brzemie władzy. Jego plan powiódł się połowicznie, a na pewno nie w sposób, o którym marzył hrabia. Na zebraniu bowiem zjawił się niespodziewanie książę Arpello i oświadczył, że skoro umiłowany przez niego król Conan z Cymmerii nie miał syna, prawowitego następcy tronu, to on gotów jest wziąć na swe skromne barki ciężar sprawowania władzy, oczywiście tylko do czasu wyboru nowego króla. Książę może i był okrutnikiem oraz tępym sadystą, ale doskonale wiedział, w jaki sposób wywrzeć skuteczny nacisk na sparaliżowaną niemożnością podjęcia decyzji Radę Królewską. Podczas jej obrad, sownie opłaceni przez niego klakierzy wmieszali się w wielotysięczny tłum przed gmachem miejskiego ratusza, przypominając ludziom, że w żyłach księcia płynie królewska krew. Nie minęła godzina, jak członkowie rady nawet przez grube szyby w oknach sali obrad słyszeli wiwatujące tłumy na cześć księcia, którego zdążono już obwołać Wybawicielem.

Członkowie rady wzruszyli ramionami i skapitulowali, a Arpello z Pelli osiągnął swój cel.

W pierwszym odruchu Trocero odmówił przekazania funkcji namiestnika księciu, ale tłum falował, niczym wściekła bestia, a w stronę hrabiego i jego rycerstwa poleciały kamienie i końskie łajno. Widząc bezcelowość swojego oporu w starciu z całą armią zwolenników Arpello, aktualny jeszcze namiestnik cisnął okazałą buławą, symbolem namiestniczej władzy, prosto w wykrzywioną szyderczym uśmiechem twarz księcia, ostatnim rozkazem kazał powiesić prowodyrów buntu i na czele swoich piętnastu setek ciężkozbrojnego rycerstwa wyjechał z miasta przez południową bramę.

Gdy tylko za byłym namiestnikiem zamknięto bramy, Arpello zrzucił maskę Wybawiciela i pokazał swą prawdziwą twarz wygłodniałego i żądnego krwi wilka. Najemnicy pozbawieni dowódców nie wychylali nosów poza koszary, tak zatem jedyną realną siłą zbrojną w stolicy były oddziały księcia.

Arpello nie certolił się zanadto z przejęciem pełni władzy. Dosiadając wielkiego białego ogiera stanął na głównym placu i ogłosił się królem Akwilonii pośród aplauzu, wiwatów i dziękczynnych modłów zupełnie ogłupiałego sytuacją pospólstwa. Kanclerz Publius ostro sprzeciwił się temu bezprawiu, toteż wylądował od razu w najgłębszym lochu, by sprawę do końca przemyśleć. Kupcy, którzy z początku z westchnieniem ulgi i nadzieją przyjęli pojawienie się nowego władcy, struchleli, gdy poinformowano władze cechu o tym, że pierwszą decyzją monarchy jest nałożenie na nich morderczego podatku. Sześciu najbogatszych i najbardziej znaczących kupców wysłano do króla, by błagali o litość. Rozmowa była krótka i rzeczowa, Arpello kazał bez zbędnych ceregieli członków delegacji skrócić o głowę. Publiczna egzekucja wprawiła w przerażenie wszystkich zamożnych mieszkańców miasta. Wobec władcy, którego nie mogli kontrolować za pomocą ekonomii, musieli być posłuszni, padli więc na tłuste brzuchy, liżąc mu buty i błagając o litość.

Prostych ludzi nie obchodził ich los, mieli własne problemy. Szybko odkryli, że pod pozorem zaprowadzania w mieście ładu i porządku, pelliańskie regimenty, przeważnie pijane i niezdyscyplinowane, gwałcą i rabują na podobną skalę, jak zbuntowane oddziały najemników, a w okrucieństwie nawet je przewyższają. Przerażające skargi o ich poczynaniach zaczęły lawinowo spływać do Arpella, który tymczasem obrał za swą tymczasową siedzibę pałac wtrąconego do lochu kanclerza Publiusa, jako że zdesperowani członkowie Rady Królewskiej wraz ze swymi wojskami przejęli królewski pałac i stawiali próbującym go zdobyć oddziałom pelliańskim zaciekle i skuteczny opór. Arpello wściekły, że jeszcze nie zdobył pałacu króla w akcie bezmózgiej zemsty zajął letnią rezydencję Conana i dobrał się do rezydującego tam haremu Cymmeryjczyka.

Ludzie zgrzytali z bezsilności zębami na widok tego, jak żołdactwo księcia traktowało królewskie piękności z całego ówczesnie znanego świata: ciemnookie panny z Poitain, smukłe i czarnowłose zadziorne kocice z Zamory, Zingary i Hyrkanii, a także jasnowłose ponętne dziewczyny

z Brythunii, jednakowoż poniewierane, ponizane, szlochające, bo odwykłe od tak brutalnego traktowania.

Noc nakryła pogrążone w chaosie miasto peleryną gęstego mroku, gdy przed północą gruchnęła nowa wieść, w tajemniczy sposób pokonując z szybkością błyskawicy czas i przestrzeń, że armia królestwa Koth nie poprzestała na pokonaniu akwilońskiej jazdy w polu i właśnie dobija się do bram warownego Shamar. Mieszkańców stolicy ta wiadomość rozpałała do białej gorączki. Nikomu nie przyszło do głowy, by się zastanowić, jakim cudem wiadomości tak szybko docierają do miasta. Wzburzony tłum ruszył do siedziby samozwańczego króla z żądaniem, by ten zwołał armię, dosiadł konia, ruszył na południe i przepędził najeźdźców odrzucając ich daleko za Tybor. Arpello mógł spokojnie wytłumaczyć ludziom, że na razie żadnej armii nie powoła, póki zbuntowani arystokraci nie uznają go za prawowitego króla i nie ruszą pod Shamar ze swymi oddziałami. Mógł tak zrobić, ale tego nie uczynił – pijany władzą rozpędził mieszkańców nie przebierając w środkach jak i metodach.

Jakiś czas później młody student Athemides wdrapał się na kolumnę na placu targowym i popisując się wielkimi umiejętnościami oratorskimi, oskarżył Arpella o spisek ze Strabonusem, malowniczo i ze szczegółami uświadamiając ludziom, jak będzie wyglądało ich życie pod buciorem kothyjskiego jarzma z księciem w roli satrapy. Nim młodzian zdążył dokończyć, ludzie wyli, wrzeszczeli i kipieli z wściekłości i przerażenia. Arpello wysłał gromadę zbrojnych, by studenta pojmać, ale rozgorączkowana fala ludzkich rąk porwała i uniosła młodzieńca, obrzucając zbrojnych czym popadnie: kamieniami, deskami, zgniłymi jajami, a nawet, co odnotowano później w kronikach miejskich – zdechłymi kotami. Żołdactwo nie miało pojęcia, jak poradzić sobie w tej sytuacji, więc postąpiło po najmniejszej linii oporu: zasypało ludzi gradem strzał, a szarża konnicy zdziesiątkowała uczestników manifestacji. Studenta jednak nie ujęto, bo ten zdołał uciec za miasto. Od razu skierował swe kroki do zwijającego obozowisko hrabiego Trocero, by błagać byłego namiestnika o pomoc, odbicie stolicy z rąk księcia, a potem szybki marsz, by wesprzeć oblegane Shamar.

Athemides zastał hrabiego, gdy ten praktycznie gotów był do drogi, i wtedy też student dowiedział się, że Trocero pomaszeruje do Poitain, swoich rodzinnych włości, leżących daleko na południowo-zachodnim krańcu Akwilonii. Nie pomogły ani błagania, ani groźby, ani natchnione

patriotyczne perory rozgorączkowanego studenta, hrabia bowiem udzielił młodzieńcowi szybkiej lekcji politycznego realizmu. Trocero stwierdził, że nie ma wystarczająco silnej armii, by odbić stolicę z rąk Arpella nawet z pomocą mieszkańców, nie mówiąc już o walnej bitwie ze Strabonusem. Poza tym wojowniczy i zachłanni sąsiedzi chętnie splądrowali by Poitain, podczas gdy on walczyłby z Kothyjczykami. Skoro prawowity król nie żyje, każdy musi zadbać o siebie we własnym zakresie i dlatego rusza do swoich włości, bo tylko tam jest w stanie skutecznie walczyć z armią Arpella.

Kiedy Athemides ze wszystkich sił nakłaniał hrabiego do pomocy, wściekły motłoch szalał po mieście z bezradną furią. U stóp wysokiej wieży, wzniesionej tuż obok królewskiego pałacu, zebrał się wielotysięczny tłum ciskając najgorszymi obelgami i przekleństwami w samozwańczego króla, który z szyderczym uśmiechem na twarzy, stojąc na wieży, obśmiewał bezradność kotłującego się w dole motłochu. Na wszelki przypadek jego łucznicy obsadzili wszystkie okna i niby dla zabawy mierzyli w protestujących, a palce kuszników nerwowo pieściły spusty napiętych kusz.

Książę Pelli był masywnie zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu o ciemnej i surowej twarzy. Miał opinię skutecznego intryganta, ale nie stronił też od rozwiązań czysto siłowych, wszakże posiadał wcale nie małe umiejętności szermiercze. Teraz, na wieży, pod jedwabnym kaftanem z bufiastymi rękawami, nosił połyskujący złotem pancerz. Co prawda mocno uperfumowane długie czarne i trefione loki miał przewiązane misternie wyszywaną srebrną nicią opaską, ale przy pasie nosił przypasany pałasz o bogato inkrustowanej klejnotami rękojeści, który towarzyszył mu podczas licznych bitew i wojen.

– Głupcy! – wydierał się ile miał siły w płucach. – Wyjcie sobie, jeśli chcecie, chociażby i do końca świata! Conan nie żyje, teraz królem jest Arpello z Pelli!

Nowo obrany król bimbał sobie na zagrożenie ogólnokrajowym powstaniem. Wiedział, że ma wystarczająco liczną armię, by bez problemów utrzymać świetnie ufortyfikowane Tamar, aż do czasu nadejścia Strabonusa z odsieczą. Poza tym podzieleni, zwaśnieni baronowie i arystokraci tylko czekali na sposobność, by najechać i splądrować ziemie sąsiada. Akwilonia podzieliła się sama. W tej sytuacji jedynie musiał się liczyć z rozgorączkowanym tłumem, ale i na to znał sposób. Potem

przyjdzie poczekać na przybycie Strabonusa, którego pancerne chorągwie rozbiją w pył pojedynczych baronów, jak okuty żelazem dziób wojennej galery rozcina błękitne fale.

– Głupcy! To Arpello jest królem!

Spoza wschodnich wież miasta wstawało słońce. Na tle purpuroworóżowego nieba o brzasku nagle pojawił się maleńki, w oczach rosnący, czarny punkt. Najpierw miał rozmiar nietoperza, potem orła i rósł z każdą chwilą.

Tłum zamilkł, zmartwiały ze zdumienia, gdyż nad obronnymi murami Tamar śmignął stwór znany ludziom jedynie z na poły zapomnianych legend. Zawisł nad strzelistą wieżą, a z jego grzbietu zeskoczyła ludzka, dziwnie znajoma mieszkańcom stolicy sylwetka. Istota wzniosła się, machając z dostojnością swymi tytanicznymi skrzydłami i pośród ogłuszającego łopotu, uleciała w przestworza po chwili rozplywając się na niebie. Tłum zaś zastanawiał się gorączkowo, czy nie uległ zbiorowemu złudzeniu.

Nie było to jednak złudzenie, bo na blankach wieży stała ogromna, gigantycznie umięśniona, półnaga, a do tego skrwawiona postać, rytmicznie uderzająca o monstrualną dłoń wielkim, szerokim mieczem.

Wtedy ludzie zrozumieli, a z tysięcy gardzieli wzbił się ku niebu ryk radości o mocy zdolnej obrócić w perzynę najpotężniejsze mury świata.

– To król! To król!!!

Arpello zbaraniał, ale po chwili oprzytomniał, wrzasnął jak opętany i z mieczem rzucił się na Conana, który bez trudu sparował zabójczy sztych arpellowego pałasa, po czym odrzucił własny oręż i chwytając księcia jednocześnie za krocze i kark, uniósł go nad głowę, mimo że ten wił się jak węgorz wyciągnięty z wody.

– Zabierz swe spiski ze sobą do piekła! – ryknął i cisnął samozwańczym królem w otchłań rozciągającą się na ponad sto pięćdziesiąt stóp poniżej, jakby ten był bezwładnym workiem soli. Księżę spadał na łeb na szyję, wrzeszcząc w niebogłoso. Tłum cofnął się, widząc pikującego ufryzowanego mężczyznę. Ten rąbnął u stóp baszty w bruk z taką siłą, że eksplodował niczym napełniony wodą rybi pęcherz zrzucony z wysokiej góry, obryzgując najbliższą okolicę krwią, mózgiem i wnętrznościami, spoczywając w rozłupanym pancerzu niczym rozdeptany robak.

Łucznicy na wieży wpadli w panikę, porzucili swe stanowiska i chcieli uciec przez pałacowe ogrody, licząc, że zgubią ewentualną pogoń

w roślinnym gąszczu. Ich plany wzięły w łeb, gdy z zabarykadowanego królewskiego pałacu wypadły oddziały będące pod rozkazami Rady Królewskiej, które bez zbędnej zwłoki wyrznęły uciekających żołdaków.

Reszta oddziałów z Pelli poszła w rozsypkę, próbując znaleźć schronienie na ulicach miasta. Był to głupi pomysł. Wściekli mieszkańcy wyłapywali rycerzy jednego po drugim, zadając im śmierć okrutną i brutalną. Czasem pojedynczy człowiek wpadał w łapy rozgorączkowanego tłumu, a wtedy ten dosłownie rozszarpywał nieszczęśnika na strzępy. W stolicy wrzało. Gdziekolwiek jeszcze spośród czarnych czupryn wystawał samotny spiczasty szyszak, gdzieś miecz w desperackiej młócce wirował pośród przeżartych rdzą ostrzy włóczni, rohatyn, a czasem i zwyczajnych wideł, a ponad tym wszystkim unosił się wściekły ryk tłumu, błagania o litość, żądne zemsty i krwi wycie tysięcy gardeł, zagłuszające jęki agonii i przerażenia.

Wysoko ponad pandemonium chaosu stała na blankach półnaga postać z szeroko rozłożonymi ramionami, targana salwami basowego śmiechu, którego szydrczy wydźwięk kpił ze wszystkich: motłochu, książąt, arystokratów, baronów i władców, a nawet w samego siebie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

*Długi łuk, i mocny łuk, i niebo niech ciemnieje.
Król Koth na celu, drzewiec przy twarzy i grot na cięciwie.*

(z pieśni bossońskich łuczników)

Powoli zachodzące słońce grało feerią tęczy kolorów na spokojnych falach Tyboru, leniwie toczącego swe wody, opływając południowe bastiony twierdzy Shamar. Wykończeni i wymizerowani obrońcy doskonale wiedzieli, że niewielu z nich doczeka poranka, sycili więc swe oczy pięknym widokiem słońca po raz ostatni w życiu. Nie mieli żadnych szans, by powstrzymać przeprawę armii Strabonusa i Amalrusa przez rzekę. Saperzy wrogich oddziałów szybko i sprawnie złączyli ze sobą barki, tworząc w ten sposób stabilny most, po którym przemaszerowały pancerne zagony i zajęły wąski skrawek ziemi pomiędzy rzeką a murami miasta.

Strabonus był inteligentnym strategiem, dlatego nie odważył się wejść głębiej w akwilońskie granice, mając za plecami świetnie ufortyfikowane Shamar, którego ciężkozbrojne hufce mogły w każdej chwili odciąć go od linii zaopatrzenia. Z tego powodu w głąb wrogiego terytorium posłał kilka chorągwi lekkiej jazdy, by ta plądrowała, paliła i wyrzynała miejscową ludność, siejąc popłoch i strach, a sam zajął się szybkim budowaniem wielkich machin oblężniczych.

Amalrus przysłał całkiem sporą flotyllę opancerzonych łodzi, które cumowały na kotwicach w nurcie rzeki. Kilka z nich zatono po trafieniu wielkimi głazami miotanymi przez miejskie balisty, ale były to straty niewielkie i niemające większego znaczenia. Łodzie stanowiły ważny element strategii Strabonusa, bowiem z ich osłoniętych dziobów, pokładów i koszów na masztach chronionych lekkimi, ale wytrzymałymi słomianymi matami, nieustający ostrzał prowadzili łucznicy, trzymając w szachu wysunięte ku rzece baszty i strażnice. Tymi łucznikami byli Shemici, o których gadano, że rodzą się z łukami w rękach i nikt nie może się z nimi równać. Obrońcy Shamar boleśnie się teraz o tym przekonywali.

Od strony lądu kothyjska armia podciągnęła balisty, nie zapominając nawet o kuriozalnej swymi rozmiarami mangoneli. Machiny miotały ponad

murami głązy i ponabijane żelaznymi ćwiekami bale, które z łatwością burzyły domy i zabudowania, a ludzi zgniatały niczym bezbronne robactwo. Okute żelazem tarany nieustannie waliły w kamienne mury, saperzy w pocie czoła ryli w ziemi jak krety, podkładając raz za razem miny pod bastiony, baszty, szańce i mury. Z niemałym trudem atakujący przegrodzili fosę solidną tamą, a opustoszała z wody błyskawicznie wypełniła się głazami, ziemią i trupami ludzi oraz koni. Nieustająco u podstawy murów kłębiło się mrowie wojowników odzianych w kolczugi i zbroje, którzy, mimo ciskanych w nich z murów głazów, wylewanej wrzącej smoły, skryci za szerokimi tarczami robili wszystko, by zdobyć twierdzą: rąbali bramy, wciągali na hakach drabiny, pchali ku basztom drewniane wieże rojące się od piechoty i łuczników.

Obrońcy już stracili nadzieję na zwycięstwo, choć ciągle półtora tysiąca ludzi dzielnie broniło murów przed czterdziestotysięczną hordą oblegających. Shamar było najbardziej wysuniętą twierdzą i z głębi królestwa nie docierały tu obecnie żadne wieści. O jednym wszakże obrońcy wiedzieli doskonale: że król Conan nie żyje, bo informację tę okrzykiwano pod murami kilka razy dziennie, by złamać morale obsady miasta.

Jeszcze tylko dzięki potężnym murom i szaleńczej odwadze obrońców twierdza nie padła, ale ani mury, ani odwaga nie mogły na długo wystarczyć. Każdy średnio rozgarnięty strateg orzekłby, że los miasta jest przesądzony.

Duże fragmenty zachodniego muru zamieniły się w kupę gruzu, na której toczono bezwzględne walki wręcz. Inne odcinki chwiały się w posadach i pękały od min i podkopów, a ostrzeliwane nieustannie wielkimi głazami baszty właściwie już dawno powinny się zawalić.

Nadciągał kolejny szturm.

Zaryczały rogi, formacje sprawdzały szyk i porządek, świeżo pobudowane wieże oblężnicze, obciążone wilgotnymi byczymi skórami, powoli zaczęły się toczyć w kierunku murów. Pośrodku sunących armii obrońcy Shamar wypatrzyli dwa dumnie powiewające na wietrze sztandary: królestwa Koth i Ofiru, a przy nich, otoczeni szczelnym pierścieniem okutego w stal rycerstwa jechali: szczupły, odziany w złotą zbroję Amarus, krępy, masywny Strabonus noszący czarną, pełną płytę, a pomiędzy nimi widać było postać, która samym swoim imieniem budziła trwogę w sercach

najodważniejszych – odzianego w biel, chudego niczym głodny sęp, maga Tsotha-lanti.

Pikinierzy ruszyli z animuszem, płynąc ponad ziemią jak rzeka lśniącej w słońcu stali. Za nimi stępem jechało ciężkozbrojne rycerstwo, pochylając przyozdobione proporczykami kopie.

Obrońcy na murach głębiej nabrali powietrza w płuca i oddając się pod opiekę Mitry, ścisnęli mocniej rękojeście skrwawionych i wyszczerbionych mieczy.

I wtedy, w tej krótkiej chwili ciszy przed burzą, ponad tysiącami opancerzonych głów poniósł się narastający echem dźwięk rogu, a łomot podków zagłuszył z wolna narastający jazgot rozwijających się do ataku oddziałów. Armia najeźdźców maszerowała po szerokiej równinie od północnej strony ograniczonej przez pasmo niskich wzgórz, wznoszących się ku zachodowi jak stopnie olbrzymich schodów wiodących w głąb królestwa. Z tychże wzgórz właśnie teraz pędziły na złamanie karku, jak morska piana gnana sztormową falą, niedobitki lekkiej jazdy wysłanej przez Strabonusa w głąb Akwilonii z misją siania paniki i strachu. Nisko pochyleni w siodłach jeźdźcy nie szczędzili koniom batów, a za ich plecami, zza linii wzgórz, naraz wyrósł jak spod ziemi, skąpany w słońcu stalowy zagon, prący naprzód i miażdżący wszystko na swojej drodze. Nad głowami ciężkozbrojnej jazdy dumnie powiewał wielki królewski lew Akwilonii.

Obrońcy w jednej chwili doznali uniesienia, zapominając o zmęczeniu, ranach i beznadziejnym położeniu. Wrzeszcząc z radości, tłukli mieczami o nabijane ćwiekami pawęże, a mieszczanie, wszyscy, czy to nędzarze, czy bogacze, czy dziwki w krótkich, ociekających czerwienią sukienkach, czy dystyngowane damy odziane w jedwabie, oni wszyscy jak jeden mąż, padli na kolana, wyciągając ramiona ku niebu i dziękując Mitrze za ocalenie, niejednokrotnie ze łzami prawdziwej egzaltacji na twarzach.

Strabonus zdezorientowany i zaskoczony wykrzykiwał chaotyczne rozkazy, a jego namiestnik, Arbanus, próbował owe rozkazy wcielić w życie, zawracając w miejscu maszerujące hufce, by sformować szyk obronny przed uderzeniem ciężkiej konnicy i stawić czoła niespodziewanemu zagrożeniu.

– Spokojnie, nie ma co panikować, ciągle przewyższamy ich liczebnie, no, chyba że mają jakieś odwody poukrywane wśród wzgórz – mrucał sam do siebie coraz bardziej zaniepokojony Strabonus. – Łucznicy na wieżach

flankują i chronią środek zgrupowania przed niespodziewanym atakiem piechoty z Shamar. Zaraza, zaraz... Już ich poznaję, to rycerstwo z Poitain! Mogłem się domyślić, że ten stary pierdziel, Trocero, wpadnie na tak idiotyczny pomysł i poprowadzi tu swe pancerne chorągwie, by o jego chwalebnej, rycerskiej śmierci, pisano poematy i układano pieśni!

Amalrus przyjrzał się bliżej atakującym i nagle wydał okrzyk zdumienia:

– Widzę Trocero, jego przybocznego i kapitana, Prospero, ale kto, na wszystkie demony, galopuje między nimi!?!

– O, kurwa...! – zapał, nagle gwałtownie błędąc Strabonus. – To Conan!

– Co ty, na Isztar, pierdolisz!?! – syknął tak bardzo zaszokowany Tsotha-lanti, że aż uniósł się w siodle. – Conana wiele dni temu pożarł Satha!

Bluźnierstwa i przekleństwa maga ustały w jednej chwili, gdy dziko wytrzeszczając oczy na spływające ze wzgórz fala za falą chorągwie Akwilończyków, przekonał się, że wzrok go nie myli. Nie sposób było nie zauważyć, a już tym bardziej pomylić z kimkolwiek, gigantycznej sylwetki odzianej w czarną niczym obsydian, bogato zdobioną złotem i klejnotami zbroję, galopującej na olbrzymim karym ogierze pod łopoczącym sztandarem ze złotym lwem.

Tsotha-lanti eksplodował furją, jadowitą wściekłością i czystą nienawiścią, a w końcówkach jego ust pojawiła się piana, tak że mało nie opluł sobie brody. Strabonus jeszcze nigdy w życiu nie widział maga w takim stanie, toteż chyłkiem zszedł mu z drogi.

– To muszą być czary! – wrzeszczał jak opętany, szarpiąc w gniewie własną brodę. – Nie mógł przecież, po ucieczce z lochów, tak szybko przybyć do stolicy, a do tego jeszcze zebrać armię i przygalopować tu z ciężkozbrojną jazdą! Jak nic, to sprawka Peliasa! To jego dzieło! Trzeba było tego gnoja rzucić moim stworom na pożarcie, a nie bawić się w jakieś wymyślne tortury! Ależ ze mnie kretyn!

Strabonus i Amalrus zastygli w niemym zdziwieniu, gdy usłyszeli imię czarnoksiężnika, którego od lat uważali za trupa. Popłoch władców nie przeszedł bez echa w szeregach ich armii, tym bardziej, że już wszyscy rozpoznali pędzącego ku nim jeźdźcę na karym ogierze. Tsotha-lanti pierwszy zorientował się w sytuacji i z grymasem nie ludzkiej wściekłości na twarzy starał się opanować spanikowane formacje, które już zdążyły złamać szyki, odczuwając zabobonny wręcz strach przed legendarnym Cymmeryjczykiem.

– Wracać, kurwa wasza mać, do szeregu! – wrzasnął z furją, nie przebijając w słowach i wymachując wymownie chudymi ramionami. – Cały czas jesteśmy od nich silniejsi! Obiecuję wam, że jeszcze tego wieczora będziemy tego opijać nasze zwycięstwo w ruinach Shamar!

Dla dodatkowego efektu, wyciągnął ramiona ku niebu i egzaltowanym, przeraźliwie jadowym głosem mrozącym krew w żyłach nawet u Strabonusa, zawołał:

– O, Secie! Ześlij nam zwycięstwo, a przysięgam na życie, że na twoim ołtarzu złożę w ofierze pięćset dziewic z Shamar, skąpanych w ich własnej krwi!

Nim mag zdążył zakończyć przerażającą inkantację pancerne chorągwie akwilońskiej jazdy spłynęły ze wzgórz na równinę, ciągnąc za sobą jakby drugą armię, lżej uzbrojoną i słabiej opancerzoną lekką jazdę na szybkich jak wiatr i wytrzymałych jak skórzany rzemień bachmatach, która właśnie zaczęła formować bojowe szyki. Wytrzymałych na trudy koni dosiadali muskularni, przysadziści bossońscy łucznicy, mając u boku zapamiętałych w walce pikinierów rodem z Gunderlandii o płowych włosach, spływających falami na szerokie bary spod stalowych szyszaków.

Armia, którą prowadził teraz Conan, była jedną wielką zbieraniną sformowaną w kilka godzin po jego triumfalnym powrocie do Tamary. Dzieło rozpoczął od tego, że przepędził żądny krwawej zemsty motłoch spod miejskim murów, na których ufortyfikowały się nieliczne peliańskie oddziały. Żołdacy byli mu tak wdzięczni za uratowanie życia, że bez szemrania wstąpili w szeregi dopiero co reaktywowanej piechoty. Natychmiast także pchnął gońca z wiadomościami do Trocero, by ten nie zwlekając, zawrócił do stolicy. Tak ustanowił trzon swej armii i ruszył na południe, szukając po wsiach, siołach osadach, miasteczkach i miastach rekrutów zdolnych unieść miecz, pikę, włócznię, czy chociażby porządną drewnianą pałę. O, dziwo, nie miał z tym żadnych problemów, bo baronowie, lordowie, hrabiowie i cała ta pstrokata arystokratyczna horda oddawała mu pod komendę własne zastępy.

Conan doskonale wiedział, że nie stoi na czele armii z prawdziwego zdarzenia, a raczej napakowanej testosteronem i żadnej zemsty zgrai, ale za to o sile kutego żelaza. Prowadził prawie dwa tysiące ciężkozbrojnej, znakomicie wyszkolonej i wyekwipowanej jazdy, w przeważającej części pochodzącej z Pointain. Piechota liczyła cztery tysiące pikinierów i pięć tysięcy łuczników. Teraz jego oddziały na równinie formowały klasyczny,

trójliniowy szyk bojowy. W pierwszym szeregu stanęli łucznicy, w drugim pikinierzy, zaś za nimi, w trzecim – idąca stępa ciężkozbrojna jazda.

Arbanus, dowodząc wielkich talentów dowódczych i znacznego posłuchu wśród wojska, zgodnie z rozkazami błyskawicznie przegrupował oddziały obydwu władców. Obrońcy na murach miasta aż zadrżeli z przerażenia widząc, że przeciwko ich królowi maszeruje istny ocean połyskującej stali, mający miażdżącą przewagę liczebną. Na jego czele maszerowali shemiccy łucznicy, za nimi pikinierzy z Koth, a z tyłu zakuta w stal konnica Strabonusa i Amalrusa.

Strategiczny plan Arbanusa był prosty jak drut. Chciał samą liczebnością swojej piechoty rozrzucić na boki akwilońską piechotę, tym samym otwierając w jej szeregach wyłom dla szarzy ciężkiej jazdy.

I nagle wszystko się zaczęło.

Shemici wystrzelili pierwszą salwę z odległości pięciuset jardów, która przesłoniła niebo nad polem bitwy. Bossońscy łucznicy, zdobywający cenne doświadczenie przez setki lat w ciągłych wojnach z dzikimi Piktami, szli zwartym szykiem, bez względu na ponoszone straty. Było ich znacznie mniej niż Shemitów, których łuki szyły dalej, ale strzelali równie celnie jak oni, a ponadto przewagę liczebną równoważyło wyższe morale, lepsza organizacja i doskonałej jakości pancerze na tyle grube, że wystrzelone z dużej odległości shemiczne strzały nie mogły ich przebić. Gdy odległość między szeregami znacznie zmalała, Bossończycy napięli cięciwy i posłali w nieprzyjacielskie szeregi zabójczą salwę, kosząc szereg za szeregiem. Shemici chronieni byli znacznie lżejszymi pancerzami niż Bossończycy, toteż następująca po sobie jedna za drugą nawałnica strzał siała w ich szeregach prawdziwe spustoszenie. W końcu formacja pękła, a czarnobrodzi shemiccy łucznicy odrzucili łuki i w panice rzucili się do ucieczki, wprowadzając zamieszanie w szeregach idących za nimi w natarciu kothyjskich pikinierów. Ci, pozbawieni osłony własnych łuczników, padali jak muchy, jednak niestrudzenie parli naprzód, by jak najszybciej skrócić dystans do Bossończyków. Ich wysiłek okazał się daremny, bo nadziali się na najeżoną pikami, dziką, nieokiełznaną bestię – szeregi gunderlandzkich pikinierów.

Gunderlandia była najdalej na północ wysuniętą prowincją Akwilonii, a zamieszkujący ją lud, z powodu częstych wojen z Cymmeryjczykami, jak i surowego klimatu, niewiele dzikością odbiegał od barbarzyńskich

sąsiadów, a że w ich żyłach płynęła czysta hyboryjska krew, skorzy byli do wojaczki, odnosząc na tym polu niemałe sukcesy.

Kothyjska piechota, mocno przerzedzona bossońskim ostrzałem, wytrzymała uderzenie guderlandzkiego tarana co najwyżej przez chwilę. Wystraszona i osłabiona, poszła w rozsypkę, metodycznie dożynana przez pikinierów.

Strabonus ryknął z furii, widząc na własne oczy, jak unicestwia się jego piechotę. Nie wytrzymał, spanikował i wydał krótki, aczkolwiek zupełnie idiotyczny w tej sytuacji rozkaz szarży ciężkiej jazdy na pozycje wroga. Arbanus usiłował przemówić królowi do rozumu, pokazując palcem na reorganizujące się oddziały bossońskich łuczników, którzy zajmowali właśnie dogodne pozycje na wprost nieruchomej podczas starcia piechoty jazdy. Doradzał, by jak najszybciej wyprowadzić ciężkozbrojne rycerstwo poza zasięg łuków, ale Strabonus szalał z gniewu. Spojrzał po swoich zakutych w stal długich szeregach konnicy, potem z lekceważeniem na pancernych Conana, którzy wydawali się zaledwie garstką ziarenek piasku wobec ogromu pustyni i wydał rozkaz do szarży.

Arbanus polecił swą duszę Isztar i zadał w złocony róg z kości słoniowej.

W jednej chwili tysiące kopii opadło z łoskotem przewalającej się po stoku lawiny, a z rozpalonych żądzą mordy gardeł dobył się ryk wściekłości. Pancerna pięść potoczyła się po równinie, z każdą chwilą nabierając coraz większego rozpędu. Ziemia wyła od uderzeń podkutych rumaków, a skrzące się światłem złoto i stal oślepiały obrońców Shamar, którzy z wysokości murów i baszt obserwowali bitwę. Rozpędzony wał kutego żelaza, końskich mięśni i spragnionych krwi ostrzy przewalił się przez szeregi pikinierów, niczym wysokie na milę tsunami przez maleńką wyspę zagubioną gdzieś na oceanie, nie zauważając nawet, że tratuje także własną piechotę. I w tej chwili zaśpiewały bossońskie łuki.

Niebo przykryła czarna chmura strzał, która z przeraźliwym wizgiem uderzyła w pierwsze szeregi galopującego rycerstwa. Jednak przeszli, dali radę, prąc naprzód niczym burza, pozostawiając po sobie ziemię zasłaną ciałami towarzyszy leżących teraz jak jesienne liście po gwałtownej wichurze. Od łuczników dzieliło ich niecałe sto kroków... Już szykowali się, by znieawidzonego wroga zmiażdżyć, wdeptać w ziemię i roznieść na kopytach, gdy dopadła ich zagłada. Nie zdzierżyli kolejnego śmiertcionośnego deszczu strzał. Bossończycy stali na rozstawionych nogach, pewnie, twardo, ramię przy ramieniu i w rytm wydawanych

krótkich, gardłowych rozkazów, przyciągając cięciwę do ucha, wypuszczali zabójcze pociski jak jeden mąż.

Pierwszy szereg szarżującej konnicy zarył w ziemię, a na najeżone strzałami ciała ludzi i koni nadziewały się kolejne pędzące na złamanie karku pancerne linie. Wśród wrzasków, krzyków, rżenia, agonii i śmierci szybko powiększało się zwałowisko trupów. Arbanus trafiony w gardło, zleciał z grzbietu rumaka, a ten rozłupał czaszkę swego pana jak dojrzały arbuz. Pancerne zagony ogarnął chaos. Strabonus wydawał swoje rozkazy, Amalrus swoje, a wszystkich opanował strach na widok żywego Conana, którego przecież ogłoszono już martwym.

Na ten moment z utęsknieniem wyczekiwał Cymmeryjczyk. Dał znak sygnaliście: ten przytaknął do ust złoty róg i zadał z całych sił, posyłając w pole rozkazy swego króla. Bossończycy w jednym mistrzowskim manewrze zesli z drogi nabierającej rozpędu własnej jeździe, a przez powstały wyłom runęła na szeregi Kothyjczyków i Shemitów ociekająca żądzą zemsty stalowa nawałnica akwilońskiej konnicy.

Zdawało się, że świat zadrżał w posadach, gdy dopadły do siebie wrogie chorągwie, a impet uderzenia był tak wielki, że niczym podczas trzęsienia ziemi, zatrzęsły się w posadach wieże Shamar. Rozproszone, zagubione i pozbawione impetu szeregi najeźdźców nie miały żadnych szans w starciu z masywnym, stalowym klinem, najeżonym kopiami, który wbił się we wrogie oddziały, rozbijając formacje i siejąc popłoch i panikę. Wtedy klin otworzył się jak płatki zakrwawionej żelaznej róży i z jego środka wypadli rycerze z Pointain, wywijający wielkimi dwuręcznymi mieczami, uderzając z mocą rozsierzzonego tytana w sam środek wrogiego zgrupowania. Przez równinę przewalił się huk i wycie stali, jakby miliony młotów uderzały jednocześnie w miliony kowadeł. Obrońcy Shamar aż nisko przyklękli, zasłaniając uszy dłońmi, tak donośny był to jazgot i łomot. Z fascynacją patrzyli w szalejący wir śmierci, tam, gdzie w słońcu pobłyskiwały ostrza tańczące między pysznymi pióropuszcami, i tam, gdzie, jakby targane wichrem nienawiści, na przemian, co chwilę, to podnosiły się, to opadały sztandary.

Prosepro zarąbał Amalrusa, wypruwając mu wnętrzności. W taki sposób, wybebeszony, wdeptany przez własnego konia w akwilońską ziemię, zginął pyszny król. Co prawda ciągle wojska najeźdźców miały przewagę liczebną, ale fatalnie dowodzone, rozporoszone i dezorientowane nie mogły rozbić pancernego klina, który z każdą chwilą coraz głębiej wgryzał

się w ich pozycje. Krążyły zatem wokół niego nie czyniąc mu większej szkody.

W tym czasie akwilońscy łucznicy i pikinierzy, wyróżnawszy niedobitki wrogiej piechoty, sformowali na nowo szyki i ruszyli, by wesprzeć konnicę. Zwartym szeregiem, z łucznikami w środku, uderzyli na miotającą się bezradną jazdę Strabonusa i martwego Amalrusa. Z bliskiej odległości strzały siały prawdziwe spustoszenie w pancernych zagonach wroga, a doświadczeni i zaprawieni w bojach guderlandcy pikinierzy doskonale wiedzieli jaki zrobić użytek z własnej broni. Cięli pęciny, rozcinali końskie brzuchy, nadziewali na piki jeźdźców, wyszukiwali szczeliny w pancerzach i zbrojach.

Prący na czele zakutego w stal klina Conan wydał swój bojowy okrzyk i jako ten żniwiarz śmierci i zniszczenia, wymachując potężnym mieczem, obcinał głowy, podrywał gardła, wypruwał wnętrzności. Rzucił się w największe zagęszczenie wrogiego rycerstwa, wyrąbując sobie drogę i znacząc przebyty szlak krwią i śmiercią. Poruszał się szybkością wilka a uderzał z siłą tytana. W desperackiej próbie rycerze z Ofiru i Koth rzucili się na Cymmeryjczyka, odcinając go od własnych oddziałów. Ale on tego nawet nie zauważył. Był jak błyskawica żądna zemsty i emanującą niszczycielską wściekłością, już samym impetem i masą żelaznych mięśni torując sobie drogę, by w końcu dotrzeć do przerażonego i pobladłego Strabonusa. W tej chwili zaważyły się losy bitwy i całej Akwilonii, bowiem władca Koth, mając ciągle liczebniejszą armię mógł jeszcze starcie wygrać.

Gdy zobaczył swego znenawidzonego wroga na wyciągnięcie ramienia, wrzasnął przeraźliwie i uderzył potężnym toporem. Ostrze skrzeszło iskry na szyszaku Conana. Ten w mgnieniu oka uniósł się w strzemionach i wyprowadził cios z taką mocą na głowę Strabonusa, że długa na pięć stóp główia królewskiego miecza zdruzgotała zdobny hełm i zmiażdżyła czaszkę. Rumak władcy zarżał, stanął dęba i pogalopował przed siebie unosząc zaczepione o strzemię martwe ciało.

Na ten widok rycerstwo z Koth wydało okrzyk trwogi, tracąc zapal do walki i nadzieję na zwycięstwo. Trocero ze swym pocztem, młóćąc wszystkich wokoło i tnąc desperacko, w końcu przebił się do Conana, a nim minęła chwila wielki sztandar Koth padł pod kopytami jazdy z Pointain.

Tymczasem obrońcy Shamar nie próżnowali. Gdy Conan wespół z hrabim zdobywali wrogi sztandar, po polu bitwy przetoczył się dochodzący od strony twierdzy trzask i wrzaski, a w niebo strzeliła

jasnoczerwona łuna. To zdesperowane oddziały z twierdzy przypuściły niespodziewany atak na pozycje oblegających. Wycieli w pień żołdaków pilnujących bramy i wpadli do obozu zabijając każdego, kto im się nawinał, niszcząc namioty i tabory, podpalając maszyny oblężnicze.

To był decydujący moment bitwy. Jeszcze nie tak dawno świetnie zorganizowana, błyszcząca polerowaną stalą armia, rozpięzchła się po równinie w popłochu i panice. Akwilońska jazda rzuciła się w pościg za uciekającymi, a wielu z nich ruszyło w kierunku rzeki, mając nadzieję na ratunek na drugim jej brzegu, ale kapitanowie łodzi, naciskani przez obrońców masakrujących ich sprzymierzeńców, wciągnęli kotwice i czym prędzej odpłynęli, nie martwiąc się już o nikogo. Niewielka część przedostała się na drugi brzegi po moście z barek, ale i ten wkrótce Akwilończycy zniszczyli, a wtedy bitwa zamieniła się w rzeź. Najeźdźców w ciężkich pancerzach spychano do rzeki, by tonęli wśród błagań o miłosierdzie. Innym podrzynano gardła na brzegu. Ginęli tysiącami. Sami nie skorzy do okazywania litości, nie mogli jej oczekiwać.

Od podnóży wzgórz aż po brzegi Tybory martwe ciała tysiącami zaściełały równinę. Rzeka zdawała się toczyć nie wodę, a krew, pokryta zwalami martwych ciał. Z Conanem do decydującej szarży ruszyło blisko dwa tysiące jeźdźców, chwili triumfu doczekało niespełna pięciuset. Straty wśród piechoty były jeszcze większe, ale potężne stalowe zastępy Strabonusa i Amalrusa przestały istnieć, a życie ocalała ledwie garstka rycerstwa i piechoty z Koth i Ofiru.

Trwało jeszcze dożynanie niedobitków nad rzeką, gdy tymczasem po drugiej jej stronie rozegrał się faktyczny finał tej batalii.

Wśród tych, którym udało się zbiec po moście z barek był Tsotha-lanti, pędzący na dziwnie wyglądającym rumaku, któremu kroku nie mógł dotrzymać żaden wierzchowiec. Mag tratował każdego na swojej drodze i gdy osiągnął bezpieczny, jak mu się zdawało, brzeg, odwrócił głowę i ujrzał pędzącego na złamanie karku na karym ogierze gigantycznego wojownika, zakutego w czarną zbroję. Most już zniszczono, poprzecinano liny szepiające barki, ale Conan nie dał za wygraną. Wykazując się szaleńczą odwagą i nieprawdopodobnymi umiejętnościami jeździeckimi zmusił konia do skakania z barki na barcę, tak jak ludzie skaczą z jednej kry na drugą.

Tsotha-lanti w panice cisnął w niego potężnym zaklęciem, ale po pierwsze zwyczajnie spudłował, a po drugie, spięty ostrogą, wielki rumak

wyciągnął się w niemożliwym prawie ostatnim skoku. Koń aż jęknął z wysiłku, ale szczęśliwie wylądował na drugim brzegu.

Czarnoksiężnik nie czekał na dalszy rozwój wydarzeń, tylko ruszył pędem przed siebie przez rozległe, bujne łąki, a jego śladem, zmuszając konia do szaleńczego galopu, podążał Conan, wywijając wielkim mieczem, znaczącym przebytą drogę kroplami krwi skapującymi z ostrza i ze zbroi.

Pędzili, tak jak myśliwy i jego ofiara, ale mimo że kary ogier robił, co mógł, ani na stopę nie potrafił zbliżyć się do ściganego konia. Galopowali już w zachodzącym słońcu, a głosy bitwy dawno za nimi ucichły, gdy na niebie pojawiła się niespodziewanie mała plamka, szybko okazując się pikującym wielkim orłem. Spadł on wprost na łeb rumaka czarnoksiężnika, a spłoszone zwierzę stanęło dęba, wyrzucając jeźdźca z siodła.

Tsotha-lanti zerwał się na równe nogi i zwrócił się w stronę nadciągającego jak burza Conana. W jego twarzy nie było nic ludzkiego. Oczy przypominały ślepią rozwścieczonego węża, a na twarzy zagościł demoniczny grymas piekielnej furii. W każdej dłoni ścisnął coś dziwnie błyszczącego, a Cymmeryjczyk doskonale wiedział, że to czyhająca na niego śmierć.

Król zeskoczył z konia i pobrzękując swą skapaną we krwi zbroją, podszedł do maga z wysoko nad głową uniesionym mieczem.

– Znów się spotykamy czarowniku! – zaśmiał się z dzikim okrucieństwem w głosie.

– Nie podchodź! – wrzasnął Tsotha-lanti przypominając tym wrzaskiem żądnięcie krwi szakala. – Mogę obedrzeć ciało z twych kości! Nie pokonasz mnie! Nawet jeśli porąbiesz mnie na kawałki tym swoim barbarzyńskim mieczem, me ciało scali się w jedność, a wtedy wyrwę ci serce gołymi rękami, wypiję z twych żył gorącą krew, a ścierwo rzucę robactwu na żer! Czuję w tym rękę Peliasa, ale i tak pokonam was obu! Jam jest Tsotha-lanti, syn...

Conan nie czekał na dalszą prezentację drzewa genealogicznego maga, tylko skoczył z miejsca, czujnie mrużąc oczy, a jego ostrze rozbłysło w promieniach zachodzącego słońca. Tsotha-lanti zamachnął się prawą ręką i cisnął czymś świecącym, ale Cymmeryjczyk bez trudu się uchylił przed magicznym pociskiem, który śmignął mu koło szyszaka i wybuchając za plecami płomieniem wypalił w ziemi sporą dziurę, topiąc na szkliwo szmat piachu.

Nim Tsotha-lanti zdążył się ponownie zamachnąć, Conan już przy nim był, zadając potężny cios. Świsnął miecz i głowa czarnoksiężnika potoczyła się po ziemi, z przerąbanej szyi trysnęła fontanna krwi, a bezgłowe ciało odziane w biel runęło w trawę. Jednak czarne i ponure oczy w dalszym ciągu spozierały na barbarzyńcę płonąc złowróżbnym blaskiem, usta spazmatycznie drgały, a ręce macały wokoło, najwyraźniej po omacku szukając głowy.

Nagle z nieba spadł olbrzymi orzeł, który wcześniej zaatakował konia czarnoksiężnika i chwytając w potężne szpony ociekającą krwią głowę, wzbił się z powrotem ku niebu, a Conan stanął jak wryty, gdy z gardła ptaka wydobył się ludzki śmiech czarnoksiężnika Peliasa...

Jednak nie był to koniec tajemnic i grozy, bo oto bezgłowe ciało poderwało się z ziemi i wyciągnawszy przed siebie ramiona, pognało na sztywnych nogach w kierunku punktu ledwie widocznego na ciemniejszym z każdą chwilą, wieczornym niebie.

Conan stał nieruchomo jak głaz, wpatrując się w szybko oddalającą się chwiejną postać, póki ta nie zniknęła w zmierzchu, malującym łąki jasną purpurą.

– Na Croma! – wysapał kompletnie zdziwiony Cymmeryjczyk, drżąc na całym ciele. – Szlag by trafił te wszystkie magiczne sztuczki i czarnoksiężskie porachunki! Do Peliasa nic nie mam, zachował się wobec mnie przyzwoicie, ale nie płakałbym z żalu, gdybym miał go już więcej nie oglądać. Ja chcę tylko dobrego miecza i wroga z krwi i kości, w którym mógłbym go zatopić. Zaraza! Oddałbym teraz całe królestwo za dzban dobrego starego wina!

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(styczeń 1933) pod tytułem *The Scarlet Citadel*

WIEŻA SŁONIA

Nędzny blask pochodni oświetlał hulanki w Maul, gdzie złodzieje ze wschodu świętowali nocą karnawał. Mogli tu pić i wrzeszczeć do woli, gdyż uczciwi ludzie omijali tę dzielnicę szerokim łukiem, a strażnicy, dobrze opłacani zrabowanymi monetami, nie wtrącali się do ich zabaw. Na krętych, niebrukowanych ulicach pokrytych stosami odpadków i tonących w ściekach, zataczali się pijani oraz rechoczący awanturnicy. Stał błyszcząca w mroku, gdzie wilk żerował na wilku, a w ciemność wznosił się przenikliwy śmiech kobiet, odgłosy przepychanek i bijatyk. Przez wybite okna oraz otwarte na oścież drzwi niemrawo przebijało się światło pochodni, uderzała woń stęchłego wina i zjełczały zapach spoconych ciał, dobiegał krzyk pijaków oraz odgłos pięści rytmicznie walących w toporne stoły.

W jednej z tych nor, w której upojenie wzbijało się pod niską, okopconą powałą, zebrały się zbiry każdej możliwej maści: nieuchwytni kieszonkowcy, zerkający pożądliwie porywacze, złodzieje o zwinnych palcach, pyszałkowaci najemnicy ze swymi dziewczkami o piskliwych głosach, odzianymi w tandetne szaty. Dominowali jednak miejscowi złoczyńcy: ciemnoskórzy, ciemnoocy Zamorianie o nieczystych sumieniach i ze sztyletami u pasa. Przebywały tu także wilki z pół tuzina obcych narodów. Był olbrzymi hyboryjski renegat, mrukliwy i niebezpieczny, z szablą przypiętą do wychudzonego boku, w Maul bowiem każdy otwarcie nosił broń. Był i shemicki fałszerz o haczykowatym nosie oraz kręconej, błękitno-czarnej brodzie, była i wielkooka dziewczka brythuńska, siedząca na kolanach ciemnowłosego Gundermana, wędrownego żołnierza najemnego, dezertera z jakiejś pokonanej armii. A wielki, tłusty zbir, którego obsceniczne żarty wywoływały okrzyki radości, był zawodowym porywaczem przybyłym z odległego Koth, aby uczyć uprowadzania kobiet Zamorian, choć oni rodzili się z większą wiedzą na ten temat niż on mógłby kiedykolwiek osiąść.



Ujrzał wysokiego młodzieńca o mocnej budowie. Człowiek ten pasował do tej nory i tego towarzystwa równie dobrze, jak szary wilk do wściekłych, rynsztokowych szczurów.

Człowiek ów przerwał opis wdzięków upatrzonej ofiary i zatopił głowę w wielkim kuflu spienionego piwa. Wreszcie, ocierając pianę z tłustych warg, powiedział:

– Na Bela, boga wszystkich złodziei, pokażę im, jak kradnie się dziewczki! Nim wstanie słońce przemycę ją poza granicę Zamory, gdzie będzie na nią czekać karawana. Trzy setki sztuk złota obiecał mi hrabia Ofiru za gładką,

młodą Brythunkę z wyższych sfer. Wiele tygodni błądziłem po granicznych miastach w przebraniu żebraka, zanim znalazłem taką, o której wiedziałem, że będzie pasować. Zaprawdę, piękny to bagaż!

Posłał w powietrze sprośny pocałunek.

– Znam takich panów z Shemu, którzy przehandlowaliby za nią sekret Wieży Słonia – powiedział, ponownie pociągając z kufła.

Ktoś dotknął rękawa jego tuniki, więc spojrzął za siebie, niezadowolony z nagłej przerwy w piciu piwa. Ujrzał wysokiego młodzieńca o mocnej budowie. Człowiek ten pasował do tej nory i tego towarzystwa równie dobrze, jak szary wilk do wściekłych, rynsztokowych szczurów. Jego tania tunika nie mogła ukryć zwalistej postury, szerokich, muskularnych barków, masywnej klatki piersiowej, wąskiej talii i potężnych ramion. Skórę miał ogorzałą od słońca, a oczy niebieskie i przenikliwe. Kaskada nieposkromionych czarnych włosów wieńczyła jego szerokie czoło. Do pasa przytroczony miał miecz w wysłużonej, skórzanej pochwie.

Kothańczyk mimowolnie cofnął się, mężczyzna ten nie pochodził bowiem z żadnej znanej mu cywilizowanej rasy.

– Mówiłeś o Wieży Słonia – powiedział przybysz z obcym akcentem. – Wiele o niej słyszałem. Co to za sekret?

Zachowanie gościa nie wydawało się złowrogie, a piwo i wyraźne poparcie słuchaczy dodawały Kothańczykowi animuszu. Wyprostował się, pęczniąc z dumy.

– Sekret Wieży Słonia?! – wykrzyknął. – Każdy głupi wie, że mieszkający tam kapłan Yara jest posiadaczem ogromnego klejnotu, który ludzie nazywają Sercem Słonia. W nim się skrywa sekret jego magii.

Barbarzyńca trawił przez chwilę tę informację.

– Widziałem tę wieżę – odparł. – Góruje nad miastem, a znajduje się w wielkim ogrodzie otoczonym wysokim murem. Nie widziałem tam ani jednego strażnika, a po ścianach nietrudno się wspiąć. Dlaczego nikt jeszcze nie ukradł tego tajemniczego klejnotu?

Kothańczyk rozdziawił gębę zdziwiony naiwnością młodzieńca, a potem wybuchnął szyderczym śmiechem, do którego przyłączyli się pozostali.

– Posłuchajcie tego poganina! – zagrzmiął, by wszyscy mogli go usłyszeć. – On chciałby ukraść klejnot Yary! Człowieku – powiedział złowieszczo – domyślam się, że jesteś jakimś barbarzyńcą z dzikiej północy...

– Jestem Cymmeryjczykiem – odparł młodzieniec nieprzyjaznym tonem.

Nic to Kothańczykowi nie mówiło. Pochodził z królestwa leżącego daleko na południu, graniczącego z Shemem, i o północnych rasach wiedział bardzo niewiele.

– Więc nadstaw ucho i posłuchaj dobrej rady, chłystku – powiedział, celując kuflem w zdezorientowanego barbarzyńcę. – Wiedz, że w Zamorze, a szczególnie w tym mieście, znajdziesz więcej dzielnych złodziei niż gdzie indziej na świecie, nawet w Koth. Gdyby śmiertelnik mógł ukraść ten klejnot, stałoby się to już dawno temu. Mówisz o pokonaniu muru... To kiedy już to zrobisz, wierz mi, jak najszybciej zapragniesz wrócić. W ogrodzie nie ma nocą straży z bardzo prostego powodu – to nie ludzie go pilnują. Ale strażników i tak znajdziesz – stacjonują w dolnej części wieży. Nawet gdybyś jakimś cudem ominął to, co pilnuje ogrodu, to i tak musisz jeszcze pokonać żołnierzy, bowiem czarnoksiężnik przechowuje klejnot gdzieś w jej górnej części.

– Ale gdyby ktoś zdołał przejść przez ten ogród – nie dawał za wygraną Cymmeryjczyk – dlaczego nie mógłby zakraść się do wieży od góry, unikając w ten sposób strażników?

Raz jeszcze Kothańczyk rozdziawił gębę zdziwiony.

– Słuchajcie go! – zakrzyknął szyderczo. – Ten barbarzyńca jest orłem! Chciałby tak po prostu podlecieć do górnej krawędzi wieży wysadzonej klejnotami, która znajduje się tylko sto pięćdziesiąt stóp nad ziemią, a jej okrągłe brzegi są bardziej śliskie niż polerowane szkło!

Cymmeryjczyk rozejrzał się wokół, zaskoczony rykiem drwiącego śmiechu towarzyszącego tej uwadze. Nie dostrzegł w niej nic specjalnie zabawnego, ale nie znał cywilizowanego świata na tyle dobrze, by zrozumieć kryjącą się w niej drwinę. Cywilizowani ludzie są mniej uprzejmi niż barbarzyńcy, bo wiedzą, że mogą z nich drwić bez strachu i przy okazji nie skończyć z rozłupaną czaszką. Zdezorientowany i rozczarowany bez wątpienia czmychnąłby stamtąd upokorzony, gdyby Kothańczyk nie zdecydował się podrażnić go jeszcze bardziej.

– Chodź, chodź! – krzyknął. – Powiedz tym biedakom, którzy byli złodziejami przed twymi narodzinami, jak ukradłbyś ten klejnot.

– Zawsze jest jakiś sposób, jeśli pragnienie idzie w parze z odwagą – odparł krótko rozdrażniony Cymmeryjczyk.

Kothańczyk odebrał to jako osobistą zniewagę. Jego twarz stała się purpurowa od gniewu.

– Co?! – zaryczał. – Ośmielasz się wtrącać w nasze sprawy i zarzucać nam, że jesteśmy tchórzami? Wynoś się! Precz z moich oczu!

I pchnął gwałtownie Cymmeryjczyka.

– Będziesz się ze mnie śmiał i tykał mnie swoimi łapskami? – zgrzytnął zębami barbarzyńca, a jego wybuchowy temperament dał o sobie znać. Wymierzył Kothańczykowi potężny policzek, co powaliło dręczyciela na prymitywnie sklecony stół. Wylało się piwo. Kothańczyk zaryczał z furją, sięgając po miecz.

– Pogański psie! – zagrzmiął. – Wydrę ci za to serce!

Błysnęła stal, a zgromadzeni w panice zaczęli uciekać z drogi walczących. Ktoś przewrócił jedyną świecę i speluna pogrzyła się w ciemności, rozdzieranej dźwiękami łamanych ław, szybkim tupotem stóp, krzyków i przekleństw wpadających na siebie ludzi oraz przeraźliwego krzyku agonii, który nagle uciał ten cały zgiełk niczym nóż. Kiedy wreszcie ponownie zapalono świece, okazało się, że większość gości uciekła przez drzwi i wybite okna, a reszta tłoczyła się za beczkami z winem oraz pod stołami. Barbarzyńca zniknął. Pośrodku sali leżało zmasakrowane ciało Kothańczyka. Cymmeryjczyk zabił go w ciemności i zamieszaniu, kierowany swym zwierzęcym instynktem.

Pijana tłuszcza z pochodniami wypadła za Cymmeryjczykiem. Ten wyrzucił porwaną tunikę i szedł przez noc, odziany jedynie w przepaskę na biodrach i wysoko wiązane sandały. Poruszał się ze zwinnością wielkiego tygrysa, jego stalowe mięśnie przeżyły się pod spaloną słońcem skórą.

Dotarł do tej części miasta, w której królowały świątynie. Ich śnieżnobiałe filary, złote kopuły i srebrne łuki oraz ołtarze wielu dziwnych bóstw Zamory błyszcząły wokół niego w świetle gwiazd. Nie zwracał sobie nimi głowy, wiedział bowiem, że religia Zamorian, podobnie jak wszystkie inne dzieła dawno już osiadłych ludzi cywilizowanych, była pogmatwana, tracąc przez to większość swego pierwotnego sensu w gąszczu formułek i rytuałów. Kiedyś zdarzało mu się godzinami przesiadywać na dziedzińcach filozofów, słuchając opowieści teologów i nauczycieli. Odchodził stamtąd w najwyższym zdumieniu, pewien tylko jednej rzeczy – że im wszystkim pomieszało się w głowach.

Jego bogowie byli prości i łatwi do pojęcia. Rządził nimi Crom. Żył na wielkiej górze, skąd rozsyłał na cały świat śmierć i zagładę. Jako że był bogiem ponurym, dzikim i nienawidził słabeuszy, wzywanie go nie miało sensu. Ale przy narodzinach dawał człowiekowi odwagę oraz wolę i moc zabijania wrogów, co w pojmovaniu Cymmeryjczyka było jedyną rzeczą, której należałoby oczekiwać od boga.

Odziane w sandały stopy młodzieńca nie wydawały najcichszego dźwięku na krętych ulicach. Nie pojawił się żaden strażnik, gdyż nawet złodzieje z Maul unikali świątyń, w których, jak wiadomo, straszliwy los czekał szaleńców pragnących przechowywanych tu bogactw. Przed sobą zobaczył Wieżę Słonia, lśniąca na tle nieba. Zadumał się nad tym, dlaczego ją tak nazwano. Nikt chyba tego nie pamiętał. On nigdy nie widział słonia, ale sądził, że to ogromne zwierzę z ogonem zarówno z przodu, jak i z tyłu. To powiedział mu wędrujący Shemita, przyrzekając, że widział tysiące takich bestii w państwie Hyrkan. Wszyscy jednak wiedzieli, jakimi kłamcami byli ludzie z Shemu. W każdym razie w Zamorze nie było żadnych słoni.

Migocący trzon wieży wznosił się pod same gwiazdy. W ciągu dnia, w słońcu, błyszczała ona tak oślepiająco, że niewielu było w stanie znieść jej widok, a ludzie powiadali, że zbudowano ją ze srebra. Wysoka na sto pięćdziesiąt stóp, tworzyła wąski, doskonały cylinder, a jej krawędzie, wyłożone wielkimi klejnotami, migotały w świetle gwiazd. Wieża stała między kołyszącymi się, egzotycznymi drzewami, w ogrodzie górującym nad miastem. Otoczono ją dwoma murami – pierwszy, wewnętrzny, oddzielał ją od ogrodu, a drugi, zewnętrzny, ciągnął się dookoła niego. Wieża tonęła w mroku, jej ścian nie rozświetlało ani jedno światło. Wydawało się, że nie ma w niej żadnego okna – a przynajmniej w tej części, którą barbarzyńca mógł dostrzec z miejsca, w którym stał. Tylko klejnoty wysoko w górze kąpały się w chłodnym świetle nocnego nieba.

Przed niższym, zewnętrznym murem rosły gęste krzaki. Cymmeryjczyk podczołgał się tam i stanął przy ścianie, taksując ją wzrokiem. Była wysoka, ale gdyby podskoczył, mógłby chwycić się jej krawędzi palcami. Samo przejście przez mur byłoby już dziecinadą. Nie wątpił też, że zdołałby pokonać wewnętrzne ogrodzenie w ten sam sposób. Zawahał się jednak na myśl o dziwnych niebezpieczeństwach, które rzekomo czyhały w ogrodzie. Nie wiedział, czy ma w nie wierzyć – miejscowi ludzie byli dziwni i tajemniczy, niepodobni do niego – w ich żyłach nie płynęła ta sama

krów, co u mieszkańców zachodnich krain: Brythunii, Nemedii, Koth czy Akwilonii, których osiągnięcia zachwycaly go w dawnych czasach. Mieszkańcy Zamory byli ludem bardzo starym i, z tego, co zobaczył, bardzo złym.

Pomyślał o Yarze, arcykapłanie, który odprawiał dziwne czary w wysadzanej klejnotami wieży, i poczuł gęsią skórę, kiedy przypomniał sobie historię opowiedzianą mu przez pijanego paza dworskiego. Ponoć kiedyś Yara roześmiał się w twarz wrogiemu księciu i wzniósł przed nim błyszczący, straszliwy klejnot. Z przeklętego kamienia wystrzeliły oślepiające płomienie, spowijając władcę, który upadł z krzykiem. A potem nieszczęśnik skurczył się w pomarszczoną, szerniałą grudkę, by z kolei zmienić się w czarnego pajaka, biegającego po komnacie, dopóki Yara nie rozgniół go obcasem.

Czarnoksiężnik nie wychodził zbyt często z wieży. Jeśli już, to zawsze po to, by wyrządzić zło jakiemuś człowiekowi lub narodowi. Król Zamory bał się go bardziej niż śmierci i dlatego cały czas pił na umór, gdyż tego strachu nie dawało się wytrzymać na trzeźwo. Yara był bardzo stary – ludzie mówili, że miał parę stuleci i dodawali, że będzie żył wiecznie dzięki magii swego klejnotu, który nazywano Sercem Słonia tylko dlatego, że arcykapłan przechowywał go w Wieży Słonia.

Pogrążony w tych myślach Cymmeryjczyk nagle przywarł do ściany. Ktoś przechodził przez ogród, idąc miarowym krokiem. Usłyszał brzęk żelaza. A więc mimo wszystko jakiś strażnik patrolował ogród! Cymmeryjczyk czekał, spodziewając się usłyszeć go jeszcze raz, ale za murem zapadła zagadkowa cisza.

Ciekawość barbarzyńcy w końcu zwyciężyła. Podskakując lekko, chwycił się krawędzi muru i podciągnął. Leżąc płasko na jego szerokim szczycie, uważnie zlustrował przestrzeń między ścianami. Nie rosły tam żadne zarośla, chociaż w pobliżu wewnętrznego muru zobaczył parę troskliwie przyciętych krzewów, wypielęgowany trawnik, a skądś dobiegał szmer fontanny.

Cymmeryjczyk zeskoczył ostrożnie i wyciągnął miecz, rozglądając się dookoła. Stał półnagi, nieosłonięty, w gwiazdnej poświacie, gotowy do walki niczym dzikie zwierzę spodziewające się ataku. Następnie ruszył bezszelestnie wzdłuż muru, otulony jego cieniem, dopóki nie zrównał się z zaroślami, które zauważył wcześniej. Nisko pochylony pobiegł szybko

w ich kierunku i niemalże przewrócił się o coś, co leżało skulone blisko linii krzaków.

Szybko się rozejrzył, ale nie dostrzegł żadnego wroga, przynajmniej w zasięgu wzroku, więc podszedł bliżej, by zbadać sprawę. Jego przenikliwe oczy dojrzały dobrze zbudowanego mężczyznę w posrebrzanej zbroi, w hełmie z pióropuszem zamoriańskiej gwardii królewskiej. Tarcza i włócznia leżały obok, a jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że człowiek ten został uduszony. Barbarzyńca rozejrzył się z niepokojem. Wiedział, że leżący tu trup musiał być strażnikiem, którego kroki słyszał wcześniej. Minęła tylko chwila, a jednak w tym czasie bezimienne ręce wyłoniły się z ciemności, odbierając nieszczęśnikowi życie.

Wyteżając wzrok, zobaczył w mroku ślad ruchu w zaroślach nieopodal ściany. Trzymając obnażony miecz, ruszył w tym kierunku cicho, jak polująca w nocy pantera, a jednak istota, do której się skradał, usłyszała go. Cymmeryjczyk z trudem dojrzał wielki kształt blisko ściany i poczuł ulgę, że przynajmniej był to człowiek. Wtedy osobnik odwrócił się w pośpiechu zdradzającym strach. Wydawało się, że rzuci się na barbarzyńcę z gołymi rękami. Zauważył jednak ostrze miecza odbijające blask nocnego nieba. Przez krótki moment pełen napięcia obaj stali bez słowa, gotowi na wszystko.

– Nie jesteś żołnierzem – syknął w końcu obcy. – Jesteś złodziejem, jak ja.

– A kim ty jesteś? – spytał podejrzliwie Cymmeryjczyk.

– Taurus z Nemedii.

Młodzieniec opuścił miecz.

– Słyszałem o tobie. Nazywają cię księciem złodziei.

Odpowiedział mu cichy śmiech. Taurus dorównywał wzrostem Cymmeryjczykowi, ale znacznie przewyższał go tuszą. Wielki brzuch złodzieja mógł sugerować, że ten jest niezgrabny, powolny, ale było to tylko wrażenie. Poruszał się bowiem zwinnie i bezszelestnie. Jego żywe, błyszczące oczy hipnotyzowały nawet teraz, nawet tu, u mrocznego podnóża niezdobytej wieży. Barbarzyńca spostrzegł, że Taurus niósł ze sobą zwój czegoś, co wyglądało jak cienka i mocna lina, z węzłami zawiązanymi w regularnych odstępach.

– A ty kim jesteś? – wyszeptał.

– Jestem Conan, Cymmeryjczyk – padła odpowiedź. – Przyszedłem, by sprawdzić, jak ukraść klejnot Yary, nazywany Sercem Słonia.

Brzuch złodzieja zatańczył w takt tłumionego śmiechu, ale Conan nie dopatrzył się w nim ani odrobiny drwiny.

– Na Bela, boga złodziei! – syknął Taurus. – Myślałem, że tylko ja mam odwagę, by podjąć się tego zadania. I ci Zamorianie zwą się złodziejami. Śmiechu warte... Conanie, podoba mi się twoja odwaga. Nigdy nie dzieliłem z nikim mych przygód, ale, na Bela!, możemy wejść w złodziejską spółkę, jeśli chcesz.

– A więc ty też przyszedłeś po klejnot?

– A po cóż by innego? Przygotowywałem mój plan miesiącami, ale ty, jak myślę, zadziałałeś pod wpływem nagłego impulsu, przyjacielu.

– To ty zabiłeś żołnierza?

– Oczywiście. Ześlizgnąłem się po ścianie, kiedy on znajdował się po drugiej stronie ogrodu. Schowałem się w zaroślach, lecz usłyszał mnie, a może pomyślał, że coś usłyszał... W każdym razie kiedy próbował mnie odnaleźć, błądząc po omacku, zaszedłem go od tyłu, chwyciłem za szyję i wydusiłem z tego głupca życie. Był jak większość ludzi – na wpół ślepy w ciemności. Dobry złodziej powinien mieć koci wzrok.

– Popełniłeś jeden błąd – powiedział Conan.

Oczy Taurusa zapłonęły gniewnie.

– Ja? Błąd? Niemożliwe!

– Powinieneś zaciągnąć ciało w krzaki.

– Powiedział nowicjusz do mistrza w swoim rzemiośle! – zakpił Nemedyczyk. – Straże nie zmieniają się, póki nie minie północ. Jeżeli teraz ktoś nadejdzie, żeby szukać strażnika i znajdzie jego ciało, od razu pobiegnie do czarownika z wrzaskiem. A to da nam czas na ucieczkę. Jeżeli jednak nikt strażnika nie znajdzie, to od razu wszyscy rzucą się do przeszukiwania ogrodu i złapią nas w pułapkę jak szczury.

– Masz rację – zgodził się Conan.

– A jakże. Teraz nadstaw uszu. Tracimy czas na tę przekłątą dyskusję. W wewnętrznym ogrodzie nie ma strażników – mam na myśli ludzi, choć terenu pilnują o wiele bardziej śmiercionośni wartownicy. To przez nich musiałem czekać tak długo z realizacją mojego planu, ale wreszcie odkryłem, jak ich obejść.

– A co z żołnierzami z dolnej części wieży?

– Stary Yara zamieszkuje komnaty powyżej. Pójdziemy tam i mam nadzieję, że wrócimy. Nie pytaj mnie jednak jak. Mam plan. Dostaniemy się do nich ze szczytu wieży i udusimy przekłętą czarownika, zanim

zdąży rzucić na nas jedno z tych swoich potwornych zaklęć. A przynajmniej spróbujemy... Zawsze istnieje szansa, że zamieni nas w pająki lub ropuchy, ale gra jest warta świeczki. Wszyscy dobrzy złodzieje muszą wiedzieć, jak podejmować ryzyko.

– Pójdę tak daleko, jak daleko zajdzie człowiek – powiedział Conan, zdejmując sandały.

– A więc chodź za mną.

Taurus odwrócił się, podskoczył, złapał za krawędź muru i podciągnął z zaskakującą, jak na człowieka jego tuszy, zwinnością. Zdawał się niemal szybować. Conan podążył za nim. Leżąc płasko na szczycie muru, szeptali między sobą.

– Nie widzę światła – wymamrotał Conan.

Niższa część wieży wyglądała bardzo podobnie jak jej część widoczna z zewnątrz ogrodu: doskonały, skrzący się walec, bez widocznych otworów.

– Są tu zmyślnie poukrywane drzwi i okna – odparł Taurus. – Ale są zamknięte. Żołnierze oddychają powietrzem, które dochodzi ze szczytu wieży.

Ogród zdawał się być teraz miejscem utulonym w objęciach lepkiego mroku. Intuicja podpowiadała barbarzyńcy, że tam, pośród pierzastych zarośli i falujących złowieszczo niskich krzewów, czai się groza w czystej postaci. Poczul palące spojrzenie niewidzialnych oczu, a wyczulony węch pochwycił ulotny zapach śmierci. Krótkie włosy na karku Conana zjeżyły się tak, jak jeży się sierść polującego psa owładniętego zapachem odwiecznego wroga.

– Chodź za mną – szepnął Taurus. – Jeśli ci życie miłe, podążaj moimi śladami.

Biorąc do ręki coś, co wyglądało jak miedziana rurka, Nemedyczyk opuścił się ostrożnie na trawnik po wewnętrznej stronie muru. Conan z obnażonym mieczem w dłoni, gotowy do ataku lub obrony, zrobił to samo, lecz Taurus pchnął go w kierunku ściany i znieruchomiał. Tak samo jak Cymmeryczyk utkwiał wzrok w zacienionej gęstwinie oddalonej zaledwie o kilka jardów. I wtedy, chociaż wiatr ucichł już zupełnie, krzakami coś zatrzęsło, a pośród drżących liści dostrzegli dwa rozjarzone wielkie ślepie. Nawet nie zdążyli ponownie zaczerpnąć tchu, gdy w ciemności pojawiły się kolejne ogniście czerwone szparki.

– Lwy! – mruknął Conan.

– Tak! Za dnia trzymają je w podziemnych pieczarach pod wieżą. Teraz już wiesz, dlaczego w tym ogrodzie nie ma straży.

Conan szybko przeliczył błyszczące ślepia.

– Dostrzegłem pięć, chociaż w krzakach może czaić się ich więcej. Zaraz zaatakują...

– Siedź cicho! – zganił go Taurus i, unosząc cienką rurkę, ruszył ostrożnie spod ściany, jakby stąpał po ostrzach skąpanych w truciznie.

W ciemności rozległy się złowróżbne pomruki, a błyszczące ślepia ruszyły w ich kierunku. Conan mógł już dostrzec wielkie, śliniące się szczęki i sprężyste ogony, smagające płowe boki. Atmosfera zgęstniała. Cymmeryjczyk ścisnął miecz w oczekiwaniu na nieunikniony atak potężnych bestii. W tej właśnie chwili Taurus przytknął rurkę do ust i potężnie dmuchnął. Wystrzelił z niej długi strumień żółtego pyłu. Ten natychmiast zamienił się w gęstą zielonożółtą chmurę, która spowiła krzewy, gasząc ogniste ślepia. Taurus podbiegł szybko do muru. Conan gapił się, nic nie rozumiejąc. Gęsta chmura zasłoniła krzewy. Przestał stamtąd dochodzić jakikolwiek dźwięk.

– Co to za mgła? – spytał zaniepokojony.

– To śmierć! – syknął Nemedyczyk. – Jeśli wiatr zerwie się znowu i skieruje ją w naszą stronę, musimy uciekać przez mur. Ale nie... Na razie nie ma wiatru, a mgła już się rozprasza. Poczekaj, aż opadnie zupełnie, bo inaczej – jeden oddech to pewna śmierć.

Teraz już tylko żółte strzępy morderczego oparu wisiały w powietrzu niczym widmo; chwilę potem i one zniknęły. Taurus zachęcił towarzysza do ruszenia za nim. Conan spojrział w zarośla i oniemiał. W ich cieniu leżało pięć ogromnych, rozciągniętych bezwładnie płowych kształtów, a ich ogniste spojrzenia zgasyły na zawsze. Słodkawy i mdły zapach unosił się jeszcze w powietrzu.

– Zginęły nie wydając dźwięku! – wymamrotał Cymmeryjczyk. – Taurusie, co to za proszek?

– To pył z czarnego lotosu, którego kwiaty rosną w zagubionych dżunglach Khitaju, gdzie mieszkają tylko żółtogłowi kapłani Yun. Te kwiaty sprowadzają nagłą śmierć na każdego, kto je powącha.

Conan ukląkł obok martwych bestii, upewniając się, że rzeczywiście nie stanowią już zagrożenia. Pokręcił głową z niedowierzaniem; dla barbarzyńcy z dalekiej północy magia egzotycznych krain wydawała się tajemnicza i straszliwa.

– Dlaczego nie zabijesz żołnierzy w wieży w ten sam sposób?

– Bo nie mam więcej proszku. Zdobycie nawet takiej ilości było wystarczającym wyczynem, by uczynić mnie sławnym wśród złodziei całego świata. Ukradłem go z karawany zmierzającej do Stygii. Trzymali go w złotej sakwie, chronionej splotami wielkiego węża. Zwędziłem proszek nie obudzwszy bestii! Na Bela! Chodźmy już! Zmarnujemy całą noc na gadanie?

Przemknęli do podnóża wieży. Na miejscu Taurus zdjął z pleców linę z węzłami, na końcu której Conan dojrzał mocny, stalowy hak. Od razu pojął w czym rzecz i o nic więcej nie pytał. Nemedyczyk ujął linę trochę powyżej końca i pewnym ruchem rozkołysał nad głową. W tym czasie Cymmeryczyk, wyężdżając swój wyczulony słuch, przyłożył ucho do ściany. Odpowiedziała mu absolutna cisza. Najwyraźniej żołnierze w środku nie podejrzewali obecności intruzów, którzy nie robili więcej hałasu, niż nocny wiatr wiejący w koronach drzew. Jednak jakieś drażniące, dziwne podenerwowanie nie dawało Conanowi spokoju – może był to dominujący nad innymi, ciągle unoszący się w powietrzu, zapach lwów.

Taurus rzucił linę płynnym, zamaszystym ruchem potężnego ramienia. Hak poszybował w górę i do przodu, wywijając w powietrzu trudne do opisanego harce, po czym zniknął za wysadzaną klejnotami krawędzią. Księżę złodziei najpierw ostrożnie, a potem już z całą siłą, pociągnął za linę, ale hak musiał o coś mocno zaczepić, bo ta nie opadła.

– Mamy szczęście, udało się już za pierwszym razem – wymamrotał Taurus. – Ja...

To pierwotny instynkt Conana kazał mu się gwałtownie odwrócić, bo śmierć nadciągnęła bezgłośnie i bezlitośnie. Cymmeryczyk dostrzegł olbrzymi, płowy kształt, ledwie widoczny w skąpej księżycowej poświacie, przymierzający się do śmiertelnego skoku. Żaden cywilizowany człowiek nie zareagowałby nawet w połowie tak szybko, jak zrobił to barbarzyńca. Błysnęła stal. Zimne, bezlitosne ostrze, stanowiące jedność z ręką, która je dzierżyła, opadło z morderczą siłą i precyzją. Bestia i człowiek runęli razem.

Przeklinając na czym świat stoi, Taurus pochylił się nad nimi i zobaczył, że jego towarzysz usiłuje wydobyć się spod wielkiego, zwiotczalego cielska. Jedno zdziwione spojrzenie uświadomiło Nemedyczykowi, że lew był martwy, a jego czaszka rozłupana na dwoje. Z niemałym trudem

pomógł Conanowi odrzucić ogromne ścierwo. Barbarzyńca chwiejnie podniósł się na nogi wciąż ściskając w dłoni ociekający krwią bestii miecz.

– Człowieku, jesteś ranny? – wysapał Taurus, cały czas zszokowany tempem wydarzeń, których właśnie był świadkiem.

– Na Croma! Nie! – warknął barbarzyńca. – Ale w całym moim życiu nie byłem tak blisko śmierci. A przeżyłem wiele. Dlaczego ta przeklęta bestia nawet nie warknęła?

– W tym ogrodzie wszystko jest dziwne – odparł Taurus. – Lwy atakują w ciszy. I jak widzę – nie tylko one... Dobrze, chodźmy już. Co prawda zabiłeś lwa bezszelestnie, ale strażnicy mimo to mogli coś usłyszeć, chyba że są pijani lub śpią. Ta bestia musiała spacerować sobie po innej części ogrodu i dlatego uniknęła mojego proszku. Wiem jednak na pewno, że była ostatnia, więcej tu ich nie ma. Musimy wspiąć się po tej linie – nie muszę chyba pytać Cymmeryjczyka, czy da radę?

– Jeśli tylko utrzyma mój ciężar – odrzekł Conan, czyszcząc miecz o trawę.

– Wytrzyma ciężar trzech takich, jak ja – odpowiedział Taurus. – Uplotłem ją z włosów martwych kobiet, które odcinałem im w ich grobach o północy, a potem moczyłem w zabójczym soku drzewa upas, aby stały się mocne. Pójdę pierwszy, a ty podążaj zaraz za mną.

Nemedyjczyk chwycił linę, przełożył ją sobie pod kolanem i podjął wspinaczkę. Piął się w górę niczym kot, a jego potężna tusza w ogóle mu w tym nie przeszkadzała. Cymmeryjczyk podążył za nim. Lina co chwilę kołysała się, kręciła, tańcząc w dłoniach śmiałków, ale oni nic sobie z tego nie robili. Nieraz wspinali się w znacznie trudniejszych warunkach. Zdobiona klejnotami krawędź wieży błyszczała wysoko nad nimi, odstając nieco od ściany, dzięki czemu lina zwisała swobodnie. A to bardzo ułatwiało wspinaczkę.

Pięli się w górę po cichu, coraz wyżej i wyżej. Pod ich stopami miasto otulone ciemnością zdawało się być mrocznym oceanem. Nad ich głowami światło gwiazd gaślo przyćmiewanie kuszącym blaskiem drogocennych kamieni na szczycie. Wreszcie Taurus wyciągnął rękę, chwycił się krawędzi ściany i wdrapał na blanki. Conan na moment zaprzestał wspinaczki, zafascynowany wielkimi, zimnymi klejnotami, osadzonymi głęboko w srebrnej ścianie: diamentami, rubinami, szmaragdami, szafirami, turkusami... Z daleka ich tęczyowy blask zlewał się w pulsującą, żywą, białą

poświatę, lecz teraz, z bliska, błyszcząły milionami kolorów, fascynując go i hipnotyzując.

– Tu jest niewyobrażalna fortuna, Taurusie – szepnął, ale Nemedyczyk odparł niecierpliwie:

– Chodź! Jeśli zdobędziemy Serce Słonia, te i wszystkie inne bogactwa będą tylko nasze!

Conan przetoczył się przez migoczącą krawędź. Zwieńczenie wieży znajdowało się parę stóp poniżej ozdobionej klejnotami krawędzi. Płaski dach wyłożono dziwną ciemnoniebieską substancją, pokrytą złotem. Wszystko to, odbijając światło gwiazd, przypominało olbrzymi szafir posypany żółtym pyłem. Awanturnicy spojrzeli na drugi koniec dachu i dostrzegli tam niewielkich rozmiarów budowlę. Zbudowano ją z tego samego materiału, co ściany wieży, tylko zdobiące ją klejnoty były mniejsze. Jedyne drzwi, które zobaczyli, odlano ze złota, rzeźbiąc ich powierzchnię fantazyjnym wzorem wielkich łusek i bogato inkrustując drogocennymi, zimnymi jak lód, kamieniami.

Conan spojrział na pulsujący ocean światła, rozciągający się daleko pod nimi, a potem na Taurusa. Nemedyczyk wciągał i zwijał swoją linę. Pokazał Cymmeryczykowi, o co zaczepił hak – dosłownie końcówka ostrza zaklinowała się o klejnot zdobiący krawędź ściany.

– Znowu mieliśmy sporo szczęścia – mruknął pod nosem. – Nasz wspólny ciężar powinien bez problemu wyrwać ten kamień z krawędzi. Idziemy – prawdziwe ryzyko tej przygody zaczyna się teraz. Jesteśmy w legowisku węża, a nie wiemy, gdzie bestia się skrywa.

Jak polujące tygrysy podeszli do złotych drzwi, stąpając ostrożnie po skrzającej się bladym światłem podłodze. Taurus pchnął je ostrożnie. Ustąpiły bez oporu i kompani w napięciu zajrzeli do środka. Spoglądając przez ramię Nemedyczyka Conan zorientował się, że cała komnata, jej ściany, sufit i podłoga, wyłożone zostały wielkimi, białymi, jasnymi klejnotami, które stanowiły jedyne źródło światła. I nikogo w niej nie było, a przynajmniej na to wyglądało.

– Zanim odetniemy sobie jedyną drogę ucieczki – syknął Taurus – podejdź do krawędzi wieży i rozejrzyj się dokładnie. Jeśli zobaczysz jakichś żołnierzy w ogrodzie albo cokolwiek podejrzanego, wróć i powiedz mi. Będę na ciebie czekał w tej komnacie.

Dla Conana ta prośba nie miała ani odrobiny sensu. Wydawała się co najmniej podejrzana. Zrobił jednak to, o co poprosił go Taurus.

Cymmeryjczyk podszedł wolno do krawędzi wieży, a tymczasem Nemedyczyk wszedł cicho do komnaty i zamknął za sobą drzwi. Dookoła zapanowała cisza. Barbarzyńca nieśpiesznie zlustrował cały ogród, ale nie zobaczył żadnego podejrzanego ruchu w lekko falującym poniżej morzu liści. Odwrócił się więc w stronę drzwi i nagle z wnętrza komnaty dobiegł go zduszony krzyk.

Cymmeryjczyk zelektryzowany skoczył naprzód. Złote drzwi otworzyły się i stanął w nich Taurus w objęciach zimnego światła komnaty. Zachwiał się, a z jego ust wydobył się jedynie suchy skrzek. Uczepiony framugi, ledwie powłócząc nogami, zrobił dwa kroki, po czym upadł na twarz, ściskając kurczowo gardło. Drzwi za nim zamknęły się same.

Przez tę krótką, pełną grozy chwilę, gdy Taurus stał w otwartych drzwiach, Conan, gotowy do skoku i walki niczym pantera na łowach, nie dostrzegł w komnacie żadnego ruchu, żadnego wroga. Chyba że cień, który zamajaczył gdzieś na błyszczącej podłodze nie był tylko wytworem jego wyobraźni. Jaka nie byłaby prawda, Taurus z komnaty wyszedł sam. Conan pochylił się nad złodziejem.

Nemedyczyk patrzył tępo w nocne niebo. W rozszerzonych, pustych oczach malowało się straszliwe zdziwienie. Jego dłonie ścisnęły sztywno gardło, a usta bełkotliwie charcząc toczyły pianę. Nagle, na rękach oszołomionego Conana, Taurus z Nemedii, księżę złodziei, dokonał żywota, nie mając pojęcia kto lub co zadało mu śmierć. Barbarzyńca spojrzął zdjęty grozą na złote drzwi. W tej iskrzącej się bladym światłem klejnotów komnacie, śmierć uderzyła w mistrza złodziei w sposób równie tajemniczy i skuteczny, w jaki on zgotował ją lwom w ogrodzie.

Conan ostrożnie i dokładnie zaczął badać półnagie ciało towarzysza w poszukiwaniu śmiertelnej rany. Jedyne, co znalazł, to trzy małe nacięcia między łopatkami, wyglądające, jakby ktoś wbił w muskularne plecy Taurusa zaostrzone paznokcie i gwałtownie je wyrwał. Z poczerniałych brzegów ran dochodził ohydny smród zgnilizny.

– Zatrute strzały? – pomyślał Conan – ale w takim razie w ciele powinny tkwić jeszcze ich fragmenty.

Barbarzyńca ostrożnie podszedł do rzeźbionych drzwi, otworzył je pchnięciem i zajrzał do środka. Skąpiana w zimnym, pulsującym blasku niezliczonych klejnotów komnata przywitała go złowrogą ciszą. Nikogo w niej nie dostrzegł. Na środku sufitu mimochodem zauważył dziwny ornament – czarny ośmiobok z osadzonymi w jego centrum czterema,

skrzącymi się czerwienią klejnotami, kontrastującymi z białą poświatą tańczącą na ścianach i podłodze. Po przeciwnej stronie pomieszczenia zobaczył drugie drzwi, ale tych nie ozdobił mroczny wzór z łusek. Czy to stamtąd nadeszła śmierć? I czy po zabiciu swojej ofiary skryła się za nimi?

Cymmeryjczyk wkroczył ostrożnie do komnaty zamykając za sobą drzwi. Jego bose stopy bezgłośnie stąpały po kryształowej podłodze. W sali nie było krzeseł ani stołów, w oczy rzucały się jedynie trzy lub cztery jedwabne kanapy, obszyte złotem i zdobione dziwnymi węzowymi wzorami oraz kilka obitych srebrem mahoniowych skrzyń. Niektóre zamknięto potężnymi złotymi kłódkami, inne, z uniesionymi rzeźbionymi wiekami, ukazywały oszołomionym oczom Conana stopy wspaniałych klejnotów. Barbarzyńca zaklął pod nosem, tej nocy bowiem zobaczył już więcej bogactwa niż mógł sobie tylko wyobrazić i nurtowało go pytanie, jaka musi być wartość klejnotu, którego szukał.

Z pochyloną głową, skupiony i czujny, z uniesionym mieczem, dotarł na środek komnaty. I wtedy śmierć zaatakowała ponownie! Tylko wrodzony instynkt i nadludzki refleks uratowały mu życie przed przemykającym nad podłogą cieniem. Cieniem, którym okazał się włochaty potwór – gigantyczny, czarny pająk, taki, jakiego ludzie widują tylko w najgorszych koszmarach. Minął ofiarę dosłownie o cal z mrozącym krew w żyłach klekotem szczęk toczących pianę. Coś kapnęło na nagie ramię Conana, coś, co parzyło jak krople płynnego ognia. Barbarzyńca gotowy do ataku zobaczył, jak bestia opada na podłogę, zawraca i pędzi ku niemu z przerażającą szybkością.

Maszkarą była wielka jak wieprz, a jej osiem grubych, włochatych odnóży dźwigało to cielsko z zadziwiającą lekkością. Czworko błyszczących złowieszczo ślepi wpatrywało się beznamiętnie w swoją ofiarę, a można było w nich dostrzec straszliwą, zimną inteligencję. W tej chwili Conan zrozumiał, że to, co spadło mu na ramię, wżerając się w potężne mięśnie, było jadem pająka, piekielną trucizną mordującą gwałtownie i bezlitośnie. To ta bestia właśnie zabiła Nemedyczyka, gdy wbijając mu potworne kły między łopatki, zaatakowała go, spuszczając się ze swego oślizgłego leża pod sufitem. Byli takimi głupcami, nie podejrzewając, że górne komnaty wieży są również dobrze chronione!

Wszystkie te myśli przegalopowały przez umysł Conana, gdy potwór ponownie na niego ruszył. W ostatniej chwili wysoko podskoczył, rozpędzony pająk przemknął pod nim, po czym błyskawicznie zawrócił

i uderzył po raz kolejny. Barbarzyńca zwinnie uskoczył w bok, potężnie ciął mieczem, odcinając jedną z ohydnych włochatych nóg, ledwie unikając monstrualnych kłapiących szczęk. Pająk nie zaatakował ponownie tylko przebiegł po kryształowej podłodze, wspiał się po ścianie na sufit i zamarł. Przewiercał przeciwnika swymi okrutnymi, czerwonymi ślepiami. I nagle, bez ostrzeżenia, rzucił się w powietrze, ciągnąc za sobą pasmo szarawej pajęczyny.

Conan odskoczył w tył i w ostatniej chwili, rozpaczliwym zwodem, uniknął oplątania przez nadlatującą sieć. Nagle pojął zamiary bestii i skoczył w stronę drzwi, ale pająk był o wiele szybszy. Kleista nić rozciągnięta na framudze odcięła mu drogę ucieczki. Nie ważył się przeciąć jej mieczem, wiedział, że ostrze przyklei się do niej, a zanim je oderwie, potwór zdąży zatopić kły w jego ciele. Stał się więźniem w śmiertelnej pułapce.

Zaczęły się desperackie zmagania – spryt i zręczność mężczyzny kontra przebiegłość i szybkość olbrzymiego pająka. Bestia nie próbowała już żadnych bezpośrednich ataków ani z podłogi, ani z powietrza. Kierowana okrutną inteligencją biegała po całej komnacie, próbując schwytać Cymmeryjczyka w długie lepkie pasma szarej pajęczyny. A strzelała nimi z diabelską precyzją. Nici miały grubość solidnego sznura i Conan doskonale wiedział, że jeżeli w nie wpadnie, to będzie koniec walki. Nawet jego legendarna siła nie wystarczyłaby, żeby mógł się z takich sideł wydostać, odpierając kolejny atak potwora.

Śmiertelne zmagania toczyły się w zupełnej ciszy, przerywanej jedynie szybkimi oddechami oraz szuraniem bosych stóp człowieka po kryształowej podłodze, a także złowieszczym klekotaniem szczęk żądnej krwi bestii. Szare nici pajęczyny pokrywały już dosłownie wszystko. Leżały w zwojach na podłodze, girlandami zwieszały się z sufitu i ścian, szczelnie przykrywając mahoniowe skrzynie ze skarbami, pętliły wyszywane złotem jedwabne kanapy, zamieniając całą komnatę w wyściełane lepką śmiercią łoże. Jak do tej pory Conan zawdzięczał życie swojej spostrzegawczości i gigantycznej sile mięśni. Jednak pętla, wystrzeliwane przez pająka, jedna za drugą, coraz ciaśniej go otaczały, co chwilę grożąc poważnym zranieniem nagiego ciała. Wiedział, że nie będzie mógł w nieskończoność kontynuować tego tańca uników, musiał bowiem uważać nie tylko na pajęczyny swobodnie zwisające z sufitu i ścian, ale także na te wyściełające podłogę. Gdyby wdepnął w taki zwój, ten oplótłby się wokół jego nogi

niczym wściekły głodny pyton, a wtedy unieruchomiony w takim kokonie, byłby zdany na łaskę potwora.

Czarny stwór pędził po podłodze, snując za odwłokiem kolejną porcję pajęczej nici. Conan w desperackim skoku przeleciał nad sofą, ale bestia wyczuwając jego zamiar, skręciła w miejscu i wbiegła na ścianę, unosząc z podłoża utkaną pajęczynę, która, niczym klejące, stalowe pazury, chwyciła kostkę człowieka. Barbarzyńca runął jak długi, mocując się szaleńczo z oplatającą go siecią. Włochaty diabeł czując już smak nadchodzącego zwycięstwa, pędził w dół po ścianie, aby dokończyć dzieła. Rozwścieczony do granic szaleństwa Conan chwycił najbliższą skrzynię wypełnioną po brzegi klejnotami i z potworną siłą cisnął nią w nadbiegającą bestię. Nie tego spodziewał się potwór. Ciężki pocisk z morderczą precyzją grzmotnął go dokładnie w środek jego oślizgłego cielska. Przez komnatę przetoczył się chrzęst miazdzonej tkanki, trysnęła krew i zielonkawy śmierdzący śluz. Przygwożdżony do ściany czarny demon drżał w przedśmiertnych konwulsjach, a jego rozerwane ciało legło na podłodze wśród szczątków rozbitej skrzyni, zatopione w stercie drogocennych klejnotów. Czerwone, okrutne ślepia gasły szybko.

Conan rozejrzał się wokół. Wyglądało na to, że nie ma w komnacie kolejnych bestii zrodzonych z najgorszych koszmarów. Z niemałym trudem zaczął więc oswobadzać się ze spowijającej go pajęczyny. Kleiste nici uporczywie przywierały do ciała, a pozbycie się ich kosztowało barbarzyńcę niemało wysiłku. Przynajmniej był bezpieczny. Podniósł z podłogi upuszczony w ferworze walki miecz i ruszył w stronę drugich drzwi, lawirując w labiryncie pajęczych sieci. Nie wiedział, jakie potworności czają się za nimi. Podniecony i rozgrzany zwycięskimi zmaganiem postanowił, że skoro pokonał już tyle niebezpieczeństw i zaszedł tak daleko, to nie pozostaje mu nic innego, jak tylko brnąć dalej bez względu na zakończenie tej historii. Ponadto jego intuicja podpowiadała mu, że klejnotu, który był powodem całej tej przygody, nie znajdzie pośród niezliczonych drogocennych kamieni porzrzucanych niedbale w tej diabelskiej komnacie.

Conan pozrywał lepkie pasma zasnuwające drzwi i odkrył, że te, podobnie jak i pierwsze, nie były zamknięte. Przez chwilę dumął, czy żołnierze w strażnicy na dole ciągle nic nie wiedzą o jego obecności. Znajdował się wysoko ponad nimi, a ponadto liczne opowieści krążące po mieście nie pozostawiały złudzeń – strażników w ogóle nie dziwiły dziwne

dźwięki rozbrzmiewające na wyższych kondygnacjach: opętańcze wrzaski bólu, cierpienia, agonii i przerażenia.

Pomyślał o arcykapłanie i jego mrocznych sekretach, a przez to, gdy otworzył złote drzwi, nie czuł się zbyt pewnie. Ale zamiast kolejnych potworności zobaczył jedynie srebrne schody prowadzące w dół, mające w słabym świetle, padającym nie wiadomo skąd. Ścisnął mocniej miecz w potężnej dłoni i zaczął ostrożnie schodzić. Jego wędrowce przez korytarz nie towarzyszył żaden dźwięk. Było cicho. Dotarł w końcu do drzwi z kości słoniowej, wysadzanej pulsującymi krwistą czerwienią rubinami. Nasłuchiwał przez chwilę, lecz nawet najcichszy szmer nie dochodził zza drzwi. Spozregł jedynie leniwie sączącą się smużkę dymu spod progu, niosącą ze sobą ciekawy, egzotyczny zapach, nieznany Cymmeryjczykowi. Kręte schody wiodły dalej, w dół, w czarną otchłań przesiąkniętą mrokiem. Conan poczuł się nieswojo, jakby był jedynym żywym stworzeniem w tej mrocznej wieży zamieszkaney tylko przez duchy i zjawy.

Czujny i skupiony jak wilk do podjęcia walki lub ucieczki wobec przewagi przeciwnika, lekko pchnął wrota z kości słoniowej. Uchyliły się bezszelestnie i barbarzyńca stanął przyczajony na złotym progu. Zobaczył rozległą komnatę zwieńczoną kopulastym, złożonym sufitem. Ściany wyłożono zielonym jadem, a podłogę z kości słoniowej ozdobiono grubymi dywanami. Dym i aromat egzotycznego kadzidła unosiły się z kociołka zawieszzonego na złotym trójnogu, a za nim, na marmurowym podwyższeniu spoczywał przerażający posąg. Conan spojrział zdumiony – choć zielony i nagi korpus figury przypominał ciało człowieka, to potworna, gargantuicznie wręcz wielka głowa, jakby zrodzona w szaleństwie koszmarnego snu, nie miała w sobie nic ludzkiego. Barbarzyńca zobaczył nieproporcjonalnie wielkie, szeroko rozpostarte uszy i wygiętą trąbę, po obu stronach której groźnie sterczały białe kły z okrągłymi, złotymi kulami na końcu. Posąg miał zamknięte oczy, jakby spał.

Teraz Conan zrozumiał, dlaczego siedzibę arcykapłana nazywano Wieżą Słonia. Głowa posągu bardzo przypominała zwierzę opisane przez shemickiego wędrowca. Tak zatem wygląda bóg Yary! Gdzie więc może

znajdować się legendarny klejnot zwany Sercem Słonia, jeśli nie wewnątrz tego bożka?

Cymmeryjczyk wolno ruszył w stronę postumentu, wpatrzony w ohydny twarz. I nagle stwór otworzył oczy! Mężczyzna zamarł w pół kroku. To nie żaden martwy posąg, tylko żywa istota! A on był uwięziony w tej komnacie!

O przerażeniu barbarzyńcy niech świadczy fakt, że ten zahartowany w niebezpieczeństwach wilk pustkowi przez krótką chwilę nie był zdolny do żadnego działania i nie wpadł w typowy dla siebie szał szlachtowania i mordowania wszystkiego w zasięgu wzroku. Cywilizowany człowiek na jego miejscu już dawno oszalałby ze strachu, a przynajmniej zwątpiłby w swoje zdrowe zmysły, ale Conan nie uważał się za szaleńca. Doskonale wiedział, że oto stoi oko w oko z demonem Starego Świata i ta świadomość sparaliżowała go na chwilę.

Potwór uniósł badawczo wielką trąbę, spoglądając gdzieś przed siebie zamglonym, pustym wzrokiem. Conan zrozumiał, że demon był ślepy, a ta świadomość przywróciła mu zdolność działania. Zaczął powoli cofać się w kierunku drzwi, ale stworzenie usłyszało go, skierowało trąbę w jego stronę i przemówiło drżącym, niepewnym, hipnotyzująco monotonnym głosem. Cymmeryjczyk domyślił się, że usta i gardło stwora nie zostały stworzone, by artykułować ludzką mowę.

– Kto tu jest? Znowu przyszedłeś, by mnie torturować, Yaro? Nigdy nie przestaniesz? Ach, na wszystkich bogów Yag, kiedy wreszcie nastanie kres mej agonii?

Z niewidzących oczu stwora popłynęły łzy i zafascynowany Conan mógł bliżej przyjrzeć się wielkiemu cielsku spoczywającemu w marmurowym łożu. Od razu zorientował się, że ze strony demona nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Ponure, straszne dowody rozlicznych tortur, sadyzmu, kleszczy i płomieni, którym poddano to ciało, były nadto widoczne. Cymmeryjczyk nie był skory do wzruszeń, ale wynędzniałe, potwornie okaleczone członki, zrodziły w nim coś na kształt litości, wiedział bowiem, że kiedyś były one równie sprawne, jak jego własne. Nie miał najmniejszego pojęcia kim było to monstrum, ale widok ogromu jego cierpienia przejął go najszczerzym współczuciem. Zniknął strach i obrzydzenie. Niewytłumaczalny smutek opadł na niego niczym żałobny całun. Czuł, że ma przed oczami ofiarę okrutnej tragedii i wstydził się, jakby dźwigał na barkach brzemień win całej ludzkości.

– Nie jestem Yara – powiedział cicho. – Jestem tylko złodziejem. Nic ci nie zrobię.

– Podejdź bliżej, bym mógł cię dotknąć – stworzenie sapnęło z uczuciem ulgi i Conan podszedł bliżej, bez strachu, dzierżąc w dłoni miecz. Trąba wysunęła się, dotykając jego twarzy i ramion, tak jak niewidomy człowiek poznaje świat dookoła siebie – delikatnie, ostrożnie. Przypominało to prawie pieśczętą dziewczęcej dłoni.

– Nie należysz do tej przeklętej rasy Yary – westchnęło stworzenie. – Rysy twojej twarzy rzeźbiła dzikość i pierwotna czystość odległych pustkowi. Znam twój lud od niepamiętnych czasów, gdy nosił jeszcze inne imię, a wysadzane klejnotami iglice wież zapomnianych cywilizacji przeglądały się w blasku nieba. Masz krew na rękach.

– To pajak w komnacie powyżej i lew w ogrodzie – wymamrotał beznamiętnie Conan.

– Tej nocy zabiłeś także człowieka – kontynuował twór. – A na szczycie wieży zginął ktoś jeszcze... O, tak! Widzę to i czuję jej zapach!

– Zgadza się – odparł Conan. – Książę wszystkich złodziei leży tam martwy, zabity przez krwiożerczą bestię.

– Tak! Tak! – dziwny, nieludzki głos wzniósł się jakby w niskim zaśpiewie. – Śmierć w tawernie. Śmierć na dachu. Wiem to i czuję! A trzecia rozbudzi taką magię potęgi, której Yara nie potrafi sobie nawet wyobrazić... Czar uwolnienia, na zielonych bogów Yag!

Pokiereszowane, okaleczone ciało, drżąc miotane skrajnymi emocjami, po raz kolejny uroniło perliste łzy, swobodnie spływające po wielkich policzkach. Conan przyglądał się temu zupełnie zdezorientowany. Po chwili jednak twór uspokoił się, a łagodne teraz spojrzenie niewidzących oczu spoczęło na barbarzyńcy. Ofiara Yary przemówiła.

– Posłuchaj, człowieku – powiedziało dziwne stworzenie. – Wiem, że dostrzegasz we mnie tylko brzydotę i potworność. Nie zaprzeczaj, znam prawdę. Gdybym jednak mógł cię zobaczyć, to samo pomyślałbym o tobie. Istnieje tak wiele światów prócz tego, a życie przyjmuje najróżniejsze formy. Nie jestem ani bogiem ani demonem, tylko istotą z krwi i kości jak ty, chociaż wyglądam nieco inaczej, a i moje ciało ma odmienną formę.

Jestem bardzo, bardzo stary, o dziki wilku pustkowi! W dawno zapomnianych czasach przybyłem wraz z podobnymi mnie do tego świata z zielonej planety Yag, krążącej przez wieczność na krańcach wszechświata. Przemierzyliśmy przestrzeń na potężnych skrzydłach, które

niosły nas przez kosmos szybciej niż światło, gdyż wojowaliśmy z królami Yag, ale pokonano nas i wygnano. Nie mogliśmy jednak wrócić – na twojej planecie skrzydła odpadły od naszych ramion. Musieliśmy tu pozostać, tak daleko od rodzinnego świata. W tytanicznych zmaganiach ścieraliśmy się z najdziwniejszymi i najstraszliwszymi formami życia zamieszkującymi wówczas twój świat. Po latach krwawej zawieruchy w końcu zaczęto się nas lękać tak bardzo, że pozostawiono nas samych sobie w ponurych dżunglach wschodu, w których znaleźliśmy schronienie.

Na naszych oczach ludzie wyewoluowali z małp, wznosząc lśniące miasta Valuzji, Kamelii czy Commorii. Obserwowaliśmy, jak ich mieszkańców pochłonięła nawałnica nienasyconych bogactw Atlantydwów, Piktów i Lemurian. Trwaliśmy, niczym gwiazdy, gdy spienione fale oceanów zatapiały ich miasta, wymazując z pamięci świata wyspy oraz kontynenty. Ocaleli Piktowie i Atlantydzi zbudowali nowe imperia epoki kamiennej, by te ponownie rozpadły się w pył w wirze krwawych i bezlitosnych wojen. Byliśmy świadkami degrengolady Piktów, ich powrotu do bestialskiej dzikości, i obserwowaliśmy jak niezwytciezeni niegdys Atlantydzi staczają się z powrotem do poziomu małp. Widzieliśmy, jak niesione falą kolejnej migracji ze skutych wiecznym lodem krain rasy powoływały do życia nową cywilizację – królestwa Nemedii, Koth i Akwilonii. Widzieliśmy twoich przodków, wzrastających ponownie, zjednoczonych pod nowym imieniem, na ziemiach dawnej Atlantydy, podobnie jak uczynili to ci Lemurianie, którzy przeżyli kataklizm, tworząc na zachodzie własne państwo – Hyrkanię. I widzieliśmy w końcu, jak ta przeklęta diabelska rasa, nasienie starożytnej cywilizacji istniejącej jeszcze przed zagładą Atlantydy, ponownie rośnie w siłę, budując królestwo Zamory.

O, tak! Byliśmy niemymi świadkami tych wydarzeń. Nie ingerowaliśmy, nie pomagaliśmy ani nie przeszkadzaliśmy kosmicznemu cyklowi narodzin i śmierci. I umieraliśmy, jeden po drugim, gdyż my, Yagowie, nie jesteśmy nieśmiertelni, chociaż długość naszego życia mierzy się nie w dziesiątkach, ale w setkach milionów lat, jak życie gwiazd i konstelacji. W końcu zostałem tylko ja, śniąc o dawnych czasach, pośród zrujnowanych świątyń, w zagubionych dżunglach Khitaju, czczony jako bóg przez prastarą rasę żółtoskórych. I wtedy przybył Yara, obznajomiony z mroczną wiedzą, przekazywaną kolejnym pokoleniom od dnia barbarzyństwa, zanim jeszcze zatonała Atlantyda.

Z początku, towarzysząc mi na każdym kroku, pokornie poznawał wiedzę, którą go obdarowywałem. Ale chciał więcej i więcej. Przestała mu wystarczać czysta, nieskalana złem magia. Zżerany przez własne ambicje, pychę i dumę pragnął zgłębić tajniki czarnej magii, by stać się panem książąt i królów, by rządzić całym światem. Nie zdradziłem mu mrocznych tajemnic, których tak bardzo pożądał, a które mimochodem poznałem przez całe millenia. Nie doceniłem jednak jego żądzy władzy. Dzięki ponurej wiedzy zdobytej w stygijskich grobowcach podszedł mnie podstępnie, a ja wyjawiałem mu pewien sekret, którego nigdy nie powinien był poznać. Dlatego mnie zniewolił, wykorzystując do tego moją własną moc. Ach, bogowie Yag, jakże nędzne stało się moje życie! Zabrał mnie z zagubionych dżungli Khitaju, gdzie szare małpy tańczyły przy muzyce piszczałek żółtoskórych kapłanów, a ofiary z owoców i wina hojnie składano u stóp mych zniszczonych ołtarzy. Już nie byłem bogiem mego ludu, stałem się niewolnikiem potwora w ludzkiej skórze.

Z niewidzących oczu ponownie popłynęły łzy.

– Uczynił mnie więźniem tej wieży, którą zbudowałem przez jedną noc na jego rozkaz. Ogniem, stałą i najbardziej podłymi torturami, których skali nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, dręczył mnie latami, aż w końcu przełamał mój opór i poddałem się jego woli. Gdybym tylko mógł, już dawno skończyłbym ze sobą, lecz on trzyma mnie uparcie na łańcuchu życia – zaszczutego, oślepionego, złamanego – tylko w jednym celu: bym spełniał każde jego życzenie. Od trzystu lat, będąc przykutym do tego marmurowego grobowca, kalam duszę ohydnyymi zbrodniami, wykorzystując mą wiedzę do szerzenia zła i trwogi. Bo nie pozostawił mi żadnego wyboru. Mimo wszystko, nie wydał mi jeszcze wszystkich sekretów. Niech mym ostatnim podarunkiem dla niego będzie magia Krwi i Klejnotu! Czuję, że wypełnia się mój czas. Jesteś ręką losu. Błagam cię, weź klejnot, który znajdziesz na tamtym ołtarzu.

Conan odwrócił się i podszedł do wskazanego ołtarza ze złota i kości słoniowej. Ujął w dłonie wspaniałe, nieskazitelnie przejrzyste, purpurowy klejnot i zrozumiał, że ma przed oczami legendarne Serce Słonia.

– Nadszedł wreszcie czas na prawdziwie potężną magię, jakiej ten świat jeszcze nie widział i nie ujrzy ponownie przez następne millenia! – rzekł niepodziwianie mocnym głosem stwór. – Zaklinam cię, człowieku, na moje życie i krew, na moje ciało zrodzone na zielonym łonie Yag, mego utraconego domu, krążącego po dalekich, błękitnych oceanach kosmosu,

zaklinam cię, weź swój miecz i wytnij bijące w mej piersi serce! Potem ściśnij je tak, by krew mogła nakarmić czerwony kamień. Gdy już to zrobisz, zejdziesz schodami prosto do hebanowej komnaty, w której otumaniony oparami lotosu Yara śni o kolejnych zbrodniach. Wymów jego imię, a się przebudzi. Połóż wtedy przed nim ten klejnot i powiedz: „Yag-kosha przesyła ci ostatni dar i ostatni czar”. I uciekaj szybko z wieży. Nie bój się, nic i nikt nie stanie ci na przeszkodzie. Człowiek żyje inaczej niż Yag, a Yag umiera inaczej niż człowiek. Uwolnij mnie z klatki tego umęczonego, ślepego ciała, bym na powrót stał się Yogahem z Yag w lśniącej aureoli poranka, ze skrzydłami gotowymi do lotu, stopami pragnącymi tańca, oczyma widzącymi cuda wszechświata i rękoma gotowymi, by miażdżyć mych wrogów!

Conan podszedł niepewnie do marmurowego podwyższenia, a Yag-kosha, czy też Yogah, wyczuwając jego wahanie, wskazał mu, gdzie powinien uderzyć. Cymmeryjczyk zacisnął zęby i głęboko wbił miecz. Krew trysnęła na ostrze i ręce barbarzyńcy, stwór gwałtownie zadrżał, by po chwili znieruchomieć. Barbarzyńca przekonany, że istota umarła, a przynajmniej w takim sensie, w jakim on pojmował zjawisko śmierci, zaczął wypełniać przerażające zadanie. Szybko wydobył z jej martwego ciała coś, co musiało być sercem, chociaż w żadnym razie nie przypominało ludzkiego. Trzymając w dłoniach pulsujący wciąż organ, ścisnął go mocno nad błyszczącym kamieniem, by ten mógł skapać się w deszczu krwi. Ku jego zdziwieniu krew nie spłynęła, lecz wsiąkła w niego, niczym woda w gąbkę.

Troskliwie trzymając klejnot młodzieniec opuścił dziwną komnatę, która była świadkiem tylu cierpień. Gdy już stał na progu odniósł wrażenie, że w martwym ciele Yaga, spoczywającym na marmurowym podeście, zachodzi jakaś przemiana. Nie odwrócił się. Czuł, że nie jest to widok przeznaczony dla ludzkich oczu.

Zamknął za sobą drzwi z kości słoniowej i bez wahania ruszył w dół. Nawet mu przez myśl nie przyszło, by zlekceważyć prośbę Yag-kosha.

Dotarł w końcu do hebanowych wrót, na środku których szczyrzyła zęby w upiornym grymasie wyrzeźbiona starannie srebrna czaszka. Pchnął je zdecydowanym ruchem i ostrożnie zajrzał do środka. W hebanowej komnacie, na kanapie wyściełanej czarnym jedwabiem, w oparach żółtego lotosu, leżała wychudzona, patykowata postać. Oto był Yara, arcykapłan i mag, władca Wieży Słonia. Patrzył szeroko otwartymi oczami gdzieś

w nieodgadnioną dal, w jakieś mistyczne, czarne otchłanie, niedostępne zwykłemu śmiertelnikowi.

– Yaro! – zagrział Conan głosem sędziego, oznajmującego niechybną zgubę skazanego. – Zbudź się!

Czarnoksiężnik natychmiast oprzytomniał, a jego oczy stały się zimne i okrutne, niczym ślepią sępa. Wysoki, ubrany w jedwabie mężczyzna podniósł się, górując ponuro nad Cymmeryjczykiem.

– Psie! – syknął niczym głodna kobra. – Co tu robisz?

Conan położył klejnot na wielkim, hebanowym stole.

– Ten, kto podarował ci ten kamień, kazał mi powiedzieć: „Yag-kosha przesyła ci ostatni dar i ostatni czar”.

Yara cofnął się natychmiast, a jego twarz przybrała barwę popiołu. W klejnocie zaszła niezrozumiała dla Conana przemiana, przestał być krystalicznie przejrzysty; jego mroczne wnętrza zaczęło pulsować dziwnym światłem, a po gładkiej powierzchni przemknęły różnokolorowe, mgliste fale. Jak w kleszczach magicznego transu, Yara podszedł do stołu, chwycił w dłonie dar od Yaga i zaczął się weń intensywnie wpatrywać.

Conan, obserwując tą scenę, pomyślał, że wzrok musi go mylić, bowiem kiedy Yara wstał z kanapy, wydawał się gigantyczny, teraz jednak głowa arcykapłana sięgała mu zaledwie do ramienia. Zamrugał oczami i ogłupiały po raz pierwszy tej nocy zwątpił w swoje zmysły. I nagle dotarło do niego, że czarownik maleje w oczach, z każdą chwilą staje się coraz mniejszy.

Barbarzyńca przyglądał się temu szokującemu widowisku, nie wierząc w to, co widzi. Rozgrywające się na jego oczach wydarzenia wykraczały daleko poza sferę ludzkiego pojmowania. Niczego już nie był pewien, wiedział jedynie, że oto jest świadkiem emanacji kosmicznej potęgi nieskończonego wszechświata.

Yara nie był już większy od dziecka. Siedział niezdarnie na stole i ciągle ścisnął w dłoniach Serce Słonia, jak niemowlak najdroższą sobie zabawkę. Nagle czarownik pojął, jaki czeka go los. Zerwał się na równe nogi, upuszczając klejnot. Ale nieubłaganie mała, tak że po chwili po hebanowym stole wściekle miotała się karłowata figurka, wrzeszcząc piskliwym głosem, przypominającym natarczywe brzęczenie owada.

Zmalał już tak bardzo, że pulsujący kamień wznosił się nad nim niczym świetliste wzgórze. Conan zobaczył, że nieszczęśnik zasłania sobie oczy dłońmi, jakby chciał je uchronić przed otaczającym go blaskiem, miotając się jak szalenciec. Jednak jakaś nieznaną siłą nieubłaganie ciągnęła malutką

postać w stronę klejnotu. Yara desperacko usiłował wyzwolić się z jej władania – zrozpaczony trzykrotnie chciał podbiec do krawędzi stołu, ale za każdym razem, przyciągany z niepojętą mocą, jedynie obiegał kamień po coraz ciaśniejszych kręgach. Wtem niespodziewanie, wydając z siebie ledwie słyszalny okrzyk przerażenia, arcykapłan wyrzucił ręce w górę i pobiegł wprost ku swemu przeznaczeniu.

Pochylając się nisko, Conan zobaczył, że Yara z najwyższym trudem wspina się po gładkiej powierzchni, wyglądając jak człowiek zdobywający szklaną górę. Gdy stanął wreszcie na szczycie, wyrzucił ręce w górę i zaczął przyzywać imiona sobie tylko znanych mrocznych bóstw. I nagle zapadł się do środka kamienia, pochłonięty przez różnokolorowe fale światła. Klejnot na powrót stał się krystalicznie przejrzysty i pulsująco purpurowy. W samym jego sercu barbarzyńca dostrzegł arcykapłana. Patrząc na to wszystko, Cymmeryjczyk miał wrażenie, że jest świadkiem wydarzeń rozgrywających się gdzieś daleko poza tym światem, w innym kosmosie.

Niespodziewanie we wnętrzu kamienia pojawiła się zielona postać ze lśniącoymi skrzydłami u ramion, ciele człowieka i głowie słonia – już nie ślepa ani okaleczona. Yara rzucił się do panicznej ucieczki, a mściciel podążał jego śladami. I wtem wspaniały klejnot eksplodował jak bańka mydlana milionem tęczyowych iskier. Błat hebanowego stołu pozostał nagle nagi i pusty. Intuicja podpowiadała Conanowi, że równie puste jest marmurowe łóżko w komnacie powyżej, w którym przez wieki spoczywało okaleczone przez ludzką chciwość i żądzę władzy ciało dziwnej kosmicznej istoty, zwanej Yag-kosha lub Yogah.

Cymmeryjczyk odwrócił się, i, nie oglądając za siebie, wypadł z komnaty, by jak strzała pomknąć w dół po srebrnych, krętych schodach. Był tak wstrząśnięty, że nawet nie przyszło mu na myśl uciekać tą samą drogą, którą dostał się do wieży. Wąski korytarz skąpany w zimnym świetle doprowadził go do obszernej sali na dole wieży, czyli wartowni. Tu przystanął na chwilę.

Blask pochodni odbijał się w błyszczących, wypolerowanych napierśnikach żołnierzy, rozświetlał inkrustowane drogocennymi kamieniami rękojeści ich mieczy. Niektórzy siedzieli sztywno za suto zastawionymi stołami, opuściwszy na piersi głowy w hełmach ozdobionych pysznymi pióropuszcami, inni jeszcze legli na podłodze z lapis-lazuli, wśród porzucanych chaotycznie kości do gry, złotych kielichów i beczek

z winem. Conan wiedział, że wszyscy byli martwi. Yag-kosha złożył obietnicę i jej dotrzymał – strażników wieży dosięgła śmierć niesiona przez cień zielonych, wielkich skrzydeł. Barbarzyńca nawet nie próbował zrozumieć, za sprawą jakiej magii dokonana się ta masakra. Liczyło się tylko to, że miał wolną drogę, a w srebrnych wrotach dostrzegł jaśniejący poranek.

Cymmeryjczyk zanurzył się w zieleń bujnego ogrodu. Gdy delikatny wietrzyk przyniósł ze sobą rześki aromat kwiatów skąpanych w porannej rosie, poczuł, że oto nadszedł koniec tego koszmaru. Spojrzał raz jeszcze na tajemniczą wieżę, próbując znaleźć odpowiedzi na dręczące go pytania. Czy naprawdę była zaczarowana? A może to wszystko było tylko wytworem jego wyobraźni? Wtedy zobaczył, że przekłete siedlisko Yary chwije się nagle na tle karmazynowego, porannego nieba, a zwieńczenie budowli drży, jakby w przedśmiertnych konwulsjach. Chwilę potem z Wieży Słonia pozostały jedynie lśniące blaskiem klejnotów ruiny.

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(marzec 1933) pod tytułem *The Tower of Elephant*

CZARNY KOLOS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

„Noc Mocy, kiedy Przeznaczenie zbliżało się korytarzami świata jak kolos, właśnie wzniosła się z pradawnego tronu z granitu”

E. Hoffman Price, The Girl from Samarkand

W tajemniczych ruinach Kuthchemes panowała jedynie wiekowa cisza, ale był też tam strach, który ogarnął umysł złodzieja Shevatas. Zacisnął zęby. Jego oddech był płytki i krótki.

Stał tam jak drobinka życia wśród niewyobrażalnych świadectw upadku i spustoszenia. W błękitnych przestworzach nieba, które słońce rozświetlało swym blaskiem, nie widać było nawet sępów. Po obu stronach wznosiły się relikty zapomnianej epoki: celujące w niebo olbrzymie, rozbite kolumny, długie, kręte ciągi walących się murów; gigantyczne bloki skalne i poprzewracane posągi o zatartych przez wiatr i burze piaskowe straszliwych rysach. Nigdzie nie widać było żadnego znaku życia, a po sam horyzont ciągnął się zapierający dech w piersiach bezmiar nagiej pustyni, przecięty krętą linią dawno już wyschniętej rzeki. W środku tej otchłani błyszczwały krawędzie ruin, sterczące jak połamane maszty zatopionych okrętów. Nad wszystkim górowała kopuła gmachu z kości słoniowej, przed którym stał drżący Shevatas.



Shevatas, smukłego i żylastego mężczyznę, uznawano powszechnie za najsylniejszego i najlepszego złodzieja z Zamory.

Podstawą budowli był gigantyczny piedestał z marmuru, wznoszący się na czymś, co niegdyś było tarasem na brzegu starożytnej rzeki. Szerokie schody prowadziły do brązowych drzwi budynku, który przypominał połówkę olbrzygiego jaja. Sama kopuła została wyrzeźbiona z czystej kości słoniowej, lśniącej, jak gdyby była nieustannie polerowana przez bezimienne dłonie. Równie błyszcząco był jej złoty czub i umieszczone na

powierzchni ogromne, złote hieroglify. Żaden śmiertelnik nie mógł ich odczytać, ale Shevatas wzdrygnął się, gdyż wzbudzały w nim ponure podejrzenia. Przynależał on bowiem do bardzo starej rasy, w której mitach przetrwała znajomość dawnych kultur, obcych dla innych współczesnych plemion.

Shevatas, smukłego i żylastego mężczyznę, uznawano powszechnie za najślynniejszego i najlepszego złodzieja z Zamory. Jego mała, okrągła głowa była całkowicie ogolona, a za jedyne odzienie służyła mu przepaska na biodrach ze szkarłatnego jedwabiu. Jak wszyscy z jego rasy miał bardzo ogorzałą skórę, a z wąskiej, sępiej twarzy spoglądały bystre czarne oczy. Jego długie, szczupłe palce były szybkie i zwinne niczym skrzydła ćmy. U złotego, pokrytego łuskami pasa w pochwie ze zdobionej skóry, wisiał krótki wąski miecz o wysadzanej klejnotami rękojeści. Shevatas nosił tę broń zadziwiająco ostrożnie. Zdawał się nawet unikać kontaktu nagiego uda z pochwą. Nie było to bezpodstawne.

Imię Shevatas, złodzieja nad złodzieje, wymawiano z namaszczeniem w spelunach Maul i ponurych, cienistych zaułkach za świątynią Bela. Żył już po wieki wieków w pieśniach i legendach, a jednak, gdy tak stał przed alabastrową kopułą Kuthchemes, w jego sercu załagł się strach. Każdy głupiec byłby w stanie pojąć, że w tej budowli było coś nienaturalnego. Od trzech tysięcy lat smagał ją wiatr i paliło słońce, a jednak złoto i kość słoniowa wznosiły się w niebo równie jasne i oślepiające jak w dniu, kiedy tajemnicze ręce wzniosły ów gmach na brzegu bezimiennej rzeki.

Owa niezwykłość współgrała z aurą nawiedzonych ruin. Ta pustynia była tajemniczym i niezbadanym terenem, leżącym na północ od krain Shemu. Parę dni drogi na południowy zachód, jak wiedział Shevatas, znajdowało się zakole wielkiej rzeki Styks, która zakręcała tam niemal pod kątem prostym w kierunku zachodnim, by toczyć swe wody do odległego morza. Tam rozpoczynały się tereny Stygii, czarnej kochanki południa. Jej włości, nawadniane przez wielką rzekę, wznosiły się bezpośrednio na pustyni.

Shevatas wiedział też, że na wschodzie pustynia stawała się stepem, rozciągającym się aż po hyrkańskie królestwo Turanu, wznoszące się w barbarzyńskim splendorze na brzegach wielkiego morza wewnętrznego. O tydzień drogi na północ piaski ustępowały jałowym wzgórzom, za którymi leżały żyzne wyżyny Koth, najbardziej wysuniętego na północ królestwa rasy hyboryjskiej. Na zachodzie pustkowiu zlewało się z łąkami Shemu, które ciągnęły się po sam ocean.

Była to wiedza na poły instynktowna – tak, jak każdy mieszkaniec miasta zna swoje ulice. Shevatas wiele podróżował i złupił mnóstwo królestw, lecz teraz, w obliczu największej przygody i najpotężniejszego skarbu, ogarnęły go strach i zwątpienie.

Pod kopułą z kości słoniowej leżały szczątki Thugry Kothana, mrocznego czarnoksiężnika, który panował w Kuthchemes trzy tysiące lat wcześniej. Królestwa stygijskie rozciągały się wówczas daleko na północ od wielkiej rzeki, na łąkach Shemu i na wyżynach. Potem nastąpił napływ Hyboryjczyków, którzy migrowali ze swej ojczystej ziemi na biegunie północnym. Była to potężna wędrówka ludów, trwająca wiele wieków. Ale za rządów Thugry Khotana, ostatniego maga z Kuthchemes, szaroocy, płowi barbarzyńcy w wilczych skórach i pancernych zbrojach jechali z północy na żyzne wyżyny, aby stworzyć ogniem i mieczem królestwo Koth. Zalali Kuthchemes jak fala przyływu, topiąc we krwi marmurowe wieże. Północne królestwo Stygii zostało spalone i popadło w ruinę, ale gdy barbarzyńcy niszczyli ulice miasta i wycinali łuczników jak zboże, Thugra Khotan wypił dziwną, straszną truciznę. Zamaskowani, oddani mu kapłani zamknęli go w grobie, który sam sobie sprawił, po czym zginęli przy jego trumnie w straszliwych męczarniach. Barbarzyńcy nie zdołali sforsować wrót ani nawet zniszczyć budynku taranem i ogniem. Oddalili się zatem, pozostawiając za sobą ruiny wielkiego miasta i maga, śpiącego niczym niezmaconym snem w grobowcu o kopule z kości słoniowej. Tymczasem ząb czasu nadgryzł walące się kolumny, a rzeka nawadniająca tę krainę w dawnych czasach, wyschła i wsiąkła w piach.

Wielu już złodziei próbowało zdobyć skarb, o którym opowiadano, że leżał wokół zmurszałych kości wewnątrz gmachu. Większość z nich umierała natychmiast u stóp grobowca, a jeszcze inni pogrążali się w śmiertelnym obłąkaniu i ginęli w końcu z pianą szaleństwa na ustach.

Także Shevatas wzdrygnął się, kiedy stanął przed grobowcem. Jego strach spowodowany był również legendą o wężu, który miałby jakoby strzec kości czarnoksiężnika. Wszystkie mity na temat Thugry Khotana spowijała mgła śmiertelnego koszmaru. Z miejsca, w którym stał, złodziej mógł zobaczyć ruiny wielkiej sali, gdzie zakuci jeńcy setkami padali na kolana podczas uroczystości, na których król-kapłan odrąbał im głowy, czcząc w ten sposób Seta, stygijskiego boga węża. Gdzieś niedaleko znajdował się ciemny i okropny loch, w którym krzyczące ofiary stawały się pożywką dla bezimiennego i bezkształtnego potwora, wywołanego

z głębokich, diabelskich pieczar. Legendy uznawały Thugrę Khotana za kogoś więcej niż człowieka. Jego kult przetrwał w jakimś eklektycznym, zwyrodniałym obrzędku, którego wyznawcy wybijali monetę z jego podobizną, aby w ten sposób opłacić swoją pośmiertną podróż po ciemnych wodach Styksu. Shevatas widział tę podobiznę na monetach ukradzionych spod języków umarłych i obraz ten głęboko utkwiał mu w pamięci.

Przemógł jednak swój strach i zbliżył się do drzwi z brązu, których gładka powierzchnia nie miała żadnej klamki ani uchwyty. Nie na darmo jednak wstępował do ponurych sekt, przysłuchiwał się okropnym szeptom wyznawców Skelos wśród nocnych drzew, i czytał zakazane księgi w żelaznych okuciach, podyktowane przez Vathelosa Ślepego.

Klękając przed bramą, zwinnymi palcami badał próg. Ich wrażliwe koniuszki znalazły coś wystającego, tak małego, że nie można było tego dostrzec gołym okiem ani znaleźć niezbyt wprawnymi palcami. Nacisnął to ostrożnie, w pewien specjalny sposób, mamrocząc przy tym dawno zapomniane zaklęcia. Przycisków było więcej – kiedy nacisnął ostatni, odskoczył w szaleńczym pośpiechu i uderzył w sam środek drzwi szybkim ciosem otwartej dłoni.

Nie usłyszał sprężyny ani zawiasu, a jednak drzwi cofnęły się w głąb. Shevatas wypuścił ze świstem powietrze zza zaciśniętych zębów. Przed nim stał otworem wąski i krótki korytarz. Wślizgnął się weń i stanął na jego drugim końcu. Podłoga, sufit i ściany tego podobnego do tunelu przejścia były wykonane z kości słoniowej. Nagle z otworu na jednej ze ścian wypełzła cicha bestia... Uniosła głowę i spojrzała na intruza okropnymi, błyszczącymi oczami. Był to długi na dwadzieścia stóp wąż o mieniących się tęczowo łuskach.

Złodziej nie tracił czasu na rozważania, w jakich czarnych jamach pod budynkiem potwór znajdował pożywienie. Ostrożnie wyciągnął miecz, z którego kapał zielonkawy płyn, identyczny jak ten, który ściekał z ostrych jak noże zębów gada. Jego ostrze zostało zanurzone w niezwykle silnej truciznie, której uzyskanie na diabelskich mokradłach Zingary było już samo w sobie wyczynem.

Shevatas stąpał ostrożnie, z lekko ugiętymi kolanami, przygotowany w każdym momencie na błyskawiczny skok. Kiedy wąż wygiął się i zaatakował, strzelając naprzód całym cielskiem jak błyskawica, złodziej przywołał na pomoc swą szybkość i umiejętność. Zginałby jednak w jednej chwili, gdyby nie przypadek. Jego dobrze przygotowany plan uchylenia się

i ścięcia wielkiej głowy obrócił się wniwecz wobec prędkości ataku bestii. Złodziej zdołał tylko wyciągnąć przed siebie miecz, krzyknął i odruchowo zamknął oczy. W tym momencie coś wyrwało mu miecz i korytarz przepełnił się dźwiękami uderzeń bata i straszliwej młócki.

Kiedy otworzył oczy, zdumiony że przeżył, Shevatas zobaczył, że potwór zwija giętke cielsko w niesamowitych konwulsjach. Miecz przeszył jego olbrzymie szczęki. Traf chciał, że choć celował na oślep, pchnął bestię w wyjątkowo czuły punkt. Parę chwil później wąż złożył się w błyszczące, z rzadka tylko drgające zwoje. Trucizna wróciła tam, skąd przybyła.

Przechodząc nad nim ostrożnie, złodziej rzucił się w kierunku kolejnych drzwi, które odsunęły się na bok, odsłaniając wnętrze budynku. Shevatas krzyknął: zamiast kompletnej ciemności zanurzył się w purpurowym świetle, pulsującym niemal niewidocznie dla ludzkich oczu. Blask wydobywał się z olbrzymiego, czerwonego klejnotu, znajdującego się wysoko na wybrzuszonym sklepieniu kopuły. Shevatas przyglądał mu się zauroczony, choć był przyzwyczajony do widoku bogactw. W środku komnaty znajdował się zgromadzony w ogromnych ilościach skarb: stopy diamentów, szafirów, rubinów, turkusów, opali i szmaragdów; piramidy jadeitu, agatów i lapis-lazuuli; wieże złotych sztabek; sterty srebrnych bloków; miecze o rękojeściach wysadzanych klejnotami, schowane w złotych pochwach, złote hełmy o barwnych bądź szkarłatnych pióropuszech; pancerze ze srebrnymi łuskami; inkrustowana szlachetnymi kamieniami uprząż zabrana trzy tysiące lat temu do grobu przez wojowniczych królów; kielichy wyrżnięte z jednego klejnotu; czaszki pokryte złotem, z kamieniami księżycowymi w oczodołach; naszyjniki z ludzkich zębów wysadzanych klejnotami. Podłoga z kości słoniowej pokryta była złotym pyłem, który mienił się milionami barw w purpurowej poświacie. Złodziej znalazł się w królestwie magii i przepychu, a jego odziane w sandały nogi stąpały wśród gwiazd.

Skupił jednak wzrok na kryształowym podium, które wznosiło się pośrodku błyszczących dekoracji, dokładnie pod czerwonym klejnotem. Na nim to powinny leżeć zmurszałe kości, z biegiem lat obrócone w pył. Gdy jednak Shevatas spojrzał tam, krew odpłynęła z jego twarzy, a po plecach przebiegł dreszcz przerażenia. Jego usta mamrotały coś bezgłośnie. Nagle zdał sobie sprawę, że krzyczy przeraźliwie, a jego głos niesie się aż po samo sklepienie. Potem w ruinach tajemniczego Kuthchemes na powrót zapanowała pradawna cisza.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wieść o tym wydarzeniu poniosła się po łąkach aż do miast hyboryjskich. Przekazywano ją sobie w karawanach, długich orszakach wielbłądów przemierzających piaski, prowadzonych przez szczupłych mężczyzn w białych kaftanach i o orlim wzroku. Przekazywali ją sobie pasterze o haczykowatych nosach, nieśli z namiotów do miast, gdzie królowie z sinymi i kręconymi brodami czcili opasłych bogów w zdumiewających rytuałach. Przekazano ją na krańce gór, gdzie wychudzeni tubylcy pobierali myto od karawan. Wieść dotarła też na żyzne wyżyny, gdzie miasta wznosiły się statecznie ponad błękitne jeziora i rzeki. Podróżowała po szerokich i białych drogach, pełnych wozów ciągniętych przez woły, ryczącego bydła, bogatych kupców, rycerzy w stali, łuczników i kapłanów.

Doszły więc wieści z pustyni, która leży na wschód od Stygii, daleko na południe od kothańskich wzgórz. Między nomadami wyrósł nowy prorok. Mówiono o wojnie plemiennej, o zebraniu sępów na południowym wschodzie i straszliwym przywódcy, który wiódł ku zwycięstwu coraz liczniejsze hordy. Stygijczycy, choć zawsze zagrażali północnym narodom, nie mieli, jak się zdawało, nic wspólnego z tymi wydarzeniami. Byli zajęci gromadzeniem armii wzdłuż swych wschodnich granic, a ich kapłani odprawiali obrzędy, mające na celu pokonanie jednego z pustynnych czarnoksiężników, którego ludzie zwali Zamaskowanym, Natohkiem, bowiem zawsze przesłaniał swą twarz.

Ale fala ciągnęła na północ i sinobrodzi królowie ginęli na ołtarzach swych opasłych bogów, a ich miasta z niskimi murami spływały krwią. Ludzie mówili, że to wyżyny Hyboryjczyków były celem Natohka i jego zawodzących wyznawców.

Najazdy z pustyni nie były rzadkością, ale ostatnie ruchy wyglądały na coś więcej niż zwykły najazd. Mówiono, że Natohk stanął na czele trzydziestu połączonych plemion i piętnastu miast, a zbuntowany stygijski książę przyłączył się do niego. Ten zwłaszcza fakt sprawiał, że całe wydarzenie zaczęło przypominać wojnę.

Co ciekawe, większość narodów hyboryjskich raczej ignorowała narastające niebezpieczeństwo, ale w Khorai, odbitej od Shemitów przez awanturników z Koth, śledzono to wszystko z uwagą. Leżała na południowy wschód od Koth, przyjęłaby zatem na siebie napór inwazji jako pierwsza. Ponadto ich młody władca został wzięty do niewoli przez zdradzieckiego króla Ofiru, który nie mógł zdecydować się, czy przywrócić go na tron za odpowiednio wysoką cenę, czy raczej wydać go wrogowi, żalosnemu królowi Koth, który nie oferował co prawda złota, lecz korzystne traktaty. W tym czasie władzę w królestwie przejęła w swe białe ręce młoda księżniczka Yasmela, siostra króla.

Minstrelowie opiewali jej piękno we wszystkich krajach zachodniego świata. Była dumą królewskiej dynastii, ale owej nocy brutalnie odarto ją z majestatu. W komnacie o kopule z lapis-lazuli, marmurowych podłogach wyłożonych cennymi futrami i ścianach udekorowanych złotymi fryzami, drzemało na aksamitnych poduszkach dziesięć szlachcianek. Ich gibkie członki uginały się pod ciężarem inkrustowanych klejnotami bransolet. Leżały na złotym podium wokół królewskiego łoża z jedwabnym baldachimem. Ale księżniczka Yasmela nie zaznała spokojnego snu. Spoczywała tam rozebrana, na brzuchu, na nagim marmurze, jak najpokorniejszy ze sług. Jej ciemne włosy spływały na białe ramiona, a szczupłe palce splatały się w uścisku. Wiła się z przerażenia, które mroziło krew w żyłach i rozszerzało jej piękne oczy, jeżyło włosy i sprawiało, że dostawała gęsiej skórki na plecach.

Ponad nią, w najciemniejszym kącie marmurowej komnaty czaił się wielki, bezkształtny cień. Nie było to żywe stworzenie z krwi i kości. Był to płód ciemności, skaza na wzroku, potworny, zrodzony z nocy demon, który mógłby wydawać się wymysłem szaleńca, gdyby nie blask złotego ognia dobywającego się z dwóch punktów, które świeciły w ciemności niczym oczy.

Co więcej, dobywał się z niego niski i nieludzki głos, który przypominał odrażający syk węża i nie miał prawa dobyć się z ludzkich ust. Zarówno dźwięk, jak i jego pochodzenie przerażało Yasmelę tak bardzo, że wyginała gibkie ciało jak pod uderzeniami bicia, jakby w ten sposób chciała pozbyć się obrazu napraszającego się zła.

– Zostałaś przeze mnie naznaczona, księżniczko – jej uszu dobiegł triumfalny szept. – Naznaczyłem cię, jeszcze zanim obudziłem się z długiego snu. Szukałem cię, ale zostałem związany starożytnym

zaklęciem, dzięki któremu zdołałem zbiec mym wrogom. Jestem duszą Zamaskowanego, Natohka. Przyjrzyj mi się dobrze. Wkrótce przyjmiesz mnie w mojej ludzkiej postaci i będziesz mnie kochać!

Syk zamilkł wśród pożądlivych uśmieszków i Yasmela jęknęła, uderzając w przerażeniu małymi piąstkami w marmurową posadzkę.

– Drzemię w królewskiej komnacie Akbatana – syk pojawił się ponownie. – Tam leży moja cielesna powłoka. Ale jest tylko pustą skorupą, z której na jakiś czas uleciała dusza. Gdybyś mogła zobaczyć ten budynek, zdałabyś sobie sprawę, że opór nie ma sensu. Pustynia jest ogrodem różanym skąpanym w świetle księżyca, gdzie kwitnie kwiat ognisk stu tysięcy moich wojowników. Tak, jak lawina posuwa się naprzód, nabierając masy i pędu, tak ja wedrę się na tereny mych odwiecznych wrogów. Czaszki ich królów posłużą mi za kielichy, ich kobiety i dzieci będą niewolnikami niewolników mych niewolników. Długie lata snu dodały mi potrzebnych sił... Lecz ty, ty będziesz moją królową! Ciebie nauczę starożytnych rozkoszy. Razem...

Yasmela zwinęła się pod naporem złowieszczych bluźnierstw, wypowiedanych przez cienistego kolosa, jakby bat darł jej nagie i bezbronne ciało.

– Pamiętaj! – szepnął demon. – Nie upłynie wiele czasu, nim wrócę, by odebrać, co mi się należy.

Mimo że Yasmela zwróciła twarz w stronę ozdób na ścianie i zakryła dłońmi drobne uszy, usłyszała dziwny szeleszczący hałas, jakby łopot skrzydeł nietoperza. Spojrzawszy ze strachem w górę, zobaczyła tylko księżyc, który świecił za oknem, oświetlając srebrnym jak miecz promieniem punkt, w którym czaił się cień. Drżąc na całym ciele, dziewczyna podniosła się i dowlokła do satynowego łóża, gdzie upadła na twarz z histerycznym płaczem. Dziewczęta spały dalej, tylko jedna ziewnęła, przeciągnęła się i rozejrzała, mrużąc oczy. Natychmiast padła na kolana przed łóżem, zaciskając ramiona wokół szczupłej talii Yasmeli.

– Czy to... Czy to... – jej czarne oczy rozszerzał strach.

Yasmela złapała ją w histerycznym uścisku.

– Och, Vateeso! On znów tu przyszedł! Widziałam go, ba, słyszałam jego głos! Wyjawił mi swe imię: Natohk. To Natohk! To nie senna zmora: zawisł nade mną, kiedy dziewczęta posnęły, jak pod wpływem narkotyków. Ach, co mam poczuć?

Vateesa zamyśliła się, bawiąc się złotą bransoletą.

– Księżniczko, to oczywiste, że żadna ludzka moc nie może mu się przeciwstawić. Nawet zaklęcie kapłanów Isztar cię nie ochroni – powiedziała. – Powinnaś więc odszukać zapomnianą wyrocznię Mitry.

Mimo niedawnego strachu Yasmela wzdrygnęła się na tę myśl. Starożytni bogowie stawali się demonami. Kothańscy dawno już porzucili kult Mitry i zapomnieli o oddawaniu czci bogu Hyboryjczyków. Yasmela pamiętała tylko, że jest bardzo starym i złowieszczym bóstwem. To Isztar należało się bać, tak samo jak wszystkich kothańskich bogów. Proste życie Hyboryjczyków zmieniło się pod wpływem pełnych luksusu wschodnich obyczajów.

– Czy Mitra może mi pomóc? – Yasmela w podnieceniu chwyciła Vateesę za rękę. – Tak długo czcimy już Isztar...

– Możesz być pewna, że tak! – Vateesa była córką ofiryjskiego kapłana, który zbiegł z rąk przeciwników politycznych w Khorai i przyniósł ze sobą swe własne zwyczaje. – Musisz znaleźć ołtarz! Pójdę z tobą.

– Tak też zrobię! – Yasmela podniosła się, ale kiedy Vateesa zaczęła ją ubierać, zaoponowała. – Nie godzi się, bym stanęła przed ołtarzem odziana w jedwabie. Pójdę nago, na kolanach, jak przystoi żebrakom. Inaczej Mitra pomyśli, że brak mi pokory.

– Brednie! – Vateesa nie miała żadnego szacunku dla kultów, które uważała za fałszywe. – Mitra chce widzieć przed sobą ludzi odważnych, a nie czołgających się na brzuchach jak robaki albo okrutników, przelewających na ołtarzach zwierzęcą krew.

Zbesztana w ten sposób Yasmela pozwoliła dziewczynie przyodziać ją w lekką, jedwabną koszulę bez rękawów, na którą narzuciła delikatną tunikę, przewiazaną w pasie szeroką, aksamitną szarfą. Obuła wąskie stopy w satynowe pantofle, a Vateesa szybko ułożyła jej włosy w ciemne, falujące splety. I tak księżniczka poszła za dziewczyną, która odsunęła ciężki, przetykany złotem gobelin i otworzyła złoty rygiel w ukrytych za nim drzwiach. Weszły do wąskiego, krętego korytarza i poszły nim w dół z pośpiechem. Przeszły przez kolejne podwoje prowadzące do szerokiej sieni. Stał tam gwardzista w pozłacanym hełmie z pióropuszem, odziany w posrebrzany pancerz i złote nagolenniki. W dłoniach trzymał topór wojenny o długim ostrzu.

Widok Yasmeli sprawił, że zakrzyknął. Zasalutował i powrócił na swoje stanowisko obok drzwi, nieruchomy jak spiżowy posąg. Dziewczęta przeszły przez sień, olbrzymią i przerażającą w świetle kaganków

porozwieszanych na wyniosłych ścianach. Potem zeszły w dół po schodach, a Yasmela wzdrygnęła się na widok cieni, które zwieszały się w zakamarkach. Trzy piętra niżej zatrzymały się w końcu w wąskim korytarzu, którego sklepienie inkrustowane było klejnotami, a podłogę zdobiły kryształy. Ściany przyozdobiono złotymi fryzami. Przemknęły w dół po tej lśniącej drodze, trzymając się za ręce. Zatrzymały się przed wielkimi, połączanymi wrotami.

Vateesa pchnęła drzwi. Ujrzały ołtarz, o którym pamiętało już tylko niewielu wiernych oraz goście z dworu z Khorai; głównie z ich datków utrzymywano tę świątynię. Yasmela nigdy tu nie była, mimo iż urodziła się w pałacu. W porównaniu z rozrzutnym przepychem ołtarzy Isztar ten wydawał się prosty i mało zdobiony. W powietrzu unosiła się godność i piękno właściwe kultowi Mitry.

Sufit był wysoki, ale nie miał kopuły. Wykonany był z białego marmuru, podobnie jak ściany i podłoga, wzdłuż których biegł wąski złoty fryz. Za ołtarzem z jasnozielonego jadeitu, nieskalanym ofiarami, znajdował się piedestał, na którym usadzono materialne przedstawienie bóstwa. Yasmela patrzyła w zdumieniu na wspaniałe ramiona i proste rysy posągu: jego wielkie oczy, brodę patriarchy i gęste loki, przewiązane wokół skroni zwykłą przepaską. Chociaż o tym nie wiedziała, spoglądała na dzieło sztuki w najwyższej formie wolnej i niczym nieograniczonej artystycznej ekspresji, stworzone przez rasę o subtelnym zmyśle estetycznym, nieskrępowanej przez żaden konwencjonalny symbolizm.

Upadła na kolana i mimo uprzedzeń Vateesy położyła się przed ołtarzem. Służka na wszelki wypadek poszła za jej przykładem. Mimo wszystko była tylko dziewczyną, a to było niezwykle w świątyni Mitry. Ale nawet to nie powstrzymało jej od komentarza.

– To tylko wizerunek bóstwa – szepnęła Yasmeli do ucha. – Nikt nie uzurpuje sobie wiedzy o prawdziwym wyglądzie Mitry. Wyobrażamy go sobie zatem jako bliską ideału ludzką postać. Mitra nie zamieszkuje tego zimnego kamienia, co według twoich kapłanów czyni Isztar. On jest wszędzie: ponad nami, wokół nas, śniąc wśród gwiazd. Ale jego moc koncentruje się w tym miejscu. Możesz go więc wezwać.

– A co powinnam powiedzieć? – spytała szeptem Yasmela, jękając się ze strachu.

– Mitra zna twe myśli, zanim otworzysz usta – zaczęła Vateesa.

Naraz obie dziewczęta stanęły jak wryte, kiedy w powietrzu nad nimi rozległ się głos. Głębokie, spokojne i podobne do brzmienia dzwonu tony dochodziły z samego posągu, z żadnego innego miejsca w komnacie. Yasmela ponownie wzdrygnęła się na dźwięk bezcielesnego głosu, ale tym razem nie był to dreszcz przerażenia ani odrazy.

– Nie mów nic, ma córko, gdyż znam twe nieszczęście – tembr jego głosu był jak głębokie, szemrzące wody rozbijające się rytmicznie na złotej plaży. – Tylko w jeden sposób zdołasz ocalić swoje królestwo, a jeśli ci się to uda, uratujesz cały świat przed paszczą węża, który wypełzył z otchłani wieków. Wyjdź sama na ulice miasta i złóż stery państwa w ręce pierwszego napotkanego mężczyzny.

Jasne tony zamilkły i dziewczęta spojrzały na siebie. Potem, podniósłszy się, wymknęły się ze świątyni i nie odezwały się do siebie ani słowem, dopóki nie wróciły do komnaty Yasmeli. Księżniczka wyjrzała przez okna ze złotymi kratami. Księżyc był już wysoko, dawno minęła północ. Nad ogrodami i dachami miasta cichły ostatnie odgłosy hulanek. Khoraja śniła w świetle gwiazd, które zdawały się odbijać w zbrojach, błyskających tu i ówdzie ogrodach, na ulicach i na płaskich dachach domów, w których lud już spał.

– Co zamierzasz uczynić? – zapytała drżąca na całym ciele Vateesa.

– Daj mi mój płaszcz – odparła przez zaciśnięte zęby Yasmela.

– Ale jak ty, sama, na ulicy, o tej porze! – zaprotestowała Vateesa.

– Mitra przemówił – rzekła księżniczka. – Mógł to być głos boga albo sztuczka jakiegoś kapłana. To bez znaczenia. I tak pójdę.

Owinęła się grubym, jedwabistym płaszczem i założyła aksamitny kapelusz, z którego opadał przezroczysty welon. Pospieszyła przez korytarze i zbliżyła się do spiżowych drzwi, gdzie minęła tuzin halabardzistów. Strażnicy obrzucili ją zdziwionym spojrzeniem. To skrzydło pałacu prowadziło bezpośrednio do miasta; wszystkie inne wyjścia były otoczone szerokimi ogrodami i wysokim murem. Wyszła na ulicę, którą w regularnych odstępach rozświetlały światła kaganków.

Zawahała się, zamknęła jednak za sobą wrota, zanim opuściła ją odwaga. Czuła na plecach lekki dreszcz, kiedy rozglądała się po cichej i pustej alei. Ta córka arystokratów nigdy przedtem nie zapuściła się bez odpowiedniej ochrony poza rodzinny pałac. Przełamując strach, poszła szybko w górę ulicy. Dziewczynę przerażał nawet dźwięk jej cichych kroków – wydawało jej się, że niosą się po zaułkach miasta potężnym echem i wywołują

obszarpane postacie o szurzących oczach z ukrytych w ściekach legowisk. Każdy cień zdawał się skrywać czyhającego mordercę, a każdy ślepy zaułek – czające się psy ciemności.

Nagle zatrzymała się gwałtownie. Na strasznej ulicy pojawiła się przed nią jakaś postać. Rzuciła się prędko w cień, który teraz był jej schronieniem; serce Yasmeli biło jak oszalałe. Zbliżający się człowiek nie przemykał się ukradkiem, jak złodziej, ani też nieśmiało, jak wystraszony przybysz. Szedł pewnie, jak ktoś, kto nie ma chęci ani potrzeby się spieszyć. Kiedy minął kaganek, dziewczyna dostrzegła zarys jego postaci: gigantyczny mężczyzna w kolczudze najemnego żołnierza. Zebrała się w sobie i wyskoczyła z cienia, owijając się szczelnie płaszczem.

Miecz mężczyzny na wpeł wysunął się z pochwy. Zatrzymał się, kiedy zobaczył, że stała przed nim tylko kobieta. Rozejrzał się jednak wokół, szukając w mroku możliwych współników.

Obserwował ją, a jego dłoń wciąż spoczywała na długiej rękojeści, która wystawała spod szkarłatnego płaszcza, zwisającego niedbale z odzianych w zbroję barków. Światło pochodni odbijało się niemrawo w polerowanej, błękitnej stali nagolenników i hełmu. O wiele intensywniejszy płomień widać było w błękitnych oczach mężczyzny. Zorientowała się, że nie był Kothańczykiem ani Hyboryjczykiem. Nosił się jak kapitan najemników. W tej jednostce desperatów znajdowało się wielu ludzi z różnych krain, zarówno barbarzyńców, jak i cywilizowanych cudzoziemców. Zaś ten wojownik miał w sobie coś z wilczej natury, co zdradzało w nim barbarzyńcę. Oczy żadnego cywilizowanego człowieka, niezależnie od jego dzikości lub upodlenia, nie gorzały nigdy takim ogniem. Jego oddech pachniał winem, ale nie chwiał się ani nie jąkał.

– Czy wyrzucili cię na ulicę? – zapytał w barbarzyńskim narzeczu kothańskim, sięgając w jej stronę. Jego palce zacisnęły się lekko wokół jej nadgarstka, ale dziewczyna poczuła, że bez wysiłku mógłby zmiażdżyć jej kości. – Właśnie wyszedłem z ostatniej otwartej tawerny, gdzie podają wino. Niech Isztar ześle karę na tych reformatorów o słabych wątrobach, którzy zamykają spelunki z mocniejszymi trunkami! „Niech ludzie śpią, zamiast żłopać”, mówią... Tak, w ten sposób mogą pracować lepiej i więcej walczyć w imię swoich władców. Nazywam ich eunuchami bez ikry. Kiedy służyłem wśród najemników w Koryntii, całą noc chlaliśmy i chadzaliśmy na dziwki, a potem walczyliśmy cały dzień... A nasze miecze i tak spływały krwią! Ale co ci, moja miła? Zdejmij no tę przeklętą zasłonę!...

Dziewczyna zwinnym ruchem ciała uniknęła zdemaskowania, zważając, by nie zorientował się, że budzi w niej odrazę. Zdała sobie sprawę z zagrażającego niebezpieczeństwa – była sama z pijanym barbarzyńcą. Gdyby ujawniła teraz swoją tożsamość, mógłby ją wyśmiać i zostawić. Nie była pewna, czy nie spróbowałby poderżnąć jej gardła. Barbarzyńcy byli nieobliczalni. Walczyła z ogarniającym ją przerażeniem.

– Nie tu! – roześmiała się. – Chodź ze mną...

– Dokąd? – krew tętniła mu w skroniach, ale był ostrożny jak wilk. – Nie zabierasz mnie przypadkiem do jakiejś dziury pełnej złodziei?

– Nie, nie, przyrzekam! – z trudem uniknęła dłoni, która znów sięgała w stronę woalu.

– Diabeł cię opętał, dziewucho – warknął rozczarowany. – Jesteś równie zła, jak hyrkańskie kobiety, z tymi twoimi przeklętymi zasłonami! No, pozwól mi przynajmniej podziwiać twoją figurę.

Zanim zdołała temu zapobiec, ściągnął jej pelerynę. Usłyszała, jak gwizdże między zębami. Stał z płaszczem w ręku, patrząc na nią, jak gdyby widok jej bogatych strojów otrzeźwił go nieco. Dziewczyna zobaczyła jak w jego oczach błyska nagle podejrzenie.

– Kim u diabła jesteś? – wymamrotał. – Nie jesteś zwykłą dziwką... No, chyba że twój kochanek obrabował królewski harem, by dać ci te szaty.

– Nie ma to znaczenia – dziewczyna odważyła się położyć swą białą dłoń na jego mocarnym, zbrojnym ramieniu. – Chodź ze mną tą ulicą.

Zawahał się, ale w końcu wzruszył potężnymi ramionami. „Doszedł pewnie do wniosku – pomyślała – że jestem jakąś szlachetną damą, która, zmęczona grzecznymi kochasiami, szuka nowych podniet”. Pozwolił jej znów przyodziać się w pelerynę i poszedł za nią. Dziewczyna obserwowała go kątem oka. Jego zbroja nie zdołała ukryć twardych konturów jego tygrysiej siły. Był jak dziki kot, pierwotny i bez zahamowań. Wydał jej się równie obcy jak dżungla, tak bardzo różnił się od łagodnych dworzan, do których była przyzwyczajona. Bała się go, wmawiając sobie, że jego nieokrzęsana siła i bezwstydne barbarzyństwo wydają się jej odrażające, a jednak coś zapierającego dech w piersiach – i niebezpiecznego – skłaniało ją ku niemu. Najwyraźniej pociągnął za ukrytą w duszy każdej kobiety prymitywną strunę, a ta odpowiedziała czystym brzmieniem. Jego twarda dłoń opadła na ramię dziewczyny i poczuła ukłucie w głębi serca na myśl o tym dotyku. Wielu mężczyzn padało przed nią na kolana. Teraz znajdowała się w towarzystwie takiego, który – jak czuła – nigdy nikomu

się nie kłaniał. Czują się, jakby prowadziła spuszczonego ze smyczy tygrysa; bała się, a jednak fascynował ją jej własny strach.

Zatrzymała się przed pałacową bramą i pchnęła ją lekko. Spojrzała ukradkiem na towarzysza, ale w jego oczach nie dostrzegła cienia podejrzenia.

– A więc pałac, co? – huknął. – Jesteś więc dwórką?

Dziewczyna zastanowiła się przez chwilę, dziwiąc się nieoczekiwanej zazdrości, czy wiele z jej służek wprowadziło kiedyś tego orła do pałacu. Strażnicy nie uczynili najmniejszego gestu, kiedy ich mijali, ale on spojrzał na nich tak, jak dziki pies taksuje sforę kundli. Poprowadziła go przez zasłonięty korytarz do wewnętrznej komnaty, gdzie przystanął, patrząc naiwnie na gobeliny, dopóki nie dojrzał na hebanowym stole dzbana pełnego wina. Wziął go z pełnym zadowolenia westchnieniem, kierując w stronę ust. Z wewnętrznego pokoju wybiegła Vateesa, krzycząc wniebogłosy: – Ach, księżniczko...

– Księżniczko? – dzban rozbił się na podłodze.

Błyskawicznym ruchem, zbyt szybkim dla oka, najemnik zerwał Yasmeli woalkę i spojrzał na nią. Cofnął się z przekleństwem na ustach, wyciągając miecz. Jego oczy gorzały jak ślepia schwytanego w pułapkę tygrysa. Napięcie, jak przed burzą, unosiło się w powietrzu. Vateesa stała jak zamurowana, nie mogąc dobrać głosu z przerażenia, ale Yasmela bez mrugnięcia okiem stanęła twarzą w twarz ze wściekłym barbarzyńcą. Zdała sobie sprawę, że jej życie wisiało na włosku. Podejrzliwy i wściekły barbarzyńca mógł zadać jej śmierć z najbardziej błahego powodu. Ale cała ta sytuacja wprawiała ją w podniecie zapierającą dech w piersiach.

– Nie bój się – powiedziała. – Jestem Yasmelą, ale nie masz powodu, by się mnie obawiać.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś? – warknął, a jego błyszczące oczy omiatały całą komnatę. – Co to za pułapka?

– Nie ma tu żadnej sztuczki – odparła. – Przyprowadziłam cię tu, bo możesz mi pomóc. Modliłam się do bogów... Do Mitry... I on rozkazał mi, bym poszła na ulicę i poprosiła o pomoc pierwszego napotkanego człowieka.

Mógł zrozumieć to wytłumaczenie. Barbarzyńcy mieli swe własne wyrocznie. Opuścił miecz, nie chowając go jednak do pochwy.

– Dobrze, więc jesteś Yasmela i potrzebujesz pomocy – mruknął. – W twoim królestwie panuje totalny rozpiżdziaj. Jak mogę ci pomóc? Jeśli

chodzi o podejrzenie paru gardeł, to oczywiście...

– Usiądź – poprosiła go dziewczyna. – Vateeso, przynieś mu wina.

Przystał na to, ale – jak zauważyła księżniczka – postarał się wybrać sobie takie miejsce, w którym mógł usiąść, opierając się o ścianę i obserwować całą komnatę. Położył nagi miecz na nogach. Dziewczyna spojrzała nań zafascynowana. Jego matowy, błękitny blask zdawał się opowiadać o krwawych bójkach i najazdach. Nie sądziła, by była w stanie go unieść, ale wiedziała, że najemnik mógł rozhuścić go jedną ręką z łatwością, z jaką ona machała końskim batem. Zauważyła szerokość i siłę jego dłoni – nie były to tłuste i niedorozwinięte łapska jakiegoś troglodyty. Ze wstydliwym zdziwieniem odkryła, że fantazjuje na temat tych silnych dłoni zaciskających się wokół jej ciemnych włosów.

Mężczyzna wydawał się już bardziej pewny siebie, kiedy ona usiadła naprzeciw niego na satynowym dywanie. Zdjął hełm i położył go na stole; ściągnął kornet, pozwalając, by kolczuga opadała bezpośrednio na jego masywne barki. Teraz dziewczyna mogła wyraźniej zobaczyć, że nie był podobny do żadnej z hyboryjskich ras. Jego ogorzała i pełna blizn twarz zdradzała ponure usposobienie; a chociaż jego rysy nie były naznaczone nieprawością czy złem, było w tej twarzy, w której gorzały błękitne oczy, coś złowieszczego. Na szerokie i niskie czoło spływała równo przycięta, zmierzwiona czupryna, czarna jak krucze pióra.

– Kim jesteś? – zapytała szorstko.

– Jestem Conan, kapitan najemnych włóczników – odparł, opróżniając jednym haustem kielich wina i wyciągając rękę po więcej. – Urodziłem się w Cymmerii.

Nazwa ta niewiele jej mówiła. Słyszała gdzieś, że było to jakieś dzikie i ponure górskie królestwo, leżące daleko na północy, poza ostatnimi enklawami hyboryjskich nacji i że jego mieszkańcy to barbarzyńska rasa. Nigdy wcześniej nie widziała żadnego jej przedstawiciela.

– Conan z Cymmerii... – powiedziała. – I uważasz, że potrzebuję pomocy. Dlaczego?

– Cóż – odparł. – Każdy mężczyzna mógłby to dostrzec. Król, twój brat, znajduje się w ofiryjskim więzieniu. Na ciebie z kolei dybie Koth. Na dodatek w Shemie znajduje się ten czarodziej wywołujący piekielny ogień i siejący zniszczenie. A co najgorsze, każdego dnia dezercerują twoi żołnierze.

Księżniczka nie odpowiedziała od razu. Po raz pierwszy ktoś zwracał się do niej tak bezpośrednio, bez ogródek i przymilnych komplementów.

– Conanie, dlaczego moi żołnierze uciekają? – zapytała.

– Niektórzy z nich są wciągani na służbę w Koth – odparł, pociągając z zadowoleniem z kielicha. – Twoja polityka nie ma tu żadnego znaczenia. Możesz ufać Amalrykowi, naszemu generałowi, ale reszta z nas to tylko pospolici ludzie wielbiący grabieżę. Mówią, że jeśli zapłacisz okup, którego żąda Ofir, nie będziesz w stanie zapłacić wojsku. W takiej sytuacji przejdziemy na stronę króla Koth, chociaż ten przeklęty nędznik nie jest moim wielkim przyjacielem. Możemy też złupić to miasto. W wojnie domowej grabież zawsze przynosi zyski.

– Dlaczego nie przejdziecie na stronę Natohka? – zapytała dociekliwie.

– A czym by nam zapłacił? – prychnął Conan. – Tymi tłustymi, mosiężnymi posążkami, które złupił w shemickich miastach? Dopóki będziesz walczyła z Natohkiem, możesz na nas polegać.

– Czy twoi kamracy pójną za tobą? – zapytała nieoczekiwanie.

– Co masz na myśli?

– To, że uczynię cię dowódcą armii Khorai! – odparła z przekonaniem.

Kielich wina zatrzymał się przy ustach, wyszczerzonych nagle w szerokim uśmiechu. Oczy Conana zapłonęły nowym światłem.

– Dowódcą? Na Croma! Ale co powiedzą na to twoi wyfiokowani szlachcice?

– Będą mi posłuszni! – klasnęła w dłonie, przywołując niewolnika, który wszedł zgięty w głębokim ukłonie. – Niechaj natychmiast przyjdzie tu hrabia Thespides, a także kanclerz Taurus, lord Amalryk i Agha Shupras!

– Wierzę Mitrze – powiedziała, zwracając się w stronę Conana.

Barbarzyńca zajął się jadłem, które postawiła przed nim drżącą dłonią Vateesa.

– Walczyłeś w wielu wojnach?

– Urodziłem się w zgiełku bitwy – odparł, odzierając silnymi zębami kość z dużego kawałka mięsa. – Pierwsze, co usłyszałem w życiu to szczęk broni i krzyki konających. Brałem udział w krwawych zemstach, wojnach plemiennych oraz kampaniach imperialnych.

– Umiesz poprowadzić ludzi i ustawiać szyk bojowy?

– Mógłbym spróbować – odparł niezrażony. – To to samo, co sztuka władania mieczem, tylko na większą skalę. Parujesz i dźgasz i nagle ciach! Leci głowa przeciwnika albo twoja.

Niewolnik wrócił do komnaty i zapowiedział przybycie wszystkich wezwanych. Yasmela wyszła do zewnętrznej komnaty, zaciągając za sobą zasłony. Szlachta zgięła kolano; ewidentnie zdziwiło ich wezwanie o tak późnej porze.

– Wezwałam was, by poinformować o mojej decyzji – powiedziała Yasmela. – Królestwo jest zagrożone...

– To prawda księżniczko – powiedział hrabia Thespides.

Był to postawny mężczyzna o czarnych uperfumowanych lokach. Przyglądał smukłą dłonią cienkie wąsy, drugą podtrzymał aksamitny kaptur ze szkarłatnymi piórami, spiętymi złotą sprzączką. Jego czubate buty były zrobione z satyny, a stan sukni z aksamitu obrębitego złotymi nićmi. Zachowywał się jak zmanierowany arystokrata, ale widoczne pod jedwabiem mięśnie były twarde jak stal.

– Dobrze byłoby zaproponować Ofirowi więcej złota, w zamian za uwolnienie waszego królewskiego brata.

– Zdecydowanie nie zgadzam się – wtrącił się kanclerz Taurus, starszy mężczyzna w szatach obszytych gronostajem i ze zmarszczkami wyżłobionymi przez troski wieloletniej służby. – Zaproponowaliśmy im już kwotę, która doprowadzi królestwo do nędzy. Jeśli zaoferujemy więcej, podrażnimy tylko jego zachłanność. Moja księżniczko, twierdzą to, co twierdziłem zawsze. Ofir nie wykona żadnego ruchu, dopóki nie zetkniemy się z hordą najeźdźców. Jeśli przegramy, wyda króla Khossusa królestwu Koth. Jeśli wygramy, na pewno odda nam naszego króla za okup.

– A w międzyczasie – wtrącił się Amalryk – żołnierze dezercerują każdego dnia, najemnicy zaś usiłują się dowiedzieć, dlaczego marnujemy czas. – Amalryk był Nemedyczykiem, postawnym mężczyzną o złotej grzywie lwa. – Musimy działać prędko, jeśli w ogóle...

– Jutro ruszamy na południe – odparła księżniczka. – A oto człowiek, który was poprowadzi!

Rozsunęła aksamitne kurtyny i wskazała na Cymmeryjczyka. Był to może nie najszcześniejszy moment na odkrycie kart. Conan rozwalił się na krześle, zarzucił stopy na hebanowy stół i oddawał się całkowicie obgryzaniu trzymanej w silnym uścisku kości wołowej. Spojrzał swobodnie na osłupiałych dworzan, uśmiechnął się lekko do Amalryka i kontynuował swój posiłek z niekłamany zachwytem.

– Niech Mitra ma nas w swojej opiece! – wybuchnął Amalryk. – Toż to Conan, tępy baran, ostry jebaka, a do tego najgorszy ze wszystkich moich

zbirów! Powinienem był go powiesić dawno temu, gdyby nie to, że jest najzręczniejszym z fehmistrzów, jacy kiedykolwiek przywdziali kolczugę.

– Wasza wysokość raczy żartować?! – wrzasnął Thespides, ciemniejąc na arystokratycznej twarzy. – Ten człowiek to dzikus... To ktoś bez kultury i wychowania! Obrażasz nas, każąc służyć pod jego rozkazami!

– Hrabio Thespidesie – powiedziała Yasmela. – Nosisz za pasem moją rękawiczkę. Oddaj mi ją proszę i opuść to miejsce.

– Mam iść? – wrzasnął w osłupieniu. – Dokąd?

– Do Koth albo do Hadesu – odparła. – Jeśli nie spełniasz moich poleceń, nie będziesz mi służył wcale.

– Źle mnie oceniasz, księżniczko – odparł, pochylając się w głębokim ukłonie, wyraźnie urażony. – Nigdy bym cię nie opuścił. Przez wzgląd na waszą wysokość złożę swój miecz przed tym dzikusiem.

– A ty, mój lordzie Amalryku?

Amalryk zmiął przekleństwo w ustach i uśmiechnął się. Był wytrawnym żołnierzem, więc żaden obrót sytuacji nie dziwił go zbyt.

– Będę pod nim służył. Jak mówię, życie jest krótkie i nieprzewidywalne. A jeśli dowódcą będzie Conan Podrznacz Gardeł, takie właśnie będzie. Na Mitrę! Stawiam konia z rzędem, że ten pies nigdy nie dowodził niczym więcej niż kompanią naprutych do nieprzytomności miłośników podrzynania cudzych gardeł.

– A ty, mój Agho? – zwróciła się do Shuprasa.

Ten wzruszył ramionami z rezygnacją. Był typowym przedstawicielem rasy wyrosłej na południowych granicach Koth. Wysoki, szczupły i o bardziej jastrzębich rysach, niż jego pustynni krewniacy czystszej krwi.

– To wola Isztar, księżniczko – przemówił przez niego fatalizm przodków.

– Poczekajcie tutaj – rozkazała, kłaśnięciem przywołała niewolników i zniknęła za zasłonami. Thespides gwałtownie chwycił aksamitną czapę, Taurus mamrotał coś ostrożnie pod nosem, a Amalryk chodził w kółko, skubiąc swą blond brodę i szczerząc się jak głodny lew.

Na jej rozkaz przynieśli broję, aby wymienić kolczugę Conana. Były więc kryza, pancerne trzewiki, kirys, naramienniki, nagolenniki i hełm. Kiedy Yasmela rozsunała ponownie zasłony, odziany w polerowaną stal Conan stanął przed widownią. W płatowej zbroi, z uniesioną przyłbicą i chwiejącymi się piórami skrywającymi jego ciemną twarz, barbarzyńca

emanował ponurą potęgą, którą uznał niechętnie nawet Thsepides. Kąśliwy żart zamarł Amalrykowi na ustach.

– Na Mitrę – powiedział wolno. – Nigdy bym się nie spodziewał ujrzeć cię w pełnej zbroi, ale nie przynosisz jej wstydu. Widziałem królów, którzy nosili swe zbroje z mniejszym niż ty majestatem.

Conan milczał. Przez głowę przemknęła mu niewyraźna myśl, jakby prorocstwo. W następnych latach często wspominał słowa Amalryka; w latach, w których jego sen stał się rzeczywistością.

ROZDZIAŁ TRZECI

W blasku wczesnego poranka ulice Khorai zapełniły się ludźmi, którzy patrzyli, jak przez południową bramę przejeżdżają w równych zwartych szeregach królewskie wojska. Armia w końcu ruszyła. Tłum obserwował rycerzy w błyszczących, płytowych zbrojach z kutego żelaza, z kolorowymi piórami powiewającymi na polerowanych hełmach. Ich rumaki przykryte były jedwabiem, emaliowaną skórą i złotą uprzężą; zawracały i cwałowały, kiedy jeźdźcy je spinali. W porannym świetle odbijały się ostrza kopii, które wznosiły się nad szykiem niczym las. Proporce powiewały na wietrze. Każdy rycerz przypinał sobie do hełmu lub pasa amulet od swej pani: rękawiczkę, szal lub różę.

Była to kawaleria khorajska, licząca pięciuset ludzi. Prowadził ją hrabia Thespides, o którym mówiono, że stara się o rękę samej Yasmeli.

Za nimi podążała lekka jazda na smukłych rumakach. Wojownicy byli typowymi ludźmi ze wzgórz – szczupli, o jastrzębich twarzach. Na głowach nosili żelazne hełmy z pióropuszem, a spod powiewających kaftanów błyskały kolczugi. Ich podstawową bronią były shemickie łuki, które niosły strzały na pięćset kroków. Było ich pięć tysięcy, a na ich czele jechał Shupras, skrywając swą szczupłą i ponurą twarz pod spiczastym hełmem.

Tuż za nimi maszerowali khorajscy włócznicy, których brakowało we wszystkich hyboryjskich państwach, gdzie jazda wydawała się być jedyną godną formą służby wojskowej. Ci, podobnie jak rycerze, byli starożytnej kothańskiej krwi. Pięciuset synów zrujnowanych rodzin, bezdomnych ludzi, których nie było stać na konie i płytową zbroję.

Najemnicy podnieśli się w sile tysiąca jeźdźców i dwóch tysięcy włóczników. Wysokie konie zdawały się równie twarde i dzikie, jak ich jeźdźcy. Nie popisywali się cwałem ani rynsztunkiem. Ci zawodowi zabójcy i weterani krwawych kampanii wojennych nadawali wojsku ponury i profesjonalny wymiar. Odziani od stóp do głów w kolczugi, nosili na powiązanych kornetach hełmy bez przyłbic. Tarcze nie miały ozdób, a długie kopie proporczyków. Przy siodłach wisiały topory wojenne albo żelazne maczugi. Każdy człowiek nosił też długi miecz przypasany

u biodra. Piechota nosiła się mniej więcej w ten sam sposób, chociaż zamiast kopii uzbrojona była w piki.

Byli to ludzie wielu ras i o zbrodniczej przeszłości – wysocy Hyperboryjczycy, wynędzniali, grubokościści, wolnej mowie i gwałtownym usposobieniu; płowi Gundermani z północno-zachodnich wzgórz; dumni renegaci z Koryntii; smagli Zingarczycy o krzaczastych, czarnych wąsach i dzikim spojrzeniu; Akwilończycy z dalekiego zachodu. Ale wszyscy, jeśli nie liczyć Zingarów, byli Hyboryjczykami.

Za oddziałami wojska podążał bogato ustrojony wielbłąd, otoczony strażą pałacową i prowadzony przez rycerza na bojowym rumaku. Jego pasażerem była drobna postać, osłonięta jedwabnym baldachimem. Odrzuciła skórzany pancerz i po królewsku pozdrawiała wiwatujący tłum.

Conan, niewzruszony w swej pancernej zbroi, spojrzął na przystrojonego wielbłąda bez zbytniego entuzjazmu. Zwrócił się do Amalryka, który jechał obok niego w pozłacanej kolczudze, pancernym napierśniku i hełmie z powiewającym czubkiem z końskiego włosa.

– Księżniczka powinna jechać z nami. Jest zwinna, ale zbyt miękka do podobnej roboty. Tak czy siak, powinna pozbyć się swych szat.

Amalryk podkreślił wąs, aby ukryć uśmiech. Conan oczywiście zakładał, że Yasmela będzie walczyć, jak to często bywało w przypadku barbarzyńskich kobiet.

– Hyboryjki nie biorą udziału w bitwach, jak to robią wasze cymmeryjskie kobiety, Conanie – powiedział. – Yasmela towarzyszy nam po to, by obserwować nasze działania. Poza tym mam wrażenie – wysunął się nieznacznie z siodła i zniżył głos – że księżniczka boi się zostać sama. Obawia się czegoś...

– Czego, powstania? Może powinniśmy powiesić paru mieszkańców przed naszym wyjazdem...

– Nie. Jedna z jej służek mówiła... Bełkotała o czymś, co wkradło się nocą do pałacu i przestraszyło Yasmelę tak, że prawie postradała rozum. Nie wątpię, że chodzi o jakieś czary Natohka. Conanie, w tej walce przeciwstawiamy się nie tylko wrogowi z krwi i kości!

– Cóż – mruknął Cymmeryjczyk. – Lepiej ruszyć na spotkanie wroga niż na niego czekać.

Spojrzął na długą linię wozów i ludzi podążających za taborem, ściągnął lejce w opancerzonej dłoni i wypowiedział zwyczajową komendę ruszających na wojnę najemników:

– Piekło albo zysk, kamraci... Ruszajmy!

Potężne bramy Khorai zamknęły się za długim pochodem. Zza murów wychylały się zaciekawione głowy. Mieszkańcy miasta dobrze wiedzieli, że to wojsko przesądzi o ich życiu lub śmierci. Jeśli armia zostanie pokonana, przyszłość Khorai będzie krwawa. Najeżdżające z południa hordy nie znały pojęcia litości.

Kolumny maszerowały naprzód cały dzień po trawiastych łąkach, przecinanych małymi rzeczками, na stopniowo wznoszącym się terenie. Przed nimi leżał łańcuch niskich wzgórz, rozciągający się ze wschodu na zachód. U ich podnóża rozbili na noc obozowisko. Ze szczytów zesli członkowie zamieszkujących tam plemion – mężczyźni z haczykowatymi nosami i dzikim spojrzeniem. Usiedli przy ogniskach, przekazując wieści z tajemniczej pustyni. Imię Natohka przewijało się przez te opowieści jak pełzający wąż. Na jego rozkaz demony powietrza przynosiły grzmoty, wiatry i mgłę. Podziemne diabły sprawiały, że ziemia drżała od strasznych ryków. Przyniosły także ogień z nieba, który trawił bramy granicznych miast obronnych i palił żywcem ludzi w zbrojach. Jego wojownicy byli tak liczni, że zapełniali całą pustynię. Miał także w dyspozycji pięć tysięcy Stygijczyków w wozach bojowych, pod dowództwem zbuntowanego księcia Kutamuna.

Conan słuchał wszystkiego z niezmaconym spokojem. Wojna była jego żywiołem. Od kiedy się urodził, życie było ciągłą walką, a śmierć jego stałą towarzyszką. Skradała się obok niego na polach bitewnych, stała za jego plecami przy stołach, gdzie grano w kości; jej palce postukiwały w kielichy wina. Górowała nad nim jak zakapturzony i potworny cień, kiedy kładł się spać. Nie zwracał na nią uwagi, podobnie jak na podających wino niewolników. Jeśli znajdzie się w jej kościstym uścisku, to trudno. Wystarczało mu, że dożył do tej pory.

Niemniej innych ludzi ogarniał strach. Powracając dziarskim krokiem z linii wart, Conan zatrzymał się na widok szczupłej postaci w pelerynie, która stała przed nim z wyciągniętą dłonią.

– Księżniczko! Powinnaś być w swoim namiocie!

– Nie mogłam zasnąć – jej czarne oczy były pogrążone w cieniu. – Conanie, boję się!

– Boisz się kogoś z nas? – jego dłoń zacisnęła się na rękojeści.

– Nie lękam się żadnego człowieka – wzdrygnęła się księżniczka. – A ty boisz się czegokolwiek?

Zastanawiał się przez chwilę, skubiąc podbródek.

– Tak – przyznał w końcu. – Boję się przekleństwa bogów.

Dziewczyna wzdrygnęła się ponownie.

– Jestem przeklęta. Zostałam naznaczona przez diabła z otchłani. Każdej nocy wychyla się z ciemności, szepcząc mi do ucha straszne rzeczy. Zabierze mnie do piekieł, bym tam stała się jego królową. Boję się zasnąć, bo wtedy przyjdzie do mojego namiotu, tak jak przychodził do mnie w pałacu. Conanie, jesteś silny, zabierz mnie ze sobą! Boję się!

Nie była już księżniczką, tylko przerażoną dziewczyną. Opuściła ją duma. Stała przed nim, nie wstydząc się bezradności. Zwróciła się do niego, bo zdawał się być najsilniejszy. Jego brutalna siła, niegdyś odrażająca, teraz ją pociągała.

Barbarzyńca bez słowa zdjął szkarłatną pelerynę i owinął ją szybko wokół dziewczyny, jakby nie był zdolny do żadnej czułości. Jego żelazna dłoń spoczęła na moment na jej szczupłym ramieniu. Zadrżała, tym razem nie ze strachu. Pod wpływem jego dotyku, niczym impuls przeszywającej rozkoszy, wezbrała w niej fala zwierzęcej żywotności, jakby użyczył jej swojej nadludzkiej siły.

– Połóż się tutaj – wskazał czyste miejsce obok małego, błyskającego wesoło ogniska. Nie wydawało mu się niestosowne, że księżniczka będzie spała na nagiej ziemi, owinięta w pelerynę wojownika, a ona posłuchała go bez sprzeciwu.

Usadowił się na głazie obok niej, z mieczem na kolanach. Płomień igrający na jego błękitnej stalowej zbroi nadawał mu wygląd żelaznego posągu niezwykłej mocy, który spoczął na chwilę w oczekiwaniu na sygnał, by zerwać się na nowo do straszliwych czynów. Jego twarz w blasku ognia zdawała się być wyrzeźbiona w ciemnym i twardym jak stal materiale. Trwał nieporuszony, ale jego oczy płonęły dziką pasją. Nie był tylko barbarzyńcą. Był integralną częścią surowego istnienia. W jego żyłach płynęła wilcza krew, a w umyśle kryły się mroczne głębiny północy, serce pulsowało ogniem płonących lasów.

Rozmyślając o wszystkim, Yasmela pogrążyła się we śnie. Dawno nie czuła się tak bezpieczna. Wiedziała, że żaden cień z płonącymi ślepiami nie wychynie z ciemności, skoro czuwa nad nią ta ponura postać z pustkowiec. Obudziła się jednak przerażona, chociaż nie z powodu czegoś, co zobaczyła.

Chodziło o ciche głosy wokół niej. Otworzyła oczy. W powietrzu unosił się zapach poranka. W półmroku dostrzegła, że Conan wciąż siedzi na głazie. Jego miecz odbijał blask dogasającego ogniska. Tuż za nim przycupnęła inna postać, ledwo widoczna w nikłym świetle. Wciąż senna Yasmela zauważyła jego haczykowaty nos i błyszczący paciorek oka pod białym turbanem. Mężczyzna mówił coś szybko w shemickim dialekcie, który słabo знаła.

– Niech Bel odejmie mi rękę! Mówię prawdę! Na Derketo, Conanie, jestem księciem kłamstwa, ale dawnemu towarzyszowi powiem prawdę. Przysięgam na dni, kiedy obaj byliśmy złodziejami w Zamorze, zanim przywdziałeś zbroję! Widziałem Natohka. Tak, jak inni klękałem przed nim, kiedy przyzywał Seta. Ale nie chowałem głowy w piasek, jak reszta. Jestem złodziejem z Shumiru i mój wzrok jest bystrzejszy niż wzrok sokoła. Widziałem, jak wiatr zerwał zasłonę z jego twarzy i zobaczyłem... Niech Bel ma mnie w swojej opiece, Conanie, mówię ci, widziałem go! Krew zastygła mi w żyłach i włos zjeżył się na głowie. Ten widok naznaczył moją duszę jak rozgrzane do czerwoności żelazo. Nie mogłem spocząć, dopóki się nie upewniłem. Udałem się do ruin Kuthchemes. Drzwi pod kopułą z kości słoniowej stały otworem. Na progu leżał wielki wąż przeszyty mieczem. Wewnątrz budynku znalazłem ciało mężczyzny, tak zdeformowane, że na początku nie mogłem go rozpoznać. Ale to był Shevatas, Zamorianin, jedyny człowiek na świecie, którego uznawałem za lepszego od siebie. Skarb leżał nietknięty. Leżał w błyszczących stosach obok trupa. To wszystko.

– Ale nie było kości... – zaczął Conan.

– Nic nie było – wtrącił z pasją Shemita. – Nic! Tylko jedno ciało!

Zapanowała krótka cisza. Yasmela skurczyła się, czując, jak ponownie ogarnia ją przerażenie.

– Skąd nadszedł Natohk? – szepnął dźwięcznie Shemita. – Z pustyni, nocą, kiedy świat był ślepy i dziki, pokryty obłąkanymi chmurami, które pędziły jak szalone po niebie pełnym drżących gwiazd, kiedy wycie wiatru mieszało się z jękami duchów pustkowia. Owa noc roiała się od wampirów, więdźmy latały nagie w księżycowej poświacie, a w dziczy wyły wilkołaki. Nadjechał na czarnym wielbłądzie. Pędził jak wicher, spowity bluźnierczym ogniem. Ślady zwierzęcia błyszczały w ciemności. Kiedy Natohk zsunął się z siodła przed ołtarzem Seta w oazie Aphaka, bestia wróciła w noc i rozpułnęła się. Rozmawiałem jednak z tubylcami, którzy

zaklinali się, że rozłożyła nagle olbrzymie skrzydła i ruszyła w górę, między chmury, pozostawiając za sobą smugę ognia. Odtąd nikt już nie zobaczył więcej owego wielbłąda, ale czarny, prymitywny, podobny człowiekowi kształt wślizguje się nad ranem do namiotu Natohka i rozmawia z nim w ciemności. Mówię ci, Conanie, że Natohk jest... Zobacz, pokażę ci obraz tego, co zobaczyłem tamtego dnia w Shushan, kiedy wiatr rozwiął jego welon!

Yasmela ujrzała błysk złota w ręce Shemity, nad którą pochyłili się obaj mężczyźni. Usłyszała warknięcie Conana i pogrążyła się w ciemności. Księżniczka zemdląca po raz pierwszy w swoim życiu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Armia ruszyła w drogę, kiedy świt był jeszcze tylko smugą bieli na wschodzie. Do obozowiska wjechali tubylcy na słaniających się z wysiłku wierzchowcach. Mówili, że pustynna horda rozbiła obóz przy Studni Altaku. Żołnierze pognali więc prędko przez wzgórza, zostawiając w tyle wszystkie karawany. Yasmela pojechała z nimi; wciąż była osłabiona. Bezimienny koszmar przybrał jeszcze gorszą postać, odkąd poprzedniej nocy ujrzała monetę przyniesioną przez Shemitę – jedną z tych, które sekretnie wybijali wyznawcy kultu Zugitów. Moneta przedstawiała rysy człowieka, który nie żył od trzech tysięcy lat.

Droga wiała się między poszarpanymi skalnymi ścianami i strzelającymi w nieboskłon szpicami szczytów, górującymi nad wąskimi dolinami. Tu i ówdzie widać było skupiska pozlepianych błotem kamiennych chatek. Tubylcy chętnie przyłączali się do swych pobratymców. Zanim armia przeszła przez wzgórza, rozrosła się o trzy tysiące dzikich łuczników.

Kiedy wyjechali na pustkowie, zaparło im dech w piersiach na widok niezmiernych przestrzeni. Góry opadały tutaj stromo, zaznaczając granicę geograficzną między płaskowyżem Koth a pustynią. Wyznaczały one kraniec wyżyn, tworząc w tym miejscu niemal jednolitą ścianę. Zamieszkiwał je tylko klan Zahimów, których obowiązkiem było strzeżenie kupieckiego szlaku. Za wzgórzami rozciągała się pustynia, jałowa i bez życia. Ale za jej horyzontem znajdowała się Studnia Altaku i czaiły hordy Natohka.

Żołnierze patrzyli z ciekawością w dół, na Przejście Shamli, przez które płynęły wszelkie dobra, zarówno na północ, jak i na południe. Nieraz szły już tamtędy armie Koth, Khorai, Shemu, Turanu i Stygii. Była to jałowa przełęcz, jedyna biegnąca przez wzgórza, inne bowiem kończyły się u stóp skalnych ścian. Łańcuchy wzniesień wysuwały się w stronę piasków, niczym palce rozczapierzonej dłoni. Szlak wspinał się w górę i wychodził na równinę, zwieńczoną rozdartymi przez wąwozy wzgórzami. Tam, między kamiennymi wieżami, znajdowała się studnia, zajęta przez Zahimów na potrzeby walki.

Conan spał konia i zatrzymał się. Pozbył się pancernej zbroi na rzecz lżejszej kolczugi. Thespides również wstrzymał wierzchowca i zapytał z pretensją:

– Dlaczego stanąłeś?

– Poczekamy tu na nich – odparł Conan.

– Byłoby bardziej rycersko wyjechać im na spotkanie – odgryzł się hrabia.

– Jest ich więcej, niż nas. Poza tym tam nie ma wody. Rozbijemy obóz na równinie...

– Ja rozbiję obóz w wąwozie – odparł gniewnie Thespides. – Jesteśmy zwiadowcami i nie boimy się tej pustynnej hordy żebraków.

Conan wzruszył ramionami. Szlachcic wściekł się i odjechał. Amalryk zatrzymał swą wrzaskliwą grupę i patrzył, jak lśniąca kompania zjeżdża do doliny.

– Głupcy! Wkrótce opróżnią manierki i będą musieli wjechać z powrotem, aby napoić konie u studni.

– Niech robią, co chcą – odpowiedział Conan. – Nie mogą znieść, że muszą wykonywać moje rozkazy. Powiedz swoim zabijakom, aby poluzowali zbroje i odpoczęli. To był trudny marsz. Napój konie, a ludzie niech się posilą.

Zwiadowcy nie byli potrzebni. Pustynia rozciągała się przed nimi w pełnej krasie, chociaż widoczność była ograniczona przez niskie chmury, które kłębiły się na południowym horyzoncie. Monotonię tego pejzażu przełamywały tylko sterczące, kamienne ruiny, parę mil w głąb piasków, ponoć pozostałość starożytnej świątyni stygijskiej. Conan kazał łucznikom zejść z koni i rozstawił ich na krawędzi równiny razem z dzikimi tubylcami. Najemnikom i khorajskim włócznikom kazał pilnować studni. Na tyłach, gdzie kończyła się górską drogą postawiono namioty Yasmeli.

Napięcie wśród wojowników opadło, bowiem w zasięgu wzroku nie było widać wroga. Zrzucili hełmy i zbroje. Sprośne żarty rozbrzmiewały ponad głowami żołnierzy, zatapiających zęby w wołowinie i zaglądających głęboko do kufla z piwem. Ludzie ze wzgórz rozsiedli się wygodnie wzdłuż wzniesień, pogryzając daktyle i oliwki. Amalryk podszedł do miejsca, w którym rozsiadł się Conan.

– Słyszałeś, co tubylcy rozpowiadają o Natohku? Mówią, że... Na Mitrę, to tak głupie, że wstyd powtarzać. Co o tym sądzisz?

– Czasami ziarno spoczywa w ziemi przez całe wieki, a nie gnije – odpowiedział Conan. – Ale z całą pewnością Natohk jest człowiekiem.

– Nie jestem tego pewien – mruknął Amalryk. – W każdym razie rozstawiłeś szyki równie dobrze, jak doświadczony generał. Diabły Natohka na pewno nie zastaną nas nieprzygotowanych. Na Mitrę, co za mgła!

– Na początku myślałem, że to chmury – odparł Conan. – Patrz jak się kłębi!

Gęsty opar nadciągał z południa jak przepastny, niespokojny ocean, skrywając pustynię przed ludzkim wzrokiem. Niebawem przykrył stygijskie ruiny i w dalszym ciągu parł naprzód. Żołnierze patrzyli na to z przerażeniem. Takie zjawisko nie miało wytłumaczenia w naturze.

– Nie ma sensu wysłać zwiadowców – stwierdził niechętnie Amalryk. – I tak nic by nie zobaczyli. Dochodzi już do obrzeży wzgórz. Szybko pokryje przełęcz i zasłoni wzgórze...

Conan, który obserwował nadciągającą mgłę z rosnącym niepokojem, schylił się nagle i przyłożył ucho do ziemi. Podskoczył w szalonym pośpiechu i z przekleństwem na ustach.

– Konie i rydwan! Tysiące! Ziemia aż wibruje od ich pędu! Ej, wy! – jego głos poniósł się jak grzmot po całej dolinie i zelektryzował rozłożonych wygodnie mężczyzn. – Hełmy i piki, psy! Ustawcie się w szeregi!

Wojownicy zaczęli gramolić się na miejsca, nakładając w pośpiechu hełmy i łapiąc tarcze. Wtedy mgła rozstała się. Nie podniosła się powoli i nie rozpięzła jak naturalne zjawisko. Po prostu zniknęła jak zdmuchnięty płomień. W jednej chwili cała pustynia pokryta była pierzastymi kłębami, a w następnej słońce świeciło na bezchmurnym niebie, oświetlając nagą pustynię, która zaludniła się nagle tysiącami zbrojnych. Wrzawa wzbijała się pod samo niebo, wstrząsając wzgórzami.

Oślupieni obserwatorzy w pierwszej chwili pomyśleli, że patrzą na błyszczące morze z brązu i złota, w którym stalowe ostrza błyszczały jak tysiące gwiazd. Kiedy mgła zniknęła, najeźdźcy zastygli jak posągi w długich, zwartych rzędach, błyszczących w słońcu.

Na przedzie znajdował się długi szereg rydwanów, ciągniętych przez wielkie i dzikie konie ze Stygii, przyozdobione piórami; rumaki parskwały i rżały, ściągane przez nagich, szczupłych woźniców o mocarnych nogach i ogorziałych ramionach, na których piętrzyły się mięśnie. Orle twarze

wysokich wojowników w rydwanach przesłaniały hełmy z brązu, zwieńczone półksiężycem podtrzymującym złotą kulę. W rękach dzierżyli ciężkie łuki. Nie byli to zwykli łucznicy, lecz szlachta południa, wychowywana do walki i polowań, przyzwyczajona nawet do zabijania lwów.

Za nimi maszerował wielobarwny szyk dzikich ludzi na półdzikich koniach. Byli to wojownicy z Kush, pierwszego z wielkich czarnych królestw z sawanny na południe od Stygii. Hebanowi, szczupli i zwinni, jechali na oklep zupełnie nadzy.

Dalej ciągnęła się horda, która zdawała się zalewać całą pustynię. Miliony wojowniczych synów Shemu – szeregi jeźdźców w pancernych zbrojach i cylindrycznych hełmach, Asshurowie z Nippru, Shumiru, Eruk oraz ich bliźniaczych miast. Dzikie, odziane na białą horde klanów nomadów.

Szeregi zaczęły przegrupowanie. Rydwany zjechały na bok, ustępując miejsca głównym oddziałom, które powoli, niepewnie ruszyły naprzód.

Rycerze w dolinie wskoczyli w siodła. Hrabia Thespides wpadł galopem na wzgórze, gdzie stał Conan. Nie zatroszczył się nawet o to, by zsiąść z konia.

– Zdezorientowało ich podniesienie się mgły! Teraz jest właściwy moment do ataku. Kushyci nie mają łuków, a to oni kryją cały podjazd! Moja szarża wgniecie ich w linie Shemitów, przerywając ich szyki. Za mną! Wygramy tę bitwę jednym posunięciem!

Conan potrząsnął głową.

– Przystałbym na to, gdyby nasz przeciwnik był z tej ziemi. Ale to zamieszanie wygląda na grę, zupełnie jakby chcieli zwabić nas w pułapkę. Wietrzę podstęp.

– A więc nie chcesz ruszać?! – wrzasnął Thespides, ciemniejąc na twarzy z gniewu.

– Bądź rozsądny – perswadował Conan. – Mamy bardzo korzystną pozycję...

Hrabia z szaleńczym przekleństwem na ustach odwrócił się i popędził w dół, gdzie czekali na niego zniecierpliwieni rycerze.

Amalryk potrząsnął głową.

– Nie powinieneś pozwolić mu wrócić, Conanie. Ja... Spójrz tam!

Conan podskoczył i zaklął. Thespides przemknął obok jego żołnierzy. Gniewny głos hrabiego ledwo do nich dobiegał, ale gest w kierunku

nadciągającej hordy był wystarczająco wymowny. W kolejnej chwili rozbłysło pięćset zniżających się kopii i odziana w stal kompania pomknęła z hukiem w dół doliny.

Z namiotu Yasmeli nadbiegł młody paź, wrzeszcząc na Conana przenikliwym i gniewnym głosem.

– Mój panie, księżniczka pyta cię, czemuż to nie wspierasz hrabiego Thespidesa?

– Bo nie jestem tak głupi jak on! – warknął Conan, siadając na powrót na skale i wracając do zdzierania mięsa z wielkiej kości wołowej.

– Władza wbiła cię w pychę – stwierdził Amalryk. – Zawsze gustowałeś w takich szaleńczych przedsięwzięciach.

– Tak, kiedy musiałem troszczyć się tylko o własne życie – odpowiedział Conan. – Teraz... Co u diabła!

Horda zatrzymała się. Z jednego skrzydła ruszył rydwan, którego nagi woźnica smagał biczem konie jak oszalały. Jego pasażerem była wysoka postać, której szaty powiewały mgliście na wietrze. W rękach trzymał wielką złotą czarę. Wylewał z niej cienki strumyk błyszczącej w słońcu cieczy. Wóz przemknął przed frontem pustynnej hordy, zostawiając za sobą, niczym kil za statkiem, wąski ślad, który błyszczał na piasku jak fosforyzujący grzbiet węża.

– To Natohk – zaklął pod nosem Amalryk. – Co on tam rozsiewa, przeklęty?

Atakujący rycerze nie zdołali zatrzymać swej karkołomnej szarzy. Jeszcze pięćdziesiąt kroków i zdołaliby zaatakować słabsze szeregi kushyckie, stojące w bezruchu z podniesionymi włóczniami. Najszybsi rycerze dojechali już do błyszczącej w piasku cienkiej linii. Nie przeczuwali czającego się zagrożenia. Kiedy uderzyły w nią końskie podkowy, wyglądało to tak, jakby żelazo zetknęło się z krzemieniem. Efekt był jednak dużo bardziej przerażający. Pustynią wstrząsnęła straszliwa eksplozja, zdająca się rozprzestrzeniać wzdłuż linii potężnym białym płomieniem.

Pierwszą linię rycerzy spowiły płomienie. Konie i jeźdźcy wili się jak robaki prażące się na otwartym ogniu. Po chwili następni wjeżdżali na ich zwęglone ciała. Wszyscy następni wpadali w tę samą pułapkę, bez szans odwrotu. Zatrważająco szybko wspaniała szarża zmieniła się w bezładne skupisko ciał pokonanych rycerzy i konających rumaków.

Złudzenie nieładu znikło. Horda ustawiła się w równych sztykach. Dzicy Kushyci natarli na resztki oddziału, dobijali rannych włóczniami, miażdżyli rycerskie hełmy kamieniami i żelaznymi młotami. Wszystko działo się tak szybko, że obserwatorzy na wzgórzu stali w osłupieniu. Horda ruszyła naprzód, rozdzielając się w miejscu, gdzie leżały zwęglone resztki ciał. Z gór podniósł się krzyk:

– Nie walczymy z ludźmi, walczymy z demonami!

Czatujący na krawędzi ludzie ze wzgórz zawahali się. Jeden z nich pobiegł na równinę, tocząc pianę z ust.

– Uciekajcie, uciekajcie! – krzyczał. – Któż może przeciwstawić się magii Natohka!

Conan z warknięciem zeskoczył ze swojego głazu i zdzielił go kością wołową. Mężczyzna upadł, z nosa i ust buchnęła mu krew. Barbarzyńca wyciągnął miecz, jego oczy zwężyły się w szparki błękitnego ognia.

– Wracajcie na stanowiska! – wrzasnął. – Niech no jeszcze który się cofnie, a rozwalę mu łeb! Walczcie, głupcy!

Panika szybko zgasła. Dzika osobowość Conana podziałała na przerażenie wojowników, jak kubeł lodowatej wody.

– Zajmijcie pozycje – rozkazał prędko. – I zostańcie tam! Ani człowiek, ani diabeł nie przejdą dziś przez Przejście Shamli!

W miejscu, w którym opadał brzeg równiny najemnicy dopięli i poprawili pasy i chwycili za włócznie. Jeźdźcy za nimi dosiedli rumaków, chwycili kopie i ruszyli w stronę, gdzie stacjonowała rezerwa khorajskich włóczników. Wyglądająca ze swojego namiotu, pobladła i oniemiała Yasmela odniosła wrażenie, że jej armia jest godną pożałowania garstką ludzi w porównaniu z nacierającą hordą pustynną.

Conan stał między włócznikami. Wiedział, że najeźdźcy nie będą próbować podjazdu rydwanami w górę przełęczy, gdyż wpadliby wówczas prosto w sidła łuczników. Jednak aż warknął ze zdziwienia, kiedy zobaczył jak zsiadają z koni. Ci nie mieli zaprzęgów z zaopatrzeniem; wszystko, co potrzebne, przytroczone było do ich siodeł. Wypili właśnie resztę wody i odrzucili menażki.

– Albo zwycięstwo, albo śmierć – mruknął Conan do siebie, kiedy jeźdźcy wrogiej armii, którzy nagle stali się piechotą, formowali na nowo sztyki. – Wolałbym już odpierać szarżę kawalerii, bo zranione i spanikowane konie blokują ruchy formacji. I je niszczą...

Horda ustawiła się w klin, ze Stygijczykami stojącymi na ostrzu i uzbrojonymi Asshurami w środku. Wszystkich otaczali nomadzi. Zwarty szyk uniósł tarcze i potoczył się naprzód. Za nim wysoka postać w nieruchomym rydwaniu wzniosła ramiona w jakiejś ponurej modlitwie.

Kiedy horda wkroczyła w szeroką gardziel doliny, ludzie ze wzgórz spuścili strzały z cięciw. Mimo że atakujący utworzyli formację obronną, ich ludzie padali tuzinami. Stygijczyków uchroniły przed strzałami solidne hełmy i tarcze. Szli jak nieubłagany przypływ, deptając upadłych towarzyszy. Shemici odpowiedzieli tym samym i chmura strzał przyćmiła niebo. Conan patrzył na falujące morze włóczy i zastanawiał się, jaki to nowy koszmar przywoła czarnoksiężnik. W jakiś sposób rozumiał, że Natohk, jak wszyscy mu podobni, był dużo skuteczniejszy w obronie, niż w ataku. Podjęcie przeciw niemu ofensywy mogło skończyć się katastrofalnie.

Jednak z całą pewnością to magia pchała hordę w uścisk śmierci. Conan wstrzymał oddech na widok spustoszenia w nacierających szykach. Krawędzie klina topniały, a cała dolina usłana była trupami. Mimo to, ci, którzy przeżyli atak, nadchodzili jak niepomni śmierci szaleńcy. Tylko dzięki liczebności wciąż mieli przewagę nad łucznikami na skalnych ścianach. Chmury strzał pędziły w górę, zmuszając ludzi ze wzgórz do szukania schronienia. Na widok zdecydowanego natarcia, w ich sercach wybuchła panika i naciągali łuki jak dzicy, a ich oczy błyszczały jak ślepie osaczonych wilków.

Kiedy horda zbliżyła się do węższej części przełęczy, posypał się na nią grad kamieni, który miażdżył ludzi dziesiątkami. Szarża jednak parła dalej. Wilki Conana przygotowały się na nieuniknione uderzenie. Dzięki zwartym szykom i lepszemu uzbrojeniu nie odnieśli pod ostrzałem dużych strat. Cymmeryjczyk bał się bardziej samego natarcia – momentu, w którym wielki klin wbije się w jego wąskie szyki. Zrozumiał, że nie da się uniknąć rzezi. Chwycił za ramię stojącego nieopodal Zahima.

– Czy jest jakaś droga, po której ludzie na koniach mogliby się dostać do ślepej doliny za zachodnią granicę?

– Tak. Jest jedna stroma i niebezpieczna ścieżka, trzymana w tajemnicy i pilnie strzeżona. Ale...

Conan już ciągnął go w stronę Amalryka, dosiadającego wielkiego rumaka wojennego.

– Amalryku – sapnął – jedźcie za tym człowiekiem! Powiedzie was do tamtej zewnętrznej doliny. Zjedźcie tam, okrążając koniec grani i uderzcie hordę od tyłu. Nie mów nic, jedź! Wiem, że to szaleństwo, ale i tak już jesteśmy skazani. Przynajmniej wyrządzimy tyle szkód, ile się da, zanim zginiemy. Prędko!

Wąs Amalryka zjeżył się w dzikim grymasie i parę chwil później jego jeźdźcy zagłębili się w labiryncie wąwozów, wychodzących poza równinę. Conan pobiegł z mieczem w dłoni z powrotem do pikinierów.

Nie zdążył. Na jednej z grani górale Shuprasa, oczekując porażki, desperacko zasypywali wroga deszczem strzał. W dolinie i na zboczach ludzie padali jak muchy, ale dziko ryczący i napierający Stygijczycy zderzyli się z najemnikami.

W huraganie grzmiącej stali szyki się zachwiały. Przeciw zawodowym żołnierzom stanęli wychowani na wojnie szlachcice.

Tarcze jednych uderzały w pancerze drugich. Ponad nimi błyskały włócznie, wszędzie tryskała krew.

W morzu mieczy Conan dojrzał potężną postać księcia Kutamuna, ale tłok był za duży. Walczył pierś w pierś z czarnymi, zaciętymi ludźmi. Za Stygijczykami podchodzili już krzyczący Asshurowie.

Nomadzi wspięli się na granie i rozpoczęli walkę wręcz z góralami, która wybuchła na wszystkich szczytach z dzikością zapierającą dech w piersiach. Tubylcy atakowali wrogów zębami i pazurami, zarzynali ich i sami umierali, w zapamiętaniu mszcząc się za dawne krzywdy. Nagle w sam środek walki wpadli także nadzy Kushyci.

Conanowi zdawało się, że jego złane potem oczy patrzą na wzburzony ocean stali, który wrzał i wirował, zapełniając dolinę od brzegu do brzegu. Na tym etapie bitwa była krwawym impasem. Ludzie ze wzgórz trwali na pozycjach, a najemnicy z pikami w dłoniach bronili przełęczy. Lepsze pozycje i zbroje przez jakiś czas równoważyły przygniatającą przewagę liczebną wroga. Ale to nie mogło trwać długo. Fala za falą, agresorzy z błyskiem w oczach i najeżonymi włóczniami wspinali się na wzgórze, a opuszczone pozycje w stygijskich szykach zajmowali Asshurowie.

Conan szukał wzrokiem ludzi Amalryka w nadziei, że zobaczy jak okrążają zachodnią krawędź, ale ci nie nadchodzili. Pikinierzy zaczęli chwiać się pod naporem natarcia. Cymmeryjczyka opuściła nadzieja na zwycięstwo i zachowanie życia. Wydał rozkazy swym zmęczonym kapitanom, wyrwał się z szyku i pognął przez równinę w stronę khorajskich

rezerw, niecierpliwie gotujących się do walki. Nie spojrział nawet w stronę namiotu Yasmeli. Całkiem zapomniał o księżniczce. W głowie krążyła mu tylko jedna myśl – dzikie pragnienie zabicia jak największej ilości wrogów, zanim sam zginie.

– Dziś stajecie się rycerzami! – roześmiał się szaleńczo, wskazując ociekającym krwią mieczem wierzchowce górali, które pasły się nieopodal.
– Dosiądźcie koni i chodźcie za mną do piekła!

Górskie rumaki zarżały dziko, słysząc nieznany sobie brzęk khorajskiej zbroi. Gromki śmiech Conana uniósł się nad okolicą, kiedy prowadził ich w miejsce, gdzie wschodnia krawędź wąwozu rozgałęziała się i odchodziła od równiny. Pięć setek piechurów, synów spauperyzowanych patrycjuszy, rodzinnych czarnych owiec, na półdzikich shemickich koniach atakowało armię, pędząc w dół wzgórza, po którym nie odważyła się szarżować jeszcze żadna kawaleria!

Spadli na wroga jak grom z jasnego nieba. Mijając zatłoczoną, wąską gardziel przełęczą wylegli na usłaną trupami grań. Wielu z nich traciło grunt pod nogami i wpadało pod kopyta towarzyszy. Najeźdźcy wśród krzyków próbowali ich odeprzeć, ale gromka szarża przedarła się między nimi jak lawina przez młodniak. Khorajowie przetoczyli się przez zwarte szyki, pozostawiając za sobą dywan zmiżdżonych trupów.

Kiedy horda zachwiała się i cofnęła, zza zachodniej krawędzi wąwozu wytoczyli się ludzie Amalryka, którzy przedarli się przez kordon jeźdźców napotkany w zewnętrznej dolinie. Razili tyły wroga ustawieni w klin o stalowym ostrzu i rozerwali na pół jego szyki. Atak był takim zaskoczeniem, że zadziałał na nomadów wyjątkowo demoralizująco. Wielu z nich sądząc, że zostali otoczeni przez liczniejszych przeciwników, oszalało ze strachu na myśl o odcięciu od pustyni i rzuciło się do ucieczki, siejąc zamęt w szykach swych mniej lękliwych towarzyszy. Wówczas przetoczyli się po nich jeźdźcy Conana. Zawahali się również pustynni wojownicy na skałach i górale spadli na nich z nową furją, spychając ich w dół wzgórza.

Oniemiała z zaskoczenia horda załamała się, zanim ktokolwiek zdołał się zorientować, że atakowała ją tylko garstka ludzi. Nawet czarnoksiężnik nie zdołałby spoić na nowo rozproszonych szyków. Szaleńcy Conana spostrzegli ponad morzem głów i włóczni, że jeźdźcy Amalryka posuwają się mozolnie do przodu, wymachując toporami i maczugami. Dzika radość

ze zwycięstwa przepeliła serce każdego z mężczyzn i sprawiła, że ich ramiona stały się twarde jak stal.

Stojący w gardzieli przełęczy pikinierzy, zapierający się stopami w kołyszającym się morzu krwi również ruszyli naprzód. Uderzyli z wielką siłą w rozdrobnione szyki. Stygijczycy wytrzymali atak, ale napór Asshurów za nimi stopniał, bowiem najemnicy przetoczyli się ponad ciałami szlachty Południa i przetrzebili ich szeregi.

Wysoko na grani stary Shupras leżał ze strzałą w sercu. Amalryk zgiął, klnąc jak pirat, z włócznią w opancerzonym udzie. Z infanterii Conana, która dosiadła dzikich koni pozostało ledwie stu pięćdziesięciu ludzi. Horda jednak została zniszczona. Nomadowie i włócznicy w zbrojach rzucili się do ucieczki, biegnąc do obozów, gdzie znajdowały się ich konie. Górale deptali im po piętach, dźgając uciekinierów w plecy i podrzynając gardła rannym.

W wirującym, krwawym chaosie przed rżącym rumakiem Cymmeryjczyka pojawiła się nagle straszliwa zjawia. Był to książę Kutamun, odziany jedynie w przepaskę na biodrach. Jego lejce były rozdarte, a hełm z pióropuszem wyszczerbiony. Cały spływał krwią. Ze straszliwym krzykiem cisnął Conanowi w twarz złamaną klingę i odskakując, chwycił za uzdę jego rumaka. Na wpół otumaniony Cymmeryjczyk zachwiał się w siodle. Ciemnoskóry gigant rozbijał przerażonego konia z tak paskudną siłą, że ten stracił równowagę i runął w bagno krwawego piasku i wijących się ciał.

Conan zdołał odskoczyć, kiedy wierzchołek się przewrócił. Kutamun zwał się na niego z krzykiem. Conan był tak zaślepiony szaleńczym koszmarem tej walki, że nie umiał sobie później przypomnieć, jak właściwie zabił tego człowieka. Pamiętał tylko, że Stygijczyk walił raz za razem kamieniem w jego hełm, krzesząc oślepiające iskry, podczas gdy on sam bezskutecznie ciął go mieczem, nie powodując żadnych widocznych ran w niebywale żywotnym ciele księcia. Świat rozpływał się już Conanowi przed oczyma, kiedy nagle jego przeciwnik zadrżał konwulsyjnie, zeszytniał i padł bez życia.

Conan wstał chwiejnie. Spod wyszczerbionego hełmu ciekła mu krew po twarzy. Spojrzał nieprzytomnie, uświadamiając sobie ogromną skalę destrukcji, której był świadkiem. Między szczytami leżały porozrzucone trupy, niczym dywan wyścielający dolinę. Wyglądało to jak czerwone morze, a każda linia ciał przypominała fale. Wąska gardziel przełęczy

zapchana była truchłem. W dole, na pustyni, walka wciąż jeszcze trwała. Niedobitki hordy były ścigane przez zmęczonych zwycięzców. Conan stanął przerażony, widząc, jak niewielu przeżyło i było w stanie podjąć pościg.

Nagle ponad zgiełk bitwy wzniósł się straszliwy krzyk. W stronę wzgórza, nie zważając na stosy trupów, pędził rydwan, ciągnięty przez wielkie, czarne stworzenie podobne do wielbłąda. W rydwanie stał Natohk z rozwianymi szatami. Lejce trzymała zaś przycupnięta, czarna, antropomorficzna istota, wyglądająca jak potworny małpolud, i strzelała na oślep z bicza.

Z pędem płonącego wiatru rydwan wjechał po usłanym ciałami wzgórzu, prosto w kierunku namiotu, w którym została Yasmela, sama, opuszczona w szaleństwie walki przez strażników. Skamieniały Conan usłyszał jej krzyk, kiedy długie ramię Natohka wciągnęło ją do rydwanu. Upiorny rumak zawrócił i pognął z powrotem w dół wzgórza. Nikt nie odważył się wypuścić strzały albo rzucić włócznią w obawie, by nie skrzywdzić szarpiącej się w ramionach Natohka Yasmeli.

Z nieludzkim wrzaskiem Conan złapał swój upuszczony miecz i stanął na drodze czarnoksiężnika. Przednie kopyta czarnej bestii odrzuciły go na wiele stóp niczym maczuga. Został ogłuszony i pobity. Kiedy wóz przetoczył się obok Cymmeryjczyka, jego uszu dobiegł daleki głos Yasmeli.

Kiedy barbarzyńca podniósł się z ziemi, z jego ust dobył się zwierzęcy ryk. Chwycił za uzdę przebiegającego obok konia i w biegu rzucił się na siodło. W dzikim zapamiętaniu pognął za szybko odjeżdżającym rydwanem. Lotem błyskawicy pomknął w stronę doliny i jak wiatr przemierzył obozowisko Shemitów. Pędził w głąb piasków, mijając grupki własnej kawalerii i poganiających konie pustynnych jeźdźców.

Rydwan pędził naprzód, Conan za nim, chociaż jego rumak zaczynał się już chwiać. Przed nimi rozciągało się otwarte pustkowie, skąpane w upiornym i pustoszącym blasku zachodzącego słońca. Przed nim wyrosły starożytne ruiny. Z nieludzkim krzykiem, który zmroził Conanowi krew w żyłach, woźnica wyrzucił Natohka i dziewczynę z zaprzęgu. Potoczyli się po piasku, a zdumiony Cymmeryjczyk ujrzał, jak rydwan i jego rumak przybierają przerażającą formę. Nieprzypominająca już wielbłąda czarna bestia rozwinęła wielkie skrzydła i pomknęła w górę, pod samo niebo, ciągnąc za sobą smugę gasnącego ognia, w której czarna, podobna do człowieka postać mamrotała coś z obrzydliwym triumfem. Natohk zerwał

się na równe nogi, rzucił okiem na ponurego prześladowcę, który nie zatrzymał się, lecz pędził równo w jego kierunku z nisko rozbujanym mieczem rozpryskującym czerwone krople. Porwał omdlałą dziewczynę i pobiegł z nią do ruin.

Conan zeskoczył z siodła i popędził za nimi. Wszedł do komnaty, w której unosiła się bluźniercza poświata, mimo że na zewnątrz coraz szybciej zapadał zmrok. Na ołtarzu z czarnego jadeitu leżała Yasmela, a jej nagie ciało w dziwnym świetle wyglądało jak kość słoniowa. Jej szaty leżały porozrzucane na podłodze, zdarte w brutalnym pośpiechu. Natohk stanął z Cymmeryjczykiem twarzą w twarz, nieludzko wysoki i szczupły, odziany w błyszczący zielony jedwab. Odrzucił kaptur i Conan zobaczył rysy, które widział już wyryte na monecie Zigitów.

– O tak psie, zadrzyj! – jego głos był jak syk wielkiego węża. – Jestem Thurga Khotan! Długo leżałem w tym grobie, czekając na dzień przebudzenia i wolności. Wiele lat temu, aby ochronić się przed barbarzyńcami, uciekłem się do czarnej magii, która mnie zniewoliła. Jednak wiedziałem, że ktoś przyjdzie we właściwym momencie. I rzeczywiście – ten ktoś pojawił się i wypełnił swe przeznaczenie, umierając tak, jak nikt jeszcze nie umierał od trzech tysięcy lat. Głupcze, myślisz, że mnie pokonałeś, bo rozgromiłeś moich ludzi? Dlatego, że zostałem zdradzony i opuszczony przez mojego demona? Jestem Thugra Khotan, ten, który będzie rządził światem i pokona twych nędznych bogów! Pustynia jest pełna moich ludzi. Demony tej ziemi spełnią moją wolę, tak jak robią to ziemskie gady. Moje czary osłabiło pożądanie, ale teraz mam kobietę i stanę się niepokonany, żerując na jej duszy! Cofnij się, głupcze! Nie pokonasz Thugry Khotana!

Rzucił pod stopy Conana swoją laskę. Barbarzyńca cofnął się, krzyząc mimowolnie. Czuł bowiem, że ta zmienia się w straszliwy sposób: jej kontury stopiły się i zaczęły wić, i oto na jej miejscu wzniosła się kobra z ogromnym kołnierzem, sycząc przed przerażonym Cymmeryjczykiem. Barbarzyńca zaatakował ją z gniewnym przekleństwem na ustach, a jego miecz podzielił obrzydliwy kształt na dwoje. I znów u jego stóp leżały już tylko dwie części hebanowej laski. Thurga Khotan roześmiał się okropnie i odwracając się, podniósł coś wstrętnego, co pełzało po zakurzonej podłodze.

W jego wyciągniętej dłoni wiło się i ociekało coś żywego. Nie była to gra cieni. Thugra Khotan trzymał nagą dłoń czarnego skorpiona, długiego na

ponad stopę; było to najbardziej śmiercionośne stworzenie pustyni. Ukłucie jego kolca przynosiło natychmiastowy zgon. Podobna do mumii twarz Thugry Khotana wyszczerzyła się w uśmiechu. Conan zawahał się i nagle, bez ostrzeżenia, rzucił mieczem.

Zaskoczony Thugra Khotan nie miał czasu, by uchylić się przed ciosem. Ostrze przeszło jego serce i wyszło między ramionami. Czarnoksiężnik osunął się na ziemię, rozgniatając w ręku jadowitego potwora.

Barbarzyńca podszedł do ołtarza i podniósł Yasmelę w skrwawionych ramionach. Dziewczyna zarzuciła białe ręce wokół jego opancerzonej szyi, drżąc konwulsyjnie i histerycznie chlapiąc. Nie chciała go puścić.

– Na Croma, co u diabła, dziewczyno! – warknął. – Puść mnie! Dziś zginęło pięćdziesiąt tysięcy ludzi i mam sporo roboty...

– Nie! – westchnęła, przywierając do niego spazmatycznie, a jej pasja i strach były w tym momencie równie silne, jak on. – Nie pozwolę ci odejść! Jestem twoja, na ogień, stal i krew! I ty jesteś mój! Tam należę do innych, a tu należę do siebie... I ciebie! Nie pójdiesz stąd.

Zawahał się, gdyż jego umysł zawirował od wzrastającej w nim dzikiej i gwałtownej żądz. Nieziemska i niesamowita poświata wciąż jeszcze unosiła się w cienistej komnacie, oświetlając upiornie martwą twarz Thugry Khorana, który zdawał się szczerzyć do nich bezlitośnie z jakiejś otchłani. Gdzieś na pustyni, pośród wzgórz skąpanych w morzu trupów, wciąż umierali ludzie, inni lamentowali z powodu odniesionych ran, bądź konali z pragnienia i szaleństwa. Królestwa obracały się w proch. Ale wszystko to zmyła purpurowa fala, która wezbrała dziko w duszy Conana, kiedy miażdżył namiętnie w swych żelaznych ramionach szczupłe, alabarstowe ciało, połyskujące przed nim niczym czarodziejski blask szaleństwa.

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(czerwiec 1933) pod tytułem *Black Colossus*

PEŁZAJĄCY CIEŃ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przez pustynię sunęły fale gorąca. Conan Cymmeryjczyk spojrział w kłującą oczy pustkę i odruchowo przeciągnął grzbietem ogromnej dłoni po spieczonych wargach. Odziany jedynie w jedwabną przepaskę na biodrach, na której nosił nabijany złotymi ćwiekami szeroki pas z przypiętymi do niego szablą i sztyletem, przypominał gigantyczny spiżowy posąg, niewrażliwy na palące pazury stojącego w zenicie słońca. Muskularne ciało barbarzyńcy nosiło liczne ślady ledwie zasklepionych ran.

U stóp olbrzyma siedziała skulona, jasnowłosa dziewczyna. Zwiesiwszy głowę, obejmowała smukłym ramieniem jego kolana, a jej alabastrowa skóra wyraźnie odcinała się na tle ogorzałego od słońca ciała mężczyzny. Króciutka, ciasno przewiązana w talii jedwabna tunika bez rękawów z głębokim dekoltem więcej raczej odsłaniała niż zasłaniała, ukazując smukłe i ponętne ciało.

Conan potrzęsnał głową, jakby chciał strącić z rozpalonego czoła oślepiający blask. Obydwoje niemal oślepli od prażącego słońca. Sięgnął do pasa po skórzany bukłak, potrzęsnał nim, a usłyszawszy jedynie nikły plusk, zacisnął szczęki.

Dziewczyna drgnęła i zapłakała.

– Conanie, tutaj umrzemy! Tak bardzo chce mi się pić!

Cymmeryjczyk burknął coś pod nosem, spoglądając wściekle na otaczającą ich pustynię. Wydał wargi w złowróżbnym grymasie, a w jego spojrzeniu pełnym dzikości, spozierającym spod czarnej, zmierzwionej czupryny czaiła się taka nienawiść, jakby pustynia była namacalnym wrogiem z krwi i kości.

Pochyliwszy się, przyłożył bukłak do ust dziewczyny.

– Natalo, masz i pij – rzekł – póki nie powiem dość.

Dziewczyny nie trzeba było zachęcać. Piła szybko, zachłannie, małymi łykami, aż wysączyła ostatnią kroplę wody. Dopiero teraz zrozumiała. W jej oczach zaperliły się łzy.

– Conanie...! – załamała ręce, szlochając. – Czemu mi na to pozwoliłeś? Wszystko wypiliśmy, a dla ciebie nic nie zostało!

– Nie rycz, mała, nie rycz – burknął. – Niepotrzebnie tracisz siły.

Wyprostował się i cisnął beżużyteczny bukłak w piach.

– Dlaczego mi na to pozwoliłeś? – ciągle zawodziła.

Conan stał niewzruszony, niczym góra, nawet nie spoglądając na dziewczynę. Jego wielkie palce powoli, coraz mocniej i mocniej zaciskały się na rękojeści szabli. Utkwił wzrok gdzieś na odległych purpurowiejących na linii horyzontu mgłach.

Cymmeryjczyk już wiedział, zrozumiał... Nadchodził kres. Przeciwno tej świadomości z całych sił buntowało się jego barbarzyńskie umiłowanie życia, ta pierwotna, ukształtowana przez nieznaną litości cymmeryjskie góry, witalność wilka. On nie doszedł jeszcze do kresu swych możliwości, ale nie był głupcem i doskonale wiedział, że następny dzień spędzony w tym pustynnym piekarniku będzie prawdopodobnie jego ostatnim. Dziewczyna była załamana i wycieńczona, jedną nogą właściwie stojąc w grobie. Wycierpiała zbyt wiele. Może jednak szybki i litościwy cios szabli byłby lepszy od długiej i okrutnej agonii? Pragnienie ugasiła przecież ledwie na chwilę, potem będzie już tylko męczarnia powolnej śmierci... A może zaszlachtowanie jej tutaj, pośród rozpalonego piachu, byłoby nie aktem miłosierdzia, fałszywego i złudnego, a zwyczajnym morderstwem? Powolutku, jakby nie do końca przekonany, wysuwał szablę z pochwy...

Wtem znieruchomiał, bowiem w oddali, w rozedrganym od gorąca powietrzu, na południowej stronie pustyni, coś zaślniło.

W pierwszej chwili pomyślał rozłoszczony, że ma omamy, że to jeden z tych miraży, które prześladują człowieka na pustyni. Osłonił dłonią oczy od oślepiającego słońca i z najwyższym trudem skupił wzrok. Wydawało mu się, że widzi strzeliste wieże, minarety, błyszczące mury... Patrzył na nie bez większej nadziei, czekając, aż widmowy obraz rozplynie się w powietrzu. Natała przestała szlochać. Z wielkim trudem podniosła się i także, przykładając smukłą dłoń do czoła, skierowała swe spojrzenie ku tajemniczemu widokowi.

– Co to jest, Conanie? – zapytała szeptem, nie robiąc sobie większych nadziei. – Miasto? Miraż?

Cymmeryjczyk nie odpowiedział; milcząc, kilkakrotnie zamrugał oczami, odwracał głowę, by ponownie spojrzeć na falujący w oddali obraz, to znowu rozglądał się wokół, jakby czekał, aż pustynny wiatr rozwieje miraż. Ale miasto nie znikało. Było tam, w oddali, coraz bardziej realne.

– Cholera wie! – mruknął. – Tak czy owak, musimy się upewnić.

Wsunął szablę z powrotem do pochwy, pochylił się nad dziewczyną i wziął ją na ręce, jakby była niemowlęciem, a nie dorosłą kobietą.

Natala zaprotestowała.

– Nie marnuj na mnie sił, Conanie! – jęknęła. – Dam radę, mogę iść na własnych nogach.

– Przestań marudzić! Spójrz, ile tu kamieni – burknął gniewnie, wskazując ruchem głowy na jej delikatne, misternie ozdobione sandałki. – Po kilku krokach szlag je trafi, a musimy się spieszyć, żeby tam dojść przed końcem dnia, o ile w ogóle dojdziemy. Niosąc cię rękach będę mógł iść szybciej.

Nagła szansa na ocalenie życia wlała w stalowe mięśnie Cymmeryjczyka nowe siły. Ruszył przez pustynię z takim wigorem, jakby dopiero co wyruszył w drogę. Cywilizowanego człowieka już dawno temu pochłonałby piasek lub rozszarpały sępy, ale Conan był barbarzyńcą z krwi i kości, dzikim, nieokiełznanym drapieżnikiem, który na nowo podjął walkę o przetrwanie.

Z tego, co wiedział, on i dziewczyna byli ostatnimi ocalałymi z pogromu armii Almuryka, tej słynnej, pstrokatej hordy, która w pogoni za pokonanym buntownikiem, księciem Koth, przelała się z mocą i bezwzględnością burzy piaskowej przez ziemie cesarstwa Shem i utopiła w morzu krwi stygijskie pogranicze. Potem jednak żarty się skończyły. Odpowiedź władców Stygii była natychmiastowa i miażdżąca. Niedobitki armii Almuryka w panice przedzierały się przez mroczne i pełne niebezpieczeństw tereny królestwa Kush tylko po to, by wpaść w pułapkę na skraju południowej pustyni. Wyrznięto ich niemal do ostatniego człowieka. Conan, choć o poezji miał miałkie pojęcie, porównywał horde Almuryka do wartkiego strumienia, który płynąc na południe, z każdą pokonaną milą tracił impet i wysychał, aż wsiąkł zupełnie w pustynny piach – tak właśnie topniały szeregi tej zbieraniny najemnych zbirów, włóczędzów, awanturników wszelkiej maści, a ich zbielełe kości można było teraz zbierać od kothyjskich wyżyn, aż po piaski pustyni na południu.

Tu dokonała się rzeź. Połączone armie Stygii i królestwa Kush, niczym wielka szczęka pełna ostrych kłów, zatrzasnęły się na zdziesiątkowanej hordzie Almuryka. Podczas ostatniej bitwy Conan w ostatniej chwili dopadł jakiegoś wielbłąda, dosłownie wrzucił mu na grzbiet dziewczynę i pomknął przed siebie, uchodząc cudem z masakry. Był tylko jeden problem: jedyna

droga ucieczki wiodła na owianą złą sławą pustynię, która, niczym mityczna bestia, pożerała każdego desperata brnącego przez piach.

Natala pochodziła z Brythunii. Conan wypatrzył pewnego dnia dziewczynę na targu niewolników w jednym z podbitych przez Almuryka shemickich miast. Od razu wpadła mu w oko, więc nie zastanawiając się długo, przywłaszczył ją sobie, nikogo nie pytając o zdanie lub pozwolenie. Natala, wbrew pozorom, z takiego obrotu sprawy była nadzwyczaj zadowolona, bowiem nic dobrego nie czekało na hyboryjską niewolnicę w Shemie, co najwyżej jakiś obskurny burdel, w którym traktowanoby ją gorzej niż zajeżdżoną klacz.

Taka kolei rzeczy związała jej los z Conanem, ale też Almurykiem i jego hordą. Po ucieczce wiele dni błądzili po pustkowiu, uciekając przed pogonią stygijskich jeźdźców. Kiedy w końcu wymknęli się pogoni, już tak bardzo zawędrowali w głąb pustyni, że jedyna droga wiodła ich przed siebie. Każdego dnia parli nieustannie naprzód, wypatrując jakiegokolwiek oazy, aż w końcu padł wielbłąd, ich wybawca. Dalej musieli iść pieszo, brnąc przez rozpalony żarem słońca piach, cierpiąc niewysłowione męki. Niezmordowany Conan chronił Natalę najlepiej jak umiał. I choć twarde, obozowe życie zahartowało dziewczynę, czyniąc z niej istotę bardziej wytrzymałą i silniejszą od innych kobiet, to pustynia nieubłaganie wysysała życie ze smukłego ciała. Po wielu dniach pośród piasku pod rozpalonym słońcem Natala po prostu była u kresu sił.

Nieopisany żar lał się z nieba na czarne, zmierzwione włosy Conana. Co chwilę dopadały go fale mdłości i cały czas miał zawroty głowy. Ale szedł dalej, nie poddawał się, zaciskał zęby, brał głęboki wdech i... szedł dalej. Teraz wiedział już na pewno – miasto było realne, a nie utkane niczym zabójcza pajęczyna ze snu i omamów. Zastanawiał się, co ich tam czeka. Nowi wrogowie? Nie miało to jednak znaczenia, bo skoro miasto było realne, to musieli je zamieszkiwać ludzie z krwi i kości, a takich można ukatrupić w walce. Niczego więc Conan nie oczekiwał.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy wreszcie stanęli pod wielką bramą, spowici chłodnym, kojącym cieniem. Conan postawił dziewczynę na ziemię i z widoczną ulgą rozprostował umęczone dźwiganiem muskularne ramiona. Przed nimi wznosiły się na trzydzieści stóp w górę dziwnie połyskujące, zielonkawe mury, wzniesione z materiału przypominającego prędzej kryształ niż kamień. Cymmeryjczyk powiódł uważnym spojrzeniem po blankach, ale nikogo na nich nie dojrzał. Krzyknął zatem, ile miał sił

w płucach, ale odpowiedziała mu cisza. Zniecierpliwiony zaczął walić rękojęcią szabli w bramę, a jedynym widocznym efektem jego łomotania było wzniecone głucho echo. Natalia wystraszona nie na żarty panującą wokoło ciszą drżała skulona, a tymczasem Conan, który już miał dosyć tej ciuciubabki, napał całym ciężarem ciała ze wszystkich sił na wrota, a te, zupełnie niespodziewanie, ustąpiły bez najmniejszego zgrzytu. W jednej chwili odskoczył od nich, sięgnął po szablę i przycajony jak pantera czekał na rozwój wypadków.

Dziewczyna zaś krzyknęła:

– Conanie, spójrz!

Tuż za bramą leżał człowiek. Cymmeryjczyk ostrożnie, badawczo przyglądał się przez dłuższą chwilę ciału, po czym podniósł wzrok. Ujrzał słusznych rozmiarów, przestronny dziedziniec otoczony arkadami i zielonkawo lśniącymi budynkami, najwyraźniej wzniesionymi z tego samego materiału, co mury. Ponad nimi dumnie w niebo strzelały smukłe wieże minaretów i monumentalne kopuły. Nie dostrzegł żadnych oznak życia, ale za to dokładnie pośrodku dziedzińca na pustej przestrzeni stała czworoboczna studnia. Jej widok rozanielił Conana, bo gardło miał wyschnięte na wiór, a język i usta oblepione szorstkim pyłem. Pociągnął Natalę za rękę, wciągnął do środka i zatrzasnął za nimi bramę.

– Żyje? – zapytała trwożliwie, wskazując palcem na bezwładnie leżące na kamieniach ciało.

Mężczyzna był muskularnym, wysokim osobnikiem w kwiecie wieku, o typowej jak na hyboryjską rasę urodzie z wyjątkiem może nieco bardziej żółtego odcienia skóry i ciut bardziej skośnych oczu. Miał na sobie purpurową tunikę z jedwabiu, do boku przypasany krótki miecz w zdobionej złotem pochwie, a na nogach niczym nie wyróżniające się w tej części świata wysoko wiązane sandały. Conan ostrożnie dotknął ciała – było zimne i bez życia.

– Nie widzę żadnej rany – mruknął zdziwiony. – A jednak leży martwy jak Almuryk, gdy stygijscy łucznicy uczynili z niego tarczę strzelecką. Nieważne, koniec śledztwa! Martwy czy nie, musimy się napić. Na Croma! Niech no tylko dopadnę tej studni...

I dopadł. Ale pragnienia nie ugasił. Lustro wody majaczyło dobre pięćdziesiąt stóp poniżej, a żadnej liny, wiadra, dosłownie niczego przydatnego nie mógł w pobliżu wypatrzeć. Wściekł się, siarczyście zaklął

z temperamentem eksplodującego złością demona i bezradnie zaczął się rozglądać, kompletnie nie wiedząc, co zrobić w takim położeniu.

Wtedy rozdzierająco, zdjeta przerażeniem, krzyknęła Natała.

Osobnik, którego przed chwilą Conan uznał ewidentnie za martwego, skoczył ku dziewczynie z furią w oczach i mieczem w dłoni. Tym razem Cymmeryjczyk nie bawił się w ekstrawagancje domysłów, pytań oraz wątpliwości, tylko ryknął wojowniczo, wyszarpnął szablę z pochwy i nim niespodziewanie przywrócony do życia zdążył zrobić cokolwiek, zadał zamaszysty cios. Głowa napastnika wyleciała w górę i opadając szerokim łukiem grzmotnęła o kamienną posadzkę. Bezgłowe ciało tryskając fontanną krwi z szyi, zatoczyło się i, wciąż unosząc miecz, w końcu runęło.

Conan spojrział na truchło, klnąc pod nosem.

– Jesteś wreszcie martwy, czy nie? – warknął. – I co to za cholerne miasto?

Natała zaszokowana ostatnimi wydarzeniami, ukryła twarz w dłoniach, drżąc jak osika. Po chwili zerknęła pełna strachu przez palce i zajęczała z przerażenia.

– Oni nas teraz zabiją Conanie! Prawda? Z powodu tego, co zrobiłeś!

– A co zrobiłem? Ja mu tylko odrąbałem głowę w obronie własnej. Miałem łaskawie poczekać, aż mnie wybebeszy i także ciebie przy okazji? – mówiąc to, uważnie rozejrzał się po dziedzińcu. Pod ciemnymi arkadami, w oknach, gdziekolwiek, nie dostrzegł żadnego ruchu, ani jednej oznaki życia.

– Ni żywego ducha – mruknął zadowolony i uspokojony. – Trzeba gdzieś ukryć tego truposza.

Bez cienia emocji chwycił bezgłowy tors za pas jedną ręką, drugą pochwyił odrąbaną głowę za długie, czarne włosy i tak, na poły wlokąc, na poły niosąc rozczłonkowane ciało, skierował się w stronę studni.

– Skoro ja nie mogę się napić tej wody – zagrzmiął głos pełen szyderstwa – to i niech inni obejdą się smakiem. Zresztą, na cholerę komu taka studnia.

I bez zbędnej zwłoki wrzucił ciało do otworu, ciskając następnie tam i głowę. Po chwili usłyszał odległy, głuchy plusk.

– Ale krew, Conanie? Na kamieniach jest krew! – szepnęła strwożona dziewczyna.

– Za chwilę będzie tu całe pieprzone morze krwi, jeśli zaraz nie znajdę wody! – warknął wściekły. Nigdy nie grzeszył nadmierną cierpliwością,

a już w szczególności, gdy był spragniony i głodny. Natała ze strachu zapomniała o całym bożym świecie, ale nie Conan.

– Idziemy tam, o, do tego pałacu – zakomenderował. – Do stu sflaczałych demonów, tam przecież muszą być jacyś żywi ludzie!

– Conanie – Natała objęła go mocno, szlochając i drżąc na całym ciele. – Boję się! Naprawdę się boję! To miasto duchów i umarłych! Wracajmy na pustynię! Już lepiej zginąć z pragnienia i od słońca, niż dać się zabić jakimś demonem.

– Pewnie wrócimy na pustynię, jak sobie życzysz – warknął gniewnie – ale nie wcześniej, niż nas wykopią głowami w dół z tych murów. Muszę znaleźć wodę, choćbym miał urznąć łby wszystkim tutejszym mieszkańcom!

– A co się stanie, jak powrócą z martwych, jak tamten przy bramie? – głos jej drżał z przerażenia.

– To będę sukinsynów zabijał do skutku! – chełpliwie rozwiął wątpliwości dziewczyny. – Chodź! Wchodzimy przez te drzwi, wydają się równie dobre, jak każde inne. Stań za mną, trzymaj się mnie i pod żadnym pozorem nie uciekaj w panice. No, chyba że tak powiem.

Dziewczyna szepnęła coś niezrozumiale pod nosem i śmiertelnie wystraszona ruszyła tuż za nim. Musiała potraktować słowa swego obrońcy bardzo dosłownie, bowiem szła tak blisko niego, że niemal czuł jej oddech na plecach, a co gorsza, i co doprowadzało go do szewskiej pasji, swoimi delikatnymi sandałkami deptała mu po piętach.

Zapał już zmierzch, obdarowując tajemnicze miasto purpurowymi cieniami. Przeszli ostrożnie przez łukowate drzwi i znaleźli się w wielkiej komnacie bogato wyłożonej najróżniejszymi tkaninami i gobelinami o fantasmagorycznych wzorach; sufit obwiedziony był misternie rzeźbionym, złotym fryzem, a ściany, podłogę i sklepienie wzniesiono z tego samego, połyskującego zielenią kamienia, co mury miasta. Dopełnienie dekoracji stanowiły porzrzucone niedbale wielkie aksamitne poduchy i skóry tajemniczych zwierząt. Liczne łukowate drzwi prowadziły do innych, dalej położonych pomieszczeń. Przemierzyli kilka, podobnych do siebie jak dwie krople wody. I w żadnej nie było żywego ducha, co mocno zaniepokoiło Conana. W jednej z nich Cymmeryjczyk przystanął na chwilę i uważnie rozejrzał się wokół.

– Niedawno ktoś tu był. Sofa jest jeszcze ciepła, a na tej poduszce ktoś siedział – mruczał pod nosem. Wciągnął głośno powietrze nosem,

wyostrzając swój legendarny zmysł powonienia. – W powietrzu wciąż unosi się słodka woń perfum, zatem ktoś tędy przechodził.

Wszystko wokół było jakieś nierzeczywiste, a wędrówka przez łudząco podobne do siebie komnaty przypominała spacer jak z narkotycznego snu. Zdarzały się sale pogrążone w zupełnych ciemnościach – te omijali szerokim łukiem, inne z kolei tonęły w lepkiej, mdłej poświacie zrodzonej przez wielkie, osadzone głęboko w ścianach klejnoty. Gdy zwiedzali kolejną salę, Natalia nagle, bez ostrzeżenia, wrzasnęła rozzwierając, kurczowo chwytając za ramię Conana. Odwrócił się błyskawicznie, wypatrując zagrożenia, ale wokół panowała cisza i spokój.

– Do kurwy i nędzy, co znowu!? – warknął rozwścieczony. – Jeszcze raz mnie obłapisz za rękę, w której trzymam szablę, to oskóruję cię na żywca, jak zająca! Chcesz żebym sam sobie przez przypadek poderznął gardło? Czego się wydarłaś?

– Spójrz tam! – dziewczyna wskazała na coś drżącą ze strachu ręką.

Conan zbaraniał, potem głośno przełknął ślinę, bo stojący wprost przed nimi hebanowy stół ugiął się od jada i napojów. A w komnacie nikogo nie było.

– Ktokolwiek przygotował sobie to jedzonko – westchnął niemal rozczulająco – poucz tuje innym razem.

– Przecież tego nie tkniemy – jęknęła zdenerwowana dziewczyna – bo ktoś może nadejść i nas zaskoczyć...

– *Lir an mannanan mac lira!* – wybuchnął Cymmeryjczyk gniewem, rzucając przekleństwem, którego nie powstydziłby się pan wszelkich ciemności. Nie certoląc się wcale obłapił Natalę brutalnie za kark i pchnął ją na pozłacane krzesło stojące u szczytu stołu. – Zaraz się porzygamy z głodu, a ty masz jeszcze jakieś wątpliwości? Baby, krwa mać! Siadaj i jedz!

Sam nie potrzebował zachęty. Rozsiadł się wygodnie na krześle na drugim końcu stołu, chwycił wielki jodeitowy puchar i opróżnił zawartość jednym haustem. Trunek miał egzotyczny, nieznanym mu smak, szkarłatnopurpurowy kolor, przypominał nieco czerwone wino, ale konsystencją bardziej gęste i mocne nektary. W każdym razie dla jego wyschniętego gardła był niczym lecząca wszelkie dolegliwości ambrozja. Ugasiwszy pierwsze pragnienie ochoczo zabrał się za jedzenie. Jego wilczy apetyt siał prawdziwe spustoszenie wśród nieznanym mu owoców o przedziwnych kształtach, parujących, soczystych mięsach z tajemniczych

zwierząt, nawet słodkich, ociekających miodem ciast. Cała zastawa była istnym popisem rzemieślniczych umiejętności: delikatna, finezyjna, nieprawdopodobnie bogato zdobiona. Sztuście wykonano ze szczerego złota, ale to akurat Conana obchodziło najmniej, bo pożerał wszystko wokół siebie gołymi rękami, rwąc silnymi śnieżnobiałymi zębami wielkie kawały jadła, zresztą nigdy nie należał do orędowników wysublimowanej stołowej etykiety. Natała, jako ta bardziej cywilizowana, używała widelca i noża, jadła nieco wolniej, dostojniej, ale nie mniej łapczywie. W pewnej chwili Conana pochłoniętego pożeraniem wielkiego udźca, wyglądającego na barani, naszła myśl, że może całe to jedło jest zatrute. Wzruszył tylko ramionami, bo uznał, że z dwojga złego lepiej zginąć od trucizny, ale z pełnym brzuchem, niż z głodu gdzieś pośrodku pustyni.

Gdy w końcu najadł się do syta, rozsiadł się wygodnie, potężnie beknął i zaczął rozmyślać. Świeże i znakomicie przygotowane jedzenie dobitnie świadczyło, że w mieście muszą być żywi ludzie. Może nawet czaili się w każdym ciemnym kącie. Miał to jednak gdzieś, ufał swoim szermierczym umiejętnościom i niezwykłemu refleksowi. Poczł senność i tęsknym wzrokiem powiódł po stojącej opodal słusznych rozmiarów miękkiej sofie, rozważając, czy nie uciąć sobie małej drzemki.

Inaczej na te sprawy zapatrywała się Natała. Zaspokoiwszy głód i pragnienie ani myślała o drzemce, a jej obawy wcale nie były mniejsze. Pięknymi, wielkimi oczami wpatrywała się z napięciem w zionące ciemnością łukowato sklepione drzwi, wiodące ku nieznanemu, nienazwanemu mrokowi, przerażającemu tym bardziej, że pogrążonemu w demonicznej i lepkiej od strachu ciszy. Nagle komnata zdała się większa, stół dłuższy niż powinien, a ona sama siedziała zdecydowanie zbyt daleko od swego muskularnego olbrzyma niż by tego sobie życzyła. Poderwała się na równe nogi, szybko obiegła stół, podbiegła do ponurego obrońcy i jak mała dziewczynka usiadła mu na kolanie, strwożonym spojrzeniem wodząc po komnacie i innych salach. Niektóre tonęły w miękkiej, przytulnej poświacie, a były i takie pogrążone w kompletnych ciemnościach. W te wpatrywała się z rosnących niepokojem.

– Najedliśmy się do syta, ugasiliśmy pragnienie, odpoczęliśmy – rzekła do Conana błagalnym głosem. – Chodźmy więc stąd. Czuję tu zło!

– Nie wywołuj wilka z lasu, dziewczyno! Jak do tej pory jeszcze żyjemy i nikt... – zaczął, gdy wtem coś, gdzieś wyraźnie zaszurało. Zareagował błyskawicznie, niczym atakująca pantera, podrywając się na równe nogi.

Natala, najwyraźniej przyzwyczajona do takich zdarzeń, zdołała w ostatniej chwili zeskoczyć z jego kolan. Nim człowiek zdążyłby mrugnąć okiem, Conan już stał z dobytą szablą, skupiony, gotowy na wszystko, wpatrujący się w ciemną komnatę, z której, jak mu się zdawało, dobiegł złowróżbny dźwięk. Ale w ciemnościach zapanowała głucha cisza. Nie było na co czekać. Cymmeryjczyk, bezgłośnie, jak wielki tygrys, który owinął sobie łapy wielkimi poduchami, z wysuniętą głową wtuloną między gigantyczne ramiona, zaczął skradać się w kierunku drzwi. Natala szła tuż za nim, odkrywając nagle, że serce podchodzi jej do gardła. Skulona i drżąca wiedziała tylko jedno – niezawodny, pierwotny instynkt jej towarzysza ostrzegwał o niebezpieczeństwie, a ten nigdy się nie mylił.

Po chwili, która dziewczynie zdawała się wiecznością, stanęli na progu zionącej atramentową czernią komnaty. Conan znieruchomiał jak lew przed atakiem na antylopę, Natala zaś, zdjeta strachem, powoli wysuwając śliczną główkę, spoglądała zza jego wielkiego ramienia. Pomieszczenie tonęło w mroku, ale wpadające z komnaty z suto zastawionym stołem światło ledwie bo ledwie, ale jednak, rozpraszało nieco ciemności, ukazując przedziwną scenę. Dokładnie pośrodku, na piedestale podobnym do sarkofagu, leżał na plecach osobnik do złudzenia przypominający tego, któremu nie tak dawno Conan urznął głowę. Ten jednak był odziany z o wiele większym przepychem, jakby ktoś próbował w jego szaty wszyć jak największą ilość drogocennych kamieni. Stojąca w progu para nie wiedziała, czy osobnik ów śpi, czy jednak jest naprawdę martwy. Znów, gdzieś spośród półmroku ich uszu dobiegł dźwięk tego dziwnego szurania, przypominający szelest rozsuwania zasłony. Conan natychmiast odskoczył, pociągając za sobą Natalę, jednocześnie zasłaniając jej usta wielką dłonią, bo dziewczyna już zamierzała krzyknąć z przerażenia.

Z miejsca, gdzie teraz stali, nie widzieli już podwyższenia ze spoczywającym na nim ciałem, ale za to na ścianie dobrze rysował się jego cień. I wtedy to zobaczyli – drugi, bezkształtny, olbrzymi cień, powoli sunący po ścianie, tak czarny, tak straszny, że nawet Conan, chociaż niewiele rzeczy się bał, stanął zdjęty grozą, bo istota, która go rzucała na pewno nie była ani człowiekiem, ani zwierzęciem. Strach strachem, ale ciekawość rozpałała wyobraźnię Cymmeryjczyka, bo jeszcze nigdy nie widział takiego cienia. Jedynie instynkt kazał mu stać w miejscu. Natala oddychała gwałtownie, będąc jednym wielkim chodzącym przerażaniem, i ten oddech był jedyną rzeczą, którą było słychać w spowijającej

pomieszczenie gęstym kobiercem ciszy. Potworny cień w tym czasie ogarnął już leżącego na podeście nieszczęśnika, piętrząc się na ścianie pierwotną jak otchłanie kosmosu czernią. Po chwili spelzł leniwie, niespiesznie. I zniknął. Piedestał był pusty.

Natala bliska była wybuchu hysterii. Conan zareagował błyskawicznie, niedelikatnie, ale skutecznie – po prostu potrząsnął dziewczyną, przywołując ją do rzeczywistości. Musiał jednak przyznać, że i on sam czuł lodowate pazury strachu szarpiące mu żyły. Ludzi i zwierząt, nawet największych bestii się nie bał, takim uformowało go cymmeryjskie życie, ale to, co zobaczył, na pewno nie pochodziło z tego świata.

Ciekawość jednak w końcu wzięła górę, bestia czy demon, Conan chciał sprawdzić, z czym miał do czynienia. Wkroczył do komnaty ostrożnie, uważny, skupiony, przygotowany w każdej chwili na wszystko, jednak wewnątrz ziało pustką. Piedestał stał tam, gdzie wcześniej, ale pusty, a w obicie z delikatnego atłasu wsiąkała jedna jedyna kropla krwi, mieniąc się czystą purpurą, niczym wielka zakrwawiona perła. Na jej widok Natala nie wytrzymała i krzyknęła z trwogi, Cymmeryjczyk zaś nie zareagował, nie drgnął nawet, bo i on odczuwał oblepiającą to miejsce grozę w czystej postaci. Na piedestale leżał człowiek, potem nadciągnęło coś koszmarnego, potwornego i niewytłumaczalnego i porwało ze sobą nieszczęśnika w zdobnych szatach... Nie miał pojęcia, co, lub kto, to zrobił, wiedział jednak, że w pałacu czaiła się tajemnicza groźba, która prawdopodobnie nie pochodziła z tego świata.

Conan postanowił opuścić to przerażające miejsce. Ujął Natalę za rękę, odwrócił się i nagle zamarł. Od strony komnaty, z której przyszli, dochodziły wyraźne odgłosy kroków. Ktoś, boso lub w bardzo miękkich pantofelkach, szedł w ich stronę. Cymmeryjczyk czujny jak wilk natychmiast odskoczył w bok, ciągnąc za sobą dziewczynę, mając w duchu nadzieję, że uda im się wydostać na dziedziniec przez inne sale, unikając w ten sposób spotkania z tym kimś, kto nadchodził. Plan Conana wziął jednak w łeb w pierwszej komnacie, przez którą przechodzili, bo niespodziewanie, za ich plecami zaszeleściła odsuwana jedwabna kotara. Odwrócili się gwałtownie spoglądając wprost na stojącego przed nimi wysokiego mężczyznę.

Wyglądał niemal identycznie jak trup przy bramie i porwanym przez tajemniczy cień nieszczęśnik. Był tak samo muskularny, odziany w krwistoczerwoną tunikę przepasaną szerokim, bogato zdobionym pasem.

W jego oczach o kolorze bursztynu nie czaiła się ani wrogość, ani ciekawość, ani w ogóle cokolwiek; spowijała je dziwna, narkotyczna senność, charakterystyczna dla miłośników spożywania kwiatów czarnego lotosu. W przeciwieństwie do towarzysza, którego Conan w kawałkach cisnął do studni, ten stał spokojnie, jakby zapomniał o noszonym mieczu. W pomieszczeniu zapanowała cisza jak makiem zasiał. Po dłuższej chwili nieznajomy przemówił do nich gardłowymi, suchym głosem w nieznanym języku.

Conan, znający przecież kilka języków, w pierwszym odruchu odpowiedział po stygijsku. Trafił bezbłędnie, bo nieznajomy przemówił ponownie.

– Kim jesteście?

– Jestem Conan z Cymmerii – odpowiedział barbarzyńca. – A dziewczyna ma na imię Natała i pochodzi z Brythunii. Jak nazywa się to miasto?

Nieznajomy milczał jak zakłęty i dopiero gdy jego senne, narkotyczne spojrzenie spoczęło na Natali, przemówił ponownie, natchnionym, egzaltowanym głosem.

– Och, ty, ze wszystkich moich wizji najwspanialsza, dziewczyno doskonała o złotych włosach, ostojo piękna, urody i czaru, rozpal me serce płomieniem prawdy i powiedz, z jakich rozpalonych pożądaniem krain przybywasz? Z Andarry, czy z Tothry? A może z Kuth usianego srebrnymi gwiazdami miłości?

– Co tu się, kurwa mać, dzieje!?! – zdenerwował się Conan, najwyraźniej niezbyt ceniąc oratorski popis nieznajomego.

Ten jednak nawet nie mrugnął, jakby stojący przed nim wielki, wkurzony, muskularny barbarzyńca był powietrzem i niczym więcej.

– Śniłem już o pięknościach większej urody i bardziej powabnych ciałach – jego egzaltacja rosła z każdą chwilą. – O dziewicach czystych z włosami czarnymi niczym krucze skrzydła, o oczach skąpanych w wodospadach tajemnic. Ale jest twa alabastrowa skóra biała, niczym marmur lśniący w promieniach słońca, niczym mleko matki, słodkie od miłości, a oczy twe przejrzyste i rześkie jak chłód letniego poranka poprzedzający piekący skwar dnia na pustyni! Twe ciało to ponętny kielich nektaru z najśłodszych kwiatów! Pójdź w me ramiona, wejdźmy do łoża, zatoimy w oceanie rozkoszy i namiętności, o najpiękniejsza dziewczyno z mych snów!

I nieznajomy lekkim, bezszelestnym krokiem podszedł do Natalii, wyciągając rękę w jej kierunku. Conan miał już dość tej poetyckiej gadki, grzmotnął więc swą wielką pięścią rozpalonego pożądaniem natręta z siłą, która mogłaby połamać kości. Wyciągnięte ramię opadło, mężczyzna zachwiał się, a w jego pociemniałych nagle oczach zagościło bezgranicznie zdumienie.

– A cóż to za niegodziwość! – krzyknął. – Zjawa ma czelność podnosić na mnie rękę!? Zniknij, przepadnij koszarze! Barbarzyński wypierdku, rozkazuję ci, rozplyń się w nicości!

– Ja ci, kurwa, zaraz zniknę! – wrzasnął wściekły Conan, sięgając ku rękojeści szabli przytroczonej do pasa. – Łeb ci odetnę, flaki wypruję, i naszczam do szyi! Tak witacie gości w swoim mieście? Na Croma, zaraz ta kotara skąpie się w twojej krwi!

Senność w oczach nieznajomego ustąpiła natychmiast. Oprzytomniał w jednej chwili.

– Na Thoga! – wykrzyknął. – Jesteście prawdziwi, realni! Naprawdę żywi! Kim wy jesteście? Skąd przybywacie? Co robicie w Xuthal?

– Przybyliśmy prosto z pustyni – ponuro wyjaśnił Conan, łypiąc na mężczyznę spod oka. – Ledwie żywi stanęliśmy pod bramą o zachodzie słońca. Łaziliśmy po tym mieście, aż w końcu trafiliśmy na biesiadny, suto zastawiony stół. Nie będę wciskał ci ciemnoty, ogołociliśmy go z jadła i napojów. Wiem, że nie mamy czym zapłacić, ale w moim kraju, mimo że dla was barbarzyńskim, głodnemu i spragnionemu poczęstunku się nie odmawia. Je i pije, ile chce. Za darmo. Wam jednak, cywilizowanym ludziom, za coś takiego trzeba zapłacić, a przynajmniej taki jest obyczaj w krajach, w których bywałem. Nikomu nie wyrządziliśmy krzywdy. Najedliśmy się, odpoczęliśmy, dlatego teraz najchętniej wrócimy na pustynię, bo jakoś niespecjalnie mi się widzi przebywanie w mieście, gdzie trupy biegają z mieczami, a śpiących smacznie pożera jakiś pieprzony cień!

Ostatnie słowa Conana wywarły na nieznajomym iście piorunujące wrażenie, w okamgnieniu jego twarz pobladła.

– Coś ty powiedział? Cień pożerający smacznie śpiących?

– Cholera jedna wie, co to było: cień, czy nie cień – odrzekł wymijająco, ciągle czujny Cymmeryjczyk. – W każdym razie coś, co przychodzi, porywa ludzi, zostawiając tylko jedną kroplę krwi.

– Widziałeś... to? Mów, co widzieliście! – łamiącym się głosem prosił nieznajomy, a trząsał się jak osika.

– Widziałem tylko leżącego na jakimś podwyższeniu mężczyznę – zaczął spokojnie Conan. – Leżał sobie, a potem przypląnął jakiś cień i go chyba... pożarł.

Nie takiej reakcji na swoje słowa oczekiwał Cymmeryjczyk. Nieznajomy wrzasnął jak opętany i rzucił się do panicznej ucieczki. Nie wyrobił się na najbliższym zakręcie i potężnie wyrznął o ścianę, aż huknęło. Zachwiał się, zatoczył, ale nie upadł. Jak tylko odzyskał równowagę, pomknął przez amfiladę komnat, ciągle przeraźliwie wrzeszcząc. Conan zbaraniał, a zupełnie zszokowana dziewczyna wczepiła się kurczowo w jego ramię. Mężczyzna już dawno zniknął im z oczu, ale wciąż słyszeli ten jego niosący się echem krzyk, który nagle przerodził się w nieludzki skowyt. I wokół zapadła martwa cisza.

– Na Croma! – wysapał barbarzyńca, ocierając ręką pot z czoła. – To miasto to jeden wielki dom wariatów! Wynośmy się stąd, zanim napotkamy kolejnego szaleńca!

– To jakiś koszmar! – zaczęła szlochać dziewczyna zawodząc coraz głośniej. – Jesteśmy martwi! Przekłęci! Zginęliśmy tam, na pustyni i trafiliśmy do piekła! Jesteśmy duchami! Upiorami! Słyszysz, mnie Conanie!? Przeklętymi zjawami.

Cymmeryjczyk zastosował szybką terapię szokową i mocno pacnął dziewczynę po tyłku. Odniósł pełen sukces, bo Natalia krzyknęła jeszcze głośniej, ale teraz najwyraźniej z bólu.

– Skoro się tak wydzierasz, to nie jesteś martwa – zachichotał Conan, słynący przecież z ponurego poczucia humoru. – Ale możesz być martwa w każdej chwili, jeśli szybko stąd nie uciekniemy! Idziemy!

Ruszyli z kopyta, tylko po to, by w następnej sali znowu stanąć jak skamieniali. Po raz kolejny ktoś nadchodził. A może to było coś... Ledwie zauważalnie drgnęły nozdrza Conana, wciągnął powietrze nosem, zmarszczył czoło, jakby próbował sobie o czymś przypomnieć. Przyczajony i gotowy do ataku nagle sobie uświadomił, że wyczuwa wokół tę samą delikatną woń perfum, co w pierwszej komnacie, którą odwiedzili. Pod jednym z łuków arkad zamajaczyła nagle jakaś postać. Na jej widok Conan zwyczajnie zbaraniał, a Natalia ze zdumienia aż szeroko otworzyła usta.

Oto stanęła przed nimi nie kobieta, a bogini, chodząca kwintesencja piękna, powabu i erotyzmu. Patrzyła na nich zdumiona czarnymi, tonącymi w cieniu długich rzęs, zmysłowymi oczami, skrywającymi nieodgadnioną tajemnicę. Nosiła na sobie jedynie wąską przepaskę na biodrach bogato

inkrystowaną wielkimi klejnotami. Kaskada kruczoczarnych długich włosów podkreślała biel alabastrowego ciała. Była tak piękna, że pod Conanem ugięły się nogi. Widział w życiu wiele kobiet, z wieloma sypiał, do niektórych nawet wzdychał, ale gdzieś im było się równać z tą stojącą przed nim doskonałością! Nieznajoma przypominała stygijskie kobiety, ale tamte posiadały znacznie ciemniejszy odcień skóry.

Przemówiła do niego po stygijsku, z nieskazitelnym akcentem, melodyjnym, głębokim głosem.

– Kim ty jesteś? A może... czym jesteś? Co robisz w Xuthal? I kim jest ta dziewczyna?

– Hola, hola, a ty kim jesteś? – burknął szorstko Conan, który bardzo nie lubił, jak mu zadawano naraz za wiele pytań.

– Mam na imię Thalís – odpowiedziała. – Pochodzę ze Stygii. A ty musisz być chyba szalony, że przybyłeś tu z własnej woli.

– Może i jestem – warknął rozłoszczony. – Na Croma, coś nie czuję się w tym miejscu nadto komfortowo, bo na drodze spotykam albo truposzy, albo wariatów. Przybywamy tu prosto z pustyni, ledwie żywi, spragnieni, głodni, wykończeni. W bramie leży jakiś trup, który, gdy się do niego odwracam plecami, nagle ożywa, wrzeszczy jakieś głupoty i wali do mnie z mieczem. Potem wchodzimy do tego pałacu. Pusto w nim, ni żywego ducha, ale naraz znajdujemy stół, uginający się od wszelkiego jadła i napitku. A nie mija nawet chwila, jak widzimy śpiącego mężczyznę, leżącego na podeście jakimś, którego w najlepsze pożera jakiś cień, czy inna cholera...

Conan zawiesił głos, bo wpatrywał się w nieznajomą, ciekaw jej reakcji na zasłyszana opowieść. I dostrzegł, że dziewczyna na wzmiankę o cieniu zbladła, o ile było to w ogóle możliwe u kogoś z tak alabastrową skórą.

– No i czekam... – podjął swoją opowieść dalej.

– Na co czekasz? – zapytała spokojnie, najwidoczniej opanowując swój strach.

– Czekam, kiedy na wzmiankę o cieniu, rzucisz się do panicznej ucieczki, wyrznisz głową o ścianę, a potem pobiegiesz dalej wrzeszcząc jakby ktoś ci podpalił włosy. Mężczyzna, któremu opowiedziałem o cieniu, tak właśnie zrobił.

– Ach, zatem to jego krzyk słyszałam! – Stygijka wzruszyła beznamiętnie smukłymi ramionami. – Zapomnijcie o tym idiocie, przecież wiedział, że człowiek nie może uciec od przeznaczonego mu losu. Po co wtedy pisać

jak szczur w pułapce? Gdy wypełni się twój czas, Thog po ciebie przyjdzie, nieważne gdzie.

– Kim jest ten... Thog? – zapytał podejrzliwie Conan.

Thalis obrzuciła Cymmeryjczyka spojrzeniem tak badawczym, tak lubieżnym i bezwstydnym, że aż na policzkach Natali wykwitły wielkie rumieńce i dziewczyna zagryzała ze złości dolną wargę.

– Usiądźmy wygodnie na tej sofie – zaproponowała Stygijka z iście królewską kurtuazją – a opowiem ci wszystko. Proszę jednak, byście najpierw powiedzieli, jak się nazywacie.

– Ja jestem Conan z Cymmerii – odparł barbarzyńca – a to jest Natała, urodzona w Brythunii. Jesteśmy ostatnimi ocalałymi z armii Almuryka wyrżniętej do nogi na granicy Kush. Nie mam zamiaru sadzać zadka na sofie, skoro może mnie w każdym momencie napastować jakiś cień czy inna zmora.

Thalis roześmiała się szczerze i dźwięcznie, sadowiac się wygodnie w lubieżnej pozie tuż przed nosem Cymmeryjczyka.

– Nie martwcie się – rzekła z ledwie udawanym spokojem w głosie. – Przed Thogiem nie ma ucieczki. Samo próbowanie to daremny trud. Ten mężczyzna, o którym wspominałeś... Uciekał przed własnym przeznaczeniem, wydierał się i co? Wpadł w łapy Thoga, bo to mu było pisane.

Conan mruknął coś niezrozumiale pod nosem i przysiadł wreszcie na brzegu sofy, ale szablę trzymał w pogotowiu na kolanach, cały czas czujnie rozglądając się po komnacie. Tuż obok niego, podkuliwszy nogi, przycupnęła Natała. Zerknęła na Thalis z rosnącą z każdą chwilą zazdrością i niechęcią. Czuła się przy niej małą, brzydką, nic nie wartą i nic nie znaczącą żalostną istotą. Jej uwagi nie uszły też coraz bardziej pożądlive spojrzenia Stygijki, która z niemalże zwierzęcą pożądlivością przypatrywała się umięśnionemu ciału Cymmeryjczyka.

– Co to za miasto? – zapytał Conan. – Kim są ludzie je zamieszkujący? I co tu w ogóle się wyrabia?

– To miasto to Xuthal i jest bardzo, bardzo stare. Wzniesiono je w miejscu oazy, którą znalazł pośród piasków pustyni podróżujący tędy starożytny lud. Wiem, że przybyli ze wschodu, ale kiedy, tego nie pamięta nikt.

– Nikt? A więc jednak w tym pałacu mieszkają ludzie? Wielu ich?

– Niewielu, ale więcej, niż mógłbyś przypuszczać. Xuthal z zewnątrz wygląda jak miasto, ale tak po prawdzie to jeden wielki pałac, bowiem w obrębie murów wszystkie budynki są ze sobą połączone tysiącami różnych przejść. Moglibyście tu wędrować całymi dniami, tygodniami wręcz i nie spotkać żywej duszy. W dawnych czasach w tych komnatach aż roiło się od mieszkańców.

– Jak to możliwe? – zaniepokoił się Conan, bo od opowieści Thalís coraz bardziej zalatywało magią i czarami, których Cymmeryjczyk nie rozumiał i się obawiał.

– Mieszkańcy miasta większość życia spędzają pogrążeni we śnie, a sen ten jest ich rzeczywistością, ich realnością, dla nich rzeczą namacalną. Słyszałeś kiedyś o czarnym lotosie? Rośnie w tutejszych katakumbach i pieczarach pod miastem. Źle przyrządzony wywar z jego kwiatów powoduje natychmiastową śmierć, ale mieszkańcy Xuthal przez wieki doskonalili zarówno obróbkę jak i hodowlę. W końcu uzyskali odmianę, której wywar z kwiatów ma właściwości halucynogenne i narkotyczne. To on wywołuje fantastyczne, cudowne sny. I dlatego mieszkańcy większą część swojego życia spędzają we śnie. Czasem się budzą, coś zjedzą, pobaraszkują w łóżku i na powrót wracają do tych swoich wysnionych krain i wysnionego życia. Rzadko kończą to, co zaczęli. Zapewne trafiliście w jednej z komnat na przerwana ucztę.

– Skąd oni biorą jedzenie? – przerwał jej zaciekawiony Conan. – Wokół miasta nie ma przecież pól uprawnych, sadów, winnic... Nie widziałem ani krowy, ani prosiaka...

Thalís uśmiechnęła się tajemniczo.

– Conanie, ci ludzie to mędrzy, a raczej ich przodkowie byli mędrkami. Przygotowują żywność z pierwszych, elementarnych budulców wszechświata. Oni są wspaniałymi naukowcami, oczywiście pod warunkiem, że akurat nie śpią. Ich przodkowie byli prawdziwymi gigantami intelektu, z niczego wznieśli to miasto pośrodku pustyni. Co prawda ich następcy wpadli w szpony lotosowego nałogu, ale mimo to przechowują część tamtej starożytnej wiedzy. Zapewne zauważyliście świecące klejnoty rozmieszczone w ścianach. Wiecie, że wystarczy potrzeć je, by zaczęły świecić, a gdy potrzecie je w przeciwnym kierunku, to świecić przestaną? Wierzcie mi, to zaledwie kropla starożytnej wiedzy wydobyta z oceanu zapomnienia. Zresztą, po co im wiedza i mądrość, skoro cały prawie czas śpią i śnią.

– Zatem ten mężczyzna przy bramie nie był martwy, tylko... – podjął niepewnie wątek Conan.

– ...tylko spał – dokończyła za niego Thalís i mówiła dalej. – Ludzie pogrążeni w lotosowym śnie wyglądają jak martwi. Ciała mają zimne i nieruchome, ale za to ich dusze śmiało przemierzają odległe, egzotyczne krainy. Ten przy bramie był wartownikiem, a raczej skrajnie nieodpowiedzialnym bęcwałem, bo miał pilnować miasta, tymczasem, oczywiście, odurzył się narkotykiem. Jak dla mnie trzymanie straży u bram to dziwactwo, bo jeszcze się nie zdarzyło, by ktokolwiek tu trafił prosto z pustyni. W innych częściach pałacu na pewno znajdziecie kolejnych śpiących strażników.

Conan przez jakiś czas w milczeniu rozmyślał nad usłyszaną opowieścią, aż w końcu zapytał:

– Gdzie są te setki ludzi, o których mówiłaś?

– Śpią, rozproszeni po całym mieście. Śpią na sofach, kanapach, otomanach, na miękkich ałasowych poduszkach, na skórach dzikich zwierząt, niektórzy nawet na piedestałach i ołtarzach otuleni szczelnym welonem snu.

Conan wzdygnął się, gdy oczami wyobraźni zobaczył setki ludzkich twarzy, zimnych i martwych, wpatrujących się ślepo szklistymi oczami w zdobne złotem i klejnotami sufity komnat skąpanych w ciszy i mroku.

Nagle przypomniał sobie o jeszcze jednym.

– A co porwało mężczyznę z piedestału? – zapytał niby niewinnie, uważnie przypatrując się Thalís.

Stygijka w jednej chwili stężała, a na jej pięknym obliczu zagościła groza.

– To był Thog, starożytne bóstwo, a raczej demon, zamieszkujący spowite wieczną ciemnością katakumby. Był tu, odkąd pamiętam, a wielu twierdziło, że przebywał tu pod ziemią wiele lat przed przybyciem założycieli miasta. Jakby nie było, mieszkańcy oddają mu boską cześć. Po prawdzie większość czasu śpi gdzieś w katakumbach, ale gdy zgłodnieje, wychodzi na powierzchnię, by żerować jak głodna hiena. Wówczas biada każdemu, kogo spotka na swojej drodze!

Natala jęknęła z przerażenia i objęła Conana za szyję z taką siłą, jakby już teraz stawiała zaciekły opór przed jakąkolwiek próbą oderwania jej od olbrzymiego Cymmeryjczyka.

– Na Croma! – zaklął osłupiały Conan. – Czy ty próbujesz mi powiedzieć kobieto, że ci ludzi leżą bezradnie jak otępiałe barany, gdy ten cholerny demon ich pożera?

– On tylko czasem jest głodny – wzruszyła beznamiętnie ramionami. – Pamiętaj, że każdemu bogu należą się ofiary. Gdy byłam jeszcze dzieckiem i mieszkałam w Stygii, to kapłani decydowali kto i kiedy pójdzie pod ofiarny nóż. Nie znałeś ani dnia, ani godziny. Przecież to wszystko jedno, czy to kapłan spuści z ciebie krew jak z wieprzka ku czci jakiegoś boga, czy sam bóg osobiście przyjdzie i zrobi to samo.

– Do diabła z taką cywilizacją! – warknął rozzłoszczony Conan. – My, Cymmeryjczycy, a z tego co wiem i Hyboryjczycy, z których wywodzi się Natała, nie składają bogom ofiar z ludzi. A jeśli już jesteśmy przy moim ludzie... Chciałbym zobaczyć kapłana, któremu błysnęłaby kretyńska myśl o złożeniu jakiegoś Cymmeryjczyka w ofierze. Oj, polałaby się krew i to wartkim strumieniem, ale z urzniętego łba kapłana!

– Jesteś barbarzyńcą – roześmiała się z błyskiem w oczach Thalís – i to prawdziwym! Thog to bóg stary, mściwy i żarłoczny. I bardzo potężny. Nigdy o tym nie zapominaj!

– Mieszkańcy Xuthal są albo bardzo głupi, albo bardzo odważni – mruknął pod nosem Conan. – Jak można tak po prostu leżeć i śnić jakieś wariactwa, wiedząc, że prawdopodobnie wcześniej czy później obudzisz się w brzuchu tego Thoga?

– Takie już ich przeznaczenie – uśmiechnęła się znowu Stygijka. – Od niepamiętnych czasów Thog się nimi żywił. Dawniej ich liczba sięgała tysięcy, teraz pozostało może kilka setek. Jeszcze kilka pokoleń i wszyscy zostaną pożarci, a biedny Thog będzie musiał albo zmienić dietę, albo powrócić do otchłani, z której tu wypelzł. Oni doskonale zdają sobie sprawę z czekającego ich losu, nie są głupcami i dlatego nie myślą o ucieczce, nie mówiąc już o walce. Uwierzycie, że od wielu pokoleń nikt z mieszkańców nie opuścił murów miasta i nie oddalił się na tyle, by stracić je z oczu? Uważnie studiowałam stare mapy narysowane przez ich przodków. O dzień drogi stąd na południe leży oaza, a gdyby iść jeszcze dzień następny, to dotrze się do zielonych i bujnych pastwisk. Jednak żaden mieszkaniec Xuthal nie był tam od stuleci. Oni to wymierająca, zdegenerowana i bezwolna rasa, pogrążona w lotosowych snach, która budzi się tylko po to, by leczyć rany i przedłużać swe życie złocistym winem o cudownych właściwościach, potrafiącym zaspokoić największego lubieżnika. Mimo że

ich życie to jeden wielki sen, trzymają się go kurczowo, niczym tonący brzytwy. Zresztą sam widziałeś, jak jeden z nich zareagował na wieść o Thogu pałętającym się po pałacu. A teraz wyobraź sobie tysiące takich spanikowanych, przerażonych ludzi na samą wieść, że ktoś, gdzieś, widział Thoga. Byłam nieraz świadkiem tego chaosu. Ludzie miotali się na wszystkie strony, wrzeszczeli, skamleli i błagali o litość, aż w końcu dali drapaką za miejskie mury tylko po to, by urządzać loterię, kogo złożą mu w ofierze, krępując takiego nieszczęśnika i podrzucając do jednej z komnat, by demon naźarł się do syta, a wcześniej może i wychędożył biedaka, czy co tam ma w zwyczaju. Wierz mi, że gdyby teraz oni wszyscy nie spali, samo tylko wspomnienie, żeś go widział wywołałoby tu istne pandemonium.

– Uciekajmy stąd jak najszybciej, Conanie! – załkała Natalia. – Słyszysz? Jak najszybciej!

– Przestań panikować, dziewczyno! Zawsze zdążymy uciec! – ofuknęła Conan swą towarzyszkę, jednocześnie coraz bardziej pożądliwie spoglądając na ociekające erotyzmem ponętne ciało Thalís. – Powiedz mi, co ty, Stygijka, robisz w tym bajzlu?

– Przywieziono mnie tutaj, gdy byłam szesnastolatką – odpowiedziała, przeciągając się lubieżnie, splatając dłonie z tyłu głowy i eksponując to i owo. – Jestem królewską córką, czego dowodzi mój kolor skóry, tak samo biały, jak skóra tej twojej blond kociczki. Z rodzinnego domu porwał mnie pewien zbuntowany książę, któremu wraz z bandą kushyckich łuczników zamarzyło się założenie własnego królestwa. Szukając ziemi na zasiedlenie ten idiota nad idiotami zapędził się na południową pustynię, do dziś nie wiem, czego tu szukał. Oczywiście, ten pustynny piekarnik wykończył i jego, i jego ludzi. Ale jeden z nich miał tyle oleju w głowie, że tuż przed śmiercią wsadził mnie na grzbiet wielbłąda, a poczciwe zwierzę dowiozło mnie na wpół żywą do tego miasta. Potem mi opowiadali, jak to jeden ze strażników przypadkiem wypatrył leżącego na piasku martwego wielbłąda, a obok niego nieprzytomną dziewczynę. Przygarnęli mnie, napoili swoim złocistym winem i tak wróciłam do świata żywych.

– Nie chwalcąc się specjalnie, powiem, że budziłam żywe zainteresowanie mieszkańców miasta, szczególnie mężczyzn. Nie potrafiłam się nauczyć ich języka, więc oni nauczyli się stygijskiego, w parę dni, bo, jak już ci mówiłam, są cholernie inteligentni. Ale to nie zamiłowanie do lingwistyki przyciągało ich do mnie. W końcu zrozumiałam, że jestem jedynym

powodem, dla którego tutejsi mężczyźni od czasu do czasu wybudzają się z narkotycznego snu.

Thalis roześmiała się lubieżnie, kokietując na całego falującymi czernią długimi rzęsami coraz bardziej rozpalonego pożądaniem Conana.

– Ich kobiety są o mnie śmiertelnie zazdrosne – pochwaliła się bez żenady. – Nie ukrywam, niczego im nie brakuje, są zaokrąglone jak trzeba i gdzie trzeba, ale jednocześnie takie znudzone, ospałe, napojone narkotykiem jak pijak tanim winem. A tutejsi mężczyźni pożądają mnie nie tylko ze względu na urodę, ja jestem bowiem prawdziwa, realna, mnie można dotknąć, popieścić, pocałować! Próbowалам narkotyku i nie raz odpływałam do krainy snu, jednak zawsze wracałam, bo jestem normalną kobietą, która ma realne potrzeby do zaspokojenia i emocje do współodczuwania. Te żółtoskóre babsztylę nie mogą się ze mną równać. Pamiętaj, że mężczyźni tutaj tak bardzo pożądają realnego, prawdziwego ciała, że lepiej byłoby, gdybyś od razu poderżnął gardło tej swojej blond kocicy, zanim wpadnie w ich łapska, jak się obudzą. Nie sądzisz chyba, że to chucherko przeżyje, gdy przeleci ją na sto sposobów dwustu napalonych mężczyzn? Ja, Thalys, jestem córką Luxuru i w wieku piętnastu lat przesłam inicjację w wielu orgiach z kapłankami bogini Derketo, chociaż muszę przyznać, że panie nawet nie umywają się do seksualnej pomysłowości mieszkańców Xuthal. Oni żyją tylko dla zaspokajania nawet najbardziej wyuzdanych potrzeb.

– Zafajdani degeneraci! – skrzywił się Conan.

– Ależ to rzecz gustu, mój drogi barbarzyńco – uśmiechnęła się Thalys, po mistrzowsku kokieteryjnie spuszczaając wzrok.

– Tak, jasne, ale na nas już pora – dźwignął się z miękkiej sofy Cymmeryjczyk. – Jak widzę, tracimy tu czas, nie miejsce to dla kogoś tak pospolitego jak ja lub Natała. Nie mam zamiaru czekać, aż obudzą się ci zdegenerowani śmierdziele, albo, co gorsza, zgłodnieje ten cały Thog. Coś mi się widzi, że pustynia to bezpieczniejsze i gościnniejsze miejsce, niż to urocze miasto.

Natała słabo znała stygijski, ledwie kilkadziesiąt słów, ale z opowiadania Thalys pojęła niemal wszystko, toteż drżała cała, a rozpalona wyobraźnia podsuwała jej obrazy najgorszych katuszy, przy których shemicki burdel wydawał się oazą miłości i spokoju. Nie dziwota, że dziewczyna od razu zerwała się z kolan Conan chętna i gotowa do natychmiastowej podróży.

– Gdybyś była łaskawa pokazać nam drogę powrotną na dziedziniec, chętnie z niej skorzystamy – rzekł Cymmeryjczyk, choć nie była to prośba ani szczerza, ani specjalnie gorąca, bo jego rozpalony pożądaniem wzrok obmacywał pełne ciało Thalís, szczególnie intensywnie pieszcząc cudne, jędrne piersi, lśniąca alabastrową bielą i falujące w rytm każdego oddechu.

Stygijka od razu to zauważyła, uśmiechnęła się więc tajemniczo i podniosła się z sofy z gracją i wdziękiem leniwego, rozspanego kota.

– W takim razie, podążajcie za mną – wskazała im drogę szerokim gestem smukłego ramienia, po czym ruszyła przodem, czując na sobie pożądliwe spojrzenia olbrzymiego barbarzyńcy. Szli przez zupełnie obce im sale, w zupełnie innym kierunku, niż powinni, nim jednak Conan zaczął coś podejrzewać, Thalís raptownie przystanęła w małej, wykładanej kością słoniową salce, pośrodku której radośnie tryskała niewielka fontanna.

– Może obmyjesz twarz, kochana – rzekła dziwnym głosem do Natali. – Jesteś cała w kurzu... I masz piach we włosach...

Dziewczyna oblała się rumieńcem, bowiem bezbłędnie odczytała skrywane w słowach Stygijki drwinę i pretensjonalny ton wyższości, choć, co musiała przyznać, złośliwa rada wcale nie była pozbawiona sensu. Natała bowiem mogła tylko zgadywać, jakie spustoszenie na jej alabastrowej skórze, z której sływały wszystkie Brythunki, i w pięknych blond lokach dokonały piekące słońce i szorstki pustynny piasek. Klęknięta przy fontannie, odrzuciła włosy na plecy i zsunęwszy tunikę aż do pasa, zaczęła się myć.

– Zaraz mnie kurwica strzeli! – wybuchnął Conan. – Baba zawsze babą pozostanie! Thog nie Thog, banda gwałcicieli na karku, ale ona musi przystanąć i poprawiać sobie urodę! Kobieto, przecież zakurzysz się chwilę po tym, jak wyjdziemy poza mury! Tam przecież jest pustynia! Thalís, bylibyśmy wdzięczni, gdybyś ofiarowała nam na drogę coś do jedzenia i picia.

Stygijka nie raczyła odpowiedzieć na prośbę, zrobiła za to coś zgoła dla Conana nieoczekiwanego, ale podniecającego – przywarła do niego całym ciałem, delikatnie pieszcząc białą dłonią jego ogorzały od słońca, masywny kark. Czuł jej gładką skórę, a zniewalający zapach uperfumowanych włosów drażnił nozdrza.

– A co ty będziesz robił na pustyni? – szepnęła mu do ucha gorąco. – Zostań tu ze mną, a pokażę ci rozkosz, o jakiej nawet nie śniłeś. Poznasz wszystkie sekrety Xuthal. Będę cię kochać! Będę cię chronić! Jesteś

prawdziwym mężczyzną, muskularnym, rozognionym buhajem. Rzygam już na widok tych wiecznie naprutychem narkotykiem nieudaczników, którzy potrafią jedynie wzdychać, prawić durne frazesy, a i tak ostatecznie, gdy tylko mnie przerzną, znowu zapadają w sen. O, Derketo, jak ja jestem spragniona twardego, wielkiego... barbarzyńcy. Blask twych oczu przyśpiesza mi tętno, a dotyk twego mocarnego ramienia przyprawia mnie o ekstazę! Mówię ci, zostań tu ze mną, a uczynię cię królem Xuthal!

Nim Conan pojął, co się dzieje, Thalís zarzuciła mu ramiona na szyję i stanąwszy na palcach przyłgnęła do niego nagim, płonącem z pożądania smukłym ciałem. W ostatniej chwili spojrział ponad jej ramieniem i ujrzał Natalę, która przyglądała się całej scenie zaszokowana, stojąc ociekająca wodą i z szeroko otworzonymi ze zdumienia ustami. Cymmeryjczyk chrząknął zażenowany i jednym, zdecydowanym ruchem ramienia strząsnął z siebie czarnowłosą, półnagą stygijską piękność. Thalís spojrziała na Brythunkę i uśmiechnęła się zagadkowo.

Oczy Natali płonęły gniewem, a usta zacisnęły się kurczowo, zastygając w grymasie nienawiści. Conan stał jak ostatnia niemota, klnąc cicho pod nosem. Nie był z natury wierniejszy niż pierwszy lepszy żołdak w pierwszej lepszej najemnej bandzie, ale nosił w sercu pewne wrodzone poczucie wstydlivości – w tej chwili najlepszą i najbardziej skuteczną tarczę dla Natali.

Thalís, ku zdziwieniu dziewczyny, nie naciskała na Cymmeryjczyka, wzruszyła jedynie z obojętnością ramionami, szybko obróciła się na pięcie i podeszła do ściany, na której pysznił się wielki gobelin. Instynkt Conana podpowiadał mu, że coś jest nie tak. Bardzo nie tak. Czyżby Thalís wyczuła zbliżające się niebezpieczeństwo? Coś usłyszała? Poczł zimny dreszcz na plecach.

– Co jest? – zapytał podejrzliwie. – Wyczuwasz jakieś niebezpieczeństwo?

– Spójrz tam! – wykrzyknęła Stygijka, wskazując ręką coś za plecami barbarzyńcy.

Conan odwrócił się błyskawicznie z uniesioną szablą, ale nikogo nie spostrzegł. I wtedy usłyszał coś, jakby szelest, szum, może westchnienie za plecami. Odwrócił się więc znów, szybko i pewnie w stronę fontanny. I szczęka mu opadła ze zdziwienia, bo obydwie kobiety zniknęły. Przez krawędź gobelinu spłynęła pionowa fala, jakby ktoś przed chwilą odchyłał

go od ściany. A po chwili wokół zapanowała niczym nie zmacona cisza.
Wtedy usłyszał, dobiegający gdzieś zza ściany, dziki wrzask przerażenia.
To krzyczała Natała.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy Conan odwrócił się we wskazanym mu przez Thalisa kierunku, Natalia stała tuż za jego plecami, mając u swego boku Stygijkę. Ta tylko czekała na moment, gdy rosły barbarzyńca skupi uwagę na łukowato sklepionych drzwiach. Teraz wydarzenia potoczyły się lotem błyskawicy – ze zwinnością i szybkością polującej pantery zamknęła usta Brythunki jedną ręką, a drugą chwyciła ją w pól i z nadspodziewaną siłą pociągnęła za sobą wprost na ścianę, mierząc idealnie w szczelinę sekretnego przejścia, powstałą pod naporem jej alabastrowego ramienia.

Panowały tu nieprzeniknione ciemności. Thalys, widocznie wielce doświadczona w tego typu przedsięwzięciach, z miejsca zarygłowała sekretne drzwi niewielkim skoblem przy okazji zdejmując dłoń z ust Natali, a ta od razu z całych sił przeraźliwie krzyknęła. Szyderczy śmiech Stygijki z siłą potężnego tsunami przetoczył się przez mrok, niczym trucizna przez puchar słodkiego miodu.

– Wrzeszcz, ile wlezie, głupia suko! To jedynie szybciej sprawdzi na ciebie śmierć.

Natala z miejsca umilkła, drżąc na całym ciele, jakby dopadła ją zabójcza gorączka.

– Czemu to robisz? – spytała z błaganiem w głosie. – Co chcesz ze mną zrobić?

– Przedstawię cię komuś, kto bardzo chce poznać taką małą, niewinną Brythunkę, jak ty – odpowiedziała zimno. – Pójdziemy w dół tego korytarza, gdzie sobie grzecznie poleżysz, czekając na kogoś, kto wcześniej czy później po ciebie przypełźnie.

Natala zawyła z rozpacz.

– Czemu mi to robisz? – szlochała spazmatycznie, ostro, bo przeczuwała, co zamierza Stygijka. – Co ja ci takiego zrobiłam!?

– Tępa z ciebie blondynka, skoro nie widzisz, jak patrzę na Conana. Jesteś przeszkodą, którą muszę usunąć. W jego oczach widzę to samo pożądanie. Gdyby nie ty, już dawno byłby mój! Zostałby w Xuthal ze mną i moglibyśmy niepodzielnie rządzić tym miastem.

– Prędzej poderżnie ci gardło, a jak go najdzie ochota, to wcześniej wypruje flaki z tego twojego szczupłego brzuszka – jęknęła z przekonaniem Natała, znając Conan o wiele lepiej niż Stygijka.

– Pożyjemy, zobaczymy – roześmiała się lodowato Thalís, doskonale wiedząc, jaki ma wpływ na mężczyzn. – Ale ty się nigdy nie dowiesz, czy on mnie nadzieje na tę swoją wielką szablę, czy raczej utonie w morzu moich pocałunków, bo będziesz zajęta schadzka z tym, który mieszka w mroku tutejszych katakumb. Ruszaj!

Na pół oszalała z rozpaczý Natała walczyła o życie z zaciętością zapędzonego w pułapkę tygrysa. Nie miała jednak żadnych szans, Stygijka bowiem okazała się wprost nadludzko silna i bez najmniejszego wysiłku niosła ją, niczym małe dziecko, w dół korytarza. Dziewczyna zamilkła, bo przypomniała sobie złowieszcze ostrzeżenie, co spotyka w tym mieście krzyczących ludzi. W głębokiej, głuchej ciszy słychać było jedynie jej spazmatyczny oddech i przerażająco beznamiętny chichot zadowolonej z siebie Stygijki. Wtedy Natała, zupełnym przypadkiem, natrafiła dłonią na rękojeść bogato wysadzanego klejnotami sztyletu, który Thalís nosiła zatknięty za przepaską na biodrach. Niewiele myśląc, wyszarpnęła z pochwy zabójcze ostrze i na oślep, byle w coś trafić, z całych sił, które jej pozostały, pchnęła swą stręczycielkę, zadając cios.

Stygijka wrzasnęła z bólu i furii. Straciła równowagę, wypuszczając ofiarę z rąk. Natała tylko na to czekała. Gdy jej stopy dotknęły wilgotnej, kamiennej posadzki, przylgnęła całym ciałem do najbliższej ściany, jakby chciała się w niej rozpułnąć. W atramentowych ciemnościach nie widziała Thalís, ale świetnie ją słyszała, czyli najwyraźniej Stygijka wcale nie była martwa. Co więcej, nie była też poważnie ranna, bo przez korytarz przetoczyła się taka lawina przekleństw i wyartykułowanej furii, że pod biedną Brythunką ugięły się nogi, a krew stężała w jej żyłach.

– Gdzie się podziałaś, ty mała, pierdolona suko!?! – Thalís syczała jak wściekła kobra. – Niech cię tylko dorwę w swoje ręce!

Natała o mało nie zemdląła, gdy usłyszała ze wszystkimi szczegółami, co zamierza jej zrobić Stygijka i dlaczego będzie to bardzo bolało. Przy okazji okazało się, że Thalís posiada niezwykle bogaty wokabularz przekleństw i wulgaryzmów, który z miejsca przyprawiłby o zawał serca nawet najbardziej doświadczoną pod tym względem dziwkę w Akwilonii.

Wtem mrok rozjaśniła nikałá poświata. Najwyraźniej Thalís, zaślepiona furia, zlekceważyła grasującego po katakumbach Thoga, pocierając palcem

jeden z klejnotów wystających ze ściany i oświetlając nim korytarz. W bladej, krwistoczerwonej poświacie, przerażonej Natali ukazała się wykrzywiona wściekłością twarz Stygijki. Dłonią trzymała się za bok, a pomiędzy palców sączyła się strużka krwi. Nie wyglądała na osobę ciężką ranną, lecz wręcz odwrótne. W jej lodowato nieczułym spojrzeniu szalała chęć zemsty i czysta nienawiść. Natała padła na kolana, zrezygnowana, załamana. Thalís, dysząc z wściekłości, podeszła wolno do swojej ofiary miękkim krokiem. Z wyrazem pogardy na twarzy strząsnęła z dłoni krople krwi i dopiero teraz Brythunka mogła zobaczyć, jak niegroźną ranę zadała rywalce. Ostrze sztyletu ześlizgnęło się po wielkich klejnotach, którymi wysadzana była przepaska na jej biodrach, ledwie kalecząc alabastrową skórę.

– Oddawaj sztylet, głupia dziwko! – wycodziła przez zaciśnięte zęby Stygijka, zbliżając się z każdą chwilą do skulonej pod ścianą dziewczyny.

Natała nadto dobrze wiedziała, że jeśli ma zaważyć o swoje życie, to teraz, w tej jednej jedynej chwili, bo potem będzie za późno. Nie potrafiła jednak zdobyć się na odwagę, zresztą nigdy nie miała w sobie zbyt silnego ducha walki, dlatego skulona pod ścianą, drżąca na całym ciele, obezwładniona wszechogarniającym mrokiem i dziką, nieokiełznaną furią swej dręczycielki, bezradna, niczym niemowlę, poddała się, czekając na nieuchronną śmierć. Thalís z łatwością wyciągnęła pomiędzy jej zdrętwiałych palców sztylet i cisnęła go w głąb korytarza.

– Zachciało ci się kąsać, ty źmijo!?! – warknęła wściekle, wymierzając jej otwartą dłonią potężny policzek. – Zanim rzucę cię Thogowi na pożarcie, chętnie sama zasmakuję słodczy twojej krwi. Niech cię szlag, dźgnęłaś mnie sztyletem! Słono zapłacisz za swoją głupotę!

Brutalnie chwyciła za długie włosy sparaliżowaną strachem dziewczynę i pociągnęła w dół korytarza, bliżej do światła. W ścianie, kilka cali powyżej wysokości ludzkiej głowy tkwił zamocowany żelazny pierścień, z którego zwisał przywiązany jedwabny sznur. Jak w sennym koszmarze Natała poczuła, że Thalís zrywa z niej tunikę, z łatwością unosi jej ciało za ramiona, by kolejno za nadgarstki przywiązać do pierścienia. Zwisiała naga, wyciągnięta jak struna, ledwie stopami dotykając podłogi. Z trudem wykręciła głowę i kątem oka, z rosnącym przerażeniem zauważyła, jak Stygijka zdejmuje ze ściany długi bicz, rękojeść którego skrzyła się od blasku klejnotów, zakończonego siedmioma misternie splecionymi jedwabnymi powrozami, mocniejszymi i bardziej giętkimi od rzemienia.

Dając upust żądzy zemsty, z mściwym i nieludzkim grymasem na rozchylonych, wilgotnych ustach, Thalís wzięła szeroki zamach i uderzyła. Natała zawyła, gdy siedem piekielnych powrozów cięło jej smukłe, delikatne ciało na wysokości lędźwi. Torturowana dziewczyna skamlała, krzyczała, jęczała, rosząc policzki wielkimi jak perły łzami i próbując za wszelką cenę wyszarpnąć skrępowane dłonie z więzów. Zapomniała, a może już o to nie dbała, że dzikie wrzaski mogą sprowadzić czającego się w ciemnościach Thoga. Thalís ogarnięta furią najwyraźniej też miała gdzieś grasującego starożytnego demona. Natała świetnie pamiętała chłosty, które regularnie dostawała na shemickim targu niewolników, ale były ona niczym wobec szaleństwa bólu i cierpienia doznawanego teraz, a razy jedwabnych splotów raniły po stokroć głębiej niż rzemieńne bicze, nie mówiąc już o pieszczotach zadawanych przez brzozowe różgi.

Po raz ostatni zapłakana i zmaltretowana dziewczyna uniosła głowę, by prosić swego kata o łaskę i litość, gdy nagle jęk zamarł w jej krtani, a w umęczonych oczach eksplodował wulkan pierwotnego przerażenia.



Zwisała naga, wyciągnięta jak struna, ledwie stopami dotykając podłogi.

Thalis zastygła z uniesionym do ciosu biczem, zaskoczona malującą się na twarzy ofiary grozą. Obróciła się na pięcie, szybko, zwinnie, jak kocica, a jednak o wiele za wolno. Wrzasnęła rozzwierająco, wibrującym od strachu i przerażenia głosem. Natalia zdołała jedynie dostrzec paskudne macki mroku chwytające alabastrowe ciało Stygijki, wciągające je w ciemność z potworną, niewytłumaczalną siłą, jakby wielka, odrażająca paszcza mroku pochłonęła smukłą białą zjawę. W głębi korytarza Thalís zawyła nieludzko.

Głuchym echem po korytarzu odbiły się jej błagalne, rozpaczliwe jęki, gdy nagle ciemność wypluła falę straszliwego krzyku agonii, przechodzącego w rozdzierający, dziewczęcy szloch, po którym dało się słyszeć odrażające, obleśne sapanie. I wtem wszystko ucichło.

Natala została sama, przywiązana do pierścienia i oblepiona paraliżującą ciszą.

Zdrętwiała ze zgrozy dziewczyna ostrożnie wpatrywała się w czarną otchłań, która pochłonięła jej dręczycielkę. Niczego nie dostrzegła, ale czuła, wiedziała, że tam, w mroku, czai się zło, pierwotne, starożytne, wiecznie głodne, pragnące pożreć nie tylko jej ciało, ale i duszę. Próbowwała zapanować nad kielkującym w sercu ziarnem hysterii, zapominając na chwilę o poranionych nadgarstkach, poszarpanej skórze i wolno skapującej krwi na kamienną posadzkę. Wtem zajęczała, bo groza nadeszła.

Spośród lepkiej ciemności wypełził kształt – olbrzymi, nieforemny, obleśny. W szkarłatnym, mdłym świetle zamajaczył wielki łeb, ledwie zarysowana ohydna plama, coś jakby pysk niekształtny, przelewający się przez półmrok niczym wino przez brzeg pucharu, nieuchwytny jak cień tańczący na krawędziach wielkiego lustra, z płonącymi pożądaniem niby ślepiami, które równie dobrze mogły zdawać się iluzją, choć maltretowały umęczone, rozciągnięte alabastrowe ciało dziewczyny, spozierając spomiędzy mrocznej, skutej czernią i pulsującej grozą, ciemnej masy ludzaco podobnej do ciężkiego, lepkiego dymu, a przecież jednak cielesnej, fizycznej i namacalnej. To nie była mgła, ani cień, tylko jedno wielkie cielsko.

Bestia, nie wiedząc jakim sposobem, czy to pełznąć, czy kroczyć, a może i frunąć, w jednej chwili znalazła się przy dziewczynie. Niby na wyciągnięcie ręki, ale jednak odległa, namacalna, ale i mglista, zdawała się istnieć, kpiąc z rzeczywistości. Poświata klejnotów oświetlała to coś, ale i nie oświetlała, jakby powierzchnia skóry, jeśli to coś miało skórę, pożerała nie tylko ludzi, ale i światło, jednocześnie rzygając nim wokół. Była tak blisko, że niemal dotykała drżącego spazmatycznie ciała dziewczyny. A mimo to Natala i tak nie potrafiła odróżnić, co jest pyskiem, a co kończyną, co grzbietem, a co kłującymi ślepiami.

W ostatniej chwili pomyślała, że musiała po prostu oszaleć, bo nie sposób było stwierdzić, czy to coś łypie na nią ociekającym chucią spojrzeniem z dołu, czy może jednak z góry, gdzieś z lewej, a może prawej strony. A przecież doskonale widziała olbrzymie cielsko, i nawet jeśli jej

oczy kłamały, to ciało wyraźnie czuło zimny i gorący jednocześnie, oślizgły, ale i szorstki dotyk ni to macki, ni tłustych, odrażających paluchów, grubych jak wielkie ślimaki. Dziewczyna krzyknęła z obrzydzenia. W tej piekielnej pieszczocie była cała sprośność, wyuzdanie, nikczemność i wszelkiej maści kurestwo, jakie zgromadziły się przez eony trwania wszechświata w jakimś kosmicznym bagnie wypełnionym po brzegi głównem ludzkich grzechów. W najgorszych koszmarach nie byłaby w stanie wyobrazić sobie nawet ułamka takiego plugastwa, które zalało jej świadomość falami niepojętego wstydu i wstrętu. Zatopiona w tym oceanie bezeceństwa zdołała jedynie zrozumieć, że czymkolwiek, lub kimkolwiek była owa istota, na pewno nie należała do świata zwierząt.

Zawyła szaleńczo, rozdzierając ciemność pazurami nieludzkiego wycia, kiedy Thog zaczął brutalnie ciągnąć ją ku sobie, najwyraźniej nie dbając, że zaraz urwie jej ramiona, gdy nagle wysoko, gdzieś pod sklepieniem przewalił się łomot, niczym grom zwiastujący burzę i po chwili jakaś wielka, zwarta masa huknęła o kamienną posadzkę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy Conan ujrzał łagodną falą opadający gobelin i usłyszał przeraźliwy krzyk porwanej Natali, z dzikim, barbarzyńskim rykiem rzucił się na ścianę, jakby chciał ją zburzyć jednym potężnym uderzeniem. Było ono tak silne, że każdemu innemu człowiekowi połamałoby wszystkie kości, Cymmeryjczyk jednak tylko odbił się od zielonkawego kamienia. Z furją w oczach zerwał zdobny gobelin ze ściany i stanął przed litą powierzchnią. Chwycił za szablę i mając nadzieję na podważenie sekretnych drzwi, szukał w ścianie najmniejszej chociaż szczeliny. Wtem, za plecami coś usłyszał. Obrócił się na pięcie z uniesioną szablą i pałającymi wściekłością oczami.

Naprzeciwko niego stało kilkunastu podobnie wyglądających mężczyzn o żółtawym odcieniu skóry, odzianych w purpurowe tuniki i dzierżących w dłoniach krótkie miecze. Gdy Conan się odwrócił, rzucili się na niego zwartą grupą z groźnymi okrzykami na ustach. Nie próbował ich uspokajać, niczego tłumaczyć. Rozwścieczony porwaniem ukochanej, spuścił ze smyczy czającego się wewnątrz jego duszy bezlitosnego, okrutnego i złaźnionego krwi dzikiego barbarzyńcę.

Z rykiem krwiożerczego szału skoczył ku napastnikom. Pierwszego, który się napatoczył, ciął przez głowę szablą, rozłupując czaszkę, aż mózg nieszczęśnika obryzgał zdobne sofy i wzorzyste poduchy. Od razu odwrócił się, zwinny niczym kot, zanurkował pod lecącym w jego kierunku ostrzem i jednym czystym klasycznym cięciem odrąbał dłoń dzielnie dzierżącą krótki miecz, która poszybowała przez komnatę, ciągnąc za sobą welon z kropel krwi. Cały czas był w ruchu, szybki, pewny, zdecydowany i porażająco skuteczny. Kocim unikiem zszedł z linii ciosu, gdy z dwóch stron natarli na niego Xuthalczycy. Jeden z nich zaskoczony obrotem sprawy, nie zdążył pohamować ręki i nadział kompana na swoje ostrze, wbijając mu miecz w pierś aż po jelec.

Widok ten przeraził bandę napastników, wrzasnęli bowiem z grozy, co Conan pozwolił sobie skomentować krótkim, szorstkim i bardzo nieprzyjemnym tubalnym rechotem. Nie czekając, doskoczył do tego, który przed chwilą zabił kompana i z zimną krwią potężnie ciął. Wokół trysnęła

fontanna krwi, a biedak zwał się na wyłożoną miękkim dywanem podłogę z rozplatanym brzuchem i zaskoczonym wyrazem twarzy.

Wojownicy z Xuthal zawyli niczym stado głodnych wilków na widok rannego jelenia. Ale mogli zrobić tylko to, bo odwykli od walki, przeraźliwie wolni i niezdarni, wręcz żałośnie śmieszni w swojej nieporadności, wyglądali jak ślimaki próbujące osaczyć rozwścieczonego smoka. A Conan był w swoim żywiole. Na żółtoskórych miłośników czarnego lotosu spadały ciosy z szybkością błyskawicy, a stalowe mięśnie Cymmeryjczyka stały się jednością z umysłem przenikliwym i czujnym. Napastnicy wpadali na siebie nawzajem, przeszkadzali jeden drugiemu, potykali się o własne nogi, zadając ciosy albo za późno, albo za wcześnie, zawsze niecelnie, a ich miecze głównie młóciły powietrze. Conan nieustannie wirował, uskakiwał, parował ciosy i rozsiewał wokół istne pandemonium śmierci. Szybszy od myśli, zwinniejszy od mangusty zdawał się zjawą, nie człowiekiem z krwi i kości. Szatkował wojowników z Xuthal niestrudzenie i z diabelską skutecznością.

Oni jednak, po pierwsze, choć daleko im było do szermierczych umiejętności Cymmeryjczyka, nie byli tchórzami i atakowali niestrudzenie, a po drugie, z każdą chwilą ich przybywało, bo potyczka przetoczyła przez tysiące pokoi prawdziwą nawałnicą wrzasków, okrzyków, rżenia konających i szyderczego, wściekłego śmiechu Conana. Jeszcze nigdy w Xuthal nie było tak głośno.

Cymmeryjczyk, krwawiąc z rozciętej skroni, jednym potężnym cięciem szabli położył tłoczących się wokół niego wrogów, oczyszczając sobie przedpole i rozglądając się w poszukiwaniu drogi ucieczki. W tej właśnie chwili na jednej ze ścian niespodziewanie odchylił się gobelin, ukazując ukryte za nim wiodące do góry schody i stojącego we wnętrzu mężczyznę w strojnej szacie, mrużącego oczy, jakby dopiero się wybudził z długiego snu i nie zdążył strząsnąć z powiek lepkiego welonu snu.

Conan nie wahał się ani chwili.

Jednym, potężnym tygrysim skokiem przesadził środek komnaty, przedzierając się przez las ostrzy, chcąc dopaść ukrytych schodów. Banda Xuthalczyków wrzasnęła widząc, jak jej ofiara właśnie ucieka. W jednej chwili trzech roślących wojowników zagroziło mu drogę i nie była to najmądrzejsza decyzja w ich pełnym narkotycznego snu życiu. Zamachali mieczami, które załśniły złowieszczo nad głową Cymmeryjczyka. I nic więcej nie zdołali uczynić. Conan w mgnieniu oka zaszlachtował mężczyzn

i wpadł na upragnione schody. Za nim bezwładna banda rozbiła się o dogorywającą we wnętrzu trójkę pechowców. Pierwszy leżał w szybko rosnącej kałuży własnej krwi i mózgu; drugi usiłował dźwignąć się na rękach, na które wartkim strumieniem tryskała posoka z poderżniętego gardła; trzeci zaś wydzierał się wniebogłosy, czule obejmując krwawiący kikut, który jeszcze przed chwilą był uzbrojoną w miecz ręką, leżącą teraz gdzieś na posadzce pośród tego wszechogarniającego chaosu.

Widząc pędzącego do góry po schodach ogromnego barbarzyńcę, mężczyzna w strojnej szacie natychmiast oprzytomniał, dobywając krótkiego miecza. W mdłej, krwistoczerwonej poświacie zalśniło ostrze, gdy ciął z góry na dół, chcąc odrąbać głowę nieznanemu. Conan zwinnie i bez wysiłku zanurkował pod opadającym mieczem, a cios, który miał go pozbawić życia, zdołał jedynie lekko skaleczyć plecy. Riposta barbarzyńcy była zabójcza i okrutna. Wkładając w uderzenie wszystkie siły, potwornie ciął szablą od dołu niczym rzeźnik wypruwający wnętrzności z rozpiętego na sznurach wieprzka.

Skutek uderzenia był tak piorunujący, a jego impet tak wielki, że ostrze szabli nie tylko wbiło się w brzuch aż po jelec, ale też pociągnęło za sobą Conana, który zderzył się z mężczyzną, odbił się od niego, następnie huknął o ścianę. Szybkim mocnym ruchem muskularnego ramienia strącił w dół schodów nadzianego na szablę nieszczęśnika, który, spadając z nieludzkim wyciem, rozpruł się na ostrzu od podbrzusza aż po mostek i oplątany własnymi, parującymi wnętrznościami runął wprost na wbiegających pod górę rodaków, obryzgując ich krwią, wstęgami jelit, zbijając z nóg i ciągnąc za sobą.

Na wpół ogłuszony Conan oparł się o ścianę, uspokajając oddech i dochodząc do siebie. Zerknął w dół na kłębiący się u stóp schodów tłum, po czym wściekle potrząsnął ociekającą krwią szablą i pognął pod górę.

Wbiegł w pełnym pędzie do komnaty na górze, a gdy upewnił się, że jest pusta, pognął dalej. Tymczasem do jego uszu dobiegło z dołu zawroscenie, wrzaski rozpacz i gniewu, najwyraźniej na schodach musiał zaszlachtować kogoś niezwykle ważnego, kto wie, może nawet samego króla tego przeklętego miasta.

Conan gnał przed siebie, mijając komnatę za komnatą bez żadnego planu. Pragnął za wszelką cenę odnaleźć i uwolnić Natalę, bo jego barbarzyński instynkt podpowiadał mu, że dziewczynie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Uciekając przed pogonią, nie miał czasu na rozważania

i rozmyślania, mógł tylko biec dalej z wątplą nadzieją na uratowanie ukochanej i zgubienie się w tym niekończącym się labiryncie pogoni. W ciemnych lub słabo oświetlonych salach górnego piętra, biegnąc na złamanie karku, rychło stracił orientację. Nie mógł być zatem specjalnie zdziwiony, gdy w pewnej chwili wpadł do komnaty, przez którą już wcześniej przebiegał, a do której właśnie z przeciwnej strony wlewała się horda wściekłych mieszkańców miasta. Na jego widok jak jeden mąż zawyli z gniewu i pałając żądzą zemsty skoczyli ku niemu. Conan błyskawicznie obrócił się pięcie i pobiegł z powrotem, a przynajmniej tak mu się zdawało. Niemal od razu zrozumiał, że się srodze pomylił, gdy znalazł się w komnacie innej, niż wszystkie, urządzonej z niezwykłym, nawet tutaj, przepychem, a przede wszystkim zaskakującej z innego powodu – ktoś w niej mieszkał.

Kobieta na widok wpadającego do jej komnaty olbrzymiego barbarzyńcy zerwała się na równe nogi z okrzykiem przerażenia i zdumienia.

Conan ujrzał przed sobą smukłą, kształtną i kompletnie nagą dziewczynę, jeśli nie liczyć drogocennej biżuterii, którą dosłownie była obwieszona od stóp po czubek głowy, wpatrującą się w niego szeroko otwartymi oczami. Więcej szczegółów Cymmeryjczyk dojrzeć nie zdołał, bo nieznajoma niespodziewanie podniosła rękę i pociągnęła za jedwabną linę wiszącą przy ścianie, a on nagle stracił grunt pod nogami. Nie pomógł mu niezwykły refleks ani spostrzegawczość – poleciał w czarną otchłań, która nagle rozwarła mu się pod nogami.

Nie spadł z jakiejś oszałamiającej wysokości, ale dla każdego innego człowieka taki upadek, o ile nie byłby śmiertelny, to na pewno miałby poważne konsekwencje, owocując chociażby połamanymi nogami. Jednak Conan był gigantycznym Cymmeryjczykiem o mięśniach twardych jak stal i elastycznych jak fiszbin.

Padł na posadzkę niczym kot na cztery łapy, nie wypuszczając przy tym szabli z dłoni. I wtedy usłyszał dobrze znany mu szloch. Zerwał się na równe nogi jak ryś, szczerząc zęby i warcząc złowrogo. Ujrzał nagą, rozciągniętą jak struna Natalę, przywiązaną do żelaznego pierścienia za nadgarstki mocnym jedwabnym sznurem. A wokół dziewczyny wiło się jakieś obleśnie, bezkształtne, czarne cielsko, które mogło zrodzić się jedynie w najgłębszych i najbardziej odrażających czeluściach piekła.

Sam widok podłej kreatury powinien sparaliżować strachem barbarzyńskie serce. Tymczasem, w odróżnieniu od zdrętwiającej ze strachu

Natali, Conan na widok monstrum zapłonął żądzą mordy i wściekłością – pierwotną, dziką, nieokiełznaną, tak silną, że zaćmiła mu rozum. Bestia miała czelność dobierać się do jego ukochanej. Nie zastanawiał się dłużej. Podbiegł do tej czarnej, rozmytej plamy i z całych sił ciął szablą.

Zaskoczony Thog puścił dziewczynę, zwracając ohydne oblicze w kierunku niespodziewanego napastnika, którego potwornie silny cios przeszył ze świstem powietrze, przeleciał przez mroczne cielsko i, nie napotykając właściwie żadnego oporu, huknął o kamienną posadzkę, krzesząc snop iskier. Conan nie był na to przygotowany, ostrze nie napotkawszy spodziewanego oporu pociągnęło go za sobą, w rezultacie czego wylądował tuż przy bestii, przyklękając na jednym kolanie. Próbował zerwać się na równe nogi, było już jednak za późno, bowiem Thog po mistrzowsku wykorzystał moment słabości napastnika i wskoczył mu na kark.

Czarna bezkształtna masa górowała nad Cymmeryjczykiem niczym wyniosły szczyt przewyższa polny kamień, a barbarzyńca przecież wśród ludzi uznawany był za gigantycznego z powodu zarówno wzrostu jak i muskulatury. Rzuciła się na niego, a on miał wrażenie, że to coś jednocześnie obejmuje go i wchłania, bulgocze i świszczy. Jak szalony ciął szablą raz po raz, ostrze jednak zdawało się szatkować nie twarde mięśnie i skórę, a śmierdząco Nieludzko mazistą galaretę. Gryzł, szarpał, ciągnął i uderzał; twarz zalewały mu strumienie dziwnego niby szlamu, być może, jak przypuszczał, była to krew potwora. Bestia jednak nie słabła, atakując człowieka z rosnącą z każdą chwilą furją.

Conan właściwie nie miał pojęcia, w co trafia, co odcina i szlachtuje – macki, kończyny, a może brzuch, a może grzbiet... Zdawało się, że raz poszatowane cielsko wcale nie obumiera, tylko scala się na powrót z ohydny korpusem. W ogniu walki, miotany na wszystkie strony miał chwilami wrażenie, że nie walczy z jedną, a z całą hordą krwiożerczych istot, co jednocześnie gryzły i drapały, szarpały i kłuły, miażdżyły i rozrywały... Czuł wszystko. I szpony, i kły – rozrywające mu ciało – i coś na podobieństwo macek, a może galaretowatych lin, twardych niczym stal i palących niczym płomień, pętających mu ręce i nogi. Jakby tego było mało, co chwilę z bezkształtnego cielska strzelał, smagając jak bicz, niby ogon, zakończony potwornym, zakrzywionym zębem, bezustannie zadającym ciosy gdzie popadnie, jak wściekły skorpion, dotkliwie raniąc całe ciało, wsącżając w głębokie rany truciznę, palącą niczym żywy ogień.

Człowiek i demon zwarci w śmiertelnym pojedynku, przewalili się poza krąg światła, dalej zmagając się w całkowitych ciemnościach. W pewnej chwili Conan, rozwścieczony do imentu, wbił swe barbarzyńskie, mocne, śnieżnobiałe zęby w ciało Thoga, szarpiąc jak głodny wilk świeże mięso. Natychmiast przez wnętrzości przelała mu się taka fala obrzydzenia i wstrętu, że o mało nie zwymiotował, szczególnie w chwili, gdy maziowate ciało, ta żyjąca, skowycząca i piszcząca guma, wyślizgnęła się z uścisku jego szczęk.

Zapiekli wrogowie pochłonięci tytanicznymi zmaganiem, staczali się coraz dalej w głąb korytarza. Conan był już u kresu wytrzymałości; poważnie ranny, poszarpany, porozrywany, pogryziony, czuł nieopisany ból, którego intensywność zaczęła mącić mu w głowie. Z trudem oddychał przez zaciśnięte w furii zęby. Wtem niespodziewanie ujrzał wysoko nad głową coś jakby wielki ropuszy pysk, tonący w dziwnej, mdłej poświacie, najwyraźniej emanującej z tego łąba. Cymmeryjczyk zebrał resztkę sił, napiął gigantyczne mięśnie i z furiackim wrzaskiem wzbogaconym porządnym przekleństwem skoczył prostu ku tej paszczy. Trafił idealnie i tak silnie, że szabla zanurzyła się w gardziel, aż po jelec, a potężnym ciałem Thoga wstrząsnął skurcz podobny trzęsieniu ziemi. Cała ta galaretowata masa, to ohydne monstrum, zwarło się w spazmatycznych drgawkach, staczając się z rosnącą szybkością w dół korytarza i ciągnąc za sobą Conana, który, choć próbował z całych sił, nie mógł wyszarpnąć głęboko siedzącej w gardzieli szabli. Wisiał uczipiony amorficznej bestii niczym pitbull, tnąc na ślepo, konwulsyjnie sztyletem w opętańczym szale.

Nagle Thog począł emanować dziwną, nieziemską i fosforyzującą poświatą, która zupełnie oślepiła Cymmeryjczyka. Wtem poczuł, że to wielkie śmierdzące cielsko, targane spazmami i kłębiące się jak gniazdo oślizgłych robali, niespodziewanie znika, uwalniając go ze swego mocarnego uścisku śmierci, a ręka kurczowo ściskająca szablę zwisa w próżni. Uzmysłowił sobie, że leży na krawędzi jakiejś bezdennej studni, a Thog, jak meteor, zawodząc i jęcząc, spada w jej otchłań. Przyłgął do wilgotnych, zimnych kamieni i zafascynowany obserwował ten lot, wpatrując się w malejący z każdą chwilą fosforyzujący punkt. Na jego oczach, choć mogło to być tylko złudzenie, otworzyła się gdzieś tam, na dnie, czarna, błyszcząca jak obsydian paszcza, by pochłonąć pikujący ku niej mroczny bezkształt. Przez ułamek chwili w bezdennej czeluści tańczyły

nikłe, błędne ogniki, ale i one wkrótce zniknęły. Wokół zapanowały cisza i ciemność.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Skrajnie wyczerpana Natalia na próżno usiłowała ze wszystkich sił oswobodzić się z jedwabnych więzów, wrzynających się głęboko i boleśnie w delikatne ciało. Gardło miała wyschnięte na wiór, spieczone wargi, a głos zdarty, chropowaty od krzyków i zawodzenia. Nieprzytomnym wzrokiem powiodła po ciemności panującej za wąłym kręgiem mdłego światła. To tam zniknął Conan, szaleńczo walcząc z Thogiem, a wtedy z mrocznej czeluści, fala za falą, nadchodziły przerażające dźwięki śmiertelnych zmagania: opętańcze wycie barbarzyńcy, jego sapanie, jakieś świsty, łomoty, przekleństwa i charknięcia, świdrujące i wibrujące jęki, kłujące piski i obleśne sapnięcia, narastające z każdą chwilą jak schodząca z gór lawina, by po chwili zamilknąć zupełnie. Wtedy głowa Natali opadła na piersi, a dziewczyna zemdląła, zwisając bezwładnie z żelaznego pierścienia.

Oprzytomniała na odgłos kroków. Podniosła głowę i jej oczom ukazał się wypluty przez czarną otchłań korytarza Conan. Odruchowo krzyknęła z radości, a w wąskim tunelu echo zwielokrotniło ten okrzyk, ale gdy tylko jej wybawiciel stanął w kręgu światła, radość zamieniła się w przerażenie. Cymmeryjczyk był w opłakanym stanie.

Natala nie mogła uwierzyć, że tak może wyglądać człowiek po walce, i że jeszcze żyje. Całe ciało miał zmaltretowane, poranione, poszarpane i pogryzione; twarz napuchniętą jak rybi pęcherz, siną, przekrwioną, jakby potężna siła raz za razem tłukła w nią wielkim, żelaznym kafarem. Krew z potężnej rany na głowie zalewała błękitne oczy; wargi zmiażdżone; uda, łydki, ramiona pocięte, porżnięte i pogryzione, a całe ciało sinoczarne od silnych uderzeń o kamienną posadzkę. Jednak najgorzej wyglądały mocarna pierś i kark – to już nie były stalowe mięśnie i twarda skóra, ale mielonka jakaś, szerniała, przeżuta, spuchnięta i zakrwawiona; w kilku miejscach ogorzała od słońca skóra zwisała płatami, jakby ktoś chłostał to mocarne ciało kańczugiem zamoczonym w piekielnym ogniu.

– Na wszystkich bogów, Conanie! – załkała dziewczyna. – Co się stało?

Cymmeryjczyk z trudem łapał oddech, a mimo to jego opuchnięte wargi wykrzywił ponury, pogardliwy grymas zupełnego lekceważenia dla własnych ran. Jego wielka pierś, na której perlił się pot, zakrwawiona

i poraniona, falowała ciężko, gdy podszedł do spętanej dziewczyny. Z największym wysiłkiem sięgnął do krępujących ją jedwabnych pęt, przeciął więzy sztyletem i zupełnie wykończony oparł się o ścianę, szeroko rozstawiając nogi, by nie upaść. Natalia przypadła do niego, przyłgnęła całym ciałem i gorzko zapłakała.

– Conanie, jesteś śmiertelnie ranny! Co my teraz zrobimy?

– Ech, dziewczyno – wysapał ciężko, plując krwią. – Nie da się przypieprzyć demonowi, a przy tym nie oberwać.

– A gdzie się podział? – zapytała strwożona. – Utłukłeś to bydłę?

– Nie wiem. Zleciał łbem w dół do jakiejś studni. Poszatkowałem to coś na miazgę, ale nie mam pojęcia, czy Thoga można zabić żelazem.

– O, bogowie! – lamentowała Natalia, załamując ręce. – Twoje plecy! Jedna wielka krwawa miazga!

– Tak, wiem, to ta jego cholerna macka – skrzywił się z bólu, cierpiąc potworne katusze. – Cięła jak ostrze, a paliła jak trucizna. Najgorszy był jego uścisk, jakby oplotło mnie ze sto tłustych pytonów. Mogę iść o zakład, że nie mam zbyt wielu całych kości.

– No to już po nas! – jęknęła Natalia. – Co teraz zrobimy?

Conan spojrział w górę. Kłapa zapadni była zamknięta, a w górze panowała kompletna cisza.

– Ukrytymi drzwiami iść raczej nie powinniśmy – zastanawiał się głośno. – Pełno tam trupów, to i pewnie ci cholerni narkomani pozostawili tam strażę. Pewnie myślą, że wykończył mnie Thog, albo bardzo się boją zapuszczać w te korytarze. Wyciągnij ze ściany jeden z tych klejnotów. Gdy błądziłem tu po omacku, namacałem kilka bocznych odnóg. Myślę, że pójdziemy pierwszym lepszym, na który się natkniemy, to w końcu natrafimy na jakieś wyjście. Musimy zaryzykować, przecież nie będziemy tu tak siedzieć i bez sensu lamentować.

Zrobili, jak zaplanował Conan. Ruszyli ostrożnie w dół korytarza. Szedł przodem, wolno, z mozołem, ledwie stawiając krok za krokiem i oświetlając sobie drogę rozjarzonym klejnotem. Jego przekrwione oczy aż emanowały tępym cierpieniem. Natalia spostrzegła, że co chwila zwilżał językiem opuchnięte, spieczone wargi. Mogła się tylko domyślać, jakie katusze musiał znosić, ale wiedziała też, że harda natura barbarzyńcy z cymmetryjskich gór nie pozwala wypowiedzieć mu nawet słowa skargi.

Wkrótce w mdłym świetle klejnotu zobaczyli otwór jednego z bocznych korytarzy. Skręcili bez wahania. Natalia zmartwiała na samą myśl, jakie

potworności tam na nich czekają, ale to był tylko długi, tonący w ciemności i ciszy kamienny tunel. Dziewczyna dawno straciła poczucie czasu i nie próbowała nawet zgadnąć, jak długo nim podążali. W końcu dotarli do wysokich schodów, wdrapali się na nie i stanęli przed masywnymi kamiennymi wrotami zaryglowanymi szczerozłotą zasuwą.

Dziewczyna z niepewnością spojrzała na chwiejącego się na nogach Cymmeryjczyka, w którego drżącej dłoni chybotąło się purpurowe światełko, rzucając na sklepienie głębokie, mroczne cienie.

– Na co czekasz? Otwieraj drzwi! – warknął słabnącym głosem Conan. – Pewnie na nas czekają, a nie mam zamiaru sprawić im zawodu! Na Croma, już ja im złożę taką ofiarę, o jakiej im się jeszcze nie śniło!

Natala zrozumiała, że olbrzym po prostu majaczy. Zza drzwi nie dobiegał żaden dźwięk. Wyjęła z pokaleczonej dłoni klejnot, z trudem wyciągnęła złoty bolec i uchyliła jedno ze skrzydeł. Ujrzała podszewkę zdobnego gobelinu. Serce stanęło jej w gardle, ale zdobyła się na odwagę, odsunęła tkaninę i ostrożnie zerknęła do środka. W komnacie nikogo nie było, jedynie pośrodku wesoło szemrała srebrna fontanna.

Olbrzymia dłoń Conana spoczęła na jej nagim ramieniu.

– Z drogi, dziewczyno! – wymamrotał. – Zaraz urządzę tu krwawą łaźnię!

– Hej, ale w komnacie nikogo nie ma – uspokajała go. – Za to jest fontanna. I woda.

– Słyszę jej szum – oblizwał zakrwawione wargi – czyli przed śmiercią zdążymy ugasić pragnienie.

Conan był tak osłabiony, że prawie nic nie widział, więc Natala ujęła go pod rękę, i stąpając najciszej jak potrafiła, poprowadziła olbrzyma po kamiennej posadzce ku fontannie, cały czas z duszą ramieniu rozglądając się wokół, oczekując nabiegających mężczyzn z mieczami w dłoniach.

– Pij, dziewczyno, a ja będę trzymał straż – wymamrotał Cymmeryjczyk.

– Nie chce mi się pić. Połóż się tutaj, to będę mogła obmyć ci rany.

– Nie słyszę tych chuderlaków – zdziwił się, przecierając oczy ramieniem, jakby usiłować strącić z powiek lepki sen.

– Conanie, nikogo tu nie ma.

Po omacku błędząc rękoma, doczłapał się do fontanny, pochylił i zanurzył twarz w kryształowo czystej strudze. Pił łapczywie, długo, jakby nie mógł ugasić pragnienia. Gdy wreszcie uniósł głowę z jego oczu zniknął cień szaleństwa i majaków. Z widoczną ulgą wyciągnął się na posadzce,

rozprostowując muskularne ciało, choć cały czas w dłoni trzymał szablę, a z jego zmasakrowanej twarzy nie schodził wyraz skupienia, gdy wpatrywał się czujnie w najbliższe drzwi, wiodące do innej komnaty. Natała najlepiej jak potrafiła opatrywała mu potwornie poranione ciało, robiąc z podartej jedwabnej tkaniny prowizoryczne bandaże. Gdy dotarła do pleców, o mało nie zwymiotowała. Zobaczyła ciało rozszarpane aż do kości, pozdzieraną skórę, siniaki i pęcherze wielkości owocu granatu. Cały czas jednak rozmyślała o ich beznadziejnym położeniu. Jeśli pozostaną w mieście, wcześniej czy później dopadną ich mieszkańcy, bo nie miała pojęcia, czy ciągle przeczesują pałac, by ich odnaleźć i zabić, czy zaniechali pościgu, zapadając w długi, narkotyczny sen.

Właśnie kończyła bandażowanie, gdy podnosząc na chwilę głowę, zamarła, zdjeta strachem. W przesłoniętej jedwabną tkaniną niewielkiej wnęce, której wcześniej nie dostrzegła, coś zobaczyła. Nie powiedziała o tym Conanowi, tylko ostrożnie ze sztyletem w drżącej dłoni podeszła i z bijącym jak oszalałe sercem, rozsunęła kotarę, zaglądając do środka. Ujrzała znany sobie widok: na podwyższeniu, otulona jedwabiem i odurzona narkotykiem spała żółtoskóra, naga kobieta. Tuż za nią stał jadeitowy dzban, pełen dziwnego, złocistego płynu. Natała pomyślała, że to musi być ten cudowny eliksir, o którym wspominała im Thalís. Pochyliła się nad śpiącą, mało nie raniąc ostrzem sztyletu delikatnej skóry, i sięgnęła po dzban.

Obejmując kurczowo naczynie z życiodajnym nektarem przyszło jej na myśl, by ukatrupić z zimną krwią śpiącą kobietę, by ta, gdy się obudzi, nie wszczęła alarmu. Nie potrafiła jednak tego zrobić, nie potrafiła, nawet gdyby chciała, wbić w bezbronną pierś ostrze i czekać, aż z ciała uleci życie. Zasunęła więc szybko kotarę i podbiegła do leżącego, na wpół żywego Conana.

Pochyliła się nad nim, przytykając dzban do ust. Pił posłusznie, ale ostrożnie, jakby nie ufał zawartości dzbana. Wtem niespodziewanie usiadł, pochwycił naczynie w obie dłonie i zaczął łapczywie pić.

Gdy po chwili spojrział w jej oczy, jego wzrok był przytomny, przejrzysty, na powrót skrzący się głębokim, pięknym błękitem. Z twarzy zniknął wyraz cierpienia i męki, a głos znowu miał donośny, tubalny i energetyczny.

– Na Croma! Skąd wzięłaś ten nektar?

– Stał tam, w tej wnęce – wskazała ręką. – Leży tam odurzona narkotykiem jedna z żółtoskórych dziwek.

Conan raz jeszcze zanurzył usta w resztkach nektaru.

– Niech mnie cholera! – westchnął głęboko i zerwał się na równe nogi. – Czuję się jak nowo narodzony! To pewnie ten życiodajny eliksir, o którym gadała Thalís.

– Pewnie tak, kochany, ale teraz zabierajmy się stąd i wracajmy do tamtego korytarza – rzekła Natała, nerwowo rozglądając się wokół. – Jeśli tu zostaniemy, oni w końcu nas znajdą. Ukryjmy się w katakumbach, póki nie wyzdrowiejesz.

– Za nic w świecie! – warknął Cymmeryjczyk. – Nie jesteśmy szczurami, by pełzać po jakichś ciemnych jamach. Dajemy nogę z Xuthal i niech no tylko któryś z tych zdegenerowanych skurwysynów spróbuje nam stanąć na drodze!

– Przecież jesteś poważnie ranny! – załkała dziewczyna.

– Dziewczyno, jakie rany!?! – wykrzyknął rażno. – Może to i złudzenie wywołane eliksirem, ale, na Croma!, przysięgam, że czuję się świetnie!

Podszedł dziarskim krokiem do okna, którego Natała w ogóle nie zauważyła. Nieśmiało zerknęła ponad jego ramieniem. Niespodziewanie delikatny, orzeźwiający wietrzyk poruszył jej włosami. Zobaczyła ciemne, aksamitne niebo, usiane milionami gwiazd, a pod nimi ciągnącą się aż po horyzont pustynię.

– Thalís gadała, że to miasto tak naprawdę jest jednym wielkim pałacem – przypomniał sobie Conan. – W takim razie i w basztach na murach muszą być komnaty i prowadzące do nich przejścia. Najwyraźniej to jedna z takich komnat. Ależ my mamy szczęście!

– Co ty kombinujesz? – zapytała z obawą Natała, wiedząc z doświadczenia, jak szalone czasem pomysły miał jej ukochany.

– Na tamtym stole stoi dzban – zakomenderował w odpowiedzi Conan. – Napełnij go wodą z fontanny i mocno obwiąż resztkami tej podartej tkaniny, z której robiłaś mi bandaż. I ponownie napełnij eliksirem dzban, z którego piłem. Ja tymczasem postaram się o linę.

Natali nie trzeba było powtarzać polecenia dwa razy. Zobaczyła, jak Cymmeryjczyk zrywa ze ściany jedną z ozdobnych tkanin, drze ją na pasy, a następnie skręca z nich długą, jedwabną linę, której jeden koniec przywiązał do nogi masywnego stołu z kości słoniowej.

– Poszukamy szczęścia na pustyni – oznajmił. – Thalís twierdziła, że o dzień drogi stąd na południe jest oaza, a potem niedaleko bujne łąki i pastwiska. Tam się zatrzymamy i poczekamy, aż wydobrzeję. Przyznaję, ten eliksir ma magiczną moc. Przed chwilą byłem właściwie trupem, a teraz mógłbym gołą piąchą powalić wielbłąda! I jeszcze jedno, załóż coś na siebie, nie będziesz ganiać po pustyni z gołym tyłkiem.

Natala dopiero teraz sobie przypomniała, że jest naga. Sam fakt nagości jej nie przeszkadzał, kpiła bowiem z wszelkich konwenansów i pruderii, ale obawiała się, że palące słońce może zaszkodzić jej delikatnej, alabastrowej skórze. Szybko znalazła jakiś większy strzep jedwabiu i szczelnie obwiązała go wokół ciała. Tymczasem Conan podszedł do okna i z dziecinną łatwością wyrwał złote kraty. Następnie dokładnie obwiązał prowizoryczną liną Natalę w pasie, przesadził przez zielonkawy parapet tak, że zwisała nad ziemią, po czym delikatnie opuścił na piasek. Jak tylko dziewczyna dotknęła stopami gruntu, rozwiązała linę, Conan wciągnął ją na górę, po chwili opuścił dzbany z wodą oraz eliksirem i nim Natala zdążyła się zorientować zjeżdżał już w dół, pobrzękując szablą.

Gdy dosięgnął ziemi, dziewczyna odetchnęła z ulgą. Stali razem u stóp potężnego muru, pod rozgwieżdżonym niebem, otoczeni cicho falującym oceanem piasku. Nie miała pojęcia, jakie niebezpieczeństwa na nich czekają, ale odczuwała czystą, śpiewną radość w sercu, bo przecież uszli cało z tego przeklętego i upiornego miasta.

– Jeśli te pokurcze znajdą linę, może ruszą za nami w pościg... – zastanawiał się, przewieszając sobie przez ramię oba związane dzbany. Syknął z bólu, gdy dotknęły jego obolałych pleców. – Ale szczerze w to wątpię, pamiętając słowa Thalís. Idziemy na południe – wskazał kierunek muskularnym ramieniem. – Ku oazie. Zatem, w drogę!

Z zaskakującą jak na niego czułością wziął delikatnie Natalę za rękę i ruszył przed siebie dopasowując swe kroki olbrzyma do drobnych kroczków dziewczyny. Nie oglądał się za siebie na połyskujące lodowatą zielenią, strzelające w niebo mury i wieże Xuthal.

– Conanie, powiedz mi, proszę – w końcu Natala odważyła się zadać pytanie – gdy walczyłeś z Thogiem, a może potem, wracając po mnie tym ciemnym korytarzem, nie widziałeś gdzieś przypadkiem Thalís?

– Było tam ciemno choć oko wykol, drogę macałem na ślepo, ale słowo ci daję, że nikogo tam nie było.

Natalę przeszedł zimny dreszcz.

– Ta suka mnie torturowała, a jednak... – szepnęła – żal mi jej.

– Ugościli nas z przytupem w tym mieście, to trzeba im przyznać – burknął gniewnie Conan, jednak zaraz odzyskał humor. – Założę się, że długo będą pamiętali naszą wizytę. Muszą przecież posprzątać te wszystkie mózgi, flaki, głowy i kończyny walające się po marmurowych posadzkach. Ten ich ukochany Thog, jeśli jeszcze żyje, ma więcej ran niż ja. Przyznaję, że mieliśmy cholernie dużo szczęścia, ostatecznie jednak idziemy sobie spacerkiem przez pustynię, gwiazdy mamy nad głowami, w dzbanach i wodę i eliksir życia; na pewno dotrzemy do oazy. Co prawda, wyglądam, jakby przeleciał mnie mamut, a ty jesteś obolała...

– Bo to twoja wina! – oburzyła się Natalia. – Gdybyś tak nie gapił się na cycki i tyłek tej stygijskiej dziwki...

– Niech mnie cholera! – zaklął Conan. – Nawet gdyby nadszedł koniec świata, rzeź powszechna i masakra, baba i tak znajdzie czas na zazdrość! Przecież nie kazałem tej Stygijce zakochiwać się we mnie! Koniec końców i tak nie miała wyjścia, była tylko człowiekiem!

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(wrzesień 1933) pod tytułem *The Slithering*.

SZADZAWKA CZARNYCH LUDZI¹

ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Na zachód, nieznany dla wielu,
Płynęły statki od początku dziejów.
Czytaj, jeśli się wazysz, co Skelos prawił
Z martwymi rękami skrytymi w jedwabiu.
Pędź za statkami, które dręczył wiatr!
Pędź za nimi – opuściły świat!*

Sancha, niegdyś mieszkanka Kordavy, ziewnęła dyskretnie, rozciągnęła zmysłowo gibkie członki i ułożyła się w bardziej komfortowej pozycji na obrębionym gronostajem jedwabiu, rozłożonym na rufie galeonu. Wiedziała, że załoga spoglądała na nią ze śródokręcia i pokładu dziobowego z płomiennym zainteresowaniem, tak jak była świadoma, iż jej krótka jedwabna tunika ledwo zakrywała ponętne kształty przed ich gorliwym wzrokiem. Dlatego uśmiechnęła się bezczelnie i szykowała się do ucięcia sobie jeszcze krótkiej drzemki zanim słońce, które właśnie wynurzało swój złocisty dysk ponad ocean, oślepi jej oczy.

Wtedy jednak dobiegł do jej uszu dźwięk inny, niż skrzypienie wręg, dudnienie olinowania czy plusk rozbijających się fal. Usiadła i spojrzała na burtę. Gramolił się na nią ociekający wodą, obcy człowiek. Przyglądała mu się w osłupieniu i otworzyła ze zdumienia usta. Nigdy wcześniej go nie widziała. Woda ściekała strumieniami z wielkich barków i ciężkich ramion. Jego jedyne odzienie, szkarłatne jedwabne bryczesy, były całkiem przemoczone, podobnie jak spięty złotą klamrą szeroki pas i pochwa z mieczem. Kiedy tak stał na balustradzie, wschodzące słońce oświetlało go niby wielką statwę z brązu. Przeczesał palcami ociekające czarne włosy, a jego błękitne oczy zapłonęły, kiedy spoczęły na dziewczynie.

– Kim jesteś? – spytała. – Skąd się wzięłeś?

Wykonał gest w kierunku morza, wskazując ćwiartkę horyzontu, ale nie spuszczał wzroku z jej gibkiej figury.

– Czy jesteś trytonem, że wynurzasz się z morza? – zapytała zmieszana jego płomiennym spojrzeniem, chociaż nie było to dla niej nic nadzwyczajnego.

Zanim zdołał odpowiedzieć, na pokładzie dało się słyszeć szybkie kroki. Kapitan galeonu spojrział na nieznajomego, sięgając po rękojeść.

– Cóż z ciebie za diabeł, pachółku? – dowódca zdecydowanie nie był nastawiony przyjaźnie.

– Jestem Conan – odparł niewzruszony przybysz.

Sancha nadstawiła uszu – nigdy nie słyszała Zingarczyka, który mówiłby z takim akcentem, jak ten obcy.

– A jak dotarłeś na pokład mojego statku? – w głosie brzmiała irytacja i podejrzliwość.

– Przyplłynąłem.

– Przyplłynąłeś?! – zakrzyknął kapitan z gniewem. – Nie kpij ze mnie, psie! Jesteśmy daleko od lądu. Skąd przybyłeś?

Conan wskazał muskularnym, brązowym ramieniem na wschód, skąpany w oślepiającym złocie podnoszącego się słońca.

– Przybyłem z Wysp.

– Czyżby? – mężczyzna spojrział na niego z nagłym zainteresowaniem. Czarne brwi ściągnęły się nad gniewnymi oczami, a wąska warga uniosła nieprzyjemnie.

– A więc jesteś jednym z tych barachańskich kundli.

Na ustach Conana pojawił się ledwo widoczny uśmiech.

– I wiesz kim jestem? – dopytywał kapitan.

– Ten statek to „Darmozjad”. Ty więc musisz być Zaporavo.

– A tak! – mruknął zadowolony.

Przybysz go znał, co polectało próżność dowódcy statku. Był równie wysoki jak Conan, chociaż szczuplejszej budowy. Osłonięta hełmem twarz była ciemna, posępna i podobna do drapieżnego ptaka, dlatego ludzie nazywali go Jastrzębiem. Jego zbroja i odzienie były wystawne i bogato zdobione, jak nakazuje obyczaj zingarskiej elity. Ręka kapitana wciąż spoczywała na rękojeści miecza.

Taksował Conana dość nieprzyjaznym wzrokiem. Niewiele ciepłych uczuć było między zingarskimi renegatami a banitami, którzy opanowali Wyspy Baracha na południe od wybrzeży Zingary. Ludzie ci byli zazwyczaj marynarzami z Argos, z małą domieszką innych narodowości. Napadali na statki i nękali nadbrzeżne miasta, podobnie jak zingarscy korsarze. Ci jednak uszlachetniali swoją profesję, nazywając się Wolnymi Grabieżcami, podczas gdy Barachan określali mianem piratów. Nie pierwsi i nie ostatni usiłowali znaleźć lepszą nazwę dla zwykłego złodziejstwa.

Właśnie o tym myślał Zaporavo, kiedy bawił się rękojeścią miecza i zerkał na nieproszonego gościa. Sam Conan był nieprzenikniony. Stał ze skrzyżowanymi ramionami tak spokojnie, jakby znajdował się na własnym pokładzie. Delikatny uśmiech błąkał się po jego twarzy, a spojrzenia nie mącił żaden niepokój.

– Co tu robisz? – zapytał szorstko Wolny Grabieżca.

– Musiałem opuścić pewne spotkanie w Tortage wczoraj o zmroku – odparł Conan. – Łódź, którą wziąłem, okazała się nieszczelna i przez całą noc na zmianę wiosłowałem i wylewałem wodę. O świcie ujrzałem wasze maszty i pozwoliłem zatonać tej nędznej balii, gdyż łatwiej mi było płynąć wpław.

– W tych wodach są rekiny – mruknął Zaporavo i poczuł się nieco zirytowany wzruszeniem ramion, które zobaczył w odpowiedzi.

Rzut oka na śródkręcie wystarczyło, by dojrzeć gniewne twarze patrzących w górę marynarzy. Jedno słowo i wskoczyliby na rufę z łoskotem mieczy, powalając nawet tak dzikiego wojaka, jakim zdawał się być nieznajomy.

– Dlaczego miałbym zawracać sobie głowę każdym bezimiennym włóczęgą, jakiego wyrzuci morze? – warknął Zaporavo, a jego postawa i gesty były bardziej obraźliwe niż jego słowa.

– Każdy statek powinien być schronieniem dla zabłąkanego żeglarza – odparł niezrażony przybysz.

Zaporavo spojrział gniewnie, wiedząc, że to prawda. Zawahał się, co przesądziło o jego klęsce. Naturalnie nie mógł jeszcze o tym wiedzieć, ale w tej właśnie chwili stracił swój statek, dziewczynę i życie. Póki co Conan był dla niego tylko kolejnym łajdakiem, wyrzuconym, jak dobrze to ujął, przez morze. Nie podobał mu się, choć przecież nie sprowokował go w żaden sposób. W jego zachowaniu nie było wzgardy, ale jak na gust Zaporavo, był zbyt pewny siebie.

– Będziesz na siebie pracował – warknął Jastrząb. – Zejdź z rufy. I pamiętaj, tu jedynym prawem jest moja wola.

Uśmiech zdawał się rozszerzać cienkie wargi Conana. Bez wahania, ale i bez pośpiechu odwrócił się i zszedł na śródkręcie. Nie obejrzał się na Sanchę, która z uwagą przysłuchiwała się tej krótkiej konwersacji.

Kiedy zszedł na pokład, otoczyli go na wpół nadzy Zingarczycy. Ich krzykliwe, jedwabne szaty były poplamione smołą, w kolczykach i na rękojeściach sztyletów błyszczwały klejnoty. Byli gotowi urządzić obcemu

uświęcony tradycją chrzest, w którym będzie mógł pokazać, ile jest wart i który zdecyduje o jego statusie wśród załogi. Na rufie Zaporavo zapomniał już, jak się zdawało, o istnieniu obcego, ale Sancha wciąż obserwowała go w napięciu. Znała ten rytuał i wiedziała, że będzie brutalny i krwawy.

Conan nie był jendak nowicjuszem. Uśmiechnął się nieznacznie, kiedy zszedł na śródkręcie i ujrzał groźne postacie napierające na niego agresywnie. Zatrzymał się i patrzył na krąg nieodgadnionym wzrokiem. Był to niepisana umowa – gdyby zaatakował kapitana, do gardła rzuciłaby mu się cała załoga. W tej jednak sytuacji walczył będzie przeciw jednemu marynarzowi.

Mężczyzna wybrany do tego celu rzucił się naprzód. Twardy brutal, z purpurową chustą przewiazaną na głowie jak turban. Miał wystający, wąski podbródek, a jego porwana bliznami twarz wyrażała samo zło. Rzucał pogardliwe spojrzenia i wykonywał obraźliwe gesty. Usiłował prowokować Conana w sposób równie prymitywny, jak on sam.

– Baracha... co? – zadrwił. – To tam z psów robią ludzi! My w Bractwie plujemy na nich, o tak!

Splunął w twarz Conana i sięgnął po miecz.

Ruch wyspiarza był jak mgnienie oka i jego pięść, niczym młot, ze straszliwą siłą uderzyła w szczękę dręczyciela. Zingarczyk wystrzelił w powietrze i zwałił się nieopodal burty.

Conan zwrócił się do reszty. Poza sennym błyskiem w oczach, jego postawa wciąż była niewzruszona. Nikt więcej nie próbował go prowokować. Żeglarze podnieśli swego towarzysza. Jego złamana szczęka zwisała luźno, a głowa kiwała się nienaturalnie.

– Na Mitrę, ma złamany kark! – zaklął morski zbój o czarnej brodzie.

– Wy, Wolni Grabieżcy, jesteście rasą o słabych kościach – zaśmiał się pirat. – Dla nas, Barachan, takie uderzenie to jak pieszczota dziwki. Dalej chcecie pasować się na miecze? Kto jest chętny? Nikt? A więc wszystko w porządku i jesteśmy przyjaciółmi, tak?

Marynarze przytaknęli. Mocne ramiona wyrzuciły trupa za burtę, a kiedy zatonął, tuzin płetw pojawił się na powierzchni. Conan roześmiał się, wyciągnął mocarne ramiona i przeciągając się jak wielki kot, szukał wzrokiem górnego pokładu. Sancha przechylała się przez balustradę, jej czerwone usta były rozchylone, a czarne oczy jaśniały ciekawością. Słońce poza nią obrysowywało jej giętką figurę poprzez cienką tunikę, która stała

się przezroczyście w jego blasku. Wtedy spadł na nią gniewny cień Zaporavo i ciężka ręka spoczęła zaborczo na jej szczupłym ramieniu. Posłał człowiekowi na pokładzie gniewne spojrzenie. Conan wyszczerzył zęby w odpowiedzi, jak gdyby usłyszał znany sobie żart.

Zaporavo popełnił błąd właściwy wielu autokratom – stojąc na rufie, upajał się niepodzielną władzą i nie docenił człowieka poniżej. Miał okazję zabić Conana i nie wykorzystał jej, pogrążony w ponurych przemyśleniach. Nie przeszłoby mu przez myśl, że którykolwiek z psów pod jego stopami jest dla niego zagrożeniem. Był ich wodzem od tak dawna i rozgniół tylu wrogów, że czuł się nietykalny.

Jednak Conan w istocie nie sprowokował go w żaden sposób. Wmieszał się w załogę, żył i upijał się z marynarzami. Okazał się zdolnym żeglarzem i zdecydowanie najsilniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znali. Pracował za trzech i zawsze pierwszy podejmował się trudnych i niebezpiecznych zadań. Jego towarzysze zaczęli na nim polegać. Unikał konfliktów, a i oni nie szukali zwady. Oddawał się hazardowi, zastawiając swój pas i miecz. Wygrywał ich pieniądze i broń, ale oddawał im je ze śmiechem. Załoga zaczęła dostrzegać w nim przywódcę pokładu. Nikomu nie powiedział, dlaczego musiał uciec z Wysp Baracha, ale świadomość, że mógł być zdolny do czynów tak krwawych, by zostać wygnanym z tej dzikiej bandy wzmacniała tylko szacunek, jakim darzyli go Wolni Grabieżcy. Pozostawał niewzruszenie uprzejmy wobec Zaporavo i swych towarzyszy. Nigdy nie okazywał pogardy, ale nie był też służalczy.

Wszystkich uderzał kontrast pomiędzy szorstkim, upartym i ponurym kapitanem a pogodnym piratem, który wyśpiewywał sprośne piosenki w dziesiątkach języków, żłopał piwo jak pijak i, jak się zdawało, nie myślał o przyszłości.

Gdyby Zaporavo wiedział, że jest porównywany z człowiekiem stojącym przy maszcie, odebrałoby mu mowę ze zdumienia i gniewu, ale był zbyt pogrążony we własnych rozmyśleniach, które z upływem lat stawały się coraz bardziej ponure, i marzeniach o potędze. Jego uwagę zaprzętała także dziewczyna, której posiadanie nie dawało mu pełnej satysfakcji, podobnie jak nie dawała mu jej żadna inna przyjemność.

A ona coraz częściej spoglądała na olbrzyma o czarnych, zmierzwionych włosach, który górował nad swymi towarzyszami zarówno w pracy, jak i zabawie. Nigdy nie odezwał się do niej słowem, ale płomień jego

spojrzenia był jednoznaczny. Odczytała go właściwie i zastanawiała się, czy poważałaby się uwieść pirata.

Niewiele czasu minęło, od kiedy opuściła pałac Kordavy, ale zdawało się, że było to wieki temu i niemal zapomniała o swoim dawnym życiu, które wiodła, zanim Zaporavo wyciągnął ją krzyczącą z płonącej karaweli, plądrowanej przez jego wilki. Ona, która była rozpuszczoną i rozpieszczoną córką diuka Kordavy, nauczyła się, jak żyć z korsarzami. Nie załamała się i nie umarła, co pewnie stałoby się udziałem innych kobiet, a nawet odnalazła przyjemność w tej egzystencji.

A nie było to życie łatwe ani beztroskie – pośród wojen, rozbojów, mordów i wiecznych ucieczek. Jeszcze bardziej niepewnym czyniły je krwawe wizje Zaporavo. Nikt nie wiedział, co zaplanuje w następnej kolejności. Teraz na przykład znajdowali się z dala od wszystkich znanych lądów i kierowali się coraz dalej i dalej, w kierunku nieznanymi, wzburzonych bezkresów, których wszyscy unikali, a jeśli już ktoś się tam zapuszczał, to tylko po to, by zniknąć na zawsze z ludzkich oczu. Wszystkie znane lądy i miasta, które można byłoby złupić, były daleko, od dawna też nie napotkali żadnego statku, by go splądrować i spalić. Ludzie zaczęli szeptać między sobą, ale uważali, by ich niezadowolenie nie dotarło do uszu bezlitosnego wodza, który włóczył się po rufie dniem i nocą w mrocznym majestacie lub ślęczał nad starożytnymi kartami i pożółkłymi pod wpływem czasu mapami, bądź wczytywał się w rozlatujące się ze starości pergaminy. Czasami opowiadał Sanchy o zaginionych kontynentach i cudownych, nieodkrytych wyspach, drzemających pośród błękitnej piany bezimiennych zatok, gdzie rogate smoki pilnowały skarbów zgromadzonych przez praludzkie królów dawno, dawno temu. Sanchy wydawało się to szaleństwem. Nic z tego nie rozumiała, ale udawała, że słucha, oplatając ramiona wokół swych szczupłych kolan, a jej myśli uciekały do ogorzałego olbrzyma o mocarnych kończynach, którego śmiech był porywisty jak morski wiatr.

W końcu, po wielu długich tygodniach żeglugi, ujrzeli ląd na zachodzie i o brzasku zakotwiczyli w płytkiej zatoce. Plaża niczym biała wstążka oplatała niezmiernie, łagodne trawiaste wzgórza, ukryte pośród zielonych drzew. Wiatr przyniósł zapach świeżej roślinności i ziół. Sancha klasnęła w dłonie z zapalem, na myśl o spacerze po twardym lądzie. Nadąsała się jednak, kiedy Zaporavo kazał jej zostać na pokładzie, dopóki po nią nie pośle. Nigdy nie tłumaczył się ze swoich rozkazów, dlatego nie wiedziała,

czym się kieruje. Czasem też, kiedy wstępował w niego diabeł, ranił ją bez powodu.

Zaległa więc obrażona na rufie i patrzyła, jak mężczyźni wiosłują do brzegu poprzez spokojne wody, które błyszcząły w porannym słońcu jak płynny jadeit. Wyszli na piasek i skradali się podejrzliwie, z przygotowaną do ataku bronią. Kilku z nich rozproszyło się między drzewami, które rosły na granicy plaży. Wśród nich był Conan. Trudno było go z kimś pomylić. Ludzie mówili, że nie był ani trochę cywilizowany, że był Cymmeryjczykiem, jednym z tych barbarzyńskich tubylców, którzy zamieszkiwali szare wzgórza dalekiej północy, a których najazdy wzbudzały przerażenie w południowych sąsiadach. Przynajmniej wiedziała, że jest w nim jakaś potężna, barbarzyńska witalność, która odróżniała go od załogi statku.

Wzdłuż brzegu niesły się pokrzykiwania zwiadowców, zapewniających, że plaża jest bezpieczna. Korsarze rozproszyli się po plaży w poszukiwaniu owoców. Zobaczyła, jak wspinają się na drzewa. Oblizła z apetytem piękne usta. Tupnęła małą nóżką i zakłęła z mistrzostwem równym jej towarzyszom z okrętu.

Mężczyźni na brzegu objadali się zerwanymi owocami, gustując specjalnie w nieznanym gatunku o złotej skórce. Ale Zaporavo nie było wśród nich. Kiedy zwiadowcy nie znaleźli nic, co wskazywałoby na obecność ludzi lub zwierząt w sąsiedztwie, wstał, patrząc w głąb lądu na długie pasma trawiastych wzgórz zlewających się ze sobą. Powiedział coś niewyraźnie, poprawił pas i wkroczył między drzewa. Jeden z towarzyszy odradzał mu, by szedł sam, ale został nagrodzony dzikim ciosem w usta. Zaporavo miał powody, by iść samemu. Chciał sprawdzić, czy to o tej wyspie wspomiano w tajemniczej Księdze Skelos, gdzie bezimienni mędrcy poświadczali, że dziwne potwory pilnowały krypt, pełnych pokrytego hieroglifami złota. Z własnych mrocznych powodów nie chciał też z nikim dzielić się tą wiedzą, gdyby okazała się prawdziwa. Zwłaszcza z własną załogą.

Sancha, spoglądając z zainteresowaniem z rufy, widziała jak znika za ścianą drzew. I zobaczyła też jak Conan odwraca się i zerka szybko na ludzi rozsianych po całej plaży, po czym w pośpiechu podąża za Zaporavo i również znika w gąszczu.

Sanchę rozpierała ciekawość. Mężczyźni długo nie wracali. Marynarze krążyli bez celu po plaży. Niektórzy zapuszczali się w głąb lasu. Wielu

z nich po prostu zasnęło w cieniu. Czas mijał i słońce zaczęło prażyć, pomimo baldachimu rozpiętego nad rufą. Było gorąco i cicho, a czas płynął jak leniwa rzeka. Parę jardów od niej, za wstęgą błękitnej płytkiej wody, kusiła ją chłodna, cienista tajemnica otoczonej drzewami plaży i upstrzonej kwiatami łąki. Przede wszystkim jednak chciała dowiedzieć się, gdzie podzieli się Zaporavo i Conan.

Dobrze знаła karę za nieposłuszeństwo, więc siedziała przez jakiś czas, wiercąc się niezdecydowanie. W końcu uznała, że dla zaspokojenia ciekawości warto przecierpieć tych parę batów od Zaporavo. Zrzuciła delikatne, skórzane sandały, zrzuciła tunikę i naga stanęła na pokładzie. Zeszła do wody, trzymając się łańcucha kotwicznego przy burcie i popłynęła do brzegu. Kiedy stanęła na piasku zauważyła, że większość korsarzy pogrążona była w głębokim śnie, wciąż trzymając w dłoniach kawałki złotych owoców. Zastanowiło ją, czemu wszyscy posnęli tak głęboko o tak wczesnej porze.

Nikt jej nie zatrzymał, kiedy przekroczyła granicę lasu. Odkryła, że drzewa rosły w nieregularnych kępach, pomiędzy którymi rozciągał się falujący bezmiar podobnych łąkom wzgórz. Kiedy zagłębiała się w łąd, oczarowały ją rozciągające się przed nią łagodnie zielone pejzaże i wyściełane zieloną murawą pagórki. Wszystko zdawało się zlewać we wszechogarniającej zieleni, a nad wszystkim, niczym zakłęcie, panowała senna cisza.

Nagle, kiedy wyszła na szczyt jednego ze wzgórz, otoczonego wysokimi drzewami, senna, nierzeczywiste wrażenie pierzchnęło brutalnie. Sancha krzyknęła mimowolnie i cofnęła się, a potem drżąc na całym ciele, pobiegła w kierunku czerwonej i zdeptanej trawy. Na murawie leżał z otwartą raną w piersi Zaporavo, patrząc w górę szklistymi oczyma. Miecz leżał obok nieruchomej dłoni. Jastrząb zakołował po raz ostatni.

Nie należy sądzić, że Sancha patrzyła na ciało swojego pana bez emocji. Nie miała żadnego powodu, by go kochać, ale zdążyła się do niego przywiązać, poza tym był pierwszym mężczyzną, który ją posiadł. Nie płakała, ale wstrząsały nią dreszcze, a krew zdawała się krzepnąć w jej żyłach. Była bliska omdlenia.

Rozejrzała się, szukając mężczyzny, którego spodziewała się ujrzeć, ale wokół rosły tylko wielkie drzewa, a za nimi rozciągały się błękitne wzgórza. Czy zabójca Wolnego Grabieżcy powlókł się gdzieś, śmiertelnie ranny? Nie widziała jednak żadnej krwawej smugi.

Zdumiona, omiotła wzrokiem otaczające zarośla. Nagle zamarła, słysząc szelest szmaragdowych liści. To nie mógł być wiatr. Podeszła w stronę ściany lasu.

– Conan?! – zawołała pytająco.

Jej głos zabrzmiał dziwnie słabo w przepastnej ciszy. Ogarnęła ją panika, a kolana poczęły drżeć.

– Conanie! – krzyknęła desperacko. – To ja, Sancha! Gdzie jesteś? Proszę cię, Conanie... – jej głos nagle zamarł.

Niewyobrażalne przerażenie rozszerzyło jej brązowe oczy. Czerwone usta rozwarły się w nieartykułowanym krzyku. Paraliż dotknął jej członków. Choć z całych sił pragnęła uciekać, nie mogła się ruszyć. Mogła wydać z siebie tylko niemy krzyk.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy Conan zobaczył, jak Zaporavo udaje się samotnie w głąb lasu, poczuł, że nadeszła szansa, na którą czekał. Nie zjadł żadnego owocu ani nie przyłączył się do brutalnych zabaw towarzyszy. Wszystkie jego zmysły skupione były na kapitanie korsarzy. Przyzwyczajeni do humorów Zaporavo żeglarze nie byli zaskoczeni faktem, że ich kapitan zdecydował się samotnie zbadać nieznany i prawdopodobnie wrogi teren wyspy. Wrócili do własnych rozrywek i nie zauważyli Conana, który prześlizgnął się za hersztem jak tropiąca pantera.

Conan wiedział, że cieszy się poważaniem wśród załogi. Ale nie był jeszcze na tyle silny, by wyzwać kapitana na śmiertelny pojedynek. Na pustych morzach nie było okazji, by mógł, zgodnie z prawem Wolnych Grabieżców, wykazać się w walce. Załoga zwróciłaby się jednoznacznie przeciw niemu, gdyby zaatakował wodza otwarcie, ale wiedział, że potajemne zabicie Zaporavo, spowoduje, że załoga szybko mu się podporządkuje, przecież nikt z nich nie był na tyle głupi, by walczyć za martwego człowieka. W takich wilczych hordach liczą się tylko żywi.

Podążył więc za Zaporavo z mieczem w dłoni i zapalem w sercu. Wyszli na otoczone wysokimi drzewami wzniesienie. Krajobraz w dali zlewał się w jednolitą, zieloną otchłań. Na środku polany pod wzgórzem Zaporavo zdał sobie sprawę, że jest śledzony. Odwrócił się z dłonią na rękojęści i zaklął.

– Ty psie, dlaczego za mną idziesz?

– Jesteś tak aż głupi, że musisz pytać? – zaśmiał się Conan, podchodząc szybko do kapitana. Uśmiechał się drwiąco, a w jego oczach błyszczał dziki płomień.

Zaporavo wydarł miecz z pochwy z dzikim przekleństwem i rozległ się szcęk żelaza, kiedy Conan zaatakował go całkiem otwarcie. Ostrze świstało wokół jego głowy w wirze błękitnego płomienia.

Zaporavo był weteranem tysiąca bitew na morzu i na lądzie. Nie było na ziemi człowieka dogłębniej i wszechstronniej wyszkolonego w sztuce walki, ale nigdy nie stanął przeciw ostrzu władanym przez ręce wychowanka dzikich krain poza granicami cywilizacji. Jego kunszt musiał

stawić czoła oślepiającej prędkości i sile, nieosiągalnej dla człowieka cywilizowanego. Conan nie kierował się wyuczonym fechtunkiem, lecz podążał za instynktem, jak szary wilk. Wyuczony warsztat wojenny był bezużyteczny wobec jego pierwotnej furii, tak jak zdolność do walki na pięści jest bezsilna wobec dzikości pantery.

Walcząc jak nigdy przedtem, do utraty tchu, usiłując odparowywać ostrze, które migotało jak błyskawica wokół jego głowy, zdesperowany Zaporavo poczuł nagle, że całe jego ramię staje się bezwładne od straszliwego ciosu. Po tym uderzeniu natychmiast nastąpiło następne, o tak straszliwej sile, że rozdarło kolczugę i żebra kapitana jak pergamin, dosięgając serca. Usta Zaporavo wykrzywiły się w krótkiej agonii, ale duma nie pozwoliła mu wydać żadnego dźwięku. Był martwy, zanim jego ciało runęło na zdeptaną trawę, na której krople krwi błyszcząły w słońcu jak porozrzucane rubiny.

Conan strząsnął z miecza krew, wyszczerzył się z radością, przeciągnął jak wielki kot... i nagle zeszytniał, a wyraz satysfakcji zastąpiło oszołomione spojrzenie. Stał jak posąg, a miecz w jego dłoni zwisał bezwładnie.

Kiedy odwrócił wzrok od martwego wroga, rozejrzał się beznamyślnie po okolicznych drzewach. I dojrzał coś absolutnie niezwykłego, na pograniczu sennego marzenia i koszmaru. Za łagodnymi wierzchołkami zielonych, odległych wzgórz dojrzał nagą, wysoką, czarną postać, trzymającą w ramionach inną nagą, lecz białą istotę. Zjawa zniknęła równie nagle jak się pojawiła, pozostawiając obserwatora bez tchu.

Conan rozejrzał się, spojrzawszy niepewnie w stronę drogi, którą przyszedł i zaklął. Był skonsternowany, o ile ten termin mógł odnosić się do kogoś o tak stalowych nerwach jak on. W tej jak najbardziej rzeczywistej, choć nieco egzotycznej okolicy, nagle pojawiło się coś na kształt widma. Conan zwątpił zarówno w swe zmysły, jak i w swój rozsądek. To, co widział, było niezwykle osobliwe. Sam fakt, że czarna postać niosąca białego jeńca poruszała się tak, jakby płynęła, był dostatecznie dziwny, ale na dodatek osobnik ten był nienaturalnie wysoki. Potrząsając głową z powątpiewaniem, Conan ruszył w kierunku tego egzotycznego osobnika. Nie zastanawiał się, czy to rozsądna decyzja. Kierująca nim ciekawość była tak silna, że nie miał wpływu na własny wybór i musiał podążać za jej podszeptami.

Przemierzał wzgórze za wzgórzem. Każde z nich miało równą murawę i porośnięte było kępami drzew. Właściwie szedł wciąż pod górę, chociaż

między pagórkami schodził do płytkich dolin. Droga była monotonna i zdawała się nie kończyć. Jednak wreszcie dotarł do czegoś, co wyglądało jak najwyższe wzniesienie. Zatrzymał się, bowiem błyszcząły przed nim zielone mury i wieże, które niewidoczne były z oddali, bo stapiały się doskonale z zielonym pejzażem.

Zawahał się, ale po chwili dotknął miecza i gnany ciekawością ruszył naprzód. Doszedł do zakola muru i dostrzegł w nim wysoki łuk, w którym nie było wrót. Nie widział też żadnych ludzi. Zerknął ostrożnie przez bramę i ujrzał szeroki, otwarty dziedziniec, porośnięty trawą i otoczony przez okrągłe ogrodzenie z zielonej, na wpół przezroczystej substancji. Wychodziło z niego wiele bram. Podchodząc na palcach z mieczem w pogotowiu, wybrał losowo jedną z nich i znalazł się na kolejnym, podobnym dziedzińcu. Nad owym wewnętrznym ogrodzeniem widniały iglice dziwnych budowli, podobnych do wież, lecz o niespotykanych kształtach. Jedna z nich była wbudowana w mur. Prowadziły do niej szerokie schody, po których poszedł na górę, zastanawiając się, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy też za sprawą czarnego lotosu znajduje się w jakimś narkotycznym śnie.

Doszedł do obudowanego tarasu, bądź balkonu. Mógł teraz dostrzec więcej szczegółów architektonicznych baszt, które widział z dołu. Nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego. Z niepokojem zdał sobie sprawę, że nie mógł ich zbudować człowiek. W ich kształcie widać było symetrię i plan, ale symetria wydawała się być obłąkańcza, a plan obcy ludzkiemu rozsądkowi. Rozkład całego miasta, zamku, czy cokolwiek to było, również był zadziwiający. Zobaczył ogromną ilość dziedzińców, zazwyczaj okrągłych, otoczonych oddzielnymi murami i połączonych otwartymi bramami. Całość, jak się zdawało, gromadziła się wokół stojących pośrodku fantastycznych wież.

Spojrzał w drugą stronę i zamarł. Schylił się instynktownie, patrząc w osłupieniu.

Był powyżej przeciwległego muru i zaglądał w głąb innego trawiastego dziedzińca. Wewnętrzne zagięcie jego ogrodzenia było inne niż te, które widział poprzednio. Nie było gładkie, tylko poprzecinane długimi linami czy też listwami, pełnymi małych przedmiotów, których natury nie potrafił określić.

Nie to jednak zwróciło jego uwagę, ale istoty, które przycupnęły wokół ciemnozielonej sadzawki pośrodku dziedzińca. Stworzenia te były czarne

i nagie, o ludzkich kształtach, ale najmniejsze z nich w postawie stojącej przewyższało o głowę i ramiona najwyższego pirata. Ich sylwetki były smukłe i niezwykle proporcjonalne, bez śladów żadnej deformacji, jeśli nie liczyć ich wielkiego wzrostu, jednak nawet z tej odległości Conan mógł dostrzec ich diaboliczne rysy.

Między nimi stał skulony i nagi chłopak, w którym Conan rozpoznał najmłodszego żeglarza z pokładu „Darmozjada”. To on więc był niesionym przez demona jeńcem, którego dostrzegł na porośniętym trawą wzgórzu. Conan nie słyszał żadnego odgłosu walki, nie zobaczył też śladów krwi ani ran na lśniących hebanowych ciałach olbrzymów. Chłopak musiał zatem zapuścić się w las z dala od swych towarzyszy i został schwytany przez czarnego kolosa przyczajonego w zasadzce. Conan, z braku lepszego określenia, nazwał w myślach te stworzenia czarnymi ludźmi, choć instynktownie pojmował, że nie miał do czynienia z podobnymi sobie istotami.

Nie doszedł do niego żaden dźwięk. Czarni ludzie kiwali głowami i wykonywali różne gesty, ale nie wyglądało to jak rozmowa. Jeden z nich, ten, który siedział przed skulonym chłopcem, trzymał w ręku coś na kształt piszczałki. Włożył to do ust i jak się zdawało dmuchnął. Conan nic nie usłyszał, ale Zingarczyk chyba tak, bowiem skulił się jeszcze bardziej. Trząsł się i skręcał jak w agonii; drgania jego członków niebawem stały się regularne, w końcu rytmiczne, wreszcie przeistoczyły się w gwałtowne szarpnięcia, podobne do spazmów. Młodzian zaczął tańczyć, jak kobra tańczy pod przymusem piszczałki fakira. Nie było w tym jednak nic z przyjemności ani radosnego zapomnienia. Ruchy chłopca przypominały jakiś straszliwy trans, jakby niemy ton piszczałki wydzierał z niego duszę w brutalnych katuszach. Konwulsje młodzieńca przypominały lubieżne spazmy: pożądanie bez przyjemności, ból złączony z chucią. To było jak rozbieranie duszy, podczas którego wszystkie ciemne i najgłębiej skrywane sekrety wywlekane są na zewnątrz.

Conan obserwował to wszystko przepojony obrzydzeniem i wstrząsany mdłościami. On sam, choć równie pierwotny jak szary wilk, nie był nieświadom perwersyjnych sekretów zgniłej cywilizacji. Przemierzył miasta Zamory i poznał kobiety Shadizara Nikczemnika. Ale tu wyczuwał kosmiczne zło, przewyższające zwykłą ludzką degenerację; perwersyjną gałąź Drzewa Życia, rozwijającą się według schematów obcych ludzkiemu pojmowaniu. Był nie tyle wstrząśnięty agonicznymi spazmami

nieszczęsnego chłopca, ile kosmiczną obscenicznością tych istot, które mogły wyciągnąć na światło dzienne przepastne sekrety, drzemiące w nieprzebranych ciemnościach ludzkiej duszy i znajdowały przyjemność w oglądaniu tego, czego nie powinno się oglądać nawet w najgorszych koszmarach.

Nagle czarny kat odłożył puszczalkę i podniósł się, górując nad zwijającą się białą postacią. Chwycił chłopca brutalnie za szyję, obrócił głową w dół i zatopił go w sadzawce. Conan dostrzegł błysk nagiego ciała w zielonej wodzie, kiedy czarny olbrzym trzymał jeńca głęboko pod powierzchnią. Między innymi czarnymi zapanował rwetes, więc schował się szybko za murem balkonu, nie ważąc się podnieść głowy, żeby oprawcy nie zauważyli go.

Ciekawość jednak przeważała i po krótkiej chwili Conan wyjrzał ponownie. Czarni Ludzie przechodzili rzędem na kolejny dziedziniec. Jeden z nich został z tyłu i przymocowywał coś do krawędzi ściany dziedzińca z sadzawką. Barbarzyńca dojrzał, że to ten, który torturował chłopca. Był wyższy niż reszta i nosił wysadzaną klejnotami przepaskę. Po zingarskim chłopcu ślad zaginał. Olbrzym podążył za współplemieńcami i pirat zobaczył, jak wyłaniają się z bramy, przez którą on sam dostał się do zamku, i oddalają rzędem między zielonymi wzgórzami w kierunku, z którego przybył. Nie mieli ze sobą broni, ale Conan czuł, że planowali dalsze napady na Wolnych Grabieżców.

Zanim pobiegł ostrzec korsarzy, chciał jeszcze sprawdzić, jaki los spotkał chłopca. Ciszy nie mącił żaden dźwięk. Conan pomyślał, że wieże i dziedzińce były puste.

Zbiegł szybko po schodach, przemierzył plac i przeszedł pod łukiem do dziedzińca opuszczonego przez Czarnych Ludzi. Teraz mógł dokładnie przyjrzeć się pełnej wnęk ścianie. W twardej kamieniu wyrżnięte były półki, na których stały tysiące małych posągów, najczęściej szarego koloru. Te figurki, nie większe niż dłoń człowieka, przedstawiały ludzi, a były zrobione tak przemyślnie, że Conan mógł rozpoznać w nich cechy różnych ras – rysy typowe dla Zingarczyków, mieszkańców Argos, Ofiryjczyków i kushyckich korsarzy. Te ostatnie były czarne, jak kolor skóry ich modeli. Conan poczuł lekki niepokój, kiedy patrzył na głuche, ślepe posążki – zbyt wiernie oddawały rzeczywistość. Dotykał ich ostrożnie i nie mógł określić, z jakiego materiału zostały wykonane. Przypominały skamieniałą kość; ale

nie mógł przypomnieć sobie, jaki materiał mógłby znajdować się w tym miejscu w takiej ilości, żeby używać go tak rozrzutnie.

Zauważył, że rzeźby przedstawiające znane mu typy stały wszystkie na wyższych półkach. Niższe występy były zajęte przez figurki, których rysy były mu obce. Albo więc ucieleśniały tylko wyobrażenia artysty, albo odzwierciedlały dawno wymarłe i zapomniane typy rasowe.

Potrząsając niecierpliwie głową, Conan podszedł do sadzawki. W okrągłym dziedzińcu nie było żadnych sekretnych komnat; skoro zatem ciało chłopca nie znajdowało się nigdzie na widoku, musiało leżeć na dnie sadzawki.

Zbliżył się do niezmaconego, zielonego kręgu i spojrzął na błyszczącą powierzchnię. Zdawało mu się, że patrzył przez grube, zielone szkło, niezmacone, a jednak dziwnie iluzoryczne. Okrągła jak studnia, obrębiona zielonym jadem sadzawka nie była duża. Spoglądając w dół, mógł dojrzeć zaokrąglone dno, chociaż wydawała się niezwykle głęboka: kiedy spojrzął w głębię, poczuł zawroty głowy, jakby spoglądał w otchłań. Był więc zdumiony, że widzi dno. Wydawało się niemożliwie odległe, iluzoryczne i cieniste, a jednak było widoczne. Chwilami zdawało mu się, że nikła poświata pojawiała się głęboko w jademowatych głębiach, ale nie był tego pewien. Wiedział jednak, że w sadzawce nie było nic poza migoczącą wodą.

Gdzie zatem, na Croma, znajdował się chłopiec, którego tak brutalnie utopiono w tym bajorze? Podnosząc się, Conan dotknął miecza i rozejrzał się wokół dziedzińca. Skoncentrował się na plamce na jednej z wyższych półek. To tam postawił coś ten najwyższy czarny... I nagle zimny pot oblał ogorzałe plecy barbarzyńcy.

Niezdecydowanie, ale jakby przyciągany niewidzialną siłą, Conan zbliżył się do błyszczącej ściany. Porażony podejrzeniem zbyt potwornym, by mogło zostać wypowiedziane, spojrzął na ostatnią figurkę na półce. Straszliwe podobieństwo było oczywiste. Kamienna, nieporuszona skarłała twarz zingarskiego chłopca patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem. Conan cofnął się, wstrząśnięty do samych podstaw człowieczeństwa. Jego miecz zwisał w sparaliżowanej dłoni, kiedy tak patrzył, z rozdziawionymi ustami, ogłuszony świadomością zbyt straszliwą, by mógł ogarnąć ją ludzki umysł.

Fakt był jednak niekwestionowany: to właśnie był sekret karłowatych figurek. Conan nie spodziewał się wszelako, że za tą tajemnicą skrywała się

inna, jeszcze mroczniejsza, dotycząca samego ich istnienia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Conan nie wiedział, jak długo stał tam pogrążony w rozmyślaniach, przyprawiających go o zawrót głowy. Z osłupienia wyrwał go kobiecy głos. Krzyki słychać było coraz bliżej. Barbarzyńca rozpoznał ten głos i jego paraliż pierzchnął momentalnie.

Niczym kozica wskoczył na wąskie półki, gdzie zawisł, przewracając zgromadzone tam figurki. Kolejny skok i znalazł się po zewnętrznej stronie muru, na zielonej łące otaczającej zamek.

Po trawie nieopodal kroczył czarny gigant, niosąc pod pachą wijącą się brankę, z łatwością człowieka niosącego zbuntowane dziecko. Była to Sancha; jej czarne włosy opadały w nieładzie, a oliwkowa skóra wyróżniała się na tle hebanowej skóry porywacza. Przeszedł przez zewnętrzną bramę, nie zwracając uwagi na jej wierzganie i krzyki.

Kiedy zniknął w środku, Conan skoczył na złamanie karku w dół muru i wślizgnął się w bramę, wychodzącą na dalszy dziedziniec. Przycisnął się tam i zobaczył, jak olbrzym wchodzi na dziedziniec z sadzawką. Teraz mógł dokładnie mu się przyjrzeć.

Pyszna symetria jego ciała i członków była z bliska jeszcze bardziej imponująca. Pod hebanową skórą piętrzyły się długie, okrągłe mięśnie i Conan nie wątpił, że potwór mógł rozedrzeć wpół zwykłego człowieka. Paznokcie były kolejną bronią, gdyż rosły jak szpony dzikiej bestii. Jego twarz była niczym rzeźbiona, hebanowa maska. Oczy miały kolor drżącego złota. Twarz jednak była zdecydowanie niehumanoidalna – każdy rys, każdy mięsień przesiąknięty był złem bardziej przerażającym, niż całe zło ludzkości. To nie mógł być człowiek, tylko jakiś perwersyjny wybryk natury.

Olbrzym cisnął Sanchę na murawę. Dziewczyna czołgała się, krzycząc z bólu i przerażenia. Rzucił okiem dookoła i jego piwne oczy zwięzły się, kiedy spoczęły na poprzestawianych i przewracanych figurkach na półce. Wtedy pochylił się, chwycił swoją brankę za szyję i krocze, po czym ruszył w stronę zielonej sadzawki. Conan wślizgnął się z bramy i popędził jak śmiertelny wiatr.

Kolos odwrócił się i jego oczy zapłonęły, kiedy ujrzał ogorzałego mściciela, pędzącego w jego kierunku. Był tak zaskoczony, że jego okrutny uchwyt zelżał i Sancha wypadła z jego rąk na trawę. Szponiaste ręce wystrzeliły w kierunku Conana, ale ten uchylił się przed ich uderzeniem i wbił swój miecz w pachwinę olbrzyma. Czarny olbrzym upadł jak ścięte drzewo, tryskając krwią. Sancha podskoczyła i histerycznie zacisnęła ramiona wokół masywnej szyi barbarzyńcy.

Uwolnił się błyskawicznie z jej objęć, ale szczęśliwie jego przeciwnik był już martwy. Piuwe oczy przeszklily się, a długie hebanowe członki przestały drgać.

– Ach, Conanie! – łkała Sancha, przywierając do niego nieustępliwie. – Co z nami będzie? Co to za potwory? Na pewno jesteśmy w piekle, a to był diabeł...

– W takim razie piekło potrzebuje nowego diabła – Conan wyszczerzył się w dzikim grymasie. – Ale jak on cię złapał? Przejęli statek?

– Nie wiem – usiłowała otrzeć łzy w koszulę i wtedy przypomniała sobie, że jest naga. – Wyszłam na brzeg. Widziałam, że poszedłeś za Zaporavo, a ja poszłam za wami. Odkryłam że Zaporavo... Czy... Czy to ty...

– Ktoś jeszcze poszedł za nami? – warknął. – Co było dalej?

– Zobaczyłam ruch między drzewami – wzdrygnęła się. – Myślałam, że to ty. Wołałam cię... I wtedy zobaczyłam to... Tego czarnego potwora zaczajonego jak małpa między gałęziami. Gapił się na mnie. To było jak koszmar, nie mogłam się ruszyć. Jedyne, co mogłam zrobić, to krzyczeć. I wtedy on zeskoczył z drzewa i pochwycił mnie... Ach, ach, ach! – ukryła twarz w dłoniach i zatrzęsała się na nowo na wspomnienie koszmaru.

– Cóż, musimy się stąd wydostać – huknął, chwytając ja za nadgarstek. – Chodź za mną. Musimy dotrzeć do załogi...

– Kiedy zagłębiłam się w las, większość z nich spała na plaży – powiedziała.

– Spali? – wykrzyknął wściekły – Jak to, do ciężkiej cholery, spali?! Na ogień piekielny i wieczne potępienie...

– Posłuchaj! – dziewczyna zastygła nagle i zbladła.

– Tak, słyszałem ten jękliwy krzyk! – uciał Conan. – Poczekaj!

Ponownie wspiął się po półkach i spojrział za mur. Rzucił przekleństwo z taką furią, że nawet Sancha była zaskoczona. Czarni Ludzie wracali, ale nie byli sami. Każdy z nich niósł człowieka, niektórzy nawet dwóch. Ich jeńcami byli Wolni Grabieżcy. Wisieli bezwładnie w ramionach porywaczy

i jeśli nie liczyć pojedynczych, nieuchwytnych ruchów, mogłoby się zdawać, że umarli. Zostali rozbrojeni, ale nie rozebrani. Jeden z czarnych niósł ich miecze w pochwach, wielki ładunek błyszczącego żelaza. Od czasu do czasu któryś z żeglarzy krzychał coś niewyraźnie jak pijak wrzeszczący w delirycznym śnie.

Conan rozejrzał się wokół jak wilk w pułapce. Trzy łuki prowadziły poza dziedziniec z sadzawką. Czarni Ludzie wyszli przez wschodnią bramę i wrócą pewnie tą samą drogą. On sam wszedł od strony południa. Schował się w zachodniej bramie i nie miał czasu sprawdzać, co się za nią znajdowało. Nie znał planu zamku, ale szybko musiał podjąć decyzję.

Zeskakując ze ściany w dzikim pośpiechu, ustawił na miejscu figurki, a truchło czarnego wrzucił do sadzawki. Obserwował, jak tonie, kurczy się i twardnieje. Wstrząśnięty odwrócił się, chwycił Sanchezę za ramię i poprowadził ją w kierunku południowej bramy. Dziewczyna błagała go, by powiedział, co się dzieje.

– Złapali załogę – odpowiedział szybko. – Nie mam żadnego planu, ale skryjemy się tu gdzieś i będziemy czekać. Jeśli nie zajrzą do sadzawki, nie będą wiedzieli, że tu jesteśmy.

– Ale zobaczą krew na trawie!

– Może pomyślą, że to któryś z ich demonów ją rozlał – odparł. – Trudno, musimy zaryzykować.

Znajdowali się na dziedzińcu, z którego wcześniej Conan obserwował męki chłopca. Poprowadził ją szybko w górę schodów i zmusił, by schowała się za balustradą balkonu. Nędzna to była kryjówka, ale jedyna, jaką mogli znaleźć.

Ledwo się tam znaleźli, Czarni Ludzie wkroczyli na dziedziniec. U stóp schodów rozbrzmiał donośny brzęk i Conan zeszywniał, chwytając za miecz. Ale minęli bramę. Słychać było teraz serię dudnień i jęków – olbrzymi rzucali ofiary na murawę. Histeryczny chichot podchodził Sanchy do gardła. Conan szybko zakrył jej usta dłonią, zanim mogłaby ich zdradzić.

Po chwili usłyszeli tupot wielu stóp na trawniku i zapadła cisza. Conan wyjrzał ponad mur. Dziedziniec był pusty. Czarni Ludzie zgromadzili się wokół sadzawki. Zdawali się nie zauważać rozległych śladów krwi na trawie i jadeitowej krawędzi studni. Jak widać, krwawe ślady nie były niczym niezwykłym. Nie zajrzeli także do sadzawki. Byli pogrążeni

w jakimś własnym, niewytłumaczalnym transie; najwyższy grał na złotych piszczałkach, a jego towarzysze słuchali, zastygli jak hebanowe posągi.

Biorąc Sanchę za rękę, Conan prześlizgnął się w dół schodów, garbiąc się tak, by jego głowa nie wystawała ponad mur. Kuląca się dziewczyna podążyła za nim, patrząc ze strachem na bramę prowadzącą do dziedzińca z sadzawką, ale póki co, nic nie widziała. U stóp schodów leżały miecze Zingarczyków. To stąd wziął się brzęk, który słyszeli na górze.

Conan pociągnął Sanchę w kierunku południowo-zachodniej bramy. Cicho przeszli po trawniku i wyszli na dziedziniec po drugiej stronie. Złożono tu w bezładzie wszystkich Wolnych Grabieżców. Ich złote kolczyki błyszczały w słońcu. Tu i ówdzie któryś z nich poruszył zjeżonym wąsem albo jęczał niespokojnie. Conan pochylił się nad nimi, a Sancha przyklękła obok niego, składając ręce na udach.

– Co to za słodki, mdły zapach wydziela się z ich oddechem? – zapytała nerwowo.

– To te przekłete owoce, które zjedli – odparł delikatnie. – Pamiętam ich zapach. To musiało być coś podobnego do czarnego lotosu, który usypia ludzi. Na Croma, zaczynają się budzić! Ale są nieuzbrojeni i mam wrażenie, że te czarne diabły nie będą czekać długo, by rozpocząć swe obrzędy. A jakie szanse będą mieli ci chłopcy, nieuzbrojeni i ogłupieni snem?

Rozmyślał przez chwilę intensywnie, z gniewnym grymasem na twarzy. W końcu chwycił oliwkowe ramię Sanchy w uścisku, który sprawił, że skrzywiła się z bólu.



*Zbliżył się do niezmqconego, zielonego kręgu i spojrział na błyszczącą powierzchnię. (...)
Okręła jak studnia, obrębiona zielonym jadem sadzawka nie była duża.*

– Słuchaj! Postaram się odciągnąć te czarne świnie do innej części zamku i dać im przez moment zajęcie. W tym czasie ty musisz dobudzić tych głupców i przynieść im miecze. To nasza jedyna szansa. Możesz to zrobić?

– Ja... ja nie wiem! – zająknęła się, trzęsąc się z przerażenia i prawie nie wiedząc, co mówi.

Conan chwycił z przekleństwem jej grube warkocze i potrząsnął nią, aż mury zatańczyły jej przed oczyma.

– Musisz to zrobić – syknął – to nasza jedyna nadzieja!

– Zrobię, co w mojej mocy – wydusiła z siebie, a on zachęcająco uderzył ją w plecy, co prawie ją powaliło, i zniknął z pochwalnym pomrukiem.

Parę chwil później przycupnął w bramie, która wychodziła na dziedziniec z sadzawką, patrząc na swych wrogów. Wciąż jeszcze siedzieli wokół studni, ale zaczęli przejawiać oznaki diabelskiej niecierpliwości. Z dziedzińca, na którym leżeli budzący się korsarze dochodziły głośne jęki i nieskładne przekleństwa. Naprężył mięśnie i oddychając lekko między zębami, przygotował się do zwierzęcego skoku.

Udekorowany klejnotami olbrzym podniósł się, odsuwając piszczałki od ust, i w tym momencie Conan tygrysim susem wskoczył między zaskoczonych Czarnych Ludzi. Miotał się wśród nich niczym drapieżnik. Jego ostrze zabłysło trzykrotnie, zanim którykolwiek z nich zdołał podnieść rękę. Potem popędził przez murawę. Trzy czarne postacie padły na ziemię z rozłupanymi czaszkami.

Jednak mimo ataku z zaskoczenia, jaki przypuścił Conan, grupa ocalałych olbrzymów zebrała się całkiem szybko. Deptali mu po piętach, kiedy wybiegł przez zachodnią bramę, a długie nogi niosły ich ponad ziemią z zawrotną prędkością. Celem barbarzyńcy nie był wszakże atak, ale odciążenie stworów od śpiących Zingarczyków, by Sancha miała czas na ich dobudzenie i uzbrojenie.

Kiedy wbiegł na dziedziniec za zachodnią bramą, zaklął. Podwórzec różnił się od pozostałych. Nie był okrągły, lecz ośmiokątny i prowadziło do niego tylko jedno wejście – to, którym właśnie wbiegł.

Odwrócił się i zobaczył, że podążają za nim wszyscy Czarni Ludzie. Kilku zablokowało bramę, reszta zaś nacierała na niego tyralierą. Stanął twarzą do nich, cofając się powoli w kierunku północnego muru. Szereg zwił się w półkole, rozszerzając się, aby usidlić go wewnątrz. Cofał się, obserwując jak w szyku jego prześladowców tworzy się luka. Stwory obawiały się, że Conan mógłby spróbować przerwać szpaler w miejscu, gdzie załame się w okrążeniu, i przerzedzili szyk, aby temu zapobiec.

Patrzył na nich w napięciu niczym wilk. W końcu zaatakował z niszczącą siłą pioruna w miejscu, gdzie luka była największa. Olbrzym, który zagradzał mu drogę, upadł z rozpołowioną piersią. Zanim Czarni z lewa i prawa zdołali nadejść z pomocą powalonemu towarzyszowi, Conan był

już poza ich zasięgiem. Teraz na jego natarcie czekała grupa w bramie. On jednak nie ruszył na nich; odwrócił się i obserwował wrogów bez widocznych emocji.

Tym razem nie utworzyli szeregu. Wiedzieli już, że takie rozproszenie sił okazało się fatalnym pomysłem w walce przeciw temu ucieleśnieniu furii. Ruszyli na niego w zwartej masie.

Conan zdawał sobie sprawę, że jeśli spadnie znienacka na tę sferę z mięśni i kości, koniec może być tylko jeden. Gdyby zdołali wciągnąć go między siebie, gdzie mogli dosięgnąć go swymi pazurami i skorzystać z przewagi, jaką daje większa masa ciała, nawet jego pierwotna dzikość nie pomoże. Spojrzał na mur i dostrzegł coś w rodzaju parapetu, wystającego ponad róg zachodniej ściany. Nie wiedział, co to było, ale mogło pomóc. Zaczął cofać się w kierunku tego kąta. Olbrzymi zbliżali się coraz szybciej. Myśleli, że to oni zapędzali go w kąt, Conan zatem miał czas, by zauważyć, że patrzyli na niego z pogardą, jak na członka niższej, słabszej rasy. Tym lepiej dla niego. Nie ma nic gorszego, niż niedocenywanie przeciwnika.

Był już bardzo blisko ściany. Giganci byli przekonani, że bez trudu przyprą go do muru. Grupa z bramy dołączyła do pobratymców osaczających pirata. Przyczaili się. Ich oczy gorzały jak złoty ogień piekielny, zęby błyskały złowrogo. Unieśli szponiaste ręce w oczekiwaniu na atak. Nie byli jednak przygotowani na przebiegły plan barbarzyńcy.

Conan uniósł miecz, zrobił krok w ich kierunku, po czym odwrócił się błyskawicznie i pobiegł w stronę muru. Napiął mięśnie i wystrzelił w powietrze. Chwycił występ muru, ale półka odłamała się z rozdzierającym trzaskiem i pirat padł jak długi na dziedziniec z taką siłą, że gdyby nie miękka murawa, popękałyby mu wszystkie kości. Błyskawicznie zerwał się na nogi jak wielki kot i stanął twarzą w twarz z wrogami. Z jego oczu zniknęła niepewność – gorzały teraz jak błękitny stos, a twarz wykrzywił grymas nienawiści. Wiedział, że to już nie jest polowanie, a bitwa na śmierć i życie. Dzika natura Conana gotowa była odpowiedzieć na to wyzwanie z całą właściwą sobie furją.

Czarni Ludzie przez chwilę stali zaskoczeni jego szybką akcją, po chwili jednak gotowi byli do szturmowania, by przewagą zgnieść przeciwnika. Ale w tym momencie śmiertelną ciszę przecięły chaotyczne krzyki. Odwracając się, olbrzymi ujrzeli tłoczony pod bramą tłum piratów. Korsarze zataczali się jak pijani, przeklinając bez ładu i składu. Wciąż byli

otumanieni, ale dzierżyli dziarsko swoje miecze i pewnie napierali na czarnych, choć żaden z nich nie wiedział, o co właściwie toczy się gra.

Conan wykorzystał zaskoczenie przeciwników, wrzasnął przeraźliwie i uderzył na nich jak błyskawica. Padali pod jego mieczem jak zboże, a Zingarczycy, drąc się wściekle, pobiegli chwiejnie przez trawnik i napadli na olbrzymów z żądnym krwi zapałem. Wciąż jeszcze byli oszołomieni. Wyłoniwszy się z odmętów narkotycznego snu poczuli, jak Sancha histerycznie potrząsa nimi i wkłada im miecze w dłoń. Słyszeli niewyraźnie, że pospiesza ich do jakiegoś działania. Nie zrozumieli wszystkiego, co mówiła, ale widok obcych i płynąca krew były najzupełniej wystarczające.

W okamgnieniu dziedziniec zamienił się w pole bitwy, które szybko zaczęło przypominać rzeźnię. Zingarczycy chwiali się i kołysali na nogach, ale trzymali miecze z wielką mocą i pocąc się obficie walczyli zaciekle, niewrażliwi na wszystkie rany z wyjątkiem tych śmiertelnych. Mocno przetrzebili Czarnych Ludzi, ale ci okazali się godnymi przeciwnikami. Górując nad napastnikami, siali spustoszenie pazurami i zębami rozdzierając ludziom gardła i pięściami rozłupując czaszki. Rozproszeni w tym harmidrze korsarze nie mogli w pełni wykorzystać swej zwinności, a wielu z nich wciąż było zbyt ogłupiałych, by unikać ciosów. Walczyli z zaciętością dzikich bestii, siali śmierć, ale wielu z nich nie zdołało też jej uniknąć. Odgłosy walki przypominały raczej te dochodzące z rzeźni, niż z pola bitwy, a krzyki, jęki i rżenia konających rozbrzmiewały przerażająco.

Kuląca się w bramie Sancha była ogłuszona tym hałasem i przerażona widokiem krwawej bitwy, gdzie w kłębowisku ciał pojawiały się i znikwały wykrzywione twarze, napięte, zakrwawione ciała padały pod ciosami błyskającej stali, a wszystko mieszało się w diabelskim tańcu szaleństwa.

Przez moment mogła wyraźniej dojrzeć szczegóły, jak czarne sztychy na krwistym tle. Ujrzała więc zingarskiego marynarza, oślepionego wielkim kawałem skóry zwisającym mu między oczami – widziała, jak rozstawia szeroko nogi i zatapia miecz aż po rękojeść w czarnym brzuchu. Usłyszała wyraźnie warknięcie korsarza i zobaczyła, jak piwne oczy ofiary wywracają się w nagłej agonii. Z zadanej rany buchnęły krew i wnętrzności. Umierający czarny złapał ostrze nagimi rękoma, a marynarz bezwiednie pociągnął je w swoim kierunku. Wtedy czarne ramię zacisnęło się wokół głowy Zingarczyka, i czarne kolano z okrutną siłą dosięgło podbródka

korsarza. Coś gruchnęło ponad całym hałasem boju, jak pęknięcie grubej gałęzi i jego głowa po prostu odpadła. Zwycięzca rzucił ciało ofiary na ziemię, a wtedy coś podobne błękitnej błyskawicy przemknęło za jego ramionami. Zachwiał się, jego głowa opadła naprzód, na pierś, a potem spadła na ziemię.

Sancha poczuła mdłości. Zakrztusiła się i zebrało jej się na wymioty. Chciała odwrócić się i uciec od tego widoku, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Nie mogła też zamknąć oczu. W rzeczy samej coś powodowało, że z uwagą przyglądała się walce. Czuła dziwną, obrzydliwą fascynację, której doświadczała zawsze na widok krwi. A jednak ta bitwa przewyższała wszystkie inne, jakie kiedykolwiek widziała, podróżując z korsarzami. I wtedy ujrzała Conana.

Oddzielony od załogi szeregami wrogów, został zagarnięty przez czarną falę ramion i ciał i powalony na ziemię. Niewiele brakowało, by wycisnęli zeń życie, ale on zdołał powalić za sobą jednego z nich i czarne ciało chroniło pirata. Olbrzymi kopali Conana, próbując odciągnąć swego wijącego się współplemieńca, ale zęby Conana wpiły się desperacko w jego gardło i pirat przyłgnał wytrwale do swej żywej tarczy.

Dzięki napadowi Zingarczyków Conan poczuł się pewniej. Odrzucił trupa i podniósł się cały we krwi. Olbrzymi stali nad nim jak wielkie czarne cienie, próbując go dosięgnąć długimi czarnymi ramionami. Ale dosięgnąć go było równie ciężko, jak trafić rozjuszoną od krwi panterę. Na każdy atak odpowiadał szaleńczo ciosem miecza. Trzech innych zabiłyby już ciosy, jakie otrzymał, ale jego zwierzęca żywotność nie słabła.

Krzyk wojenny Conana wzniósł się ponad zamęt rzezi. Zdumieni, lecz pełni furii Zingarczycy ponownie nabrali animuszu i podwoili wysiłki, dopóki darcie mięsa i gruchot kości pod ich mieczami nie zagłuszyły niemalże bolesnego i wściekłego wycia.

Czarni Ludzie zachwiali się i ruszyli w stronę bramy. Sancha pisnęła na ich widok. Czmychnęła im z drogi. Tłoczyli się w wąskim przejściu, a Zingarczycy dźgali ich plecy z okrzykami radości. Brama stała się rzeźnią, zanim ocalali przedarli się przez nią i rozproszyli, każdy w swoją stronę.

Bitwa przerodziła się w polowanie. Giganci uciekali po trawiastych dziedzińcach i błyszczących schodach, pochyłych dachach fantastycznych wież, nawet wzdłuż szerokich gzymsów ścian, zostawiając wszędzie ślady krwi, nękani przez bezwzględnych prześladowców jak przez wilki.

Walczyli wściekle w zasadzce i wciąż zabijali. Byli jednak na przegranej pozycji – wszędzie leżały okaleczone czarne ciała, konające na murawie. Inne spadały z gzymsu lub dachu wież.

Sancha znalazła schronienie na dziedzińcu z sadzawką, gdzie przyczała się, trzęsąc się z przerażenia. Na zewnątrz wzniósł się dziki wrzask, usłyszała tupot i z bramy wyłoniła się czarna, splamiona krwią postać. Był to olbrzym, który nosił wysadzaną klejnotami opaskę. Tuż za nim podążał korsarz i czarny odwrócił się na samej krawędzi sadzawki. W ręku trzymał miecz, upuszczony przez umierającego marynarza i kiedy Zingarczyk ruszył karkołomnie w jego kierunku, uderzył nieznaną sobie bronią. Korsarz upadł ze zmiażdżoną czaszką, ale ostrze pękło w dłoni olbrzyma.

Rzucił rękojeścią w stronę kotłujących się w przejściu postaci i skoczył w stronę sadzawki. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

Conan wyskoczył w jego kierunku spomiędzy mężczyzn w bramie.

Olbrzym rozwarł szeroko ramiona, z jego ust dobył się nieludzki krzyk. Był to jedyny dźwięk wydany przez czarnego podczas walki. Wykrzykiwał niebu okropną nienawiść, niby głos wyjący z lochów. Na ten dźwięk Zingarczyki zawahali się przez chwilę. Ale nie Conan. Cicho i desperacko pędził w kierunku hebanowej postaci, stojącej na krawędzi sadzawki. Kiedy jednak jego ociekający krwią miecz zabłysł w powietrzu, czarny odwrócił się i podskoczył wysoko. Unosił się w powietrzu nad sadzawką i wtedy z wstrząsającym ziemię rykiem zielone wody uniosły się i ruszyły mu na spotkanie, owijając go w zielonej kipieli.

Conan zatrzymał się w ostatniej chwili, by nie wpaść do sadzawki. Odskoczył i odepchnął swoich ludzi mocarnym ruchem ramion. Zielona studnia wyglądała teraz jak gejzer. Hałas był ogłuszający, kiedy wielka kolumna wody wznosiła się coraz wyżej i wyżej, rozkwitając na czubku wielką koroną piany.

Barbarzyńca prowadził swych ludzi do bramy, popychając ich bokiem miecza; ryk wody zdawał się ich paraliżować. Krzyknął na Sanchę, która stała jak sparaliżowana, obserwując w osłupieniu kipiącą kolumnę. Dziewczyna podążyła w jego kierunku z wyciągniętymi ramionami. Wziął ją pod pachę i wybiegł z dziedzińca.

Ocaleli zgromadzili się na zewnętrznym dziedzińcu. Zmęczeni, obdarci, poranieni i splamieni krwią patrzyli oszołomieni na ogromną, chwiejną kolumnę, która sięgała pod samo niebo. Jej zielony pień był przepasany

bielą, a spieniona korona trzykrotnie przewyższała obwód podstawy. W każdej chwili mogła wszystko zalać, póki co jednak pięła się ku niebu.

Conan spojrzął na grupę skrwawionych korsarzy i zaklął, widząc tylko dwudziestu. Złapał jednego za szyję i potrząsnął nim tak gwałtownie, że krew z jego ran obryzgała wszystkich stojących nieopodal.

– Gdzie jest reszta?! – zaryczał mu w ucho.

– To już wszyscy! – odkrzyknął mężczyzna ponad rykiem gejzeru. – Inni zostali zabici przez tych czarnych...

– Dobra, spierdalamy stąd! – wrzasnął Conan, popychając korsarza w kierunku zewnętrznej bramy – ta fontanna rozprysnie się lada moment...

– I wszyscy się utopimy! – krzyknął Wolny Grabieżca, kuśtykając w stronę łuku.

– Utopimy się i zamienimy się w kawałki skamieniałych kości! Ludzie, ruchy kurwa mać, ruchy!!! – krzyczał barbarzyńca.

Pobiegł w kierunku wyjścia, zerkając w stronę zielonej, ryczącej wieży i obserwując maruderów. Oślepieni żądzą krwi, walką i hałasem grzmotu, niektórzy z Zingarczyków poruszali się jak w transie. Conan poganiał ich, a jego metoda była prosta. Chwytał ociągających się za kark i wypychał za bramę, kiedy było trzeba, kopał w zadek, doprowadzając ponaglenia zgryźliwymi komentarzami na temat przodków nieszczęśników. Przerażona Sancha oplotła go ramionami, ale zrzucił ją z brutalnym przekleństwem i ponaglił mocnym klappsem w tyłek.

On sam wyszedł z zamku dopiero, gdy upewnił się, że wszyscy jego ludzie, którzy jeszcze żyli, uciekają w kierunku morza. Wtedy spojrzął raz jeszcze na ryczącą kolumnę, wznoszącą się na tle nieba i podążył za nimi.

Zingarczycy biegli w dół pośród wzgórz. Sancha czekała na niego na szczycie pierwszego pagórka. Conan zatrzymał się na moment, aby obejrzeć się w stronę zamku. Olbrzymia kolumna wody kołysała się ponad wieżami niczym kwiat o zielonej łodydze i białych płatkach. Ogłuszający ryk wypełniał całe niebo. I wtedy jadeitowo-śnieżna kolumna pękła z hałasem przypominającym ryk burzy, a mury i wieże zostały wysadzone przez grzmiący strumień.

Conan chwycił dziewczynę za rękę. Biegli, mijając wzgórze za wzgórzem, a za nimi rozbrzmiewał pęd wody. Szeroki, zielony pas wznosił się i opadał, przetaczając się przez pagórki. Strumień nie rozlewał się, tylko jak wielki wąż podążał za nimi.

Conan był skrajnie wyczerpany, ale ta świadomość dodała mu sił. Sancha potknęła się i osunęła na kolana z jęklwym krzykiem desperacji. Podniósł ją, przerzucił przez potężne ramię i biegł dalej. Jego pierś unosiła się ciężko, a kolana drżały. Zatoczył się i zobaczył przed sobą półżywych marynarzy, poganianych przerażeniem.

W końcu jednak przed jego oczami wyłonił się ocean i nieuszkodzony okręt. Ludzie ładowali się do łodzi na łeb na szyję. Sancha opadła na dno i leżała tam bez życia. Conan chwycił wiosło razem z resztą sapiących marynarzy, chociaż krew grzmiała w jego uszach, a świat nabiegał czerwienią.

Płynęli w stronę statku, nieprzytomni z wycieńczenia. Zielona rzeka wybuchła na krawędzi drzew. Wszystkie upadły niczym zapalki i zatoneły w jadeitowej powodzi. Fala rozlała się po plaży i wpłynęła do oceanu, nadając mu głębszy, mroczny odcień zieleni.

Bezrozumny, instynktowny strach zmuszał korsarzy do nadludzkiego wysiłku. Wiedzieli, że w ohydnej, zielonej powodzi czaiło się zagrożenie zarówno dla ciała, jak i duszy. Conan też to wiedział i gdy ujrzął, jak szmaragdowa fala płynie w ich kierunku, nie zmieniając kształtu ani kursu, spał się tak mocno, że wiosło stęknęło w jego rękach.

W końcu dotarli do „Darmozjada” i marynarze chwiejnie wspinali się po łańcuchach na pokład, zostawiając łodzie. Pirat wniósł nieprzytomną Sanchę i bez ceregieli rzucił ją na deski. Chwycił za ster i wydawał rozkazy pozostałej przy życiu załodze. W całym tym zamieszaniu przejął władzę bez pytania, a oni instynktownie podążali za nim. Zataczali się jak pijani, mechanicznie pracując przy linach i wiązaniach. Łańcuch kotwicy runął do wody, a żagle złapały wiatr. „Darmozjad” zachybotał się i wypłynął na otwarte morze. Conan patrzył w stronę brzegu. Strumień ślizgał się daremnie po wodzie niby język szmaragdowego płomienia, próbując dosięgnąć okręt, ale nie parł już naprzód. Conan obserwował zieloną wyspę i białą plażę wśród wzgórz, dopóki wszystko nie zniknęło w błękitnej dali.

Odzyskując oddech, wykrzywił się do sapiącej załogi. Sancha stała obok niego, po jej policzkach ciekły łzy hysterii. Spodnie Conana wisiały w krwawych strzępach. Jego pas i pochwa na miecz zniknęły, a sam miecz, wbity w pokład, był wyszczerbiony i pokryty czerwienią. Krew zakrzepła grubą warstwą na jego czarnych włosach, a jedno ucho zwisało na wpół oderwane od głowy. Całe ciało miał poranione jakby przez pantery. Był jednak na tyle silny, że stał prosto naprzeciw umęczonej załogi.

– Co teraz? – spytała powątpiewająco dziewczyna.

– Plądrowanie mórz! – zaśmiał się. – Nie ma nas dużo i wszyscy są ranni, ale wciąż jeszcze mogą pracować na statku. Nietrudno zresztą znaleźć nowych marynarzy. Chodź tu, dziewczyno, i daj mi buziaka!

– Buziaka?! – wrzasnęła histerycznie. – Myślisz o buziakach w takim momencie?

Jego śmiech przetoczył się łoskotem ponad grzmotem żagli. Złapał ją i podniósł w zagięciu swego mocarnego ramienia, po czym rozgniół jej czerwone usta z głośną rozkoszą.

– Ja myślę o życiu! – zaryczał. – Martwi są martwi, a to, co minęło jest poza nami! Mam statek, waleczną załogę i dziewczynę o ustach jak wino. To jest wszystko, o co kiedykolwiek prosiłem. Wyliźcie rany, zbiry i rozbijcie baryłkę piwa. Wyszukujemy ten statek, jak nigdy przedtem. Pijcie i śpiewajcie dopóki możecie, przekłęci! Do diabła z bezludnymi morzami! Kierujemy się na wody pełne bogatych portów i statków wypchanych łupem!

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(październik 1933) pod tytułem *The Pool of the Black One*

DOM PEŁEN ŁOTRÓW

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Podczas dworskiego festynu Nabonidus, Czerwony Kapłan, prawdziwy władca miasta, niespodziewanie dotknął ramienia młodego arystokraty Murilo. Ten odwrócił się i napotkał zagadkowe spojrzenie kapłana, próbując w duchu odgadnąć, o co chodzi. Obydwaj milczeli. Nabonidus skłonił się tylko i wręczył Murilo małe, złote puzderko. Wszyscy wiedzieli, że kapłan nigdy niczego bez powodu nie robił, toteż młody arystokrata wymknął się przy pierwszej nadarzającej się okazji i czym prędzej powrócił do swego domu. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi natychmiast otworzył puzderko i stanął jak wryty, bowiem znalazł w nim ludzkie ucho, które rozpoznał bez trudu po charakterystycznej bliźnie. Teraz już nie miał najmniejszych wątpliwości, co tak naprawdę skrywało się w zimnym spojrzeniu Czerwonego Kapłana.

Murilo, mimo swych uperfumowanych, misternie trefionych czarnych loków i wyglądu cherlawego fircyka, nie był słabeuszem, który z dygoczącymi ze strachu nogami ugiąłby kark przed swoim katem. I to bez walki. Nie wiedział, czy Nabonidus z nim igra, czy umożliwi ucieczkę na dobrowolną banicję, ale fakt, że wciąż jeszcze nikt nie poderżnął mu gardła i ciągle był wolnym człowiekiem dowodził jednego – dano mu kilka godzin, prawdopodobnie do namysłu. Nie potrzebował jednak ani czasu do namysłu, ani nie musiał rozmyślać nad podjęciem decyzji. Potrzebował, i to szybko, narzędzia. A takie narzędzie podsunęło mu Przeznaczenie, które kreśli nieprzerwanie linie ludzkiego żywota także pomiędzy nędznymi spelunami i obskurnymi burdelami w dzielnicach biedy nawet wtedy, gdy w swym domu, w części stolicy zajmowanej przez ociekające bogactwem i przepychem pałace arystokracji, zwieńczone purpurowymi wieżami, ozdobione najlepszym marmurem i kością słoniową, roztrzęsiony Murilo zachodził w głowę, jak ma pokrzyżować plany Nabonidusa.

Na obrzeżach jednej z dzielnic nędzy wznosiła się świątynia boga Anu, w której pewien kapłan nie tylko modlił się do bóstwa i regularnie celebrował różne obrzędy. Ten dobrze odżywiony i tłusty mężczyzna uprawiał paserstwo, ale także, i to ochoczo, szpiegował wszystkich, będąc na usługach pałacowej gwardii. Interes szedł wybornie, przynosząc z dwóch

źródeł okazały dochód, a to za sprawą graniczącego ze świątynią Labiryntu – omijanej szerokim łukiem przez szlachetnie urodzonych dzielnicę, niebezpiecznej plątaniny błotnistych, krętych uliczek i obmierzłych spelun, w których przesiadywali najbardziej notoryczni złodzieje i zbiry w całym królestwie. Do elity tej zgrai należeli wyróżniający się odwagą i bezczelnością pewien dezertor z wojsk najemnych, prawdopodobnie pochodzący z Gunderlandu oraz potężny, niebieskooki cymmeryjski barbarzyńca. Pierwszy wpadł w sieć intryg kapłana Anu, co miało dla niego przykre konsekwencje – schwytano go i bez zbędnej zwłoki powieszono na placu targowym. Cymmeryjczyk jednak uciekł z zastawionej pułapki i rozpoczął własne, nad wyraz skuteczne śledztwo. Szybko zrozumiał, że to kapłan zdradził, więc pewnej nocy wparował do świątyni i najzwyczajniej w świecie skrócił zdrajcę o głowę, kończąc tym samym pewną epokę w dziejach miejscowego donosicielstwa.

W mieście zawrzało. Poszukiwania mordercy były zakrojone na wielką skalę, ale zupełnie bezowocne, aż pewna dziwka, ze sobie tylko znanych powodów, postanowiła Cymmeryjczyka wydać w ręce królewskiej sprawiedliwości. Zaprowadziła więc kapitana gwardii razem ze sporym, uzbrojonym po zęby oddziałem do kryjówki mordercy, w której ten spał w najlepsze pijany jak bela. Gwardziści od razu przystąpili do swych obowiązków i zaczęli pętać ręce mężczyzny. A ten nagle się ocknął i wydarzenia nabrały niesłychanego tempa. Dobyty nie wiadomo skąd sztyłem rozplątał gardło kapitanowi, przebił się bez problemu przez pozostałych żołnierzy i pewnie uciekłby w mrok nocy, gdyby nie to, że wypita gorzała mocno jeszcze mąciła mu zmysły. Rozwścieczony, na wpół ślepy, w pełnym biegu nie trafił w otwarte drzwi. Wyrznął głową o kamienną ścianę z takim impetem, że od razu padł na podłogę jak martwy. Ocknął się dopiero w najgłębszym i najciemniejszym lochu miasta, przykuty do ściany tak grubymi łańcuchami, że nawet jego legendarna siła nie mogła sobie z nimi dać rady.

I do jego celi przyszedł, dbając o anonimowość, Murilo. Twarz miał zamaskowaną a jego ciało owijał szeroki, czarny płaszcz. Cymmeryjczyk przyglądał się nieoczekiwanemu gościowi z zainteresowaniem, był bowiem pewien, że ma przed oczami kogoś, kto ma mu cichaczem poderznąć gardło. Zachowanie przybysza tylko utwierdziło barbarzyńcę w tym przekonaniu, bowiem mężczyzna przyglądał mu się z nie mniejszą ciekawością, a było na co popatrzeć. Nawet tutaj, w wąskiej strudze

bladego światła wpadającego przez zakratowane okienko, unieruchomione grubymi łańcuchami, nieprawdopodobnie silnie umięśnione ciało Cymmeryjczyka emanowało pierwotną mocą, kryjąc w sobie siłę niedźwiedzia i szybkość pantery. Spod czarnej zmierzwionej czupryny lśniły wściekłe dzikością niebieskie oczy.

– Chcesz przeżyć? – spytał Murilo, zdając sobie sprawę, że zadaje pytanie retoryczne.

Barbarzyńca burknął coś niezrozumiałego pod nosem, ale w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania.

– Jeśli zorganizuję twoją ucieczkę, to coś dla mnie zrobisz...

Cymmeryjczyk spojrział prosto w oczy młodego arystokraty przekonany, że wie, co zaraz usłyszy.

– Chcę, żebyś kogoś zabił.

– Kogo?

Głos Murila zniżył się do szeptu, w którym znać było prawdziwy strach.

– Nabonidusa, królewskiego kapłana!

Cymmeryjczyka te słowa ani nie zdziwiły, ani nie wywołały w nim strachu. Od dawna już lekceważył majestat każdej władzy, nie odczuwał do niej żadnego szacunku, co z takim pietyzmem normy społeczne wciskały w głowy każdego cywilizowanego człowieka. Było mu wszystko jedno: król czy żebrak. Nie zaprzętał sobie głowy także, zdawałoby się najważniejszym, pytaniem, dlaczego akurat jemu Murilo zaproponował tę robotę, skoro w dzielnicach nędzy aż roiło się od amatorów podrzynania cudzych gardeł.

– Kiedy miałbym uciec?

– W ciągu najbliższej godziny – odpowiedział Murilo i kontynuował, ciągle ściszym głosem. – Na nocnej zmianie w tej części więzienia cel pilnuje tylko jeden strażnik. Oczywiście, przekupny strażnik. Już jest przekupiony. Spójrz, to klucz do łańcuchów. Rozkuję cię, wyjdę, a ty odczekasz godzinę. Wtedy strażnik Athicus otworzy drzwi celi. Lekko, powtarzam – lekko, pukniesz go w głowę i zwiążesz pasami wydartymi ze swojej tuniki. Dzięki temu, gdy go znajdą ogłuszonego i związanego, nikomu nie przyjdzie do głowy, by o cokolwiek biedaka podejrzewać. Idź od razu do domu Nabonidusa i zabij go. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, bylebyś zrobił to skutecznie. A potem udaj się pędem do Szczurzej Nory. Tam pewien człowiek da ci osiodłanego konia i naprawdę dobrze napchaną

złotem sakiewkę. Tak przygotowany bez problemu powinieneś uciec z miasta i opuścić granice królestwa.

– Dobra, dobra, a teraz natychmiast mnie uwolnij! – zażądał Cymmeryjczyk. – I niech ten Athicus przyniesie mi coś do żarcia, bo, na Croma, cały dzień jestem na czerstwym chlebie i stęchłej wodzie, więc zdycham z głodu.

– Załatwione. Tylko pamiętaj: nie wolno ci uciec przed upływem godziny! Muszę mieć czas na powrót do domu.

Uwolniony z łańcuchów barbarzyńca wstał i przeciągnął się, prężąc muskularne ramiona. Nawet w panującym w celi półmroku było widać, że jest prawdziwym olbrzymem, jedną wielką górą sprężystych mięśni. Murilo pomyślał, że jeśli żyje na świecie ktokolwiek zdolny zgładzić Czerwonego Kapłana, to jest nim właśnie Cymmeryjczyk.

Tak dla pewności powtórzył jeszcze raz barbarzyńcy swój plan, po czym pospiesznie opuścił więzienie, przed wyjściem każąc Athicusowi zanieść więźniowi misę świeżo przyrządzonej wołowiny oraz kufel spienionego ciemnego piwa. Wiedział, że może mu ufać nie tylko dlatego, że hojnie sypnął złotem, posiadał bowiem pewne informacje, których ujawnienie nieodwołalnie zaprowadziłoby strażnika prosto na szubienicę.

Kiedy wreszcie Murilo wszedł do swego domu i zamknął za sobą drzwi, głęboko odetchnął z ulgą, wiedział bowiem, że Nabonidus sam nie zajmował się mokrą robotą, najchętniej działał rękami marionetkowego króla, a skoro królewscy gwardziści jeszcze nie tłukli uzbrojonymi w pancerne rękawice pięściami w jego drzwi, to oznaczało jedno: kapłan nic królowi nie powiedział, przynajmniej na razie... Pewnie zrobiłby to jutro, ale przecież nie dożyje do rana.

Murilo wierzył, że Cymmeryjczyk zrobi wszystko, by dotrzymać warunków umowy. Inną rzeczą było, czy jego próba będzie udana, bowiem Czerwony Kapłan przeżył wiele zamachów na swoje życie, a nasyłani zabójcy zawsze umierali w tajemniczych okolicznościach paskudną śmiercią. Ale wszyscy oni mieli jedną zasadniczą wadę: choć wychowała ich ulica, dając twardą i bezwzględna szkołę życia, to brakowało im tego dzikiego, wilczego instynktu barbarzyńcy. Podczas gdy młody arystokrata starał się przejrzeć zasady gry, którą z nim prowadził Nabonidus, bawiąc się złotym puzderkiem z makabryczną zawartością, jego szpiedzy doniesli mu o pojmaniu Cymmeryjczyka. A wtedy go olśniło i już wiedział, jak powinien najprościej rozwiązać dręczący go problem.

Czując się bezpiecznie w swoim własnym domu wznosił toast za barbarzyńcę o imieniu Conan i powodzenie jego misji. Nie zdążył jednak opróżnić kielicha z przednim trunkiem, gdy jeden z jego informatorów przyniósł druzgoczące wieści: Athicusa aresztowano i wtrącono do więzienia, a to mogło oznaczać tylko jedno – Cymmeryjczyk nie uciekł z celi.

Murilo po raz drugi tej nocy poczuł, jak krew zamienia mu się w lód. Zaszokowany niespodziewanym obrotem spraw był absolutnie przekonany, że za wydarzeniami w więzieniu stoi Nabonidus. W jego głowie kołatała się obłąkańcza myśl, iż Czerwony Kapłan nie może być zwykłym człowiekiem, musi posiadać magiczną moc czytania w umysłach swych ofiar jak w otwartej księdze, dzięki czemu, pociągając z maestrią za odpowiednie sznurki czyni z ludzi bezwolne marionetki odgrywające z góry narzucone im przez siebie role. Murilo był zrozpaczony, ale i zdesperowany. W pośpiechu opuścił dom, dopinając w biegu do pasa miecz. Przez sekretne drzwi wypadł na opustoszałe o tej porze nocy ulice i pognał prosto na spotkanie przeznaczenia. Dochodziła północ, gdy zdyszany stanął przed wysokim murem odgradzającym posiadłość Nabonidusa od sąsiednich posesji, za którym pośród starannie wypielegnowanego ogrodu stał dom kapłana.

Najwyższy nawet mur zawsze jest możliwy do sforsowania, dlatego Czerwony Kapłan nie polegał wyłącznie na nim, to bowiem, czego tak naprawdę należało się panicznie obawiać, znajdowało się za tą kamienną barierą. Murilo wiedział na pewno o olbrzymim psie, prawdziwie krwiożerczej bestii, włóczącym się po ogrodzie w poszukiwaniu ofiar, który kiedyś rozerwał na strzępy lekkomyślnego intruza z taką łatwością jak ogar rozszarpuje królika. O innych niebezpieczeństwach czyhających na niego za murem wolał nawet nie myśleć. Ludzie, którzy odwiedzali kapłana w różnych sprawach, a zawsze były to wizyty krótkie, opowiadali, że mieszka w komnatach urządzonych z przepychem, ale i smakiem, chociaż, co dziwiło najbardziej, wystarczała mu zaskakująco nieliczna służba. Właściwie słowo „nieliczna” odnosiło się do jednego służącego, bo tylko jego za każdym razem tam widywano – wysokiego, małomównego mężczyznę o imieniu Joka. Co prawda goście Czerwonego Kapłana nie raz słyszeli poruszającą się po zakamarkach posiadłości osobę, prawdopodobnie niewolnika, ale jak do tej pory nikt jej jeszcze nie widział. Największą tajemnicą dla wszystkich był jednak sam Nabonidus.

Mistrzowsko prowadzone intrygi, bezwzględność, a także rozliczne wpływy na dworach wielu królestw uczyniły zeń najpotężniejszego człowieka w państwie. Lud, kanclerz, a nawet sam król, tańczyli tak, jak im Nabonidus zagrał.

Murilo wspiął się na mur i zeskoczył do ogrodu tonącego w złowrogich cieniach rzucanych przez rozmaite krzewy i szeleszczące od słabych podmuchów wiatru gęste listowie. Dom wydawał się wymarły, w jego oknach nie skrzyło się żadne światło, a ciemny kontur posiadłości ginał na tle nocnego nieba. Młodzieniec z ostrożnością wystraszonego dziecka pokonywał gęste krzaki, a jego rozpalona wyobraźnia podsuwała coraz bardziej fantasmagoryczne wizje. Wiedział, że nagle spośród panującego mroku może wystrzelić w jego kierunku potężna psia paszcza uzbrojona w ostre jak brzytwy kły, rozszarpując mu gardło. Wątpił, by miecz mógł być użyteczny w razie takiego ataku, ale nie miał innego wyjścia. Zdesperowany nie zawahał się i dalej brnął przez ciemności spowijające ogród. Było mu wszystko jedno, czy umrze rozszarpany przez bestię, czy ścięty katowskim toporem.

Nagle potknął się o jakieś wielkie, ledwie widoczne, zmartwiałe cielsko. Schylił się, wyteżył wzrok i rozpoznał kształt – u jego stóp leżał martwy pies, siejący popchłoch strażnik ogrodu. Miał skrecony kark a na ciele wyraźne, przerażająco głębokie rany wyglądające na zadane potężnymi kłami. Murilo od razu pojął, że nie mógłby tego zrobić człowiek, najwyraźniej bestia spotkała potwora o wiele potężniejszego od siebie. Poczł lawinę dreszczy sunącą mu po plecach. Rozejrzał się nerwowo po okolicy, szczególnie mocno lustrując pobliskie skupiska krzewów, jakby oczekiwał, że stamtąd w każdej chwili może nadejść i jego śmierć. Ale nie nadeszła. Po krótkiej chwili pełnego nerwowego napięcia oczekiwania, ostatecznie wzruszył ramionami i ruszył w stronę pogrążonego w ciszy domu.

Pierwsze drzwi, do których podszedł, były otwarte. Spoconą ze strachu dłonią ścisnął mocniej rękojeść miecza, przekroczył próg i znalazł się w długim, ciemnym korytarzu, słabo oświetlonym leniwie sączym się światłem z niewielkiej lampki wiszącej na ścianie tuż przy ciężkiej zasłonie przegradzającej odległe wyjście. W powietrzu wisała grobowa, złowróźbna cisza. Murilo najciszej jak potrafił przeszedł korytarz, zatrzymał się przy zasłonie i zerknął przez niewielką szparę. Zobaczył oświetlony pokój o oknach szczelnie zasłoniętymi aksamitnymi zasłonami w taki sposób, by

nawet najmniejszy promień nie wydostał się na zewnątrz. Pokój świecił pustką, przynajmniej jeśli pojęcie pustki w tym wypadku odnieść do żywych istot, bo przedstawiał sobą makabryczny widok połamanych i porzrzucanych wokół mebli, pozrywanych ze ścian drogich tapiserii, jednym słowem musiało tu dojść do bezwzględnej walki. Pośród tego pobojuwiska młodzieniec nagle dostrzegł spoczywającą na brzuchu postać z tak potwornie wykręconą głową, że podbródek sięgał jej aż za ramię. Twarz trupa zastygła w przerażającym, martwym uśmiechu i zdawała się patrzeć wprost na młodego arystokratę. Od tego wszystkiego Murilo po raz pierwszy tej nocy zawahał się i niepewnie zerknął za siebie w kierunku drzwi, którymi dostał się do posiadłości. Ale wizja katowskiego topora, a i najpewniej bolesnego festiwalu tortur, podziiała jak kubek zimnej wody. Przeszedł wolno przez pokój najbliżej ściany jak się dało, byle tylko uniknąć kontaktu z leżącym na środku ciałem. Chociaż nigdy przedtem tego człowieka nie widział, na podstawie usłyszanych opowieści wywnioskował, że to musiał być Joka, małomówny i raczej posępny sługa Nabonidusa.

Dotarł w końcu do drugich, uchylonych nieco oraz przesłoniętych storą drzwi i zajrzał przez nie do szerokiej, okrągłej komnaty otoczonej galerią w połowie wysokości między wypolerowaną na błysk podłogą a bogato zdobionym sufitem. Bez dwóch zdań urządzono ją z ładu królewskim przepychem. Na środku stał masywny, niezwykle pięknie rzeźbiony mahoniowy stół, zastawiony całą armią najróżniejszych, w większości złotych i wysadzanych kamieniami szlachetnymi, kielichów z winem, licznymi butelkami, gąsiorkami oraz wyszukanymi potrawami. Murilo przyglądał się tej kulinarnej orgii prawdziwie zaszokowany, choć przecież w swoim życiu nie raz bywał na ociekających zbytkiem obiadach, imprezach i festiwalach. I nagle zeszywniał. Na wielkim rzeźbionym krześle zwróconym oparciem w jego stronę spostrzegł siedzącą postać odzianą w dobrze znane mu szaty. Szeroki czerwony rękaw tuniki skrywał ramię, spoczywające na poręczy. Nakryta purpurowym kapturem głowa nachylała się, jakby jej właściciel oddawał się właśnie medytacji. Nie mogło być mowy o pomyłce – dokładnie takim widywał Murilo Nabonidusa na królewskim dworze setki razy.

Przeklinając bicie własnego serca, młody arystokrata o wyglądzie cherlawego fircyka zaczął się skradać w kierunku siedzącej postaci z uniesionym do ciosu mieczem. Z każdym krokiem zbliżał się do swojej ofiary, a ta nawet nie drgnęła, mimo że nie był mistrzem w bezszelestnym

skradaniu się. Czyżby Czerwony Kapłan po prostu zasnął, a może już nie żył i bezwładnie osunął się na zdobne siedzisko? Już tylko jeden krok dzielił Murilo od jego wroga, gdy ten niespodziewanie wstał i spojrzał niedoszłemu mordercy prosto w oczy.

W jednej chwili krew odpłynęła z twarzy młodzieńca, a miecz wysunął się ze zdrętwiałej z przerażenia ręki, uderzając o marmurową posadzkę z głośnym brzękiem. Przereźliwy krzyk wydobył się z posiniałych młodzieńczych warg i nim zdążył wybrzmieć stłumił go głuchy łoskot padającego ciała. I znów w posiadłości Czerwonego Kapłana zapanowała grobowa cisza.

ROZDZIAŁ DRUGI

Niedługo po tym, jak Murilo wyszedł z lochu, w którym więziony był Conan, strażnik Athicus przyniósł barbarzyńcy tacę z posiłkiem złożonym ze słusznych rozmiarów wołowego udźca i wielkiego kufla piwa. Cymmeryjczyk rzucił się na mięso, jak wygłodniały lew, a Athicus poszedł na ostatni obchód cel, chcąc się upewnić, że wszystko idzie zgodnie z ustaleniami i nikt nie przeszkodzi w realizacji planu ucieczki. Był w połowie obchodu, gdy niespodziewanie do więzienia wparował oddział królewskiej gwardii i aresztował go. Murilo srodze się mylił sądząc, że ma to związek z planowaną ucieczką Conana, chodziło zgoła o coś innego – Athicus prowadził rozliczne i, oczywiście, nielegalne interesy z mieszkańcami Labiryntu, z czym się zresztą specjalnie nie krył, a pojmanie go było konsekwencją starych grzeszków.

Jego miejsce zajął inny strażnik, prawdziwy służbista i flegmatyczna kreatura, którego najbardziej nawet hojna łapówka nie skłoniłaby do postąpienia wbrew żołnierskiemu regulaminowi. Nie miał za grosz wyobraźni i inteligencji, co nadrabiał wbitym do głowy przekonaniem o tym, jak niesłychanie ważne piastuje stanowisko.

Kiedy tylko gwardziści wywlekli zdezorientowanego Athicusa, by postawić go przed obliczem sprawiedliwości, nowy strażnik rozpoczął rutynowy obchód cel. Gdy dotarł do tej, w której więziono Conana, najzwyczajniej w świecie zbaraniał, bo widok więźnia, który zamiast cierpieć katusze, będąc skutym solidnym łańcuchem, właśnie kończył obgryzać resztki mięsa na wielkiej wołowej kości, przeczył jego uporządkowanej wizji świata. I zamiast, co nakazywałby zdrowy rozsądek, natychmiast przywołać strażników z innych części więzienia, wszedł do celi sam. Był to pierwszy i zarazem ostatni błąd popełniony przez niego na służbie. Conan uzbrojony w potężną wołową kość rozłupał nią czaszkę strażnika, dowodząc tym samym, że Cymmeryjczycy, kiedy tylko chcieli, potrafili być narodem naprawdę twórczym. Potem przywłaszczył sobie jego sztylet, pęk kluczy i wruszając ramionami spokojnie opuścił celę. Tak, jak mówił Murilo, tej części więzienia pilnował tylko jeden strażnik, toteż

chwilę później Conan był już człowiekiem wolnym, mimochodem wypełniając plan młodego arystokraty.

Stojąc w cieniu więziennego muru Cymmeryjczyk zastanawiał się, co dalej. Uciekł z więzienia bez pomocy Murila, więc nic nie był mu winien, ale z drugiej strony młodzieniec zdjął jego kajdany i kazał przynieść suty i smaczny posiłek, a bez tego czmychnięcie z lochu byłoby niemożliwe. Conan uznał zatem, iż ma dług wdzięczności u Murila, a że zawsze starał się być człowiekiem słownym, postanowił wypełnić swoją część umowy. Najpierw jednak musiał załatwić w mieście pewną sprawę natury osobistej.

Zrzucił z siebie podartą tunikę i w samej tylko przepasce na biodrach ruszył w noc, sprawdzając czubkiem palca ostrze zdobytecznego sztyletu, wspaniałej obosiecznej klingi długości dziewiętnastu cali. Skradał się mrocznymi ulicami i skąpanymi w rozłożystych cieniach placami, aż dotarł do celu podróży – Labiryntu. Teraz maszerował, jakby był we własnym domu, w końcu znał niemal każdy zakamarek dzielnicy. Nie bez powodu miejsce to nazwano tak jak nazwano, bowiem ulice, skwery i zamknięte dziedzińce mało że rozbrzmiewały tajemniczymi dźwiękami i atakowały czuły barbarzyński nos feerią najgorszego smrodu, to jeszcze tworzyły niemożliwą do poznania, na pierwszy rzut oka, plątaninę. Ulice nie były brukowane, więc błoto, odpadki, martwe szczury, koty i psy zalegały na nich, tworząc prawdziwe bagniska śmierdzącej niemiłosiernie brei. Nikt nie przejmował się odpadkami, wyrzucano je beztrąsco wprost przez drzwi i okna, a one układały się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w obrzydliwie cuchnące góry, poprzetykane licznymi i głębokimi kałużami pospolitego gówna. Trzeba było nie lada wirtuozerii, by na tej drodze będącej niewątpliwym osiągnięciem cywilizacji, nie stracić równowagi i nie pogрузić się po pas. Równie łatwo można było potknąć się o człowieka z poderżniętym gardłem lub rozbitą głową zanurzoną po uszy w tym bagnie. Nie bez powodu uczciwi obywatele omijali to miejsce z daleka.

Niezauważony przez nikogo Conan dotarł do celu dokładnie w momencie, gdy osoba, którą tak bardzo chciał spotkać, stała na progu nędznej izby. Cymmeryjczyk zakradł się na dziedziniec i zobaczył dziewczynę, sprawczynię swego uwięzienia, jak wylewnie i ciepło odprawia właśnie nowego kochanka. Gdy tylko zamknęła drzwi, młody rzezimieszek zaczął po omacku szukać drogi w dół po skrzypiących schodach, układając w głowie plan nowej zbrodni, co było typowe dla większości mieszkańców Labiryntu. Dotarł jednak tylko do połowy

schodów, gdy włosy stanęły mu dęba na głowie, bowiem ujrzał przed sobą niewyraźny zarys jakieś gigantycznej bestii i parę oczu rozpalonych jak ślepia polującego drapieżnika. Przerazające warknięcie było ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał w życiu, bowiem potwór nagle skoczył z miejsca, dopadając młodzieńca jednym skokiem i ostrą klingą po mistrzowsku wypruwając mu wnętrzności. Młodzieniec zdążył wydać z siebie raptem jeden zduszony krzyk i martwy legł na skrzypiących schodach.

Conan zwinnie przeskoczył nad leżącym ciałem, a wyglądał jak duch, którego oczy gorzały w ciemnościach upiorną poświatą. Wiedział, że ktoś na pewno słyszał łoskot padającego ciała, ale wiedział też, że mieszkańcy Labiryntu nie mieli w zwyczaju wtrącać się do nie swoich spraw. Przedśmiertny krzyk w ciemnościach nie był tu zjawiskiem rzadkim, a zdrowy rozsądek podpowiadał ciekawskim, żeby sprawdzić przyczynę hałasu co najmniej po dłuższej i zapewniającej minimum bezpieczeństwa, chwili.

Conan wszedł po schodach i stanął przed drzwiami, które miał okazję oglądać tak wiele razy. Były zamknięte od środka, ale dla wprawnych rąk i ostrej klingi była to żadna przeszkoda. Wystarczyło tylko wsunąć ostrze w szczelinę przy wypaczonej framudze, lekko podważyć zasuwę i droga stała otworem. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi, by stanąć oko w oko z donosicielką, która przehandlowała go królewskiej gwardii. Dziewczyna odziana w mocno prześwitującą nocną koszulę siedziała ze skrzyżowanymi nogami na wielkim łóżku wśród skotłowanej pościeli. Na widok dawnego klienta pobladła, bo była przekonana, że widzi ducha. Słyszała krzyk na schodach, a teraz na dodatek spostrzegła krew na trzymanym przez niego w dłoni sztylcie. Przerazona, nie traciła czasu na próżne lamenty nad pewną śmiercią swego nowego kochanka. Z miejsca zaczęła błagać o życie i skamleć o litość – nieskładnie, chaotycznie, czyli mówiąc krótko: paplała bez sensu. Conan po prostu stał i milczał, a w jego dzikich, przymrużonych oczach czaiło się złowróźbne spojrzenie. Ostentacyjnie sprawdzał ostrze sztyletu na zgrubiałej skórze kciuka. W końcu podszedł do ofiary. Dziewczyna wtuliła się w ścianę i jęcząc niby maltretowany pies, wciąż błagała o litość. Cymmeryjczyk chwycił ją brutalnie za blond loki i wywłócił z łóżka. Wsunął sztylet do pochwy, złapał wierzgającą brankę pod lewe ramię i, delektując się nadchodzącą chwilą zemsty, podszedł do okna. Otworzył okiennicę kopniakiem i wszedł na wąski parapet, który, jak w większości tutejszych domów, połączono

z innymi gzymsem, okalającym ścianę na każdym piętrze. Gdyby ktoś cierpiał na bezsenność lub przechodził obok, miałby naprawdę zaskakujący widok: ogromny mężczyzna w przepasce na biodrach ostrożnie stąpa po wąskim gzymisie, niosąc pod pachą półnagą i wierzgającą jak wściekły muł pannę. Niewykluczone, że postronny obserwator nie byłby bardziej zdziwiony niż sama porwana.

Gdy Conan doszedł do celu karkołomnej wędrówki stanął i chwycił się wolną ręką za odstający fragment ściany. Wtedy z wewnątrz zaczęły dochodzić głosy, świadczące, że ktoś w końcu natknął się na zaszlachtowanego na schodach młodzieńca. Dziewczyna przekonana, że zaraz umrze, zdwoiła wysiłki zarówno w błaganiu, jak i wierzganiu. Conan ponuro spojrział w dół na błoto i odchody przykrywające ulicę godnym szacunku kobiercem, przez chwilę wsłuchiwał się w hałasy dochodzące z wnętrza budynku, po czym, popisując się nadzwyczajną celnością, cisnął zdrajczynię wprost do pobliskiego szamba. Przez chwilę sycił się widokiem miotającej się i grzęznącej aż po szyję w gównie dziwki, z prawdziwą rozkoszą przysłuchując się kanonadzie najgorszych przekleństw płynącej z jej ust, o znajomość których trudno byłoby dziewczynę podejrzewać, nawet jeśli dorastała na ulicach Labiryntu. Pozwolił sobie na basowy, głęboki i donośny rechot, co czynił nader rzadko. Jednak każda przyjemność kiedyś musi mieć kres, więc w końcu odwrócił głowę, bo wewnątrz domu robiło się coraz głośniejsze. Podjął już decyzję. Nadszedł czas, by zabić Nabonidusa.

ROZDZIAŁ TRZECI

Murilo ocknął się, słysząc przenikliwy szcęk metalu. Jęknął i oszołomiony usiadł na wilgotnej podłodze. Otaczała go przejmująca cisza i tak atramentowa ciemność, że przez moment myślał, iż ośleplł i o mało znowu, przerażony jak nigdy, nie stracił przytomności. Zaczęła wracać mu pamięć. Gdy odtworzył w myślach niedawne wydarzenia jego ciałem wstrząsnął dreszcz czystej, pierwotnej trwogi. Po chwili stwierdził, że ma dość tych wszystkich wstrząsających ciałem palpacji i postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Macając wokół rękoma zrozumiał, że siedzi na posadzce z dokładnie dopasowanych do siebie kamiennych płyt, a po dalszych badaniach odnalazł ścianę z tego samego materiału. Wsparłszy się na niej wstał, jednocześnie zachodząc w głowę, gdzie się może znajdować. Pierwszą myślą było, że w piwnicy albo w jakimś lochu, natomiast od jak dawna tu gościł, tego nie mógł w żaden sposób stwierdzić. Jak przez mgłę pamiętał dziwny, metaliczny odgłos, który go oprzytomnił i zastanawiał się, czy był to odgłos zamykanych za nim żelaznych wrót, czy wręcz przeciwnie – łoskot zwiastujący wejście przysłanego do niego mordercy.

Zadygotał na tę myśl i ruszył wzdłuż ściany, ostrożnie wymacując sobie drogę. Tym sposobem miał nadzieję na odnalezienie końca celi, a może i wyjścia, ale po kilku krokach zrozumiał, że idzie schodzącym w dół korytarzem. Zaniepokojony, że może nieoczekiwanie wpaść do jakiejś studni lub temu podobnej pułapki, szedł tuż przy ścianie. Już od dłuższej chwili zdawał sobie sprawę z obecności „czegoś”. I to tuż obok. Nic nie widział, może więc złowił uchem jakiś niepokojący dźwięk, a może dał znać o sobie instynkt przetrwania, w każdym razie wyczuwał czyhające niebezpieczeństwo. Zatrzymał się w pół kroku, a włosy stanęły mu dęba na głowie, bo teraz już wiedział, że w ciemności przed nim czai się nie jakieś „coś”, ale istota z krwi i kości. Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi, gdy nagle usłyszał gardłowy głos z wyraźnym barbarzyńskim akcentem.

– Czy to ty, Murilo?

– Conan! – wykrzyknął nieprzytomny ze strachu młodzieniec, po czym ruszył po omacku przed siebie i dotknął dłońmi wielkiego, nagiego

ramienia.

– Dobrze, że cię rozpoznałem! – mruknął barbarzyńca. – Już miałem cię zarżnąć jak tłustą świnie.

– Na Mitrę, gdzie my jesteśmy?

– W jakichś korytarzach pod domem Czerwonego Kapłana. Ale dlaczego...

– Która to pora dnia?

– Krótko po północy.

Zmęczony, ciągle rozstrzęsiony Murilo potrząsnął głową, usiłując zebrać myśli.

– Co ty tu robisz? – spytał Cymmeryjczyk.

– Przyszedłem zabić Nabonidusa. Doniesiono mi, że aresztowano Athicusa i jego miejsce zajął inny strażnik...

– Fakt, był nowy strażnik – mruknął Conan. – Ale już go nie ma, bo rozwaliłem mu łeb wołową kością, a potem sobie wyszedłem. Byłbym tutaj znacznie wcześniej, jednak wpierw musiałem załatwić taką małą sprawę osobistą. To co, zapołujemy teraz na Nabonidusa?

Murilo zadrżał.

– Conanie, jesteśmy w domu samego Pana Ciemności! Przyszedłem tu, aby odnaleźć i zabić człowieka, a spotkałem włochatego demona prosto z piekła!

Conan niepewnie chrząknął. Gdy walczył z ludźmi, był nieustraszony jak ranny tygrys, lecz wszelkie przejawy nadprzyrodzonych mocy napełniały go prymitywnym i zabobonnym lękiem, jak zresztą wszystkich barbarzyńców.

– Udało mi się wejść do domu – szeptał Murilo, jakby w ciemnościach wokół nich nasłuchiwało setki uszu. – W ogrodzie znalazłem psa Nabonidusa skatowanego na śmierć. Wewnątrz posiadłości natknąłem się na leżącego na podłodze ze skręconym karkiem Jokę – służącego Czerwonego Kapłana. A później stanąłem twarzą w twarz z Nabonidusem. Siedział w tej swojej czerwonej szacie na zdobionym krześle i w pierwszej chwili pomyślałem, że on też nie żyje lub śpi. Podkradłem się więc do niego, by dźgnąć go nożem, a on wtedy wstał i spojrzał mi prosto w oczy! O, bogowie!...

Na wspomnienie doświadczonego szoku Murilo na chwilę stracił głos, jakby ponownie przeżywał przerażającą scenę.

– Conanie – szepnął, gdy już doszedł do siebie. – Przede mną nie stał człowiek! Niby z postury i wyglądu człowieka przypominał, ale spod szkarłatnego kaptura spoglądała na mnie twarz jak z najgorszego i szalonego koszmaru. To był jakiś potworny pysk pokryty czarną szczecina, spośród której lypały na mnie małe, płonące krwistą czerwienią oczy. Bestia miała płaski nos o wielkich chrapach, a szerokie, obwisłe wargi, unosząc się co chwila, ukazywały rzędy wielkich, jak u psa, poźółkłych kłów. Wystające z szerokich rękawów szaty ręce były odrażające tak samo jak pysk i również porośnięte czarną sierścią. To wszystko stało się tak szybko, że przerażony do granic wytrzymałości po prostu zemdląłem.

– A co stało się potem? – beznamiętnie spytał Cymmeryjczyk.

– Bestia musiała mnie wrzucić do tych lochów, a przytomność odzyskałem dopiero niedawno. Od dawna podejrzewałem, że Nabonidus nie do końca jest człowiekiem. Teraz jestem tego pewien: to zmiennokształtny zwierzoczek, potworny wilkołak! Za dnia przybiera ludzką formę, ale nocą na powrót staje się sobą, ukazując swą prawdziwą naturę.

– To przecież oczywiste – stwierdził Conan. – Wszyscy wiedzą, że są ludzie potrafiący zmienić się w wilka. Ale po co zabijał własną służbę?

– Kto może wiedzieć, czym kieruje się taki demon? – odparł Murilo. – Lepiej pomyślmy, jak stąd uciec, bo wilkołaka zwykłą bronią nie pokonamy, stał mu krzywdy nie robi. Jak się tu dostałeś?

– Spodziewałem się, że ogród w ten czy inny sposób będzie strzeżony, wlałem więc do kanału ściekowego. Tak, jak myślałem, łączy się on wąskim tunelem z tymi lochami. Potem chciałem znaleźć jakiś sposób, by wejść do wnętrza domu.

– Ucieknijmy zatem drogą, która cię tu zawiodła! – wykrzyknął podniecony Murilo. – Niech to wszystko zaraza! Jeśli tylko wyjdziemy z tego gniazda węży, to jakoś wyprowadzimy w pole królewską gwardię i damy drapak z miasta. Prowadź Conanie, idziesz pierwszy, ja tuż za tobą!

– Zapomnij o takiej ucieczce – mruknął Cymmeryjczyk. – Droga do kanału jest odcięta. Kiedy tylko wlałem do kanału z sufitu spadła żelazna krata. Gdybym nie uskokzył z szybkością błyskawicy, przygwoździłaby mnie do podłogi jak robaka. Próbowałem ją unieść, ale nawet nie drgnęła, słoń też by jej nie poruszył. Gdybyśmy byli wielkości królika, to kto wie,

może udałoby się nam przecisnąć przez pręty, bo coś większego utknie między nimi.

Murilo, oblewając się zimnym potem, zaklął z nie mniejszą fantazją niż dziewczyna wrzucona przez Conana do szamba. Był takim idiotą nie przewidując, że Nabonidus nie pozostawiłby najmniejszej nawet szczeliny prowadzącej do jego posiadłości bez odpowiedniego zabezpieczenia. Gdyby Cymmeryjczyk nie miał szybkości barbarzyńcy, opadająca krata najpewniej przecięłaby go na pół. Najwidoczniej, kiedy gramolił się wąskim kanałem, uruchomił mechanizm zwalniający pułapkę, czyli obydwaj utknęli tu na dobre.

– Nie pozostaje nam nic innego – rzekł Murilo, czując jak kolejna cienka strużka potu spływa mu po plecach – jak tylko poszukać innego wyjścia. Dam sobie rękę uciąć, że natkniemy się tam na jakieś zabójcze niespodzianki, ale mus to mus.

Conan wyburczał coś cicho pod nosem, co zapewne miało oznaczać zgodę na plan młodego arystokraty, po czym obydwaj mężczyźni ruszyli po omacku wzdłuż korytarza. Wtem w głowie Murilo zaświtało pytanie.

– Jak rozpoznałeś mnie w tych ciemnościach?

– Kiedy wszedłeś do celi, uderzył mnie zapach pachnideł, którymi, chyba w wielkich ilościach, polewasz włosy – odparł Conan. – Poczułem je znowu w ciemnościach przed sobą w chwili, gdy już miałem ci wypruć bebechy.

Zaskoczony odpowiedzią Murilo powąchał pukiel swych czarnych loków. Dla mieszczucha, takiego jak on, woń perfum była ledwie wyczuwalna i zdał sobie teraz sprawę, jak niewyobrażalnie wyostrzone zmysły ma Cymmeryjczyk.

Jak tylko ruszyli, młodzieniec instynktownie sięgnął do pasa, by dobyć miecza. Znowu zaklął, bo pochwa była pusta. Nie uszli daleko, gdy nagle zobaczyli przed sobą słabą poświatę. Ostrożnie doszli do ostrego zakrętu korytarza i wychylili się zza węgła. Murilo praktycznie leżąc na wielkich plecach barbarzyńcy w pewnej chwili poczuł, jak ten napina mięśnie i zauważył leżące bezwładnie w korytarzu poza zakrętem półnagie ciało, słabo oświetlone promieniami wydobywającymi się z wiszącego kilka stóp dalej przedmiotu, przypominającego z wyglądu srebrny dysk. Zarys leżącej sylwetki był Murilo dziwnie znajomy, rodząc w głowie młodzieńca przerażające, a zarazem niewytłumaczalne przeczucie. Na migi pokazał Conanowi, by ten podążył za nim, po czym ostrożnie ruszył naprzód

i pochylił się nad ciałem. Przewyciężając strach i obrzydzenie odwrócił leżącą postać na plecy.

Z ust Murila wyrwał się pełen niedowierzania okrzyk, a stojący obok Cymmeryjczyk aż zaniemówił z wrażenia.

– Nabonidus! Czerwony Kapłan! – jęknął zaszokowany Murilo, aż z tego zdziwienia zakręciło mu się w głowie. – W takim razie, kto...? Co...? Wtedy, na krześle?

Kapłan jęknął i drgnął zauważalnie. Conan od razu, z kocią zwinnością, doskoczył do leżącego, mierząc ostrzem sztyletu prosto w serce. Murilo w ostatniej chwili powstrzymał towarzysza.

– Czekaj! Jeszcze go nie zabijaj...

– Czemu nie? – zdziwił się Cymmeryjczyk. – Przecież widzisz, że na powrót stał się człowiekiem i śpi. Jeśli mamy go zabić, to teraz, bo jak go obudzisz to nas rozerwie na strzępy.

– Mówię ci, poczekaj. – Po szoku, jakiego przed chwilą doznał, Murilo zaczął znowu trzeźwo myśleć. – Spójrz, on nie śpi. Widzisz tę długą siną pręgę na jego wygolonej skroni? Ktoś go walnął w głowę, i to mocno. Może tak tu leżeć od wielu godzin.

– Chwila... przecież jeszcze nie tak dawno uraczyłeś mnie szczegółową opowieścią, że widziałeś Czerwonego Kapłana na górze pod postacią wilkołaka! – powiedział Cymmeryjczyk.

– Jasne, że widziałem! A może i nie... Patrz! Odzyskuje przytomność! Poczekaj z tym mordowaniem Conanie, bo wdepnęliśmy w znacznie głębsze łajno, niż mógłbym kiedykolwiek przypuszczać. Zanim poderzniesz mu gardło, muszę z nim wpieryw porozmawiać.

Nabonidus z trudem uniósł drżącą rękę do wielkiego siniaka na głowie, jęknął, po czym otworzył oczy, na początku szkliste i puste, ale po chwili na powrót przenikliwe. Bez względu na to, jak mocno ktoś przyłożył mu w głowę, pogrążając bystry umysł w mrokach nieświadomości, zaczął on teraz ponownie pracować równie przenikliwe, co zawsze. Kapłan rozejrzał się dookoła, odnotował obecność Conana i z uwagą spojrzał na Murila.

– Zaszczycasz swoją obecnością moje skromne progi, panie – zaśmiał się zimno Nabonidus, spoglądając jednocześnie na gigantyczną postać stojącą za plecami młodego arystokraty. – I widzę, że przyprowadziłeś ze sobą górę barbarzyńskich mięśni. Czyżby twój miecz nie wystarczył do pozbawienia mnie życia?



Conan od razu, z kocią zwinnością, doskoczył do leżącego, mierząc ostrzem sztyletu prosto w serce.

– Starczy tych bredni – uciął zniecierpliwiony Murilo. – Gadaj, tylko bez zbędnego oratorstwa, jak długo tu leżysz?

– Bardzo ciekawie pytanie, zwłaszcza, że zadano je osobie, która ledwie odzyskała przytomność – odparł kapłan. – Nie mam pojęcia, jaka jest pora dnia. Wiem, że grzmotnięto mnie w głowę mniej więcej godzinę przed północą.

– Zatem kto biega po domu w twojej szacie? – kontynuował przepytwanie Murilo.

– To pewnie Thak – odparł Nabonidus, ostrożnie sprawdzając swe rany. – Tak, na pewno on. Powiedziałeś: w mojej szacie? Cholerny popapraniec!

Conan zupełnie nie miał pojęcia, o czym rozmawiają mężczyźni, wiercił się więc niespokojnie mrużąc coś pod nosem we własnym języku. Nabonidus spojrział na olbrzyma zaniepokojony jego zachowaniem.

– Widzę, że twój morderca najchętniej dźgnąłby mnie tym ostrzem pod samo żebro. Myślałem, że wykazesz się odrobiną inteligencji i, zrozumiawszy moje ostrzeżenie, uciekniesz z miasta.

– Zapewne bardzo byś tego pragnął – wyrzucił z siebie Murilo. – Ale mam tu wiele własnych, niezłatwionych spraw.

– Stanowicie dobraną parę z tym rzeźnikiem – mruknął Nabonidus, nie spuszczać Conana z oka. – Już od dawna cię podejrzewałem i dlatego musiał zniknąć blady sekretarz króla, ale zanim wyzionął ducha, zdążył mi wiele powiedzieć, między innymi zdradził imię pewnego młodego arystokraty, którego bardzo interesowały tajemnice króla, a których nie potrafił zachować w sekrecie ów dworski urzędnik. Chciałeś je zapewne sprzedać obcym królestwom. I co, nie wstyd ci, Murilo, ty parszywy złodzieju w białych rękawiczkach?

– Nie mam więcej powodów do wstydu niż ty, cholerny klecho o sercu sępa – odparł twardo młodzieniec. – Dla swej prywaty doisz na potęgę całe królestwo. Łazisz po pałacowych komnatach z tą wiecznie zafrasowaną miną męża stanu, a na każdym kroku robisz z króla kompletnego idiotę, żebrzesz na kolanach u bogatych i potężnych, uciskasz biednych i dla własnych ambicji pogrywasz z przyszłością całego narodu. Ty po prostu jesteś tłustą świnią z ryjem po uszy zanurzoną w korycie. Ja nawet w połowie nie potrafię kraść tak, jak ty. A stojący za moimi plecami Cymmeryjczyk jest najuczciwszy z nas wszystkich, bo on rabuje i morduje otwarcie.

– No i pięknie – skwitował wywód młodzieńca kapłan. – Czyli jest tu trzech, godnych siebie łotrów. Tylko, co dalej? Zabijecie mnie?

– Kiedy zobaczyłem obcięte ucho sekretarza, wiedziałem, że mój los jest przesądzony – powiedział szorstko Murilo. – Widziałem, że by mnie ukatrupić posłużysz się królewskim rozkazem. Nie myliłem się, prawda?

– Jak zawsze, trafiłeś w sedno – szyderczo odparł kapłan. – Pozbycie się królewskiego sekretarza było dziecinne proste, ale skrócenie cię o głowę to

nie w kij dmuchał. Jesteś na dworze zbyt ważną figurą, nawet jak dla mnie. Chciałem dziś rano szepnąć do ucha królowi taki niewinny żarcik na twój temat.

– Żarcik, którego puentą byłaby moja głowa na katowskim pieńku – warknął wściekle Murilo. – Jak mniemam, król jeszcze nic nie wie o moich zagranicznych interesach?

– Jeszcze nie – westchnął Nabonidus. – Ale widząc ostrze w prędkich dłoniach twojego kompana myślę, a nawet jestem pewien, że żarcik zachowam dla siebie, bowiem król, jak przecież wiemy, mało wyznaje się na żartach.

– Wiesz oczywiście, jak wydostać się z tej szczurzej nory – rzekł Murilo. – Zrobimy więc tak: ten miły barbarzyńca za moimi plecami nie wypatroszy cię jak królika, a ty kierowany dozgonną wdzięcznością wyprowadzisz nas stąd i doznasz natychmiastowej amnezji o mojej... jakby to powiedzieć... niesubordynacji.

– Czcze gadanie – niespodziewanie odezwał się Conan, widząc, co zamierza Murilo. – Czy ktoś kiedykolwiek widział kapłana, który dotrzymałby złożonej obietnicy? Pozwól poderznąć mu gardło, a przekonam się, jakiego koloru jest jego krew. Ludzie w Labiryncie gadają, że serce Czerwonego Kapłana jest czarne, dlatego pewnie i czarna krew płynie mu w żyłach.

– Bądź cicho! – skarcił go szeptem Murilo. – Jeśli nie pokaże nam wyjścia z tej nory, to zdechniemy tu obaj.

Po tych słowach spojrzął w zimne oczy kapłana i już głośno zapytał:

– Co ty na to, Nabonidusie?

– A co może odpowiedzieć wilk z łapą w sidłach? – zaśmiał się kapłan. – Jestem na waszej łasce, lecz jeśli mamy stąd wyjść w jednym kawałku, musimy sobie pomagać. Przysięgam na duszę Mitry, że jeśli przeżyjemy ten koszmar, zapomnę o wszystkich twoich podejrzanych interesach!

– To mi wystarczy – mruknął Murilo. – Nawet Czerwony Kapłan nie ośmieli się złamać takiej przysięgi. Wynośmy się stąd! Mój stojący obok przyjaciel dostał się tu przez tunel, ale spadła za nim żelazna krata i przejście jest zablokowane. Możesz ją podnieść?

– Nie stąd – odpowiedział kapłan. – Dźwignia unosząca kratę jest w komnacie ponad tunelem. Z tych lochów jest jeszcze jedno wyjście i zaraz je wam pokażę. Chciałbym jednak, abyś najpierw mi powiedział, jak się tu znalazłeś?

Murilo w kilku krótkich słowach streścił dzieje swojej eskapady, a kapłan, kwaśno się uśmiechając, pokiwał głową na znak, że wszystko rozumiał. Następnie wstał ciężko i obolały od leżenia na wilgotnej podłodze przez dłuższy czas, ruszył przed siebie. Przeszli kilkadziesiąt kroków, dochodząc do miejsca, w którym korytarz rozszerzał się, tworząc coś na kształt obszernej sali. Kapłan skierował swe kroki w kierunku widocznego na odległej ścianie przedmiotu w kształcie srebrnego dysku. W miarę jak się do niego zbliżali światło jaśniało coraz mocniej, ale wciąż była to tylko blada, ledwie rozrzedzająca panujące ciemności poświata. Kiedy stanęli tuż przy dysku, spostrzegli wąskie schody prowadzące do góry.

– Proszę, oto i wyjście – zakomunikował Nabonidus. – Tamte drzwi u szczytu na pewno są otwarte. Ale tak sobie myślę, że jeśli chcecie przestąpić ich próg, to, czy nie lepiej byłoby własnoręcznie poderżnąć sobie gardło? Spójrzcie na to.

Gestem wskazał na srebrzysty krąg.

To, co z daleka przypominało srebrny dysk, w rzeczywistości było sporych rozmiarów, umocowanym na ścianie lustrem. Niezwykle pogmatwany system miedzianych rur wychodził ze szczelin ponad nim, po czym rury te, zakręcając pod kątem prostym, prowadziły wprost do powierzchni zwierciadła. Zaciekawiony Murilo przyłożył oko do wylotu jednej z nich i zdumiony zobaczył cały szereg mniejszych luster. Następnie przeniósł wzrok na zwierciadło na ścianie i krzyknął ze zdziwienia. Zagląający mu przez ramię Conan był nie mniej zaskoczony, widząc coś takiego po raz pierwszy w życiu. Obydwaj mieli wrażenie, że zagląдают przez szerokie okno do wnętrza jasno oświetlonej komnaty, w której na ścianach wyłożonych drogim aksamitem precyzyjnie porozwieszano dziesiątki innych wielkich zwierciadeł. Pomieszczenie urządzone z niesamowitym przepychem: dostrzegli obite niebotycznie drogim jedwabiem wielkie kanapy, liczne i bogato zdobione krzesła z hebanu i kości słoniowej, a także wiele, zasłoniętych ciężkimi kotarami drzwi, zapewne prowadzących do innych komnat. Wodząc dalej wzrokiem po pomieszczeniu zobaczyli nagle wielką, czarną kreaturę, kontrastującą groteskowo z panującym wokół przepychem.

Przyglądający się poczwarze Murilo znowu poczuł, jak ze strachu krew tężeje mu w żyłach. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że bestia patrzy mu prosto w oczy. Odruchowo odskoczył od wypolerowanej powierzchni,

widząc jednocześnie jak Conan niepewnie zbliżył twarz do zwierciadła tak bardzo, że niemal dotykał jej nosem, miotając przerażające przekleństwa w ojczystym języku.

– Na Mitrę, Nabonidusie – wyjąkał przerażony Murilo. – Co to za cholerstwo?

– To jest Thak – odparł kapłan, delikatnie gładząc obolałą skroń. – Niektórzy nazwaliby go małpą, lecz od małpy dzieli go mniej więcej tyle samo, co od człowieka. Jego plemię zamieszkuje wysokie, niedostępne góry na dalekich rubieżach wschodnich granic Zamory. Nie jest liczne. Mogę się założyć, że jeśli nie zostaną wybici, to w przeciągu jakiś stu tysięcy lat staną się ludźmi. Na obecnym etapie ewolucji nie są już małpami, jak ich przodkowie, a do poziomu ludzi jeszcze im wiele brakuje. Kto wie, może ten przywilej będzie dany ich potomkom? Na razie zamieszkują wysokie partie dzikich gór. Nie znają ognia, nie budują domów, nie noszą żadnego odzienia, nie posługują się, bo nie znają, żadnej broni, a porozumiewają się za pomocą prymitywnego języka, lecz to jedynie zbiór chrząknięć i mlaśnień. Znalazłem i przygarnąłem Thaka, gdy był jeszcze szczeniakiem. Myślałem, że będzie pojętny jak pies, ale on uczył się szybciej i lepiej od każdego znanego mi rodzaju zwierząt. W końcu został moim obrońcą i sługą. Popełniłem jednak podstawowy błąd, myśląc, że będę mógł go całkowicie kontrolować jak przydomowego kundla. Im bardziej stawał się podobny do człowieka, tym bardziej był krnąbrny, jakby jego prymitywny mózg zachował w zakamarkach pamięci uczucie nienawiści, gniewu i czegoś na kształt poczucia niezależności. Zaatakował mnie w najmniej spodziewanym momencie. To stało się dziś wieczorem. Zachowywał się, jakby nagle postradał rozum, a wszystkie jego uczynki miały cechy zwierzęcego obłądu. Dopiero po czasie dotarło do mnie, jak bardzo się myliłem, bo on to wszystko zaplanował. Gdy usłyszałem dochodzące z ogrodu odgłosy walki, poszedłem sprawdzić, co się dzieje, a byłem pewien, że to ty, Murilo, zamiast dać w długą i zniknąć z miasta, postanowiłeś mnie zabić, zakradając się do mego domu, ale dorwał cię pies i właśnie rozszarpuje na kawałki. Zamiast cieszyć się widokiem twojej śmierci, zza krzaków wypadł na mnie zakrwawiony i wrzeszczący Thak i nim zdążyłem pojąć, co zamierza, huknął mnie czymś twardym w głowę z taką siłą, że od razu straciłem przytomność. Reszty mogę się tylko domyślać. Za sprawą jakiegoś kaprysu, swego na poły ludzkiego mózgu, zerwał ze mnie szaty i wrzucił półnagiego, ale żywego, do lochu. Dlaczego?

To wie chyba sam Mitra. Najpierw zabił psa w ogrodzie, potem ogłuszył mnie, a następnie ukręcił Jokiemu głowę, skoro, jak twierdzisz, na własne oczy widziałeś w jednej z komnat martwego mężczyznę. Joka stanąłby w mojej obronie, nawet przeciwko Thakowi, tym bardziej, że zawsze go nienawidził.

Murilo przyglądał się przerażonym wzrokiem bestii widocznej w lustrze, która spokojnie i nie okazując zniecierpliwienia siedziała przed drzwiami. Wzdrygnął się widząc wielkie, czarne dłonie porośnięte gęstą szczeciną. Lekko przygarbione ciało było monstualnych rozmiarów. Niesamowicie szerokie bary rozsadzały czerwoną szatę, ukazując ramiona Thaka, również gęsto porośnięte czarną szczeciną. Pod kapturem widoczna była twarz bestii, a raczej coś, co należałoby nazwać pyskiem. Murilo musiał jednak przyznać rację Nabonidusowi – Thak na pewno nie był tylko zwierzęciem, bo w jego krwiścieczerwonych, małych oczach, w całej jego posturze, w ogóle w całym wyglądzie czaiło się coś, co ewidentnie odróżniało go od zwierząt. W tym gigantycznym cielsku musiały skrywać się załączki inteligencji, a kto wie, może bestia miała nawet duszę.

Młody arystokrata stał jak zahipnotyzowany, dostrzegając odległe, ale jednak widoczne podobieństwo między ludzką rasą a siedzącym w kucki małpoludem. Poczul się nieswojo na myśl o praprzodkach człowieka, którzy przecież wcale niewiele różnili się od tej bestii i o tym, jak długą i bolesną drogę musiał przejść rodzaj ludzki, by stać się tym, kim jest teraz.

– Na pewno nas widzi – warknął nagle Conan. – Dlaczego więc nie zaatakuje? Bez trudu przecież mógłby przejść przez to okno.

Dopiero na dźwięk tych słów Murilo zdał sobie sprawę, że Conan chyba po raz pierwszy w życiu ogląda lustro, bo pomylił je z oknem.

– Spokojnie, on nas nie widzi – wyjaśnił kapłan. – Zaglądamy do komnaty nad nami, a Thak waruje przy drzwiach u szczytu schodów. To wszystko to nieskomplikowany system ustawionych pod odpowiednim kątem luster. Spójrz na te zwierciadła na ścianach. Przekazują odbicie wszystkiego, co się dzieje w komnacie, do widocznych tu rur, w których z kolei następne lustra przesyłają obraz dalej, aż w końcu dociera on tutaj i jest pokazywany w dużym powiększeniu na zwierciadle przed nami.

Murilo zdał sobie sprawę, że Nabonidus, żeby wymyśleć i zbudować takie urządzenie, musi intelektualnie wyprzedzać swoją epokę o całe wieki, lecz dla Conana to wszystko było jedną wielką magią, toteż nie udawał nawet, że cokolwiek z wywodu kapłana zrozumiał.

– Postanowiłem zbudować ten loch, by był, zależnie od okoliczności, więzieniem lub schronieniem – kontynuował swój wykład kapłan. – Wiele razy chroniłem się tutaj i przez system luster mogłem swobodnie i bezpiecznie oglądać śmierć wszystkich nasłanych na mnie morderców.

– Nie rozumiem, dlaczego Thak pilnuje akurat tych drzwi przed nami? – spytał zdziwiony Murilo.

– Pewnie usłyszał opadającą kratę w tunelu, bo jest połączona dzwonkiem w komnacie powyżej. Wie zatem, że ktoś jest w lochu i czeka, aż pechowiec wejdzie po schodach na górę. Z radością widzę, jak znakomicie przyswoił sobie moje nauki. Nieraz był świadkiem, co spotykało głupców wychodzących przez te drzwi, gdy pociągałem za linkę wiszącą na tamtej ścianie. Chce zrobić to samo.

– Też się cieszę, że bestia jest tak zdolna – rzucił zdenerwowany Murilo. – Tylko, co my mamy zrobić w tej sytuacji?

– W tej chwili możemy go co najwyżej obserwować, a póki siedzi w komnacie, szczytem kretynizmu byłoby wchodzenie po schodach. Thak to potwornie silna bestia, z łatwością mógłby nas rozerwać na strzępy, ale by nas wysłać w zaświaty, wcale nie musi używać mięśni. Wystarczy, że pociągnie za linkę i będzie po wszystkim.

– Niby jakim cudem? – spytał zaciekawiony Murilo.

– To, że zgodziłem się pomóc wam w ucieczce – odparł kapłan – nie oznacza jeszcze, że zdradzę wam wszystkie tajemnice mego domu.

Murilo chciał coś powiedzieć, ale nagle znieruchomiał z otwartymi ustami, bo czyjaś dłoń ostrożnie rozchyliła kotarę przed jednym z wejść do komnaty widocznej w lustrze. W powstałej szczelinie pojawiła się ciemna twarz o lśniących oczach, które wierciły groźnym spojrzeniem postać w czerwonej szacie, siedzącą na krześle.

– Niech mnie, to Petreus! – syknął kapłan. – To już prawdziwa pielgrzymka łotrów do mojego domu!

Mężczyzna pozostał za kotarą, ale za jego plecami pojawili się inni intruzi z twarzami, na których znać było żądze mordy.

– Co oni tu robią? – wyszeptał zdziwiony Murilo, zapominając, że nieoczekiwani goście nie mogą go usłyszeć.

– A co może robić w moim domu Petreus razem ze swoimi młodymi i stukniętymi nacjonalistami? – zaśmiał się Nabonidus. – Spójrz tylko z jaką nienawiścią wpatrują się w Thaka, biorąc go za mnie. Popełniają ten sam błąd, co ty. Nie mogę się doczekać ich min, gdy zrozumieją swoją pomyłkę.

Murilo nic nie powiedział. Wszystkie dzisiejsze wydarzenia były dlań czystym absurdem, wymysłem chorej wyobraźni jakiegoś bóstwa. Miał przemożne wrażenie, że ogląda, a nawet jest niemym uczestnikiem kuriozalnego przedstawienia marionetek. Uczestnikiem, który niby zjawia obserwuje losy żywych ludzi, sam nie będąc przez nich widzianym.

Tymczasem Petreus uniósł ostrzegawczo palec do ust, nakazując kompanom zachowanie absolutnej ciszy. Murilo nie wiedział, czy Thak wyczuwał ich obecność, bo jeśli nawet tak było, nie dawał tego po sobie poznać – siedział nieruchomo na krześle odwrócony plecami do drzwi, przez które do komnaty zaczęli właśnie wchodzić zamachowcy.

– Zaświtał im w głowach ten sam pomysł, co tobie – szepnął Nabonidus do ucha Murila. – Oni, w przeciwieństwie do ciebie, chcą mnie ukatrupić z pobudek patriotycznych. Teraz, gdy pies jest martwy, zakraść się do mojego domu może być łachmyta. Cóż to za wspaniała okazja do pozbycia się tych śmieci raz na zawsze! Gdybym to ja siedział na krześle, a nie Thak, z rozkoszą pociągnąłbym za linkę. Wystarczyłby jeden skok ku ścianie...

Petreus ostrożnie postawił jedną stopę za progiem komnaty, mając na plecach całą zniecierpliwioną grupę młodych mężczyzn dzierzących w dłoniach obnażone sztylety delikatnie połyskujące w półmroku korytarza. Nagle Thak zerwał się z krzesła, obrócił na pięcie i z ohydny grymasem na pysku skoczył ku zamachowcom. Ci, na początku, zbaranieli z przerażenia. Oczekiwali widoku znajomej, znienawidzonej twarzy kapłana, a tymczasem w ich kierunku leciała jakaś potworna, monstrualnych rozmiarów istota, błyszcząc poźółkłymi kłami. Petreus w odruchu paniki gwałtownie się cofnął, wpadając plecami na stojących za nim mężczyzn. A ci byli nie mniej sparaliżowani strachem. Jedni krzyczeli, inni, chcąc uciekać, wpadali na towarzyszy, a ci pod niespodziewanym naporem, upadali na podłogę. Napierający z kolei potykali się o leżących. W korytarzu zapanowało istne pandemonium. I wtedy Thak w biegu zmienił kierunek, jednym susem dopadł ściany i pociągnął za mocną, aksamitną linkę.

W jednej chwili kotary po obu stronach wejścia rozsunęły się ukazując korytarz, a z górnej części framugi śmignęło w dół coś, co rozbłysło dziwnym srebrnym refleksem.

– On pamiętał! – wykrzyknął rozanielony Nabonidus. – Ta bestia jest prawie człowiekiem! Raz już widział, jak działa ta pułapka i wszystko zapamiętał! Cóż za fantastyczne odkrycie! A teraz patrzcie uważnie!

Murilo zrozumiał, że wejście przegrodziła masywna, szklana płyta. Z chorą fascynacją obserwował pobladłe, zdjęte przerażeniem twarze zamachowców. Petreus wyciągnawszy przed siebie rękę, jakby w obronie przed atakiem Thaka, natrafił na przezroczystą barierę i mocno gestykulując zaczął coś tłumaczyć swoim towarzyszom. Dzięki temu, że teraz kotary były odciągnięte na boki, mężczyźni w lochu doskonale widzieli, co działo się w korytarzu, w którym oszołomieni nacjonaści gorączkowo szukali drogi ucieczki. Zobaczyli, jak grupa rzuciła się biegiem w stronę, z której weszła do komnaty, tylko po to, by odbić się od drugiej niewidzialnej bariery.

– Pociągnięcie za linkę zamyka z obydwu stron korytarz – zachichotał uszczęśliwiony kapłan. – To jest tak proste, że aż genialne: szklane płyty zsuwają się po specjalnie wyżłobionych w futrynie rowkach, a lina uruchamia mechanizm zwalniający i wtedy opadają one z wielką siłą, a gdy dolna krawędź płyty wpadnie do wyżłobienia w podłodze, specjalny zatrzask uniemożliwia jej uniesienie. Można to zrobić tylko z zewnątrz. To nie jest zwyczajne szkło, nawet uderzenie młotem kowalskim go nie rozbije.

Tkwiących w pułapce zamachowców dopadło paniczne przerażenie. Biegali jak szaleni od jednych do drugich drzwi, tłukąc pięściami, nie wiadomo w jakim celu, w szklane tafle i wygrażali Thakowi, który przykucnął sobie w komnacie i całą scenę obserwował z najwyższym spokojem. Wtem jeden z nich spojrzał w górę i, czego można było się domyśleć obserwując jego usta, zaczął krzyczeć, pokazując palcem na sufit.

– Opadnięcie obydwu tafli powoduje uwolnienie Chmury Śmierci – wyjaśnił rozemocjonowany i roześmiany Czerwony Kapłan. – To pyłek szarego lotosu, pozyskiwany z Bagien Umarłych, położonych bardzo daleko poza granicami Khitaju.

Ze środka sufitu zaczęły wyrastać złote pąki, które, otwierając się jak płatki wielkiej, upiornej róży, powoli sączyły do korytarza szarawą mgiełkę. Działanie pyłku było natychmiastowe. Do tej chwili zamknięci zamachowcy biegali spanikowani i przerażeni, ale wystarczył jeden wdech, by ogarnęło ich krwiożercze szaleństwo. Chwiali się na nogach jak pijani, wpadali jeden na drugiego, a na ich wykrzywionych w koszmarnym uśmiechu ustach wystąpiła piana. Nagle jak na zawołanie rozpoczęła się krwawa orgia wzajemnego mordowania, gryzienia, dźgania sztyletami, rozrywania ciał paznokciami. Na ten widok Murilo o mało nie

zwymiotował na zanoszącego się straszliwym śmiechem kapłana. Dziękował wszystkim bogom, których znał, że nie słyszyły wrzasków potwornej agonii, zapewne od których aż drżały ściany zabójczej pułapki. Był widzem ohydnej w swej brutalności pantomimy.

Stojący tuż przy szklanej tafli Thak groteskowo podskakiwał owładnięty czystą, zwierzęcą radością, co chwila wyrzucając w górę owłosione ramiona. Za plecami Murilo Nabonidus zanosił się od przesiąkniętego nienawiścią i chorą radością śmiechu.

– Ach, Petreusie, co za wyborne pchnięcie! Po mistrzowsku go wybebeszyłeś! A ten cios to prezent dla ciebie, mój kochany patrioto! Cudnie! Wszyscy leżą, a żywi rozszarpują ociekającymi śliną zębami parujące mięso martwych!

Murilo zadrżał, z ust stojącego za nim Conana płynęły rzeki najgorszych cymmeryjskich przekleństw. Z korytarza spozierała tylko śmierć. Niedoszli zamachowcy – podźgani, rozszarpani, zagryzieni, z ustami pełnymi ludzkiego mięsa – leżeli razem, tworząc makabryczny stos ciał oraz wyprutych wnętrzności. Ich zakrwawione i wykrzywione w odrażającym grymasie, skierowane go góry twarze martwymi oczami wpatrywały się w wolno wirującą pod sufitem zabójczą mgiełkę.

Thak, przygarbiony niczym gigantyczny gnom, podszedł do ściany i pociągnął za linkę, ale tym razem nie w dół, tylko w lewą stronę.

– Otwiera zewnętrzne drzwi do korytarza – objaśnił ciągle podniecony Nabonidus. – Nie mogę w to uwierzyć! On jest bardziej inteligentny niż mógłbym kiedykolwiek przypuszczać. Spójrzcie: mgiełka wylatuje z korytarza otwartymi drzwiami, a on ciągle czeka, aż będzie bezpieczny. Teraz podnosi drugą płytę, ale ciągle jest ostrożny, bo wie, że pyłek szarego lotosu niesie ze sobą szaleństwo i śmierć. Na Mitrę!

Murilo aż zaniemówił, widząc, jak rozemocjonowany jest kapłan i uszczęśliwiony przebiegłym postępowaniem swego niedocenianego pupilka.

– To nasza jedyna szansa! – wyjaśniał gorączkowo Nabonidus. – Jeśli Thak wyjdzie z komnaty choć na kilka chwil, to powinniśmy zaryzykować i wbiec po tych schodach.

W napięciu przyglądali się, jak bestia niespiesznym krokiem wchodzi do korytarza. Po podniesieniu szklanych płyt kotary wróciły na swoje miejsce, zasłaniając wejście do komnaty śmierci.

– Teraz albo nigdy! – zaordynował kapłan, na co Murilo przeszył przerażonym wzrokiem zroszoną potem twarz Nabonidusa. – Thak kiedyś widział jak i gdzie pozbywałem się ciała, więc pewnie właśnie to robi. Prędko, za mną, na górę!

Kapłan skoczył na schody z nieoczekiwaną zręcznością, a młody arystokrata i Conan pobiegli tuż za nim. Gdy tylko Nabonidus dotarł do drzwi na szczycie schodów, natychmiast je otworzył i... z jego ust wydobyło się głębokie westchnienie ulgi. Thaka w komnacie nie było.

– Skoro małopołud jest w korytarzu i wynosi ciała, to może go tam zamkniemy? – zaproponował Murilo.

– Nie, nie, to zły pomysł – szybko odparł kapłan, dysząc ciężko i ledwie łapiąc oddech, a jego twarz przybrała brzydki, blady odcień. – Po pierwsze nie mamy pewności, że rzeczywiście tam jest, a po drugie może pojawić się w komnacie w każdej chwili, a wtedy nie będzie mowy o pociągnięciu za linkę. Chodźcie za mną korytarzem, muszę dostać się do mojej komnaty, bo tam trzymam broń, mogącą go zabić. Ten korytarz jest jedynym, w którym nie zainstalowałem pułapek.

Conan i Murilo ruszyli więc za Nabonidusem, błyskawicznie dobiegając do zasłoniętego kotarą przejścia, znajdującego się naprzeciwko wejścia do komnaty śmierci i wypadli na korytarz, w którym zauważyli wiele drzwi. Kapłan w panicznym wręcz pośpiechu sprawdzał każde z nich, ale wszystkie były zamknięte na klucz.

– Na Mitrę! – Czerwony Kapłan oparł się plecami o ścianę, nagle jego skóra przybrała barwę popiołu i po raz pierwszy tego wieczoru wyglądał na naprawdę przerażonego. – Jesteśmy w pułapce! Drzwi są pozamykane, a moje klucze ma Thak...

Murilo, pobladły i bliski zawału ze strachu, okrągłymi ze zdziwienia oczami wpatrywał się w ogarniętego paniką Nabonidusa. Ten jednak po krótkiej chwili wziął głęboki oddech i na powrót odzyskał nad sobą panowanie.

– Ta bestia mnie przeraża – powiedział. – Gdybyście widzieli, jak on rozszarpuje ludzi na strzępy... Niech Mitra ma nas w swojej opiece! Musimy z nim walczyć tym, co nam w swojej łaskawości bogowie dali. Chodźcie!

Poprowadził ich z powrotem do zasłoniętych kotarą drzwi do komnaty z lustrami. Zajrzał do niej dokładnie w tej chwili, gdy po drugiej stronie pomieszczenia w wejściu pojawiła się głowa bestii i mężczyźni od razu

pojęli, że Thak coś podejrzewa. Strzygł czujnie drobnymi uszami, jednocześnie rozglądając się wokół gniewnym spojrzeniem. Podszedł do najbliższych drzwi i gwałtownym ruchem odsłonił kotarę, by zobaczyć, co się za nią kryje.

Nabonidus, trzęsąc się jak nagi robak na mrozie, zrobił krok w tył, uczeplił się kurczowo ramienia Conana i drżącym szeptem zapytał:

– Barbarzyńco, masz w sobie dość odwagi, by rzucić się na Thaka, będąc uzbrojonym tylko w nóż?

Morderczy i paskudny wyraz oczu Cymmeryjczyka był wystarczającą odpowiedzią.

– Migiem! – syknął Czerwony Kapłan, bezceremonialnie popychając Conana do ściany, skrywając go za kotarą. – Tak czy inaczej zaraz nas znajdzie! My odwrócimy jego uwagę, a ty, jeśli tylko zdołasz, zajdź go od tyłu i wbij sztylet w jego plecy aż po rękojeść! Jeśli chodzi o ciebie, Murilo, to pokażesz mu się, a później uciekaj korytarzem, ile tylko masz sił w nogach. Nie będę wam wciskał ciemnoty, że mamy z nim jakiegokolwiek szanse w otwartej walce. I tak nas wcześniej czy później znajdzie, a wtedy zgotuje nam taką śmierć, że już lepiej byłoby się nie urodzić.

Murilo poczuł, że w żyłach nie płynie mu krew, ale wrzący ołów, lecz pozbierał się i odsunął kotarę, wystawiając głowę z korytarza. Thak, który właśnie węszył po przeciwnej stronie komnaty, odwrócił się gwałtownie, spojrzał na mężczyznę i z grzmiącym rykiem skoczył w jego kierunku. Purpurowy kaptur opadł mu na plecy, ukazując czarną, niekształtną głowę. Czarne łapska i wiszące na ciele strzępy czerwonej szaty kapłana poplamione były świeżą krwią. Bestia, obnażywszy wielkie, pożółkłe kły, w dzikim biegu rozrzucając dookoła meble, wyglądała jak owłosione, czarno-czerwone tsunami zagłady, a krótkie, pokracczne nogi z zadziwiającą łatwością unosiły gigantyczne cielsko.

Widok zaiste musiał być przerażający, bo Murilo pobiegł w górę korytarza jak wystrzelony z katapulty. I choć strach dodał mu skrzydeł, tak że młodzieniec biegł z wigorem wystraszonej gazeli, to Thak był szybszy. O wiele szybszy.

Kiedy bestia mijała kotarę, spoza niej wystrzelił Conan, spadł na ramiona małpoluda i z dziką wściekłością wbił sztylet w masywne plecy aż po rękojeść. Thak wrzasnął tak straszliwie, że aż dom zadrżał w posadach, a impet uderzenia zwałił go z nóg. Przeciwnicy huknęli o podłogę, w jednej chwili tworząc wir szepionych, muskularnych ciał. Byli jak chaos

i kataklizm w jednym, niszcząc wszystko, co tylko znalazło się na ich drodze. Trzeszczały kości, rozpadały się meble, a w powietrzu wibrowały wściekłe przekleństwa Conana i zwierzęcy ryk Thaka.

Murilo zobaczył, że Cymmeryjczyk zacisnął nogi na torsie małpoluda i starając się ze wszystkich sił nie spaść, dźgał sztyletem jak szalony. Z kolei Thak za wszelką cenę chciał tak przesunąć wiszącego mu na plecach przeciwnika, żeby capnąć go wielkimi i ostrymi jak brzytwa kłami. W nawałnicy ciosów i strugach co chwila tryskającej krwi, opleceni resztkami kapłańskiej szaty Nabonidusa, opętańczo walczący wrogowie przetoczyli się przez korytarz tak szybko, że Murilo, choć chwycił za najbliższe krzesło, nie odważył się go użyć w obawie, iż wyrznie nim w głowę Conana, a nie Thaka.

A małpolud powoli, ale nieubłaganie zaczynał nad Cymmeryjczykiem zdobywać przewagę. Mimo że barbarzyńca był nadludzko szybki, silny i siedział przeciwnikowi na plecach, a wszelkie ruchy Thaka krępowały strzępy szaty Czerwonego Kapłana, to bestia miała jeden niepodważalny atut – była wręcz tytanicznie silna. I wiedziała, jak z tej siły zrobić użytek. Centymetr po centymetrze przesuwiała przeciwnika uczeponego jej pleców w zasięg swojej morderczej paszczy, a ociekające śliną kły tylko czekały, by zasmakować cymmeryjskiego mięsa. Thak został dźgnięty już tyle razy, że wystarczyłoby tego do zabicia z tuzina ludzi. Conan raz za razem zatapiał sztylet w niemilosierdzie już pociętym i obficie krwawiącym z dziesiątek ran ciała małpoluda, jednak bez skutku. Cymmeryjczyk wiedział, że jeśli nie dosięgnie ostrzem jakiegoś ważnego organu, to nadludzka żywotność Thaka w końcu przeważy, monstrum rozszarpie go na strzępy, a potem zabierze się za jego towarzyszy. Walczył jak dzika bestia – z zawziętością, w ciszy, od czasu do czasu sapiąc z wysiłku. Czarne pazury małpoluda cięły ciało niczym przedniej jakości ostrze, a stalowy chwyt jego niekształtnych łapsk nieubłaganie kierował głowę Cymmeryjczyka wprost pod straszliwe, czekające tylko na dogodną okazję, kły.

I wtedy Murilo dostrzegł tę jedną jedyną okazję do ataku. Doskoczył do walczących, wziął potężny zamach trzymany w rękach krzesłem i z całych sił, jakimi obdarowała go matka natura, huknął nim w paskudny, owłosiony łeb bestii. Zwykłemu śmiertelnikowi taki cios zrobiłby z czaszki miazgę, lecz od twardej głowy Thaka zabójczy pocisk tylko się odbił. Ale to wystarczyło. Zaskoczony małpolud na chwilę rozluźnił mocarny uścisk,

a wtedy Conan, dyszący i obficie broczący krwią, zadał ostateczny cios, zatapiając sztylet aż po rękojeść w bijącym sercu przeciwnika.

Małpolud zadrzał konwulsyjnie, zawył. Ostatnim wysiłkiem woli próbował jeszcze wstać, jednak zdołał tylko nieco się unieść. Małe, czerwone oczy zaszyły mgłą i bestia na chwilę znieruchomiła, po czym runęła bezwładnie na podłogę. To był koniec walki – Thak nie żył.

Conan z najwyższym trudem podniósł się na nogi, ale ledwie stał, a przy próbie zrobienia pierwszego kroku o mało się nie przewrócił. Drżącą ręką otarł pot i krew z twarzy, posoka kapała mu z palców i ostrza sztyletu, a z ud, ramion i muskularnej piersi ściekała strużkami. Murilo rzucił się do niego, by podtrzymać rannego olbrzyma, ale Cymmeryjczyk odtrącił go lekko niecierpliwym gestem.

– Kiedy nie będę mógł stać o własnych siłach, to będzie znaczyło, że nie żyję i umarłem – wymamrotał opuchniętymi wargami, siląc się na niskich lotów żarcik. – Ale, na Croma, nie przeczę, chętnie bym sobie teraz golnął dobrego wina! Znajdzie się tu takie?

Nabonidus patrzył na nieruchomo leżącego Thaka, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Czarna, paskudnie owłosiona bestia, choć przedstawiała absurdalnie wręcz groteskowy widok – gigantyczna góra stalowych mięśni, obrośnięta futrem, odziana w strzępy czerwonej kapłańskiej szaty, z krótkimi nogami, wielkimi łapskami i wywalonym na wierzch jęzorem, miała w sobie jednak więcej cech ludzkich niż zwierzęcych i dlatego w pewien sposób, leżąc wśród szczątków mebli, wzbudzała nie odrazę, a litość.

Nawet Conan musiał myśleć podobnie, bo głosem poważnym, wyrażającym szacunek powiedział:

– Zabiłem dziś człowieka, nie zwierzę. Zapamiętam go jako jednego z najmniejszych spośród tych, których dusze wysłałem do krainy wiecznej ciemności, a moje kobiety przy wieczornym ognisku będą śpiewać o nim pieśni.

Nabonidus przyklęknął nad ciałem Thaka i podniósł pęk kluczy na złotym łańcuchu, które zsunęły się z szyi bestii podczas walki. Zaprosił gestem swoich towarzyszy, aby poszli za nim do innej komnaty. Otworzył drzwi i wskazał drogę, ale do środka wszedł pierwszy. Pomieszczenie to, zresztą tak jak i inne, było jasno oświetlone. Ze stołu przy ścianie wziął wielki dzban wina i napełnił kryształowe puchary. Murilo i Conan

z wdzięcznością przyjęli karminowy trunek, gasząc z rozkoszą pragnienie. Wtedy odezwał się Nabonidus.

– Co za noc! Już prawie świta... Co teraz zrobicie?

– Jeśli dasz mi jakieś bandaże i wszystkie inne potrzebne rzeczy, to opatrzę rany Conana – rzekł Murilo, a Nabonidus skinąwszy głową na znak, że zrozumiał, ruszył w stronę drzwi.

Jednak było w jego postawie i ruchach coś dziwnego, nienaturalnego, co młody arystokrata od razu wychwycił.

Gdy tylko Nabonidus stanął w drzwiach, odwrócił się nagle, a w jego oczach pojawił się zimny i okrutny blask triumfu. Wyszczrzył białe zęby w bezgłośnym i upiornym uśmiechu.

– Wszyscy trzej jesteśmy łotrami – powiedział z wyraźną drwiną w głosie. – Ale nie wszyscy jesteśmy głupcami! Głupcem jesteś ty, Murilo!

– O czym ty mówisz? – spytał zaskoczony młodzieniec i zrobił krok w stronę kapłana.

– Stój! – wykrzyknął rozkaz Nabonidus tonem przywykłym do wydawania poleceń. – Jeszcze krok, a skończycie jak Petreus i jego ludzie!

Murilo zamarł z przerażenia, bo zobaczył, że ręka Czerwonego Kapłana spoczęła na aksamitnej lince, wiszącej tuż za drzwiami.

– Co ty, do diabła, knujesz?! – krzyknął młodzieniec. – Przyrzekłeś przecież...

– Przyrzekłem, że nie opowiem królowi pewnego żarciku o tobie. Nic nie wspominałem o wzięciu spraw w swoje ręce, jeśli nadarzy się okazja. Przerażenie i panika tak bardzo zlasowały ci mózg, że oczekiwałeś, iż zaprzepaszczę taką szansę? W normalnych okolicznościach nie odważyłbym się podnieść na ciebie ręki bez królewskiego pozwolenia, ale przecież okoliczności normalne nie są, a o tym, co się tutaj za chwilę wydarzy i tak się nikt nie dowie. Traficie bowiem obaj do mojego ulubionego wynalazku – kadzi pełnej kwasu. Samotność doskwierać wam nie będzie, bo wrzucę tam także ciała Thaka i tych nacjonalistycznych idiotów. I wszelki ślad po was zginie. Cóż to była dla mnie za noc! Szkoda moich cennych i przydatnych służących, jednak w zamian za jednym zamachem pozbyłem się moich najgroźniejszych wrogów. Ani kroku dalej, Murilo! Stoję na progu i nie zdołacie mnie dopaść, nim pociągnę za linkę i wyślę wasze plugawe dusze prosto diabłu w dupę! Prawie każda komnata w moim domu to pułapka. Tym razem to nie szary lotos, ale coś równie skutecznego. A więc Murilo, ty kompletnie zidiocia...

Kapłan zajęty swym monologiem nie zwracał uwagi na Conana, a z kolei barbarzyńcę nie interesowało, jaką obelgą zamierza Nabonidus obdarzyć arystokratę tuż przed pociągnięciem za linkę. Z szybkością błyskawicy chwycił za najbliższy masywny taboret i cisnął nim z całej siły. Pocisk pomknął do celu z zabójczą precyzją i niesłychaną mocą, jak wystrzelony z balisty. Kapłan odruchowo próbował zasłonić twarz, ale zrobił to o wiele za wolno. Taboret zmiażdżył mu twarz, a siła uderzenia była tak duża, że odrzuciła ciało aż w głąb korytarza. Natychmiast wokół roztrzaskanej czaszki rozlała się kałuża krwi.

– No, proszę, a jednak jego krew jest czerwona – mruknął Conan.

Murilo drżącymi palcami zaczesał w tył zlepione potem włosy. Był na skraju wyczerpania psychicznego i fizycznego, dlatego, gdy wreszcie mógł odetchnąć z ulgą, widząc, że kapłan wyzionął ducha, o mało nie upadł na podłogę. Oparł się ciężko o stół.

– Pewnie już świta – powiedział słabym głosem. – Wynośmy się czym prędzej z tego przekłętego domu, bo znowu wdepniemy w jakieś zabójcze gówno. Jeśli tylko niezauważeni pokonamy zewnętrzny mur, nikomu nie przyjdzie do głowy, by powiązać nas z wydarzeniami tej nocy. Niech gwardia królewska sama się głowi nad wytłumaczeniem sprawy.

Murilo rzucił okiem na leżące w kałuży krwi ciało Czerwonego Kapłana i wzruszył ramionami.

– Koniec końców to on okazał się głupcem i na dodatek potwornie gadatliwym. Gdyby po prostu pociągnął za linkę...

– Cóż – rzekł spokojnie Conan. – Spotkał go los pisany każdemu łotrowi. Najchętniej splądrowałbym jeszcze ten dom, ale po namyśle muszę przyznać, że to... głupi pomysł. Lepiej stąd chodźmy.

Kiedy wyszli do ogrodu skąpanego w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, Murilo spojrzał na cymmeryjskiego giganta i zadał pytanie.

– Co będzie z tobą? Wysłałeś Czerwonego Kapłana w zaświaty, zatem ja jestem bezpieczny i otwierają się przede mną nowe możliwości, ale ty musisz pamiętać, że nie przycichła jeszcze sprawa kapłana z Labiryntu, więc...

– Jestem już zmęczony tym miastem – odpowiedział Conan, szeroko się uśmiechając. – W celi coś gadałeś o koniu czekającym na mnie w Szczurzej Norze. I o sakiewce dobrze napchanej złotem. Chętnie sprawdzę, jak szybko ten niezwykły rumak poniesienie mnie do sąsiedniego królestwa.

Mam ochotę odbyć jeszcze wiele podróży, zanim wybiorę się w tę ostatnią, która zawiedzie mnie tam, gdzie tej nocy wysłałem Nabonidusa.

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(styczeń 1934) pod tytułem *Rogues in the House*

CIENIE W KSIĘŻYCOWEJ
POŚWIACIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W wysokich trzcinach rozległ się tętent koni. Po chwili dało się słyszeć ciężki upadek i pełen desperacji krzyk. Spod zdychającego rumaka wyczołgała się szczupła dziewczyna w sandałach i przewiązanej w pasie tunice. Jej ciemne włosy opadały na jasne ramiona, oczy przywodziły na myśl zwierzę w potrzasku. Nie rozglądała się po gąszczu trzciny otaczającym małą polanę; nawet nie spojrzała na błękitne wody liżące niski brzeg. Śmiertelnie przerażona patrzyła na jeźdźca, który zsiadł z konia i stanął przed nią.

Wysoki mężczyzna, szczupły, lecz twardy jak stal, odziany był w lekką, srebrną zbroję, która pasowała jak ulał do jego smukłej postaci. Patrzył na nią drwiąco spod kopulastego, wysadzanego złotem hełmu.

– Odsuń się – jej głos był pełen trwogi. – Nie dotykaj mnie, Shahu Amuracie, albo rzucę się do wody i utonę!

Jego śmiech był jak pomruk miecza wysuwającego się z jedwabnej pochwy.

– Nie utoniesz, Oliwio, córo chaosu, gdyż przy brzegu jest zbyt płytko i złapię cię, zanim wypłyniesz na głębiny. Bogowie, goniąc cię nieźle się bawiłem, wszyscy moi ludzie są daleko za nami. Ale na zachód od Vilayet nie ma konia, który zdołałby przegonić Irema – skinął na stojącego za nim postawnego, pustynnego wierzchowca o zwinnych nogach.

– Puść mnie! – błagała dziewczyna, a łzy desperacji płynęły jej po twarzy. – Wystarczająco się już nacierpiałam! Czy są jeszcze jakieś tortury, których mi nie zadałeś? Jak długo ma trwać ta katorga?

– Tak długo, dopóki twoje błagania, histeria i łzy będą sprawiać mi przyjemność – odparł z uśmiechem, który mógłby się wydać całkiem przyjazny obcym ludziom. – Jesteś dziwnie męska, Oliwio. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek się tobą znudzę, tak jak nudziły mnie inne kobiety. Niezależnie od tego, co robię, jesteś zawsze taka świeża i nieskalana. Każdy nowy dzień z tobą sprawia mi rozkosz. Ale wróćmy już do Akif, gdzie ludzie świętują na cześć pogromcy nędznych kozaków. A mnie zajmuje pościg za tobą, nędzną uciekinierką, głupia dziewczyno!

– Nie! – skurczyła się w sobie, zwracając się w stronę pluskających wśród trzcin błękitnych fal.

– Tak! – jawny błysk gniewu był jak iskra wykrzesana z krzemienia. Z prędkością, której nie mogła dorównać, złapał ją za nadgarstek i wykręcił go z czystym okrucieństwem. Krzyknęła i osunęła się na kolana.

– Dziwko! Powinienem zaciągnąć cię z powrotem do Akif uwiązaną do końskiego ogona. Będę jednak litościwy i powiozę cię w siodle. Pięknie mi za to podziękujesz!

Nagle wypuścił ją z przekleństwem na ustach. Odskoczył, wyciągając miecz, bowiem z gęstwiny trzcin wychynęła straszliwa zjawa z nieartykułowanym, pełnym nienawiści krzykiem.

Oliwia, podnosząc się z ziemi, zobaczyła dzikusa z szaleństwem i śmiercią w oczach. Był tytanicznej wręcz postury, odziany jedynie w splamioną krwią i oblepioną błotem przepaskę na biodrach. Jego czarna czupryna była skołtuniona i posklejana krwawym mułem. Zaschniętą krew dziewczyna dostrzegła również na całym jego ciele i długim, prostym mieczu, który trzymał w prawej ręce. Spod skołdunionych włosów błyszcząły przekrwione oczy, podobne do gorejących węgli.

– Ty hyrkański psie! – wykrzyknął z barbarzyńskim akcentem. – Musiały cię tu przywieść demony zemsty!

– Kozak! – cofając się, wrzasnął Shah Amurath. – Nie wiedziałem, że zbiegłeś, psie! Myślałem, że wszyscy leżycie martwi na stepie, nad rzeką Ilbars!

– Wszyscy z wyjątkiem mnie, przeklęty! – zawył wściekle przybysz. – Marzyłem o tym spotkaniu, kiedy czołgałem się wśród kolczastych krzewów i skał, a mrówki żarły moje ciało, kiedy kryłem się w bagnie sięgającym ust... Śniłem o tym, ale nie wierzyłem, że stanie się to rzeczywistością. Och, bogowie piekieł, jakże tego oczekiwałem!

Przepojona żądzą krwi radość nieznanego była przerażająca. Zgrzytał morderczo zębami, na szerniałych ustach pojawiła się piana.

– Odsuń się! – rozkazał Shah Amurath, obserwując go bacznie.

– Ha! – zabrzmiało to jak szczeknięcie szarego wilka. – Shah Amurath, wielki Pan Akif! Jakże cieszę się, przeklęty, na twój widok! Wydałeś moich towarzyszy sępom na żer! Rozdzierałeś końmi ich ciała, oślepiełeś i okaleczałeś, ty psie, ty podły psie! – wrzasnął jak szaleniec i ruszył na Shaha.

Mimo przerażenia, jakie wzbudzał w niej dziki wygląd przybysza, Oliwia obawiała się, że zostanie powalony w pierwszym starciu. Nagi szaleniec nie mógł pokonać uzbrojonego po zęby wodza Akif...

Błysnęły ostrza. Mężczyźni błyskawicznie odpierali ciosy, ale po chwili ogromny miecz dosięgnął ramienia Shaha Amuratha. Oliwia krzyknęła, widząc siłę tego ciosu. Poza trzaskiem pękającej zbroi usłyszała wyraźnie gruchot strzaskanych kości. Hyrkanin zachwiał się i upuścił miecz. Jego twarz spopieliała, a spod wiązań kolczugi trysnęła krew.

– Litości! – sapnął.

– Litości? – w głosie nieznajomego drżało szaleństwo. – Zaslługujesz na taką samą litość, jaką nam okazałeś, świnió!

Oliwia zamknęła oczy. To nie była już walka, lecz mściwa, krwawa i szalona rzeź. Zapłata za wszystkie cierpienia, masakrę i tortury, zemsta za głód i pragnienie wycierpiane w ucieczce. Chociaż Oliwia wiedziała, że Shah Amurath nie zasługuje na litość ani współczucie, przymknęła oczy i zasłoniła rękoma uszy, chcąc odgrodzić się od krwawej masakry rzeźnickiego miecza i potępieńczych jęków, które nikły, aż w końcu zamarły.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że nieznajomy odwraca się od krwawej karykatury, która jeszcze chwilę temu była ludzką istotą. Pierś mężczyzny falowała z wyczerpania, a może z pasji. Jego brwi zroszone były potem, a prawa dłoń cała we krwi.

Nie odezwał się do niej słowem, nawet na nią nie spojrział. Na chwilę zniknął w trzcinach i wywlókł z nich ukrytą łódkę. Dziewczyna odgadła jego zamiary i postanowiła działać.

– Ach, poczekaj! – zapłakała. Wstała chwiejnie i pobiegła w jego kierunku. – Nie zostawiaj mnie! Zabierz mnie ze sobą!

Mężczyzna odwrócił się. Widać było, że już się uspokoił. W jego przekrwionych oczach nie było już blasku szaleństwa. Najwyraźniej przelana krew ugasiła żądzę zemsty.

– Kim jesteś? – spytał krótko.

– Nazywam się Oliwia. Byłam jego branką. Uciekłam. On mnie ścigał. Dlatego się tu znalazł. Nie zostawiaj mnie tu! Jego wojownicy są blisko. Znajdą trupa... A ja będę obok... Proszę! – jęknęła przerażona i załamała błagalnie ręce.

Patrzył na nią z zakłopotaniem i zdziwieniem.

– Myślisz, że ze mną będzie ci lepiej ? – dopytywał się. – Jestem barbarzyńcą i widzę po twoim spojrzeniu, że się mnie boisz.

– Tak, boję się ciebie – odparła dziewczyna, zbyt rozkojarzona, by cokolwiek udawać. – Ale bardziej lękam się Hyrkańczyków. Pozwól mi iść z tobą! Będą mnie torturować, jeśli znajdą mnie przy zwłokach swego pana.

– Chodź więc!

Mężczyzna odsunął się na bok, a ona weszła szybko do łodzi, kuląc się pod jego dotykiem. Usadowiła się na dziobie, a on wskoczył na łódkę, odepchnął ją wiosłem, i torował sobie mozolnie drogę przez sitowie. Wreszcie wypłynęli na otwarte wody. Wiosłował silnymi, regularnymi uderzeniami, a jego stalowe mięśnie napinały się na ramionach i barkach w rytm jego wysiłków.

Obydwoje milczeli. Dziewczyna przycupnęła na dziobie, a mężczyzna spokojnie wiosłował. Obserwowała go ze strachem, ale i fascynacją. Nie był Hyrkańczykiem, ale też nie należał do żadnej innej z hyboryjskich ras. Cechowała go wilcza twardość, typowa dla barbarzyńcy. Na jego ciele widać było ślady licznych walk, a rysy odzwierciedlały nieposkromioną dzikość, ale nie były straszne czy wynaturzone.

– Kim jesteś? – zapytała. – Shah Amurath nazwał cię kozakiem. Należałeś do tej bandy?

– Jestem Conan z Cymmerii – burknął. – Tak, byłem razem z kozakami, jak nazywają nas te hyrkańskie psy.

Dziewczyna słyszała o Cymmerii, krainie leżącej daleko na północnym zachodzie, poza granicami królestw jej rasy.

– Jestem córką Króla Ofiru – powiedziała. – Mój ojciec sprzedał mnie shemickiemu przywódcy, bo nie chciałam wyjść za księcia Koth.

Cymmeryjczyk mruknął ze zdumieniem.

Wykrzywiła usta w gorzkim uśmiechu.

– Tak, cywilizowani ludzie sprzedają czasami swoje dzieci dzikim jako niewolników. Ale to twoją rasę nazywają barbarzyńską, Conanie z Cymmerii.

– My nie sprzedajemy naszych dzieci – mruknął, wysuwając wyzywająco podbródek.

– Cóż, ja zostałam sprzedana. Ale człowiek pustyni nie znieważył mnie. Chciał wkupić się w łaski Shaha Amuratha i tak znalazłam się pomiędzy prezentami, które ten przyniósł do Akif o purpurowych ogrodach. Wtedy...
– zatrzęsała się i schowała twarz w dłoniach. – Powinnam wyzbyć się już

wszelkiego wstydu – powiedziała wreszcie. – A jednak każde wspomnienie przeszywa mnie jak bicz handlarza niewolników. Mieszkałam w pałacu Shaha Amuratha. Parę tygodni temu wyjechał ze swymi oddziałami na bitwę z bandą najeźdźców, którzy grabili granice Turanu. Wrócił wczoraj w chwale zwycięzcy, więc urządzono wielką fetę na jego cześć. Wszyscy oddali się pijaństwu i rozpuście, więc ukradłam konia i uciekłam z miasta. Myślałam, że mi się uda, ale chociaż byłam szybsza od jego wasali, on mnie dogonił. A potem zjawili się ty.

– Leżałam ukryty w trzcinach – mruknął barbarzyńca. – Byłem wśród zbirów, Wolnych Kompanów, którzy palili i plądrowali pogranicze. Banda liczyła pięć tysięcy ludzi z wielu ras i plemion. Większość z nas służyła wcześniej u zbuntowanego księcia wschodniego Koth. Byliśmy jego najemnikami, ale kiedy podpisał pokój ze swym przeklętym władcą, zostaliśmy z niczym. Zajęliśmy się więc plądrowaniem odległych dominiów Koth, Zamory i Turanu, bez różnicy. Tydzień temu Shah Amurath z piętnastoma tysiącami wojowników złapał nas w pułapkę nad brzegami Ilbars. Na Mitrę! Niebo było czarne od sępów. Kiedy po całym dniu walk przełamał nasze szyki, niektórzy usiłowali przebić się na północ, inni na zachód. Wątpię, by ktokolwiek uciekł. Jeźdźcy wszystkich tratowali. Przedarłem się na wschód i w końcu dotarłem na bagna, okrążające tę część Vilayet. Od tego czasu ukrywałem się tutaj. Dopiero przedwczoraj ludzie Shaha Amuratha przestali przeczesywać zarośla w poszukiwaniu niedobitków. Chowałem się w norach jak wąż, żywiąc się surowymi pizmakami, bo nie mogłem rozpalić ognia. O świcie znalazłem tę łódkę ukrytą wśród trzciny. Zamierzałem wypłynąć w morze dopiero w nocy, ale skoro zabiłem Shaha Amuratha, wiem, że te psy będą deptać nam po piętach.

– I co teraz?

– Na pewno będą nas ścigać. Nawet jeśli nie zauważą śladów łódki, które zamaskowałem najlepiej jak umiałem, domyślą się, że ruszyliśmy w morze. Ale mamy przewagę i zamierzam ciągnąć za te wiosła, dopóki nie dotrzemy do bezpiecznego miejsca.

– Gdzie? – zapytała bezradnie dziewczyna. – Vilayet to hyrkańska sadzawka.

– Nie wszyscy tak uważają – wyszczerzył się Conan. – Zwłaszcza niewolnicy, którzy uciekli z galer i zostali piratami.

– A jakie są twoje plany?

– Południowo-zachodni brzeg jest opanowany przez Hyrkańczyków na przestrzeni setek mil. Przed nami długa droga, zanim dotrzemy do północnych granic. Zamierzam więc płynąć na północ, dopóki nie uznam, że jesteśmy bezpieczni. Wtedy udamy się na zachód i spróbujemy dotrzeć do brzegu wśród niezamieszkanego stepów.

– A jeśli napotkamy piratów albo sztorm? – zapytała. – Na stepach na pewno zginiemy z głodu.

– Cóż – przypomniał Conan. – Nie prosiłem, byś mi towarzyszyła.

– Przepraszam – dziewczyna pochyliła swą kształną, ciemną głowę. – Piraci, sztormy, głód... To wszystko... To wszystko jest lepsze niż ludzie z Turanu.

– No właśnie – jego twarz stała się bardziej mroczna. – Jeszcze z nimi nie skończyłem. Bądź spokojna. O tej porze roku sztormy są rzadkie na Vilayet. Jeśli dopłyniemy do stepów nie umrzemy z głodu. Wychowałem się na jałowych ziemiach. To te przekłete, śmierdzące bagna prawie mnie zadusiły, a muchy mało mnie tam nie zjadły. Na wyżynach jestem u siebie. A piraci... – wyszczerzył się zagadkowo i pochylił nad wiosłami.

Podobne do błyszczącej, miedzianej kuli słońce zatoneło w jeziorze ognia. Morze zlało się z niebem. Conan skierował łódź w stronę usianego gwiazdami, ciemnego aksamitu. Oliwia położyła się na dziobie. Łagodne kołysanie łodzi usypiało ją. Straciła poczucie rzeczywistości. Miała wrażenie, że płynie w powietrzu razem z gwiazdami, które świeciły zarówno pod, jak i nad nią. Jej milczący towarzysz wyłaniał się z miękkiej ciemności. Równy rytm wiosła działał kojąco. Conan wyglądał jak wiosłarz-duch, unoszący ją przez ciemne jezioro śmierci. Ale jej strach odpłynął. Zapadła w sen, ukołysana monotonnym ruchem.

Kiedy się obudziła, świt zaglądał jej w oczy. Poczowała ogromny głód. Łódka swobodnie kołysała się na wodzie. Conan odpoczywał przy wiosłach, patrząc gdzieś w dal. Zdała sobie sprawę, że wiosłowała przez całą noc i była pełna podziwu dla jego żelaznej krzepy. Podążyła za jego wzrokiem. Ujrzała zieloną ścianę drzew i krzewów, wznoszącą się na skraju wód, szerokim łukiem zamykającą małą, spokojną zatokę.

– To jedna z małych wysp, którymi usiane jest morze wewnętrzne – powiedział Conan. – Ponoć są niezamieszkałe. Słyszałam, że Hyrkańczycy rzadko je odwiedzają. Poza tym ich galery raczej trzymają się brzegów, a my odpłynęliśmy daleko. Już przed zmierzchem nie było nas widać z lądu.

Nad lasami, otaczającymi błękitną zatokę, zalegała senna cisza. Nagle daleko za drzewami w porannym słońcu uniósł się ptak. Wśród liści szemrała delikatna bryza. Oliwia zdała sobie sprawę, że nasłuchuje w napięciu, zastanawiając się, co może czaić się w tych bezimiennych lasach.

Spojrzała nieśmiało w stronę cieni między drzewami. Nagle do słońca z szybkim trzepotem skrzydeł zerwała się wielka papuga. Usiadła na liściastej gałęzi i zakołysała się na niej, niczym błyszczący, kolorowy klejnot. Wykręcała czubatą głowę w obie strony, w końcu spojrzała czarnymi jak węgle oczyma.

– Na Croma! – wymamrotał Conan – toż to pradziad wszystkich papug! Musi mieć tysiąc lat! Spójrz na jej rozumne oczy! Jaką diabelską mądrość w sobie skrywasz?

Nagle ptak rozwinął płonące skrzydła i zrywając się do lotu, krzyknął ostro: „Yagkoolan yok tha, xuthalla!” – i ze straszliwym, ludzkim śmiechem popędził między drzewami. W końcu rozpląnął się wśród opalizujących cieni.

Oliwia patrzyła za nim, czując jak zimny dreszcz przebiega jej po plecach. Miała złe przeczucia.

– Co ona powiedziała? – szepnęła.

– Mógłbym przysiąc, że były to ludzkie słowa – odpowiedział Conan. – Ale nie wiem, w jakim języku.

– Ja też nie – odparła dziewczyna. – Musiała się ich nauczyć od jakiegoś człowieka. Od człowieka albo... – spojrzała w liściastą czeluść i zadrzała, sama nie wiedząc czemu.

– Na Croma, jestem głodny – warknął Cymmeryjczyk. – Zjadłbym konia z kopytami. Poszukamy owoców. Ale najpierw zmyję z siebie muł i krew. Ubłociłem się na tych bagnach...

Odłożył miecz i wskoczył do błękitnej wody. Kiedy wyszedł, jego opalona skóra lśniła, a czarne włosy spływały gładko na ramiona. Błękitne oczy, choć płonęły niegasnącym ogniem, nie były już przekrwione. Wciąż jednak wyglądał jak przyczajony tygrys. Przypiął pas i zachęcił dziewczynę, by poszła za nim. Minęli nabrzeżne zarośla. Pod ich stopami ścieliła się krótka, zielona trawa. Pomiędzy pniami drzew dostrzegli przebłyски baśniowych widoków.

Conan mruknął z zadowoleniem na widok złotych i rdzawych kul, zwieszających się z gałęzi. Wskazał dziewczynie miejsce na martwym

konarze. Nazrywał mnóstwo owoców i zaczął łapczywie jeść.

– Na Isztar! – wymamrotał z pełnymi ustami. – Od Ilbars żywiłem się szczurami i korzeniami, które wykopywałem ze śmierdzącego błota. To jest dużo miłsze podniebieniu, choć trzeba dużo zjeść, żeby się nasycić.

Oliwia była zbyt zajęta jedzeniem, by odpowiedzieć. Kiedy Conan zaspokoił wilczy głód, zaczął przyglądać się swej pięknej towarzysze z większym niż uprzednio zainteresowaniem, dostrzegając lśniące pukle ciemnych włosów, brzoskwiniową skórę i zaokrąglone kształty jej smukłej sylwetki, odsłoniętej w pełnej krasie przez skąpą, jedwabną tunikę.

Dziewczyna, napotkawszy płonące spojrzenie jego przymrużonych oczu, splełniała się rumieńcem, a resztki owoców wypadły jej z dłoni.

Bez słowa wskazał jej gestem, że powinni iść dalej. Podniosła się i poszła za nim między drzewami w stronę polany, której dalszy kraniec był porośnięty gęstymi krzewami. Kiedy wyszli na otwarty teren, w zaroślach rozległ się rozdzierający trzask. Conan uchylił się i pociągnął dziewczynę za sobą. Ledwo ocalił ich od czegoś, co przecięło powietrze i uderzyło z łoskotem w pień drzewa.

Dobytując miecza, barbarzyńca przeskoczył jednym susem polanę i śmignął w gąszcz. Nastąpiła cisza. Przerazona Oliwia przycupnęła na murawie. Wreszcie wrócił. Na jego twarzy malował się grymas zdumienia.

– Nie ma nic w gęstwinie – warknął. – Ale coś tam było...

Przyjrzał się pociskowi, który minął ich o włos i stęknął z niedowierzaniem. Na trawniku u stóp drzewa, rozłupanego siłą uderzenia, leżał wielki blok zielonkawego kamienia.

– To dziwne, że można znaleźć taki kamień na niezamieszkanym wyspie – warknął Conan.

Śliczne oczy Oliwii rozszerzyły się w zdumieniu. Kamień był symetrycznym blokiem, bezsprzecznie wyciętym ludzkimi rękoma. Był także zdumiewająco masywny. Cymmeryjczyk uniósł go oburącz wysoko w górę, rozstawiając szeroko nogi i napinając mięśnie do granic możliwości. Odrzucił go z wielkim wysiłkiem. Kamień upadł kilka stóp od niego. Conan zaklął.

– Żaden człowiek nie byłby w stanie przerzucić tej skały przez polanę. To musiała być machina obłącznicza. Ale ich tu nie ma.

– Może został wystrzelony z dala? – zasugerowała dziewczyna.

Potrząsnął głową.

– Nie. Wystrzelono go z tamtego gąszczu. Spójrz tylko na połamane gałęzie. Ktoś go rzucił, tak jak człowiek rzuca kamyczkiem. Ale kto? Co? Chodź!

Oliwia się zawahała, ale poszła za nim w gęstwinę. W liściastych zaroślach poszycie nie było już tak gęste. Nad wszystkim panowała kompletna cisza. W sprężystej trawie nie było żadnego śladu stóp, ale jednak to z tej tajemniczej gęstwiny wyleciał głąz, ciężki i niosący śmierć. Conan pochylił się niżej nad murawą; tu i ówdzie trawa była rozgnieciona. Potrząsnął gniewnie głową. Nawet jego bystry wzrok nie znajdował żadnej wskazówki co do tego, co tam stało i ją zgmiotło. Uniósł głowę w kierunku grubych liści i splątanych konarów. Nagle zamarł.

Zaczął się wycofywać, ciągnąc za sobą Oliwię.

– Wynośmy się stąd, prędko! – popędził ją szeptem, który zmroził dziewczynie krew w żyłach.

– Co się dzieje? Co zobaczyłeś?

– Nic – odparł wymijająco, nie zatrzymując się jednak.

– Ale co czai się w tej gęstwinie?

– Śmierć! – odparł ze wzrokiem utkwionym w złowieszczych jadeitowych kopułach, odcinających się na tle nieba.

Kiedy wyszli z gąszczu, wziął ją za rękę i poprowadził szybko między rzędzącymi drzewami. Wspięli się na trawiaste zbocze i doszli do niskiej równiny. Na jej środku wznosiła się długa, szeroka budowla z kruszącego się, zielonkawego kamienia.

Widok ten zdumiał ich. Żadne legendy nie wspominały o takim budynku na wyspach Vilayet. Podeszli ostrożnie do porośniętego mchem gmachu. Dach dawno się zapadł, a wokół leżały gruzy, na wpół ukryte w falującej trawie. Musiało tu być kiedyś wiele zabudowań, może nawet całe miasto. Lecz teraz jedynie długa, podobna do sali struktura wznosiła się na tle nieba. Jej ściany chyliły się jak pijane wśród pełgającej winorośli.

Drzwi dawno się rozleciały. Conan i jego towarzyszka stanęli w szerokim wejściu. Zajrzeli do środka. Słońce prześwitywało przez dziury w ścianach i dachu, spowijając wnętrze przyćmionymi smugami światła i cienia. Chwyając za miecz, barbarzyńca wszedł do środka przyczajonym krokiem polującej pantery. Oliwia podążyła za nim na palcach.

Nagle Conan warknął ze zdziwienia, a Oliwia zdławiła krzyk.

– Spójrz, och spójrz!

– Widzę – odparł. – Nie ma się czego obawiać. To posągi.

– Ale jakże podobne do żywych ludzi! I jakie straszne! – szepnęła dziewczyna, przysuwając się do niego.

Stali w wielkiej komnacie, na posadzce z polerowanego kamienia, zakurzonej i zasypanej pokruszonymi kamieniami, które spadły ze stropu. Wszystko porośnięte było winoroślą. Płaski dach, bez kopuły, podtrzymywany był przez dwa rzędy masywnych kolumn. Obok każdego filaru stała dziwna figura.

Były to czarne i błyszczące posągi naturalnych rozmiarów, odlane, jak się zdawało, z żelaza. Ich blask był tak świeży, że zdawać by się mogło, że ktoś wciąż jeszcze je poleruje. Przedstawiały wysokich, silnych i nagich mężczyzn o okrutnych, jastrzębich rysach. Każde wybrzuszenie, zarys ścięgien i mięśni odtworzone były z niezwykłym realizmem. Ale uwagę zwracały przede wszystkim ich dumne, nienawistne twarze. Nie były odlane z tej samej formy. Każda była inna, chociaż istniało między nimi jakieś plemienne podobieństwo.

– Słyszają nas. I na coś czekają – szepnęła z niepokojem dziewczyna.

Conan uderzył ręką w jeden z posągów.

– Żelazo – rzekł. – Ale, na Croma, w jakich formach je odlano?!

Potrząsnął głową ze zdumieniem i wzruszył ramionami.

Oliwia rozglądała się nieśmiało po wielkiej, cichej komnacie. Jej wzrok napotkał tylko porośnięte bluszczem kamienie, filary, na których zaciskały się zwoje pnączy i zadumane, ponure postacie między nimi. Poruszyła się z niepokojem i zapagnęła wyjść, ale posągi fascynowały jej towarzysza. Oglądał je bardzo dokładnie i, co było w stylu barbarzyńców, usiłował oderwać im kończyny. Ale materiał był niezwykle solidny. Nie mógł go nawet wygiąć. Bezskutecznie też próbował wyrywać posągi z postumentów. W końcu zaklął zdumiony i zrezygnował.

– Jacy ludzie mogli posłużyć im za wzór? – zastanawiał się głośno. – Te postacie są czarne, a jednak nie przypominają czarnoskórych. Nigdy nie widziałem nikogo takiego.

– Wyjdźmy na słońce! – ponagliła go Oliwia. Skinął głową, rzucając raz jeszcze zdumione spojrzenie na niepokojące postacie ustawione wzdłuż ścian.

Wyszli z mrocznego pomieszczenia na słońce. Dziewczyna zauważyła ze zdziwieniem jego pozycję na niebie; spędzili wśród ruin więcej czasu niż myślała.

– Wsiądźmy z powrotem do łodzi – zasugerowała. – To dziwne i złowrogie miejsce. Boję się. W każdej chwili znów coś może nas zaatakować.

– Myślę, że jesteśmy bezpieczni, dopóki nie wejdziemy pod drzewa – odparł Conan. – Chodź.

Równina, której krańce opadały w stronę porośniętych lasem brzegów na wschodzie, zachodzie i południu, pięła się na północ, gdzie wśród skalistych urwisk znajdował się najwyższy punkt na wyspie. W tę stronę poszedł barbarzyńca, dostosowując swój długi krok do chodu Oliwii. Zauważyła, że od czasu do czasu spogląda na nią zagadkowo.

Doszli do północnego krańca równiny i zatrzymali się, spoglądając na strome szczyty. Drzewa porastały gęsto jej krawędzie, przesłaniając ogromną przepaść. Conan spojrział na nie podejrzliwie, ale rozpoczął wspinaczkę, pomagając dziewczynie. Wzgórze nie było bardzo strome, tu i ówdzie wystawały półki skalne i głazy. Urodzony w górzystym kraju Cymmeryjczyk mógł na nie wbiec jak kot, ale Oliwii było ciężko. Conan przenosił ją zatem przez trudne przeszkody, a w dziewczynie wzrastał zachwyt nad jego niezwykłą siłą. Jego dotyk już nie wydawał jej się odrażający. Jego żelazny uścisk zapewniał jej bezpieczeństwo.

W końcu stanęli na szczycie. Włosy Oliwii rozwiewał morski wiatr. Urwiska opadały pionowo trzysta lub czterysta stóp w dół na wąską gęstwinę drzew, okalającą plażę. Patrząc na południe, zobaczyli całą wyspę, rozciągającą się niby wielkie, owalne lustro. Jej wzniesione krańce opadały stromo w dół na pas zieleni, z wyjątkiem miejsc, gdzie wystawały szczyty. Łąd otoczony był spokojnymi, błękitnymi wodami w mglistej oddali stykającymi się z niebem.

– Morze jest spokojne – westchnęła Oliwia. – Czy nie powinniśmy płynąć dalej?

Conan na szczycie urwiska wyglądał jak statua z brązu. Wskazał na północ. Wyteżając wzrok, Oliwia dostrzegła biały punkcik, który zdawał się wisieć w oślepiającej poświacie.

– Co to jest?

– Żagiel.

– Hyrkańczycy?

– Trudno orzec z tej odległości...



Były to czarne i błyszczące posągi naturalnych rozmiarów, odlane, jak się zdawało, z żelaza.

– Zacumują tu... Będą nas szukać na wyspie! – dziewczynę ogarnęła panika.

– Wątpię. Nadpływają z północy, więc nie mogą nas szukać. Mogą zatrzymać się tu z jakiegoś innego powodu. Wtedy będziemy musieli się schować. Ale myślę, że to albo piraci, albo hyrkańska galera, powracająca z jakiejś grabieży na północy. W tym ostatnim przypadku, to raczej tu nie

zacumują. Ale nie możemy ruszyć na morze, dopóki nie znikną nam z oczu. Musimy bowiem popłynąć tam, gdzie oni są teraz. Bez wątpienia miną dziś wyspę. O świcie będziemy mogli wyruszyć.

– A więc musimy spędzić tu noc? – zadrżała dziewczyna.

– Tak będzie najbezpieczniej.

– Śpijmy więc tu, na skałach – poprosiła.

Potrząsnął głową, spoglądając na karłowate drzewa i rzędy lasów poniżej. Zielona masa zdawała się wyciągać macki po zboczach klifów.

– Tu jest za dużo drzew. Będziemy spać w ruinach.

Krzyknęła, protestując.

– Nic cię tam nie skrzywdzi – uspokoił ją Conan. – Cokolwiek nas zaatakowało, nie wyjdzie z lasu. A ruiny raczej są puste. Poza tym, masz delikatną skórę i przyzwyczajona jesteś do wygody i zbytku. Ja mogę spać nawet na śniegu, ale ty zmarzniesz, kiedy nad ranem pojawi się rosa.

Oliwia przystała na to bezradnie. Zeszli z urwiska, przemierzyli równinę i raz jeszcze weszli do ponurych, znękanych czasem ruin. Słońce chyliło się ku zachodowi. Na drzewach niedaleko urwiska znaleźli owoce, które zjedli na kolację. Były na tyle soczyste, że zaspokoily i głód, i pragnienie.

Południowa noc zapadła szybko, pstrząc granatowe niebo wielkimi, białymi gwiazdami. Conan wkroczył do cienistych ruin, ciągnąc za sobą niechętną Oliwię. Wzdrygnęła się na widok czarnych cieni w niszach wzdłuż ścian. W ciemności ledwie tkniętej przez światło gwiazd nie mogła odróżnić ich konturów. Czuła tylko pełne napięcia wyczekiwanie stojących tam od dawien dawna posągów. Conan przyniósł wielkie naręcze giętkich, liściastych gałęzi. Ułożył z nich posłanie dla Oliwii. Dziewczyna zapadła w sen z dziwnym uczuciem, że znajduje się w legowisku węża.

Jeśli Conan coś przeczuwał, nie mówił o tym. Usiadł obok dziewczyny, oparty plecami o filar, z mieczem na kolanach. Jego oczy gorzały w ciemności niczym oczy pantery.

– Śpij, dziewczyno – powiedział. – Mój sen jest lekki jak u wilka. Jeśli coś tu się pojawi, na pewno się obudzę.

Oliwia nie odpowiedziała. Obserwowała nieruchomą postać Cymmeryjczyka, niewyraźną w miękkiej ciemności. Przedziwna była ta podróż w towarzystwie barbarzyńcy, pod troskliwą opieką kogoś przynależącego do rasy, którą straszono ją, kiedy była dzieckiem! Pochodził z krwawego, ponurego i dzikiego ludu. Dowodził tego każdy jego ruch i płonące oczy. A jednak nie skrzywdził jej, a znęcał się nad nią człowiek,

którego świat nazywał cywilizowanym. Wreszcie ogarnęło ją rozkoszne znużenie. Zatopiła się w pianistych odmętach snu, a jej ostatnią myślą było wspomnienie mocnego dotyku palców Conana na jej delikatnym ciele.

ROZDZIAŁ DRUGI

We śnie Oliwii pojawiło się przecucie czyhającego zła, niby czarnego węża w kwietnych ogrodach. Jej drzemka była niespokojna, pełna dziwnych kolorów i fragmentarycznych obrazów, które nagle skryształizowały się w koszmarną scenę szaleństwa, rozgrywającą się na tle ogromnych kamieni i kolumn.

Ujrzała wielką salę, której masywny sufit wsparty był na kamiennych filarach, stojących w równych rzędach wzdłuż ścian. Między kolumnami trzepotały zielone i szkarłatne papugi, a cała komnata pełna była czarnoskórych wojowników o jastrzębich twarzach. Ani oni, ani ich broń nie przypominały niczego znanego w świecie dziewczyny.

Tłoczyli się wokół kogoś przywiązanego do filaru – gibkiego młodzieńca o białej skórze i pękach złotych loków, opadających wokół alabastrowego czoła. Jego piękno nie było ludzkie: był jak sen o bogu wyrzeźbionym w żywym marmurze.

Czarnoskórzy wojownicy śmiali się z niego, szydząc i urągając mu w dziwnym narzeczu. Prężne, nagie ciało wiło się pod okrutnym dotykiem. Krew spływała po udach w kolorze kości słoniowej i rozpryskiwała się na polerowanej podłodze. Krzyki ofiary niosły się echem po komnacie. Nagle, wznosząc głowę w kierunku sufitu i nieba ponad nim, młodzieniec wykrzyknął strasznym głosem jakieś imię. Hebanowa dłoń ze sztyletem ucięła ten krzyk w połowie. Złota głowa opadła na białą pierś.

W odpowiedzi na ów desperacki krzyk z góry dobiegł grzmot, podobny do odgłosu kół niebiańskiego wozu. Przed dręczycielami zjawiała się nagle nieludzko piękna postać. Między nią a młodzieńcem, który zwisał w łańcuchach bez życia, istniało niezaprzeczalne podobieństwo; jednak w rysach nieznanego brakowało domieszki człowieczeństwa, która łagodziła boskość chłopca. W swym nieskończonym pięknie były one przerażające.

Oprawcy skulili się przed nim, a ich oczy zwęziły się w szparki ognia. Nieznajomy przemówił, wznosząc rękę. Jego głos niosł się po cichej sali głębokimi falami. Czarnoskórzy wojownicy cofnęli się, jak gdyby

w transie, aż uformowali regularne linie wzdłuż ścian. Wtedy ze ściśniętych ust bóstwa wydobył się straszliwy rozkaz: Yagkoolan yok tha, xuthalla!

Czarnoskóre postaci zastygły, a ich członki skamieniały. Pod dotknięciem nieznanego, z bezwładnego ciała młodzieńca opadły łańcuchy. Uniósł zwłoki w ramionach. W pewnym momencie odwrócił się, a jego spokojny wzrok przebiegł po cichych rzędach hebanowych figur i skierował się w stronę błyszczącego między budynkami księżycy. Wtedy Oliwia pojęła, że owe posągi w komnacie były niegdyś ludźmi...

Przebudziła się i zerwała z posłania, zлана zimnym potem. W panującej dookoła ciszy słyszała bicie własnego serca. Rozejrzała się nerwowo. Conan spał oparty o kolumnę, jego głowa opadała na masywną pierś. Srebrna poświata późnego księżycy wpadała przez dziurawy dach, rzucając na zakurzoną posadzkę długie smugi światła. W półmroku widziała czarne postacie, wciąż oczekujące czegoś w napięciu. Walcząc z narastającą histerią, obserwowała, jak miękkie światło otula filary i posągi między nimi.

Nagle wśród cieni dostrzegła drgnięcie. Co to było? Ogarnęło ją paralizujące przerażenie, bo tam, gdzie powinien panować śmiertelny bezruch, coś jednak się ruszało: posągi powoli rozciągały zastygłe kończyny... Kiedy oprzytomniała, z jej ust wydarł się krzyk. Conan natychmiast zerwał się na równe nogi z uniesionym mieczem.

– Posągi! Posągi! O bogowie, posągi budzą się do życia!

Dziewczyna z krzykiem wyskoczyła przez wyłom w ścianie, przedarła się przez winorośl i wrzeszcząc, biegła przed siebie na oślep, dopóki nie zatrzymał jej w miejscu żelazny uchwyt. Krzyczała i wyrywała się, dopóki przez mgłę przerażenia nie dotarł do niej znajomy głos. Ujrzała w świetle księżycy zdziwioną twarz Conana.

– Na Croma, co ci, dziewczyno? Miałaś jakiś koszmar? – jego głos wydawał się bardzo daleki. Z płaczkliwym westchnieniem zarzuciła ramiona na jego grubą szyję i przyłgnęła do niego w spazmach, z trudem łapiąc oddech.

– Kim oni są? Ścigają nas?

– Nikt nas nie goni – odpowiedział Conan.

Staną na nogi, wciąż jeszcze opierając się o niego. Ze strachem rozejrzała się dookoła. W przerażeniu dobiegła aż na południowy kraniec równiny. Tuż pod nimi, w gęstym cieniu lasu, znajdowało się wzgórze, za którym dojrzała ruiny, wznoszące się na tle płynącego wysoko księżycy.

– Nie widziałeś tego? Te posągi poruszały się, podnosiły ręce, a ich oczy płonęły w ciemnościach.

– Nic nie widziałem – odparł z niepokojem barbarzyńca. – Zasnąłem dużo głębiej niż zazwyczaj, bo już od tak dawna nie przespałem całej nocy. Ale i tak nie sądzę, by cokolwiek mogło wślizgnąć się do komnaty, nie budząc mnie.

– Bo nikt do niej nie wszedł – zaśmiała się histerycznie. – Oni już tam byli. Na Mitrę! Ułożyliśmy się między nimi do snu, jak owieczki zasypiające w rzeźni.

– O czym ty mówisz? – dopytywał się Conan. – Obudził mnie twój krzyk, ale zanim zdołałem się rozejrzeć, zobaczyłem jak wybiegasz przez dziurę w ścianie. Podążyłem za tobą w obawie, byś nie zrobiła sobie krzywdy. Myślałem, że przyśnił ci się jakiś koszmar.

– Bo tak było! – zatrzęsała się dziewczyna. – Ale rzeczywistość okazała się straszliwsza niż sen. Posłuchaj! – Opowiedziała mu wszystko to, co jej się przyśniło i co zobaczyła.

Conan słuchał z uwagą. Wierzył w słowa dziewczyny, gdyż jego własna mitologia pełna była ghuli, goblinów i nekromantów. Kiedy skończyła opowieść, usiadł bez słowa, bawiąc się w zamyśleniu swoim mieczem.

– Czy torturowany młodzieniec był podobny do wysokiego mężczyzny, który się pojawił? – zapytał w końcu.

– Byli do siebie podobni jak ojciec i syn – odparła Oliwia. – Gdyby umysł był w stanie pojąć połączenie boskości i człowieczeństwa, nakreśliłby rysy tego młodzieńca – dodała z wahaniem. – Legendy mówią, że starożytni bogowie spółkowali czasami ze śmiertelniczkami.

– Jacy bogowie? – wymamrotał.

– Ci bezimienni i zapomniani. Któż to może wiedzieć? Wrócili w spokojne głębiny jezior, w ciche serca gór, w otchłanie poza gwiazdami. Bogowie też potrzebują wytchnienia.

– Ale jeśli te posągi są ludźmi, zamienionymi w żelazo przez jakiegoś boga lub demona, jak mogą wracać do życia?

– Za sprawą księżycy – wzdygnęła się dziewczyna. – On wskazał na księżyc i rzucił jakieś zaklęcie. Ożywają, kiedy pada na nich poświata. Tak przynajmniej myślę.

– Ale nie gonili nas – wymamrotał Conan, rzucając okiem w kierunku ponurych ruin. – Może to był tylko sen? Chciałbym tam wrócić i to sprawdzić.

– Nie, nie! – wrzasnęła, chwytając go desperacko. – Może to zaklęcie trzyma ich w murach. Nie wracaj tam! Rozedrå cię na kawałki! Och, Conanie, wsiądźmy do łodzi i uciekajmy z tej okropnej wyspy! Hyrkański statek na pewno już nas minął! Chodźmy!

Jej histeria zdumiała Conana. Ciekawość nie była jednak silniejsza od strachu. Nie lękał się wrogów z krwi i kości, ale wszystko, co nadnaturalne wzbudzało w nim typowy dla barbarzyńców, instynktowny i ponury lęk.

Wziął dziewczynę za rękę. Poszli w dół wzgórze. Zagłębili się w gęsty las, w którym słychać było szmer liści i senne kwilenie bezimiennych ptaków nocy. Cienie pod drzewami gęstniały i Conan kluczył, omijając co ciemniejsze plamy. Cały czas rozglądał się badawczo i z niepokojem spoglądał na gałęzie ponad nimi. Szedł szybko, ale bardzo ostrożnie, a jego ramię obejmowało dziewczynę w talii z taką siłą, że raczej ją niósł, niż prowadził. Nie rozmawiali ze sobą. Słychać było tylko nerwowe dyszenie dziewczyny i szelest jej małych stóp w trawie. W końcu dotarli do brzegu. Woda błyszczała w świetle księżyca jak płynne srebro.

– Powinniśmy byli wziąć owoce na prowiant – mruknął Conan. – Na pewno jednak znajdziemy inne wyspy. Możemy wyruszyć teraz albo poczekać do świtu. To już tylko parę godzin.

Głos uwiązł mu w gardle. Cuma wciąż jeszcze była przywiązana do wystającego korzenia. Na drugim jej końcu widniał zniszczony wrak łodzi, na wpół pogrążony w płytkiej wodzie.

Oliwii wyrwał się zduszony krzyk. Conan odwrócił się i spojrzał ze strachem w gęste cienie. Głos nocnych ptaków nagle ucichł. Nad lasem zapanował ponury bezruch. Gałęzi nie poruszał najmniejszy powiew wiatru, gdzieś jednak słychać było szelest liści.

Conan porwał Oliwię i szybko jak dziki kot pobiegł przez wzgórze. Gdzieś w górze, wśród liści nastąpiło dziwne poruszenie. Księżyc świecił im prosto w twarz, kiedy wbiegali na wzgórze.

Na szczycie Conan puścił Oliwię i odwrócił się, spoglądając na cienistą otchłań za nimi. Liście drgały w nagłym porywie wiatru; tylko tyle usłyszał. Z dzikim rykiem potrząsnął swą grzywą. Oliwia podpełzła do jego stóp jak przestraszone dziecko. Spojrzała na niego pełnym przerażenia wzrokiem.

– Co teraz pocniemy, Conanie? – szepnęła.

Spojrzał w stronę ruin, potem na las poniżej.

– Pójdziemy na urwisko – postanowił, stawiając ją na nogi. – Jutro zbuduję tratwę i raz jeszcze powierzemy nasz los morzu.

– To... To nie oni zniszczyli naszą łódź? – było to na wpół pytanie, na wpół stwierdzenie.

Conan potrząsnął głową w ponurym milczeniu.

Każdy krok po oświetlonej księżycem równinie napełniał Oliwię przerażeniem; jednak żaden czarny kształt nie wychylił się z ciemności ruin. W końcu dotarli do skał, które w ponurym majestacie wznosiły się nad nimi wysoko. Tam Conan zatrzymał się niepewnie. W końcu wybrał miejsce osłonięte szerokim wyłomem skalnym, z dala od drzew.

– Połóż się i zaśnij, jeśli zdołasz, Oliwio – powiedział. – Będę czuwał.

Ale sen nie nadchodził. Oliwia leżała, obserwując odległe ruiny i brzeg lasu, dopóki nie zbladły gwiazdy. Wreszcie na wschodzie złotoróżowy świt buchnął ogniem, odbijającym się w kroplach rosy.

Dziewczyna podniosła się zdrętwiała, powracając myślami do zdarzeń zeszłej nocy. W porannym świetle niektóre strachy zdawały się tylko wymysłem jej przewrażliwionej wyobraźni. Conan podszedł do niej i powiedział coś przerażającego.

– Tuż przed świtem usłyszałem zgrzyt takielunku, skrzypienie wiosel i olinowania. Jakiś statek zacumował na plaży, niedaleko stąd. Prawdopodobnie to ten, którego żagle widzieliśmy wczoraj. Wejdziemy na urwisko i będziemy ich obserwować.

Tak też zrobili. Leżąc wśród kamieni, ujrzeli na zachodzie barwny maszt, wystający spomiędzy drzew.

– Po kształcie żagli widać, że to hyrkańska robota – mruknął Conan. – Ciekawe czy załoga...

Nagle usłyszeli odległy harmider. Podczołgali się do południowego brzegu urwiska i zobaczyli, jak zza linii drzew na zachodnim brzegu równiny wyłania się kolorowa horda, która zatrzymała się tam, debatując. Wszyscy gwałtownie gestykulowali i wymachiwali mieczami, jak podczas twardej sprzeczki. I nagle cała banda ruszyła przez równinę w kierunku ruin, przechodząc tuż pod leżącymi powyżej Conanem i Oliwią.

– Piraci – szepnął Conan z ponurym uśmiechem na ustach. – Napadli na hyrkańską galerę. Chodź, schowaj się pomiędzy tymi skałami.

– Nie pokazuj się, dopóki cię nie zawołam – powiedział, ukrywając ją skrzątknie między skałami wzdłuż szczytu. – Wyjdę tym psom na spotkanie. Jeśli mój plan się powiedzie, wszystko będzie dobrze i popłyniemy z nimi. Jednak jak mi się nie uda... Siedź tu, aż odpłyną. Żaden z diabłów na tej wyspie nie dorównuje tym morskim wilkom w okrucieństwie.

Wydarł się z jej uścisku i pobiegł szybko w dół urwiska.

Wyglądając strachliwie z kryjóWKi, Oliwia zauważyła, że piraci podeszli do stóp urwiska. Conan wyszedł spomiędzy głazów i stanął przed nimi z mieczem w dłoni. Korsarze odskoczyli, krzyząc groźnie ze zdziwienia; zatrzymali się niepewnie i spojrzeli na postać, która tak nagle wyłoniła się spośród skał. Było ich niemal siedemdziesięciu, dzika horda, w której skład wchodziłi mężczyźni wielu narodowości: Kothańcy, Zamoryjczycy, Brythuni, Koryntczycy, Shemici. Ich rysy odzwierciedlały ich dziką naturę. Wielu z nich nosiło blizny po batach lub rozpalonym żelazie. Mieli zmasakrowane twarze, powydłubowane oczy, poobcinane dłonie, i mnóstwo szram wojennych. Większość z nich była na wpół naga, ale jeśli już nosili jakieś stroje, to wyśmienitej jakości; wyszywane złotem kurtki, satynowe pasy, jedwabne spodnie, poplamione co prawda smołą i krwią, ale poprzątkowane fragmentami wysadzanej srebrem zbroi. W uszach i nosach błyszcząły szczerozłote kolczyki a rękojeście sztyletów zdobiły klejnoty.

Naprzeciw tego dziwnego tłumu stał wysoki Cymmeryjczyk, odznaczając się surowością i prostotą.

– Kim jesteś?! – wrzasnęli.

– Jestem Conan z Cymmerii – jego głos pobrzmiwał głębokim wyzwaniem lwa. – Wojowałem z Wolną Kompanią. Chciałbym spróbować szczęścia w Czerwonym Bractwie. Kto jest waszym wodzem?

– Ja, na Isztar! – ryknął głos podobny do lwa.

Ogromna postać wystąpiła dumnie na przód; był to olbrzym, nagi aż do pasa, a jego pojemny brzuch spinała szeroka szarfa, podtrzymująca też obszerne, jedwabne spodnie. Miał wygoloną głowę, jeśli nie liczyć jednej kitki, a wąsy opadały na wąskie usta. Na stopach nosił zielone pantofle shemickie z podniesionymi noskami. W rękach trzymał długi, prosty miecz.

Conan spojrział zdumiony:

– Na Croma, toż to Sergiusz z Khroszy!

– Tak, na Isztar! – huknął olbrzym, a jego małe, czarne oczka błyszcząły nienawiścią. – Czy myślisz, że zapomniałem? Ha! Sergiusz nie zapomina nigdy swych wrogów. Teraz powieszę cię do góry nogami i obedrę żywcem ze skóry! Na niego, chłopcy!

– Tak, poszczuj mnie twoimi psami, grubasie! – Conan uśmiechnął się szyderczo, pełen pogardy. – Zawsze byłeś tchórzem, kothański kundlu!

– Mnie nazywasz tchórzem? – szeroka twarz posiniała z gniewu. – Strzeż się, psie północy! Wydrę ci serce!

W jednej chwili piraci utworzyli wokół niego krąg; ich oczy płonęły, oddech świszczał między zębami z żądną krwi radością. Wysoko na skałach Oliwia obserwowała to wszystko, boleśnie zatapiając paznokcie w dłoniach.

Walka rozpoczęła się bez zbędnych ceregieli. Sergiusz natarł wściekle, mimo swej tuszy był szybki jak kot. Między każdym uderzeniem a kontrą syczał przez zaciśnięte usta przekleństwa. Conan walczył w ciszy, a jego oczy zwięziły się w szparki, zza których buchał ogień.

Kothańczyk przestał kląć, by złapać oddech. Słysząc było tylko szuranie stóp po trawie, sapnięcia pirata i brzęk stali. We wczesnym słońcu miecze błyskały białym ogniem w wirującym kręgu. Zdawało się, że przeciwnicy unikają wzajemnego kontaktu, a potem nagle zwierali się w ataku. Sergiusz ustępował; tylko jego znakomite zdolności trzymały na dystans oślepiającą prędkość natarcia Cymmeryjczyka. Nagle poranek rozdarł głośniejszy brzęk stali i straszliwy zgrzyt. Dało się słyszeć zdławiony krzyk hordy piratów i dziki wrzask ich wodza, kiedy miecz Conana zagłębił się w jego masywnym ciele i przeszył go na wylot, błyszcząc w słońcu jak wysoki płomień. Cymmeryjczyk wyszarpnął żelazo i przywódca piratów upadł ciężko twarzą w dół. Zaległ w rosnącej szybko kałuży krwi; jego szerokie dłonie drgały przez moment.

Conan odwrócił się w stronę korsarzy, gapiących się na niego z rozdziawionymi gębami.

– Co, psy! – ryknął. – Posłałem w diabły waszego przywódcę. Co mówi na ten temat prawo Czerwonego Bractwa?

Zanim nadeszła jakakolwiek odpowiedź, stojący w tyle Brythuńczyk o szczurzej twarzy naciągnął szybko procę. Kamień popędził jak strzała w stronę Conana, który zachwiał się i upadł jak drzewo pod toporem drwala. Wysoko na urwisku Oliwia musiała oprzeć się o skały. Wszystko rozpląnęło się przed jej oczami. Mogła tylko zobaczyć, że Cymmeryjczyk leży bezwładnie na murawie, a z jego głowy bucha krew.

Człowiek o szczurzej twarzy zakrzyknął z triumfem i podbiegł, aby zadźgać powalonego mężczyznę. Został jednak zatrzymany przez szczupłego Koryntczyka.

– Cóż to, Aratusie, chcesz złamać prawo Bractwa, psie jeden?

– Nie złamałem żadnego prawa – uśmiechnął się drwiąco Brythun.

– Żadnego prawa? Jak to, psie, przecież człowiek, którego powaliłeś, jest słusznym prawem naszym kapitanem.

– Nie! – krzyknął Aratus. – Nie jest jednym z nas. Jest obcy. Nie został przyjęty do bractwa. To, że zabił Sergiusza nie czyni go kapitanem, jakby to się stało w razie, gdyby zabił go ktoś z nas.

– Ale chciał się do nas przyłączyć – odparł Koryntczyk. – Tak powiedział.

Na te słowa podniósł się wielki krzyk. Niektórzy stanęli po stronie Aratusa, inni trzymali z Koryntczykiem, którego zwano Ivanosem. Przekleństwa sypały się gęsto, a dłonie sięgały już do rękojeści.

W końcu Shemita przemówił, przekrzykując zgiełk.

– Dlaczego spieramy się o martwego człowieka?

– Nie jest martwy – odparł Koryntczyk, podnosząc się z powalonego Cymmeryjczyka. – Dostał kamieniem w łepetynę. Jest tylko oszołomiony.

Na te słowa zgiełk podniósł się na nowo. Aratus usiłował dostać się do nieprzytomnego mężczyzny, a Ivanos ostatecznie zdołał usiąść na nim okrakiem, z mieczem w dłoni, wyzywając wszystkich bez wyjątku. Oliwia wyczuła, że Koryntczyk zachowywał się tak nie tyle w obronie Conana, co przeciwko Aratusowi. Najwyraźniej mężczyźni ci byli zastępcami Sergiusza i nie darzyli się wielką sympatią. Po krótkiej kłótni zdecydowali, że zwiążą Conana i zabiorą ze sobą, a jego los przegłosują później.

Wysoko między skałami leżała oszołomiona klęską Oliwia. Nie była w stanie nic powiedzieć ani się ruszyć. Mogła tylko patrzeć z przerażeniem, jak brutalna horda zabiera jej opiekuna.

Nie wiedziała, jak długo tam leżała. Dostrzegła, że piraci przechodzą przez równinę i wchodzą między ruiny, ciągnąc jeńca za sobą. Widziała, jak roją się między drzwiami i wyłomami, rozwalając stopy gruzów i wdrapując się po ścianach. Po chwili część z nich wróciła przez równinę i zniknęła między drzewami na zachodnim skraju, ciągnąc za sobą ciało Sergiusza, najprawdopodobniej po to, by wrzucić je do morza. Piraci, którzy pozostali w ruinach, wycinali drzewa i szykowali materiały na ogień. Oliwia słyszała ich krzyki, niezrozumiałe z tej odległości. Słyszała także niosące się echem głosy tych, którzy zniknęli w lesie. Kiedy ponownie się pojawili, nieśli ze sobą baryłki likworów i skórzane sakwy z jedzeniem. Skierowali się w stronę ruin, przeklinając namiętnie niesione ciężary.

Oliwia była półprzytomna ze strachu. Zdała sobie sprawę, pozostawiona sama i bez opieki, jak wiele znaczyła dla niej troska Cymmeryjczyka. W zdumienie wprawiała ją przewrotna ironia losu, która z królewskiej córki uczyniła towarzyszkę barbarzyńcy o skrwawionych rękach. Ogarnęła ją

odraza w stosunku do jej własnego rodu. Jej ojciec i Shah Amurath byli cywilizowanymi ludźmi, a zaznała od nich tylko cierpienia. Nigdy nie spotkała nikogo, kto traktowałby ją z uprzejmością, chyba że miał po temu jakieś inne motywy. Conan opiekował się nią i chronił, i jak dotąd nie oczekiwał niczego w zamian. Schowała głowę między ramiona i płakała, dopóki odległe krzyki i odgłosy sprośnej popijawy nie sprawiły, że podniosła się niepomna niebezpieczeństwa.

Omiotła wzrokiem wszystko, od ciemnych ruin, wśród których snuły się i zataczały fantastyczne postacie, małe z tej odległości, aż po ciemne głębie zielonego lasu. Nawet jeśli jej wczorajsze koszmary były tylko snem, zagrożenie czyhające w zielonych, liściastych głębiach wydawało się całkiem realne. Niezależnie od tego, czy Conan już nie żył, czy też został wzięty do niewoli, mogła tylko oddać się w ręce wilków morskich, bądź pozostać w samotności na tej nawiedzanej wyspie.

Kiedy dotarło do niej, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazła, upadła na twarz w omdleniu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Słońce wisiało już nisko, kiedy Oliwia odzyskała przytomność. Lekki wiatr przynosił do jej uszu odległe krzyki i fragmenty sprośnej piosenki. Podnosząc się ostrożnie, spojrzała w kierunku równiny. Zobaczyła piratów zgromadzonych na zewnątrz wokół wielkiego ogniska. Jej serce zadrżało, kiedy z wnętrza ruin wychynęła grupa, ciągnąca za sobą Conana. Oparli go, wciąż jeszcze związanego, o ścianę. Rozgorzała długa dyskusja, przerywana często błyskiem broni. W końcu zaciągnęli go znów do wnętrza i zajęli się żłopaniem piwa. Oliwia westchnęła z ulgą. Przynajmniej wiedziała, że Cymmeryjczyk wciąż żył. Utwierdziła się w swoim postanowieniu. Kiedy tylko zapadnie noc, przemknie się w ponure ruiny i uwolni go, albo sama zostanie pojmana podczas tej próby. Zdawała sobie sprawę, że jej decyzja nie była podyktowana wyłącznie egoizmem.

Mając to na uwadze, odważyła się wyczołgać ze swojej kryjówki, aby zebrać i zjeść orzechy, które rosły tu i ówdzie na wyciągnięcie ręki. Od poprzedniego dnia nie miała nic w ustach. Nagle poczuła, że jest obserwowana. Nerwowo spojrzała na skały. Przejęta swoim podejrzeniem podczołgała się do północnego skraju urwiska i spojrzała w dół na falującą, zieloną masę, ciemną już w świetle zachodzącego słońca. Nic nie było widać. To niemożliwe, by coś czyhającego w lasach wypatrzyło jej kryjówkę. A jednak czuła wyraźnie płomień ukrytego spojrzenia żywej istoty, świadomej jej obecności.

Przemknęła się na powrót do skalnego schronienia i położyła się, obserwując odległe ruiny, dopóki nie rozplynęły się w mroku nocy. Wtedy ich obecność wyznaczały drgające płomienie i czarne postacie, zabawiające się w pijackim widzie.

Podniosła się. Nadszedł czas próby. Najpierw jednak dopełzyła raz jeszcze na północny skraj urwiska i spojrzała w dół na okalające plażę lasy. Gdy wyteżyła wzrok w nikłym świetle gwiazd, jej serce zamarło.

Daleko w dole coś się poruszyło. Wyglądało to tak, jak gdyby czarny cień oderwał się nagle z otchłani poniżej. Nieokreślona postać, bezkształtna w ciemności, wspinała się powoli po pionowej ścianie urwiska. Strach

ścisnął Oliwię za gardło. Z trudem powstrzymała się od krzyku, który cisnął się jej na usta. Odwróciła się i pognała w dół południowego wzgórza.

To był prawdziwy koszmar. Zjeżdżała po kamieniach i wdrapywała się z powrotem, chwytając się skostniałymi palcami wystających skał, kalecząc delikatne ciało na nierównych głazach, nad którymi Conan przenosił ją z taką łatwością. Po raz kolejny uzmysłowiła sobie, jak bardzo jest zależna od barbarzyńcy o stalowych mięśniach. Ta myśl była tylko jedną z wielu, jakie przemknęły jej przez głowę w potwornym przerażeniu.

Zejście zdawało się nie mieć końca, lecz w końcu jej stopy dotknęły trawy. Oliwia w gorączce szaleństwa pędziła dalej w kierunku ognia, płonącego jak czerwone serce nocy. Słyszała za sobą lawinę kamyczków, toczącą się w dół stromego wzgórza i dźwięk podążających za nią skrzydeł. Wolała nie myśleć, co takiego roztrąciło kamienie.

Wysiłek fizyczny rozwiął nieco jej ślepy strach. Zanim dobiegła do ruin, myślała już jasno, chociaż drżała z wysiłku.

Opadła na murawę i czołgała się na brzuchu, dopóki nie dotarła do małego drzewa, które uniknęło pirackich toporów. Schowała się za nim i obserwowała korsarzy. Zakończyli już posiłek, ale wciąż jeszcze pili, zanurzając cynowe kufle i wysadzane klejnotami kielichy w otwartych beczułkach z winem. Niektórzy spali pijani na trawie, inni chwiejnym krokiem szli w kierunku ruin. Nic nie wskazywało na obecność Conana. Leżała w skraplającej się na niej i na liściach rosie, a mężczyźni wokół ognia bawili się, przeklinali i kłócili. Niewielu już siedziało przy ognisku. Większość poszła spać wśród ruin.

Obserwowała ich w nerwowym napięciu. Pot ściekał jej po plecach na myśl o tym, że i sama jest obserwowana... Albo, że coś skrada się w jej kierunku. Czas włókł się niemiłosiernie. Jeden za drugim hulacy pogrążali się w pijackim śnie. W końcu wszyscy zalegli bez zmysłów wokół dogasającego ognia.

Oliwia zawahała się... Nagle sparaliżował ją widok odległej poświaty, wznoszącej się ponad drzewami. Księżyc wstawał!

Łapiąc dech, podniosła się i pobiegła w kierunku ruin. Drżąc, mijała na paluszkach śpiących pijaków, którzy zalegli w beładzie przy otwartym portyku. Wewnątrz było ich jeszcze więcej. Rzucali się i majaczyli coś w zamroczeniu, ale żaden z nich nie obudził się, kiedy przemykała między nimi. Kiedy ujrzała Conana, na usta cisnął się jej szloch radości.

Przywiązany do kolumny Cymmeryjczyk był całkowicie rozbudzony, a jego oczy błyszcząły w mdłym blasku dogasającego na zewnątrz ognia.

Podeszła do niego, torując sobie drogę między śpiącymi. Usłyszał ją, mimo że szła bardzo cicho. Kiedy tylko pojawiła się w portyku, na jego twardych wargach zatańczył nikły uśmiech.

Doszła do niego i na chwilę przywarła do jego ciała. Poczuła, jak jej serce bije szybko przy potężnej piersi. Poprzez szeroki wyłom w ścianie wkradł się promień księżyca. Powietrze stało się ciężkie od wyczuwalnego napięcia. Conan zamarł, a Oliwia wstrzymała oddech. Śpiący chrapali dalej. Pochyliła się prędko, wyciągnęła sztylet z za pasa jego nieprzytomnego właściciela i zabrała się do przecinania więzów pętających Conana. Były to ciężkie i grube liny żeglarskie, związane przez wytrawnych marynarzy. Wysilała się desperacko, podczas gdy fala księżycowego światła pełzła powoli po podłodze w kierunku czarnych postaci między kolumnami.

Jej oddech stał się spazmatyczny. Uwolniła nadgarstki Conana, ale jego łokcie i nogi wciąż jeszcze były związane. Spojrzała prędko na postacie między kolumnami, wciąż pogrążone w oczekiwaniu. Zdawało się, że patrzą na nią z obrzydliwą cierpliwością żywych trupów. Pijacy pod jej nogami zaczęli wiercić się i pojękiwać przez sen. Światło księżyca pełzło w dół komnaty, dotykając już czarnych stóp. Liny opadły z ramion Conana, a ten, biorąc od niej sztylet, rozerwał więzy na nogach jednym, prędkim cięciem. Przeciągając się, odstąpił od kolumny. Ze stoickim spokojem zniósł ból powracającego krążenia. Oliwia skuliła się przed nim, drżąc jak osika. Czy to jakaś gra księżycowego światła w oczach czarnych figur napełniła je ogniem, że błyskały na czerwono w półmroku?

Conan z prędkością dzikiego kota chwycił swój miecz ze stosu broni nieopodal, podniósł lekko Oliwię i wyslizgnął się przez otwór w porośniętej bluszczem ścianie.

Nie padło między nimi ani jedno słowo. Biegł szybko po skąpanej w księżycowym świetle murawie, niosąc ją w ramionach. Dziewczyna zarzuciła ręce wokół jego stalowej szyi i zamknęła oczy. Jej ciemna, pokryta lokami główka kołysała się na jego potężnym ramieniu. Ogarnęło ją cudowne poczucie bezpieczeństwa.

– Coś wspinało się po urwisku – szepnęła. – Słyszałam jak skrada się za mną, kiedy schodziłam.

– Będziemy musieli stawić temu czoła – warknął Conan.

– Teraz już się nie boję – westchnęła dziewczyna.

– Nie bałaś się także, kiedy przyszedł mnie uwolnić – odparł. – Na Croma, co to był za dzień! W życiu nie słyszałem takiego rabanu. Prawie ogłuchłem. Aratus chciał wyrwać mi serce, a Ivanos nie zgodził się na to wyłącznie dlatego, że go nienawidzi. Cały dzień kłócili się i pluli jeden na drugiego, a reszta załogi spiła się za bardzo, by głosować.

Zatrzymał się nagle, niby posąg z brązu w księżycowej poświacie. Szybkim gestem położył dziewczynę obok. Podnosząc się na kolana w miękkiej trawie, Oliwia wrzasnęła na widok tego, co ujrzała.

Z cienia, w którym skąpane były skalne ściany, wynurzył się potworny, niezdarnie sunący kształt – jakiś antropomorficzny koszmar, groteskowa trawestacja stworzenia.

W ogólnym zarysie jego cechy były ludzkie. Ale jego twarz, przypominająca maskę w jasnym świetle księżyca, była pyskiem bestii: miał blisko osadzone uszy, drgające nozdrza i wielkie usta o mięsistych wargach, w których błyszczały podobne do kłów zęby. Pokryty był gęstym, szarawym włosiem, poprzetykanym srebrem, które błyszczało w świetle księżyca, a jego wielkie, zdeformowane łapy zwisały prawie do ziemi. Cała jego postać była przerażająca. Kiedy stał na swych krótkich, wygiętych łapach, jego okrągła głowa wznosiła się ponad patrzącego nań człowieka; unosząca się włochata pierś i olbrzymi kark zapierały dech; gigantyczne ramiona przypominały sękaty drzewa.

Księżycowa scena rozplynęła się przed oczyma Oliwii. A więc to był kres wędrówki... Jakież bowiem człowiek mógłby przeżyć furję tej włochatej kupy mięśni? A jednak, kiedy patrzyła szeroko rozwartymi ze strachu oczami na postać z brązu, która mierzyła się wzrokiem z potworem, wyczuła między nimi pewne zatrwajające podobieństwo. Nie była to walka między człowiekiem a bestią. Raczej konflikt między dwoma dzikimi, bezlitosnymi stworzeniami. Potwór zaatakował z błyskiem białych kłów.

Mocarne ramiona rozwarły się szeroko, kiedy bestia ruszyła, zdumiewająco prędko jak na swe wielkie cielsko i krzywe nóżki.

Conan także był szybki. Obraz rozmył się przed oczami Oliwii. Widziała tylko, że uniknął śmiertelnego uścisku, a jego miecz błysnął jak biała błyskawica i przeciął jedno z masywnych ramion między barkiem a łokciem. Fontanna krwi trysnęła na trawę wraz z upadającą kończyną, wykręcającą się straszliwie. Nawet kiedy miecz ciął, druga zdeformowana łapa zacisnęła się na czarnej czuprynie Conana.

Tylko stalowe mięśnie szyi uchroniły Cymmeryjczyka przed skruceniem karku. Jedna dłoń wycelowała w kierunku szerokiego gardła bestii, a jego lewe kolano uderzało raz za razem w owłosiony brzuch potwora. Wtedy zaczęła się przerażająca walka, trwająca tylko parę sekund, ale która sparaliżowanej dziewczynie wydawała się trwać wieki.

Małpolud wciąż jeszcze trzymał Conana za włosy, przyciągając go do swoich kłów, błyszczących w księżycowej poświacie. Cymmeryjczyk zdołał się temu oprzeć lewym ramieniem, twardym niczym stal, podczas gdy miecz w jego prawej ręce, rozbijany jak rzeźnicki nóż, zatapiał się raz za razem w pachwinach, piersi i brzuchu trzymającego go stwora. Bestia znosiła tę torturę w straszliwej ciszy, jak się zdaje wcale nieosłabiona wpływem krwi, tryskającej z potwornych ran. Przerażająca siła potwora przełamała szybko dźwignię wyciągniętego ramienia i kolana. Ręka Conana gięła się nieubłaganie mimo wysiłku; był coraz bliżej czyhającej na jego życie, śliniącej się szczęki. Teraz gorejące oczy barbarzyńcy patrzyły prosto w przekrwione ślepie małpoluda. Wreszcie, gdy Conan bezskutecznie wbijał miecz głęboko we włochate cielsko, spienione szczęki zatrzasnęły się spazmatycznie na cal od twarzy Cymmeryjczyka. Śmiertelne drgawki potwora odrzuciły go na trawę.

Na wpół omdlała Oliwia zauważyła, jak małpolud podnosi się i pada, w drgawkach chwytając za wystającą z jego ciała rękoność, zupełnie jak człowiek. Po dłuższej, przyprawiającej o mdłości chwili wielkie ciało zadrżało i zaległo w bezruchu.

Conan podniósł się i kulejąc podszedł do trupa. Oddychał ciężko i szedł jak osoba, której mięśnie i ścięgna zostały naciągnięte do granic możliwości. Poczł krew na głowie i zaklął na widok swoich czarnych kosmyków, wciąż tkwiących we włochatej dłoni potwora.

– Na Croma! – sapnął. – Czuję się, jakby mnie połamano kołem! Wolałbym walczyć przeciwko tuzinowi mężczyzn. Jeszcze chwila, a odgryzłby mi głowę. Do diabła z nim, wyrwał mi garść włosów!

Chwycił oburącz rękoność miecza i wydołał go z cielska bestii. Oliwia prześlizgnęła się bliżej, ścisnęła go za ramię i spojrzała rozwartymi oczyma na rozłożonego przed nimi potwora.

– Co to... Co to jest? – szepnęła.

– Szary małpolud – mruknął Conan. – Głupi ludojad. Pełno ich wśród wzgórz otaczających wschodni brzeg morza. Trudno powiedzieć, jak ten

dostał się na wyspę. Może przypląnął tu na dryfującym pniu, zmiecionym z lądu podczas burzy.

– Czy to on rzucił w nas kamieniem?

– Tak. Podejrzewałem to, kiedy byliśmy w gęstwinie i zobaczyłem pochylające się nad naszymi głowami konary. Te stworzenia zawsze czają się w najgłębszych lasach i bardzo rzadko z nich wychodzą. Nie wiem, co mogło zaprowadzić go na otwarty teren, ale było to dla nas bardzo pomysłne. Wśród drzew nie miałbym żadnych szans.

– Szedł za mną – wzdrygnęła się Oliwia. – Widziałam, jak wspina się po urwisku.

– I podążając za swoim instynktem, zaczął się w jego cieniu, zamiast iść za tobą na równinę. Jego gatunek to stworzenia przyzwyczajone do ciemności i cichych miejsc, nienawidzą słońca i księżyca.

– Myślisz, że jest ich więcej?

– Nie. Inaczej piraci zostaliby zaatakowani, kiedy szli przez las. Szary małpolud jest ostrożny, mimo całej swej siły. Dlatego nie napadł na nas w gęstwinie. Musiał mieć na ciebie wielką chęć, skoro wyszedł na otwarty teren. Co...

Stanął osłupiały i odwrócił się w kierunku, skąd przyszli. Noc rozdarł straszliwy krzyk dochodzący z ruin.

Zapanował dziki harmider wrzasków i odgłosów agonii. Mimo że słychać było szczęk broni, dźwięki walki wskazywały raczej na masakrę niż bitwę.

Conan stanął jak wryty, a dziewczyna przylgnęła do niego w szalonym przerażeniu. Wrzask narastał. Cymmeryjczyk odwrócił się i pobiegł w stronę krańca równiny, porośniętego drzewami skąpanymi w księżycowym świetle. Nogi Oliwii drżały tak, że nie mogła iść. Poniósł ją zatem, a ona, kiedy schroniła się w kołysce jego ramion poczuła, że jej serce przestaje bić jak oszalałe.

Przemknęli przez cienisty las, który był już bezpieczny. Prześwity srebra nie ukazywały żadnego ponurego kształtu. Nocne ptaki szemrały sennie. Za nimi cichły odgłosy rzezi. Mieszały się w oddali w płątaninie dźwięków. Gdzieś krzyknęła papuga, niosąc fantastycznym echem: Yagkoolan yok tha, xuthalla! Wreszcie doszli do porośniętego drzewami brzegu i zobaczyli zakotwiczoną galereę, której żagiel lśnił biało w świetle księżyca. Gwiazdy zaczynały już blednąć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W jaskrawej bieli poranka grupka poszarpanych, splamionych krwią postaci wychyliła się chwiejnie spomiędzy drzew i wyszła na wąską plażę. Było ich czterdziestu czterech, przestraszona banda bez żadnego morale. W zapierającym dech pośpiechu wskoczyli do wody i zaczęli płynąć w kierunku galery, kiedy powstrzymało ich nagłe wezwanie.

Na tle jaśniejącego nieba ujrzeli Conana, który stał na dziobie statku z mieczem w dłoni. Jego włosy powiewały na porannym wietrze.

– Stójcie! – rozkazał. – Nie podchodźcie bliżej. Co teraz powiecie, psy?

– Wpuść nas na pokład! – zawył włochaty zbir, macając się po krwawej resztkę ucha. – Chcemy uciec z tej diabelskiej wyspy.

– Rozłupię czaszkę pierwszemu, który spróbuje wspiąć się na burzę – obiecał Conan.

Było ich czterdziestu czterech przeciw jednemu, ale to on trzymał w ręku miecz. Walka nie była im w głowie.

– Łaskawy Conanie, pozwól nam wejść na pokład – zaskomlał Zamoryjczyk przepasany czerwoną szarfą, zerkając ze strachem w kierunku cichego lasu. – Rozgromiono nas i pobito. Jesteśmy ranni, zmęczeni walką i ucieczką. Żaden z nas nie uniesie miecza.

– Gdzie jest ten pies Aratus? – chciał wiedzieć Conan.

– Nie żyje, jak cała reszta! Napadły nas demony! Rozszarpały nas na kawałki, zanim się obudziliśmy. Dziesięciu zginęło we śnie. Ruiny wypełniły się cieniami o płonących oczach, ostrych kłach i pazurach.

– Tak, tak – wtrącił się inny korsarz. – To były demony tej wyspy, które przybrały formę posągów, aby nas zwieść. Na Isztar! Położyliśmy się spać między nimi! Nie jesteśmy tchórzami. Walczyliśmy tak długo, jak długo zwykły śmiertelnik może stawiać czoła siłom ciemności. Potem rozbiegliśmy się i zostawiliśmy ich, pozwalając, by rozdzierali trupy jak szakale. Ale na pewno będą nas ścigać.

– Tak, pozwól nam wejść na pokład – podniósł lament szczupły Shemita.

– Pozwól nam wejść w pokoju albo spróbujemy to zrobić z mieczem w dłoni, a chociaż jesteśmy wyczerpani i na pewno zabijesz wielu z nas, nie pokonasz nas wszystkich.

– W takim razie wybije dziurę w tej łajbie i zatopię ją – odparł Conan ponuro. Podniósł się zrozpaczony krzyk protestu, ale Conan uciszył go lwim rykiem.

– Psy! Czy naprawdę muszę pomagać swoim wrogom? Czy powinienem wpuścić was na pokład i dać sobie wyrwać serce?

– Nie, nie! – zakrzyknęli gorliwie piraci. – Przyjaciele... Przyjaciele, Conanie. Jesteśmy twymi kompanami! Razem stworzymy doskonałą bandę rozpustnych zbirów! Nienawidzimy króla Turanu, nie siebie nawzajem.

Ich wzrok utkwiał w jego ogorzałej od słońca, wykrzywionej paskudnym grymasem, twarzy.

– Jeśli zatem jestem jednym z was – warknął – dotyczą mnie prawa Kompanii. A ponieważ zabiłem waszego wodza w uczciwej walce, jestem teraz waszym kapitanem!

Nikt nie zaprzeczył. Piraci byli zbyt przerażeni i zmęczeni, by myśleć o czymkolwiek poza ucieczką z tej straszliwej wyspy. Conan odszukał wzrokiem splamioną krwią postać Koryntczyka.

– Ach, na Mitrę! – pirat, czując, w którą stronę zmierza cała sytuacja, był chętny do współpracy z Cymmeryjczykiem. – On ma rację, chłopcy! Jest naszym prawowitym kapitanem!

Wszyscy przytakiwali. Może bez zbytniego entuzjazmu, ale szczerze. Świadomość tego, co czyhało w cichych lasach za ich plecami i wspomnienie hebanowych diabłów o czerwonych oczach i ociekających szponach powodowały, że jak najszybciej chcieli znaleźć się na pokładzie.

– Przysięgnijcie na rękojeści waszych mieczy – zażądał Conan.

Wzniosły się przed nim czterdzieści cztery rękojeści. Czterdzieści cztery głosy wyrzekły korsarską przysięgę wierności.

Conan wyszczerzył się w grymasie i schował miecz do pochwy.

– Wejdźcie na pokład, moi odważni awanturnicy i bierzcie się za wiosła.

Odwrócił się i podniósł na nogi Oliwię, która schroniła się za nadburciem.

– A co ze mną, panie? – zapytała.

– A jaka jest twoja wola? – zapytał, patrząc na nią bacznie.

– Chciałabym pójść za tobą, niezależnie od tego, jaką drogę obierzesz! – wykrzyknęła, zarzucając białe ramiona wokół jego ogorzałej szyi.

Wspinającym się po burcie piratom z wrażenia dech zaparło.

– Nawet jeśli to droga krwi i rzezi? – zaoponował. – Ten kil rozpruje błękitne wody i splami je szkarłatem.

– Tak, chcę z tobą żeglować zarówno po czerwonych, jak i błękitnych morzach – odparła z pasją dziewczyna. – Jesteś barbarzyńcą, a ja jestem wyrzutkiem, odtrąconym przez własnych ludzi. Obydwoje jesteśmy pariasami i włóczęgami. Proszę, weź mnie ze sobą.

Z porywistym śmiechem podniósł ją do swych dzikich ust.

– Uczynię cię Królową Błękitnych Mórz! Odbijajcie, psy! Na Croma, jeszcze damy popalić królowi Yildizowi!

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(kwiecień 1934) pod tytułem *Shadows in the Moonlight*

KRÓLOWA CZARNEGO
WYBRZEŻA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

CONAN ZOSTAJE PIRATEM

*Jak liść, co tryska z pąka zielonego
I glorii jesieni czeka, by spłonąć płomieniem,
Tak pasją obdarzyć męża jednego
Jest moim odwiecznym marzeniem.*

(Pieśń o Bêlit)

Na wybrukowanej ulicy, wiodącej do nabrzeża, zatętnił łomot końskich kopyt, a ludzie, którzy w ostatniej chwili uszli przed stratowaniem przez pędzącego na złamanie karku potężnego czarnego ogiera, dojrżeli jedynie olbrzymią opancerzoną postać odzianą w łopoczący na wietrze szkarłatny płaszcz. Gdzieś za jeźdźcem rozbrzmiewały dźwięki pogoni, ale ten ani myślał oglądać się za siebie. Wpadł na nabrzeże i z taką mocą osadził konia w miejscu, że rumak aż przysiadł na zadzie. Z ciekawością zerkali na niego żeglarze, stawiający właśnie szeroki, pasiasty żagiel na galerze o charakterystycznie wysokich burtach, a postawny i krępy szyper, mogący pochwalić się słusznej długości czarną brodą, trzymał w dłoni bosak i zamierzał właśnie odepchnąć statek od pirsu, gdy jeździec ni stąd ni zowąd wprost z siodła, jednym nieprawdopodobnie długim skokiem, zeskoczył na śródkręcie.

– Te, łachmyta! – wrzasnął zdziwiony i zły szyper. – A kto ci pozwolił wejść na pokład?

– Odbijaj! – zagrzemiał intruz, a na znak, że nie żartuje, groźnie machnął ogromnym mieczem, z ostrza którego trysnęły czerwone krople.

– Człowieku, my płyniemy do Kush! – odkrzyknął w odpowiedzi szyper.

– No i dobrze! A ja płynę razem z wami! Odbijaj, mówię! – olbrzym niespokojnie zerknął w górę uliczki, po której galopował w kierunku portu, najwyraźniej mocno się spiesząc, oddział jazdy, zaś w tyle, niedaleko za nimi, nadbiegali łucznicy i to w sporej liczbie.

– A masz czym zapłacić za rejs? – spytał szyper, niezrażony bojową miną niespodziewanego pasażera.

– Stałą ci zapłacę! – odziany w pancerz olbrzym ryknął jak podniecony buhaj w poszukiwaniu chętnej jałówki, wywijając przy tym swym mieczem, który zalśnił w słońcu błękitem. – Na Croma, głupku, albo ta galera natychmiast odbije, albo zgotuję załodze taką krwawą łaźnię, jakiej jeszcze na oczy nie widziałeś!

Szyper znalazł się na ludziach. Wystarczyło mu tylko jedno spojrzenie na zachmurzoną, pooraną bliznami facjatę, ściągniętą teraz w gniewie, by wydać rozkaz odpłynięcia, jednocześnie z wprawą odpychając bosakiem statek od pirsu. Galera szybko wypłynęła na głębszą wodę, wiosła zaczęły rytmicznie pracować, wkrótce żagiel złapał wiatr. Statek lekko się przechylił, pchany silnymi podmuchami i dostojnie, niczym łabędź, nabierając prędkości, zaczął pruć fale.

Na brzegu jeźdźcy potrzęsali mieczami, klnąc na czym świat stoi, chcąc widocznie w ten sposób zmusić załogę do zawrócenia. Padł rozkaz, by łucznicy wzięli się do roboty i nim galera znajdzie się poza zasięgiem, zasypali ją gradem strzał.

– Niech się pienia – na ustach marynarza zakwitł kpiący uśmiech. – Sterniku, trzymaj kurs!

Po tych słowach szyper zeskoczył z mostku na dziobie, dostojnym krokiem przeszedł między rzędami wiosłarzy i wszedł na śródokręcie. Nieznajomy olbrzym stał oparty plecami o maszt, rozglądając się wokół czujnym wzrokiem z mieczem gotowym do ataku lub obrony. Zaciekawiony żeglarz przyjrzał mu się uważnie, trzymając ręce jak najdalej od noża noszonego przy pasie. Musiał przyznać, że nieoczekiwany pasażer robił piorunujące wrażenie. Mężczyzna był nadludzko umięśniony i po prostu wielki. Nosił na sobie czarną, łuskową kolczugę, wypolerowane nagolenniki i błękitny, stalowy hełm zwieńczony słusznych rozmiarów lśniącymi w słońcu bawolimi rogami. Do stalowych naramienników przymocowany miał piękny, purpurowy płaszcz lekko łopoczący teraz na wietrze. Do szerokiego, skórzanego pasa, spiętego złotą kłamrą, przytroczona była pochwa miecza. Spod rogatego hełmu wystawała równo przycięta grzywka czarnych włosów, kontrastująca z płonącymi, skrzącymi się czystym błękitem oczami.

– Skoro już przeznaczenie zagnało cię na mój statek – rzekł szyper – lepiej byśmy żeglowali w zgodzie. Ja jestem Tito, poświadczony stosowną licencją mistrz żeglarski z portu w Argos. Celem moim i mojej załogi są

wybrzeża Kush, bo chcemy tam paciorki, jedwab, cukier i broń wymienić na kość słoniową, koprę, rudę miedzi, niewolników i perły.

Olbrzym spoglądał na szybko niknące za horyzontem portowe nabrzeże, gdzie wciąż członkowie grupy pościgowej, wyglądający teraz jak małe alabastrowe figurki, w chaosie bezradności starali się chyba znaleźć łódź dość szybką, by dogoniła galerę. Widać było, że poszukiwania nie zakończyły się sukcesem.

– Jestem Conan z Cymmerii – odparł zagadnięty. – Przybyłem do Argos, by nająć się do wojaczki, ale królestwo, jak na złość, żadnej wojny akurat nie prowadzi. Taka już dola najemnika.

– To dlaczego ścigali cię gwardziści? – spytał Tito. – Nie żeby to była moja sprawa, ale pomyślałem, że może...

– Nie mam nic do ukrycia – przerwał mu Cymmeryjczyk. – Na Croma, spędziłem między wami, ludźmi cywilizowanymi, tyle czasu, a wciąż nie pojmuję waszych zwyczajów i praw. Wczoraj w nocy w pewnej tawernie setnik królewskiej gwardii chciał zgwałcić ukochaną pewnego młodego i porywczego żołnierza. Ten, co oczywista, natychmiast wypruł mu bebechy. Zdaje się jednak, że jakieś chore prawo tego królestwa zakazuje zabijania gwardzistów, nawet jeśli ci sobie na to zasłużą. Młodzi więc uciekli. Potem ktoś naopowiadał gwardzistom głupot, że byłem razem z nimi i tak oto dziś rano doprowadzono mnie przed oblicze miejscowego sędziego. Ten od razu zapytał, gdzie uciekł chłopak, a ja mu na to, że skoro, jak ludzie gadają, jest moim przyjacielem, powiedzieć tego nie mogę. W sędziego jakby piorun strzelił, zrobił się szum, a potem zaczął długo głądzić o powinności wobec państwa, społeczeństwa i tym podobnych nonsensach, których ani w ząb nie rozumiałem. Jeszcze raz nakazał, żebym powiedział, gdzie młokos się ukrywa. Powiem ci, że wtedy to mnie już złość dopadła, ale opanowałem gniew, bo ludzie znowu zaczęliby gadać, że barbarzyńcy to dzicz, prymitywy i do życia wespół z cywilizowanymi ludźmi się nie nadają. Gdyby sędzia miał choć odrobinę oleju w głowie, dałby mi spokój, ale nie, od razu, wrzeszcząc jak opętany, stwierdził, że lekce sobie ważę wymiar sprawiedliwości królestwa Argos, że on mnie każe do lochu zamknąć, że o chlebie i wodzie, a jak będzie mi mało to i środki bardziej bezpośredniego przymusu się zastosuje, by zeznanie ode mnie wydobyć. Tego było za wiele, najwyraźniej wszyscy w tym sądzie poszaleli do szczytu, a gwardziści ruszyli w moją stronę. To co miałem robić? Dobyłem miecza, sędziego klingą po tym pustym łbie przejechałem,

przez żołdaków się przebiłem, wypadłem na dziedziniec, gdzie konia dowódcy gwardii zobaczyłem, dosiadłem go i pogalopowałem do portu, mając nadzieję na znalezienie statku, który mnie z Argos wywiezie.

– Cóż – skomentował opowieść Tito – zbyt wiele razy sądy olewały mnie przykładnie, gdy występowałem przeciwko bogatym kupcom, bym teraz miał je darzyć gorącą sympatią. Nie ukrywam, że gęsto będę musiał się tłumaczyć, gdy znowu przycumuję w tym porcie, ale zawsze mogę udowodnić, iż działałem pod groźbą użycia siły. Ja i moja załoga jesteśmy spokojnymi żeglarzami i nic do ciebie nie mamy, schowaj zatem żelazo. A po prawdzie, to dobrze mieć na pokładzie takiego rębajłę jak ty. Chodź ze mną na rufę. Obalimy po kufelku piwa.

– I to jest naprawdę zacny pomysł – chętnie zgodził się Cymmeryjczyk, wsuwając miecz do pochwy.

„Argus” był małym, ale solidnym statkiem, typową konstrukcją, często wykorzystywaną przez wszelkiej maści kupców do prowadzenia handlu między Zingarą i Argos a południowymi wybrzeżami, która jednak słabo sprawdzała się na otwartym oceanie. Miał wysoką rufę, wygięty w łuk dziób, szerokie śródokręcie, a jego pokład zwał się ku końcowi. Za ster służyło ogromne wiosło na rufie. Podczas dobrej żeglarskiej pogody i przy sprzyjającym wietrze na reję wciągano wielki pasiasty grot z mocnego jedwabiu, z rzadka uzupełniając go trójkątnym kliwerem. Wiosła służyły za napęd, gdy galera wychodziła z portów lub zatok, w ujściach rzek i, co oczywista, w okresie flauty. Jednostka mogła poszczycić się dziesięcioma parami wioseł – pięcioma na dziobie i pięcioma na rufie, umieszczonymi po obu stronach pokładu. Pod nim, na czas rejsu w specjalnych komorach, przechowywano najcenniejszy ładunek. Marynarze spali bezpośrednio na pokładzie lub między ławkami wioślarzy, a w razie złej pogody chronili się pod rozkładanymi baldachimami, które i w upalne, słoneczne dni, dawały ludziom trochę cienia. Załoga liczyła dwudziestu wioślarzy, trzech sterników i jednego szypra.

Na morzu panowała idealna do żeglugi pogoda, toteż „Argus” lekko i z wdziękiem pruł fale z całkiem zadowalającą prędkością. Załoga rozłożyła pasiaste, jedwabne baldachimy, pięknie współgrające kolorem z głównym żaglem, bo każdego dnia słońce przygrzewało coraz mocniej, głaszcząc promieniami finezyjnie wykonane złocenia na dziobie i nadburciu statku.

Nie minęło kilka dni, jak marynarze zobaczyli wybrzeża Shemu: skąpane w letnim słońcu rozległe, falujące łąki, na tle których, gdzieś na horyzoncie, majaczyły wyniosłe kopuły świątyń i pałaców. Z ciekawością przyglądali się galopującym wzdłuż wybrzeża jeźdźcom o haczykowatych nosach i czarno-błękitnych brodach, którzy nie spuszczaali wzroku z galery. Ale szyper nie miał w planach przybijania do żadnego z tutejszych portów, bo jak powszechnie było wiadomo, handel z ostrożnymi z natury i dość surowymi w obejściu mieszkańcami Shemu nie przynosił specjalnie wysokich profitów.

Jego plany nie obejmowały także wpłynięcia do szerokiej zatoki, do której ogromne ilości wody wlewała rzeka Styks i gdzie w połyskującym błękitem falach odbijały się monumentalne czarne fortece Khemi. Nieproszone statki bardzo rzadko cumowały w tutejszych portach, gdzie smagłolicy magowie szeptali niepojęte zaklęcia w oparach duszącego ofiarnego dymu, unoszącego się ze skąpanych we krwi ołtarzy przy jękach i zawodzeniu nagich kobiet, i gdzie, jak powszechnie wierzone, Set, Prastary Wąż, dla Hyboryjczyków demon nad demony, a dla Stygijczyków bóg nad bogami, ukazywał swe lśniące, węzowe cielsko rzeszom ślepo oddanych mu wyznawców.

Tito ominął zatokę szerokim łukiem, choć niezwyklej konstrukcji gondola o kształcie węża niespodziewanie wypłynęła zza należycie ufortyfikowanego cypla, a nagie kobiety o oliwkowej cerze oraz z czerwonymi kwiatami wpiętymi we włosy, chętnie i namiętnie kusząc swymi wdziękami, a miały co pokazywać, zachęcały do postoju.

Gdy tylko galera minęła południowe granice Stygii i popłynęła wzdłuż wybrzeży Kush, lśniące w głębi lądu strzeliste wieże, wspaniałe pałace i wyniosłe świątynie były już tylko wspomnieniem. Morze i marynarskie życie jawiło się Conanowi, wychowanemu w niedostępnych i mroźnych cymmeryjskich górach, jako niekończące się pasmo tajemnic i zagadek, któremu przyglądał się z wrodzoną sobie ciekawością. Ale i on dla załogi „Argusa” był nie lada atrakcją, bowiem nikt na statku jeszcze nigdy nie widział, nawet z oddali, cymmeryjskiego barbarzyńcy.

Załoga była złożona z urodzonych i wychowanych w Argos niewysokich, ale muskularnie zbudowanych mężczyzn, których dodatkowo zahartowały trudy żeglarskiego zawodu. Na ich tle Conan wyglądał jak tytan stojący na grzbiecie wieloryba, górował nad nimi co najmniej o dwie głowy, a siły miał za trzech. Co prawda marynarze ci należeli do gatunku ludzi twardych

i nieustępliwych, lecz przy jego nadnaturalnej wręcz wytrzymałości i witalności wilka, potwornej sile i szybkości, wykształconym podczas niezliczonych podróży i wojen w najdziwniejszych rejonach świata, wyglądali jak pokojowe pieski przy rozwścieczonym tygrysie.

Bo Conan był wzorem Cymmeryjczyka. Lubił się śmiać, a rozmieszenie go nie nastroczało żadnych trudności, jednak równie często i łatwo wpadał w gniew, a wtedy na wszystkich wokół padał blady strach. Potrafił jeść jak smok, a jego umiłowaną pasją, a zarazem największą słabość stanowił mocny trunek. Pod wieloma względami naiwny niczym dziecko, nieobeznany z wyrafinowaną cywilizacją, był jednak z natury inteligentny i ciekawski. Zażarcie bronił swych praw, a gdy ktoś postanowił je naruszyć, stawał się groźny i nieobliczalny jak płonący żądzą mordów lew. Młodego wiekiem barbarzyńcą zahartowały i srogo doświadczyły liczne wojny oraz podróże, których mapę nosił na sobie. Zwieńczony rogami hełm łudząco przypominał te noszone przez jasnowłosych Aesirów z Nordheimu, pancerz i nagolenniki wyszły spod rąk najlepszych płatnerzy w Koth, kolczuga chroniąca ramiona i nogi była dziełem rzemieślników z Nemedii, olbrzymi miecz mógł powstać tylko w akwilońskich kuźniach, a mieniący się czystą czerwienią płaszcz potrafili utkać tylko mieszkańcy Ofiru.

Tak długo płynęli na południe, aż Tito zaczął wypatrywać ostrokołów chroniących osady czarnoskórych ludzi. I, ku swemu zdumieniu, bez rezultatu. W końcu, w jednej z zatoczek, zobaczyli dymiące jeszcze ruiny i całe stosy czarnych ciał, wiadomy znak, że ktoś tu urządził prawdziwą masakrę. Na ten widok Tito zaklął siarczyście.

– A tak dobrze handlowało się z tymi ludźmi... To dzieło piratów.

– Co będzie, jak ich spotkamy? – spytał Conan, luzując miecz w pochwie.

– „Argus” to nie okręt wojenny, więc będziemy uciekać, a nie wojować. Gdy jednak przyjdzie gardła nadstawić w obronie ładunku i życia, potrafimy walczyć i zwyciężać, co już parę razy udowodniliśmy. No, chyba że natkniemy się na „Tygrysicę” i jej kapitana Bêlit.

– Kto to jest Bêlit?

– To najgorsza, najbardziej dzika i bezwzględna suka, jaką widziały te wody. Jeśli się nie mylę, to jej rzeźnicy odwiedzili wioskę na brzegu. Oby znalazł się ktoś, kto ją w końcu powiesi na rei! Nadano jej przydomek Królowej Czarnego Wybrzeża, a wiadomo, że jest shemickim babsztylem, który jakimś niezrozumiałym kaprysem losu przewodzi hordzie

czarnoskórych piratów. Najchętniej napadają na statki handlowe, łupią je i wyrzynają załogi. Niejednego kupca posłali na dno.

Tito podszedł do składziku na rufie i zaczął wyciągać z niego pikowane kaftany, stalowe hełmy, łuki i strzały.

– Jeśli nas zaatakują, ta broń tak nam się przyda jak dziwce przyodziewek podczas szybkiego bzykanka – mruknął ponuro. – Ale jakoś tak głupio dać się zarżnąć bez walki...

Ledwie zza horyzontu wyjrzało wschodzące słońce, gdy wachta wszczęła alarm. Spoza długiego cypla pobliskiej wyspy na sterburcie pojawiła się, tnąc ostro morskie fale, smukła, przypominająca morskiego węża, dobrze znana marynarzom tych wód galera o charakterystycznie podniesionym od dziobu po rufę pokładzie. Czterdzieści par wiosł na każdej burcie miarowo zanurzało się w wodzie, nadając statkowi niezwykłej prędkości, a za niskimi nadburciami byli dobrze widoczni czarnoskórzy, półnaczy piraci, którzy właściwie bardziej rycząc niż śpiewając, tłukli włóczyniami o owalne tarcze. Na maszcie jednostki łopotał długi purpurowy proporzec.

– Bêlit! – wrzasnął pobladły nagle Tito. – Yare! Ster lewo na burt, tylko ostro! Tam, do ujścia tego potoku! Nie rób głupich min, przecież widzisz zatoczkę! Jeśli przybijemy do brzegu, zanim nas dopadną, to chociaż ocalimy życie!

Prowadzony pewną ręką sternika „Argus” ostro skręcił i pomknął w kierunku przybrzeżnej płycizny, gdzie tłukąc o usiany palmami brzeg, załamywały się z hukiem fale. Tito biegał między ławkami i groźbami, prośbami, przekleństwami zachęcał wiosłarzy do większego wysiłku. Zjeżyła mu się broda, a oczy płonęły przerażeniem, ale i determinacją.



... Conan, zimny i opanowany, stanął na szeroko rozstawionych nogach na rufie i uniósł łuk.

– Niech ktoś da mi łuk – zażądał Conan. – Wprawdzie nie jest to broń godna prawdziwego mężczyzny, ale nauczyłem się strzelać od Hyrkańczyków i byłaby ze mnie dupa wołowa a nie wojownik, gdybym kilku tam na pokładzie nie przestrzelił na wylot.

Stojąc na rufie Cymmeryjczyk z podziwem obserwował, jak zwinnie i lekko tną fale, podobny do węża, piracki statek. Mimo że był typowym

szczurem lądowym, od razu zrozumiał, że „Argus” nie miał szans na ucieczkę. Wroga jednostka z każdą chwilą zbliżała się do galery, czego dowodem były sypiące się stamtąd strzały z cichym sykiem wpadające do wody nie dalej niż dwadzieścia kroków za rufą.

– Dajmy sobie spokój z ucieczką, lepiej już stawmy im czoła – warknął Conan. – Inaczej wszyscy zdechniemy na pokładzie ze strzałami w plecach, nie zadawszy nawet jednego ciosu.

– Mocniej, zawszone kundle! Wiosła w dłoniach trzymacie, nie własne fiuty, więc ciągnijcie mocniej! – ryczał Tito, wymachując pięścią, a brodaci wiosłarze jęknęli, naparli z całych sił na wiosła, aż na umięśnionych rękach, pod skórą, napęczniały węzły żył i pot kroplami spływał po ich ciałach.

Wiązania smukłej galery trzeszczały i jęczały, gdy pchana potężnymi uderzeniami, sunęła w kierunku zbawczego brzegu. Wiatr ucichł, żagiel zwisał bezwładnie, a piraci z każdą chwilą zmniejszali dystans do swojej ofiary.

Niecałej mili brakowało, by „Argus” osiągnął upragniony cel, gdy nagle jeden ze sterników zeszywniał, po czym sztywno przechylił się przez burtę i ze strzałą sterczącą w szyi wpadł do wody. Tito w oka mgnieniu zastąpił przy sterze nieszczęśnika, a Conan, zimny i opanowany, stanął na szeroko rozstawionych nogach na rufie i uniósł łuk. Doskonale teraz widział piracki statek i choć wiosłarzy chroniła specjalna osłona z cienkich desek, to do tańczących na wąskim pokładzie wojowników mógł strzelać bez przeszkód. Wymalowani w barwy wojenne, półnaczy, z głowami przyozdobionymi piórami potrzęsali włóczniami i tłukli nimi jak szaleni we wzorzyste tarcze.

Pośród kotłujących się na pokładzie „Tygryscy” piratów stała na lekko wzniesionej rufie smukła postać, której biała skóra ostro kontrastowała ze lśniącem hebanem ich ciał. To musiała być Bêlit. Conan naciągnął cięciwę tak mocno, że aż zajęczał łuk, jakby ktoś go łamał kołem. Wycelował i nagle wiedziony nagłym kaprysem, a może dziwnym przecuciem, zmienił zdanie i ubił łuczника stojącego tuż obok niej.

Piracka galera nieubłaganie, chwila po chwili, doganiała „Argusa”, a na jego dzielną załogę sypał się istny grad strzał. Coraz częściej słyhać było wrzaski agonii, bo piraci strzelili celnie i salwa za salwą. Naszpikowani strzałami, niczym jeże, na pokładzie leżeli martwi wszyscy sternicy. Tito, klnąc i przeklinając, samotnie dzierżył wielki ster, a widać było, że zmagał się z zadaniem niemalże ponad jego siły, bo skóra na jego nogach pękała wręcz od nabrzmiałych z wysiłku mięśni. Nagle długobrody szyper

zacharczał, plując krwią z otwartych ust i spoglądając ze zdziwieniem na podrygującą strzałę wystającą mu z piersi. To była ostatnia rzecz, jaką zrobił w swym pełnym żeglarskich przygód życiu. Pozbawiony sternika „Argus” zszedł z kursu i pchany falami zaczął zbliżać się ku mieliźnie. Ci z marynarzy, którzy jeszcze żyli, krzyknęli przerażeni, ale Conan od razu przejął inicjatywę na pokładzie.

– Dalej, chłopcy! – ryknął, zwalniając cięciwę i ukatrupiając kolejnego pirata. – Miecze w dłoń! Pokażcie tym obsranym kundlom z kim zadarli, nim nam wszystkim poderzną gardła! Zostawcie wiosła, bo i tak nas za chwilę dogonią!

Zdesperowani marynarze od razu wykonali rozkaz, chwycili za broń. Był to gest odważny, ale pozbawiony większego sensu. Zdążyli tylko jeden raz wystrzelić z łuków, zanim rozpedzona piracka galera staranowała „Argusa”. Wrogie bosaki zahaczyły o burzę, szczepiły galery, a łucznicy stojący na podniesionym pokładzie pirackiej galery wypuścili zabójczą chmurę strzał, dla których pikowane kaftany marynarzy z Argos nie były żadną przeszkodą w zadawaniu śmierci, zbierając krwawe żniwo. Nie minęła nawet chwila, jak rozpoczął się abordaż i uzbrojeni we włócznie piraci wskoczyli na pokład, by dokończyć masakry, pozostawiając za sobą z pół tuzina martwych towarzyszy – widoczny dowód niemałych, jak się okazało, umiejętności łuczniczych Conana.

Bitwa na pokładzie „Argusa” była krótka, krwawa i przypominała rzeź bezwolnych cieląt. Choć muskularni, krępi marynarze robili co mogli, by się bronić, to mogli niewiele i nie mieli żadnych szans w starciu z wysokimi, zaprawionymi w licznych bojach czarnoskórymi barbarzyńcami. Piraci w trymiga wycięli całą załogę. I pewnie fetowaliby zwycięstwo, ale na pokładzie ich galery działały się rzeczy dla nich wręcz magiczne i niecodzienne.

Conan podczas pościgu stał na wysokiej rufie „Argusa” i w momencie, gdy piracka galera staranowała ścigany statek, zapał się nogami, odrzucił niepotrzebny już łuk, nie stracił równowagi i zdumiony nagle odkrył, że znajduje się na tej samej wysokości, co pokład „Tygryscy”. Pierwszy pirat, który śmignął w jego kierunku, spotkał się z olbrzymim mieczem Cymmeryjczyka. Cięcie było precyzyjnie i potwornie silne – przecięło ciało czarnoskórego wojownika na pół, tak że tułów poleciał w lewą, a reszta ciała w prawą stronę. Następnie ogarnięty bojową furją, która pozostawiła przy nadburciu okazały stos poszatkowanych ciał, Conan w godnym

podziwie skoku przeskoczył na pokład pirackiej galery. Miętko lądując na ugiętych nogach od razu stał się centrum krwawej burzy kłujących włócznie i walących maczug. Normalny człowiek nie ustałby w takiej nawałnicy nawet chwili, ale Cymmeryczyk był w swoim żywiole. Poruszał się z szybkością odzianej w stal błyskawicy. Groty pękały lub odbijały się bezradnie od opancerzonego ciała, maczugi trafiały w pustkę, a jego miecz siał spustoszenie wśród rozwrzeszczanych czarnoskórych wojowników, nucąc pieśń śmierci. Ogarnął go typowy dla jego rasy bojowy szał, ta niepowstrzymana żądza mordy, kiedy to z płonącymi oczami bezrozumnej furii rozwaliał czaszki, wypruwał flaki, odrąbywał kończyny. Wokół niego pokład spływał krwią, rzęsiście skrapiany deszczem rozprysniętych mózgów, odciętych głów i długich wstęg parujących jelit.

Odporny na ciosy w swej zbroi, oparty plecami o maszt, z każdym ciosem powiększał piętrzący się wokół niego stos ciał, dopóki zaszokowani piraci nie odstępili zdjęci grozą i przerażeniem. Wpadli na nowy pomysł – chcieli obrzucić go włócznie. Conan napiął mięśnie, by ku nim skoczyć i zginać pod naporem wrogów, gdy niespodziewanie przenikliwy krzyk zmroził podniesione ramiona. Piraci natychmiast zastygli jak posągi. Cóż to była za scena! Czarnoskórzy olbrzymi z włócznie gotowymi do rzutu i on, opancerzony gigant z uniesionym mieczem, któremu nigdy dość było świeżej krwi.

Bêlit, roztrącając swych ludzi, stanęła na czele grupy i wyraźnym gestem dała znak, by opuścili włócznie. Rozkaz wykonano natychmiast i bez szemrania. Z płonącymi bitewnym podnieceniem oczami i falującymi piersiami odwróciła się w stronę Conana, a ten, na jej widok, aż jęknął z podziwu. Stała przed nie żadna tam kobieta, czy, jak nazwał ją Tito „shemicki babsztyl”, ale prawdziwa bogini: smukła, ale zarazem silna o kształtnych, cudnych piersiach. Z jej ciała emanował czysty erotyzm. Miała na sobie jedynie szeroką jedwabną przepaskę, a alabastrowe ciało i ponętne półkule piersi tak wielce podnieciły Conana, że ten od razu zapomniał o furii, z którą jeszcze przed chwilą szlachtował załogę pirackiej galery. Czarne, jak najgłębsza stygijska noc włosy spływały lśniąco, kręconymi pasmami na jej smukłe plecy. Czarne, lśniące oczy, rozpalone ciekawością, przesywały muskularne ciało Cymmeryczyka na wskroś.

Bêlit była niczym pustynny wiatr, zwinna i niebezpieczna jak pantera. Wolno, niemal arogancko, nie przejmując się wielkim mieczem ociekającym krwią jej wojowników, podeszła tak blisko do Conana, że

ostrze dotknęło jej ponętnego uda. Rozchyliła wściekle czerwone wargi w lubieżnym uśmiechu, gdy bez lęku spojrzała prosto w ponure, groźne oczy mężczyzny, stojącego przy maszcie.

– Kim ty jesteś? – spytała, a brzmiało to bardziej jak rozkaz niż pytanie. – Na Isztar, jak żyję, nigdy nie widziałam kogoś takiego jak ty, a wiedz, że przemierzyłam te morza od brzegów Zingary aż po ogień najdalszego południa! Skąd przybywasz?

– Z Argos – odparł krótko, wietrząc podstęp i czekając na dalszy rozwój wypadków. Gdyby tylko jej smukła dłoń drgnęła w kierunku wysadzanego klejnotami sztyletu noszonego przez nią za jedwabną przepaską, jednym potężnym uderzeniem otwartej dłoni posłałby jej cudne ciało bez przytomności na deski pokładu. W głębi duszy wiedział jednak, że nie ma się czego obawiać. W jego stalowych ramionach wiło się z rozkoszy zbyt wiele, cywilizowanych czy barbarzyńskich, kobiet, by nie rozpoznał ognia płonącego pożądaniem w oczach tej, która teraz przed nim stała.

– Żaden z ciebie cherlawy Hyboryjczyk! – wykrzyknęła. – Widać, żeś męzny i hardy jak szary wilk. Błękitnego blasku twych oczu nie przyćmiły światła wielkich miast, a wygodne życie pośród marmurów i zbytku nie zmiękczyły twych mięśni.

– Jestem Conan z Cymmerii – odrzekł.

Dla mieszkańców dalekiego, rozpalonego żarem słońca Południa, krainy na Północy były niewiele więcej niż mitem, miejscem osnutym mgłą tajemnicy, gdzie mieszkali bezwzględni i okrutni giganci, którzy od czasu do czasu, głównie dla rozrywki, opuszczali skute wiecznym lodem oraz niekończące się mroźne pustynie, by nieść ze sobą śmierć i zniszczenie. Jednak w swych wojennych wyprawach nigdy nie zapuścili się tak daleko na południe, toteż ta urodzona w Shemie kobieta nie widziała żadnej różnicy między Aesirami, Vanirami czy Cymmeryjczykami. Nieomylny kobiecy instynkt podpowiadał jej, że oto wreszcie znalazła godnego siebie kochanka, a to, skąd pochodzi, nie miało najmniejszego znaczenia, prócz tego, że jego rasa przydaje mu egzotyczności i podnieca ją jeszcze bardziej.

– Spójrz na mnie Conanie, ja jestem Bêlit, Królowa Czarnego Wybrzeża! – zakrzyknęła iście po królewsku, rozwierając szeroko ramiona. – O, tygrysie Północy, zimny i hardy jak góry, w których się narodziłeś i które uczyniły cię takim, jakim teraz jesteś! Weź mnie w ramiona i kochaj! Kochaj miłością totalną i niech me ciało spłonie z rozkoszy pod szorstkim dotykiem twych mocarnych pieścizn! Chodź za mną aż do granic świata

i na kresy mórz! Ogień, miecz, rzeź i ocean przelanej krwi uczyniły ze mnie królową! Ty bądź mym królem!

Conan rozejrzał się po splamionych krwią szeregach piratów, szukając oznak gniewu albo zazdrości, ale żadnych nie dostrzegł. Zabójcza furia zniknęła z hebanowych twarzy. Cymmeryjczyk zrozumiał, że dla tej półnagiej hordy Bêlit była czymś więcej niż tylko kobietą, ona była boginią, której rozkazów nie kwestionowano, oddając jej niemal boską cześć. Zerknął też na „Argusa” kołyszącego się na falach: statek nabrał sporo wody i przechylony na burtę nie poszedł na dno jedynie dlatego, że był szczepiony bosakami z „Tygrysicą”. I rzucił okiem Conan na nieodległy, skrzący się błękitem brzeg, na oceaniczną, ciepłozieloną taflę wody, w końcu i na olśniewającą urodą oraz charakterem kobietę przed sobą, a jego barbarzyńską duszę przeszył dreszcz palących emocji. Żeglować po tych błękitnych, ciepłych i przejrzystych wodach z tą młodą tygrysią, śmiać się, kochać, wędrować i łupić...

– Pożegnuję z tobą – mruknął, strząsając z miecza ostatnie krople krwi.

– Hejże, N’Yaga! – jej głos wzniósł się w powietrze wibrującym crescendo, brzmiącym jak zwolniona cięciwa. – Przynieś zioła i opatrz rany swego pana! Reszta niech przeniesie łupy na pokład i odbijamy!

Gdy Conan siedział na rufie oparty plecami o reling, a stary szaman opatrywał mu licznie rany na nogach i rękach, ładunek pechowego „Argusa” został szybko i sprawnie przeniesiony na „Tygrysicę”, po czym rozmieszczono go w specjalnych komorach pod pokładem. Martwych piratów i marynarzy bezceremonialnie wyrzucono za burtę na pożarcie rekinom, a rannych ułożono na śródkręciu, by ich opatrzyć. Potem odrzucono bosaki i smukła handlowa galera poszła na dno, niknąc w wodzie czerwonej od krwi, a „Tygrystica” pchana rytmicznymi uderzeniami wiosł, pożeglowała na południe.

Gdy śmigali po przejrzystej, błękitnej morskiej toni, Bêlit zwinnie wskoczyła na rufę, stając przed Conanem. Gwałtownym ruchem zerwała z siebie klejnoty, jedwabną przepaskę i zdjęła sandały. Złożyła je Cymmeryjczykowi u stóp, a jej oczy płonęły jak ślepia pantery przyczajonej w mroku. Wspięła się na palce, wyrzuciła do góry ramiona i naga, drżąca, alabastrowa bogini krzyknęła do swej dzikiej hordy:

– Hej, wilki morskie! Nadszedł czas tańca! Tańca godowego Bêlit, której przodkowie byli królami Asgalunu!

I poczęła tańczyć jak wir pustynnego wiatru, jak płomień szalejącego ognia, jak pragnienie tworzenia i śmierci. Jej białe stopy wybijały rytm na splamionym krwią pokładzie, a umierający wojownicy, wpatrując się w nią w ciszy i zauroczeniu, zapominali o śmierci.

I gdy nadszedł czas atramentowego zmierzchu, a na niebie rozbłysły białe gwiazdy, spowijając pokład świetlistą poświatą, jej wirujące ciało przyoblekło kształt alabastrowej zjawy, i wtedy właśnie, w tej godzinie rozpalonych żądz i eksplodujących namiętności, rzuciła się Bêlit do stóp Conana, a ten, ogarnięty falą nieokiełznanego podniecenia, zapomniał o wszystkim, biorąc w swe ramiona tytana smukłą, gibką, nagą postać, przyciskając ją do czarnych płyt pancerza, skrywających falującą z rozkoszy pierś dzikiego barbarzyńcy.

ROZDZIAŁ DRUGI

KWIAT CZARNEGO LOTOSU

*Przeklęty klejnot zamglił blask jej oczu
W tej twierdzy miasta martwego.
Zazdrości szął serce me zamroczył
Jakbym ją ujrzał w ramionach innego.*

(Pieśń o Bêlit)

„Tygrysica” krążyła po błękitnych wodach, wywołując powszechny strach wśród czarnoskórych mieszkańców tych ziem. Każdego dnia tamtamy niosły wieść, że diablica oraz władczyni mórz i oceanów ma nowego kochanka – giganta o stalowych mięśniach, okutego w żelazo, którego gniew był straszniejszy od gniewu zranionego lwa. Marynarze ze stygijskich statków, którym dane było jakimś cudem przeżyć spotkanie z piratami, przeklinali najgorszymi słowami Bêlit i błękitnookiego, białoskórego barbarzyńcę. Stygijscy książęta na długie lata zapamiętali jego imię, a wspomnienia te, niczym zatrute drzewa, zakorzeniły się na stałe w ich świadomości, rodząc ociekające krwią i skąpane w przerażeniu owoce strachu.

Tak zatem „Tygrysica” oraz jej piracka załoga, grasowała po południowych morzach, aż pewnego dnia, gnana wiatrami i wolą swojej pani, wpłynęła do szerokiego ujścia wielkiej rzeki, której brzegi porastała gęsta, mroczna i pełna tajemnic dżungla.

– Ta rzeka to Zarkheba, co w tutejszym języku oznacza „śmierć” – rzekła Bêlit. – Jej wody niosą zabójczą truciznę. Widzisz, jakie są mętne i czarne? Żyją w niej tylko jadowite gady. Czarnoskórzy unikają jej jak ognia. Pewnego razu stygijska galera na widok „Tygrysicy” umknęła w górę rzeki. I zniknęła. Postanowiłam wtedy zakotwiczyć dokładnie w tym miejscu, w którym jesteśmy teraz i poczekać. Po kilku dniach dostrzegliśmy opuszczony statek, pchany silnym nurtem rzeki, zmierzający prosto w naszą stronę. Wydawało się, że nikogo tam nie było. Pokład był skąpany we krwi. A na nim znaleźliśmy tylko jednego ocalałego. Nieszczęśnik zupełnie

oszałał. Bredził coś niezrozumiale, aż w końcu zmarł. Najdziwniejsze było to, że bogatego ładunku nikt nawet palcem nie ruszył, ale załoga zniknęła, jakby się rozpułyła w ciszy i tajemnicy.

– Umiłowany, wiem, że gdzieś w górnym biegu tej przeklętej rzeki musi być miasto. Wiele razy słyszałam o nim opowieści od żeglarzy na tyle odważnych, a może głupich, by zagłębić się w mroczną dżunglę. Opowiadali o strzelistych wieżach i ogromnych murach, które dostrzegali w oddali. Nas nic nie przestraszy, więc popłynemy tam i złupmy to miasto!

Conan obojętnie wzruszył ramionami. Zazwyczaj bez oporów przystawał na pomysły swej kochanki, nawet te najbardziej szalone. Ona była głową, a on zbrojnym ramieniem pirackiej załogi. Nie obchodziło go, gdzie żeglowali i z kim walczyli, byle tylko żeglowali i walczyli, bo dopiero wtedy Conan był naprawdę szczęśliwy.

Miało to swoją cenę – załoga była zdziesiątkowana. Obecnie na pokładzie wielkiej galery znajdowało się tylko osiemdziesięciu piratów, co ledwie starczało, by swobodnie żeglować i grabić. Bêlit jednak nie chciała tracić czasu na rejs ku znajdującym się daleko na południu wyspiarskim królestwom w celu uzupełnienia załogi. Żądza nowej wyprawy tak bardzo ją rozpałała, że nakazała natychmiast ruszyć w górę rzeki. Piraci natarli więc z całych sił na wiosła i z mozołem popłynęli we wskazanym kierunku, walcząc z silnym nurtem rzeki.

Szybko minęli pierwsze zakole, zazdrośnie strzegące tajemnic Zarkheby przed wścibskimi oczami marynarzy na pełnym morzu. Zachód słońca zastał smukłą piracką galere, gdy ta mozolnie płynęła w górę rzeki, omijając piaszczyste łachy, na których leniwie wylegiwały się najprzeróżniejsze monstra zamieszkujące rzekę i dżunglę wokół. Ani razu nie zobaczyli zwierzęcia tak pospolitego jak krokodyl, ani żadnego innego, czy czworonożnego, czy ptaka, które chciałyby ugasić pragnienie przy rzeczonym brzegu. Niedługo potem pochłonęła ich głęboka ciemność, poprzedzająca wschód księżyca. Płynęli wolno, a brzegi rzeki objęły ich ramionami niczym nieprzeniknione, mroczne palisady, za którymi dało się słyszeć mrozące krew w żyłach szepty, szmery, tajemnicze odgłosy kroków z ludzkimi niemających nic wspólnego, a gdzieś tam przez mrok i zaduch przebijały się pojedyncze błyski zimnych jak śmierć oczu. Raz jeden do uszu załogi dobiegł nieludzki wrzask, zdawało się, że drwiący i świdrujący, który Bêlit uznała za wycie wścibskiej małpy. Od razu też

powiedziała, że w małych ciałach uwięzione są dusze grzeszników, by cierpieć za popełnione zbrodnie.

Conan drwił z takich przesądów, bo pewnego razu w jednym z hyrkańskich miast zobaczył trzymaną w złotej klatce wielką, owłosioną dwunożną bestię, którą właściciel nazywał małpoludem. W jej przepelnionych smutkiem oczach nie było ani krztyny złośliwości, czy drwiny, które niósł ze sobą upiorny śmiech dobiegający z mrocznej dżungli.

W końcu na nocnym niebie pojawił się księżyc, wyglądający jak jaśniejąca szkarłatem plama krwi między błyszczącymi gwiazdami. Od razu też ożywiła się dżungla, smagając okolicę kakofonią wycia, pisków i wrzasków, przyprowadzając czarnoskórych piratów o drzenie. Niewzruszony tym zgiełkiem Conan zauważył, że, choć głośny i męczący, dobiega on z głębi dżungli, jakby wszystkie zamieszkujące ją zwierzęta i bestie, biorąc przykład z ludzi, unikały ciemnych i mętnych wód rzeki.

W swojej wędrówce po nocnym niebie księżyc osiągnął zenit, srebrząc księżycowym blaskiem falującą gęstwinę liści i taflę wody, aż fala, którą tworzyła „Tygrysica” za rufą zamieniła się w smugę skrzącą się fosforyzującym blaskiem bąbelków. Wiosła rytmicznie uderzając o wodę, wyłaniały się z niej udekorowane kobiercem mroźnego srebra. Pióra dekorujące głowy pirackiej załogi tańczyły do rytmu delikatnego wietrzyku, a wysadzane klejnotami rękojeści mieczy błyszczały chłodnym i złowrogim blaskiem.

To wszechogarniające zimne światło wznieciło lodowy płomień wśród soczystych kolorów klejnotów, zdobiących czarne pukle Bêlit, gdy ta rozłożyła swe ponętne i gibkie ciało na lamparczej skórze położonej na pokładzie galery. Władczyni południowych mórz, wsparta na łokciu i z głową złożoną w smukłych dłoniach, wpatrywała się w spoczywającego obok niej Conana. Jego czarne włosy pieścił lekki, nocny wietrzyk. Oczy Bêlit, niczym nieprzeniknione, mroczne diamenty, płonęły w świetle księżyca.

– Dookoła nas nic, prócz strachu i tajemnicy, Conanie – zagadnęła do niego. – Podążamy prosto do krainy śmierci i najgorszych koszmarów. Boisz się?

Conan jedynie wzruszył lekceważąco ramionami.

– Ja też się nie boję – skwitowała odpowiedź kochanka, pogrążając się jednak w zadumie. – Wiesz, nigdy się nie bałam. Zbyt często patrzyłam

prosto w rozdziawioną paszczę Śmierci. Powiedz mi, kochany, odczuwasz strach przed bogami?

– Na pewno nie chciałbym żyć w cieniu któregoś z nich – odpowiedział dziwnie zamyślony Conan. – Niektórzy z nich najchętniej wypruliby z ciebie bebechy i są w tym naprawdę dobrzy, inni z kolei spieszą, by leczyć i uzdrawiać. Tak przynajmniej gędzą wszyscy kapłani. Mitra Hyboryjczyków musi pewnie być potężnym bóstwem, bo przecież podbili niemal cały świat i wzniesli wiele ogromnych miast. Ale nawet oni czują strach przed Setem. I jest jeszcze Bel, bóg złodziei. To dobry i łaskawy bóg, jeśli jesteś złodziejem. Wiele się o nim nasłuchałem, gdy zajmowałem się złodziejstwem w Zamorze.

– A twoi cymmeryjscy bogowie? Nigdy nie słyszałam, byś ich wzywał.

– Najpotężniejszym z nich jest Crom. Mieszka na szczycie wysokiej góry. Nie ma jednak żadnego sensu prosić go o pomoc, bo on ma gdzieś, czy człowiek przeżyje, czy zginie. Najlepiej to w ogóle milczeć i nie zwracać na siebie jego uwagi, bo prędzej zwali ci na głowę nieszczęście, niż pomoże. Jest ponury, mroczny, groźny, do ludzi nie czuje żadnej sympatii, ale w chwili narodzin daje każdemu człowiekowi siłę i wolę do walki i zabijania. Czego mógłbym więcej żądać od boga?

– A co myślisz o światach za rzeką śmierci? – indagowała dalej swego kochanka Bêlit.

– Niby co mam myśleć? – odparł Conan. – My, Cymmeryjczycy, wierzymy, że nie ma dla nas żadnej nadziei ani na tym, ani na tamtym świecie. Za życia możemy co najwyżej walczyć i cierpieć, ale to i tak nie ma większego sensu. Tak naprawdę przyjemność i szczęście odczuwamy jedynie w szale bitwy. A po śmierci nasze dusze wstępują do zasnutej lepką, szarą mgłą krainy, gdzie chłoszczą je lodowate wichury a mroczne chmury wypełniają niebo. Wtedy pozostaje już tylko bezcelowa, bezsensowna wędrówka przez nieskończoność.

Bêlit poczuła dreszcze na plecach.

– Nawet najbardziej parszywe życie jest lepsze od takiego losu... Conanie, a w co ty wierzysz?

Cymmeryjczyk wzruszył ramionami.

– Poznałem wielu bogów. Ten, kto zaprzecza ich istnieniu jest równie ślepy jak ten, kto wierzy w nich za mocno. Nie zastanawiam się, co na mnie czeka po śmierci. Może jakaś bezdenna czarna otchłań, jak gadają nemedyjscy pesymiści, a może skute lodem i pełne mroźnych chmur

królestwo Croma, a może bezkresne śnieżne równiny i wysoko sklepione sale Valhalli, jak wierzą Nordheimowie. Szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi. Chcę żyć pełnią życia, póki mogę. Chcę czuć w ustach rozkoszny smak pieczonego mięsa i mocnego wina. Cieszyć się uściskami białych, tryskających pożądaniem ramion kobiety i zapominać się w bitewnym szale, gdy zimne stalowa ostrza płoną śmiercią skąpane we krwi wroga. Wtedy jestem szczęśliwy. Niech różni mądrale, kapłani i filozofowie całymi dniami roztrząsają, czym jest sens życia, co jest w tym świecie ułudą, a co namacalną rzeczywistością. Ja wiem jedno: jeśli życie to tylko iluzja, ułuda jakaś, to i ja nie jestem niczym innym. A skoro tak jest, to nie będę się z tym kłócił i traktuję mój los jako taką złudę właśnie. Po prostu żyję, pożadam, kocham i zabijam. I jestem szczęśliwy.

– Ależ, Conanie, przecież bogowie istnieją naprawdę – skomentowała wywód swego kochanka Bêlit, podążając tropem własnych myśli. – Najważniejsi są bogowie Shemitów: Isztar, Asztoreh, Derketo oraz Adonis. I brodaty Bel, w oczach którego dostrzeżesz nie tylko mądrość, ale i skłonność do zabawy i psot. On też jest bóstwem shemickim, narodził się bowiem w starożytnym Szumirze przed wiekami, by chichocząc pod nosem, pójść w wielki świat kraść najpiękniejsze klejnoty starożytnym władcom. Ja wiem, że istnieje życie po śmierci Conanie z Cymmerii – wypowiadając te słowa Bêlit uniosła się sprężystym ruchem na kolana i otoczyła go białymi ramionami. – I wiem, że moja miłość jest silniejsza od śmierci! Leżałam przepelniona rozkoszą w twych ramionach, czując potęgę naszej miłości. Zdobyłeś mnie gwałtownością uścisków, doprowadzając mą duszę do szaleństwa namiętnością pieszczot i pocałunków. Moje serce należy do ciebie, a twoje do mnie! Nasze dusze są złączone więzami pożądania i gorącej jak wulkan namiętności. Nawet gdybym padła martwa, a ty walczyłbyś o życie, pośpieszyłabym ci na pomoc! Nawet gdyby ma dusza musiała wzlecieć spod szkarłatem wyszywanych żagli rozpiętych nad kryształowym rajskim oceanem, czy wypełznąć w bólu i cierpieniu spomiędzy rzygających palącym ogniem czeluści najgorszego Piekła! Jestem tylko twoja i tylko do ciebie należę i nie ma takiego boga, który byłby w stanie nas rozdzielić!

Nim wybrzmiały słowa Bêlit pod nocnym niebem, trzymający wachłę na dziobie czarnoskóry pirat rozdzierająco krzyknął. Odpychając kochankę Conan zerwał się na równe nogi, pochwycił w dłoń skrzący się księżycowym blaskiem miecz i ruszył na dziób galery. Na widok tego, co

ujrzał, poczuł jak zjeżyły mu się włosy. Nieszczęsny pirat wisiał nad pokładem trzymany przez coś, co na pierwszy rzut oka wydawało się wielką gałęzią. Ale bystre oko Cymmeryjczyka od razu wychwyciło, że nie był to konar, ale gigantyczny wąż, który jednym błyskawicznym skokiem wystrzelił spod tafli wody, by swym monstrualnym cielskiem siać prawdziwe spustoszenie na dziobie galery. Ofiara gada bezradnie szamotała się w wielkiej paszczy. Pokrywające cielsko gadzie łuski lśniły złowrogo w księżycowej poświacie. Bestia pięła się wysoko nad pokładem, unosząc bez żadnego wysiłku zakleszczonego między potężnymi zębami człowieka.

Conan nie zwlekał; dopadł wijącego się cielska, potężnie się zamachnął i uderzył. Cięcie było potwornie silne, ale też niebywale precyzyjne. Miecz niemal rozrąbał rzeczno potwora na pół, krew lepkiem i parującym strumieniem obryzgała wszystko wokół. Ale wąż, choć poważnie ranny, niemal zdychający, nie wypuścił z potwornej paszczy swej ofiary. Błyskawicznie, splot za splotem, zaczął się pogrążyć w mętnych wodach, wciągając tam wierzgającego i krzyczącego wniebogłosy wojownika. Po chwili pozostała po nich jedynie krwista piana, unosząca się przy burcie galery.

Po tych wydarzeniach Conan sam trzymał wachtę na dziobie, ale nic już nie zakłóciło nocnej żeglugi. Gdy w końcu nadszedł świt i pierwsze promienie porannego słońca zatańczyły pośród gęstwiny dżungli, Cymmeryjczyk dostrzegł między drzewami strzelające w niebo iglice czarnych wież. Zawołał Bêlit, która spała bezpiecznie na pokładzie opatulona jego purpurowym płaszczem. Ta przybiegła natychmiast, stanęła mocno na dziobie, a jej oczy wręcz promieniowały podnieceniem. Już chciała wydać rozkazy, by załoga szykowała się do ewentualnej walki i uzbroiła po zęby, ale to, co zobaczyła przed dziobem, odebrało jej mowę.

Galera prowadzona pewną ręką sternika, omijała właśnie porośnięty dżunglą cypel i zaczęła zbliżać się do przeciwległego brzegu. Zamiast jednak pełnego życia miasta, zdziwiona załoga „Tygrysicy” zobaczyła zasnuwane oparami wilgoci kamienne widmo. Grube jak ludzkie ramię i wybudowane z cielska porastało wszystko i było wszędzie. Rozsadzało spękane, grube niegdyś mury, pleniło się między kamieniami rozpadającego się portowego nabrzeża, pokrywało strzaskane płyty, którymi kiedyś wyłożono ulice, szerokie place i, robiące wielkie wrażenie nawet teraz, majestatyczne dziedzińce. Ze wszystkich stron, z wyjątkiem tej, z której płynęła rzeka, dżungla pochłaniała miasto zachłanną paszczą zabójczej zieleni, obracając

w perzynę sięgające nieba kolumny i krusząc kamienne budowle. Tu i ówdzie, jakby w ostatnim krzyku rozpacz, pochyłe wieże próbowały raz jeszcze sięgnąć słońca, a spomiędzy zmurszałych ścian i murów wystawały żalosne pozostałości podtrzymujących dawniej sufity filarów.

Na głównym placu wznosiła się marmurowa piramida, zwieńczona smukłą kolumną, na szczycie której znajdowało się coś, co z początku Conan wziął za rzeźbę, póki nie przypatrzył się dokładniej i nie dostrzegł niespodziewanych oznak życia.

– To wielki ptak – zawyrokował jeden ze stojących na dziobie wojowników.

– Raczej potworny nietoperz – twierdził inny.

– To małpolud – chciała podsumować te gdybania Bêlit. Jednak w tej chwili dziwne stworzenie rozpostarło wielkie skrzydła i odleciało wprost do dżungli.

– Skrzydlaty małpolud – zaniepokoił się nie na żarty N’Yaga. – Cholera, lepiej już było sobie poderznąć gardła tępymi nożami, niż tu przyplęwać. Mówię wam, to miejsce jest nawiedzone.

Bêlit skwitowała obawy swego podwładnego szyderczym śmiechem i rozkazała jak najszybciej przybić do brzegu, a potem zacumować „Tygrysicę” przy rozpadającym się nabrzeżu. Pierwsza zeskoczyła na ląd, Conan zrobił to tuż po niej, po chwili dołączyli do nich czarnoskórzy piraci. Tym razem jednak nieustraszona załoga Królowej Czarnego Wybrzeża nie wyglądała na zbyt pewną siebie – wojownicy, stojąc nieruchomo, uważnie obserwowali ruiny i dżunglę, ściskając kurczowo w dłoniach włócznie i czekając, co będzie dalej. Jedyne, co w tej chwili niepewności i grozy miękko falowało na nabrzeżu, to były różnokolorowe pióropusze, zdobiące głowy piratów, smagane delikatnymi podmuchami wiatru. Wokół panowała złowroga cisza, podobna do milczenia uśpionego węża, który może w każdej chwili zaatakować i wyssać życie z każdego stworzenia.

Bêlit na tle ruin wyglądała po prostu pięknie. Jej gibkie, sprężyste i ociekające erotyzmem ciało, z którego aż wylewała się pierwotna życiowa energia, ostro kontrastowało z roztaczającym się wokół widokiem rozkładu i zniszczenia. Wolno, jakby leniwie, rozpałiło się słońce nad dżunglą, zalewając ruiny miasta matowym złotem, nasycając okolicę przyczajonymi pośród szczątkami ścian i murów długimi, ciężkimi, zimnymi cieniami. Bêlit wskazała palcem na smukłą, okrągłą wieżę ledwie stojącą na murszejących fundamentach. Prowadziła do niej szeroka, otoczona

powalonymi kolumnami aleja z popękanych i porośniętych wszędobylską roślinnością płyt, na końcu której wznosił się masywny ołtarz, robiący nawet teraz wielkie wrażenie. Wojownicza szybko przeszła przez dziedziniec i stanęła u jego podnóża.

– To była świątynia dawno zapomnianych już bogów – zwróciła się do Conana. – Przypatrz się tym biegnącym po bokach ołtarza kanalikom, którymi spływała krew ofiar. Minęło chyba z dziesięć tysięcy lat, a mimo to deszcze nie zmyły ciemnych plam. Wszystko wokół legło w gruzach, a ten ołtarz stoi, jak stał, drwiąc z upływu czasu i na przekór wszelkim żywiołom.

– Kim byli ci pradawni bogowie? – zainteresował się Cymmeryjczyk.

Bêlit bezradnie rozłożyła ręce.

– Tego pewnie już nikt nie wie. Nawet legendy milczą o tym miejscu. Spójrz jednak na uchwyty po obu stronach ołtarza! Kapłanów starych czy nowych bogów łączy zawsze jedno, chętnie chowają swe skarby pod takimi, jak ten, ołtarzami. Niech no pędem podejdzie tu kilku silnych chłopów i pomoże Conanowi w uniesieniu płyty!

Bêlit ustąpiła miejsca nadchodzącym piratom, stając niedaleko ofiarnego stołu poświęconego zapomnianym bóstwom i przypatrując się przymrużonymi oczami stojącej tuż obok, pochylonej pod dziwnym kątem, czarnej wieży. Tymczasem trzech czarnoskórych osiłków razem z Cymmeryjczykiem chwyciło za kamienne uchwyty, dziwnie nieprzystosowane do ludzkich dłoni, by unieść masywną płytę. I wtedy Bêlit nagle podskoczyła z przeraźliwym, bardzo kobiecym, piskiem. Wojownicy zamarli w miejscu, zaś Conan, pochylony już nad ołtarzem, odwrócił się z przekleństwem na ustach.

– W trawie jest wąż! – wykrzyknęła wojownicza, szybko jednak odzyskując panowanie nad sobą i odsuwając się od kępki trawy. – Conanie, chodź tu i zabij to bydlę! A reszta niech się bierze za płytę!

Jej rozkazy wypełniono bez szemrania. Conana przy ołtarzu zastąpił wielki i umięśniony pirat, a Cymmeryjczyk szybko podszedł do swojej kochanki i zaczął niecierpliwie przetrząsać trawę wokół niej w poszukiwaniu węża. Tymczasem czwórka hebanowych osiłków mocno stanęła na nogach, wzięła głęboki wdech, napięła wielkie węzły mięśni i spróbowała unieść płytę. Ale ta nawet nie drgnęła, lecz zupełnie nieoczekiwanie dla wszystkich, wokół jednej z krawędzi zaczął obracać się cały ołtarz. W tej samej chwili ponad głowami wszystkich przetoczył się

przerazający zgrzyt, jakby w niepojęty sposób jęknęły wszystkie kamienie wokół, i nim ktokolwiek zdążył się zorientować, prosto na czterech piratów zawałła się czarna wieża, której przed momentem przypatrywała się Bêlit. W mgnieniu oka ołtarz zniknął pod stertą gruzu.

Towarzysze nieszczęśników krzyknęli przerażeni, a ich białoskóra bogini zacisnęła z całych sił smukłe palce na mocarnym ramieniu Cymmeryjczyka.

– Nie było żadnego węża – szepnęła mu prosto do ucha. – Skłamałam, by odciągnąć cię od ołtarza. Miałam dziwne przeczucie... Starożytni bogowie oraz ich kapłani dobrze potrafią strzec swych sekretów i skarbów. A teraz odwalmy te kamienie!

Praca nie była ani lekka, ani łatwa. Z niemałym trudem usunęli w końcu większość gruzowiska, wydobyli spod niego cztery zmiażdżone ciała, a gdy bezceremonialnie odrzucili je na bok, zobaczyli wykutą w litej skale, obryzganą piracką krwią, obszerną kryptę. Od razu zorientowali się z jak przemyślnym mechanizmem mieli do czynienia, bo masywna płyta wieńcząca ołtarz zamocowana została na specjalnych zawiasach, stanowiąc jednocześnie wrota prowadzące do krypty. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że w krypcie płonie żywy, namacalny ogień, w płomieniach którego odbijało się światło poranka, jakby tańczyło na powierzchni tysięcy złotych luster. Ale nie było tam ani luster, ani ognia, tylko niewyobrażalne skarby: diamenty, rubiny, szafiry, szmaragdy, turkusy, opale, ametysty, księżycowe kamienie... I wiele innych, których nazw już nikt nie pamiętał, skrzące się płomiennym blaskiem podobnym do ognia tańczącego w oczach najstraszniejszych demonów. Cała krypta wypchana była klejnotami aż po brzegi, klejnotami, które pod wpływem porannego słońca zdawały się ożywać.

Na ten widok Bêlit oniemiała. Z okrzykiem zachwyty padła na kolana u krawędzi krypty pośród zakrwawionego gruzowiska i zanurzyła swe smukłe białe ręce aż po ramiona w roztaczającym się przed nią ocean bogactwa. Wyciągnęła je powoli, rozkoszując się każdą chwilą, trzymając w dłoniach coś, co doprowadziło ją niemal na skraj ekstazy – długi sznur szkarłatnych kamieni przypominający swym wyglądem nanizane na złoty sznur krople krwi. Klejnoty były tak przejrzyste i soczyste, że gdy patrzyło się przez nie pod słońce, zamieniały jasnożółte promienie w krwistoczerwone smugi światła.

Bêlit zachowywała się jak w transie, a jej oczy płonęły czystym pożądaniem. Shemicka dusza potrafi i lubi upajać się bogactwem, ale

rozciągający się przed oczami wojowniczi widok doprowadziłby do obłądu nawet pławiącego się we wszystkich możliwych luksusach władcę Shushanu.

– Co tak stoicie, parszywe kundle?!? Brać klejnoty i na statek z nimi! – wykrzyknęła krótki rozkaz głosem drżącym z podniecenia.

– Pani, spójrz! – nagle powietrze rozdarł ostrzegający okrzyk jednego z piratów, gdy jego muskularne ramię wskazało na przycumowaną przy nabrzeżu galerę. Bêlit ze złowrogim warknięciem spojrzała we wskazanym kierunku, wykrzywiając swe karminowe usta w grymasie złości. Spodziewała się pewnie, że ujrzy tam nadpływający kolejny piracki statek, którego kapitan wpadł na pomysł, by pozbawić ją łupu.

Nie to jednak zobaczyła. Z okrężnicy „Tygryscy” wzniósł się właśnie czarny, skrzydlaty kształt, by po chwili zniknąć w zielonej otchłani dżungli.

– To ten mały demon myszkował po statku – wymamrotał zaniepokojony pirat.

– Niech ci demon nasra na głowę! – zaklęła siarczyście, odrzucając niecierpliwie z czoła niesforny lok. – No i co z tego, że tam był?!? Bierzcie płaszcze, włócznie, patyki, cokolwiek, zróbcie z nich nosze, pakujcie na nie klejnoty i przenieście na „Tygrysicę”... No, niech mnie zaraza... a ty, jeśli wolno zapytać, gdzie się wybierasz?

– Idę sprawdzić galerę – mruknął czymś mocno zaintrygowany Conan. – Ten cholerny nietoperz mógł przecież wybić dziurę w dnie.

Cymmeryjczyk szybko przebiegł po zniszczonym nadbrzeżu i zwinnym susem wskoczył na galerę. Zajrzał pod pokład, by dokładnie wszystko sprawdzić, po czym zaklął z pasją godną barbarzyńcy wychowanego w zimnych północnych krainach. Pochmurnym i wściekłym wzrokiem powiódł w stronę, gdzie skrzydlaty potwór zniknął w dżungli. Nie marnując czasu, zeskoczył z powrotem na ląd i wrócił do swej kochanki, pochłoniętej nadzorowaniem załadunku klejnotów na nosze. Stała tam, otoczona przez zgraję swych roślących, czarnoskórych wojowników, z niedbale zarzuconym na szyję drogocennym naszyjnikiem z krwistoczerwonymi kamieniami, które na jej lśniącej od potu, białej skórze pobłyskiwały złowieszczo. Ogromny pirat stał aż po uda w wypełnionej skarbami krypcie, raz za razem zanurzając wielkie dłonie w nieskończenie wielkim, jak się zdawało, stosie klejnotów, by podawać je ku górze wprost w zachłanne ręce kompanów. Skrzące się wszystkimi kolorami, zimne tęcze zwieszały się między jego hebanowymi palcami, a szkarłatne krople wszelkiego bogactwa kapały mu

z dłoni. W tej konkretnej chwili wojownik wyglądał jak czarnoskóry tytan, stojący na rozkraczonych nogach w ognistej gardzieli Piekła, ściskając w wyciągniętych dłoniach rozpalone złotem gwiazdy.

– Ten pieprzony latający nietoperz zniszczył beczki z wodą – oznajmił zimno Conan. – Gdybyśmy się tak nie wgapiali w te klejnoty, tracąc poczucie rzeczywistości, na pewno usłyszeliśmy jakiś hałas. Jesteśmy bandą kretynów, że nie postawiliśmy nikogo na warcie. Wody z rzeki pić nie możemy. Wezmę więc ze sobą dwudziestu ludzi i poszukamy w dżungli wody do picia.

Bêlit była tak zaślepiona skarbem, że prawdopodobnie w ogóle nie słyszała tego, co powiedział do niej Conan. W jej rozognionych pożądaniem bogactwa oczach tliła się chciwość w czystej postaci. Bezwiednie pieściła palcami zawieszony na szyi naszyjnik połyskujący czerwienią klejnotów.

– Świetny pomysł – powiedziała roztargniona i skupiona na skarbie. – Ja tymczasem zajmę się naszą zdobyczą.

Ledwie grupa pod dowództwem Conana przekroczyła granicę zieleni, dżungla otoczyła ich nieprzeniknionym baldachimem z gałęzi, liści i lian, a przenikające gdzieś przez gęstwinę światło ze złocistego robiło się szarawe i mdłe. Z powykręcanych w najprzeróżniejsze kształty gałęzi zwieszały się grube liany, przypominając tym samym wielkie i głodne pytony. Czarnoskórzy piraci natychmiast zaczęli iść gęsiego, z najwyższym trudem brnąc przez wieczny półmrok jak czarne duchy podążające za białym przewodnikiem.

Poszycie nie było tak gęste, jak spodziewał się tego Conan, a na dodatek, co go na swój sposób ucieszyło, ziemia, choć przesiąknięta wilgocią i gąbczasta nie była grząska. Im bardziej zagłębiali się w dżunglę, tym teren bardziej się wznosił, i choć z każdym krokiem coraz głębiej brnęli w ten zielony labirynt, nie mogli dostrzec żadnego śladu wody pitnej – ani strumienia, ani jeziorka czy choćby większej kałuży. Nagle, idący na przedzie kolumny Conan gwałtownie się zatrzymał, a piraci zamarli w bezruchu. W pełnej napięcia ciszy Cymmeryjczyk niespokojnie potrząsnął głową.

– N’Gora, idźcie przodem – mruknął do swego zastępcy. – Maszerujcie prosto, póki nie zniknę wam z oczu, a wtedy zatrzymajcie się i poczekajcie na mnie. Dam sobie odrąbać mój barbarzyński łeb, że ktoś nas śledzi. Słyszałem jakieś podejrzanе dźwięki...

Piraci wiercili się niespokojnie, bo plan ich wodza nie wydawał się im jakoś specjalnie błyskotliwy, ale rozkaz wypełnili. Ledwie ruszyli przed siebie, Conan zwinnie i zadziwiająco lekko skrył się za pniem gigantycznego drzewa, po czym intensywnie zaczął wpatrywać się w stronę, z której przybyli. Jego wyćwiczony instynkt podpowiadał mu, że w tym zielonym piekle mogło czaić się dosłownie wszystko.

Nic jednak się nie stało. Żadna bestia czy maskara nie zaatakowała, ani nie śledziła jego ludzi. Kroki oddziału rozwiały się już dawno. Dookoła panowała zastanawiająca cisza. I wtedy Conan uświadomił sobie, że powietrze wokół niego przesycone jest nieznanym mu, intensywnym zapachem. Nagle coś musnęło jego skroń. Odwrócił się błyskawicznie i niespodziewanie ujrzał osobliwą roślinę. Spomiędzy płataniny gałęzi, otulonych szczelnie kobiercem wściekle zielonych liści, zwieszały się ku jego skroni ogromne czarne kwiaty. To jeden z nich przed chwilą musnął mu twarz. Miał wrażenie, że rośliny przyzywają go, zachęcają, zapraszają, wyciągając ku niemu swe mroczne kwiecie. Płatki kwiatów poruszały się hipnotyzująco, raz w lewo, raz w prawo, choć nie dawało się wyczuć najlżejszego nawet podmuchu wiatru. I wtedy zrozumiał...

Conan rozpoznał kwiaty czarnego lotosu, zabójczej rośliny, której nektar niósł śmierć, a zapach sen wypełniony najgorszymi koszmarami. Dotarło do niego, że już jest za późno, że już jest zatruty, bo nagle jego muskularne ciało odmówiło posłuszeństwa. Próbował unieść miecz, by ściąć zabójcze rośliny, ale ręce miał bezwładne. Otworzył usta, by wezwać pomocy, ale ze ściśniętego gardła dobył się jedynie cichy jęk. Chwilę potem z morderczą szybkością, dżungla zafalowała mu przed oczami, a on poczuł, że omdlewa. Nie słyszał już dobiegających z nieopodal pełnych przerażenia i rozdzierających wrzasków ludzi. Ugięły się pod nim kolana, stracił równowagę i padł jak długi na miękkie kobierce gnijących liści. Nad rozciągniętym ciałem Conana z Cymmerii, okrutnego wojownika i namiętnego kochanka, kołysały się czarne jak najgłębsza noc zabójcze kwiaty.

ROZDZIAŁ TRZECI

HORROR W DŻUNGLI

*Czy majaczyłem tylko w oparach lotosu?
Po stokroć przeklinam ten sen koszmarny
I każdą chwilę, gdy jak trup marny
Nie mogę pomścić, bezradny, jej losu.*

(Pieśń o Bêlit)

Na początku była pustka i wszechogarniająca czerń, targane podmuchami kosmicznego wiatru. Potem ukazały się niewyraźne kształty, przerażające i ulotne, otoczone mglistym krajobrazem rosnącej pustki, jakby ciemność przybierała fizyczną formę. Powiał wiatr i uformował się wir – gigantyczna piramida wścieklej czerni. Z niej wyłoniły się Kształt i Wymiar, gdy nagle, jak rozwiewające się chmury, ustąpiły atramentowe ciemności, by wypluć z siebie monumentalne miasto z ciemnozielonego kamienia, rozkraczone nad brzegiem szerokiej rzeki, przecinającej niekończącą się równinę. A w mieście mrowiły się istoty o nieludzkich kształtach.

Choć w pewnym sensie wyglądały jak ludzie, z rasą człowieczą nic ich nie łączyło. Ogromne i skrzydlate nie były owocem tego samego tajemniczego drzewa ewolucji, na szczycie którego królował człowiek, ale pręcej należały do drzewa innego, obcego, stanowiąc kulminacyjny punkt jego rozwoju. Nie tylko skrzydła ich od nas odróżniały, przypominały bowiem człowieka swoją fizycznością tak, jak ten, w swej najdoskonalszej postaci, podobny jest do małpy. Swym rozwojem duchowym, estetycznym i intelektualnym przewyższały ludzi tak bardzo, jak my górujemy nad goryłami. Gdy budowały swe majestatyczne miasto, nasi pierwsi przodkowie taplali się jeszcze w życiodajnych falach pierwotnych mórz.

Choć dziwne i tajemnicze, były to jednak istoty z krwi i kości, zatem śmierć nie była im obca. Tak jak ludzie, żyły, kochały i umierały, ale ich żywot trwał niezmiernie długo. A potem, po niezliczonych eonach, nadszedł czas wielkiej Przemiany.

Wizja drżała i falowała, jak obraz skreślony na szarpanej wiatrem zasłonie. Nad miastem, nad dżunglą, nad całym światem przetaczały się epoki niczym fale pieszczące miękkie, złoty piach na plażach rzeczywistości, a z każdą kolejną falą nadchodziła nowa zmiana. Gdzieś w trzewiach planety przesuwwały się bieguny magnetyczne. Skute mrozem zagłady wielkie lodowce wędrowały ku nowym biegunom.

Wielka rzeka popłynęła nowym korytem. Rozpalone życiem równiny zamieniły się w cuchnące śmiercią bagna, obrane za dom przez niezliczone, ociekające jadem monstrualne gady. Tam, gdzie niedawno królowały czarnoziemy i lessy, wyrosły nieprzebyte lasy, by potem przeobrazić się w mroczne i duszne dżungle. Upływający czas i zmiany nie ominęły skrzydlatych istot, które nie porzuciły swego miasta. Z powodów dla człowieka niepojętych pozostali zamknięci w murach, czekając nadchodzącego końca, pogodzeni najwyraźniej ze swoim przeznaczeniem. Tak, jak każdego dnia bogata i urodzajna kraina pogrążała się coraz bardziej w mrokach zielonej otchłani, tak i mieszkańcy miasta coraz głębiej popadali w zdziczenie, ulegając przemożnej sile panującego wokół chaosu zmian. W końcu straszliwe konwulsje wstrząsnęły ziemią, rozjaśniając niebo ognistymi wybuchami rzygających rozpaloną lawą wulkanów, wznoszących na mrocznym horyzoncie, sięgające nieba, rzędy czerwonych kolumn.

Katakлизм, który zmiotł zewnętrzne mury miasta i jego najwyższe wieże, przyniósł jeszcze gorszą zagładę, bo cichą i z pozoru niegroźną – zatrutą rzekę pochodzącą z trzewi planety trucizną, zabarwiając na czarno jej czyste, błękitne wody. W jednej chwili życiodajny płyn zamienił się w skrycie działającą truciznę. Z tą chwilą przypieczętowany został los mieszkańców miasta.

Wielu z tych, którzy czerpali wodę z rzeki i ją pili, zmarło w strasznych męczarniach. Ci z kolei, którzy przeżyli, doświadczyli przemiany powolnej, z początku mało widocznej, ale straszliwej. W walce o przetrwanie w nowym świecie cofnęli się tak bardzo w rozwoju, że lata świetności wspominali tylko w legendach. Zatrute wody rzeki z pokolenia na pokolenia degenerowały ich coraz bardziej, aż w końcu potężne przed eonami istoty, podobne bogom, skarłały do poziomu krwiożerczych demonów. Cała wiedza, piękno oraz potęga, będące spadkiem po wielkich przodkach, zostały spaczone, przeinaczone i zbrukane, wiodąc niedobitki coraz mroczniejszą drogą. Oni, którzy w swym rozwoju osiągnęli niemal boskość, dla rasy człowieczej będącej niedościgłym marzeniem, teraz

upadli tak nisko, że człowiek nawet w najgorszym koszmarze nie byłby w stanie tego wyśnić. Wymierali szybko, odkryli bowiem kanibalizm i zasmakowali w nim, a ponadto spowici mrokami dżungli, toczyli w niej nieustające wojny, doprowadzając w efekcie do ostatecznego upadku własnej rasy – pośród porośniętych mchami ruin miasta wegetował ostatni z nich, zdegenerowany, żałosny wybryk natury.

Wtedy po raz pierwszy miasto nawiedzili ludzie: ciemnoskórzy, muskularni, o ostrych rysach twarzy, w zbrojach ze skóry i miedzi, uzbrojeni w łuki – pięćdziesięciu wojowników prehistorycznej Stygii. Wyglądali żałośnie. Wycieńczeni i wyniszczeni długotrwałym wysiłkiem oraz głodem; brudni i poharatani z powodu zabójczego marszu przez dżunglę; poowijani bandażami przesiąkniętymi śmierdzącą ropą niemal bulgoczącą w niezliczonych ranach – krwawymi pamiątkami po stoczonych walkach. Nieustająco rozpamiętywali przegraną wojnę i sromotną klęskę, niekończącą się ucieczkę coraz bardziej na południe przed silniejszym i bardziej brutalnym plemieniem, co w końcu zagnało zmasakrowane niedobitki w zieloną, pełną niebezpieczeństw czeluść mrocznej dżungli.

Pozbawieni sił i nadziei rozbili obozowisko pośród ruin, otoczeni przez czerwone kwiaty, kołysane światłem księżyca w pełni i kwitnące raz na stulecie. Gdy zasnęli, mroczny cień spowijający miasto wypluł odrażający czerwonoooki kształt, który nad każdym śpiącym odprawił przerażający rytuał. Stojący wysoko na nocnym niebie księżyc barwił okolicę czernią i czerwienią; wiszące nad głowami śpiących szkarłatne kielichy kwiatów lśniły niczym plamy krwi. Wkrótce potem księżyc zniknął między gęstymi chmurami i tylko perfidne oczy nekromanty błyszcząły pośród atramentowej czerni nocy niczym dwa wielkie czerwone klejnoty.

Gdy z pierwszym brzaskiem świt rozpostarł nad czarną rzeką swój biały welon, pomiędzy ruinami nie było już ludzi, tylko pięćdziesiąt wielkich, cętkowanych hien, które jak na zawołanie uniosły ku niebu ociekające śliną, drżące pyski i zawyły jak potępione na wieki dusze. A pośrodku nich siedziało przekłete skrzydlate monstrum wydymając tłuste wargi w parodii upiornego uśmiechu.

Kolejne sceny wizji następowały po sobie coraz szybciej w kalejdoskopie bezwładnego ruchu, opętańczej gry światła i cienia, a wszystko to na tle czarnej dżungli, ruin z zielonego kamienia i toczącej zatrute wody rzeki... Oto czarnoskórzy wojownicy płynęli w górę rzeki na długich łodziach, których dzioby przystroili szczerzącymi zębami czaszkami pokonanych

wrogów, albo skradali się pochyleni w cieniu ogromnych drzew uzbrojeni we włócznie. A wszystko tylko po to, by potem w panice i z okrzykami przerażenia w ściśniętych strachem gardłach, uciekać przed czerwonymi ślepiami i zaślinionymi kłami. Rozdzierające jęki umierających cięży mrok dżungli niczym stalowe ostrze; tajemnicze stopy skradały się poprzez ciemność, a krwistoczerwone ślepie wampira płonęły żądzą mordy. Pod zimną i nieczułą twarzą księżycy odbywały się odrażające krwawe orgie, a nad tym teatrem makabry unosił się nieustannie ogromny kształt skrzydlatej bestii.

Potem, niespodziewanie, wizja nabrała wyrazistości, mocno kontrastując z poprzednimi zamglonymi obrazami, ukazując smukłą galerę mozolnie sunącą po czarnych wodach zamkniętych w kleszczach zielonej otchłani. Na jej pokładzie czarnoskórzy piraci zajęci byli własnymi sprawami, a na dziobie zaś stał białoskóry gigant w błękitnej stali.

Dopiero teraz Conan zrozumiał, że śni. Do tej chwili nie zdawał sobie z tego sprawy. Jednak, gdy zobaczył samego siebie na pokładzie „Tygryscy”, w końcu zdołał odróżnić sen od jawy, a fala wspomnień ostatnich godzin uderzyła w niego ze zdwojną siłą. Mimo to nie mógł się zbudzić. I śnił dalej.

Po raz kolejny zmieniła się wizja, zalewając świadomość kaskadą obrazów. Zobaczył polanę w dżungli, gdzie, jakby na kogoś czekając, stał N’Gora i dziewiętnastu piratów. I gdy Conan zrozumiał, że to na niego czekają, zaprawieni w rozlicznych bojach wojownicy zaczęli opętańczo krzyzczeć ścięci pierwotnym, paraliżujących strachem. Jak obłąkani porzucali swą broń i rzucili się do panicznej ucieczki przez gęstwinę dżungli, a nad ich głowami roztoczył odrażający cień śmierci skrzydlaty potwór.

I nastąpił chaos. Conan chciał się obudzić i zrzucić ze świadomości jarzmo wizji, ale ta trzymała mocno. Jak przez mgłę zobaczył, że leży otoczony przez wielkie czarne kwiaty, a spośród płataniny liści, gałęzi i lian sunie prosto ku niemu przerażający kształt.

Nadludzkim wysiłkiem woli w końcu przerwał krepujące więzy wizji i zerwał się na równe nogi. Oszołomiony rozejrzał się dookoła. Tuż nad jego głową, hipnotyzując zapachem, falowały kielichy czarnego lotosu. Conan natychmiast, wciąż lekko otumaniony, odszedł od nich najdalej, jak mógł.

Kierowany pierwotnym instynktem czym prędzej zaczął szukać śladów w miękkiej gąbczastej ziemi. I znalazł. Kilka kroków od miejsca, w którym padł rażony narkotycznym zapachem czarnych lotosów, widniał wyraźny ślad wielkiej łapy, jakby mroczny drapieżnik, wychodząc z gęstwiny zrobił jeden krok, a potem nagle zmienił zdanie i na powrót skrył się w zielonej otchłani. Cymmeryjczyk bez trudu rozpoznał odcisnięty w miękkiej ziemi podpis drapieżcy – to była niepospolicie wielka hiena.

Zawołał N’Gorę. W gęstej, lepkiej ciszy wiszącej nad dżunglą okrzyk Conana brzmiał słabo, wręcz nieporadnie. Nie widział słońca, jednak jego wyostrzony, pierwotny instynkt podpowiadał mu, że wkrótce nad okolicą zapanuje zmierzch. Przestraszył się na myśl, że leżał nieprzytomny wiele godzin. Od razu więc zaczął działać. Po krótkiej chwili odnalazł wydeptaną przez jego ludzi ścieżkę z wyraźnymi śladami stóp. Podążył tym tropem, by po kilku chwilach dotrzeć do niewielkiej polany. Na jej widok stanął zaszokowany, bowiem przypomniał sobie, że właśnie to miejsce oglądał w wizji. A wizja nie kłamała – wszędzie w nieładzie leżały porozrzucane włócznie i tarcze, widomy znak horroru, którego świadkiem była zimna otchłań dżungli.

Conanowi wystarczył jeden rzut oka, by odtworzyć przebieg dramatycznych wydarzeń. Piraci musieli uciekać w panice, nie starając się w ogóle walczyć. Tropy nakładały się na siebie, krzyżowały, pojawiały się, to znikwały, prowadząc bezwładną płataniną między drzewami. Gdy podążył za nimi, nagle dżungla ustąpiła miejsca podobnej do wzgórza skale o ostrych krawędziach, wznoszącej się niemal pionowo ku niebu, by urwać się gwałtownie nad przepaścią mierzącą ponad czterdzieści stóp głębokości.

Wtedy Conan zobaczył stwora.

W pierwszej chwili pomyślał, że to wielki goryl, ale gdy przypatrzył się stworzeniu dokładniej zrozumiał, że ma przed sobą nie zwierzę a człowieka: muskularnego, czarnoskórego, siedzącego w kucki na szczycie skały ze zwieszonymi długimi rękami i toczącego pianę z szeroko otwartych ust. Mężczyzna nagle uniósł wielkie czarne dłonie i z dzikim, przejmującym ciałem wrzaskiem rzucił się na Cymmeryjczyka, który dopiero teraz rozpoznał w atakującym N’Gorę. Na nic się zdał ostrzegawczy okrzyk; czarnoskóry pirat, z wywróconymi oczami ukazującymi całe białka, z błyszczącymi zębami, z twarzą, jakby ktoś narzucił na nią potworną maskę szaleństwa, uderzył mocno i na oslepek.

Conanowi włosy zjeżyły się na głowie. Scena wydawała się żywcem wyjęta z najbardziej plugawego koszmaru, budząc w barbarzyńskiej piersi ten rodzaju lęku, jaki odczuwa zdrowy na umyśle człowiek na widok szarżującego na niego szaleńca. Była to jednak tylko chwila. Cymmeryjczyk zanurkował pod lecącymi w jego kierunku szponami i wbił miecz głęboko w pierś N'Gory. Nim bezwładne ciało padło na skałę, Conan podszedł do skraju przepaści.

Kilka dłuższych chwil patrzył w dół, na postrzępione skały, gdzie leżały nieruchome ciała piratów z oddziału Conana. Pogruchotane i powykręcane, porozcinane przez ostre skalne krawędzie nie pozostawiały wątpliwości, że wszyscy zginęli spadając z krawędzi skały. Chmara tłustych, wielkich much głośno bzyczała nad spryskanymi krwią kamieniami, a żarłoczne mrówki rozpoczęły już uctowanie na ludzkim mięsie. Na okolicznych drzewach siedziały ptaki drapieżne, zaś wygłodzony szakal marzący o wielkiej porcji świeżego mięsa, ujrawszy żywego człowieka stojącego na krawędzi przepaści, czym prędzej umknął do dżungli.

Jeszcze tylko przez krótką chwilę Conan stał tak bez ruchu. Nagle obrócił się na pięcie i pobiegł tą samą drogą, którą przyszedł. Przedzierał się przez gęstwinę z gracją wściekłego mamuta, nie zważając na nic: ani na tarasujące drogę wielkie powalone drzewa, ani na liany grubości tłustego pytona, ani na wysokie trawy boleśnie znaczące szorstką skórę. W prawej dłoni dzierżył miecz, z twarzy zaś dałoby się wyczytać tylko dwie rzeczy – wściekłość i zawziętość.

Najlżejszy szmer nie zakłócił ciszy panującej w dżungli. Chowające się za horyzontem słońce zostawiało miejsce dla nadchodzącej nocy, która już teraz zaczęła rodzić wielkie cienie podnoszące głowy z lepkiej, błotnistej ziemi. Śmigał niczym odziany błękitną stałą piorun między mrocznymi plamami mroku, gdzie czaiła się śmierć i samotność. W końcu z falującą szybkim oddechem piersią, wypadł z leśnego mroku wprost nad brzeg toczącej czarne wody rzeki.

Zobaczył galerę przycumowaną do splekanego nadbrzeża i tonące w szarościach zmierzchu ruiny miasta. Gdzieś między kamieniami lśniły nieregularne kleksy czerwieni, jakby roztargniony malarz strząsnął nad nimi zanurzony w purpurowej farbie pędzel.

Conan ponownie zobaczył i śmierć i zniszczenie. Czarnoskórzy wojownicy leżeli porozrzucani, niczym szmaciane lalki w dziecięcym pokoju, a żaden z nich na widok Cymmeryjczyka nie wstał, by go powitać.

Leżeli wszędzie, od linii drzew aż po sam brzeg; leżeli między poszczerbionymi kolumnami i na spękanych płytach; leżeli na placach i głównym dziedzińcu. Rozszarpani, zmasakrowani, wybebeszeni – nic więcej jak tylko na wpół zezarte nędzne ludzkie szczątki.

A wokół ciał roило się od wyraźnych, krwawych śladów wielkich łap. Hieny.

Conan, idąc po zrujnowanym nabrzeżu, podszedł wolno do zacumowanej tam galery. Nad jej pokładem wisiało coś, co w szarości nadchodzącego zmroku lśniło niczym kość słoniowa. Oniemiały, przeczuwając prawdę, spojrział w górę i zobaczył Królową Czarnego Wybrzeża powieszoną na reji własnej galery. Między reją a jej smukłą szyją rozciągał się sznur szkarłatnych klejnotów, lśniących jak krew.

ROZDZIAŁ CZWARTY

ATAK Z NIEBA

*Otaczał go mrok cienistych zjaw
I obnażonych, strasznych paszcz
A krew jak deszcz lała się wszem.
Ma miłość złamała czarny śmierci czar,
Złamała żelazo piekielnych bram
I pospieszyłam na jego zew...*

(Pieśń o Bêlit)

Dżungla – mroczny gigant – dusiła hebanowymi ramionami usianą zielonkawymi ruinami przestrzeń po obu stronach rzeki. Księżyc nie rozpoczął jeszcze wędrówki po nocnym niebie, a gwiazdy, drzazgi rozpalonego bursztynu, lśniły na nieruchomym nieboskłonie duszącym się od panującego wokół fetoru śmierci. Na stopniach piramidy, otoczony powalonymi kolumnami, siedział, niczym stalowy kolos, Conan z Cymmerii, opierając brodę na mocarnych pięściach. Dookoła z atramentowych ciemności kłuły go krwistoczerwone ostrza płonących żądzą mordy ślepi. Szuranie wielkich łap zdawało się być dźwiękowym preludium nadchodzącej rzezi, zaś widzami były martwe, zmasakrowane ciała pirackiej załogi...

Na „Tygryscy” miejsce miał inny spektakl. Tam, na stosie wzniesionym z potrzaskanych ław, połamanych włóczni i lamparcich skór, spoczywała wiecznym snem Królowa Czarnego Wybrzeża, białoskóra Bêlit, rozpalająca za życia płomień pożądania, nieokiełznana anielica zagłady. Spoczywała spokojnie otulona z miłością szkarłatnym płaszczem swego umiłowanego kochanka. Spoczywała, jak najprawdziwsza królowa, obsypana bogactwami: belami najdelikatniejszego jedwabiu, złotymi szatami, srebrem wyszywanymi szarfami, kuframi wypełnionymi po brzegi klejnotami wielkości dorodnych jabłek... i złotymi monetami... i sztabkami srebra... i wszelkiej maści bronią suto inkrustowaną szmaragdami, diamentami, ametystami...

Ale nie były to łupy z przeklętego miasta, bo o tych pamięć zachowują jedynie czarne wody Zarkheby, do których Cymmeryjczyk cisnął skarb okupiony krwią, przerażeniem i śmiercią. Siedział teraz ponuro na stopniach piramidy i czekał na swych niewidzialnych wrogów. Wściekłość i żądza krwawej zemsty skuliły jego duszę mrocznymi kajdanami, przepędzając z niej wszelki lęk i strach.

Conan z Cymmerii nie wiedział, co wypełźnie z ciemności. I miał to gdzieś.

Nie wątpił już w prawdziwość wizji zesłanej przez kwiecie czarnego lotosu. Odtworzył cały bieg zdarzeń, gdy leżał powalony narkotyczną wizją. N'Gora, wypełniając jego wolę, powiodł ludzi przed siebie, aż zaszli na przeklętą polanę. Tam, pikując z nieba, zaatakował ich niespodziewanie skrzydlaty potwór. Przerażeni i zdezorientowani nie mieli szans, rzucili się więc do ślepej, jak się okazało, zgubnej ucieczki, gdy wypadli na skałę kończącą się przepaścią, tylko po to, by znaleźć na dole okrutny koniec. N'Gora musiał stawiać zaciekły opór, ale na nic się to zdało, bo jego, zamiast śmierci, dopadło szaleństwo, zmuszając do zaatakowania swego wodza. W tym samym czasie, a może wcześniej czy później, zagłada spadła na ludzi w ruinach. Conan doskonale wiedział, że nie była to żadna bitwa, a raczej krwawa rzeź. Owładnięci strachem, zrodzonym z przesądów i wiary w zabobony, piraci równie dobrze mogli dać się zaszlachtować jak bezwolne cielecia.

Jedna rzecz nie dawała mu spokoju: dlaczego przeżył? Może skrzydłata bestia, faktyczny władca ukrytego w dżungli nad czarną rzeką dominium, pragnęła poddać białoskórego giganta perfidnej torturze strachu i rozpacz? Bieg zdarzeń zdawał się wskazywać na działanie ludzkiej, albo i nie, zimnej inteligencji – przedziurawienie beczek z wodą, by wymusić rozdzielenie załogi, zagnanie uciekających w panice wojowników nad przepaść, i wreszcie, co było dowodem najmocniejszym i najokrutniejszym: odrażający żart z naszymi niczym stryczek wokół smukłej szyi Bêlit.

Najwidoczniej śmierć załogi i jej kapitana była tylko przystawką do uczty, na której daniem głównym, i najbardziej pożądaną ofiarą, był Conan. Bestia poczyniła już pierwsze przygotowania, poddawszy barbarzyńcę psychicznym mękom, zapewne licząc, że dzięki temu szybko i rozkosznie odegra się ostatni akt tej tragedii i jej ofiara skończy żywot tak, jak inni – wrzeszcząc z przerażenia, klęcząc po kolana we własnych, wyrwanych

z trzewi, wnętrznościach. Cymmeryjczyk to przeczuwał, a mimo to uśmiech rezygnacji nie wykwił na jego ustach, wręcz przeciwnie – zimne, błękitne oczy zapłonęły dziwnym, dzikim blaskiem.

Wreszcie na nocnym niebie zagościł księżyc, wzbudzając ogniste iskry na rogatym hełmie Conana. Cisza wokół panowała absolutna, powietrze zgęstniało od napięcia, nawet dżungla jakby wstrzymała oddech w oczekiwaniu na nadchodzący spektakl mordu i przelewanej krwi. Cymmeryjczyk instynktownie poluzował w pochwie wielki miecz. Piramida, na której czekał, miała cztery boki, a w tym, zwróconym w stronę dżungli, wykuto szerokie stopnie. Uznał, że to będzie najlepsze miejsce do walki. Przyklęknął więc na jedno kolano, dzierżąc w dłoni jeden z shemickich łuków, pochodzącym ze zbrojowni na „Tygryscy”, którymi Bêlit nauczyła posługiwać się swoją załogę. Przed sobą położył naręcze strzał.

Coś poruszyło się w mroku między drzewami i wtedy Conan ujrzał podświetlone przez księżycowe światło barki i odrażającą głowę, które od razu rozpoznał. Nagle, jak na zawołanie, spomiędzy drzew wystrzeliły umięśnione cielska. Nadbiegały cicho, zwinnie, szorując brzuchami po kamienistym podłożu – dwadzieścia ogromnych cętkowanych hien z ociekającymi śliną ostrymi kłami i ślepiami rozpalonymi nienaturalnym blaskiem.

„Tylko dwadzieścia” mruknął do siebie z zadowoleniem Conan, najwyraźniej bowiem załoga „Tygryscy” nie oddała życia za darmo. Uśmiechając się pod nosem, naciągnął cięciwę, a gdy okolicę przeszył dźwięk spuszczonej strzały, jeden z atakujących płomienistookich kształtów wyskoczył w górę, po czym wijąc się w konwulsjach opadł na ziemię. Reszta jednak nie zwolniła, nawet wtedy, gdy spadł na nią deszcz śmierci. Conan strzelał raz za razem z zabójczą precyzją i potworną siłą, pochodzącą od stalowych mięśni. Kierowały nim żądza krwawej zemsty i czysta, pierwotna nienawiść, rozpalające duszę jakby skosztował ognistego żaru zaczerpniętego z najgłębszych czeluści Piekła.

Opętany bitewnym szałem nie chybiał; powietrze eksplodowało od świszczącej śmierci, a rzeź, jakiej dokonywał na atakującym stadzie godna była najwspanialszego poematu. Do stóp piramidy dotarła mniej niż połowa szarżujących bestii.

Kolejne padły ustrzelone tuż przy stopniach. Cymmeryjczyk jak tylko wejrzał w płonące oczy drapieżników od razu zrozumiał, że to nie są po

prostu zwierzęta. Świadczyła o tym nie tylko ich nadnaturalna wielkość, bestie bowiem roztaczały wokół siebie charakterystyczną aurę tak namacalną, jak duszne i lepkie jest powietrze unoszące się znad usianego trupami mokradła. Nie próbował nawet zgadnąć, jakie odrażające zaklęcia powołały to plugastwo do życia. Wiedział jedno na pewno: oto miał do czynienia z magią mroczniejszą i bardziej odrażającą niż magia Studni Skelos.

Zerwał się na równe nogi i z całych sił napinając łuk, posłał ostatnią strzałę prosto w ohydny mordę lecącą ku jego gardłu. Strzała śmignęła, jak jaśniejący promień księżycowego blasku, równie jak on ulotna, ale trafiona nią bestia zwinęła się w locie i wyrznęła paskudnym łbem o stopnie piramidy, przeszyta na wylot.

A potem dopadła go reszta hien – kotłująca się masa rozgorzałych ślepi i oślinionych kłów. Pierwszą, która wystrzeliła w jego kierunku, rozplątał mieczem na dwoje, ale dopadły go pozostałe, obalając z nóg. Najbliższą zdzielił przez wąską czaszkę rękojeścią miecza z taką siłą, że ta rozbryzgała się jak dojrzały melon, ochlapując mu dłonie mózgiem i fragmentami kości. Potem odrzucił nieprzydatny w tej kotłowaniu miecz i chwycił za gardło dwie kolejne, kłujące i szarpiące się w upiornej ciszy. Bestie śmierdziały niemiłosiernie, przez co o mało nie stracił oddechu, a własny pot zalewał mu oczy. Żył jeszcze tylko dzięki kolczudze, bo gdyby nie ona, hieny już dawno rozszarpałyby go na strzępy.

Conan poddał się działaniu instynktu – brutalnego, okrutnego i bezwzględnego, który nie raz ratował mu życie. Kolejnej hienie zwyczajnie rozerwał gardło, wpijając we włochatą szyję palce prawej dłoni. W tej samej chwili lewą dłonią chciał zrobić to samo innej bestii, ale chybił i mocarne palce zmiażdżyły drapieżnikowi jedną z przednich łap. Zwierzę zawyło z mocą zranionego słonia, a ten pierwszy dźwięk bitwy, rozganiający ciszę wokół, był czysto ludzki, wibrujący i przejmujący.

Oszołomiony Conan na chwilę zwolnił uścisk. I popełnił błąd.

Pierwsza hiena, bluzgając wokół strumieniem krwi z rozerwanej tętnicy, rzuciła się na niego w ostatnim wściekłym akcie desperacji, wtapiając kły w jego mocarną szyję. Nim Cymmeryjczyk w pełni odczuł potworny ból, padła martwa na stopniach piramidy. Druga bestia zaatakowała w tym samym czasie i doskakując na trzech łapach do swego oprawcy chwyciła zębami za kolczugę na wysokości brzucha, jakby nauczyła się tej taktyki od sprytnego wilka. Potężnie szarpnęła, sypiąc wokół ogniwami lśniącymi

złotem w księżycowym świetle. Conan z najwyższym trudem ucapił rękoma rannego, ale szamoczącego się drapieznika, stęknął potężnie i uniósł do góry cuchnące niemiłosiernie cętkowane cielsko. Żrący najgorszym smrodem oddech o mało co nie pozbawił go przytomności. Odrażająca paszcza szczęknęła raz i drugi tuż obok krtani w poszukiwaniu świeżej krwi i parującego mięsa. W końcu z całych sił cisnął hieną o kamienne stopnie, aż echo zatańczyło pośród zielonkawych ruin.

Cymmeryjczyk stanął na szeroko rozstawionych nogach, próbując złapać oddech. Wszystko wokół, i księżyc, i dżungla, nawet zniszczone miasto, zdawało się tonąć w krwawej poświacie. Wtedy usłyszał głucho uderzenia wielkich, błoniastych skrzydeł. Odruchowo sięgnął po miecz, wyprostował się z niemałym trudem i spojrzał do góry w oczekiwaniu na atak. Ten jednak nie nastąpił. Uniósł więc oburącz ogromne ostrze nad głową i ocierając krew z oczu, zaczął zbiegać w dół po stopniach.

Wtedy niespodziewanie pod jego stopami zachwiała się piramida. Oszołomiony zerknął w bok i zobaczył, jak z łoskotem wali się w jego stronę sięgająca nieba kolumna. Zareagował błyskawicznie: skoczył z całych sił przed siebie, lądując niepewnie na chwiejącym mu się pod stopami stopniu. Ostatkiem sił, w akcie ostatniej desperacji, skoczył raz jeszcze, tym razem sięgając miękkiego podłoża. Nim zdążył spojrzeć za siebie, piramida rozpadła się z głuchym łoskotem, a kolumna runęła, roztrzaskując się na tysiące kawałków. Przez krótką chwilę z nieba padał marmurowy deszcz ostrych jak brzytwa odłamków, by po chwili opadający pył otulił wszystko wokół białym kobiercem, przysłaniającym tarczę księżyca.

Dobiegł końca pierwszy akt masakry. Conan ocknął się pod stertą gruzu. Jakiś przecinający powietrze odłamek musiał strącić mu z głowy rogaty hełm, mocno waląc go w potylicę, bo barbarzyńca, choć żywy, był mocno oszołomiony. Długa i ciężka kamienna drzazga, fragment zawalonej kolumny, przygniatała jego nogi, a on wcale nie był pewien, czy aby przypadkiem nie są połamane. Włosy lepiły się mu od potu, a z licznych ran na szyi i rękach ściekała krew. Klnąc na czym świat stoi, wsparłszy się na jednym ramieniu, zaczął wygrzebywać się spod gruzu.

Wtedy to usłyszał. Złowieszczy łopot skrzydeł niósł się przez ruiny, by po chwili niewyraźny kształt przemknął na tle gwiazd i opadł miękko na spękane kamienne płyty. Odwrócił głowę i zobaczył czarne skrzydlate bydlę, które rzuciło się w jego stronę z przerażającą szybkością.

Conan należał do ludzi spostrzegawczych, więc mimo półmroku, zmęczenia i rosnącego z każdą chwilą śmiertelnego zagrożenia, zdążył nieco przyjrzeć się szarżującej bestii. Miała ona w sobie coś ludzkiego, ale pokracznego: pędziła ku niemu na wykrzywionych, skarłowaciałych nogach, z wyciągniętymi włochatymi ramionami zakończonymi zdeformowanymi czarnymi szponami, kolebiąc na boki niekształtną głową o szerokiej twarzy z osadzonymi w niej dwoma krwistoczerwonymi oczami. Nie była w pełni ani człowiekiem, ani zwierzęciem, ani demonem – miała cechy dzikiego zwierzęcia, jak i istoty powołanej do życia przez magię.

Cymmeryjczyk nie miał jednak czasu na dalsze analizowanie anatomicznych niuansów, bo stwór pędził w jego stronę jak opętany. Rzucił się rozpaczliwie w kierunku leżącego nieopodal miecza, ale rozcapierzone palce chybiły o milimetry. Desperacko napał na przygniatający mu nogi ciężar z taką siłą, że nabrzmiały mu na skroniach żyły, a napięte w największym wysiłku mięśnie o mało nie rozerwały ogorzałej od słońca skóry. I choć marmurowy fragment kolumny nieco ustąpił, Conan wiedział, że nie zdąży go odrzucić nim dopadnie go czarny cień śmierci, a potem zmasakruje, wypruwając wnętrzności.

Bestia pędziła, pewna swego. W pełnym biegu rozłożyła szpetne ramiona, najeżyła szpony i dopadła swej upragnionej ofiary. Już miała dobrać się do przygnięcionego giganta, gdy pomiędzy nich uderzyła biała błyskawica.

Przez jedną jedyną krótką chwilę była tam – smukła, alabastrowa postać, drżąca z miłości i pożądania, groźna jak pantera. Oniemiały Conan wyraźnie zobaczył między sobą a nie mniej zaskoczonym stworem jej gibkie ciało, lśniące w blasku księżycy niczym kość słoniowa. Zobaczył eksplodujące czerwienią jej ciemne oczy i czarną kaskadę włosów, z których zawsze była taka dumna. Z falującą piersią i rozchylonymi karminowymi ustami, wydała okrzyk wibrujący i dźwięczny jakby stal uderzała o stal, jednocześnie, z całą mocą ramion, odpychając skrzydlatą bestię.

– Bêlit! – wykrzyknął Conan, a ona spojrzała na niego. W spojrzeniu tym zawarta była cała jej płomienna miłość – pierwotna, naga, instynktowna, gorąca jak ogień i rozżarzona lawa.

I nagle zniknęła.

Teraz Cymmeryjczyk widział już tylko pochylonego nad nim potwora, zaskoczonego, przestraszonego, z ramionami wyciągniętymi do góry, jakby osłaniał paskudny łeb przed spodziewanym ciosem. Doskonale wiedział, że prawdziwa Bêlit spoczywa martwa na pokładzie „Tygrysicy”, ale w pamięci wyraźnie słyszał jej słowa: „Nawet gdybym padła martwa, a ty walczyłbyś o życie, pośpieszyłabym ci na pomoc!”.

Conan zebrał się w sobie, skupił wszystkie siły i ze straszliwym wrzaskiem odrzucił przygniatający go marmurowy fragment kolumny. To ocuciło mrocznego demona, który ponownie uderzył. Ale barbarzyńca był na to gotowy. Czuł w żyłach nie krew, a czysty ogień dzikiej wściekłości. Błyskawicznie dosięgnął miecza. Mięśnie na ramionach naprężyły się jak postronki, gdy zadał cios tak potężny, że impet uderzenia obrócił go wokół własnej osi. Trafił idealnie, tuż nad udami. Ostre jak brzytwa ostrze przecięło skrzydlatego potwora na pół. Skarłowaciałe nogi poleciały w jedną stronę, a włochaty korpus zaś w drugą.

Conan stał sam pośród ruin upadłego miasta, skąpany w księżycowym świetle z opuszczonym mieczem w dłoni i patrzył na szczątki swego przeciwnika. Czerwone ślepia, w których tliły się jeszcze resztki dogorywającego życia, po chwili zeszkliły się i zgasły. Ogromne, szponiaste dłonie zacisnęły się spazmatycznie i zeszywniały.

I to był koniec. Koniec najstarszej rasy świata.

Białoskóry olbrzym odruchowo rozejrzał się wokół, wypatrując najmniejszego nawet ruchu, gdyby martwy demon miał na usługach więcej czworonożnych siepaczy. Niczego jednak nie dojrzał. Ciała zalegające ruiny miasta przeszły metamorfozę – teraz z powrotem były ludzkie, nie zwierzęce. Należały do ciemnoskórych, muskularnych wojowników, o ostrych rysach twarzy, podziurawionych strzałami lub zmasakrowanych cięciami miecza.

Dlaczego skrzydlaty demon, ich pan i władca, nie pomógł im w walce z Conanem? Może wcale nie miał nad nimi władzy absolutnej i obawiał się ostrych kłów oraz śliniących się paszczy, niosących okrutną śmierć? Demon był nadzwyczaj inteligentny, co nie ulegało żadnej wątpliwości, ale nawet okrutna przebiegłość i wrodzona ostrożność w ostatecznym rozrachunku na nic się bestii zdały.

Cymmeryjczyk zawrócił na pięcie, przeszedł przez zniszczone nabrzeże i wskoczył na pokład galery. Kilkoma uderzeniami miecza poodcinał cumy. Niepiesznie podszedł do steru. Dryfująca „Tygrysica” zakołysała się

łagodnie na czarnych wodach Zarkheby, płynąc w kierunku środka rzeki, gdzie porwał ją silny nurt.

Conan naparł na rumpel i galera obrała bezpieczny kurs. I po chwili spojrział ponuro na owiniętą w szkarłatny płaszcz postać, spoczywającą na wielkim stosie bogactwa godnego samej cesarzowej.

ROZDZIAŁ PIĄTY

STOS POGRZEBOWY

*Skończyły się na zawsze podróże
Zamilkły wiosła i wiatru harfa
Nie straszy już brzegu bandera szkarłatna.
Światów niebieska szarfo,
Przyjmij tę, którą mi dałaś.*

(Pieśń o Bêlit)

Wschodzące słońce po raz kolejny pomalowało ocean barwami tęczy. Ujście czarnej rzeki rozjarzyło się czerwonym blaskiem. Conan z Cymmerii, stojąc na białej plaży i wspierając się na swym ogromnym mieczu, patrzył na „Tygrysicę” wyruszającą w ostatni rejs. W jego oczach czaiła się ponura pustka, a błękitny przestwór oceanu nie wzbudzał w nim żadnych emocji. Nie tak dawno oceaniczne fale rozpały serce i duszę, teraz równie dobrze mógłby przyglądać się kamiennej ścianie – efekt byłby taki sam. W barbarzyńcy dokonała się mroczna przemiana, gdy tępym wzrokiem wodził po zielonkawych falach niknących w szkarłatnej mgiełce tajemnicy.

Bêlit była dzieckiem mórz i oceanów. To ona nadawała im piękna i charakteru. Bez niej wodny bezmiar stał się ponurą, nagą i bezludną pustynią, rozciągniętą od bieguna do bieguna. Należała do błękitnych fal i błękitnym falom ją zwrócił, by stała się częścią wiecznej tajemnicy. Nie mógł zrobić nic więcej.

Piękno i majestat oceanu straciły dla niego całą magię, powab i czar, stały się wręcz odrażające i odpychające tak bardzo, że pełna okrucieństwa, magii oraz śmierci dżungla za jego plecami wydawała mu się przytulną przystanią. Wyniosłe drzewa tworzące zieloną otchłań tajemnicy szeptały i zachęcały, by się w niej pograżył.

Przy sterze „Tygrynicy” nie było bystrookiego sternika, żadne wiosło nie niosło jej po zielonobłękitnych falach... Jedynie czysty, śpiewny wiatr wypełniał jedwabny żagiel, a galera niczym śnieżnobiała łabędzica lecąca

po niebie ku skrytemu za linią horyzontu gniazdu, sunęła na otwarte morze, spowita w coraz wyżej strzelające płomienie, pieszczące smukły maszt i pochłaniające ogniem oczyszczenia siedzącą na stosie, okrytą szkarłatnym płaszczem, kobiecą sylwetkę.

Tak odeszła Królowa Czarnego Wybrzeża. Conan, wsparty na rozgorzałym czerwienią wschodzącego słońca ogromnym mieczu, stał w milczeniu, póki gdzieś w błękitnej mgle nie rozviała się ogniście czerwona luna, a poranek nie rozlał się po falach różowym złotem.

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(maj 1934) pod tytułem *Queen of the Black Coast*

STALOWY DEMON

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rybak instynktownie poluzował nóż w pochwie, ale zagrożenia, którego się obawiał, żadne ostrze nie mogło się imać, nawet łukowaty sztylet Yuetschich z uzębioną krawędzią, którym można rozpruć człowieka jednym ciosem. Niebezpieczeństwo, które leżało się w opuszczonej twierdzy na wyspie Xapur nie było ani ludzkiej, ani zwierzęcej natury.

Mężczyzna wspiął się na skalną ścianę, przeszedł obok okalającej je dżungli i stanął w otoczeniu świadectw dawnego porządku; między drzewami błyszcząły zniszczone kolumny, w cieniu majaczyły rzędy walących się murów, a pod stopami rybaka rozciągał się szeroki chodnik, popękany i powyginany przez rosnące pod nim korzenie.

Mężczyzna był typowym przedstawicielem swojej rasy, tych dziwnych ludzi, których początki ginęły w mrokach przeszłości, od niepamiętnych czasów zamieszkujących prymitywne chatki na południowym wybrzeżu morza Vilayet. Był dobrze zbudowany, miał długie niczym szympanś ręce i potężną klatkę piersiową, ale jego łędźwie były dość wąskie, a nogi chude i pałakowate. Szeroką twarz wieńczyło niskie i cofnięte czoło i gęste, zmierzwione włosy. Za całe ubranie służyły mu pas na nóż i przepasujący biodra lachman.

To, że znalazł się na tej wyspie świadczyło, iż był bardziej ciekaw świata, niż reszta jego ludu. Mało kto odwiedzał Xapur. Była to niezamieszкана i całkowicie zapomniana jedna z tysiąca wysp, którymi usiane było wielkie morze wewnętrzne. Nazywano ją Fortyfikacją, ze względu na ruiny – pozostałości jakiegoś prehistorycznego królestwa, upadłego zanim jeszcze zwycięscy Hyboryjczycy pojechali na południe. Nikt nie wiedział, kto wznosił te budowle, chociaż wśród Yuetschich krążyły mętne legendy, które niejasno sugerowały związek między rybakami a nieznanym królestwem na wyspie.

Ale już od tysięcy lat nikt nie rozumiał znaczenia tych legend; powtarzali je właściwie tylko z przyzwyczajenia, nie próbując zrozumieć sensu. Żaden Yuetschi od stu lat nie stanął na Xapurze. Przyległy brzeg kontynentu był niezamieszकany i zarośnięty trzcinami, oddany we władanie żyjącym tam bestiom. Osada rybaków leżała w pewnej odległości na wschód od

wybrzeża. Sztorm zagnał kruchą łódkę mężczyzny na wysokie klify wyspy, wśród błyskawic i ryczących fal, z dala od zwyczajowych łowisk mieszkańców wioski. Teraz, o świcie, niebo było już czyste i niebieskie. Opadające z liści krople wody błyszcząły niczym klejnoty we wschodzącym słońcu. Rybak wspinał się na klif, pod którym schował się nocą, bowiem podczas burzy całą wyspą trzęsły potężne grzmoty i dźwięki, które nie były raczej odgłosami powalanych drzew, a czarne niebo przecinały zatrważające błyskawice. Nie potrafił oprzeć się ciekawości i postanowił zbadać sytuację. Kiedy znalazł to, czego szukał, ogarnął go zwierzęcy niepokój, przecucie czyhającego niebezpieczeństwa.

Między drzewami wznosiły się ruiny ogromnej budowli z wielkich bloków przedziwnego, podobnego do żelaza, zielonego kamienia, występującego tylko na wyspach Vilayet. Zdziwiająco, że ręce człowieka zdołały nadać im kształt i wznieść tak ogromny gmach, a już na pewno ludzką moc przekraczało jego zburzenie. Zapewne to piorun rozdzielił ważące tony ciężkie bloki, jakby to było szkło, inne zamienił w zielony pył. Zniszczył też cały łuk elewacji.

Rybak wspinał się na ruiny i rozejrzał się. To, co zobaczył, sprawiło, że wydał z siebie jęk. W zrujnowanym budynku, otoczony przez kamienny pył i kawałki potłuczonego muru, na złotym bloku leżał człowiek, odziany w coś na kształt sukni z szagrynowym pasem. Jego czarne włosy opadały na masywne ramiona i przewiązane były przy skroniach wąską, złotą wstążką. Na nagiej, muskularnej piersi leżał intrygujący sztylet o szerokim, podobnym do sierpa ostrzu, z wysadzaną klejnotami gałką i rękojeścią owiniętą szagrynem. Był podobny do noża, który rybak nosił u biodra, ale brakowało mu zębatego brzegu, był też o wiele staranniej zrobiony.

Rybak połasił się na broń. Człowiek oczywiście był martwy od wielu wieków, a ten gmach był jego grobowcem. Rybak nie zastanawiał się, w jaki sposób starożytni zdołali zachować zwłoki w tak doskonałym stanie – muskularne członki i reszta ciała wyglądały jak nietknięte dotykami śmierci. W tęym umyśle Yuetskiego było miejsce tylko na żądę posiadania sztyletu o wygiętym, błyszczącym matowo ostrzu.

Zszedł powoli do grobowca i sięgnął po nóż. Wtedy zdarzyła się rzecz straszna. Muskularne, ciemne dłonie zacisnęły się w pięści, a powieki odsłoniły wielkie, ciemne, magnetyczne oczy, których spojrzenie, niby cios, uderzyło zdumionego rybaka. Ten się skulił, upuszczając w mieszaninę wysadzany klejnotami sztylet. Człowiek na piedestale usiadł. Jego rozmiary

były imponujące. Wejrzenie przymkniętych oczu paraliżowało Yuetsniego. Z całą pewnością nie było przyjazne. Rybak dostrzegł w nich tylko ogień tak obcy i tak wrogi jak ten, który płonie w oczach tygrysa.

Mężczyzna podniósł się i stanął nad nim, groźny niczym cała armia. Rybak nie czuł strachu, bowiem jego wyobraźnia nie ogarniała tego, co się stało i co przeczyło fundamentalnym prawom natury. Kiedy wielkie dłonie opadły na jego ramiona, dobył swojego sztyletu o ostrzu piły i dźgnął nieznajomego. Ostrze rozłupało się na jego umięśnionym brzuchu jak na stalowej kolumnie, a kręgosłup rybaka pękł w rękach olbrzyma niczym gałązka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jehungir Agha, pan Khawarizmu i stróż nadbrzeżnej granicy, przebiegł raz jeszcze po zdobnym zwoju pergaminu swoją pieczęcią w kształcie pawia, po czym zaniósł się krótkim, sarkastycznym śmiechem.

– No i? – zapytał bez ogródek jego doradca Ghaznavi.

Jehungir wzruszył ramionami. Był przystojnym mężczyzną, dumnym i aroganckim z uwagi na swoje pochodzenie i dokonania.

– Cierpliwość króla jest na wyczerpaniu – powiedział. – Uskarża się, że strzegąc granicy, popełniłem błąd. Na Tarima, jeśli nie zdołam zadać ciosu tym złodziejom ze stepów, Khawarizm może wkrótce mieć nowego pana.

Ghaznavi pogrążony w myślach skubał szarą brodę. Yezdigerd, król Turanu, był najpotężniejszym monarchą na świecie. W jego zamku, w wielkim portowym mieście Aghrapur, gromadzono łupy imperiów. Królewska flota galer wojennych o purpurowych żaglach uczyniła z Vilayet jezioro hyrkańskie. Ciemnoskórzy ludzie z Zamory płacili władcy lenno, podobnie jak wschodnie prowincje Koth. Na zachodzie aż po Shushan Shemici uginali się pod jego rządami. Armie turańskie najeżdżały granice Stygii na południu i śnieżne tereny hyboryjskie na północy, zapuszczały się na zachód aż po Brythunię, Ofir i Koryntię, a nawet na granice z Nemedią. Wojska w pozłacanych hełmach miażdżyły każdą armię kopytami swych koni, a chronione murami miasta stawały w płomieniach na rozkaz Yezdigerda. Na pękających w szwach targach niewolników w Aghrapur, Sultanapur, Khawarizmie, Shahpur i Khorosunie sprzedawano kobiety za trzy małe, srebrne monety: blond Brythunki, płowe Stygijki, Zamorianki o ciemnych włosach, hebanowe Kushytki i Shemitki o oliwkowej skórze.

Chociaż żołnierze króla pokonywali innych daleko poza krajem, przy samej jego granicy zuchwały wróg o spływających krwią, okopconych rękach drwił sobie z monarchy.

Na szerokich stepach, rozciągających się między morzem Vilayet a najdalszymi krańcami wysuniętych na wschód królestw hyboryjskich, w ciągu ostatniego półwiecza powstała nowa rasa, złożona pierwotnie ze zbiegłych złoczyńców i niewolników, ludzi bez przyszłości i dezserterów. Byli to zbrodniarze o wielu ojczyznach, niektórzy urodzili się na stepach,

inni zbiegli z zachodnich królestw. Nazywano ich kozakami, co oznaczało utrapieńców.

Zamieszkując na dzikich, otwartych stepach, nie mając żadnego prawa poza własnym, specyficznym kodem, zdolni byli rzucić wyzwanie samemu Wielkiemu Monarsze. Nieustannie najeżdżali turańskie granice, wycofując się na stepy w razie porażki; wspólnie z piratami z Vilayet, ludźmi tego samego pokroju, nękali wybrzeże, rabując statki kupieckie, które prowadziły wymianę między hyrkańskimi portami.

– Jak mam zmiążyć te wilki? – pytał Jehungir. – Jeśli podążę za nimi na stepy, ryzykuję, że wojsko zostanie wycięte w pień i rozbite albo, że ominą mnie i spalą miasto pod moją nieobecność. Stają się coraz bardziej zuchwali.

– To dlatego, że wyrósł wśród nich nowy przywódca – odparł Ghaznavi. – Wiesz, kogo mam na myśli.

– A tak, tak! – odparł żywo Jehungir. – To ten diabeł Conan. Jest jeszcze dzikszy niż kozacy, a zarazem przebiegły jak górski lew.

– Jego dziki, zwierzęcy instynkt przeważa nad sprytem – odparł Ghaznavi. – Reszta kozaków to przynajmniej potomkowie cywilizowanych ludzi. On jest barbarzyńcą. Ale gdybyśmy się go pozbyli, zadalibyśmy im druzgocący cios.

– Ale jak? – dopytywał Jehungir. – Wielokrotnie wyszedł cało z opresji i uniknął niemal pewnej śmierci. Nieważne, czy to instynkt, czy spryt, on umyka z każdej pułapki.

– Na wszystkich można zastawić sieci, z których nie da się uciec – rzekł sentencjonalnie Ghaznavi. – Kiedy ustalaliśmy z kozakami cenę okupu za jeńców, obserwowałem tego Conana. Ma słabość do kobiet i mocnych trunków. Poślij po twą brankę Oktawię.

Jehungir klasnął w dłonie. Imponujący kushycki eunuch, lśniący heban w jedwabnych pantalonach, skłonił się przed nim i poszedł wykonać rozkaz. Wrócił bardzo szybko, ciągnąc za nadgarstek wysoką, piękną dziewczynę, której pochodzenie zdradzały złote włosy, jasne oczy i blada skóra. Skąpa, spięta w pasie jedwabna tunika odsłaniała pyszną sylwetkę. Piękne oczy błysnęły z urazą, a czerwone usta były wydęte w geście nadąsania. Niewola sprawiła jednak, że stała się uległa. Stała przed swoim panem ze zwieszoną głową. Ten skinął, by usiadła na dywanie przed nim. Wtedy spojrzał pytająco na Ghaznaviego.

– Musimy wywabić Conana z jego terytorium – odparł szorstko doradca.
– Rozbił obóz gdzieś w dolnym biegu rzeki Zaporoski, która, jak wiesz, jest dziczą pełną trzciny. W tej podmokłej dżungli nasza ostatnia ekspedycja została wycięta w pień.

– Nie zamierzam o tym zapominać – powiedział kwaśno Jehungir.

– Nieopodal stałego lądu znajduje się niezamieszкана wyspa – powiedział Ghaznavi – znana jako Xapur albo Fortyfikacja, ze względu na znajdujące się na niej starożytne ruiny. Ma pewną właściwość, która czyni ją doskonałym miejscem dla naszych planów. Jej brzegi są bardzo strome – wyrasta prosto z morza klifami, wysokimi na sto pięćdziesiąt stóp. Nawet małpy nie mogą się na nie wspiąć. Na wyspę można dostać się tylko w jeden sposób – wąską ścieżką po zachodniej stronie. W istocie są to wyrżnięte w twardej skale klifu schody. Gdybyśmy zwabili tam Conana, samego, moglibyśmy zapolować na niego z łukami, jak na lwa.

– Równie dobrze mógłbym zwabić go na księżyc – odparł niecierpliwie Jehungir. – Mamy mu wysłać posłańca, każąc mu wspiąć się na klify i oczekiwać naszego przybycia?

– Otóż to! – Ghaznavi kontynuował, widząc zdumiony wzrok Jehungira.
– Zaprosimy Kozaków na negocjacje w sprawie więźniów do kraju stepów nieopodal fortu Ghor. Pójdziemy, jak zwykle w znacznej sile, i rozbijemy obóz na zewnątrz zamku. Oni będą równie liczni. Będziemy rozmawiać i udawać, że mamy do siebie zaufanie... Ale tym razem weźmiemy ze sobą, niby przypadkiem, twoją piękną niewolnicę – Oktawia zarumieniła się i słuchała z ożywionym zainteresowaniem, kiedy radca skinął w jej stronę.
– Użyj wszystkich swoich wdzięków, by przyciągnąć uwagę Conana. To nie powinno być trudne. Temu dziękemu rozbójnikowi będzie się wydawała olśniewającym ucieleśnieniem powabu. Jej uroda i czar powinny do niego przemówić. Żadna z podobnych do lalek niewolnic z twojego haremu, nie uczyniłaby tego lepiej.

Oktawia podskoczyła i zacisnęła białe pięści. Jej oczy gorzały, a cała postać drżała ze wzburzenia.

– Zmusicie mnie, bym odgrywała kurtyzanę przed tym barbarzyńcą?! – zakrzyknęła. – Nie zgadzam się! Nie jestem uliczną dziwką, aby czarować stepowego złodzieja. Jestem córką nemedyjskiego lorda...

– Byłaś szlachcianką, dopóki nie uprowadzili cię moi jeźdźcy – odparł cynicznie Jehungir. – Teraz jesteś tylko niewolnicą, która robi, co jej się każe.

– Nie zrobię tego! – zawołała z gniewem.

– Przeciwnie – odparł Jehungir z wystudiowanym okrucieństwem. – Zrobisz to. Podoba mi się plan Ghaznaviego. Mów dalej, najlepszy z radców.

– Conan będzie prawdopodobnie chciał ją kupić. Naturalnie odmówisz mu, nie wymienisz jej też na żadnego z hyrkańskich więźniów. Może potem próbować posłać ludzi, aby ją wykradli, albo wziąć ją siłą, chociaż nie sądzę, by nawet on zerwał pertraktacje. Aczkolwiek musimy być oczywiście gotowi na wszystko, do czego mógłby się uciec. Po zakończeniu rozmów, zanim zdąży o niej zapomnieć, pošlemy mu posłańca z pokojową flagą i oskarżeniem, że wykradł dziewczynę. Zażądamy jej zwrotu. Pewnie zabije posłańca, ale pomyśli, że zdołała uciec. I wtedy pošlemy szpiega do kozackiego obozu, najlepszy będzie yuetshański rybak. Powie Conanowi, że Oktawia ukrywa się na Xapurze. O ile go znam, na pewno tam pójdzie.

– Ale nie wiemy, czy pójdzie sam – zaproponował Jehungir.

– Czy ktoś, kto wybiera się na schadzkę z kobietą, której pożąda, bierze ze sobą bandę wojowników? – odciął się Ghaznavi. – Stawiam wszystko, że pójdzie sam. Ale musimy wziąć pod uwagę każdą możliwość. Nie będziemy czekać na wyspie, gdzie sami możemy wpaść w pułapkę. Ukryjemy się w trzcinach na bagnistym przylądku, który wychodzi w morze prawie na tysiąc jardów od Xapuru. Jeśli Conan przyjdzie ze swoimi ludźmi, zarządzimy odwrót i wymyślimy inny plan. A jeśli przyjdzie sam, albo z małym oddziałem, będzie nasz. Wierz mi, on przyjdzie, wspominając czarujący uśmiech twojej branki i jej znaczące spojrzenia.

– Nigdy się tak nie poniżę! – Oktawia szalała z gniewu i upokorzenia. – Prędzej umrę!

– Nie umrzesz, moja zbuntowana ślicznotko – powiedział Jehungir. – Trochę tylko pocierpisz.

Klasnął w dłonie, a Oktawia zbladła. Tym razem nie wszedł Kushyta, lecz Shemita, muskularny mężczyzna średniego wzrostu, z krótką, poskręcaną, siwą brodą.

– Oto zadanie dla ciebie, Gilzanie – powiedział Jehungir. – Weź tę bezrozumną istotę i pobaw się nią przez chwilę. Ale uważaj, byś nie uszkodził jej wdzięków.

Shemita z warknięciem chwycił Oktawię za nadgarstek. W uścisku żelaznych palców opuścił ją wojowniczy nastrój. Wyrwała się z żalonym

krzykiem i padła na kolana przed nieubłagany panem, łkając bez ładu o litość.

Jehungir odprawił rozczarowanego kata niedbałym gestem i rzekł do Ghaznaviego – jeśli twój plan się powiedzie, obsypię cię złotem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przedziwny dźwięk zakłócił przed samym świtem ciemne, zarośnięte trzciniami wybrzeże. Nie był to senny ptak wodny ani żadne inne zwierzę, a przedzierająca się przez wysokie zarośla kobieta.

Przygodny obserwator dostrzegłby jej jasne włosy i piękną sylwetkę, wyłaniającą się spod poszarpanej tuniki. Oktawia naprawdę uciekła, a każdy jej nerw wciąż drżał z gniewu na myśl o nieznośnej niewoli.

Rola zakładniczki Jehungira była aż nadto uciążliwa, ale jej nikczemny pan podarował ją szlachcicowi, którego imię było synonimem degeneracji nawet w Khawarizmie.

Gdy przypomniła sobie o tym, skuliła się i przeszedł ją dreszcz. Desperacja kazała jej skrócić linę z kawałków zerwanych gobelinów i uciekać z zamku Jelala Khana. Łaskawy los zesłał jej osiodłanego konia, którego ktoś przywiązał do niskiego drzewka. Jakimś cudem go ukradła i galopowała całą noc. O świcie rumak okulał, ale udało jej się dotrzeć do bagnistego brzegu morza. Trzęsąc się na potworną myśl o powrocie do Jelala Khana i jego szatańskich zamiarach wobec niej, zagłębiła się w moczary, poszukując kryjówki przed oczekiwanym pościgiem. Kiedy trzciny wokół niej się przerzedziły, a woda sięgała do połowy ud, ujrzała przed sobą niewyraźny zarys wyspy. Od oczekiwanego schronienia dzielił ją szeroki pas wody, ale nie wahała się. Zaczęła brodzić, dopóki niskie fale nie objęły talii. Odbiła się mocno i popłynęła z wigorem, wskazującym na niezwykłą wytrzymałość.

Kiedy zbliżyła się do wyspy, odkryła, że brzeg wznosi się pionowo ostrymi klifami. Dotarła do nich w końcu, ale nie znalazła pod poziomem wody żadnego występu, na którym mogłaby stanąć, ani nad nim, by się wspinać. Popłynęła więc dalej, podążając za linią klifów. Zmęczenie jednak dawało już o sobie znać. Ręce ześlizgiwały się z nagiego kamienia i nagle natknęły się na zagłębienie. Podciągnęła się z westchnieniem ulgi i zawisła na skale, ociekająca wodą biała bogini w nikłym świetle gwiazd.

Wyszła na coś, co przypominało wyryte w klifie stopnie. Zaczęła się wspinać, ale położyła się na kamieniu, kiedy usłyszała daleki, stłumiony odgłos wioseł. Wyteżyła wzrok i zobaczyła niewyraźny kształt płynący

w kierunku miejsca porośniętego trzcinami, które właśnie opuściła. Ale dźwięk był zbyt daleko, by w ciemności stwierdzić, co to jest. Szybko zresztą ustał, a ona kontynuowała wspinaczkę. Jeśli była to pogoń, nie miała lepszego wyjścia, niż ukryć się na wyspie. Wiedziała, że większość terenów wokół tego bagnistego wybrzeża jest niezamieszкана. Wyspa mogła być gniazdem piratów, ale wolała nawet ich niż potwora, od którego uciekła.

Podczas wspinaczki dziwna myśl przebiegła jej przez głowę. Porównywała swego pana z kozackim przywódcą, z którym kazano jej haniebnie flitować w pawilonach obozowiska przy forcie Ghori, gdzie hyrkańscy panowie negocjowali z wojownikami ze stepów. Jego poniżające płomienne spojrzenie przstraszyło ją, ale czysta i pierwotna dzikość czyniła go lepszym od Jelala Khana, potwora, który mógł się zrodzić tylko w nazbyt zamożnej cywilizacji.

Wdrapała się na brzeg klifu i rozejrzała nieśmiało wśród otaczających ją gęstych cieni. Blisko klifu rosły drzewa, tworząc nieprzeniknioną, ciemną ścianę. Coś zafurczało wokół jej głowy. Skuliła się, choć wiedziała, że był to tylko nietoperz.

Nie podobał jej się widok tych hebanowych cieni, ale zacisnęła zęby i poszła im na spotkanie, usiłując nie myśleć o węzach. Jej nagie stopy nie wydawały żadnego odgłosu na gąbczastym podłożu pod lasem.

Kiedy weszła w gęstwinę, zamknęła się nad nią przeraźliwa ciemność. Nie uszła nawet dziesięciu kroków, kiedy straciła z oczu i morze i klif. Poszła kawałek dalej i straciła zupełnie orientację. Stała zmieszana. Poprzez splątane gałęzie nie prześwitywała nawet jedna gwiazda. Brnęła dalej po omacku i nagle zatrzymała się gwałtownie.

Gdzieś przed nią rozległo się rytmiczne dudnienie bębna. Nie był to dźwięk, którego mogła się spodziewać w tym miejscu i o tej porze. Przestała o tym myśleć, kiedy uświadomiła sobie, że ktoś jest obok. Nie widziała nikogo, ale czuła, że stał tuż za nią w ciemności.

Skuliła się ze zduszonym krzykiem. Wtedy coś, jakby ludzkie ramię, objęło jej talię. Krzyknęła i próbowała walczyć z całej siły, ale porywacz podniósł ją jak dziecko, bez trudu łamiąc histeryczny opór. Cisza, jaka towarzyszyła jej dzikim prośbom i protestom wzmogła tylko jej przerażenie, kiedy zorientowała się, że jest niesiona w kierunku odległego bębna, który wciąż brzmiał w oddali.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Z nadejściem świtu morze poczerwieniało i mała łódka z samotnym mężczyzną zbliżyła się do klifów. Jej pasażer był zjawiskową postacią. Wokół głowy miał zawiązany szkarłatny szal. Jego szerokie, jedwabne spodnie w krzykliwych kolorach podtrzymywała szeroka szarfa, przy której zwisał bułat w szagrynowej pochwie. Buty z pozłacanej skóry sugerowały, że był raczej jeźdźcem, nie żeglarzem, ale radził sobie z łódką całkiem dobrze. Spod rozchylonej, jedwabnej białej koszuli wyglądała szeroka, spalona przez słońce, muskularna pierś.

Muskuły ciężkiego, ogorzałego ramienia marszczyły się, kiedy pociągał za wiosła z niemal kocią płynnością. Dzika żywotność widoczna w każdym jego rysie i ruchu odróżniała go od zwykłych ludzi; ale wyraz twarzy był łagodny, chociaż płomienne, błękitne oczy wskazywały na porywczosć. To był Conan, który zawędrował do uzbrojonych obozowisk kozaków z pustymi rękoma i drogę do przywództwa wywalczył inteligencją i mieczem.

Wiosłował w stronę wyżłobionych schodów, jak ktoś oswojony z otoczeniem. Przycumował łódkę do wystającej części skały. Potem bez wahania wszedł na szczyt klifu. Był bardzo uważny, nie dlatego, że wietrzył ukryte niebezpieczeństwo, ale dlatego, że ostrożność była częścią jego dzikiej natury.

To, co Ghaznavi uważał za zwierzęcą intuicję albo jakiś szósty zmysł, było tak naprawdę efektem niezwykle wyostrzonych zmysłów i dzikiego sprytu barbarzyńcy. Conan nie miał instynktu, który podpowiedziałyby mu, że z ukrycia między trzciniami na lądzie obserwowali go wrogowie.

Kiedy wspiął się na szczyt, jeden z mężczyzn wziął głęboki wdech i cicho podniósł łuk. Jehungir złapał go za nadgarstek i syknął prosto w ucho:

– Głupcze! Chcesz nas zdradzić? Nie zdajesz sobie sprawy, że jest za daleko? Niech pójdzie dalej i poszuka dziewczyny. My zostaniemy tutaj. Mógł zwietrzyć naszą obecność albo przejrzeć intrygę. Może mieć wojowników ukrytych gdzieś w okolicy. Poczekamy. Za godzinę, o ile nie wydarzy się nic podejrzanego, powiosłujemy do stóp schodów i poczekamy

tam na niego. Jeśli nie wróci w rozsądnym czasie, kilku z nas pójdzie na wyspę zapolować na niego. Ale wolałbym tego uniknąć. Niektórzy na pewno zgina, jeśli pójdziemy za nim w las. Lepiej dopaść go strzałami z bezpiecznej odległości.

W tym czasie nic nie podejrzewający kozak zagłębił się w las. Szedł cicho w miękkich, skórzanych butach, jego wzrok badał każdy cień w nadziei, że dostrzeże wspaniałą jasnowłosą piękność, o której śnił, odkąd ujrzał ją w pawilonie Jehungira Aghy przy forcie Ghori. Pożądałby jej nawet wtedy, gdyby czuła wobec niego odrazę. Ale jej zagadkowe uśmiešky i spojrzenia rozpały mu krew i pożądał tej białej, złotowłosej kobiety cywilizacji z brutalną gwałtownością, która była jego dziedzictwem,

Był już na Xapurze. Niecały miesiąc wcześniej spotkał się tu w sekrecie z grupą piratów. Wiedział, że zbliżał się do punktu, z którego widać było tajemnicze ruiny. To im wyspa zawdzięczała swoją nazwę. Zastanawiał się, czy znajdzie wśród nich dziewczynę. Choć wiedział, co kryje wyspa, w pewnej chwili stanął jak porażony piorunem.

Przed nim, między drzewami, wznosiła się przeszkoda, której się nie spodziewał – wielki, ciemny, zielony mur, z wysokimi wieżami.

Conan stał w jej obliczu jak sparaliżowany. Nie dowierzał własnym oczom. Każdy byłby wstrząśnięty widząc coś, co przeczy zdrowym zmysłom. Było w tym coś potwornie nienaturalnego. Nie dalej, niż miesiąc temu między drzewami widniały tylko ruiny. Czyje ręce mogłyby wznieść tak gigantyczny gmach w ciągu kilku tygodni? Poza tym korsarze, nieustannie włóczący się po Vilayet, donieśli by kozakom o pracach na tak wielką skalę.

Trudno było to wyjaśnić, a jednak znajdował się na Xapurze i ten fantastyczny, wyniosły budynek również tu był. Czyste szaleństwo.

Odwrócił się, aby pójść z powrotem przez dżunglę, w dół po wyżłobionych schodach i popłynąć z powrotem do obozu w ujściu Zaporoski. Był tak przerażony, że chciał znaleźć się jak najdalej wewnętrznego morza. Zostawiłby je za sobą, opuścił uzbrojone obozowisko i uciekł na mile od błękitnego, tajemniczego wschodu, gdzie nawet najbardziej podstawowe prawa natury mogły zostać obrócone wniwecz przez jakieś nieodgadnione diabelskie sztuki.

Przez moment ważył się przyszyły los królestw, które zależały od tego barwnie odzianego barbarzyńcy. Mały drobiazg zdecydował, która szala przeważy: był to zwisający z krzewu kawałek jedwabiu. Pochylił się nad

nim z rozszerzonymi nozdrzami, a nerwy zadrżały pod wpływem subtelnego zapachu. Na kawałeczku rozdartego ubrania, tak małym, że ledwo go rozpoznał, zachował się ślad zwodniczych perfum, które skojarzył ze słodkim, jędrnym ciałem kobiety, którą ujrzał w pawilonie Jehungira. Rybak więc nie kłamał, była tu! Wtedy na ziemi ujrzał ślady mułu i bosej stopy, długiej i szczupłej, lecz męskiej, nie kobiecej. Ślad był bardzo głęboki i wskazywał, że człowiek, który go zostawił, niósł jakiś ciężar. Mogła to być tylko jasnowłosa dziewczyna kozaka!

W milczeniu patrzył na ciemne wieże, wznoszące się nad drzewami. Zmrużył oczy – przypominały teraz szparki błękitnego ognia. Pożądanie rywalizowało z ponurym, pierwotnym gniewem wobec tego, kto zabrał kobietę. Pasja przewyciężyła jednak nadludzki strach. Conan schylił się i tropiącym krokiem polującej pantery prześlizgnął się w kierunku murów, wykorzystując gęste listowie, by nie dostrzegł go nikt ze strzelnic.



Przed nim, między drzewami, wznosiła się przeszkoda, której się nie spodziewał – wielki, ciemny, zielony mur, z wysokimi wieżami.

Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że mury zostały zbudowane z tego samego zielonego kamienia, z którego składały się ruiny. Miał dziwne wrażenie, iż to, na co patrzy widział już kiedyś we śnie bądź oczyma wyobraźni. Wreszcie zdał sobie sprawę, że budowla odzwierciedla plan ruin, zupełnie jakby z rumowiska podniósł się stojący tu niegdyś gmach.

Żaden dźwięk nie zakłócał porannej ciszy, kiedy Conan podkraść się do stóp wznoszących się dostojnie murów. Na południowych krańcach wewnętrznego morza roślinność była niemal tropikalna. Nie ujrzał nikogo na blankach, z wewnątrz także nie dobiegł go żaden dźwięk. Po lewej stronie dostrzegł masywną bramę. Pomyślał, że z pewnością jest zamknięta i strzeżona. Sądził jednak, że kobieta, której szukał, znajdowała się gdzieś wewnątrz tych murów i podjął bardzo nierozważną decyzję.

Przyozdobione girlandami winorośli gałęzie sięgały blank nad jego głową. Wspiął się jak kot na wysokie drzewo i kiedy znalazł się powyżej murów, chwycił oburącz grubą gałąź, rozhuśtał się, żeby nabrać pędu i wystrzelił w powietrze, lądując na blankach. Przyczał się tam i spojrział w dół na ulice miasta.

Obwód murów nie był imponujący, ale zaskoczyła go ilość budynków z zielonego kamienia, jakie mieściły się wewnątrz. Wysokie na trzy lub cztery piętra, w większości o płaskich dachach, charakteryzowały się wytwornym stylem architektonicznym. Ulice zbiegały się jak szprychy koła na ośmiokątnym dziedzińcu w środku miasta, obok dostojnego gmachu, który górował nad miastem kopułami i wieżami. Ulice były puste, a okna pozamykane, choć słońce już wschodziło. Miasto zdawało się martwe. Pod sobą dostrzegł wąskie stopnie. Zszedł po nich.

Domy stały tak blisko murów, że w połowie drogi na dół znalazł się na tyle blisko jednego z okien, by zerknąć do środka. Nie było krat, a jedwabne zasłony zostały związane satynowymi sznurkami. Na ścianach komnaty wisały ciemne aksamitne gobeliny. Podłoga była pokryta grubymi matami, na nich stały ławy z polerowanego hebanu i pokryty futrami piedestał z kości słoniowej.

Chciał już iść dalej, kiedy usłyszał na ulicy czyjeś kroki. Zanim nieznajomy zdołał wyjść z za rogu i zobaczyć go na schodach, wskoczył szybko do obserwowanego pokoju, wyciągając swój bułat. Przez moment stał jak zaklęty w kamień. Nic się jednak nie zdarzyło, ruszył więc po matach w kierunku drzwi w kształcie łuku, kiedy nagle rozsunęły się kotary, odsłaniając wyłożoną poduszkami alkowę, z której patrzyła na niego leniwie szczupła dziewczyna o ciemnych włosach.

Conan spojrział na nią w napięciu, oczekując, że w każdej chwili zacznie krzyczeć. Ale ona zdławiła tylko drobną dłonią ziewnięcie, wstała z łoża i pochyliła się niedbale w stronę zasłony, którą trzymała jedną ręką.

Niewątpliwie przynależała do białej rasy, choć jej skóra była bardzo ciemna. Prosto przycięte włosy były czarne jak noc, a jej jedynym odzieniem była wstęga jedwabiu, przepasana wokół prężnych bioder.

Wreszcie przemówiła, ale Conan nie znał jej języka i potrząsnął tylko głową. Ziewnęła ponownie, przeciągnęła się giętko i, bez żadnego strachu ani zdziwienia, przeszła na język, który mógł zrozumieć – brzmiący dziwnie archaicznie dialekt Yuetschich.

– Kim jesteś? – chciał wiedzieć Conan.

– Nazywam się Yateli. – Świątowałam do późna wczorajszej nocy, jestem taka zmęczona. Kim jesteś?

– Jestem Conan, kozacki hetman – odpowiedział, przyglądając się jej badawczo.

Przeczuwał, że jej zachowanie jest pozą i obawiał się, że będzie usiłowała uciec z komnaty lub obudzić cały dom. Ale chociaż obok niej wisiała aksamitna lina, która mogła służyć do wzywania pokojówki, nie sięgnęła po nią.

– Conan... – powtórzyła sennie. – Nie jesteś Dagonem. Przypuszczam, że jesteś najemnikiem. Czy ściąłeś wiele głów Yuetschich?

– Nie wojuję ze szczurami wodnymi! – prychnął.

– Ale oni są straszliwi – wymamrotała. – Pamiętam, kiedy byli naszymi niewolnikami. Ale zbuntowali się, palili i mordowali. Tylko magia Khosatrała Khela zdołała utrzymać ich poza murami...

Zamilkła. W jej zdumionym wzroku wciąż majaczyła senność.

– Zapomniałam... – mruknęła. – Ostatniej nocy wspięli się na mury. Rozległy się strzały, buchnął ogień i ludzie na próżno wołali Khosatrała – potrząsnęła głową, jakby chciała rozjaśnić myśli. – Ale to chyba jednak niemożliwe – wymamrotała – gdyż wciąż jestem żywa, a myślałam, że umarłam. Ach, do diabła z tym!

Przeszła przez komnatę i, biorąc Conana za rękę, pociągnęła go na podest. Krzyknął ze zdziwienia. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego niczym zaspane dziecko. Jej długie, jedwabne rzęsy opadły na ciemne, zamglone oczy. Przeczesała jego grube, czarne loki, chcąc się upewnić, że jest prawdziwy.

– To był sen – ziewnęła. – Może wszystko jest snem. Teraz też czuję się, jakbym ciągle spała. Ale to bez znaczenia. Nie mogę sobie czegoś przypomnieć... Zapomniałam... Jest coś, czego nie rozumiem, ale robię się taka śpiąca, kiedy usiłuję myśleć. Nieważne.

– Co masz na myśli? – zapytał z niepokojem. – Mówisz, że ostatniej nocy wspięli się na mury? Kto?

– Yuetshi. Tak przynajmniej myślałam. Chmura dymu pokryła wszystko. A nagi, skrwawiony demon złapał mnie za szyję i zatopił nóż w mojej piersi. Ach, bolało! Ale to był tylko sen. Nie mam przecież żadnej blizny. – Na próżno oglądała swe gładkie łono. Nagle przyłgnęła do Conana i owinęła giętkie ramiona wokół jego masywnej szyi. – Nie pamiętam – wymamrotała, wtulając ciemną główkę w jego potężną pierś. – Wszystko jest niewyraźne i przesłonięte mgłą. Ale to nieważne. Ty nie jesteś snem. Jesteś silny. Żyjmy więc, póki możemy. Kochaj mnie!

Odchylił błyszczącą głowę dziewczyny, składając ją w zgięciu swego ciężkiego ramienia i pocałował jej pełne, czerwone usta z niekłamaną rozkoszą.

– Jesteś silny... – powtarzała, a jej głos zanikał. – Kochaj mnie... Kochaj... – zaspany pomruk ucichł. Zamknęła ciemne oczy, długie rzęsy opadły na zmysłowe policzki, a gibkie ciało rozluźniło się w ramionach Conana.

Spojrzał na nią z grymasem niezadowolenia. Zdawała się być częścią iluzji spowijającej całe miasto, ale trzymał ją przecież gorliwie w ramionach i czuł, że dotyka żywej, ludzkiej istoty, a nie sennej mary. Był jednak bardzo wzburzony, dlatego szybko położył ją na skórkach, którymi wyłożony był podest. Spała zbyt głęboko, by mógł to być naturalny sen. Pomyślał, że musi być uzależniona od jakiegoś narkotyku, może od czarnego lotosu z Xuthal.

I wtedy natknął się na coś dziwnego. Między podobnymi do siebie skórkami znajdowała się inna – wspaniała, cętkowana, cała w złotym kolorze. Nie była to udana imitacja, lecz prawdziwa skóra zwierzęcia, które żyło jakieś tysiąc lat temu. Wielki złoty leopard żył już tylko w hyboryjskich legendach i na rycinach starożytnych artystów.

Potrząsając głową w zdumieniu, Conan przeszedł przez drzwi, wychodzące na kręty korytarz. Cisza spowijała cały dom, ale z zewnątrz do jego czułych zmysłów dotarł niewyraźny dźwięk. Ktoś wchodził po schodach przy murze, którymi on sam wszedł do budynku. Chwilę później usłyszał osłupiały, jak coś miękko ląduje na podłodze komnaty, z której właśnie wyszedł. Odwrócił się szybko i biegł krętym przedsionkiem, dopóki nie zatrzymało go coś leżącego na podłodze przed nim.

Była to ludzka postać, leżąca częściowo w korytarzu, a częściowo na progu drzwi, które zlewały się ze ścianą. Człowiek ten był ciemny i szczupły, odziany tylko w jedwabną przepaskę na biodrach. Miał ogoloną głowę i surowe rysy. Leżał, jak gdyby śmierć dopadła go w momencie, w którym przekraczał próg. Conan pochylił się nad nim, szukając przyczyny śmierci i odkrył, że to ten sam głęboki sen, w którym pogrążona była dziewczyna z komnaty.

Ale dlaczego miałyby obrać sobie takie miejsce na drzemkę? Zastanawiając się nad tym, Conan zamarł, słysząc dźwięk dochodzący zza jego pleców. Coś poruszało się w korytarzu i kierowało w jego stronę. Szybki rzut oka uświadomił mu, że przedsiónek zwieńczony był wielkimi drzwiami, które mogły być zamknięte. Odrzucił leżące na wznak ciało i ukrył się w pomieszeniu za nim, zamykając za sobą drzwi. Stojąc w całkowitej ciemności, usłyszał powłóczyście kroki i ktoś zatrzymał się po drugiej stronie. Lekki chłód przebiegł po plecach barbarzyńcy. To nie było stąpanie człowieka ani żadnego znanego mu zwierzęcia.

W ciszy jaka wówczas nastąpiła, usłyszał ciche skrzypienie drewna i metalu. Drzwi zatrzeszczały i wygięły się do wewnątrz, jak gdyby napierała na nie wielka masa. Sięgnął po miecz, wszystko ustało i usłyszał przerażający dźwięk kapiącej śliny, od którego włosy zjeżyły mu się na głowie. Z bułatem w dłoni zaczął się wycofywać, aż jego pięty wyczuły schody, z których o mały włos nie spadł. Znajdował się w wąskiej klatce schodowej, prowadzącej w dół.

Szedł po omacku, bezskutecznie szukając innych otworów w ścianach. Kiedy uświadomił sobie, że nie jest już w domu, ale głęboko pod nim, kroki w korytarzu na górze ucichły.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Conan wędrował po omacku przez ciemny, cichy korytarz, obawiając się, że w każdej chwili może wpaść do niewidocznego dołu; ale w końcu ponownie natrafił na schody i wszedł po nich, aż doszedł do drzwi. Znalazł metalowy uchwyt i wszedł do mrocznego, wyniosłego pokoju o olbrzymich rozmiarach. Fantastyczne kolumny stały w szyku wzdłuż cętkowanych ścian, podtrzymując sufit, który niebotycznie wysoki, a zarazem prześwitujący i ciemny, wyglądał jak pochmurne, nocne niebo. Z każdym promieniem wpadającego z zewnątrz światła sufit zmieniał się intrygująco.

W blasku budzącego się dnia Conan ruszył po nagiej zielonej podłodze. Komnata była okrągła. Prowadziły do niej wielkie brązowe drzwi. Na wprost nich, na piedestale pod ścianą, stał miedziany tron. Kiedy Conan zobaczył, co leży na nim zwinięte w kłębek, cofnął się szybko, unosząc bułat.

Ale istota na tronie nie poruszyła się, zatem kozak postanowił się jej przyjrzeć. Wszedł po prowadzących na piedestał szklanych schodach. Był to olbrzymi wąż, wyrzeźbiony, jak się zdawało, w jadeitowej masie. Każda łuska wyglądała jak prawdziwa, a i barwa gada była niemal naturalna. Wielka głowa w kształcie klina spoczywała w głębi zwojów, nie było zatem widać ani oczu, ani szczęk bestii. Conan znał to zwierzę. Wąż ewidentnie miał przedstawiać jednego z ponurych potworów bagien, które dawno temu zamieszkiwały zarośnięte trzcinami brzegi południowych brzegów Vilayet. Ale i one, podobnie jak złoty leopard, wyginęły setki lat wcześniej. Conan widział je na prymitywnych rycinach w chatach Yuetschich; opisywano je także w Księdze Skelos, która bazowała na prehistorycznych źródłach.

Conan spoglądał z podziwem na gruby i prężny, pokryty łuskami grzbiet oraz na imponujące rozmiary gada. Wyciągnął w zaciekawieniu dłoń i położył ją na rzeźbie. Kiedy to uczynił, serce prawie w nim zamarło. Lodowaty chłód zmroził krew w żyłach, a włosy zjeżyły mu się na karku. Nie wyczuwał bowiem gładkiej powierzchni szkła, metalu czy kamienia, ale mięsiste ciało żywego stworzenia. Poczuł, jak pod jego palcami powoli pulsuje krew.

Cofnął dłoń z instynktownym wstrętem. Miecz drżał w jego rękach, a przerażenie, odraza i strach niemal zwały go z nóg. Wycofał się ostrożnie po szklanych schodach, z fascynacją w oczach obserwując śpiącą na miedzianym tronie, nieruchomą istotę.

Doszedł do brązowych drzwi i pchnął je z całej siły, pocąc się ze strachu na myśl, że mogą być zamknięte, a on zostanie tu, uwięziony sam na sam z tym oślizgłym gadem. Ale wrota ustąpiły. Prześlizgnął się przez nie i zamknął za sobą.

Znalazł się w wielkim korytarzu o wysokich, ozdobionych gobelinami ścianach, oświetlonym tym samym nikłym brzaskiem poranka, co sprawiało, że odległe przedmioty były niewyraźne i wzbudzało w nim niepokój, że czają się tam węże, prześlizgujące się niewidocznie wśród mroku. W zwodniczej poświacie drzwi po drugiej stronie korytarza zdawały się odległe o całe mile. W jego pobliżu jeden z gobelinów zwisał tak, że można było domyślić się, że jest za nim jakieś przejście. Conan odchylił go ostrożnie i odkrył prowadzące w górę, wąskie schody.

Kiedy zastanawiał się, co zrobić, usłyszał dochodzący z opuszczonego właśnie wielkiego pokoju znajomy, posuwisty krok. Czy ktoś podążał za nim korytarzem? Wspiął się szybko po schodach, zasuważąc za sobą gobelin.

Wyszedł na kolejny, kręty korytarz i otworzył pierwsze napotkane drzwi. Z pozoru tylko błąkał się bez sensu. Miał bowiem dwojaki cel: po pierwsze uciec z budynku i znaleźć się jak najdalej od jego tajemnic, po drugie, znaleźć nemedyjską dziewczynę, która, jak czuł, była uwięziona gdzieś w tym pałacu, świątyni, czy cokolwiek to było. Sądził, że był to wielki budynek z kopułami w centrum miasta, zamieszkały prawdopodobnie przez władcę tego miejsca, do którego bezsprzecznie trafiła pojmana kobieta.

Nie znalazł się w kolejnym przedsionku, ale w innej komnacie i już miał cofnąć się po własnych śladach, kiedy usłyszał głos dobiegający zza jednej ze ścian. Nie było w niej drzwi, ale kiedy podszedł bliżej, usłyszał go wyraźniej. Mroźny dreszcz przebiegł mu po plecach. Język był nemedyjski, ale głos nie był ludzki. Brzmiało w nim jakieś straszliwe echo, jak dźwięk dzwonnicy.

– Jedynym życiem w Otchłani było to, które tchnięto we mnie – grzmiał głos. – Nie było tam też światła, żadnego ruchu, ani dźwięku. Impuls mej ślepej, nierozsądnej acz nieuchronnej podróży nadawała tylko pogoń za

życiem. I tak, wiek za wiekiem, piąłem się przez kolejne poziomy ciemności...

Zafascynowany dudniącym głosem Conan przykucnął, zapomniawszy o wszystkim innym. Jego hipnotyczna moc spowodowała, że barbarzyńca nie był już pewien ni swojego rozsądku, ni percepcji. Przestał słyszeć głos, czuł teraz tylko rytmiczne pulsacje. Opuścił ciało i przeniósł się poza swój czas. Ujrzał przemiany stworzenia nazywanego przez ludzi Khosatralem Khelem, który wypełził z Mroku i Otchłani wieki temu, aby ucieleśnić się w materialnym świecie.

Ludzkie kształty nie były jednak na tyle pojemne, by zmieścić straszliwą esencję, którą był Khosatrał Khel. Stał więc na nogi w kształcie przypominającym człowieka, ale jego ciało nie było ciałem, kość nie była kością, a krew krwią. Stał się bluźnierstwem przeciw całej naturze, powołał bowiem do życia, myśli i czynów substancję, która nigdy przedtem nie zaznała bicia serca żywego stworzenia.

Przemierzał świat jako bóstwo, gdyż nie mogła go osiągnąć żadna ludzka broń, a wiek był dlań krótki jak godzina. W swych wędrówkach napotkał prymitywny lud, zamieszkujący wyspę Dagonię. Mocą swojego kaprysu dał mu kulturę i cywilizację. Z jego pomocą członkowie plemienia wybudowali miasto Dagon i zamieszkali tam, czcząc Khosatrała. Jego słudzy byli dziwni i ponurzy, wywołani z mrocznych zakątków planety, w których wciąż czały się ocalałe z zapomnianych wieków istoty. Jego dom w Dagonie był połączony ze wszystkimi pozostałymi siecią tuneli, którymi kapłani o wygolonych głowach przynosili mu ofiary z ludzi.

Po wielu wiekach na brzegach morza pojawili się dzicy i prymitywni ludzie. Nazywali się Yuetshi. Zostali pokonani w dzikiej bitwie i zniewoleni. Przez całe pokolenie umierali na ołtarzach Khosatrała.

W kajdanach utrzymywała całe plemię jego magia. Wtedy ich kapłan, dziwny, chudy człowiek nieznaney rasy, zbiegł w dzicz, a kiedy powrócił, przyniósł ze sobą nóż z nieziemskiej substancji – meteoru, który przemknął po niebie jak płonąca strzała i spadł w dalekiej dolinie. Niewolnicy wzniesili powstanie. Ich sztylety o ostrych zębach wyrznęły ludzi w Dagonie niczym bydło, a magia Khosatrała była bezsilna wobec nieziemskiego ostrza. Kiedy nad ulicami unosił się czerwony dym, a rzeź pustoszyła miasto, pod tajemniczą kopułą w wielkiej komnacie z piedestałem, miedzianym tronem i o cętkowanych jak skóra węża ścianach, rozegrał się najbardziej ponury akt tego dramatu.

Kapłan Yuetschich wyłonił się samotnie z budynku. Nie zabił przeciwnika, ponieważ chciał utrzymać buntowniczych poddanych w ryzach pod groźbą wypuszczenia demona. Pozostawił Khosatrę leżącego na złotym piedestale z mistycznym nożem na piersi. Zakłęcie miało go trzymać bez życia i zmysłów aż po kres dni.

Ale minęły stulecia i kapłan umarł, wieże opuszczonego Dagonu zawaliły się, a Yuetschi zostali zdziesiątkowani przez plagi, głód i wojny. Ich niedobitki żyły w nędzy na wybrzeżu, a historia miasta Dagon ocalała tylko w niejasnych legendach.

Jedynie tajemnicza budowla nie została nadgryziona przez ząb czasu. Stała, dopóki nie uderzyła w nią przypadkowa błyskawica, a chciwość rybaka nie obudziła demona. Kiedy podniósł z piersi boga magiczny miecz, zdjął z niego zakłęcie. Khosatrę Khel na powrót stał się potężny. Pod wpływem kaprysu odtworzył miasto w takim kształcie, jaki miało przed jego upadkiem. Wzniósł wieże z zapomnianych od tysiącleci gruzów, a lud, który obrócił się w proch wieki temu, został przywrócony do życia.

Ale ci, którzy byli umarli, są żywi tylko w części. W ciemnych zaułkach ich dusz i umysłów śmierć nadal była obecna. Nocą ludzie z Dagonu bawili się i kochali, nienawidzili i świętowali, wspominając upadek Dagonu i własną zagładę jak ponury sen. Tkwili w zakłętej iluzji, czując fałsz swej egzystencji, ale nie zagłębiając się w istotę tego stanu rzeczy. Z nadejściem świtu zapadali w głęboki sen, aby podnieść się dopiero z nadejściem nocy, która jest siostrą śmierci.

Wszystko to rozciągało się przed wzrokiem barbarzyńcy jak potworna panorama, kiedy kulił się przy obitej gobelinami ścianie. Miał mętlik w głowie, a jego pewność siebie i wiara w zmysły zniknęły, pozostawiając samego w cienistym wszechświecie, przemierzonym przez zakapturzone postacie o makabrycznych mocach. Nagle jednak, przez dudniący głos, który triumfował nad prawami natury, w oparach szaleństwa przebił się histeryczny, kobiecy szloch.

Conan zerwał się na równe nogi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jehungir Agha czekał niecierpliwie w łodzi pośród trzciny. Minęła już ponad godzina, a Conan nie pojawił się. Niewątpliwie wciąż przemierzał wyspę w poszukiwaniu dziewczyny. Ale i inne podejrzenie przyszło do głowy Agha. Zakładając, że hetman pozostawił nieopodal wojowników, ci mogli nabrać podejrzeń i pójść sprawdzić, jakie są przyczyny jego długiej nieobecności. Jehungir wydał wiosłarzom rozkaz i długa łódź wyslizgnęła się spomiędzy sitowia, płynąc w stronę wyżłobionych schodów.

Pozostawiając pół tuzina mężczyzn w łódce, zabrał ze sobą resztę – dziesięciu potężnych łuczników z Khawarizmu w czubatych hełmach i pelerynach z tygrysiej skóry. Weszli pod drzewa z napiętymi łukami, jak myśliwi wkraczający na terytorium lwa. W lesie panowała cisza, tylko zielony ptak przemknął nad ich głowami i zniknął wśród konarów. Nagłym gestem Jehungir zatrzymał swój oddział. Wszyscy stanęli, z niedowierzaniem patrząc na wieże, górujące nad koronami drzew.

– Na Tarima! – wymamrotał Jehungir. – Piraci odbudowali ruiny! Niewątpliwie Conan tam jest. Musimy to sprawdzić. Ufortyfikowane miasto w tej odległości od lądu! Chodźcie!

Bardzo ostrożnie przemknęli między drzewami. Zasady się zmieniły – teraz nie byli już myśliwymi, ale szpiegami.

Kiedy czołgali się przez splecione zarośla, mężczyzna, którego szukali, stał w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, które w żaden sposób nie mogło równać się z tym, jakie niosły ich lekkie strzały.

Conan trzęsąc się jak osika, zdał sobie sprawę, że dudniący głos za ścianą ustał. Stał bez ruchu jak posąg, ze wzrokiem utkwionym w przesłonięte kotarami drzwi, zza których, wiedział to, wyjdzie zaraz najstraszliwszy potwór.

W komnacie panował półmrok. Zobaczył, jak głowa i para gigantycznych ramion wyłaniają się z gasnącego poranka. Barbarzyńcy na jego widok włos zjeżył się na głowie. Nie słyszał kroków, ale wielka, ciemna postać stawała się coraz bardziej wyraźna, aż Conan mógł rozpoznać w niej ludzką postać, odzianą w sandały, szatę i szeroki szagrynowy pas. Prosto przycięte włosy były przepasane złotym okręgiem.

Patrzył na ruch potwornych ramion, oddech falującej piersi, zwoje mięśni na jego torsie i członkach. Na twarzy nie malowały się żadne uczucia, a oczy przypominały dwie kule ciemnego ognia. Conan zrozumiał, że był to Khosatral Khel, starożytny demon z Otchłani, bóg Dagonii.

Nie padło ani jedno słowo. Khosatral rozwarł wielkie ramiona i Conan, skurczony pod nim, dźgnął olbrzyma w brzuch. Odskoczył, zdumiony, bowiem ostrze zadzwoniło tylko na potężnym ciele jak na kowadło, nie zadając żadnych ran. Wtedy Khosatral z całą siłą ruszył do natarcia.

Walczący błyskawicznie zwarli się w morderczym uścisku, kłębili się i kotłowali przez krótką chwilę, Conanowi jednak jakimś cudem udało się uwolnić ze śmiertelnego splotu. Każdy jego mięsień drżał po nadludzkim wysiłku. Krew płynęła z rozdartego żelaznymi palcami ciała. Barbarzyńca wiedział, że ma do czynienia z szalonym wybrykiem natury – nie walczył z człowiekiem, a istotą z ożywionego diabelskimi siłami metalu...

Khosatral górował nad wojownikiem w półmroku. Kiedy jego wielkie palce zacisną się na ciele Conana, nie popuszczą, dopóki nie ujdzie zeń życie. W szarej poświacie poranka zdawało się, że to koszmarna walka człowieka z potwornym sennym widziadłem.

Odrzucając bezużyteczny miecz, Conan podniósł ciężką ławę i rzucił nią z całej siły. Niewielu mężczyźni zdołaloby podnieść tak ogromny mebel, który jednak roztrzaskał się w drobne drzazgi na mocarnej piersi Khosatrala. Olbrzym nawet nie zachwiał się na szeroko rozstawionych nogach. Jego twarz straciła ludzki wygląd, a wokół przerażającej głowy igrała aureola ognia. Natarł na wojownika, jak sunąca wieża.

Conan desperackim szarpnięciem zerwał ze ściany kilka gobelinów i zwijając je z wielką siłą, rzucił na głowę olbrzyma. Khosatral szarpnął się, przyduszony i oślepiiony przylegającą tkaniną, która opierała się jego sile bardziej niż drewno czy żelazo. Barbarzyńca pochwycił bułat i wyskoczył na korytarz. Rzucił się do drzwi przyległej komnaty i zaryglował je za sobą.

Kiedy się odwrócił, stanął jak wryty i krew uderzyła mu do głowy. Za stertą jedwabnych poduszek kulila się dziewczyna, dla której powążył się na tak wiele. Złote włosy spływały po jej nagich ramionach, wzrok nieprzytomny był z przerażenia. Prawie zapomniał o deptającym mu po piętach kosmarze, dopóki rozdzierający huk za nim nie przywrócił mu poczucia rzeczywistości. Złapał dziewczynę i skoczył w kierunku drzwi po przeciwnej stronie. Bezsilna od przejmującego ją strachu, nie mogła ani

stawiać oporu, ani mu pomóc. Nikły skowyt był jedynym dźwiękiem, jaki mogła z siebie wydać.

Conan nie marnował czasu na próby otwarcia drzwi. Gruchoczące uderzenie jego bułatu wyrąbało zamek. Kiedy wpadł na schody, które wyłoniły się za drzwiami dojrzał, jak głowa i ramiona Khosatrala przebijały się przez wrota naprzeciw. Kolos rozdzierał masywne panele jak płachty pergaminu.

Kozak pognał w górę schodów, niosąc dziewczynę pod pachą z taką łatwością, jakby była dzieckiem. Nie miał pojęcia, dokąd zmierza. Schody kończyły się u drzwi do okrągłej komnaty z kopulastym sklepieniem. Khosatral podązał za nimi, cicho i szybko jak śmiertelny wiatr.

Ściany komnaty zbudowano z litego żelaza, podobnie jak jej podwoje. Conan zamknął je i wstawił na miejsce wielkie kraty, w które były zaopatrzone. Poraziła go myśl, że znajdowali się w komnacie Khosatrala, tam gdzie odpoczywał od potworów, które wypuścił z lochów, by wypełniały jego wolę.

Ledwie umieścił rygiel na swoim miejscu, kiedy wielkie wrota zadrżały pod natarciem olbrzyma. Wzruszył ramionami. To był koniec wędrówki. W pomieszczeniu nie było innych drzwi ani okien. Powietrze i dziwne, zamglone światło dochodziły najpewniej z otworów w kopule. Dotknął wyszczerbionego ostrza swego bułatu. Spokojnie przyjął fakt, że znalazł się w potrzasku. Zrobił, co mógł, aby uciec. Kiedy olbrzym przejdzie przez podwoje, natrze nań kolejnym, dzikim szturmem z bezużyteczną bronią w dłoni. Wiedział, że to nic nie da, ale nie zwykł poddawać się bez walki. Miał zatem chwilę spokoju.

Spoglądał na dziewczynę wzrokiem tak pożądlivym i pełnym uwielbienia, jakby miał przed sobą sto lat życia. Bez ceregieli rzucił ją na podłogę. Kiedy odwrócił się, by zaryglować wrota, kobieta uklękła, machinalnie poprawiając kaskadę loków i skąpe odzienie. Dzikie oczy Conana błysnęły z aprobatą, pożerając jej wspaniałą postać – złote włosy, jasne, szerokie oczy, mleczną, zdrową skórę, jędrne zaokrąglenia piersi, kontur wspaniałych bioder...

Krzyknęła, kiedy drzwi znów się zatrzęsły, a rygiel ustąpił ze zgrzytem.

Conan nawet się nie obejrzał. Wiedział, że wrota nie wytrzymają dłużej.

– Słyszałem, że uciekłaś – powiedział. – Yuetszański rybak mówił mi, że ukryłaś się tutaj. Jak masz na imię?

– Oktawia – westchnęła dziewczyna. Przyłgnęła do ramienia barbarzyńcy, a jej słowa popłynęły wartkim strumieniem. – Na Mitrę! Co to za koszmar... Ludzie... Ciemnoskórzy ludzie... Jeden z nich złapał mnie w lesie i przyniósł tutaj... Przynieśli mnie... Do tego... Do tego... Czegoś. Powiedział mi... Powiedział... Czy ja oszalałam? Czy to sen?

Kozak spojrział na drzwi, które wyrzuszyły się do wewnątrz jak po uderzeniu tarana.

– Nie – powiedział. – To nie sen. Zawiasy puszczają. Dziwne, że ten demon musi wyważać drzwi jak zwykły człowiek. Ale mimo wszystko jego siła sama w sobie jest diabelska.

– Czy nie możesz go zabić? – wykrztusiła. – Jesteś silny.

Conan był zbyt uczciwy, by ją okłamać.

– Gdyby śmiertelnik mógł go zgładzić, dawno byłby martwy – odparł. – Wyszczerbilem moje ostrze na jego brzuchu.

Jej oczy zmatowiały.

– W takim razie musisz zginąć, a ja... Na Mitrę! – zakrzyknęła w nagłej gorączce.

Pochwycił jej rękę w obawie, że może zrobić sobie krzywdę.

– On powiedział, co ma zamiar mi zrobić – wydusiła. – Zabij mnie! Zabij mnie swoim mieczem, zanim wyważy drzwi!

Conan spojrział na nią i potrząsnął głową.

– Zrobię, co w mojej mocy – powiedział. – Nie będzie to wiele, ale dam ci szansę, byś minęła go i pobiegła w dół schodów. Uciekaj z miasta w stronę klifów. U stóp schodów zostawiłem przywiązaną łódkę. Jeśli tylko wyjdiesz z pałacu, wciąż możesz mu uciec. Wszyscy ludzie w tym mieście pogrążeni są we śnie.

Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach. Conan podniósł bułat i ruszył naprzeciw nieuniknionego. Choć czekał na śmierć, jego oczy zapłonęły żywiej, a muskularna dłoń zacisnęła się na rękojeści. To było wszystko, co mógł zrobić.

Zawiasy puściły pod straszliwym naporem olbrzyma i wrota zakołysały się szaleńczo, utrzymywane już tylko przez zasuwę. Wszystkie kraty z litej stali były tak powyginane, że wyskoczyły z nasad. Conan patrzył na to wszystko niemal z fascynacją, zazdroszcząc potworowi jego nadludzkiej siły.

Nagle atak ustał bez wyraźniej przyczyny. Conan usłyszał inne hałasy na zewnętrznym dziedzińcu: odgłos skrzydeł i dźwięk podobny do skrzywienia

wiatru wśród nocnych gałęzi, po czym nastąpiła śmiertelna cisza, ale w powietrzu unosiło się już coś nowego. Tylko wyostrzony instynkt barbarzyńcy podpowiedział mu, że władcy Dagonu nie było już za drzwiami, nie widział bowiem, jak odchodzi.

Spojrzał przez wyłamane drzwi. Podest był pusty. Odsunął powyginane żelastwo. Khosatrała nie było na schodach, ale dużo niżej usłyszał brzęk metalu. Nie wiedział, czy olbrzym planuje nowe okropności, czy też został wezwany gdzie indziej. Nie chciał jednak tracić czasu na przypuszczenia.

Zawołał Oktawię. Nowy ton jego głosu postawił ją na nogi.

– Co się dzieje? – wykrztusiła.

– Nie ma czasu na gadanie – złapał ją za nadgarstek. – Chodź!

Ten nagły zwrot akcji odmienił Conana. Jego oczy płonęły, głos stał się skrzekliwy.

– Nóż – wymamrotał, niemal ciągnąc dziewczynę w dół po schodach w szalonym pośpiechu. – Magiczne ostrze Yuetschich! Zostawił je w budynku. Ja...

Jego głos zamarł nagle, kiedy przypomniał sobie gmach przylegający do wielkiego pokoju, w którym stał miedziany tron... Oblał się potem. Jedyna droga do magicznego ostrza prowadziła przez pomieszczenie, gdzie drzemał wielki wąż.

Nie wahał się jednak. Zbiegli po schodach, przeszli przez komnatę, zeszli po kolejnych schodach i znaleźli się w wielkim, przyćmionym korytarzu z tajemniczymi zasłonami. Kolosa nigdzie nie było. Zatrzymując się przed wielkimi drzwiami o skrzydłach z brązu, Conan złapał Oktawię za ramiona i potrząsnął nią gwałtownie.

– Słuchaj! – warknął. – Wejść do środka i zatrzasnę wrota. Ty tu zostań. Jeśli nadejdzie Khosatrał, zawołaj mnie, a kiedy usłyszysz, że krzyczę i każę ci uciekać, biegnij, jakby sam diabeł deptał ci po piętach, co zresztą pewnie będzie prawdą. Pędź do drzwi na drugim końcu sieni. Ja będę za nimi i pomogę ci. Idę po nóż Yuetschich!

Zanim zdołała zaprotestować, on już wślizgnął się do sąsiedniej komnaty i zatrzasnął za sobą podwoje. Nie pomyślał, że od zewnątrz także można je otworzyć. W mglistym świetle dnia Conan szukał wzrokiem ponurego miedzianego tronu. Pokryta łuskami obrzydliwa bestia wciąż tam leżała. Dojrzał drzwi za tronem i wiedział, że to one wiodą do gmachu. Ale żeby do nich dojść, musiał wejść na piedestał, parę kroków od samego tronu.

Wiejący przez pomieszczenie wiatr byłby głośniejszy niż zakradający się Conan. Nie spuszczać gada z oka, podszedł do piedestału i wszedł po szklanych schodach. Wąż nie poruszył się. Podchodził już do drzwi...

Zasuwa w brązowych drzwiach szczęknęła i Conan zdławił potworne przekleństwo, kiedy ujrzał, jak Oktawia wchodzi do komnaty. Rozejrzała się wokół niepewnie, a on stał jak skamieniały, nie ważąc się ostrzec jej krzykiem. Wtedy dostrzegła jego cienistą postać i podbiegła do piedestału, krzycząc:

– Chcę iść z tobą! Boję się zostać sama...

Nagle ze strasliwym krzykiem wyrzuciła w górę ramiona na widok zwiniętej na tronie bestii. Wtedy trójkątna głowa uniosła się ponad zwojów i rzuciła w kierunku dziewczyny, na jard wyciągając lśniąca szyję.

Wąż gładkim, płynnym ruchem zaczął spływać z tronu, a jego wielkie ślepie wpatrywały się w Oktawię.

Jednym desperackim susem Conan pokonał przestrzeń dzielącą go od tronu i zamachnął się z całej siły bułatem, ale wąż był szybszy. Odwrócił się błyskawicznie i owinął ciało wojownika. Kozak tylko zdołał drasnąć pokryty łuskami brzuch, po czym upadł na piedestał.

Gad wił się na szklanych schodach i zaciskał kolejne pętle powoli dusząc i miażdżąc barbarzyńcę. Jego prawe ramię wciąż było wolne, ale w objęciach bestii nie mógł zadać morderczego ciosu, a wiedział, że musi wystarczyć tylko jeden. Żyły Conana były tak nabrzmięte, że niemal eksplodowały mu w skroniach. Jednak ostatkiem sił naprężył ściśnięte mięśnie i stanął na nogi, dźwigając niemal cały ciężar długiego na czterdzieści stóp diabła.

Przez chwilę chwiał się na szeroko rozstawionych nogach, czując, jak żebra wpijają mu się w organy, a wzrok mętnieje. Zdołał jednak unieść bułat, który błysnął mu nad głową i opadł, tnąc łuski, mięso i kręgosłup gada. Rozplątał bestię na dwie części, wijące się we wciekłej agonii. Conan uchylił się chwiejnie przed ich ślepych uderzeniami. Czuł zawroty głowy i był bliski omdlenia, z nosa popłynęła mu krew. Idąc przed siebie na oślep, złapał Oktawię i potrząsnął nią tak mocno, że dziewczyna straciła dech.

– Kiedy następnym razem powiem ci, byś gdzieś została – wystękał – masz tam zostać!

Był zbyt oszołomiony, by usłyszeć jej odpowiedź. Biorąc ją za rękę, jak niegrzeczną dziewczynkę, poprowadził obok strasliwego truchła, które

wciąż wiło się na podłodze. Gdzieś z dali zdawał się słyszeć jakieś krzyki, ale wciąż jeszcze szumiało mu w uszach, więc nie mógł być tego pewien.

Drzwi ustąpiły pod jego naporem. Khosatral chciał, by wąż pilnował magicznego sztyletu, bowiem jego siła napęłniała go strachem. Kozak spodziewał się kolejnej bestii za drzwiami, ale ujrzał tylko niewyraźne, łukowate sklepienie, błyszczący matowo wielki blok złota i połyskujące, zagięte ostrze.

Zabrał sztylet z pomrukiem zadowolenia i nie tracąc czasu, pobiegł w dół wielkiego korytarza w kierunku odległych wrót, podejrzewając, że wiodą na zewnątrz. Miał rację. Parę minut później był już na pustej ulicy, ciągnąc, a właściwie niosąc swoją towarzyszkę. Nie było widać nikogo, ale z zachodniego muru dobiegały krzyki i jęki, które wstrząsnęły Oktawią. Poprowadził ją do prowadzących na ogrodzenie kamiennych schodów. Znalazł je bez trudu. Z wielkiego korytarza wziął gruby sznur z gobelinów, owinął go wokół bioder dziewczyny, kiedy dotarli na szczyt muru i ostrożnie opuścił ją na drugą stronę ogrodzenia. Potem, przywiązując jeden koniec liny do filaru balustrady, zsunął się za nią. Była tylko jedna droga ucieczki z wyspy: schody na zachodnich klifach. Pobiegli w ich kierunku, omijając szerokim łukiem miejsce, z którego dochodziły krzyki i dźwięki śmiertelnej walki.

Oktawia poczuła, że w gąszczu liści czai się ponure niebezpieczeństwo. Ciężko oddychając, przyłgnęła do swego opiekuna. Ale las był teraz cichy i nie ujrzeli ani śladu zagrożenia, dopóki nie wyszli spomiędzy drzew i nie dostrzegli postaci stojącej na brzegu klifów.

Jehungir Agha uciekł przed zagładą, która dosięgła jego wojowników, gdy żelazny olbrzym wyszedł nagle z bram i porozrywał ich na strzępy. Kiedy zobaczył, jak miecze jego ludzi łamały się niczym zapałki na tym podobnym człowiekowi monstrum wiedział, że nie walczą z przeciwnikiem z krwi i kości, i zbiegł, ukrywając się w głębokim lesie, dopóki nie ustały odgłosy rzezi. Wtedy poczołgał się na powrót w kierunku schodów, ale jego wioślarze nie czekali już na niego. Usłyszeli bowiem krzyki i dojrzeli na klifie uwalanego krwią potwora, wymachującego w geście obrzydliwego triumfu olbrzymimi ramionami. Zaczęli wiosłować w pośpiechu. Kiedy Jehungir dotarł na klify, znikali właśnie między trzciniami i nie mogli już go usłyszeć. Khosatrala nie było już na brzegu – albo wrócił do miasta, albo błąkał się po lesie w poszukiwaniu człowieka, który uciekł przed nim poza mury.

Jehungir miał właśnie zejść po schodach, by zabrać łódź Conana, kiedy zauważył, jak hetman i dziewczyna wyłaniają się spomiędzy drzew. Mrozące krew w żyłach doświadczenie, które prawie pozbawiło go rozumu, nie zmieniło jednak zamiarów, jakie Jehungir miał wobec wodza kozaków. Widok śmiertelnego wroga nappełnił go satysfakcją, niemniej był zdumiony, ujrawszy dziewczynę. Oddał ją przecież Jelalowi Khanowi. Ale nie tracił na nią czasu. Podniósł łuk, wycelował w głowę barbarzyńcy i wypuścił strzałę z cięciwy. Conan pochylił się, strzała roztrzaskała się na drzewie, a on się tylko roześmiał.

– Psie! – ubliżał mu. – Nie możesz mi nic zrobić! Nie urodziłem się, by umrzeć od hyrkańskiego żelaza! Spróbuj jeszcze raz, turańska świni!

Jehungir nie miał więcej strzał, więc ruszył naprzód z uniesionym bułatem, ufając swojemu czubatemu hełmowi i kolczudze o ciasnym splocie kółek. Conan wybiegł mu na spotkanie. Zagięte ostrza spotkały się w szaleńczym i oślepiającym wirze. Uderzenia były zbyt szybkie, by ogarnąć je wzrokiem. Oktawia też nie mogła ich dostrzec, ale słyszała straszliwy chrzęst metalu i w końcu zobaczyła, jak Jehungir pada z rozplatanym bokiem. Cymmeryjska stal rozdarła jego kolczugę i zgruchotała kręgosłup.

Ale krzyk Oktawii nie był reakcją na śmierć jej dawnego pana. Z trzaskiem łamanych gałęzi stanął nad nimi Khosatral Khel. Dziewczyna nie mogła uciec; wydała z siebie tylko jęk grozy, kolana odmówiły jej posłuszeństwa i padła bez siły na trawę.

Conan pochylił się nad ciałem Agha. Nie próbował uciekać. Przerzucając swój skrwawiony bułat do lewej ręki, dobył wielki sierp Yuetschich. Khosatral Khel górował nad nim z ramionami wzniesionymi do góry jak młoty, ale kiedy dostrzegł magiczny sztylet, cofnął się.

Kozakowi krew buzowała w skroniach. Ruszył do ataku. Ostrze Yuetschich nie rozpadło się – zagłębiało się w metalowym korpusie Khosatrala, jak zwykły topór w ludzkim ciele. Z głębokiego rozcięcia buchnęła dziwna posoka i rozległ się wrzask demona, podobny do lamentu wielkiego dzwonu. Jego straszliwe ramiona usiłowały osiągnąć Conana, ale ten był szybszy niż łucznicy, którzy zginęli w straszliwej masakrze. Uniknął ciosu i uderzał raz za razem. Khosatral zachwiał się. Jego potworne krzyki napawały przerażeniem – brzmiało to, jakby metal miał zdolność odczuwania bólu, a poddawane torturom żelazo jęczało.

Nagle potwór odwrócił się i ruszył chwiejnie w stronę lasu. Przedzierał się przez krzewy i wyrwał drzewa. I chociaż Conan podążył za nim, gnany gorącą pasją, Khosatral dotarł do murów miasta, zanim mężczyzna zdołał zbliżyć się do niego na odległość ciosu.

Olbrzym odwrócił się ponownie, młóćąc powietrze desperackimi ciosami, ale Conan, rozpalony szaloną furją, nie zamierzał sobie odmawiać. Jak pantera powala osaczonego łosia, tak on rzucił się pod wielkie ramiona podobne do maczug i zagłębił wygięty sztylet aż po samą rękojeść w miejscu, w którym u normalnego człowieka znajduje się serce.

Khosatral zachwiał się i upadł, ale to, co leżało na piasku nie miało już ludzkiej formy. Twarz zniknęła całkowicie a metalowe członki uległy straszliwej przemianie... Conan, którego nie przerażał wygląd żywego Khosatrala, cofnął się na widok jego truchła, stał się bowiem świadkiem straszliwej transformacji: w śmiertelnych drgawkach Khosatral Khel na powrót przybrał postać demona, który wypełził z Otchłani przed tysiącami lat. Krztusząc się pod wpływem nieznośnego wstrętu, odwrócił się, aby uciec przed tym widokiem. I nagle zdał sobie sprawę, że iglic Dagonu nie ma już między drzewami. Wszystko – wieże obronne, strzelnice, aksamity, złoto, kość słoniowa, a także ciemnowłose kobiety i mężczyźni o ogolonych głowach – rozpląnęło się jak dym. Skoro wygasła demoniczna magia, dzięki której zrodzili się na nowo, oni także obrócili się w proch, gdyż w rzeczywistości byli martwi już od niezliczonych stuleci. Tylko kikuty zrujnowanych kolumn wznosiły się ponad wałące się ściany, połamane chodniki i pozostałości pysznych budowli. Przed Conanem znów widniało znane mu gruzowisko wyspy Xapur.

Dziki hetman stał przez jakiś czas jak posąg, nie do końca pojmując cokolwiek z kosmicznej tragedii rodzaju ludzkiego, który jest tak bezsilny wobec tajemniczych sił ciemności. W końcu usłyszał z oddali wołanie przerażonej istoty. Drgnął, jak ktoś obudzony właśnie ze snu, spojrzął raz jeszcze na truchło demona, otrząsnął się i zwrócił w stronę klifów, gdzie czekała na niego dziewczyna.

Z niepokojem wypatrywała go w gęstwinie i kiedy się wreszcie pojawił, przywitała zdławionym okrzykiem ulgi. Otrząsnął się z ponurych i potwornych wizji, które ogarnęły go przed chwilą i znów był sobą – wspaniałym i dzikim barbarzyńcą.

– Gdzie on jest? – wzdrygnęła się.

– Z powrotem w Piekło, z którego wychynał – odparł Conan pogodnie. – Dlaczego nie zeszłaś po schodach i nie zabrałaś mojej łodzi?

– Nie mogłam... – zaczęła. Po krótkiej chwili dodała nadąsanym tonem:

– Nie mam dokąd iść. Hyrkańczycy zniewoliliby mnie znowu, a piraci...

– A co z kozakami? – zasugerował.

– Uważasz, że są lepsi od piratów? – zapytała pogardliwie.

Conan z podziwem patrzył, jak szybko odzyskała dawną formę po tak strasznych przeżyciach. Rozbawiła go jej arogancja.

– Tak chyba myślałaś w obozie przy Ghori – odparł. – Chociaż uśmiechy rozdawałaś całkiem hojnie.

Czerwone usta wydeły się pogardliwie.

– Myślisz, że się w tobie zadurzyłam? Sądzisz że zhańbiłabym się przed żłopiącym piwo i rozrywającym gołymi rękoma pieczyste barbarzyńcą, gdybym nie musiała? Zmusił mnie do tego mój pan, którego ciało tu leży.

Conan przez chwilę wyglądał na zmartwionego, ale potem roześmiał się serdecznie.

– To już nieważne. Teraz należysz do mnie. Daj mi buziaka.

– Jak śmiesz prosić... – zaczęła gniewnie, lecz poczuła, że traci grunt pod nogami.

Hetman przygniatał ją do muskularnej piersi. Walczyła z nim dziko, z całą siłą wspaniałego, młodego ciała, ale on tylko śmiał się donośnie, upojony posiadaniem tego wciąż miotającego się stworzenia.

Łatwo przełamał ten opór, spijając nektar z jej ust z całą nieskrępowaną pasją, dopóki ramiona dziewczyny nie zmiękły i nie owinęły się konwulsyjnie wokół jego masywnej szyi. Uśmiechnął się wtedy do niej i powiedział:

– Dlaczego przywódca Wolnych Ludzi miałby być gorszy od wykarmionych w mieście psów turańskich?

Odrzuciła do tyłu włosy, wciąż jeszcze drżąc na wspomnienie ognia jego pocałunków. Nie poluźniła jednak uścisku.

– Czy uważasz się za równego Jehungirowi? – spytała wyzywająco.

Roześmiał się i poniosł ją w ramionach w kierunku schodów.

– Sama to ocenisz! Zmienię Khawarizm w płonąca pochodnię, aby oświetlić ci drogę do mego namiotu.

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(sierpień 1934) pod tytułem *The Devil in Iron*

LUDZIE CZARNEGO KRĘGU

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ŚMIERĆ UDERZA W KRÓLA

Król Vendii umierał. Przez duszną i gorącą noc niósł się dźwięk świątynnych gongów oraz niski, posępny śpiew konch. Słabe echo tego zawodzenia dochodziło do komnaty o złotej kopule, w której Bhunda Czand bezskutecznie walczył ze śmiercią, leżąc na łożu wyściełanym aksamitnymi poduszkami. Smągła skóra króla lśniła od potu, a palce bezradnie szarpały przetykaną złotymi niciami pościel. Był jeszcze tak młody; nie zraniono go włócznią, nie wypił zatrutego wina. Mimo to ciało miał poznaczone sinymi węzłami żył, a w oczach czaiło się piętno nadchodzącego końca. U podnóża podwyższenia, na którym stało jego łoże, klęczały strwożone niewolnice, a Devi Jasmina, królewska siostra, stale doglądała brata, pochylając się nad cierpiącym z miłością i przestraczem w oczach. Towarzyszył jej wazam, nobliwy szlachcic, wierny przyjaciel królewskiej rodziny.

Gdy po raz kolejny komnatę wypełniło złowróżbne dudnienie odległych bębnow, Devi Jasmina gwałtownym ruchem podniosła głowę.

– Niech będą przekłęci kapłani i jazgot, jaki czynią! – wykrzyknęła w gniewie i rozpacz. – Nie są wiele mądrzejsi od tych wszystkich bezużytecznych medyków pijawek, którzy nie potrafią pomóc memu bratu. On umiera i nikt nie wie dlaczego, a ja stoję przy jego łożu bezradna jak dziecko. Ja! Devi Jasmina, królewska siostra, która bez wahania spaliłaby całe miasto do gołej ziemi i przelała krew tysięcy, byle go ocalić!

– Każdy mieszkaniec Ajodii chętnie umarłby za niego, gdyby to tylko ocaliło królewskie życie, Devi – odparł szlachcic. – Ta trucizna...

– Mówię ci, że go nie otruto! – krzyknęła. – Już od narodzin strzeżono go tak dobrze, że nawet najlepsi i najzręczniejsi truciciele Wschodu nic nie wskórali. Pięć czaszek bielejących na Wieży Latawców jest dowodem, że próbowano. Daremnie. Przecież doskonale wiesz, że dziesięciu mężczyzn i dziesięć kobiet ma tylko jedno zadanie: próbowanie każdej potrawy i kropli wina, zanim mój brat weźmie je do ust. Pięćdziesięciu uzbrojonych po zęby strażników pilnuje jego komnat w dzień i w nocy – tak jak teraz. Nie, drogi wazamie, to nie trucizna – to czarna magia...

Umilkła natychmiast, nie dokończywszy myśli, bowiem król ledwie słyszalnym szeptem przemówił. Posiniałe, spierzchnięte wargi nie poruszyły się, a w szklistych oczach nie płonął drobny nawet ogień świadomości, lecz mimo to jego głos wzniósł się w upiornym krzyku, niewyraźnym i cichym, jakby król ostatkiem sił przyzywał ją z niezmiernych, smaganych wiatrem głębi poza czasem i przestrzenią.

– Jasmino! Jasmino! Siostrzyczko, gdzie jesteś? Nie mogę cię znaleźć. Wokół mnie tylko ciemność i wycie wiatru!

– Braciszku! – zawołała Devi, konwulsyjnym ruchem chwytając bezwładną dłoń. – Jestem tu, przy tobie! Nie poznajesz mnie...

Jasmina urwała na widok obojętności malującej się na twarzy brata. Z jego ust wydobył się cichy, bełkotliwy jęk. Niewolnice u stóp podwyższenia zajęczały ze strachu, a Jasmina rozpaczła z bezradności.

W innej części miasta pewien człowiek stał na balkonie oparty o fantazyjnie wykutą balustradę i patrzył na długą ulicę, oświetloną mdłym światłem dymiących pochodni, ukazujących smagłe twarze o lśniących białkach oczu wpatrzone w nocne niebo. Tysiące ludzi zebranych na ulicach zawodziło przeciągle, przeczuwając nadchodzącą śmierć ich władcy.

Mężczyzna obojętnie wzruszył ramionami i wrócił do komnaty ozdobionej misternie wykonanymi arabeskami. Był wysoki, muskularny oraz bogato odziany.

– Król jeszcze nie umarł, a już na ulicach słychać pieśni pogrzebowe – rzekł do innego mężczyzny, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na macie w kącie pomieszczenia. Ten miał na sobie brązową szatę z wielbłądziej wełny, proste sandały a na głowie zielony turban. Beznamiętnie spojrzał na mówiącego.

– Ludzie wiedzą, że nie doczeka poranka – odparł.

Bogato odziany mężczyzna obrzucił go przeciągłym, badawczym spojrzeniem.

– Nie pojmuję – powiedział – dlaczego musiałem tak długo czekać, by twoi mistrzowie uderzyli. Skoro potrafili zabić króla teraz, dlaczego nie mogli zamordować go kilka miesięcy wcześniej?

– Bo sztuką, którą ty nazywasz magią, rządzą prawa kosmosu – odparł spokojnie człowiek w zielonym turbanie. – To gwiazdy kierują takimi

sprawami, zresztą tak samo, jak wszystkim innym. Nawet moi mistrzowie nie mogą i nie potrafią tego zmienić. Nekromancja mogła zadziałać dopiero wtedy, gdy gwiazdy znalazły się na niebie we właściwym położeniu.

Długim, poplamionym paznokciem zaczął kreślić na marmurowej posadzce skomplikowane konstelacje.

– Przypatrz się uważnie. Taka pozycja Księżyca na sferze źle wróży królowi Vendii; wśród gwiazd duże zawirowania, Wąż wchodzi do Domu Słonia. W takim położeniu niewidzialni strażnicy opuszczają duszę Bhundy Czanda. Z niewidzialnych królestw do naszego świata prowadzą teraz nowe drogi, a nam udało się znaleźć dobry punkt kontaktu i potężne, ciemne moce powędrowały tymi ścieżkami.

– Punkt kontaktu? – zdziwił się drugi mężczyzna. – Masz na myśli ten kosmyk włosów króla?

– Tak. Wszystkie części ludzkiego ciała pozostają ze sobą w magicznej styczności. Kapłani Asura od dawna to podejrzewali, tak zatem kierując się ostrożnością spopielają obcięte włosy, paznokcie i inne resztki pochodzące od królewskiej rodziny, a popiół starannie ukrywają. Bhunda Czand raz jeden uczynił wyjątek od tej reguły. Podarował pukiel swoich czarnych, długich włosów nieszczęśliwie w nim zakochanej księżniczce Kosali; zresztą długo i usilnie musiała go o to prosić. Trzymała ten pukiel w złotym, wysadzonym drogocennymi klejnotami puzderku, ukrytym pod poduszką, na której śpi każdej nocy. Kiedy moi mistrzowie postanowili o losie króla, najęli najlepszych złodziei, a ci podmienili pukiel na inny tak zręcznie, że nieszczęsna zakochana nie zauważyła różnicy. Drogocenna przesyłka przebyła z karawaną wielbłądów długą drogę do Peszkauri i przez przełęcz Zaibar, aż w końcu dotarła do rąk tych, którzy jej potrzebowali.

– Niewiarygodne – mruknął szlachcic. – Zaledwie kilka włosów...

– ...dzięki którym można wyssać duszę z ciała i rzucić ją w bezdenną otchłań ciemności – dokończył mężczyzna siedzący na macie.

Szlachcic przyglądał mu się z ciekawością.

– Nie wiem, czy jesteś człowiekiem, czy demonem, Khemso – powiedział w końcu. – Mało kto z nas jest jednak tym, na kogo wygląda. Kszatrijasi znają mnie jako Kerim Szaha, księcia Iranistanu, a przecież jestem takim samym oszustem, jak większość ludzi. Jednak to bez znaczenia, bowiem tak czy inaczej wszyscy ludzie są zdrajcami, a połowa z nich nie ma zielonego pojęcia, komu tak naprawdę służy. Na szczęście ja

nie mam takich dylematów, bo jestem wiernym sługą władcy Turanu – Jezdigerda.

– A ja Czarnych Magów z Imszy – rzekł Khemsa. – I powiem ci, że moi panowie są potężniejsi od twego króla, bowiem swoją magią dokonali tego, czego on nie potrafił, stojąc na czele wielotysięcznej armii.

Ponad dachy miasta wznosił się żałosny jęk zrozpaczonych mieszkańców, a posepny woli ryk setek konch rozdzierał panującą wokół noc.

W pałacowych ogrodach płomienie pochodni odbijały się w polerowanych hełmach gwardzistów, tańczyły na ostrzach ich zakrzywionych mieczy, dodawały blasku złoconym napierśnikom. Wszyscy szlachetnie urodzeni wojownicy Ajodii zebrali się w pałacu lub w jego pobliżu, a przy każdej z nisko sklepionych bram i przy każdych bogato zdobionych drzwiach pełniło wartę pięćdziesięciu łuczników, gotowych przeszyć strzałą kogokolwiek podejrzanie wyglądającego. Byli jednak bezsilni wobec cichego i nieuchronnego pochodu śmierci przez pałacowe korytarze oraz komnaty. Król umierał i nikt nie mógł nic na to poradzić.

W komnacie o złotym sklepieniu król krzyknął ponownie, gdy pazury nieopisanego bólu po raz kolejny szarpnęły jego ciałem. Głos miał znów słaby, a brzmiał on, jakby umierający nawoływał z daleka. Devi Jasmina pochyliła się nad bratem, drżąc z lęku, którego źródłem było coś gorszego niż cień śmierci.

– Jasmino! – rozległ się znowu suchy, pełen cierpienia okrzyk z mrocznych otchłani. – Pomóż mi! Jestem tak daleko od naszego domu. Czarnoksiężnicy zaciągnęli mą duszę w nieodgadnione ciemności, pośród których wyje wiatr nienawiści. Starają się ze wszystkich sił przerwać srebrną nić, która jeszcze łączy mnie z dogorywającym ciałem. Otaczają mnie... Ich długie ręce są jak szpony, a ich oczy czerwone jak ognie tańczące w ciemności. Ocal mnie, siostrzyczko! Ich dotyk pali jak płomień. Zniszczą moje ciało. Powiodą duszę na zatracanie. A cóż to przywiedli przed moje oblicze? O, wszechmocny Asurze...

Słyszac w głosie brata trudne do pojęcia przerażenie Jasmina krzyknęła rozdzierająco i przypadła do jego piersi w rozpacz. Ciałem króla wstrząsały co chwila potworne dreszcze, na wykrzywionych w grymasie

cierpienia ustach pojawiła się piana, a zaciskające się spazmatycznie palce boleśnie wpijały się w ramiona dziewczyny, zostawiając na nich wyraźne ślady. Nagle w jego oczach na powrót zakwitło życie. Spojrzał na siostrę przytomnie.

– Braciszku! – zaszlochała dziewczyna. – Braciszku...

– Prędko, siostrzyczko! – jęknął, a w jego głosie pojawiła się dobrze jej znana nuta rozsządku. – Już wiem, co jest powodem mej zguby. Odbyłem daleką, przerażającą podróż i zrozumiałem wszystko. To czarnoksiężnicy z Himelii i ich czarna magia przywiodą mnie do zguby. Sobie tylko znanymi sposobami wyszarpali moją duszę z ciała i powiedli ją daleko, w bezmierne otchłanie wprost do kamiennej komnaty. Tam usiłowali zerwać srebrną nić życia i uwięzić moją duszę w ciele odrażającego monstrum przyzwanego z samego dna piekła. Ach! Czuję ich siłę i nienawiść! To twoja rozpacz, łzy i dotyk sprowadziły mnie z powrotem, ale tylko na chwilę. Moja dusza desperacko trzyma się ciała, lecz ta więź słabnie z każdym moim oddechem. Szybko, zabij mnie, zanim ci przekłęci magowie na zawsze uwięzją mnie w tej czeluści!

– Braciszku, ale ja nie mogę... – załkała, bijąc się w piersi.

– Jasmino, rozkazuję ci! – w słabnącym szepcie zabrzmiały nuty dawnego, nieznoszącego sprzeciwu tonu. – Zawsze byłaś mi posłuszna, wypełnij więc ostatnie życzenie umierającego! Poślij mą czystą duszę na słodkie łono Asura! Spiesz się, bo inaczej z twojej winy czarnoksiężnicy zamkną ją po wsze czasy w cielsku ohydnej maskary! Zabij mnie, Jasmino! Rozkazuję ci i... proszę. Zabij!

Z rozpaczliwym, pełnym bólu krzykiem Devi wyrwała z pasa nabijany klejnotami sztylet i z całą siłą zatopiła go aż po rękojeść w piersi brata. Ten wyprężył się, po chwili jego ciało zwiotczało, a na umęczonej twarzy pojawił się ponury uśmiech. Jasmina rzuciła się na wyściełaną sitowiem posadzkę, tłukąc o nią w złości i gniewie zaciśniętymi pięściami. Na zewnątrz grzmiały gongi i wyły konchy, a kapłani ranili swe ciała miedzianymi nożami.

ROZDZIAŁ DRUGI

BARBARZYŃCA Z GÓR

Czunder Szan, gubernator Peszkauri, odłożył złote pióro i uważnie przeczytał list napisany na pergaminie, noszącym pieczęć jego urzędu. Trwał na stanowisku od tak dawna, bowiem niezwykle starannie ważył każde napisane czy wypowiedziane słowo. Niebezpieczeństwo jest matką rozwagi, a tylko ktoś rozważny i ostrożny mógł przeżyć długie lata w tym dzikim kraju, którego rozpalone słońcem równiny Vendii stykały się z sięgającymi ku niebu górami Himelii. Wystarczyło konno pokonać kilka mil na północ lub zachód, by przekroczyć granicę cywilizowanego świata i znaleźć się w górach. A w nich rządziło bezwzględne prawo miecza.

Gubernator był w komnacie sam. Siedział za pięknie rzeźbionym, bogato inkrustowanym stołem z hebanu, a dzięki temu mógł podziwiać cudnie spokojne, usiane białymi gwiazdami himeliańskie niebo, patrząc na nie przez szerokie, otwarte dla ochłody okno. Zewnętrzny marmurowy parapet kładł się długim cieniem na przylegającym do ściany, zatopionym w mrokach nocy, murze obronnym zwieńczonym blankami, a rozsiane w strategicznych punktach obrony ambrazury ginęły na tle granatowoczarne nieba. Forteca gubernatora w pełni zasługiwała na to miano; zbudowana poza murami miasta strzegła wiodącej do niego drogi. Razem z ożywczym wietrzykiem, muskającym kunsztownie wykonane tapiserie zawieszane na ścianach, do komnaty dochodziło słabe echo codziennego życia mieszkańców Peszkauri – fragmenty smętnych pieśni i dźwięki cytr.

Gubernator powoli i z uwagą raz jeszcze przeczytał napisany przez siebie list, osłaniając dłonią oczy przed migotliwym światłem wykonanej z brązu lampki i bezgłośnie poruszając wargami. Pograżony w lekturze słyszał stukot końskich kopyt za barbakanem i ostre staccato głosu strażnika, żądającego podania aktualnego hasła. Nie zwrócił na to uwagi, bo co chwila żołnierze pełniący wartę kogoś okrzykiwali. List był przeznaczony dla wazama Vendii na królewskim dworze Ajodii i po zwyczajowych, grzecznościowych formułkach brzmiał następująco:

Niech Wasza Ekscelencja wie, że wiernie wypełniłem wszystkie instrukcje Waszej Ekscelencji. Tych siedmiu pojmanych watażków górskich plemion zamknąłem w dobrze strzeżonym peszkauryjskim więzieniu i raz za razem ślę wieści do ich współplemieńców, iż oczekuję, że ich wódz przybędzie osobiście, by negocjować warunki uwolnienia więźniów. W odpowiedzi człowiek ów zaczął rozgłaszać wszem wobec, że jeżeli nie uwolnię pojmanych, to on spali Peszkauri do gołej ziemi i, przepraszam Waszą Ekscelencję za brutalność opisu, pokryje sobie siodło moją skrwawioną skórą. Wiem, że jest zdolny do podjęcia takiej próby, dlatego potroiłem strażę na murach. Wiem także, że nie jest rodowitym Gulistańczykiem. Nie próbuję nawet odgadnąć, co ów człowiek uczyni. Skoro jednak takie jest wyraźne życzenie Devi...

Gubernator nagle zerwał się z inkrustowanego krzesła i w jednej chwili stanął przy nisko sklepionych drzwiach. Sięgnął po zakrzywiony miecz, spoczywający na stole. I czekał.

Osobą, która tak raptownie przerwała Czunder Szanowi czytanie listu, okazała się kobieta. Jej delikatna jedwabna szata nie zakrywała ani olśniewających bogactwem ozdób, ani gibkiego, ponętnego ciała. Opadając poniżej piersi, przejrzystą woalkę upiętą miała do włosów opasanych potrójnym złotym warkoczem i ozdobionym złotym półksiężycem. Ciemne oczy spojrzały za woalki na zdumionego gubernatora. Alabastrowa dłoń władczy gestem odsłoniła twarz.

– Devi?!?

Tylko tyle zdołał wykrzyknąć gubernator i natychmiast przyklęknął przed swoją władczynią. Szok i zdumienie popsuły efekt uroczystego hołdu należnego władcom Vendii. Kobieta zdawkowym gestem kazała mu wstać. Pospiesznie zaprowadził ją do fotela z kości słoniowej cały czas dbając, by być pochylonym w głębokim ukłonie. Ale jego pierwsze słowa nie brzmiały służalczo, wręcz przeciwnie.

– Wasza Wysokość, na samego Asura! To w najwyższym stopniu nierozsądne! Wręcz... nonszalanckie. Mamy rozliczne problemy na granicy! Nieustannie nękają nas mieszkańcy gór. Ciągłe napady, rozboje i grabieże. Wasza Wysokość, mam nadzieję, przybyła w odpowiedniej eskorcie?

– Tak, przybyłam do Peszkauri dobrze chroniona – odparła. – W mieście zostawiłam moich ludzi i przybyłam tutaj w towarzystwie mej służki imieniem Jitara.

Czunder Szan jęknął przerażony.

– Na litość, Devi! Najwyraźniej nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji. O godzinę jazdy stąd w górach roi się od barbarzyńców, dla których porwania i morderstwa są znakomitym źródłem dochodów. Bywało już i tak, że na drodze między miastem a fortem, którą tak beztrąsko tu przybyłaś, porywano kobiety i mordowano mężczyzn. Pamiętaj, że Peszkauria to nie jest południowa prowincja...

– A jednak siedzę tu cała i zdrowa – przerwała mu władczyni lekko zirytowana i nie przyzwyczajona do takiego zachowania poddanego. – Pokazałam mój sygnet strażnikowi przy bramie oraz temu, strzegącemu drzwi twojej komnaty. Jak widzisz, pozwolili mi wejść bez zapowiedzi, nie znając mnie. Najwyraźniej uznali, że jestem tajnym posłańcem z Ajodii. Nie marnujmy więcej czasu na czcze pogaduszki o moim bezpieczeństwie. Jakie masz wieści od wodza barbarzyńców?

– Prócz gróźb i przekleństw to żadnych. On jest ostrożny i podejrzliwy. Uważa, że zastawiłam na niego pułapkę i wcale mu się nie dziwię. Prawda jest taka, że Kszatrijasi rzadko kiedy dotrzymywali obietnic składanych ludziom gór.

– On musi przyjąć moje warunki, gubernatorze! Po prostu musi! – przerwała mu Jasmina zaciskając pięści, aż zbieleły jej palce.

– Wasza Wysokość wybaczy, ale nic z tego nie rozumiem – Czunder Szan bezradnie potrząsnął głową. – Kiedy złapałem tych siedmiu barbarzyńców, zgodnie w obowiązującym prawem od razu powiadomiłem wazama. I wtedy się zaczęło... Otrzymałem wyraźny rozkaz, by wstrzymać ich egzekucję, choć kat przygotował już szubienicę. Co więcej, miałem natychmiast rozpocząć starania, by porozumieć się z ich wodzem. Oczywiście rozkaz wypełniłem, ale on, jak już mówiłem, zachowuje rezerwę, jakby go mało obchodził los więźniów. Może przyczyną jego zachowania jest to, że oni pochodzą z plemienia Afgulisów, a on jest tu kimś obcym. Podobno przybył z Zachodu. Ludzie zwą go Conanem. Zagroziłem, że całą siódemkę powieszę jutro o świcie, jeśli nie przybędzie na spotkanie ze mną.

– Znakomicie! – wykrzyknęła Devi. – Podjąłeś słuszną decyzję. A teraz ci powiem, dlaczego wydałam takie, a nie inne rozkazy. Mój brat... –

powiedziała nagle zduszonym głosem, skrywającym ogrom jej cierpienia i urwała.

Gubernator pochylił głowę w zwyczajowym geście szacunku dla zmarłego władcy. Devi po chwili otrząsnęła się z zamyślenia i mówiła dalej.

– Król Vendii padł ofiarą czarnej magii. Złożyłam uroczystą przysięgę, że poświęcę życie, by ukarać jego morderców. Tuż przed śmiercią brat naprowadził mnie na pewien ślad, którym podążyłam. Przeczytałam świętą Księgę Skelos i rozmawiałam z bezimiennymi pustelnikami z jaskiń Jelai. Teraz już wiem, jak i przez kogo został zamordowany. Wszystkiemu winni są Czarni Magowie z góry Imsza.

– O, wszechmocny Asurze! – szepnął poblady nagle Czunder Szan.

– Boisz się ich?

– A któż się ich nie obawia, Wasza Wysokość? – odpowiedział. – To przekłete mroczne demony zamieszkujące odludzia w górach za przełęczą Zaibar. Wielu mędrców twierdzi jednak, że oni rzadko wpływają na losy zwykłych śmiertelników.

– Tym razem zrobili wyjątek – syknęła ze złością Devi. – Nie wiem, dlaczego zabili mojego brata, ale przyrzekłam na ołtarzu Asura, że zniszczę ich co do jednego! Dlatego potrzebuję pomocy barbarzyńców zamieszkujących himelijskie góry. Inaczej moja armia nigdy nie dotrze nawet w pobliże Imszy.

– Co prawda, to prawda – mruknął gubernator. – Każdą pokonaną miłą musielibyśmy okupić dziesiątkami, a może i setkami martwych żołnierzy. Ci zarośnięci górale rzucaliby na nasze głowy głazy z każdego wzniesienia. W każdej dolinie zgotowaliby nam krwawą łaźnię, aż ostrza ich długich noży stepiłyby się na naszych czaszkach. Turańczycy już raz przedarli się przez góry Himelii, lecz ilu z nich powróciło do Kurusunu? Niewielu z tych, którzy umknęli spod kszatrijaskich mieczy, kiedy król, twój brat, rozprawił się z ich jazdą nad rzeką Jumdą, znów cieszyło się słońcem Sekunderamu.

– I dlatego właśnie muszę podporządkować sobie plemiona mieszkające wzdłuż granicy – powiedziała. – Ludzi, którzy zaprowadzą mnie na Imszę.

– Nie zapominaj Wasza Wysokość, że oni panicznie boją się Czarnych Magów i omijają tę przeklętą górę z daleka – przerwał jej Czunder Szan.

– Czy ich wódz, ten Conan, też trzęsie portkami ze strachu przed Czarnymi Magami? – spytała.

– Skoro już o to pytasz – mruknął gubernator – to wątpię, czy istnieje cokolwiek na tym świecie, co mogłoby przestraszyć tego wcielonego demona.

– W składanych mi raportach coś o tym wspomiano. Zatem to jest człowiek, którego szukam i potrzebuję. Dlatego właśnie z nim muszę pertraktować. Chce uwolnienia swych siedmiu ludzi? Bardzo dobrze! Ceną za to będą głowy Czarnych Magów!

Jej ostatnie słowa ociekały jadem i nienawiścią, a wypowiadając je mimowolnie zacisnęła ręce w pięści. Stojąc dumnie z uniesioną głową i falującymi w gniewie piersiami wyglądała jak doprowadzona do ostateczności bogini zemsty.

Czunder Szan na ten widok natychmiast znowu przyklęknął, wiedział bowiem, nauczony doświadczeniem, że kobieta targana takim huraganem emocji jest równie niebezpieczna i nieprzewidywalna dla wszystkich wokół, co wściekła i ślepa kobra. Zwłaszcza jeśli jest władczynią potężnego królestwa.

– Będzie tak, jak Wasza Wysokość sobie życzy – powiedział to takim tonem, żeby jego królowa nie miała żadnych wątpliwości, że tak się właśnie stanie, a kiedy ochłonęła trochę, wstał i pozwolił sobie na słowa ostrzeżenia: – Nie mogę przewidzieć, co uczyni Conan. Górale zawsze sprawiali kłopoty i byli nieobliczalni, a teraz dodatkowo mam powody, by sądzić, że za ich nasilającymi się ostatnio atakami na nasze granice stoją turańscy emisariusze. Zapewne Wasza Wysokość wie, że Turańczycy, choć założyli na północy Sekunderam i inne miasta, to ciągle nie okiełznali górskich plemion. Jezdigerdowi marzy się podbój południa i nie wykluczam, że zdradą zamierza osiągnąć to, czego nie zdołał dokonać swoją armią. Rozważam możliwość, że ten Conan może być jednym z jego szpiegów.

– Zobaczymy – odparła. – Jeśli zależy mu na swoich ludziach, to rano powinienś zobaczyć go pod bramą, by rokować ich uwolnienie. Spędzę tę noc w gościnnych progach twojej fortecy. Przybyłam do Peszkauri w przebraniu, a moja eskorta zadomowiła się w gospodzie, nie w pałacu. Oprócz nich, tylko ty wiesz o mojej obecności.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – odparł pospiesznie gubernator, bezbłędnie wyłapując groźbę czającą się w wypowiedzi władczyni. – Pozwól, że osobiście odprowadzę cię do twojej komnaty.

Kiedy wyszli na korytarz, skinął na stojącego przed drzwiami wartownika, a ten dumnie prezentując broń ruszył za nimi. Przed komnatą gubernatora czekała też służka, zawołowana tak samo jak jej pani. Szli szerokim, krętym korytarzem, oświetlonym przez kopjące pochodnie. Po chwili dotarli do komnat przeznaczonych dla wizytujących fortecę ważnych gości, w większości generałów i wicekrólów, bo jak do tej pory nikt z członków królewskiej rodziny nie zaszczylił jeszcze fortecy swoją obecnością. Instynkt polityka i znawcy dworskich konwenansów podpowiadał Czunder Szanowi, że komnata w żadnym razie nie jest odpowiednia dla jego władczyni, ale innej nie było. Doceniał starania Devi, by w jej obecności czuł się swobodnie, odetchnął jednak z ulgą, gdy go wreszcie odprawiła. Wyszedł kłaniając się nisko. Postawił na nogi całą służbę w forcie, by zatroszczyła się o znamienitego gościa i – choć nikomu nie zdradził, kim jest – postawił przed jej drzwiami cały oddział wartowników uzbrojonych po zęby, a wśród nich i żołnierza, który pilnował jego własnej komnaty. W całym tym zamieszaniu zapomniał zastąpić go innym.

Nie minęło wiele czasu od chwili, gdy Jasmina odprawiła gubernatora, kiedy przypomniała sobie, że chce z nim porozmawiać o jeszcze jednej sprawie. Chodziło o niejakiego Kerim Szaha, szlachcica z Iranistanu, który pomieszkiwał kilka miesięcy w Peszkauri zanim przybył na dwór w Ajodii. Mgliste podejrzenia co do tego człowieka wybuchły z nową siłą, gdy Devi tej nocy zobaczyła jego twarz na jednej z ulic Peszkauri. Zastanawiała się, czy aby przypadkiem nie podążał jej śladem z Ajodii. Jasmina faktycznie była niezwykłą Devi, dlatego zamiast wezwać do siebie gubernatora, postanowiła odwiedzić go w komnacie. Wyszła na korytarz i sprężystym krokiem pospieszyła w kierunku jego gabinetu.

Czunder Szan, wróciwszy od Devi, gdy tylko przekroczył próg komnaty, podszedł do stołu, wziął napisany do wazama list i podarł go na drobne kawałki. Wtem usłyszał jakiś dziwny stłamszony szmer na parapecie za oknem. Zdziwiony podniósł wzrok i na tle usianego białymi gwiazdami himeliańskiego nieba dostrzegł ogromną i niewyraźną sylwetkę. Do komnaty zwinnie jak kot wskoczył mężczyzna. W świetle kaganka błysnęło nagie ostrze, widomy znak, że nie jest to kurtuazyjna wizyta.

– Ani mru mru! – syknął ostrzegawczo intruz. – Bądź cichutko, bo inaczej za chwilę twoja dusza będzie rządzić potępieńcami w piekle!

Gubernator kątem oka sprawdził, czy zdoła sięgnąć po leżący na stole miecz. Niespodziewany gość stał jednak zdecydowanie za blisko, by próbować samobójczych akcji, tym bardziej, że wszyscy w prowincji znali straszliwą szybkość mieszkańców gór i zwinność, z jaką potrafili posługiwać się ostrymi jak brzytwa handżarami.

Intruz był wysokim, silnie zbudowanym mężczyzną, a jego ruchy świadczyły także o wielkiej zwinności. Nosił na sobie typowy strój barbarzyńców z gór, lecz jego ogorzała od słońca skóra, posępne rysy twarzy, a przede wszystkim płonące niebieskie oczy nie pasowały do ubioru. Czunder Szan nigdy nie widział kogoś takiego. Mężczyzna na pewno nie urodził się ani nie wychował w górach Himelii, musiał pochodzić z Zachodu. Jednak ze sposobu w jaki się zachowywał, można było wysnuć wniosek, że ma naturę równie dziką i nieprzewidywalną, co długowłosi mieszkańcy wyżyny Gulistanu.

– Zakradłeś się tutaj po nocy, jak pospolity złodziej – skomentował gubernator, odzyskując trochę rezonu, chociaż doskonale pamiętał, że w pobliżu nie ma żadnego strażnika. Pocieszała go jednak myśl, że napastnik nie mógł o tym wiedzieć.

– Wspiąłem się na mur bastionu – warknął intruz. – Strażnik był tak łaskawy, że w samą porę wystawił głowę nad blanki, bym mógł w nią stuknąć rękojęścią handżara.

– Ty jesteś Conan?

– A któż by inny? Rozsyłałeś wokół wieści, że chcesz, abym przybył i paktował z tobą. No to, na Croma, jestem! Trzymaj się z dala od stołu albo cię wybebeszę!

– Chcę tylko usiąść – odparł gubernator, ostrożnie opadając na fotel z kości słoniowej, który odsunął od stołu. Conan cały czas krążył czujnie po komnacie, raz po raz podejrzliwie spoglądając w kierunku drzwi i ostentacyjnie sprawdzając kciukiem ostrze swego długiego na trzy stopy noża. Chodził zupełnie inaczej niż Afgulisi i nie bawiąc się w konwenanse oraz dyplomację rzucił szorstko:

– Więzisz siedmiu moich ludzi. Zaoferowałem ci okup, którego nie przyjąłeś. Czego więc, u diabła, chcesz?

– Porozmawiajmy o pewnych... warunkach – odparł ostrożnie Czunder Szan.

– Warunkach? – w głosie Conana zadźwięczała niebezpieczna, gniewna nuta. – Jakież znowu warunkach? Czy nie zaproponowałem ci złota?

Czunder Szan roześmiał się.

– Złota? W Peshkhauri jest więcej złota, niż kiedykolwiek widziałeś.

– Jesteś kłamcą – zripostował barbarzyńca. – Zwiedziłem targ złotników w Kurusunie.

– No dobrze, więcej niż widzieli wszyscy twoi Afgulisi razem wzięci – poprawił się Czunder Szan. – A to jest tylko kropla w oceanie bogactwa Vendii. Dlaczego mielibyśmy żądać od ciebie złota? Większą korzyść przyniosłoby nam powieszenie tych siedmiu złodziei.

Conan zaklął szpetnie. Potężne mięśnie jego ogorzałych od słońca ramion napięły się jakby miały zaraz eksplodować gniewem, a błyszcząca klinga zadrżała w jego dłoni.

– Rozłupię ci czerep jak dojrzały melon!

W oczach barbarzyńcy zapłonęła dzika wściekłość, lecz Czunder Szan tylko wzruszył ramionami, spoglądając jednak z lękiem na wymierzone w siebie ostrze handzara.

– Z łatwością możesz mnie zabić, a pewnie i uciec. Pamiętaj, że to jednak nie pomoże więźniom. Moi ludzie natychmiast by ich powiesili. A to przecież przywódcy Afgulisów.

– Mam to na uwadze – warknął Conan. – Całe plemię ciosa mi kołki na głowie, że nie robię nic, by ich uwolnić. Powiedz wreszcie, prosto z mostu, czego chcesz, bo w innym razie, na Croma!, jeśli nie będzie innej drogi, to zwołam horde i poprowadzę ją pod same bramy Peshkauri!

Patrząc na tego stojącego przed nim z obnażonym handzarem w dłoni muskularnego barbarzyńcę, w te jego rozpalone gniewem niebieskie oczy, gubernator nie miał cienia wątpliwości, że ów człowiek jest do tego zdolny. Nie wierzył wprawdzie, by nawet najliczniejsza horda górali mogła sforsować mury miasta, ale nie uśmiechało mu się splądrowanie przez nich całej prowincji.

– Mam dla ciebie pewne zadanie – powiedział, dobierając słowa tak ostrożnie, jakby trzymał w ustach brzytwę. – Musisz oto...

Conan niespodziewanie wykrzywił wargi w jadowym grymasie, odskoczył w tył i odwrócił się twarzą do drzwi. Jego wyczulone ucho pochwyciło cichy odgłos odzianych w miękkie pantofle stóp na korytarzu. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do komnaty weszła władczym

krokiem smukła postać odziana w jedwabie. Zamknęła za sobą drzwi i stanęła jak zamurowana na widok Conana.

Czunder Szan zerwał się z fotela, a serce podeszło mu do gardła.

– Devi! – krzyknął bezwiednie, popełniając tym samym katastrofalny błąd.

– Devi?! – powtórzył za gubernatorem barbarzyńca.

Czunder Szan dostrzegł złowrogi błysk w oczach Conana i w mig pojął, co zamierza. Krzyknął rozpaczliwie i chwycił za miecz, ale wódz Afgulisów poruszał się z niszczycielską szybkością huraganu. Jednym susem doskoczył do gubernatora, huknął go w głowę ręką ręką handzara, powalając tym samym na podłogę, po czym muskularnym ramieniem zagarnął zaszokowaną Jasmine i skoczył do okna. Czunder Szan, rozpaczliwie próbując się podnieść, kątem oka dostrzegł go stojącego na parapecie okna na tle nocnego nieba wśród łopoczących jedwabnych szat i dziko wierzgającej Devi, próbującej wyrwać się z mocarnego uścisku.

– Ani mi się waż wieszać moich ludzi! – warknął triumfująco Conan, po czym skoczył na blanki i rozpląnął się w mrokach nocy. Do uszu gubernatora doszedł tylko oddalający się przeraźliwy pisk.

– Straże! Straże! – wrzasnął gubernator ile miał sił w płucach.

Wstał ciężko i słaniając się podbiegł do drzwi. Otworzył je z trudem i wytoczył się na korytarz. Echo jego wrzasków rozbrzmiewało wśród ścian, prowadzając w końcu żołnierzy, którzy osłupieli na widok zwierzchnika trzymającego się za rozbitą, zakrwawioną głowę.

– Lansjerzy na koń! Żywo! – ryczał. – Porwanie!

W całym tym szaleństwie zachował jeszcze na tyle dużo zimnej krwi, by nie wyjawiać całej prawdy. Stał jak wryty, słysząc tętent kopyt za oknem, przeraźliwe wrzaski Devi i triumfalny ryk Conana.

Pobiegł schodami w dół, prowadząc skołowanych żołnierzy. Na dziedzińcu fortu czekał już na niego przy osiodłanych koniach gotowy do pościgu, uzbrojony po zęby oddział lansjerów. Czunder Szan osobiście objął dowództwo nad szwadronem ścigającym porywacza, chociaż miał takie zawroty głowy, że musiał oburącz mocno trzymać się łąku siodła. Nie zdradził, kim była porwana kobieta; powiedział jedynie, że wódz Afgulisów podstępnie uprowadził vendyjską szlachciankę noszącą królewski sygnet. Co prawda porywacz rozpląnął się w ciemnościach, wiedzieli jednak, że mógł wybrać tylko jedną drogę, tę, która wiodła wprost do wylotu przełęczy Zaibar. Tarczę księżycy zasłoniły gęste chmury, blade światło

gwiazd wyławiało czarne kontury stojących wzdłuż drogi chat wieśniaków. Zostawili za sobą posępne plamy fortecznych bastionów i strzeliste wieże Peszkauri. Daleko przed nimi na horyzoncie majaczyły mroczne ściany himeliańskich gór.

ROZDZIAŁ TRZECI

KHEMSA UŻYWA MAGII

W zamieszaniu, jakie zapanowało w forcie, gdy gubernator wszczął alarm, nikt nie zauważył, że towarzysząca Devi służka wymknęła się przez wielką bramę i zniknęła w mroku nocy. Z podkasaną wysoko spódnicą pobiegła prosto do miasta. Nie podążyła jednak główną drogą, lecz wybrała skrót przez pola oraz pagórki, omijając płoty i przeskakując przez rowy irygacyjne z wprawą, której mógłby pozazdrościć jej niejeden doświadczony biegacz. Zanim dotarła do murów miasta, tętent koni peszkauryjskich lansjerów ucichł w odległym cieniu gór Himelii. Dziewczyna ominęła główną bramę, przy której strzegący jej, oparci o włócznie strażnicy z niepokojem wpatrywali się w mrok, próbując odgadnąć przyczynę panującego w forcie nagłego ożywienia. Potruchtała wzdłuż muru aż do miejsca, z którego mogła zobaczyć górującą nad blankami majestatyczną wieżę. Przyłożyła wtedy dłonie do ust i wydała z siebie cichy, dziwnie zduszony okrzyk.

W odpowiedzi, prawie natychmiast zza ambrazury wychyliła się czyjaś głowa, a po chwili spuszczone linę, która zakołysała się tuż przy dziewczynie. Ta złapała sznur, włożyła stopę w pętlę na końcu i zachęcająco pomachała ręką. Szybko i wprawnie wciągnięto ją na pionową, kamienną ścianę. Następnie służka z niemałym trudem wgramoliła się na blanki i stanęła na płaskim dachu domu, zbudowanego tuż przy majestatycznym murze obronnym otaczającym miasto. Przy otwartej tam kłapie mężczyzna w szacie z wielbłądziej wełny i zielonym turbanie bez pośpiechu zwijał linę, nie okazując przy tym żadnych oznak zmęczenia, mimo że właśnie wciągnął dorosłą kobietę na piętnastometrową ścianę.

– Gdzie jest Kerim Szah? – wysapała dziewczyna, zmęczona długim biegiem.

– Śpi na dole. Jakie przynosisz wieści?

– Conan porwał Devi z fortecy i uciekł z nią w góry! – wykrzyknęła, mało nie krztusząc się z przejęcia.

Twarz Khemсы pozostała niewzruszona, kiwnął zdawkowo owiniętą turbanem głową i powiedział:

– Kerim Szah będzie zadowolony, kiedy się o tym dowie.

– Czekaj! – dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję. Dyszała ciężko, nie tylko z wysiłku. Jej oczy płonęły w świetle gwiazd namiętnością niczym dwa czarne diamenty. Przysunęła swoją twarz do twarzy Khemсы, który przyjął co prawda niespodziewany dowód uczucia, ale go nie odwzajemnił.

– Nie mów nic Hyrkańczykowi! – wysapała. – Wykorzystajmy tę wiadomość dla siebie! Gubernator pognał na złamanie karku ze swoim szwadronem lansjerów w góry, ale przecież nie mają szans na dogonienie i złapanie barbarzyńcy; równie dobrze mogliby gonić za duchem po wielkiej pustyni. Chunder Shan nie zdradził, że porwaną kobietą jest sama Devi. W Peszkauri i w forcie wiemy o tym tylko my.

– Nie będziemy mieli z tej wiedzy żadnego pożytku! – zaprotestował mężczyzna. – Moi mistrzowie wysłali mnie z Kerim Szahem, abym mu pomagał w każdy...

– Najwyższa pora, abyś pomógł sobie! – krzyknęła z pasją. – Zrzuć wreszcie to jarzmo!

– To znaczy... mam wymówić posłuszeństwo moim panom? – wyjąkał z trwogą, a przytulona do niego dziewczyna poczuła, że całym jego ciałem wstrząsa zimny dreszcz.

– Tak! – potrząsnęła nim z furją, rozpalona emocjami. – Ty też jesteś magiem! Dlaczego masz być niewolnikiem i używać swojej mocy tylko po to, by służyła celom innych? Sam z niej korzystaj!

– Ależ to jest zakazane! – mężczyzna dygotał jak w febrze. – Nie należę do Czarnego Kręgu. Tylko na wyraźny rozkaz moich mistrzów mogę korzystać z umiejętności, które dzięki nim posiadam.

– Ale je posiadasz i możesz lepiej wykorzystać! – argumentowała z pasją dziewczyna. – Zrób to, o co proszę! To oczywiste, że Conan porwał Devi, by trzymać ją jako zakładniczkę i wymienić na tych jego siedmiu watażków. Zabij ich, a wtedy Czunder Szan nie będzie miał na kogo wymienić swej władczyni. Potem udamy się w góry i odbijemy ją z rąk Afgulisów. Ich noże będą bezużyteczne w pojedynku z twoją magią. A wtedy gubernator będzie musiał dać nam niezmierzone skarby vendiańskich królów. Okpiemy go oraz tych wszystkich kszatrijskich mądrali i sprzedamy Devi Jasminę władcy Turanu. Wyobraź sobie! Będziemy bogatsi niż w najśmielszych wyobrażeniach! Będziemy tak

bogaci, że najmiemy całą armię, a z nią zajmiemy najpierw Khorbul, potem wyrzniemy Turańczyków w górach i pošemy naszą armię na południe. Zostaniemy władcami imperium!

Khemsza owładnięty wizją dziewczyny też zaczął dyszeć, trzęsąc się w jej objęciach jak liść targany wiatrem. Wielkie krople potu spływały mu po poszarzałej nagle twarzy.

– Kocham cię! – krzyknęła przepełniona namiętnością, wijąc się w jego ramionach, dusząc go i mocno nim potrząsając. – Uczynię cię królem! Skoro z miłości do ciebie zdradziłam swoją panią, to ty, z miłości do mnie, zdradź swoich mistrzów! Czemu tak bardzo lękasz się Czarnych Magów? Zakochując się we mnie już złamałeś jedno z ich praw! Pójdź krok dalej i złam inne! Jesteś równie potężny jak oni!

Nawet człowiek z lodu nie wytrzymałby takiej lawiny namiętności i pasji. Z nieartykułowanym krzykiem Khemsza przycisnął dziewczynę do siebie i odchylając jej głowę do tyłu, zasypał deszczem pocałunków.

– Niech tak będzie! – powiedział tonem przepełnionym emocjami. Chwiał się jak pijany. – Moc, którą posiadałem dzięki moim mistrzom, będzie od tej pory służyła naszym, a nie ich, celom. Będziemy rządzić światem! Światem...

– Chodź więc! – wyslizgnęła się delikatnie z jego ramion, złapała go za rękę i poprowadziła w kierunku klapy w dachu. – Najpierw musimy sprawić, by gubernator nie miał kogo wymienić za Devi.

Khemsza poszedł za nią jak zahipnotyzowany. Zeszli po drabinie i znaleźli się w niepozornej komnacie. Kerim Szah leżał w niej nieruchomo na łożu, osłaniając twarz zgiętym ramieniem, jakby jego oczy raziło słabe światło zrobionej z brązu lampki. Dziewczyna dotknęła ramienia Khemсы i szybkim ruchem przesunęła dłonią po własnym gardle, sugerując, jaki los powinien spotkać śpiącego mężczyznę. Khemsza uniósł rękę, lecz nagle zmienił się wyraz jego twarzy. Potrząsnął przecząco głową.

– Jadłem jego sól – wymamrotał, cytując stare vendiańskie powiedzenie. – Zresztą on i tak nie może nam przeszkodzić.

Wyszedł z dziewczyną przez drzwi prowadzące na wąskie i kręte schody. Kiedy lekkie kroki ucichły, Kerim Szah podniósł się z łoża i otarł pot z twarzy. Nie lękał się ciosu noża, ale Khemсы bał się jak jadowitego gada.

– Spiskowcy od siedmiu boleści – mruknął. – Stojąc na dachu i planując zdradę powinni pamiętać o ściszeniu głosu, a nie trajkotać jak kupcy na targu. Skoro Khemsza zwrócił się przeciwko swoim mistrzom, a tylko za

jego pośrednictwem mogłem się z nimi kontaktować, nie mogę dłużej liczyć na ich pomoc. Od tej chwili muszę działać na własną rękę.

Wstał, energicznie podszedł do stołu, wyjął z za pasa pióro oraz pergamin i pewną ręką napisał kilka zwięzłych zdań:

Do Khosru Khana, gubernatora Sekunderam: Cymmeryjczyk Conan wprowadził Devi Jasminę do wioski Afgulisów. Nareszcie zdarza się sposobność pojmania Devi, czego od tak dawna żąda król. Wyślij natychmiast trzy tysiące jeźdźców. Będę na nich czekał z przewodnikiem w Dolinie Guraszah.

Gdy skończył, podpisał list imieniem, które w najmniejszym nawet stopniu nie przypominało imienia Kerim Szah. Następnie wyjął ze złotej klatki gołębia i cienkim złotym drucikiem umocował mu do nogi pergamin zwinięty w maleńki rulonik. Potem podszedł szybko do okna i wypuścił ptaka w noc. Skrzydlaty posłaniec zatrzepotał skrzydłami, złapał równowagę i zniknął w ciemności jak cień. Chwyciwszy w pośpiechu hełm, miecz i płaszcz, szlachcic z Iranistanu, który wcale nie był szlachcicem z Iranistanu, wybiegł z komnaty i zbiegł po krętych schodach.

Więzienie w Peszkauri było oddzielone od reszty miasta potężnym murem, za który prowadziła masywna, nisko sklepiona i okuta żelazem brama. Zawieszona nad nią pochodnia niemrawo oświetlała siedzącego w kucki wartownika uzbrojonego we włócznię i tarczę. Opierając czoło o drzewce swej broni mężczyzna ostentacyjnie od czasu do czasu ziewał. Nagle zerwał się na równe nogi, bowiem niemalże tuż przed jego nosem pojawił się mężczyzna noszący szatę z wielbłądziej wełny i zielony turban na głowie. Wartownik dałby sobie uciąć rękę, że nawet na chwilę nie przysnął, a jednak patrzył właśnie na kogoś, kogo nadejścia nie zauważył. Słabe światło pochodni rzucało na obcego głębokie cienie, tak że trudno było rozpoznać rysy jego twarzy. Ale za to oczy jarzyły się dziwnym, hipnotyzującym blaskiem.

– Stój! Kto idzie? – spytał groźnie żołnierz, nastawiając włócznię. – Kim jesteś?

Na obcym te słowa nie wywarły żadnego wrażenia, choć strażnik dla podkreślenia, że poważnie traktuje swoje obowiązki, przystawił mu do

piersi grot włóczni. Przybysz jedynie intensywnie wpatrywał się w żołnierza.

– Jakże otrzymałeś rozkazy? – spytał nagle.

– Mam strzec bramy! – odparł mechanicznie wojownik, stojąc bez ruchu jak posąg. Tępo i bez wyrazu wpatrywał się w mężczyznę z zielonym turbanem na głowie.

– Kłamiesz! Teraz to ja ci wydaję rozkazy! Popatrzyles mi w oczy i twoja dusza należy do mnie! Otwórz bramę!

Sztywno, jak drewniana figurka, strażnik odwrócił się, wyjął zza pasa wielki klucz, przekręcił go w masywnym zamku i szeroko otworzył bramę. Następnie stanął na baczność, patrząc przed siebie pustym wzrokiem.

Z cienia wysunęła się kobieta i niecierpliwie położyła szczupłą dłoń na ramieniu hipnotyzera.

– Niech przyprowadzi dla nas konie, Khemsa – szepnęła.

– Nie ma potrzeby – odparł mag i podnosząc nieznacznie głos powiedział do wartownika: – Nie jesteś już mi potrzebny! Zabij się!

Pogrążony w transie wojownik oparł koniec włóczni o ziemię przy murze i przyłożył wąski grot do swego brzucha tuż poniżej żeber. Wolno opadł na niego całym ciężarem. Ostrze przeszło na wylot i wyszło mu między łopatkami. Ciało ześlizgnęło się po drzewcu i z cichym łoskotem opadło na ziemię z włócznią sterczącą wysoko w górę, jak makabryczna, skąpana w krwi i wnętrznościach łodyga drzewa.

Dziewczyna nie mogła oderwać wzroku od tego krwawego popisu umiejętności jej kochanka, oglądając wszystko z chorą fascynacją, póki Khemsa nie chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą. Pochodnie oświetlały wąską przestrzeń między murem zewnętrznym a niższym, wewnętrznym, zaopatrzonym w szereg nieregularnie rozmieszczonych drzwi. Pełniący w tym rejonie więzienia służbę żołnierz podszedł do wolno otwierającej się bramy. Czuł się tak bezpiecznie, że niczego nie podejrzewał, aż do chwili, gdy ku jego zdziwieniu z panującego w przejściu półmroku wyłoniły się dwie sylwetki. Wtedy było już za późno. Khemsa nie tracił czasu na hipnotyzowanie mężczyzny, ale dziewczyna i tak była przekonana, że jest oto świadkiem kolejnego czaru. Strażnik przyjął postawę bojową z włócznią gotową do ataku i otworzył usta, by wszcząć alarm, który postawiłby na nogi całą załogę więzienia, sprowadzając mu do pomocy licznych żołnierzy z wartowni. Ale nie zdołał nic zrobić, bowiem Khemsa w jednym skoku przypadł do mężczyzny, lekko i bez wysiłku lewą ręką

odbił drzewce w bok, jakby to była słomka, prawą zaś zatoczył krótki łuk i od niechcienia musnął jego szyję. Efekt był natychmiastowy – strażnik runął na bruk prosto na twarz ze skrzyconym karkiem.

Khemsas nawet jednym spojrzeniem nie zaszczylił swojej ofiary. Podszedł do pierwszych z brzegi drzwi i położył otwartą dłoń na masywnym zamku z brązu. Drzwi ustąpiły z rozdzierającym uszy zgrzytem. Gdy dziewczyna do nich podeszła i przyjrzała się im z ciekawością, zobaczyła, że grube, tekowe drewno rozsypało się w drzazgi, a grube śruby i wielkie zawiasy są powyginane i popękane. Czterdziestu roślących drabów walących tysiącfuntowym taranem nie spowodowałyby większych zniszczeń. Upojony wolnością Khemsas korzystał ze swojej mocy z dziką pasją, ciesząc się nią, jak spuszczonego z ojcowskiej smyczy młody gigant tak naładowany siłą i energią, że posłany po wiadro wody, przyniósłby całe jezioro.

Wyłamane z framugi drzwi poprowadziły dwójkę spiskowców na mały dziedziniec, oświetlony pochodniami. Naprzeciw zobaczyli masywną, grubą kratę z żelaznych prętów, a jeden z nich ścisnął owłosioną i muskularną ręką. W celi dostrzegli białka błyszczących w ciemności oczu.

Khemsas przez chwilę stał bez ruchu, zimno spoglądając w ciemność, spośród której intensywnie przyglądały mu się pałające gniewem źrenice. Po chwili sięgnął za poły szaty i sypnął na bruk garść błyszczącego i mieniącego się wszystkimi kolorami tęczy pyłu. Tuż przed nim buchnął zielony płomień, rozświetlając mrok panujący na dziedzińcu i ukazując w pełni sylwetki siedmiu mężczyzn stojących nieruchomo za kratą – wysokich, barczystych, zarośniętych obszarpańców, których typowe stroje mieszkańców gór wisały na nich w strzępach. Żaden z nich się nie odezwał, kurczowo ścisnęli pręty kraty, a w ich oczach czaił się lęk, jakby przeczuwali dalszy bieg zdarzeń.

Tymczasem ogień zgasł, ale za sprawą magii Khemsasy, jego blask pozostał, zamieniając się na oczach więźniów w drżącą zielenią i pulsującą na bruku kulę. Pojmani watażkowie nie mogli od niej oderwać oczu. Kula wydłużała się z wolna, by w końcu przybrać formę jasno świecącej, wijącej się spirali dymu – ulotnego i nieuchwytnego wielkiego węża hipnotyzującego płynnymi ruchami swych morderczych splotów. Nagle ten magiczny dusiciel przekształcił się w cicho sunącą tuż nad powierzchnią bruku chmurę, zmierzającą prosto w kierunku kraty. Więźniowie obserwowali ten spektakl z szeroko otwartymi z przerażenia oczami i naraz

z desperacją napaarli na pręty krat. Z ich ust nie wydobył się żaden dźwięk. Tymczasem zielona chmura dotarła do ich celi, skrywając ją za nieprzeniknioną zasłoną. Przesączyła się przez kraty i spowiła mężczyzn. Z lepkich, gęstych kłębow dymu dobiegł jedynie zduszony skrzek, jakby pogrążającego się w wodnych odmętach człowieka. I to był koniec. Chwilę potem w celi zapadła głucha cisza.

Khemsas dotknął ramienia dziewczyny, przyglądającej się wydarzeniom z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Odwróciła się na pięcie i mechanicznym, sztywnym krokiem poszła za swym ukochanym, spoglądając przez ramię. Zielonkawa mgła już opadła. Tuż przy kracie dostrzegła parę obutych w sandały stóp, skierowanych w górę i niewyraźne zarysy siedmiu nieruchomych postaci.

– A teraz dosiędziemy wierzchowca szybszego od każdego z koni wyhodowanych przez śmiertelników – powiedział Khemsas. – Będziemy w Afgulistanie przed świtem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

SPOTKANIE NA PRZEŁĘCZY

Devi Jasmina nigdy nie mogła przypomnieć sobie szczegółów swego porwania. Wydarzenia potoczyły się z taką szybkością i były tak niespodziewane, że zupełnie oszołomiły dziewczynę. Pamiętała jedynie strzępy wrażeń: miażdżący i obezwładniający uścisk mocarnego ramienia, skrzące się dzikością oczy porywacza i jego gorący oddech na odsłoniętej skórze; skok przez okno wprost na blanki, szalony bieg po murach i dachach, kiedy o mało nie zemdląła ze strachu przed upadkiem, a później karkołomne zejście po linie przywiązanej do merlona – porywacz opuścił się po niej zwinnie, niemalże tanecznie i nieprawdopodobnie prędko, cały czas trzymając dziewczynę przewieszoną przez ramię. Wszystko to pozostawiło w pamięci Jasminy jedynie cień wspomnienia. Zdecydowanie lepiej zapamiętała późniejsze wydarzenia: zadziwiająco sprężysty i energiczny szybki bieg mężczyzny, dźwigającego przecież na swych barkach dorosłą kobietę, rozłożysty cień drzew i skok na osiodłanego, dziko rżącego oraz parsającego balkańskiego rumaka. I szaloną galopadę, kiedy to kopyta konia krzesaly iskry na kamienistej drodze prowadzącej przez wzgórze wprost ku himeliańskim góróm.

Gdy w końcu ochłoneła i odzyskała jasność myślenia, przede wszystkim poczuła dziką wściekłość i obezwładniający wstyd. I dojmujące przerażenie. Władców złotych królestw na południe od Himelii uważano i traktowano nieomal na równi z bogami, a ona przecież była Devi Vendii! Nieopisany gniew stłamsił strach. Krzyknęła wściekle i zaczęła się wyrywać. Ona, Jasmina, przerzucona przez łęk siodła jakiegoś prymitywnego dzikusa jak zwyczajna, pierwsza lepsza dziwka z targowiska! Conan mocniej zacisnął muskularne ramiona, gdy tylko poczuł, że jego branka postanowiła opuścić jego towarzystwo i po raz pierwszy w życiu Devi ktoś fizyczną przemocą wymusił na niej posłuszeństwo. Jego ręce zamknęły delikatną kibić dziewczyny w żelaznym uścisku. Spojrzał na nią i na ten widok uśmiechnął się szeroko. Białe jak śnieg zęby błysnęły w świetle gwiazd. Luźno puszczony wodze leżały na powiewającej grzywie rumaka, który galopował po kamienistej drodze

wyęzając wszystkie siły i lśniąć skąpaną w pocie sierścią. Mimo to Conan bez trudu, odprężony i zadowolony, utrzymywał się w siodle, jadąc jak centaur.

– Ty obmierzły kundlu! – wyrzuciła z siebie Jasmina, trzęsąc się gniewu, wstydu i zdając sobie sprawę ze swojej bezsilności. – Ośmieliłeś się... Masz tupet! Zapłacisz za to głową! Dokąd mnie wiesziesz?

– Do wiosek Afgulisów – odparł, oglądając się przez ramię.

Za wzgórzami, które już pokonali, na murach fortecy setkami migotały płomienie pochodni; dostrzegł też słaby błysk światła, oczywisty znak, że otworzono wielką bramę. Conan wybuchnął szczerym śmiechem, huczącym niczym zimowy wiatr smagający himeliańskie turnie.

– Proszę, proszę, gubernator wysłał za nami swoich lansjerów – skwitował widok z rozbawieniem. – Na Croma, zabierzemy wielmożę na niezłą przejażdżkę! Jak myślisz, Devi, chyba wymieni siedmiu watażków za kszatrijaską księżniczkę?

– Prędzej wyśle całą armię, by powiesić cię razem z twoją bandą dzikusów! – obiecała mu z całym przekonaniem.

Zaśmiał się serdecznie i przyciągnął ją mocniej do siebie, sadzając w wygodniejszej pozycji. Jasmina zapłonęła jeszcze większym gniewem, bowiem uznała gest barbarzyńcy za nową zniewagę i wznowiła bezsensowne próby uwolnienia się, dopóki nie dotarło do niej, że dla niego to tylko figle i powód do dalszego śmiechu. Ponadto, wskutek szarpaniny, jej cenne, delikatne, łopoczące na wietrze jedwabne szaty były w opłakanym stanie. Doszła więc do wniosku, że bardziej przystoi jej zachować wyniosłą powagę i pogрузyła się w pełnym wściekłości milczeniu.

Widok jaki ujrzała, gdy dotarli do wylotu doliny, zaparł jej dech w piersiach. Zapomniała na chwilę o gniewie, radując oczy niezwykle panoramą: przełęcz Zaibar wciniała się w majestatyczne, posępne i sięgające nieba skalne ściany niczym wielka ciemna wyrwa, wycięta olbrzymim nożem w litej skale. Po obu jej stronach wznosiły się strome i monstrialne zbocza, kryjąc wylot doliny w mrocznym cieniu. Panujące wokół ciemności były tak gęste, że nawet bystre oczy Conana niewiele mogły dostrzec. Jednak barbarzyńca, wiedząc o podążającym jego śladem pościgu, miał asa w rękawie – znał tę drogę na pamięć, toteż nie wstrzymywał konia, wręcz przeciwnie. Jasminie zdawało się, że zmusił zwierzę do jeszcze szybszego biegu, a balkański rumak nie zdradzał oznak zmęczenia. Z niepojętą dla niej

prędkością i zwinnością przemknęli drogą biegnącą dnem doliny, potem wspięli się na zbocze i pokonali niską grań. Devi była pewna, że musi nad nimi czuwać jakieś bóstwo dzikusów, bo tylko cudem koń nie stoczył się z powrotem na dno doliny stąpając po zdradliwych i kruchych łupkach. Ostatecznie wypadli na trakt ciągnący się wzdłuż lewej ściany wąwozu.

W panujących ciemnościach nawet Conan nie mógł wypatrzyć zasadzki zastawionej przez zhaibarskich górali. Właśnie mijali ciemny wylot jednego z parowów, gdy w powietrzu świsnął oszczep i z głuchym łoskotem wbił się w bok galopującego konia. Zwierzę zarżało przeraźliwie, potknęło się na kamieniu i w pełnym biegu łupnęło o ziemię. Jednak Conan w ostatniej chwili dostrzegł lecący oszczep i błyskawicznie zareagował. Nim padający ogier uderzył o podłoże, barbarzyńca, trzymając dziewczynę na ramionach, potężnym susem zeskoczył z siodła, by nie poraniła się o głązy. Spadł na nogi miękko jak kot, wepchnął ją w najbliższą rozpadlinę i odwrócił się wyciągając zza pasa handżar.

Oszołomiona i zdeorientowana dziewczyna, bezceremonialnie wepchnięta w jakąś dziurę przez porywacza, zupełnie nie widziała, co się tak naprawdę stało. Kątem oka wyłowiła jedynie nadbiegający z ciemności niewyraźny kształt, usłyszała tupot bosych stóp na nagiej skale i szelest ocierających o ciało łachmanów. Dostrzegła złowróżbny błysk stali, krótką wymianę ciosów i nagle w tym skalnym piekle rozległ się chrzęst pękających kości, gdy Conan zatopił handżar w czaszce przeciwnika.

Cymmeryjczyk odskoczył i schronił się za najbliższym głazem. Gdzieś w mroku rozległ się odgłos bezwładnej bieganiny przerwany nagle stentorowym rykiem:

– Co jest, parszywe kundle? Tchórzycie? No, dalej, naprzód! Brać ich!

Na dźwięk ryku, którego nie powstydziliby się kilkusetfuntowy podniecony buhaj, Conan drgnął, spojrzął w mrok i krzyknął:

– Czy to ty, Jar Afzalu?!

W odpowiedzi usłyszał siarczyste przekleństwo, a potem czyjś zdumiony głos niepewnie zapytał:

– Conan? To naprawdę ty?

– Tak! – zaśmiał się gromko Cymmeryjczyk. – To naprawdę ja! Podejdz tu, ty wyliniały psie wojny! Zabiłem jednego z twoich ludzi.

Wśród skał zapanowało nielicze zamieszanie, a chwilę później zamigotał tam płomyk, który urósł w jasnoczerwony płomień pochodni, po czym zbliżył się do schowanej za skałami pary. Z każdą chwilą rósł w oczach, aż

w jego świetle zamajaczyła dzika i brodata twarz. Mężczyzna trzymający pochodnię podniósł ją wysoko i wyciągnął szyję, próbując dojrzeć cokolwiek w skalnym labiryncie. W drugiej ręce dzierżył groźnie wielką, zakrzywioną szablę. Conan wyszedł z ukrycia chowając do pochwy swój handzar. Na jego widok nieznajomy ryknął radośnie.

– Tak, to Conan! No już, wyłazić z za skał, wy łajnożercy! To faktycznie Conan!

W kręgu światła rzucanego przez pochodnię pojawili się inni: dzicy, brodaci, obszarpani i potężnie zbudowani mężczyźni o oczach bardziej wilczych niż ludzkich, z długimi nożami w dłoniach. Nie od razu spostrzegli Jasmine, bo ta, przezornie, ani myślała opuścić swoje schronienie. Gdy w końcu zerknęła z za skał, po raz pierwszy tej nocy poczuła prawdziwie lodowaty dreszcz strachu. Ci mężczyźni byli bardziej podobni do wściekłych wilków niż do ludzi.

– I czego tak buszujesz po nocy na przełęczy, Jar Afzalu? – spytał Conan tęgiego wodza tej watahy, który wyszczerzył zęby jak brodata bestia.

– Kto wie, na co może tutaj natrafić człowiek po zmroku? My, Wazulisi, jesteśmy jastrzębiami nocy. Ale co ciebie tu przygnało, Conanie?

– Mam więźnia – odparł Cymmeryjczyk i odsuwając się na bok odsłonił skuloną dziewczynę. Sięgnął długim ramieniem w rozpadlinę i wyciągnął trzęsącą się ze strachu Jasmine.

Po jej wyniosłej, królewskiej pozie nic nie zostało. Wodziła nieśmiało wzrokiem po gromadzie brodatych twarzy, odczuwając coś na kształt wdzięczności wobec mężczyzny, który obejmował ją władcym gestem. Gdy przywódca Wazulisów przystawił bliżej pochodnię, wydobywając z ciemności niepozorną postać, na jej widok górale jak jeden mąż sapnęli z zachwytem.

– Żeby było jasne, to moja branka – ostrzegł Conan, znacząco patrząc w kierunku leżącego za kręgiem światła wojownika, którego przed chwilą zabił. – Jechałem z nią do Afgulistanu, ale zabiliście mojego konia, a Kszatrijasi depczą mi po piętach.

– W takim razie jedź z nami do naszej wioski – zasugerował Jar Afzal. – Mamy w wąwozie ukryte konie. W tych ciemnościach na pewno nas nie wytropią. Mówisz, że są tuż za wami?

– Tak blisko, że słyszę stukot kopyt na trakcie – odparł ponuro Conan.

Wazulisom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. W mgnieniu oka zgasili pochodnię i obszarpańcy wtopili się w mrok. Cymmeryjczyk wziął

Devi na ręce, a ona się nie opierała. Ostre jak brzytwy kamienie boleśnie raniły jej delikatne, obute w miękkie pantofelki stopy. Dziewczyna czuła się słaba i bezbronna w głębokich ciemnościach panujących wśród monumentalnych i poszarpanych skalnych ścian.

Czując, jak trzęsie się w lodowatych podmuchach wyjącego w wąwozie wiatru, Conan zdjął z ramion niemiłosiernie postrzępiony płaszcz i owinał nim Jasmine. Syknął jej także ostrzegawczo do ucha, nakazując milczenie. Co prawda dziewczyna nie słyszała cichego stukotu kopyt, który bezbłędnie wychwycili wyćwiczonym słuchem górale, lecz była tak zmęczona i wystraszona, że do głowy jej przyszło, by nie wykonać polecenia.

Nic nie widziała prócz kilku słabo świecących gwiazd wysoko na niebie, jednak po gęstniejącym z każdym krokiem mroku zorientowała się, że znaleźli się w jednym z licznych parowów. Usłyszała jakieś hałasy i parskanie niespokojnych koni. Conan zamienił kilka krótkich zdań z Jar Afzalem, po czym dosiadł wierzchowca zabitego przez niego wojownika. Bez wysiłku podniósł dziewczynę i posadził ją przed sobą. Cicho, jak cienie, całą grupą wyjechali z wąwozu. Jedyнным dowodem ich bytności było ciało zabitego mężczyzny i martwy koń z oszczepem wystającym z boku, znaleźieni pół godziny później przez wysłanych w pościg lansjerów. Peszkauryjscy jeźdźcy rozpoznali w trupie Wazulisa. A potem wyciągnęli jedyne słuszne wnioski.

Wtulona w ramiona Conana Jasmina nie potrafiła opanować coraz większej senności. Jednostajne ruchy konia, mimo nierównej, co chwila to opadającej to wznoszącej się na przemian drogi, miały usypiający rytm, który w połączeniu z wycieńczeniem i oszołomieniem spowodowanym lawiną wrażeń wywoływały obezwładniającą potrzebę snu. Dziewczyna zupełnie straciła poczucie czasu i kierunku. Jechali w kompletnych ciemnościach, w których od czasu do czasu dostrzegała zamazane zarysy monstrualnych ścian skalnych, wznoszących się niczym czarne i ponure iglice lub majestatyczne turnie sięgające gwiazd. Czasem wyczuwała przepastne gardziele ziejących w dole przepaści, a czasem jej ciało smagał lodowaty podmuch wiatru, harującego bez opamiętania wśród niebotycznych szczytów. Krok za krokiem wszystko to okrył kojący opar snu, tak że miarowy stukot końskich kopyt i odgłosy upręży zaczęły zlewać się z nierealnymi dźwiękami z sennych majaków.

Skryta za senną kurtyną ledwie zdała sobie sprawę, że czyjeś silne ręce ściągają ją z konia, po czym ktoś ją ostrożnie wniósł po schodach. Później

te same mocarne, ale zarazem dziwnie delikatnie dłonie, położyły ją na czymś miękkim i szeleszczącym, podkładając jednocześnie pod głowę coś przypominającego w dotyku zwinięty płaszcz. Na koniec troskliwie otulono szatą, którą przedtem owinął ją Cymmeryjczyk. Jak przez mgłę usłyszała donośny śmiech Jar Afzala.

– To rzadka i cenna zdobycz, Conanie. Prawdziwie godna wodza Afgulisów.

– Nie porwałem jej dla mojej rozrywki – padła sucha odpowiedź. – Wymienię tę dziewczkę na moich siedmiu watażków gnijących teraz w peszkauryjskim więzieniu, niech im demony zatańczą na zadkach!

To były ostatnie słowa, jakie usłyszała Devi Jasmina, nim zapadła w głęboki sen.

Spała, gdy uzbrojeni po zęby jeźdźcy pokonywali zatopione w mroku góry i ważyły się losy jej królestwa. Tej właśnie nocy ponure wąwozy i parowy rozbrzmiewały dźwiękami podków galopujących koni, a światło gwiazd odbijało się w hełmach i zakrzywionych mieczach. Rzadko widywane, upiorne bestie, pierwotni mieszkańcy wyniosłych szczytów, wyglądały zza skał, nie rozumiejąc, co się dzieje.

Kilka widmowych postaci, zdawało się, że utkanych z cieni i grozy, dosiadając wychudłych koni, przyczało się w atramentowych ciemnościach jednego z parowów, obserwując, jak w dzikim pędzie mija ich duży oddział lansjerów. Cierpliwie czekali, aż tętent koni ucichnie w oddali. Dowodzący grupą postawny mężczyzna w hełmie i haftownym złotem płaszczu, ostrzegawczo podniósł w górę dłoń i trzymał ją tak, dopóki nie przejechała kawalkada wojowników. Wtedy roześmiał się półgębkiem.

– Musieli zgubić ślad! Albo zrozumieli, że Conan dotarł już do wiosek Afgulisów. Będzie potrzeba wielu chłopów, by wykurzyć go z tej szcurzej jamy. O świcie zaroi tu się od peszkauryjskich szwadronów.

– Jeśli będzie bitka, będą też nieliczne łupy – mruknął ktoś za jego plecami, mówiąc dialektem irakzjaskim.

– Możecie być pewni, że skosztujecie jednego i drugiego – odparł człowiek w hełmie. – Wpierw jednak musimy dotrzeć do Doliny Guraszah i poczekać na jazdę, która powinna jeszcze przed świtem wyruszyć z Sekundaremu.

Spiął konia i wyjechał z parowu. Jego ludzie, trzydzieści obszarpanych zjaw, ruszyli w ślad za nim.

ROZDZIAŁ PIĄTY

CZARNY OGIER

Kiedy Jasmina obudziła się, słońce było już wysoko na niebie. Nie zerwała się krzycząc, miotając wokół wystraszonym spojrzeniem i zachodząc w głowę, gdzie jest. Zbudziła się w pełni świadoma wszystkich ostatnich wydarzeń. Musiała przyznać przed samą sobą, że czuła się fatalnie; kości i mięśnie bolały od długiej jazdy, a delikatne i powabne ciało nosiło ślady uścisku muskularnego ramienia jej porywacza, który uprowadził ją tak daleko od domu.

Leżała na owczej skórze przykrywającej liche posłanie z liści rzuconych na podłogę z udeptanej gliny. Pod głowę wetknięto jej kozuch również z owczej skóry, a okryto wystrzępionym płaszczem. Znajdowała się w dużym pomieszczeniu o nierównych, ale na pierwszy rzut oka, grubych ścianach zbudowanych z topornie obrobionych bloków skalnych spojonych wysuszonym na słońcu błotem. Masywne belki podtrzymywały taki sam sufit, w którym wykuto, zasłonięty teraz klapą, włącz. W ścianach nie było okien, ich rolę pełniły wąskie otwory strzelnicze. Dostrzegła tylko jedne drzwi, za które służyła potężna płyta z brązu, niewątpliwie pamiątka wyniesiona z jakiejś vendiańskiej wieży strażniczej podczas jednego z licznych napadów. Naprzeciw nich w ścianie widniał szeroki otwór, w którym ktoś zamocował solidne drewniane pręty. Za nimi Jasmina ujrzała wspaniałego czarnego ogiera leniwie przeżuującego siano. Sprawa więc była jasna: budynek służył za twierdzę, mieszkanie i stajnię jednocześnie.

W drugim końcu izby dziewczyna w przykrótkim kaftanie i o wiele za luźnych, typowych dla mieszkańców tych okolic spodniach kucnęła przy małym ognisku, smażąc paski mięsa na żelaznym ruszcie opartym na kamieniach paleniska. Kilka stóp nad podłogą, w ścianie, był okopcony i pokryty sadzą otwór, który najwyraźniej pełnił funkcję komina, odprowadzając niewielką część dymu. Reszta snuła się niebieskawymi smugami po pomieszczeniu.

Wazuliska zerknęła przez ramię na Jasmine, ukazując twarz o wyraźnych i pięknych zarazem rysach, po czym wróciła do przyrządzania posiłku. Z zewnątrz dobiegały męskie głosy i po chwili do izby wszedł Conan,

otwierając kopniakiem drzwi. W jasnych i przejrzystych promieniach poranka wydawał się jeszcze większym, niż zapamiętała go Jasmina, a na dodatek teraz mogła dostrzec kilka detali, które umknęły jej uwadze w nocy. Jego strój był czysty i, o dziwo, wcale nie obszarpany. Szeroki, bakariocki pas, za który wetknięty tkwił handżar w ozdobnej pochwie był godny księcia, a może i króla, a rozchyłona koszula ukazywała najwyższej jakości turańską kolczugę.

– Twoja branka obudziła się, Conanie – powiedziała dziewczyna.

Cymmeryjczyk burknął niewyraźnie coś pod nosem, niespiesznie podszedł do paleniska i przełożył paski baraniny na kamienny talerz. Kucająca przy ogniu Wazuliska uśmiechnęła się do niego kokieteryjnie i rzuciła jakiś pikantny żarcik, na co on wyszczerzył w szerokim uśmiechu białe zęby i niby niechcący zaczepił nogą o jej biodro, wywracając ją na klepisko. Wyglądało na to, że te końskie zaloty i prostackie żarty sprawiają dziewczynie wielką przyjemność, ale Conan już po chwili przestał na nią zwracać uwagę. Jak za sprawą czarów w jego dłoniach pojawiła się nagle wielka pajda chleba i miedziany dzban w winem. Tak wyposażony Cymmeryjczyk zaniósł to wszystko Jasminie, która podniosła się z posłania i spojrzała na niego niepewnie.

– Wiem, że to nie jest posiłek godny królewskiego żołądka Devi, dziewczyno, ale lepszego nie mamy – mruknął. – Przynajmniej napełni ci brzuch.

Postawił wiktuały na ziemi i nagle Jasmina zdała sobie sprawę, że jest okropnie głodna. Bez słowa usiadła ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i postawiwszy miskę na kolanach zaczęła łapczywie jeść palcami, które po raz pierwszy w jej życiu musiały zastąpić sztućce. W gruncie rzeczy zdolność adaptacji do każdej sytuacji jest cechą prawdziwego arystokraty. Conan stał z rękami założonymi za pas, spoglądając na nią z góry. Nigdy nie siadał w ten dziwny dla niego, wschodni sposób, ze skrzyżowanymi nogami.

– Gdzie jestem? – zapytała bez ogródek.

– W chacie Jar Afzala, wodza Kurum Wazulisów – odparł. – Afgulistan leży kilka ładnych mil na zachód stąd. Musimy przeczekać w wiosce kilka dni. Kszatrijasi, szukając ciebie, przetrząsają góry, szperają w każdym parowie i zagląдают do każdej dziury. Mieszkańcy gór wyróżnili już kilka pomniejszych oddziałków.

– Co zamierzasz? – spytała.

– Zatrzymać cię, aż Czunder Szan nie zgodzi się uwolnić tych moich siedmiu durnych bydłokradów – mruknął. – Kobiety Wazulisów wyciskają atrament z liści shoki i za chwilę będziesz mogła naskrobać odpowiedni list do gubernatora.

Na te słowa Jasminą wstrząsnął nagły przypływ gniewu, zdała sobie bowiem sprawę, że oto jakimś absurdalnym zrządzeniem losu jej przewrotne plany spełzły na niczym, a co więcej, została zakładnikiem człowieka, którego chciała tak sprytnie wykorzystać. Cisnęła talerzem z resztkami posiłku i zerwała się na równe nogi, zaciskając pięści ze złości.

– Nie napiszę żadnego listu! Jeśli nie odwieziesz mnie z powrotem, powieszę twoich siedmiu watażków, a po nich jeszcze tysiąc następnych!

Wazuliska parsknęła drwiącym śmiechem, a Conan w gniewie zmarszczył brwi. Wtedy z hukiem otworzyły się drzwi i do izby dziarskim krokiem wszedł Jar Afzal. Wódz Wazulisów był równie wysoki jak Conan i, co Jasminie wydawało się niemożliwe, bardziej od niego muskularny, ale i tak przy Cymmeryjczyku wydawał się tłusty i powolny. Pogładził rudawą brodę i spojrzał znacząco na góralkę, która natychmiast wstała i wyszła na zewnątrz. Ledwie za dziewczyną zamknęły się drzwi, zwrócił się do swojego gościa:

– Ta przekłeta banda nierobów cały czas marudzi, Conanie – powiedział bez ogródek. – Żądają, bym cię zabił i wziął okup za dziewczynę. Mówią, że to arystokratka, co każdy średnio rozgarnięty dureń może poznać po jej stroju. Pytają, czemu to afgulskie psy mają skorzystać, jeśli to Wazulisi ponoszą całe ryzyko, ukrywając ją w wiosce?

– Pożycz mi konia – rzekł Conan. – Wezmę ją i odjadę.

– Ależ wymyślił! – zachnął się Jar Afzal. – Co ty myślisz, że nie potrafię zapanować nad własnymi ludźmi? Jeśli któryś mi podskoczy, to na którymś z tych wyższych szczytów każę im tańczyć w samych koszulach! Nie kochają cię, to fakt, ale oni przecież nie kochają wszystkich obcych. A ja nigdy nie zapomnę, że zawdzięczam ci życie. Koniec pieśni. Chodźmy do nich, Conanie, właśnie wrócił zwiadowca.

Cymmeryjczyk poprawił pas i wyszedł za wodzem na zewnątrz. Gdy zamknęli drzwi za sobą, Jasmina wyjrzała przez jeden z otworów strzelniczych. Zobaczyła otwartą przestrzeń oraz rząd chat z kamieni i błota, między którymi dokazywały bawiące się nagie dzieci. Wysokie, smukłe góralki pochłonięte były codziennymi obowiązkami.

Tuż przed chatą ujrzała gromadę zarośniętych, obszarpanych mężczyzn, siedzących na ziemi w niewielkim kręgu i groźnie wpatrujących się w drzwi. Kilka kroków przed nimi stał Conan z Jar Afzałem, słuchając pilnie siedzącego ze skrzyżowanymi nogami Wazulisa. Mężczyzna mówił do swego wodza gardłowym wazuliskim dialektem, który Jasmina ledwo rozumiała, chociaż ważną częścią jej edukacji była nauka języków Iranistanu i pokrewnych dialektów gulistańskich.

– Rozmawiałem z Dagozaninem, który zeszłej nocy widział grupę jeźdźców – rzekł zwiadowca. – Przyczał się w pobliżu miejsca, gdzie wódz Conan wpadł w naszą zasadzkę. Człowiek ten bardzo dobrze słyszał, co mówili lansjerzy. Co ciekawe, był z nimi Czunder Szan. Natknęli się na martwego konia, a jeden z żołnierzy rozpoznał, że to wierzchowiec wodza Conana. Po chwili znaleźli też trupa naszego wojownika. Zastanawiali się dłuższą chwilę i w końcu doszli do wniosku, że Wazulisi zabili wodza Conana oraz porwali dziewczynę. W tej sytuacji porzucili zamiar ścigania go do Afgulistanu. Jednakże nie mieli pojęcia, z której wioski pochodził zabity wojownik, a my przecież nie zostawiliśmy śladów, którymi mógłby podążyć kszatrijaski tropiciel. Pojechali więc do najbliższej wioski Wazulisów, do Jugry znaczy się, splądrowali ją i spalili do gołej ziemi, zabijając przy tym wielu ludzi. Gdy skończyli mordowanie, nagle z ciemności napadli na nich wojownicy Kojura, ostro ich rąbiąc. Zabili albo zranili wielu lansjerów, przy okazji i gubernator nie wyszedł z tej potyczki bez szwanku. Ci, którzy uniknęli rzezi, umknęli pod osłoną nocy na przełęcz Zaibar, ale jeszcze przed świtem wrócili z potężnymi posiłkami i od wschodu słońca w górach leje się krew i słychać wrzaski konających. Mówią, że Vendianie zbierają wielką armię, by oczyścić góry wokół przełęczu Zhaibar. Mieszkańcy górskich plemion już ostrzą noże i szykują zasadzki w każdym możliwym miejscu, aż po Dolinę Gurashah. I jeszcze jedno: Kerim Szah powrócił w góry.

Po zgromadzonych przeszedł cichy pomruk, a Jasmina nachyliła się bliżej otworu na dźwięk imienia człowieka, który budził jej podejrzenia.

– Dokąd poszedł? – spytał sucho Jar Afzal.

– Dagozanin tego nie wiedział. Wiedział natomiast, że Kerim Szah ma ze sobą trzydziestu Irakzjacyków z niżej położonych wiosek. Pojechali gdzieś w góry i wszelki ślad po nich zaginął.

– Przeklęci Irakzjaczycy są jak szakale, gotowe, by zabić za resztki z lwiej paszczy – warknął wściekle Jar Afzal. – Rzucają się na pieniądze,

które Kerim Szah rozdaje garściami wśród nadgranicznych plemion, kupując ludzi niczym konie na targu. Nie cierpię tego bydlaka, mimo że jest naszym krewniakiem z Iranistanu.

– Nie jest – powiedział Conan. – Znam go od dawna. To Hyrkańczyk, popychadło i szpieg Jezdigerda. Jeśli wpadnie w moje ręce, powieszę jego wygarbowaną skórę na najbliższym tamaryszku.

– Ale Kszatrijasi! – wykrzyknął jeden z wojowników siedzących w półkolu. – Mamy tu siedzieć na dupach i czekać, aż nas stąd wykurzą? W końcu zorientują się, gdzie przetrzymywana jest dziewczyna. Pamiętajmy, że Zaibarczycy nie darzą nas miłością, pomogą Kszatrijasom.

– To niech tu przyjdą – mruknął Jar Afzal. – Damy radę utrzymać wąwozy przeciwko konnicy.

Jeden z mężczyzn zerwał się na równe nogi i pogroził Conanowi pięścią.

– Mamy ryzykować, że poderzną nam gardła, a on zgarnie nagrodę! – wrzasnął histerycznie. – Mamy walczyć za niego?

Conan podszedł do niego i pochyliwszy się nieco, lodowatym wzrokiem spojrzał prosto w zarośniętą twarz. Nie dobył handzara, lecz ostentacyjnie położył lewą dłoń na jego pochwie, sugestywnie wysuwając rękojeść.

– Nikogo nie proszę, by za mnie walczył – powiedział łagodnie. – Dobądź ostrza, jeśli się odważysz, parszywy kundlu!

Wazulis oskoczył, prychając jak kot.

– Spróbuj mnie tknąć, a tych pięćdziesięciu mężczyzn rozerwie cię na strzępy! – zaskrzeczał.

– Co?! – ryknął Jar Afzal purpurowiejąc z gniewu i wściekłości. Nastroszył wąsy, wypiął brzuch i zacisnął pięści. – Od kiedy to, niech cię nędza pochłonie, jesteś wodzem Kurumu?! Czyich rozkazów słuchają Wazulisi: Jar Afzala, czy tego zawszonego gównojada?

Podżegacz skulił się natychmiast, a niepokonany wódz doskoczył do niego, chwycił za gardło żelaznym uściskiem i zaczął brutalnie dusić, aż twarz mężczyzny stała się sina. Wtedy cisnął nim o ziemię i stanął nad ofiarą z szablą w ręku.

– Czy jeszcze ktoś ma jakieś wątpliwości co do hierarchii władzy? – ryknął z mocą godną wściekłego smoka, a jego ludzie ponuro wbili wzrok w ziemię, gdy omiótł ich wojowniczym spojrzeniem.

Wątpliwości nie było już żadnych. Jar Afzal chrząknął z pogardą i wepchnął miecz do pochwy gestem, który sam w sobie stanowił

kwintesencję pogardy, po czym kopnął z wściekłością leżącego u jego stóp awanturnika, wydobywając z jego ust przejmujący ryk bólu.

– Unieś ten swój tłusty zad! Obejdiesz czujki na szczytach i dowiesz się, czy aby przypadkiem ludzie czegoś nie zauważyli. Wracaj szybko! – rozkazał jadowitym tonem i mężczyzna odszedł, trzęsąc się ze strachu i zgrzytając zębami z gniewu.

Jar Afzal usiadł władczo na najbliższym kamieniu, pomrukując coś pod nosem. Conan stał obok niego na szeroko rozstawionych nogach, z kciukami zatkniętymi za bakariocki pas, uważnie obserwując zgromadzonych wojowników przymrużonymi oczami. Spoglądali na niego z nieukrywaną niechęcią, uważając jednak, by nie podsycać gniewu swego wodza. Nienawidzili barbarzyńcy z Zachodu tak, jak tylko Wazulisi potrafili.

– A teraz posłuchajcie mnie, wy, synowie bezpieczeństwa kundli, a dowiecie się, co wódz Conan i ja zaplanowaliśmy, by wywieść w pole tę kszatrijaską hołotę! – bawoli ryk Jar Afzala podążył za upokorzonym Wazulisem, oddalającym się z miejsca narady.

Wojownik minął rząd chat, ścigany lawiną kąśliwych uwag i szyderczym śmiechem kobiet, które były świadkami jego porażki, po czym popędził szlakiem, wijącym się wśród skał jak wielki, śpiący wąż, prosto ku najbliższemu szczytowi.

Przebył raptem kilkaset jardów, minawszy pierwszy zakręt i tracąc z oczu wioskę, gdy stanął jak wryty w bezgranicznym zdumieniu. Nie mieściło mu się w głowie, by jakiś obcy mógł dostać się do doliny Kurumu niezauważony przez sokolookich obserwatorów pełniących wartę na swych posterunkach. A jednak na niskiej półce skalnej, tuż przy szlaku, siedział nieznajomy mężczyzna w todze z wielbłądziej wełny i zielonym turbanie na głowie.

Wazulis otworzył usta do ostrzegawczego krzyku, a dłoń pomknęła do rękojęści noża. Jednak w tej samej chwili jego oczy napotkały hipnotyzujące spojrzenie obcego i krzyk zgasł mu w gardle, a dłoń opadła bezwładnie. Stanął nieruchomo jak posąg, wpatrując się w dal pustym wzrokiem.

Przed dłuższą chwilę mężczyźni trwali w bezruchu. W końcu człowiek w zielonym turbanie narysował palcem tajemniczy symbol na kamieniu. Wazulis nie zauważył, by nieznajomy umieścił coś w pobliżu tego znaku, lecz nagle na skale coś zajaśniało: okrągła i lśniąca kula, wyglądająca jak

wypolerowany kawałek jadeitu. Człowiek w zielonym turbanie podniósł ją i rzucił Wazulisowi, który bezwiednie złapał tajemniczy przedmiot.

– Zanieś to Jar Afzalowi – rozkazał nieznajomy, a zahipnotyzowany wojownik odwrócił się sztywno i poszedł ścieżką z powrotem do wioski, trzymając czarną kulę w wyciągniętej dłoni. Mijając chaty zupełnie zlekceważył kolejne szyderstwa kobiet, jakby ich w ogóle nie słyszał.

Człowiek na skalnym występie spoglądał za nim z nieodgadniętym uśmiechem. Nad krawędzią półki nieśmiało pojawiła się głowa dziewczyny, patrzącej na niego z mieszaniną podziwu i strachu, jakiego nie doświadczyła jeszcze zeszłej nocy.

– Po co to zrobiłeś? – spytała.

Czule pogłodził jej czarne loki.

– Czy wciąż jesteś tak oszołomiona lotem na powietrznym ogierze, że wątpisz w moją mądrość? – roześmiał się. – Dopóki Jar Afzal żyje, Conan jest bezpieczny wśród Wazulisów. Jest ich wielu i są dobrze uzbrojeni, więc wymyśliłem bezpieczniejszy sposób na odebranie Devi, niż zabicie Conana i urządzenie jatki w całej wiosce. Nie trzeba być magiem, by przewidzieć, co zrobią Wazulisi z Cymmeryjczykiem, kiedy ten zahipnotyzowany głupek wręczy przywódcy Kurumu kulę Jezuda.

Tymczasem Jar Afzal kontynuował przed chatą swoją tyradę, gdy nagle jego oczom ukazał się człowiek, którego przed chwilą wysłał, by obszedł wazuliskie czujki. Mężczyzna przepychał się przez tłum, idąc dziwnie sztywnym krokiem. Zdzwiony i niezadowolony wódz przerwał więc w pół słowa i wycelował w wojownika palcem.

– Kazałem ci obejść posterunki! – ryknął. – Nie mogłeś tego zrobić w tak krótkim czasie, chyba że potrafisz latać!

Wojownik nie odpowiadał; stał niczym słup soli, patrząc pustym wzrokiem w oczy wodza i wyciągając w jego kierunku rękę z czarną kulą. Conan spojrzął Jar Afzalowi przez ramię, mruknął coś niezrozumiale pod nosem i chciał złapać go za rękę. Lecz było już za późno. Wódz w przypływie gniewu huknął wojownika zaciśniętą w pięść dłonią, obalając go na ziemię jak woła. Czarna kula wypadła z rąk uderzonego mężczyzny i potoczyła się prosto pod nogi Jar Afzala, który dopiero teraz zwrócił na nią uwagę. Zaciekawiony, podniósł ją z ziemi. Pozostali wojownicy,

patrzący ze zdumieniem na współplemieńca, który odważył się zlekceważyć rozkaz, zobaczyli tylko, że ich wódz pochyla się, ale nie mieli zielonego pojęcia, co podniósł.

Jar Afzal wyprostował się, spojrzął na kulę i zamierzał włożyć ją za pas.

– Zanieście tego głupca do jego chaty – warknął. – Wygląda, jakby naźarł się kwiatów lotosu. Patrzył na mnie takim tępym wzrokiem. Ja... Auu!

W prawej dłoni, sunącej do pasa, wódz poczuł nagle dziwne ożywienie. Umilkł, stojąc i wpatrując się gdzieś przed siebie. Wyraźnie odczuwał poruszenie, coś w niej ożyło, ruszało się i zmieniało. Jego palce nie obejmowały już gładkiej, błyszczącej czernią kuli. Pierwotny lęk gdzieś w najgłębszych zakamarkach mózgu krzyczał, by nie patrzył. Język przywarł mu do podniebienia. Sparaliżowany strachem nie potrafił otworzyć dłoni. Przerażeni Wazulisi zobaczyli, że oczy Jar Afzala zrobiły się wielkie jak talerze, a krew odpłynęła mu z twarzy. Nagle z jego ust, okolonych gęstą, rudawą brodą, wydobył się przeraźliwy jęk bólu. Wódz zachwiał się i padł jak rażony gromem, wyciągając przed siebie prawą rękę. Legł twarzą do ziemi, a spomiędzy jego rozchylonych palców wypełznął pajak – ohydna, czarna maszkarą o włochatych odnóżach i korpusie lśniącym jak wypolerowany kawałek jadeitu. Mężczyźni wrzasnęli i cofnęli się zaszokowani. A włochaty stwór, korzystając z nadarzającej się okazji, czmychnął czym prędzej w szczelinę między skałami.

Wazulisi spojrzeli po sobie niepewnie i nagle wśród panującego gwaru dał się słyszeć, dobiegający nie wiadomo skąd, wyraźny, rozkazujący głos. Jakiś czas potem każdy z wojowników, który był świadkiem zajścia i przeżył, twierdził, że to nie on wydał rozkaz, mimo że wszyscy go słyszeli.

– Jar Afzal nie żyje! Zabić przybysza!

Ten okrzyk wybudził z odrętwienia i zjednoczył Wazulisów. Zdziwienie, zwątpienie i strach ustąpiły miejsca dzikiej żądzy krwi. Pod niebo wzbił się ryk pełen furii, gdy wojownicy zrozumieli, czego się od nich oczekuje. Z oczami skrzącymi się od nienawiści, wściekle zaatakowali, łopocząc połamami obszarpanych płaszczy i wznosząc broń do uderzenia.

Conan był jednak szybszy. W mgnieniu oka skoczył do drzwi chaty, ale górale byli zbyt blisko. Nim zdążył przekroczyć próg, musiał odwrócić się na pięcie i sparować cios zadany półmetrowym ostrzem. Rozłupał napastnikowi czaszkę, uniknął pchnięcia nożem i rozpruł brzuch jego posiadaczowi. Kolejnego przeciwnika powalił po prostu waląc na odlew

lewą ręką, w następnej chwili handzar trzymany w prawej wbił aż po jelec w ciało innego i z całej siły uderzył plecami w zamknięte drzwi. Opadające ostrze uderzyło o framugę tuż przy uchu Cymmeryjczyka, sypiąc wokół deszczem drzazg, ale miał szczęście – drzwi ustąpiły pod naporem jego potężnych ramion i wpadł tyłem do środka. Dokładnie w tym momencie brodaty Wazulis wymierzył potężne pchnięcie, stracił równowagę i wyłożył się jak długi w progu. Conan pochylił się, złapał go za szatę, odrzucił w głąb pomieszczenia i kopniakiem pchnął drzwi prosto w twarze atakujących. Rozległ się paskudny odgłos łamanych kości i w następnej chwili Cymmeryjczyk zaryglował drzwi. Odwrócił się pospiesznie, by zaatakować Wazulisa, który zdążył już w tym czasie podnieść się z podłogi i runął na niego jak szalowiec.

Skulona w kącie Jasmina patrzyła z przerażeniem na walczących mężczyzn, miotających się po izbie, niemal wpadając na nią kilkakrotnie. Chatę wypełnił szcęk stali błyszczącej w promieniach słońca wpadających przez otwory strzelnicze. Na zewnątrz Wazulisi wyli jak stado wilków, z pasją próbując wedrzeć się do środka, waląc w drzwi nożami, mieczami i czym popadnie. Kilku z nich obrzuciło wejście kamieniami. Któryś z nich przytaszczył pospiesznie wielki pień drzewa, którego od razu użyto jako tarana. Potężna płyta z brązu, służąca za drzwi chaty, zaczęła dygotać pod naporem uderzeń, ale nie pękła, dowodząc tym samym mistrzowskiego kunsztu vendiańskich odlewników.

Dziewczyna, będąc na skraju paniki, zakryła uszy rękami... Bezwzględna jatka w izbie i pełne furii wycie na zewnątrz doprowadzały ją do szaleństwa. Czarny ogier rżał i kwiczał, tłukąc podkowami o ściany swej zagrody. W pewnym momencie koń okręcił się i z całej siły wierzgnął kopytami przez pręty dokładnie w tej samej chwili, w której Wazulis zmuszony do rozpaczliwej obrony przed zabójczym atakiem Conana, dotknął nieświadomie przegrody plecami. W izbie rozległ się suchy trzask pękającego jak licha gałąź kręgosłupa, a siła uderzenia była tak wielka, że wojownik z impetem wpadł na Cymmeryjczyka obalając go, tak że obaj runęli na klepisko.

Jasmina krzyknęła zrozpaczona i skoczyła w kierunku leżących mężczyzn. Była przekonana, że obaj nie żyją. Znalazła się przy nich w chwili, gdy Conan odepchnął trupa na bok i ciężko dysząc, zaczął się podnosić. Dziewczyna złapała go kurczowo za ramię, trzęsąc się jak w gorączce.

– Och, żyjesz! Myślałam... myślałam, że cię zabił!

Spojrzał na jej pobladłą twarz i zwrócone ku niemu wielkie, czarne oczy.

– Czemu cała drżysz? – spytał. – Dlaczego miałoby cię obchodzić, czy żyję, czy nie?

Na chwilę na jej twarzy zagościł grymas wyniosłej dumy. Odsunęła się od Conana w żalostnej próbie przypomnienia mu, że jest Devi.

– Nie mam wyboru – odparła, wskazując na drzwi i kamienną framugę, która powoli zaczęła pękać. – Wolę ciebie niż tę watahę wilków wydzierających się na zewnątrz.

– Drzwi nie wytrzymają długo – mruknął, po czym odwrócił się i podszedł do zagrody, w której szalał ogier.

Jasmina zacisnęła dłonie w pięści i wstrzymała oddech widząc, co zamierza zrobić. Conan zaczął odsuwać połamane pręty, a następnie wszedł do rozwścieczonego zwierzęcia. Koń stanął na tylnych nogach, wierzgając kopytami, szczerząc zęby, rżąc wniebogłosy i rozdymając nozdrza, a w jego oczach tliła się nieokiełznana dzikość. Cymmeryjczyk jednak nie wahał się i doskoczył do niego. Z nadludzką siłą chwycił rozszalałe zwierzę za grzywę i zmusił, by stało spokojnie. Ogier parsknął i trząsnął się nerwowo, ale, o dziwo, dał sobie założyć uprzęż i nabijanie złotymi ćwiekami siodło z szerokimi, srebrnymi strzemionami. Następnie zawrócił konia i zawołał Jasmine, która podeszła ostrożnie, trzymając się z dala od końskich kopyt. Conan tymczasem zaczął obmacywać kamienną ścianę w zagrodzie, mówiąc cicho do Devi:

– Gdzieś tu są ukryte drzwi, o którym nawet Wazulisi nie wiedzą. Jar Afzal pokazał mi je, kiedy był pijany jak bela. Wiodą prosto do wąwozu za chatą. Ha!

Pociągnął za niepozorny występ ściany i cały jej fragment odchylił się do środka na naoliwionych żelaznych szynach. Gdy Jasmina spojrzała w powstały otwór, zobaczyła wąski przesmyk w pionowym skalnym urwisku, wznoszącym się kilka stóp za chatą. Conan wskoczył na ogiera, podniósł dziewczynę i posadził przed sobą. Za nimi wielkie drzwi stęknęły niczym żywe stworzenie i runęły z trzaskiem na klepisko. Pobudzony tym zwycięstwem tłum zarośniętych Wazulisów z mieczami oraz nożami w dłoniach, wyjąc jak czereda potępieńców, wparował do izby. Wielki czarny ogier wypadł z chaty jak wystrzelony z katapuły i pogalopował przesmykiem, wyciągnięty jak struna, tocząc pianę z pyska.

Taki bieg wypadków był dla Wazulisów całkowitym zaskoczeniem. A jeszcze większym dla skradającej się przesmykiem pary. Wszystko rozegrało się w tak błyskawicznym tempie, a ogier galopował z tak zawrotną szybkością, że człowiek w zielonym turbanie na głowie nie zdążył umknąć z drogi. Runął potracony z potworną siłą przez mknące zwierzę, a na ten widok jego towarzyszka wrzasnęła przeraźliwie. Conan widział ją dosłownie przez chwilę: smukła, smagłolica piękność w jedwabnych spodniach i inkrustowanym klejnotami staniku, rozpaczliwie przyciskająca się do ściany przesmyku.

Potężny Cymmeryjczyk i jego branka, dosiadający czarnego ogiera, zniknęli w wąskiej gardzieli przesmyku niczym morska piana na plaży tuż przed sztormem. Krwiożercze wycie ścigających ich Wazulisów zmieniło się we wrzask trwogi i bólu, kiedy wypadli przez ukryte drzwi, wbiegli do przesmyku i natknęli się tam na kogoś, kogo nie spodziewali się spotkać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

GÓRA CZARNYCH MAGÓW

– Dokąd teraz? – Jasmina przyciśnięta do Conana, usiłowała jakoś utrzymać się w siodle. Musiała przyznać sama przed sobą, że choć była Devi i w jej żyłach płynęła królewska krew, to dotyk jego muskularnego ciała sprawiał jej prawdziwą przyjemność.

– Do Afgulistanu – odparł. – To ryzykowna podróż, ale ten rumak zanieś nas tam bez trudu, chyba że wpadniemy na twoich przyjaciół, lub, co gorsza, na wrogów mojego plemienia. I nie zapominaj, że Jar Afzal nie żyje, a to oznacza jedno: ci przekłęci Wazulisi będą nas ścigać do upadłego. Dziwi mnie, że jeszcze nie widzę za nami ich zarośniętych gęb.

– Kim był człowiek, którego staranowałeś? – zapytała.

– A bo ja wiem? Nigdy wcześniej go nie widziałem. Na pewno nie był Gulistańczykiem. Nie mam pojęcia, co tam, u diabła, robił. Była z nim dziewczyna.

– Faktycznie – Jasmina zaczęła się nad czymś zastanawiać. – Nic z tego nie rozumiem. To była moja dwórka, Jitara. Myślisz, że chciała mnie ratować? I że ten dziwny mężczyzna to jej przyjaciel? Jeśli tak, to Wazulisi pojмали ich oboje.

– Cóż, życie jest brutalne – mruknął smętnie Cymmeryjczyk – a my nie możemy nic na to poradzić. Jeśli wrócimy, obedrą nas żywcem ze skóry. Męczy mnie jedno: jakim cudem taka delikatna dziewczyna mogła dotrzeć tak daleko w towarzystwie zaledwie jednego mężczyzny i to na dodatek chyba uczonego, bo tylko oni tak idiotycznie się ubierają. To wszystko dziwnie wygląda. Ten pobity i wysłany przez Jar Afzala na obchód czujek Wazulis, ruszał się jak lunatyk. Widziałem raz, jak kapłani w Zamorze odprawiali mroczne rytuały w zakazanych świątyniach – ich ofiary miały w oczach tę samą pustkę. Kapłan podchodził do kogoś, patrzył mu głęboko w oczy, mamrotał jakieś zaklęcie i człowiek zamieniał się w chodzącego trupa. Wodząc wokół szklistym wzrokiem, wykonywał każde polecenie kapłana. Poza tym widziałem, co ten Wazulis trzymał w dłoni, a co potem podniósł Jar Afzal. Wyglądało to jak wielki, czarny paciorek, taki sam, z jakich dewadasi w świątyniach Jezuda robią naszyjniki, zakładane do

rytualnych tańców przed czarnym, kamiennym posągami ich bóstwa. Tylko tę kulkę trzymał w dłoni Jar Afzal, nic więcej. Tylko tę kulkę... A jednak kiedy upadł martwy, spomiędzy palców wybiegł mu pająk bardzo podobny do bóstwa Jezuda, tylko mniejszy. A potem, kiedy ci wazuliscy geniusze stali, nie wiedząc, co począć, jakiś głos rozkazał im, by mnie zabili. Doskonale wiem, że ten głos nie dobiegł się z gardła żadnego z wojowników na placu, ani żadnej z kobiet w wiosce. Nie wiem jak, ale ten głos nadleciał z... góry.

Jasmina nic nie odpowiedziała, bo nie wiedziała, co niby miałyby w takiej sytuacji powiedzieć. Spojrzała na surowy, górski krajobraz i zadrżała. Ona, władczyni potężnego królestwa, której rozkazy wypełniano natychmiast i bez zająknięcia, teraz, w zetknięciu z surowym pięknem gór, czuła się nikim, niewiele znaczącym pyłkiem od tysięcy lat gnany kaprysmi lodowatych wichrów. W tej zimnej, pustej krainie wszystko mogło się wydarzyć. Dla ludzi urodzonych i wychowanych na gorących równinach zamożnego Południa, opowieści przekazywane z pokolenia na pokolenie kazały wierzyć, że pośród tych niebotycznych szczytów rządzi groza, lęk i tajemnica.

Słońce stało już wysoko na niebie, zalewając ziemię nieznośnym żarem, a mimo to po górskich zboczach sunęły lodowate podmuchy, smagając ciała igiełkami lodu. W pewnej chwili Jasmina usłyszała gdzieś w górze dziwny świst, który w żadnym razie nie brzmiał jak panoszące się wokół podmuchy wiatru, i spoglądając na rozglądającego się czujnie wokół Conana zrozumiała, że dla niego to zjawisko także było czymś niecodziennym. Na chwilę czyste, błękitne niebo przesłoniła zamazana smuga, jakby coś niewytłumaczalnego bardzo szybko przemknęło nad ich głowami, ale nie miała zielonego pojęcia, co to mogło być. Obydwoje darowali sobie jakiegokolwiek komentarze, ale Cymmeryjczyk, chcąc być przygotowanym na najgorsze, sprawdził, czy jego handzar lekko wysuwa się z pochwy.

Podążali ledwie widoczną ścieżką z początku wiodącą przez parowy tak głębokie, że promienie słońca nigdy nie pieściły swym dotykiem ich dna, a po jakimś czasie wspinającą się na strome zbocza, gdzie potężne rumowiska skalne na każdym kroku groziły osunięciem się spod nóg. A jakby tego było mało, ścieżka w końcu prowadziła ich wąskimi i niebezpiecznymi graniami opadającymi po obu stronach w niezmierzone, zatopione w niebieskawej mgiele przepaście, w których głuchym echem odbijał się stukot końskich kopyt.

Słońce już jakiś czas temu minęło zenit, kiedy dotarli do wąskiego szlaku, wijącego się między szczytami. Conan ściągnął wodze i niespodziewanie dla Jasminy skierował konia na południe, niemal prostopadle do poprzedniego kierunku jazdy.

– Tym szlakiem dotrzemy do wioski Galzajów – wyjaśnił. – Ich kobiety chodzą tędy po wodę. Trzeba cię na nowo odziać.

Spojrzawszy na swój delikatny, zniszczony przyodziewek Jasmina w duchu przyznała mu rację. Drogocenne pantofelki wyszywane złotą nicią wyglądy, jakby rozszarpał je głodny szczur, nie mówiąc już o jedwabnej sukni i bieliźnie, które raczej więcej odkrywały niż zasłaniały. Strój idealnie pasujący do ociekających bogactwem ulic Peszkauri nie sprawdzał się wśród majestatycznych gór Himelii.

Gdy dotarli do zakrętu Conan zsiadł z konia i pomógł zsiść Jasminie. Czekali dłuższą chwilę, gdy nagle Cymmeryjczyk z zadowoleniem pokiwał głową, choć dziewczyna nie wiedziała, co go tak uradowało.

– Nadchodzi kobieta – mruknął.

Zdjęta nagłą grozą Jasmina chwyciła go za ramię.

– Chyba jej nie... zabijesz, prawda?

– Zazwyczaj nie zabijam kobiet – odpowiedział nieco rozbawionym tonem – chociaż trzeba przyznać, że niektóre z tych góralek to wcielone wilczyce. Nie – uśmiechnął się, jakby właśnie usłyszał przedni żart – nie zabiję jej. Na Croma, zrobię nawet więcej: kupię od niej jej szaty! Co ty na to?

Chcąc pokazać Jasminie, że mówi poważnie, wyciągnął z sakiewki garść złotych monet, wybrał tę największą, a resztę z powrotem schował. Devi skinęła głową z nieukrywaną ulgą. Zdawała sobie sprawę, że w świecie Conana mężczyźni bez oporu zabijali i ginęli, ale dreszcz grozy przebiegł jej po plecach na myśl o tym, iż musiałyby patrzeć, jak jej towarzysz, i to z błahego powodu, z zimną krwią morduje kobietę.

Koniec końców zza zakrętu wyłoniła się wysoka, szczupła Galzajka, niosąc wielką, pustą tykwę. Na ich widok stanęła jak wryta, upuszczając ją na kamieniste podłoże. Zrobiła ruch, jakby zamierzała rzucić się do panicznej ucieczki, ale natychmiast zdała sobie sprawę, że ogromny i muskularny mężczyzna stoi zbyt blisko, by zdołała uciec, postanowiła więc stać spokojnie, przyglądając się dziwnej parze z mieszaniną strachu i ciekawości.

Conan pokazał jej złotą monetę.

– Prosty handel – powiedział łagodnie. – Jeśli oddasz tej kobiecie swoje ubranie, dam ci tę monetę.

Galzajce nie trzeba było dwa razy powtarzać takiej oferty; uśmiechnęła się więc szeroko ze zdziwienia i zadowolenia, a że góralki słynęły ze swej pogardy dla wszelkiej maści konwenansów, bez oporów zrzuciła haftowany serdak, zdjęła bufiaste spodnie i koszulę o szerokich rękawach oraz skórzane, mocno przechodzone, ale całe, sandały. Zgarnawszy to wszystko na kupę, podała zawiniątko Conanowi, który z kolei wepchnął je w ręce zdumionej Jasminy.

– Idź za najbliższą skałę i przebierz się – nakazał, raz jeszcze udowadniając, że nie jest rdzennym mieszkańcem himeliańskich gór. – Zwiń swoje odzienie w węzeł i przynieś mi, kiedy skończysz.

– Pieniądze! – przypomniała o swoim istnieniu Galzajka, jazgocząc jak doświadczony vendiański kupiec i wyciągając zachłannie dłonie w kierunku Conana. – Złoto, które mi obiecałeś!

Cymmeryjczyk rzucił jej monetę. Złapała ją w powietrzu, ugryzła na próbę, po czym schowała we włosy, pochyliła się, podniosła tykwę i jak gdyby nigdy nic poszła dalej drogą, mając za nic brak ubrania i poczucie wstydu. Conan czekał z pewną niecierpliwością, aż Devi, po raz pierwszy w swym pełnym wygód życiu, ubierze się sama. Kiedy wyszła zza skały, zaklął ze zdziwienia i Jasmina poczuła przypływ niespodziewanego, ale jakże miłego podniecenia na widok szczerego i nieukrywanego podziwu malującego się w jego barbarzyńskich, błękitnych oczach. Jeszcze nigdy nie doświadczyła takiej wybuchowej mieszanki wstydu, zmieszania i mile łączącej jej ego próżności, a jego pożądliwe spojrzenie przeszywało ją dreszczem. Conan położył potężną dłoń na jej delikatnym ramieniu i obrócił dziewczynę dookoła, przypatrując się ze wszystkich stron.

– Na Croma! – rzekł. – W tych zwiewnych, królewskich szatach byłaś wyniosła, zimna i daleka jak gwiazda na niebie. Teraz jesteś kobietą z krwi i kości! Weszłaś za skałę jako Devi Vendii, a wyszłaś jako góralska dziewczyna, ale tysiąc razy piękniejsza od wszystkich dziewczek Zaibaru! Byłaś boginią, a teraz jesteś prawdziwą kobietą!

Wymierzył jej soczystego klapsa, a Jasmina uznając to za dowód barbarzyńskiego hołdu, nie oburzyła się. Odniosła wrażenie, że wraz ze zmianą odzienia, zaszła w niej wielka przemiana. Do głosu doszły tłumione od lat uczucia i pragnienia, jakby królewskie szaty były niczym innym jak

tylko kajdanami uprzedzeń i zahamowań, założonymi na jej delikatne ręce przez sztywną i sformalizowaną dworską etykietę.

Ale Conan nie dał się do końca ponieść fali podniecenia, cały czas pamiętał o czyhających na nich niebezpieczeństwach. Im bardziej oddalali się od Zaibaru, tym mniej prawdopodobne stawało się spotkanie kszatrijaskich oddziałów, lecz przez cały czas uważnie nasłuchiwał odgłosów żądnych zemsty Wazulisów, świadczących, że ci wpadli na ich trop.

Posadził Jasmine w siodle, po czym sam wskoczył na wierzchowca i ponownie ruszyli na zachód. Zawiniątko z szatami, które od niej dostał, wrzucił do tyśiącstopowej czeluści głębokiego wąwozu.

– Po co to zrobiłeś? – spytała. – Dlaczego nie dałeś ubrania dziewczynie?

– Lansjerzy z Peszkauri przeczesują góry – powiedział. – Będą napadani, atakowani i mordowani przez cały czas, a w odwecie zmiotą z powierzchni ziemi każdą wioskę, którą zdołają zdobyć. Niewykluczone, że zawędrują i tutaj. Gdyby w ich ręce wpadła kobieta nosząca twoje szaty, okrutnymi torturami zmusiliby ją do mówienia, a wtedy mogłaby naprowadzić ich na nasz ślad.

– To co ona teraz robi? – zaniepokoiła się Jasmina.

– Wróci do wioski i powie, że została napadnięta – uspokoił ją Conan i mówił dalej. – Jak znam życie, całe wioskowe towarzystwo od razu rzuci się za nami w pościg, ale dziewczyna musi najpierw pójść i nabrać wody, bo gdyby ośmieliła się wrócić bez niej, dostałaby kilkadziesiąt batów. A to daje nam wiele czasu na ucieczkę. Nigdy nas nie złapią. Myślę, że wieczorem spokojnie przekroczymy granicę Afgulistanu.

– Ta okolica jest jak pustynia, nigdzie tu nie widać śladów ludzkiej obecności – zauważyła Jasmina. – To bardzo dziwne, nawet biorąc pod uwagę fakt, że jesteśmy w górach Himelii. Nie natknęliśmy się na jakąkolwiek uczęszczaną ścieżkę od chwili, gdy zeszliśmy ze szlaku, na którym spotkaliśmy Galzajkę.

Conan w odpowiedzi wskazał ręką na północny zachód, gdzie Devi dostrzegła majestatyczny szczyt otoczony przez ośnieżone górskie grzbiety.

– To Imsza – mruknął. – Tutejsze plemiona budują swe wioski najdalej, jak to tylko możliwe, od tej przeklętej góry.

Wypowiedziane przez Conana słowa natychmiast przykuły uwagę Devi.

– Imsza! – szepnęła. – Góra Czarnych Magów!

– Tak ludzie gadają – odparł. – Jeszcze nigdy nie byłem tak blisko niej. Mocno odbiliśmy na północ, by uniknąć kszatrijaskich oddziałów, które mogłyby zapędzić się aż tutaj. Prawie wszyscy podróżują z Kurumu do Afgulistanu szlakiem biegnącym dalej na południe. Ten, na którym teraz jesteśmy, w zasadzie został zapomniany. Niewielu nim chodzi.

Jasmina wpatrywała się z nieprzeniknioną miną w odległy szczyt. Zaciśnęła dłonie tak mocno, że aż paznokcie wbiły się w delikatne ciało.

– Ile potrzebowalibyśmy czasu, by dotrzeć stąd na Imszę?

– Resztę dnia i całą noc – odparł, uśmiechając się szeroko. – Chcesz tam iść? Na Croma, sądząc po tym, co opowiadają górale, to nie jest miejsce dla zwykłego śmiertelnika, nawet jeśli jest nim vendiańska księżniczka!

– Dlaczego tutejsi mieszkańcy nie skrzykną się i nie powyrzynają mieszkających tam demonów? – Jasmina drążyła dalej.

– Rzucić się na magów z nagimi mieczami? Poza tym, oni nigdy nie ingerują w ludzkie sprawy, chyba że ktoś zalezie im za skórę. Nigdy nie widziałem żadnego z nich, chociaż rozmawiałem z ludźmi, którzy przysięgali na groby swych zmarłych, że ich spotkali. Gadali, że o wschodzie, a czasem i o zachodzie słońca widzieli pośród skał magów z Imszy: wysokich, milczących mężczyzn w czarnych jak krucze pióra szatach.

– A ty? Bałbyś się ich zaatakować?

– Ja? – ta myśl wydała mu się czymś nowym. – Bo ja wiem... Gdyby mi weszli w drogę, to okazałoby się, kto jest więcej wart: ja, czy oni. Tak czy inaczej, nigdy nie miałem powodu, by z nimi zadzierać. Przybyłem w te góry, by skrzyknąć do kupy trochę luda, stoczyć kilka krwawych bitew i porządnie nabić sakiewkę, a nie prowadzić jakieś wydumane wojny z magami.

Jasmina nic nie powiedziała. Milcząc, patrzyła na niebosiężny szczyt jak na znieawidzonego wroga z krwi i kości, czując jednocześnie, że gniew i furia na nowo wypełniają jej serce. W gonitwie myśli pojawił się nagle szalony pomysł. Spiskowała, ryzykując życiem wielu ludzi tylko po to, aby rzucić tego oto barbarzyńcę, w którego mocy teraz się znalazła, przeciw władcom Imszy. Zdała sobie sprawę, że być może jest inny sposób, by osiągnąć upragniony cel. Była co prawda boską Devi, ale także i kobietą, i nie mogła się mylić co do wyrazu, jaki pojawiał się w jego dzikich, błękitnych oczach, kiedy za każdym razem na nią patrzył. Całe królestwa

legły w gruzach i niejedna dynastia wygasła, gdy białe, kobiece dłonie pociągnęły za odpowiednie nitki przeznaczenia...

Nagle drgnęła i wskazała palcem na jakiś odległy punkt.

– Patrz!

Nad odległym szczytem unosiła się ledwie widoczna chmura o niespotykanym kształcie i matowoczerwonym kolorze, skrząc się złotymi pasmami. Chmura była w nieustannym ruchu, to obracała się i wirowała, to znów gwałtownie się kurczyła. Po kilku chwilach przybrała kształt wirującego stożka, błyszczącego w promieniach słońca. Nagle oderwała się od ośnieżonego wierzchołka szczytu i przypominając wielobarwne piórko, przepłynęła po niebie, by zniknąć w jego lazurowym bezmiarze.

– Co to mogło być? – spytała zaniepokojona Jasmina, gdy zwieńczenie grani przesłoniło szczyt. Widok był piękny i niezwykły, jednak mimo to budził żywy niepokój.

– Tutejsi mieszkańcy nazywają to Kobiercem Imszy, cokolwiek to znaczy – wyjaśnił Conan. – Raz byłem świadkiem, jak pięciuset tubylców uciekało, jakby demon z piekła rodem deptał im po piętach, kryjąc się gdzie popadnie, tylko dlatego, że zauważyli jak ta kolorowa chmura odrywa się od wierzchołka góry. Co to...

Minęli właśnie wąską szczelinę, wyglądającą na wyciętą ostrym nożem w pionowej skale, i znaleźli się na szerokim występie skalnym z jednej strony mającym rząd poszarpanych zboczy, a z drugiej niebotycznie wielkie urwisko. Przez tę półkę prowadził mocno wytarty szlak, raz po raz skrywając się wśród skalnych grzbietów, by po chwili, w zaskakująco regularnych odstępach, pojawiać się i cały czas, monotonicznie prowadzić w dół. Gdy tylko ogier wyszedł ze szczeliny na skalną półkę, parsknął, stanął jak wryty i za nic w świecie nie chciał ruszyć dalej. Conan popędział go niecierpliwie, lecz zwierzę podrzucało łbem, trzęsło się całe i napinało wszystkie mięśnie, jakby natrafiło na niewidzialną ścianę.

Cymmeryjczyk soczyście zaklął i zeskoczył z konia, trzymając Jasminę w ramionach. Ruszył do przodu z wyciągniętą przed siebie ręką, jakby spodziewał się, że wpadnie na niewidoczną przeszkodę. Ku jego zdziwieniu na nic jednak nie natrafił, ale kiedy próbował pociągnąć za sobą spanikowanego ogiera, ten zarżał przeraźliwie i z całej siły szarpnął się do tyłu. Nagle Jasmina ostrzegawczo krzyknęła i Conan błyskawicznie okręcił się na pięcie, sięgając ku rękojeści handzara.

Nie zauważyli, by ktokolwiek się zbliżał, a mimo to stanął przed nimi mężczyzna ubrany w togę z wielbłądziej wełny i w zielonym turbanie na głowie. Cymmeryjczyk aż jęknął ze zdziwienia, bowiem rozpoznał w niespodziewanym przybyszu, stojącym z rękami złożonymi na piersiach, człowieka, którego stratował w wąwozie przy wiosce Wazulisów.

– Kim ty, na wszystkie demony, jesteś? – spytał wściekły.

Tajemniczy mężczyzna nie odpowiedział. Conan zauważył tylko, że jego oczy są nienaturalnie rozszerzone, nieruchome i promieniujące dziwnym blaskiem. I że z niepoohamowaną siłą przyciągają uwagę.

Potęga czarów Khemisy opierała się na sile hipnozy, tak samo zresztą jak znaczna część magii uprawianej na Wschodzie. Dziesiątki, jeśli nie setki pokoleń mieszkanców tych krain żyły i umierały w nieprzemijającym przekonaniu nie tylko o sile, ale i jej nieograniczonych możliwościach, co z kolei, dzięki namacalnym dowodom, jak i licznym opowieściom, stworzyło tak wszechogarniającą atmosferę strachu, że ktokolwiek, kto wychowywał się w tradycjach Wschodu, był w zetknięciu z hipnozą właściwie bezradny. Ale Conan nie był synem Wschodu, wszystkie tutejsze tradycje, przesady i strachy nic dla niego nie znaczyły. Należał do zupełnie innej cywilizacji. W Cymerii nie znano nawet takiego słowa, jak hipnoza. Bagaż wielopokoleniowego dziedzictwa, zmuszającego mieszkańców Wschodu do bezwolnej uległości tej sztuce, był mu zupełnie obcy. I obojętny.

Oczywiście zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co usiłuje zrobić mu Khemsa, ale potężne uderzenie jego niezłomnej magicznej mocy odczuwał jako ledwie wyczuwalne dotknięcie, jakby ktoś próbował go niezdarnie popchnąć. Mógł pozbyć się tego uczucia równie łatwo, jak strzepuje się z ubrania pajęczynę.

Gdy tylko do świadomości Conana dotarło, że Khemsa pragnie go zabić, wyrwał zza pasa handzar i runął na niego jak żądna krwi puma.

Jednak oprócz hipnozy, Khemsa miał w zanadrzu jeszcze kilka innych, równie niebezpiecznych, sztuczek. Obserwująca z boku całe zajście Jasmina nie zauważyła, by mężczyzna w zielonym turbanie na głowie wykonał jakiś chytry unik, czy też użył kolejnego czaru, a mimo to w niepojęty dla niej sposób uniknął potwornie silnego pchnięcia wymierzonego w brzuch. Ostre jak brzytwa ostrze przeszło mu pod pachą. Jego kontratak wydał się dziewczynie wręcz śmieszny: szybkim i płynnym ruchem dłoni tylko musnął byczy kark Conana. Ale efekt był piorunujący –

Cymmeryjczyk z łoskotem zwałił się na ziemię jak wół, któremu poderżnięto gardło.

Jednak nie był to cios śmiertelny, barbarzyńca padając złagodził impet upadku lewą ręką, by od razu, zamaszystym cięciem, zaatakować nogi maga, który uniknął ciosu tylko dzięki najzwyczajniejszemu w świecie susowi w tył. I w tym momencie Jasmina głośno krzyknęła. Zza skał wysunęła się bowiem kobieta, w której Devi od razu rozpoznała Jitarę, i stanęła obok maga. Słowa powitania zamarły w gardle Jasminy na widok nieukrywanej złości malującej się na jej pięknej twarzy.

Conan podnosił się wolno, wstrząśnięty i oszołomiony tytaniczną wręcz siłą uderzenia, zadanego według zasad sztuki zapomnianej całe millenia przed zagładą Atlantydy, które każdemu przeciętnemu człowiekowi złamałoby kark jak spróchniałą gałąź. Khemsa spojrzał na swego przeciwnika skupiony i nieco zbity z tropu. Co prawda w pełni poznał swoje magiczne możliwości, gdy starł się ze zgrają wściekłych i przepełnionych żądzą mordu Wazulisów w wąwozie przy wiosce Kurum, jednak odporność Cymmeryjczyka na jego magię zasiała ziarno zwątpienia w umyśle maga, już nie był tak pewny siebie. Magia karmi się sukcesami, nie porażkami.

Khemsa ruszył do Conana, podniósł rękę, by w końcu zadać ostateczny cios i... nagle zamarł z uniesionym ramieniem, patrząc z przerażeniem w górę. Barbarzyńca mimowolnie podążył za jego wzrokiem, tak samo uczyniły kobiety: skulona przy dygoczącym ogierze Jasmina i kochanka maga.

Po górskich zboczach sunęła niesamowicie purpurowa, stożkowata chmura na podobieństwo wirującego obłoku jaśniejącego kurzu, niesionego przez górski wiatr. Khemsa natychmiast pobladł na twarzy, z trudem dałoby się go teraz odróżnić od trupa. Ręka mu zdrząła i nagle opadła bezwładnie. Stojąca tuż przy nim Jitara, wyczuwając zachodzącą w nim zmianę, spojrzała nań pytająco.

Tymczasem purpurowa chmura spłynęła majestatycznie po zboczu góry, zatoczyła szeroki łuk i wylądowała na skalnej półce między Conanem a Khemszą, który ogarnięty nagłym atakiem paniki, odskoczył ze zduszonym okrzykiem. Cofając się, ciągnął za sobą zdeorientowaną Jitarę, próbując ją w ten sposób osłonić, i spazmatycznie zaciskał dłoń na jej ramieniu.

Purpurowa chmura przez chwilę wirowała w miejscu z szaleńczą prędkością, przypominając wielokolorowego bączka nakręconego ręką

nadpobudliwego dziecka i nagle, bez ostrzeżenia, zniknęła, jak rozpryskująca się bańka mydlana. Na półce stali czterej mężczyźni. Trudno było w to uwierzyć, ale nie duchy czy zjawy, tylko czterech wysokich, szczupłych mężczyzn z krwi i kości, z wygolonymi głowami, odzianych w długie czarne togi, skrywające ich stopy i dłonie. Naprawdę tam stali, nie byli złudzeniem ani mirażem, i tak stojąc w milczeniu, zgodnie potakiwali głowami o sępim wyglądzie. Wpatrywali się w Khemcę, a kucający za ich plecami Conan poczuł, że płynąca w jego ciele krew nagle zamienia się w lód. Podniósł się i cofnął ostrożnie, aż plecami dotknął sierści drżącego konia. Objął ramieniem przerażoną Jasminę. Nie padło ani jedno słowo. Cisza zaległa wokół jak śmiertelny całun.

Wszyscy czterej mężczyźni w czarnych togach patrzyli na Khemcę. Ich sępie twarze były jak martwe, nie wyrażały żadnych emocji, a spojrzenia skupione, nieruchome, świdrujące. Khemsa trząsnął się jak w febrze. Stopami mocno zaparł się o skałę, zmuszając mięśnie łydek do niemalże nadludzkiego wysiłku. Pot spływał strumieniami po jego smagłej twarzy. Prawą dłoń zacisnął mocno na czymś, co nosił pod brązową szatą, z taką siłą, że krew odpłynęła mu z posiniątej ręki. Lewą dłoń położył na ramieniu Jitary i zacisnął kurczowo, jak tonący człowiek chwytający powietrze w rozpaczliwym geście. Dziewczyna nawet nie drgnęła, nie wydała żadnego dźwięku, choć palce ukochanego wpiły się w jej ciało z siłą jastrzębich szponów zagłębiających się w ofiarę.

W całym swoim życiu Conan był świadkiem i uczestnikiem setek bitew, ale nigdy nie widział takiej jak ta, w której moc zrodzona z połączenia czterech demonicznych sił zmagająca się z jedną, równie potężną i diabelską. Ledwie wyczuwał sens i potęgę tej tytanicznej walki. Osaczony, pozbawiony drogi ucieczki Khemsa walczył desperacko o życie, używając całego arsenału swych magicznych umiejętności, odwołując się do całej wiedzy zdobytej podczas długich, posępnych lat nowicjatu i wasalstwa.

Był silniejszy, niż sądził, a konieczność posłużenia się tą mocą we własnej obronie obudziła w nim nieoczekiwane pokłady energii, spotęgowane strachem, desperacją i rozpaczą. Ledwie stał na nogach pod miażdżącym naporem czterech par oczu. Ale trwał, nie ustępował. Jego twarz wykrzywił zwierzęcy grymas bólu, a ciało wyginało się, jakby poddawano je najbardziej okrutnym i wymyślnym torturom. Była to batalia dusz, zwichrowanych umysłów opitych wiedzą niedostępną człowiekowi od miliona lat. Bitwa magów, których chora żądza poznania najmroczniejszych

tajemnic, pozwoliła zgłębić nienazwane otchłanie mroku i zobaczyć robaczywe łona czarnych gwiazd, rodzących najbardziej odrażające koszmary.

Jasmina o wiele lepiej od Conana rozumiała istotę zmagañ toczonych na ich oczach. I od razu domyśliła się, jakim cudem Khemsa mógł wytrzymać frontalny atak aż czterech potężnych umysłów, których wola była w stanie w jednej chwili rozbić na atomy skałę, na której stał. Tu chodziło o Jitarę, którą teraz rozpaczliwie przyciskał do siebie. To ona była kluczem do jego mocy, rodzajem kotwicy dla toczącej nierówny bój duszy maga, zalewanej kolejnymi, coraz gwałtowniejszymi falami magicznej emanacji zła Czarnych Magów. Siłą Khemsa okazała się jego słabość. Namiętna miłość do dziewczyny, choć przecież zepsuta i targana nawałnicą emocji, stanowiła ostatnią więź łączącą go z resztą ludzkości, mając kolosalny wpływ na siłę jego woli, tworząc pewnego rodzaju nierozzerwalny dla magów z Imszy łańcuch. A przynajmniej nie potrafili rozerwać jednego z ogniw tego łańcucha, którym był Khemsa.

Ale oni zrozumieli to znacznie szybciej niż on. Jeden z nich przeniósł swe spojrzenie na Jitarę i, co oczywista, nie napotkał z jej strony żadnego oporu. Dziewczyna w jednej chwili skurczyła się i oklapła jak spragniony wody liść podczas niekończącej się suszy. Zmuszona potężnym uderzeniem demonicznej woli wyrwała się rąk kochanka, zanim ten zrozumiał, co się dzieje. I stało się najgorsze. Dziewczyna zaczęła się cofać w kierunku urwiska, wpatrzona w swych oprawców rozszerzonymi, czarnymi oczami, równie pustymi jak okna domu, w którym nie paliła się już żadna lampa. Khemsa jęknął i zatoczył się w jej stronę, nieubłaganie wpadając w zastawioną przez Czarnych Magów pułapkę. Jego los został przypieczętowany. Rozproszone myśli nie pozwoliły na skuteczną obronę przed zmasowanym atakiem, był niczym snopek siana stojący na drodze lawiny. Chwilę później został pokonany. Był już tylko bezwolną marionetką w ich rękach. Dziewczyna cofała się nadal, krok za krokiem na sztywnych nogach, a zataczający się Khemsa podążył za nią w z góry skazanej na niepowodzenie próbie jej pochwylenia. Jęczał i szlochał z rozpachy świadom nieuchronnego końca. Poruszał się jak żywy trup.

Kierowana wolą Czarnych Magów dziewczyna zatrzymała się na samej krawędzi, stojąc sztywno z piętami nad urwiskiem, a Khemsa pełznął do niej, wyciągając bezradnie ręce, chcąc uchronić ją przed upadkiem. Już prawie dotknął jej zeszywniałymi palcami, gdy jeden z magów roześmiał

się okrutnym śmiechem, brzęącym niczym spiżowy głos piekielnego dzwonu. Jitara zachwiała się i, w zakwicie sadystycznego okrucieństwa władców Imszy, w tym samym momencie odzyskała świadomość i wróciły jej zmysły! W jej oczach pojawiło się przerażenie, wrzasnęła z rozpacz, próbując w beznadziejnej próbie pochwycić wyciągnięte ręce kochanka. Było już jednak za późno. Konwulsyjnie uchwyciła jedynie powietrze i z przeraźliwym krzykiem runęła w skalną otchłań.

Khemsa dowlókl się do krawędzi i bezgłośnie poruszając wargami oraz mamrocząc coś do siebie, zrozpaczonym wzrokiem spojrzął w dół. Po krótkiej chwili odwrócił się i szeroko otwartymi oczami, w których nie było już nic ludzkiego, wpatrywał się intensywnie w sprawców swego nieszczęścia i bólu. Nagle, w akcie ostatecznej desperacji, rzucił się z nożem w podniesionej ręce na Czarnych Magów z wrzaskiem, od którego pękały skały.

Jeden z nich wysunął się naprzód i tupnął nogą. Wokół rozległ się cichy pomruk, który niespodziewanie przeszedł w ogłuszający ryk. W miejscu, gdzie uderzył stopą o podłoże, otworzyła się szybko poszerzająca się szczelina. Z trudnym do wytrzymania hukiem ogromny kawał skalnej półki runął w dół. Wśród spadających skał mignęła jeszcze sylwetka Khemсы, bezradnie młócaącego rękami powietrze, po czym wszystko naraz zniknęło w gruzowisku opadającym z hukiem w bezdenną otchłań.

Czterej Czarni Magowie przypatrywali się przez chwilę w skupieniu i nie wróżącej nic dobrego ciszy poszarpanej krawędzi, która tworzyła teraz nowy skraj urwiska, po czym nagle odwrócili się, jakby dopiero teraz zauważyli Conana, Jasmine i wielkiego czarnego ogiera. Cymmeryjczyk, powalony przez gwałtowne wstrząsy właśnie wstawał i podnosił Jasmine. Oszołomiony i ogłupiały poruszał się równie wolno, jak myślał. Jego instykt wręcz krzyczał, że powinien jak najszybciej posadzić dziewczynę na grzbiecie konia i pognać jak wiatr, ale jego ciałem i zmysłami owładnęła przerażająca o ciężałość.

Magowie skupili teraz całą swoją uwagę na nim. Podnieśli ramiona i Conan ze zgrozą zobaczył, że ich sylwetki bledną, zamazują się w jakiś niewytłumaczalny sposób, po czym nagle nikną w purpurowej mgle, otulającej ich nieprzeniknionym całunem. Cymmeryjczyk stracił ich z oczu, a obłok zaczął wirować, coraz szybciej i szybciej i wtem... uświadomił sobie, że ta purpurowa chmura otacza i jego. Usłyszał rozdzierający krzyk Jasmine i przeraźliwie rżenie ogiera. Potworna siła wydarła Devi z jego

barbarzyńskich ramion, a nim samym cisnęła o skały jak ziarenkiem piasku, gdy desperacko na oślepiep dźgnął handżarem. Na pół przytomny zobaczył, jak purpurowa stożkowata chmura unosi się ponad szczytami i szybko oddala. Jasmina zniknęła tak samo jak czterej wysocy, szczupli magowie w czarnych, jak krukowe pióra, togach. Na skalnej półce został tylko on i zdrętwiały z przerażenia piękny, czarny ogier.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

PROSTO NA IMSZĘ

Całun, który więził umysł Conana rozpułynał się nagle jak mgła przegnana uderzeniem wiatru. Klnąc na czym świat stoi wskoczył na grzbiet parskającego i wierzgającego ogiera. Spojrzał przenikliwie na zbocze, zawahał się i ruszył dalej w tym samym kierunku, w którym zmierzał, zanim wpadł w pułapkę zastawioną przez Khemse. Teraz nie jechał już stępa, popuścił cugli ogierowi, który wyrwał przed siebie, galopując jak błyskawica, jakby w tym nagłym wysiłku chciał zrzucić z siebie okowy strachu. Pędzili na złamanie karku po skalnej półce, kaprysem natury owiniętej wokół ostrego szczytu, wąskim szlakiem prowadzącym niemalże brzegiem przepaści. Ścieżka wiodła zygzakiem, wijąc się i wijąc po pofałdowanej skale i w pewnej chwili, daleko w dole, Conan wypatrzył miejsce, gdzie runęła lawina: gigantyczny stos potrzaskanych skał i kamieni u stóp monumentalnego urwiska.

Kiedy dotarł do sporych rozmiarów grani, prowadzącej na następne zbocze jak skalny pomost, do dna doliny wciąż było daleko. Podążył granią, mając po obu stronach niemal pionowe zbocza. Doskonale widział przed sobą szlak, którym musiał jechać – gdzieś w dole schodził ze zbocza na dno doliny i zataczając szeroki łuk wzdłuż koryta wyschniętej rzeki, wracał pod skałę, na szczycie której stał teraz Conan. Taksując okolicę wzrokiem Cymmeryjczyk przeklął w duchu konieczność tak znacznego nadłożenia drogi, ale był w kropce, bo była to jedyna ścieżka wiodąca na dół doliny. Jakakolwiek próba zejścia po pionowym niemal zboczu byłaby nie tylko szczytem głupoty, ale także zwyczajnym samobójstwem. Tylko ptak mógłby tego dokonać, nie łamiąc sobie przy okazji karku.

Cymmeryjczyk popędzał co chwila już mocno zmęczonego ogiera, gdy nagle usłyszał dobiegający z dołu charakterystyczny brzęk podków. Wstrzymał natychmiast konia, ostrożnie podjechał do krawędzi urwiska i zajrzał w gardziel wąwozu, wyżłobionego przez płynącą tu w zamierzchłych czasach rzekę. Po jego dnie jechała wielobarwna chmara: pięciuset muskularnych, uzbrojonych po zęby brodatych mężczyzn na

półdzikich koniach. Nachylił się nad skrajem trzystustopowej przepaści i najgłośniejszy, jak potrafił, krzyknął.

Ten okrzyk osadził ich w miejscu, a pięćset twarzy spojrzało w górę. Po kanionie przebiegł głuchy, groźnie brzmiący pomruk. Conan wykorzystując efekt zaskoczenia, kuł żelazo póki gorące.

– Jechałem do Ghor! – ryknął potężnie. – Nie spodziewałem się, że spotkam was, psy, na szlaku. Jedźcie za mną tak szybko, jak zdołają wasze cherlawe szkapy! Uderzamy na Imszę i...

– Zdrajca! – pięćset głosów zlało się w jeden potężny ryk, który podziałał na Conana jak kubeł zimnej wody wylany mu na głowę.

– Że co? – zdołał jedynie wykrztusić, oniemiały ze zdziwienia.

– Zdrajca! – krzyknęli ponownie jak jeden mąż. – Gdzie jest naszych siedmiu wodzów więzionych w Peszkauri?

– Jak to gdzie? – odparł. – W więzieniu gubernatora.

W odpowiedzi w jego stronę poleciały wydobywające się z setek gardeł obelgi, przekleństwa, a dźwięki potrząsania bronią rozlały się kakofonią po okolicy. Zapanował tak wielki harmider, że nie mógł się zorientować, czego od niego chcą. Ryknął jak bawół, przekrzykując hałas i zawołał:

– Zamknijcie mordy! Niech jeden mówi, żebym wiedział, o co, u diabła, wam chodzi!

Wysuszony jak owoc granatu na słońcu, wiekowy naczelnik, który sam sobie nadał tę funkcję, postanowił spełnić rozkaz Conana. Na wstępie pogroził Cymmeryjczykowi szablą, po czym wrzasnął oskarżycielsko:

– Zabroniłeś nam napaść na Peszkauri, by odbić naszych braci!

– Ależ z was idioci! – ryknął rozeźlony na poważnie Conan. – Nawet gdybyście jakimś chorym zrządzeniem losu wdarli się na mury miasta, w co akurat wątpię, to gubernator powiesiłby więźniów, zanim zdołalibyście ich uwolnić!

– I dlatego pojechałeś sam targować się z tym vendiańskim psem! – wrzasnął Afgulis, piniąc się z wściekłości.

– I co z tego?

– Gdzie są nasi wodzowie? – krzyczał staruch wywijając szablą nad głową o mało nie robiąc sobie przy tym krzywdy. – No, gdzie? Powiem ci! Wszyscy nie żyją!

– Co?! – Conan ze zdziwienia o mało nie spadł z konia.

– Właśnie tak! Są martwi! – zapewniło go pięćset żądnych krwi głosów.

Samozwańczy naczelnik zakręcił szablą młyńca i znowu wrzasnął, stojąc na skraju egzaltacji.

– Nie powieszono ich! Wazulis z celi obok widział na własne oczy, jak zginęli! Gubernator przysłał maga, który zabił ich swoimi odrażającymi czarami!

– To musi być kłamstwo – rzekł Conan. – Gubernator nie odważyłby się. Rozmawiałem z nim zeszłej nocy i...

Ta mimochodem rzucona uwaga nie była najmądrzejszą rzeczą, jaką Cymmeryjczyk zrobił w swoim życiu. Ryk wściekłości i nowa lawina przekleństw wstrząsnęła okolicznymi szczytami.

– Więc to tak! Pojechałeś do niego sam, żeby nas zdradzić, podły kundlu! To wszystko prawda. Wazulis dał drapaka przez drzwi, które czarami wyłamał mag i opowiedział, co zaszło, naszym zwiadowcom spotkanym w Zaibarze. Posłaliśmy ich, by cię odnaleźli, kiedy nie wróciłeś na czas. Gdy usłyszeli relację tego Wazulisa, wrócili pospiesznie na Ghor, a my osiodłaliśmy konie i przypasaliśmy miecze!

– I co zamierzacie zrobić, głupcy? – spytał Cymmeryjczyk.

– Pomścić naszych braci! – zawyli. – Śmierć Kszatrijasom! Zabijcie to ścierwo! To zdrajca!

Wokół Conana posypały się strzały. Uniósł się w strzemionach, ryzykując, że któraś ze strzał dosięgnie celu, usiłując ze wszystkich sił przekrzyczeć obłąkańcze wycie wojowników. Po chwili jednak zrezygnował i z rykiem wściekłości, protestu i zniechęcenia zawrócił konia i popędził z powrotem. Afgulisi w szaleńczym galopie ruszyli za nim, miotając najgorsze przekleństwa i groźby godne samego Pana Ciemności. Jednak zbyt podnieceni i rozjuszeni zapomnieli o pewnej drobnostce: aby dostać się na grań, po której jechał Conan, powinni udać się w przeciwnym kierunku, minąć zakręt i powoli pięć się krętą ścieżką w górę. Kiedy wreszcie któryś z nich poszedł po rozum do głowy i zdał sobie sprawę, że pędzą w niewłaściwym kierunku, rozwrzeszczana zgraja zawróciła, ale było już za późno – ich zdetronizowany właśnie wódz dotarł prawie do miejsca, gdzie grań przechodziła w skalną półkę.

Gdy Conan dotarł na skraj urwiska nie pojechał dalej szlakiem, którym w to miejsce przybył, ale wybrał inną drogę, ledwie widoczną ścieżkę usłaną głazami, o które co krok potykał się koń. Nie ujechał daleko, bowiem zwierzę nagle parsknęło i rzuciło się w bok widząc coś leżącego na ziemi. Cymmeryjczyk z wysokości końskiego grzbietu spojrział w dół i aż

zaniemówił na widok nieprawdopodobnie okaleczonej, krwawej miazgi, która jeszcze kilka godzin wcześniej była Khemśą. I, co było najbardziej szokujące, ta krwawa miazga wciąż żyła, bełkocząc coś przez połamane zęby.

Conan zsiadł z konia i stanął nad potwornie okaleczonym ciałem. Jego instynkt podpowiadał, że jest oto świadkiem niezwykłego, przeczącego prawom natury zjawiska. Khemsa z najwyższym trudem uniósł okrwawioną głowę, a w jego dziwnych oczach, spowitych kotarą nieopisywalnego bólu i cieniem nadchodzącej śmierci, pojawił się błysk świadomości.

– Gdzie oni są? – wycharczał głosem, przypominającym raczej skrzek demona niż ludzką mowę.

– Wrócili do swego przeklętego zamku na Imszę – mruknął Conan. – Zabrali Devi ze sobą.

– Pójdę! – wybełkotał mężczyzna. – Pójdę tam! Zabili Jitarę, więc ja zabiję ich... Akolitów, Czterech Czarnego Kręgu, może nawet samego Mistrza... Zabiję... Wszystkich ich zabiję!

Nadludzkim wysiłkiem usiłował dowlec swoje pokiereszowane ciało dalej, chociaż te kilka jardów, lecz nawet jego nadzwyczajna siła woli nie była w stanie dłużej sprawować kontroli nad tą kupą pogruchotanych kości, tym workiem poszarpanych strzępów trzymających się razem tylko na porozrywanych tkankach i ścięgnach.

– Za nimi! – wybełkotał Khemsa, tocząc z ust krwawą pianę. – Idź za nimi!

– To właśnie zamierzam zrobić – warknął Conan. – Chciałem zebrać moich Afgulisów, ale oni, zdaje się, pozbawili mnie przywództwa. Jadę na Imszę sam. Odbiorę im Jasmine, nawet gdybym musiał przeorać tę cholerną górę gołymi rękami. Nie sądziłem, że ten trzęsiportek, Czunder Szan, będzie miał tyle ikry, by zabić moich watażków, zwłaszcza kiedy porwałem Devi, ale wygląda na to, że, nie pierwszy raz w życiu, srodze się pomyliłem. Odetnę mu za to głowę tępym nożem! Teraz nie potrzebuję już Devi jako karty przetargowej, ale...

– Niech spadnie na nich klątwa Izila! – z trudem wysapał Khemsa. – Idź! Ja umieram. Czeka... Weź mój pas.

Obrzydliwie poszarpaną ręką zaczął nieporadnie gmerać wśród strzępów swej togi z wielbłądziej wełny i Conan od razu pojął jego zamiar, nachylił się więc i zdjął z okrwawionego ciała pas o dziwnym wyglądzie.

– W otchłani drogę wskaże ci złota żyła – wymamrotał Khemsa. – Noś i nigdy nie zdejmuj tego pasa. Dostałem go w prezencie od stygijskiego kapłana. Pomoże ci, chociaż mnie, jak widzisz, zawiódł. Stłucz kryształową kulę z czterema złotymi owocami granatu. Strzeż się przemian Mistrza... Idę do Jitary... Ona już czeka na mnie w piekle... *Aie, ya Skelos yar!*

I tak skończył Khemsa, ten, który odważył się rzucić wyzwanie Czarnym Magom.

Conan popatrzył na podarowany pas, który utkano z włosów, ale na pewno nie pochodzącego z końskiej grzywy. Coś mu mówiło, że pas został spleciony z czarnych kobiecych loków. W jego gęstych splotach dostrzegł dziwne, małe klejnoty, jakich jeszcze nie widział. Sprzączka miała zaskakujący, zupełnie nietypowy kształt: przedstawiała płaską, klinową głowę węża, pokrytą misternie wykonanymi, małymi złotymi łuskami.

Gdy tak Conan oglądał z zaciekawieniem podarek, zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. W pierwszym odruchu chciał cisnąć go w przepaść, ale po krótkim namyśle postanowił tego nie robić, więc zapiął go na biodrach, chowając pod swoim szerszym, bakariockim pasem, który zawsze nosił. Chwilę potem dosiadł konia i pojechał na spotkanie swego przeznaczenia.

Słońce schowało się za poszarpanymi graniami. Conan mozolnie piął się w górę, ukryty w ich długich cieniach, otulających, niczym granatowy płaszcz, doliny i skalne półki w dole. Zbliżał się właśnie do szczytu, gdy nagle jego wyczulony słuch pochwycił dźwięk podkutych kopyt. Nie zwolnił i nie wahał się ani chwili, bo na wąskiej ścieżce wielki ogier po prostu nie zdołałby zawrócić. Minał jeden z występów skalnych, wyjechał na nieco szerszy odcinek szlaku i wtedy spadła na niego kakofonia przekleństw i gróźb, lecz jego czarny ogier już przycisnął wystraszonego konia do skalnej ściany, a Cymmeryjczyk pochwycił ramię jeźdźcy w żelaznym uścisku, zatrzymując w powietrzu spadające mu na głowę ostrze.

– Kerim Szah! – warknął, a w jego oczach rozbłysły czerwone płomienie żądz krwi.

Turańczyk nie zrobił nic, nie walczył, nie stawiał oporu. Siedząc na koniach, niemal dotykali się pierściami, a dłoń Conana, zaciśnięta na jego

ramieniu, mogła w każdej chwili pogruchotać mu kości. Za Kerim Szahem podążała kawalkada Irakzajczyków na wychudłych koniach. Spojrzeli na tarasującego im drogę nieznanego, niczym stado wygłodniałych wilków na tłusciutkiego jelenia, zaciskając dłonie na rękojeściach kindżałów i trzymając w pogotowiu łuki ze strzałami na cięciwach, lecz ze względu na ziejącą tuż obok nich bezdenną otchłań przepaści nie kwapili się, by ze swojej broni zrobić jakikolwiek użytek.

– Gdzie jest Devi? – prosto z mostu zapytał Kerim Szah.

– A co cię to obchodzi, hyrkański szpiegu? – warknął Conan.

– Przestań kręcić, wiem, że ją masz – odparł zimno szlachcic z Iranistanu, który, oczywiście, nie był szlachcicem z Iranistanu. – Jechałem z moimi ludźmi na północ, kiedy wpadliśmy w zasadzkę na przełęczy Szalizah. Przetrzebiono mój oddział, a niedobitki bezlitośnie ścigano, jakby naszym tropem podążało stado zarażonych wścieklizną szakali. Kiedy w końcu zgubiliśmy pościg, skierowaliśmy się na zachód, prosto ku przełęczy Amir Jehun, i dziś rano w nasze ręce wpadł, błakający się bez celu po górach, Wazulis. Mówię ci, był kompletnie szalony, ale zanim umarł, udało mi się wiele wywnioskować z jego bezsensownej paplaniny. Wynikało z niej, że był ostatnim ocalałym z bandy, która ruszyła do wąwozu przy wiosce Kurum za wodzem Afgulisów i kszatrijaską arystokratką. Wciąż bełkotał coś o mężczyźnie w zielonym turbanie, którego stratował uciekający z ich wioski na czarnym ogierze wódz Afgulisów. Gdy Wazulisi zaatakowali tego mężczyznę, ten, za pomocą przerażających czarów, wybił ich wszystkich do nogi, tak jak rozszalały ogień niszczy chmurę szarańczy. Nie pytaj mnie, jakim cudem ten nieszczęśnik uszedł z życiem z tego pogromu, zresztą on też nie wiedział, lecz z jego jęków wywnioskowałem, że Conan z Ghor z jakiegoś nieznanego mi powodu przybył do Kurum ze swą królewską branką, a potem, też nie wiem dlaczego, musiał, i to prędko, uciekać z wioski. A kiedy przedzieraliśmy się przez góry, niespodziewanie spotkaliśmy nagą, niosącą tykwę z wodą, Galzajkę, która chętnie opowiedziała nam, że została obrabowana i zmuszona do posłuszeństwa przez olbrzymiego mężczyznę, noszącego strój wodza Afgulisów, który, co zapamiętała szczególnie dobrze, zabrał jej przyodziewek dla towarzyszącej mu pięknej Vendianki, a na dodatek sownie jej za to zapłacił. Dziewczyna twierdziła, że podążyliście na zachód.

Kerim Szah nie uznał za stosowne wyjaśnić, że kiedy wpadł w zasadzkę wrogo nastawionych górali, właśnie zmierzał na spotkanie z oddziałami turańskiej jazdy przysłanymi z Secunderam. Sprawa była prosta: jadąc do doliny Guraszah przez przełęcz Szalihaz szpieg ze swoimi ludźmi znacznie nadkładał drogi, niż gdyby podróżował przez przełęcz Amir Jehun, lecz ta ostatnia przecinała ziemie Afgulisów, których Kerim Szah za wszelką cenę chciał unikać, przynajmniej do czasu, aż nie przejmie dowodzenia nad małą armią przyslaną na jego prośbę. Ponieważ jednak podróż przez przełęcz Szalihaz była niemożliwa, musiał podążać tym niebezpiecznym szlakiem, aż do chwili spotkania wyzbytej wszelkich konwenansów Galzajki, bo dzięki rozmowie z nią zdał sobie sprawę, że Conan z Jasminą nie dotarł jeszcze do Afgulistanu. A wtedy miał już tylko jedną możliwość: zawrócić na południe i podjąć szaleńczą oraz zuchwałą wyprawę w głąb gór, w nadziei dopadnięcia Cymmeryjczyka.

– Radzę ci po dobroci, powiedz mi, gdzie jest Devi – zasugerował Kerim Szah. – Przecież potrafisz liczyć i wiesz, że mamy przewagę liczebną...

– Niech no tylko jeden z tych twoich śmierdzących psów pomyśli o ataku, a zrzucę cię w przepaść, o tę, na krawędzi której tak miło sobie gawędzimy – obiecał mu Conan, wykrzywiając usta w szyderyczym uśmiechu. – A poza tym moja śmierć nie przyniesie ci niczego dobrego. Ściga mnie pięciuset naprawdę wściekłych Afgulisów i gdyby stwierdzili, że pozbawiłeś ich możliwości poderżnięcia mi gardła, to, jak ich znam, a znam dobrze, obdarliby cię żywcem ze skóry, a są mistrzami w tym fachu. A tak w ogóle to nie mam Devi. Wpadła w łapska Czarnych Magów z Imszy.

– Na Tarima! – zaklął cicho Kerim Szah, po raz pierwszy zupełnie tracąc panowanie nad sobą. – Khemsa...

– Khemsa zszedł, szpiegu, Khmesa zszedł... – mruknął z ponurą satysfakcją Conan. – Jego dawni mistrzowie wykopali go do piekła, zamieniając połowę góry w skalne rumowisko. A teraz zejdz mi z drogi. Z największą przyjemnością wyprułbym z ciebie flaki, gdybym tylko miał czas, ale nie mam. Spiesz się na Imszę.

– W takim razie jadę z tobą – rzekł nagle Turańczyk.

Conan wybuchnął śmiechem.

– Tak, oczywiście, jedziesz ze mną... I jeszcze pewnie oczekujesz, że ci zaufam, ty hyrkański obszczy murze?

– A czy ja cię o to proszę – odparł niezrażony reakcją Cymmeryjczyka Kerim Szah. – Obaj chcemy schwytać Devi. Wiesz, co mną kieruje: król Jezdigred pragnie przyłączyć jej królestwo do swojego wspaniałego imperium, a ją samą umieścić jaką ozdobę swego seraju. Znam cię od dawna, jeszcze z czasów, gdy byłeś hetmanem kozaków, i wiem także, że jedyne na czym ci zależy, to grabież i wojaczka z iście królewskim rozmachem. Marzy ci się splądrowanie Vendii i wymuszenie niewyobrażalnie wielkiego okupu za Jasmine. I dlatego składam ci propozycję: może na jakiś czas, nie mając co do siebie nawzajem żadnych złudzeń, połączymy nasze siły i spróbujemy niemożliwego, czyli odbicia Devi z rąk Czarnych Magów. Jeśli nam się uda i, jeśli przeżyjemy, stoczymy pojedynek: kto wygra, zatrzyma księżniczkę.

Conan przez dłuższą chwilę wpatrywał się spod oka w Turańczyka, po czym skinął głową i puścił jego ramię.

– Niech i tak będzie. Umowa stoi. A co z twoimi ludźmi?

Kerim Szah odwrócił się do milczących jak otaczające ich głązy Irakzajczyków i bezceremonialnie rzekł:

– Ten oto człowiek i ja jedziemy na Imszę, by walczyć z mieszkającymi tam magami. Albo dołączycie do nas, albo zostanieie tutaj i dacie się obedrzeć żywcem ze skóry wściekłym Afgulisom, ścigających ich wodza. Wasz wybór.

Popatrzeni na niego z ponurym fatalizmem w oczach. Tak naprawdę byli chodzącymi trupami i doskonale o tym wiedzieli od chwili, gdy świszczące strzały Dagozajczyków zmusiły ich do rejterady z przełęczą Szalizah. Mieszkańcy dolnego Zaibaru nie bardzo potrafili ułożyć sobie stosunki z mieszkańcami gór i odwrotnie, dlatego często między nimi wybuchały gwałtowne i krwawe waśnie, a to dla Irakzajczyków oznaczało tylko jedno: bez pomocy przebiegłego Turańczyka mogli co najwyżej pomarzyć o przedarciu się do nadgranicznych wiosek. Uważali się już za martwych, dlatego udzielili mu jedynej możliwej odpowiedzi, jaką mogli dać tylko ludzie pogodzeni ze swoim losem.

– Jedziemy z wami, by umrzeć na Imszy.

– Zatem, w drogę, na Croma! – warknął Conan, wiercąc się niecierpliwie w siodle i spoglądając na granatowoniebieską łunę zapadającego zmierzchu. – Co prawda te moje afgulskie wilki były dobre parę godzin jazdy za mną, ale zmitrężyliśmy tutaj wystarczająco wiele czasu.

Kerim Szah wycofał konia, schował miecz do pochwy, zawrócił ostrożnie, a po chwili oddziałek ruszył w górę tak szybko, jak tylko pozwalał na to wąski i zdradziecki szlak. Wyjechali wreszcie na grań w odległości niecałej mili od miejsca, gdzie Khemsa zatrzymał Conana i Jasiinę. Ścieżka, którą przyjechali, nawet mieszkańcom gór oferowała jedynie ryzyko stoczenia się w jedną z niebotycznie głębokich przepaści, dlatego Cymmeryjczyk jadąc z Jasiiną wybrał inną drogę. Kerim Szah jechał tędy tylko dlatego, ponieważ spodziewał się, że barbarzyńca zaryzykuje i uczyni to samo. Gdy w końcu minęli ostatni zakręt, wszyscy odetchnęli z wyraźną ulgą. Jechali niczym ledwie dostrzegalny korowód zjaw, przemierzający puste i zaczarowane królestwo cieni. Jedynie cichy chrzęst skórzanych uprzęży i brzęk stali świadczyły o ich obecności, by po chwili nagie, zimne i mroczne górskie zbocza znów kąpały się w wiecznym świetle odległych gwiazd.

ROZDZIAŁ ÓSMY

PANICZNIE PRZERAŻONA DEVI

Jasmina zdołała krzyknąć tylko raz, gdy poczuła, że skrzący się purpurą wir wciąga ją i z ogromną siłą wyrywa z ramion Conana. Obląkańczy pęd powietrza wycisnął z płuc resztki powietrza, ogłuszył ją, oślepił, pozbawił czucia w całym ciele, a na dodatek odebrał mowę. Półprzytomna, obłądnie przerażona zdołała jedynie zauważyć, że znajduje się gdzieś wysoko i leci z szaloną prędkością, a nawałnica niespodziewanych, nienaturalnych, sprzecznych z jej poczuciem rzeczywistości wrażeń omal nie zepchnęła dziewczyny w paszczę szaleństwa. W końcu zakręciło się jej w głowie i straciła przytomność.

Ocknęła się nagle, oszołomiona, zdezorientowana, a wspomnienia i wrażenia nierealnego lotu ciągle kotłowały się w jej głowie. Krzyknęła przerażona, rozkładając bezradnie ręce w geście spadającego z wysoka człowieka, który ze wszystkich sił stara się uchwycić powietrze, byle tylko nie uderzyć o ziemię. Jej palce kurczowo zacisnęły się na miękkiej tkaninie i Jasmina poczuła natychmiastową ulgę, że jednak nie spada. Niepewnie rozejrzała się wokół.

Leżała na podium pokrytym czarnym aksamitem, w wielkiej, mrocznej komnacie, ze ścian której straszyły, wyhaftowane z zatrważającym realizmem na ciemnych gobelinach, pełzające, przerażające smoki. Gdzieś nad jej głową musiał się kryć wyniosły strop sali, co Jasmina bardziej zgadywała, bo zalegającego tam mroku nie mogła przebić wzrokiem, a tańczące po kątach cienie dodawały pomieszczeniu nastroju ponurej grozy. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że sala pozbawiona jest okien i drzwi, lub też skrywały się za budzącymi strach gobelinami. Jasmina zastanawiała się, skąd dochodzi światło, które pozwalało dostrzec te szczegóły. Ta wielka komnata spowita mrocznym całunem była królestwem tajemnic i ciemnych kątów, w których ostrzył sobie zęby nieopisany, duszący lęk.

Wodząc wzrokiem wokół w końcu Jasmina zauważyła coś, co wyglądało realnie i namacalnie. Kilka kroków dalej na mniejszym podium siedział ze skrzyżowanymi nogami dziwny mężczyzna, uporczywie się w nią

wpatrując. Ubrany był w bogato haftowaną złotą nicią długą togę z czarnego aksamitu, skrywającą całe ciało i aksamitną czapkę na głowie. Ręce miał ukryte w rękawach szaty. Na jego łagodnej, dość przystojnej twarzy malował się spokój, uwagę zwracały błyszczące, nieco przymrużone oczy. Odzyskanie przez Jasmine przytomności najwyraźniej nie wywarło na nim najmniejszego wrażenia, siedział niewzruszony niczym kamienny posąg.

Jasmina poczuła, jak lodowate szpony strachu wpijają się w jej ciało. Oparła się na łokciach i z lękiem spojrzała na tajemniczego mężczyznę.

– Kim jesteś? – spytała cicho i niepewnie.

– Jestem Władcą Imszy – odparł zapytany głębokim i donośnym głosem, brzmiącym jak kojące uderzenia świątynnych dzwonów.

– Dlaczego mnie tu przywiodłeś? – spytała.

– Przecież mnie szukałeś, prawda?

– Jeśli jesteś jednym z Czarnych Magów, to tak! – odparła hardo, chociaż była pewna, że i tak czyta w jej myślach.

Zaśmiał się cicho, a Jasminie znów dreszcz przebiegł po plecach.

– Chciałeś, by mieszkańcy gór wystąpili przeciw Czarnym Magom z Imszy! – roześmiał się. – Wyczytałem to w twoich myślach, księżniczko. Twój mizerny, ludzki umysł wypełniają żalosne mrzonki o zemście!

– Zabiliście mojego brata! – w głosie dziewczyny niepohamowany gniew zastąpił strach, więc zacisnęła pięści i zeszywniała ze złości. – Czemu zamordowaliście władcę Vendii? Nigdy was nie skrzywdził, a kapłani mówią, że Czarni Magowie nie ingerują w życie zwykłych śmiertelników. Pytam więc raz jeszcze: dlaczego to zrobiliście?

– Jak ktoś taki jak ty, może zrozumieć motyw Czarnego Maga? – odparł zimno Władca. – Moi akolici w świątyniach Turanu, sprawujący władzę nad kapłanami Tarima, sugerowali, bym pomógł w realizacji planów Jezdigerda. Miałem swoje powody, by spełnić tę prośbę. Jak mam to wyjaśnić istocie o tak żalosnym umyśle? To nie ma sensu. I tak niczego byś nie rozumiała.

– Wiem jedno: mój brat nie żyje! – wykrzyknęła wściekła Jasmina z żalem w głosie. Podniosła się na kolana i przewierciła go spojrzeniem szeroko otwartych, płonących żądzą zemsty oczu, spięta do skoku jak pantera.

– Taka była wola Jezdigerda – przytaknął beznamiętnie mężczyzna. – A moją chwilową zachcianką jest wspieranie jego planów.

– Czy Jezdigerd jest twoim wasalem? – Jasmina usiłowała za wszelką cenę trzymać na wodzy rozszalałe emocje. Właśnie natrafiła kolanem na jakiś twardy i symetryczny przedmiot, ukryty pod fałdami czarnego aksamitu. Nieznacznie zmieniła pozycję i, jak się jej zdawało, niepostrzeżenie, wsunęła rękę pod materiał.

– Czy pies wyjadający resztki pod murem świątyni jest wasalem boga? – odparł Władca.

Wyglądał na kogoś, kto nie dostrzegał ukradkowych ruchów dziewczyny. Tymczasem myszkująca pod fałdami materiału ręka Jasminy natrafiła na coś, co musiało być rękojeścią sztyletu. Dziewczyna pochyliła głowę, by ukryć blask triumfu w oczach.

– Tak po prawdzie, to znudziły mnie już te żalosne polityczne gierki Jezdigerda – rzekł Władca. – Teraz będę się rozkoszował inną rozrywką... Ha!

Jasmina skoczyła jak wściekła kocica w obronie swych młodych i z dzikim krzykiem wymierzyła mordercze pchnięcie. Potknęła się jednak, upadła na posadzkę jak długa, i leżąc mogła jedynie bezradnie patrzeć na człowieka, który był winien śmierci jej brata. Siedzący na podium Władca Imszy nawet nie drgnął, ciągle mając na twarzy tajemniczy uśmiech. Devi podniosła drżącą dłoń i spojrzała na nią, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. W ręku nie trzymała sztyletu, ale piękny kwiat złotego lotosu o pogniecionych płatkach i złamanej łodyżce.

Odrzuciła go, jakby to był jadowity wąż, i na kolanach, upokorzona, nic nie rozumiejąc, odsunęła się od niedoszłej ofiary. Wdrapała się na swoje podium, uznała bowiem, że bardziej to przystoi królowej Vendii, niż pełzanie jak robak u stóp Władcy Imszy. Spojrzała na niego z lękiem, przygotowana na srogi odwet.

Jednak Władca nie zrobił nic, nawet się nie poruszył.

– Jeśli posiadasz klucz do tajemnic Kosmosu, możesz dowolnie kształtować każdy rodzaj materii – rzekł zagadkowo. – Dla kogoś biegłego w Magii nie ma rzeczy niezmiennych i stałych. Jego wola spowoduje, że stalowe kwiaty zakwitną w nienazwanych ogrodach lub przybiorą postać ostrych sztyletów, których ostrza tańczą w blasku księżyca.

– Jesteś diabłem – zaszlochała.

– Skądże! – zaśmiał się. – Urodziłem się na tej planecie, dawno temu. Kiedyś byłem zwyczajnym śmiertelnikiem i w ciągu eonów posługiwania się Magią nie zatraciłem wszystkich ludzkich cech. A wiedz, że człowiek,

który zgłębił tajemnice i sekrety Czarnej Magii, jest potężniejszy od samego Pana Ciemności. Jestem człowiekiem narodzonym z kobiecego łona, lecz władam demonami. Widziałas Panów Czarnego Kręgu. Gdybym ci powiedział, z jak mrocznych i odległych krain poza czasem i przestrzenią ich wezwałem i przed czym chroni ich mój magiczny kryształ oraz złote węże, utonąłabyś w otchłani własnego szaleństwa. Tylko ja potrafię nad nimi panować. Mój słodki, głupi Khemsa marzył o władzy, o tym, że będzie potężniejszy ode mnie... Biedny idiota, rozbijający pięścią żelazne bramy i fruujący po niebie razem ze swoją kochanicą ze szczytu na szczyt! Musiałem go zabić, bo choć niewiele różnił się od pierwszego lepszego robaka, pewnego dnia mogłyby ziścić się jego niedorzeczne sny o byciu potężniejszym ode mnie.

Znów się roześmiał.

– A ty, śmieszne stworzonko, knułaś żałosne intrygi tylko po to, by ten owłosiony prymityw, każący zwać siebie wodzem górali, podjął ryzyko ataku na Imszę! Ależ to przedni żart! Żałuję, że sam nie wpadłem na ten pomysł i nie dołożyłem starań, byś znalazła się w jego łapskach. Czytam w twoich myślach jak w otwartej księdze i widzę, że nawet gdy cię porwał, nie porzuciłaś myśli o wykorzystaniu go, chcąc użyć wszystkich kobiecych sztuczek. Jednak mimo twej bezdennej głupoty jesteś kobietą, na którą przyjemnie popatrzeć. Wiesz, mam kaprys, by zatrzymać cię jako niewolnicę.

Na te słowa królowa Vendii, spadkobierczyni tysięcy pokoleń dumnych i wyniosłych władców krzyknęła upokorzona i wściekła.

– Nie ośmielisz się!

Jego szyderczy śmiech smagnął ją jak batem.

– Naprawdę myślisz, że król nie ośmieli się zdeptać robaka na swej drodze? Głuptasku, kiedy wreszcie pojmiesz, że twoja królewska duma znaczy dla mnie tyle, co trzciniowa słomka targana wiatrem? Ja, który spijałem pocałunki z ust królowych piekieł! Widziałas, jaki los czeka szaleńców, którzy ośmielają mi się sprzeciwić!

– Nigdy ci nie ulegnę! – powiedziała drżącym z przerażenia, ale jednak zdecydowanym głosem. Skulona i przerażona wtuliła się w aksamit, jakby szukając schronienia przed sennym koszmarem, którego była częścią. Światło przygasło i komnata od razu utonęła w lepkich objęciach nienazwanego strachu. Twarz Władcy przybrała upiorny wygląd, a w jego głosie zabrzmiał zimny, rozkazujący ton.

– Ulegniesz – odrzekł z demoniczną pewnością siebie. – Ból i strach nauczą cię pokory. Za każde nieposłuszeństwo doznasz takich cierpień, jakich istnienia nawet sobie nie wyobrażasz. Doprowadzę cię do granic wytrzymałości, aż w mych rękach staniesz się jak wosk, miękka i gotowa spełnić każde życzenie. Poznasz krwawy smak tortur, jakich nie doświadczyła przed tobą żadna śmiertelna kobieta, a wtedy każdy mój rozkaz, każde me słowo będzie dla ciebie, vendiańska królowo, wołą bogów. Jednak wpierw, by nieco spiłować ci pazurków i w proch obrócić twą żalostną dumę, odbędziesz podróż w dawno zapomnianą przeszłość, by ujrzeć wszystkie swe poprzednie wcielenia. *Aie, yil la khosa!*

Po tych słowach, na oczach wystraszonej Jasminy, mroczna komnata nagle stała się szarym, rozmytym cieniem. Włosy stanęły jej dęba na głowie, a język przywarł do podniebienia. Z jakiegoś niezidentyfikowanego kierunku nadleciał głęboki, złowróżbny dźwięk gongu. Smoki na gobelinach rozbłysły błękitnym ogniem, z każdą chwilą blednąc coraz bardziej, aż w końcu zupełnie zniknęły. Siedzący na podium Władca Imszy stał się bezkształtnym cieniem. Panujący w komnacie półmrok zamienił się w gęstą, lepłą i niemal namacalną ciemność, pulsującą dziwnym promieniowaniem. Jasmina nie mogła dostrzec choćby zarysu sylwetki Władcy, w zasadzie nie widziała już nic. Miała przemożne wrażenie, że sufit i ściany odsuwają się od niej, niknąc gdzieś w przestrzeni.

I wtedy, gdzieś pośród ciemności, zobaczyła maleńki ogienek, zapalający się i gasnący jak świetlik ochoczo tańczący na nocnym niebie. Po chwili powiększył się do rozmiarów złotej piłki, pojaśniał, by na koniec stać się oślepiającym białym światłem. Nagle eksplodował deszczem jaśniejących iskier, które jednak nie rozjaśniły panujących ciemności, a mimo to, w mglistej poświacie dało się dostrzec niecodzienny widok – z czarnej posadzki, prosto w górę, strzelała smukła łądyga. Na oczach zdezorientowanej dziewczyny łądyga zaczęła się rozrastać, wypuściła odnogi, obrzucając nowo powstałe gałęzie gąszczem szerokich i wielkich liści, spośród których wyrastały czarne, trujące kwiaty, kołyszące się nad skuloną na podium Jasminą. W powietrzu rozszedł się delikatny zapach. To straszliwy czarny lotos piął się niestrudzenie w górę, wyrastając prosto z podłogi, tak jak rośnie w okrytych mgłą tajemnicy i nieprzebytych dżunglach Kitaju.

Szerokie liście zdawały się złowrogo szeptać, a majestatyczne kwiaty pochylały ku Jasminie swe ciemne kielichy jak żywe stworzenia, kołyszące

się na szarawych gałązkach niczym węże w hipnotycznym tańcu śmierci. Ledwie widoczne w panujących ciemnościach, unosiły się nad jej głową podobne do ogromnych, zrodzonych w mroku, motyli. Odurzały zapachem, przyprawiając dziewczynę o zawroty głowy, a gdy próbowała spełznąć z podium, natychmiast z powrotem przyłgnęła do niego, bowiem podłoga przechyliła się pod jakimś absurdalnie nieprawdopodobnym kątem. Jasmina krzyknęła przerażona i kurczowo zacisnęła dłonie na wyściełającym podium czarnym aksamicie, ale nagle poczuła, że traci nad nimi panowanie i wszelkie siły. Miała wrażenie, że nie jest już władczynią własnego ciała, że postradała wszystkie zmysły, że staje się bezwonną marionetką poddaną woli kosmicznej potęgi. Nagle cały jej świat rozsypał się w gruzy. Była nic nie znaczącym, drżącym pyłkiem świadomości, miotanym wśród czarnej, wyjącej, lodowato zimnej otchłani przez huragan grozy, który w każdej chwili w przypiływie kaprysu mógł zgasić mizerny ogienek jej życia, jak podmuch wiatru gasi palącą się świecę.

Potem poczuła niespodziewany silny impuls i ruch, kiedy cząstka, jaką się stała, wrzucona do kosmicznego wiru, zmieszała się i połączyła z miriadami innych, dając początek nowemu życiu w kipiącej sadzawce pierwotnego bytu. Formowana przez życiodajne siły samej Natury na powrót stała się w pełni świadomą jednostką wirującą po wiecznej spirali życia.

Sparaliżowana strachem, doświadczyła i zatopiła się w swoje poprzednie wcielenia i znów była wszystkimi tymi ciałami, które w niekończącym się łańcuchu reinkarnacji, zawierały jej ego. Znów boleśnie raniła swe stopy na długiej, trudnej drodze egzystencji, ciągnącej się za nią aż w dawno zapomnianą Przeszłość. Znów, jak przerażone dziecko, kuliła się zdjeta grozą w pierwotnych dżunglach przed nastaniem świtu nowego Czasu, ścigana odrażającym oddechem krwiożerczych bestii z najgorszych koszmarów. Odziana w skóry, brnęła po kolana w bagnistej wodzie rozległych ryżowisk, walcząc z jazgoczącym ptactwem o każde drogocenne ziarno. Harowała każdego dnia, idąc za parą zaprzęgniętych do jarzma wołów, ryjąc ledwie zaostrzonym badyłem twardą glebę i raz za razem, aż do znudzenia, pochylała się nad krosnami w wieśniaczych chatkach.

Widziała miasta obracane w proch przez szalejące płomienie i uciekała w panice przed bezlitosnymi zabójcami. Biegała naga i pokaleczona do krwi po rozgrzanym piasku, wleczone na szorstkim postronku jako zdobycz zachłannego łowcy niewolników, i zasmakowała palącego, obmierzłego

dotyku brutalnych rąk na swym ciele, gwałcona w nawałnicy rozpalonej, niezaspokojonej żądz. Smagana batem błagała o litość, jęczała na najbardziej wymyślnych torturach, wrywała się katom, którzy brutalnie i nieuchronnie przechylali jej głowę na zakrwawiony pień.

Poznała ból porodu i gorzki smak zdradzonej miłości. Cierpiała wszystkie możliwe tortury, krzywdy, ohydztwa i nieszczęścia, jakie męczyzna wyrządzał kobiecie przez wszystkie millenia istnienia rasy człowieczej. Doświadczyła siły pogardy i złości, jaką tylko kobieta może obdarzyć kobietę. I przez cały ten czas zachowała przejmującą grozą świadomość, kim jest. Stała się jednością ze wszystkimi kobietami, którymi była w przeszłości, a jednocześnie wiedziała, że jest Devi Jasminą i ani przez chwilę, unoszona kosmicznym wirem kolejnych wcieleń, nie przestała zdawać sobie z tego sprawy. Była i nagą niewolnicą, uginającą kolana pod razami bata, i wyniosłą królową Vendii. I cierpiała nie tylko jako niewolnica, ale także, a może przede wszystkim, jako Devi Jasmina, której królewska duma, a nawet pycha, odczuwała smagnięcia batem jak dotknięcia rozpalonego żelaza.

Jedno jej wcielenie łączyło się z drugim w chaosie ciągłych narodzin i śmierci, a każde dźwigało brzemię nieszczęść, upokorzeń i cierpień, aż w końcu, gdzieś w oddali usłyszała własny przeraźliwy ryk, niczym jeden, nie kończący się krzyk bólu, odbijający się echem przez kolejne millenia.

I wtedy obudziła się w mrocznej komnacie na pokrytym czarnym aksamicie podium.

W skąym, upiornym świetle znów ujrzała siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na podium Władcę Imszy w swojej czarnej, długiej szacie. Kaptur zakrywał jego lekko pochyloną głowę, a wąskie ramiona ledwie można było dostrzec w panujących wokół ciemnościach. Jasmina nie mogła odróżnić żadnych szczegółów, ale widok kaptura zamiast aksamitnej czapeczki zrodził w niej dziwny niepokój. Wytężyła wzrok i poczuła paraliżujący lęk, wyciskający z piersi ostatni dech.

Zdała sobie bowiem sprawę, że to nie Władca Imszy przed nią siedział.

Wtedy postać poruszyła się, wstała i spojrzała na nią z wysoka. Pochyliła się nad dziewczyną i objęła ją długimi ramionami, ukrytymi w szerokich rękawach czarnej szaty. Jasmina ze wszystkich sił starała się uwolnić, zaszokowana i zdziwiona tym, jak bardzo te ramiona były chude, a zarazem silne. Zakapturzona głowa, niespiesznie, jakby ciesząc się nadchodzącą nieubłaganie chwilą grozy, nachyliła się do odwróconej twarzy dziewczyny.

Devi wrzasnęła rozdzierająco, eksplodując przerażeniem i odrazą. Jej cudownie jędrne, delikatne ciało obejmowały w żelaznym uchwycie kościste ręce, a spod kaptura, w karykaturze obleśnego uśmiechu, spozierała twarz śmierci i rozkładu – ohydna czaszka obciągnięta starą i śmierdzącą jak stary pergamin skórą.

Jasmina zdołała krzyknąć jeszcze raz zanim wyszczerzone szczęki złożyły na jej karminowanych ustach pierwszy pocałunek.

A potem zemdląca.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

TWIERDZA CZARNYCH MAGÓW

Nad białe szczyty Hymelii wzeszło słońce. U podnóża długiego zbocza zatrzymała się grupa jeźdźców, spoglądając w górę. Wysoko nad ich głowami, na zboczu góry, wznosiła się kamienna wieża. Trochę dalej i wyżej, wznosiły się wyniosłe mury potężniejszej twierdzy, zbudowane tuż przy linii wiecznych śniegów pokrywających szczyt Imszy. Sceneria wydawała się iście bajkowa, jakaś nierealna, wszystko spowijała ledwie wyczuwalna aura magii – purpurowe zbocza prowadziły wprost do fantastycznego zamku, wyglądającego jak dziecinna zabawka, a skrzący się bielą majestatyczny szczyt za nim zdawał się sięgać aż błękitnego sklepienia nieba.

– Konie zostawiamy tutaj – mruknął Conan. – Ten zdradziecki stok lepiej pokonać na nogach. Poza tym nasze szkapy mają już dość.

Zeskoczył z czarnego ogiera, który stał na szeroko rozstawionych nogach i ze spuszczonym łbem. Przez całą noc niestrudzenie parli naprzód, posilając się resztkami znalezionymi na dnie juków, i zatrzymując się tylko po to, aby dać koniom odetchnąć.

– Pierwsza wieża to siedlisko akolitów Czarnych Magów – rzekł Conan. – Mieszkańcy gór nazywają ich psami łańcuchowymi swoich mistrzów, to tacy pomniejsi Czarni Magowie. Ale i tak nie będą siedzieli z rękami na zadkach, kiedy zobaczą, jak wspinamy się po zboczu, by złożyć im wizytę.

Kerim Szah spojrział w górę, na drogę, którą przybyli – znajdowali się teraz wysoko na zboczu Imszy. Turańczyk, choć starał się jak mógł, nie wypatrzył w tym labiryncie jakiegokolwiek znaku, że ich tropem podąża pogoń. Wyglądało na to, że Afgulisi zgubili w nocy ślad swojego wodza.

– Chodźmy więc!

Uwiązali zmęczone konie przy kępie tamaryszków i bez dalszych komentarzy ruszyli w drogę. Byli widoczni jak na dłoni, bo nagi stok usłany był głazami zbyt małymi, aby mógł się ukryć za nimi człowiek nawet misternej postury. Ale za to za nimi przyczało się coś innego.

Nie uszli nawet pięćdziesięciu kroków, gdy zza jednego z głazów wystrzelił warczący stwór, tocząc pianę z pyska i strasząc wokół

nabiegłymi krwią ślepiami. Był to jeden z wygłodzonych dzikich psów, które w poszukaniu żeru potrafiły nawet zakradać się do okolicznych wiosek. Conan szedł pierwszy, ale bestia przemknęła obok niego i kłapiąc szczękami rzuciła się na Kerim Szaha. Turańczyk zwinnie uskoczył z linii ataku i pies wpadł na idącego za nim Irakzajczyka. Mężczyzna wrzasnął i zasłonił się ramieniem. Zwierzę obaliło go na ziemię, rozszarpując rękę aż do kości i po chwili padło pod nawałnicą ciosów tuzina szabel, ale w morderczym szale ciągle walczyło, chcąc rozszarpać kolejną ofiarę, dopóki nie zostało porąbane dosłownie na kawałki.

Kerim Szah szybko owinął rozszarpane ramię rannego, przyjrzał mu się uważnie, po czym odwrócił się bez słowa. Dołączył do Conana i wszyscy w milczeniu ruszyli dalej.

W końcu Kerim Szah powiedział:

– Dziwne, że taki kundel zabłąkał się aż tutaj.

– Owszem, dziwne, przecież tu nie ma nic do żarcia – przytaknął Conan.

Jak na zawołanie obaj odwrócili głowy i spojrzeli na rannego wojownika, idącego za nimi wśród pozostałych Irakzajczyków. Na jego ciemnej twarzy perlily się krople potu, a wykrzywione grymasem bólu wargi odsłaniały wyszczerzone zęby. Conan i Kerim Szah znów popatrzyli na cel wędrowki: zimną, kamienną wieżę.

Wokół zapanowała senna cisza. Okolica zdawała się zupełnie wymarła. Ani na wieży, ani na murach znajdującej się za nią, dziwnej, bo podobnej do piramidy budowli, nie zauważyli najmniejszych oznak życia. Szli dalej, skoncentrowani, w napięciu, jak ludzie wędrujący po krawędzi uspiętego wulkanu, oczekując w każdej chwili rozszalałej erupcji. Kerim Szah zdjął z ramienia potężny, turański łuk, który skutecznie szył strzałami na pięćset kroków, siejąc śmierć i grozę. Nie czekając na rozkaz, Irakzajczycy sięgnęli po swoje łuki – lżejsze i o mniejszym zasięgu, ale wcale przez to nie mniej zabójcze.

Nie doszli jeszcze nawet do wieży na odległość strzału z łuku, gdy coś niespodziewanie zaatakowało grupę, pikując prosto z bezchmurnego nieba. Przeleciało tuż obok głowy Conana tak blisko, że poczuł muśnięcie łopoczących skrzydeł na twarzy, ale to on nie był celem ataku, lecz jeden z Irakzajczyków, który nagle zachwiał się i upadł, obficie brocząc krwią z rozdartej tętnicy. Sokół o piórach koloru polerowanej stali, z okrwawionym, zakrzywionym jak bułat dziobem, wzbił się znów w niebo, szykując się do kolejnego ataku, gdy nagle znieruchomiał rażony po

mistrzowsku posłaną w jego prężną pierś strzałą. Kerim Szah mruknął z zadowolenia, bo to on zabił ptaka. Drapieznik runął jak kamień, ale nikt z członków grupy nie dostrzegł miejsca, gdzie uderzył o ziemię.

Conan pochylił się nad ofiarą ataku. Wojownik już nie żył. Nikt się nie odezwał i nikt nie czuł potrzeby skomentowania faktu kolejnej śmierci, ani prawienia niepotrzebnych komunałów, że jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by sokół zaatakował człowieka. W duszach Irakzajczyków zapłonął wściekły gniew, przytłumiając apatię zrodzoną z przekonania o beznadziejności ich położenia. Owłosionymi rękami ściskali łuki, wpatrując się w wieżę wzrokiem rozpalonym żądzą krwawej zemsty. Ale wieża pozostawała głucha, jakby jej mieszkańcy w ten sposób okazywali swą pogardę śmiałkom zmierzającym na podbój Imszy.

Na następny atak nie musieli długo czekać. Wszyscy to zobaczyli – biały kłęb dymu przelał się przez krawędź wieży i spłynąwszy w dół, ruszył po zboczu. Za nim pojawiły się następne. Wyglądały równie groźnie, jak puszyste kule utkane z piany, ale Conan, kierowany instynktem, odsunął się na bok, unikając zetknięcia z pierwszą. Jeden z Irakzajczyków idących za nim wyciągnął rękę i niedbale pchnął mieczem niezwykle obłok. Rozległ się ogłuszający huk. Kłęb dymu eksplodował białym światłem, a ze zbyt ciekawskiego wojownika pozostała garstka zwęglonych i poczerniałych kości. Resztki spalonej dłoni wciąż zaciskały się na rękojeści z kości słoniowej, ale ostrze miecza stopiło się i w większej części wyparowało w przerażającym żarze. Zdziwiające było to, że inni Irakzajczycy, nawet ci, stojący tuż przy ciele spopielonej ofiary, nie odnieśli żadnych ran, co najwyżej stali oszołomieni i osłepieni nagłym błyskiem.

– Obłoczki wybuchają w zetknięciu z żelazem – mruknął z grobową miną Conan. – Uważajcie, nadciągają następne!

Zbocze powyżej nich było niemal całe pokryte toczącymi się po stromiźnie kulami. Kerim Szah nie czekał biernie na rozwój wypadków. Błyskawicznie naciągnął cięciwę i posłał strzałę w największy ich gąszcz. Trafiony żelaznym grotem obłok eksplodował niczym nadmiernie nadmuchany balon, siekając wokół płomieniami. Pozostali wojownicy poszli natychmiast za przykładem Turańczyka i przez kilka długich chwil na stoku rozpętało się prawdziwe piekło ognia, błyskawice orały grunt kaskadami iskier, a huk był tak wielki, że aż góry drżały w posadach. Kiedy w końcu ostatni ze śmiertelnych obłoków opluł najbliższą okolicę ognistymi jęzorami, w kołczanach łuczników pozostało niewiele strzał.

Uparcie podążali w górę, po zwęglonej i poczerniałej ziemi, starannie omijając miejsca, gdzie naga skała stopiła się w lawę pod wpływem eksplozji tych diabelskich bomb.

Po czasie, który wydawał im się niemal wiecznością, dotarli wreszcie do wieży na odległość strzału z łuku i rozciągnęli formację, niespokojnie wypatrując kolejnej zabójczej niespodzianki szykowanej przez akolitów Czarnych Magów.

Wtem, jak na zawołanie, na murach pojawiła się samotna postać, niosąca dziesięciostopowy mosiężny róg. Drażniący i chrapliwy ryk przetoczył się po zboczu niczym dźwięk trąb zwiastujących koniec świata. W tej samej chwili odpowiedziało mu basowe, głębokie dudnienie i upiorny łoskot dochodzący gdzieś z podziemia. Ziemia zatrzęsała się pod stopami wojowników.

Przerażeni Irakzajczycy zaczęli się zataczać jak pijani na chyboczącym się gruncie, lecz Conan z krwiożerczym błyskiem w oku i ostrym jak brzytwa kindżałem w dłoni, popędził niczym niepowstrzymane tsunami po pochyłości, prosto do widocznych w murze drzwi. Nad jego głową rozbrzmiewały salwy drwiącego ryku i szakali skowyt wielkiego rogu. Kerim Szah miał dość tego koncertu. Przyciągnął strzałę do ucha i zwolnił cięciwę.

Cóż to był za strzał! Tylko Turańczyk mógł tego dokonać. Wycie rogu urwało się nagle i przenikliwy krzyk agonii przeszył powietrze. Stojąca na wieży postać w zielonej szacie zachwiała się, ściskając kurczowo w zakrwawionych dłoniach sterczące w piersi długie drzewce, po czym przechyliła się przez parapet i runęła w dół. Wielki róg potoczył się i zawisł na krawędzi muru, a na ten widok inna postać w zielonej szacie rzuciła się w jego kierunku, by go schwycić. Kerim Szah strzelił raz jeszcze, znów trafił, a kolejny wrzask agonii odbił się echem po górskich grzbietach. Akolita, padając, strącił łokciem róg, który runął w dół, by roztrzaskać się na skałach u stóp wieży.

Conan z szybkością rączonogiej gazeli pokonał odległość dzielącą go od drzwi i, nim zdążyły przebrzmieć echa upadku rogu, zaczął je wściekle rąbać ostrzem swego miecza. Dzięki swemu instynktowi, jak i doświadczeniu, cofnął się dosłownie w ostatniej chwili, unikając porcji wylanego z góry roztopionego ołowiu. Nim ostatnia kropla wrzącego wodospadu dosięgła ziemi, już z powrotem stał przy drzwiach, atakując ją ze wzmożoną zaciekłością. Uśmiechnął się sam do siebie na myśl, że

akolici uciekli się do tak pospolitego sposobu, jak banalny roztopiony ołów, a to dodało mu ducha. Najwidoczniej czary sługusów Czarnych Magów miały swoje granice. Miał wątplą, ale jednak, nadzieję, że być może wyczerpali już możliwości swego magicznego arsenału.

Zboczem nadbiegł Kerim Szah w towarzystwie ślaniających się na nogach Irakzajczyków. W biegu szyli strzałami, które ze świstem przelatywały za mur lub roztrzaskiwały się o blanki.

W końcu grube, tekowe drewno drzwi musiało ustąpić pod naporem Cymmeryjczyka, który zajrzał ostrożnie do środka, spodziewając się wszystkiego najgorszego. Zobaczył owalną komnatę i wiodące w górę kręte schody. Po przeciwnej stronie otworzone na oścież drzwi ukazywały szerokie zbocze i plecy z pół tuzina zielono odzianych postaci uciekających na złamanie karku.

Conan zawył upojony widokiem i skoczył do środka, ale i tym razem jego niezawodny instynkt jak i wrodzona ostrożność uratowały mu życie. Uskoczył w tył o ułamek sekundy wcześniej, nim gigantyczny kamienny blok z traskiem spadł na posadzkę dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą postawił stopę. Cymmeryjczyk jak szalony pobiegł wzdłuż muru, krzykiem rozkazując, aby wszyscy poszli w jego ślady.

Akolici czmychnęli z pierwszej linii obrony. Gdy Conan obiegnął wieżę, zobaczył ich zielone, smukłe sylwetki wysoko w górze. Rozpalony żądzą krwi i zemsty popędził za nimi, a Kerim Szah i Irakzajczycy nie odstępowali go na krok. Ta krótka chwila triumfu przysłoniła ich wrodzony fatalizm, a niektórzy mieli nawet nadzieję, że przeżyją w jednym kawałku tę nieprawdopodobną historię, dlatego na widok rejterujących wrogów zawyli jak ogarnięte burzą rozszalałych hormonów stado wilków.

Wieża stała na niższej krawędzi wąskiego płaskowyżu, prawie niedostrzegalnie nachylonego do stoku. Po kilkuset krokach płaskowyż ten kończył się niespodziewanie głęboką rozpadliną, a do tego kompletnie niewidoczną z dołu. I do tej właśnie rozpadliny, jak gdyby nigdy nic, nawet nie zwalniając kroku, skoczyli jeden po drugim wszyscy akolici. Conan i jego mała armia zobaczyli jedynie, że ich sylwetki w zielonych szatach, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znikają za krawędzią przepaści.

Nie minęło wiele czasu, jak grupa pościgowa przystanęła na skraju budzącej respekt fosy oddzielającej ich od twierdzy Czarnych Magów. Widok zapierał dech w piersiach, bowiem w obie strony biegł szeroki na

czterysta jardów i głęboki na ponad pięćset stóp wąwóz o niemal pionowych ścianach, który, jak się zdawało wojownikom, otaczał Imszę szczelnym pierścieniem. Od brzegu do brzegu wypełniała go tajemnicza, niewykluczone że magiczna, skrząca się, błyszcząca i przezroczysta mgła.

Conan zerknął w dół i siarczyście zaklął. Dojrzał daleko w dole niewyraźne, odziane na zielono sylwetki akolitów, pospiesznie biegnących po błyszczącym jak polerowane srebro dnie doliny. Z trudem wyłapywał pojedyncze postacie, bowiem wyglądały one jakby zanurzone w głębokiej, mętnej wodzie. Akolici gęsiego zmięzali ku przeciwległej ścianie fosy.

Kerim Szah zmrużył oczy, wziął głęboki oddech, napiął łuk i posłał świszczącą strzałę. Zabójczy pocisk nie uleciał jednak daleko. Gdy tylko wpadł w mgłę zalegającą w wąwozie stracił nagle szybkość, zboczył i upadł daleko od celu.

– Niech to zaraza! – warknął Conan do Turańczyka, który z bezgranicznym zdumieniem na twarzy obserwował lot swojej strzały. – Jeśli oni potrafili tam zejść, to i my możemy! Widziałem, że szli właśnie tędy...

Wpatrując się w zamgloną otchłań wąwozu w pewnym momencie dostrzegł coś dziwnie błyszczącego w dole, coś, co przypominało złotą nić, wiodącą przez całą szerokość kanionu. Najwyraźniej akolici szli wzdłuż tej linii jak po sznurku i nagle w głowie Conana ponownie zabrzmiały niezrozumiałe słowa Khemisy: „w otchłani drogę wskaże ci złota żyła!”. Przypatrzył się uważnie krawędzi rozpadliny i wtedy to zobaczył – cienki pas skrzącego się złota. Złoże musiało znajdować się tuż przy powierzchni skały, prowadząc w dół i przez srebrne dno doliny. Zobaczył coś jeszcze, czego nie mógł wcześniej dostrzec z powodu fantazyjnej gry światła: złota żyła biegła wzdłuż diabelnie wąskiej półki skalnej opuszczającej się na sam dół, w której czyjeś sprawne ręce z wielkim mozołem wykuły niewielkie nisze dla rąk i nóg.

– I zagadka rozwiązana – rzekł do Kerim Szaha. – To tędy ci przekłeci pomagierzy Czarnych Magów zeszli na dół. Wcale nie potrafią latać. Idziemy za nimi...

W tej samej chwili, nim jeszcze przebrzmiały słowa Conana, wojownik pogryziony przez psa rozdzierająco wrzasnął i skoczył na Kerim Szaha, tocząc pianę z ust i szczerząc zęby. Turańczyk zareagował błyskawicznie i zwinnie jak kot, bez najmniejszego wysiłku odskoczył w bok, a szalenciec runął głową w dół do wąwozu. Pozostali Irakzajczycy podbiegli czym

prędej do krawędzi i szeroko otworzyli oczy ze zdumienia, bo zobaczyli coś, co przeczyło zdrowemu rozsądkowi. Mężczyzna wcale nie runął w dół jak kamień, tylko opadał wolno przez różową mgiełkę, niczym człowiek tonący w wodzie. Bezradnie i gwałtownie wymachiwał rękami oraz nogami, a jego nabrzmiała od krwi twarz zrobiła się czerwona jak burak, wyrażając raczej niewysłowiony ból niż szaleństwo. W końcu opadł delikatnie na srebrzące się dno doliny i legł bez ruchu.

– W tej otchłani czai się śmierć – wymamrotał Kerim Szah, robiąc krok w tył przed różową mgiełką, która sięgała mu prawie do stóp. – I co teraz, Conanie?

– Schodzimy na dno doliny – odparł grobowym głosem Cymmeryjczyk.
– Przecież ci akolici to zwykli ludzie, skoro więc mgła nie zabiła ich, to i nam nie wyrządzi szkody. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Podciągnął swój bakariocki pas i przypadkiem dotknął tego, który otrzymał w darze od Khemisy. Zmarszczył brwi i uśmiechnął się ponuro. Zupełnie zapomniał o tym pasie, a tymczasem miał potworne szczęście i dzięki niemu trzykrotnie wywinął się kostusze.

Akolici doszli już do przeciwległej ściany i wspinali się po niej jak wielkie, zielone owady. Conan wszedł na półkę i zaczął ostrożnie schodzić. Różowa chmura otoczyła mu kostki i z każdym jego krokiem podnosiła się wyżej. Sięgała mu do kolan, do ud, objęła biodra, aż w końcu doszła do ramion. Była jak gęsty, mętny opar w wilgotną noc. W chwili, gdy dotarła do jego byczego karku, zawahał się, odczekał chwilę, po czym zanurzył w niej głowę. Natychmiast zaczął się dusić, potężna siła wycisnęła mu z płuc resztki powietrza i objęła żebra w miazdzącym uścisku. Conan desperacko skoczył w górę, walcząc o życie. Wystawił głowę nad powierzchnię i wielkimi haustami łapał powietrze.

Kerim Szah pochylił się nad nim i powiedział coś, ale Conan raz, że go nie słyszał, a dwa, że mało go to obchodziło, bo myślami uparcie powracał do rad umierającego Khemisy. Niemalże po omacku wymacał złotą żyłę i nagle zdał sobie sprawę, że schodząc nieco się od niej oddalił. Skupił wzrok i spostrzegł szereg wyżłobionych w skale nisz, służących za oparcie dla rąk i nóg. Gdy stanął dokładnie na żyłę, zaczął ponowny marsz na dół. Wkrótce różowa mgiełka otoczyła go ponownie i zakryła zupełnie. Ale tym razem, mimo że głowę miał pod jej powierzchnią, mógł swobodnie oddychać. W górze dostrzegł pełne niepokoju, nieco rozmazane przez błyszczący opar, twarze przypatrujących mu się towarzyszy. Gestem

pokazał, by odważnie szli za nim, i już dziarskim krokiem podążył w dół, nie czekając, aż przemogą strach i pójdą jego śladami.

Kerim Szah bez słowa wsunął miecz do pochwy i ruszył za Conanem, a Irakzajczycy podążyli za nim. Woleli już stawić czoła wszystkim nienazwanym okropnościom i niebezpieczeństwom, czyhającym w rozpadlinie, niż utracić przywódcę i przewodnika w jednej osobie. Trzymali się złotej nici, naśladując Cymmeryjczyka, choć szli niepewnie, ostrożnie i strasznie wolno. W końcu wszyscy dotarli na dno wąwozu i ruszyli srebrzącą się równiną, uważnie stąpając po złotym paśmie, jak gdyby kroczyli po cieniutkiej linie zawieszony tysiące stóp nad ziemią. Mieli wrażenie, że wokół tej nici utworzył się niewidzialny tunel, przez który przepływało powietrze. Wystarczył jednak jeden fałszywy krok, by śmierć czająca się we mgle zebrała krwawe żniwo.

Szlak, którym uciekli akolici, prowadził do skalnej półki po drugiej stronie wąwozu, a tam zniknął za jego krawędzią. Poszli w tym kierunku, w napięciu oczekując ataku nieznanego koszmaru, skrytego za licznie rozszanymi na skraju urwiska ostrymi głazami.

I właśnie tam, jak na zawołanie, czekali na nich odziani w zielone szaty, uzbrojeni w długie, zakrzywione noże przeciwnicy. Conan nie zaprzętał sobie głowy prostym pytaniem: dlaczego tutaj? Może w swojej ucieczce dotarli do granicy, której nie mogli, lub nie potrafili, przekroczyć, a może to noszony przez niego stygijski pas był powodem, że ich zaklęcia okazały się nieskuteczne, a może po prostu, pozwalając grupie pościgowej dotrzeć aż tutaj, sromotnie zawiedli Czarnych Magów i wiedząc, że ich klęska zostanie ukarana śmiercią, postanowili zrobić ostatnią rzecz, jaką potrafili – frontalnie zaatakować? Jaka nie byłaby prawda, wypadli zza skał i rzucili się w ślepy atak na Cymmeryjczyka i jego towarzyszy.

Wśród ostrych głazów, na dnie wąwozu, tuż przy krawędzi niebotycznej czeluści nie było miejsca na magię, czary, zaklęcia i nieziemskie sztuczki. Nadszedł czas mieczy, noży, kłucia, siekania, przelewanej krwi, odrąbywania kończyn, odcinania głów i wypruwania wnętrzności. Nadszedł czas gryzienia, gdy z odrętwiałej dłoni wypadała broń. Kto padł na ziemię, już nie wstawał, stratowany przez ogarniętym bitewnym szalem wojowników. Nikt nie okazywał litości i nikt jej nie oczekiwał.

Gdy opadał bitewny kurz, liczono zabitych i rannych. Wprawdzie jeden z Irakzajczyków wykrwawił się na śmierć, ale akolici zostali wyrznięci do nogi – zmasakrowani, porąbani na kawałki, zrzuceni do wąwozu, gdzie

wolno opadali na skrzące się srebrem dno. Zwycięzcy otarli z czoł krew i pot, spoglądając po sobie. Z dużego oddziału, który nie tak dawno wyruszył na podbój Imszy, teraz zostali tylko Conan, Kerim Szah i czterech Irakzajczyków.

Stali zmęczeni walką wśród poszarpanych głazów, tworzących nierówną krawędź wąwozu. Z tego miejsca, wijąca się po nachylonym pod niewielkim kątem zboczu, ścieżka wiodła do szerokich schodów, na pierwszy rzut oka zbudowanych z sześciu stopni z zielonego, przypominającego jadeit kamienia. Schody prowadziły na szeroką galerię z tego samego polerowanego kamienia, a za nią, kondygnacja po kondygnacji, pięła się w górę monumentalna twierdza Czarnych Magów, wyglądająca, jakby wykuto ją w pionowej skalnej ścianie. Jej architektura nie ustępowała maestrią vendiańskim pałacom, była po prostu doskonała, choć pozbawiona wszelkich ozdób. Liczne okna były zamknięte i zasłonięte okiennicami. Nigdzie nie dostrzegli najmniejszych oznak życia. Twierdza wydawała się wymarła.

Zachowując milczenie poszli w najwyższym skupieniu ścieżką, jak ludzie zbliżający się do legowiska jadowitego węża. Irakzajczycy wyglądali jakby właściwie już byli martwi, szli krok za krokiem, ociężale, sztywno, jak w transie. Co więcej, Kerim Szah też milczał. Tylko Conan wyglądał na kogoś, kto nie zdaje sobie sprawy z rewolucyjności własnego czynu. Przecież prowadzona przez niego grupa pogwałciła odwieczną tradycję, wyrosłą na niezachwianym fundamencie wiary, że bez zgody Czarnych Magów, nikt nie wdrze się na ich terytorium, ba, nie dojdzie nawet w pobliże wyniosłego szczytu Imszy. Conan nie był jednak dzieckiem Wschodu, narodził się z cymmeryjskiego łona, a jego rasa toczyła wiekowe i bezwzględne boje nie tylko ze zwykłymi śmiertelnikami, ale także z wszelkiej maści demonami i magami.

Wszedł po błyszczących schodach i przez okazałą, zieloną galerię przeszedł wprost do widocznych po drugiej stronie obitych złotem drzwi z tekowego drewna. Spojrzał w górę, lustrując uważnie wyższe piętra wznoszącej się przed nim wielkiej piramidy. Wyciągnął rękę do mosiężnego uchwytu, pełniącego najwyraźniej rolę klamki i z szyderczym uśmiechem zatrzymał się w pół drogi. Uchwyt miał kształt klinowatego łba węża o wygiętym karku i uniesionej głowie z otwartą paszczą najeżoną przerażającymi kłami. Conan w głębi ducha podejrzewał, że metalowy gad może w każdej chwili ożyć pod dotknięciem jego dłoni.

Jednym, potężnym ciosem miecza odrąbał uchwyt, a brzęk mosiądzu uderzającego o wypolerowaną podłogę jakoś wcale nie uciszył jego podejrzeń. Tak na wszelki wypadek końcem miecza odrzucił klamkę na bok i ponownie odwrócił się do drzwi. Wokół panowała głucha cisza. Dalekie szczyty tonęły w różowawej mgiełce, a na ich okrytych śniegiem wierzchołkach błyszczało słońce. Gdzieś wysoko, pośród chmur zawisł potężny sęp – złowrogi, czarny punkcik na błękitnie nieba. Zdawało się, że oprócz szybującego w przestworzach ptaka, nie było tu żadnych innych żywych stworzeń, prócz wojowników stojących przed obitymi złotą blachą drzwiami, tych maleńkich figurek na galerii z zielonego jadeitu przyczepionej do zbocza ogromnej góry.

Uderzył w nich lodowaty wiatr spadający z lodowców, szarpiąc brudnymi i poplamionymi zaschniętą krwią szatami. Conan wzniósł miecz i uderzył ponownie w masywne drzwi. I jeszcze raz, i jeszcze raz, a echo tych ciosów niesło się grzmiącym echem po okolicy. Przecinał metalowe listwy i rąbał tekowe drewno tak długo, aż wyrąbał sporych rozmiarów otwór. Zajrzał przez niego ostrożnie do środka. Ujrzał obszerną komnatę o nagich ścianach z wypolerowanego kamienia i z misternie ułożoną mozaiką na podłodze. Jedynymi meblami były stołki z hebanowego drewna i kamienne podium. Nie dostrzegł żadnych śladów ludzkiej obecności. Po przeciwnej stronie komnaty zobaczył kolejne drzwi.

– Zostaw jednego z ludzi na zewnątrz, niech chroni nasze tyły – mruknął do milczącego Kerim Szaha. – Wchodzę do środka.

Turańczyk wyznaczył wojownika, który miał pełnić wartę. Irakzajczyk z łukiem w ręku wrócił na środek galerii. Conan wszedł do twierdzy, a za nim podążył Kerim Szah i trzech pozostali wojownicy. Wartownik na galerii splunął, mruknął coś pod nosem, pogładził gęstą brodę i nagle drgnął gwałtownie, bo usłyszał upiorny, drwiący śmiech. Podniósł głowę w jego kierunku i zobaczył stojącą na piętrze wysoką, ubraną w czarne szaty postać, spoglądającą na niego z czystą pogardą, na dodatek szyderczo kiwając głową. Irakzajczyk natychmiast naciągnął cięciwę i posłał strzałę prosto w opiętą czarną togą pierś, ale mimo że pocisk przeszył ofiarę na wylot, z jej ust nie zniknął drwiący uśmieszek. Mag wyrwał strzałę z ciała i wzgardliwym gestem odrzucił ją łucznikowi. Irakzajczyk odskoczył, jednocześnie instynktownie zasłaniając się ręką, a jego palce pochwyciły koziółkujący w powietrzu pocisk.

I wtedy przeraźliwie wrzasnął. Drewniana strzała zaczęła się wić, stała się giętka, plastyczna, jakby stopniała w jego dłoni. Ze wszystkich sił chciał cisnąć tym czymś o podłogę, lecz było już za późno. Trzymał w odrętwiałej z przerażenia ręce żywego węża, którego zimne sploty otoczyły mu przegub, a odrażający, klinowaty łeb wystrzelił do jego muskularnego ramienia. Wojownik krzyknął raz jeszcze, twarz nabiegła mu krwią, a oczy zrobiły się wielkie jak talerze. Targany potwornymi konwulsjami osunął się na posadzkę i znieruchomiał.

Mężczyźni, którzy weszli do twierdzy, zawrócili na jego pierwszy krzyk. Conan podbiegł do wyważonych drzwi i stanął jak wryty, nic nie rozumiejąc. Turańczykowi i Irakzajczykowi, przyglądającym się scenie z niemniejszym zdziwieniem, wydawało się, że Cymmeryjczyk mociuje się z powietrzem, a ten, mimo że niczego nie mógł zobaczyć, czuł pod palcami śliską, gładką powierzchnię. Po chwili zrozumiał, iż przejście zostało zamknięte kryształową i przejrzystą płytą. Doskonale widział przez nią martwego wojownika leżącego na środku galerii z pierzastą strzałą wbity w ramię.

Conan uniósł miecz i z całej siły uderzył, a jego towarzysze patrzyli zaszokowani, jak ostrze odbija się od niewidocznej bariery z głośnym brzękiem, jakby metal napotkał twardą jak stal materię. Cymmeryjczyk po chwili poniechał dalszych prób, zdał sobie bowiem sprawę, że nawet legendarny miecz Amir Kuruma na niewiele by się zdał w starciu z tą niewidzialną ścianą.

W kilku prostych i dosadnych słowach wyjaśnił sytuację Kerim Szahowi. Turańczyk tylko wzruszył ramionami.

– Cóż, jeśli ta droga jest odcięta, musimy znaleźć inną. Idźmy dalej, nic innego nam nie zostaje, prawda?

Conan potakująco pokiwał głową, odwrócił się i podążył do drzwi po drugiej stronie komnaty, a cały czas chodziła mu głowie myśl, że oto zmierza na spotkanie nieuchronnej śmierci. Uniósł do ciosu kindżał, by, jak poprzednio, roztrzaskać drzwi, ale te niespodziewanie cicho otworzyły się same, jakby obdarzone własną wolą. Cymmeryjczyk przestąpił próg i znalazł się w kolejnej wielkiej komnacie. Pod jej bocznymi ścianami aż po samo sklepienie wznosiły się smukłe, błyszczące kolumny, a sto stóp od drzwi zaczynały się szerokie jadeitowe schody, zwężające się ku górze niczym boki piramidy. Nie miał zielonego pojęcia, dokąd one prowadzą, lecz żeby na nie wejść, musiał minąć dziwny ołtarz z czarnego jak węgiel

jadeitu. Oplatały go cztery olbrzymie, złote węże, których wysoko uniesione klinowate łby zwrócone były w cztery strony świata niczym strażnicy legendarnego skarbu. Ale lśniąca bestie nie pilnowały niewyobrażalnego bogactwa złożonego na płycie, tylko kryształowej kuli, wypełnionej chmurą czegoś podobnego do dymu, w której unosiły się cztery złote owoce granatu.



... od drzwi zaczynały się szerokie jadesitowe schody... Nie miał zielonego pojęcia, dokąd one prowadzą, lecz żeby na nie wejść, musiał minąć dziwny ołtarz z czarnego jak węgiel

jadeitu.

Ten widok przywołał z pamięci Conana jakieś słabiutkie wspomnienie niedawno zasłyszanych słów, ale nie zastanawiał się nad tym jakoś szczególnie, bowiem na dolnych stopniach schodów ujrzał cztery postacie ubrano na czarno. Nawet nie zauważył, kiedy Magowie nadeszli, a oni po prostu tam stali – wysocy, smukli, z dłońmi i stopami ukrytymi w fałdach luźnych szat i zgodnie kiwali głowami o ptasim kształcie.

Jeden z nich podniósł rękę, rękaw jego szaty osunął się, ukazując dłoń, która... z ludzką dłonią nie miała prawie nic wspólnego. Conan ruszył w kierunku Magów i nagle, wbrew swej woli, zatrzymał się w pół kroku, zastopowany przez zupełnie inny rodzaj hipnozy, niż ta stosowana przez Khemse. Nie mógł zrobić nawet pół kroku naprzód, ale czuł, że jeśli tylko zechce, może się swobodnie cofnąć. Kerim Szah i trzech Irakzajczycy również przystanęli, ale oni nie byli w stanie w ogóle się ruszyć, wyglądali jak bezradne dzieci w zetknięciu z Magią Kosmosu.

Mag uniesioną dłonią wskazał na jednego z Irakzajczyków i Conan po raz drugi był świadkiem upiornego spektaklu mocy i okrucieństwa. Wskazany wojownik ruszył ku swemu katu jak w transie, tępo wpatrując się w dal wytrzeszczonymi oczami i z mieczem w bezsilnie opuszczonej ręce. Gdy przechodził obok Cymmeryjczyka, ten zagroził mu drogę potężnym ramieniem. Był o wiele silniejszy od Irakzajczyka i w normalnych okolicznościach mógłby go zgnieść jak jajko. Nie tym razem jednak, bo wojownik bez najmniejszego wysiłku odepchnął wyciągnięte ramię, jakby to była wątpa gałązka, po czym sztywnym krokiem podszedł wolno do schodów. Tuż przy pierwszym stopniu mechanicznie ukląkł, podając swój miecz i kornie schylając głowę. Mag wziął ofiarowaną mu broń i jednym płynnym ruchem odciął mężczyźnie głowę, która z głuchym łoskotem potoczyła się po czarnej podłodze, zostawiając krwawy ślad. Z poprzecinanych arterii trysnęła krew, po czym ciało osunęło się i spoczęło z rozrzuconymi szeroko ramionami.

Zdeformowana dłoń ponownie uniosła się i wskazała na kolejnego Irakzajczyka, który bezwolnie ruszył na spotkanie przeznaczenia. Spektakl trwał dalej i po chwili drugie pozbawione głowy ciało legło obok pierwszego.

Nadszedł czas na trzeciego z Irakzajczyków. Gdy przeszedł obok Conana, zmierzając w kierunku smukłej i odziano na czarno sylwetki,

wydarzyła się rzecz niespodziewana – Cymmeryjczyk, któremu żyły nabrzmiały na skroniach z wysiłku, bo tak desperacko próbował przełamać powstrzymującą go magiczną barierę, poczuł emanację nieznaną, przyjazną mu siły. Nie spodziewał się tego zupełnie, zaskoczony i nieco oszołomiony mocą, z jaką uderzyła. Ale nigdy nie wątpił w swój instynkt, a ten podpowiadał mu, że właśnie dostał szansę zakończenia tego koszmaru i że ma to wiele wspólnego z pasem, który dostał od Khemisy. Lewą rękę mimowolnie wsunął pod bakariocki pas i zacisnął ją na tym drugim, stygijskim. Natychmiast poczuł, jak w jego żyły wlewają się z mocą huraganu nowe życiodajne siły, a zdrętwiałe kończyny odzyskują dawną sprawność. Nowa wola życia karmiona wściekłym gniewem eksplodowała w nim, czyniąc zdolnym do największych czynów.

Trzeci Irakzajczyk był już bezgłowym trupem, a odrażający palec wskazał ponownie, by kontynuować wyliczankę śmierci, gdy Conan przełamał niewidzialną barierę. Krzyk, jaki dobył się z jego gardła, godzien był samego smoka, aż zadrżały mury twierdzy. Cała skumulowana w nim wściekłość znalazła ujście w błyskawicznym ataku. Spadł na Magów jak tsunami gniewu i żądzę krwi, kurczowo zaciskając lewą rękę na magicznym pasie z taką siłą, z jaką tonący przytrzymuje się dryfującej kłody, a w prawej ściskając miecz o lśniącym niczym letnie promienie słońca ostrzu. Magowie nawet nie drgnęli, patrząc na atakującego ich barbarzyńcę zimno i obojętnie, prawie cynicznie. Jeśli byli zdziwieni obrotem sprawy, to nie okazywali tego. Conan nie zaprzętał sobie głowy pytaniami o strategię, co robi, gdy znajdą się w zasięgu jego miecza. Ogarnięty żądzą mordy chciał porąbać ich na kawałki i nakarmić klingę krwią.

Był już o kilka kroków od nich, a oni ciągle szyderczo się uśmiechali. Z każdym oddechem rosła w nim nieokiełznana wściekłość i pragnienie mordy. W zmrużonych oczach nie było nic cywilizowanego, panowała w nich dzikość i pierwotne barbarzyństwo wyrosłe na niwie bezwzględności okrucieństwa. Właśnie mijał czarny ołtarz z oplatającymi go złotymi wężami, gdy jak grom z jasnego nieba spadło na niego wspomnienie dziwnych słów Khemisy, i w jego uszach ponownie zabrzmiał suchy oraz zimny głos martwego maga: „Stłucz kryształową kulę z czterema złotymi owocami granatu”.

Zareagował instynktownie. Między pierwszym impulsem a działaniem upłynęła tak maleńka chwila, że nawet największy i najbiegły z magów

nie zdołałby odczytać myśli i zapobiec nadchodzącym wydarzeniom. Zwinnie jak pantera zmienił w biegu kierunek ataku i ciął potężnie kindżałem, mierząc w kryształową kulę. Ostrze spadło na cel z trzaskiem. Conan od razu wyczuł przelewającą się przez komnatę gigantyczną falę grozy, płynącą z nierozpoznawalnego kierunku: może od strony Magów, może z ołtarza, a może wreszcie z samego wnętrza kryształowej kuli. W uszy uderzył go przeszywający syk złotych węży, które nagle stały się przerażająco żywe, unosząc wysoko swe olbrzymie łby, w których z kłów sączył się zabójczy jad i próbowały kąsać. Ale dla doprowadzonego do granic bojowego szaleństwa Conana były to jedynie żalosne igraszki, poruszał się teraz bowiem z szybkością ogarniętego żądzą mordy wściekłego tygrysa. W okamgnieniu błyszcząca klinga poprzecinała złote cielska jedno po drugim, by ponownie spaść na kryształową kulę. Po komnacie rozszedł się huk, jakby w centrum ołtarza uderzył piorun – to wył kryształ, gdy pod naporem klingi barbarzyńcy rozprysnął się w końcu, sypiąc deszczem ognistych drzazg na czarną posadzkę, a złote owoce granatu, jakby odzyskały wolność, wystrzeliły pod sklepienie i nagle zniknęły.

Rozdzierający ryk, nieludzki, zwierzęcy i upiorny zarazem, odbił się zwielokrotnionym echem w wielkiej komnacie. Cztery Czarni Magowie, odrażający mieszkańcy Imszy, skręcali się na schodach w potwornych konwulsjach, tocząc pianę z posiniałych ust. Crescendo ich kakofonicznych ryków zamarło nagle w wibrującym od cierpienia powietrzu. I to był koniec – Magowie zeszywnieli i zamarli w bezruchu, a Conan wiedział, że są martwi. Zerknął na ołtarz i kryształowe drzazgi. Cztery porąbane złote węże wciąż ciasno go oplatały, ale w ich metalowych cielskach nie tliła się najmniejsza nawet iskierka życia.

Kerim Szah ciężko podnosił się z kolan, na które rzuciła go niewidzialna siła. Potrzasnął gwałtownie głową, byle tylko pozbyć się natarczywego dzwonięcia w uszach.

– Słyszałeś ten huk, kiedy roztrzaskałeś kulę? – zapytał Cymmeryjczyka. – Brzmiało to jak, jakbyś jednocześnie z kulą strzaskał w twierdzy tysiące kryształowych zwierciadeł. Myślę, że w tych złotych owocach granatu uwięzione były dusze magów. O zesz...!

Conan odwrócił się na pięcie, widząc, że Kerim Szah sięga szybko po miecz i wskazuje na coś ręką.

U zwieńczenia schodów pojawiła się nowa postać, również odziana w czarną togę, ale, w przeciwieństwie do szat noszonych przez martwych magów, uszytą z niezwykle bogato haftowanego aksamitu. Nieznajomy miał na głowie spiczastą czapkę. Na wcale przystojnej twarzy gościł niczym niezmacony spokój.

– Kim ty, do cholery, jesteś? – spytał Conan, spoglądając bardzo nieprzyjemnie na nieznanego.

– Jestem Władcą Imszy! – odparł zapytany głosem grzmiącym jak świątynny dzwon i przepełnionym lodowatym, sprawiającym mu czystą przyjemność, okrucieństwem.

– Gdzie jest Jasmina? – z kolei spytał Kerim Szah.

Władca Imszy wybuchnął śmiechem.

– A po co ci to wiedzieć, martwe ścierwo? Tak szybko dopadła cię amnezja, że już nie pamiętasz o mojej mocy, której ci tak szczerze niegdyś używałem, że przybyłeś, by ze mną walczyć? I to mieczem... Jesteś głupszy niż baran prowadzony na rzeź. Przypomnę ci więc, z kim zadzierasza! Oddasz mi swoje serce, Kerim Szahu!

Wyciągnął rękę, jakby oczekiwał, że za chwilę coś w nią wpadnie i w tej samej chwili Turańczyk krzyknął rozdzierająco w przedśmiertnej agonii. Zatoczył się jak pijany i nagle po komnacie rozszedł się okropny trzask pękających kości, rozrywanych mięśni. Jego kolczuga na wysokości klatki piersiowej pękła, bryzgając wokół wodospadem krwi i metalowych ogniw, a z ziejącej w ciele dziury, wypełnionej poszarpanymi tkankami, wystrzeliło coś czerwonego i ociekającego prosto w oczekującą makabrycznej przesyłki dłoń Władcy, tak jak okrucieństwo przyciągany przez magnes. Kerim Szah osunął się na podłogę i legł bez ruchu, a Czarny Mag ze skapanym w cynizmie uśmiechem cisnął pod nogi Conana wciąż bijące ludzkie serce.

Cymmeryjczyk zaklął tak, że zawstydziłby niejednego demona i z dzikim rykiem runął na schody. Z pasa Khemisy płynął wartki strumień nieokiełznanej nienawiści, wielce pomocnej w przewyciężeniu potężnej magicznej mocy, czekającej na niego na schodach. W powietrzu zawisła gęsta stalowoszara mgła, przez którą przedzierał się z opuszczoną głową jak pływak pokonujący rwący nurt rzeki. Twarz zasłonił zgiętym ramieniem, a w lewej ręce z całych sił ścisnął zakrzywiony miecz. Przez załzawione oczy ledwie dostrzegł sylwetkę okrutnego maga, mającą nieco wyżej, na stopniach – falowała jak odbicie w bystro płynącej wodzie.

Rzuciły nim i miotały moce, których istnienia nawet nie podejrzewał, a tym bardziej nie potrafił ogarnąć ich rozumem, jednak czuł, że ta pochodząca z zewnątrz siła wspiera go i niepowstrzymanie pcha naprzód mimo wściekłego oporu Władcy Imszy i własnej słabości.

Dotarł wreszcie na szczyt schodów i przez stalowoszarą mgłę ujrzał znienawidzoną twarz oraz coś, czego się nie spodziewał – zaskakujący lęk wypełniający złe i zimne oczy. Conan wyęzając wszystkie siły pokonał mgłę jak fale przyboju i miecz w jego muskularnej ręce wystrzelił w górę niczym żywe stworzenie. Ostrze rozcięło aksamitną togę Władcy, który odskoczył gwałtownie ze zduszonym krzykiem. I nagle na oczach oszołomionego Cymmeryjczyka, mag po prostu... zniknął, jak bańka mydlana. Po schodach przemknął niewyraźny i falujący cień. Conan natychmiast skoczył za nim na wąskie i mniejsze schody prowadzące z podestu w górę. Za nic w świecie nie potrafiłby nazwać tego, co mignęło mu przed oczami, ale rozpalony żądzą krwawego mordy, mimo obrzydzenia i strachu, rzucił się w pogoń za uciekającym cieniem.

Pobiegł pędem szerokim korytarzem o nagich ścianach, po podłodze z polerowanego jadeitu. Przed nim czmychnął, znikając za ciężką kotarą w drzwiach, długi, niewyraźny cień, a chwilę potem z komnaty w głębi dobiegł go przerażający kobiecy wrzask. Ten krzyk bezradności i strachu uskrzydlił Cymmeryjczyka, który pognał tak szybko jak potrafił do drzwi i w oka mgnieniu znalazł się w sali za kotarą.

Widok, który zobaczył, zdjął go grozą. Na krawędzi pokrytego aksamitem podium kulila się Jasmina, wrzeszcząc ile sił w płucach z obrzydzenia i panicznego wręcz przerażenia, podniesioną ręką zasłaniając się przed oślizgłym łbem gigantycznego węża o błyszczącym karku i lśniących ciemnych splotach. Ze zduszonym okrzykiem Conan cisnął mieczem.

Bestia odwróciła się w jednej chwili i zaatakowała z pasją, jaką letnia wichura przelatuje przez wysokie trawy. Długie ostrze przebiło ohydny kark na wylot, lecz nie była to śmiertelna rana, zdawała się tylko jeszcze bardziej rozjuszyć i rozwścieczyć wielkiego gada. Potwór pochylił niewyobrażalnie wręcz wielki czerep nad szaleńcem, który odważył się stawić mu czoło i szczerząc ociekające jadem monstrialne kły ze wszystkich sił chciał go ukąsić. W tej samej chwili Conan wyrwał zza pasa handzar i pchnął nim z całej siły, prowadząc ostrze w górę. Najlepsza na Wschodzie stal przeszła dolną szczękę bestii i utkwiała w górnej, uniemożliwiając

ponowne otwarcie pyska. Natychmiast wielkie cielsko owinęło się wokół Cymmeryjczyka – strategia ataku była oczywista: wąż nie mogąc już używać kłów postanowił zmiażdżyć człowieka w swoich potwornych splotach.

Lewa ręka Conana, przyciśnięta do ciała przez wielkie cielsko była bezużyteczna, ale prawą rękę miał wolną. Bez chwili namysłu Cymmeryjczyk, dla lepszego zachowania równowagi, stanął mocno na rozstawionych nogach, następnie złapał za wystającą z karku węza rękojeść miecza i wyszarpnął z jego ciała. Ale przeciwnik nie był głupi, od razu, kierowany swą nieludzką inteligencją, odgadł zamiary człowieka. Wąż zaczął się wić, prężąc potężne mięśnie i usiłował pochwycić w morderczym uścisku wolne ramię. Było jednak za późno. Uwolnione ostrze uniosło się i opadło z nadludzką szybkością, przecinając prawie na pół wielkie gadzie cielsko.

Conan już miał zadać kolejny cios, gdy giętke zwoje uwolniły go z uścisku i potwór w panicznej ucieczce, brocząc krwią z głębokich ran, śmignął po podłodze. Cymmeryjczyk skoczył za nim, chcąc zadać kolejny cios, lecz zabójcze cięcie przeszło tylko powietrze, bo uciekający gad przetoczył się w bok i z całej siły uderzył łbem w ściankę z sandałowego drzewa. Jedna z płyt ustąpiła, a długie, broczące krwią ciało wpełzło w otwór i zniknęło.

Cymmeryjczyk natychmiast zaatakował ściankę. Kilkoma potężnymi ciosami wyrąbał w niej otwór i z morderczym wyrazem twarzy zajrzał do mrocznej alkowy. Nie dostrzegł tam czarnego, oślizgłego potwora. Zobaczył jednak coś innego – wielkie kałuże krwi na marmurowej podłodze i krwawe ślady prowadzące do ukrytych w ścianie drzwi. Ślady bosych stóp...

– Conanie!

Okręcił się na pięcie w ostatnim momencie, by pochwycić w ramiona Jasmine, która przebiegła przez komnatę niczym strzała i rzuciła mu się na szyję drżąc ze strachu, wdzięczności i ulgi.

Trudno sobie wyobrazić, jak rozpalony ostatnimi wydarzeniami, walką i wonią śmierci był teraz Conan. Bezceremonialnie przyciągnął dziewczynę do siebie z siłą, jaka w normalnych okolicznościach zrodziłaby na jej delikatnej twarzy przejmujący grymas bólu, i zatopił jej usta w ognistym pocałunku. Jasmina nie stawiała oporu, w tej jednej chwili, w tym właśnie miejscu, ledwo co wyrwana z objęć śmierci, nie była Devi Vendii,

władczynią królewskiej krwi od setek, jeśli nie tysięcy pokoleń, tylko zwykłą kobietą. Zamknęła oczy i z rozkoszą poddała się jego dzikim pocałunkom, pozwalając, by ogarnęła ją fala czystej rozkoszy. Przerwał, by nabrać tchu, i spojrzał na nią – rozpaloną, z falującymi od namiętności piersiami, wtuloną w jego wielkie ramiona.

– Wiedziałam, że po mnie przyjdiesz – szepnęła. – Nie zostawiłbyś mnie w tej wylęgarni demonów.

Słowa te otrzeźwiły Conana, przypomniał sobie bowiem, gdzie się znajdują. Uniósł głowę i nadstawił ucha. W twierdzy panowała głucha cisza, lecz była to cisza zwiastująca grozę. Atak mógł nastąpić w każdej chwili, z każdego ciemnego kąta, a niebezpieczeństwo szczyrzyło kły w szyderczym uśmiechu zza każdej draperii.

– Lepiej chodźmy stąd, póki jeszcze możemy – mruknął. – Rany, które zadałem, wysłałyby do piekła każdego normalnego człowieka, ale mag to inna gadka. Zranisz go, a on odpełźnie jak ranny wąż, by z jakiegoś magicznego strumienia znowu zaczerpnąć nowej porcji jadu.

Podniósł dziewczynę i niosąc ją na rękach jak dziecko, podążył lśniącem jadeitowym korytarzem w dół po schodach, cały czas wypatrując najmniejszych oznak niebezpieczeństwa.

– Spotkałam Władcę Imszy – szepnęła Jasmina, odzyskując równowagę i jednocześnie mocniej obejmując Conana. – Rzucił na mnie czary, bym mu uległa. Najgorszym z najgorszych był gnijący trup, który wziął mnie w ramiona. Wtedy straciłam przytomność i leżałam jak nieżywa, nie wiem jak długo. Gdy tylko się ocknęłam usłyszałam na dole jakieś hałasy, krzyki, coś jakby odgłosy walki, a potem ten oślizgły wąż przypętał do mojej komnaty i... o, bogowie! – zadrżała na samą myśl tego koszmaru. – Instynktownie wiedziałam, że to nie iluzja, lecz prawdziwa bestia chcąca mnie zabić.

– Tak, to na pewno nie była iluzja – odparł tajemniczo Conan. – On wiedział, że poniósł klęskę, i wolał cię zabić, niż pozwolić, żebym cię odzyskał.

– Kogo masz na myśli, mówiąc: on? – spytała zaniepokojona.

Nagle krzyknęła, wtuliła się jeszcze bardziej w Conana i od razu zapomniała o swoim pytaniu, bowiem zobaczyła leżące u stóp schodów trupy. Zwłoki Czarnych Magów wyglądały potwornie, były powykręcane i szerniałe, a porozdzierane szaty odsłaniały stopy i dłonie, w których

próżno by szukać jakichkolwiek ludzkich cech. Przyglądając się im Jasmina poszarzała na twarzy i skryła twarz w muskularnej piersi Conana.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

JASMINA I CONAN

Cymmeryjczyk szybko przeszedł przez hol, zewnętrzną komnatę i dotarł do drzwi prowadzących na galerię. Zauważył, że posadzka skrzy się drobnymi, błyszczącymi odłamkami. Masywna kryształowa płyta tarasująca wyjście przestała istnieć. Conan przypomniał sobie ogłuszający trask, gdy spoczywająca na czarnym ołtarzu kula rozleciała się na kawałki i zrozumiał, że w tej samej chwili taki sam los spotkał wszystkie inne kryształy w twierdzy, a jakaś głęboko skryta w zakamarkach jego pamięci mglista opowieść nabrała realnych kształtów: oto był dowód na upiorny związek między Czarnymi Magami z Imszy a złotymi owocami granatu. Poczł lodowate szpony pierwotnego strachu chwytające za serce i pospiesznie wyrzucił tę opowieść z pamięci.

Gdy dotarli do komnaty z zielonego jadeitu w końcu mógł odetchnąć z ulgą. Co prawda musiał z Jasminą przejść jeszcze przez wąwóz, ale przynajmniej mógł cieszyć oczy widokiem błyszczących w słońcu białych szczytów i majestatycznych zboczy skąpanych w niebieskawych mgłach.

Irakzajczyk leżał tam, gdzie spadł: skrwawione resztki ludzkiego ciała na gładkiej, lśniącej powierzchni. Podążając w dół krętą ścieżką, Conan mocno zdziwiony przyglądał się pozycji słońca na niebie – nie minęło jeszcze zenitu, a przecież dałby sobie uciąć rękę, że od chwili, gdy wkroczył do twierdzy Czarnych Magów, minęły długie godziny.

Odczuwał, że powinien się spieszyć. Nie kierowała nim chęć panicznej, ślepej ucieczki, lecz wrodzona ostrożność i instynkt cymmeryjskiego barbarzyńcy oraz silne przeczucie czyhającego za plecami niebezpieczeństwa. Zachował to dla siebie, a dziewczyna wydawała się szczęśliwa, mogąc oprzeć głowę o jego wysoko sklepioną pierś i wtulić się w potężne ramiona. Conan przystanął na chwilę na krawędzi wąwozu i z ponurą miną spojrział w dół. Zalegająca w czeluści mgła nie była już ani różowa ani błyszcząca, wręcz przeciwnie, stała się dziwnie szara, mętna, jak ostatni ułamek życia u umierającego człowieka. Conanowi przyszła do głowy zaskakująca przenikliwością myśl, że czary magów są w większym

stopniu odzwierciedleniem ich osobowości niż sztuka aktorska jest odbiciem zachowania zwykłych ludzi.

Jednak fakt pozostawał faktem – dno doliny wciąż lśniło jak polerowane srebro, a złota nić niezmiennie skrzyła się mocnym blaskiem. Cymmeryjczyk przerzucił sobie Jasmineę przez ramię, na co pozwoliła bez słowa sprzeciwu, i zaczął schodzić w dół. Podążał po półce skalnej najszybciej jak mógł, a gdy tylko znalazł się na dnie wąwozu, zaczął biec, wzbudzając gromkie echo rozbrzmiewające wśród pionowych niemal ścian. Był przekonany, że ściga się z czasem i że jedyne, co może ich ocalić, to jak najszybsze pokonanie tej przerażającej fosy, zanim ranny Władca Imszy odzyska na tyle siły, by zrzucić im na głowy jaką nową potworność.

Kiedy w końcu wdrapał się na przeciwległą ścianę i stanął na krawędzi rozpadliny, wydał z siebie tak głębokie westchnienie ulgi, jakby właśnie powrócił na ostatnim oddechu na powierzchnię wody po wielominutowym nurkowaniu, po czym postawił Jasmineę na ziemi.

– Dalej możesz już iść sama – powiedział. – Ścieżka cały czas wiedzie w dół.

Dziewczyna kątem oka spojrzała na lśniącą piramidę po drugiej stronie wąwozu. Majestatyczna twierdza wznosiła się na tle ośnieżonego zbocza niczym niezdojdyt szaniec milczenia i pierwotnego zła w czystej postaci.

– Czyżbyś był wielkim magiem, że pokonałeś Czarnych Magów z Imszy, Conanie z Ghor? – spytała niespodziewanie Jasmina, gdy zaczęli schodzić ścieżką w dół, ciesząc się jednocześnie dotykiem Cymmeryjczyka, bo ten krzepkim ramieniem obejmował ją w tali.

– Żaden ze mnie magik, to ten pas, który Khemsa dał mi przed śmiercią – odparł Conan. – Tak, przypadkiem znalazłem go na szlaku. To prawdziwie magiczny pas, kiedy będziemy mieli trochę czasu dokładnie mu się przyjrzyj. Przeciw niektórym zaklęciom był wart funta kłaków, ale przeciw innym bardzo mi pomógł. A i tak sądzę, że dobre ostrze to najskuteczniejsze zaklęcie.

– Nie rozumiem jednego, skoro dzięki niemu pokonałeś Władcę Imszy – skonstatowała Jasmina – to dlaczego jego pierwotny właściciel, Khemsa, poniósł klęskę?

– A bo ja wiem? Khemsa był uczniem i sługusem Władcy, może to zadecydowało o jego porażce. Nade mną nie miał takiej władzy jak nad tym nieszczęśnikiem. I pamiętaj, że nie mogę powiedzieć, iż go pokonałem i zabiłem. Co prawda uciekł, ale coś mi mówi, że jeszcze będzie mi dane

stanąć z nim twarzą w twarz. A teraz chcę, byśmy najszybciej jak to możliwe, oddalili się od jego upiornego siedliska.

Poczuł prawdziwą ulgę zobaczywszy spętane konie przy tamaryszkach, tam gdzie jeszcze nie tak dawno wraz z towarzyszami je zostawił. Odwiązał je szybko, osiodłał czarnego ogiera i posadził Jasmine przed sobą. Pozostałe, wypoczęte konie, ochoczo ruszyły na nimi.

– I co teraz? – spytała Jasmina. – Do Afgulistanu?

– Nie tak prędko! – uśmiechnął się niewyraźnie Conan. – Ktoś, jeszcze nie wiem kto, może Czunder Szan, zabił moich siedmiu watażków. Moi ludzie myślą, że maczałem w tym palce, i póki nie wybiję tego niedorzecznego pomysłu z ich rozgorączkowanych głów, będą mnie ścigać jak rannego szakala.

– A co ze mną w takim razie? Skoro twoi dowódcy nie żyją, to jako zakładniczka nie przedstawiam dla ciebie żadnej wartości. Chcesz mnie zabić, żeby ich pomścić?

Spojrzał na nią wiele mówiącym spojrzeniem i szczerze się roześmiał, słysząc, jakie głupoty wygaduje.

– W takim razie jedźmy do granicy – powiedziała. – Tam znajdziesz schronienie przed zemstą Afgulisów.

– Jasne, na vendiańskiej szubienicy.

– Na Asura, jestem królową Vendii! – przypomniała mu tonem nie znoszącym sprzeciwu, na chwilę znowu stając się potężną władczynią. – Zawdzięczam ci życie. Zostaniesz za to sownie wynagrodzony.

Nie zabrzmiało to, jak by chciała. Conan zachnął się.

– Zachowaj swe bogactwa dla swych dworskich kundli, księżniczko. Skoro ty jesteś królową równin, to ja jestem władcą gór i nie zabiorę cię nawet o krok w kierunku vendiańskiej granicy!

– Ale przecież byłbyś bezpieczny pod moją ochroną... – zaczęła, nic nie rozumiejąc.

– A ty na powrót stałabyś się Devi – przerwał jej gwałtownie. – Nie, dziękuję, postoję, bo wolę cię taką, jaką jesteś teraz, czyli kobietą z krwi i kości, jadącą ze mną w siodle.

– Przecież nie możesz mnie zatrzymać! – krzyknęła. – Nie możesz...

– To poczekaj, a przekonasz, co mogę, a czego nie! – poradził ponuro.

– Pomyśl chwilę! Zapłaciłabym ogromny okup...

– Niech szlag trafi twój okup i skarby! – odparł szorstko, mocniej zaciskając ręce na jej talii. – Całe królestwo Vendii nie może mi dać

niczego, czego nie pragnąłbym choć w połowie tak bardzo, jak pożądam ciebie! Porwałem cię z Peszkauri nadstawiając karku, więc jeśli twoja dworska zgraja chce się z powrotem, niech przybędzie do Zaibaru i odbije cię siłą.

– Przecież nie masz nawet ludzi! – wykrzyknęła i wściekła i zła. – Jesteś ścigany! Jak zdołasz ocalić własne życie, nie wspominając już o moim?

– Wciąż jeszcze w górach mam kilku przyjaciół – odparł. – Wódz Kurakzajczyków ukryje cię z bezpiecznym miejscem, a ja w tym czasie przemówię do rozsądku moim Afgulisom. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, to, na Croma!, pojedę z tobą na północ na kozackie stepy. Zanim przybyłem na Wschód, byłem hetmanem Wolnych Towarzyszy. Uczynię cię samą królową rzeki Zaporoska!

– Zwariowałaś? – opierała się z całych sił tym, jak się wydawało, niedorzecznym planom. – Ja nie chcę! A ty nie możesz mnie do tego zmusić...

– Jeśli ten pomysł wydaje ci się odrażający – rzekł oschle – to po kiego licha tak chętnie nadstawiałaś usta do moich pocałunków?

– Och, Conanie... – odparła rumieniąc się. – Nawet królowa jest tylko człowiekiem. I właśnie dlatego, że jestem Devi, królową Vendii, w pierwszej kolejności muszę brać pod uwagę interesy mojego królestwa i moich poddanych. Nie zabieraj mnie do jakichś dzikich, obcych krain. Wróć ze mną do mego kraju!

– A uczynisz mnie swoim królem? – spytał sarkastycznie.

– Jeśli o to chodzi, to, no wiesz, zwyczajnie... – zająknęła się, a Conan przerwał jej, szczerze się śmiejąc.

– Tak, zwyczajnie cywilizowanego świata, które założyły ci kaganiec i nie pozwalają robić tego, na co masz ochotę. Weźmiesz za męża jakiego poskręcane starucha, byle był królem własnego kraju gdzieś na równinach, a ja ruszę w swoją drogę, rozpamiętując słodycz kilku skradzionych ci pocałunków! To się nazywa szczęście!

– Ale ja muszę wrócić do mojego królestwa! – powtórzyła bezradnie, bliska łez.

– I po co? – spytał ze złością. – Szorować zgrabną dupcią złote trony i słuchać nieszczerých pochlebstw kretyńsko uśmiechniętych fagasów w drogocennych szatach? I co z tego będziesz miała? Posłuchaj: urodziłem się w górach Cymmerii, gdzie wszyscy są barbarzyńcami. W swoim życiu byłem najemnym żołnierzem, korsarzem, kozakiem, robiłem tysiące innych

rzeczy. Który król przemierzył tyle krain, stoczył tyle bitew, kochał tyle kobiet i zdobywał większe łupy niż ja? Przybyłem do Gulistanu, by skrzyknąć horde i w poszukiwaniu bogactw splądrować południowe królestwa, w tym i twoje. Zostanie wodzem Afgulisów to miał być dopiero początek. Jeśli zdołam im wyperswadować, że nie miałem nic wspólnego ze śmiercią ich wodzów, w ciągu roku rządził będę tuzinem innych plemion. Jeśli nie, to wrócę na stepy i razem z kozakami będziemy plądrować pogranicze Turanu. A ty pojedziesz ze mną. W cholere z twoim królestwem! Jakoś nie popadło w ruinę, kiedy nie było cię jeszcze na świecie.

Leżąc w jego ramionach i spoglądając mu w niebieskie, piękne oczy Jasmina czuła w głębi duszy, że ma rację, że najchętniej popędziłaby razem z nim na czarnym ogierze jak najdalej od polityki, dworu, intryg, kurtuazji i protokołu. Przez chwilę delektowała się tą zuchwałą myślą, płonąca w jej sercu intensywnym płomieniem. Ale wystarczyło jedno wspomnienie o tysiącach generacji jej królewskich przodków, by ciężar odpowiedzialności przywołał ją z powrotem do rzeczywistości.

– Nie mogę! Nie mogę! – powtarzała bezradnie.

– Nie masz wyboru – zapewnił ją. – Pojedziesz... Co, do diabła?

Zostawili Imszę daleko za sobą i jechali teraz po wysokiej grani, oddzielającej dwie głębokie doliny. Właśnie wjechali na najwyższy punkt ścieżki, skąd mieli doskonały widok na dolinę po prawej stronie. Toczyła się tam zażarta bitwa. Silny górski wiatr wiał w przeciwną stronę, tłumiąc odgłosy walki, ale i tak z dołu dochodził szczepek stali i łomot kopyt.

Zaskoczeni widokiem widzieli błysk słońca na ostrzach lanc i spiczastych hełmach. Trzy tysiące uzbrojonych po zęby, zakuty w stal jeźdźców pędziło przed sobą bandę obszarpańców w turbanach na głowach, którzy uciekali jak stado wilków, kłując, jeśli tylko nadarzyła się okazja.

– Turańczy! – mruknął Conan. – Szwadrony z Sekunderam. Co oni tu robią, do licha?

– Kim są wojownicy, których ścigają? – zapytała Jasmina. – I dlaczego walczą tak zażarcie? Przy takiej przewadze wroga są bez szans na zwycięstwo.

– To pięciuset moich szalonych Afgulisów – warknął Conan, marszcząc brwi. – Są w pułapce i wiedzą o tym.

I taka była prawda, Afgulisi znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Dolina zwężała się stopniowo, przechodząc w głęboki wąwóz zakończony maleńką

kotliną, otoczoną niemal pionowymi zboczami. Nie było mowy, żeby się na nie wspiąć.

Ludzie Conana byli nieubłaganie spychani do tej pułapki, a że nie mieli wyjścia, cofali się krok po kroku, zasypywani gradem strzał i padając od ciosów. Turańska jazda napierała na nich zdecydowanie, ale nie na ślepo i niezbyt silnie. Wszyscy znali nieokiełznaną wściekłość doprowadzonych do ostateczności mieszkańców gór, a Turańczycy ponadto wiedzieli, że zapędzeni do kotliny przeciwnicy nie mają szans. Kiedy tylko okazało się, że należą do plemienia Afgulisów, postanowili ich otoczyć i zmusić do poddania się. A do tego potrzebowali zakładników.

Turański emir był człowiekiem czynu. Kiedy dotarł do doliny Guraszah i w umówionym miejscu nie czekały na niego ani nieprzyjacielskie oddziały, ani Kerim Szah, postanowił ruszyć dalej, ufając swojej znajomości gór. Przez cały czas jego szwadrony zajadłe walczyły z wrogo nastawionymi mieszkańcami gór, a ci w niejednej wiosce lizali swoje rany. Emir doskonale wiedział, że nie ma prawie żadnych szans, aby on, czy chociażby jeden turański lansjer powrócił żywy do Sekunderamu, bo zewsząd otaczali ich wrogowie, pragnący tylko jednego: ich śmierci. Był jednak zdecydowany wykonać rozkazy za wszelką cenę, to znaczy odebrać Devi Afgulisom i przyprowadzić królową Vendii jako niewolnicę przed oblicze Jezdigerda, lub też, jeśli będzie to niewykonalne, ściąć jej głowę i zginąć z honorem. O tym wszystkim, co oczywiste, ani Conan, ani Jasmina nie mieli bladego pojęcia. Cymmeryjczyk niespokojnie wiercił się w siodle.

– Czemu ci idioci dali się zapędzić w kozi róg? – spytał sam siebie. – Wiem, co te owłosione kundły robią w tej okolicy: polują na mnie. Pewnie zaglądali w każdą dziurę i zanim zorientowali się w sytuacji, wpadli w pułapkę. Jak można być tak głupim? Będą zajadłe bronić się w wąwozie, ale przecież nie wytrzymają długo. Kiedy turańska jazda zepchnie ich do kotliny, będzie po ptakach. Wyrznie ich do nogi.

Bitewny tumult dobiegający z dołu przybierał na sile. Desperacko broniący się w wąskim wąwozie Afgulisi na chwilę powstrzymali okutych stalą jeźdźców, którzy nie mogli użyć ulubionej strategii, czyli frontalnego ataku w pełnym galopie.

Conan ponuro zmarszczył brwi, zakręcił się niespokojnie w siodle i sięgając po rękojeść miecza powiedział prosto z mostu:

– Devi, ja muszę tam iść, muszę być z moimi ludźmi. Znajdę ci jakąś kryjówkę, a której bezpiecznie zaczekasz, aż wrócę. Opowiadałaś o swoim królestwie... Niech to! Nie będę wciskał ci bredni, że uważam te owłosione diabły za swoje dzieci, ale mimo wszystko, jacy by nie byli, to są moi ludzie, a wódz nigdy nie opuszcza swoich, nawet jeśli oni opuścili go pierwsi. Są przekonani, że postąpili słusznie, obwiniając mnie za śmierć... Na Croma, nie będę patrzył beczynn timer, jak ich wyrzynają! Wciąż jestem wodzem Afgulisów i udowodnię to! Zejdę na dół wąwozu.

– A co ze mną? – zaprotestowała Jasmina. – Porwałś mnie z mojego kraju, a teraz chcesz zostawić samą w górach na pewną śmierć! Przecież tam zginiesz, i to na próżno!

Conan desperacko bił się z myślami, aż żyły nabrzmiały mu na skroniach.

– To prawda – mruknął bezradnie. – Jeden tylko Crom wie, co powinienem teraz zrobić.

Jasmina lekko przechyliła głowę i na jej pięknej twarzy pojawił się dziwny wyraz.

– Słuchaj! – krzyknęła nagle. – Słuchaj uważnie!

Gdzieś wśród gór zabrzmiała słaba, ale wyraźna, melodia fanfar. Zaskoczeni spojrzeli w dolinę po lewej stronie grani i w oddali zobaczyli długie kolumny jeźdźców. Przemierzały dno doliny, błyszcząc w słońcu ostrzami lanc i polerowanymi hełmami.

– To vendiańska konnica! – krzyknęła radośnie Jasmina.

– Są ich tysiące! – mruknął Conan. – Już od dawna kszatrijaskie oddziały nie zapuszczały się tak daleko w góry.

– Oni szukają mnie! Daj mi prędko swojego konia! Popędzę po moją armię. Z lewej strony zbrocze nie jest takie strome, dam radę zjechać w dół. A ty pędź ile sił w nogach do swoich Afgulisów i każ im wytrzymać jeszcze tylko kilka chwil. Skieruję jazdę w dolinę i od tyłu uderzę na Turańczyków! Weźmiemy ich w kleszcze. Szybko, Conanie! Przecież nie chcesz, by twoi ludzie zginęli przez twoje żądze?

Jego oczy płonęły miazdzącą serce aż do bólu dziką namiętnością, lecz zeskoczył z konia i oddał jej wodze.

– Niech ci będzie! – mruknął. – Pędź, co koń wyskoczy!

Jasmina natychmiast skrzyła na zbrocze po lewej ręce, a Conan pognął granią, aż dotarł do długiej szczeliny wąwozu, w której szalała bitwa. Z małą zręcznością opuścił się na dół, wykorzystując występy skalne

i wglębienia w pionowym urwisku, by w końcu niczym bóstwo zstępujące z nieba wpaść w sam środek jatki. Wokół niego panował nieopisany chaos, bezwładna plątanina afgulskich turbanów i turańskich hełmów z okazałymi pióropuszcami: rżały konie, szczękały stalowe ostrza, świszcząły strzały, co chwilę na ziemię z łoskotem padały kolejne ciała, a wszyscy tonęli w fontannach krwi z podrzynanych gardeł, wypruwanych wnętrzności i odcinanych kończyn.

Ledwie zdążył dotknąć stopami ziemi, zawył jak wilk, chwycił w mocarnym uścisku za nabijaną złotem uzdę, zwinnie uchylił się przed ciosem bułata i z całą wściekłością wbił swój kindżał w pierś jeźdźca. W następnej chwili już był w siodle, wykrzykując rozkazy do oszołomionych Afgulisów, klnąc przy tym na czym świat stoi. Patrzyli na niego z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami i rozdziawionymi do granic możliwości ustami. Jednak gdy spostrzegli, jakie spustoszenie czyni wśród wrogów, znów zabrali się do pracy, bez szemrania akceptując powrót swego wodza. W bitewnym szale nie było czasu na zadawanie pytań czy udzielanie odpowiedzi.

Wciąż kolejne szeregi turańskiej jazdy wdzierały się w gardziel wąwozu. Wąska rozpadlina była jednym wielkim kłębowiskiem ludzi i koni, walczone pierś w pierś, dźgano krótkimi nożami, zadając zabójcze cięcia i pchnięcia, kiedy tylko któryś z walczących znalazł dość miejsca, by unieść ramię. Nieszczęśnik, który spadł z konia, już się nie podnosił, wdeptany w ziemię setką kopyt. W takich warunkach nie było ani czasu, ani miejsca na popisy fechtunku, decydowała po prostu brutalna siła, a Conan miał jej za dziesięciu. Afgulisi, widząc spustoszenie, jakie czynił wśród wrogiej jazdy i przyzwyczajeni do tego, że prowadził ich nie raz do boju, nabrali nowego ducha walki.

Jednak przewaga liczebna Turańczyków była przytłaczająca. Coraz to nowe szeregi ich jazdy nieubłaganie spychały jeźdźców prosto pod ostrza afgulskich mieczy. Górale cofali się wolno, ale nieubłaganie, zostawiając za sobą wał trupów. Obryzganym krwią, rąbiąc i kłując jak szalony, Conan cały czas zadawał sobie mrozące krew w żyłach pytanie: czy Jasmina dotrzyma słowa? Przecież mogła dołączyć do swych lansjerów i zawrócić na południe, zostawiając Cymmeryjczyka i jego ludzi na pewną śmierć.

Walczącym do upadłego Afgulisom pod wodzą Conana, wydawało się, że minęła cała wieczność, kiedy ponad szczęk stali i okrzyki konających wzbili się nagle nowy dźwięk. Z dzikim hukiem trąb, od którego zadrżały

ośnieżone szczyty, z narastającym łomotem kopyt o skalne podłoże, pięć tysięcy vendiańskich lansjerów spadło na konnicę Jezdigerda.

To jedno uderzenie rozbiło turańskie formacje na boki, zmiażdżyło je i rozpędziło po całej dolinie. Nieustający napór na afgulskie pozycje nagle osłabł. Turańczycy zawrócili i pojedynczo lub w niewielkich grupach rzucili się do przegranej batalii. Kiedy jednak ich emir zginął przeszyty kszatrijaską lancą, jeźdźcy w spiczastych hełmach stracili ducha walki, rzucając się do panicznej ucieczki i starając przedrzeć przez formacje wrogów. W miarę jak topniały ich szeregi, zwycięscy Vendianie rzucili się za nimi w pogoń i cała okolica zarojła się od uciekających i ścigających. Ci z Afgulisów, którzy mogli jeszcze utrzymać się w siodle, wypadli z kotlinki i z dzikim wrzaskiem na ustach rzucili się w pościg, w pełni akceptując niespodziewane przymierze z odwiecznym wrogiem, tak samo jak bez mrugnięcia przyjęli do wiadomości powrót wygnanego wodza.

Słońce chowało się za ośnieżonymi szczytami Himelii, gdy Conan, z szatami w strzępach, zbryzgana, lepianą się od krwi kolczugą i skrwawionym kindziałem w dłoni, przeszedł przez pobojuwisko i wolno podszedł do Jasminy, która spokojnie czekała na niego w otoczeniu swej świty przy krawędzi urwiska.

– A jednak dotrzymałaś słowa, Devi! – ryknął jak mosiężna trąba. – Chociaż, na Croma, były takie chwile, że wątpiłem... Uważaj!

Olbrzymi sęp spikował prosto z nieba, uderzeniem potężnych skrzydeł zrzucając jeźdźców z siodeł. Zakrzywiony jak bułat dziób zmierzał już do miękkiej szyi Jasminy, lecz Conan był szybszy – krótki bieg, tygrysi skok, precyzyjne pchnięcie skrwawionym kindziałem i skrzydlata bestia z przerażająco ludzkim jękiem zachwiała się, po czym runęła w gardziel przepaści, by roztrzaskać się na ostrych skałach tysiąc stóp niżej. Spadając i młócąc bezradnie skrzydłami nagle przybrała postać mężczyzny w rozwianej, bogato haftowanej złotą nicią aksamitnej todze.

Conan spojrzał płonącymi oczami na Jasminę. Z niezliczonych ran na jego potężnych ramionach i udach sączyła się krew.

– I proszę, znów jesteś Devi – rzekł, lekceważąc kompletnie zgromadzony wokół swojej królowej kwiat vendiańskiego rycerstwa i bezczelnie szczerząc zęby na widok wyszywanej złotem, delikatnej i przezroczystej jak pajęczyna szaty, którą Jasmina narzuciła na strój kupiony, jak się teraz wydawało wieki temu, od idącej po wodę Galzajki. – Muszę ci podziękować za uratowanie, tak na oko, ze trzystu pięćdziesięciu

moich szurniętych Afgulisów, do których w końcu dotarło, że ich nie zdradziłem. Dzięki tobie moje plany o podbojach wciąż są aktualne.

– Wciąż jestem ci winna okup – powiedziała, patrząc na niego rozpalonym pożądaniem wzrokiem. – Zapłacę ci dziesięć tysięcy sztuk złota...

Conan zbył jej propozycję niecierpliwym machnięciem ręki i otarłszy z krwi ostrze kindżału wsunął broń do pochwy.

– Sam sobie odbiorę okup za ciebie – rzekł – i sam zadecyduję w jakiej formie i kiedy. Przyjadę po niego do twego pałacu w Ajodii z pięćdziesięciotysięczną armią, by mieć pewność, że otrzymam odpowiednią zapłatę.

Devi zaśmiała się, ściągając wodze.

– A ja spotkam cię na brzegu Jumdy ze stutysięczną!

Oczy Conana rozbłysły w szczerym podziwieniu i zachwycie, gdy odsunął się i władczy gestem, pozdrawiając Jasmine, pokazał jej wolną drogę.

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(wrzesień–listopad 1934) pod tytułem *The People of the Black Circle*

I NARODZI SIĘ WIEDŹMA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

KRWAWY PÓŁKSIĘŻYC

Taramis, królowa Khauranu, przebudziła się z koszmarne go snu, otulona grobową ciszą, przypominającą raczej zimny i mroczny chłód katakumb, niż dobrze jej znane ciepło własnej pałacowej sypialni. Leżała, wpatrując się w ciemność i próbowała zrozumieć, dlaczego pogasły wszystkie świece w złotych kandelabrach. Przez pozłacaną kratownicę w oknie zaglądało tak słabe i przyćmione światło gwiazd, że nie rozpraszało panującego w komnacie mroku.

Leżąc i próbując przeniknąć wzrokiem otaczające ją ciemności, zaskoczona nagle ujrzała opodal łoża dziwną, świetlistą kulę, która pojawiła się znikąd i przyciągała uwagę z hipnotyzującą siłą. Z każdą chwilą kula rosła, jakby karmiła się mrokiem, jednocześnie jaśniejąc coraz bardziej trupioblady m światłem rodzącym koślawe cienie na aksamitnych festonach upiętych na przeciwległej ścianie. Zdumiona tym widokiem Taramis usiadła i... przerażenie zaparło jej dech w piersiach. Pośrodku świecącej sfery wyraźnie rysowały się ciemne kontury ludzkiej głowy.

Zdjęta strachem dziewczyna otworzyła usta, by przywołać pałacową służbę, ale z zaciśniętej krtani nie wydobył się żaden dźwięk. Tymczasem sfera zbladła, natomiast kształt w niej stawał się coraz wyraźniejszy. Teraz już bez trudu można było rozpoznać w nim niemalże wszystkie szczegóły: wyraźne, smukłe rysy twarzy, wysoko upięte, kruczoczarne, długie włosy. Taramis z szeroko otwartymi z przerażenia ustami spoglądała na rosnący z każdą chwilą kształt, aż serce zamarło jej w piersi. Rozpoznała te charakterystyczne, znane wszystkim poddanym, rysy: oglądała własną twarz! Miała wrażenie, że oto patrzy w lustro, które jednak subtelnie, ale zauważalnie, zmienia niektóre szczegóły – oczy płonęły drapieżnym blaskiem, jakby wpatrywał się w nią rozwścieczony tygrys, a usta wykrzywił odrażający, mściwy grymas.

– O, wszechmocna Isztar! – ledwie łapiąc oddech wyszeptała Taramis. – To jakieś czary...

Ku jej przerażeniu zjawa przemówiła głosem, z którego sączył się słodki jad.

– Żadne tam czary, ukochana siostrzyczko. W tym, co widzisz, nie ma za grosz magii.

– Siostrzyczko? – wyjąkała zaskoczona królowa. – Ja przecież nie mam siostry!

– I nigdy nie miałaś? – głos postaci przesiąknięty był wyraźnie wyczuwalnym, jadowym szyderstwem. – Nigdy nie miałaś siostry bliźniaczki o ciele równie powabnym i wrażliwym, jak twoje, płonącym pożądaniem pod wpływem delikatnej pieśczoły i zwijającym się w męczarniach pod wpływem bólu?

– Kiedyś miałam... – odparła Taramis, wciąż przekonana, że padła ofiarą jakiś potwornych czarów, z których zrodził się ten koszmar. – Ona jednak... dawno temu... umarła.

Piękną twarz w świetlistej poświacie wykrzywił grymas takiej wściekłości, że królowa aż się cofnęła, kuląc się ze strachu między jedwabnymi poduszkami, przekonana, iż lśniące czernią długie loki wystrzelą w jej kierunku z sykiem, jakby nagle ożyły i przybrały postać najbardziej oślizgłych węży oplatających alabastrowe oblicze zjawy.

– Kłamiesz! – spoza karminowych, wykrzywionych czystą nienawiścią warg, wystrzeliło palące żywym ogniem oskarżenie. – Ona wcale nie umarła! Ty skończona kretynko! Och, dosyć tego, dosyć już tej idiotycznej maskarady! Patrz i niech widok wypali te śliczne oczka!

Po tych słowach świetlisty promień, niczym ognisty wąż, oplótł sypialnię, zapalając wszystkie świece w złotych kandelabrach. Taramis jeszcze głębiej wtuliła się w jedwabne poduszki; zdjęta przerażeniem, skulona i bezradna obserwowała, jak z półcienia wyłania się, jakby rodzona ze świetlistego łona, kobieca sylwetka, której każdy gest, każdy ruch i oddech wyrażały pogardę oraz drwinę. Patrzyła, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. A oglądała dokładną kopię samej siebie, kopię doskonałą w najmniejszym fizycznym szczególe, tyle że powołaną do życia przez czyste, pierwotne zło. Twarz zjawy wyrażała odrażające przeciwieństwo cech charakteru Taramis, tak jak krzywe zwierciadło wypacza obraz rzeczywistości. Ze lśniących niczym u drapieżnego kota oczu emanowały wyuzdanie i mściwość; skrzące się czerwienią usta wyrażały uwielbienie dla okrucieństwa; każdy ruch smukłego ciała skąpany był w zwierzęcym i dzikim erotyzmie. Włosy upięte miała w taki sam sposób, jak królowa, a na stopach nosiła te same złote sandały – ulubione obuwie Taramis, które nosiła w prywatnych komnatach. Nawet biała jedwabna tunika z głębokim

dekoltem, ściągnięta w talii złotym paskiem, była wierną kopią tej, którą teraz miała na sobie przerażona dziewczyna.

– Kim ty jesteś? – ze ściśniętej strachem krtani dobyło się ledwie słyszalne pytanie. – Mów, co tu robisz, albo rozkażę służbie, by wezwała strażę.

– Wydzieraj się, ile chcesz, niech ci się na głowę nawet dach zawali! – opryskliwie odparła nieznajoma. – Twój służący śpią w najlepsze i wątpię, by zbudzili się do świtu, choćby cały pałac stanął w płomieniach. Gwardziści nic nie usłyszą, bo zostali odprawieni z tego skrzydła pałacu.

– Co takiego!?! – wykrzyknęła urażona w swojej dumie Taramis. – Kto miał czelność rozkazywać moim gwardzistom?

– Ja, moja słodziutka siostrzyczko – szydziła nieznajoma – na chwilę przed wejściem tutaj; twoi dzielni strażnicy myśleli, że to ich ukochana królowa. Ha! Jestem genialna! Żebyś widziała jak wspaniale odegrałam swoją rolę; z jaką swobodą i godnością; w moim głosie był cały twój majestat, ale złagodzony powiewem kobiecej delikatności! Całe to twoje stado umięśnionych prostaków klęczało przede mną w pozłacanych zbrojach i kretyńsko ozdobionych wielkimi pióropuszcami szyszakach!

Po raz pierwszy w swym życiu Taramis doznała uczucia, jakby wokół jej smukłej szyi z każdą chwilą zaciskała się pętla zdarzeń niewytłumaczalnych i przerażających.

– Kim jesteś?! – wykrzyknęła zdesperowana. – Co to za szaleństwo? Po co tu jesteś?

– Kim jestem? – w na pozór łagodnym tonie pobrzmiwała złośliwość niewiele różniąca się od syku wściekłej kobry. Nieznajoma podeszła do łoża z pewnością kroków kata zmierzającego ku skazańcowi; bezceremonialnie położyła silne dłonie na alabastrowym ramieniu siostry i nachyliła się, by spojrzeć w jej płonące strachem oczy, a spojrzenie to hipnotyzowało z mocą tytana; było tak przeszywające i bezczelne, że Taramis nawet nie drgnęła w obliczu największej, zawsze karanej śmiercią, zniewagi – dotknięcia jej boskiego ciała bez pozwolenia.

– Ależ z ciebie kretynka! – wycedziła nieznajoma. – Jak śmiesz o to pytać? Jeszcze wątpisz? Jestem Salome!

– Salome! – wykrzyknęła Taramis, a włosy stanęły jej dęba, gdy wreszcie zrozumiała zdumiewający i przerażający sens tego wyznania. – Myślałam, że umarłaś tuż po narodzinach... – dodała słabym głosem.

– Wielu tak myślało – odpowiedziała nieznajoma nazywająca siebie imieniem dawno zmarłej siostry. – Wynieśli mnie na pustynię, abym tam zdechła, niech będą po wsze czasy przekłęci! Mnie, bezradne i płaczące niemowlę, w sercu którego wciąż słabo tliło się życie, jak płomyk dogasającej świecy. Wiesz chociaż, dlaczego skazano mnie na tak okrutną śmierć?

– Słyszałam... jakieś strzępy opowieści, niespójne fragmenty... – wyszeptała drżącym głosem Taramis.

Salome zanosła się ociekającym jadem śmiechem, sięgając jednocześnie pod tunikę i odsłaniając górną część jędrnych piersi, pomiędzy którymi dobrze widoczne było przedziwne znamię: czerwony jak krew półksiężyc.

– Znamię więdźmy! – wykrzyknęła Taramis odruchowo odskakując.

– A jakże! – śmiech Salome przerodził się w złowieszczy chichot czystej nienawiści, który ciął powietrze niczym klinga sztyletu. – Klątwa władców Khauranu! O, tak! Te idiotyczne opowieści po dziś dzień szepczą po bazarach i dziedzińcach skretyniali do szczętu naiwni głupcy, opluwając sobie brody i wodząc wokół wzrokiem pełnym szaleństwa! Opowiadają, jak to pierwsza królowa z naszego rodu oddała się, pewnie gdzieś pod jakimś drzewem, wielkiemu księciu ciemności, by po dziewięciu miesiącach urodzić mu córkę, której imię nawet teraz trwa w legendach i podaniach. Od tamtej chwili, raz na każde stulecie, w askauryjskiej dynastii rodzi się dziewczynka ze szkarłatnym półksiężycem pomiędzy piersiami, co przesądza o jej losie. Przecież starożytna klątwa mówi wyraźnie: „Raz na sto lat narodzi się więdźma”, i tak się działo, a niektóre z tych dziewczynek mordowano zaraz po narodzinach – mnie miał spotkać ten sam los. Jednak inne stapały po tej ziemi jako więdźmy, dumne córki Khauranu z piekielnym półksiężycem płonącym na alabastrowej skórze, a każda nosiła moje imię – Salome. To zawsze były i zawsze będą Salome – więdźmy. Zawsze; nawet gdy ze swoich lodowych czeluści wypełzną lodowce, by zetrzeć na proch każdą cywilizację, nawet jeśli ze zgliszczy i chaosu wyłoni się nowy świat – to zawsze będą Salome: dumnie stąpające po ziemi, by dzięki potężnej magii usidlać serca wojowników, swym tańcem pożądania doprowadzać do obłędu królów i cesarzy, by oglądać toczące się po marmurowych posadzkach odcięte głowy mędrców, dekapitowanych tylko dla ich kaprysu.

– Ale... ale ty... – zająknęła się Taramis.

– Co ja? – oczy wiedźmy skrzyły się tajemniczym płomieniem. – Mnie wynieśli jak gnijącą padlinę daleko za mury miasta, na pustynię, na gorący piach pod plujące ogniem słońce i po prostu odjechali, zostawiając płaczące, bezbronne niemowlę na pastwę szakali, sępów i pustynnych wilków. Ale życie we mnie tliło się mocniej, niż w zwyczajnych ludziach, bo pochodzi ze źródeł wypływających z mrocznych otchłani, które są siedliskiem mocy, których zrozumienie leży daleko poza pojmowaniem śmiertelników.

– Mijały długie godziny, a słońce paliło wszystko wokół, jakby z nieba spadały fale płynnego ognia, pochodzącego wprost z dna piekła. Ja jednak żyłam. Coś z tej męki pamiętam; dalekie, zamglone obrazy, tak jak pamięta się ulotny, blady sen.

– A później były wielbłądy. I ludzie; dziwni, żółtoskórzy, odziani w jedwabie, mówiący niezrozumiałym językiem. Po prostu zabłądzili na pustyni, desperacko szukając drogi powrotnej na szlak karawan. Ich dowódca wypatrzył prażące się w słońcu, będące u kresu życia niemowlę na wpół zatopione w rozgrzanym piachu. Jak tylko mnie podniósł od razu rozpoznał znamię. Ocalił mnie.

– Był magiem z dalekiego Khitaju, powracającym z wyprawy do Stygii. Przygarnął mnie i zabrał ze sobą do Paikangu, jego rodzinnego królestwa, gdzie ogniście czerwone kopuły wielkich świątyń, niczym ogromne wyspy, wyrastają ponad ocean mrocznej płataniny bambusowej dżungli przeplatanej winoroślą. Tam dorastałam. Tam pobierałam od niego nauki. Tam stałam się kobietą. Choć czas nie obszedł się łagodnie z moim mistrzem, to w żaden sposób nie pozbawił go czarnoksięskich mocy, pozwalając na długie i owocne zgłębianie wiedzy tajemnej. Nawet nie wiesz, ile mnie nauczył...

Salome przerwała, zagadkowo się uśmiechając, a jej piękne ciemne oczy tajemniczo zalśniły. Po chwili jednak podjęła swoją opowieść.

– W końcu jednak wypędził mnie, twierdząc, że pomimo wielu lat jego nauk ciągle jestem tylko zwykłą wiedźmą, nikim więcej, czyli nie jestem godna, ba, nie jestem zdolna do okiełznania potężnej magii, której mógłby mnie nauczyć. Mówił też, że pewnie uczyniłby mnie królową całego świata, by za moim pośrednictwem rządzić ludzkością, gdybym nie była tylko diabelską – jak mawiał – dziwką. Pies go trącał! I tak pewnie nie mogłabym ścierpieć samotności w jakiejś złotej wieży, wpatrywania się godzinami w kryształową kulę i mamrotania w kółko zaklęć wykaligrafowanych krwią

dziewic na węzowych skórach, nie mówiąc już o ślęczeniu nad omszałymi manuskryptami spisanyymi w dawno zapomnianych językach. Mój mistrz kiedyś nazwał mnie słabym cieniem prawdziwego maga, niezdolnym do zgłębienia wiecznej otchłani kosmicznej magii. Niech mu będzie! Wszystko, czego pragnę i pożądam jest na tym świecie: władza, przepych, blichtr; piękni muskularni mężczyźni na mych kochanków i delikatne, łagodne kobiety na me niewolnice...

– A wracając do tematu: mistrz pewnego dnia wyjawiał mi, kim tak naprawdę jestem, skąd pochodzę i czym jest znamię na mej piersi, a co najważniejsze – co należy do mojego dziedzictwa. Zatem, ukochana siostrzyczko, wróciłam, by upomnieć się o swoje, do którego mam takie samo prawo, jak ty.

– Co to za brednie? – Taramis poderwała się wściekła i przerażona, a na dodatek ugodzona do żywego. – Myślisz, że jak uspiłaś moją służbę jakimś narkotykiem i namieszałaś w głowach kilku gwardzistom, to dowiodłaś swoich praw do korony Khauranu? Nie zapominaj, że to ja jestem królową! Jesteś moją siostrą, więc otrzymasz wszelkie płynące z tego gratyfikacje i honory, ale...

Salome zaśmiała się nienawistnie.

– Ukochana siostrzyczko, jesteś wręcz niewyobrażalnie hojna! Ale zanim wskażesz mi moje miejsce w szeregu, zechciej wielkodusznie wyjaśnić, co to za armia stacjonuje na równinie za murami miasta?

– To shemiccy najemnicy pod przywództwem Konstancjusza, kothyjskiego wojewody, dowodzącego Wolną Kompanią.

– A cóż to za sprawy przywiodły ich do Khauranu? – z tajemniczym uśmiechem dopytywała się Salome.

Taramis od razu wyczuła w głosie siostry wyraźną drwinę, ale od urodzenia była królową, więc odpowiedziała z całą godnością królewskiego majestatu.

– Konstancjusz poprosił mnie o pozwolenie na przemarsz armii w drodze do Tauranu. Ręczy za swoich ludzi, a gdyby jednak doszło do jakiś nieporozumień, osobiście poniesie wszelkie konsekwencje, nawet te najbardziej dotkliwe. Dlatego siedzi odizolowany i dobrze strzeżony w jednej z pałacowych wież.

– Zdaje się – Salome coraz bardziej naciskała – że on dzisiaj poprosił cię o rękę?

Taramis obrzuciła ją pochmurnym, bardzo niemiłym spojrzeniem.

– Skąd o tym wiesz?

Salome nie odpowiedziała, wzruszyła jedynie nagimi, smukłymi ramionami i rzuciła siostrze kolejne pytanie.

– I co, siostrzyczko, odmówiłaś?

– Na Isztar, oczywiście, że odmówiłam! – wykrzyknęła Taramis ze złością. – Czy ty, jako księżniczka, którą przecież bez wątpienia jesteś, krew z krwi naszych przodków, możesz podejrzewać, że królowa Khauranu przyjąłaby takie oświadczenia? Miałabym poślubić tego przybłędę, którego ręce, aż po łokcie, unurzane są we krwi kobiet, starców i dzieci; tego łachmytę, którego skazano na wieczną banicję z ojczystego kraju za popełnione tam zbrodnie; tego żalostnego niby wodza obdartej zgrai złodziei, gwałcicieli i płatnych morderców? Nigdy nie powinnam pozwolić na przemarsz przez moje ziemie tej jego armii czarnobrodych siepaczy. Trzymam go jednak w garści, bo siedzi teraz zamknięty w południowej wieży i jest pilnowany przez moich gwardzistów. Jutro wydam mu rozkaz, aby jego armia opuściła jak najszybciej granice królestwa, a on sam będzie siedział w celi, póki mojemu życzeniu nie stanie się zadość. Postawiłam gwardzistów w stan najwyższej gotowości, tak zatem nieustannie pilnują murów miasta, a gdyby któremukolwiek z mieszkańców spadł choćby jeden włos z głowy, Konstancjusz wie, że wtedy osobiście za to zapłaci. Niewykluczone, że własną głową.

– Czyli, jak rozumiem, twój niedoszły małżonek, siedzi w południowej wieży? – indagowała dalej Salome.

– Przecież to właśnie powiedziałam. Czemu o to pytasz?

Zamiast odpowiedzieć, Salome klasnęła w dłonie i zawołała głosem, w którym brzmiała okrutna radość:

– Królowa udziela ci audiencji, Sokole!

W tej chwili otworzyły się ozdobione złotymi arabeskami drzwi i do królewskiej sypialni wkroczył wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, na widok którego Taramis wydała okrzyk zdumienia i złości.

– Konstancjusz! I ty masz czelność wejść do mojej sypialni?!

– Jak widzisz, Wasza Wysokość! – mężczyzna schylił głowę w szydycznej parodii ukłonu.

Konstancjusz, zwany przez swoich ludzi Sokołem, był osobnikiem roslym, muskularnym, o wielkich barach, ale i wąskiej talii, który słynął ze swojej siły i niezwykłej gibkości; przypominał kutą stal. I był przystojny, bardzo przystojny, na swój brutalny sposób. Twarz miał spaloną słońcem –

jej dopełnieniem były kruczoczarne włosy, które często odgarniał z wysokiego czoła aż na tył głowy – a oczy ruchliwe, czujne i pociągające głębią koloru. Szczególnie uwagę zwracały wąskie usta z wymalowanym wyrazem czystego okrucieństwa, a którego to wyrazu nie łagodził cieniutki wąsik. Miał na sobie ciemny jedwabny kaftan i nogawice oraz buty z najlepszej skóry. Cały jego strój nosił wyraźne ślady obozowego życia, a w wielu miejscach kaftana widniały rdzawe plamy, widomy znak częstego noszenia pancerza.

Podkręcając węża Konstancjusz omiótł wystraszoną, wtuloną w kąt łóżka dziewczynę, lubieżnym spojrzeniem, a zrobił to z tak ostentacyjną bezczelnością, że nie nawykła do takiego traktowania królowa, aż zadrżała.

– Uff, na Isztar, Taramis – powiedział zaskakująco łagodnie. – W tej tunice wyglądasz znacznie bardziej podniecająco, niż w królewskich szatach. Niech mnie, ta noc zapowiada się naprawdę interesująco!

W ciemnych oczach królowej pojawiło się prawdziwe przerażenie, od razu bowiem zdała sobie sprawę, że Konstancjusz nigdy nie odważyłby się na taką bezczelność, gdyby nie był pewien swego.

– Głupcze! – wykrzyknęła. – Teraz, w tej komnacie, możesz ze mną zrobić, co tylko zechcesz, ale jeśli mnie dotkniesz choćby palcem to wiedz, że kiedy już cię dorwą moi gwardziści, najpierw obedną cię żywcem ze skóry, a potem gołymi rękami rozedną na strzępy. Jeśli pragniesz takiego końca, śmiało, bierz się do dzieła!

Konstancjusz zaśmiał się szyderczo, Salome mu zawtórowała, by po chwili z niecierpliwością skinąć dłonią.

– Dobrze, dosyć już tej gry wstępnej paro zakochanych, przejdźmy do konkretów. Posłuchaj mnie uważnie, ukochana siostrzyczko! Konstancjusz ze swoją armią pod murami twojego pałacu, to mój genialny pomysł. Gdy postanowiłam odebrać ci tron i królestwo, zaczęłam szukać prawdziwego mężczyzny, takiego, który mi w tym pomoże. I znalazłam Sokoła, kandydata idealnego, bo, powiem ci szczerze, on nie ma ani jednej dobrej cechy. Jednym słowem to sukinsyn, jakich mało.

– Salome, pani moja, jesteś nazbyt łaskawa w pochlebstwach dla mnie – Konstancjusz mruknął ironicznie, pochylając głowę w przesadnie głębokim, karykaturalnym ukłonie.

– Kazałam mu wyruszyć do Khauranu. Kiedy jego armia wreszcie rozbiła obóz poza murami miasta na równinie, a jego samego zamknęłaś w południowej wieży, przemknęłam się przez zachodnią bramę; pilnujący

jej tępotłowi wartownicy myśleli, że to ty pewnie wracasz do pałacu z jakieś nocnej schadzki.

– Ty dziwko! – Taramis wybuchła wściekłością, mając gdzieś królewską etykietę.

Salome uśmiechnęła się paskudnie i opowiadała dalej.

– Jasne, że gwardziści byli zaskoczeni, ale wpuścili mnie bez zadawania zbędnych pytań, w końcu nie dyskutuje się z żyjącą boginią. W ten sam sposób weszłam do pałacu, a mocno zdziwionym strażnikom kazałam odejść, zresztą to samo zrobiłam chwilę potem ze strażą pilnującą Konstancjusza. Później przyszedłam tutaj, po drodze poświęcając odrobinę uwagi twojej licznej służbie.

Taramis pobladła, zacisnęła dłonie w pięści i drżącym z gniewu głosem zapytała:

– Co było dalej?

– Cii..., posłuchaj – Salome, odrzucając głowę, wskazała okno. Zza jego grubych szyb dochodził ledwie słyszalny odgłos miarowo maszerującej armii, pogrążających panczerzy i broni wszelkiej maści. Stłumione szorstkie głosy wydawały krótkie, gardłowe rozkazy w obcym języku, mieszając się z nielicznymi, ale coraz natarczywiej brzmiącymi nawoływaniem do alarmu. Po chwili do tej kanonady dźwięków doszedł jeszcze jeden: coraz częstsze głosy pełne trwogi i strachu.

– O, proszę, zdaje się, że mieszkańcy wstali ze swoich łóżek, a poranek zaserwował im na śniadanie strach oraz trwogę – zauważył sardonicznie Konstancjusz. – Salome, chyba będzie lepiej, jak wyjdiesz do swoich poddanych i trochę ich uspokoisz, bo któryś jeszcze zejdzie na zawał.

– Mój drogi, od teraz mów do mnie „Taramis” – odparła Salome. – Musimy się do tego przyzwyczać.

– Na Isztar! – wykrzyknęła królowa. – Coście zrobili?!

– Przepraszam siostrzyczko, ale w natłoku emocji chyba zapomniałam ci powiedzieć, że kazałam gwardzistom otworzyć wszystkie bramy. Najwidoczniej oni bardzo lubią się dziwić, bo, oczywiście, byli zdziwieni, i, oczywiście jak zawsze, posłuchali rozkazu swojej władczyni. Te hałasy za oknem to wkraczająca do miasta armia Sokoła.

– Ty... ty... pieprzona diablico! – wrzasnęła Taramis. – Wykorzystując podobieństwo do mnie oszukałaś moich poddanych! Wszyscy będą przekonani, że jestem odrażającą zdrajczynią! Muszę do nich wyjść i powiedzieć...

Z uśmiechem czystego okrucieństwa na ustach Salome brutalnie schwyciła ją za ręce i szarpnęła w tył. Taramis, choć młoda i zwinna, była bezradna wobec karmionej nienawiścią siły swej siostry; zdawało się, że delikatne ciało bliźniaczki wykuto ze stali.

– Konstancjuszu, wiesz może jak dostać się z pałacu do lochów? – spytała wiedźma, a gdy zobaczyła potakujące skinienie głowy Sokoła, mówiła dalej. – Bardzo dobrze. W takim razie bierz moją siostrę pod pachę i wrzuć ją do najgłębszego lochu. Gwardziści są odurzeni narkotykiem, co, nie chwaląc się, jest moją zasługą, zatem, jeśli łaska, poderznij im gardła zanim się ockną. Nie chcemy przecież, żeby ktokolwiek postronny dowiedział się o wydarzeniach dzisiejszej nocy. Od tej chwili to ja jestem Taramis, a moja ukochana bliźniaczka ma się stać bezimiennym więźniem, o którym nikt, nawet bogowie, nie będą pamiętać.

Na twarzy Konstancjusza zakwitł okrutny uśmiech, a pod wypielegnowanym wąsem błysnął rząd białych zębów.

– Wszystko poszło zgodnie z planem, więc w nagrodę nie odmówisz mi chyba, hm... odrobiny rozkoszy nim cisnę mą niedoszłą małżonkę do lochu?

– Jakżeż bym śmiała, mój drogi! Idź i wytresuj sobie tę sukę! – Salome pchnęła Taramis prosto w objęcia Sokoła i z triumfalnym uśmiechem na ustach wyszła z królewskiej sypialni.

W pięknych oczach byłej już królowej zagościł czysty, pierwotny strach, gdy wpadła w ramiona swego oprawcy i w nich zamarła. W tej chwili niepojętej dla niej grozy zapomniała o wszystkim: o maszerującej ulicami miasta wrogiej armii, o całym swym dostojeństwie i majestacie... Zapomniała o całym świecie, a myślała tylko o czekającym ją okrutnym gwałcie. W rozpalonych pożądaniem oczach Konstancjusza próżno było szukać jakichkolwiek ludzkich uczuć. Pozostał jej tylko wstyd i przerażenie, gdy mocarne ramiona Sokoła zaczęły miażdżyć to delikatne i opierające się ciało.

Idąc przez długi korytarz Salome uśmiechnęła się jadowicie niczym nażarta pustynna kobra, rozkoszując się przeciągłym, pełnym przerażenia krzykiem rozpacz, od którego zadrżały pałacowe ściany.

ROZDZIAŁ DRUGI

DRZEWO ŚMIERCI

Spodnie i koszula młodego wojownika były splamione zaschniętą krwią, mokre od potu i pokryte kurzem. Z głębokiej rany na udzie oraz cięć na piersiach i ramionach sączyła się krew. Krople potu lśniły na jego wykrzywionej grymasem wściekłości twarzy, a palce kurczowo ścisnęły kapę przykrywającą łożo. Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo ów młodzieniec cierpiał fizycznie, ale wypowiedane przez niego słowa wyrażały znacznie więcej bólu.

– Ona musiała oszaleć! – powtarzał w kółko, jak ktoś kogo świat właśnie został zmiażdżony przez okropne i niewiarygodne wydarzenie. – To jakiś koszmar! Taramis, uwielbiana przez lud Khauranu, sprzedała nas jak wyliniałego wielbłąda temu skurwysynowi z Koth! Och, na Isztar, dlaczego nie poległem! Lepiej już dać się zatłuc w boju niż żyć i patrzeć, jak nasza królowa stała się zdrajczynią i zwykłą kurwą!

– Waleriuszu, leż, proszę, spokojnie – błagała dziewczyna obmywająca i bandażująca drżącymi dłońmi jego rany. – Och, kochany, leż spokojnie! Jak się będziesz tak rzucał tylko pogorszysz swój stan, a nie odważyłam się posłać po felczera.

– Nie rób tego! – jęknął ranny młodzieniec. – Siepacze Konstancjusza będą przeszukiwać dom po domu, polując na rannych gwardzistów. Wywloką i zakatują każdego, kto z nimi walczył. Och, Taramis, jak mogłaś tak po prostu zdradzić lud, który cię ubóstwiał!

Waleriusz rzucał się na łożku, zawodząc z wściekłości i bezradności, aż przerażona dziewczyna wzięła go w ramiona, przytulając rozpaloną głowę ukochanego do własnej piersi, błagając ze wszystkich sił, by nieco ochłonął.

– Lepsza już śmierć niż poniżenie, jakie stało się dzisiejszego poranka udziałem Khauran – wystękał Waleriusz. – Tyś też to widziała, Igvo?

– Nie, ukochany – jej alabastrowe, czułe dłonie wróciły do opatrywania i zszywania licznych, krwawiących ran. – Ze snu wyrwał mnie jazgot walk na ulicach. Ostrożnie wyjrzałam przez okno i zobaczyłam rzeź urządzaną mieszkańcom przez te shemickie demony. Chwilę potem pośród okrzyków

agonii i masakry, nie wiem jakim zrzędzeniem losu, usłyszałam, jak mnie wzywasz od strony tylnych drzwi.

– Dorwali mnie – wymamrotał ranny. – Padłem w zaułku tuż obok twojego domu i nie miałem siły, by wstać. Wiedziałem, że jeśli tam zostanę to szybko mnie dopadną. Zabiłem trzech tych czarnobrodych popaprańców. Na Isztar, przynajmniej ci już nigdy nie splugawią swymi buciorami ulic mego miasta! Właśnie teraz piekielne demony wyżerają im ociekające krwią serca!

Igva obawiając się, że dalsze uniesienia mogą gwałtownie pogorszyć stan zdrowia ukochanego zamknęła mu usta gorącym, pełnym miłości pocałunkiem. Jednak rozogniona dusza nie pozwoliła mu leżeć spokojnie.

– Nie byłem na murach, gdy shemickie hordy wtargnęły do miasta – wybuchnął wściekłością. – Spałem w koszarach, razem z innymi, którzy dzisiaj nie pełnili służby, gdy tuż przed wschodem słońca wparował do naszej sali kapitan z pobladłą twarzą, w pełnej zbroi i uzbrojony po zęby. „Shemici w mieście!” – krzyknął, a zaraz potem opowiedział o ostatnich wydarzeniach. – „Królowa osobiście przyszła pod południową bramę i rozkazała, by ich wpuścić. Gwardzistom na murach, postawionym w stan gotowości, od czasu kiedy przybył tu Konstancjusz, zakomenderowała opuszczenie posterunków. Nie rozumiem tego, nie pojmuję, to mnie przerasta, ale polecenie władczyni, jak zawsze, wykonaliśmy bez szemrania. A teraz mamy wyraźny rozkaz, by jak najszybciej zgromadzić się na placu przed pałacem. Broń zostawiamy tutaj. Przed koszarami formujemy kolumny i maszerujemy wprost do pałacu. Tylko jedna Isztar wie, o co tu chodzi, ale taki jest bezpośredni rozkaz naszej królowej”.

– Gdy dotarliśmy do wyznaczonego rozkazem miejsca, Shemici już na nas czekali, sformowani w czworoboki: prawie dziesięć tysięcy ciężkozbrojnych, czarnobrodych morderców. Ze wszystkich pobliskich okien i drzwi spoglądały ludzkie twarze. Ulice wiodące na plac wypełniał szczelnie nic nierozumiejący tłum gapiów. Taramis stała na schodach pałacu sama, towarzyszył jej tylko Konstancjusz, podkrecając węża jak wielki chudy kocur, któremu właśnie udało się zeżreć tłustego wróbla. U stóp schodów stało pięćdziesięciu shemickich łuczników ze strzałami na cięciwach, chyba nie muszę ci mówić, że powinni tam dumnie prężyć napierśniki gwardziści królowej... Ale oni byli stłoczeni na placu razem z nami i równie jak my zdeorientowani. Jednak w przeciwieństwie do nas przyszli uzbrojeni, najwyraźniej lekceważąc rozkaz Taramis.

– Wtedy przemówiła do nas królowa. Powiedziała, że ponownie rozważyła oświadczyzny Konstancjusza. Zachodziliśmy w głowę, po jasną cholere, skoro wczoraj wieczorem wyrzuciła tego kretyna z sali tronowej na zbity pysk i to przy całym dworze. Następnie oświadczyła, że jej pragnieniem jest uczynienie z niego królewskiego małżonka. Słowem nie wspomniała, dlaczego w tak zdradziecki sposób wpuściła jego armię do miasta. A potem oniemieliśmy. Usłyszeliśmy z jej ust, że skoro Konstancjusz ma na rozkazy najemników, to armia Khauranu przestaje być potrzebna i niniejszym zostanie rozwiązana, dlatego wszyscy mamy złożyć broń i spokojnie rozejść się do domów.

– Od dziecka wpajano nam bezwzględne posłuszeństwo wszelkim rozkazom królowej, ale w tej sytuacji stanęliśmy jak wryci; po prostu odebrało nam mowę. Zapanował wśród nas rozgardiasz, złamaliśmy szyki, byliśmy jak dzieci we mgle, mówiąc krótko nie mieliśmy pojęcia, co robić.

– Ten sam rozkaz Taramis wydała swojej gwardii przybocznej, ale wtedy, zupełnie niespodziewanie przed szereg wyszedł jej kapitan, Conan. Ludzie powiadali, że wczoraj spił się jak bela, powiem ci jednak, iż na pijanego, albo chociaż skacowanego nie wyglądał. Krzyknął do gwardzistów pod jego komendą, żeby nawet nie drgnęli, chyba że wyda taki rozkaz. On ma wśród ludzi niezwykły posłuch, jak było widać, większy niż sama królowa, bo ani jeden z nich się nie ruszył.

– Pewnym krokiem podszedł do schodów, stanął przed szeregiem shemickich łuczników. Przenikliwie i spokojnie przyjrzał się naszej królowej. A po chwili krzyknął: „To nie Taramis! To nie jest królowa! To jakiś pieprzony demon w przebraniu!”. I tak rozpętało się piekło. Sam nie wiem, jak to wszystko się zaczęło. Myślę, że któryś z łuczników zaatakował Conana, ten go zabił, potem cisnął martwym ciałem w Shemitów. W mgnieniu oka plac zamienił się w pole bitwy. Armia Konstancjusza wściekle zaatakowała gwardzistów. Ich strzały i włócznie siały prawdziwe spustoszenie także wśród nieuzbrojonych khaurańskich wojowników. Niektórzy z nas chwycili, co popadło, by zacząć się bronić i przejść do kontruderzenia. Nie powiem, żebyśmy wiedzieli, po co walczymy, ale na pewno nie przeciwko Taramis! Chcieliśmy śmierci Konstancjusza i jego demonów. Nie jesteśmy zdrajcami, przysięgam! – Waleriusz rzucił się niespokojnie na łożu, a jego głos drżał od desperacji.

Igva przytuliła mocniej ukochanego i szepnęła mu coś współczująco, nie dlatego, że rozumiała sens zaskłyszanej opowieści, ale na widok jego

cierpienia.

– Mieszkańcy miasta nie wiedzieli, po czyjej stronie – kontynuował Waleriusz. – Motłoch zgromadzony na placu ciskał się we wszystkie strony bez ładu i składu. Zapanował totalny chaos, to było jak pożar w domu dla obłąkanych. My, walczący, nie mieliśmy oczywiście żadnych szans na zwycięstwo. Bez zbroi, uzbrojeni w kije, kamienie, pręty i tym podobne barachło byliśmy jak bezbronne mrówki na drodze rozpedzonych słońi.

– Gwardziści walczyli o wiele skuteczniej. Uzbrojeni po zęby, w pełnym rynsztunku natychmiast sformowali czworobok. Było ich jednak tylko pięciuset. Zanim ich wyrznięto do nogi, pozostawili za sobą godny zapamiętania stos trupów. Nie miało to znaczenia. Ta walka mogła mieć tylko jedno zakończenie.

– Tymczasem Taramis, gdy wyrzynano jej armię, stała sobie jak gdyby nigdy nic na schodach w objęciach Konstancjusza i zaśmiewała się do rozpuku niczym piękny, ale bezlitosny i pozbawiony wszelkich uczuć demon. Och, na Isztar, to wszystko to jakieś szaleństwo... szaleństwo! Powiem ci, że nigdy nie widziałem mężczyzny, który walczyłby jak Conan. Wsparł się plecami o pałacowy mur i siał wokół siebie zniszczenie oraz terror. W końcu go dopadli, on był sam, Shemitów ponad setka, ale do tego czasu narzynał tyle trupów, że brodził w ich parujących, skrwawionych wnętrznościach aż po uda. Gdy zobaczyłem, jak upada, poczułem, że to koniec, ległem półprzytomny na bruku. Usłyszałem jeszcze tylko, jak Konstancjusz wydaje rozkaz, by go nie zabijali, bo chce kapitana królewskiej gwardii żywego, a mówiąc to, cały czas podkręcał wąsa z tym podłym uśmiechem na ustach.

I znowu ten podły uśmiech wykrzywiał twarz Konstancjusza...

Siedział na koniu, otoczony przez swych zakutych w stal ludzi – muskularnych, czarnobrodych wojowników o haczykowatych nosach. Promienie zachodzącego słońca tańczyły na spiczastych hełmach i posrebrzanych łuskach napierśników. W odległości niecałej mili, spośród falującego oceanu bujnych łąk, strzelały w niebo smukłe wieże i masywne mury obronne Khauranu.

Tuż przy kupieckim trakcie, wiecznej ścieżce podążających nią karawan, osadzony został masywny krzyż, na nim zaś wisił człowiek przybity do drewna za dłonie i stopy żelaznymi ćwiekami. Miał wokół bioder zawiązaną wąską przepaskę, prócz tego był nagi. I wielki. Posturą przypominał raczej giganta; niewyobrażalnie wielkie węzły mięśni pęczniały niczym ogromne węże pod spaloną słońcem skórą. Na całym ciele perlił się lepki, wolno spływający pot, krew leniwą strużką ściekała z przebitych dłoni i stóp, ale spod czarnej, zmierzwionej gęstwy włosów kąsały wszystko wokół rozpalone żądzą mordy zimne, błękitne oczy.

Konstancjusz skłonił się w parodii królewskiego ukłonu.

– Musisz mi wybaczyć, kapitanie – rzekł drwiąco – że nie dotrzymam ci towarzystwa w ostatniej godzinie twojego nędznego żywota, ale w mieście czekają na mnie ważne obowiązki; przecież nie mogę kazać na siebie czekać naszej ponętnej królowej. – Zaśmiał się krótko, po czym wskazał palcem na niebo, gdzie wielkie, czarne skrzydlate cienie niestrudzenie zataczały szerokie kręgi. – Zostawię cię więc samego, byś mógł roztrząsać własną głupotę, wszakże mam nadzieję, że ci latający miłośnicy ludzkiej padliny chętnie wpadną do ciebie w odwiedziny. Wiesz, gdyby nie one, skłonny byłbym uwierzyć, że taka wielka tępą górą barbarzyńskich mięśni przeżyje na krzyżu wiele radosnych dni i nocy. Oczywiście, nie łudź się nadzieją na ratunek, skoro nie pozostawiam przy tobie żadnego z mych ludzi. Dałem jasno do zrozumienia mieszkańcom Khauranu, że jeśli komuś strzeli do łba pomysł o zdjęciu cię żywego lub martwego z krzyża, to takiego skurwysyna oskóruję żywcem razem z jego całą rodziną na głównym placu. Jestem osobą o tak łagodnym charakterze i wielkim posłuchu, iż mój rozkaz ma większą siłę rażenia niż regiment ciężkozbrojnych gwardzistów. A poza tym będziesz sobie wisił tutaj sam, bo nie chcę obecnością strażników odstraszyć sępów, dlatego też kazałem osadzić krzyż tak daleko od murów miasta, bo te latające ścierwojady za cholere nie chcą się zbliżać do ludzkich siedlisk. Cóż, dzielny kapitanie Conanie, trzymaj się ciepło i dbaj o zdrowie! Pomyślę słodko o tobie, gdy za jakąś godzinkę będę akuratnie chędożył Taramis.

Krew na nowo trysnęła z przebitych dłoni skazańca. Wielkie jak bochny chleba pięści, przypominające wyglądem wielkie młoty bojowe, zacisnęły się na łbach ćwieków, napęczniałe z wysiłku węzły mięśni zapracowały pod skórą na potężnych ramionach, a Conan wysunawszy głowę do przodu splunął w twarz Konstancjusza. Na wodzu shemickiej armii nie zrobiło to

jednak żadnego wrażenia; tylko roześmiał się zimno, otarł plwocinę z napierśnika i zawrócił konia.

– Pomyśl o mnie, gdy sępy dobiorą ci się do dupy! – rzucił szyderczo przez ramię. – One słyną z niepohamowanego apetytu. Raz widziałem jak człowiek wisiał godzinami na krzyżu; z wyżartymi oczami, obdziobanymi uszami, niemalże oskalpowany, nim ostre dzioby dobrały się do flaków nieszczęśnika.

Nie oglądając się już więcej za siebie Konstancjusz spał konia i pocwałował w stronę miasta – szczipły, sztywno siedzący w siodle, w jaśniejącej w promieniach zachodzącego słońca wypolerowanej zbroi, eskortowany przez niewielki oddział krępych, brodatych wojowników, otulony niewielkim tumanem wzniesionego przez ludzi kurzu.

Świat wokół miejsca kaźni zamarł, jakby wziął głęboki wdech i wstrzymał powietrze. Okolica wokół mężczyzny przybitego do krzyża sprawiała wrażenie wymarłej – jak okiem sięgnąć nie było widać żadnej innej żywej istoty. Słońce powoli chowało się za linią horyzontu, a dla skazańca, oddalony przecież o niecałą milę Khauran, równie dobrze mógłby znajdować się na odległej planecie lub istnieć w innej epoce.

Conan gwałtownym szarpnięciem strząsnął z czoła wielkie krople potu i powiódł otepiałym wzrokiem po dobrze sobie znanym krajobrazie. Po obu stronach miasta, i daleko za nim, rozciągały się żyzne, żywozielone łąki, a w oddali, gdzie rozłożyła się szachownica pól i winnic, spokojnie pasło się bydło. Na widnokręgu, po zachodniej i północnej jego stronie widniały liczne wioski – z tej odległości małe i ledwie widoczne. Nieco bliżej, na południowym wschodzie, srebrzysty poblask wskazywał koryto rzeki, za którą, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zaczynała się wielka pustynia, ciągnąca się aż po horyzont, i dalej, znacznie dalej, jakby w nieskończoność.

Conan spoglądał na te otwarte przestrzenie, skąpane w miedzianych kolorach kończącego codzienną wędrówkę słońca tak, jak schwytyany w zabójcze sidła jastrzęb wpatruje się w otwarty bezmiar nieba. Ogorzałe ciało barbarzyńcy lśniło w ostatnich rozbłyskach zachodzącego słońca. Gdy spojrzął na połyskujące wieże Khauranu, jego umięśnionym ciałem wstrząsnął dreszcz. To miasto go zdradziło, wplątało w polityczne intrygi i sprawiło, że wisiał teraz na drewnianym krzyżu, jak zając przyszpilony włócznią do drzewa.

W tej chwili myślał tylko o krwawej zemście, płonąć chęcią brutalnego zarżnięcia winnych jego katorgi. Z jego ust raz za razem spływał potok, rzeka cała, najgorszych i najohydniejszych przekleństw. Cały jego świat skurczył się, zwinął i zamknął w czterech żelaznych hufnalach oddzielających go od życia i wolności. Naprężył z całych sił wielkie mięśnie, mięśnie zagrały pod skórą, napięły się niczym ścięgna tytana; pot rześcicie rosił poszarzałą skórę Cymmeryjczyka, gdy ten chciał, używając ramion jako dźwigni, wyciągnąć z drewna długie gwoździe. Na próżno – oprawcy znali się na swojej robocie i wbili je bardzo głęboko. Wtedy spróbował zedrzeć z nich dłonie. Jednak nie piekielny, niepojęty dla zwykłego człowieka, ból sprawił, że poniechał dalszych prób, tylko bezcelowość takich działań. Głowy hufnali były grube i szerokie, po prostu nie mógł przeciągnąć ich przez rany.

I tak, po raz pierwszy w swym pełnym niebezpieczeństwie życia, Conan poczuł zgoła obce sobie uczucie – bezradność. Zamknął powoli oczy i zawisł nieruchomo ze spuszczoną głową.

Niespodziewany trzepot wielkich skrzydeł przywrócił go do życia: w ostatniej chwili poderwał głowę, by spostrzec pikujący ku niemu prosto z nieba pierzasty cień. Mimowolnie opuścił powieki i rzucił głowę w bok, a ostry dziób, mierzący w oczy zdołał jedynie zranić policzek. Wrzasnął potężnie, chrapliwie, z całą desperacją, na jaką było stać umęczoną krtani, a sępy natychmiast rozpierzchły się i umknęły, przerażone krzykiem jak z piekła rodem. Ale nie odleciały daleko, po chwili znów zaczęły majestatycznie zataczać wielkie kręgi nad ukrzyżowanym mężczyzną.

Krew z rozoranego policzka pociekła na usta Conana; odruchowo oblizął wargi, a gdy poczuł jej słonawy smak, splunął. Od dłuższego czasu męczyło go potworne pragnienie, wszakże ostatniej nocy spił się do nieprzytomności mocnym winem, a przed wydarzeniami na placu zdążył jedynie wychylić kubek wody. Zabijanie i walka o przetrwanie potęgują pragnienie, to katorżnicza harówka wyciskająca z człowieka siódme poty. Co chwila zerkał w stronę rzeki, jak człowiek strącony do piekła patrzyłby na orzeźwiająca wodę poprzez ruszt piekielnego pieca. Nieustannie myślał o radośnie toczących orzeźwiający płyn wartkich strumieniach, z prądem których walczył i w których się zapominał, pogrążony aż po ramiona w szmaragdowej toni. Rozpalone pragnieniem gardło tęskniło za wielkimi rogami pełnymi zimnego, pieniącego się piwa, jak i za okazałymi pucharami mocnego, musującego wina jakże beztróska opróżnianych bądź

niedbale wylewanych na podłogi niejednej z karczm. Zagryzł wargi aż do krwi, by nie zawyć z nieopisanej męczarni jak torturowane zwierzę.

Słońce opuszczało ten świat – blednąca z wolna kula tonąca w rozpalonym szkarłatem oceanie ognia. Na tle okalanego ognistą czerwienią horyzontu strzeliste wieże Khauranu odcinały się mrocznymi kształtami, równie realne jak słodycz spokojnego snu. Zerknął w niebo, a ono także mieniło się krwistymi kolorami, jakby sprawdzając, w którym odcieniu czerwieni wygląda najlepiej. Obliznął poczerwiałe wargi i tęsknie spojrzął przekrwionymi oczami na niedosięgalną rzekę – ona także zdawała się purpurowa jak krew, zaś liczne cienie podnoszące widmowe cielska na wschodzie zdawały się ciemniejsze niż najgłębsza czerń.



Wtedy jego słuch, choć przytępiony, wychwycił narastający łopot skrzydeł...

Wtedy jego słuch, choć przytępiony, wychwycił narastający łopot skrzydeł, uniósł więc głowę i popatrzył płonącym, drapieżnym spojrzeniem na kołujące nad głową mroczne cienie. Doskonale wiedział, że tym razem samym krzykiem, choćby najbardziej zajadłym, nic nie wskóra. Jeden z wielkich sępów, najodważniejszy, a może najbardziej głodny, z wolna zaczął zwęzać kręgi, zlatując niżej, i niżej... coraz niżej. Conan odchylił

głowę w tył tak daleko, jak tylko mógł. I czekał z przerażającą cierpliwością.

Skrzydłata bestia spikowała na niego z ogłuszającym łopotem wielkich skrzydeł. Ostry jak sztylet dziób uderzył mocno i precyzyjnie, ale chybił o włos raniąc drugi policzek, bo Cymmeryjczyk gwałtownie szarpnął głowę w bok. Nagle, nim ptaszysko zdążyło pojąć plan ofiary i odskoczyć, głowa mężczyzny wystrzeliła do przodu, pchana potężnymi mięśniami karku, a jego zęby z głuchym, wilczym trzaskiem wgrzyły się w giętką, długą, pozbawioną piór szyję. Sęp eksplodował paniką i histerią, kwiląc niczym bezradny pierzasty wieprzek. Walił skrzydłami gdzie popadnie, oślepiając na chwilę człowieka, a długie, mocne szpony rozorały umięśnioną pierś jak pług wgrzający się w glebę. Conan jednak zaciskał zęby z coraz większą siłą, mięśnie jego szczęk zadrżały z nieludzkiego wysiłku, aż z ohydny chrupnięciem kark sępa strzelił niczym zbyt mocno naciągnięta cięciwa łuku. Padlinożerca szamotał się przez chwilę, by w końcu targany ostatnim spazmem, zawisnąć bezwładnie. Cymmeryjczyk pozwolił opaść bestii do stóp krzyża, po czym wypluł z ust krew, strzępy skóry i pęczek piór. Inne sępy, przerażone najwidoczniej losem swego pobratymca, odleciały pospiesznie na najbliższe drzewo i przysiadły tam, wyglądając jak pierzaste czarne demony na piekielnej schadzce.

Umęczony i otepiały umysł Conana pożywił się okrutnym triumfem, nabierając z powrotem wigoru. Krew w barbarzyńskich żyłach zaczęła krążyć szybciej. Skoro mógł wciąż zabijać, to znaczy, że jeszcze żył. Każda najmniejsza odczuwalna emocja, nawet agonia, zaprzeczała jego śmierci.

– Na Mitrę! – Conan nawet nie próbował zgadnąć, czy to była halucynacja, czy jednak czyjś prawdziwy głos. – Jak żyję, czegoś takiego nie widziałem!

Otrząsnąwszy pot i krew z czoła dostrzegł w półmroku zachodzącego słońca czterech jeźdźców, spoglądających ciekawsko w górę, prosto na niego. Trzech z nich rozpoznał bez trudu – odziani na biało, szczupli, zdawało się lekko przygarbieni, mogli być tylko Zaugirami, nomadami zza rzeki. Czwarty, tak jak kompani, nosił biały, ściągnięty w pasie kaftan i spadającą na plecy chustę, trzykrotnie obwiązaną na skroniach sznurem z wielbłądziej wełny. Ten na pewno nie był Shemitą. Conan może i był umęczony kaźnią na krzyżu, a kurz wokół zamazywał szczegóły, ale sokoli wzrok pozwolił mu na dokładne przyjrzenie się mężczyźnie.

A ten był wysoki i postawny jak Cymmeryjczyk, choć o mniejszej muskulaturze. Już na pierwszy rzut oka jego sylwetka przywołała na myśl hardość stali i elastyczność fiszbinu. Krótko przystrzyżona, czarna broda skrywała mocną, wyraźnie zarysowaną szczękę, a szare, lodowato zimne oczy złowroźnie lśniące w półmroku spod starannie zawiązanego kwefu przesywały okolicę niczym ostrze miecza.

Jeździec szybko i pewną ręką osadził w miejscu niespokojnego rumaka, po czym mocno zdziwiony oznajmił:

– Niech mnie, na Mitrę, znam tego człowieka!

– Oczywiście, że tak, mój panie – jeden z Zaugirczyków przemówił z gardłowym akcentem. – To Conan z Cymmerii, kapitan królewskiej gwardii.

– Proszę, proszę, czyli Taramis robi porządki w szeregach swych niedawnych faworytów – mruknął jeździec. – Nie podejrzewałem jej o takie zdolności. Wolałbym już jakąś porządną, krwawą wojenkę, która dałaby nam, ludziom pustyni, okazję do uczciwego zarobku. A teraz, choć podeszliśmy tak blisko murów Khauranu, wpadła nam w łapy tylko ta chuda szkapina – tu spojrział na całkiem dorodnego ogiera prowadzonego na postronku przez jednego z Zaugirów. – No i tego zdychającego kundla.

Conan uniósł zakrwawioną głowę.

– Gdybym mógł zejść z tej cholernej żerdzi, sam stałbyś się zdychającym kundlem, ty zaporoski złodzieju – wycedził poczerńniętymi ustami.

– O cholera! Ta wisząca łajza mnie zna! – wykrzyknął zdumiony jeździec. – Ty, przyszpilony parszywcu, skąd wiesz kim jestem?

– W tych okolicach grasuje tylko jedna menda twojego pokroju – mruknął Conan. – Jesteś Olgierd Vladislav, przewodzący wyjętej spod prawa hordzie morderców.

– Brawo! Trafiłeś bezbłędnie. Kiedyś także dumny hetman kozaków nad rzeką o wdzięcznej nazwie Zaporoska. Powiedz mi, barbarzyńco, chciałbyś żyć?

– Tylko skończony idiota mógł zadać takie pytanie – wypalił Conan.

– Jestem twardzielem, jakich mało – rzekł spokojnie Olgierd. – A jedyną cechą, którą szanuję u mężczyzn jest odwaga i męstwo. Tak zatem zaraz osądzę, czy jesteś prawdziwym mężczyzną z jajami, czy jedynie wszawym kundlem, godnym co najwyżej tego, by tu dalej dyndać i zdechnąć.

– Jeśli zdejmujemy go z krzyża, przyuważą nas z murów – zaniepokoił się nie na żarty jeden z nomadów.

Olgierd władczo pokręcił głową.

– Zmrok gęstnieje z każdą chwilą. Chwytaj za topór, Djebalu, nie panikuj i wal w krzyż tuż przy ziemi.

– Jeśli przewróci się do przodu, to go zgniecie jak karalucha – sprzeciwił się Djebal. – Jeśli upadnie do tyłu, to siła uderzenia rozwali mu czaszkę, a i pewnie wszystkie flaki wywali przez brzuch.

– A jeśli jest godzien, by być mym towarzyszem, to przeżyje taką małą niedogodność – odparł zniecierpliwiony już Olgierd. – W innym przypadku najwidoczniej nie zasługuje, by żyć. Rąb Djebal, rąb!

Pierwsze uderzenie bojowego topora przeszło krzyż gwałtownym dreszczem, wywołując w umęczonym ciele Conana eksplozję niewysłowionego bólu. Djebal rąbał dzielnie i z zapalem, a każde uderzenie miażdżyło w kleszczach cierpienia mózg barbarzyńcy, szarpiąc do granic ludzkiej wytrzymałości każdy nerw, ścięgno i mięsień. Cymmeryjczyk zagryzł zęby, wytrzymał nawałnicę bólu i nie wydał najmniejszego dźwięku. Po kolejnym uderzeniu topór wgryzł się głęboko w drewno i krzyż zadrżał u swej podstawy, by w końcu runąć w tył. Conan odruchowo spiął swe potężne ciało w jeden sztywny węzeł twardych jak stal mięśni, a głowę z całych sił docisnął do drewna. Długa żerdź wyrznęła o ziemię z potężnym łoskotem, odbijając się od niej na ponad stopę. Siła uderzenia rozdarła na powrót ledwie co zasklepione rany Cymmeryjczyka, a iście piekielny ból na chwilę go oszołomił. Osłabiony, niemalże nieprzytomny, walczył z ogarniającą go falą ciemności. I wtedy zdał sobie sprawę, że żelazne mięśnie, niczym solidna stalowa tarcza, uchroniły jego ciało przed zdruzgotaniem i trwałymi obrażeniami. Nie wydał z siebie choćby jęku, mimo że krew strumieniem ciekła mu z nosa, a mięśnie brzucha spazmatycznie drżały, targane falą nudności.

Djebal musiał być pod wielkim wrażeniem oglądanego przedstawienia, bowiem mruknął z najwyższym uznaniem, a po chwili pochylił się nad Conanem z parą wielkich cęgów używanych do wyciągania hufnali z końskich kopyt. Bezceremonialnie uchwycił nimi główkę ćwieka wystającego z prawej dłoni skazańca, nie przejmując się, że rozdziera skórę, by dobrze ująć tkwiące głęboko w ciele żelastwo. Cęgi były jednak za małe, tak więc Zaugirczyk sapał, przeklinał, pocił się, walcząc zażarcie z upartym gwoździem, kręcąc nim we wszystkie strony. Metal rozpychał zarówno drewno, jak i ranę zionącą na dłoni Conana; krew znów pociekła po mu po palcach, wywołując kolejne fale bólu, ale ten leżał tak spokojnie,

że dla niewprawnego oka mógłby wydawać się trupem, gdyby nie spazmatyczne, głębokie oddechy, unoszące co chwila potężną klatkę piersiową.

W końcu ćwiek ustąpił, a Djebal w geście triumfu podniósł do góry ociekające krwią żelazo i cisnął je w piach tylko po to, by od razu wziąć się za następny.

Cały proces powtórzył się przy lewej dłoni, po czym Zaugirczyk sięgnął w kierunku stóp Conana. Ale Cymmeryjczyk miał już dość wątpliwych umiejętności swego wybawiciela, więc dźwignął się z trudem, wyrwał z dłoni zaskoczony mężczyzny wielkie cęgi, a jego samego silnie odepchnął w bok. Dłonie mu niemiłosiernie spuchły, były teraz dwa razy większe niż normalnie; palce przypominały zdeformowane kciuki, a ich zginanie samo w sobie sprawiało tyle bólu, że z zaciśniętych warg pociekła mu krew. Chwycił niezgrabnie oburącz cęgi i wyciągnął hufnale ze swoich stóp, ponieważ nie były one aż tak głęboko wbite jak poprzednie.

Podniósł się sztywno i stał tak na potwornie spuchniętych i zmasakrowanych stopach, zataczając się jak pijany, a zimny pot obficie spływał mu z twarzy i ciała. Zacisnął zęby, by nie wymiotować; dopadły go skurcze. Olgierd Vladislav popatrzył na niego obojętnie, by po chwili wskazać palcem skradzionego ogiera. Utykając i ledwie stawiając stopę za stopę, Conan powłókł się w stronę konia, a każdy krok był jak najgorsze tortury na samym dnie piekła – przeszywał go tak wielki ból, że na ustach dostał krwawej piany. Zmasakrowana, błędząca po omacku dłoń w końcu odnalazła łęk siodła; skrwawiona stopa jakimś łaskawym zrządzeniem losu trafiła w strzemień. Zaciskając zęby, spróbował wskoczyć na siodło, o mało przy tym nie omdlewając. W końcu się udało. Gdy Olgierd to spostrzegł, strzelił konia batem: spłoszone zwierzę stanęło dęba, a Cymmeryjczyk zachwiało się w siodle jak bezwładny wór piachu, o mało nie spadając z wierzchowca. Żeby opanować sytuację, owinął sobie wodze dookoła dłoni, przytrzymując rzemienie spuchniętymi kciukami. Musiał użyć całej siły potężnych bicepsów, co nie spodobało się rumakowi, który zadrzał dziko, bowiem wędzidło prawie wyłamało mu szczękę.

Jeden z Shemitów pytająco uniósł bukłak z wodą, ale Olgierd przecząco pokręcił głową:

– Niech poczeka, aż dojedziemy do obozu, to przecież tylko dziesięć mil. Jeśli potrafi przeżyć na pustyni, to wytrzyma jeszcze trochę bez wody.

Jeźdźcy ruszyli z kopyta galopując w kierunku rzeki, wyglądając na tle zachodzącego słońca jak duchy gnane wiatrem, a jadący między nimi Conan zataczał się w siodle niczym pijak nażłopany winem, wodząc po okolicy przekrwionymi oczami, a na jego poczerniałych wargach wolno zasychała krwawa piania.

ROZDZIAŁ TRZECI

LIST DO NEMEDII

Astreas, mędrzec znany powszechnie i podziwiany za swoją podróż na Wschód, gdzie zagnała go wieczna żądza wiedzy, napisał słynny list do przebywającego w rodzinnej Nemedii przyjaciela i filozofa Alcemidesa. Cała wiedza cywilizowanego świata Zachodu o wydarzeniach owego czasu na Wschodzie, traktowanym wówczas przez mieszkańców Zachodu bardziej mitycznie niż realnie, pochodzi z tej właśnie relacji.

Oto obszernie fragmenty tego listu:

„Nawet sobie nie wyobrażasz, mój drogi Przyjacielu, jakie warunki panują w tym małym królestwie od czasu, gdy królowa Taramis otworzyła miejskie bramy przed Konstancjuszem i jego najemniczą hordą, zbyt lekkomyślnie nazywanej armią, o czym zresztą wspominałem ci w poprzednim, naprędce kreślonym liście. Od wydarzeń tamtej nocy i poranka minęło już siedem miesięcy, podczas których, jak może się wydawać, sam władca najbardziej plugawych piekielnych czeluści usadził swój odrażający zad na tronie tego nieszczęsnego królestwa. Taramis najwidoczniej musiała doszczętnie postradać zmysły: kiedyś wielbiona za swą cnotę, łagodny charakter i poczucie sprawiedliwości, teraz skupia na sobie uwagę z powodów zgoła odmiennych. Jej życie prywatne jest jednym wielkim, niekończącym się skandalem, choć przyznać muszę, że w odniesieniu do jej osoby posługiwanie się słowem „prywatne” to, najogólniej mówiąc, zwyczajne kłamstwo, bowiem królowa nie próbuje nawet skrywać wyuzdania i rozpusty panujących na dworze – w najlepsze folguje wszystkim swoim żądzom, co rusz wydając, okryte złą sławą, biesiady, które w istocie nie są niczym innym, jak tylko zwykłymi orgiami, mogącymi zawstydić niejeden burdel. Do udziału w nich zmusza nieszczęsne damy dworu i to bez wyjątku: mężatki czy dziewice. Ona sama nie pofatygowwała się nawet, by swego kochanka, Konstancjusza, który zasiada na tronie obok niej i włada państwem jako faktyczny królewski małżonek, zaciągnąć do ołtarza. Jego przyboczni, biorąc przykład z wodza, nie odpuszczą żadnej kobiecie, która wpadła im w oko i rozpałała ich żądze. Nie muszę chyba wspominać, że pozycja czy pochodzenie takiej

nieszczęśnicy nie mają żadnego znaczenia. Jakby tego było mało, całe królestwo ugina się pod ciężarem horrendalnie wysokich podatków, a mieszkańcy, głównie mali dzierżawcy, obrabowani niemalże ze wszystkich plonów i dóbr, wegetują na skraju głodu. Nie lepiej wiedzie się kupcom, kiedyś potężnym i bogatym, bowiem poborcy podatkowi obłupili ich doszczętnie, tak zatem Khauran to chyba jedyne królestwo na świecie, gdzie wielkiego kupca zobaczysz przyodzianego w łachmany. A i tak nieszczęśnicy ci nie narzekają, bowiem przynajmniej zachowali nietkniętą na plecach skórę, a wierz mi, że nie każdy z nich miał tyle szczęścia.

Och, przeczuwam twoje niedowierzanie, miły Przyjacielu; zapewne myślisz, że wpadłem w niecne szpony hiperbolizacji, iż, mówiąc krótko, podnieciłem się bez sensu i wyolbrzymiam wszystko, wszakże w cywilizowanych królestwach Zachodu takie rzeczy są nie do pomyślenia. Pamiętać jednak musisz o zasadniczych różnicach pomiędzy Zachodem i Wschodem, a szczególnie tą częścią Wschodu. Khauran to niewielkie królestwo, będące kiedyś wschodnią rubieżą cesarstwa Koth, a cieszące się dopiero niedawno odzyskaną niepodległością po setkach lat kothyjskiej dominacji. W tej części świata przeważają takie właśnie, podobne Khauranowi, niewielkie królestwa, mające się nijak do potężnych mocarstw Zachodu czy rozległych sułtanatów Dalekiego Wschodu. Odgrywają jednak tu wiodącą rolę, nie tylko z powodu gromadzonych w nich bogactw, ale przede wszystkim z powodu sprawowanej kontroli nad licznymi szlakami handlowymi w tej części świata.

Spośród nich wszystkich Khauran jest najdalej na południowy wschód wysuniętym państwem, graniczącym z rozległymi terenami pustynnymi wschodniej części cesarstwa Shem. Nazwa królestwa jest taka sama, jak i stolicy, najbardziej znaczącego i największego miasta tego regionu, leżącego opodal rzeki, będącą naturalną granicą pomiędzy pustynią a polami uprawnymi, które chroni, niczym wieża strażnicza, liczne wsie i żywozielone łąki przed zakusami wojowniczych sąsiadów.

Ziemia tu jest żyzna tak bardzo, że daje plony trzy, czasem nawet cztery razy do roku, zaś równiny na północ i na zachód od miasta są licznie zaludnione. Ty, mieszkaniec Zachodu, przyzwyczajony do widoku rozległych farm i plantacji, uznałbyś tutejsze poletka i winnice za maleńkie, wręcz śmieszne, jednak obfite plony zbóż i owoców czynią z nich prawdziwy róg obfitości. Wieśniacy zajmują się wyłącznie pracą na roli, w większości zresztą to autochtoni – rzadko można spotkać kogoś

o mieszanej krwi. Ludzie to spokojni, niezbyt skorzy do wojaczki, rzekłbym nawet, że bezbronni, tym bardziej, iż pod karą śmierci zakazano im posiadania jakiegokolwiek broni czy pancerza. Od wieków w tej kwestii polegają na garnizonach stacjonujących w stolicy, zatem, jak się domyślasz, choć dzisiaj żyją pod okrutnym buciorem armii Konstancjusza, właściwie są bezradni. W krajach Zachodu taki zamordyzm wcześniej czy później skończyłby się wybuchem rewolty ludności wiejskiej – tutaj można o tym zapomnieć. Tak oto wieśniacy harują w pocie czoła dzień za dniem, a czarnobrodzi Shemici grasują bez ustanku po polach i winnicach z batogami w dłoniach, niczym bezlitośni poganiacze czarnoskórych niewolników wypluwających z wysiłku płuca na plantacjach południowej Zingary.

Niech ci się nie wydaje, że w stolicy sprawy przybrały lepszy obrót. W zasadzie miasto splądrowano do cna, a najpiękniejsze córki najznamienitszych rodów uprowadzono, by, robiąc za zwyczajne dziwki, zaspokajały najbardziej nawet wybujałe żądze Konstancjusza i jego najemników. Ci ludzie są bezlitośni, pewnie nawet nie znają takich pojęć, jak „współczucie”, czy „godność”. Posiadają te wszystkie najgorsze cechy, które z odrazą obserwowały nasze armie walczące z shemickimi sprzymierzeńcami Argos. Mówię tu o nieludzkim wręcz okrucieństwie, niezaspokojonej chutliwości i czystym, pierwotnym bestialstwie. Ludność miasta należy do khaurańskiej warstwy rządzącej, która wywodzi swe pochodzenie od Hyboryjczyków, dlatego nie może dziwić fakt, że ludzie to bitni, odważni, mogący poszczycić się wieloma szlachetnymi przymiotami ducha. Niestety, niecna zdrada królowej zmiażdżyła ich morale i oddała bezwolnych we władanie okupantów; Shemici to teraz jedyna realna siła zbrojna w mieście, a na khaurańczyka, przy którym znajdzie się jakąkolwiek broń, spada okrutna kara, w większości wypadków to kara śmierci poprzedzona orgią krwawych tortur. To szaleństwo zaszło tak daleko, że nie ominęło nawet młodych, zdolnych do walki mężczyzn, wyłapywanych jak bezpańskie psy i bezwzględnie tępionych. Wielu z nich sprzedano w turańskie jarzmo, a wielu po prostu zamordowano. Trzeba przyznać, że kilku tysiącom udało się uciec z miasta, zasili w ten sposób szeregi armii ościennych królestw, bądź zdecydowali się na przystąpienie do licznych, niezwykle aktywnych w ostatnim czasie zbójeckich band.

Obecnie sytuacja polityczna wygląda na skomplikowaną, pogmatwaną i nie rokującą najlepiej biednemu królestwu Khauranu. Bardzo realna stała

się groźba zbrojnej ekspedycji od strony pustyni, zamieszkiwanej od zawsze przez liczne plemiona shemickich nomadów. Najemnicy Konstancjusza w większości pochodzą z zachodnich miast leżących w granicach cesarstwa Shem, to znaczy Pelishtimu, Anakimu i Akkharimu, a przez to Zaugirowie i inne koczownicze plemiona nienawidzą ich do żywego. Jak wiesz, miły Alcemidesie, tereny tych barbarzyńców dzielą się na bardzo żyzne ziemie zachodnie, sięgające aż po ocean, i okrutną wschodnią pustynię, od wieków przemierzaną przez plemiona nomadów. O tym, że mieszkańcy miast z nomadami toczą nieustające od stuleci wojny, wspominać ci chyba nie muszę.

Zaugirowie, wszak to lud uparty jak mało który, najeżdżali Khauran wielokrotnie, nie odnosząc na tym polu spektakularnych sukcesów, a mówiąc kolokwialnie – za każdym razem dostawali ciężkiego łupnia. Kiedy jednak znienawidzeni przez nich kuzyni z zachodu, zrobili to, czego oni nie potrafili od stuleci, szlag ich trafił z miejsca, a urażona duma i ambicja nie pozwalają na spokojny sen. Plotki głoszą, że w podsycaniu tego bojowego ognia niemałe zasługi ma były kapitan gwardii królewskiej, który jakimś niewytłumaczalnym cudem uszedł cało przed nienawiścią i okrucieństwem Konstancjusza, podobno przeżywając nawet własne ukrzyżowanie. Osobnik ów zwie się Conan i jest Cymmeryjczykiem, potężnym, bezlitosnym barbarzyńcą; nasze dzielne armie nie raz, nie dwa zasmakowały dzikości i okrucieństwa tych plemion i, jak zapewne się ze mną zgodzisz, chciałyby o tym jak najszybciej zapomnieć. Inna plotka, tak powszechna, że stugębna, głosi, iż Cymmeryjczyk stał się prawą ręką Olgierda Vladislawa, podobno byłego atamana kozackiego, typa spod ciemnej gwiazdy, przybyłego z dalekich północnych stepów, samozwańczego herszta bandy Zaugirów. Co najciekawsze, choć informacje to niepotwierdzone, banda przestała już być bandą, teraz z powodu swej organizacji i liczebności awansowała do rangi niewielkiej armii, a Olgierd, zapewne mocno inspirowany przez Conana, sposobi się do szturm na miasto. Specjalistą od wojaczki nie jestem, ale nie widzę w tym żadnego sensu, wszakże Zaugirowie nie tylko że nie mają na składzie żadnych maszyn oblężniczych, to na dodatek o strategii zdobywania świetnie ufortyfikowanego miasta mają, delikatnie mówiąc, blade pojęcie, czyli, rekapitulując – jeśli zaatakują, to kupą, bez formacji, z radosnym okrzykiem na ustach, a wtedy zderzą się ze świetnie wyszkolonymi, doświadczonymi i uzbrojonymi shemickimi formacjami. To nie będzie

wielka bitwa, co najwyżej krótka i krwawa potyczka; kolejna klęska Zaugirów dopisana do długiej listy ich porażek. Inna sprawa, że mieszkańcy Khauranu przywitaliby ich jak wyzwoliciele, bo przecież nic gorszego od okupacji Konstancjusza tego ciemzonego ludu spotkać nie może. Ba!, większość wolałaby śmierć, niż dalsze cierpienia od shemickiego buciora. Ale nieszczęśnicy ci są tak bardzo bezradni i zastraszeni, że nie mogliby udzielić żadnej pomocy nikomu. Nawet swoim ewentualnym oswobodzicielom.

Najgorzej jednak wyglądają sprawy z Taramis. Królowa, w mojej ocenie, musi być opętana przez jakiegoś demona. Nie cofnie się przed niczym. Zakazała pod karą śmierci czczenia Isztar, a w pięknej świątyni poświęconej bogini odprawia heretyckie gusła, oddając cześć piekielnym istotom. Jeden z najpiękniejszych posągów Isztar, to misternie wyrzeźbione w kości słoniowej cudo, pijani siepacze Konstancjusza zwyczajnie zniszczyli toporami. Oczywistym jest, że czczony przez nas Mitra w boskim panteonie zajmuje bardziej poczesne miejsce niż Isztar, ale, o czym pamiętać musimy, bogini ta z kolei bardziej wartościowym jest bóstwem od tych piekielnych demonów wyznawanych przez Shemitów. Wyobraź sobie, że Taramis zapełniła dostojną świątynię najgorszymi z plugawych wizerunków bożków i boginek mroku w pozach tak lubieżnych, sprośnych i urągających wszelkiemu poczuciu moralności, jak to tylko możliwe: te sceny orgii, wyuzdania i zwyczajnego kurestwa mogły zrodzić się tylko w zdegenerowanym umyśle jakiegoś wariata. Tak oto mamy tu plejadę najbardziej nieczystych i odpychających bóstw Shemitów, Turańczyków, Vendian i Kihtajczyków, ale wielu z nich korzeniami swymi musi sięgać odrażającej i zamazanej przeszłości, bowiem ich zdeformowane wizerunki przetrwały do naszych czasów wyłącznie w mrocznych legendach, o których pamiętać mogą co najwyżej adepci nauk tajemnych. Nawet zgadywać nie próbuję, skąd Taramis zaczerpnęła o nich wiedzę.

Królowa przywróciła zwyczaj składania ofiar z ludzi! Od czasu, gdy związała swe losy z Konstancjuszem, ponad pięciuset młodych mężczyzn i kobiet, a nawet – o zgrozo! – dzieci, zaszlachtowano na potrzeby krwawej daniny. Niektórych, jeśli w ogóle tak można napisać, los oszczędził: królowa osobiście i szybko zarznęła ich na specjalnie przez siebie wzniesionym ołtarzu w świątyni. Pozostałych spotkał jednak los o wiele okrutniejszy.

Trudno ci będzie w to uwierzyć, ale Taramis, gdzieś do krypty pod świątynią, sprowadziła jakieś monstrum ohydne. Skąd owa bestia pochodzi, ani czym jest, nikt nie wie i zgadywać nawet nie próbuje. Wiadomym jest natomiast, że po krwawym przewrocie sprowadziła tam tuzin jeńców. Przerażeni ludzie ujrzeni ciężki, śmierdzący jak siedem nieszczęść gęsty, lepki dym, leniwie unoszący się ponad dachem sprofanowanej świątyni. Całą noc z jej wnętrza dobiegały recytowane przez nią starożytne zaklęcia i potworne jęki oraz wrzaski torturowanych ludzi. A potem, o świcie, niby ukoronowanie tego spektaklu bestialstwa i barbarzyństwa, wzniósł się ponad miastem przeraźliwy, czysto nieludzki rechot – każdemu, kto go usłyszał, mroził krew w żyłach. Wkrótce potem Taramis, słaniając się na nogach, wypęzła ze świątyni z dziwnym, iście piekielnym, triumfalnym błyskiem w oczach. Po jeńcach wszelki ślad zaginał. Tego nieludzkiego rechotu także już więcej nie słyszano. Pamiętać wszakże trzeba, że w świątyni jest pewna komnata, do której wchodzi tylko i wyłącznie królowa, gnając przed sobą spętanego jeńca, a ten przepada bez wieści. Nikt nie ma wątpliwości: to tam zamieszkuje, przywołany z najczarniejszych pomroków przez Taramis, potwór pożerający sprowadzane mu ofiary.

Nie mogę, nie potrafię o niej myśleć, jak o kobiecie śmiertelnej... Stała się trudnym do opisanie i zrozumienia monstrum; przyczajonym w swym leżu z długimi szponami pośród brei z ludzkich kości, wnętrzości i krwi. W takich chwilach, jak ta, zaczynam powątpiewać w boską sprawiedliwość, bo trudno pojąć, dlaczego bogowie zezwalają na te potworności.

Kiedy porównuję jej obecne zachowanie z tym, jakie pamiętam sprzed siedmiu miesięcy, gdy po raz pierwszy zawitałem do Khauranu, coraz częściej skłaniam się ku powszechnej wśród mieszkańców tezie, że Taramis opętał demon.

Jednak nie wszyscy podzielają ten pogląd. Otóż pewien młody wojownik imieniem Waleriusz rozgłasza, jakoby perfidna wiedźma podszyła się pod uwielbianą przez lud królową, ją samą zamykając w tajemniczym lochu. Poprzysiągł on, że za wszelką cenę odnajdzie prawowitą władczynię, jeśli ta jeszcze żyje. Nie sądzę, by mógł obietnicy dotrzymać, bowiem prawdopodobnie wpadł już w łapy Konstancjusza i jego siepaczy. Młodzian ów był mocno zaangażowany w bunt pałacowej gwardii, bowiem ponoć usiekał kilku Shemitów, potem zmylił pogoń, znalazł bezpieczną kryjówkę, a, co najważniejsze, odmówił ucieczki i opuszczenia murów miasta. Nawet się z nim spotkałem i to wtedy zwierzył mi się ze swoich podejrzeń.

Niestety, pewnego dnia wszelki ślad po nim zaginął, tak jak i po wielu innych. Boję się zgadywać, jaki spotkał go los. Prawie na pewno młodzieńca dorwali ludzie Konstancjusza.

Najwyższa pora kończyć, drogi Przyjacielu, by jeszcze tej nocy dzięki prędkim skrzydłom zakupionego gołębia pocztowego, wysłać ten list poza miasto, czyli na granicę Koth. Tutaj kurier na szybkonogim ogierze, a potem dostojna w swej powolności karawana, dostarczy przesyłkę prosto w Twoje ręce. Muszę zdążyć przed wschodem słońca, a już jest późno i gwiazdy powoli gasną na nieboskłonie rozpościerającym się ponad dachami Khauranu. Nie wyobrażasz sobie, jaka przeraźliwa cisza spowija miasto. Słyszę tylko odrażający dźwięk ofiarnego bębna, dobiegający do mych uszu z odległej świątyni. Na pewno jest tam teraz Taramis, planując z demonicznym nasieniem nowe bestialstwa”.

Astreas daleko jednak mijał się z prawdą, w ostatnich zdaniach listu wyrokując o miejscu pobytu kobiety zwanej przez niego Taramis, królową Khauranu. Stała ona bowiem nie w mrocznej komnacie w towarzystwie demona z piekła rodem, ale w lochu, oświetlona migotliwym płomieniem pochodni, który wydobywał z pięknej twarzy całe czające się tam okrucieństwo.

Przed nią, na gołej, kamiennej podłodze, kulila się postać, której nagość ledwie skrywały porwane łańchmany. Salome trąciła pogardliwe tę nędznie wyglądającą istotę finezyjne zadartym czubkiem złotego pantofelka, uśmiechając się mściwie, gdy ofiara skuliła się w obronnym geście.

– Co jest siostrzyczko, brzydzisz się moimi pieścizotami?

Pomimo siedmiu miesięcy w ciemnicy i śmierdzących łańchmanów Taramis wciąż była piękną kobietą. Nie odpowiedziała na zaczepkę bliźniaczki, pochyliła jedynie głowę tak, jak nawykły do ciągłego poniżania niewolnik.

Nie takiej reakcji oczekiwała Salome. Zagryzła z wściekłości karminowe wargi, nadeła się niczym ropucha, stojąc w półmroku odziana z istic barbarzyńskim przepychem kobiet z Shushan i w geście bezradności tupnęła obcasikiem o kamienną podłogę. W wątym świetle pochodni zalśniły klejnoty w jej pantofelkach, na szczerozłotym napierśniku i podtrzymujących go łańcuszkach. Ociekające od bogactwa bransolety na

kostkach pobrzękiwały z każdym jej krokiem, a wysadzana drogocennymi klejnotami biżuteria zwieszała się ciężko ze smukłych ramion. Ufryzowana była na modłę shemickich kobiet, a grube i złote kolczyki z jadeitowymi wstawkami rzucały połyskujące poblaski przy każdym niecierpliwym ruchu dumnie uniesionej głowy. Wysadzany soczystymi szmaragdami pasek podtrzymywał jedwabną suknię tak prześwitującą, że więcej odsłaniała niż zasłaniała, jakby nosząca ją kobieta chciała bezczelnie zadrwić z wszelkich przyjętych konwenansów. Pod niedbale przerzuconą przez ramię szkarłatną peleryną wiedźma skrywała trzymany w lewej dłoni tajemniczy tobolek.

Nagle Salome postąpiła krok do przodu i wolną ręką brutalnie złapała siostrę za rozpuszczone włosy, odchylając z całych sił jej głowę do tyłu, by mogła spojrzeć prosto w oczy swej ofierze. Taramis wytrzymała to tygrysie spojrzenie.

– Coś rzadko ostatnio płaczesz, siostrzyczko – syknęła wiedźma.

– Dość już łez – odparła Taramis. – Zbyt często rozkoszowałam się widokiem królowej Khauranu błagającej cię na kolanach o litość. Och, dobrze wiem, że żyję tylko dlatego, byś mogła się na mnie wyżywać, dlatego tortury, które mi zaserwowałam nie doprowadziły do mojej śmierci, ani mnie nie oszpeciły. Masz jednak problem; przestałam się ciebie bać. Wycisnęłam ze mnie resztki strachu, wstydu i nadziei, więc po prostu mnie zabij i skończmy z tym szaleństwem! Przez ciebie i dla zaspokojenia twojej chęci zemsty wypłakałam już wszystkie łzy, ty pieprzony demonie z piekła rodem!

– Nie pochlebiaj sobie, droga siostrzyczko – warknęła Salome. – Do tej pory dbałam, by cierpiało twoje alabastrowe ciało, w kleszczach strachu zmiażdżyłam też twą królewską dumę i pychę. Ale zapominasz o najważniejszym: w przeciwieństwie do mnie targają tobą uczucia i głęboko przeżywasz te wszystkie szlachetne emocje. Widziałam to w twoich oczach, gdy opowiadałam ci o moich gierkach ze służbą wielkiej królowej Khauranu. Ale tym razem mam coś specjalnego, namacalny dowód tych zabaw. Wiedziałaś, że Krallides, twój wierny doradca, powrócił z misji do Turanu i choć postanowił z jakiegoś powodu nie przywitać się ze mną, został w końcu pojmany?

Taramis zbladła.

– Na Isztar... co ty mu zrobiłaś?!

W odpowiedzi Salome wyciągnęła spod peleryny ów tajemniczy tobolek. Odwinęła go z jedwabi, a wtedy oczom bliźniaczki ukazała się głowa

młodego mężczyzny wykrzywiona w tak odrażającym grymasie, jakby zadano mu śmierć pośród niehumanitarnych męczarni.

Taramis jęknęła rozdzierająco, jak ktoś, komu właśnie wbito sztylet w serce.

– Och, nie! Krallides!

– We własnej osobie, a właściwie głowie. Temu głupcowi zamarzyła się rewolta w mieście i zaczął podburzać ludność przeciwko mnie rozpowiadając, jakoby Conan miał rację twierdząc, że nie jestem Taramis. Prawdziwy był z niego imbecyl, skoro marzyła mu się rewolucja brudnej, uzbrojonej w kije i kamienie garstki straceńców przeciwko armii Konstancjusza. I dostał to, na co zasłużył – jego bezgłowe ciało rozszarpują psy na dziedzińcu, a tę durną czachę cisnę w kupę gówna, by tam zgniła. I co, siostrzyczko – Salome przerwała na chwilę, jadownicie uśmiechając się do zaszokowanej ofiary – czy już odkryłaś, że masz jeszcze trochę łoż w zapasie do wylania? To świetnie! Tortury twego ducha zachowałam sobie na koniec. Możesz być pewna: od dzisiaj będziesz miewała więcej takich rozkosznych widoków.

Stojąc tak w świetle pochodni ze ściętą głową, pomimo niezwyklego piękna, Salome nie wyglądała jak istota zrodzona z kobiecego łona. Taramis nie podnosiła wzroku, leżała twarzą w dół na brudnej, wilgotnej podłodze i tłukła z bezsilności zaciśniętymi pięściami o kamienie, a jej wychudzonym ciałem wstrząsał szloch.

Obwieszona klejnotami, pobrzękując biżuterią zadowolona z siebie Salome wyszła z celi, by po chwili przejść przez ponurą, wysklepioną sień, prowadzącą do pałacowych ogrodów. Czekał tam na nią olbrzymi mężczyzna o wielkich barach i pustych zimnych oczach. Słyszając jej kroki, odwrócił się, a długa, czarna broda spływała mu na potężny, chroniony srebrną kolczugą tors.

– I co, wyła z rozpaczy? – zapytał głosem przypominającym ryk bawołu: wibrującym i basowym niczym uderzenie odległego gromu. Był to generał najemników, jeden z niewielu najbliższych ludzi Konstancjusza znających sekret losu królowej Khauranu.

– Oczywiście, że tak, Khumbanigashu. Jest jeszcze wiele strun w jej duszy, na których nie zagrałam. Gdy jeden ze zmysłów tępieje od nadmiaru tortur, biorę się za następny, wymyślając nowe, gorsze męczarnie. Łap, ty zawszawiony kundlu! – Z półmroku wychyliła się nędzna postać, zgarbiona, odziana w łachmany, niemiłosiernie brudna i o skołtunionych

włosach, podchodząc kuśtykając pokracznie do Salome, która cisnęła mu pod nogi głowę Krallidesa. – Łap, kretynie, i wrzuć to do najbliższego dołu z gównem... Na wszystkie demony, on nie słyszy. Pokaż mu na migi, co ma zrobić, Khumbanigashu.

Generał wykonał rozkaz, a żebrak, który tak jak i wielu innych, wegetował w otwartych ogrodach i pałacowych alejach, skinął głową, że zrozumiał polecenie, a po chwili wolno odszedł, powłócząc nogami.

– Po kie licho ciągniesz tę farsę? – bawoli ryk zagrział ponownie. – Masz tak silną pozycję, że żadna siła nie wysadzi cię z tronu. Nawet jeśli ta banda bezmózgich Khaurańczyków pozna prawdę, co z tego? Nic nie mogą ci zrobić. Powiedz mieszkańcom miasta, kim jesteś. Wyjaw swe prawdziwe imię, a ich ukochanej, i byłej, królowej każ odciąć głowę na głównym placu!

– Cierpliwości, mój Khumbanigashu, cierpliwości...

Ciężkie, zdobne drzwi zatrzasnęły się z łoskotem, przecinając ostry głos Salome i grzmiący dudniącym echem pośród wysklepionego korytarza bas generała.

Żebrak przykucnął w jednym z zakamarków ogrodu i nie było tam nikogo, kto mógłby spostrzec, że ręce kurczowo obejmujące obciętą głowę silnie drżą z emocji; dziwne ręce – muskularne i śniade, zupełnie nie pasujące do przygarbionego ciała i brudnych łachmanów.

– Wiedziałem! – zabrzmiał tłumiony mrokiem nocy wibrujący od emocji, rozpalony nadzieją, ledwie słyszalny szept. – Ona żyje! Och, Krallidesie, twe męczeństwo nie było daremne! Zamknęli ją w lochu! O, Isztar, jeśli naprawdę miłujesz swój lud, dopomóż nam teraz!

ROZDZIAŁ CZWARTY

WILKI PUSTYNI

Olgierd Vladislav napełnił cudnie czerwonym winem wysadzany wielkimi klejnotami złoty puchar, po czym popchnął dzban z drogocennym płynem po hebanowym stole prosto w ręce Conana. Strój Olgierda zaspokoiłby próżność każdego zaporoskiego hetmana. Miał na sobie białą, jedwabną tunikę wyszywaną na piersiach śnieżnobiałymi perłami i ściągniętą w talii wielkim, połyskującym złotymi i srebrnymi nićmi bakariockim pasem. Głowę ozdabiał mu turban z zielonego jedwabiu, owinięty na spiczastym szyszaku bogato zdobionym złotem, zaś bufiaste, oczywiście także jedwabne spodnie sięgały tuż za kolana, gdzie stykały się z robionymi na zamówienie, dopasowanymi butami z zielonej, wytłaczanej w arabskowie wzory skóry najlepszej jakości. Uzbrojony był jedynie w szeroki kindżał w pochwie z kości słoniowej, który miał zatknięty na zaporoską modłę wysoko nad lewym biodrem.

Rozwalony z wyciągniętymi nogami na wielkim, udekorowanym rzeźbionymi orłami, hebanowym krześle, wolno pociągał szkarłatny trunek z drogocennego pucharu.

Siedzący naprzeciw dawnego zaporoskiego hetmana Conan, pod względem stroju, zdawał się cieniem herszta. Miał czarne, równo przycięte włosy, ogorzałą od słońca i pooraną bliznami twarz, w której lśniły niebieskie oczy. Potężnie umięśniony tors ozdabiała czarna i znoszona kolczuga, a jedyną dającą się zauważyć ozdobą tego zgrzebnego stroju była szeroka, złota kłamra pasa, podtrzymującego wielki miecz w wysłużonej skórzanej pochwie.

Siedzieli sami w namiocie o ścianach z cienkiego jedwabiu, bogato udekorowanych pięknymi tapiseriami; podłogę wyściełały zdobyte podczas łupienia karawan puszyste dywany i aksamitne poduchy. Do namiotu dochodził nieustający, niski śpiew obozowego życia, a porywy pustynnego wiatru od czasu do czasu targały liśćmi rosnącymi w pobliżu palm.

– Dziś w cieniu, jutro w słońcu – odezwał się dziwnie filozoficznie Olgierd, nieco luzując swój drogocenny pas i sięgając po dzban z winem. – Oto piękno życia. Kiedyś byłem zaporoskim atamanem, a teraz przewodzę

hordzie nomadów. Ty, siedem miesięcy temu, dyndałeś przyszpilony do krzyża niecałą milę od murów Khauranu, a teraz jesteś prawą ręką najpotężniejszego grabieżcy pomiędzy Turanem a żyznymi polami na zachodzie. Powinieneś być mi dozgonnie wdzięcznym!

– Niby za co? – zaśmiał się Conan, wlewając do gardła zawartość okazałego pucharu. – Chyba tylko za to, że w końcu zdałeś sobie sprawę, jak bardzo mnie potrzebujesz. Kiedy pozwalasz, by człowiek piął się w hierarchii władzy, to potem czerpiesz z tego niemałe korzyści. Wszystko, co tutaj osiągnąłem, zawdzięczam własnej przelanej krwi i hektolitrom wylanego na pustyni potu – w tej chwili spojrzał na rany na dłoniach, zresztą całe jego ciało poznaczone było nowymi bliznami, których nie miał jeszcze siedem miesięcy temu.

– Fakt faktem, walczysz jak regiment wściekłych demonów – przyznał Olgierd – ale nie popadaj w samozachwyty. Te wielkie rzesze napływających do nas nowych ludzi zwabiły nie twoja siła i sława, ale wielkie łupy i zwycięskie boje odniesione dzięki mojemu sprytowi i nieprzeciętnej inteligencji. Nomadzi od wieków czekali na skutecznego wodza, by im przewodził; zresztą zawsze bardziej ufali tym przyjezdnym, niż wywodzącym się z ich własnego plemienia. Możemy teraz osiągnąć wszystko! Pod komendą mam jednaście tysięcy zbrojnych, ale za rok może być ich dwa, trzy razy więcej. W tej chwili jedynie leciuteńko macamy mieczami turańskie miasta i garnizony graniczne, ale z trzydziestoma tysiącami damy sobie spokój z podjazdami i uderzymy z całą mocą na Turan, a wtedy, nim się obejrzysz, zasiądziemy na jego tronie. Cholera, jak dobrze pójdzie, zostanę cesarzem całego Shemu, a ty, póki będziesz pamiętał, kto wydaje rozkazy w tej armii, pozostaniesz moją prawą ręką w randze wezyra. Nim jednak zostaniemy panami tego skrawka świata, uderzymy na Vezek, tę wysuniętą na wschód turańską twierdzę, bo karawany płacą tam sute myto.

Conan wolno potrząsnął głową.

– Nie wydaje mi się.

Olgierd spiorunował wzrokiem swego kompana, a w spojrzeniu tym nie było nic dobrego.

– Jak to, nie wydaje ci się!? To moja armia i ja tu jestem od myślenia oraz planowania!

– Mam już tylu ludzi, ilu potrzeba, by zrealizować mój plan – odpalił Cymmeryjczyk. – Wiesz, nudzi mi się to czekanie, a mam przecież dług do

spłacenia...

– Ach, ty znowu gędzisz o tym samym – Olgierd spojrział na olbrzyma spode łba, pociągając sążnisty łyk wina. – Ciągłe rozpamiętujesz tamten krzyż, hę? Nic tak nie napędza mężczyzny jak nienawiść, ale twoja zemsta będzie musiała poczekać.

– Jeśli nie mam sklerozy, to chyba obiecałeś mi pomoc w zdobyciu Khauranu – rzekł Conan.

– Tak, obiecałem, ale to było zanim w pełni dostrzegłem militarny potencjał naszej armii – powiedział Olgierd. – Poza tym wtedy myślałem o pomocy w złupieniu miasta, a nie w jego zdobywaniu. Nie mam zamiaru dziesiątkować moich ludzi z powodu twoich fanaberii. Khauran to jednak potężna forteca i, przynajmniej teraz, to trochę za duży dla nas orzech do zgryzienia, prawie taki kokos, jeśli pojmujesz, o czym mówię. Może za rok...

– Nie dalej niż za tydzień – przerwał mu Conan, a pewność w jego głosie zastanowiła wodza Nomadów.

– Posłuchaj mnie – zaczął tłumaczyć Olgierd. – Gdybym nawet zechciał posłać naszych ludzi do tak bezsensownego ataku, na co liczysz? Nie sądzisz chyba, że wilki pustyni będą w stanie oblegać, a potem zdobyć tak mocno ufortyfikowane miasto, jak Khauran?

– Nie będzie ani oblężenia, ani szturm na miejskie mury – Conan zaskoczył swojego wodza. – Wiem, jak wywabić Konstancjusza na równinę.

– To gratuluję z całego serca! – wykrzyknął wściekły Olgierd. – Tylko, co dalej, ja się pytam!? Ostrzelamy się nawzajem gradem strzał, ale to shemicka jazda jest ciężkozbrojna, nie nasza, więc to my zbierzemy cięgi, nie oni. A nawet, gdy jakoś przetrwamy nawałnicę strzał i sięgniemy po miecze, ich formacje w czworobokach plus wyszkolenie, doświadczenie i uzbrojenie spowodują, że przebiją się przez naszą wesołą gromadkę jak gówno przez jelita chorującego wielbłąda.

– Nie przebiją się, jeśli pośród naszych oddziałów byłoby trzy tysiące wściekłych i zdesperowanych hyboryjskich jeźdźców, których mógłbym nauczyć walki w odpowiedniej formacji bojowej – odparł spokojnie Conan.

– Niby skąd chcesz wyczarować trzytysięczny oddział hyboryjskiej jazdy? – zaśmiał się głośno Olgierd, nawet nie próbując ukryć w swoim głosie sarkazmu. – Może z powietrza?

– Znikąd, bo już ich mam – skwitował śmiech kozaka Cymmeryjczyk. – Trzy tysiące wojowników z Khauranu stacjonuje w oazie Akrel, oczekując na moje rozkazy.

– Że co!?! – Olgierd rzucił spojrzenie, którego nie powstydzilby się wściekły wilk.

– Że nic, przecież słyszałeś. To uciekinierzy spod jarzma Konstancjusza. Większość z nich to banici, wegetujący na pustyni, a pustynia uczyniła z nich wojowników zdesperowanych, zahartowanych i twardych; mówię ci, każdy to chodzący na dwóch nogach rozdrażniony tygrys ludojad, więcej wart, niż trzech najemników Konstancjusza. Obsesyjne prześladowania i ciężka, brutalna niewola utwardziły ciało i ducha, wlewając w ich mięśnie i serca prawdziwie piekielny ogień. Pałętali się po pustyni rozbici na małe bandy, jedyne, czego potrzebowali, to wodza z prawdziwego zdarzenia. Pchnąłem do nich kilku posłańców, wyłożyłem swe plany, a oni w nie uwierzyli. Teraz siedzą w oazie i czekają na moje rozkazy.

– A to wszystko bez mojej wiedzy? – w oczach Olgierda zapłonęły złowróźbne płomienie, a jego ręka powędrowała do boku, w kierunku kindżału.

– Ci ludzie mnie przysięgali posłuszeństwo, nie tobie.

– Co takiego naobiecowałeś tej hałastrze, żeby nią dowodzić? – głos kozaka przybrał bardzo złowrogi ton.

– Powiedziałem, że użyję naszej hordy wilków pustyni, by mogli razem z nami obalić Konstancjusza, a potem oddam miasto w ręce jego mieszkańców.

– Skończony kretynie! – warknął wściekle Olgierd. – Tobie się, kurwa, wydaje, że ty tu rządzisz!

Obydwaj poderwali się na równe nogi, mierząc się wzrokiem ponad hebanowym stołem. W szarych, iście demonicznych oczach Olgierda zatańczyły piekielne ogniki, a na twardych ustach Conana zagościł zimny, bardzo zimny i ponury uśmiech.

– Każę cię rozerwać na strzępy między czterema palmami! – wycedził lodowato kozak.

– Śmiało, wołaj ludzi! – drażnił go Cymmeryjczyk. – Chętnie zobaczę, jak ich do tego przekonujesz! Ciekawe, czy cię posłuchają.

Olgierd w odruchowym geście odsłonił zęby w drapieżnym grymasie, uniósł rękę i... zawahał się. Na ogorzałej od słońca twarzy Conana lśniła jakaś dziwna pewność siebie, a w jego oczach płonęła wilcza żądza mordy.

– Ty sflaczały tępaku z zachodnich wzgórz – wycedził wolno przez zaciśnięte zęby. – Czyżbyś poważyl się przejąć władzę?

– Wcale nie musiałem – odparł Conan. – Kłamałeś, mówiąc, że nie mam nic wspólnego z nowym zacięciem. Owszem, miałem, i to cholernie wiele. Wilki pustyni słuchały twoich rozkazów, ale walczyły dla mnie. W tym obozie nie ma miejsca dla dwóch wodzów, a wszyscy tutaj wiedzą, że jestem od ciebie silniejszy. I rozumiem ich lepiej niż ty, bo tak jak oni, jestem barbarzyńcą.

– A co powie ta twoja wierna armia, jak każesz jej walczyć dla Khaurańczyków? – zapytał drwiąco Olgierd.

– Nic nie powie i wykona moje rozkazy. Obiecałem chłopcom naprawdę długą karawanę wielbłądów objuczonych złotem z królewskiego skarbcza. Za pozbycie się tego skurwysyna Konstancjusza, Khauran chętnie zapłaci. A potem poprowadzę ich prosto na Turan, dokładnie wedle twoich planów. Chłopcom zależy na łupach, więc dostaną je, czy to walcząc z Konstancjuszem, czy kimkolwiek innym.

W oczach Olgierda pojawiła się świadomość nieuchronnej porażki. Był tak zajęty planowaniem wielkiego podboju cesarstwa Shem, że zapomniał o własnym podwórku. Teraz wreszcie zrozumiał, że wydarzenia, które przedtem wydawały się bez znaczenia, znaczenie jednak miały. I to duże. Pojął, że groźby Conana nie były tylko pustosłowiem, ale przede wszystkim dotarło do niego, iż to stojący przed nim w czarnej kolczudze olbrzymi Cymmeryjczyk tak naprawdę dowodzi armią Zaugirczyków.

– Gównu dostaną, jeśli zginiesz! – wykrzyknął Olgierd, chwytając jednocześnie rękojeść kindżału.

Conan był szybszy, i to o wiele. Z szybkością atakującej pantery, ręka barbarzyńcy śmignęła ponad stołem, a wielka dłoń niczym stalowe imadło zamknęła w morderczym uścisku ramię kozaka. Rozległ się paskudny trzask pękających kości i na pełną napięcia chwilę mężczyźni znieruchomieli niczym posągi odlane z brązu, intensywnie się w siebie wpatrując. Na czole Olgierda pojawiły się pierwsze krople potu.

– Jesteś pewien, że dasz radę to przeżyć? – powiedział z szerokim i paskudnym uśmiechem na twarzy Conan nawet odrobinę nie zwalniając uchwytu na połamanym ramieniu.

Ciągle się jeszcze uśmiechał, gdy mięśnie jego ramienia, splecione niczym włókna grubej liny, zagrały pod skórą, a potężne palce wbiły się głębiej w pogruchotane ramię. Pomiedzy jedwabnymi ścianami namiotu

zafalował dźwięk gruchotanych kości. Twarz Olgierda przybrała barwę popiołu, a pomiędzy kurczowo zagryzionych zębów popłynęła strużka krwi, wiadomy znak, że kozak przegryzł sobie wargę. Ale milczał, jak zaklęty.

Conan, śmiejąc się w najlepsze, poluźnił żelazny uchwyt i zrobił krok w tył, zaś kozak zatoczył się zdjęty bólem i wsparł się zdrową ręką o stół, by nie upaść.

– Daruję ci życie, Olgierdzie, bo i ty mnie uratowałeś, zdejmując z krzyża – rzekł spokojnie Cymmeryjczyk – chociaż wiemy, że nie zrobiłeś tego z dobroci serca. Wtedy poddałeś mnie najcięższej próbie. Ty byś jej nie podołał, nikt by jej nie podołał, chyba że byłby, tak jak ja, barbarzyńcą z Zachodu. Dlatego dosiądź konia i po prostu jedź. Jak najdalej stąd. Ogier stoi przywiązany za namiotem, a wodę i żywność znajdziesz w jukach przy siodle. Jeśli się pośpieszysz, nikt nie zobaczy cię odjeżdżającego. Więc się śpiesz, bo wiesz dobrze, że na pustyni nie ma miejsca dla upokorzonego wodza. Gdy nomadowie dojrzą cię pokonanego, rannego i pozbawionego władzy, nie wypuszczą cię żywego z obozu.

Olgierd Vladislav z kamienną twarzą wysłuchał słów Conana, po czym powoli, bez słowa, odwrócił się i spokojnie wyszedł z namiotu. Bez słowa dosiadł wielkiego, białego ogiera, który stał uwiązany w cieniu dorodnej palmy. Bez słowa, chowając złamaną rękę w rozcięciu tuniki, zawrócił wierzchowca i ruszył na wschód, prosto ku otwartej pustyni. Bez słowa na zawsze zniknął z życia Zaugirczyków.

Conan pozostał jeszcze przez chwilę w namiocie. Jednym haustem opróżnił puchar, delektując się wspaniałym smakiem, po czym oblizał wargi. W końcu poczuł ulgę. Cisnął pucharem w kąt namiotu, poprawił pas i wyszedł przed namiot. Przystanął na chwilę, rozkoszując się widokiem setek namiotów z wielbłądziej wełny i krzątających się między nimi biało odzianych wojowników zajętych codziennymi sprawami obozowego życia: śpiewaniem, kłótniami, oporządzaniem koni, naprawą ekwipunku, czy ostrzeniem charakterystycznych w tej części świata zakrzywionych szabel.

Głos Conana rozebrzmiał niczym ryk wściekłego wieloryba docierając do najdalszych zakątków wielkiego obozu.

– Hej, wy parszywe kundły z obwisłymi jajcami, podejdźcie no do mnie i nadstawcie uszu! Muszę wam coś opowiedzieć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

GŁOS Z KRYSTAŁOWEJ KULI

W niewielkiej komnacie na wieży tuż obok murów miejskich grupa mężczyzn uważnie przysłuchiwała się słowom jednego z nich. Byli młodzi, lecz muskularni i sprawni, sprawiali wrażenie ludzi zahartowanych ciężkim jarzmem ślepego okrucieństwa okupantów. Nosili na sobie znoszone kolczugi i skórzane kurtki, przy pasach wisiały przytroczone miecze.

– Wiedziałem, że kapitan Conan mówił prawdę, gdy wykrzyknął, że to nie jest Taramis – podniecał się mówca. – Całymi miesiącami czałem się w pobliżu pałacowych ogrodów w przebraniu głuchego żebraka, skamlącego o resztki jedzenia. W końcu szczęście się do mnie uśmiechnęło i usłyszałem to, co wiedziałem od dawna: nasza prawowita królowa żyje i jest więźniem w lochach pod pałacem. Cierpliwie czekałem na okazję i Isztar w końcu wynagrodziła me starania, pewnej nocy przyuważyłem jednego z tych shemickich psów, a dokładnie strażnika więziennego, który pałętał się nocą po ogrodach. Ogłuszyłem go, zaciągnąłem do pobliskiej piwnicy i tłukłem tak długo, aż tuż przed śmiercią wyznał mi prawdę, którą teraz przekazuję wam: kobieta rządząca teraz Khauranem to niejaka Salome, odrażająca wiedźma, zaś nasza ukochana Taramis gnije w najgłębszym i najciemniejszym lochu miasta. Szturm Zaugirczyków na miasto daje nam okazję, której wypatrujemy od miesięcy. Nie pytajcie mnie o zamiary Conana, bo ich nie znam. Może szuka zemsty na Konstancjuszu, a może po prostu chce zdobyć, a potem złupić miasto. Jest barbarzyńcą i żaden z nas nie zrozumie motywów jego postępowania. Bez względu na wszystko my musimy uwolnić Taramis, gdy hordy nomadów przypuszczą atak. Konstancjusz poprowadzi swe oddziały na równinę, jego ludzie właśnie zbierają się do wymarszu. Nie mają innego wyjścia, bo miasto nie jest przygotowane do długotrwałego oblężenia. Hordy Conana pojawiły się na horyzoncie, nadciągając od strony pustyni, tak nagle, że Shemici nie zdążyli z zaopatrzeniem. A Conan do oblężenia jest nadspodziewanie dobrze przygotowany: zwiadowcy donieśli, że armia nomadów ciągnie ze sobą pokaźny arsenał machin oblężniczych najwyraźniej zbudowanych według jego instrukcji, wszakże to przybysz z Zachodu, gdzie poznał

arkana sztuki oblegania wielkich miast. Konstancjusz, ponieważ nie chce długiego oblężenia, postanowił wydać im bitwę na równinie, bo marzy mu się zmiażdżenie sił Conana jednym potężnym uderzeniem. Dlatego w mieście pozostawi ledwie kilka setek najemników, a ci i tak patrolować będą mury i obsadzą wieże flankujące bramy, w więzieniu pozostawiając raptem niewielką obsadę. Kiedy już uwolnimy Taramis, nasze następne kroki będą zależały od przebiegu bitwy. Jeśli Conan wygra, trzeba będzie prawdziwą królową pokazać mieszkańcom i wezwać ich do buntu przeciwko uzurpatorce. Wiem, że ludzie powstaną! Wiem to! Będzie nas wystarczająco wielu, by pokonać na ulicach Shemitów nawet gołymi rękami, a potem zamkniemy bramy przed Konstancjuszem lub nomadami. Pamiętajcie – ani jedni, ani drudzy nie mogą przedostać się za mury! Później możemy rokować z Conanem; on zawsze był wierny prawdziwej Taramis. Gdy zorientuje się w sytuacji i przemówi do niego sama królowa, myślę, że porzuci zamiar oblegania miasta i jego rabunku. Gdyby jednak w bitwie zwyciężył Konstancjusz, co jest bardziej prawdopodobne, pewnie zabije Conana, a my będziemy musieli, i to prędko, uciekać razem z Taramis z Khauranu, szukając schronienia w ościennych królestwach. Wszystko jasne?

Zebrani przytaknęli bez chwili wahania, jak jeden mąż.

– W takim razie, doładźmy mieczy, powierzając nasze dusze łasce Isztar i ruszamy na więzienie, gdyż shemickie oddziały już maszerują przez południową bramę.

W istocie, młodzieniec nie mylił się w ocenie sytuacji. Wschodzące słońce błyszczało na spiczastych szyszakach oddziałów w pośpiechu i równym strumieniem wylewających się przez szeroko, wysoko wysklepioną bramę. Pierwsze promienie poranka srebrzyły czapaki wielkich, ciężko opancerzonych bojowych rumaków.

Konstancjuszem powodował prosty plan: bitwę miała rozstrzygnąć szarża ciężkozbrojnej jazdy, szarża, którą oglądano tylko tutaj, na Wschodzie. Jeźdźcy niczym wzburzona rzeka stali wypływali z bram miasta; okrutni wojownicy o posępnych obliczach okuci w czarne i srebrne kolczugi; brodaci, z zakrzywionymi, jak dzioby drapieżnych ptaków, nosami; o ponurych, bezlitosnych oczach pełnych okrucieństwa, tak charakterystycznych dla ich rasy.

Na ulicach, w oknach, drzwiach i na murach, roiło się od mieszkańców, którzy pustym wzrokiem wodzili za okupacyjną armią, maszerującą by

bronić obce sobie miasto. Panowała zatrważająca cisza. Na twarzach wychudzonych i zmaltretowanych ludzi malowały się tylko rezygnacja i obojętność. Dziwny to był zaiste widok – tysiące ludzkich cieni stojących w łachmanach i z czapkami w drżących dłoniach niezdolnych do żadnej reakcji.

Na wieży, górującej nad szeroką ulicą, wiodącą wprost do południowej bramy, rozłożona na wielkim aksamitnym łożu spoczywała Salome i taksowała Konstancjusza cynicznym wzrokiem. Ten przypasywał właśnie do pasa szeroki miecz i wciągał stalowe rękawice. W komnacie byli sami, do której, przez otwarte okno, dochodziły dźwięki ciągnącego ulicami wojska: miarowy chrzęst uprzęży i stukot podkutych koni na bruku.

– Nim zajdzie słońce – rzekł pewny siebie Konstancjusz, podkreślając cienkiego wąsa – podaruję ci nową dostawę świeżutkiego mięsa dla tego twojego demona ze świątyni. Powinien być zadowolony, bo mu już pewnie bokiem wychodzą miękkie ciała mieszcuchów. Niedługo popróbuje nieco bardziej twardych i żyłastych nomadów.

– Nie bądź taki hop do przodu i uważaj, byś sam nie padł ofiarą bestii bardziej dzikiej niż Thaug – odparła Salome. – Nie zapominaj, kto dowodzi hordą wilków pustyni.

– Pamiętam doskonale – odparł Konstancjusz – i właśnie dlatego wydaję mu bitwę na równinie. Ten parszywy kundel walczył na Zachodzie i pewnie doskonale wie, jak oblega i zdobywa się miasta. Moi zwiadowcy z trudem dokonali rozpoznania, bo w czujkach nomadów wojownicy mają sokoli wzrok. Podpełzli jednak na tyle blisko, by dokładnie przyjrzeć się machinom oblężniczym ciągniętym przez wielbłądy: katapulty, tarany, wieże oblężnicze... Na Isztar! Musiał pewnie zagnać do roboty z dziesięć tysięcy ludzi, harujących dniem i nocą, ale na pytanie, skąd on, do cholery, wziął drewno na zbudowanie tego wszystkiego, odpowiedzi nie znam. Szlag, może dogadał się Turańczykami, a oni utworzyli przed nim swoje magazyny i składy w przygranicznych garnizonach? Tak, czy inaczej, nic mu to nie pomoże. Walczyłem już kiedyś z nomadami, oni stosują taktykę prostą, jak konstrukcja cepa: najpierw radosna wymiana strzał; przed nimi moje oddziały chronią dobre pancerze, a potem dzika szarża, tyle że moja ciężkozbrojna jazda zmiecie luźne szyki nomadów jednym, potężnym uderzeniem, potem zawróci, by dokończyć dzieła i rozgonić całe to śmierdzące towarzystwo na cztery wiatry. Wtedy będzie po ptakach. Jeszcze przed zachodem słońca przemaszeruję przez południową bramę,

ciągnąc na powrozie za ogonem mojego konia setki nagich jeńców. Potem urządzimy porządną triumfalną ucztę z wieloma atrakcjami, jak na przykład skórowaniem na żywca tych pokonanych miłośników wielbłądziego gówna, co bardzo lubią moi wojownicy, a tym wymoczkowatym mieszkańcom miasta każemy na to patrzeć. Co do Conana, mam nadzieję, że da się pojmać żywcem, bo jemu to najchętniej wsadziłbym w rzyć wielki pal u stóp pałacowych schodów.

– Obdzieraj ze skóry, ilu tylko chcesz – obojętnie skomentowała Salome plany Konstancjusza – chętnie dołączyłabym do swej garderoby suknię z ludzkiej skóry. Pamiętaj jednak, że przynajmniej setka ma przeżyć zabawy twoje i twoich ludzi; tych jeńców będę potrzebowała na ludzkie ofiary na ołtarzu i dla Thauga.

– Twojemu życzeniu stanie się zadość – odparł Konstancjusz, odgarniając w tył opancerzoną dłonią włosy z wysokiego, ogorzałego od słońca czoła. – Pora zatem, bym ruszył w bój w obronie czci, dziewictwa i honoru Taramis! – rzucił sarkastycznie, po czym ujął bogato zdobiony szyszak pod ramię, a okutą w stal ręką oddał pełen szyderstwa salut. Wymaszerował z komnaty, pobrzękując bronią, a chwilę potem jego władczy i szorstki głos wydawał oficerom rozkazy.

Salome opadła leniwie na łożo, potężnie ziewnęła i przeciągając się pośród aksamitnej pościeli niczym wielka, zwinna kocica, zawołała:

– Zang!

W mgnieniu oka do komnaty wszedł bezszelestnie kapłan o twarzy wyglądającej, jakby ktoś naciągnął poźółkły pergamin na jego kościstą czaszkę i to niezbyt starannie.

Salome sięgnęła ku postumentowi z kości słoniowej, na którym leżały dwie, blado połyskujące kryształowe kule. Wzięła mniejszą z nich i podała kapłanowi.

– Jedź za Konstancjuszem – rozkazała krótko. – Na bieżąco relacjonuj mi przebieg bitwy. Śmiało, ruszaj!

Chudy człowieczek skłonił się nisko, skrył otrzymany przedmiot pod ciemnym płaszczem i czym prędzej opuścił komnatę swojej pani. W mieście panowała już cisza, po maszerujących oddziałach Shemitów zdążył opaść kurz. Gdzieś, przez brukowane ulice niósł się dźwięk galopady podkutego konia, by po chwili rozpląnąć się w powietrzu, gdy uciął go łoskot zamykanej bramy.

Salome niespiesznie weszła po szerokich marmurowych schodach na wypłaszczone i osłonięty baldachimem dach o kamiennej podłodze, który górował nad innymi zabudowaniami Khauranu. Wiedźma miała stąd świetny widok na opustoszałe ulice, nawet wielki plac przed pałacem świecił pustkami. Ludzie co prawda zawsze unikali jak ognia ponurej świątyni, ale tym razem miasto wyglądało na wymarłe. Dopiero wprawne oko mogło wypatrzyć liczne ślady życia na południowym murze i wszystkich, okolicznych dachach do tegoż muru przylegających; mieszkańcy urządzili tam sobie tarasy widokowe i biernie obserwowali rozwój wydarzeń. Nie wiedzieli, co robić. Tradycyjne wiwaty na cześć obrońców nie miały sensu, bo zwycięstwo armii Konstancjusza oznaczało jedno: dalsze cierpienia Khaurańczyków pod shemickim jarzmem. Z kolei wygrana nomadów wróżyła miastu krwawą masakrę i totalny rabunek. Od Conana nie było żadnych wieści, toteż ludzie nie mieli pojęcia, czego mogą się po nim spodziewać. Jak by nie było, Cymmeryjczyk był barbarzyńcą.

Oddziały najemników zajmowały na równinie dogodne pozycje. Gdzieś w oddali, tyle że po tej stronie rzeki, nadciągała wielka ciemna fala kurzu – to konnica nomadów. Na drugim brzegu rzeki można było dostrzec liczne maszyny oblężnicze; Conan najwyraźniej obawiając się ataku w czasie ich przeprawy, pozostawił morderczą maszynę poza zasięgiem ludzi Konstancjusza.

Słońce podniosło twarz zza linii horyzontu, malując girlandami porannego słońca pancerne hufce mierzące się na równinie. W tej chwili oddziały Konstancjusza ruszyły, najpierw stępą, potem już kłusem, a do uszu gawiedzi obserwującej wojenny spektakl na murach dobiegł basowy, niski ryk rozpędzającej się ciężkozbrojnej konnicy.

Obydwie armie zderzyły się z ogłuszającym łoskotem, wrzynając się w siebie nawzajem, mieszając, tworząc jedno wielkie kłębowisko ludzi, koni, mieczy, tarcz i pancerzy. Z perspektywy miejskich murów nie można było odróżnić żadnych szczegółów, po prostu wyglądało to, jakby każdy każdego tłukł gdzie, jak i czym popadło. Kto atakuje, kto się broni – tego nie wiedział nikt z obserwujących. Gęsty, wzniesiony kurz, otoczył pole bitwy i walczących nieprzeniknionym tumanem, z którego wyłaniali się jeźdźcy tylko po to, by po chwili znowu zniknąć. Czasem błysnęła broń.

Znudzona nieco Salome wzruszyła beznamiętnie ramionami i wolno zeszła po schodach. W pałacu panowała niczym niezmacona cisza, bo

wszyscy niewolnicy pobiegli na mury, by razem z mieszkańcami oglądać przebieg bitwy.

Wiedźma weszła do komnaty, w której wcześniej rozmawiała z Konstancjuszem i podeszła do postumentu. Zauważyła, że kula zmieniła barwę, wyraźnie zmętniała i pokryła się purpurowymi plamami. Pochyliła się nad nią, mamrocząc dziwne zaklęcia.

– Zang! – zawołała. – Zang!

W kuli zafalowała szara mgła, ukazując z wolna rozszalałą wichurę pyłu i kurzu, pośród których migąły co chwila zamazane, ciemne sylwetki. Od czasu do czasu, niczym rozpalony jasny grom, rozdzierał widok odbłask słońca na posrebrzanych i polerowanych pancerzach oraz ostrzach mieczy. I nagle pośród tego chaosu pojawiła się zaskakująca wyraźna i ostra twarz Zanga, która, jak się mogło wydawać, wpatrywała się w Salome otwartymi szeroko z przerażenia oczami. Kapłan krwawił z szerokiej rany na wysuszonej czaszce, a żółtawą skórę przykrył pozlepiany potem lepki pył. Usta miał wykrzywione w odrażającym grymasie. Do uszu przypadkowego świadka tej sceny nie doszedłby żaden dźwięk, ale Salome słyszała każde słowo wypowiedane przez poszarzałe ze strachu usta tak wyraźnie, jakby nieszczęśnik stał tuż obok niej w komnacie, a nie kilka mil dalej, wydzierając się w panice do mniejszej z kryształowych kul. Tylko demony z najbardziej mrocznych zakamarków wszechświata wiedziały, jakie to niewidzialne, magiczne nici splatały ze sobą obydwie kule.

– Salome! – wrzeszczała zakrwawiona chuda głowa. – Salome!

– Słyszę cię! – krzyknęła wiedźma. – Gadaj, jak tam bitwa?

– Jesteśmy zgubieni! – kapłan w panice wydzierał się coraz bardziej. – Khauran jest stracony! Ubili pode mną konia i nie mam jak uciec z tego piekła! Ludzie wokół mnie padają jak muchy! Słyszysz?! Mimo że noszą zbroje, padają jak krowy w rzeźni!

– Przestań bełkotać jak potłuczony i mów, co się stało! – ofuknęła go wiedźma.

– Uderzyliśmy na te pustynne kundle, a oni wyszli nam na spotkanie! – jęczał kapłan. – Posłaliśmy sobie po salwie strzał, a szeregi nomadów się zachwiały, Konstancjusz więc rozkazał szarżę i natarliśmy na nich w odpowiedniej formacji. I wtedy szeregi hordy rozstały się na boki, a z powstałej szczeliny wypadło na nas kilka tysięcy ciężkozbrojnej hyboryjskiej konnicy! Na wszystkie demony, skąd oni się tam wzięli, ci napędzani czystą nienawiścią, muskularni, opancerzeni od stóp po czubek

głowy szaleńcy!?! Zwartym, najeżonym mieczami pancernym klinem wbili się w nasze oddziały, odrzucili je, podzielili, a wtedy z prawej i lewej flanki natarli nomadowie. To rzeź! Jedna wielka, sadystyczna masakra! To był fortel tego demona, Conana! Maszyny oblężnicze okazały się fałszywe – naprędce powiązane pnie wysokich palm, obciążone malowanym jedwabiem wprowadziły w błąd naszych zwiadowców, którzy widzieli je tylko z daleka. Taki miał pomysł Conan, by nas wywabić z miasta. Shemici Sokoła rzucili się do panicznej ucieczki! Cymmeryjczyk zarząbał Khumbanigasha. Konstancjusz zniknął jak kamfora. Khaurańczycy wyrzynają nasze rozproszone oddziały, niczym żądne krwi wściekłe lwy... Nomadowie szyją do nas z łuków... Ja... arghhh...

W kuli eksplodował jasny błysk, pewnie słoneczny odblask na rozpędzonym ostrzu. Trysnęła jasna krew i nagle obraz zmatowiał i zniknął jak pływająca po tafli jeziora bańka mydlana, która nagle pękła. Salome zastygła w bezruchu, wpatrując się pustym wzrokiem w martwą kulę, odbijającą teraz jedynie jej własną, wykrzywioną wściekłością twarz. Chwilę potem, jakby wyrwana z letargu, klasnęła niecierpliwie w dłonie, a w komnacie od razu pojawił się kolejny kapłan, bliźniaczo podobny do Zanga i zastygł, czekając na rozkazy.

– Konstancjusz przegrał – mówiła szybko. – Nasz los jest przesądzony. Za mniej niż godzinę w bramy miasta będzie walił swoją wielką barbarzyńską pięścią Conan, a ja doskonale wiem, co on mi robi, jak wpadnę w jego łapska. Ale najpierw muszę się upewnić, że moja ukochana siostrzyczka nie odzyska tronu. Niech się dzieje, co chce, ale dzisiaj Thaug dostanie smakowity deser! Chodź ze mną!

Ledwie co zeszli schodami i dziarskim krokiem przemierzali krużganek, gdy do ich uszu dobiegł od strony murów rosnący z każdą chwilą tumult, bowiem ludzie tam zgromadzeni zaczęli z wolna pojmować, kto wygrał bitwę, gdy spośród tumanów kurzu wystrzeliła grupa jeźdźców i w szalonym galopie pomknęła ku południowej bramie.

Pałac był połączony z więzieniem długą, krytą galerią o ostrołukowym sklepieniu. Przemierzyli ją w pośpiechu, wpadli w pędzie w drzwi wiodące prosto do lochów, by znaleźć się w ciemnym zaułku, który powiódł ich ku opadającym w dół schodom, nikiem gdzieś w ciemności. Nagle Salome stanęła jak wryta, paskudnie klnąc. W półmroku, pod ścianą korytarza leżał jeden z więziennych strażników, mierząc krótką, czarną brodą w sklepienie, a jego odrąbana od tułowia głowa ledwie trzymała się przerażonej szyi. Od

strony schodów dochodziły stłumione rozmowy, odgłosy kroków kilku co najmniej osób, a na wilgotnym murze zatańczyły cienie zrodzone z niesionej w czyjejs ręce pochodni.

Salome cofnęła się i przypadła do muru za dźwigającą kamienne sklepienie kolumną, bezceremonialnie pchnęła kapłana za siebie, a jej ręka odruchowo sięgnęła do zawiniątka uczeplonego jej złotego paska.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

SKRZYDŁA SĘPA

Przydymione światło pochodni sprawiło, że Taramis, królowa Khauranu, przebudziła się ze snu, w którym szukała zapomnienia. Usiadła, wspierając się na dłoni, odgarnęła z czoła rozczochrane włosy i otworzyła oczy, oczekując, że ujrzy pełną szyderstwa i drwiny twarz siostry, która przyszykowała dla niej nowe, odrażające tortury. Zamiast tego usłyszała rozdzierający krzyk trwogi i współczucia.

– Taramis! Och, moja królowo!

Od razu pomyślała, że wciąż śni, bo to musiał być sen, ale jej wzrok powoli przyzwyczajał się do światła i w końcu mogła dojrzeć za płomieniem pochodni błysk stali i ciemne kształty ludzkich postaci, które nachylały się nad nią. Ku swemu zdumieniu odkryła, że majaczące tuż przed jej nosem twarze nie należały do shemickich strażników: nie były posępne, ani brodate, nie widziała też haczykowatych nosów i ciemnej skóry, tylko jasne, przyjazne oblicza o orlich rysach, ogorzałe od pustynnego słońca.

Okryta łachmanami królowa, niepewna swego losu, przypadła do ściany, chcąc zniknąć gdzieś pod barłogiem służącym jej od kilku miesięcy za łóżko.

Jedna z postaci przypadła do niej, padając na kolana i wyciągając ku niej ramiona.

– Och, Taramis, królowo moja! Dzięki niech będą Isztar, że w końcu cię odnaleźliśmy! Pamiętasz mnie? To ja, Waleriusz! Dawno temu po bitwie pod Korveka, zaszczyciłaś mnie królewskim pocałunkiem!

– Waleriusz... Waleriusz! – jęknęła królowa, a łzy wielkie jak granaty napłynęły jej do oczu. – Ja chyba śnię! To na pewno jakaś nowa sztuczka Salome, by jeszcze bardziej mnie dręczyć...

– Ależ skąd! – głos młodzieńca drżał z radosnego uniesienia. – To my, twoi wierni poddani, którzy przybyli, by cię ocalić! Musimy się pospieszyć. Co prawda Konstancjusz walczy właśnie z Conanem na równinie, który przyprowadził ze sobą armię nomadów zza rzeki, ale wciąż trzystu Shemitów strzeże miasta. Zabiliśmy jednego ze strażników i wzięliśmy jego

klucze. Innych nie widzieliśmy. Ale i tak musimy stąd uciekać naprawdę szybko!

Dla Taramis wydarzenia potoczyły się tak szybko i były takim zaskoczeniem, że, doznając ulgi, o mało nie zemdląca. Nie namyślając się, Waleriusz uniósł ją jak dziecko i ruszył za kompanem oświetlającym im drogę trzymaną pochodnią. Reszta grupy ubezpieczała tyły. Czym prędzej wyszli z celi i zaczęli wspinać się po wiodących ku górze schodach, które wydawały się nie mieć końca. Po chwili jednak dotarli na ich szczyt i ruszyli korytarzem. Wtem, pod jedną z arkad, pochodnia nagle zgasła, wytrącona z ręki niosącego ją mężczyzny, a ten zdołał jedynie wydać krótki, przedśmiertny jęk. Z okalającej grupę ciemności buchnął snop błękitnego ognia, ukazując na krótką chwilę wykrzywioną grymasem wściekłości twarz Salome i przyczajoną u jej boku postać. Niespodziewana jasność oślepiła Khaurańczyków. Waleriusz z królową w ramionach rzucił się w głąb korytarza. Słyszał jedynie głuchoe odgłosy zadawanych ciosów i rozdzierające jęki umierających towarzyszy. Nie był pewien, ale do jego uszu dobiegło nawet dziwne, zwierzęce sapnięcie. Nagle ktoś brutalnie wyrwał mu królową z ramion, waląc go czymś twardym po głowie. Waleriusz huknął z impetem o kamienną podłogę.

Minęła dłuższa chwila, nim chwiejnie podniósł się na nogi, potrząsając głową, by pozbyć się błękitnego płomienia, jaki wciąż zdawał się falować wokół niego. Odzyskawszy ostrość widzenia stwierdził, że stoi w korytarzu sam, jeśli nie liczyć zaszlachtowanych towarzyszy. Jego czterech kompani tonęli w kałużach krwi, spływającej nieprzerwanymi strużkami z głębokich ran na czaszkach i piersiach. Oślepieni demonicznym płomieniem nie mieli żadnych szans na obronę.

Taramis zniknęła.

Z gorzkim przekleństwem na ustach Waleriusz dobył miecza i zrzucił z głowy nieprzydatny, wgnieciony szyszak, by cisnąć nim z wściekłością o podłogę. Z rany na głowie ściekała mu na policzek strużka krwi. Obrócił się kilkakrotnie, czując narastający gniew, bo nie miał pojęcia, w którą stronę zabrano Taramis.

I wtedy usłyszał dziwnie znajomy, dobiegający z głębi korytarza, głos, wykrzykujący jego imię:

– Waleriuszu! Waleriuszu!

Chwiejąc się i potykając na każdym kroku, pomknął w kierunku, skąd dobiegało wołanie. Skręcił za róg i wtem poczuł jak w jego ramiona wpada

miękkie, szczupłe ciało.

– Igva!? Dziewczyno, czyś ty postradała rozum?

– Musiałam tu przyjść, ukochany... po prostu musiałam! – łkała dziewczyna. – Szłam za wami i schowałam się w cieniu jednej z arkad na dziedzińcu. Właśnie ją widziałam, jak wybiegała z jakimś pokurczem ściskającym w ramionach dziewczynę. Od razu rozpoznałam w niej Taramis i zrozumiałam, że wam się nie powiodło. Och, ale ty jesteś ranny!

– Głupstwo, nie rana – rzekł szybko, zdejmując z szyi krępujące go ramiona dziewczyny. – Igvo, musimy ruszać! Prędko, powiedz mi, którzy uciekali!

– Biegli przez plac, kierując się ku świątyni.

Waleriusz pobladł.

– Na Isztar! Ta przeklęta franca chce złożyć Taramis w ofierze demonowi, któremu oddaje cześć! Nie ma chwili do stracenia. Igvo, biegnij najszybciej jak potrafisz do południowego muru, gdzie ludzie śledzą przebieg bitwy i krzycz ile sił masz w płucach, że odnalazła się prawdziwa królowa, a uzurpatorka właśnie wlecze ją do świątyni. No, już, pędź!

Igva, wciąż łkając i stukając lekkimi sandałami, popędziła przed siebie, a Waleriusz, nie tracąc ani chwili, pognał przez dziedziniec wprost na plac, gdzie rzucił się w kierunku wielkiej, tonącej w posępnych cieniach budowli, wzniesionej naprzeciwko królewskiego pałacu. Mknął niczym błyskawica, a marmur zdawał się umykać spod jego stóp, gdy wbiegał na szerokie schody i pod kolumnowy portyk. Taramis musiała porywaczom sprawiać niemałe kłopoty, bo Salome i kapłan nie zamknęli, ani nie zaryglowali masywnych wrót świątynnych. Waleriusz wpadł z impetem do środka i ujrzał uciekinierów. Jego prawowita królowa wiedziała, jaki czeka ją los, walczyła więc ze wszystkich sił, jakie drzemały jeszcze w młodym i prężnym ciele. Raz nawet udało się jej wyrwać z uścisku brutalnego kapłana, ale ten w ostatniej chwili ponownie ją pojmał.

Byli już w połowie szerokiej nawy, na końcu której majaczył ponury, pokryty zaschniętą krwią setek ofiar ołtarz, a za nim wielkie masywne i żelazne wrota pokryte najbardziej wyuzdanymi płaskorzeźbami jakie mógł wymyślić człowiek, rozsiewały wokół grozę i odór śmierci. Wielu weszło przez nie do środka, ale nikt, prócz Salome, nigdy stamtąd nie powrócił. Oddech Taramis rwał się, jakby była rybą wyciągniętą z wody. W trakcie szamotaniny doszczętnie podarto na niej łańchmany, wiła się zatem w uścisku swego oprawcy niby śnieżnobiała, naga nimfa próbująca uciec

z ramion rozpalonego żądzą satyra. Salome nieubłaganie zmierzała ku żelaznym wrotom, niecierpliwie i z wściekłością co rusz spoglądając przez ramię. Z półmroku panującego pod wyniosłymi ścianami świątyni spozierały wykrzywione w orgiastycznych grymasach twarze boginek i wszelkiego rodzaju plugastwa.

Rozpalony do białości dziką furią Waleriusz pomknął przez wielką nawę z obnażonym mieczem w dłoni. Salome w ostatniej chwili krzyknęła ostrzegawczo, a dźwigający na ramionach wierzgającą dziewczynę kapłan odwrócił się. Na widok szarżującego wojownika odepchnął Taramis, wyciągnął z pochwy wielki, ociekający krwią nóż i skoczył ku nadbiegającemu, łypiąc złowrogo zimnymi od okrucieństwa oczami osadzonymi w szczupłej czaszce o pożółkłej skórze.

Biedak nie zdawał sobie jednak sprawy z jednej rzeczy: zarzynanie oślepionych błękitnym i magicznym światłem mężczyzn miało się nijak do walki z muskularnym, młodym i rozwścieczonym Hyboryjczykiem.

Kapłan doskoczył do Waleriusza, wnosząc zakrwawiony nóż do ciosu, ale nim zdążył go zadać, ostra klinga miecza śmignęła i zaciśnięta pięść, dzierząca zabójcze ostrze, łupnęła o posadzkę świątyni, a z okaleczonego przedramienia buchnęła fontanna krwi. Ogarnięty bitewnym szaleństwem Waleriusz ciął raz za razem, dosłownie szatkując cudem jeszcze trzymające się na nogach ciało. W końcu dokonał dzieła zniszczenia, zamachnął się raz jeszcze, i potężnie ciął. Wysuszona, odpychająca głowa kapłana z głupkowatym wyrazem twarzy potoczyła się w jedną stronę, a niemiłosiernie porąbany tors w drugą.

Waleriusz, zwinny i szybki niczym pantera, obrócił się na pięcie, gorączkowo wypatrując znienawidzonej wiedźmy. I dojrzał ją. Salome nie mogła już polegać na swojej magii, postanowiła zatem zwyczajnie zasztyletować siostrę. W jednej ręce ścisnęła czarne włosy siostry, w drugiej kurczowo trzymała wymierzony w jej serce sztylet. Uniosła rękę do ciosu, ale i tym razem Waleriusz był szybszy. Ze wszystkich sił, kierowany nienawiścią i czystą, zwierzęcą furią, cisnął mieczem z takim impetem, że ten pograżył się w piersi wiedźmy aż po jelec.

Z okropnym, nieludzkim wrzaskiem Salome padła na kolana i chwyciła rękę miecza sterczącą z jej piersi, by zacząć powoli wyciągać ostrze ze swego ciała. Po chwili, w kałużę krwi wpadł wyszarpany miecz, a wiedźma legła na posadzkę, wstrząsana strasznymi konwulsjami. W jej oczach nie było nic ludzkiego. Z demoniczną witalnością trzymała się kurczowo życia

uchodzącego przez zionącą w piersi ranę, która rozcięła na pół szkarłatny półksiężyc na jej alabastrowej skórze. Konowała w agonii, tarzając się po podłodze i drapiąc paznokciami kamienne płyty posadzki.

Ten widok przepęłił Waleriusza odrazą i obrzydzeniem. Odwrócił więc wzrok i doskoczył do zamroczonej królowej, by pomóc się jej podnieść i wesprzeć ją na ramieniu. Odwrócili się oboje, pozostawiając konającą wiedźmę za plecami i ruszyli ku wyjściu. Przeszli przez świątynne wrota i stanęli u szczytu schodów.

Plac roił się od mieszkańców Khauranu. Niektórzy przybyli, idąc za niezrozumiałymi wrzaskami Igvy, inni uciekli z murów, widząc nadciągającą pod miejskie bramy horde nomadów, kierowani raczej owczym pędem niż rzetelną oceną sytuacji. Ale u jednych i u drugich zniknął marazm i otępienie. Tłum wrzał, falował, pokrzykiwał, napięcie sięgnęło zenitu. Od strony murów dochodziły odgłosy miażdżenia drewna i rozbijanie kamieni.

Na rozgorączkowaną tłuszcę zaczęli napierać Shemici, których na północnych murach i przy tamtejszych bramach pozostawił Konstancjusz; chcieli przebić się na południe, by wspomóc swoich towarzyszy. Na widok młodzieńca stojącego na schodach świątyni i trzymającego w ramionach zamroczoną, nagą postać, ściągnęli wodze. Głowy tego jednego wielkiego ludzkiego pandemonium zwróciły się w stronę świątynnych schodów, a zaskoczeni i zaszokowani ludzie stali z szeroko rozdziawionymi ustami, przyglądając się niespodziewanemu widokowi.

– Ludu Khauranu! – wrzasnął ile miał sił w płucach Waleriusz, by wszyscy go usłyszeli. – Oto twoja królowa!

Przez ściśnięty na placu motłoch przebiegł okrzyk zdumienia. Nikt nie miał pojęcia, o czym mówił Waleriusz, a on nie był w stanie przekrzyczeć tej ciżby. Shemici oprzytomnieli pierwsi, zacięli konie, zawrócili i zaczęli się bez pardonowo przedzierać ku schodom świątyni, torując sobie drogę wśród tłumu okładając włóczniami, kogo popadnie.

Wtedy właśnie, za plecami Waleriusza, rozegrało się makabryczne widowisko. Z półmroku świątynnego portyku wypełzła szczupła postać, odziana w śnieżnobiałą tunikę obficie zbroczoną szkarłatem. Ludzie na placu zbaranieli, wydając z siebie okrzyk przerażenia i zdumienia. Oto przecież w ramionach młodzieńca spoczywała kobieta, w której rozpoznali swoją królową, a tymczasem we wrotach wiodących do świątyni słaśniała się na nogach inna, będąca lustrzanym odbiciem tej trzymanej na rękach.

Gdy Waleriusz ujrzał ledwie stojącą na nogach wiedźmę, poczuł, że w żyłach nie płynie mu gorąca krew, tylko lodowato zimny strumień strachu. Przecież przeszył ją mieczem na wylot, rozerwał serce... Powinna być martwa, tak stanowią prawa natury. A jednak Salome stała tam o własnych siłach, chwiejąc się i zataczając, lecz ciągle żywa.

– Thaug! – wrzasnęła rozdzierająco, odwracając się ku świątynnym wrotom. – Thaug!

Odpowiedzią na to odrażające wezwanie był paralizujący, dobywający się z wnętrza budynku, potężny niczym schodząca w górach lawina, rechot, trzask miazdżonego drewna i zgrzyt dartego metalu.

– To jest prawdziwa królowa! – ryknął setnik Shemitów, sięgając po przytroczony do siodła łuk. – Zastrzelcie tego młokosa i kobietę na schodach!

Ale przez morze ludzi zgromadzonych na placu przetoczył się złowróżbny pomruk, bo w końcu mieszkańcy Khauranu odgadli prawdę. Usłyszeli i zrozumieli gorączkowe nawoływania Waleriusza, dotarło do nich, że zwisająca bezwładnie z jego ramion kobieta, to ich prawdziwa i ukochana królowa. W jednej chwili, z wrzaskiem mrozącym krew w żyłach, niczym tysiące pałających żądzą zemsty bestii, uderzyli na znieawidzonych Shemitów, gryząc, szarpiąc, wydrapując oczy, mordując bez cienia litości gołymi rękami z tłumioną i narastającą miesiącami wściekłością, która wreszcie znalazła ujście.

Ponad rozszalałym pandemonium rozszarpywanych i miażdżonych ludzi i zwierząt, Salome zachwiała się w końcu ostatecznie, padając na marmurowe schody, nieodwołalnie martwa.

Strzały świstały wokół Waleriusza. Nie miał wyjścia i czym prędzej umknął pod osłonę kolumn portyku, chroniąc Taramis własnym ciałem. Shemici desperacko walczyli z rozszalałym tłumem o życie, siekając na lewo i prawo, szlachtując kogo popadnie, ale ciągle chcieli zakatrupić młodzieńca i prawowitą królową. Waleriusz postanowił skryć się w bezpiecznej, dającej schronienie przed strzałami, świątyni. Skoczył ku wrotom, miał właśnie przekroczyć ich próg, gdy nagle zawrócił z makabrycznym okrzykiem na ustach.

Ze skapanego w mroku odległego krańca nawy wyłonił się gigantyczny, czarny kształt i ruszył na Waleriusza, pokonując zatrważająco szybko odległość między nimi, długimi, żabimi susami. Młodzieniec katem oka dostrzegł błysk wielkich, nieziemskich ślepi, olbrzymie kły i zarys

wibrujących w powietrzu ostrych jak brzytwy pazurów. Cofnął się odruchowo, ale świst przelatujących mu tuż koło ucha strzał przypominał dobitnie, że i po tej stronie czyha na niego śmierć. Był w pułapce, sam i bezradny.

Czterech czy pięciu Shemitów przerąbało się przez tłum, wjeżdżając właśnie na schody z gotowymi do salwy łukami. W ostatniej chwili Waleriusz przypadł do jednej z kolumn, a groty strzał odbiły się od marmuru. Taramis już dawno zemdląła, a teraz zwisała bezwładnie w ramionach swojego wybawiciela.

Shemici nie zdążyli wypuścić kolejnej salwy, bo we wrotach świątyni wyrosło gigantyczne cielsko. Przerażeni jeźdźcy w miejscu osadzili konie, zawrócili i rzucili się do panicznej ucieczki, trując po drodze każdego, kto im stanął na drodze. Na widok monstrum tłum gwałtownie zafalował, cofnął się, ludzi ogarnęła panika. Wszyscy w jednej chwili zamarzyli tylko o jednym: uciec z placu jak najdalej. Spanikowani potykali się i przewracali, trując się wzajemnie.

Ale monstrum zdawało się dostrzegać tylko Waleriusza i nieprzytomną królową. Precisnęło z trudem odrażające, galaretowate cielsko przez świątynne wrota i runęło na zbiegającego po schodach młodzieńca, a ten czuł, jak ta bezkształtna, plugawa masa wije mu się za plecami – olbrzymia bestia, odrażająca i odpychająca, pokraczny i zabójczy wybryk natury wycięty z serca nocy, w którym dawało się wyróżnić tylko płonące krwiożerczo ślepie i potężne kły.

W tej ostatecznej chwili grozy, nagle dał się słyszeć szalony tętent podkutych koni i niewielki oddział zmasakrowanych Shemitów wpadł na plac od jego południowej strony, próbując za wszelką cenę przebić się przez nacierający w przeciwną stronę spanikowany tłum. Tuż za uciekającymi ludźmi Konstancjusza wpadli ogarnięci żądzą mordu jeźdźcy, nawołujący się w znajomym języku, wywijając nad głowami okrwawionymi mieczami: to powracali do domu zbiegli na pustynię Khaurańczycy. Razem z nimi wgalopowało pięćdziesięciu czarnobrodych Zaugirczyków, prowadzonych przez potężnego wojownika w czarnej kolczudze.

– Conanie! – wrzasnął zrozpaczony Waleriusz. – Conanie!

Olbrzym od razu go dostrzegł i wydał, krótki, gardłowy rozkaz. W pełnym galopie nomadowie unieśli łuki, napięli cięciwy i wypuścili śmiertcioną chmurę strzał, która zaświszczała ponad ogarniętym paniką morzem ludzkich głów i pogrzyżyła się aż po lotki w czarnym cielsku.

Potwór stanął, zachwiał się, po czym ryknął okropnie – był jak rozjuszona, gigantyczna czarna plama na tle białych kolumn portyku. Nomadowie ponowili salwę, by znowu śmiercionośny deszcz spadł na bestię. Ta, ostatkiem sił, ryknęła raz jeszcze, zachwiała się mocniej, ale nie upadła. Trzecia salwa była rozstrzygająca. Naszpikowane strzałami monstrum wydało z siebie ostatni, przedśmiertny rechot, po czym padło ostatecznie, tocząc się po schodach świątyni tak jak wiedźma, która sprowadziła je na ten świat z otchłani dawno zapomnianych czasów.

Conan ściągnął wodze i zeskoczył z konia przed portykiem. Waleriusz złożył delikatnie królową na marmurowe płyty i padł tuż przy niej ze skrajnego wyczerpania. Uspokojony tłum zbliżył się do nich, napierając z każdej strony. Conan, rzucając kilka paskudnych przekleństw odpędził motłoch i unosząc spowitą czarnymi lokami głowę, położył ją na swoim odzianym w czarną kolczugę mocnym ramieniu.

– Na Croma! To jest prawdziwa Taramis! A kim w takim razie jest ta druga?

– To wiedźma, która podszyła się pod królową – wysapał Waleriusz.

Conan zaklął szpetnie, a następnie zerwał płaszcz z ramion najbliższego stojącego wojownika, by okryć nagie ciało Taramis. Pośród długich włosów opadających na jej twarz nagle zadrgały powieki i otworzyła oczy, spoglądając z niedowierzaniem na poorane bliznami surowe oblicze Cymmeryjczyka.

– Conanie! – jej delikatne i umęczone dłonie kurczowo objęły muskularne ramię. – Ja chyba śnię! Ona mi powiedziała, że nie żyjesz.

– Nie do końca – Conan uśmiechnął się szeroko. – I nie śniesz, królowo. Znowu niepodzielnie rządysz Khauranem. Tam, nad rzeką, rozniosłem w pył zastępy Konstancjusza. Większość z tych tchórzliwych kundli padła, bo wydałem rozkaz, by nie brać jeńców. Poza jednym, Konstancjuszem. Ci z nich, którzy strzegli południowej bramy, zatrzasnęli nam ją przed nosem, ale wystarczył taran rozhuśtany na naszych siodłach, by bramę wyłamać. Pięćdziesięciu nomadów pognało za mną, resztę wilków pustyni zostawiłem na równinie, bo nie mogę ręczyć za ich zachowanie w mieście, a poza tym khaurańscy chłopcy zajęli się strażnikami przy bramach.

– To był jakiś koszmar! – westchnęła i zaszlochała Taramis. – Moi biedni poddani! Conanie, musisz mi pomóc wynagrodzić im wszystkie cierpienia, jakich doznali od ludzi Konstancjusza. Mianuję cię nie tylko na powrót

kapitanem królewskich gwardzistów, ale także moim najbardziej zaufanym doradcą!

Słyszając jej słowa, Cymmeryjczyk roześmiał się gromko i pokręcił głową. Podniósł się na nogi i pomógł wstać królowej, by po chwili skinąć na kilku khaurańskich jeźdźców, którzy nie rzucili się w pościg za uciekającymi Shemitami. Ci natychmiast zeskoczyli z siodła, gotowi na rozkazy świeżo odzyskanej władczyni.

– Nic z tego nie będzie, Wasza Wysokość, nieodwołalnie zamknąłem ten rozdział mojego życia. Teraz jestem wodzem nomadów zza rzeki i mamy w planach wizytę w Turanie. Waleriusz będzie o wiele lepszym kapitanem niż ja. Wiesz przecież dobrze, że nie jestem stworzony do życia w marmurowych ścianach pałacu. A teraz pozwól, że cię opuszczę, wszak muszę dokończyć dzieła, bo po mieście pałętają się jeszcze niedobitki Shemickiej armii.

Taramis, wsparta na ramieniu swojego nowego kapitana królewskich gwardzistów, zawróciła w stronę pałacu. Tłum rozstał się przed władczynią, tworząc wiwatujący szpaler aż do pałacowych wrót. Taramis dostojnym krokiem weszła w ten szpaler uszczęśliwionych mieszkańców, a wtedy towarzyszący jej Waleriusz poczuł, jak delikatna i miękka dłoń wślizguje się w jego nawyklą do trzymania miecza dłoń, i nim zdążył zareagować ścisnął w ramionach smukłe ciało Igvy. Przyciągnął ukochaną do siebie i kpiąc z wszelkich protokołów począł z gorących ust spijać słodkie pocałunki, jeden za drugim z łapczywością zmęczonego nieustającą walką wojownika, który po wielu cierpieniach i trudach wreszcie może odpocząć i cieszyć się spokojem.

Nie każdemu jednak taki jest pisany los. Niektórzy urodzili się z rozpaloną żądzą walki duszą, z bitewnym wichrem harującym im w żyłach – nieustraszeni i niestrudzeni siewcy przemocy, brutalności, nie znający innej ścieżki...

Wschodziło słońce. Starożytny szlak kupieckich karawan roił się od białych odzianych jeźdźców, rozciągniętych w bojowych szykach od murów Khauranu, aż po odległy punkt na równinie. Czoło kolumny otwierał Conan, siedzący na wspaniałym białym ogierze. Stał przy wystającym z gruntu postrzępionym kawałku bala, który siedem miesięcy temu był

podstawą dźwigającego go krzyża. Obok wkopano nowy drewniany krzyż, a na nim wisiał człowiek, przybity do drewna za ręce i stopy długimi, ciężkimi hufnalami.

– Siedem miesięcy temu to ty tu stałeś, Konstancjuszu – powiedział beznamyślnie Cymmeryjczyk – a ja wisiałem przybity do krzyża.

Konstancjusz nie odpowiedział, oblizał tylko spierzchnięte wargi. Oczy miał przepełnione bólem i przerażeniem. Jego ciało było wyprężone, mięśnie napięte niczym postronki.

– Bardziej nadajesz się do zadawania, niż znoszenia tortur – spokojnie kontynuował Conan. – Dyndałem na krzyżu, jak ty teraz, a przeżyłem, bo miałem szczęście i krzepę godną prawdziwego barbarzyńcy. Jak wy, ludzie cywilizacji, możecie się z nami równać... Jesteście słabi i marnie walczyicie o życie. Niby tacy z was mądrze, a czujecie się potężni tylko wtedy, gdy zadajecie cierpienie. Jak na mój gust, jeszcze przed zachodem słońca będziesz martwy. Tak zatem, nie będę ci już więcej przeszkadzał, Sokole pustyni, bo, jak widzę zlatują się powoli inne pustynne ptaki – i tu wskazał wymownie palcem na kołujące nad głową skazańca wielkie sępy.

Z ust Konstancjusza wyrwał się nieludzki, wibrujący ryk trwogi.

Conan ujął wodze i śnieżnobiały rumak posłusznie pokłusował w stronę rzeki, połyskującej srebrem w pierwszych promieniach poranka. W ślad za nim ruszyli odziani na biało jeźdźcy. Z charakterystyczną dla ludzi pustyni obojętnością wobec cierpienia, mijali posępną, wiszącą na krzyżu postać, odcinającą się ciemną plamą na tle wschodzącego słońca. Końskie podkowy wystukiwały na pylistej drodze żalobną pieśń ukrzyżowanemu, a głodne sępy z coraz większym zniecierpliwieniem zerkały na krzyż, krążąc coraz niżej i niżej...

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(grudzień 1934) pod tytułem *A Witch Shall be Born*

SKARBY GWAHLURA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ŚCIEŻKI INTRYGI

Na skraju dżungli wznosiły się strome skalne ściany i kamienne szańce, które w świetle wschodzącego słońca błyszcząły turkusem i przygaszonym szkarłatem. Rozciągały się daleko na wschód i zachód ponad falującym, szmaragdowym morzem liści. Olbrzymia palisada o stromych murach z twardej skały i niezwykle błyszczącymi w słońcu drobinkami kwarcu, zdawała się niezwyciężona. Ale człowiek, który wspinał się mozolnie w górę, był już w połowie drogi na szczyt.

Mężczyzna o niezwykłej sile i zwinności pochodził z góralskiej rasy, przyzwyczajonej do zdobywania zakazanych szczytów. Jego jedynym odzieniem była para krótkich spodni z czerwonego jedwabiu. Przez plecy miał przewieszony pas z przytroczonymi do niego mieczem, sztyletem i parą sandałów.

Człowiek ten był potężnie zbudowany i gibki jak pantera. Jego skóra była ogorziała od słońca, a równo przycięta, czarna czupryna obwiązana wokół skroni srebrną wstążką. Wspinaczka wystawiała na próbę jego żelazne mięśnie, prędkie oko i pewny krok. Sto pięćdziesiąt stóp pod nim falowała dżungla. W tej samej odległości powyżej, brzeg skały odcinał się wyraźnie na tle porannego nieba.

Piął się w górę jak ktoś, kto bardzo się spieszy, ale wspinaczka była bardzo trudna. Chwilami poruszał się ze ślimaczą prędkością, wisząc na ścianie jak mucha, nie mógł bowiem znaleźć zbyt wielu nisz czy wyrzuteń, których można się chwycić, ale piął się uparcie, chwytając palcami każdy wyłom, każdy kamień i wystającą skałę, walcząc o każdy krok. Od czasu do czasu przystawał, by dać wytchnienie zbolałym mięśniom i otrząsając pot z czoła, spoglądał w dół na dżunglę, jak gdyby czegoś szukał. Przeczesał zielony bezmiar w poszukiwaniu śladu ludzkiego życia albo jakiegoś ruchu.

Szczyt był już jednak niedaleko i mężczyzna zauważył wyrwę w gładkiej skalnej ścianie kilka stóp nad jego głową. Dotarł doń chwilę później; była to mała jaskinia tuż pod szczytem. Mruknął niezadowolony, kiedy zajrzał do wnętrza. Zawisł z ramionami przerzuconymi przez krawędź, bowiem

wnęka była bardzo mała, w dodatku ktoś tam był – siedząca po turecku wyschnięta brązowa mumia, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, na którą opadała skarłała głowa. Jej kończyny były uwiązane pasami z wyprawionej skóry, dawno przegniłymi. Nawet jeśli ta postać była kiedyś ubrana, niszczące działanie czasu dawno obróciłoby jej szaty w pył. Między skrzyżowanymi ramionami i zapadniętą piersią tkwił zwój pergaminu, który z wiekiem przybrał żółtawą barwę starej kości słoniowej.

Mężczyzna wyciągnął długie ramię i zabrał zwitek. Nie obejrzawszy go nawet, wetknął za pas i wgramolił się w górę, stając w otworze niszy. Jeden skok w górę, i złapał krawędź skały. Podciągnął się energicznie i przesadził brzeg skał niemal jednym płynnym ruchem.

Zatrzymał się zdyszany i spojrzał w dół.

Zdawało mu się, że spogląda do wnętrza przepastnej balii, otoczonej okręgiem kamiennych ścian. Dno pokryte było drzewami i gęstą roślinnością, chociaż w żadnym miejscu nie tak gęstą, jak po stronie zewnętrznej. Skały okrążające studnię były jednolite i równej wysokości. Pomyślał, że to zapewne wybryk natury, być może unikalny na skalę światową: olbrzymi, naturalny amfiteatr, okrągła, zalesiona równina o średnicy trzech lub czterech mil, odcięta od reszty okolicy i zamknięta w kręgu podobnych do palisady skalnych ścian.

Nie tracił jednak czasu na zachwyty. W napięciu przeszukiwał szczyty drzew pod sobą i wydał głośnie westchnienie, kiedy w błyszczącej zieleni zauważył odbłask marmurowych kopuł. Nie była to więc legenda; pod nim rozciągał się wspaniały i opuszczony pałac Alkmeenon.

Conan z Cymmerii, niegdyś z wysp Baracha na Czarnym Wybrzeżu i z wielu innych miejsc, gdzie toczyło się dzikie życie, przybył do królestwa Keshan zwabiony historiami o uroku mitycznego skarbu, który przyćmiewał skarbce turańskich królów.

Keshan było barbarzyńskim królestwem, leżącym wzdłuż wschodnich krańców Kush, gdzie szeroki pas łąk zlewał się z ciągnącymi się na południe lasami. Jego lud był mieszanką różnych plemion. Ciemnoskóra szlachta rządziła populacją w większej części czysto czarnoskórej krwi. Książęta zaś i wysocy kapłani chełpili się pochodzeniem od białej rasy, która w mitycznych opowieściach panowała w królestwie ze stolicą w Alkmeenon. Legendy różnie tłumaczyły jej upadek i ucieczkę z miasta. Równie mgliste były opowieści o Zębach Gwahlura, skarbie Alkmeenon.

Lecz te historie wystarczyły, by przywieźć Conana do Keshan, na przepastne połacie płaskiej, przeciętej rzeką i pasmem wzgórz dżungli.

Odnalazł Keshan, w którego istnienie powątpiewały zachodnie plemiona. Słyszał też wystarczająco dużo plotek o skarbie, nazywanym przez ludzi Zębami Gwahlura. Nie był jednak w stanie odnaleźć miejsca jego ukrycia i stanął w obliczu konieczności wytłumaczenia swojej obecności w Keshan. Samotni nieznajomi nie byli tam mile widziani.

Nie wprowadziło go to jednak w zakłopotanie. Pewny siebie złożył propozycję stojącej w pióropusze, podejrzliwej szlachcie pełnego przepychu dworu. Był zawodowym wojakiem. Przybył do Keshan – jak mówił – w poszukiwaniu zatrudnienia. Za odpowiednim wynagrodzeniem gotów był wyszkolić armię Keshan i poprowadzić ją przeciw Puntowi, ich odwiecznemu wrogowi, który odnosił ostatnio spore sukcesy na polu walki, co wpędzało w furję popędliwego króla Keshan.

Jego oferta nie była tak lekkomyślna, jak mogło się wydawać. Sława Conana dotarła nawet do odległego Keshan: jego wyczyny jako wodza czarnych korsarzy, wilków południowych wybrzeży, rozślawiły jego imię, czyniąc go obiektem podziwu i strachu we wszystkich czarnych królestwach. Podjął wyzwanie panów Keshan. Na granicach nie ustawały zamieszki, dając mu wiele sposobności do wykazania się umiejętnościami walki wręcz. Jego szaleńcza dzikość zdumiała panów Keshan, choć już wcześniej słyszeli o jego wodzowskich wyczynach. Perspektywy wyprawy Conana rysowały się dobrze. Oczywiście nie zdradzał się ze swoimi prawdziwymi planami. Walczył dla nich, bowiem potrzebował wymówki, by pozostać w Keshan wystarczająco długo i zlokalizować miejsce ukrycia Zębów Gwahlura. I nagle wydarzyło się coś, co pokrzyżowały jego plany. Na czele poselstwa z Zimbabwe przybył do Keshan Thutmekri.

Był on stygijskim zbirem i poszukiwaczem przygód, którego inteligencja kazała mu polecić się bliźniaczym królom wielkiego, kupieckiego królestwa, leżącego o wiele dni drogi na wschód. On i Cymmeryjczyk znali się od dawna i nie darzyli sympatią. Thutmekri również miał propozycję dla króla Keshan, która także dotyczyła podboju Puntu, królestwa leżącego na wschód od Keshan. Właśnie wyrzucono stamtąd zimbabwejskich kupców i spalono ich fortece.

Jego oferta była lepsza od propozycji Conana. Zobowiązał się do najazdu na Punt od wschodu, z armią czarnych włóczników, shemickich strzelców oraz najemnych fechmistrzów i aneksji wrogiego królestwa. Sam

dobrotliwy król Zimbabwe pragnął jedynie monopolu na handel z Keshan i jego lennikami; jako gwarancji chciał wziąć w depozyt część skarbu Gwahlura. Thutmekri zapewnił podejrzliwych wodzów, że klejnoty nie zostaną dopuszczone do powszechnego użytku. Będą bezpieczne w największej świątyni Zimbabwe obok przysadzistych złotych posążków Dagona i Derketo, dostojnych gości na świętym ołtarzu królewskim i przypieczętują ugodę między Keshan a Zimbabwe. Kiedy Conan usłyszał o tym pomysle, na jego zaciętych ustach pojawił się dziki grymas.

Nie zamierzał konkurować ze sprytem i knowaniami Thutmekriego i jego shemickiego partnera Zargheby. Wiedział, że jeśli Thutmekri wygra, poprosi o natychmiastowe wydalenie przeciwnika. Pozostało mu tylko jedno: znaleźć klejnoty i uciec, zanim król Keshan cokolwiek postanowi. Wiedział już na pewno, że skarb nie był ukryty w Keshii, stolicy królestwa, które w większości składało się z pokrytych strzechą chat, przytulonych do zbudowanego z błota wału, okalającego pałac z kamienia, gliny i bambusa.

Conan słuchał niecierpliwie, kiedy najwyższy kapłan Gorulga oznajmił, że zanim cokolwiek zostanie postanowione w kwestii sojuszu z Zimbabwe, wypowiedzieć muszą się bogowie. Ponadto sam święty skarb długo leżał nietknięty, dlatego wszystko należało skonsultować z wyrocznią Alkmeenon.

Był to zaiste niezwykły pomysł. W pałacu i chatach podniósł się szum. Już od stu lat kapłani nie odwiedzali cichego miasta. Ludzie powiadali, że wyrocznią była piękna księżniczka Yelaya, ostatnia władczyni Alkmeenon, która umarła w kwiecie wieku. Jej ciało przez całe wieki pozostało cudownie nietknięte. Od dawien dawna kapłani przemierzali drogę do tego nawiedzonego miejsca, a ona przekazywała im wiedzę. Ostatni, który wybrał się do wyroczni, był człowiekiem nikczemnym. Usiłował wykraść skarb, nazywany przez ludzi Zębami Gwahlura. Spotkała go jednak kara tak straszliwa, że od stu lat kapłani trzymali się z daleka zarówno od miasta, jak i wyroczni.

Jednak Gorulga, obecny najwyższy duchowny, człowiek uczciwy i ufny w swą wiedzę oświadczył, że pójdzie tam z garstką towarzyszy, aby wskrzesić starożytny zwyczaj. Dzięki plotkom i niedyskrecji jednego z pomocników kapłana Conan uzyskał klucz do zagadki, którego szukał od tygodni. Wykradł się zatem z Keshii w noc przed planowaną wyprawą oficjeli.

Pędził na koniu tak szybko, jak tylko miał odwagę, przez całą noc, następny dzień i kolejną noc. Wczesnym świtem dotarł do skalnych ścian Alkmeenon w południowo-zachodnim zakątku królestwa. Znalazł się w środku niezamieszkałej dżungli, do której lud nie miał wstępu. Tylko kapłanom wolno było przebywać w Alkmeenon, choć od stu lat żaden z nich nie postawił tam stopy.

Legendy mówiły, że żaden człowiek nie wspiął się nigdy na te skały i tylko kapłani znali sekretne wejście do doliny. Conan jednak nie tracił czasu na szukanie. Stromizny, które wzbraniały wstępu czarnoskórym ludziom i mieszkańcom równin, nie były dla człowieka urodzonego wśród skalistych wzgórz Cymmerii wielkim wyzwaniem.

Stojąc na szczycie skał, spojrzął w dół i zastanawiał się, jaka plaga, wojna czy klątwa kazały przedstawicielom tej starożytnej, białej rasy opuścić tę twierdzę i wmieszać się w okoliczne czarnoskóre plemiona.

Dolina była ich twierdzą. Stał tam pałac, w którym mieszkała wyłącznie rodzina królewska wraz z dworem. Miasto zbudowano na zewnątrz skalnych ścian. Falująca dżungla skrywała jego ruiny. Ale kopuły, które błyszczały wśród liści poniżej, były dobrze zachowane, jakby cały pałac Alkmeenon stawiał opór niszczącemu wpływowi czasu.

Przerzuciwszy nogę przez krawędź, Conan zsunął się prędko w dół. Wewnętrzna strona skalnej ściany była bardziej wyszczerbiona i mniej stroma. Zejście na trawiaste podłoże doliny trwało znacznie krócej, niż wspinaczka po zewnętrznej stronie.

Opierając dłoń na mieczu, rozejrzał się uważnie wokół siebie. Ludzie mówili, że Alkmeenon stało puste i opuszczone, zamieszkane tylko przez duchy przeszłości, ale w naturze Conana leżała podejrzliwość i ostrożność. Cisza była przejmująca; wśród gałęzi nie poruszał się ani jeden liść. Zajrzał między drzewa, ale zobaczył tylko równe rzędy pni, niknące stopniowo w błękitnej ciemności głębi lasu.

Mimo to szedł ostrożnie z mieczem w dłoni i rozglądał się niespokojnie. Starał się bezgłośnie stawiać kroki. Mijał pozostałości starożytnej cywilizacji – ciche i popadające w ruinę marmurowe fontanny, które stały w kręgu wiotkich drzew, zasadzonych w równych rzędach zapewne ludzką ręką. Leśne poszycie i krzewy rozrastały się dziko, ale widać było, iż stanowiły część niezwykle starannie zaplanowanego ogrodu. Pod drzewami biegły szerokie, zniszczone chodniki, a w szczelinach między płytami rosła

trawa. Conan dojrzał mury o zdobnych zwieńczeniach, które mogły kiedyś służyć jako ściany pawilonów rozkoszy, i wyrżnięte w kamieniu altany.

Pomiędzy drzewami dostrzegł zwieńczone kopułami budowle. W końcu minął gąszcz porośniętych winoroślą gałęzi i wyszedł na otwartą przestrzeń, gdzie nie było już poszycia. Ujrzał przed sobą szeroki, wsparty na kolumnach, portyk pałacu.

Wchodząc po szerokich, marmurowych schodach, zauważył, że gmach był dużo lepiej zachowany niż mniejsze budowle, które widział wcześniej. Grube ściany i masywne kolumny były zapewne zbyt potężne, by poddać się upływowi czasu czy ulec żywiołom. Nad wszystkim panowała ta sama, zakłęta cisza. Kocie stapanie jego obutych w sandały stóp brzmiało w niej dziwnie głośno.

Przeszedł do szerokiego, wysokiego przedsionka między smukłymi kolumnami, pod którymi widać było sklepienia dawno przegniłych bram. Po jego drugiej stronie natknął się na podwójne drzwi z brązu, które były częściowo uchylone, najprawdopodobniej od wielu wieków. Wszedł do dużej, zwieńczonej kopułą komnaty, która musiała być kiedyś salą audiencyjną królów Alkmeenon.

Pomieszczenie było ośmiokątne, a w wyniosły sufit wbudowano wiele świetlików, dzięki czemu komnata była dużo jaśniejsza, niż prowadząca do niej sień. W dalszej części wznosił się piedestał. Prowadziły do niego szerokie schody z lapis-lazuli, a na zwieńczeniu stał masywny tron ze zdobionymi podłokietnikami i wysokim oparciem, które niegdyś na pewno podtrzymywało złoty baldachim. Conan chrząknął gwałtownie i jego oczy zapłonęły. To złoty tron Alkmeenon, opiewany w odwiecznych legendach! Oszacował go wytrawnym okiem. Gdyby był w stanie wynieść mebel z komnaty, byłby naprawdę bogaty. Jego przepych podsycił wyobrażenia o samym skarbie. Dusza Conana zapłonęła chciwością. Nie mógł się doczekać, by ujrzeć klejnoty, o których tyle słyszał na rynkach Keshii, w opowieściach przekazywanych od wieków z ust do ust. Bezcenne klejnoty – rubiny, szmaragdy, diamenty, karneole, opale i szafiry... Cały przepych starożytnego świata.

Oczekiwał, że na tronie ujrzy wizerunek wyroczni, ale najwyraźniej musiała być w innej części pałacu, jeśli oczywiście istniała naprawdę. Ale odkąd przybył do Keshan, wiele mitów okazało się prawdą. Nie wątpił zatem, że spotka tu jakieś bóstwo.

Za tronem znajdowały się wąskie, sklepione drzwi, które niewątpliwie były ukryte za kotarami w czasach, gdy Alkmeenon tętniło życiem. Spojrzał przez nie i przekonał się, że prowadziły do pustej alkowy, od której odchodził pod kątem prostym wąski korytarz. Sprawdził też inny, po lewej stronie piedestału, który – w przeciwieństwie do pozostałych – znajdował się za drzwiami. Nie były to zwyczajne podwoje, zbudowano je bowiem z tego samego drogocennego materiału co tron. Wyrzeźbiono na nich również wiele dziwnych wzorów.

Drzwi ustąpiły pod jego dotykiem tak łatwo, jak gdyby ich zawiasy dopiero zostały naoliwione. Zatrzymał się w środku, rozglądając dokoła.

Znajdował się w niedużej kwadratowej komnacie, której marmurowe ściany wznosiły się pod zdobiony złotymi inkrustacjami sufit. Złocene fryzy biegły u podstawy i u szczytu ścian; drzwi, przez które przeszedł, były jedynym wejściem, ale Conan nie zwracał uwagi na te szczegóły. Całą uwagę skoncentrował na stojącym przed nim piedestale z kości słoniowej.

To, co zobaczył, nie mogło być dziełem żadnego rzeźbiarza. Posąg nie mógł być wykonany z metalu, kamienia, ani kości słoniowej. Leżała przed nim ludzka postać nieziemskiej wręcz urody.

Conan nie chciał się nawet domyślać, za sprawą jakiej czarnej magii starożytni zdołali zachować ciało tej kobiety w nieskalanym stanie przez tyle wieków. Nawet jej szaty zachowały się nietknięte. Na twarzy Conana pojawił się niepokój. Magia, która zachowała ciało, nie mogła dotyczyć szat. A jednak widział złote napierśniki z koncentrycznymi kołami z małych klejnotów, połączane sandały i krótką, jedwabną spódnicę, podtrzymywaną wysadzonymi kosztownościami pasem. Ani ubrania, ani metal nie nosiły żadnych znaków rozkładu.

Ciało Yelai, choć martwe, było w dalszym ciągu piękne, szczupłe i alabastrowe, emanowało czystym, pierwotnym erotyzmem. Wśród ciemnej, spiętrzonych kaskady włosów błyszczał wielki, szkarłatny klejnot.

Conan przyglądał jej się przez chwilę, po czym uderzył mieczem w piedestał. Przyszło mu do głowy, że tam właśnie mógł być ukryty skarb, ale dźwięk nie wskazywał żadnej pustej przestrzeni w środku. Bezradnie okrążył komnatę. Gdzie powinien szukać najpierw? Czasu nie miał zbyt wiele. Podśledzał rozmowę między kapłanem i dworzaniem, z której wynikało, że skarb znajduje się w pałacu. Ale on był ogromny. Pomyślał, że może powinien poczekać na duchownych i szukać ponownie po ich wyjściu. Ale istniało spore prawdopodobieństwo, że zabiorą ze sobą

klejnoty i zaniósł je do Keshii. Był bowiem przekonany, że Thutmekri przekupił Gorulgę.

Dobrze znał Thutmekriego, dlatego mógł przejrzeć jego plany. Wiedział, że to on zaproponował królom Zimbabwe podbój Puntu, i że cały ten podbój miał służyć czemu innemu – zdobyciu Zębów Gwahlura. Ostrożni królowie musieli zażądać dowodu na to, że skarb istnieje naprawdę, zanim zdecydują się na kolejny ruch. Klejnoty, o które prosił Thutmekri w ramach zobowiązania, miały im go dostarczyć.

Mając pewność, że skarb naprawdę istnieje, władcy Zimbabwe zaatakują Punt jednocześnie ze wschodu i zachodu. Zatrzeszczą się jednak o to, by walczyli głównie Keshani, po czym, kiedy zarówno Punt, jak i Keshan zostaną zdziesiątkowane, Zimbabwejczycy ruszą na oba kraje, złupią Keshan i siłą wezmą skarb, nawet gdyby mieli zniszczyć każdy budynek i torturować wszystkich ludzi w królestwie.

Jednak zawsze istniała jeszcze jedna możliwość. Gdyby Thutmekri położył łapy na skarbie, oszukanie mocodawców byłoby całkiem w jego stylu. Ukradłby klejnoty i uciekł, pozostawiając zimbabwejskich emisariuszy z pustymi rękoma.

Conan sądził, że wizyta u wyroczni była wybiegiem, który miał przekonać króla Keshan, by przystał na roszczenia Thutmekriego. Nawet przez chwilę nie wątpił, że Gorulga był równie zły, jak cała reszta postaci zamieszanych w to oszustwo. Sam Conan nigdy nie zbliżył się do najwyższego kapłana, bo w politycznych grach nie miałyby żadnych szans z Thutmekrim, a sama próba byłaby wodą na młyn Stygijczyka. Gorulga mógłby wydać Cymmeryjczyka, potwierdzając tym samym reputację człowieka uczciwego i pomagając za jednym zamachem Thutmekriemu pozbyć się rywala. Zastanowiło go, w jaki sposób Thutmekri przekupił najwyższego kapłana, i co mógł zaoferować człowiekowi, który wiedział, gdzie jest największy skarb świata.

Niemniej był pewien, co powie wyrocznia. Że jest wolą bogów, by Keshan ustąpił wobec żądań Thutmekriego, jak również, że należy wyrzucić go z królestwa. Nie zamierzał zresztą tam wracać.

W komnacie nie znalazł żadnej wskazówki. Wrócił do wielkiej sali i położył ręce na tronie. Był ciężki, ale mógłby go rozbujać. Podłoga pod nim, gruby marmurowy piedestał, była solidna. Raz jeszcze przeszukał alkowę. Uczepił się myśli o sekretnej krypcie w pobliżu wyroczni. Skrupulatnie zaczął ostukiwać ściany i w pewnym momencie usłyszał echo

u wejścia do wąskiego korytarza. Szczelina między marmurowymi kaflami była w tym miejscu szersza niż pozostałe. Włożył weń ostrze sztyletu i wyważył odrzwia. Cicho ustąpiły, ukazując zagłębienie w ścianie. Conan zaklął namiętnie. Otwór był pusty. Nie wyglądał, jakby kiedykolwiek miał służyć za kryptę dla skarbu. Pochylając się nad niszą, ujrzał konstelację małych szczelin w ścianie, mniej więcej na poziomie ust człowieka. Zajrzał do środka i mruknął ze zrozumieniem. Była to ściana dzieląca alkowę i komnatę wyroczeni. Otwory nie były widoczne z zewnątrz. Conan wyszczerzył się w uśmiechu. To tłumaczyło tajemnicę wyroczeni. Była dużo mniej przemyślna, niż sądził. Gorulga schowa się tam, albo ukryje tu jakiegoś zaufanego sługę. Przemówi do studni, a wszyscy naiwni akolici uznają to za prawdziwy głos Yelai.

Cymmeryjczyk przypomniał sobie nagle o pergaminie, który zabrał mumii. Rozłożył go ostrożnie, gdyż papier zdawał się rozpadać ze starości. Pismo było bardzo niewyraźne. W wędrówkach po świecie olbrzymi poszukiwacz przygód przyswoił całkiem sporo przydatnej wiedzy, zwłaszcza zaś mowę i pismo obcych ludów. Wielu uczonych, pracujących w zacisznych gabinetach, byłoby zdumionych zdolnościami językowymi Cymmeryjczyka. Wielokrotnie zresztą znajomość obcego języka uratowała mu życie...

Pismo było zdumiewające. Znajome, a jednak nieczytelne. Nagle zrozumiał, dlaczego. Były to znaki starożytnego pelishtańskiego języka, które różniły się znacznie od współczesnego. Zostały zmodyfikowane po podboju nomadycznego plemienia trzysta lat temu. Ten starszy i czystszy zapis wytrącił go z równowagi. Dostrzegł jedno powtarzające się wyrażenie: „Bit Yakin”. Było to imię kronikarza.

Z grymasem niezadowolenia i wielkim wysiłkiem usiłował odczytać manuskrypt. Rozumiał tylko fragmenty.

Pisarz, tajemniczy Bit Yakin, przybył z daleka ze swymi sługami i wkroczył do doliny Alkmeenon. Dalszy zapis był niezrozumiały, pełen nieznanym Conanowi wyrażen i liter. To zaś, co mógł przetłumaczyć, zdawało się wskazywać, że spędził w królestwie wiele czasu. Często pojawiała się imię Yelai. W ostatniej części manuskryptu stało się jasne, że Bit Yakin wiedział, iż jest skazany na śmierć. Z lekkim zdumieniem zdał sobie sprawę, że mumia w jaskini musiała być zwłokami autora manuskryptu, tajemniczego Pelishta, Bita Yakina. Mężczyzna umarł tak, jak

to przepowiedział, a śludzy umieścili go w tej otwartej krypcie, wysoko na skałach, zgodnie z jego instrukcjami.

Wydało mu się dziwne, że nie wspominały o nim żadne legendy o Alkmeenon. Najwyraźniej przybył do doliny po tym, jak jej pierwotni mieszkańcy ją opuścili – na to wskazywał manuskrypt – ale wydawało się dziwne, że kapłani, którzy przybywali tu w dawnych czasach, by poradzić się wyroczni, nie spotkali ani tego mężczyzny, ani jego sług. Conan był pewien, że mumia i jej manuskrypt miały więcej niż sto lat. Bit Yakin mieszkał w dolinie, kiedy kapłani przychodzili tu, by pokłonić się martwej Yelai, ale legendy o tym milczały, opowiadając tylko o zamieszkanym przez zmarłych opuszczonym mieście.

Dlaczego ktoś mieszkał w tym opuszczonym miejscu i w jakie nieznane strony wyruszyli jego śludzy po śmierci mistrza?

Conan wzruszył ramionami i schował pergamin z powrotem za pas. Nagle zerwał się na równe nogi, czując przeszywające mrowienie w dłoniach. W sennej ciszy zagrzemiał głęboki i przenikliwy dźwięk potężnego gongu!

Odwrócił się i z mieczem w dłoni przyczaił jak wielki kot. Dźwięk zdawał się dochodzić z wąskiego korytarza. To nie mogli być już kapłani, minęło za mało czasu. Ale gong był żywym dowodem ludzkiej obecności.

Conan był człowiekiem czynu, dzięki doświadczeniu nabytemu podczas kontaktu z bardziej przebiegłymi rasami. Kiedy coś go zaskakiwało, wracał do swego naturalnego zachowania. Tak i teraz, zamiast kryć się czy przekradać w przeciwnym kierunku, co uczyniłby przeciętny człowiek, pobiegł prosto w kierunku dźwięku. Jego sandały były ciche niczym łapy pantery. Zmrużył oczy, a wargi wygięły się mimowolnie. Przez chwilę jego duszę ogarnęła panika, jednak gwałtowny gniew człowieka prymitywnego, budzący się w obliczu niebezpieczeństwa, zawsze brał górę.

Wychynął z krętego korytarza na mały, otwarty dziedziniec. Coś błyszczącego w słońcu przykuwało jego wzrok. Był to gong – wielki, złoty dysk, zwisający ze złotej rury, przymocowanej do walącej się ściany. Obok leżał młot. Nic jednak nie zdradzało ludzkiej obecności. Conan długo, jak mu się zdawało, stał przyczajony w bramie. W wielkim pałacu było jednak cicho i pusto. W końcu jego cierpliwość uległa wyczerpaniu. Prześlizgnął się w kierunku narożnika dziedzińca i zajrzał w głąb arkad, gotów błyskawicznie odskoczyć bądź zaatakować jak kobra.

Podszedł do gongu i zajrzał pod najbliższy łuk. Zobaczył tylko pełną gruzu, tonącą w półmroku komnatę. Wokół gongu, na polerowanej marmurowej posadzce nie było widać żadnych śladów, ale w powietrzu unosił się dziwny zapach: odległy fetor, którego nie mógł zidentyfikować, choć jego nozdrza rozszerzały się jak u dzikiej bestii.

Nagle z zatrważającą prędkością pozornie solidne kafle rozstały się pod jego stopami. Gdy poleciał w dół, rozłożył szeroko ramiona i złapał się krawędzi rozwierającej się pod nim studni, ale kamienie ustąpiły pod jego zaciskającymi się palcami. Z niezwykłą szybkością spadał w dół w kompletną ciemność. Wpadł do lodowatej wody, której wir porwał go z zapierającą dech w piersiach prędkością.

ROZDZIAŁ DRUGI

PRZEBUDZENIE BOGINI

W pierwszej chwili nie próbował walczyć z prądem. Utrzymał się na wodzie, miecz trzymając w zębach. Nie zastanawiał się też, w jakim kierunku płynął, ale nagle promień światła przeszył ciemność przed nim. Zobaczył wzburzoną i spienioną powierzchnię wody, która wirowała, jak gdyby poruszana przez jakiegoś potwora z głębin. Zobaczył też pionowe kamienne ściany kanału, wyginające się w sklepienie. Po każdej stronie, tuż pod wygiętym stropem biegły wąskie półki, ale były za wysoko, by w ogóle myśleć o ich sięgnięciu. W jednym miejscu dach się zapadł, i przez otwór wlewało się światło. Był to jednak jedyny promień i Conana ogarnęła panika, kiedy zrozumiał, że wkrótce przepłynie obok tej świetlistej plamy i powróci w nieznaną czerń.

Potem jednak zobaczył coś jeszcze: brązowe drabiny, ustawione w regularnych odstępach i prowadzące od półek aż do powierzchni wody; jedna z nich była tuż przed nim. Instynktownie ruszył w jej kierunku, walcząc z prądem, który trzymał go na środku strumienia i ciągnął w dół. Conan jednak zgarniał wzburzoną wodę siłą desperacji i podpływał coraz bliżej i bliżej do brzegu, walcząc o każdy cal. Zrównał się z drabiną i dzikim, wyciskającym ostatnie siły skokiem, uchwycił się dolnego stopnia i zawisł bez tchu.

Parę chwil później wygramolił się ze wzburzonych fal, ostrożnie podciągając się na zardzewiałych szczeblach. Chwiały się i gięły, ale wytrzymały jego ciężar. Wyczołgał się na wąską półkę, która biegła wzdłuż ściany, ledwo pozostawiając miejsce dla człowieka pod wybrzuszonym sklepieniem. Wysoki Cymmeryjczyk musiał pochylić głowę. W kamieniu na wysokości drabiny ukazały się ciężkie, spiżowe drzwi, ale nie ustąpiły pod jego naporem. Wyjął miecz pomiędzy zębów i schował go do pochwy, plując krwią, bowiem pokaleczył sobie usta podczas dzikiej walki z rzeką. Skoncentrował się na zapadniętym dachu.

Zdołał wyciągnąć przez szczelinę ramiona i chwycić się krawędzi. Sprawdził ostrożnie, czy go utrzyma. Przecisnął się przez otwór i stanął w ogromnej, zrujnowanej komnacie. Większość dachu zapadła się,

podobnie jak znaczna część podłogi nad podziemną rzeką. Zapadnięte arkady prowadziły do innych pomieszczeń i korytarzy. Conan przypuszczał, że wciąż znajduje się w wielkim pałacu. Z niepokojem pomyślał, ile jeszcze pałacowych komnat miało wprost pod sobą podziemne wody i czy starożytna posadzka znów się nie rozpadnie.

Zastanawiał się też, na ile przypadkowy był jego upadek. Czy zmurszała podłoga ustąpiła przypadkowo pod jego ciężarem, czy może raczej ktoś mu pomógł w upadku? Jedna rzecz przynajmniej była pewna: nie był sam w tym pałacu. Gong nie zabrzmiał ot, tak sam z siebie, niezależnie od tego, czy dźwięk ten miał przywieść go do śmierci czy nie. Wokół panowała złowieszcza cisza.

A może ktoś jeszcze przyszedł tu z podobną misją? Kiedy przypomniawszy sobie tajemniczego Bita Yakina pomyślał, że ten człowiek odkrył Zęby Gwahlura podczas swego długiego pobytu w Alkmeenon i że jego słudzy zabrali go ze sobą, opuszczając to miejsce. Rozsierzdziła go myśl, że mógł przyjść tu na próżno.

Wybrał korytarz, który, jak mniemał, prowadził z powrotem do tej części pałacu, do której trafił najpierw. Pobiegnął nim bardzo ostrożnie, pamiętając o czarnej, pędzącej rzece, pieniającej się gdzieś pod jego stopami.

Jego myśli nieustannie krążyły wokół komnaty wyroczni i tajemniczej królowej. Gdzieś w okolicy musi znajdować się klucz do tajemnicy skarbu, jeśli rzeczywiście wciąż był ukryty w tym samym miejscu.

Wielki pałac pogrążony był w ciszy, którą mącił tylko odgłos jego kroków. Komnaty i korytarze, przez które przebiegał, chyliły się ku upadkowi, ale dowody rozpadu stawały się coraz mniej widoczne. Przez chwilę zastanawiał się, czemu miały służyć drabiny, zawieszane na półkach nad podziemną rzeką, ale skwitował rozważanie tej kwestii wzruszeniem ramion. Nie interesowały go tajemnice starożytności, na których nie można się wzbogacić.

Conan nie był pewien, czy obrał właściwy kierunek, ale nagle wyszedł na korytarz, który wyprowadził go z powrotem do wielkiej sali tronowej. Podjął decyzję: nie było sensu krążyć bez celu po pałacu w poszukiwaniu skarbu. Ukryje się gdzieś w pobliżu i poczeka, aż nadejdą keshkańscy kapłani. Kiedy odegrają komedię z pytaniem wyroczni o radę, pójdzie za nimi do miejsca, gdzie ukryte są klejnoty. Nawet jeśli zabiorą część skarbu, on zadowolony będzie resztą.

Wiedziony chorobliwą fascynacją Conan wszedł raz jeszcze do komnaty i spojrzął na nieruchomą postać czczoną jak boginię księżniczki, zahipnotyzowany jej zimnym pięknem. Jaki sekret krył się w tym pięknym ciele?

I nagle gwałtownie podskoczył. Zaparło mu dech w piersiach, a włosy na głowie stanęły mu dęba. Ciało w dalszym ciągu leżało nieruchomo, w napierśnikach z pokrytego klejnotami złota, pozłacanych sandałach i jedwabnej sukni. Widać było jednak subtelną różnicę. Jej smukłe członki nie były już blade. Na policzki wrócił brzoskwiniowy kolor, a usta były czerwone...

Przerażony Conan wydarł miecz z pochwy.

– Na Croma! Ona żyje!

Długie, czarne rzęsy uniosły się na te słowa i zagadkowe, ciemne, mistyczne oczy spojrzały na niego. Conan oniemiał.

Księżniczka usiadła, nie spuszczając z niego czarownego wzroku.

Conan oblizwał suche wargi i wyksztusił:

– Czy ty... Czy ty jesteś Yelayą? – wyjąkał.

– Tak, to ja – jej głos był głęboki i muzykalny. – Nie lękaj się. Nie skrzywdzę cię, jeśli wykonasz moje polecenie.

– Jak zmarła kobieta może wrócić do życia po tylu stuleciach? – zapytał, nie wierząc własnym oczom, w których zaczynał płonąć dziwny blask.

Kobieta podniosła ramiona w mistycznym geście.

– Jestem boginią. Tysiąc lat temu zesłano na mnie przekleństwo bogów ciemności. Jako istota śmiertelna umarłam, ale bogini wciąż żyła. Leżałam tu wiele wieków, budząc się każdej nocy o zachodzie słońca i troszcząc o mój dwór jak dawniej, a z cieni przeszłości wyłaniały się duchy. Człowieku, jeśli nie chcesz zostać potępiony na zawsze, uciekaj stąd od razu! Rozkazuję ci! Idź! – jej głos stał się władczy, a szczupłe ramię uniosło się i wskazało mu drogę.

Conan, z płonącymi oczami zwężonymi w szparki, powoli włożył miecz do pochwy. Nie posłuchał rozkazu. Pod wpływem przemożnej fascynacji podszedł bliżej i bez najmniejszego ostrzeżenia pochwycił ją w niedźwiedzim uścisku. Kobieta wrzasnęła w całkiem ludzki sposób, kiedy Conan jednym ruchem zdarł z niej jedwabną suknię.

– Bogini! Ha! – krzyknął Conan gniewnie. Zignorował szaleńcze próby uwolnienia się z żelaznego uścisku. – Wydawało mi się dziwne, że księżniczka Alkmeenon mówi z korynckim akcentem! Jak tylko

odzyskałem rozum, wiedziałem, że gdzieś cię wcześniej widziałem. Jesteś Muriela, koryncka tancerka Zargheby! Dowodzi tego znamię w kształcie półksiężyca na twoim biodrze. Widziałem je raz, kiedy Zargheba smagał cię biczem. Bogini! Też mi coś! – bezceremonialnie zdzielił ją po pośladku otwartą dłonią, a dziewczyna zaskowyczała żałościwie.

Uszedł z niej cały majestat. Nie była już tajemniczą postacią starożytności, tylko przerażoną i upokorzoną tancerką, jaką można kupić na niemal każdym shemickim rynku. Dziewczyna zaczęła płakać. Cymmeryjczyk spojrział na nią z gniewnym triumfem.

– Bogini! Ha! A więc to ty byłaś jedną z zawołowanych kobiet, które Zargheba przywiózł ze sobą do Keshii. Myślałaś, że możesz mnie zwieść, mała idiotko? Rok temu widziałem cię w Aktibanie z tą świnią Zarghebą, a ja nie zapominam ani twarzy, ani kobiecych ciał. Myślę, że...

Wijąca się w jego uścisku dziewczyna zarzuciła szczupłe ramiona wokół jego masywnej szyi w zapamiętałym przerażeniu. Po jej policzkach płynęły łzy, a łkanie wstrząsało histerycznie drobnym ciałem.

– Ach, proszę, nie rób mi krzywdy! Musiałam to zrobić! Zargheba zostawił mnie tu, bym odegrała rolę wyroczni!

– Ale po co, ty bluźniercza mała dziwko? – huknął Conan. – Nie boisz się kary boskiej? Na Croma! Czy nie ma już uczciwych ludzi?

– Ach, proszę! – błagała dziewczyna, trzęsąc się w skrajnym przerażeniu.
– Nie mogłam nie posłuchać Zargheby. Och, co ja teraz pocznę! Zostanę przeklęta przez tych pogańskich bogów!

– Jak myślisz, co zrobią ci kapłani, kiedy odkryją, że jesteś oszustką? – spytał Conan.

Na myśl o tym ugięły się pod nią nogi. Objęła mężczyznę za kolana i prosiła nieskładnie o litość i ochronę, zapewniając o swej niewinności i braku jakichkolwiek złych intencji. Strach wręcz ją paraliżował.

– Gdzie jest Zargheba? – spytał Conan. – Przestań wreszcie jęczeć, do ciężkiej cholery i odpowiadaj!

– Na zewnątrz pałacu – załkała. – Czeka na kapłanów.

– Ilu ma mężczyzn?

– Żadnego. Przyszliśmy sami.

– Ha! – zabrzmiało to jak pełen satysfakcji ryk polującego lwa. – Musieliście opuścić Keshię parę godzin po mnie. Wspinaliście się po skalnej ścianie?

Potrząsnęła głową, zbyt przyduszona łzami, by powiedzieć cokolwiek. Conan potrząsał nią, dopóki nie zaczęła dyszeć.

– Przestań ryczeć i zacznij odpowiadać! Jak dostaliście się do doliny?

– Zargheba zna sekretne przejście – wysapała. – Powiedzieli mu o nim kapłan Gwarunga i Thutmekri. Na południu doliny, u stóp skalnej ściany znajduje się szeroka sadzawka. Pod powierzchnią wody jest wejście do jaskini, niewidocznej dla przypadkowych spojrzeń, która prowadzi przez skały na drugą stronę. Wewnątrz doliny otwór jest zasłonięty gęstymi krzakami.

– A ja, jak ostatni matoł, wdrapywałem się na ścianę po wschodniej stronie... – mruknął Conan. – No dobrze, co potem?

– Przyszliśmy do pałacu i Zargheba ukrył mnie między drzewami, podczas gdy sam poszedł szukać komnaty wyroczni. Nie sądzę, by całkowicie ufał Gwarundze. Kiedy go nie było, zdawało mi się, że słyszę dźwięk gongu, ale nie jestem tego pewna. Zargheba wrócił, zabrał mnie do pałacu i zostawił w komnacie, gdzie na piedestale leżała bogini Yelaya. Zabrał ciało i ubrał mnie w jej szaty. Potem wyszedł, by ukryć zwłoki i czekać na przybycie kapłanów. Kiedy wszedłeś, chciałam podskoczyć i błagać cię, byś mnie stąd zabrał, ale bałam się Zargheby, ale skoro odkryłeś, że żyję, pomyślałam, że mogę cię wystraszyć.

– Co miałaś powiedzieć jako wyrocznia? – zapytał Conan.

– Miałam kazać kapłanom, by wzięli Zęby Gwahlura i dali część z nich Thutmekriemu w ramach zobowiązania, a resztę ukryli w pałacu w Keshii. Miałam też powiedzieć, że Keshan czeka straszliwy los, jeśli nie przystaną na propozycję Thutmekriego, Ach, no tak... I żeby ciebie natychmiast obdarli żywcem ze skóry.

– Thutmekri chce, by skarb znalazł się w miejscu, skąd łatwo będzie go wykraść – wymamrotał Conan, nie zwracając uwagi na szczegóły dotyczące jego osoby. – Jeszcze mu wyrwę wątrobę... Naturalnie Gorulga jest w to zamieszany?

– Nie. On wierzy w swoich bogów i jest nie do przekupienia. O niczym nie wie i posłucha wyroczni. Na tym opiera się plan Thutmekriego. Wiedząc, że pójdzie poradzić się wyroczni, zmusił Zarghebę, by w tajemnicy zabrał mnie ze sobą.

– Cóż, mam zatem problem – mruknął Conan. – Kapłan, który wierzy swojej wyroczni i jest uczciwy. Na Croma! Zastanawiam się, czy to nie

Zargheba uderzył w gong. On wie, że tu jestem? Mógł wiedzieć coś na temat przegniłej podłogi? Gdzie jest teraz?

– Ukrywa się w gąszczu drzew lotosowych, niedaleko alei prowadzącej od południowej ściany do pałacu – odparła dziewczyna. Następnie ponowiła nalegania: – Conanie, miej nade mną litość! Boję się tego złowieszczego, starożytnego pałacu! Na pewno słyszałam odgłos ukradkowych kroków, tupoczących wokół mnie... Zabierz mnie ze sobą. Zargheba mnie zabije, kiedy wykonam zadanie – wiem o tym! Ale zrobią to też kapłani, jeśli odkryją oszustwo! On jest diabłem! Kupił mnie od handlarza niewolników, który wykradł mnie z karawany podróżującej po południowym Koth. Od tego czasu byłam narzędziem jego intryg. Zabierz mnie od niego! Na pewno nie jesteś równie okrutny jak on! Nie zostawiaj mnie tutaj na pewną śmierć! Proszę! Proszę!

Kłęcząca, przywierając kurczowo do Conana. Zwracała ku niemu swą piękną, zapłakaną twarz, a jej czarne, jedwabiste włosy spływały w nieładzie po białych ramionach. Conan podniósł ją i posadził sobie na kolanie.

– Ochronię cię przed Zarghebą. Kapłani nie odkryją oszustwa. Ale musisz zrobić to, co ci teraz powiem.

Dziewczyna wyjąkała obietnicę posłuszeństwa, uwieszając się na jego umięśnionej szyi, szukając w jego ramionach bezpieczeństwa.

– Kiedy przyjdą kapłani, odegrasz rolę Yelai, jak to zaplanował Zargheba. Będzie ciemno, a w świetle pochodni nie zauważą różnicy. Oto, co im powiesz: „Jest wolą bogów, by Stygijczyk i jego shemickie psy zostali wypędzeni z Keshan. To złodzieje i zdrajcy, którzy usiłują okraść wszechmocnych. Niech Zęby Gwahlura zostaną powierzone opiece generała Conana. On poprowadzi armię Keshan. To ulubieniec bogów”.

Dziewczyna była przerażona, ale przystała na to.

– A co z Zarghebą?! – zakrzyknęła. – On mnie zabije.

– Nie martw się o Zarghebę – warknął Conan. – Zajmę się tym psem. Zrób, jak mówię. No już, popraw sobie włosy. Zamiast fryzury godnej bogini masz na łepetynie jakiś kołtun. I wypadł z nich klejnot.

Upiął go w jej włosach.

– Sam ten klejnot jest wart chyba setki niewolników. No już, ubierz się. Szata jest rozdarta na boku, ale kapłani tego nie zobaczą. Wytrzymaj twarz. Bogini nie płacze jak uczennica. Na Croma, naprawdę wyglądasz jak

Yelaya, włosy, twarz, figura, wszystko! Jeśli odegrasz swoją rolę przed kapłanami tak dobrze jak przede mną, zwiedzisz ich z łatwością.

– Spróbuję – wzdrygnęła się dziewczyna.

– Dobrze. Pójdę poszukać Zargheby.

Dziewczyna znów zadrżała.

– Nie! Nie zostawiaj mnie samej! To miejsce jest nawiedzone!

– Nic ci tu nie grozi – zapewnił ją zniecierpliwiony Conan. – Nic poza Zarghebą, a ja idę się nim zająć. Zaraz wracam. Będę cię obserwował na wypadek, gdyby podczas ceremonii coś poszło nie tak. Ale jeśli dobrze odegrasz swą rolę, nic się nie stanie.

Wybiegł z komnaty, a Muriela jęknęła bezsilnie.

Zapadał zmierzch. Wielkie pokoje i przedsionki ciemniały. Miedziane fryzy błyszcząły matowo w półmroku. Conan przemierzał wielkie korytarze jak cicha zjawa, mając wrażenie, że jest obserwowany przez niewidzialne duchy przeszłości, kryjące się w ocienionych zakamarkach. Nic dziwnego, że dziewczyna była zdenerwowana.

Prześlizgnął się po marmurowych schodach niczym polująca pantera, z mieczem w gotowości. Nad doliną panowała cisza. Ponad krawędzią skalnych ścian błyszcząły gwiazdy. Jeśli kapłani z Keshii weszli już do doliny, nie zdradzał ich żaden dźwięk ani ruch wśród zieleni. Dostrzegł starożytną aleję z pokruszonym chodnikiem, ciągnącą się na południe i zarośniętą gęstymi krzewami. Poszedł nią ostrożnie, trzymając się krańca chodnika, gdzie zarośla rzucały gęste cienie. Wreszcie zobaczył przed sobą niewyraźną o zmierzchu kępę drzew lotosowych, dziwną roślinność typową dla czarnych ziem Kush. Z tego, co mówiła dziewczyna, tam właśnie powinien czaić się Zargheba. Conan bardzo ostrożnie ukrył się w zaroślach.

Okrażył lotosowy gaj, a jego nadejście zwiastował ledwo słyszalny szmer liści. Zatrzymał się nagle na skraju drzew i zaczął w gęstwinie jak podejrzliwa pantera. W gęstym listowiu przed nim pojawił się blady owal, nieco przyćmiony w chybotliwym świetle. Mógł to być jeden z wielkich białych kwiatów, kwitnących tam gęsto, jednak Conan wiedział, że była to ludzka twarz. Czy Zargheba go zobaczył? Mężczyzna patrzył prosto w jego stronę. Mijały sekundy. Rozmazana twarz nie poruszyła się. Conan dostrzegł jego krótką czarną brodę.

Nagle Conan zdał sobie sprawę z czegoś dziwnego. Wiedział, że Zargheba nie był wysokim mężczyzną – ledwie sięgał do ramion Cymmeryjczyka; tymczasem jego twarz znajdowała się na wysokości

twarży Conana. Zapewne na czymś stał. Conan pochylił się i zerknął na ziemię, ale widok był ograniczony przez poszycie i grube pnie drzew. Nagle zamarł. Przez przerwę w poszyciu dojrzał pień drzewa, pod którym, jak się zdawało, stał Zargheba. Ale była tam tylko jego głowa – ani śladu reszty ciała!

Spięty bardziej, niż tropiący ofiarę tygrys wślizgnął się głębiej w zarośla i chwilę później spoglądał w nieruchomą twarz. Przed nim widniała odcięta głowa Zargheby, zawieszona na gałęzi drzewa na jego własnych, długich, czarnych włosach.

ROZDZIAŁ TRZECI

POWRÓT WYROCZNI

Conan odwrócił się zwinnie, uważnie obserwując otoczenie. Po ciele zamordowanego mężczyzny nie było śladu. W pewnej odległości wysoka, bujna trawa została zdeptana, a murawa błyszcząca wilgocią. Conan stał w ciszy, wstrzymując oddech i wytyżając słuch. Drzewa i krzewy o bladych kwiatach górowały nad nim, spokojne i mroczne, odcinając się na tle zapadającej ciemności.

Umysł Conana podszeptował mu prymitywne lęki. Czy to dzieło kapłanów Keshan? Jeśli tak, to gdzie oni są? Czy to Zargheba uderzył w gong? Po raz kolejny przypominał sobie o Bicie Yakinie i jego tajemniczych służących. Pisarz umarł, stał się wysuszoną mumią, by po kres czasów witać wschodzące słońce w swojej jaskini. Ale po jego służbie ślad zaginął. Nie było dowodów na to, że kiedykolwiek opuścili dolinę.

Conan pomyślał o dziewczynie, samej w wielkim, cienistym pałacu. Odwrócił się i pobiegł ciemną aleją jak podejrzliwa pantera, gotowy w każdej chwili zadać śmiertelny cios.

Pałac wynurzał się spomiędzy drzew i Conan zobaczył coś nowego: odbłask ognia odbijający się czerwono na polerowanym marmurze. Rozpłynął się w zaroślach otaczających zrujnowaną ulicę, prześlizgnął przez gęste krzewy i dotarł na otwartą przestrzeń tuż przed portykiem. Usłyszał głosy; światła pochodni wydobywały z ciemności hebanowe ramiona. Nadeszli kapłani Keshan.

Przybyli inną drogą, niż oczekiwał tego Zargheba. Najwyraźniej było więcej sekretnych przejść do doliny Alkmeenon.

Zapełniali szerokie, marmurowe schody. Na czele Conan zobaczył Gorulę, jego profil w świetle pochodni wyglądał jak wyrzeźbiony w miedzi. Otaczali go akolici: wielcy, czarnoskórzy mężczyźni. Na końcu procesji skradał się wielki Murzyn o niebywale nickszemnym wyrazie twarzy, na widok którego Conan jęknął. Był to Gwarunga, który zdradził Zarghebie sekret tajemnego przejścia przez jaskinię pod sadzawką. Conan zastanawiał się, jak głęboko ten człowiek uwikłany był w intrygi Stygijczyka.

Cymmeryjczyk pobiegł w stronę portyku, unikając otwartej przestrzeni. Kapłani u wejścia nie zostawili nikogo na straży. Pochodnie zniknęły powoli w głębi długiego korytarza. Zanim procesja dotarła do podwójnych drzwi na drugim jego końcu, Conan wszedł po zewnętrznych schodach. Znajdował się tuż za nimi. Prześlizgnął się zwinnie wzdłuż linii kolumn i doszedł do wielkich drzwi w momencie, kiedy kapłani przechodzili przez wielką salę tronową. Nie oglądali się za siebie. Przeszli przez obszerny pokój w jednym rzędzie, ich strusie pióra kiwały się na boki, a tuniki z lamparciej skóry kontrastowały z dostojnym wystrojem starożytnego pałacu; zatrzymali się właśnie przy złotych drzwiach na lewo od podwyższenia, na którym stał tron.

Głos Gorulgi zabrzmiał dziwnie głucho w wielkiej, pustej przestrzeni; donośne zdania były niezrozumiałe dla przyuczajonego słuchacza. W końcu najwyższy kapłan otworzył złote drzwi i kłaniając się wielokrotnie w pas, wszedł do pomieszczenia wyroczni. Pochodnie za nim unosiły się i opadały, wznosząc tysiące iskier, kiedy wyznawcy poszli za przykładem swego mistrza. Wrota zamknęły się za nimi i pochód zniknął z pola widzenia. Conan wystrzelił przez tronową komnatę w stronę alkowy za tronem, ciszej niż wiejący przez komnatę wiatr.

Nikłe promienie światła sączyły się przez otwory w ścianie, kiedy barbarzyńca otworzył sekretny panel. Wślizgnął się do niszy i zerknął do środka. Muriela siedziała na piedestale wyprostowana, ze skrzyżowanymi ramionami, a jej głowa opierała się o ścianę o parę cali od jego oczu. Zapach delikatnych perfum na jej spiętrzonych włosach drażnił jego nozdrza. Nie widział jej twarzy, ale zachowywała się tak, jak gdyby patrzyła spokojnie w jakieś odległe miejsce ponad ogolonymi głowami olbrzymów, którzy padli przed nią na kolana. Conan uśmiechnął się z uznaniem. „Ta mała dziwka jest niezłą aktorką”, pomyślał. Wiedział, że jest przerażona, ale nie dawała tego po sobie poznać. W niepewnym świetle pochodni wyglądała dokładnie jak bogini, która leżała tam wcześniej, a tajemnicza siła tchnęła w nią wibrujące życie.

Gorulga zaintonował niskim tonem jakąś pieśń w nieznanym Conanowi dialekcie – zapewne starożytnym języku Alkmeenon, przekazywaną z pokolenia na pokolenie najwyższym kapłanom. Intaktacja zdawała się nie mieć końca. Conan niecierpliwił się coraz bardziej. Im dłużej będzie trwała ta pieśń, tym większy wysiłek czeka Murielę. Gdyby tylko westchnęła...

Wyciągnął sztylet i miecz. Nie mógłby znieść widoku tej małej dziewczynki torturowanej przez czarnoskórych.

Śpiew dobiegł wreszcie końca; jej kres wyznaczyły krzyki uznania akolitów. Podnosząc głowę i ramiona w kierunku cichej postaci na piedestale, Gorulga zakrzyknął z głębi serca, zwyczajem kapłanów keshzańskich.

– O, wielka bogini, zamieszkująca w ciemności, niech twe serce złagodnieje, niech twe usta otworzą się dla uszu twego niewolnika, którego głowa tkwi przed tobą w piasku. Przemów, wielka bogini świętej doliny! Ty najlepiej znasz ścieżki naszej przyszłości! Ciemność, która nam dokucza, dla ciebie jest jak światło południowego słońca. Udziel nam błogosławieństwa twej mądrości i oświeć drogi twych sług! Powiedz nam, rzeczniczko bogów: jaka jest twa wola wobec Stygijczyka Thutmekriego?

Wysoko upięta, połyskująca burza włosów poruszyła się nieznacznie. Czarnoskórzy westchnęli gwałtownie, na wpół zdumieni, na wpół przerażeni. Głos Murieli zdawał się zimny i bezosobowy, chociaż uszy Conana wciąż raził akcent koryncki.

– Wolą bogów jest, by Stygijczyk i jego shemickie psy zostali wypędzeni z Keshan – dziewczyna powtarzała dokładnie jego słowa. – To złodzieje i zdrajcy, którzy usiłują okraść wszechmogących. Niech Zęby Gwahlura zostaną powierzone opiece generała Conana. Niech to on poprowadzi armię Keshan. To ulubieniec bogów.

Jej głos załamał się nieco i Conan przestraszył się, że była o krok od wybuchu hysterii. Nikt tego jednak nie zauważył, podobnie jak korynckiego akcentu, żaden z mężczyzn bowiem go nie znał. Delikatnie uderzali w dłonie, a między nimi podniósł się pomruk zdumienia i trwogi. Oczy Gorulgi błyszczały fanatycznie w świetle pochodni.

– Yelaya przemówiła! – zakrzyknął podnieconym głosem. – Taka jest wola bogów! Dawno temu nasi ojcowie ukryli się w niedostępnym miejscu na rozkaz bogów, którzy u zarania dziejów wyrwali ich z potwornych szczęk Gwahlura, króla ciemności. Na rozkaz bogów ukryto Zęby Gwahlura; dziś ich wolą jest, by znów ujrzały światło dzienne. O, zrodzona wśród gwiazd bogini, daj nam pozwolenie, by iść do sekretnej kryjówki, aby powierzyć skarb temu, kogo ukochali bogowie.

– Masz moje pozwolenie! – odparła fałszywa bogini i podniosła rękę w geście łaskawości, który po raz kolejny wywołał uśmiech na twarzy Conana.

Kapłani wycofali się. Ich strusie pióra i pochodnie unosiły się w rytmie pokornych zaklęć. Złote drzwi zamknęły się w końcu i dziewczyna z jękiem opadła bezwładnie na piedestał.

– Conanie – załkała cicho. – Conanie!

– Cicho! – syknął Cymmeryjczyk przez otwory w ścianie. Wyślizgnął się z niszy i zamknął za sobą panel. Rzut oka przez próg rzeźbionych drzwi upewnił go, że pochodnie znikają w wielkiej sali tronowej. W tej samej chwili jednak padło na niego jasne światło, ale Conan odetchnął, kiedy zrozumiał, że to blask księżyca, przenikający przez przedziwną kopułę. A więc nie była tylko legendą. Być może jej wnętrze zostało zrobione z nieznanego, płonącego blado kryształu, występującego jedynie wśród wzgórz czarnych państw. Światło zalewało salę tronową i sączyło się do przyległych komnat.

Kiedy jednak Conan stanął w wielkich wrotach, jego uwagę zwrócił nagle jakiś dźwięk, który zdawał się dochodzić z alkowy. Przyczaił się u wejścia i zaglądając do środka, przypomniał sobie dźwięk gongu, który dobiegł z tej samej strony i zwabił go w pułapkę. Światło kopuły oświetlało tylko część korytarza, ukazując wyłącznie pustą przestrzeń. A jednak mógłby przysiąc, że gdzieś w dole usłyszał ukradkowe kroki.

Zatrzymał się niezdecydowany i prawie podskoczył na dźwięk dochodzącego gdzieś z tyłu zduszonego krzyku kobiety. Zaglądając przez drzwi za tronem, ujrzał rozgrywający się w krystalicznym świetle nieoczekiwany spektakl.

Pochodnie kapłanów znikły już z wielkiej sieni na zewnątrz; ale jeden z nich wciąż jeszcze znajdował się w pałacu. Był to Gwarunga. Jego nieczne rysy wykrzywiały grymas furii. Chwycił za gardło przerażoną Murielę, dusząc jej próby krzyku i błagań, potrząsając nią gwałtownie.

– Zdrajczyń! – jego głos przypominał syk kobry. – W jaką grasz grę? Czy Zargheba nie powiedział ci, co masz mówić? Tak, Thutmekri powiedział mi wszystko! Zdradzasz swojego pana, czy może on za twoją pomocą zdradza swoich przyjaciół? Dziwko! Urwę ci tę fałszywą główkę... Ale najpierw...

Nagle twarz jego branki się zmieniła, co ostrzegło olbrzymiego Murzyna. Puścił ją i odwrócił się dokładnie w momencie, kiedy spadł na niego miecz Conana. Siła uderzenia powaliła go na marmurową posadzkę, a krew buchała z rozbitej głowy.

Conan rzucił się na niego, aby dokończyć dzieła, wiedział bowiem, że ostrze poszło bokiem, ale już Muriela zarzuciła nań drżące ramiona.

– Zrobiłam, jak kazałeś – dyszała histerycznie. – Zabierz mnie stąd! Ach, proszę, zabierz mnie stąd!

– Nie możemy jeszcze iść – odburknął. – Chcę pójść za kapłanami i zobaczyć, gdzie są klejnoty. Może tam być jeszcze więcej skarbów. Chodź ze mną. Gdzie jest ten klejnot, który miałaś we włosach?

– Musiał mi wypaść jak schodziłam z piedestału – wyjąkała dziewczyna przepraszająco. – Byłam tak przerażona... Kiedy kapłani wyszli, wybiegłam cię szukać, ale ten wielki brutal został w tyle i chwycił mnie...

– Cóż, idź po niego, a ja w tym czasie zajmę się zwłokami – rozkazał jej Conan. – Idź! Sam ten klejnot jest wart fortunę!

Dziewczyna zawahała się chwilę, nie chcąc wracać do tajemniczej komnaty, ale kiedy Conan złapał za pas Gwarungę i zaciągnął go do alkowy, odwróciła się i poszła. Conan rzucił na wpół martwego kapłana na podłogę i uniósł miecz. Żył już zbyt długo na tym dzikim świecie, by żywić jakiegokolwiek złudzenia na temat litości. Jedyne dobre wróg to bezgłowy wróg. Zanim jednak zdołał uderzyć, zatrzymał ostrze na dźwięk zdumionego krzyku. Głos dochodził z komnaty wyroczni.

– Conanie! Conanie! Ona wróciła! – krzyk zakończył się jękiem i odgłosami przepychanki.

Z klątwą na ustach Conan wybiegł z alkowy, przebiegł po podstawie tronu i wbiegł do komnaty wyroczni, tuż po tym jak dźwięk ustał. Zatrzymał się, z niedowierzaniem spoglądał na piedestał. Muriela położyła się tam spokojnie i zamknęła oczy, jak gdyby pogrążona we śnie.

– Co ty robisz, u diabła? – kwaśno zapytał Conan. – Nie ma czasu na żarty...

Głos jednak zamarł mu w piersi. Spojrzał na alabastrowe uda, wyprofilowane pod obcisłą, jedwabną szatą. Powinna być rozdarta od pasa aż po kraniec. Zrobił to przecież własnymi rękami, kiedy bezlitośnie zerwał odzienie z ciała tancerki. Materiał był cały. Jednym susem znalazł się przy piedestale i położył dłoń na alabastrowym cieple; natychmiast ją cofnął, jak gdyby dotknął rozżarzonych węgli, a nie zimnego bezruchu śmierci.

– Na Croma! – mruknął Conan, a jego oczy zwięzły się nagle w szparki ognia. – To nie Muriela! To Yelaya!

Zrozumiał teraz ten oszalający krzyk, który dobiegł z ust Murieli po tym, jak weszła do komnaty. Rzeczywiście bogini powróciła. Zargheba ukrył jej

ciało, by zrobić miejsce dla uzurpatorce. A teraz znów tu leżało, odziane w jedwabie i klejnoty, tak jak Conan widział je za pierwszym razem. Conan poczuł na plecach ciarki.

– Murielo! – zakrzyknął nagle. – Murielo! Gdzie u diabła jesteś?

Ściany odbiły drwiąco jego głos. Poza złotymi drzwiami nie mógł dojrzeć żadnego innego wejścia do komnaty, a wtedy nie mógł nikt przejść bez jego wiedzy. Bezdyskusyjnie jednak Yelaya wróciła na swoje miejsce na piedestale w ciągu paru minut, które upłynęły od momentu, kiedy Muriela opuściła po raz pierwszy komnatę i została pochwycona przez Gwarungę. W jego uszach wciąż jeszcze drżało echo jej krzyku. Koryncka dziewczyna zniknęła, jak gdyby rozplynęła się w powietrzu. Jeśli odrzucić mroczne spekulacje o czarach, wytłumaczenie mogło być tylko jedno: gdzieś w komnacie znajdowało się sekretne przejście. Conan dojrzał je wyraźnie, kiedy tylko o tym pomyślał.

W przegrodzie z solidnego marmuru widniało małe, prostopadłe pęknięcie. Zwiślał z niego strzęp jedwabiu, pochodzący z rozdartej szaty Murieli. Wniosek nasuwał się sam. Materiał uwiązł w zamykających się drzwiach, gdy jakieś ponure stworzenie, które ją porwało, wynosiło ją z komnaty. Materiał sprawił, że wrota nie zamknęły się szczelnie i nie wpasowały dokładnie we framugę.

Wetknął w szczelinę czubek sztyletu, tworząc dźwignię z własnego przedramienia. Ostrze wygięło się, ale było zrobione z niezniszczalnej stali akbitańskiej. Podwoje ustąpiły. Conan zajrzał do otwierającej się czeluści z uniesionym mieczem, ale nie zauważył zagrożenia. Wpadające do komnaty wyroczeni światło ukazało tylko krótkie, wyrżnięte w marmurze schody. Otworzył drzwi na oścież i zablokował, wkładając sztylet w szczelinę w podłodze. Niezwłocznie zszedł po schodach. Było cicho i pusto. Stopnie kończyły się w wąskim korytarzu, który rozplywał się w ciemności.

Conan zatrzymał się nagle u stóp schodów, nieruchomo jak posąg, i zagapił się na freski na ścianach, ledwo widoczne w sączącym się z góry, przyćmionym świetle. Były niezaprzeczalnie pelishtańskie; barbarzyńca widział już kiedyś podobne na ścianach w Asgalun. Jednak przedstawione sceny nie miały nic wspólnego z Pelisthimi, jeśli nie liczyć jednej ludzkiej postaci, która przewijała się w nich nieustannie: szczupłego, starego człowieka z białą brodą, którego pochodzenie nie pozostawiało wątpliwości. Freski zdawały się przedstawiać różne części pałacu. Wiele

scen rozgrywało się w komnacie, którą Conan rozpoznał jako komnatę wyroczni, z rozłożoną na piedestale z kości słoniowej Yelayą i wielkimi, czarnoskórymi ludźmi oddającymi jej pokłon. Zza ściany, w niszy, czaił się wiekowy Pelishti. Były też inne postacie, które poruszały się po opuszczonym pałacu, wykonując wolę Pelishtiego i wyciągając dziwne przedmioty wprost z podziemnej rzeki. Conan nagle zrozumiał niejasne zapisy pergaminu. Części układanki zaczęły się łączyć. Zrozumiał tajemnicę Bita Yakina i zagadkowy los jego sług.

Conan odwrócił się i spojrział w ciemność, a po jego plecach pełgał zimny dreszcz. W końcu pospieszył przez korytarz, posuwając się bezgłośnie i bez wahania, jak kot. Zagłębiając się w mrok poczuł ciężki odór, który unosił się wcześniej na dziedzińcu z gongiem.

W kompletnej ciemności usłyszał przed sobą szuranie nagich stóp, albo szelest luźnych szat, ocierających się o kamień. Chwilę później jego ręka napotkała przeszkodę, którą określił jako masywne drzwi z rzeźbionego metalu, które nie chciały ustąpić. Na próżno też szukał mieczem szczeliny. Wrota szczelnie przywierały do progu i ościeży. Wysiłał się najbardziej, jak tylko umiał, zapierając się stopami o podłogę, a żyły pulsowały mu w skroniach. Bezskutecznie. Nawet niedźwiedź nie dałby tutaj rady. Kiedy jednak z nimi walczył, usłyszał po drugiej stronie skrzypienie zardzewiałego żelaza i giętego metalu. Natychmiast instynktownie odskoczył do tyłu, w tunelu rozległ się grzmot i z góry spadł wielki kamień. Uderzyły go lecące odłamki. Jeszcze chwila, a głaz rozgniółłby go na miazgę.

Conan cofnął się. Gdzieś po drugiej stronie metalowych drzwi więziono Murielę, jeśli oczywiście dziewczyna jeszcze żyła. Nie mógł jednak ich otworzyć, z kolei jeśli zostanie w tunelu, może na niego spaść kolejny blok, a on może już nie mieć tyle szczęścia. Na pewno już wtedy nie uratuje dziewczyny, ale tutaj nie mógł już nic zrobić. Musi wyjść na zewnątrz i znaleźć inny sposób.

Nie czuł się bezpiecznie w tym ciemnym tunelu, więc odwrócił się na schodach i podniósł miecz, oczekując kolejnego upiornego ataku. Ale z tunelu nie dochodził żaden dźwięk. Czyżby napastnicy po drugiej stronie drzwi uznali, że został wyeliminowany przez spadający z sufitu głaz? Na pewno nie stało się to przypadkowo i skalny blok został uwolniony przez jakiś mechanizm.

Dlaczego zatem drzwi pozostawały zamknięte? Porzucając spekulacje, ruszył po omacku w górę schodów, chcąc uspokoić skołatane nerwy w barbarzyńskim rozlewie krwi. Cały drżał, oczekując z każdym krokiem noża w plecach.

Rzucił się na drzwi na szczycie i zaklął siarczyście, kiedy nie ustępowały pod jego naporem. Podniósł miecz w prawej dłoni, aby je rozrąbać, ale lewą natknął się na metalowy rygiel, który najprawdopodobniej wślizgnął się na miejsce po zamknięciu wrót. Zdołał go wyciągnąć i drzwi ustąpiły. Wskoczył do komnaty niczym wcielenie furii, dziko pożądając walki wręcz z tropiącym go wrogiem, kimkolwiek by on nie był.

Sztyletu nie było na podłodze. Komnata była pusta, podobnie jak piedestał. Yelaya zniknęła ponownie.

– Na Croma! – wymamrotał Cymmeryjczyk. – Czyżby naprawdę była żywa?

Przeszedł w osłupieniu do sali tronowej i zajrzał do alkowy. Na gładkim marmurze, w miejscu, gdzie złożył nieprzytomne ciało Gwarungi, było trochę krwi, nic więcej. Czarnoskóry olbrzym zniknął, podobnie jak Yelaya.

ROZDZIAŁ CZWARTY

ZĘBY GWAHLURA

Zdumienie i gniew zmąciły umysł Cymmeryjczyka. Nie wiedział już, co zrobić, aby odnaleźć Murielę i skarby. Do głowy przyszło mu tylko jedno: podążyć za kapłanami. Być może w kryjówce, w której znajduje się skarb, uda mu się odnaleźć klucz do zagadki. Było to mało prawdopodobne, ale lepsze, niż bezsensowne błąkanie się po pałacu.

Kiedy biegł przez wielką, prowadzącą do portyku sień, oczekiwał, że czyhające za nim cienie nabiorą życia i rzucają się na niego z zębami i pazurami, ale w świetle księżyca, odbijającym się w błyszczącym marmurze, słyszał tylko bicie własnego serca.

Stojąc u stóp szerokich schodów, rozejrzył się w jasnej księżycowej poświacie w poszukiwaniu jakiejś wskazówki. Dostrzegł na trawniku porzucane płatki kwiatów, co mogło znaczyć, że czyjeś ramię albo szata zaczepiły o ukwieconą gałąź. Trawa pod jego stopami była wydeptana. Conan, który w ojczyźnie tropił wilki, nie miał specjalnych trudności, by podążyć tak wyraźnym tropem keshkańskich kapłanów.

Ślady biegły od pałacu w kierunku egzotycznie pachnących krzewów, wśród których wielkie, blade kwiaty rozwierały błyszczące płatki. W końcu doszedł do ogromnej masy skalnej, która wystawała jak zamek tytana z najbliższej pałacowi części skalnej ściany. Była prawie niewidoczna ze względu na porośnięte winoroślą drzewa. Najwyraźniej kapłan z Keshii nie miał racji, kiedy mówił, że skarb ukryty jest w pałacu. Trop oddalał go od miejsca, w którym zniknęła Muriela, ale w Conanie rosło podejrzenie, że każda część doliny była połączona z pałacem podziemnymi przejściami.

Przyczaił się w głębokim cieniu krzewów i obrzucił uważnym spojrzeniem wielką, wystającą skałę, która odcinała się wyraźnie na tle księżycowej poświaty. Pokryta była dziwnymi, groteskowymi płaskorzeźbami, przedstawiającymi ludzi i zwierzęta, a także na wpół bestialskie stworzenia, które mogły być bogami lub demonami. Styl tej sztuki uderzająco różnił się od sztuki reszty doliny. Conan pomyślał, iż mógł reprezentować inną epokę i być dziełem innego plemienia,

zapomnianego już wtedy, kiedy lud Alkmeenon zamieszkał nawiedzoną dolinę.

Z nagiego zbocza urwiska wyzierał otwór wielkich drzwi. Otoczone były rzeźbą przedstawiającą głowę wielkiego smoka i wyglądały jak jego otwarta paszcza. Wrota były potężne, odlane z brązu. Nie miały zamka, ale wystające z krawędzi otwartego, masywnego portalu zasuwy uświadomiły mu, że istniał jakiś system ich otwierania i zamykania; system znany niewątpliwie wyłącznie kapłanom z Keshan.

Trop wskazywał na to, że Gorulga i jego poplecznicy weszli przez te drzwi. Ale Conan wahał się. Jeśli poczeka, aż wyjdą, zamkną je z powrotem, a on nie dowie się, jak je otworzyć. Z drugiej jednak strony, jeśli za nimi pójdzie, mogą wyjść przed nim i zamknąć go w jaskini.

Zapominając o ostrożności, prześlizgnął się przez wielką bramę. Gdzieś w jaskini znajdowali się kapłani, Zęby Gwahlura, a być może i wskazówka co do losu Murieli. Osobiste ryzyko jeszcze nigdy nie sprawiło, by zrezygnował z obranego celu.

Księżycowa poświata oświetlała wejście do szerokiego tunelu. Gdzieś w oddali dojrzał blask pochodni i usłyszał echo dziwaczного śpiewu. Kapłani byli bliżej, niż sądził. Tunel kończył się w szerokim pomieszczeniu, wciąż jeszcze oświetlanym księżycowym światłem; była to pusta jaskinia niewielkich rozmiarów, ale z wysokim, sklepionym sufitem, świecącym fosforyzującymi inkrustacjami, które, jak wiedział Conan, były powszechnym zjawiskiem w tej części świata. Emitowały upiorne, przyćmione światło, w którym mógł zobaczyć przycupnięty na ołtarzu zwierzęcy posąg i czarne wloty sześciu czy siedmiu tuneli, wychodzących z tej komnaty. W dole najszerszego z nich – tego, który znajdował się dokładnie za przysadzistą postacią, patrzącą w stronę zewnętrznego otworu – dostrzegł blask pochodni. Pieśni słychać było coraz wyraźniej.

Conan bez namysłu poszedł w głąb tego korytarza i znalazł się w jaskini większej od tej, którą właśnie opuścił. Nie było tu fosforyzującego światła, ale blask pochodni padał na większy ołtarz i jeszcze bardziej odrażające bóstwo, które przysiadło na nim jak ropucha. Przed nim, wraz z akolitami klęczał Gorulga i bił pokłony w akompaniamencie monotonnej pieśni. Conan zrozumiał, dlaczego posuwali się tak wolno. Niewątpliwie dotarcie do sekretnej krypty było skomplikowanym i wymyślnym obrzędkiem.

Obserwował ich zniecierpliwiony, ale w końcu kapłani podnieśli się i weszli w głąb tunelu, który otwierał się za posągiem. Pochodnie

odpływały, kołysząc się pod ciemnym sklepieniem. Podążył za nimi. Nie mogli go zauważyć. Prześlizgiwał się wśród cieni jak stworzenie nocy, a czarnoskórzy kapłani byli całkowicie zaabsorbowani ceremoniałem. Wydawało się, że nie zauważyli nawet nieobecności Gwarungi.

Kiedy znaleźli się w olbrzymiej jaskini, której górna część ścian pokryta była rzędami podobnych do galerii półek, kapłani ponownie zaczęli składać pokłony przed jeszcze większym ołtarzem, na którym siedział najbardziej obrzydliwy z bogów.

Conan przycałił się w czarnej gardzieli tunelu, patrząc na ściany odbijające niesamowitą poświatę pochodni. Zobaczył wyryte w kamieniu schody, które wiły się z jednego poziomu galerii na drugi. Sklepienie ginęło w ciemnościach.

Podsłoczył gwałtownie, kiedy śpiew ustał i klęczący unieśli głowy. W górze rozległ się nieludzki głos. Kapłani zamarli, a ich twarze spowiła upiorna, niebieska poświata, pochodząca od nagłego rozbłysku pod sklepieniem, który oświetlił galerię. Z ust najwyższego kapłana i akolitów dobył się krzyk. W błysku światła pojawiła się szczupła, biała postać, odziana w jedwab i złote klejnoty. Blask przygasł i zmienił się w pełgający płomień. Wszystko stało się niewyraźne, a szczupła postać zmieniła się w błyszczącą plamę w kolorze kości słoniowej.

– Yelayo! – zakrzyknął Gorulga, a jego ciemna twarz przybrała popielaty kolor. – Dlaczego przyszedłeś za nami? Jakie jest twoje życzenie?

Spod sufitu spłynął niesamowity, nieludzki głos, odbijając się pod sklepieniem, co tylko potęgowało grozę.

– Biada niewierzącym! Biada fałszywym dzieciom Keshii! Wieczne potępienie dla tych, którzy wypierają się swoich bogów!

Z ust kapłanów wydobył się krzyk przerażenia. W blasku pochodni Gorulga wyglądał, jak śmiertelnie wystraszone ptaszysko.

– Nie rozumiem! – wyjąkał. – Byliśmy ci wierni. W komnacie wyroczeni powiedziałaś nam...

– Nie zważajcie na to, co usłyszeliście w komnacie wyroczeni! – potworny głos potęgowało wielokrotne echo. – Wystrzegajcie się fałszywych proroków i fałszywych bogów! W pałacu przemówił do was demon, nie ja! Teraz słuchajcie i bądźcie mi posłuszni, gdyż tylko ja jestem prawdziwą boginią i dam wam tylko jedną szansę ocalenia przed zagładą.

– Weźcie z krypty skarby Gwahlura, leżą już tam od tak dawna. Alkmeenon nie jest już święte. Zostało sprofanowane przez bluźnierców.

Oddajcie klejnoty w ręce Thutmekriego, Stygijczyka, a on niech je złoży w sanktuarium Dagona i Derketo. Tylko to może ocalić Keshan przed zagładą, uknutą przez demony nocy. Natychmiast wracajcie do Keshii. Dajcie skarb Thutmekriemu, a potem pojmijcie obcego i złego Conana i obedrzyjcie go żywcem ze skóry na głównym placu.

Kapłani postanowili spełnić żądania. Natychmiast się podnieśli i w nieładzie pobiegli w kierunku drzwi, które otwierały się za bestialskim bogiem. Przewodził im Gorulga. Przez chwilę kotłowali się u wejścia, parząc się nawzajem płonącymi pochodniami. W końcu tupot ich pędzących stóp ucichł w głębi tunelu.

Conan nie poszedł za nimi. Płonęła w nim ciekawość, co tak naprawdę tu przed chwilą zaszło. Czy to naprawdę Yelaya, jak podpowiadał mu strach, przejawiający się w postaci zimnego potu na wewnętrznej stronie dłoni, czy ta mała dziwka Muriela, która jednak okazała się zdrajczynią? Jeśli to była ona...

Zanim ostatnia pochodnia zniknęła w głębi czarnego tunelu, żądny zemsty Conan wspinał się po kamiennych schodach. Błękitna poświata dogasała, ale blada postać wciąż stała w bezruchu na galerii. W miarę jak się do niej zbliżał, krew zastygała mu w żyłach, ale nie wahał się ani przez moment. Podszedł do niej z podniesionym mieczem.

– Yelaya, tak? – warknął. – Martwa od tysiąca lat! Ha!

Z czarnego tunelu za nim wychynęła ciemna postać. Ale Conan był szybszy. Odwrócił się jak kot i uniknął wymierzonego w jego plecy ciosu. Oddał uderzenie z furią rozjuszonego pytona. Wielkie czarne ostrze wbiło się w napastnika i przeszło go na wylot.

– A więc to tak! – Conan wyciągnął miecz i ofiara padła na podłogę, krztusząc się i dysząc.

Agonia trwała krótko. W zamierającym świetle ujrzał ciemną skórę i wykrzywioną śmiertelnie hebanową twarz. Właśnie zabił Gwarungę.

Spojrzał na postać bogini. Jej ciało przywiązane było rzemieniami do kolumny... Oczywiście z pewnej odległości w tak słabym świetle nikt nie mógł tego dostrzec...

– Musiał dojść do siebie po tym, jak zszedłem do tunelu – mruknął Conan. – Pewnie podejrzewał, że jestem na dole. Dlatego wyciągnął sztylet. Pochylił się i wyrwał broń spomiędzy sztywniejących palców. Rzucił na nią okiem i zatknął za pasem. Zamknął też drzwi. Potem zabrał Yelayę, aby ogłupić swych braci, tych idiotów. To jego głos słyszałem przed chwilą.

Echo pod sklepieniem zmieniło go nie do poznania. A ten buchający, błękitny płomień... Już go kiedyś widziałem. To sztuczka stygijskich kapłanów. Thutmekri musiał dać trochę tego świństwa Gwarundze. Oszust na pewno lepiej, niż jego towarzysze, znał system tuneli, dzięki czemu wykradł ciało bogini i znalazł się z nią na półce skalnej, podczas gdy Gorulga i jego akolici byli pogrążeni w niekończących się rytuałach.

Błękitna poświata w dużej jaskini zagasła, ale Conan dojrzał ją teraz w gardzieli jednego z wychodzących na półkę korytarzy. Gdzieś w głębi któregoś z nich mieniły się kamienie podobne do tych, które rozświetlały poprzednie komnaty – rozpoznał je dzięki nikłemu, stałemu blaskowi. W tamtym kierunku poszli kapłani, i Cymmeryjczyk zdecydował, że również pójdzie za światłem, zamiast schodzić w ciemność znajdującej się pod nim wielkiej jaskini. Niewątpliwie tunel prowadził na kolejną galerię w komnacie, która mogła okazać się celem pielgrzymki kapłanów. Światło stawało się coraz ostrzejsze, w końcu mógł rozróżnić podłogę i ściany tunelu. Usłyszał znajomy zaśpiew kapłanów. Nagle w fosforyzującej poświacie dostrzegł po lewej stronie zarys drzwi, zza których dobiegało histeryczne łkanie.

Otworzył je i znalazł się w wykutej w skale komnacie – nie w naturalnej pieczarze, jak wcześniej. Kopulaste sklepienie świeciło fosforyzującym światłem, a ściany były niemal całkowicie pokryte arabeskami z litego złota.

Na olbrzymim tronie nieopodal przeciwległej ściany siedział, patrząc po wieki wieków w kierunku półkolistego wejścia, odlany z mosiądzu potworny Pteor, bóg Pelistich. Ogromne genitalia odzwierciedlały charakter jego kultu. Na kolanach posągu leżała bezwładnie biała postać.

– Co do cholery!... – wymamrotał Conan. Rozejrzał się podejrziwie, ale nie widząc niczego niepokojącego, podszedł bezszelestnie do tronu i spojrzął na dziewczynę, której szczupłe ramiona wstrząsane były płaczem. Twarz miała zatopioną w ramionach, które złotymi łańcuchami przykute były do posągu. Conan położył dłoń na jej nagich plecach. Muriela podskoczyła konwulsyjnie, skurczyła się i spojrzała na niego pełnymi łez oczyma.

– Conanie! – histerycznie próbowała go objąć, ale uniemożliwiły jej to mocne łańcuchy.

Cymmeryjczyk rozerwał delikatne złoto możliwie najbliżej jej nadgarstków i warknął gniewnie:

– Będziesz musiała nosić te bransolety, dopóki nie znajdę dłuta albo pilnika. Hej, dziewczyno, puść mnie, do diabła! Czy wy, wszystkie aktorki, musicie być tak cholernie uczuciowe!? I gadaj, co ci się w ogóle stało?

– Kiedy weszłam z powrotem do komnaty wyroczni – zakwiliła dziewczyna – zobaczyłam, że bogini leży na piedestale, tak jak za pierwszym razem. Zawołałam cię i ruszyłam w stronę drzwi, ale wtedy ktoś złapał mnie od tyłu. Zacisnął rękę na ustach i powłókł przez panel w ścianie, w dół po jakichś schodach i przez czarny korytarz. Nie widziałam kto to, dopóki nie przeszliśmy przez wielkie, metalowe drzwi i nie znaleźliśmy się w tunelu, którego sklepienie było oświetlone zupełnie jak ta komnata. Prawie zemdlałam, kiedy go zobaczyłam! Oni nie są ludźmi! To szare, włochate diabły, które chodzą jak ludzie i porozumiewają się jakimś niezrozumiałym dla nas bełkotem. Stali tam i zdawali się na coś czekać. Wtedy usłyszałam, że ktoś próbuje otworzyć drzwi. Jeden z nich pociągnął za wystającą ze ściany metalową dźwignię i coś po drugiej stronie huknęło. Potem ciągnęli mnie długo przez kręte tunele i kamienne schody aż do tej komnaty. Przykuli mnie do tego wstrętnego posągu i poszli. Conanie, co to za stworzenia?

– To służący Bita Yakina – mruknął Conan. – Znalazłem manuskrypt, w którym sporo wyczytałem, wreszcie freski, które widziałem w podziemiach, dopowiedziały mi resztę. Bit Yakin był Pelishtim. Zawędrował ze swymi służącymi do tej doliny, kiedy opuścili ją ludzie Alkmeenon. Znalazł ciało księżniczki Yelai i odkrył, że kapłani wracali tu od czasu do czasu, by składać jej ofiary, gdyż już wtedy była czczona jako bogini.

– Uczynił z niej wyrocznię. Sam był jej głosem, przemawiając z niszy, którą wydrążył w ścianie za piedestalem z kości słoniowej. On i jego służący ukrywali się zawsze, kiedy przychodzili ludzie, dlatego kapłani niczego nie podejrzewali, nigdy bowiem ich nie widzieli. Crom tylko wie, jak długo żył Bit Yakin, ale musiały być to wieki. Pelishtańscy mędrzy wiedzą, jak wydłużyć sobie życie o setki lat. Sam kilku spotkałem. Żaden śmiertelnik nigdy nie zgadnie, dlaczego postanowił tu zostać i odgrywać rolę wyroczni. Myślę, że chciał, by ludzie uważali miasto za święte, dzięki czemu nikt go tu nie niepokoił. Jadł to, co kapłani przynosili w ofierze Yelai. Jego służący żywili się zgoła czym innym. Zawsze wiedziałem, że jest tu podziemna rzeka, spływająca z jeziora, do którego ludzie puntyjskich

wyżyn wrzucają ciała umarłych. Ta rzeka biegnie bezpośrednio pod pałacem. Mają tam zwieszające się nad wodą drabiny, dzięki którym mogą łowić przepływających nieboszczyków. Bit Yakin uwiecznił wszystko na papirusie i malowidłach ściennych. Ale i on w końcu umarł, a służący zmumifikowali go zgodnie z instrukcjami, które dał im przed śmiercią i zostawili w jaskini na skalnej ścianie. Resztę łatwo odgadnąć. Jego ludzie, niemal równie długowieczni, jak on, mieszkali tu w dalszym ciągu, ale kiedy przyszedł kolejny kapłan, by poradzić się wyroczni, nie mieli już pana. Nikt ich zatem nie powstrzymał. Rozdarli kapłana na strzępy. Dlatego od tej pory nikt nie przychodził do wyroczni, dopóki nie zrobił tego Gorulga. Odnawiali szaty i zdobienia bogini, tak jak to podejrzeli u Bita Yakina. Bez wątplenia gdzieś znajduje się zamknięta komnata, w której jedwabie są chronione przed rozpadem. Kiedy Zargheba wykradł jej zwłoki, odziali ją i przynieśli z powrotem do komnaty wyroczni. A przy okazji ukręcili głowę Zargheby i powiesili ją na drzewie.

Dziewczyna wzdrygnęła się, ale odetchnęła z ulgą.

– Już nigdy nie zdzieli mnie batem.

– Nie po tej stronie piekła – zgodził się Conan. – Ale musimy już iść. Gwarunga wykradając boginię zrujnował moje plany. Zamierzam pójść za kapłanami i spróbować wykraść im skarb, kiedy zabiorą go z kryjówki. A ty trzymaj się blisko mnie. Nie mogę ciągle cię szukać.

– Ale służący Bita Yakina... – szepnęła przerażona Muriela.

– Musimy spróbować – warknął. – Nie wiem, co zamierzają, ale jak dotąd nie próbowali wyjść z jaskiń. Chodź.

Chwycił ją za nadgarstek, wyprowadził z komnaty i poszli w głąb korytarza. Śpiew kapłanów był coraz wyraźniejszy i mieszał się z szumem wody. Światło wręcz ich oślepiło, kiedy wyszli na wysoką galerię wielkiej pieczary. W dole ujrzeli zadziwiającą scenę.

Nad nimi świecił fosforyzujący dach. Sto stóp poniżej widniało gładkie podłoże. W odleglejszej części pieczary przecinał je głęboki, wąski strumień. Wypływał z nieprzeniknionego mroku, wił się wzdłuż jaskini i ponownie w nim ginał. Jego widzialna powierzchnia odbijała blask z góry. Ciemne, wzburzone wody błyszczały jak upstrzone żywymi klejnotami – mroźnym błękitem, żywą czerwienią i zielenią – nieustannie zmieniającą się tęczą barw.

Znajdowali się na jednej z podobnych do galerii półek skalnych, które wyznaczały łuk wysokiej ściany. Z tego miejsca, ponad zapierającą dech

w piersiach przepastną otchłanią jaskini wyginał się naturalny most z kamieni, łączący się na drugim końcu z dużo mniejszą galerią, już za rzeką. Dziesięć stóp pod nimi kolejny, szerszy łuk, spinał brzegi jaskini. Po obu stronach wyżłobione w kamieniu schody łączyły krańce tych wysokich przęsł.

Na drugim końcu mostu Conan dostrzegł błysk światła, inny, niż fosforyzujący strop jaskini. Znajdował się tam otwór, przez który wpadał blask gwiazd.

Całą jego uwagę skupiała jednak rozgrywająca się pod nimi scena. Kapłani doszli do celu. Tu, w odległym kącie jaskini, stał kamienny ołtarz, ale nie było na nim żadnego posągu. Conan nie mógł dojrzeć, czy cokolwiek znajdowało się za nim, gdyż jakaś gra światła albo nachylenie ścian pogrążało przestrzeń za ołtarzem w całkowitej ciemności.



Kiedy podniósł wieko, gorliwym obserwatorom na wysokiej galerii wydało się, że wydobywa się z niej strumień żywego ognia.

Kapłani wetknęli pochodnie w dziury w kamiennej podłodze, formując tym samym płonące półkole w odległości kilku kroków naprzeciw ołtarza. Potem stanęli za nimi i Gorulga wzniosł w górę ręce wypowiadając cichą inkantację, potem pochylił się nad ołtarzem i położył na nim dłonie. Konstrukcja podniosła się i przechyliła w tył, jak wieko skrzyni, odkrywając małą kryptę.

Gorulga sięgnął do zagłębienia i wyciągnął z niego małą, spiżową szkatułkę. Zamknął kamienną konstrukcję i postawił na niej szkatułkę. Kiedy podniósł wieko, gorliwym obserwatorom na wysokiej galerii wydało się, że wydobywa się z niej strumień żywego ognia. Serce Conana niemal wyskoczyło mu z piersi. Złapał za rękojeść. W końcu, skarb Gwahlura, który uczyni jego właściciela najbogatszym człowiekiem na ziemi! Zaciśnął zęby i zaczął ciężko dyszeć.

Nagle uświadomił sobie, że w kręgu światła, wyznaczonym przez płonące pochodnie i fosforyzujący dach, pojawił się nowy element, który rozsadzał go od środka. Wokół ołtarza krążył dziwny cień, omijając tylko ów płonący punkt złowieszczej poświaty rzucanej przez Zęby Gwahlura. Kapłani zamarli jak posągi z bazaltu, a rzucone przez nich olbrzymie cienie tańczyły groteskowo za nimi.

Ołtarz był teraz skąpany w poświęceniu. Gorulga stał jak zaklęty. W końcu tajemnicza przestrzeń za ołtarzem rozblęśla niezwykłym blaskiem i w jego kręgu pojawiła się grupa postaci.

Na początku wydawało się, że to szare, kamienne posągi. Ale były to żywe istoty, choć włochate, w jakiś obrzydliwy sposób podobne do człowieka... Ich oczy, zimne szparki szarego, lodowatego ognia, tętniły życiem. Kiedy dziwna poświata oświetliła ich bestialskie rysy, Gorulga wrzasnął i upadł jak długi, wyrzucając długie ręce w górę w geście panicznego przerażenia.

Długa, obrośnięta ręka wystrzeliła ponad ołtarzem i zdeformowana dłoń zacisnęła się na jego gardle. Wrzeszcząc i walcząc, najwyższy kapłan został zaciągnięty za ołtarz. Podobna do młota pięść runęła na jego głowę i krzyki Gorulgi ucichły. Jego ciało zawisło połamane na ołtarzu, a mózg wypłynął ze zmiażdżonej czaszki. I wtedy, niczym wzburzona fala z piekła rodem, na czarnoskórych kapłanów, którzy stali jak porażone strachem posągi, ruszyli służący Bita Yakina – i urządzili im przerażającą rzeź.

Conan ujrzał, że czarne ciała podrzucane są jak piórka w nieludzkich rękach zabójców. Miecze i sztylety kapłanów były bezużyteczne wobec ich potwornej siły i zwinności. Widział, jak podnosili mężczyzn i roztrzaskiwali ich czaszki o kamienny ołtarz. Jeden z potworów wpychał płonącą pochodnię w gardło umierającego nieszczęśnika, który na próżno wił się w żelaznym uścisku. Ujrzał ludzi rozdieranych na pół, jak rozdiera się kurczaka, i krwawe części ciał kapłanów, turlające się po jaskini. Masakra była krótka i niszczycielska jak huragan. Jednemu

z nieszczęśników udało się zbiec w stronę, z której nadeszli kapłani. Pobiegnęła za nim jednak horda unurzanych we krwi postaci z koszmaru, wyciągając w jego kierunku usmarowane na czerwono łapska. Ich krzyki stawały się coraz bardziej odległe.

Muriela klęczała, obejmując Conana za nogi: przycisnęła twarz do jego kolan i zamknęła oczy. Była skrajnie przerażona. Ale Conan poczuł nowy przypływ energii. Oceniał dzielącą go od wyjścia odległość i drogę w dół, do szkatułki, która wciąż świeciła niezwykłym blaskiem na ociekającym krwią ołtarzu. Dojrzał do desperackiej akcji.

– Idę po nią – mruknął. – Czeka tu!

– Och nie, na Mitrę! – w śmiertelnym strachu dziewczyna opadła na podłogę i złapała go za kostki. – Nie! Nie! Nie zostawiaj mnie!

– Leż tu spokojnie i zamknij się! – warknął Conan, uwalniając się z uścisku.

Nie tracił czasu na schody. Skakał w pośpiechu z półki na półkę. Kiedy dotarł do dna jaskini, w zasięgu wzroku nie było żadnego potwora. Kilka pochodni wciąż jeszcze płonęło, a fosforyzująca poświata pulsowała i drgała. Rzeka szeptała spokojnie, migocząc niewyobrażalnymi kolorami.

Zajrzał pożądliwie do szkatułki – były tam dziwne kamienie o niezwykłym kształcie, płonące lodowatym, niezwykłym ogniem. Zatrzasnął wieko i pobiegł z nią w górę po schodach. Nie miał ochoty natknąć się na diabelskich służących Bita Yakina. Wiedział, że potrafili walczyć, nie rozumiał tylko, dlaczego zwlekali tak długo z atakiem na intruzów. Ale jaki człowiek byłby w stanie odgadnąć myśli tych potworów? Nie miał wątpliwości, że posiadali inteligencję równą ludzkiej. Zaś na dnie pieczary leżały dowody ich bestialskiej dzikości.

Koryncka dziewczyna kulila się na galerii, tam gdzie ją zostawił. Złapał ją za przegub i postawił na nogi.

– Myślę, że już najwyższa pora, byśmy stąd po prostu spierdalali! – mruknął.

Muriela była zdezorientowana i oszołomiona, dlatego musiał ciągnąć ją przez kamienny most. Dopiero, kiedy stanęli nad pędzącą wodą, spojrzała w dół, krzyknęła i o mało nie spadła. Conan złapał ją masywnym ramieniem i wziął pod pachę, karcąc mruknięciem niezadowolenia. Poniósł wierzgającą dziewczynę w stronę otworu widniejącego na drugim końcu przesłania. Chwilę później znaleźli się na wąskiej półce po zewnętrznej stronie

otaczających dolinę skalnych ścian. W dole, w odległości mniejszej niż sto stóp, falowała skapana w świetle gwiazd dżungla.

Conan wydał z siebie donośne westchnienie ulgi. Uznał, że da radę zejść, nawet z klejnotami i dziewczyną, choć wspiąć się tędy byłoby trudno. Już miał zdjąć pas, by przywiązać sobie usmarowaną krwią i mózgiem Gorulgi szkatułkę do pleców, kiedy nagle zelektryzował go dochodzący z tyłu przerażający dźwięk, nie do pomylenia z żadnym innym.

– Zostań tu! – krzyknął w kierunku zdezorientowanej dziewczyny. – Nie ruszaj się!

Wyciągnął miecz i wślizgnął się do tunelu, zaglądając z powrotem do jaskini. W połowie mostu zobaczył szary, zdeformowany kształt. Jeden ze sług Bita Yakina musiał go zauważyć i teraz był na jego tropie. Conan nie zawahał się. Wiedział, że łatwiej byłoby walczyć u wejścia tunelu, ale stwora musiał pokonać szybko, tu i teraz, zanim na głowę zwałą mu się kompani włochatej maskary.

Conan wybiegł na przęsło, prosto w kierunku nadchodzącego potwora. Nie była to mała, ale też i nie człowiek, tylko jakaś dziwna bestia, spłodzona w tajemniczych, bezimiennych dżunglach południa, gdzie w cuchnącej zgniliznie roiło się od potworów i gdzie nigdy nie stanęła ludzka stopa. To, w jaki sposób Pelishti zdołał zawładnąć tymi bestiami, skazując się tym samym na wieczne oddalenie od reszty ludzkości, było jego ponurą tajemnicą, której Conan nie chciał i nie zamierzał zgłębiać.

Człowiek i potwór spotkali się w najwyższym miejscu mostu, pod którym, w odległości stu stóp, pędziła wściekła, czarna woda. Kiedy potworny kształt o pomarszczonym, szarym ciele i rysach prastarego jaskiniowego bóstwka stanął nad nim, Conan zaatakował jak zraniony tygrys, wkładając w cios całą swoją furię. Takie uderzenie mogłoby rozłupać na dwoje ludzkie ciało, ale kości służącego Bita Yakina były twarde niczym hartowana stal. Udało się go jednak zranić – pękło mu kilka żeber i obojczyk, a z paskudnego ciała trysnęła krew.

Nie miał jednak czasu na kolejne uderzenie. Zanim zdołał odskoczyć bądź ponownie podnieść miecz, gigantyczne ramię zwałyło go z przęsła z taką łatwością, jakby potwór przeganiał muchę ze ściany. Kiedy Conan leciał w dół, pęd rzeki brzmiał w jego uszach jak pogrzebowy dzwon, ale zdołał złapać się jednego z niższych łuków. Z nieludzkim wysiłkiem udało mu się przerzucić ciało przez krawędź, nie upuszczając miecza.

Kiedy stanął na równe nogi zobaczył, że potwór, tryskając obrzydliwie krwią, pędzi w kierunku schodów łączących mosty, by ponowić walkę. Ale zatrzymał się wpół drogi, zobaczył bowiem u wejścia do tunelu oniemiałą Murielę, z pełną klejnotów skrzynką pod pachą.

Z triumfalnym rykiem bestia złapała ją pod pachę i chwyciła szkatułkę, którą dziewczyna upuściła. Conan zaklął z pasją i pobiegł co sił, chociaż wątpił, że zdoła ich dogonić, zanim potwór zagłębi się w labirynt tuneli po drugiej stronie.

Ale straszdyło biegło coraz wolniej. Krew lała się z otwartej rany na jego piersi. Nagle bestia potknęła się, zachwiała i upadła na bok, po czym runęła z mostu w dół. Dziewczyna i szkatułka wypadły z jej bezsilnych rąk i krzyk Murieli wzniosł się straszliwie ponad pomrukiem płynącej poniżej wody.

Conan znajdował się niemal dokładnie pod nimi. Potwór uderzył w jedno z niższych przęseł i wpadł do rzeki. Dziewczynie udało się chwycić krawędzi, a szkatułka spadła nieopodal, balansując na brzegu mostu. Muriela wisiała tylko na jednym ramieniu i patrzyła błagalnie w kierunku Conana. W jej oczach widać było strach przed śmiercią. Krzyknęła przeraźliwie.

Conan nie spojrzał nawet w kierunku szkatułki, która zawierała skarby tego świata. Z prędkością, która przyćmiłaby nawet skok głodnego jaguara chwycił dziewczynę za ramię dokładnie w momencie, w którym jej palce ześlizgnęły się z gładkiego kamienia. Wciągnął ją na przęsło jednym, gwałtownym ruchem. Szkatułka poleciała w dół i wpadła do wody, dziewięćdziesiąt stóp poniżej, w miejscu, w którym zniknęło ciało służącego Bita Yakina. Zęby Gwahlura przepadły na zawsze z ludzkich oczu.

Conan ledwo raczył rzucić okiem na dół. Pobiegł w górę schodów jak kot, niosąc bezwładną dziewczynę niczym dziecko. Obrzydliwe wycie sprawiło, że obejrzał się przez ramię. Reszta stworów wlewała się z powrotem do pieczary poniżej, z ich obnażonych kłów kapłała krew. Wbiegali po wijących się od poziomu do poziomu schodach, rycząc mściwie. Ale on przerzucił sobie bezceremonialnie dziewczynę przez ramię, popędził przez tunel i zwinnie zszedł w dół skalnej ściany, chwytając się kolejnych występów. Kiedy bestie dotarły do krawędzi otworu, zobaczyły tylko, jak Cymmeryjczyk i dziewczyna znikają w gęstym lesie.

– Cóż – powiedział Conan, stawiając dziewczynę na nogi, kiedy byli już bezpieczni. – Teraz możemy odpocząć. Nie sądzę, by te bestie ścigały nas

poza doliną. Poza tym przy sadzawce czeka na nas koń, o ile nie zjadły go wilki. Na Croma! A czemu ty ryczysz?

Dziewczyna zakryła dłońmi zalaną łzami twarz. Jej szczupłe ramiona drgały od łkania.

– Zgubiłam twój skarb! – zanosila się żalonym lamentem. – To moja wina! Gdybym cię posłuchała i została na skalnym występie, ta bestia nawet by mnie nie zauważyła. Powinieneś złapać klejnoty i pozwolić mi zginąć.

– Może powinienem tak zrobić – zgodził się Cymmeryjczyk. – Ale zapomnij już o tym. Nigdy nie martw się o przeszłość. I przestań płakać, dobrze? Tak lepiej. Chodź.

– To znaczy że mnie zatrzymasz? Że zabierzesz mnie ze sobą? – zapytała dziewczyna z nadzieją.

– A co niby mam z tobą zrobić? – spojrzał na nią pożądlawie, a oczy mu zalśniły na widok rozdartej szaty, która odsłaniała kuszące krągłości i alabastrową skórę. – Przyda mi się taka aktorka jak ty. Nie ma sensu wracać do Keshii. Tam nie ma już nic, czego bym pożądał. Pójdziemy do Puntu. Tamtejsze plemię czci kobietę z kości słoniowej i wypłukuje złoto z wody za pomocą wiklinowych koszyków. Powiem im, że Keshan wraz z Thutmekrim chce ich najechać i zniewolić. Powiem im także, że bogowie zesłali mnie, bym ich chronił, za skromną opłatą równą mniej więcej ilości złota, jaka może pomieścić się w domu. A jeśli uda mi się przemycić cię do ich świątyni i zamienić na miejsca z boginią z kości słoniowej, oskubiemy ich do gołej skóry zanim się obejrzą!

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(marzec 1935) pod tytułem *Jewels of Gwahlur*

ZA CZARNĄ RZEKĄ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

CONAN TRACI TOPÓR

Zatrważająco głośno brzmiał odgłos kroków miękko obutych stóp na trakcie w dziewiczej ciszy lasu. Przynajmniej tak wydawało się wędrowcowi, poruszającemu się z najwyższą ostrożnością, którą musiał zachować każdy śmiałek, gdy przekraczał Rzekę Gromu. Był to młody mężczyzna średniego wzrostu, o szczerzej twarzy i gęstwinie zmierzwionych płowych włosów. Nie nosił żadnego nakrycia głowy. Miał na sobie powszechną w tych stronach spiętą w pasie szorstką tunikę, krótkie, skórzane bryczesy oraz miękkie, sięgające mu do kolan buty z kozłej skóry. Zza cholewy jednego z nich wystawała rękojeść noża. Szeroki pas podtrzymywał krótki, ciężki miecz i skórzaną sakiewkę. Mężczyzna z najwyższą uwagą wpatrywał się w zielone ściany lasu po obu stronach traktu, lecz nie zdradzał żadnych oznak niepokoju. Mimo niewysokiego wzrostu mógł się poszczycić potężnymi barami, które naznaczone grubymi węzłami mięśni, dumnie przeżyły się pod krótkimi, szerokimi rękawami jego tuniki...

Nieustannie parł naprzód, chociaż ostatnie napotkane domostwo tutejszych osadników pozostawił wiele mil za sobą, a z każdym kolejnym krokiem zbliżał się do niebezpieczeństwa, unoszącego się niczym lepki, ponury cień nad tym prastarym lasem.

Nie czynił tak wielkiego hałasu, jak mu się zdawało, jednak dobrze wiedział, że nawet najcichszy trzask nieopatrznie nadepniętej gałązki zagrzmie jak dzwon bijący na alarm dla nieprzyjacielskich uszu, czających się gdzieś w tej zielonej, zdradzieckiej otchłani. Jego demonstracyjna wręcz pewność siebie była tylko pozą; cały czas pilnie wypatrywał i nasłuchiwał najmniejszych nawet oznak nadchodzącego zagrożenia. Mógł polegać jedynie na swoim wyczulonym słuchu, łowiącym nieustannie każdy szelest dochodzący z gęstwiny. Wiedział bowiem, że nie miał żadnych szans, by przebić wzrokiem otaczający go labirynt gałęzi i liści.

Nagle, bardziej za podszeptem instynktu niż polegając na własnych zmysłach, chwycił za rękojeść wiszącego u boku miecza. Stał zdjęty grozą na środku traktu, wstrzymując oddech i gorączkowo zastanawiając

się, czy rzeczywiście coś mu grozi, czy to tylko gra jego rozemocjonowanej wyobraźni. Wokół niego panowała absolutna cisza. Zamilkły nawet zawsze przecież głośne ptaki. Jego spojrzenie, próbujące zgłębić gęstwiny, zatrzymało się na kępie krzaków, rosnących kilka jardów dalej. Nie było żadnego wiatru, a jednak wyraźnie zobaczył lekko poruszające się liście. Dreszcz przebiegł mu po plecach, zwiastując nadejście najgorszego. Stał nieruchomo, absolutnie pewien, że oto nadchodzi śmierć, bez względu na jego kolejny krok. I wtedy, za nieprzeniknioną zasłoną roślinności, rozległ się suchy chrzęst. Krzakami coś gwałtownie zatrzęsło, a spośród splątanych gałęzi wyleciała wypuszczona na ślepo strzała, niknąc gdzieś między drzewami po drugiej stronie traktu. Wędrowiec ledwo zdążył ją dostrzec, kryjąc się pod osłonę wielkiego pniaka. Przykucnął tam i z całych sił ściskając w drżącej dłoni obnażony miecz zobaczył, jak z gęstwiny, prosto na drogę, bez cienia strachu, wychodzi ogromny mężczyzna. Wędrowiec osłupiał ze zdziwienia.

Nieznajomy miał na sobie takie same jak on buty i bryczesy z tą jednak różnicą, że te ostatnie uszyto z jedwabiu, a nie z kozłej skóry. Nie nosił tuniki, tylko kolczugę bez rękawów, natomiast czarne długie włosy skrywał pod ciężkim hełmem. I ten hełm przykuł uwagę wędrowca – nie wieńczył go pióropusz. Zamiast niego dumnie w niebo strzelały okazałe bawole rogi. Jedno było jasne dla skrytego za pniem mężczyzny, takiego hełmu na pewno nie wykuły zręczne dłonie cywilizowanych ludzi, bo i twarz widoczna pod hełmem nie była twarzą nikogo cywilizowanego: smągła, poorana kaskadami blizn, pośród których złowrogo skrzyły się błękitem zimne oczy. Było to oblicze naznaczone pierwotną dzikością, nieprzeniknione i mroczne w takim samym stopniu jak las, z którego ów olbrzym właśnie wyszedł. Stojąc na środku traktu swobodnie dzierżył w prawej dłoni szeroki, okrwawiony miecz.

– Wyłaź! – zawołał z nieznanym wędrowcowi akcentem. – Już po wszystkim. To był tylko jeden z tych psów! Wyjdź, mówię.

Mężczyzna niepewnie wyszedł z ukrycia. Czuł się dziwnie bezradny i wręcz śmieszny, patrząc na tego giganta – potężną, skrytą pod kolczugą pierś, nieprawdopodobnie muskularne, ogorzałe od słońca ramiona, miecz skąpany we krwi. Olbrzym poruszał się bezszelestnie i zwinnie jak pantera podczas polowania. Wędrowiec nie miał wątpliwości – ten człowiek nie mógł być wytworem żadnego cywilizowanego świata czy choćby dalekiego

echa takiego świata, jakim były rejony pogranicza. Wtem nieznajomy odwrócił się i rozchylił krzaki.

W dalszym ciągu dezorientowany całą sytuacją podróżny podszedł niepewnie do zarośli. Gdzieś pośród płataniny liści i gałęzi dostrzegł leżące ciało niskiego, ciemnoskórego człowieka odzianego jedynie w przepaskę na biodrach, złowrogi naszyjnik z ludzkich zębów i mosiężny naramiennik. Do pasa miał przytroczony krótki miecz a w martwej dłoni ścisnął krótki, ciężki łuk. Długie czarne włosy skąpane były w szybko krzepnącej krwi. Z jego twarzy nie pozostało wiele, wyglądała teraz jak gargantuiczna maska pośmiertna ulepiona z fragmentów mózgu i kości.

– Na bogów, to Pikt! – wykrzyknął wędrowiec.

Para zimnych niebieskich oczu zmierzyła go beznamiętnym spojrzeniem.

– Jesteś zaskoczony?

– Skądże, mówiono mi w Velitrium, a potem jeszcze w chatach osadników, że te diabły czasami przekradają się przez granicę, ale nie spodziewałem się, że spotkam jednego z nich tutaj.

– Jesteśmy tylko cztery mile na wschód od Czarnej Rzeki – poinformował go nieznajomy. – A zdarza się, że zapędzają się nawet na przedpola Velitrium. Tak naprawdę żaden osadnik między Rzeką Gromu a fortem Tuscelan nie jest bezpieczny. Wpadłem na trop tego psa dziś rano, trzy mile na południe od fortu i śledziłem. Dopadłem go w momencie, kiedy właśnie zamierzał przeszyć cię strzałą. Jeszcze chwila, a posłałby twą duszę do piekła. Ale, jak widzisz, pokrzyżowałem mu szyki.

Wędrowiec patrzył oniemiały na swojego wybawiciela, który nie tylko zdołał wytropić, ale także zaskoczyć i zabić jednego z leśnych diabłów. Było to dowodem znakomitej znajomości lasu, a także niespotykanego, nawet wśród mieszkańców Conajohary, mistrzostwa w tropieniu.

– Należysz do załogi fortu? – spytał po chwili.

– Nie jestem żołnierzem, jeśli o to pytasz. Pobieram oficerski żołd i racje, ale działam w lesie. Valannus wie, że bardziej mu się przydam tutaj niż zamknięty za murami fortu.

Mówiąc to olbrzym, bez śladu żadnych emocji, wepchnął zaszlachtowane ciało Pikta w zarośla, dokładnie je ukrył i jak gdyby nigdy nic, wrócił na trakt.

– Ja jestem Balthus – przedstawił się wędrowiec. – Ostatnią noc spędziłem w Velitrium. Ciągle się zastanawiam, czy wziąć pod uprawę

kawałek ziemi, zbudować dom, czyli zostać osadnikiem, czy może jednak zaciągnąć się na służbę w forcie.

– Najlepsze ziemie wokół Rzeki Gromu są już zajęte – zauważył olbrzym. – Za to między Strumieniem Skalpów, który minąłeś kilka mil wcześniej, a fortem znajdziesz tyle wybornej ziemi, ile tylko dusza zapragnie, ale to jest zdecydowanie zbyt blisko tej przeklętej rzeki. Piktowie często i ochoczo przeprawiają się przez nią, by palić i mordować – tak jak ten martwy w krzakach. Nie zawsze robią to w pojedynkę. Nadejdzie w końcu taki dzień, że spróbują przepędzić osadników z Conajohary. I powiem ci, że na mój gust – może im się to udać. Nawet na pewno im się to uda. Cała ta kolonizacja to jakiś szalony pomysł. Na wschód od Bossoni jest mnóstwo dobrej ziemi. Gdyby Akwilończycy zechcieli nieco okroić majątki swych baronów, a potem zasiali zboże tam, gdzie teraz poluje się na jelenie, to nie musieliby przekraczać granicy, zabierając Piktom ich ziemię.

– Dziwne to słowa w ustach kogoś, kto jest na służbie namiestnika Conajohary – zauważył Balthus.

– Mam to gdzieś – odparł mężczyzna. – Jestem najemnikiem. Kto zapłaci najwięcej może liczyć na mój miecz. Nigdy nie siałem zboża i nie zamierzam tego robić, dopóki nie zabraknie krwawego żniwa dla mego ostrza. Prawda jest taka, że wy, Hyboryjczycy, nasyciliście się już nową ziemią, jak tylko można. Przekroczyliście kilka marchii, puściliście z dymem napotkane wioski, wyrznęliście kilka klanów i ustanowiliście nowe granice na brzegach Czarnej Rzeki. Wątpię jednak, byście utrzymali to, co podbiliście, a już na pewno nie posuniecie się dalej na zachód. Wasz skretyniały król nie ma bladego pojęcia o sytuacji tutaj. Nie przyśle żadnych posiłków, a osadników jest za mało, by w ogóle myśleć o odparciu ataku zza rzeki.

– Przecież Piktowie są rozproszeni i żyją w małych klanach – upierał się Balthus. – Nigdy się nie zjednoczą. A my możemy pokonać ich wszystkich, klan po klanie, jednego po drugim.

– Jak najbardziej, że możecie – przyznał zabójca. – Nawet połączone siły trzech czy czterech klanów. Jednak pewnego dnia znajdzie się ktoś, kto zjednoczy ich trzydzieści lub czterdzieści, tak jak to się stało kiedyś z Cymmeryjczykami, kiedy Gundermanowie usiłowali przesunąć swe granice dalej na północ. Zachciało im się ziem na południu Cymmerii.

Wyrznęli kilka pomniejszych klanów i zbudowali ufortyfikowane miasto Venarium. Na pewno słyszałeś tę historię.

– Tak, słyszałem – odparł Balthus, krzywiąc się. Pamięć o tej krwawej klęsce była czarną plamą w dziejach dumnego i skorego do wojaczki ludu Gunderlandu. – Mój wuj był w Venarium, kiedy Cymmeryjczycy zaatakowali miasto. Jako jeden z niewielu uniknął rzezi. Opowiadał mi o tym niezliczoną ilość razy. Barbarzyńcy bez ostrzeżenia zaatakowali z pobliskich wzgórz jak potworna fala żarłocznych szaleńców. I zrobili to z taką furją, że nic i nikt nie mogło ich powstrzymać. Zaszlachtowali wszystkich: mężczyzn, kobiety i dzieci, a miasto zamienili w pogorzelsko zatopione w morzu krwi. Do dzisiaj widnieje tam dziura wypalona w ziemi. Gundermanowie zostali odepchnięci daleko na południe i już więcej nie próbowali przekraczać granic Cymmerii. Powiedz mi jednak, skąd tak dobrze znasz tę historię? Mówisz o Venarium, jakbyś je znał. Byłeś tam?

– Owszem, byłem – burknął zapytany. – Należałem do tej hordy, która rozniosła w pył mury miasta. Nie miałem wtedy nawet piętnastu lat, ale moje imię powtarzano już podczas spotkań rady starszych.

Balthus mimowolnie zrobił krok w tył i wybałuszył oczy. Wydawało mu się niemożliwe, aby ten spokojnie idący obok niego człowiek mógł być jednym z tych rozwrzeszczanych, żądnych krwi diabłów, które tamtego pamiętnego dnia spadły na mury Venarium, zamieniając jego ulice w rwące rzeki wypełnione krwią mieszkańców.

– A więc ty też jesteś barbarzyńcą! – wykrzyknął zdumiony.

Mężczyzna skinął głową nie okazując żadnych emocji.

– Jestem Conan z Cymmerii.

– Słyszałem o tobie – głos Balthusa zdradzał najwyższe uznanie. A więc Pikt stał się ofiarą pokrewnej mu istoty! Cymmeryjczycy byli barbarzyńcami równie dzikimi jak Piktowie, lecz dużo bardziej inteligentnymi. Najwyraźniej Conan spędził wiele czasu między cywilizowanymi ludźmi, jednak nie stępiło to w żadnym stopniu pierwotnych instynktów barbarzyńcy. Teraz Balthus zaczął podziwiać swego wybawcę. Dostrzegł jego lekki, koci chód. Cymmeryjczyk poruszał się bezszelestnie. Naoliwiona kolczuga nie wydawała najcichszego dźwięku i Balthus zrozumiał, że Conan z łatwością może przemknąć przez największą gęstwinę jak każdy nagi Pikt.

– Nie jesteś Gundermanem – bardziej oznajmił niż zapytał Conan.

Balthus potrząsnął głową.

– Pochodzę z Tauranu.

– Spotkałem kilku odważnych mężczyzn z Tauranu, ale niewielu. Zbyt długo Bossończycy chronili was, Akwilończyków, przed barbarzyńską nawałnicą. Przydałoby się wam trochę ostrego treningu.

Conan mówił prawdę. Bossońskie pograniczne naszpikowane ufortyfikowanymi osadami, w których prym wiodli znakomici i zdeterminowani łucznicy, od lat były dla Akwilonii skuteczną strefą buforową. Co prawda, ostatnio wśród osadników znad Rzeki Gromu dorastać zaczęło nowe pokolenie wprawnych, obeznanych z niebezpieczeństwami pogranicza wojowników, ale było ich ciągle niewielu, by stawić skuteczny opór w razie ewentualnego, zmasowanego najazdu Piktów. Większość osadników wolała uprawiać ziemię niż z mieczem w dłoni doskonalić wojenne rzemiosło.

Słońce jeszcze nie zaszło, ale już schowało się za gęstą ścianą drzew. Wędrowcy szli dalej wśród coraz bardziej wydłużających się cieni, zwiastujących nadejście nocy.

– Zrobi się ciemno, zanim dotrzemy do fortu – stwierdził barbarzyńca. I nagle szepnął – Posłuchaj.

Zatrzymał się w pół kroku, lekko pochylony zastygł bez ruchu i zamienił się od razu w dziką, groźną maszynę bojową, gotową w każdej chwili podjąć walkę lub ucieczkę. Balthus także przystanął i nagle do ich uszu dobiegł przeraźliwy wrzask agonii, który urwał się na najwyższej nucie.

Conan pomknął ścieżką, z każdą chwilą zostawiając swego towarzysza coraz bardziej z tyłu. Balthus siarczyście zaklął. Wśród osadników zawsze miał opinię znakomitego biegacza, ale z barbarzyńcą nie mógł się równać. I nagle krew w żyłach ściał mu najstraszniejszy ryk, jaki kiedykolwiek słyszał. I nie mógł być to wrzask człowieka. Bardziej pasował do jakiegoś krwiożerczego demona, który w chwili diabelskiego triumfu szydził z całej ludzkości, a dźwięk tej przerażającej ekstazy odbijał się zwielokrotnionym echem w najczarniejszych zakamarkach pierwotnej puszczy.

Taurańczyk od razu zapomniał o swoim rozdrażnieniu.

Zwolnił kroku, a jego czoło zdobiły lepkie krople potu. Conan nie wahał się. Pomknął niczym wygłodzona pantera na widok swojej ofiary i zniknął za zakrętem ścieżki. Taurańczyk, przerażony do nieprzytomności, z trudem przyspieszył i ruszył za towarzyszem. Za żadne skarby tego świata nie chciał zostać pośród tej głuszy sam, mając jedynie za towarzysza ten

potworny krzyk, tańczący niekończącym się echem wśród mrocznej otchłani lasu.

Nie dobiegł jednak daleko. Po kilku krokach o mało nie wpadł na mocarne plecy Cymmeryjczyka, stojącego nad trupem leżącym w kałuży krwi. Balthus ślizgając się i bezradnie wymachując rękami, ledwie zdążył wyhamować przed swoim towarzyszem. Ten jednak nie zwrócił na to żadnej uwagi, tak samo jak na trupa u swych stóp. Płonącymi oczyma wpatrywał się uważnie w mroczną gęstwinę lasu po obu stronach traktu.

Będący u kresy wytrzymałości Balthus zaklął pod nosem. Na ścieżce leżało zmasakrowane ciało niskiego i grubego mężczyzny, odzianego w pozłacane buty i – mimo upału – podbitą gronostajem tunikę bogatego kupca. Na martwej, nalanej twarzy malowało się tylko jedno: bezgraniczne przerażenie. Grube gardło zostało poderżnięte z najwyższą wprawą od ucha do ucha, jakby zrobiono to brzytwą. Mężczyzna nie zdążył nawet wyciągnąć z pochwy krótkiego miecza, co wskazywało, że śmierć dopadła go niespodziewanie.

– Pikt? – szepnął Balthus, taksując powoli tonącą w mroku ścianę lasu.

Conan zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy i zaczął przyglądać się trupowi.

– Leśny diabeł. Na Croma, to już piąty!

– O czym ty mówisz?

– Czy kiedykolwiek słyszałeś o piktyjskim magu, zwanym Zogar Sag?

Balthus zaprzeczył.

– Mieszka w Gwaweli, najbliższej wiosce po drugiej stronie rzeki. Trzy miesiące temu zaczął się przy tej drodze i ukradł stadko jucznych mułów z karawany zmierzającej do fortu. Sądzę, że w jakiś sposób musiał podać narkotyki poganiaczom. Muły należały do tego człowieka – Conan obojętnie wskazał na trupa u swoich stóp. – To Tyberiasz, kupiec z Velitrium. Na grzbietach taszczyły beczki z piwem i stary Zogar postanowił skosztować tego przedniego trunku, zanim przekroczy rzekę. Wytropił go niejaki Soractus i sprowadził Valannusa z trzema żołnierzami, by pojmali urzędnego do nieprzytomności, leżącego w krzakach, maga. Ulegając naleganiom Tyberiasza, Valannus wrzucił Zogara Saga do celi, a wiedz, że nie można bardziej znieważyć Pikta. Ten diabeł jakimś sposobem zabił pilnującego go strażnika i uciekł, a potem rozgłosił wszem wobec, że zabije Tyberiasza i pięciu pozostałych, którzy go schwytali w tak

okrutny sposób, że Akwilończycy będą to wspominać ze zgrozą przez następne kilka wieków.

– Zogar Sag jest słowny, to trzeba mu przyznać – barbarzyńca kontynuował swą opowieść – Soractus i żołnierze już nie żyją. Soractus zginął nad rzeką, a żołnierze blisko fortu. Teraz dopadł Tyberiasza. To nie Piktowie ich zabili. Każdej ofierze – z wyjątkiem leżącego tu Tyberiasza, jak widzisz – odrąbano głowę. Pewnie teraz zdobią ołtarz żądnego ofiar boga Zogara Saga.

– Skąd wiesz, że to nie sprawka Piktów? – drążył temat Balthus.

Conan wskazał na rozplątane gardło trupa.

– Jesteś pewien, że takie rany można zadać nożem lub mieczem? Przyjrzyj się uważnie, a zrozumiesz, że tylko pazury mogły zadać podobną ranę. Ciało jest rozerwane a nie przecięte.

– Może to pantera... – zaczął Balthus bez przekonania.

Conan się zniecierpliwiał.

– Na Croma! Człowiek z Tauranu powinien rozpoznać ślady pantery. Nie. To leśny demon, przyzwany przez Zogara Saga, aby pomógł mu w zemście. Z jednej strony Tyberiasz głupio zrobił, ruszając samotnie do Velitrium tak krótko przed zmierzchem, z drugiej jednak stronę każdą z ofiar maga na krótko przed śmiercią ogarnęło niewytłumaczalne szaleństwo. Spójrz tutaj; ślady są całkiem wyraźne. Tyberiasz jechał szlakiem na mule, niewykluczone, że z transportem nowych wydrzych skór, do Velitrium. I wtedy coś skoczyło na niego zza krzaków. Spójrz, gdzie leżą połamane gałęzie. Ten stary przerażony sknera zdołał jedynie wrzasnąć, a teraz z rozerwanym gardłem handluje swoimi skórkami w piekle. Muł uciekł w las. Posłuchaj! Jeszcze słyhać jak usiłuje się przedrzeć przez chaszczę. Demon nie miał czasu, by z głowy Tyberiasza zrobić kolejne trofeum zemsty. Wystraszyliśmy go.

– To ty go wystraszyłeś, nie ja – poprawił go Balthus. – To stworzenie nie jest chyba tak groźne, skoro ucieka przed jednym uzbrojonym mężczyzną. Skąd wiesz, że to nie Pikt z jakimś rodzajem haka, rozcinającym ciało w taki sposób? Nie widziałeś przecież całego zdarzenia...

– Tyberiasz, jak my, był uzbrojony – warknął Conan. – Jeśli Zogar Sag potrafi przyzywać na pomoc demony, to może im wskazać, kogo zabić, a kogo zostawić w spokoju. Nie, nie widziałem zdarzenia. Widziałem tylko

falujące zarośla, kiedy bestia uciekała. Ale jeśli potrzebujesz dowodu, spójrz tutaj!

Barbarzyńca wskazał palcem na dziwny ślad; najwyraźniej zabójca wdepnął w kałużę krwi otaczającej martwe ciało kupca i dlatego na glinianej ścieżce pozostał wyraźny ślad.

– Ciągłe myślisz, że to dzieło człowieka?

Balthus poczuł, jak włosy na głowie stają mu dęba. Dotarło do niego, że ani człowiek, ani żadne znane mu zwierzę, nie mogło pozostawić takiego dziwnego, trochę ptasiego, a trochę gadziego, śladu. Taurańczyk pochylił się lekko i bardzo ostrożnie dotknął tropu dłonią, by go nie zatrzeć. Zaklął pod nosem widząc, że ślad jest ogromny, o wiele większy niż jego dwie dłonie.

– Co to jest? – szepnął. – W całym swoim życiu nie widziałem zwierzęcia, które zostawiałoby takie ślady.

– Niewielu je widziało i nie każdy z nich po takim spotkaniu pozostał przy zdrowych zmysłach – odpowiedział ponuro Conan. – To demon bagienny. Legną się za Czarną Rzeką jak nietoperze na bagnach. W duszne, gorące letnie noce, razem z południowym wiatrem, ich potępieńczy jazgot słyszeć aż w forcie.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Akwilończyk, spoglądając z niepokojem na otaczające ich mroczne cienie. Przerażenie zastygłe na twarzy martwego kupca udzielało się i jemu. Próbował sobie wyobrazić, jakiego to potwora zobaczył ów martwy nieszczęśnik tuż przed swoją śmiercią.

– Nie będziemy ścigać tego demona, to nie ma sensu – mruknął Conan, wyciągając zza pasa topór. – Próbowalem iść jego śladem, kiedy zabił Soractusa, lecz zaledwie po kilku krokach zgubiłem trop. Może bestia rozpostarła skrzydła i poleciała za rzekę, a może zapadła się pod ziemię i wróciła do piekła. Nie wiem. Nie będziemy też biegali po lesie za mułem. Sam znajdzie drogę do fortu lub trafi do chaty jednego z osadników.

Nim wybrzmiały słowa Conana, ten wziął się do pracy. Paroma uderzeniami topora ściął kilka młodych drzewek, poodcinał ich gałęzie, a z rosnącego w pobliżu krzaka odciął oplatające go pędy winorośli. Z wprawą związał nimi nagie drzewka i w mgnieniu oka miał już gotowe prymitywne, lecz mocne i poręczne nosze.

– Jeśli mogę temu zaradzić, demon nie dostanie głowy Tyberiasza – warknął. – Zaniesiemy ciało do fortu. To niecałe trzy mile stąd. Nigdy nie

lubielem tego grubego głupca, ale nie możemy pozwolić, by piktyjskie diabły poczynaly sobie tak swobodnie z glowami bialych ludzi.

Piktowie rowniez nalezeli do bialej rasy, ale z powodu ich ogorzalej skory mieszkancy pograniczna nigdy ich za takich nie uwazali.

Balthus chwycil prowizoryczne nosze, na ktore Conan bez zbędnych ceregieli wrzucil ciało nieszczęsnego kupca i najszybciej jak mogli ruszyli traktem. Dźwigający niemały przecież ciężar barbarzyńca poruszał się równie lekko, zwinnie i bezszelestnie jak gdyby martwy Tyberiasz nic nie ważył. Zdjął kupcowi pas, zrobił z niego pętlę, połączył nią obydwie końce noszy i niósł je w jednej ręce, by w drugiej ścisnąć swój długi, ciężki morderczy miecz. Cały czas w najwyższym skupieniu lustrował otoczenie w poszukiwaniu jakiegokolwiek zagrożenia. Mrok nocy nadchodził szybko. Cienie gęstniały, nadając puszczy upiornego wyglądu, potęgowanego przez spowijającą wszystko błękitną mgiełkę. Właśnie nadchodziła pora łowów dla wszystkich krwiożerczych mieszkańców pierwotnego lasu.

Przeszli równym tempem ponad milę, gdy zmęczenie powoli zaczęło doskwierać Balthusowi i zaczął odczuwać coraz większy ból w zmęczonych ramionach. I wtedy w zanurzającym się w różowej poświacie zachodu słońca lasem wstrząsnął rozdzierający, pełen strachu krzyk.

Conan drgnął zauważalnie, a Balthus omal nie upuścił noszy.

– Kobieta! – wrzasnął Taurańczyk. – Na wielkiego Mitrę, to był kobiecy głos!

– Najpewniej żona jednego z osadników zabłądziła w lesie – mruknął Conan, odkładając nosze. – Może szukała krowy i... Zostań tu!

I niczym polujący, wygłodniały wilk, zanurkował w mroczną gęstwinę. Balthusowi po raz kolejny tej nocy włosy stanęły dęba na głowie.

– Mam tu zostać sam? – wyjęczał. – Z trupem? I z tym przeklętym demonem kryjącym się w ciemnościach?!? Mowy nie ma! Idę z tobą!

Rzucił się w pogoń za Cymmeryjczykiem. Conan obejrzał się, ale nic nie powiedział, nie zwolnił kroku. Balthus przeklinał na czym świat stoi, dysząc ciężko, bo widział, że barbarzyńca bez widocznego wysiłku znowu zostawia go w tyle, niknąc między drzewami jak zjawa w promieniach poranka. Po chwili Taurańczyk wypadł na niewielką polanę, dzierżąc w umęczonej dłoni miecz i ujrzał tam stojącego kompana.

– Dlaczego się zatrzymałeś? – wysapał Balthus, ocierając pot z czoła.

– Krzyk dochodził z tej polany albo z jej pobliza – odparł Conan. – Nie mam w zwyczaju mylić kierunków, nawet w lesie. Ale gdzie...

Barbarzyńca nie zdążył dokończyć myśli, bo nagle ten sam krzyk przerażonej kobiety, który wywabił ich z traktu, rozległ się znowu, gdzieś za nimi. Wzniósł się wysoką nutą, przeszywający i żaloszny, by raptem, w jakiś upiorny sposób zamienił się we wrzaskliwy, drwiący śmiech, który mógł wydobyć się jedynie z gardła jakiegoś ohydneho piekielnego monstrum.

– Na Mitrę! – wyjęczał Balthus, którego twarz, w gęstniejącym mroku, była blada jak twarz trupa.

Miotając najgorszymi przekleństwami, Conan zawrócił i popędził z powrotem, a wykończony niemal do nieprzytomności Taurańczyk próbował dotrzymać mu kroku. Niespodziewanie barbarzyńca dosłownie zatrzymał się w miejscu, tak że Balthus, niczego takiego się nie spodziewając, wpadł na niego, odbijając się od mocarnych pleców kompana jak od kamiennej ściany. Zamroczony, zmęczony i doprowadzony na skraj wytrzymałości usłyszał, jak Cymmeryjczyk, stojący w miejscu niczym posąg, z wściekłością wciąga powietrze przez zaciśnięte zęby.

Zerkając zza jego ramienia, Balthus poczuł, jak lodowate szpony grozy ściskają mu serce. Coś przedzierało się przez gęstwinę porastającą obydwie strony traktu, coś, co pełzało jak wąż. Ale nie był to wąż. W otaczających go ciemnościach nie mógł w żaden sposób dokładnie określić, co właściwie widzi. Wydawało mu się, że stwór był wyższy od dorosłego mężczyzny, ani chudy, ani gruby. Jego ciało jarzyło się posępnym blaskiem, niewiele różniącym się od księżycowej poświaty. Taurańczyk musiał przyznać, że tak po prawdzie, to ta upiorna poświata była jedynym namacalnym dowodem istnienia tego potwora. Innych szczegółów jego budowy w żaden sposób nie dawało się rozróżnić. Oto miał przed oczami jakiś bliżej niesprecyzowany niebieskawy płomień o ludzkim kształcie, który zagłębiał się w czarne, leśne odmęty.

Conan zaklął siarczyście i z całych sił cisnął toporem, lecz stwór nawet się nie zatrzymał, tylko z zatrwającą obojętnością parł dalej, podążając ciągle w tym samym kierunku. Widzieli go tylko przez chwilę – rozmytą, blednącą z każdą chwilą plamę, sunącą wśród gałęzi – po czym zniknął im z oczu wśród gęstwiny krzaków i drzew. Wszystko dookoła zastygło w oniemiałej ciszy.

Cymmeryjczyk jak rozjuszony mamut z impetem wpadł między chaszczę, czyniąc wśród nich prawdziwe pobożowisko, zmierzając z powrotem na trakt. Balthus ruszył za nim ogłuszony kakofonią rzucanych przez barbarzyńcę przekleństw. W jednej chwili zatrzymali się przy noszach, przypatrując się martwemu ciału Tyberiasza. Tym razem pozbawionego głowy.

– Zrobił z nas głupców tym przeklętym miauczeniem! – pieklił się Conan, wymachując gniewnie swym potężnym mieczem. – Powinienem się domyślić! Powinienem zwietrzyć podstęp! Teraz już pięć głów będzie zdobiło ołtarz Zogar Saga!

– Ale cóż to za stworzenie, które potrafi krzyczeć jak kobieta i śmiać się jak demon? Jarzyć się upiornym światłem? I na dodatek pełza wśród drzew? – głośno zastanawiał się Balthus, ocierając pot z poblądłej twarzy.

– Demon bagienny – odparł posępnie Conan. – Bierzmy nosze, ciało zabieramy do fortu. Przynajmniej teraz jest nieco lżejsze.

I po tej sentencji, godnej prawdziwego filozofa, chwycił za pętlę, uniósł nosze i ruszył przed siebie.

ROZDZIAŁ DRUGI

MAG Z GWAWELI

Fort Tuscelan wznosił się na wschodnim brzegu Czarnej Rzeki, której fale obmywały podnóże palisady, zbudowanej z niemałym trudem z grubo ciosanych bali, podobnie zresztą jak wszystkie budynki fortu, nie wyłączając górującego nad wszystkim donżonem – ta nazwa dodawała tej konstrukcji majestatu. Znajdowały się w nim kwatery gubernatora, który miał z niego wyśmienity widok na palisadę i ponury nurt rzeki. Za nią rozciągał się gęsty niczym dżungla prastary las, sięgający samego jej brzegu. Uzbrojeni po zęby żołnierze pilnowali palisady dniem i nocą, obserwując pilnie zieloną ścianę drzew. Z rzadka widzieli samotne, ledwie widoczne w gąszczu sylwetki, ale doskonale wiedzieli, że bezlitosne oczy ich nieprzyjaciół śledzą każdy ich ruch. Dzień i noc. Bez ustanku. Na pierwszy rzut oka las za rzeką mógł się wydawać pusty, wymarły, senny, lecz były to tylko pozory. Osadnicy doskonale wiedzieli, że w leśnych ostępach prócz krwiożerczych bestii kryją się najbardziej niebezpieczne i bezlitosne z drapieżników – ludzie.

Tam kończyła się cywilizacja. Fort Tuscelan był ostatnim bastionem cywilizowanego świata, najdalej na zachód wysuniętym przyczółkiem osadnictwa hyboryjskiego. Pośród cieni tańczących w leśnej gęstwinie dominowało barbarzyństwo w czystej postaci, gdzie szczerzące pożółkłymi zębami czaszki ozdabiały prymitywne chaty zbudowane z gałęzi oblepionych błotem. To w nich, w blasku płonących ognisk, dudniły bębny, a mrukliwi, smągłokórzy wojownicy o zmierzwionych włosach i oczach pozbawionych cienia litości, ostrzyli swe włócznie. Często kierowali pełen nienawiści wzrok na fort po drugiej stronie rzeki. W zamierzchłych czasach wznosili domostwa tam, gdzie teraz rozciągały się zabudowania fortu, wznosili je także tam, gdzie zamiast pierwotnego lasu ciągnęły się obecnie pola uprawne i kwitło osadnictwo jasnowłosych przybyszów z Akwilonii. Ich dominium rozciągało się od Velitrium – tę nędzną, wstrząsaną ciągłymi konfliktami, żalną ostoję cywilizacji, która rozkraczyła się na pogranicznym brzegu Burzliwej Rzeki – aż po granice Bossoni. A później przybyli kupcy, za nimi bosonodzy i ubodzy kapłani Mitry, z których

większość zginęła straszną śmiercią. Ale potem nadciągnęli żołnierze oraz mrowie ludzi z toporami w zahartowanych ciężką pracą dłoniach, wraz z rodzinami w wozach ciągniętych przez wynędzniałe woły. Wyrzynani i masakrowani pierwotni mieszkańcy tych ziem zostali bezceremonialnie zepchnięci za Rzekę Gromu, a i jakby tego było mało, w końcu musieli uciekać aż za Czarną Rzekę. Jednak nigdy nie zapomnieli, że Conajohara kiedyś należała do nich.



Fort Tuscelan był ostatnim bastionem cywilizowanego świata, najdalej na zachód wysuniętym przyczółkiem osadnictwa hyboryjskiego.

Strażnik pilnujący wschodniej bramy głośno okrzyknął nadchodzących. Przez zakratowane okienko leniwie sączyło się słabe światło pochodni, odbijając się w stalowym hełmie i zmrużonych, wyczekujących najgorszego, żołnierskich oczach.

– Dalej, otwieraj bramę! – warknął Conan. – Chyba widzisz, że to ja?

Dyscyplina wojskowa doprowadzała go do szaleństwa.

Wartownik uchylił nieco bramę, a poirytowany barbarzyńca wraz z towarzyszem przeszli przez nią, taszcząc nosze. Balthusowi od razu rzuciły się w oczy wzniesione po obu stronach wrót, górujące nad palisadą, dwie wysokie wieże, w których znajdowały się liczne otwory strzelnicze dla łuczników.

Strażnicy wybałuszyli oczy na widok bezgłowego ciała. Pośpiesznie wzięli się za zamykanie bramy, cały czas rzucając ukradkowe, wypełnione przestachem, spojrzenia na nosze i ich zawartość.

– Nigdy nie widzieliście ciała z urwaną głową? – zapytał zniecierpliwiony Conan.

Poblądłe twarze żołnierzy były jedyną odpowiedzią.

– To Tyberiasz – wymamrotał jeden z nich. – Poznaje podbitą futrem tunikę. Valerius jest mi winien pięć lunas. Powiedziałem mu, że Tyberiasz musiał chyba usłyszeć zew śmierci, bo miał takie szkliste spojrzenie, gdy opuszczał fort. Założyłem się, że wróci krótszy o głowę.

Conan warknął coś niezrozumiale pod nosem, po czym gestem nakazał Balthusowi, by ten odłożył nosze na ziemię, a następnie udał się z nim do kwatery gubernatora. Rozczochrany młodzian nie odstępował barbarzyńcy na krok, jednocześnie ciekawie rozglądając się wokół. Dostrzegł rozmieszczone wzdłuż murów równe rzędy baraków, stajnie, małe stragany wszelkiej maści kupców, słusznych rozmiarów blokhauz, liczne domy mieszkalne i inne budynki, a wszystko to otaczało niewielki plac, na którym przez większą część dnia musztrowano żołnierzy. Teraz płonęły tam liczne ogniska, a mieszkańcy oddawali się tu słodkiemu lenistwu, przerwanemu przez nagłe pojawienie się dwóch ludzi z trupem na noszach. Większość z nich od razu szczelnym kręgiem stanęła wokół ciała Tyberiasza, komentując ze zgrozą upiorny widok. W tłumie smukłe sylwetki

akwilońskich żołnierzy i osadników mieszały się z niższymi, bardziej z natury przysadzistymi bossońskimi łucznikami.

Conan nie był specjalnie zdziwiony, że gubernator przyjął ich osobiście. Autokratyczne, sztywne reguły kastowe pozostały daleko na wschodzie. Valannus był jeszcze młodym mężczyzną, dobrze zbudowanym, o szlachetnym obliczu, z którego z jednej strony emanowała duma z piastowanego stanowiska, ale z drugiej strony znać już było na nim pierwsze oznaki zmęczenia trudami życia na pograniczu.

– Powiedziano mi, że opuściłeś fort przed świtem – powiedział do Conana. – Zacząłem się już obawiać, że Piktowie w końcu cię dopadli.

– Kiedy ku własnej uciechu będą wędzić moją głowę – odparł Conan – dowie się o tym całe pogranicze. Lament piktyjskich kobiet oplakujących martwych mężów będzie się nieść echem aż do Velitrium. Poszedłem na zwiady. Przez dudnienie tych przeklętych bębnow nad rzeką nie mogłem zasnąć. Coś nie dawało mi spokoju.

– Przecież słyhać je każdej nocy – przypomniał mu gubernator z rosnącym niepokojem w oczach. Już dawno się nauczył, że szczytem głupoty byłoby lekceważenie przeczuć i instynktu barbarzyńcy.

– Ale tym razem brzmiały zupełnie inaczej – warknął Conan. – Tak jest od czasu, kiedy Zogar Sag czmychnął za rzekę.

– Powinniśmy mu wtedy dać jakiś podarunek, a potem puścić wolno. Lub go powiesić – westchnął gubernator. – Tak mi radziłeś, ale...

– Ale wam, Hyboryjczykom, trudno zrozumieć obce zwyczaje, w tym te panujące wśród Piktów – przerwał mu Conan. – Tego i tak już nie naprawimy. Prawda jest taka, że dopóki Zogar Sag żyje i pamięta własne upokorzenie, nie będzie spokoju na granicy. Wyśledziłem dziś piktyjskiego wojownika, który przekroczył rzekę w jednym tylko celu – by zrobić kilka nowych nacięć na swoim łuku. Rozwaliłem mu czaszkę, a potem spotkałem tego oto młodzieńca imieniem Balthus, przybywającego z Tauranu, aby pomóc w walkach na pograniczu.

Valannus z aprobatą spojrział na szczerą twarz młodego mężczyzny i jego umięśnioną sylwetkę.

– Miło mi cię powitać, młody panie. Mam nadzieję, że częściej będzie mi dane witać w forcie dzielnych mieszkańców Tauranu. Pilnie potrzebujemy ludzi nawykłych do trudu życia w leśnych ostępach. Wielu moich żołnierzy i osadników pochodzi ze wschodnich prowincji i nie ma nawet najmniejszego pojęcia o lesie, nie mówiąc już o uprawie roli.

– Niewielu jest takich na usługach Velitrium – burknął Conan. – Chociaż w mieście każdego dnia przybywa mieszkańców. Słuchaj Valannusie, na szlaku znaleźliśmy martwego Tyberiasza.

I w paru krótkich zdaniach streścił wydarzenia sprzed kilku godzin.

– Nie wiedziałem, że opuścił fort – Valannus pobladł. – Musiał oszaleć!– A jakże, oszalał – rzekł z przekonaniem Conan. – Podobnie czterej pozostali. Kiedy nadchodził ich czas, tracili rozum i biegli w las na spotkanie śmierci, zupełnie jak zahipnotyzowany zając w paszczę głodnego pytona. Coś mrocznego przywoływało ich z głębi puszczy, coś, co inni nazywają zewem śmierci z braku lepszej nazwy, a słyszą tylko przekleści nieszczęśnicy. Parszywa magia Zogar Saga jest potężniejsza od akwilońskiej cywilizacji.

Valannus nie skomentował oczywistej prawdy, tylko wytarł pot z czoła drżącą ręką.

– Czy żołnierze o tym wiedzą? – zapytał po chwili.

– Tak. Zostawiliśmy ciało przy wschodniej bramie.

– Źle zrobiliście, powinniście je zostawić gdzieś w lesie. Moi żołnierze są już wystarczająco przerażeni.

– I tak by się o tym dowiedzieli. Gdybyśmy ukryli trupa, Piktowie ku własnej satysfakcji podrzuciliby go w nocy do fortu, tak jak zrobili z ciałem Soractusa. Nie chciałbyś chyba znaleźć kolejnych zwłok przywiązanych do palisady?

Valannus wzdrygnął się na samo wspomnienie tamtego paskudnego poranka. Podeszedł do okna i w milczeniu spojrzął na ponure i mętne wody rzeki, w których odbijały się gwiazdy. Na jej drugim brzegu trwała niczym skała hebanowo czarna ściana puszczy. Złowrogą ciszę przeciął ryk polującej pantery. Nadchodząca noc wygoniła ludzi z placu, pogaszono ogniska, ucichł gwar rozmów. Wiatr szeptał wśród czarnych gałęzi, muskał leniwe wody rzeki, niosąc ze sobą głucho, rytmiczne dudnienie, upiorne i złowieszcze niczym ślad ostrych pazurów lamparta na ścieżce.

– Koniec końców – powiedział Valannus, myśląc na głos – co my tak naprawdę wiemy... Co ktokolwiek może wiedzieć o mrocznych tajemnicach tej puszczy? Słyszeliśmy nieraz plotki o wielkich bagnach i rzekach, o nieprzebytych leśnych ostępach, których krańcem jest, jak się wydaje, brzeg zachodniego oceanu. Poza naszym wyobrażeniem jest jednak to, co tak naprawdę znajduje się między rzeką a oceanem. Nie próbujemy nawet zgadywać. Żaden biały człowiek nigdy nie próbował tego dociec.

A jeśli nawet – to nie wrócił stamtąd żywy. Tak bardzo szcycimy się zdobycami naszej cywilizacji, tak bardzo polegamy na naszej wiedzy, a tymczasem sięga ona nie dalej niż do brzegu tej prastarej rzeki! Któż to wie, jakie piekielne bestie zamieszkują te tereny, szydząc sobie ze światła naszej wiedzy? Kto ma śmiałość powiedzieć, że wie cokolwiek o mrocznych bogach, którym w niedostępnych czeluściach zielonego piekła składają hołd Piktowie? Kto wie, jakie jeszcze potworności wpełzają z bagiennych otchłani? Kto zaręczy, że wszyscy mieszkańcy tego przekłętego lasu są zwyczajnymi ludźmi? Zogar Sag... W miastach wschodnich prowincji jego magia wydawałaby się jeno jarmarcznymi sztuczkami, niewartymi złamanego miedziaka. A jednak ten staruch sobie tylko znanym sposobem przywiódł do szaleństwa pięciu dorosłych ludzi i sprowadził na nich ohydną śmierć. A my nie potrafimy tego wytłumaczyć. Zastanawiam się, czy on jest tylko człowiekiem.

– Jeśli znajdę się dostatecznie blisko niego to mój topór lub miecz rozwieją wszystkie twoje wątpliwości – warknął groźnie Conan, bezceremonialnie częstując się winem i podsuwając Balthusowi okazałą szklanicę z aromatycznym trunkiem. Ten zerknął pytająco na Valannusa i niepewnie podniósł ją do ust.

Gubernator odwrócił się i spojrzał na barbarzyńcę.

– Mało z tego pojmuję, bo ci z moich żołnierzy, którzy nie wierzą ani w duchy ani w demony – powiedział – są na skraju paralizującego przerażenia. A ty, z tego co mi wiadomo, wierzysz w diabły, ghule, gobliny i te wszystkie plugawe maskary, a mimo to nie wyglądasz na kogoś, kto by się ich bał.

– Nie ma na świecie takiej istoty, której nie dałoby się pociąć na kawałki zimnym, stalowym ostrzem – odparł Conan. – Rzuciłem toporem w demona i nie udało mi się go zranić, ale mogłem zwyczajnie spudłować w zapadających ciemnościach albo jakaś gałąź mogła zmienić tor jego lotu. Nie będę mitrzył czasu na bezsensowne poszukiwania wściekłych diabłów, ale jeśli jakiś stanie na mojej drodze, to odeślę go z powrotem do piekła.

Valannus podniósł głowę i spojrzał Conanowi głęboko w oczy.

– Zależy od ciebie więcej, niż myślisz. Doskonale zdajesz sobie sprawę z sytuacji prowincji, z jej słabości, z tego, że jest cieniutkim klinem wbitym w szalejący bezmiar barbarzyństwa. Wiesz także, że życie wszystkich ludzi na zachód od granic Bossoni zależy tylko i wyłącznie od tego fortu. Jeśli on upadnie, żadne krwi piktyjskie topory rozniosą bramy Velitrium w drzazgi

i to szybciej niż ktokolwiek zdąży zrobić cokolwiek. Jego Jaśnie Oświecona Wysokość, a ja myślę, że to raczej wszechwiedzący doradcy Jego Jaśnie Oświeconej Wysokości, zignorowali moje wszystkie prośby o nadesłanie posiłków. Nic nie wiedzą o sytuacji na granicy, a może to ich przerasta, w każdym razie z tego powodu nie ma sensu liczyć także na ich szczodrość – o dodatkowych pieniądzach mogę zapomnieć. Tak zatem los pogranicza leży w rękach jego mieszkańców. I tylko w ich rękach! Wiesz przecież doskonale, że większość oddziałów, które podbiły Conajoharę, już dawno wróciła do domu, a z kolei te, które zostały są daleko niewystarczające do sprawowania kontroli nad granicą. A kiedy ten parszywy demon Zogar Sag zatrzał wodę i ukatrupił przez to czterdziestu moich żołnierzy, sytuacja zrobiła się beznadziejna. Jakby tego było mało, wielu ciężko choruje, innych pokąsały węże, a jeszcze następnych pogryzły dzikie bestie, od których ostatnio zaroilo się w pobliżu fortu. Przez to wszystko wielu z moich ludzi uwierzyło w przechwałki Zogar Saga, że posiadał moc przyzywania na pomoc najbardziej krwiożerczych bestii z lasu. Mam pod rozkazami trzystu oszczepników, czterystu bossońskich łuczników i może z pięćdziesięciu ludzi podobnych tobie – znających las. Każdy z nich wart jest dziesięciu żołnierzy, ale to i tak o wiele za mało! Szczerze mówiąc, Conanie, moja sytuacja staje się beznadziejna. Żołnierze szepczą o dezercji, mają niskie morale... Wierzą, że Zogar Sag nasłał na nas swoje diabły. Boją się czarnej plagi, którą nam groził – śmiertelnej zarazy lęgnącej się na bagnach. Za każdym razem, kiedy widzę chorego żołnierza, pocę się ze strachu na myśl, że zaraz robi się czarny, zmarnieje w oczach i umrze na moich rękach. Conanie! Jeśli spadnie na nas epidemia, zdezerteruje mi każdy żołnierz! Nikt nie będzie bronił granicy przed naporem tych ciemnoskórych diabłów i ich żądne zemsty hordy staną pod murami Velitrium. Kto wie, może na tym się nie skończy? Może ruszą dalej? Jeżeli nie utrzymamy fortu, tym samym przypieczętujemy los miasta. Powiadam ci, jeśli nie chcemy stracić Conajohary, Zogar Sag musi umrzeć! Ty znasz ziemie Piktów lepiej, niż ktokolwiek na całym pograniczu. Ty wiesz, gdzie jest Gwawela i które ścieżki do niej prowadzą. Czy zechciałbyś wyruszyć dzisiaj na czele niewielkiego oddziału, by pojmać lub zabić maga? Wiem, że proszę o wiele, wiem, że to szaleństwo, wiem też, że jest jedna szansa na tysiąc, że ktoś z was wróci żywy. Jeśli jednak wasza misja skończy się klęską, wszystkim nam piktyjscy wojownicy poderzną gardła. Możesz zabrać tylu ludzi, ilu tylko zechcesz.

– Nie potrzebuję do takiej roboty całego regimentu, wystarczy mi tuzin ludzi – odparł chłodno Conan. – Pięciusetosobowa armia nigdy nie przedostałaby się nawet w pobliże Gwaweli, ale małej grupce może się poszczęścić. Pozwól, że sam wybiorę odpowiednich do tego ludzi. Nie chcę żadnych żołnierzy.

– Weź mnie ze sobą! – wykrzyknął podekscytowany Balthus. – Całe życie polowałem na jelenie w Tauranie.

– Niech i tak będzie – przytaknął mu Conan. – A teraz Valannusie idziemy z Balthusem na pieczyste do chat drwali, by zebrać ochotników na tę szaleńczą wyprawę. Wyruszamy za godzinę. Przeprowadzimy się przez rzekę łodzią, przybijemy do brzegu tak blisko wioski, jak tylko się da i podkradniemy się do niej. Jeżeli będą nam sprzyjali bogowie, wszystko jedno którzy, powinniśmy powrócić z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca.

ROZDZIAŁ TRZECI

PRZYCZAJENI W CIEMNOŚCI

Okryta mrocznym całunem nocy rzeka wiała się niczym szeroka wstęga rozłożona między posępnymi i czarnymi ścianami lasu. Gdzieś przy jej wschodnim brzegu, kryjąc się w przybrzeżnych zaroślach, cichaczem przemykała smukła łódź, niosąc ze sobą gromadkę ostrożnie wiosłujących mężczyzn. Wiosła zanurzały się rytmicznie w mętnej wodzie z pluskiem równie cichym jak dziób polującej czapli. Balthus z najwyższym trudem mógł dojrzeć barczyste ramiona kompana siedzącego przed nim. Wiedział, że nawet bystry wzrok siedzącego na dziobie mężczyzny nie może przebić panującego dookoła mroku dalej niż na kilka stóp. Conan nawigował tylko dzięki instynktowi i perfekcyjnej znajomości rzeki.

Ani jedno słowo nie padło z zaciśniętych w napięciu ust wioślarzy.

Jeszcze w forcie Balthus zdołał nieco przyjrzeć się towarzyszom samobójczej wyprawy, nim razem wyszli poza palisadę i zeszli nad brzeg do czekającej na nich wąskiej, smukłej łodzi. Wszyscy byli potomkami tej ziemi, urodzonymi i wychowanymi tutaj, w złowrogim cieniu piktyjskiego zagrożenia przycajanego w mrocznych zakamarkach puszczy. Żeby przeżyć, musieli poznać jej tajemnice, nieraz odbierając surowe lekcje zasad przetrwania. Pochodzili z zachodnich prowincji Akwilonii i podobnie się nosili: wysokie buty z kozłej skóry, skórzane bryczesy, bluzy uszyte z jelenich skór, przepasane szerokimi pasami, za którymi zatknięte tkwiły topory i krótkie miecze, były ich znakami rozpoznawczymi. Małomówni, żyłaści, z posępnymi twarzami pooranymi bliznami, wyglądali bardziej na barbarzyńców niż synów cywilizowanego świata.

Ale z Conanem nie mogli się równać.

Oni, w pewnym sensie, barbarzyństwem nasiąkli, przymuszeni do tego surowymi regułami życia na pograniczu. W głębi duszy jednak zawsze pozostali dziećmi cywilizacji. W odróżnieniu od nich on był kwintesencją barbarzyństwa, wytworem tysięcy pokoleń dzikich, dzielnych a zarazem okrutnych cymmeryjskich wojowników. Akwilończycy musieli nauczyć się sprytu i przebiegłości, Conan z tymi cechami po prostu się urodził. Dla nich były to lata długotrwałych ćwiczeń, dla niego – coś naturalnego

i pierwotnego. Barbarzyńca na ich tle jawił się niczym przyczajony tygrys wśród zgrai jazgoczących wilków.

Balthus patrzył na swych towarzyszy i ich przywódcę z niekłamanym podziwem. Rozpierała go dumna, że zechcieli go przyjąć do kompanii, że jego wiosło, zanurzając się w wodach rzeki, nie czyni więcej hałasu niż ich wiosła. Przynajmniej w tym dorównywał im bez trudu, bowiem jego doświadczenie wyniesione z rozlicznych polowań w zielonych lasach Tauranu nie mogło w najmniejszym stopniu konkurować z wiedzą i znajomością puszczy mieszkańców pogranicza.

Poniżej fortu rzeka skręcała szerokim łukiem. Migoczące światła tego najdalej wysuniętego przyczółku cywilizacji szybko zostały w tyle. Mężczyźni jeszcze przez prawie milę wiosłowali w absolutnej ciszy, a Conan znanymi sobie tylko sposobami zręcznie unikał wystających z wody głazów czy potężnych pni płynących z nurtem rzeki.

W pewnym momencie Cymmeryjczyk rozkazał, by wiosłarze zmienili kierunek i skierowali dziób canoe ku zachodniemu brzegowi rzeki. Wypłynęli z cienia. Mogło to się wydawać brakiem rozsądku, bo na środku rzeki poczuli się odsłonięci, bezbronni, wręcz nadzy, ale innej drogi nie było, a ponadto akurat teraz gwiazdy na niebie świeciły wyjątkowo słabo. Balthus wiedział, że w tym półmroku są niewidoczni. Nawet najbardziej uważny obserwator nie dostrzegłby ich smukłej łodzi. Chyba, żeby specjalnie jej wypatrywał.

Wpłynęli pospiesznie pod osłonę zwisających nad zachodnich brzegiem gałęzi i listowia. Balthus wyciągnął rękę, poszukując w lepkim mroku jakiegoś korzenia do uchwycenia, a gdy mu się to udało, ścisnął go kurczowo, jakby od tego zależało jego życie. Nie padło żadne słowo – wszystkie rozkazy Conan wydał jeszcze w forcie. Nim Balthus zdążył się zorientować, Cymmeryjczyk ześlizgnął się na brzeg i zniknął w gęstych zaroślach nie czyniąc więcej hałasu niż polująca pantera. W jego ślady podążyło dziewięciu mężczyzn z osady łodzi i oni również, niemal bezszelestnie, rozplłynęli się w gęstwinie. Teraz na łodzi pozostał tylko Balthus wraz z ostatnim Akwilończykiem. Ściskając w spoczonej dłoni wiosło, którym przytrzymywał korzeń, spoglądał jednocześnie za odchodzącymi. Nie mógł zrozumieć, jakim cudem dziesięciu dorosłych i uzbrojonych mężczyzn mogło poruszać się w takiej gęstwinie nie wydając przy tym najmniejszego dźwięku.

Pozostało mu już tylko niecierpliwie czekać.

Nie zamienił z towarzyszącym mu Akwilończykiem ani słowa.

Gdzieś tam, w leśnej głuszy, o milę lub dwie na północnym zachodzie, leżała wioska Zogar Saga. Balthus doskonale pamiętał rozkaz – wraz z kompanem czekać na powrót towarzyszy. Gdyby jednak Conan ze swoimi ludźmi nie powrócił przed świtem, mieli jak najszybciej popłynąć do fortu i zameldować, że puszcza i Piktowie pochłonęli kolejne ofiary. Wokół panowała miazdząca odwagę cisza. Zza gęstej, czarnej ściany zarośli nie dobiegał żaden dźwięk. Piktyjskie bębny milczały. Minuty przypominały godziny. Balthusowi wydawało się, że czekają już wieczność. Usiłował przebić wzrokiem hebanową kurtynę lasu, ale bez rezultatu. Ciężki, stęchły, nieprzyjemny zapach rzeki i wilgotnego lasu świdrował mu zmysły, doprowadzając niemal do szaleństwa. Gdzieś obok łodzi dał się słyszeć plusk wyskakującej z rzecznej toni wielkiej ryby. Balthus pomyślał, że musiała to być wielka sztuka, bo canoe zakołysało się odczuwalnie na rozchodzącej się fali. Nagle rufa łodzi zaczęła powoli odpływać od brzegu. Najwidoczniej jego towarzysz puścił korzeń, którego się trzymał. Taurańczyk odwrócił głowę, wbił wzrok w ciemność, ale zdołał dojrzeć jedynie niewyraźny kontur siedzącego przy sterze mężczyzny. Syknął ostrzegawczo, jednak nie doczekał się żadnej reakcji. Wyglądało na to, że jego towarzysz najzwyczajniej w świecie zasnął, Balthus więc wyciągnął rękę i trącił go lekko. Ku jego wielkiemu zdziwieniu poczuł, że szturchnięty Akwilończyk osuwa się bezwładnie na dno łodzi. Wykręcił się w tył i zaczął po omacku szukać. W tej samej chwili serce podeszło mu gardła, a jedynie konwulsyjny ścisk szczęk powstrzymał wyrywający się z gardła wrzask zgrozy. Palce Balthusa namacały wielką, ociekającą krwią ranę. Ktoś beznamiętnie i z wprawą godną mistrza, poderznął wiosłarzowi gardło od ucha do ucha.

Przerażony Taurańczyk zerwał się na równe nogi tylko po to, by mocarne ramię, które nagle wystrzeliło z ciemności, otoczyło jego szyję, dusząc w gardle rodzący się krzyk. Łódź zakołysała się gwałtownie. Napędzany przerażeniem i paniką Balthus, chociaż nie pamiętał kiedy, dobył zza cholewy buta nóż i dźgał na oślep. Poczuł, że za którymś razem ostrze weszło w ciało napastnika aż po rękojęść. Straszliwy wrzask agonii rozerwał ciszę nocy, wzywając pomocy. I noc ożyła, przynosząc ze sobą wściekły, piekielny odzew. W kierunku Taurańczyka wystrzeliły uzbrojone ręce. Łódź zakołysała się niebezpiecznie, ale zanim zatonała, Balthus

oberwał czymś twardym po głowie. Mroczny całun nocy na moment
rozbłysnął tysiącem iskier.

A potem wszystko zgasło.

ROZDZIAŁ CZWARTY

BESTIE ZOGAR SAGA

Powoli dochodzącego do siebie Balthusa oślepił blask płomieni. Mrugnął kilkakrotnie oczami i potrząsnął głową. Trudna do wytrzymania jasność żądliła wzrok aż do bólu. Kaskada otaczających go dźwięków, zrazu kompletnie niezrozumiała, powoli zaczęła nabierać sensu, tak że mężczyzna mógł już rozróżniać pojedyncze głosy, wraz z powracającą świadomością. Ale i tak ciągle był zdezorientowany oraz ogłupiały. W końcu z niemałym wysiłkiem uniósł głowę i rozejrzał się wokół. Otaczał go krąg czarnych postaci, stojących na tle krwistoczerwonej łuny ognia.

Nagle tama niepamięci pękła. Balthus w jednej chwili przypomniał sobie i zrozumiał wszystko. Znajdował się oto na otwartej przestrzeni, na pewnego rodzaju niewielkim placu, przywiązany do pala, a wokół niego zbierał się zwarty tłum krwiożerczych, pozbawionych litości Piktów. Za ich plecami strzelały snopami iskier liczne ogniska dogładane przez smagłolice, nagie kobiety. Dalej spostrzegł porozrzucane w nieładzie liczne niskie chaty zbudowane z gałęzi oblepionych mułem, wyściełanych mchem, z dachami krytymi strzechą. W oczy rzuciła mu się solidna palisada z szeroką bramą wjazdową. Ale nie to pochłaniało całą uwagę Balthusa – nawet dziwaczne fryzury kobiet zauważył jakby przelotnie. Bo skupił się na otaczających go wojownikach.

Niskim, mocno zbudowanym, o szerokich barach i wąskich biodrach mężczyznom za cały strój starczały wąskie przepaski biodrowe. W blasku migotliwego ognia ich umięśnione ramiona i torsy wyglądały jak wykute w najlepszej jakości marmurze. Zimne, posępne, niemalże kamienne twarze nie wyrażały żadnych emocji, ale w ich źrenicach tlił się żar, jaki widać w przerażającym spojrzeniu wygłodniałego tygrysa. Zmierzwione włosy podtrzymywali mosiężnymi opaskami, a w dłoniach trzymali topory i miecze. Niektórzy z nich nosili ślady niedawnej walki; obwiązane prymitywnymi opatrunkami ręce lub nogi, a także ślady zakrzepłej krwi, były tego jaskrawym dowodem.

Balthus pożerany wzrokiem przez piktyjskich wojowników, odwrócił wzrok i z najwyższym trudem powstrzymał okrzyk zgrozy. Kilka stóp od

pala, do którego był przywiązany, pięła się ohydna piramida ułożona z odciętych ludzkich głów. Martwe, szkliste oczy wpatrywały się w nocne niebo. Te twarze, które skierowane były w jego stronę, rozpoznał od razu – wpatrywał się właśnie w głowy kompanów z łodzi, tych, którzy poszli z Conanem. Ale jego głowy, mimo wysiłków, Balthus na tym stosie śmierci nie dostrzegł, chociaż zdawał sobie sprawę, że ułożono go z dziesięciu czy jedenastu głów, a nie wszystkie rozpoznał. Dopadła go fala mdłości. Za nimi ujrzał z pół tuzina martwych Piktów, leżących w rzędzie. Balthus się ucieszył – barbarzyńcy zapłacili wysoką cenę ze swe krwawe żniwo.

Odwracając głowę w bok, Balthus zorientował się, że na placu stoi jeszcze jeden, pomalowany na czarno pał, taki sam, do którego był sam przywiązany. Zobaczył przy nim bezwładnie wiszącego mężczyznę, którego rozpoznał od razu – to był jeden z towarzyszących Conanowi Akwilończyków. Miał na sobie jedynie skórzane bryczesy, a z paskudnego rozcięcia na boku jak i ust sączyła mu się krew. Z trudem podniósł głowę, oblizał spuchnięte wargi i starając się przebić przez panującą wokół wrzawę, wycharczał:

– Ciebie też dorwali!

– Podpłynęli niepostrzeżenie i zarżnęli mojego towarzysza jak wieprza – jęknął Balthus. – Niczego nie usłyszeliśmy, nim było już za późno. O wszechwładny Mitro! Jak można w ogóle tak cicho się poruszać?

– To diabły – mruknął jeniec. – Musieli nas dostrzec, kiedy jeszcze płynęliśmy przy wschodnim brzegu. Wpadliśmy w zasadzkę. Nim pojęliśmy, co się stało, zasypali nas gradem strzał. Większość padła od razu. Trzej czy czterej ocalili głowy i przedarłszy się przez gęstwinę, z impetem zaatakowali. Ale tych piktyjskich psów było za wielu. Conanowi chyba udało się ująć z tej rzezi w jednym kawałku. Nie widziałem jego głowy na tym stosie. Szkoda, że nie zabili nas od razu. Nie mam pretensji do Cymmeryjczyka o to, co się stało. Plan był dobry – w zwykłych okolicznościach powinniśmy bez trudu dotrzeć do wioski. Piktowie nie wystawiają straży aż tak daleko w dole rzeki, czyli tam, gdzie przycumowaliśmy łódź. Musieliśmy natknąć się na jakiś duży oddział nadciągający z południa. Oni szykują jakieś nowe diabelstwo. Jest ich tu zbyt wielu. I większość z nich na pewno nie mieszka w Gwaweli. Widzę tu Piktów z zachodnich plemion, a także mieszkających w okolicach rzeki.

Balthus z zaciekawieniem przyjrzał się wojownikom, którzy byli w zasięgu wzroku. Nie wiedział prawie nic o Piktach, ani ich zwyczajach,

ale oczywistym było, że tylu ludzi nie mogło na stałe mieszkać w jednej wiosce, ani nawet, w dużej przecieź, Gwaweli. Zauważył też w końcu różnice w znakach plemiennych wymalowanych na twarzach i nagich torsach.

– Mówię ci, szykują jakieś diabelstwo – powtórzył przywiązany do pala mężczyzna. – Może zgromadzili się, by zobaczyć na własne oczy czary Zogar Saga. Zabawi się pewnie okrutnie naszymi zwłokami, gdy już tu zdechniemy. Cóż, gdy mieszkasz w cieniu piktyjskich włóczni, raczej nie licz na spokojną śmierć we własnym łóżku, ale... Żałuję jednak, że nie zginąłem z innymi.

Piktowie byli coraz bardziej podnieceni, a wściekłe wrzaski i ogólne poruszenie wśród otaczającego jeńców tłumu zapowiadało nadejście kogoś ważnego. Balthus spojrział przez ramię i zobaczył, że pale wkopano w grunt przed długim budynkiem, znacznie większym od pozostałych chat, udekorowanym makabrycznymi girlandami ludzkich czaszek, swobodnie zwisającymi z krawędzi dachu. Próg chaty przestąpił dziwnie odziany mężczyzna, zachowujący się jakby był w transie.

– Zogar! – wysapał z nienawiścią i odrazą Akwilończyk, a jego twarz przybrała wilczy wyraz, kiedy mimowolnie szarpnął krępującymi go pętami.

Balthus ujrzał na pozór niczym niewyróżniającego się starszego mężczyznę, raczej niskiego wzrostu, szczupłego, skrytego prawie całego w płataninie strusich piór, fantazyjnie powtykanych w noszoną przez niego zbroję ze skóry pikowanej miedzianymi płytkami. Na starczej, ohydnej twarzy maga gościł złowrogi grymas. Strusie pióra zaintrygowały Taurańczyka. Wiedział, że pochodziły z krainy leżącej daleko na południu, niemalże na drugim krańcu świata. Powiewały i hipnotyzująco szeleściły w takt płasów i podrygiwania Zogar Saga.

Przeskakując z nogi na nogę, ubarwiając swój taniec żalosalną parodią śpiewu, wszedł do kręgu otaczających jeńców ludzi. Dla cywilizowanego człowieka w tej chwili mag mógłby się wydawać nawet zabawny, a na pewno żalosalny – głupi dzikus, z powtykanymi gdzie popadnie w namiastkę zbroi strusimi piórami, odprawiający jakiś żenujący rytuał – gdyby nie rozpalone nienawiścią, okrutne oczy i przerażająca twarz. Żaden człowiek z takim obliczem nie mógł być ani śmieszny, ani żalosalny. Mag wyglądał jak demon z najgłębszych czeluści piekła w ludzkiej skórze.

Nagle starzec przerwał odprawianie rytuału i stanął jak posąg, a nastroszone pióra po raz ostatni zawirowały i opadły. Wrzeszczący pod niebiosą tłum natychmiast umilkł. Zogar Sag stał bez ruchu i – choć Balthus nie wierzył własnym oczom – zdawał się rosnać z każdą chwilą. Po krótkiej chwili mag górował wyraźnie nad mężczyzną, choć ten wiedział, że w rzeczywistości starzec jest o ponad głowę od niego niższy. Taurańczyk z najwyższym trudem oparł się złudzeniu.

Zogar Sag przemówił gardłowym, szorstkim głosem, a mimo to niezwykle podobnym do syku wściekłej kobry. Wyciągnął długą, chudą szyję i przybliżył twarz do rannego jeńca przy drugim palu. W świetle płonących ognisk jego oczy miały kolor krwi. Jeniec plunął magowi prosto w twarz.

Z nieludzkim wyciem starzec odskoczył w tył, a otaczający plac wojownicy zawyli wściekle, jakby chcieli tym wrzaskiem strącić wszystkie gwiazdy z nieba. Wygrazając bronią, ruszyli jak jeden mąż w kierunku szaleńca, który miał odwagę napluć w twarz ich maga. Ale ten powstrzymał ich jednym, gwałtownym gestem ręki. Wydał krótki suchy rozkaz i natychmiast kilku Piktów pobiegło do bramy. Otworzyli ją szeroko i pospiesznie wrócili. Tymczasem jednak, jakby przeczuwając bieg nadchodzących wydarzeń, wojownicy wyłamali się z kręgu, odsuwając się na lewo i prawo. Balthus spostrzegł, że kobiety i dzieci w popłochu uciekają z placu, kryjąc się po chatach, a ich przepiękne łekiem twarze majaczyły niewyraźnie w oknach. Na placu powstał szpaler ciągnący się od pali aż do otwartej bramy, za którą rozciągała się upiorna czerń puszczy.

Gwawela pokrzyżowała się w złowieszczej ciszy. Zogar Sag spojrział na mroczną ścianę lasu, wspiął się na palce i zawył – nieludzko, przeciągle. Po chwili, gdzieś z leśnej otchłani, odpowiedziało mu podobne wycie, ale jeszcze bardziej przeciągłe i złowrogie. Balthus zadrżał, bowiem wiedział, że nie wydobyło się ono z ludzkiego gardła. Przypomnił sobie teraz co mówił Valannus; że mag przechwalał się swoimi umiejętnościami przywoływania i kontrolowania zwierząt. Twarz Taurańczyka zeszywniała ze strachu i wyglądała jakby mężczyzna założył siną, wymalowaną zaschniętą krwią maskę. Obliznął spierzchnięte wargi.

Wszyscy w Gwaweli wstrzymali oddech. Zogar Sag wciąż stał nieruchomo, tylko strusie pióra zdobiące jego zbroję poruszały się nieznacznie na wietrze. I nagle w bramie pojawiła się bestia.

Z piktyjskich ust wyrwał się jęk prawdziwej zgrozy. Wojownicy zapomnieli o odwadze i dumie, skacząc między chaty, potrącając się wzajemnie w pośpiechu. Balthusowi włosy stanęły dęba. Patrzył oto bowiem na stworzenie, które było ucieleśnieniem najgorszego koszmaru. Trupioblada sierść zwierzęcia nadawała mu upiorny, nierealny wygląd, szczególnie w przyćmionym świetle ognisk. Wydawało się, że nie może pochodzić z tego świata, lecz nisko zawieszony, ogromny łeb i zakrzywione, monstrualnych rozmiarów kły były jak najbardziej realne. Stąpając bezgłośnie, miękko, na pokrytych gęstym futrem łapach, wydawało się duchem z dawno zapomnianej przeszłości. Krwiożerczym monstrem z prastarych legend. Oto stał w bramie piktyjskiej osady tygrys szablozębny.

Od dawna żaden hyboryjski myśliwy nie widział takiej bestii, a tym bardziej z nią nie walczył. Snute przez wieki opowieści przypisywały tej kreaturze nadprzyrodzone moce ze względu na upiorny kolor sierści i wściekłą wręcz dzikość.

Zbliżający się niespiesznie do jeńców drapieźnik był znacznie większy od pospolitego, pasiastego tygrysa, rozmiarami i wyglądem przypominając niedźwiedzia. Kolosalnie masywne mięśnie karku i przednich łap nadawały sylwetce dziwnie niezgrabnego wyglądu, w czym udział miały okazała głowa i o wiele potężniejsze niż u lwa, tylne łapy. Można było odnieść wrażenie, że bestia za chwilę po prostu przewróci się na pysk, uzbrojona w tak niezwykle rozwinięte szczęki. Za to, jakby dla zachowania upiornej równowagi, czaszka zwierzęcia, płaska i mała, skrywała szczątkowy mózg, w którym nie było miejsca na coś więcej, niż tylko krwiożercze, najprymitywniejsze instynkty. Tygrys szablozębny był niczym więcej jak wybrykiem natury, straszliwym żartem ewolucji, pragnącym tylko jednego – ociekającego krwią parującego mięsa swych nieszczęsnych ofiar.

Takiego potwora przywołał Zogar Sag z trzewi puszczy. Balthus już dłużej nie wątpił w opowieści o umiejętnościach maga, bo tylko czarna magia, karmiąca się nieszczęściem i złem w czystej postaci, mogła zapanować i do pewnego stopnia kontrolować tę bezmyślną kreaturę szczerzącą w blasku księżyca ociekające śliną kły. Gdzieś w zakamarkach jego pamięci, niemalże zapomniana, wciąż tkwiła opowieść o prastarym bogu ciemności i strachu, czczonego niegdyś przez ludzi i zwierzęta, którego potomkowie, jak szeptało sobie z przestraszeniem w głosie, wciąż

żyli w odległych zakamarkach świata. Taurańczyk z coraz większym przerażeniem patrzył na Zogar Saga.

Drapieżnik przeszedł obok rzędu ciał Piktów i piramidy czaszek. Nie interesował się padliną. Natura powołała go do życia, by polował i zabijał żywe stworzenia. W jego zielonych, nieruchomych oczach szalała żądza mordy, chęć rozszarpywania i masakrowania, niemająca nic wspólnego z koniecznością zaspokojenia głodu. Ociekające śliną masywne szczęki rozchyliły się szeroko. Mag cofnął się o krok i sztywnym gestem wskazał na rannego jeńca.

Wielki kot kłapał szczękami i przyczaił się do skoku. Balthusowi przypomniały się legendy o nieokiełznanej dzikości bestii, o tym, że potrafi zaatakować słonia i wbić swoje potężne kły tak głęboko w czaszkę olbrzyma, że potem nie może już ich wyciągnąć – ginie zatem z głodu. Zogar Sag krzyknął piskliwie i tygrys z rozdzierającym powietrze rykiem skoczył na ofiarę.

Balthus nie mógł pojąć, jakim cudem, nawet w tej masie stalowych mięśni, kryje się tak potworna siła. Bestia dopadła Akwilończyka w jednym, monstualnym skoku, a zrobiła to z takim impetem, że pał pękł z trzaskiem, waląc się z łoskotem na ziemię. Po chwili tygrys, pół niosąc, pół ciągnąc zmasakrowane resztki, zmierzał w stronę bramy. Sparaliżowany strachem i bliski szaleństwa Balthus patrzył bezsilnie na ten spektakl krwi i mordy, nie mogąc pojąć, co się właściwie stało.

Bestia nie tylko złamała pał, ale brutalnie oderwała od niego ciało człowieka. Potężne i ostre pazury w jednej chwili rozpruły brzuch Akwilończyka, oderwały mu ręce w fontannie krwi, a gigantyczne kły rozłupały czaszkę na dwoje. Grube skórzane rzemienie pękły od razu, jakby były z papieru. Balthus zwymiotował. Wielokrotnie polował na pantery i niedźwiedzie, nieraz widział okaleczonych przez te drapieżniki myśliwych, ale nawet w najgorszych koszmarach nie wyobrażał sobie, że zwierzę może z taką łatwością zamienić ciało dorosłego mężczyzny w krwawą miazgę.

Tygrys szablozębny zniknął za bramą i chwilę później leśną głuszę rozdarł triumfalny ryk, niknąc z wolna w oddali. Nie był to jednak koniec krwawego rytuału. Piktowie ani myśleli opuszczać swoich kryjówek, a mag nieruchomy wpatrywał się ciemną ścianę lasu.

Balthus oblał się zimnym potem. Jakaż kolejna bestia, przywołana przez Zogar Saga, stanie w bramie Gwaweli, by zamienić jego ciało

w zmasakrowany worek wnętrzności i kości? Ulegając panice, chciał bezskutecznie zrzucić krępujące go więzy. Miał wrażenie, że lepki mrok nocy stara się pochłonąć wioskę, dusząc blask ognisk, jarzących się niczym ognie piekielne. Taurańczyk czuł na sobie wzrok mieszkańców Gwaweli – setki wygłodniałych, okrutnych oczu, zwierciadeł ich pozbawionych jakiegokolwiek człowieczeństwa dusz. Jawili mu się już nie jako część rasy ludzkiej; byli demonami, pierwotnymi mieszkańcami tej prastarej puszczy, równie bezwzględny i okrutny jak monstra przywoływane przez ozdobionego strusimi piórami maga.

Zogar Sag po raz kolejny tej nocy posłał w puszczy przerażający zew, zupełnie odmienny od poprzedniego, przypominający nie ryk czworonożnego drapieżcy, a raczej suchy, przeciągły, głośny syk. Balthusowi zajęło chwilę pojęcie, czyja paszcza rozerwie mu trzewia. I zadrżał. Bo tak mógłby syczeć tylko olbrzymi wąż.

Tym razem na zew maga odpowiedzią była pełna napięcia cisza, w której Taurańczyk słyszał szaleńczy łomot swego serca. I nagle do jego uszu od strony bramy dobiegł kłujący, świszczący szmer. Dreszcz przerażenia rozpałił mu ciało; w bramie pojawiła się nowa bestia.

Balthus bez trudu rozpoznał w niej kolejne monstrum z pradawnych legend. Zogar Sag rzucił go na pożarcie gigantycznemu wężowi. Jego monstrualny, klinowaty, wielki jak u konia łeb hipnotycznie kołysał się na wszystkie strony, a długaśne, błyszczące cielsko, grube jak beczka, wiło się miażdżąc wszystko na swojej drodze. W rozdziawionej paszczy to znikał, to pojawiał się rozwidlony jęzor, a blask ognia malował jaskrawymi refleksami ostre jak brzytwa kły potwora.

Taurańczyk stanął na skraju obłędu, sparaliżowany wizją czekającej go śmierci. Starożytni nazywali tego gada Wężem Zjawą, który od niepamiętnych czasów pod osłoną nocy wślizgiwał się do ludzkich sadyb, by pożerać całe rodziny. Z potworną siłą dusił i miażdżył ciała bezbronnych ofiar, jak pyton, lecz w przeciwieństwie do tego rodzaju dusiciela natura podarowała mu ogromne kły ociekające jadem, który palił wnętrzności, niosąc szaleństwo i śmierć. Cywilizowany świat również i jego uważał za dawno wymarłe zwierzę. Więc Valannus mówił prawdę. Żaden biały człowiek nie mógł sobie nawet wyobrazić, jakie potworności skrywa puszcza za Czarną Rzeką.

Gad podpełznął bliżej. Uniósł łeb na wysokość twarzy Balthusa i, szykując się do ataku, zakołysał nim w przód i w tył. Mężczyzna jak

zahipnotyzowany spojrzał w przepastną, śmierdzącą gardziel, która miała go za chwilę pochłonąć. Nie odczuwał już niczego, prócz nic nie znaczących w takiej chwili nudności.

Ale śmierć nie zdążyła nadejść.

Nagle spomiędzy skrytych w cieniu chat wyleciało coś błyszczącego i wielki gad zaczął wić się w konwulsjach. Nie wierząc własnym oczom Balthus spostrzegł wbitą w wielgaśny kark węża krótką włócznię, która przeszła ciało na wylot tuż pod ohydną gardzielą. Z jednej strony wystawało drzewce, z drugiej ostry stalowy grot. Oszałały z bólu stwór, wijąc się niczym wyciągnięty na brzeg węgorz, wpadł na stojących w pobliżu pała wojowników czyniąc wśród nich prawdziwe pobojuwisko. Ci, którzy mieli więcej szczęścia, rozpierzchli się w panice.

Grot włóczni, choć zadał gadowi potworną ranę, masakrując mięśnie potężnej szyi, nie przeciął kręgosłupa. Smagający wściekle ogonem wąż od razu obalił z tuzin Piktów, a kłapiąc szczęką opryskał innych palącą żywym ogniem trucizną. Wyjąc, klnąc i wrzeszcząc wojownicy w popłochu rzucili się do ucieczki we wszystkie strony, trając leżących, powalając siebie nawzajem, starając się znaleźć schronienie między chatami. Gad potoczył się w jedno z ognisk, sypiąc wokół rozpalone szczapy i snopy iskier. Dodatkowa porcja bólu zmusiła go do jeszcze gwałtowniejszych i mniej skoordynowanych ruchów. Wpadł w jedną z chat, której ściana zawaliła się pod uderzeniem ogona walącego jak taran, masakrując znajdujących się wewnątrz Piktów. Tylko nieliczni zdołali uciec z tej pułapki.

Biegający chaotycznie wojownicy rozrzucaли płonące gałęzie i zdeptywali ogniska. Po chwili Gwawela zatonała w czerwono-żółtej poświacie żaru słabo oświetlającej miotającego się w śmiertelnych konwulsjach gada i wrzeszczących w panice, trawianych ludzi.

Nagle Balthus poczuł jak coś gwałtownie szarpie jego więzy i jakimś cudem... był wolny, a silne ręce gwałtownie pociągnęły go do tyłu. Zdezorientowany Taurańczyk zobaczył Conana i poczuł żelazny uścisk dłoni na ramieniu. Na jego kolczudze i mieczu zasychała krew. W panującym półmroku Cymmeryjczyk wyglądał jak jakiś gigant z dawno zapomnianych legend. Na ustach malował mu się paskudny uśmiech.

– Idziemy! Za chwilę te psy otrząsną się z paniki!

Bez zbędnej zwłoki barbarzyńca wcisnął topór w dłoń niedoszłej ofiary wielkiego węża. Zogar Sag zniknął. Conan dosłownie ciągnął za sobą Balthusa, dopóki ten nie oprzytomniał na tyle, by samodzielnie powłóczyć

nogami. Wtedy puścił jego ramię i wbiegł do budynku przyozdobionego girlandami ludzkich czaszek. Ciągłe odrętwiały Balthus ruszył za nim.

Na ponurym, szpetnym kamiennym ołtarzu, skąpanym w mdłej poświacie nocy, dostrzegł pięć wyszczerzonych w odrażającym uśmiechu głów. Jedną z nich, odciętą niedawno, rozpoznał od razu – należała do Tyberiasza. Za ołtarzem stał posąg, najwyraźniej jakiegoś bożka lub boga, o niewyraźnych, zwierzęcych kształtach, choć mimo to miał w sobie coś ludzkiego. Nagle Balthus poczuł jak nowy koszmar w tym przeklętym miejscu staje się rzeczywistością. Przerazenie ścisnęło mu wnętrzności, bowiem posąg wyprostował się i brzęcząc łańcuchami wyprostował długie, zdeformowane ramiona.

Miecz Conana opadł niczym grom, przecinając ciało i kości. Cymmeryjczyk pociągnął Taurańczyka za ołtarz, obok rozrąbanego, leżącego na podłodze, włochatego cielska, w kierunku drzwi na tyłach chaty. Wskoczyli na plac za budynkiem. Po kilku jardach dotarli do palisady. Wokół panowały mroczne ciemności. Przerazeni Piktowie biegali chaotycznie po wiosce, umykając w popłochu przed konającą w konwulsjach bestią, nie zauważając nawet nagłego zniknięcia swojego jeńca.

Conan stanął przy palisadzie i, nie cackając się z towarzyszem, złapał go za pas, po czym z dziecinną łatwością podniósł go w górę. Balthus chwycił się krawędzi i wdrapał na szczyt konstrukcji nie zważając na zadrapania i drzazgi. Wyciągał właśnie rękę, by pomóc barbarzyńcy, gdy zza rogu wyskoczył jeden z ogarniętych paniką Piktów. Ten zdębiał na widok skulonego na palisadzie mężczyzny, dobrze widocznego w poświacie dogasających ognisk. Z morderczą precyzją i siłą Conan cisnął toporem, ale o chwilę za późno – wojownik zdążył krzyknąć. Przez tumult, wrzaski i przekleństwa przebiło się jego ostrzeżenie, urwane nagle, gdy topór Cymmeryjczyka strzaskał mu czerep.

Chaos, panika i strach nie zagłuszyły pierwotnych piktyjskich instynktów. Wrzaskowi ostrzeżenia odpowiedziała nagła cisza, by po chwili przerodzić się we wściekły ryk setek gardeł. Piktowie rzucili się do palisady, by odeprzeć atak.

Conan skoczył, chwycił wyciągniętą rękę Balthusa i podciągnął się w górę. Balthus aż jęknął z wysiłku, ale Cymmeryjczyk błyskawicznie znalazł się na szczycie palisady. Obydwaj zeskoczyli na drugą stronę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

DZIECI JHEBBAL SAGA

– Którędy do rzeki? – spytał skołowany Balthus.

– Zapomnij o rzece! – warknął Conan. – Nie zdołamy do niej dotrzeć. W puszczy między jej brzegiem a Gwawelą roi się od Piktów. Chodź! Pójdziemy w kierunku, o którym w ogóle nie pomyślą – za zachód!

Gdy weszli w gęste krzaki, Balthus odwrócił się i zobaczył dziesiątki czarnych głów wystających znad palisady. Piktowie bezradnie wodzili wokół spojrzzeniami pełnymi gniewu. Przybyli za późno, by zauważyć, gdzie skryli się zbiegowie. Spodziewali się zmasowanego ataku, dostrzegli bowiem ciało martwego wojownika. Tymczasem nic się nie działo. Ani śladu wroga forsującego palisadę.

Balthus zrozumiał, że w panującym chaosie, nie spostrzegli jeszcze jego ucieczki. Dzikie wrzaski i świst strzał świadczyły o tym, że próbując wykonać rozkaz Zogar Saga, Piktowie usiłovali dobić rozszalałą bestię dewastującą wioskę. Mag stracił jakąkolwiek kontrolę nad gadem. Po chwili nad wioską zabrzmiała nowa kanonada wściekłego ryku i przekleństw.

Conan roześmiał się ponuro. Prowadził Balthusa wąską ścieżką, wiodącą w leśnej gęstwinie prosto na zachód, a przychodziło mu to z taką łatwością, jakby kroczył po dobrze oświetlonej alei w jakimś wielkim cywilizowanym mieście. Taurańczyk ledwie za nim nadązał, potykając się co krok, macając wokół wyciągniętymi ramionami.

– Pewnie zaraz ruszą w pościg. Zogar Sag już wie, że mu uciekłeś. Wie też, że między odciętymi głowami na placu nie było mojej. Przeklęty pies! Gdybym miał dwie włócznie, najpierw nim bym się zajął, a dopiero potem węzem. Trzymaj się szlaku. Piktowie nie mogą nas tropić przy świetle pochodni, a od wioski wiedzie wiele ścieżek. Najpierw ruszą tymi, które prowadzą do rzeki. Ustawią szeroki na milę kordon wzdłuż jej brzegu, przekonani, że będziemy próbowali przepłynąć się na drugą stronę. Nie zagłębimy się w las, chyba że będziemy musieli. Ścieżką będziemy iść znacznie szybciej, dzięki czemu zyskamy na czasie. A teraz wyteż wszystkie siły, skup się i przebijaj nogami tak szybko, jak tylko potrafisz!

– Coś szybko otrząsnęli się z przerażenia! – wysapał Balthus i, starając się wykonać polecenie Conana, przyśpieszył kroku.

– Tych psów nic nie może przestraszyć na dobre – mruknął Cymmeryjczyk.

Przez dłuższy czas nie zamienili ze sobą słowa. Uciekinierzy starali się ze wszystkich sił możliwie najbardziej zwiększyć odległość od żądnych ich krwi Piktów. Za każdym krokiem coraz bardziej oddalali się od cywilizowanego świata, pochłaniani przez osnutą całunem nocy dziką puszcę, ale Balthusowi nie w głowie było kwestionowanie pomysłów Cymmeryjczyka. W końcu barbarzyńca wysapał mrukliwe wyjaśnienie:

– Kiedy już znajdziemy się wystarczająco daleko od wioski, zatoczmy łuk, a wtedy bezpiecznie wrócimy nad rzekę. W promieniu wielu mil od Gwaweli nie ma żadnej innej wioski. Tam zebrali się teraz wszyscy Piktowie. Nawet nas nie zauważą, bo ominiemy ich z daleka. W tych ciemnościach nie mogą nas tropić. Ruszą naszymi śladami dopiero o świcie, a my wtedy zejdziemy ze ścieżki i zagłębimy się w puszcę.

Nie zwalniali tempa. Wrzaski za nimi ucichły. Balthus oddychał z trudem, zaciskając zęby z wysiłku. Strasznie kłuło go w boku i każdy krok był torturą. Gałęzie po obu stronach boleśnie smagały go po twarzy. Nagle Conan stanął, odwrócił się i spojrzał podejrzliwie na ścieżkę. Gdzieś za ścianą puszczy wschodził księżyc, a jego blada poświata sączyła się przez gałęzie.

– Zagłębiamy się w las? – wysapał Balthus.

– Daj mi swój topór – szepnął Conan. – Coś się do nas zbliża.

– Więc uciekajmy w gęstwinię! – rozpaczliwie jęknął Taurańczyk.

Cymmeryjczyk zdecydowanym ruchem głowy zaprzeczył i pociągnął towarzysza w gęste zarośla. Czekali. Księżyc lśniąc na nocnym niebie oświetlał ścieżkę niebieskawą poświatą.

– Nie możemy walczyć z całym plemieniem! – wyszeptał Balthus.

– Żadna ludzka istota nie zdołałaby tak szybko odnaleźć nocą naszych śladów, ani tym bardziej tak prędko nas dogonić – mruknął Conan. – Bądź cicho!

Balthusowi wydawało się, że bicie jego serca słychać w całym lesie. Nagle, bez ostrzeżenia, bez najcichszego nawet dźwięku, na ścieżce pojawiło się płowe cielsko drapieżnika. W pierwszej chwili Taurańczykowi serce podskoczyło do gardła, pomyślał bowiem, że to straszliwy tygrys szablozębny idzie ich śladem. Jednak spłoszony nieco łeb był znacznie

mniejszy i węższy – mężczyzna patrzył właśnie na stojącego pośrodku ścieżki lamparta, warczącego cicho i rozglądającego się wokół. Słaby wiaterek wiał w kierunku ukrytych mężczyzn, maskując przed zwierzęciem ich zapach. Lampart opuścił łeb, uważnie obwąchał szlak i niespiesznie, jakby coś przeczuwając, ruszył naprzód. Balthusowi dreszcz przebiegł po plecach. Drapieźnik najwyraźniej nie trafił tu przypadkiem – musiał ich tropić.

I był podejrzliwy. Jego płonące dzikością oczy wodziły nieustannie wokół, czujne i skupione, a z jego gardzieli dobywał się złowieszczy pomruk. Podniósł nagle łeb i powoli, ostrożnie podszedł do zarośli. Conan zareagował błyskawicznie. Cisnął toporem, wkładając w to całą siłę potężnego ramienia i barku. Broń śmignęła w powietrzu niczym srebrna strzała. Zanim Balthus pojął w ogóle co się dzieje, lampart zwijał się na ścieżce w przedśmiertnych konwulsjach. Stalowe ostrze rozplatało mu czaszkę, wbijając się głęboko w prymitywny mózg. Po chwili drapieźnik był już martwy.

Cymmeryjczyk wyskoczył zza krzaków, wyrwał topór z martwego ciała i ukrył je między drzewami tak, by nawet najbystrzejsi piktyjscy tropiciele, którzy mieli się tu niebawem pojawić, nie znaleźli truchła wielkiego kota.

– Teraz biegniemy z kopyta! Mamy mało czasu! – warknął, wbiegając do lasu i kierując się na południe. – Za tym bystrym kotkiem przyjdą wojownicy! Wielu wojowników. Zogar Sag posłał go za nami jak tylko oprzytomniał. Piktowie idą za lampartem, ale on był zbyt szybki i zostawił ich w tyle. Okrążył pewnie kilka razy Gwawelę, w końcu wyniuchał nasz ślad i pomknął jak strzała. Nie mogli za nim nadążyć, ale bestia wskazała im kierunek, wiedzą więc w którą stronę uciekamy. Biegną za nim nasłuchując jego pomruków. Ale teraz nic nie usłyszą, zobaczą jednak krew na ścieżce, poszperają po krzakach i w końcu znajdą ścierwo. Jeśli będziemy nieostrożni, wpadną na nasz trop i ruszą za nami. Patrz, gdzie stawiasz stopy. Pamiętaj, żadnych śladów!

„Łatwo powiedzieć!” – pomyślał Balthus, spoglądając na Conana. Dla barbarzyńcy przedzieranie się przez gąszcz gałęzi, krzaków, drzew, stawianie stóp tak, by nie pozostawić żadnego śladu zdradzającego ich przejście, było dziecinną igraszką, niemalże zabawą. Taurańczykowi szło to wiele gorzej i znacznie wolniej. I było strasznie męczące.

Przeszli bez słowa ponad milę. Nie słyszeli żadnych odgłosów pościgu. W końcu Balthus zapytał:

– Czy Zogar Sag chwyta małe lamparty, by wytresować je jak psy myśliwskie?

Conan potrząsnął głową.

– Tego przywołał raczej z puszczy.

– Jednak – zastanawiał się Taurańczyk – jeżeli potrafi kontrolować zwierzęta, to czemu nie naśle na nas wszystkich żywych stworzeń zamieszkujących tę puszcę? Tu aż roi się od lampartów! Dlaczego zatem wysłał tylko jednego?

Conan niespodziewanie zamilkł na dłuższą chwilę, po czym z widoczną niechęcią rzekł:

– Ten przekłety kundel nie może rozkazywać wszystkim zwierzętom. Tylko tym, które pamiętają jeszcze Jhebbal Saga.

– Jhebbal Saga? – z namysłem powtórzył Balthus. Był prawie pewien, że już kilkakrotnie w swoim życiu słyszał to imię.

– W zamierzonym czasie czciły go wszystkie żywe stworzenia. Wtedy jeszcze ludzie i zwierzęta mówili jednym językiem. Z czasem jednak ludzie go zapomnieli, zwierzęta zresztą też. Teraz pamiętają go tylko nieliczne z nich. Człowiek, który czci Jhebbal Saga i potrafi przemówić w zapomnianym języku może liczyć na ich pomoc.

Balthus nie skomentował tej lekcji historii. Tej nocy przecież, przywiązany do czarnego pała ustawionego pośrodku piktyjskiej wioski, widział na własne oczy, jak na wezwanie maga wyłaniały się z prastarej puszczy najbardziej przerażające bestie.

– Cywilizowani ludzie śmieją się z tego – kontynuował Conan – ale nikt nie potrafi mi wyjaśnić, w jaki sposób Zogar Sag może wzywać tygrysy, węże, lamparty i skłaniać je do posłuszeństwa. Gdyby mieli odwagę, powiedzieliby że kłamię. Oto cała prawda o cywilizowanych ludziach: jeśli nie potrafią czegoś wyjaśnić za pomocą swej zadufanej nauki, to twierdzą, że nie istnieje.

Taurańczycy, mimo postępującego marszu cywilizacji, wciąż wierzyli w wiele pierwotnych przesądów, których źródła ginęły w odległej przeszłości. Dlatego też uznawano ich za mniej rozwiniętych cywilizacyjnie niż większość Akwilończyków. Poza tym Balthus był tej nocy naocznym świadkiem wydarzeń, o których teraz z taką werwą mówił Conan. Nie miał powodów, by wątpić w jego słowa.

– Słyszałem, że gdzieś w tej puszczy znajduje się uroczysko z ołtarzem poświęconym Jhebbal Sagowi – perorował dalej Cymmeryjczyk. – Nie

wiem tego. Nigdy tam nie byłem. Wiem na pewno jedno: w tej niekończącej się głuszy pamięta o nim więcej zwierząt niż gdziekolwiek indziej.

– A zatem one wszystkie ruszą naszym tropem?

– Już ruszyły i czują nasz zapach – padła zimna odpowiedź. – Zogar nie posłałby za nami tylko jednego zwierzęcia, nawet jeśli był to lampart.

– Co w takim razie zrobimy? – zapytał zaniepokojony Balthus, ściskając mocniej rękojeść topora i wpatrując się w czarny labirynt gałęzi. Oczami wyobraźni widział setki uzbrojonych w potężne pazury i ostre kły bestii, wypatrujących uciekinierów żądnymi krwi oczami. Dreszcz przebiegł mu po krzyżu.

– Zobaczysz!

Conan odwrócił się, przykucnął i zaczął kreślić nożem dziwaczny symbol na ziemi. Balthus spojrzał mu przez ramię i, po raz kolejny tej nocy, poczuł kłujące ciało ostrza strachu. Tym razem jednak nie wiedział dlaczego. Nad głowami mężczyzn zaszeleściły niepokojąco liście, choć Balthus nie czuł na twarzy najłżejszego nawet podmuchu wiatru. Gdzieś, spośród nich, dobiegł go upiorny, przeciągły jęk. Cymmeryjczyk spojrzał zimno w tym kierunku, podniósł się i popatrzył ponuro na swoje dzieło.

– Na Mitrę! Co to jest? – szepnął Balthus. Nakreślony przez Conana symbol wydawał mu się pozbawiony sensu. Pomyślał, że to może jakiś zdobniczy wzór nieistniejącej już cywilizacji, którego nie mógł rozpoznać z powodu nikłej znajomości historii sztuki. Jednak nawet gdyby był największym żyjącym znawcą pradawnych symboli, nic by to nie pomogło w rozwikłaniu tej zagadki, bo widniejący na ziemi znak nie miał nic wspólnego z ozdabianiem czegokolwiek.

– Ten symbol widziałem wyryty na ścianie pewnej jaskini, której od miliona lat nie odwiedziła żadna ludzka istota – mruknął Conan. – Było to w niezamieszkanym górach za morzem Vilayet, bardzo, bardzo daleko stąd. Później widziałem, jak czarny łowca wiedźm z Kush kreślił go w złotym piasku na brzegu nienazwanej rzeki. Wyjaśnił mi, że to święty znak Jhebbal Saga i oddających mu cześć stworzeń. A teraz patrz uważnie, co się stanie!

Ukryli się w krzakach opodal i czekali w napięciu. Puszcza rozbrzmiewała nieustannym, rytmicznym dudnieniem piktyjskich bębnow. Tym na wschodzie odpowiadały te na północy i zachodzie. Balthus zadrzał na myśl, co może przynieść uciekinierom ta ponura konwersacja. Co prawda od piktyjskich włóczy i sadyb oddzielały ich całe mile puszczy, ale

uporczywe bicie bębnow jak uwertura śmierci zwiastowało jedno – nieunikniony krwawy finał. Zmroziła go ta świadomość. I nagle liście zatrzęsy się lekko a spomiędzy chaszczy wychyliła się wspaniała pantera. Jej skąpane w księżycowym blasku lśniące futro falowało wraz z ruchem potężnych mięśni. Z nisko pochylonym łbem, drapieżnik krok za krokiem sunął w kierunku ukrytych uciekinierów. Złapał w końcu ich trop i przyśpieszył. Już miał dopaść swoje ofiary, gdy wtem zastygł bez ruchu, nosem niemal dotykając ziemi. Zobaczył symbol nakreślony przez Conana. Pantera przez dłuższą chwilę stała nieruchomo, prężąc smukłe, długie ciało. Balthusowi włosy stanęły dęba, bo zobaczył na własne oczy coś, czego ludzie nie oglądali od setek lat – działanie potężnej magii niemal zapomnianego boga Jhebbal Saga. Z oczu wielkiego kota dało się wyraźnie wyczytać szacunek i podziw.

Po kilku chwilach pantera podniosła się i wycofała ostrożnie. Kiedy jej sprężysty ogon dotknął krzaków, okręciła się gwałtownie i zniknęła z oczu mężczyzny jakby pożarta przez mroczną czeluść lasu.

Balthus otarł czoło trzęsącą się dłonią i spojrzał na Conana. Zamarł z przerażenia. W oczach towarzysza płonął ogień, jakiego żaden Akwilończyk nigdy nie widział w spojrzeniu cywilizowanego człowieka. Obok niego siedział nie Cymmeryczyk, a zupełnie mu obca istota, uformowana przez dzikość i bezwzględność starożytnych czasów. W jej rozpalonych oczach można było czytać jak w otwartej księdze; zobaczyć mroczne obrazy, rozmyte wspomnienia, cienie pradawnych wierzeń, odrzuconych i wyszydzanych wraz z postępem cywilizacyjnym. Po dłuższej chwili Conan otrząsnął się z półsnu i cicho poprowadził towarzysza głębiej w puszcze.

– Nie musimy się już obawiać tutejszych bestii – rzekł po dłuższej chwili milczenia. – Zostawiliśmy jednak wiele śladów, które bystre oczy piktyjskich tropicieli wypatrzą bez trudu. Co prawda trudno im będzie ponownie wpaść na nasz trop, i z pewnością cały czas zachodzą w głowę, czy naprawdę zmierzamy na południe, gdy jednak dostrzegą symbol na ziemi, będą mieli pewność. Ale z drugiej strony, niełatwo im będzie nas tropić bez pomocy zwierząt. Musimy pamiętać, że lasy na południe od ścieżki roją się od poszukujących nas Piktów. Albo ukryjemy się gdzieś za dnia, albo niechybnie wpadniemy na jakiś mniejszy czy większy oddział. Jak tylko znajdziemy bezpieczne schronienie, zatrzymamy się tam i zaczekamy. Pod osłoną nocy zawrócimy i sforsujemy rzekę. Przynajmniej

spróbujemy. Musimy ostrzec Valannusa, a z poderżniętymi gardłami i wyprutymi flakami wcale mu nie pomożemy.

– Ostrzec Valannusa?!?

– Na Croma, ruszże mózgownicą, człowieku! Puszczą wzdłuż rzeki aż roi się od Piktów i tylko dlatego wpadliśmy w zasadzkę. Tym razem Zogar nie poprzestanie na kilku jarmarcznych sztuczkach czy przyzywaniu zwierząt; on rozpęta prawdziwą wojnę, a nie jakiś tam napad rabunkowy. Dokonał czegoś, co wydawało się niemożliwe dla jakiegokolwiek Pikta, przynajmniej ja tego nie pamiętam – zjednoczył coś około piętnastu plemion. Posłużył się magią, bo piktyjscy wojownicy słuchają bardziej maga niż wodza. Widziałeś przecież tłum w Gwaweli, a wzdłuż rzeki kryją się pewnie kolejne setki tych nędznych psów. I to nie koniec, przybędą nowi z bardziej oddalonych sadyb. Zogar Sag zapewne już teraz ma pod rozkazami ponad trzytysięczną armię. Gdy schroniłem się w krzakach po ataku na mój oddział, podsłuchałem rozmowę kilku przechodzących Piktów. Oni chcą zaatakować fort. Nie wiem kiedy, może dzisiaj, może jutro, ale mag nie jest na tyle głupi, by długo z tym zwlekać. Zebrał armię, rozpałił w niej chęć zemsty i potrzebę krwi. Jeśli szybko nie ruszy na Valannusa, to Piktowie zaczną wyrzynać się nawzajem. Są jak wygłodniałe, opętane wizją mordy tygrysy. Czy zdobędą fort? Nie wiem, może tak, może nie. I tak musimy przejść przez rzekę i ostrzec Valannusa. Wszyscy osadnicy wzdłuż drogi do Velitrium muszą się natychmiast schronić w forcie lub uciekać do miasta. Piktowie zastosują prostą taktykę: główne siły będą oblegać fort, mniejsze oddziały zdewastują i spustoszą tereny na wschodzie. Jeśli wszystko pójdzie po ich myśli, niewykluczone że przekroczą nawet Rzekę Gromu i dokonają rajdu na gęsto zaludnione tereny poza Velitrium.

Wykładając Balthusowi plany Piktów, Conan wiódł go coraz głębiej w pierwotną puszczy. Wreszcie mruknął coś z wyraźnym zadowoleniem. Dotarli do miejsca, gdzie płatanina krzaków rzedła widocznie i ujrzeli skalny grzbiet pasma ciągnącego się na południe. Stąpali po nagiej skale, a tutaj nawet najbardziej doświadczony piktyjski tropiciel nie mógł wpaść na ich trop.

– Jak, na wszystkich bogów, udało ci się uciec? – spytał Balthus.

Conan pogłaskał kolczugę i puknął palcem w dzwon hełmu.

– Gdyby wszyscy mieszkańcy pogranicza chętniej nosili zbroje, ich głowy rzadziej zdobyłby piktyjskie chaty i ołtarze. Jednak mało kto potrafi

cicho w nich chodzić. Piktowie czekali na nas pochowani w krzakach po obu stronach ścieżki. A zaczajonego Pikta nie wypatrzy nawet zwierzę, przejdzie obok nieświadome jego obecności. Musieli nas dostrzec, gdy przeprawialiśmy się przez rzekę i urządzili zasadzkę. Gdyby zrobili to, gdy byliśmy na drugim brzegu, na pewno bym coś zauważył. Jednak oni już tam czekali, nie drgnął jeden nawet liść. Sam Pan Zła niczego by nie zauważył. Zrozumiałem co się dzieje dopiero, gdy usłyszałem szmer napinanej cięciwy. Rzuciłem się na ziemię z okrzykiem, by inni poszli w moje ślady, ale było już za późno, a oni zbyt zaskoczeni i powolni. Większość padła trupem od razu, gdy dosięgnęła nas chmura strzał. Niektóre z nich przeleciały nad naszymi głowami na drugą stronę ścieżki i dosięgły ukrytych tam Piktów. Dobrze słyszałem ich wycie i jęki – Conan paskudnie się uśmiechnął. – Ci z nas, którzy przeżyli atak, uderzyli z impetem na te psy. Kiedy zobaczyłem, że wszyscy moi towarzysze albo nie żyją, albo są umierający, przebiłem się przez szeregi wrogów i w mroku zniknąłem z oczu tym wymalowanym ścierwom. Biegłem, czołgałem się i unikałem kolejnych grup ścigających mnie Piktów. Było ich tylu ile jest wszy na wynędzniałym rynsztokowym kundlu. Próbowałem sforsować rzekę, ale spodziewali się tego i już na mnie czekali. Wyrznąłbym ich do nogi, a potem spróbowałbym przepłynąć rzekę, wtedy jednak usłyszałem bicie bębnow i zrozumiałem, że pojмали kogoś żywcem. Tak bardzo ich zafascynowały czary Zogar Saga, że niepostrzeżenie wspiąłem się na palisadę za chatą z ołtarzem. Zobaczyłem tam jednego Pikta, który pewnie miał jej doglądać, ale ten głupiec zamiast stać siedział na ziemi i oglądał zza węgła ceremonię. Zaszedłem go od tyłu i skręciłem mu kark zanim pojął co się dzieje. To jego włócznią cisnąłem w węża, a ty masz jego topór.

– A ta maskara, którą zabiłeś w chacie przy ołtarzu? Czym... lub kim była? – zapytał Balthus, otrząsając się na samo wspomnienie przeżytego koszmaru.

– To jeden z bogów Zogara. Dziecko Jhebbal Saga, które nie pamięta kim jest i po co istnieje, dlatego musi być przykute łańcuchem do ołtarza. To goryl. Piktowie widzą w tej bestii wcielenie Włochatego Boga Gullaha, żyjącego na księżycu. No, koniec tych opowieści, już świta. Musimy się tu ukryć. Dzięki temu zobaczymy, jak bardzo wyprzedzamy piktyjski pościg. Jeśli chcemy przemknąć nad rzekę, będziemy musieli zrobić to nocą.

Weszli wyżej na łagodne, pokryte splątanymi krzewami i drzewami zbocze. Na szczycie wzniesienia Conan znalazł słusznych rozmiarów krąg,

uformowany przez naturę ze sterczących w górę poszarpanych skał, porośniętych gęstymi krzakami. Miejsce nadawało się idealnie na kryjówkę, a jako naturalna forteca, łatwo było się w niej bronić. Co ważniejsze, leżąc między skałami mieli z niej dobry widok na puszcę w dole, jednocześnie sami ukryci przed nadchodzącym niebezpieczeństwem. Balthus doskonale wiedział, że na nagich skałach nawet Pikt nie odnajdzie ich śladów, a po takim podłożu stąpali przez ostatnie cztery czy pięć mil, obawiał się jednak bestii pozostających na usługach Zogar Saga. Jego wiara, jaką na początku pokładał w magiczną moc symbolu narysowanego przez Conana, mocno osłabła. Cymmeryjczyk zbył obawy Taurańczyka niedbałym machnięciem ręki.

Przez gęste gałęzie sączyła się trupioblada poświata. Obserwowane przez zielony całun liści różowe skrawki nieba zmieniały kolor na błękitny. Balthusowi zaczął doskwierać nieznośny głód, dziękował bogom, że przynajmniej ugasił pragnienie w mijanym po drodze strumieniu. Wokół panowała zupełna cisza, przerywana sporadycznie lęklwym ptasim trelem. Taurańczyk znów wrócił myślami do wydarzeń w Gwaweli.

– Zogar Sag nosił strusie pióra – rzekł do Conana. – Widziałem je kiedyś na hełmach wojowników, którzy przybyli ze wschodu, by złożyć wizytę baronom marchii. W tej puszczy nie ma strusi, prawda?

– Pióra pochodzą z Kush – odparł zapytany. – Daleko stąd na południe jest brzeg morza. Bywa że przyplływają tam czasem statki z Zingary, by wymienić z tamtejszymi mieszkańcami broń, ozdoby czy wino za skóry, miedź i złoty piasek. Czasami oferują strusie pióra, które dostają od Stygijczyków, a ci z kolei dostają je od czarnych z Kush, krainy na południu od Stygii. Piktyjscy magowie przywiązują do nich wielką wagę. Ale jest pewien haczyk dla handlarzy: Piktowie lubią napadać na statki, a i sama żegluga po tych wodach nie jest w pełni bezpieczna. Pływałem po nich, kiedy żyłem wśród piratów z wysp Baracha, leżących na południowy zachód od Zingary.

Balthus z podziwem spojrzął na towarzysza.

– Wiem, że nie spędziłeś całego życia tylko na pograniczu. Wspomniałeś o kilku odległych krainach. Dużo podróżowałeś?

– Odbyłem bardzo wiele podróży i dotarłem do wielu egzotycznych miejsc. Widziałem więcej niż wszyscy Cymmeryjczycy razem wzięci: wszystkie wielkie miasta Hyboryczyków, Shemitów, Stygijczyków i Hyrkan. Wędrowałem po nieznanym krainach za południowymi

rubieżami czarnych królestw Kush i na wschód od Morza Vilayet. Byłem kapitanem najemników, korsarzem, kozakiem, włóczęgą bez grosza przy duszy, generałem... Do kroćset! Byłem wszystkim tylko nie królem cywilizowanego kraju. Kto jednak wie, zanim umrę, może ktoś mi wsadzi koronę na głowę... – Conan uśmiechnął się szorstko, rozbawiony tą wielce absurdalną myślą. Później wzruszył ramionami i wyciągnął się wygodnie na skale. – Życie tutaj jest dobre jak każde inne. Nie wiem, jak długo pozostanę na pograniczu: tydzień, miesiąc, a może rok... Ciągnie mnie w świat. W sumie nie jest mi teraz źle.

Balthus usadowił się tak, by obserwować las w dole. Oczekiwał, że w każdej chwili spośród gęstwiny wyłonią się wściekłe, pomalowane dzikie twarze. Mijały jednak godziny i panującej wokół ciszy nie zakłócił żaden podejrzany dźwięk. Balthus pomyślał, że Piktowie zgubili trop i zaniechali pościgu. Conan nie podzielał jego optymizmu, był coraz bardziej zaniepokojony.

– Już dawno powinniśmy dostrzec jakieś oznaki pogoni, piktyjskie oddziały powinny buszować w puszczy na dole. Jeśli darowali sobie pościg to tylko dlatego, że coś ważniejszego zajmuje ich myśli. Wygląda na to, że zbierają się, by przekroczyć rzekę i zaatakować fort.

– Jesteś pewien, że zapuściliby się za nami po omacku tak daleko na południe, skoro zgubili nasz ślad?

– Trop zgubili na pewno, gdyby tak nie było, walczylibyśmy teraz z nimi na śmierć i życie. Oni są uparci, a rozkaz Zogar Saga, żeby nas schwytać, jest dla nich najważniejszy. Po zgubieniu śladu przeczesywaliby puszcę w promieniu wielu mil, aż do skutku. Niewykluczone, że jakiś oddział tropicieli przeszedł blisko nas nie odkrywając wzgórza. Na mój nos większość z nich teraz zebrała się wokół Gwaweli. Szykują się do przeprawy przez rzekę. Nie mamy innego wyjścia, jak tylko zaryzykować i spróbować ich wyprzedzić.

Kryjąc się między skałami zaczęli schodzić w dół. Balthus przez chwilę poczuł się nieswojo, jakby swoim cieniem musnęła go śmierć. Odnosił wrażenie, że każdy ich krok śledzą setki piktyjskich oczu ukrytych w zielonym gąszczu, czekając tylko na dogodną okazję, by zasypać ściganych gradem strzał. Jednak Conan nie wyglądał na szczególnie zaniepokojonego, był bowiem przekonany, że w okolicy nie ma nawet śladu ich prześladowców. I, jak zawsze, miał rację.

– Jesteśmy wiele mil na południe od Gwaweli – mruknął. – Teraz biegniemy prosto ku rzece. Nie wiem, jak daleko zaszli w jej dół, ale miejmy nadzieję, że trafimy na miejsce, gdzie ich nie będzie.

Balthusowi wydawało się, że pędzą na łeb na szyję na wschód. Puszcza nagle zdawała się pozbawiona wszelkiego życia, a roztaczająca się wokół cisza była przytłaczająca. Conan sądził z charakterystyczną dla siebie pewnością, że armia Piktów zebrała się w pobliżu Gwaweli, chyba że właśnie zaczęła przeprawę przez rzekę. Nie wierzył jednak, by robiła to za dnia.

– Nie chcę ryzykować, by wypatrzył ich przez przypadek jakiś osadnik i podniósł przedwczesny alarm. Dlatego przeprawiają się powyżej i poniżej fortu, poza zasięgiem wzroku kogokolwiek. Wtedy inni wsiądą do canoe i zaatakują fort od strony rzeki. To będzie sygnał dla oddziałów ukrytych w lesie i zaczną się szturmy na Tuscelan z trzech stron. Raz już próbowali wyprowadzić nas w pole i niewiele brakowało, aby im się udało. Przetrzebiliśmy ich jednak. Teraz nadciągają w takiej sile, że może im się udać, a wtedy wszystkich w forcie czeka rzeź.

Parli naprzód bez wytchnienia, chociaż Balthus tęsknym wzrokiem wodził za przemykającymi wśród gałęzi wcale tłuściutkimi wiewiórkami, które mógł zabić jednym rzutem topora. Z westchnieniem zacisnął mocniej szeroki pas. Niekończąca się cisza i mrok pierwotnego lasu zaczynały go przygnębiać. Złapał się na myślach o otwartych przestrzeniach i skąpanych w letnim słońcu zielonych łąkach Tauranu; o przyjaznej i ciepłej atmosferze krytego strzechą rodzinnego domu – znaczenia nagle nabrało to, że jego ojciec dbał o obejście, regularnie bieląc wszystkie ściany; o tłustym bydle pasącym się w bujnej i soczystej trawie; o łagodnym usposobieniu taurańskich pasterzy.

Poczuł się nagle taki samotny. Conan był częścią tej dziczy w takim samym stopniu, jak Balthus był jej obcy. Może i Cymmeryjczyk mógł spędzić wiele lat w wielkich miastach tego świata i ucztować z największymi władcami. Kto wie, może i pewnego dnia postanowi spełnić kaprys losu i zostanie królem jakiejś cywilizowanej krainy – ludzie na tym świecie oglądali dziwniejsze rzeczy. To wszystko nie zmieniało jednak prostej prawdy: był barbarzyńcą. Miał na względzie zaspokajanie tylko najprostszych potrzeb. Wysublimowane przeżycia, kunsztowna sztuka, sentymentalne uniesienia i westchnienia, będące przecież nieodłącznym elementem cywilizowanego sposobu bycia, mało go obchodziły lub zgoła

wcale. Wilk pozostaje wilkiem, nawet jeżeli zrzędzeniem losu strzeże stadka owiec z innymi psami. Dla Conana do naturalnego porządku rzeczy należały krew tryskająca strumieniami z odcinanych kończyn, bezwzględna przemoc, nieokiełznana dzikość... Nie rozumiał i nigdy nie miał zrozumieć znaczenia drobnych przyjemności życia, tak bliskich cywilizowanym ludziom.

Gdy dotarli w końcu nad rzekę, drzewa rzucały znacznie dłuższe cienie. Ukryli się w pobliskich zaroślach, skąd mieli znakomity widok na rzekę i jej okolice. Jej czarne wody toczyły się leniwie. Nie dostrzegli ani jednej piktyjskiej łodzi. Ani jednego wojownika. Było spokojnie. Bardzo spokojnie. Conan zmarszczył brwi, spoglądając na drugi brzeg.

– No trudno, raz matka rodziła! Musimy zaryzykować i przepłynąć rzekę. Nie mam bladego pojęcia, czy Piktowie się przeprawili, czy nie. Niewykluczone, że lasy po tamtej stronie już się od nich roją. Nie mamy jednak wyjścia, mus to mus. Jesteśmy teraz jakieś sześć mil na południe od Gwaweli.

Cymmeryjczyk okręcił się na pięcie, przykucnął i wtedy...

I wtedy rozpętało się piekło!

W chwili, gdy Conan kucał, dosłownie cal od jego ucha śmignęła strzała wypuszczona z pobliskich krzaków. Nim przebrzmiał dźwięk puszczonej cięciwy, Cymmeryjczyk poderwał się w mgnieniu oka i jednym potężnym susem skoczył w zarośla. Balthus zdążył tylko pochwyć okiem błysk dobywanego miecza, by chwilę później do jego uszu dobiegł rozpaczliwy wrzask mordowanego człowieka. Działając instynktownie popędził śladem towarzysza. Skoczył w krzaki.

Na ziemi leżał Pikt z okrutnie rozłupaną czaszką, spazmatycznie rozdzierając ziemię palcami, a wokół Conana wirowało, wyjąc potępieńczo w bitewnym szale, z pół tuzina piktyjskich wojowników. Odrzucili już nieprzydatne w bliskim zwarciu łuki, nacierając na Cymmeryjczyka z mieczami i toporami w dłoniach. Ich pomalowane na biało dolne szczęki kontrastowały z ciemnymi twarzami, a plemienne znaki wymalowane na umięśnionych piersiach Balthusa widział po raz pierwszy w życiu.

Jeden z nich cisnął toporem w Taurańczyka, po czym rzucił się na niego z nożem. Ten uchylił się w ostatniej chwili i chwycił za nasadę uzbrojonej dłoni. Razem upadli na ziemię wściekle szamocząc się w walce. Pikt, choć niższy i znacznie szczuplejszy od Balthusa, walczył jak opętany, kąsał niczym wściekły kundel, a w jego mięśniach o mocy stalowych sprężyn,

czaiła się wielka siła. Taurańczyk ze wszystkich sił starał się unieruchomić uzbrojoną w nóż rękę, jednocześnie zadając toporem miażdżące uderzenie. Jednak wściekły i zdeterminowany przeciwnik za każdym razem udaremniał ten zamiar, trzymając z kolei w żelaznym uchwycie rękę, w której Balthus dzierżył topór. Szarpał się wściekle, starając się wyswobodzić własne ramię i usiłując kopnąć młodzieńca w krocze. Z chwilą, gdy próbował przerzucić nóż do wolnej ręki, Taurańczyk poderwał się na jedno kolano i desperackim uderzeniem topora rozłupał mu tę czarno-białą głowę na dwoje.

Balthus poderwał się na równe nogi, szukając wzrokiem Cymmeryjczyka, spodziewając się, że ujrzy go powalonego przez górujących nad nim liczebnie wrogów. Mylił się jednak. Dopiero teraz pojął w pełni siłę i zręczność Conana. Ten stał okrakiem nad ciałami dwóch Piktów, przeciętych na pół jednym potwornie silnym cięciem miecza. Balthus zdumiony zobaczył jak Cymmeryjczyk bez wysiłku odparował cios krótkiego miecza i z kocią zręcznością uniknął potężnego uderzenia toporem uskakując w bok, prosto w kierunku Pikta schylającego się po upuszczony łuk. Dzikus nic więcej już zrobić nie zdołał. Conan ciął potężnie, skrwawione ostrze opadło niczym grom podczas olbrzymiej nawałnicy, rozrąbując ciało od ramienia aż do piersi. I utknęło w martwym ciele. Pozostali wojownicy nie przegapili takiej okazji i od razu skoczyli na przeciwnika z dwóch stron. Balthus zadziałał instynktownie, cisnął toporem z największą siłą, na jaką go było stać i zabił jednego z nich. Conan widząc, co się dzieje, dał sobie spokój z próbą wyciągnięcia zaklinowanego miecza, odparł atak gołymi rękami. Niższy o głowę, ale przysadzisty i uzbrojony w nóż oraz topór piktyjski wojownik, wiedział co robi. Zamachnął się toporem, jednocześnie wyprowadzając morderczy sztych nożem. Wąskie ostrze pękło w zetknięciu z kolczugą, a topór zatrzymał się w powietrzu, bo palce Conana zamknęły się w niedźwiedzim ucisku na ramieniu wymachującego nim wojownika. Powietrze przeszył koszmarny trzask miażdżonych kości. Pikt przeraźliwie wrzasnął i zwiotczał. Cymmeryjczyk dokończył dzieła: podniósł wierzgającego dziko mężczyznę jak gałązkę nad głowę, przez chwilę tak go potrzymał, by następnie cisnąć nim o ziemię z taką siłą, że ciało potoczyło się i legło nieruchomo z połamanymi żebrami i pękniętym kręgosłupem.

– Zwijamy się! – warknął wściekły Conan, podnosząc topór i wyszarpując miecz z ciała zabitego. – Weź łuk i trochę strzał. Z życiem,

człowieku, z życiem! Ten przeklęty wrzask było pewnie słycać aż za granicami Stygii! Zaraz tu się zleci cała kupa Piktów, nie sądzę żeby byli głusi. Musimy pędzić ile sił w nogach. Gdybyśmy teraz próbowali przepłynąć rzekę, to naszpikowaliby nas strzałami jak na strzelnicy w słoneczny bezwietrzny poranek. Ruszamy!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

SKRWAWIONE TOPORY POGRANICZA

Conan nie zagłębił się zbyt w las. Kilkaset jardów dalej zmienił kierunek ich ucieczki i biegli równolegle do brzegu. Balthus rozumiał desperacki pomysł Cymmeryjczyka; nie mogli dać się odpędzić od rzeki, musieli ją przecież przepłynąć, by ostrzec załogę fortu. Za nimi, w dali, rozbrzmiały pełne wściekłości ryki. To Piktowie odnaleźli polankę, na której piętrzył się stos ich zaszlachtowanych współplemieńców. Z każdym pokonanym przez uciekinierów jardem do ich uszu przybliżały się wściekłe wrzaski, wiadomy znak, że dzikusy natychmiast ruszyli w pogoń. Mieli ułatwione zadanie, bo Conan i Balthus zostawiali tak wyraźne ślady, że nawet ślepy mógłby je wypatrzyć.

Cymmeryjczyk przyśpieszył kroku, a Taurańczyk zacisnął zęby i trzymał się go jak najbliżej, chociaż miał wrażenie, że zaraz ze zmęczenia padnie jak długi. Wydawało mu się, że od wieków nic nie jadł. Przebierał nogami tylko dzięki sile woli. Pulsująca ogniem w skroniach krew szumiała tak bardzo, że nawet nie zauważył, kiedy ustały dzikie wrzaski Piktów.

Conan zatrzymał się. Balthus oparł się o drzewo i dyszał ciężko jak zajeżdżony koń.

– Opuścili! – mruknął Cymmeryjczyk, gniewnie spoglądając za siebie.

– Na pewno nie! – wydusił z siebie Balthus. – Skradają się!

Conan potrząsnął głową.

– Wygadujesz głupoty. Oni zawsze podczas takich pościgów wydzierają się jak szaleni. Cisza oznacza tylko jedno: zawrócili. Wydawało mi się, że ktoś ich zawołał i dopiero potem ustała ta przekłeta wrzawa. Ktoś wydał im wyraźny rozkaz. Koniec pościgu. Dla nas to dobrze, ale dla ludzi w forcie – niekoniecznie, bo to oznacza, że Piktowie szykują się do szturm. Ci, których porąbaliśmy na polance, należeli do jeszcze jednego z plemion mieszkających w dole rzeki. Pewnie zmierzali do Gwaweli, by zasilić armię Zogar Saga. Niech to szlag! Za bardzo oddaliśmy się od fortu. Jeśli chcemy zdążyć musimy szybko przepłynąć na drugi brzeg.

Zawróciwszy na wschód, Conan gnał przez puszcę niczym rozjuszony buhaj, nie dbając o zacieranie swoich śladów. Balthus deptał mu piętach.

Dopiero teraz zaczęły mu się dawać we znaki rany odniesione w walce; miejsca, w których skórę rozorały zęby Pikta, piekły żywym ogniem. Taurańczyk wbiegał właśnie w gęste krzaki porastające brzeg rzeki, gdy Conan niespodziewanie osadził go w miejscu. Chwilę później usłyszeli rytmiczny plusk i spoglądając przez liście zobaczyli płynące w górę rzeki czółno. Siedział w nim samotny mężczyzna ciężko walczący z silnym nurtem rzeki. Był to mocno zbudowany, smagłoskóry Pikt, którego głowę zdobiło białe pióro czapli wetknięte za miedzianą opaskę przytrzymującą czarną grzywkę równo przyciętych włosów.

– To jeden z mieszkańców Gwaweli – szepnął Conan. – Ma zatknięte białe pióro, czyli jest emisariuszem Zogar Saga. Pewnie zaniósł posłanie pokoju piktyjskim plemionom w dole rzeki, a teraz próbuje wrócić na czas, by wziąć udział w ataku na fort.

Balthus obserwował, jak wysłannik maga zrównuje się niemal z ich kryjówką. I nagle o mało nie wyskoczył ze skóry, gdy tuż nad jego uchem rozległa się gardłowa piktyjska mowa. To Conan wykrzyknął coś do wiosłarza w jego ojczystym języku. Pikt, wyraźnie zaniepokojony usłyszonymi słowami, spojrzął w kierunku zarośli, odpowiedział i wystraszonym wzrokiem omiótł sąsiedni brzeg. Następnie pochylił się nisko i zaczął wiosłować prosto ku ukrytym w krzakach mężczyznom. Cymmeryjczyk tylko na to czekał. Wyjął łuk z ręki zdezorientowanego Balthusa i nałożył strzałę na cięciwę.

Pikt płynął tuż przy brzegu, wypatrując w gęstych zaroślach swego współplemieńca. Zmrużywszy oczy, krzyknął coś półgłosem. W odpowiedzi Conan posłał mu strzałę prosto w pierś. Morderczy pocisk zagłębił się w ciało dzikusa aż po lotki. Pikt ze zduszonym jękiem zwałił się w bok, wypadając za burtę w płytką wodę. Cymmeryjczyk wybiegł na brzeg i brnąc po kolana w wodzie, chwycił czółno, po czym do niego zwinnie wskoczył. Balthus zrobił to samo, choć do canoe wgramolił się trudem. Conan chwycił wiosło i potężnym uderzeniem skierował łódkę w stronę drugiego brzegu. Taurańczyk patrzył z niesłabnącym podziwem i zazdrością na pracujące rytmicznie pod opaloną skórą wielkie mięśnie wiosłarza. Ten człowiek musiał być wykuty z żelaza – nigdy się nie męczył.

– Co powiedziałeś temu Piktowi? – spytał.

– Że na drugim brzegu przyczał się łucznik i chce go ustrzelić.

– Oszukałeś go. To nie było uczciwe – rzekł Taurańczyk. – Przecież on myślał, że to prawda, tak dobrze udawałeś Pikta.

– Na Croma! – Conan spiorunował towarzysza wzrokiem, zaszokowany jego naiwnością. – Potrzebowaliśmy łodzi. Jak go niby miałem bliżej zwabić? Zaproponować honorowy pojedynek w samo południe na środku placu w forcie? Co jest gorsze – wyprowadzić w pole i zabić Pikta, który, gdyby tylko miał okazję, najchętniej obdarłby nas żywcem ze skóry, czy zawieść zaufanie ludzi, których przetrwanie zależy od nas?

Balthus przez chwilę rozważał w myślach ten dylemat, po czym wzruszył ramionami, najwidoczniej nie dochodząc do żadnych wniosków i spytał:

– Jak daleko jesteśmy od fortu?

Conan wskazał mu strumień wpadający do Czarnej Rzeki ze wschodu, kilkaset jardów od miejsca, w którym właśnie byli.

– To Strumień Południowy, czyli mniej więcej dziesięć mil. Znajdujemy się teraz przy południowych granicach Conajohary. Za nimi nie znajdziesz nic więcej jak tylko całe mile grzędawisk. Stamtąd Piktowie na pewno nie zaatakują. Dziewięć mil od fortu w górę rzeki granicę wyznacza Strumień Północny. Tam też nie ma nic prócz grzędawisk. Dlatego Piktowie muszą szturmować fort z zachodu, przepływając się przez Czarną Rzekę. Jeśli spojrzysz na mapę, to się przekonasz, że Conajohara ma kształt włóczni, której szeroki na dziewiętnaście mil grot wbija się klinem w piktyjskie terytoria.

– Dlaczego nie popłyniemy do fortu rzeką, skoro już siedzimy w łodzi?

– Ponieważ musielibyśmy tego się nawiosłować walcząc z silnym prądem, na dodatek pokonując liczne zakola. Szybciej dotrzemy do celu podróży piechotą. A poza tym pamiętaj, że Gwawela leży na południe od fortu, więc płynąc rzeką, musielibyśmy ją mijać. Jeśli armia Zogar Saga akurat teraz przepływa się przez rzekę, wpadlibyśmy prosto w ich łapska. Uśmiecha ci się takie zakończenie podróży?

Balthus nic nie odpowiedział.

Kiedy w końcu przepławili się na drugi brzeg, zaczynało już zmierzchać. Conan bez chwili wycoczynku od razu skierował się na północ, narzucając Taurańczykowi mordercze tempo biegu.

– Valannus świadomy zagrożenia, chciał wybudować dwa forty: pierwszy przy ujściu Strumienia Południowego, a drugi Strumienia Północnego – powiedział Cymmeryjczyk. – Wtedy jego ludzie mogliby patrolować rzekę na całej długości granicy. Pełna kontrola, żadnego ryzyka. Ale oczywiście doradcy króla odrzucili ten pomysł. Banda skretyniałych do szczytu, obrośniętych tłuszczem, wylegujących się na aksamitnych

poduszkach głupców, którym nagie dworskie dziwki przez cały dzień serwują wino na kolanach! Dobrze znam ten typ ludzi. Tymi swoimi sflaczałymi mózgownicami nie potrafią spojrzeć dalej niż ściany własnego pałacu. Dyplomaci – niech ich zaraza! Co to za pomysł, by walczyć z Piktami za pomocą jakiś bzdur o ekspansji terytorialnej? Valannus i jemu podobni porządni ludzie muszą wykonywać rozkazy tej zgrai debili. Mówię ci, Akwilończycy nie zagarną już ani piędzi piktyjskiej ziemi więcej, tak samo jak nie odbudują Venarium. Pewnie w końcu przyjdzie ta chwila, że barbarzyńcy staną wielką armią u bram ich miast na wschodzie. I nie będzie to przyjacielska wizyta.

Tydzień wcześniej Balthus obśmiałyby takie niedorzeczności, ale teraz wcale nie było mu do śmiechu. Milczał więc, bo na własne oczy widział, do czego są zdolni odważni do szaleństwa i gotowi na wszystko piktyjscy wojownicy. Poczul na plecach dreszcz strachu, rzucając zaniepokojone spojrzenie na leniwie toczące się ciemne wody Czarnej Rzeki, nad którymi zielonym baldachimem rozłożyły się potężne i stare drzewa. Pamiętał o tym, że Piktowie mogli już skończyć przeprawę i czaić się w zasadzce. Zmierzch nadchodził wielki krokami.

Niespodziewany, ulotny, ale dobrze słyszalny szmer sprawił, że serce podskoczyło Taurańczykowi do gardła, a Conan błyskawicznie wznosił miecz, gotowy, by rozprawić się z ewentualnym niebezpieczeństwem. Natychmiast go jednak opuścił, gdy ujrzał, że zza krzaków, prosto na ścieżkę, wyszedł olbrzymi, wychudzony i poznaczony wieloma bliznami pies, przypatrując im się nieufnie.

– Poznając tego psa – rzekł Cymmeryjczyk. – Należał do mężczyzny, który chciał się osiedlić tuż nad rzeką kilka mil na południe od fortu. Piktowie zakradli się tam pewnej nocy, zabili osadnika i spalili jego chatę. Typowa historia. Gdy przybyliśmy z odsieczą, znaleźliśmy tego psa leżącego w zgliszcach w otoczeniu martwych Piktów. Zagryzł trzech. Porąbali go prawie na kawałki. Zabraliśmy więc zwierzę do fortu, opatrzyliśmy rany, a gdy wydobrzeł – uciekł do lasu i zdziczał. I co, Molos, ciągle polujesz na zabójców swego pana?

Masywny łeb psa zakołysał się lekko, a w jego zielonych zimnych ślepiach zapłonęła nienawiść. Nie szczeknął ani nie zawarczał, tylko cicho jak upiór stanął za plecami mężczyzn.

– Niech idzie z nami – burknął Conan. – Wywęszy smród Piktów zanim my zdołamy ich dostrzec.

Balthus uśmiechnął się i pieszczotliwie położył rękę na głowie psa. Zwierzę odruchowo odsłoniło ostre kły w potężnej szczęce, lecz po chwili, jakby przypominając sobie, że nie każdy dotyk oznacza ból, pochyliło łeb i niepewnie zamerdzało ogonem. Taurańczyk porównał w myślach tego wielkiego, wychudzonego, a jednak piekielnie niebezpiecznego psa z jego tłustymi pobratymcami o lśniącym i gładkim futrze dokazującymi w zagrodzie ojca. I westchnął. Pograniczne nie okazywało litości ani ludziom, ani zwierzętom. Ten pies prawie zapomniał, że człowiek może być nie tylko katem, lecz także przyjacielem.

Za pozwoleniem Conana Molos pomknął naprzód. Słońce zakończyło już swą wędrówkę po niebie, pozostawiając głęboką ciemność. Nie szczędząc sił, pokonywali milę za milą. Pies nie szczeknął ani razu, jakby zapomniał, że w ogóle potrafi to robić. Nagle stanął w miejscu, zastrzygł uszami i zaczął uważnie nasłuchiwać. Po chwili Conan i Balthus także to usłyszeli. W dół rzeki, po wodzie, niósł się przerażający ryk, dobywający się z tysięcy gardeł.

Conan zaklął wściekle.

– Niech ich szlag! Zaatakowali fort! Spóźniliśmy się! Chodź!

Rzucił się do szaleńczego biegu, wierząc, że pies wyniucha jakąkolwiek zasadzkę. Balthus pod wpływem uderzenia adrenaliny natychmiast zapomniał o głodzie i zmęczeniu. Z każdym ich krokiem ryki stawały się głośniejsze i coraz wyraźniej słyszeli okrzyki żołnierzy. Kiedy Taurańczyk zaczął się już niepokoić, że Conan szarżuje na ślepo, prosto na piktyjskie oddziały, ten zatoczył szeroki łuk, wyprowadzając ich na łagodne wzniesienie, z którego mieli znakomity ogląd sytuacji. Zobaczyli fort, oświetlony pochodniami wystawionymi na długich żerdziach poza palisadę. W ich słabym świetle ujrzeli setki nagich, pomalowanych w wojenne barwy wojowników. Na rzece roило się od łodzi. Piktowie zamknęli fort w pierścieniu oblężenia.

Niekończąca się lawina miotanych z łodzi i lasu strzał spadała na palisadę. Szczęk naciąganych cięciw przebijał się przez ogólny wrzask i ryk. Wyjąc opętańczo jak stado wściekłych wilków, kilkuset nagich wojowników wybiegło z lasu i z toporami w dłoniach pomknęło ku palisadzie. Nie dobiegli daleko. Sto pięćdziesiąt jardów od umocnień położyła ich pokotem potężna salwa strzał wystrzelonych przez obrońców, zmuszając niedobitki do pośpiesznego odwrotu. Wojownicy w łodziach ruszyli ku palisadzie, ale i oni nic nie wskórali, bowiem obrońcy powitali

ich nie tylko kolejną chmurą śmiercionośnych strzał, ale i pociskami z małych balist, rozmieszczonych w strategicznych punktach obrony fortu. Kamienie i kłody śmigały w powietrzu, czyniąc pośród flotylli na rzece spore spustoszenie. Na ten widok załoga fortu wydała triumfalny okrzyk; Piktowie odpowiedzieli przeraźliwym wyciem.

– Spróbujemy się przebić? – rozochocił się Balthus, uradowany sukcesem obrońców.

Conan potrząsnął głową. Stał lekko pochylony, z rękoma założonymi na muskularnej piersi.

– Nie podniecaj się tak, Balthusie. Nie będziemy się nigdzie przebijać. Los fortu jest przesądzony. To małe zwycięstwo jeszcze bardziej rozwścieczyło Piktów, oni oszaleli z żądzy mordy. Można ich teraz powstrzymać tylko w jeden sposób: zabijając wszystkich. A załoga fortu temu nie podoła, tych psów jest zbyt wielu. Próbując się przedrzeć, nie dotarlibyśmy nawet w pobliże bramy, a gdyby nawet – to moglibyśmy co najwyżej dać się porąbać razem z Valannusem.

– Czyli co? Uciekamy, tak? Ratujemy własną skórę. I nic więcej nie możemy zrobić?

– Ależ możemy i zrobimy. Ostrzeżemy osadników. Pomyśl chwilę. Najskuteczniejsza metoda zmiękczenia obrony fortu i wywołania w nim chaosu to ostrzelanie zabudowań płonącymi strzałami. Piktowie o tym wiedzą. Czemu więc tego nie zrobili? Bo łuna i dym płonącego Tuscelan ostrzegłyby ludzi na wschodzie. Najpierw chcą zdobyć fort, a następnie uderzyć wzdłuż drogi do Velitrium, zanim ktokolwiek połapie się, o co chodzi. Wtedy mogliby z marszu sforsować nawet Rzekę Gromu i spalić miasto, zanim Akwilończycy ochłoną i zorganizują kontrnatarcie. Wyrzną wszystkich na swojej drodze. Wprawdzie nie udało nam się ostrzec Valannusa, lecz teraz widzę, że to i tak nie miałoby sensu. Jeszcze kilka takich szturmów i Piktowie przełamią obronę fortu. I będzie po wszystkim. Ale my możemy jeszcze uratować wielu osadników. Chodź! Jesteśmy poza pierścieniem oblężenia i tak powinno pozostać.

Zatoczyli szeroki łuk, nasłuchując uważnie wznoszących się i opadających falami wrzasków walczących stron, świadczących o zaciekłości zmagania; o kolejnym odpartym szturmie i o kolejnej podjętej próbie sforsowania palisady. Załoga fortu stawiała zaciekły opór, ale Piktowie nie rezygnowali, wręcz przeciwnie, zdawało się, że z każdą chwilą stają się coraz pewniejsi zwycięstwa.

Zanim Balthus się zorientował, wyszli na trakt wiodący na wschód.

– A teraz biegiem! – rozkazał Conan.

Balthus zacisnął zęby. Do Velitrium było dziewiętnaście mil, a do pierwszych zabudowań osadników nad Strumieniem Skalpów dobre pięć. Wydawało mu się, że od pierwszego spotkania z Cymmeryjczykiem minęła cała wieczność, a on nic innego nie robił, jak tylko na przemian to walczył, to biegał. Jednak poczucie wypełniania ważnej misji dodawało mu sił.

Molos biegł przed nimi z nosem przy ziemi, nieustannie węsząc. Nagle warknął cicho, po raz pierwszy od kiedy go spotkali.

– Przed nami Piktowie! – mruknął Conan, przyklękając na chwilę i uważnie badając, dobrze widoczne w blasku gwiazd, ślady. Powiedział coś pod nosem, najwyraźniej zbity z tropu. – Nie wiem, ilu. Garstka chyba. To pewnie ci najbardziej niecierpliwi, którym nie chciało się czekać na zniszczenie fortu. Wysforowali się naprzód, by wymordować osadników! Chodź, Balthusie! Nie mamy chwili do stracenia!

Przed sobą ujrzeli niewyraźną poświatę i usłyszeli charakterystyczne piktyjskie wycie, oznaczające żądzę krwi i śmierci. Trakt zakręcał w tym miejscu, więc ruszyli skrótem, przez gęste zarośla. Po chwili zobaczyli makabryczny widok. Na drodze stał wóz załadowany skromnym dobytkiem, potrzebnym z gospodarstwie. Palił się żywym płomieniem, a zaprzężone do niego woły leżały z poderżniętymi gardłami. Obok nich zobaczyli strasznie zmasakrowane ciała dziewczyny i chłopaka, jeszcze przed chwilą radosnych i pełnych życia. Pięciu Piktów, wymachując skrwawionymi toporami i upojonych rzezią, tańczyło wokół trupów dziki taniec zwycięstwa. Jeden z nich nałożył nasiąkniętą krwią koszulę zdartą z dziewczyny.

W Balthusie coś pękło, obudziła się w nim bestia. Napiął łuk, wymierzył w idiotycznie podskakującą, świetnie widoczną na tle ognia postać i zwolnił cięciwę. Morderca zastygł w pół ruchu, po czym zwałił się na ziemię ze strzałą prosto w sercu. A mężczyźni zaatakowali z furią; Conan po prostu uwielbiał każdy rodzaj bitki, a jeśli dodatkiem czuł czystą nienawiść do wroga, a Piktów nienawidził całym sercem, z tym większą furią walczył. Ale Balthus oszalał z wściekłości. Łaknął krwi, śmierci i zemsty.

W mgnieniu oka dopadł do pierwszego Pikta i, nie bawiąc się w żadne szermiercze czary-mary, celując w czarny czerep, rąbnął toporem. Zrobił to z taką siłą, że z głowy wojownika niewiele zostało. Natychmiast okręcił się na pięcie, przeskoczył nad leżącym ciałem i rzucił się na następnego. Ale

Conan był szybszy. Zabił już jednego Pikta, i nim Balthus zdążył zamachnąć się ponownie, przeszył mieczem drugiego. Obydwaj zwrócili się ku ostatniemu z morderców, ale niepotrzebnie. Ten dogorywał, leżąc na ziemi z rozharatnym gardłem, a Molos stał nad nim szczerząc zakrwawione kły, będąc najwyraźniej wielce zadowolonym z dokonanego dzieła.

Ochłonęli trochę i przyjrzeni się zamordowanej parze. Żaden się nie odezwał, bo i słów nagle zabrakło. Obydwoje, dziewczyna i chłopak, byli młodzi, bardzo młodzi. Dziwnym zrządzeniem losu Piktowie nie zmasakrowali jej twarzy, a była piękna nawet z piętnem śmierci wymalowanym na rumianych jeszcze przed chwilą policzkach. Z jej delikatnym i powabnym ciałem mordercy nie obeszlili się już tak łagodnie, tnąc je prawie na kawałki. Balthus miał dość, tego było już za wiele. Miał ochotę sięść na ziemi i płakać do końca świata.

– Młoda para, pewnie zaraz po ślubie, chcąc rozpocząć życie na własny rachunek – powiedział Conan lodowatym i beznamiętnym tonem, jednocześnie ocierając ostrze swego miecza. – Zmierzali do fortu, gdy dopadli ich Piktowie. Chłopak pewnie chciał się zaciągnąć, a może osiąść gdzieś nad rzeką... Zapamiętaj ten widok, Taurańczyku, bo taki los, albo i gorszy, czeka każdego mężczyznę, kobietę i dziecko po tej stronie rzeki. Chyba że zdążą uciec do Velitrium.

Słaniając się na nogach, Balthus podążył za Cymmeryjczykiem. Ten szedł pewnie, sprężystym, długim krokiem. Między nim a psem był jakiś rodzaj nieuchwytnego podobieństwa. Conan, chodząca legenda, dzikość i nieustępliwość oraz Molos, wielki, krwiożerczy pies bojowy, potrafiący walczyć bardziej zaciekle niż niejeden wojownik. Bestia już nie warczała i nie strzygła uszami. Najwidoczniej w pobliżu nie czaił się żaden Pikt. Po rzece stale niosło się echo nieodległej bitwy, a nieustające wrzaski były dla Balthusa dowodem, że armia Zogar Saga jeszcze nie przełamała obrony. Conan zatrzymał się nagle, klnąc na czym świat stoi.

Zdziwionemu Taurańczykowi pokazał szlak odbijający na północ od głównego traktu. W młodych zaroślach, gęsto tutaj porastających, jak na dłoni widoczne były szerokie ślady kół. Widoczne dla Conana, bo Balthus nie rozumiał, jak w tych ciemnościach jego towarzysz mógł cokolwiek zauważyć. Cymmeryjczyk porozglądał się jeszcze chwilę i wskazał na miejsce, gdzie ślady kół skręcały z głównej drogi, prowadząc w głąb lasu.

– To osadnicy. Poszli po sól – warknął niezadowolony. – Solanka leży jakieś dziewięć mil stąd, na samym skraju grzędawisk. Niech to zaraza! Wyrzną ich do nogi! Posłuchaj Balthusie! Jeden człowiek wystarczy, by ostrzec osadników mieszkających wzdłuż traktu. Pobiegniesz dalej sam, obudzisz wszystkich i poprowadzisz do Velitrium. Ja spróbuję odnaleźć tych przy solance, pewnie obozują przy jezioru. Podążę z nimi przez las, nie będziemy się pchali na drogę.

I to powiedziawszy, Conan zszedł z traktu i pobiegł wąską ścieżką prosto w gęstwinę. Taurańczyk odprowadził go spojrzaniem i z westchnieniem ruszył, by wypełnić powierzone mu zadanie. Otuchy dodawało mu towarzystwo psa, który cicho podążał przy jego nodze. Po kilku ledwie krokach usłyszał głucho warczenie czworonoga. Okręcił się na pięcie i spojrzał na miejsce rozstania z Cymmeryjczykiem. Zadrżał na widok dziwnego, niewyraźnego światła znikającego w lesie, najwyraźniej podążającego śladem jego towarzysza. Molos warczał wściekle, jeżył sierść, a jego zielone ślepia zapłonęły gniewem. Balthus przypomniał sobie, że właśnie w tej okolicy tajemnicza zjawa urwała trupowi Tyberiasza głowę i zawahał się. Musiała podążać za Conanem. Jednak ten już niejednokrotnie udowodnił, że potrafi zadbać o swoje bezpieczeństwo, a poza tym Taurańczyk musiał uratować osadników, nie spodziewających się nadciągającej piktyjskiej armii. Wszystkie jego rozterki ustąpiły, gdy przed oczami stanął mu widok zamordowanej pary.

Pobiegł traktem, przekroczył Potok Czaszki i wreszcie zobaczył przed sobą pierwszą chatę osadników – długi, niski budynek wzniesiony z grubo ciosanych bali. Po chwili stanął w progu i załomotał w drzwi. Senny, kobiecy głos zapytał, czego chce.

– Pobudka! Piktowie przeszli przez rzekę i szturmują fort! – wrzasnął.

Efekt był natychmiastowy. Z chaty dobiegł go okrzyk przerażenia, a w gwałtownie otworzonych drzwiach stanęła kobieta w skąpej, nie najlepiej dopasowanej sukience. Długie włosy opadały w nieładzie na odsłonięte ramiona. W jednej ręce trzymała świecę, a w drugiej lekki topór. Błada jak kreda, z oczami rozszerzonymi ze strachu powiedziała:

– Włóż prędko! Będziemy się bronić!

– Nic z tego! – odpowiedział Balthus. – Musimy jak najszybciej dotrzeć do Velitrium. Fort lada chwila padnie, a może już padł. Nie trać czasu na ubieranie się. Bierz dzieci i uciekamy!

– Ale mój mąż pojechał z innymi po sól! – jęknęła, załamując ręce, a za jej plecami całej scenie przyglądała się trójka zaspanych i zdumionych dzieci.

– Conan pobiegł ich ostrzec. Będą bezpieczni. Poprowadzi ich lasami. My zaś musimy się pośpieszyć i ostrzec innych osadników.

Na twarzy kobiety odmalowała się ulga.

– Dzięki ci, Mitro! – krzyknęła. – Jeśli Cymmeryjczyk jest z nimi – będą bezpieczni na tyle, na ile to możliwe.

Ciągle przerażona, porwała najmłodsze dziecko na ręce i razem z pozostałymi opuściła chatę. Balthus natychmiast wyjął z jej dłoni zapaloną świecę i zgasił, wdeptując w ziemię obcasem. Nasłuchiwał przez chwilę, ale do jego uszu od strony drogi nie doleciał żaden niepokojący dźwięk.

– Czy masz konia?

– W stajni – jęknęła kobieta. – Pośpieszmy się!

Czas naglił. Kobieta, trzęsącymi się ze strachu dłońmi, dłuższą chwilę walczyła z rygłem w drzwiach. Balthus odsunął ją na bok, wyprowadził konia, posadził dzieci na jego grzbiecie i kazał im mocno trzymać się wierzchowca oraz siebie nawzajem. Spojrzały na niego poważnie. Nie panikowały. Nie płakały. Nie krzyczały. Kobieta wzięła konia za uzdę i ruszyli. Wciąż kurczowo trzymała w dłoni swój toporek i Balthus wiedział, że przyparta do muru będzie desperacko walczyć jak osaczona pantera o życie dzieci i swoje.

Taurańczyk podążył kilka kroków za nimi ciągle nasłuchując. Jedna myśl nie dawała mu spokoju: że Piktowie już zdobyli fort; że pędzą właśnie traktem do Velitrium, żądni krwi, krwi i jeszcze raz krwi; że spadną na bezbronnych osadników jak stado wygłodniałych wilków.

Wreszcie zobaczyli przed sobą następną chatę. Kobieta już miała ostrzegawczo krzyknąć, ale Balthus w porę zasłonił dłonią jej usta. Podbiegł do drzwi i załomotał. Odpowiedział mu znowu kobiecy głos. Powtórzył ostrzeżenie i nie musiał długo czekać na reakcję: z chaty wypadli jej mieszkańcy: staruszka, dwie kobiety i czwórka dzieci. Tak jak poprzednio, ich mężowie pojechali po sól, nie przeczuwając nawet zbliżającego się niebezpieczeństwa. Z jedną z kobiet nie można było zamienić ani słowa, bo była w szoku, a druga stała na krawędzi hysterii. Balthus miałby nielichy problem z kobietami, gdyby nie reakcja staruszki, zaprawionej w trudach życia weteranki pograniczna. Pierwszą natychmiast

przywołała do rzeczywistości, a drugą ostro i bez ceregieli uciszyła. Pomogła mu także wyprowadzić dwa konie z zagrody na tyłach domu i wsadzić na nie dzieci. Taurańczyk nalegał, żeby także wsiadła na konia, ale ona tylko potrząsnęła przecząco głową i kazała jechać jednej z młodszych kobiet.

– Jest w ciąży – mruknęła. – Ja mogę iść. Gdyby trzeba było to walczyć też potrafię.

Gdy tylko opuścili zabudowania jedna z kobiet powiedziała:

– Nie tak dawno przejeżdżała tędy dwójka młodych ludzi – chłopak z dziewczyną. Zaproponowałyśmy, żeby przenocowali pod naszym dachem, ale koniecznie chcieli jeszcze dziś dotrzeć do fortu. Czy...?

– Natknęli się na Piktów – skwitował krótko Balthus i dziewczyna załkała, domyślając się reszty.

Ujechali zaledwie kilkaset jardów, gdy gdzieś za nimi rozległo się okropne, przerażające wycie.

– Wilki! – wykrzyknęła jedna z kobiet.

– Wytatuowane i z toporami w dłoniach – warknął Balthus i splunął pod nogi. – Ruszajcie, ale żywo! Obudźcie wszystkich wzdłuż traktu i zabierzcie ze sobą. Będę was osłaniał.

Staruszka w lot pojęła, czego oczekiwał od nich Taurańczyk, toteż bez słowa popędziła wszystkich. Gdy znikali w ciemnościach nocy Balthus kątem oka spostrzegł jeszcze pulchne, białe twarzyczki dzieci spoglądające na niego z końskich grzbietów. Przypomniał sobie własną rodzinę w Tauranie i na krótką chwilę dał się porwać fali tęsknoty. Przysiadł z westchnieniem na drodze. Muskularnym ramieniem objął wielki kark Molosa i mocno przytulił psa. Poczul na twarzy wilgotne i ciepłe dotknięcie jego jęzora.

Podniósł głowę i uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Chodź, przyjacielu – powiedział, wstając. – Mamy robotę do zrobienia!

Nagle zobaczył krwistoczerwoną łunę ognia między drzewami; to Piktowie podpalili chatę osadnika. Balthus uśmiechnął się paskudnie. Zogar Sag padłby trupem, gdyby zobaczył, że jego wojownicy mają gdzieś rozkazy i właśnie dali upust swej prymitywnej żądzy niszczenia. Łuna ostrzeże innych. Obudzeni i ostrzeżeni w ten sposób mieszkańcy dalej leżących zagród będą gotowi do drogi, gdy dotrą do nich pierwsi uciekinierzy. Taurańczyk wiedział, że jest jednak jeden problem; kobiety podążały strasznie wolno, idąc piechotą lub dosiadając objuczonych koni.

W takim tempie nie pokonają nawet mili, jak rozwścieczeni Piktowie ich dogonią. Chyba że...

Balthus rozejrzał się wokół i wypatrywał stertę ułożoną z potężnych bali tuż przy trakcie. Pomyślał, że to miejsce idealnie nadaje się do obrony. Zajął pozycję i czekał. Łuna pożaru rozświetlała drogę z zachodu, kiedy więc nadciągnęli Piktowie, doskonale widział te czarne, czujne sylwetki na tle purpurowoczerwonej poświaty ognia. Napiął łuk, uspokoił oddech i strzelił; jedna z sylwetek upadła. Reszta natychmiast wtopiła się w gęstwinę po obu stronach traktu. Molos warczał i skomlał, ogarnięty żądzą mordy. Wtem, między drzewami na poboczu traktu, pojawił się cień skradającego się Pikta. Balthus strzelił bez zastanowienia i trafił, bo wojownik zawył z bólu, upadając na skraj drogi ze strzałą wbity w udo. Molos wyskoczył z ukrycia i jednym długim susem wpadł w gęstwinę. Krzaki zatrzęsły się gwałtownie, ranny mężczyzna zawył w agonii i zapadła cisza. Po chwili pies wrócił do Taurańczyka z zakrwawionym pyskiem.

Piktowie nie próbowali już atakować traktem. Balthus obawiał się, że skradali się pod osłoną lasu. Gdy tylko usłyszał jakiś niewyraźny chrzęst z lewej, puścił strzałą z nadzieją, że trafi. Ale chybił. Zaklął siarczyście, bo usłyszał, jak strzała wbija się w pień drzewa. Molos, jakby rozumiejąc położenie swego pana, pomknął jak duch prosto w ciemność. Naraz przez las przetoczył się kolejny przerażający krzyk agonii. Pies powrócił niemal natychmiast i otarł przyjaźnie splamiony krwią łeb o muskularne ramię Balthusa. Z paskudnej rany na boku sączyła mu się krew. Jednak szmery w lesie po obu stronach sterty ucichły.

Pochowani po krzakah Piktowie zrozumieli, jaki los spotkał ich współplemieńców i zdecydowali, że frontalny atak będzie lepszy, niż śmierć w paszczy niewidzialnej bestii pod jakimś krzakiem. A może domyślili się, że za stertą drewna kryje się tylko jeden człowiek, w każdym razie całą gromadą wypadli na trakt, wydzierając się wniebogłose i pomknęli ku Balthusowi. Ten strzelał jak na strzelnicy. Zabił trzech, dwóch pozostałych zawahało się. Jeden okręcił się na pięcie i uciekł, lecz drugi zaszarżował: przeskoczył stertę drewna i błyskając śnieżnobiałymi zębami, z szeroko otwartymi oczami, zamachnął się toporem. Balthus zerwał się na równe nogi, ale poślizgnął się. To uratowało mu życie, bo opadające ostrze musnęło mu tylko włosy. Zaskoczony takim obrotem sprawy Pikt stracił równowagę i potoczył się po ziemi. Nim zdołał wstać, Molos rozszarpał mu gardło.

Nastąpił długi okres oczekiwania. Spięty i niespokojny Balthus zastanawiał się czy wojownik, który dał drapaką, był ostatnim z tej grupy. Najwyraźniej natknął się na niewielki oddziałek Piktów, którzy albo zrezygnowali z udziału w szturmie na fort, albo byli forpoczta większej liczebnie grupy. Z każdą upływającą chwilą cieszył się w duchu coraz bardziej, bo wiedział, że rosną szanse kobiet i dzieci uciekających do Velitrium.

Nagle i bez ostrzeżenia na jego kryjówkę spadł deszcz strzał. Wzdłuż traktu, przez leśną gęstwinię, poniosły się dzikie wrzaski i wycie. Ostatni Pikt musiał pobiec po pomoc albo, mając więcej szczęścia niż rozumu, natrafił na inny, większy, oddział. Zabudowania osadnika wciąż płonęły, rozpraszając ciemność. Na Taurańczyka ruszyła piktyjska horda, kryjąc się w gęstwinie porastającej obie strony traktu. Balthus wystrzelił trzy ostatnie strzały i odrzucił niepotrzebny już łuk. Piktowie połapali się w sytuacji swego wroga, natychmiast zamilkli i z tupotem bosych stóp skoczyli ku niemu.

Balthus już wiedział, jak to wszystko się skończy. Mocno, z miłością, potar mosił łeb Molosa, wiercącego się niespokojnie u jego boku i szepnął mu prosto do ucha:

– A teraz, przyjacielu, zgotujmy tym kurwim synom piekło! – po czym zerwał się na równe nogi i wzniósł topór nad głowę.

Rozwścieczeni Piktowie, wymachując nożami i toporami, przelali się przez szczyt sterty drewna. I wpadli prosto w krwawą zawieruchę młójących toporów, dźgających noży i siekających kłów.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

DEMON ODZIANY W PŁOMIENIE

Opuszczając trakt, Conan wiedział, że ma do przebiegnięcia, i to szybko, około dziewięciu mil, zatem nie szczędził sił. Nie przebył jednak nawet połowy dystansu, gdy usłyszał przed sobą wyraźne odgłosy idących przez gęszcz ludzi, robiących przy tym tyle hałasu, że na pewno nie byli Piktami. Głośno ich pozdrowił.

– Ktoś ty? – zapytał szorstki głos. – Nie drgnij nawet, póki nie dowiemy się kim jesteś, albo nafaszerujemy ci zadek strzałami!

– W tych ciemnościach nie trafilibyście nawet w słonia sikającego na wasze buty! – odkrzyknął zniecierpliwiony Cymmeryjczyk. – Chodźce tu, głupki. To ja, Conan. Piktowie sforsowali rzekę i zaatakowali fort.

– Tak podejrzewaliśmy – odparł po chwili przywódca grupy rośliwych, barczystych i uzbrojonych w łuki osadników. – Jeden z nas zranił sporego jelenia i szedł za nim aż do Czarnej Rzeki. Wtedy usłyszał te piktyjskie ryki i czym prędzej wrócił do obozu. Zostawiliśmy wozy, sól, puściliśmy woły samopas i natychmiast pobiegliśmy z powrotem. Jeśli Piktowie oblegają fort, to pewnie część ich oddziałów ruszy, by plądrować nasze gospodarstwa i mordować nasze rodziny.

– Wasze rodziny są bezpiecznie – mruknął Conan. – Mój towarzysz ostrzeże wszystkich i zaprowadzi do Velitrium. My natomiast musimy iść lasem, bo jeśli wyjdziemy na trakt, to jak nic natkniemy się na główne siły Piktów. I będzie po wszystkim. Idźcie przodem, a ja będę osłaniał tyły.

Po chwili osadnicy z osłaniającym ich Cymmeryjczykiem ruszyli na południe. Ten szedł nieco wolniej, trzymając się z tyłu. W duchu przeklinał mężczyznę za hałas, jaki robili; równie dobrze mógłby iść na czele hordy muzykantów grających na piszczałkach. Taka sama liczebnie grupa Piktów lub Cymmeryjczyków przedzierałaby się przez las nie czyniąc więcej hałasu niż letni wietrzyk wiejący wśród gałęzi. Przechodził właśnie przez małą polankę, gdy jego instynkt dał o sobie znać: ktoś go śledził. Odwrócił się natychmiast i zamarł przygotowany na najgorsze. Hałas, jaki czynili osadnicy, zniknął w oddali. Nagle usłyszał słabe wołanie, dochodzące z kierunku, z którego przyszedł.

– Conanie! Conanie! Zaczekaj na mnie!

– Balthus! – wykrzyknął mocno zdziwiony, po czym dodał ciszej: – Tu jestem!

– Zaczekaj na mnie, Conanie! – usłyszał w odpowiedzi. Głos wyraźnie się zbliżał.

Zły na Taurańczyka, z gniewną miną, Cymmeryjczyk wyszedł z krzaków.

– Do kroćset, co ty tutaj robisz?!? – warknął i stanął jak wryty. Zdołał jedynie z siebie wykrztusić: – Na Croma...

Cofnął się mimowolnie, zdjęty przerażeniem. To nie Balthus wyłaniał się z zarośli na krańcu polanki. Przez labirynt liści wolno sunęła ku niemu nieziemska poświata, jarząca zielonkawym, magicznym światłem.

Dziwna istota zatrzymała się kilka stóp przed Conanem. Ten nadaremnie starał się, wyteżając wzrok, rozróżnić jej kontury. Wydawało mu się, że zielonkawa poświata skrywa jakiś kształt, że okalające go płomienie były rodzajem zasłony okrywającej tajemniczą istotę – Cymmeryjczyk nie mógł przeniknąć tej ognistej szaty. I wtedy do uszu zaszokowanego barbarzyńcy dobiegł z wnętrza tubalny głos.

– I co tak stoisz jak baran czekający na rzeź, Conanie?

Dziwna istota mówiła wprawdzie głosem człowieka, ale pobrzmiwały w nim szorstkie, nieludzkie dźwięki.

– Baran? – warknął wściekły Cymmeryjczyk, zapominając o strachu. – Ty śmierdzący zgnilizną kutasie! Myślisz, że boję się jakiegoś tam, pierwszego lepszego, demona bagiennego? Słyszałem tu głos przyjaciela.

– To ja cię zawołałem jego głosem – odparła z jadem w głosie istota. – Ta wesolutka, głośna zgraja truchtająca przed tobą należy do mego brata. Nie odbiorę mu przyjemności wypatroszenia ich jednego po drugim. Ale ty... Ty jesteś tylko mój! Och, głupcze, przybyłeś tu z odległych, szarych gór Cymmerii tylko po to, by zdechnąć w lasach Conajohary!

– Miałeś już wcześniej okazję, by mnie ukatrupić – prychnął Conan. – Dlaczego wtedy tego nie zrobiłeś?

– Mój drogi brat nie pomalował dla ciebie czaszki na czarno i nie wrzucił jej do ognia, płonącego na ołtarzu Gullaha. Nie szeptał twojego imienia czarnym duchom zamieszkującym Krainę Ciemności. Lecz później nad Górami Umarłych przeleciał nietoperz i krwią niewinnych nakreślił twój wizerunek na skórze białego tygrysa wiszącej przed długą chatą, domostwem Czterech Braci Nocy. U ich stóp wiją się wielkie węże, a w ich włosach gwiazdy płoną jak świetliki na tle mrocznej kotary nocy.

– I z jakiego to powodu bogowie ciemności skazali mnie na śmierć? – warknął sarkastycznie Conan.

Z płonącej poświaty wysunęło się coś, co wyglądało na szponiastą, suchą, chudą rękę, i narysowało na ziemi skomplikowany rysunek. Znak rozbłysnął na chwilę trupim światłem, po czym zniknął, ale Cymmeryjczyk zdążył go rozpoznać.

– Miałeś odwagę i jesteś wystarczająco bezczelny, aby posłużyć się znakiem, jakiego tylko kapłani Jhebbal Saga mogą używać. Grom przetoczył się nad Górami Umarłych, a wicher wiejący z Otchłani Duchów zniszczył ołtarz Gullaha w ofiarnej chacie. Nadleciał czarnoszyi nur, posłaniec Czterech Braci Nocy i wyszeptał mi do ucha twoje imię. Tu kończy się twa wędrówka. Już jesteś martwy. Twoja głowa zawisnie przy ołtarzu mego brata. Twoim ścierwem karmić się będą czarnoskrzydłe Dzieci Jhila. Ich ostre dzioby będą miały używanie.

– A kim jest ten twój brat, jeśli można wiedzieć? – spytał Conan, ściskając mocniej w jednej ręce obnażony miecz, jednocześnie drugą dyskretnie sięgając po wiszący u pasa topór.

– Jeszcze się nie domyśliłeś, głupcze? To Zogar Sag, potomek Jhebbal Saga, który ciągle nawiedza swe świątynie i ołtarze. Pewnego razu kobieta z Gwaweli spędziła noc w jednym z jego świętych miejsc i tak poczęła Zogar Saga. Ja również jestem synem Jhebbal Saga, poczętym i zrodzonym w ognistym łożu w innej rzeczywistości. Mój brat wezwał mnie z Krainy Mgieł. Dzięki jego magii, krwi i zaklęciom przybrałem tę cielesną formę na tej planecie. Związani niewidzialnymi pętami, jesteśmy jednością. On to ja, ja to on. Jego myśli są moimi myślami, gdy on krwawi – ja również krwawię, gdy odczuwa ból – i mnie on trawi. I na odwrót. Dość jednak tych wyznań, i tak powiedziałem ci za dużo! Już wkrótce twoja dusza będzie rozmawiać z duchami Krainy Ciemności. Opowiedzą ci one o pradawnych bogach, którzy nie umarli, lecz pogrążeni w śnie spoczywają w nieprzeniknionych otchłaniach, budząc się od czasu do czasu.

– Chciałbym zobaczyć, jakie ciało skrywa ta ognista poświata – mruknął zimno Conan, kładąc dłoń na stylisku topora. – Ty, który zostawiasz ptasie ślady, płoniesz jak ogień i gadasz ludzkim głosem.

– Zatem ujrysz mnie – odparł głos z płomieni. – I zabierzesz ten widok ze sobą do Krainy Ciemności.

Płomienie gwałtownie strzeliły w górę, po czym nagle przygasły. Między językami ognia Conan dostrzegł rozmazany kształt i w pierwszej chwili

pomyślał, że oto stoi przed nim sam Zogar Sag. Ale skąpana w płomieniach istota była znacznie wyższa i większa od maga, a ponadto miała w sobie coś demonicznego. Cymmeryjczyk doskonale pamiętał niezwykle rysy twarzy Zogar Saga: skośne oczy, spiczaste uszy, charakterystyczne, bardzo wąskie usta. Wszystkie te cechy w jeszcze większym stopniu, jakby specjalnie podkreślone, widoczne były u stojącej przed nim istoty. Z jedną tylko różnicą – jej oczy jarzyły się przenikliwym, czerwonym jak krew blaskiem, niczym rozżarzone węgle.

Zauważył też i inne dziwne szczegóły – wychudzoną klatkę piersiową, niby ludzką, ale pokrytą węzową łuską, niekształtne ramiona i długie, przypominające żurawie, nogi zakończone trójpalczastymi, ptasimi stopami. Na ciele stwora tańczyły niebieskawe płomyki w takiej ilości, że zdawały się być jego szatą.

Nagle potwór znalazł się tuż przy Conanie, nie uczyniwszy żadnego widocznego ruchu. Długie ramię zwieńczone ostrymi jak brzytwa, haczykowatymi szponami wystrzeżiło w kierunku barbarzyńcy. Ten, z dzikim wrzaskiem na ustach, otrząsnął się z odrętwienia i w ostatniej chwili odskoczył, ciskając jednocześnie toporem. Z trudną do pojęcia szybkością i zwinnością stwór uniknął śmiertelności pocisku uchylając wąską głowę i buchając płomieniami rzucił się na przeciwnika.

Strach i przerażenie zawsze pomagały mu zabijać swoje ofiary, lecz walczący z nim człowiek zdawał się ich nie odczuwać. Wiedział doskonale, że każdego, nawet najpotężniejszego demona można porąbać na kawałki zimną stalą.

Ohydna, szponiasta łapa huknęła Cymmeryjczyka w głowę, strącając z niej hełm. Gdyby stwór przymierzył się lepiej, urwałby ją, ciesząc się widokiem fontanny krwi. Zamiast tego barbarzyńca z dziką rozkoszą zatopił miecz w pachwinie demona, a następnie błyskawicznie odskoczył, unikając kolejnego uderzenia ostrych szponów i wyszarpując miecz z ciała wroga. Zrobił to jednak o ułamek sekundy za wolno i kolejny cios zakrzywionych pazurów, dotkliwie go raniąc, rozorał mu kolczugę na piersi jak starą koszulę. Conan nawet tego nie poczuł. Błyskawicznym zwodem zanurkował pod opadające na niego ramiona i wbił miecz głęboko w brzuch przeciwnika. Z potworną siłą stwór zdarł resztki kolczugi z pleców Cymmeryjczyka. Ten znalazł się w tytanicznym uścisku, który zwyczajnemu człowiekowi połamałby wszystkie żebra, zmiażdżył kręgosłup i wycisnął płuca przez wrzeszczące z bólu gardło. Przed oczami

zatańczyły mu blade ogniki, niemalże oślepl, spowity zimnym jak lód, niebieskawym płomieniem. Ostatkiem sił wyrwał się ze słabnących ramion i zadał ostatni, potężny cios.

Demon zachwiał się, spojrział barbarzyńcy głęboko w oczy, jakby zdziwiony, że ten jeszcze stoi na dwóch nogach, po czym runął na ziemię z niemal odrąbaną głową. Niebieskawe, zimne dotychczas płomienie buchnęły w nocne niebo żywym, gorącym i czerwonym jak krew ogniem, skrywając postać przed wzrokiem Cymmeryjczyka. Wokół rozszedł się smród spalonego ciała. Ocierając z czoła krew i pot, Conan odwrócił się i chwiejnym krokiem pobiegł za osadnikami. Krew sączyła mu się z wielu ran, znacząc każdy pokonany jard szkarłatnym śladem. Gdzieś na południu dostrzegł ledwie widoczną łunę pożaru, zapewne ogarnięte pożogą było jakieś gospodarstwo. W oddali ciągle narastało dzikie wycie piktyjskich wojowników, zmuszając go do jeszcze większego wysiłku.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ZMIERZCH CONAJOHARY

Wzdłuż Rzeki Gromu i pod murami Velitrium toczyły się wściekłe walki; w powietrzu co chwila wibrowały okrzyki agonii, szcęk żelaza, świst strzał; nikt z walczących nie prosił o litość, ani jej nie okazywał. Wiele z zabudowań osadników poszło z dymem, pozostawiając jedynie wypalone dziury w ziemi, zanim piktyjska nawałnica została odparta.

A potem zapadła przejmująca cisza, taka jak po burzy. Ludzie zbierali się w małe grupki i półgłosem rozprawiali o ostatnich wydarzeniach. Nadbrzeżne tawerny wypełniły się łaknącymi mocnych trunków wojownikami, z których wielu było rannych, a którzy uważali, że tylko dobre, pieniste piwo i mocne wino przywróci im zdrowie.

W jednej z nich, będący w ponurym nastroju Conan pociągał z wielkiego kubka swoją porcję wina. Nim zdążył zobaczyć dno naczynia, dosiadł się do niego chudy osadnik z zabandażowaną głową i ręką na temblaku.

Był jedynym ocalałym z załogi fortu Tuscelan.

– Byłeś już z żołnierzami w ruinach fortu? – zapytał.

Conan przytaknął.

– Ja nie potrafiłem tam wrócić – jęknął ponuro mężczyzna. – Natknęliście się na jakiś Piktów?

– Żadnych Piktów – odpowiedział beznamiętnie Cymmeryjczyk. – Uciekli za Czarną Rzekę. Coś ich musiało srodze przerazić. Ciekawe, co to było? To wiedzą tylko ich cholerni bogowie.

Osadnik zerknął na swe zabandażowane ramię i westchnął.

– Ludzie opowiadają, że nie znaleźliście żadnych ciał.

– Tylko popioły – Conan znowu przytaknął. – Piktowie wycofując się z fortu, podpalili go, nie dbając o trupy swoich, a już tym bardziej martwych żołnierzy Valannusa.

– Valannus był dobrym żołnierzem i dowódcą – rzekł z uznaniem osadnik. – Zginął jako jeden z ostatnich obrońców w bezpośrednim starciu, kiedy Piktowie sforsowali bramę i palisadę. Starali się go wziąć żywcem, ale nie pozwolił im na to. Zmusił te psy, by go zabili. Mnie, rannego, wzięli do niewoli razem z ostatnimi dziewięcioma towarzyszami, bo byliśmy już

tak wyczerpani, że nie mogliśmy utrzymać w dłoniach mieczy i toporów. Ich zarżnęli w okrutny sposób od razu. I wtedy nagle, tak po prostu, Zogar Sag umarł. Wykorzystałem więc sposobność i uciekłem.

– To Zogar Sag nie żyje?!? – wykrzyknął zdumiony Conan.

– Tak. Na własne oczy widziałem jak zginął. To dlatego Piktowie szturmowali Velitrium tak chaotycznie i bez większego zapału. To była dziwna śmierć. Mag nie odniósł w walkach ani jednej rany, nikt go nawet palcem nie dotknął. Tańczył wśród trupów, wymachując dziko toporem, którym przed chwilą rozłupał czaszkę ostatniemu z moich towarzyszy. Wyjąc jak wilk, doskoczył do mnie i nagle... zachwiał się, a z jego odrętwiałych rąk wypadł topór. Biegał w kółko, drąc się jak opętany dziwnym, nieludzkim głosem. Nigdy czegoś takiego nie słyszałem. Toczył pianę z ust, plując nią wokół. W pewnej chwili upadł na ziemię koło ogniska, na którym mieli zamiar mnie usmażyć i tak po prostu... zeszywniał. Dopadli do niego Piktowie i krzyknęli, że nie żyje. Zapanował istny kataklizm, chaos, wrzaski i biadolenia. To wtedy skorzystałem z nadarzającej się okazji, zrzuciłem więzy i uciekłem do lasu.

– W blasku ognia bardzo dobrze widziałem jego ciało – po chwili zastanowienia kontynuował mężczyzna. – Miał wyraźne krwawe rany w pachwinie i brzuchu, a głowa na szyi to mu wisiła na skrawku skóry. I co ty o tym myślisz, Cymmeryjczyku?

Conan nie odpowiedział, a akwiloński osadnik, znając powściągliwość barbarzyńców w pewnych sprawach, mówił dalej:

– Zogar Sag był magiem, żył dzięki magii i przez nią zginął. Jego niewytłumaczalna śmierć tak bardzo wstrząsnęła tymi dzikusami, że odechciało im się walki. Piktowie, którzy widzieli to wszystko, uciekli do swoich wiosek; nie brali czynnego udziału w rzezi nad Rzeką Gromu. Velitrium szturmowali ci, którzy wyruszyli wcześniej, ale przecież była ich garstka, toteż nie mieli szans na zdobycie miasta. A ja, gdy tylko zostawiłem fort za sobą i wiedząc, że nic i nikt mnie nie ściga, jakoś przekradłem się między piktyjskimi oddziałami i dotarłem do Velitrium. Tobie udało się sprowadzić tam mężczyznę z nad solanki, a kobiety z dziećmi przekroczyły bramy miasta dosłownie w ostatniej chwili, tuż przed atakiem tej krwiożerczej hordy. Gdyby Balthusowi i staremu, poczciwemu Molosowi nie udało się powstrzymać Piktów na drodze, wyrżnęliby w okrutny sposób nasze rodziny. Przechodziłem obok miejsca, gdzie Taurańczyk z psem stoczyli swoją bitwę. Leżeli obok sterty martwych

dzikusów. Naliczyłem siedmiu zarąbanych przez Balthusa lub zagryzionych przez psa, a na drodze i w pobliskich krzakach leżało jeszcze paru innych przeszytych strzałami. Bogowie, cóż to musiała być za jatka!

– Balthus był wspaniałym żołnierzem i dobrym człowiekiem – rzekł posępnie Conan. – Piję na cześć jego i psa, który nie znał strachu!

Pociągnął tęgi łyk wina, następnie, wedle barbarzyńskiego obyczaju, resztę trunku wylał na podłogę i z rozmachem rozbił kubek.

– Urznę łąby dziesięciu Piktom za jego śmierć, a siedmiu zapłaci za śmierć Molosa, psa, który był lepszym wojownikiem, niż niejeden z ludzi!

Jedyny ocalały z załogi fortu Tuscelan spojrział w lodowate, skrzące się błękitem oczy Cymmeryjczyka i wiedział, że ten dotrzyma przysięgi. Zrobiło mu się prawie żal Piktów. Prawie.

– Odbudują fort? – zapytał, by przerwać niezręczne milczenie.

– Nie. Conajohara jest stracona. Nowa granica przesunęła się na południe, wyznacza ją teraz Rzeka Gromu.

Osadnik westchnął i spojrział na swe spracowane dłonie, pokryte licznymi odciskami od styliska topora i rękojeści miecza. Conan sięgnął muskularnym ramieniem po kolejny dzban wina. Akwilończyk spoglądał na niego w milczeniu, porównując tego giganta z innymi ludźmi: wojownikami topiącymi smutki i przygnębienie w tawernie, z tymi, którzy zginęli w walkach wzdłuż rzeki, i z dzikimi Piktami. Conan albo nie zwracał na to uwagi, albo było mu wszystko jedno.

– Barbarzyństwo to naturalny stan ludzkości – skonstatował wreszcie osadnik, patrząc posępnie na Cymmeryjczyka. – To cywilizacja jest czymś nienaturalnym, jakimś chorym zbiegiem okoliczności. Barbarzyństwo w końcu i tak zawsze zatriumfuje.

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(maj–czerwiec 1935) pod tytułem *Beyond the Black River*

CIENIE W ZAMBOULI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

BĘBEN BIJE NA TRWOGE

– Niebezpieczeństwo czai się w domu Arama Bakshy! – drżącym głosem ostrzegał wychudzony mężczyzna, wbijając szczupłe palce o czarnych paznokciach w potężnie umięśnione ramię Conana.

Człowiek ten był ogorzały od słońca i nosił przerzedzoną czarną brodę. Jego porwane odzienie zdradzało w nim nomadę. Wyglądał na jeszcze mniejszego i nędzniejszego w towarzystwie olbrzymiego Cymmeryjczyka o czarnych włosach, szerokiej piersi i mocarnym ciele. Stali na rogu Bazaru Płatnerzy. Ze wszystkich stron otaczał ich wielojęzyczny, krzykliwy i barwny tłum gwarnych zamboulańskich ulic.

Conan niechętnie odwrócił wzrok od wielkookiej i czerwonoustej Ghanary, której krótka sukienka z każdym krokiem odsłaniała brązowe uda. Spojrzał niezadowolony na swego natrętnego towarzysza.

– Co masz na myśli, mówiąc o niebezpieczeństwie? – spytał.

Człowiek pustyni obejrzał się strachliwie za siebie i zniżył głos.

– Któż to może wiedzieć? Ale wielu ludzi pustyni albo podróżników udało się na noc do domu Arama Bakshy i wszelki ślad po nich zaginął. Co się z nimi stało? On zaklinał się, że wstali i poszli w swoją stronę. To prawda, że żaden mieszkaniec miasta nie ucierpiał nigdy pod jego dachem, ale obcy znikali. Ludzie mówią, że ich dobra i rynsztunek znajdowano potem na bazarach. Jak mogły się tam znaleźć, jeśli Aram nie pozbył się ich właścicieli?

– Nie mam nic wartościowego – warknął Cymmeryjczyk, dotykając ręką rękojeści wiszącego u pasa miecza. – Sprzedałem nawet konia.

– Ale nie tylko bogacze znikają nocą z domu Arama Bakshy! – ciągnął Zuagirczyk. – Sypiali tam także biedni ludzie, bo liczy sobie mniej niż w innych tawernach, ale ich też już nikt później nie widział. Pewnego razu wódz Zuagirczyków poskarżył się satrapie, Jungirowi Khanowi, że jego syn tam zaginął; dyktator rozkazał, by żołnierze przeszukali dom.

– I co, znaleźli piwniczkę pełną trupów? – zapytał Conan z dobroduszną drwiną w głosie.

– Gdzie tam! Nic nie znaleźli! Wypędzili wodza z miasta, grożąc mu i wyklinając, ale... – Rozmówca podszedł bliżej do Conana i wzdrygnął się.
– Znalaziono coś innego! Na skraju pustyni za miastem rośnie kępa palm, wśród których ktoś wykopał dół. Strażnicy wiele razy znajdowali tam zwęglone i szerniałe ludzkie kości.

– I co to znaczy? – warknął Cymmeryjczyk.

– Że Aram Baksha to demon! W tym przeklętym mieście, zbudowanym przez Stygijczyków, a rządzonym przez Hyrkańczyków, w którym wszystkie rasy miesza się ze sobą, nikt nie odróżni człowieka od demona w przebraniu. Aram Baksha jest demonem, który przybrał ludzką formę. W nocy znów staje się sobą i prowadzi gości w głąb pustyni, gdzie zbierają się pokrewne mu potwory.

– A dlaczego uprowadza tylko obcych? – zapytał z niedowierzaniem Conan.

– Bo oni nie obchodzą ludzi miasta. Natomiast oni troszczą się o swoich. Ty jesteś z Zachodu i nie znasz sekretów tej starożytnej krainy. Zanim wszystko się zaczęło, demony pustyni czciły Yoga, Pana Pustych Domostw. Składają mu ofiary z ludzi w ogniu. Ostrzegłem cię. Wiele księżyców przemieszkałeś w namiotach Zuagirczyków i jesteś naszym bratem. Nie przekraczaj progu domu Arama Bakshy!

– Zjeżdżaj stąd! – powiedział nagle Conan. – Nadchodzi tu oddział gwardii miejskiej. Jeśli cię zobaczą, mogą przypomnieć sobie o koniu skradzionym ze stajni satrapy.

Zuagirczyk westchnął i zanurkował między straganami.

– Ostrzegłem cię, bracie! W domu Arama Bakshy są demony – dodał jeszcze, po czym pomknął wąską alejką i zniknął.

Conan poprawił i zapiął pas. Spokojnie odwzajemnił spojrzenia przechodzących strażników. Zerkali na niego z podejrzliwym zaciekawieniem. Wyróżniał się bowiem nawet w tak wielobarwnym tłumie jak ten, który zapełniał kręte ulice Zambouli. Jego błękitne oczy i rysy nie były wschodnie, a prosty miecz u boku podkreślał tylko jego odmienność rasową.

Strażnicy poszli dalej w dół ulicy. Tłum rozstępował się przed nimi. Byli to Pelishtimi o haczykowatych nosach i sinych brodach, sięgających aż po napierśniki. Najemnicy wynajęci przez rządzących Turańczyków, którzy uważali, że są u siebie, czym zjednali sobie nienawiść mieszkańców miasta.

Conan spojrział na słońce. Właśnie zaczynało chylić się nad płaskimi dachami domów po zachodniej stronie bazaru. Ruszył w kierunku gospody Arama Bakshy.

Szedł wśród migoczących barw ulicy, na której obszarpane tuniki skamlących żebraków kontrastowały z podbitymi gronostajem kaftanami bogatych kupców i wyszywanymi perłami szatami dworzan. Tu i ówdzie snuli się olbrzymi czarnoskórzy niewolnicy, rozpychający się wędrowcy o sinych brodach z miast shemickich, obszarpani nomadowie z otaczających pustyń, handlarze i włóczykije ze wszystkich krain Wschodu.

Rodzima populacja była nie mniej mieszana. Wieki temu nadeszły tu armie Stygii i stworzyły imperium na wschodniej pustyni. Zamboula była wtedy tylko małym miastem kupieckim, leżącym w kręgu oaz, zamieszkanym przez potomków nomadów. Stygijczycy rozbudowali ją do rozmiarów miasta i osiedlili się tu z własnymi ludźmi, jak też z shemickimi i kushyckimi niewolnikami. Nieustający potok karawan przemierzający pustynię ze wschodu na zachód i z powrotem przyniósł bogactwo, a także jeszcze większą mieszaną rasową. Wtedy nadeszli Turańczycy. Pojawili się na wschodzie, by cofnąć granicę Stygii. Teraz, od jednego pokolenia, Zamboula jest najdalej wysuniętą na zachód enklawą Turanu, rządzoną przez turańskiego satrapę.

Wieża Babel tysiąca języków urzekła Cymmeryjczyka, podczas gdy nieustający kalejdoskop zamboulańskich ulic falował wokół niego: tu i ówdzie słyhać było oddziały jeźdźców, wysokich i szczupłych wojowników Turanu o ciemnych twarzach jastrzębi, brzęczących metalem broni. Tłum uciekał spod kopyt ich koni, gdyż byli to władcy Zambouli. Ale wysocy i ponurzy Stygijczycy, którzy stali w cieniu, spoglądali na nich złowrogo, wspominając przeszłą chwałę. Mieszkańcom miasta było wszystko jedno, czy król sprawujący nad nimi władzę mieszkał w ciemnym Khemi czy w błyszczącym Aghrapurze. Jungir Khan rządził Zamboulą, a ludzie szeptali, że Nefertari, nałożnica satrapy, rządziła Jungirem Khanem. Ale ludzie żyli swoim życiem, obnosząc się miriadami kolorów na ulicach, targując się, kłócąc, uprawiając hazard, pijąc i kochając. Robili to odkąd wieże i minarety górowały nad piaskami Kharamun.

Ozdobione smokami, szczerzącymi groźnie wielkie kły, latarnie z brązu zapłonęły na ulicach, zanim Conan doszedł do domu Arama Bakshy. Tawerna była ostatnim zamieszkanym domem w zachodniej alei. Od

wschodniej części miasta oddzielał ją ogrodzony murem szeroki ogród, z gęstym lasem palm daktylowych. Na zachód od gospody rósł kolejny gaj. Ulica, która w tym punkcie stawała się drogą, wiła się dalej w kierunku pustyni. Po drugiej stronie tawerny stał rząd opuszczonych chatek, ocienionych przez rzadki las palmowy, zamieszkałych tylko przez nietoperze i szakale. Conan zwrócił uwagę, że żebracy, od których roiło się w Zambouli, nie chcieli tam mieszkać. Uliczka była ciemna. Jedyna latarnia świeciła przed bramą tawerny. Wokół były tylko gwiazdy, kurz na drodze i szemrzące liście palm.

Wejście znajdowało się w bocznej alejce, od strony gaju palmowego. Conan pociągnął niecierpliwie za sznur, który zwisał z dzwonu obok latarni. Walnął też klingą miecza w okute drzwi. W bramie otworzył się lufcik, przez który wyjrzała ciemna twarz.

– Otwieraj, u diabła! – zażądał Conan. – Jestem gościem. Zapłaciłem Aramowi za pokój i będę miał pokój, na Croma!

Czarnoskóry wyciągnął szyję, by spojrzeć na oświetloną światłem gwiazd drogę za Conanem. Wpuścił Cymmeryjczyka bez słowa i zamknął furtę, przekręcając klucz i zasuwając rygiel. Mur był niezwykle wysoki. W Zambouli było wielu złodziei, a dom na skraju pustyni musiał liczyć się z nocnym najazdem nomadów. Conan przemierzył ogród, w którym wielkie blade kwiaty kołysały się w świetle gwiazd i wszedł do szynku, gdzie Stygijczyk o ogolonej głowie siedział przy stole, mamrocząc coś o bezimiennych tajemnicach. Ktoś inny wyklócał się w kącie przy grze w kości.

Lekkim krokiem nadszedł Aram Baksha. Był to korpulentny mężczyzna o opadającej na pierś czarnej brodzie, wystającym haczykowatym nosie i małych, rozbieganych czarnych oczkach.

– Czy chcesz się posilić? – zapytał. – Coś do picia?

– Zjadłem już sztukę wołowiny i bochen chleba na targowisku – mruknął Conan. – Podaj mi kufel ghazańskiego wina. Na tyle tylko mi starczy – rzucił na poplamiony winem stół miedzianą monetę.

– Nie powiodło ci się w grze?

– Jak mogło mi się powieść, skoro na początek miałem tylko garść srebra? Zapłaciłem ci rano za pokój, bo wiedziałem, że prawdopodobnie przegram. Chciałem się upewnić, że będę miał dziś dach nad głową. Zauważyłem, że w Zambouli nikt nie śpi na ulicy. Nawet żebracy mają

kryjówkę, w której mogą schronić się przed zmierzchem. W mieście musi roić się od żądnych krwi złodziei.

Wypił tanie wino z wielką przyjemnością i wyszedł z gospody za Aramem. Gracze wstrzymali partyjkę. Spojrzeli za nim z zagadkowym oczekiwaniem w oczach. Nic nie powiedzieli, ale Stygijczyk zaniósł się upiornym śmiechem, pełnym nieludzkiego cynizmu i drwiny. Reszta zniżyła wzrok z niepokojem, unikając kontaktu. W Stygii bowiem nie oczekuje się od nikogo, by dzielił się swoimi uczuciami.

Conan poszedł za Aramem w dół korytarza oświetlonego żeliwnymi kagankami. Nie podobał mu się bezgłośny chód gospodarza. Nosił wprawdzie miękkie pantofle, a korytarz był wyłożony grubymi dywanami turańskimi, ale coś w jego postawie wskazywało na straszną tajemnicę.

Aram zatrzymał się przed drzwiami, na których ciężka, żelazna zasuwą spoczywała w mocnych metalowych zawiasach. Uniósł ją i pokazał Cymmeryjczykowi urządzony z przepychem pokój. Małe lufciki, co natychmiast zauważył Conan, były przesłonięte giętymi, gustownie połączanymi, stalowymi kratami. Na podłodze leżały dywany, pod ścianą stało łóżko we wschodnim stylu i stołki z rzeźbionymi zdobieniami. Pokój był bardziej wytworny niż jakikolwiek inny, który Conan mógłby znaleźć za tę cenę bliżej centrum miasta. Właśnie dlatego wybrał tę gospodę, rankiem bowiem odkrył, że po kilkudniowej hulance jego sakwa była pusta. Do Zambouli przyjechał z pustyni tydzień wcześniej.

Aram zapalił żeliwny kaganek i zwrócił uwagę Conana na dwie pary drzwi. Obie miały ciężkie zasuwę.

– Tej nocy możesz spać spokojnie, Cymmeryjczyku – powiedział, łypiąc w kierunku wewnętrznych drzwi.

Conan mruknął i rzucił na łóżko swój nagi miecz.

– Zasuwę i kraty są mocne. Ale ja zawsze śpię z żelazem u boku.

Aram stał przez chwilę w milczeniu, gmerając w gęstej brodzie i taksując potężną broń. Potem wycofał się cicho, zamykając za sobą drzwi. Conan zasunął rygiel, przeszedł przez pokój, otworzył wrota naprzeciw i wyjrzał na zewnątrz. Pokój znajdował się po zachodniej stronie domu, w pobliżu drogi. Drzwi wychodziły na mały dziedziniec, odgradzony wysokim murem od reszty tawerny. Jego część od strony drogi jednak była dość niska, a widniejąca w niej brama nie była zamknięta.

Conan stał przez moment w drzwiach, oświetlony z tyłu przez płomień lampy i patrzył na drogę, niknącą między gęstymi palmami, których liście

szemrały w lekkiej bryzie. Za nimi leżała otwarta pustynia. W oddali, w górze ulicy z drugiej strony błyszcząły światła i dochodził stamtąd gwar miasta. Tu jaśniały tylko gwiazdy i słychać było szept liści palmowych. Za niskim murem widniały opuszczone chaty z płaskimi dachami. Gdzieś za palmami zaczął dudnić bęben.

Przypomniawszy sobie ostrzeżenia Zuagirczyka i nie wydały już mu się tak nieprawdopodobne jak za dnia. Raz jeszcze zadumał się nad zagadką pustych chat. Dlaczego nie zamieszkali w nich żebracy? Wrócił do komnaty i zaryglował drzwi.

Światło zaczęło migotać. Sprawdził, co się dzieje i zaklął, kiedy okazało się, że olej palmowy w lampie był już na wyczerpaniu. Zaczął wołać Arama, ale potem wzruszył ramionami i zdmuchnął płomień. W ciemności rozciągnął się na łóżku, kompletnie ubrany, a jego żyłasta dłoń instynktownie zacisnęła się na rękojeści miecza. Spoglądając beczynnym wzrokiem na gwiazdy przeświecające przez kraty w oknie i słuchając szemrania bryzy w palmach, pogrążył się w drzemce. Coraz słabiej słyszał miarowe uderzenia czarnej dłoni w pustynny bęben...

ROZDZIAŁ DRUGI

KTO CZAI SIĘ W MROKU?

Obudziło go skrzypnięcie drzwi. Choć wyrwano go ze snu, był całkiem przytomny, w przeciwieństwie do innych ludzi, którzy w takich sytuacjach są zazwyczaj otępiali. Leżąc w napięciu, dostrzegł w ciemności, jak zewnętrzne drzwi otwierają się powoli. Na tle rozgwieżdżonego nieba zauważył wielką, czarną postać o szerokich, opadających ramionach i zdeformowanej głowie.

Conan poczuł, jak dreszcz przebiega mu po plecach. Na pewno zarygłował drzwi. Jak zatem można je otworzyć, jeśli nie za sprawą czarów? I jakie ludzkie stworzenie może tak wyglądać? Do głowy przyszły mu wszystkie opowieści o diabłach i goblinach, jakie słyszał w namiotach Zuagirczyków. Oblał się zimnym potem. Na wpół zgarbiony potwór chwiejnym krokiem wślizgnął się bezgłośnie do izby. Nozdrza Cymmeryjczyka zaatakował znajomy zapach, ale to go nie uspokoiło. Legendy Zuagirczyków opowiadały o demonach, którym towarzyszyła taka właśnie woń.

Bezgłośnie podkurczył długie nogi, trzymając w ręku miecz. Zaatakował nagle i z furją, niczym wyskakujący z ciemności tygrys. Nawet demon nie zdołałby uniknąć takiego uderzenia. Conan rozłupał łeb stworzenia, które upadło ciężko na podłogę, wydając przeraźliwy krzyk. Pochylił się nad nim w ciemności, z ociekającym krwią mieczem w dłoni. Diabeł, bestia, czy też człowiek, leżał martwy na podłodze. Cymmeryjczyk wyjrzał przez przymknięte drzwi na oświetlony dziedziniec. Brama stała otworem, ale nikogo nie dostrzegł.

Zamknął drzwi, ale ich nie zarygłował. Odnalazł po omacku lampę i zapalił ją. Oleju było bardzo mało. Pochylił się nad postacią, która leżała na podłodze w kałuży krwi.

Był to olbrzymi czarnoskóry mężczyzna, zupełnie nagi, jeśli nie liczyć przepaski na biodrach. Jedną z dłoni wciąż dzierżyła zakończoną stalowymi guzami maczugę. Splątane włosy tworzyły na głowie podobne do rogów wrzeciona, zlepione gałęziami i zaschniętym błotem. To dlatego w świetle gwiazd Conanowi wydawało się, że widzi diabelski czerep. Znalazł

rozwiązanie zagadki. Odchylił mięsiste, czerwone wargi ofiary i aż warknął na widok ostrych jak kły zębów.

Pojał wówczas zarówno tajemnicę znikających z domu Arama Bakshy obcych, jak i czarnego bębna dudniącego w oddali między palmowymi gajami. Wiedział już też, skąd w wielkim dole brały się szerniałe kości. Tam pewnie przyrządzano posiłki z ludzkiego mięsa dla czarnych bestii, czekających, by zaspokoić swój obrzydliwy głód. Mężczyzna na podłodze był niewolnikiem – kanibalem z Darfaru.

W mieście roilo się od jego pobratymców. Kanibalizm nie był otwarcie tolerowany w Zambouli. Ale Conan wiedział już, czemu ludzie zamykali się na noc z taką pieczołowitością i dlaczego nawet żebracy unikali otwartych alejek i ruin bez drzwi. Wykrzywił się ze wstrętem na myśl o bestialskich czarnych cieniach, przyczajonych tu i ówdzie na nocnych ulicach, szukających ofiar. I ludziach takich jak Aram Baksha, którzy otwierali im drzwi. Właściciel gospody nie był demonem, był czymś gorszym. Niewolnicy z Darfaru na pewno kradli. Niewątpliwie część ze złupionych dóbr trafiała do rąk Arama Bakshy. W zamian ten sprzedawał im ludzkie mięso.

Conan zdmuchnął płomień lampki, podszedł do drzwi i otworzył je. Przejechał ręką po zewnętrznych zdobieniach. Jeden z elementów był ruchomy i otwierał wewnętrzny rygiel. Ten pokój był pułapką, w którą ludzkie ofiary wpadały jak króliki. Ale tym razem zamiast królika w pułapce znalazł się szablozębny tygrys.

Podszedł do drugiego wejścia, podniósł rygiel i nacisnął go mocno. Był nie do poruszenia. Przypomniał sobie skobel po drugiej stronie. Aram nie ryzykowałby spotkania ani z ofiarami ani z ludźmi, z którymi prowadził interesy. Zapinając pas z mieczem, wyszedł na dziedziniec, zamykając za sobą drzwi. Nie miał zamiaru opuszczać gospody bez policzenia się z Aramem Bakshą. Zastanawiał się, ilu nieszczęśników zostało napadniętych podczas snu i wyciągniętych z tego pokoju w głąb ulicy, do dołu w gaju palmowym, gdzie stawali się posiłkiem dla kanibali.

Zatrzymał się na dziedzińcu. Wciąż było słycać pomruk bębna. Między palmami dostrzegł odbłask pełgającego, czerwonego płomienia. Kanibalizm był dla czarnoskórych z Darfaru czymś więcej niż tylko perwersyjnym upodobaniem. Był rytuałem, częścią upiornego kultu. Czarne sępy już czekały. Ale jeśli jakieś mięso miało zapełnić im żołądki tej nocy, to na pewno nie mięso Conana.

Aby znaleźć Arama Bakszę, musiał się wspiąć na jeden z murów oddzielających mały ogród od głównego dziedzińca. Mury były wysokie, zaprojektowane z myślą o zatrzymaniu kanibali, ale Conan nie był wychowanym na bagnach Murzynem. Mięśnie miał twarde jak stal już w dzieciństwie, kiedy hartował się na pionowych skalnych ścianach w rodzimej, górzystej krainie. Stał u stóp najbliższego muru, kiedy pod drzewami rozległ się krzyk.

W jednej chwili przycupnął u bramy, patrząc w dół ulicy. Dźwięk dochodził z cienia chatek po drugiej stronie. Usłyszał zduszone jęki – próbę krzyku, kiedy ręka oprawcy zasłania usta ofiary. Zwarta grupka postaci wyłoniła się z cienia za chatami i ruszyła w dół ulicy. Trzech wielkich czarnoskórych niosło gibką, szamocącą się postać. Conanowi błysnęły przed oczami białe członki wijące się w świetle gwiazd, kiedy jeniec wyslizgnął się na chwilę z brutalnego uchwytu i spadł na drogę. Była to jędrna, młoda kobieta, a na dodatek zupełnie naga. Przyjrzał się jej dokładnie, zanim wybiegła na ulicę, skrywając się w cieniu między chatami. Czarnoskórzy deptali jej po piętach. Raz jeszcze z cienia wyłoniły się upiorne postacie i podniósł się nieznośny, pełen udręki i przerażenia krzyk.

Rozpalony z gniewu do czerwoności Conan pobiegł na drugą stronę ulicy.

Ani ofiara, ani porywacze nie byli świadomi jego obecności, dopóki nie zdradził go delikatny świst kurzu pod jego stopami. Wtedy jednak był już za nimi, nadchodząc z potężną furią górskiego wiatru. Dwóch czarnoskórych uniosło się, by wyjść mu naprzeciw, podnosząc pałki. Nie ocenili jednak należycie prędkości, z jaką nadchodził. Pierwszy z nich został powalony i po mistrzowsku rozpruty, zanim zdołał uderzyć. Conan, odwracając się jak kot, uniknął ciosu drugiego napastnika i odparował go ze świstem ostrza. Głowa czarnoskórego wystrzeliła w powietrze. Ciało przeszło chwiejnie jeszcze trzy kroki, tryskając krwią, by zwalić się w końcu na piach.

Trzeci kanibal cofnął się ze zduszonym krzykiem, popychając przed sobą brankę. Dziewczyna potknęła się i poturlała po piasku, a niedoszły oprawca zbiegł w panice w kierunku miasta. Conan deptał mu po piętach. Strach dodawał ludożercy skrzydeł, ale zanim zdołał dobiec do najbliższej chaty, poczuł na plecach oddech śmierci. Zawył jak zarzynany wół.

– Czarnoskóry kutafonie! – Conan wbił miecz między ciemne ramiona z taką mściwą furią, że połowa szerokiego ostrza wyszła przez czarną pierś. Kanibal runął naprzód ze zduszonym krzykiem, a Cymmeryjczyk zaparł się i wyciągnął miecz, kiedy ofiara była już na ziemi.

Już tylko bryza szumiała wśród liści. Conan potrząsnął głową, jak lew potrząsa grzywą i ryknął, wyrażając niezaspokojoną żądzę krwi. Ale nikt już nie czaił się w ciemności, droga przed chatami stała pusta w świetle gwiazd. Odwrócił się na dźwięk szybkiego tupotu za nim. To była tylko dziewczyna, która biegła, by rzucić się na niego i chwycić go za szyję w zdesperowanym uścisku, oszalała ze strachu na myśl o potwornym losie, którego właśnie uniknęła.

– Spokojnie, dziewczyno! – mruknął. – Już w porządku. Jak cię złapali?

Trudno było ją zrozumieć. Patrzył na nią w gwiazdnej poświacie i zapomniał zupełnie o Aramie Bakshy. Miała białą skórę i ciemne włosy, musiała być przedstawicielką jednej z wielu mieszanych ras Zambouli. Była wysoka, gibka i smukła. Mógł dokładnie ją obejrzeć. W jego dzikich oczach zapłonęło uwielbienie, kiedy spojrzał na jej wspaniałe piersi i delikatne członki, wciąż jeszcze drżące ze strachu i wyczerpania. Objął ramieniem giętką talię dziewczyny.

– Nie bój się. Jesteś bezpieczna.

Jego dotyk zdawał się przywracać jej zmysły. Odrzuciła lśniące włosy i rzuciła przez ramię pełne obawy spojrzenie, lgnąc jednocześnie do Cymmeryjczyka, jak gdyby szukała bezpieczeństwa w kontakcie fizycznym.

– Złapali mnie na ulicy – wymamrotała z drzeniem. – Leżeli, czekając na mnie za ciemnym łukiem. Czarni ludzie, podobni do wielkich małp! Oby Set zmiłował się nade mną! Pojawią się z pewnością w moich koszmarach.

– Co robiłaś na ulicach o tej porze? – spytał Conan, zafascynowany satynowym dotykiem jej lśniącej skóry.

Potrząsnęła czarnymi włosami i spojrzała w jego twarz. Zdawała się nie być świadoma jego pieszczot.

– To mój kochanek – powiedziała. – Mój kochanek zaprowadził mnie na ulicę. Oszalał i usiłował mnie zabić. A kiedy zdołałam mu uciec, zostałam osaczona przez te bestie.

– Taka piękność jak ty może przywieść mężczyznę do szaleństwa – rzekł sentencjonalnie Conan, przebiegając na próbę palcami po jej błyszczących lokach.

Potrząsnęła głową, jak gdyby właśnie przebudziła się z koszmarne go snu. Nie drżała już, jej głos był stanowczy.

– To złośliwość najwyższego kapłana Totrasmeka ze świątyni Hanumana, który pragnie mnie dla siebie... Psi pojebaniec!

– Nie powinnaś się o to gniewać – Conan wyszczerzył się w uśmiechu. – Ta stara hiena ma lepszy gust, niż myślałem.

Dziewczyna zignorowała rubaszny komplement. Wracała do siebie.

– Mój kochanek jest... młodym turańskim żołnierzem. Aby mnie zezłościć, Totrasmek dał mu narkotyk, pod wpływem którego oszalał. Dzisiejszej nocy chwycił za miecz i chciał mnie zabić. Uciekłam przed nim na ulice. Czarnoskórzy osaczyli mnie i przynieśli mnie tutaj... Co to było?

Conan usłyszał hałas. Zaciągnął dziewczynę za najbliższą chatę wśród rzadko posadzonych palm. Czekali w napięciu. Wreszcie mogli rozróżnić głosy. Grupa czarnoskórych, dziewięciu, może dziesięciu, nadchodziła drogą od strony miasta. Dziewczyna zacisnęła dłoń na ramieniu Conana, a on poczuł jak jej giętkie ciało drży.

Teraz mogli już zrozumieć ich gardłową mowę.

– Nasi bracia zgromadzili się wokół dołu – powiedział jeden z nich. – Nie mamy szczęścia. Mam nadzieję, że reszta będzie miała coś dla nas.

– Aram obiecał nam mężczyznę – mruknął inny.

Słyszając to, Conan poprzysiągł mu zemstę.

– Aram dotrzymuje słowa – warknął następny. – Z jego gospody zabraliśmy już wielu ludzi, ale i płacimy mu dobrze. Ja sam dałem mu dziesięć beli jedwabiu, które ukradłem mojemu panu. I był to dobry jedwab, na Seta!

Przeszli obok, ich nagie, szeroko rozstawione nogi szurały w kurzu ulicy. Głosy po drugiej stronie drogi zanikły.

– Całe szczęście, że te trupy leżą za chatami – powiedział Conan. – Jeśli zajrzą do pokoju śmierci u Arama, znajdą jeszcze jednego. Chodźmy już.

– Tak, pospieszmy się! – błagała histerycznie dziewczyna. – Mój kochanek błądzi gdzieś samotnie po ulicach. Oni mogą go porwać.

– Co to za diabelski zwyczaj! – burknął Conan, kiedy prowadził dziewczynę w stronę miasta, idąc równoległe do drogi, ale kryjąc się za chatami i rzadko posadzonymi drzewami. – Dlaczego mieszkańcy miasta nie pozbyli się tych czarnych psów?

– Bo to cenni niewolnicy – wymamrotała. – A jest ich tu tylu, że mogliby się zbuntować, gdyby odmówiono im mięsa, którego tak pragną. Ludzie

w Zambouli wiedzą, że nocą czają się na ulicach, dlatego chowają się przed nimi w zamkniętych pomieszczeniach, chyba że wydarzy się coś nieprzewidywalnego, tak jak to było w moim wypadku. Czarnoskórzy żywią się wszystkim, co zdołają złapać, ale rzadko jest to ktoś z miasta. Ludzie w Zambouli nie przejmują się nieznanymi.

– A ludzie tacy jak Aram Baksha sprzedają im przyjezdnych. Nigdy nie ośmieliły się zrobić czegoś podobnego mieszkańcowi.

Conan splunął ze wstrętem i chwilę później wyprowadził towarzyszkę na drogę, która tu stawała się ulicą, z uszpiętymi budynkami po obu stronach. Przekradanie się w ciemnościach nie licowało z jego usposobieniem.

– Dokąd chcesz iść? – zapytał.

Dziewczynie zdawało się nie przeszkadzać jego ramię, spoczywające na jej smukłej talii.

– Do mnie. Chcę obudzić moich niewolników – odpowiedziała. – Każę im szukać mojego kochanka. Nikt, ani mieszkańcy miasta, ani kapłani, nie może dowiedzieć się o jego szaleństwie. On... on jest młodym oficerem o obiecującej przyszłości. Być może uda się nam wypędzić z niego to szaleństwo. Jeśli go znajdziemy.

– Jeśli go znajdziemy? – huknął Conan. – Dlaczego myślisz, że zamierzam spędzić tę noc na poszukiwaniu jakiegoś lunatyka?

Dziewczyna rzuciła szybkie spojrzenie na jego twarz i właściwie zinterpretowała płomień w jego błękitnych oczach. Wiedziała już, że Conan podąży za nią gdziekolwiek go nie poprowadzi, przynajmniej przez jakiś czas. Będąc kobietą nie zdradziła tej wiedzy.

– Proszę! – poczęła go błagać. Była bliska płaczu. – Nie mam kogo poprosić o pomoc... A ty byłeś taki uprzejmy.

– No dobrze – warknął Cymmeryjczyk. – Dobrze. Jak się nazywa ten młody nikczemnik?

– A dlaczego pytasz? Nazywa się Alafdhal. A ja jestem Zabibi, tańcząca dziewczyna. Często tańczyłam przed satrapą, Jungirem Khanem i jego nałożnicą Nafertari, a także przed wszystkimi panami i dworzankami Zambouli. Totrasmek pożąda mnie, a ponieważ go odrzuciłam, sprawił, że stałam się niewinnym narzędziem dla jego zemsty na Alafdhalu. Poprosiłam Totrasmeka o eliksir miłości, nie podejrzewając jego głębokiej nienawiści. Dał mi narkotyk, który miałam wymieszać z winem mojego kochanka, a on przyrzekł, że kiedy Alafdhal go wypije, pokocha mnie jeszcze bardziej szaloną miłością i spełni każde moje życzenie. Ale zamiast

tego mój kochanek postradał rozum i wszystko potoczyło się tak, jak ci powiedziałam. Przekląty Totrasmek, zdradliwy wąż!

Dziewczyna nagle złapała Conana za ramię. Oboje zatrzymali się jak wryci. Doszli do dzielnicy sklepów i straganów. Wszystko było opuszczone i ciemne, gdyż pora była późna. Szli alejką, na której końcu stał nieruchomy i cichy mężczyzna. Miał pochyloną głowę, ale Conan dostrzegł dziwny blask jego niesamowitych oczu. Poczuli dreszcz, nie tyle ze strachu na widok miecza, ile przez jakieś osobliwe podejrzenie, wynikające z jego postury i milczenia, które sugerowały szaleństwo. Odepchnął dziewczynę na bok i dobył broń.

– Nie zabijaj go – poprosiła. – Na Seta, nie zabijaj go! Jesteś silny... Możesz go unieszkodliwić!

– Zobaczymy – mruknął, ściskając miecz w prawej dłoni i zwijając lewą w podobną do maczugi pięść.

Nagle, ze straszliwym, jęklwym śmiechem Turańczyk zaatakował, stając na palcach i wkładając w ciosy miecza całą swoją siłę. Posypały się błękitne iskry, kiedy Conan sparował uderzenie. Po chwili szalaniec leżał już bez zmysłów na ziemi. Ogłuszył go cios lewej pięści Conana.

Dziewczyna podbiegła.

– Och! On... On nie...

Conan pochylił się i odwrócił mężczyznę na bok.

– Żyje – mruknął. – Krwawi z nosa, ale każdy by krwawił, gdyby ktoś mu tak przypieprzył. Zaraz dojdzie do siebie i może jego umysł będzie funkcjonował normalnie. Zwiążę mu nadgarstki jego pasem. Dokąd chcesz go zabrać?

– Poczekaj! – uklękła przy powalonej postaci. Uniosła jego związane dłonie i spojrzała na nie uważnie. Potem wstała, potrząsając głową, jak gdyby była rozczarowana. Wreszcie podeszła do olbrzymiego Cymmeryczyka i położyła smukłe dłonie na jego muskularnej piersi. Jej ciemne oczy, które w ciemności błyszczały jak wilgotne i czarne klejnoty, napotkały jego wzrok.

– Jesteś mężczyzną! Pomóż mi! Totrasmek musi umrzeć! Zabij go dla mnie!

– A potem wetkną mi głowę w turańską pętlę? – warknął Conan.

– Nie! – Jej szczupłe ramiona, silne niczym giętkie żelazo, okręcały się wokół jego szyi. Dziewczyna drżała w objęciach Conana. – Hyrkańczycy nie kochają Totrasmeka. Kapłani Seta boją się go. To kundel, który rządzi

ludźmi poprzez strach i przesady. Ja wyznaję Seta, a Turańczycy pochylają się przed Erlikiem, ale Totrasmek składa ofiary Hanumanowi Przekłętemu! Turańczycy obawiają się jego czarnych sztuczek i mocy. Nienawidzą go. Nawet Jungir Khan i jego nałożnica Nafertari boją się go. Gdyby ktoś go zabił, nikt nie będzie zbyt dociekliwie szukał mordercy.

– A co z jego magią?! – zahuczał Cymmeryjczyk.

– Jesteś wojownikiem – odparła dziewczyna. – Ryzykowanie życia jest częścią twego zawodu.

– Płacą mi za to – przyznał.

– Będzie zapłata – westchnęła, podnosząc się na czubkach palców i spoglądając głęboko w jego oczy.

Bliskość jej pulsującego ciała rozpalila płomień w jego żyłach. Jej oddech mącił mu umysł. Ale kiedy ramiona Conana zacisnęły się na giętkiej figurze dziewczyny, ona powiedziała:

– Poczekaj! Najpierw wyświadczyć mi przysługę.

– Powiedz, jaka będzie zapłata. – Mówienie sprawiało mu pewną trudność.

– Podnieś mojego kochanka – rozkazała, a Cymmeryjczyk podszedł i podniósł z łatwością wysoką postać, zrzucając ciało na ramię. W owym momencie czuł, że mógłby obalić pałac Jungira Khana z równą łatwością. Dziewczyna szepnęła coś ciepło i z miłością do nieprzytomnego mężczyzny. Niewątpliwie kochała go szczerze, a umowa zawarta z Conanem nie umniejszała tego uczucia, Kobiety mają dużo bardziej praktyczne podejście do tych spraw, a Alafdhalowi nie będzie spędzał snu z powiek kłopot, o którym nie będzie wiedział. – Chodź za mną!

Dziewczyna pospieszyła ulicą, a Conan podążał za nią bez wysiłku, niosąc jej nieprzytomnego kochanka. Ostrożnie zerkał na kryjące się pod łukami cienie, ale nie zobaczył nic podejrzanego. Niewątpliwie ludzie Darfaru zgromadzili się wszyscy nad dołem w oczekiwaniu posiłku. Dziewczyna skręciła w wąską, boczną uliczkę i już pukała ostrożnie do drzwi pod łukiem.

Wizjer otworzył się niemal natychmiast. Wyjrzała przezeń czarna twarz. Zabibi pochyliła się nad otworem i szepnęła coś prędko. Rygiel zgrzytnął w zawiasach i drzwi stanęły otworem. Wielki, czarnoskóry mężczyzna stał obramowany łagodnym światłem miedzianego kaganka. Szybki rzut oka uświadomił Conanowi, że nie pochodził z Darfaru. Jego zęby nie były

naostrzone, a kręcone włosy były przycięte przy samej skórze. Pochodził z Wadai.

Na komendę dziewczyny Conan złożył bezwładne ciało w ramionach czarnoskórego i zobaczył, jak kładzie młodego oficera na aksamitnym dywanie. Mężczyzna wciąż był nieprzytomny. Cios, który powalił go bez zmysłów, mógłby powalić i wołu. Zabibi pochyliła się nad nim na moment, potem wyprostowała się i skinęła na Cymmeryjczyka.

Drzwi zamknęły się cicho. Słysząc było odgłos zatraskiwanych zamków. Zniknęło światło lamp. W świetle gwiazd na ulicy Zabibi wzięła Conana za rękę. Jej dłoń drżała nieznacznie.

– Nie zawiedziesz mnie?

Potrząsnął grzywą, olbrzymi na tle gwiazd.

– Chodź więc ze mną do ołtarza Hanumana i niech bogowie mają nas w swojej opiece.

Poruszali się po cichych ulicach jak pradawne duchy. Być może dziewczyna myślała o swym kochanku, leżącym bez zmysłów na dywanie w świetle miedzianych kaganków, a może trzęsła się ze strachu na myśl o tym, co czekało w nawiedzonej przez demony świątyni Hanumana. Barbarzyńca zaś myślał wyłącznie o swej gibkiej towarzysze. Jej perfumy drażniły mu nozdrza, a zmysłowa aura jej obecności zajmowała cały jego umysł, nie zostawiając miejsca na żadne inne myśli.

W pewnym momencie usłyszeli stukot ciężkich butów. Schowali się w cień ponurego łuku. Obok przeszedł oddział pelishtańskich żołnierzy. Było ich piętnastu. Szli w zwartym szyku, z pikami w gotowości i mosiężnymi tarczami zawieszonymi na plecach, chroniąc się w ten sposób przed atakiem z tyłu. Nawet oni obawiali się kanibali.

Kiedy tylko dźwięk kroków rozmył się w górze ulicy, Conan i dziewczyna wychynęli z kryjówki i pospieszyli dalej. Parę chwil później ujrzeli górujący nad nimi przysadzisty budynek z płaskim dachem, którego szukali.

Świątynia Hanumana stała samotnie pośrodku szerokiego placu, cichego i opuszczonego. Ołtarz był otoczony marmurową ścianą, z szerokim otworem bezpośrednio przed portykiem. Nie było bramy.

– Dlaczego czarnoskórzy nie polują tu na swe ofiary? – mruknął Conan.
– Nic nie powstrzymuje ich przed wejściem do świątyni.

Mógł poczuć drżenie ciała Zabibi, kiedy przyłgnęła do niego.

– Boją się Totrasmeka, tak jak wszyscy inni w Zambouli. Chodź! Chodź prędko, zanim moja odwaga ujdzie ze mnie jak woda.

Strach dziewczyny był przemożny, a jednak nie zachwiała się w swym postanowieniu. Conan wyciągnął miecz i poszedł przodem. Znał obrzydliwe zwyczaje wschodnich kapłanów i był świadom, że intruz w świątyni Hanumana mógł się spodziewać spotkania z niemal każdym rodzajem nocnego koszmaru. Wiedział, że jest duże prawdopodobieństwo, że ani on, ani dziewczyna nie ujdą sprzed ołtarza z życiem, ale ryzykował już tyle razy, że nie poświęcił tym rozważaniom większej uwagi.

Weszli na wybrukowany marmurem dziedziniec, błyszczący blado w świetle gwiazd. Krótkie marmurowe schody prowadziły do otoczonego kolumnami portyku. Wielkie drzwi z brązu stały szeroko otwarte. Wewnątrz nie było jednak żadnych wyznawców palących kadzidła. W ciągu dnia mężczyźni i kobiety zapewne przychodzili nieśmiało, by złożyć w kaplicy na czarnym ołtarzu ofiary. W nocy ludzie unikali świątyni Hanumana, tak jak zając unika wężowego gniazda.

Płonące kadzielnice spowijały wewnątrz nierzeczywistą poświatą. Niedaleko tylnej ściany, za czarnym, kamiennym ołtarzem, rozsiadł się bóg ze wzrokiem odwiecznie utkwionym w otwartych drzwiach. Przez te wrota od wieków wchodziły ofiary, przyciągane w różanych łańcuchach. Od progu do ołtarza biegło niemal niewidoczne wgłębienie. Kiedy Conan postawił na nim stopę, odskoczył tak szybko, jakby nadepnął na węża. To wklęśnięcie zostało wyżłobione przez opierające się stopy nieprzeliczonej rzeszy ludzi, którzy umarli w męczarniach na tym ponurym ołtarzu.

Wyglądający w słabym świetle jak bestia, Hanuman spozierał lubieżnie zza rzeźbionej maski. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, co nie ujmowało mu małpiego kształtu. Został wyrzeźbiony w czarnym marmurze. Jego oczy były z rubinów, które płonęły czerwonym blaskiem, chciwie jak węgle z najgłębszych otchłani piekła. Potężne dłonie kierowały się do góry, z rozcapierzonymi szponiastymi palcami chwytającymi powietrze. Wielkie genitalia i sprośny wyraz twarzy świadczyły o degeneracji kultu, który wyniósł go na ołtarze.

Dziewczyna okrążyła posąg, kierując się w stronę czarnej ściany. Kiedy jej szczupłe ciało dotknęło wyrzeźbionego kolana, odskoczyła na bok i wzdrygnęła się, jak gdyby dotknął ją jakiś gad. Między szerokimi plecami posągu a marmurową ścianą z fryzem ze złotych liści była przestrzeń na

kilka stóp. Po obu stronach posągu, otaczając go, widniały dwie pary drzwi z kości słoniowej.

– Te drzwi wychodzą na krańce korytarza w kształcie sprzączki – powiedziała prędko dziewczyna. – Raz, tylko raz, byłam wewnątrz kaplicy – wzdrygnęła się i podkuliła ramiona na to straszliwe wspomnienie. – Korytarz wygina się jak końska podkowa, oba jego końce wychodzą do tej komnaty. Pokoje Totrasmeka znajdują się na zakręcie korytarza. Ale w tej ścianie są też sekretne drzwi, otwierające się bezpośrednio do wewnętrznej komnaty...

Zaczęła sprawdzać gładką powierzchnię, na której nie było widać żadnej szczeliny ani załamania. Conan stał za nią z mieczem w dłoni, rozglądając się ostrożnie dokoła. Cisza, pustka w kaplicy, wyobrażenie o tym, co może znajdować się za ścianą, sprawiły, że poczuł się jak dzika bestia węsząca podstęp.

– Ach! – To dziewczyna znalazła ukrytą dźwignię. Ze ściany ziała czarna, kwadratowa dziura. – Na Seta! – wrzasnęła. Gdy Conan skoczył w jej kierunku, zobaczył, jak wielka, zdeformowana dłoń zaciskała się na jej włosach. Została powalona na ziemię i pociągnięta głową naprzód przez otwór. Conan usiłował ją schwycić. Bez skutku. Poczuł, jak jego palce ześlizgują się z jej nagiej nogi i w następnym momencie dziewczyna zniknęła, a ściana była równie czarna jak przedtem. Zza niej doszły do niego zduszone odgłosy walki, odległy, ledwo słyszalny krzyk i niski śmiech, który sprawił, że Conanowi krew zastygła w żyłach.

ROZDZIAŁ TRZECI

ZACISKAJĄ SIĘ CZARNE RĘCE

Z przekleństwem na ustach Cymmeryjczyk uderzył w ścianę ręką miecza. Z chrzęstem posypały się marmurowe odłamki. Ukryte drzwi nie ustąpiły jednak i rozsądek podpowiedział mu, że zostały zaryglowane z drugiej strony. Odwrócił się i jednym susem przeskoczył przez komnatę w kierunku drugich drzwi z kości słoniowej.

Podniósł miecz, aby rozłupać panel, ale na chybił trafił spróbował najpierw otworzyć drzwi lewą dłonią. Ustąpiły z łatwością. Stał w długim korytarzu, który skręcał gdzieś w ciemności w dziwnym świetle kadzielnic, podobnych do tych w kaplicy. We framudze drzwi widniał ciężki, złoty rygiel. Dotknął go delikatnie czubkami palców. Tylko człowiek o wyostrzonych jak u wilka zmysłach mógłby wyczuć ciepło emanujące z metalu. Ktoś przed chwilą musiał dotknąć zasuw. Cała sprawa coraz bardziej przypominała zastawioną na niego zasadzkę. Mógł przecież się domyślić, że Totrasmek wiedział, kiedy ktoś wejdzie do świątyni.

Zagłębienie się w korytarz oznaczało więc niewątpliwie walenie prosto w pułapkę, którą zastawił na niego kapłan. Ale Conan nie zawahał się. Gdzieś w tym nędznie oświetlonym wnętrzu była więziona Zabibi. Conan znając dobrze cechy kapłanów Hanumana, wiedział, że bardzo potrzebowała jego pomocy. Wślizgnął się do korytarza krokiem pantery, przygotowany na atak.

Po jego lewej stronie na korytarz wychodziły sklepione łukiem drzwi z kości słoniowej. Wszystkie były zamknięte. Przeszedł może siedemdziesiąt kroków, kiedy korytarz skręcił gwałtownie na lewo, kreśląc łuk wspomniany przez dziewczynę. Na zakręcie były kolejne drzwi, które ustąpiły pod jego ręką.

Zajrzał do szerokiej, kwadratowej komnaty, oświetlonej nieco lepiej niż korytarz. Jej ściany zbudowano z białego marmuru, a posadzkę pokryto kością słoniową. Sufit ozdobiony był srebrnymi płaskorzeźbami. Zobaczył leżanki obszyte zdobnym aksamitem, wykończone złotem podnóżki z kości słoniowej i stół w kształcie dysku, wykonany z jakiegoś ciężkiego, podobnego do metalu materiału. Na jednej z leżanek leżał rozparty

człowiek, patrząc w kierunku drzwi. Roześmiał się, napotkawszy zdumiony wzrok Conana.

Mężczyzna był nagi, jeśli nie liczyć przepaski na biodrach i wysoko zawiązanych sandałów. Miał brązową skórę, krótko przycięte czarne włosy i rozbiegane, wyłupiaste czarne oczy. Był szeroki i zwalisty, miał wielkie ręce, na których potężne mięśnie przężyły się przy każdym, najmniejszym ruchu. Conan nigdy nie widział większych dłoni.

– Może wejdiesz, barbarzyńco? – zawołał drwiąco z zapraszającym gestem.

Oczy Conana zaczęły goreć złowieszczą, ale wszedł ostrożnie do komnaty z przygotowanym mieczem.

– Co z ciebie za diabeł?! – ryknął.

– Jestem Baal-pteor – odparł mężczyzna. – Niegdyś, dawno temu i w innym kraju, znano mnie pod innym imieniem. Ale to też jest niezłe. Każda świątynna służka powie ci, dlaczego Totrasmek mi je nadał.

– A więc jesteś jego psem – warknął Conan. – Cóż, Baal-pteorze, niech będzie przeklęty twój brązowy grzbiet. Gdzie jest dziewczyna, którą porwałś?

– Mój mistrz zabawia się z nią – roześmiał się Baal-pteor. – Posłuchaj tylko!

Za drzwi po przeciwnej stronie od wejścia, przez które wszedł Conan, dobiegał niewyraźny i zduszony kobiecy krzyk.

– Bądź przeklęty! – Conan uczynił krok w kierunku drzwi, ale potem odwrócił się z dreszczem.

Baal-pteor śmiał się z niego, a jego śmiech najeżony był groźbą, która doprowadzała Conana do szału. Oczy Cymmeryjczyka pokryły się czerwoną falą żądz krwi.

Ruszył w kierunku Baal-pteora. Miecz ścisnął z taką siłą, że pobieleły mu knykcie dłoni. Szybkim ruchem brązowy mężczyzna rzucił coś w jego kierunku. Była to świetlista, kryształowa kula, błyszcząca dziwnym światłem.

Conan uchylił się instynktownie, ale jakimś cudownym sposobem kula zatrzymała się w powietrzu w pobliżu jego twarzy. Nie upadła na podłogę. Wisiała jakies pięć stóp nad ziemią. Conan patrzył na nią zdumiony. Kula zaczęła obracać się z coraz większą prędkością, rosła i w końcu zamieniła się w mgłę, która wypełniła pokój. Przesłoniła meble, ściany i uśmiechniętą

twarz Baal-pteora. Wokół Conana zaczął świstać wiatr, usiłując zwalić go z nóg i wciągnąć w oko huraganu, który wirował szaleńczo przed nim.

Conan zachwiał się ze zduszonym krzykiem, stracił równowagę i poczuł solidną ścianę za swoimi plecami. Wirująca olbrzymia sfera zniknęła jak pękająca bańka. Conan stał chwiejnie w pokoju o srebrnym suficie, z szarą mgłą owijającą jego stopy. Widział jak Baal-pteor tarza się po posadzce, pękając ze śmiechu.

– Ty kurwi synu! – Conan ruszył na niego, ale mgła podniosła się z podłogi, zasłaniając postać wroga. Idąc po omacku, Conan doznał dziwnego wrażenia: wszystko nagle zniknęło: pokój, mgła i ciemnoskóry człowiek. Stał teraz samotnie w wysokich trzcinach w bagnistych moczarach i szarżował na niego byk z pochyloną głową. Odskoczył na bok przed ostrymi jak noże rogami i zatopił w nim miecz, rozdzierając żebra i serce. Nagle okazało się, że to nie był byk, tylko brązowskóry Baal-pteor. Z przekleństwem na ustach Conan odrąbał mu głowę. Poszybowała w powietrze, a potem wbiła zwierzęce kły w gardło Conana. Mimo całej potężnej siły nie mógł się od nich uwolnić, zaczynał się już dusić i dławić w morderczym uścisku. Wtedy przestrzeń rozdarł nagle furkot i ryk. Znowu był w komnacie z Baal-pteorem, który śmiał się do niego cicho z leżanki.

– Iluzja! – wymamrotał Conan, kuląc się w sobie i osadzając twardo stopy na marmurowej posadzce.

Jego oczy płonęły. Ten brązowy pies bawił się jego kosztem! Ale wszystkie te gierki, zabawy z mgłą i cieniami nie mogły go zranić. Musiał tylko skoczyć i zadać cios, a brązowy akolita będzie martwy. Tym razem nie da się już zwieść iluzjom.

Jednak dał...

Nagle z tyłu dobiegło go mrozące krew w żyłach warknięcie. Odwrócił się i wycelował w panterę, przymierzając się do skoku ze stołu w kolorze metalu. Kiedy tylko uderzył, zjawa rozmyła się, a jego ostrze brzęknęło głucho i przylgnęło do stołu! Pociągnął z całej siły. Nic to nie dało. Tym razem nie była to sztuczka – stół był olbrzymim magnesem. W końcu głos za jego plecami przywrócił go do rzeczywistości. Stał twarzą w twarz z brązowym mężczyzną, który w końcu podniósł się z leżanki.

Baal-pteor górował nad nim. Był nieznacznie wyższy od Conana, ale dużo cięższy. Góra mięśni. Potężne ramiona były nienaturalnie długie, a jego wielkie dłonie konwulsyjnie zaciskały się i rozwierały. Conan puścił rękę i stał cicho, obserwując wroga spod przymrużonych powiek.

– Twoja głowa, Cymmeryjczyku! – drwił Baal-pteor. – Wyrwę ci ją gołymi rękoma. Ukręcę kark, tak jak się to robi z ptactwem! W ten sposób synowie Kosali składają ofiarę Yajurowi. Barbarzyńco, patrzysz na dusiciela Yota-pong. W dzieciństwie zostałem wybrany przez kapłanów Yajura. Byłem szkolony w sztuce zabijania ludzi gołymi rękoma, gdyż tylko w ten sposób można składać ofiary. Yajur uwielbia krew, a my nie marnujemy nawet kropelki, wyciskając wszystko z żył ofiary. Kiedy byłem dzieckiem, dusiłem niemowlęta. Jako chłopiec zabijałem młode dziewczyny, kobiety, starców i młodzieńców. Dopóki nie osiągnąłem pełni męskości, nie dano mi silnego człowieka, bym go zadusił na ołtarzu Yota-pong. Przez lata składałem ofiary Yajurowi. Setki karków trzeszczało pod tymi palcami – zademonstrował je wściekłemu Cymmeryjczykowi. – Nie powinno cię interesować, dlaczego zbiegłem od Yota-pong i zostałem służącym Totrasmeka. Za chwilę nic już cię nie będzie obchodzić. Siła kapłanów Kosali, dusicieli Yajura, jest poza ludzkim pojmowaniem. A ja byłem najsilniejszym z nich. Złamię ci kark, barbarzyńco, tymi oto rękoma!

Wielkie dłonie zacisnęły się na gardle Conana jak dwie kobry. Cymmeryjczyk nie próbował ich odtrącić, lecz wyciągnął ramiona w kierunku Kosalana. Czarne oczy Baal-pteora rozwarły się szeroko, kiedy poczuł grube węzły mięśni, chroniące gardło barbarzyńcy. Użył całej swej nieludzkiej siły, na jego ramionach widać było wszystkie mięśnie, ale nagle wyrwało mu się zduszone westchnienie – to palce Conana zacisnęły się na jego gardle. Przez moment stali jak posągi, na ich twarzach malował się ogromny wysiłek, na skroniach wystąpiły purpurowe żyły. Cienkie usta Conana odsłoniły wyszczerzone w grymasie zęby. Oczy Baal-pteora wyszły na wierzch. Narastało w nich potworne zdziwienie i strach. Obaj mężczyźni stali nieruchomo jak posągi, jeśli nie liczyć drgających mięśni na sztywnych ramionach i szeroko rozstawionych nogach. Toczyła się tam walka między niepojmowalnymi dla zwykłych ludzi siłami, które mogły wyrwać drzewa z korzeniami i kruszyć czaszki wołom.

Nagle ze szczeliny pomiędzy zębami Baal-pteora dobył się świst. Jego twarz stawała się coraz bardziej sina, a krew zalewała mu oczy. Mięśnie na ramionach i karku wyglądały, jakby miały zaraz eksplodować. Mięśnie szyi Cymmeryjczyka nie ustępowały jednak. Baal czuł, że przegrywa z żelaznymi palcami Cymmeryjczyka, które wbijały się w szyję i tchawicę.

Bezruch ustąpił miejsca nerwowej szarpaninie. Kosalan zaczął więc się i dyszeć, usiłując odskoczyć w tył. Puścił gardło Conana i chwycił go za

nadgarstki, chcąc zerwać uścisk stalowych palców.

Cymmeryjczyk podniósł go gwałtownym ruchem i popchnął w tył, aż jego plecy uderzyły o stół. Przeginał go dalej, aż plecy Kosalana ułożyły się w odpowiedniej pozycji.

Jego niski śmiech był bezlitosny jak brzęk stali.

– Głupcze! – szepnął tylko. – Myślę, że nigdy wcześniej nie widziałeś człowieka z Zachodu. Uważałeś się za silnego, bo byłeś w stanie skręcać karki biednym słabeuszom, o mięśniach podobnych do pękniętej struny! U diabła! Ukręć łeb bykowi z Cymmerii, zanim nazwiesz się silnym. Ja to zrobiłem jako młody chłopak! Właśnie tak!

Dzikim szarpnięciem skręcił Baal-pteorowi kark. Obrzydliwa twarz opadła na lewe ramię. Kręgi chrupnęły niczym łamana gałąź.

Conan odrzucił martwe ciało. Wziął miecz, zapierając się stopami o posadzkę. Po jego szerokiej piersi płynęła krew, Baal-pteor bowiem rozdarł mu paznokciami skórę na szyi. Czarne włosy barbarzyńcy były wilgotne i pot lał się po jego twarzy. Ciężko oddychał ze zmęczenia. Mimo że naigrawał się z Baal-pteora, Conan znalazł w nim kogoś niemal dorównującego mu siłą. Nie tracąc czasu, użył całej swojej mocy i potężnym szarpnięciem oderwał miecz od stołu.

Otworzył drzwi, zza których dobiegał wcześniej krzyk. Spojrzał w długi, prosty korytarz. Jego drugi koniec ginął za aksamitną kotarą, zza której dochodziły dźwięki diabelskiej muzyki, jakiej Conan nie słyszał nawet w najgorszych koszmarach. Krótkie włosy na karku stanęły mu dęba. Dźwięki mieszały się ze zduszonym, histerycznym łkaniem kobiety. Przemknął w dół korytarza, pewną ręką trzymając miecz.

ROZDZIAŁ CZWARTY

TAŃCZ, DZIEWCZYNO, TAŃCZ!

Kiedy Zabibi wciągnięto przez otwór w ścianie, pomyślała, że oto nadszedł jej czas. Instynktownie zamknęła oczy i czekała na uderzenie. Zamiast tego poczuła, że ląduje na gładkiej, marmurowej posadzce, na której rozbiła kolana i biodro. Otworzywszy oczy rozejrzała się trwożliwie dokoła, dokładnie kiedy zza ściany dobiegł odgłos głuchego uderzenia. Ujrzała stojącego nad nią olbrzyma o ciemnej skórze z przepaską wokół bioder, zaś po drugiej stronie komnaty siedział na leżance mężczyzna, opierając się o bogatą, czarną, aksamitną kotarę. Był postawny i miał tłuste, białe dłonie. Wzdrygnęła się, wiedząc, że ten mężczyzna był Totrasmekiem, kapłanem Hanumana. Tym samym, który od lat snuł oślizgłe sieci władzy nad miastem Zamboula.

– Barbarzyńca usiłuje staranować przejście w ścianie – powiedział. – Ale rygiel wytrzyma.

Dziewczyna dojrzała ukryte drzwi, niedostrzegalne z tamtej strony ściany, zaryglowane ciężkim, złotym skoblem, który wytrzymałby atak słonia.

– Baal-pteorze, idź i wpuść go do kwadratowej komnaty – rozkazał Totrasmek. – Tam go zabij.

Kosalan skłonił się i wyszedł. Zabibi wstała, patrząc ze strachem na kapłana, który omiatał pożądliwym wzrokiem jej wspaniałą figurę. Było jej to obojętne. Tancerka z Zambouli przyzwyczała się do nagości. Ale czające się w jego oczach okrucieństwo sprawiło, że ugięły się pod nią nogi.

– Piękności moja, nawiedzasz mnie ponownie w moim domu – zamruczał cynicznie. – Cóż za nieoczekiwany honor. Zdawało mi się, że nie bawiłaś się zbyt dobrze podczas poprzedniej wizyty, dlatego nie spodziewałem się, że ją powtórzysz. Ale uczynię, co w mej mocy, byś wyniosła z niej interesujące doświadczenie.

W oczach Zabibi błysnął płomień gniewu, zmieszany ze strachem.

– Ty tłusta świni! Wiesz, że nie przyszedłam tu z miłości do ciebie!

– Nie! – roześmiał się Totrasmek. – Przyszedłaś tu jak głupia, czając się po nocy z barbarzyńcą, który miał poderżnąć mi gardło. Dlaczego chcesz

odebrać mi życie?

– Dobrze wiesz, dlaczego! – krzyknęła, wiedząc, że udawanie na nic się nie zda.

– Myślisz o swoim kochanku – roześmiał się. – Wypił narkotyk, który ci dałem. Cóż, czy nie o to prosiłaś? Dałem ci go z czystej miłości.

– Poprosiłam cię o eliksir, który miał sprawić, że mój mężczyzna pogrąży się w nieszkodliwym śnie. A ty... Ty dałeś mi narkotyk, który doprowadził go do szaleństwa. Byłam głupia, że ci zaufałam. Mogłam się domyślić, że za twoją pomocą skrywa się nienawiść i uraza.

– Dlaczego chciałaś, by twój kochanek usnął? – odparł. – Abyś mogła ukraść mu jedną, jedyną rzecz, której nigdy by ci nie dał. Pożądasz pierścienia z klejnotem nazywanym przez ludzi Gwiazdą Khorali, skradzionego królowej Ofiru, która zapłaciłaby całą komnatą złota za jego zwrot. Nie dałby ci go dobrowolnie. Wiedział, że jego magia, właściwie użyta, zniewoli serce każdego. Chciałaś mu go ukraść, bojąc się, że zapomni o tobie, jeśli podbije serce jakiejś księżniczki. Sprzedałabyś go królowej Ofiru, która rozumie jego moc. Użyłaby go ponownie do zniewolenia mnie, tak jak zrobiła to poprzednio, zanim został skradziony.

– A ty czemu go pożadasz? – zapytała nadąsana dziewczyna.

– Znam jego moc. Mógłby zwiększyć siłę mojej magii.

– Cóż – warknęła dziewczyna. – Wreszcie go masz.

– Ja mam Gwiazdę Khorali? Mylisz się.

– Po co jeszcze kłamać? – odparła gorzko. – Miał pierścień na palcu, kiedy wyciągnął mnie na ulicę. A kiedy go później znalazłam, pierścień zniknął. Twój służący musieli obserwować dom i ukradli klejnot, kiedy uciekłam. Do diabła z tym! Chcę z powrotem mojego kochanka, całego i zdrowego! Masz już pierścień: ukarałeś nas oboje. Przywróć mu zdrowe zmysły. Przecież możesz...

– Mogę – zapewnił ją, bawiąc się wyraźnie jej cierpieniem. Spomiędzy szat wyciągnął fiolkę. – Tu jest sok złotego lotosu. Jeśli twój kochanek go wypije, wróci mu rozum. Ulituję się nad wami, chociaż oboje lekceważyliście mnie i krzyżowaliście mi szyki. Nie raz, lecz wiele razy. A on nie chce wykonywać moich poleceń. Ale będę litościwy. Podejdź i weź fiolkę.

Dziewczyna spojrzała na Totrasmeka. Drżała z żądzy posiadania fiolki, ale bała się, że chodzi o jakiś okrutny żart. Podeszła i nieśmiało wyciągnęła dłoń. Kapłan roześmiał się bezlitośnie i schował fiolkę. Już miała go

przekląć, kiedy intuicja nakazała jej spojrzeć w górę. Ze złoconego sufitu spadały cztery naczynia w kolorze jadeitu. Uchyliła się, by jej nie uderzyły. Rozbiły się wokół niej na podłodze, tworząc cztery kąty kwadratu. Dziewczyna zaczęła krzyczeć, gdyż z każdej skorupy wynurzył się kołnierz kobry. Jedna z nich zaatakowała jej nagą stopę. Odskoczyła, ale znalazła się bardzo blisko następnego węża. Błyskawicznie rzuciła się w drugą stronę, by uniknąć ataku potwornej głowy.

Znalazła się w straszliwej pułapce. Wszystkie cztery kobry wiły się wokół niej, próbując ukąsić najbliższą w danym momencie część jej ponętnego ciała. Nie mogła ich przeskoczyć ani ominąć. Aby uniknąć ataków, lawirowała między gadami, ale za każdym razem kiedy odsuwała się od jednej kobry, znajdowała się w zasięgu innej, dlatego musiała balansować ze zwinnością i szybkością mangusty. Straszliwe kołnierze zagrażały jej w każdej chwili. Tylko tancerka z Zambouli była w stanie przetrwać w tym upiornym kwadracie.

Ruszała się niczym wicher. Głowy węży mijały ją o włos, ale nie mogły dosięgnąć szybkich, zwinnych stóp.

Nagle z sykiem węży zmieszała się piskliwa i zawodząca muzyka, zupełnie jak potworny nocny wiatr, zawodzący w pustych oczodołach czaszki. Dziewczyna zdała sobie sprawę, że kobry nie celowały już na oślep. Były posłuszne rytmowi obrzydliwej melodii. Zmuszały ją do podskoków w ich własnym tempie. Jej niezborne ruchy zmieniły się w taneczny krok, przy którym nawet najbardziej obsceniczne pląsy z Zamory wydawałyby się powściągliwe. Chora ze wstydu i przerażenia Zabibi usłyszała nienawistny śmiech bezlitosnego kata.

– Kochana, to Taniec Kobry! Tak wieki temu dziewice tańczyły w ofierze Hanumanowi. Ale nigdy z takim wdziękiem. Tańcz, dziewczyno, tańcz! Jak długo uda ci się uniknąć kłów? Minuty? Godziny? W końcu się zmęczysz, a twe piękne nogi opadną z sił i wtedy zęby gadów zatopią się głęboko w twoim alabastrowym ciele.

Nagle kotara za nim drgnęła jak od uderzenia wiatru. Totrasmek krzyknął. Wytrzeszczył oczy, a dłonie zacisnął kurczowo na jasnej stali, która nieoczekiwanie przeszła jego pierś.

Muzyka nagle umilkła. Zmęczona Zabibi zachwiała się jak odurzona. Krzyknęła, oczekując spotkania ze stalowymi szczękami, ale kiedy Totrasmek runął jak długi na posadzkę, kobry przemieniły się w cztery smugi nieszkodliwego, błękitnego dymu.

Zza kotary wyszedł Conan, wycierając szerokie ostrze. Zerkając przez zasłonę, zauważył, że dziewczyna tańczy desperacko między czterema chwiejącymi się słupami dymu. Domyślił się, iż Zabibi widzi coś innego. Wiedział, że Totrasmek jest martwy.

Dziewczyna upadła na podłogę, ciężko dysząc. Kiedy Conan ruszył w jej kierunku, podniosła się chwiejnie, chociaż jej nogi drżały z wysiłku.

– Fiolka! – wydyszała. – Fiolka!

Totrasmek wciąż jeszcze trzymał ją w tężejącej dłoni. Wydarła ją zuchwale z jego zaciśniętych palców, po czym zaczęła histerycznie przeszukiwać jego szaty.

– Czego szukasz, u diabła? – chciał wiedzieć Conan.

– Pierścienia... Ukradł go Alafdhalowi. Musiał go zabrać, kiedy mój kochanek przemierzał w szaleństwie ulice. No żesz kurwa, gdzie on jest?!

Przekonała się, że Totrasmek nie miał go przy sobie. Zaczęła przeszukiwać komnatę, zdzierając dywany i zasłony, podnosząc naczynia.

Zatrzymała się nagle i odsunęła z twarzy mokry pukiel włosów.

– Zapomniałam o Baal-pteorze!

– Jest już w piekle ze skręconym karkiem – zapewnił ją Conan.



Jej niezborne ruchy zmieniły się w taneczny krok, przy którym nawet najbardziej obsceniczne płasy z Zamory wydawałyby się powściągliwe.

Spojrzała na niego z wdzięcznością, ale chwilę później zakłęła.

– Nie możemy tu zostać. Do świtu nie pozostało wiele godzin. Pomniejsi kapłani często odwiedzają świątynię. Jeśli znajdą nas przy jego ciele, rozedrą na strzępy. Turańczycy nie będą w stanie nas ocalić.

Podniosła zasuwę ukrytych drzwi i parę chwil później byli już na ulicy. Uciekali z cichego placu, nad którym górowała wiekowa kaplica

Hanumana.

Na krętej ulicy nieopodal Conan zwolnił i zatrzymał swą towarzyszkę, kładąc na jej nagim ramieniu ciężką dłoń.

– Nie zapominaj, że oczekuję zapłaty...

– Pamiętam. – Dziewczyna wyślizgnęła się z jego uścisku. – Ale najpierw musimy pójść do... do Alafdhala.

Parę minut później czarnoskóry niewolnik wpuścił ich przez furtkę. Młody Turańczyk leżał na dywanie, związany ciężkimi, aksamitnymi linami. Miał szeroko otwarte oczy wściekłego psa, a piana ciekła obficie z jego ust. Zabibi wzdrygnęła się.

– Zmuś go, żeby otworzył usta – rozkazała Conanowi, który uczynił to bez trudu.

Zabibi opróżniła fiolkę. Efekt był magiczny. Turańczyk uspokoił się. Błysk w jego oczach zbladł. Osłupiały, ale przytomny spojrzał na dziewczynę. Potem zapadł w normalny sen.

– Kiedy się obudzi, będzie już sobą – szepnęła, kiwając na milczącego niewolnika.

Ten z głębokim ukłonem wręczył jej małą, skórzaną sakiewkę i zarzucił na ramiona jedwabny płaszcz. Skinęła na Conana, by wyszedł za nią z komnaty.

Zachowywała się teraz nieco inaczej. Pod łukiem, który wychodził na ulicę, zwróciła się do niego pełnym majestatu tonem.

– Muszę wyznać ci prawdę – powiedziała. – Nie nazywam się Zabibi. Jestem Nafertari. A mój kochanek nie jest biednym kapitanem gwardzistów. To Jungir Khan, satrapa Zambouli.

Conan milczał. Jego pokryta bliznami twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Nie miałam odwagi, by powiedzieć komukolwiek prawdę – wyznała. – Byliśmy sami, kiedy Jungir Khan oszalał. Wiedziałam o tym tylko ja. Gdyby po mieście się rozniosło, że satrapa Zambouli jest szaleńcem, natychmiast wybuchłyby zamieszki i rewolta, tak jak to zaplanował spiskujący przeciwko nam Totrasmek.

– Widzisz teraz, że nie możesz otrzymać nagrody, której oczekujesz. Nałożnica satrapy nie jest... Nie może być dla ciebie. Ale nie odejdziesz bez zapłaty. Oto sakwa złota.

Wręczyła mu woreczek, który otrzymała od niewolnika.

– Idź już. Kiedy wzejdzie słońce, przyjdź do pałacu. Sprawię, że Jungir Khan mianuje cię kapitanem straży. Ale tak naprawdę będziesz przyjmował rozkazy ode mnie. Najpierw pójdziesz z oddziałem do kaplicy Hanumana, by znaleźć ślady zabójców Totrasmeka. Ale przede wszystkim chcę, byś odnalazł Gwiazdę Khorali i przyniósł mi ją. Teraz możesz odejść.

Skinął głową, w dalszym ciągu milcząc. Patrząc za oddalającą się barczystą sylwetką, dziewczyna była zdziwiona faktem, że nic w jego zachowaniu nie wskazywało na rozczarowanie bądź niepokój.

Kiedy Conan zniknął za rogiem, obejrzał się za siebie, zmienił kierunek i przyspieszył kroku. Parę chwil później był już w pobliżu targu koni. Zaczął walić w jakieś drzwi, dopóki w oknie powyżej nie pojawiła się zniecierpliwiona brodata twarz.

– Daj mi konia – rozkazał Conan. – Najszybszego rumaka, jakiego masz.

– Nie otwieram bram o tej porze – warknął handlarz.

Conan zabrzączał sakiewką.

– Psi parobku! Nie widzisz że jestem biały i sam? Zejdź, zanim wyważę drzwi!

I tak to Conan, na gniadym rumaku, skierował się w stronę domu Arama Bakshy.

Skręcił z drogi w alejkę, leżącą między terenem gospody a daktylowym gajem. Nie zatrzymał się przed bramą. Pojechał dalej, aż do północno-wschodniego krańca murów. Tam zawrócił i pojechał wzdłuż północnej ściany, aby w końcu zatrzymać się parę kroków przed północno-zachodnim narożnikiem. Nie rosły tam żadne drzewa, tylko niskie krzewy. Zsiadł z konia, przywiązał go do jednego z nich i pokręcił się wokoło. Właśnie zamierzał ponownie wskoczyć na konia, gdy usłyszał za rogiem niski dźwięk głosów.

Wyjął nogę ze strzemienia i zajrzał za ogrodzenie. Trzech czarnoskórych mężczyzn szło w dół drogi w kierunku gaju palmowego. Zatrzymali się na jego ciche wołanie i przysunęli do siebie, kiedy ruszył w ich kierunku z mieczem w dłoni. Ich oczy błyszczały w świetle gwiazd, a na hebanowych twarzach widniało zwierzęce pożądanie. Wiedzieli jednak, że ich trzy pałki nie mogą równać się z jego mieczem. Conan też to wiedział.

– Dokąd idziecie? – zapytał wyzywająco Conan.

– Chcemy powiedzieć naszym braciom, by zgasili ogień w dole za lasem palmowym. – Dobiegły go posępne słowa. – Aram Baksha obiecał nam

człowieka, ale nas okłamał. Znaleźliśmy trupa jednego z nas w pokoju-pułapce. Dzisiejszej nocy będziemy głodni.

– Nie sędzę – uśmiechnął się Conan. – Aram Baksha da wam człowieka. Widzicie te drzwi?

Wskazał małą, okutą żelazem furtkę pośrodku zachodniego muru.

– Poczekajcie tam. Aram Baksha dotrzyma słowa.

Cofnął się ostrożnie, żeby być poza zasięgiem pałek. Potem odwrócił się i zniknął za północno-zachodnim narożnikiem. Podszedł do konia i poczekał chwilę aż czarnoskórzy odejdą, po czym wspiął się na siodło i stanął na nim wyprostowany, uspokajając zdenerwowanego rumaka cichym słowem. Sięgnął do góry, chwycił krawędź muru i podciągnął się. Zatrzymał się na chwilę na szczycie, obserwując teren. Gospoda stała w południowo-zachodnim narożniku ogrodzenia. Pozostałą przestrzeń wypełniały palmy. Nie zobaczył nikogo. Gospoda była ciemna i milcząca. Wiedział, że wszystkie drzwi i okna były zaryglowane.

Conan wiedział też, że Aram Baksha spał w komnacie wychodzącej na obsadzoną cyprysami drózkę, która prowadziła do bramy w zachodniej części muru. Przemknął się jak cień pomiędzy drzewami i parę chwil później zapukał do drzwi.

– Kto tam? – zapytał z wewnątrz zaspany głos.

– Aramie Baksho! – syknął Conan. – Czarnoskórzy przekradli się przez mur!

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i ukazał się w nich właściciel gospody ze sztyletem w dłoni.

Wyciągnął szyję, by spojrzeć w twarz Conanowi.

– Co to za bujdy... Ty!

Żądne zemsty palce Conana zdusiły mu krzyk w gardle. Upadli razem na podłogę. Conan wyrwał mu nóż. Ostrze błysnęło w świetle gwiazd i poląła się krew. Aram Baksha wydawał z siebie obrzydliwe krzyki, dławiąc się krwią. Conan postawił go na nogi i obciął mu brodę.

Wciąż trzymając jeńca za gardło, żeby nie wrzeszczał, wyprowadził go z ciemnej komnaty w dół ocienionej cyprysami drózki, aż do okutej żelazem bramy zewnętrznego muru. Jedną ręką podniósł rygiel. Wrota stanęły otworem, ukazując trzy postacie, oczekujące na zewnątrz jak sępy. Conan rzucił im oberżystę.

Straszliwy, mrozący krew w żyłach krzyk wyrwał się z gardła Zamboulanina, ale z cichej gospody nie dobiegła żadna odpowiedź. Ludzie

byli tu przyzwyczajeni do krzyków za murem. Aram Baksha walczył jak dziki człowiek, a jego szeroko rozwarte oczy zwróciły się w stronę Cymmeryjczyka. Nie znalazł w nich żadnej litości. Conan myślał o tuzinach nieszczęśników, którzy zawdzięczali swój straszliwy los chciwości tego człowieka.

Kanibale radośnie pociągnęli go w dół drogi, naigrawając się z oszalałego bełkotu. Skąd mogli wiedzieć, że wpół naga, skrwawiona postać z dziwnie ogoloną głową i bełkocząca coś niezrozumiale to Aram Baksha. Odgłosy walki dochodziły do uszu Conana, który wciąż stał nieopodal bramy, nawet kiedy grupa ludożerców zniknęła już między drzewami. Zamknął bramę i dosiadł konia. Skierował się na zachód, w stronę otwartej pustyni. Szerokim łukiem ominął ponury gaj palmowy. Wyciągnął zza pasa pierścień, w którym błyszczał klejnot, łapiąc światło gwiazd. Podziwiał go w milczeniu, obracając to w jedną, to w drugą stronę. Sztabki złota brzęczały delikatnie w sakwach, niby obietnica przyszłego, większego bogactwa.

– Ciekawe, co by zrobiła, gdyby wiedziała, że od razu ich rozpoznałem – mruknął do siebie Conan. – I że to ja mam Gwiazdę Khorali, którą ściągnąłem z dłoni Jungira Khana, kiedy wiązałem go jego własnym pasem. Będzie niezła heca, kiedy się domyśli. Ale nigdy mnie nie dogoni.

Obejrzał się jeszcze na cieniste gaje palmowe, wśród których buchała czerwona poświata. Śpiew wznosił się aż pod nocne niebo, wibrując dzikim podnieceniem. Mieszał się z nim dziki i bezładny krzyk, w którym nie sposób było rozróżnić ani jednego słowa. Towarzyszył Conanowi, kiedy jechał na zachód w blednącym już świetle gwiazd.

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(listopad 1935) pod tytułem *Shadows in Zamboula*

CZERWONE ĆWIEKI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

CZASZKA NA SKALE

Dosiadająca konia kobieta ściągnęła cugle zmęczonemu wierzchowcowi. Zwierzę stanęło na szeroko rozstawionych nogach, opuściwszy głowę, jakby nawet wysadzana złotem i klejnotami uprzęż z czerwonej skóry była ciężarem ponad końskie siły. Wysunęła stopę ze srebrnego strzemienia i zeskoczyła z misternie zdobionego siodła. Przywiązała wodze do młodego drzewka, położyła dłonie na biodrach i uważnie zaczęła lustrować okolicę.

Musiła przyznać, że marny był to widok, a krajobraz niegościnnie. Olbrzymie drzewa wgryzały się w brzeg sadzawki, w której przed chwilą jej koń ugasił pragnienie, a gęste krzaki znacznie ograniczały pole widzenia, tworząc coś na kształt obszernej komnaty wysoko sklepionej gęstwiną gałęzi. Kobieta wzruszyła ramionami, klnąc pod nosem cicho, ale paskudnie.

Dziewczyna była wysoka, zwracając zawsze uwagę mężczyzn pełnymi, krągłymi piersiami, smukłymi, ale mocnymi i w odpowiedniej proporcji umięśnionymi kończynami. Cała postać emanowała niezwykłą siłą i nawet jej strój oraz zachowanie w żadnym razie nie odbierały ciała powabu i kobiecej delikatności. Odziana była nie w suknię, a w szerokie spodnie, kończące się tuż przed kolanami, podtrzymywane w talii nie tylko przez zwykły skórzany pas, ale i delikatną, jedwabną szarfę. Jasnego koloru buty z cienkiej skóry sięgały niemal kolan, zwracając uwagę misternie i z fantazją zdobionymi noskami. Dopełnieniem jej stroju była jedwabna koszula z szerokim kołnierzem i bufiastymi rękawami. Na jednym z kształtnych bioder miała przypasany prosty dwuręczny miecz, na drugim zaś długi sztylet. Rozwiane płowe włosy, przycięte równo na wysokości ramion, przewiązywała przepaska ze szkarłatnego atłasu.

Na tle ponurego, pierwotnego lasu sprawiała wręcz nieziemskie wrażenie. I wiedziała, że zupełnie tu nie pasuje. Już raczej powinna wsparta plecami o maszt podziwiać pierzaste bałwany chmur lub drażnić się z kołującymi nad pokładem mewami. W jej ogromnych, pięknych oczach odbijał się czysty błękit mórz i oceanów. I tak być powinno, ponieważ była

Valerią z Czerwonego Bractwa, której czyny opiewano w niezliczonych pieśniach i balladach, wszędzie tam, gdzie zbierała się żeglarska brać.

Jeszcze raz spróbowała przeniknąć wzrokiem zielony baldachim ze splątanych gałęzi i liści, by spojrzeć w niebo, lecz w końcu dała sobie spokój, ponownie siarczyście klnąc pod nosem.

Zostawiła za sobą spętanego konia i ruszyła na wschód, cały czas zerkając w stronę sadzawki, by dokładnie zapamiętać drogę powrotną. W lesie panowała cisza mroząca krew w żyłach: w wysokich koronach drzew nie świergotały ptaki, w gęstych zaroślach nie słyszała ani szmeru, ani pisku, świadczących o obecności drobnych zwierząt. Wcześniej przewędrowała tak wiele mil, spowita napierającą ze wszystkich stron ciszą, zakłócaną tylko cichym odgłosem jej kroków lub stukiem kopyt jej konia.

Pragnienie ugasiła w sadzawce, ale teraz poczuła gwałtowny głód, szukając owoców, którymi żywiła się od czasu, gdy skończyły się zapasy jedzenia w przytroczonych do siodła jukach.

Dostrzegła przed sobą zwałowisko ciemnych głazów strzelające w górę ku czemuś, co na pierwszy rzut oka przypominało zatopioną w gęstwinie drzew poszarpaną turnię, której szczyt ginął w kłębowisku listowia. Pomyślała, że, być może, sięga ponad korony drzew i wreszcie będzie mogła ujrzeć coś więcej niż tylko ciągnącą się w nieskończoność zieloną otchłań. Przemierzała ją już tyle dni...

Wąska krawędź tworzyła naturalną ścieżkę wiodącą w górę stromego zbocza. Pokonała jakieś pięćdziesiąt stóp i znalazła się na wysokości linii listowia okalającego skałę. Drzewa rosły daleko, a mimo to wyciągały długie ramiona konarów, sięgając aż tutaj i tkając wokół głazów gęstą kotarę liści i gałązek. Nie mając wyjścia, brnęła przez gąszcz w zasadzie po omacku, gdy nagle zobaczyła nappełniający jej serce nadzieją widok: niewielki prześwit. Zrobiła jeszcze kilka kroków i wreszcie wyszła pod błękitne niebo, w jasne, czyste słońce, ciesząc się jak dziecko jego gorącym blaskiem. Teraz mogła wreszcie spojrzeć na ten przerażający las z góry.

Stała na szerokiej półce, która znajdowała się prawie na równi z wierzchołkami drzew; strzelała z niej skalna iglica, będąca szczytem turni. Jednak nie ona w pierwszej kolejności przykuła uwagę dziewczyny, bowiem gdy postawiła tu pierwszy krok, zawadziła stopą o coś twardego, schowanego w grubym kobiercu martwych liści, przykrywających półkę. Rozgarnęła je i zobaczyła ludzki szkielet. Doświadczona w takich

ogłędzinach od razu zanotowała w pamięci, że nie było na nim śladów złamań, pęknięć, niczego, co by świadczyło o gwałtownej śmierci. Człowiek ten musiał umrzeć śmiercią naturalną, ale po kie lichu wdrapywał się aż tutaj, by skonać, nie miała najmniejszego pojęcia.

Wspięła się na szczyt iglicy i rozejrzała po okolicy. Zielony baldachim z tego miejsca był równie nieprzenikniony jak z dołu. Nie widziała nawet sadzawki, przy której zostawiła konia. Spojrzała na północ, bo z tego kierunku tu przyszła. Tam też falował nieprzenikniony bezmiar zieleni, sięgający coraz dalej i dalej, aż do cienkiej, błękitnej linii, będącej w istocie pasmem wzgórz, które pokonała wiele dni temu, by zagłębić się w liściastą otchłań ciszy.

Na zachodzie i na wschodzie rozciągał się podobny widok, choć uboższy o nieobecne w tych kierunkach wzgórza. Odruchowo spojrzała na południe i... zeszytniała, wstrzymując oddech, bowiem niecałą milę od miejsca, w którym teraz stała, las mocno rzedniał, odsłaniając porośniętą kaktusami równinę. A dalej, w głębi, pobłyskiwały w słońcu mury i smukłe wieże miasta. Valeria zaklęła, ale nie z wściekłości, tylko zdumienia. Nie byłaby zaskoczona, oglądając tutaj inne rodzaje śladów ludzkiej bytności: jakieś chaty z błota i trzciny w kształcie ula, wzniesione przez czarnoskórych, lub chociażby wyryte w skałach, osadzone na skalnych półkach i występach siedziby tajemniczej, na wpół mitycznej brązowej rasy, ponoć zamieszkującej te tereny wieki temu. Zobaczyć jednak potężną, warowną twierdzę, osadzoną na równinie tyle tygodni marszu od najbliższych przyczółków jakiegokolwiek cywilizacji, było rzeczą z trudem mieszczącą się jej w głowie.

Czując narastające zmęczenie w dłoniach trzymających się skalnej iglicy, zeskoczyła w końcu na skalną półkę, niezdecydowana, co powinna dalej zrobić. Przybyła w to miejsce naprawdę z daleka – z obozowiska najemników, rozłożonego obok granicznego miasta Sukhmet, posadowionego wśród bujnej, porastającej wysoką trawą sawanny, gdzie wszelkiej maści awanturnicy spod ciemnej gwiazdy z każdego zakątka znanego świata strzegli stygijskiej granicy przed licznymi najezdami, które jak gnane wichrem chciwości krwistoczerwone fale napływały regularnie z Darfaru. Uciekając na ślepo, bez planu, byle szybciej i dalej, ostatecznie trafiła do tego zielonego piekła, a tutejszych terenów nie знаła, jeszcze kilka tygodni temu nie mając pojęcia, że w ogóle istnieją. A teraz nie mogła się zdecydować, czy ulec pokusie ciekawości i pojechać prosto do

tajemniczego miasta na równinie, czy może jednak posłuchać instynktu i ominąć je szerokim łukiem, dalej samotnie uciekając.

Z rozmyślań wyrwał ją szelest liści. Chwytnąjąc za miecz, odwróciła się zwinnie niczym kot i stanęła jak wryta na widok mężczyzny przed nią. Był wręcz nienaturalnie olbrzymi, tytanicznie muskularny, a jego stalowe mięśnie grały pod ogorzałą od słońca skórą. Nosił niemal taki sam strój jak ona, z tą jednak różnicą, że zamiast szarfy miał na biodrach szeroki skórzany pas, do którego przytroczył ogromny miecz i wąski, długi sztylet.

– Conan z Cymmerii! – wykrzyknęła zaskoczona Valeria. – Czemu za mną łazisz?

Gigant uśmiechnął się zimno, ale w jego dzikich, błękitnych oczach tlił się żar, który zrozumiałaby każda kobieta. Bystre spojrzenie pieściło każdy fragment kobiecego ciała, delektując się jego powabem i urodą, dochodząc niemal na skraj ekstazy, gdy spoczęło na lekko falujących w rytmie oddechu pełnych piersiach, ledwie okrytych zwiewną koszulą.

– Czyżbyś nie wiedziała? – zaśmiał się. – Przecież wiesz, że nie mogę od ciebie oderwać oczu od czasu naszego pierwszego spotkania...

– O, tak, jeśli chodzi o końskie zaloty, jesteś prawdziwym mistrzem – rzuciła z pogardą. – Ale nie przypuszczałam, że spotkam cię tak daleko od baryłek z winem i pełnej michy, które codziennie masz w Sukhmet. Powiedz szczerze, polazłeś za mną z miłości, a może po prostu Zaralla poszedł po rozum do głowy i wywalił cię z obozowiska na zbity pysk?

Conan roześmiał się, ubawiony beczelną zaczepką, i naprężył potężne muskuły.

– Wiesz dobrze, że ten moczymorda nie ma wystarczająco wielu zbirów, by mógł mnie siłą z obozu wyrzucić – rzekł z dumą i pewnością w głosie. – Oczywiście, że pojechałem za tobą. Miałaś cholernie dużo szczęścia, że po zadżganiu tego stygijskiego oficera i utracie względów Zarallo udało ci się wynieść cało tę śliczną główkę z obozu, chociaż banicja na tym zadupiu to nic przyjemnego, a Stygijczycy i tak ciągle marzą o zemście.

– Wiem o tym – odparła ponuro. – Ale co innego miałam zrobić? Przecież mnie sprowokował.

– Jasne, że tak – przytaknął jej Conan. – Gdybym tam był, sam poderznąłbym mu gardło. Jeśli jednak chcesz spędzić życie w takich miejscach jak obóz Zarallo, pełnych napalonych i pijanych awanturników, to powinnaś spodziewać się podobnych przygód.

Valeria tupnęła nogą i zaklęła.

– Dlaczego mężczyźni nie pozwolą mi żyć jak oni?

– Bo tak! – Znów omiół jej ciało pożądliwym spojrzeniem. – Ale postąpiłaś mądrze, dając stamtąd dyla. Stygijczycy kazaliby obedrzeć cię żywcem ze skóry. Brat oficera podążał za tobą szybciej niż, jak mniemam, się spodziewałaś. Dzielił was naprawdę niewielki dystans, a jego koń był szybszy i bardziej wytrzymały niż twój. Jeszcze kilka mil i byłoby po ptakach...

– No i...? – spytała dziewczyna, oczekując dalszego ciągu opowieści.

– Co, no i...? – odparł widocznie zaskoczony Conan.

– Co się stało ze Stygijczykiem?

– A co się miało stać? – mruknął zniecierpliwiony. – Urznąłem mu łeb, a ścierwo zostawiłem innym ścierwojadom na żer. Trochę mi wtedy zeszło, a że akurat pokonywałaś wzgórza, to prawie straciłem twój ślad. W innym razie już dawno bym cię dogonił.

– I teraz myślisz, że skłonisz mnie, bym powróciła do obozu Zarallo? – prychnęła.

– Nie pleć głupstw – zaprzeczył. – Ejże, miłości mego życia, nie bądź taką jędzą! Nie jestem jak ten Stygijczyk, którego zakatrupiłaś, i dobrze o tym wiesz!

– To mi się trafiło! Morderca, głupek i wielka góra tępych mięśni bez grosza przy duszy – zakpiła.

Conan aż zatoczył się od szyderczego śmiechu.

– A ty, kurwa, to co? Królewna na ziarnku grochu? Groszem nie śmierdzisz i nawet nie masz na łate, by zaszyć dziurę w swych portkach. Olewam twoją pogardę! Wiesz dobrze, że dowodziłem większymi statkami i większą liczbą ludzi, niż widziałaś w całym swoim życiu. A że pieniędzy nie mam? Który z nas, awanturników, może pochwalić się zawsze pękata sakiewką? We wszystkich portach świata przehulałem tyle złota, że mógłbym napęłnić nimi galeon. I to też pewnie wiesz.

– To powiedz, gdzie te okręty? Armie? Złoto? – prychnęła.

– Przeważnie na dnie – odparł beztrósco. – Zingarczyki zatopili mój ostatni okręt przy shemickim brzegu, a szkoda, bo lubiłem łajbę. Dlatego przyłączyłem się do Wolnej Kompanii Zarallo. Gdy dotarliśmy do granicy z Darfarem, od razu spostrzegłem swoją pomyłkę. Żołd kiepski, wino kwaśne... i poza tym nie lubię czarnoskórych dziwek, a tylko takie odwiedzały obóz pod Sukhmet. Te kółka w nosach, kolczyki w sutkach,

spiłowane zęby... brr... okropieństwo! A ty dlaczego przyłączyłaś się do Zarallo? Sukhmet leży strasznie daleko od morza.

– Krwawy Ortho chciał ze mnie zrobić swoją dziwkę – odparła ponuro. – To pewnej nocy, gdy staliśmy na kotwicy przy kushyckim brzegu, wyskoczyłam za burtę i dopłynęłam do lądu tuż obok Zabheli. Spiknęłam się z shemickim kupcem, który opowiedział mi o Wolnej Kompanii, i że Zarallo prowadzi ją na południe, by uszczelnić granice przed najazdami z Darfaru. Nic lepszego do roboty nie miałam, więc przyłączyłam się do ciągnącej na wschód karawany i w końcu dotarłam do Sukhmet.

– To czyste szaleństwo uciekać na południe – stwierdził nagle Conan. – Może dzięki temu zwiadowcy Zarallo nigdy nie wpadną na twój trop, bo nie sądzę, żeby szukali cię w tych stronach. Brat tego zabitego shemickiego oficera odnalazł cię czystym przypadkiem.

– A co teraz zamierzasz zrobić? – spytała władczo dziewczyna.

– Idę na zachód – odparł Cymmeryjczyk. – Południe już znam, wschód to inna śpiewka, bo nigdy się tam za bardzo nie zapuszczałem, ale na zachodzie właśnie, gdzie leżą rozległe sawanny, wypasają bydło liczne plemiona czarnoskórych; wiedz, że mam wśród nich kilku przyjaciół. Pomogą nam dotrzeć do wybrzeża i wtedy znajdziemy jakiś statek. Mam po dziurki w nosie tej cholernej dżungli!

– W takim razie szczęśliwej drogi już czas – odparła. – Ja mam inne plany.

– Ależ ty uparta, a do tego durna! – Conan po raz pierwszy pokazał po sobie gniew. – Daleko sama w dżungli nie zajdziesz.

– Jeśli zechcę, znajdę.

– Co w takim razie zrobisz?

– Nie twój zafajdany interes! – parsknęła Valeria.

– Oczywiście, że mój – odparł cicho Conan, nieco się uspokajając. – Nie po to wlokłem się za tobą taki kawał drogi, by teraz odjechać z niczym. Zrozum wreszcie, kobieto, że nie chcę cię skrzywdzić!

Podszedł do niej, ale ona odskoczyła, dobywając miecza.

– Ani kroku dalej, barbarzyński kundlu, bo rozplątam cię jak pieczonego wieprza!

Conan zatrzymał się z ociąganiem, niechętnie, i zapytał:

– Mam ci odebrać ten patyk, a potem obić nim tę kształtną dupcię?

– Możesz co najwyżej o tym pomarzyć! – zadrwiła, a w jej nieustraszonych oczach zatańczyły błyski lśniące jak blask słońca na

błękitnej wodzie.

Wiedział, że to prawda. Jeszcze nikomu nie udało się rozbroić Valerii z Czerwonego Bractwa gołymi rękoma. Warknął jak niepyszny, bo doskonale czuł buzujące mu w sercu emocje. Z jednej strony był wściekły, ale z drugiej zdziwiony i jednocześnie pełen podziwu dla jej odwagi. Najchętniej zmiażdżyłby to ociekające erotyzmem ciało w uścisku, ale nie miał też zamiaru dziewczyny skrzywdzić. Chciał potrząsnąć nią porządnie, chociaż i jednocześnie delikatnie pieścić. Wiedział, że jeśli podejdzie bliżej, Valeria po prostu zatopi miecz w jego sercu. Na własne oczy niejednokrotnie widział, jak zabija wojowników w przygranicznych starciach i podczas zwykłych bójek w karczmie. Nie miał złudzeń: była szybka i drapieżna jak tygryś. Mógł co prawda zdobyć swego ogromnego miecza i rozbroić ją z miejsca, ale myśl o ataku na kobietę, nawet gdy nie chciał jej zranić, napawała jego barbarzyńskie serce odrazą.

– Ależ z ciebie zołza! – warknął rozdrażniony. – Jak ja zaraz odbiorę...

Ruszył do niej, bo emocje wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem, a ona już na niego czekała, gotowa do zadania śmiertelnego ciosu. I wtedy przez dżunglę przewaliła się kanonada przerażających dźwięków, przerywając tę zarazem nedorzeczną, jak i niebezpieczną scenę.

– Co jest? – spytała zaskoczona Valeria.

Obydwoje zamarli, ale chwilę potem Conan, obracając się gwałtownie i zwinnie na pięcie jak pantera, jednocześnie dobył ogromnego miecza. Gdzieś w lesie ciszę rozciął przeraźliwy kwik, opętańczy ryk bólu i gruchot łamanych kości.

– Lwy zabijają konie! – wrzasnęła Valeria.

– Lwy? Bredzisz! – prychnął Conan z płonącymi dzikością oczami. – Słyszałaś tutaj ryk lwa? Ja też nie! Posłuchaj, jak pękają kości. Nawet wielki lew nie narobiłby takiego hałasu, zabijając konia.

Pobiegli w dół po skalnej półce, zapominając, przynajmniej na chwilę, o sprzeczce, bo odwieczna święta zasada awanturników kazała zawsze trzymać się razem wobec wspólnego zagrożenia. Gdy w końcu pokonali gęsty, zielony welon liści i gałęzi, jęki i piski nagle ustały.

– Znalazłem twojego konia spętanego przy sadzawce – wymamrotał Conan, stawiając kroki tak bezszelestnie, że przestała się zastanawiać, jakim cudem zdołał zaskoczyć ją na skalnej półce. – Mojego przywiązałem obok i ruszyłem po twoich śladach. Teraz, uwaga!

Ostrożnie wyszli z gęstwiny i ujrzeli niżej położone partie lasu, nad którymi zielony gąszcz rozpościerał gęsto tkany listowiem baldachim, a mimo to przenikały przez niego pasemka słonecznego światła, zatapiając okolicę w jadeitowej poświacie. Olbrzymie drzewa oddalone od nich o niecałe sto kroków tonęły w półcieniach i ledwie były widoczne.

– Konie powinny stać za tym gąszczem – szepnął Conan, nie czyniąc większego hałasu niż letni wietrzyk smagający delikatne gałązki. – Słuchaj!

Valeria jednak już nasłuchiwała w skupieniu. Nagle w żyłach stężała jej krew i bezwiednie położyła swą białą dłoń na opalonym i muskularnym ramieniu kompana. Zza drzew dochodził ohydny suchy trzask łamanych kości, odgłosy rozdieranego mięsa i przeszywająca grozą symfonia mlaskania, przeżuwania, łykania i chrząkania, najwyraźniej towarzysząca potwornej uczcie.

– Lwy nie robią takiego hałasu podczas żerowania – szepnął Conan. – Coś wpieprza nasze konie, ale to nie lwy. Na Croma...!

Kanonada dźwięków nagle zamilkła, a Cymmeryjczyk zaklął pod nosem. Zerwał się wietrzyk, który, jak na złość, wiał od ich strony, niosąc zapach ludzi ku miejscu, gdzie skrywał się niewidoczny drapieżca.

– Idzie tu! – mruknął Conan, unosząc miecz.

Gąszcz zafalował gwałtownie, a Valeria zupełnie odruchowo mocniej ścisnęła ramię Conana. Nie wiedziała zbyt wiele o dżungli, ale jednego była pewna: żadne ze znanych jej zwierząt nie mogłoby z taką mocą przedzierać się przez wysokie drzewa.

– Sukinkot musi być wielki jak słoń – wymamrotał Conan, jakby czytał w jej myślach. – Co za cholera...!

I głos zamarł mu w krtani.

Zza zielonej kotary wyłonił się łeb rodem z najgorszych koszmarów. Wykrzywione w odrażającym grymasie szczęki odsłaniały rząd pożółkłych kłów wielkich niczym szable, a ponad nimi marszczył się ohydny jaszczurzy pysk. Ogromne ślepie, tysiącrotnie większe od oczu pytona, zimnym i beznamiętnym wzrokiem wodziły za skamieniałymi ze strachu ludźmi przyklejonymi do skalnej ściany ponad nim. Krew perliła się na łuskowatych, obwisłych wargach i skapywała strużką z rozwartej mordy.

Łeb, większy niż u największego krokodyla, wyrastał z długiej, pokrytej zrogowaciałymi łuskami szyi, z której sterczały rzędy ostrych jak brzytwa, żłobkowanych kolców. A potem zobaczyli, jak miazdząc drzewka i krzewy, wyłania się tytaniczne cielsko, monstrualnie wielki beczkopodobny korpus

na zaskakująco krótkich nogach. Białawe brzuszysko bestii niemal szorowało po ziemi, a jej kolczasty grzbiet śmigał pośród gąszczy tak wysoko, że Conan, nawet gdyby stanął na palcach i wyciągnął się jak struna, nie dałby rady tam sięgnąć. Bestia ciągnęła daleko za sobą paskudny ogon zakończony groteskowo dużym kolcem, ogon fantastycznie wielkiego skorpiona.

– Wiejemy z powrotem na skałę, tylko szybko! – zakomenderował Conan, bezceremonialnie popychając dziewczynę. – Pewnie się tu nie wdrapie, ale gdy stanie na tylnych łapach, może nas dosięgnąć.

Potwór sunął niczym stado opancerzonych słońi, łamiąc i miażdżąc krzewy oraz mniejsze drzewka, a oni pędzili na złamanie karku ku szczytowi skały. Nim Valeria wpadła w zieloną gęstwinę, zerknęła przez ramię i ujrzała, jak przerażająca jaszczurza bestia stoi na tylnych, kolumnowych nogach, dokładnie tak, jak mówił Conan. Poczowała rodzącą się w sercu panikę, bo teraz zdawała się być ona jeszcze większa, a ociekający krwią i śliną potworny pysk sięgał aż po korony drzew. Wtedy żelazna dłoń Conana zacisnęła się na jej nadgarstku, ciągnąc z nadludzką siłą najpierw w zieloną otchłań listowia, a potem w jaśniejący i gorący słoneczny blask dokładnie w chwili, gdy przednie łapy potwora huknęły o skałę z taką mocą, że ta zadrżała w posadach, zaś Valeria miała wrażenie, jakby kamień jęknął pod gigantycznym ciężarem. Nagle tuż za ich plecami wystrzeliła z łoskotem spomiędzy listowia ogromna łepetyna i przez krótką, mrozącą krew w żyłach chwilę obydwójce patrzyli, zdjęci grozą, w okropną gardziel i płonące dziką żądzą zabijania ślepią. A potem kły długie niczym szable kłapnęły w powietrzu i łeb zniknął, jakby pograżył się w jeziorze. Zerkając przez połamane gałęzie, zobaczyli, że potwór siedzi jak tresowany pies na tylnych łapach u stóp skały i gapi się nieustannie w ich stronę.

Valeria zadrżała.

– Długo tak będzie siedział?

Conan kopnął czaszkę wystającą spomiędzy liści.

– Ten pechowiec, uciekając przed nim albo jego pobratymcem, musiał się tu wdrapać. I pewnie umarł z głodu. Spójrz, kości ma całe. To cholerne bydlę musi być smokiem, o którym czarnoskórzy na okrągło gadają w swych legendach. On się stąd nie ruszy, póki jesteśmy żywi.

Valeria spojrzała na niego nieprzytomnym ze strachu wzrokiem, zapominając z miejsca o sprzeczce. Walczyła z narastającą w sercu paniką. Tysiące razy udowadniała swą szaloną odwagę: podczas brutalnych rzezi na

morzu i lądzie, na śliskich od krwi pokładach wielkich wojennych galer, na blankach zdobywanych miast i na zdeptanych piaszczystych plażach, gdzie zdesperowani wojownicy Czerwonego Bractwa poili swe noże krwią współbraci, walcząc o przywództwo. Ale rysująca się teraz perspektywa śmierci zmroziła jej krew w żyłach. Cięcie miecza w gorączce walki było jak pieszczota kochanka w porównaniu z beczynnym czekaniem na śmierć głodową na tej skale, z warującym u jej stóp potwornym reliktem zamierzchłych epok... Ta myśl doprowadzała ją do obłędu.

– Przecież to cholera musi jeść i pić – powiedziała bezradnie.

– Do jednego i drugiego naprawdę ma blisko – przypomniał jej Conan. – Właśnie zżarł nam konie i jak prawdziwy wąż może teraz obywać się tygodniami bez kolejnego posiłku. No i chyba nie jest zwolennikiem poobiedniej drzemki. Tak czy inaczej, na skałę się nie wgramoli.

Conan mówił spokojnie, rzeczowo i zupełnie wyzutym z emocji głosem. Był barbarzyńcą z krwi i kości, tak więc przerażająca cierpliwość puszczy i zamieszkujących ją bestii stanowiła nieodłączny składnik jego charakteru w równym stopniu, co dzikie żądze i trudny do opanowania gniew. W największych kłopotach potrafił zachować wręcz stoicki spokój, na jaki nigdy nie zdobyłby się cywilizowany człowiek.

– Może wdrapiemy się na jakieś drzewo i przeskakując z gałęzi na gałąź jak małpy, damy w długą? – zaproponowała zdesperowana dziewczyna.

– Myślałem o tym. Przylegające do skały gałęzie są jednak za cienkie. Załamałyby się pod naszym ciężarem. A poza tym odnoszę dziwne wrażenie, graniczące z pewnością, że ten popapraniec z łatwością mógłby powyrywać każde z tych drzew razem z korzeniami.

– Czyli co, do ciężkiej cholery? Mamy tak siedzieć beczynnie na dupach i czekać, aż zdechniemy z głodu?! – wrzasnęła z dziką furią w głosie dziewczyna, kopiąc z rozmachem czaszkę, która potoczyła się po skalnej półce. – Nie zgadzam się! Słyszysz? Nie zgadzam! Zejdę na dół i obetnę kutafonowi ten paskudny łeb!

Conan rozsiadł się wygodnie na skalnym występie u stóp iglicy. Patrzył na Valerię z rosnącym zachwytem, na jej rozgorzałe od gniewu oczy i sprężyste, rozdygotane ciało, ale wiedział też, że w takim stanie jest zdolna do wszystkiego, że porwie się na każde szaleństwo, nie pozwolił więc, by ten podziw brzmiał w jego głosie.

– Usiądź – mruknął, chwytając jej nadgarstek i sadzając sobie dziewczynę na kolanie. Tak bardzo ją tym zaskoczył, że nawet nie

zaprotestowała, gdy wyjął miecz z jej dłoni i wsunął go z powrotem do pochwy. – Siedź grzecznie i uspokój się. Wyszczerebiłabyś, a może i połamabyś miecz na jego łuskach. Kłapnąłby raz szczękami i już siedziałabyś mu w brzuchu, albo majtnął tym kurewsko wielkim ogonem i rozgniółł cię jak jajo. Jakoś wybrniemy z tego bagna, ale nie wtedy, gdy najpierw nas przeżuje, a potem połknie.

Dziewczyna ani nie skomentowała perory Conana, ani też nie zareagowała, gdy objął ją w tali. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała, a dla Valerii z Czerwonego Bractwa ten obezwładniający strach był zupełnie nowym doznaniem. Siedziała więc na kolanie swego towarzysza, potulna jak baranek, co prawdopodobnie zaszokowałyby Zarallo, który swego czasu raczył nadać jej przydomek „dziwki z piekielnego burdelu”.

Conan bawił się leniwie jej kręconymi, płowymi włosami, najwyraźniej smakując niespodziewany owoc swego miłosnego podboju. Ani szkielet u stóp, ani warująca przy skale bestia nie rozpraszały go ani nie zmniejszały zainteresowania dziewczyną.

Valeria, wodząc po koronach wciąż niespokojnym wzrokiem, nagle wypatrzyła w listowiu kolorowe plamy. Były to owoce – wielkie ciemnoczerwone kule wiszące na gałęziach drzewa o szczególnie intensywnie zielonych liściach. Przypomniała sobie o ssącym w żołądku głodzie i pragnieniu, choć zachciało jej się pić dopiero wtedy, gdy zrozumiała, że nieprędko, o ile w ogóle, zejdzie ze skały, by pójść do sadzawki.

– Chyba jednak nie umrzemy tu z głodu – powiedziała. – Tam, w zasięgu ręki, rosną owoce.

Conan spojrział we wskazanym przez nią kierunku.

– Jeśli je zjemy – mruknął – bestia obejdzie się smakiem. – Czarnoskórzy mieszkańcy Kush nazywają je Jabłkami Derkety, a ona jest, jakby nie patrzeć, Królową Śmierci. Skosztuj ich soku albo pokrop nim skórę, a umrzesz szybciej, niż zdołałabyś stoczyć się do podnóża tej skały.

– Niech to szlag! – jęknęła zmieszana i zamilkła. Pomyślała ponuro, że tym razem nie wywinie się kostusze. Nie widziała żadnego sposobu na ratunek, a Conan zdawał się być pochłonięty głównie obmacywaniem jej talii i targaniem włosów. Jeśli nawet układał w głowie plan ucieczki, w najmniejszym stopniu nie dawał tego po sobie poznać.

– Jeśli odkleisz ode mnie łapska na wystarczająco długą chwilę, by wleźć na ten szczyt – powiedziała kokieteryjnie – zobaczysz coś, co cię na pewno

zaskoczy.

Spojrzał na nią z wyrazem zdziwienia na twarzy, ale wzruszył potężnymi ramionami i zrobił, o co prosiła. Uczepiwszy się skalnej iglicy, przyglądał się okolicy ponad lasem, przypominając pogrążony w ciszy i zamyśleniu gigantyczny posąg z brązu.

– Miasto otoczone warownym murem... – mruknął w końcu. – Tam zamierzałaś iść, gdy chciałaś się mnie pozbyć, wysyłając samego ku wybrzeżom na zachodzie?

– Odkryłam je ledwie chwilę przed twoim przybyciem. Uciekając z Sukhmet, nie miałam pojęcia o jego istnieniu.

– Kto mógłby pomyśleć, że tutaj leży miasto? Nie sądzę, żeby Stygijczycy zapuścili się kiedykolwiek tak daleko. A może to czarnoskórzy je pobudowali? Na równinie nie widzę ani bydła, ani pól uprawnych... Ludzi zresztą też nie.

– Jak tyś chciał z takiej odległości dojrzeć jakiegokolwiek szczegóły? – zapytała dziewczyna.

Wzruszył ramionami i usiadł na skale.

– Cóż, mieszkańcy tego miasta i tak nie mogą nam teraz pomóc. A nawet gdyby mogli, to pewnie by nie chcieli. Mieszkańcy Czarnych Krain są wrogo nastawieni do obcych. Najprawdopodobniej naszpikowaliby nas włóczykami...

Znieruchomiał nagle, jakby go piorun strzelił. I milczał, najwyraźniej zapominając, o czym wcześniej mówił, gapiąc się w zamyśleniu na szkarłatne kule, połyskujące wśród listowia.

– No jasne! Włóczykami! – wymamrotał. – Straszny ze mnie cymbał, że nie pomyślałem o tym wcześniej! Oto dowód, co potrafi zrobić z rozumem bystrego mężczyzny piękna kobieta!

– O czym ty mówisz? – spytała, nic nierozumiejąca Valeria.

Nie odpowiadając, Conan zszedł ku listowiu i spojrzał przez nie w dół. Bestia wciąż tam siedziała, wpatrując się w skałę z przerażającą cierpliwością charakterystyczną dla gadziego gatunku. Pewnie w ten sam sposób w zamierzonych czasach jej pobratymcy polowali na praprzodków człowieka, gdy ci szukali schronienia na wysokich skałach. Cymmeryjczyk ze stoickim spokojem obrzucił go w myślach stekiem wyzwisk i zaczął ścinać gałęzie, starając się wybierać te możliwe najgrubsze. Hałas wśród listowia zaniepokoił potwora, który podniósł swe cielsko, smagając najbliższą okolicę potężnym ogonem, wyrywając przy tym młode drzewka

z korzeniami. Obserwował go kątem oka i gdy Valeria pomyślała, że bestia znów spróbuje wleźć na skałę, Conan odskoczył i wrócił na półkę, dzierżąc w dłoni trzy ścięte gałęzie grubości mniej więcej kciuka i długie na siedem stóp. Przy okazji zerwał też kilka cienkich, choć wytrzymałych lian.

– Gałęzie nie nadają się na drzewce włócznie, a liany są cienkie jak sznureczki – zauważył, pokazując gęszcz listowia wokół skały. – Nie utrzymałyby naszego ciężaru, ale przecież w jedności siła. To właśnie akwilońscy renegaci mówili nam, Cymmeryjczykom, gdy przybywali w góry, by zebrać armię mogącą podbić ich własny kraj. My jednak zawsze walczyliśmy klanami i plemionami.

– Co to ma, do jasnej cholery, wspólnego z tymi patykami? – zapytała dziewczyna.

– Poczekaj cierpliwie, a zobaczysz.

Złożył gałęzie razem, otrzymując zwartą wiązkę, w której jeden z końców wsadził swój sztylet w taki sposób, że wystawało z niego ostrze, po czym obwiązał wszystko mocno lianami, w efekcie czego po chwili dzierżył w dłoni solidną włócznię długości siedmiu stóp.

– I na co to nam się przyda – rzekła Valeria – skoro sam powiedziałeś, że nawet ostrzem miecza nie przebijesz łusek.

– Nie wszędzie smoczyko ma łuski – odparł Conan. – Panterę też można oskórować na wiele sposobów.

Podszedł do krawędzi skalnej półki i wystawisz włócznię, ostrożnie zagłębił jej ostrze w mięszu jednego z Jabłek Derkety, uważając, by ani jedna kropla śmiercionośnego soku wyciekającego z owocu nie spadła mu na ciało. Po chwili wyciągnął ostrze i pokazał Valerii błękitną stal pokrytą matowym, purpurowym nalotem.

– Nie wiem, czy to zadziała, czy nie – powiedział. – Ta ilość trucizny wystarczyłaby do powalenia słonia. Pewności nie mam... Cóż, zaraz się przekonamy.

Valeria szła tuż za nim, gdy podązał w dół pod baldachimem z listowia. Ostrożnie trzymając zatrutą pikę z dala od siebie, wystawił głowę pomiędzy gałęzi i krzyknął do potwora:

– I na co czekasz, ty zaszranie pojebcu spłodzony przez unurzanych w gnoju skurwysynów?! Dalej, wystaw no tę swoją parszywą mordę, długoszyi kutasie! A może chcesz, żebym tam do ciebie zszedł, wsadził ci miecz w dupę, wypruł bebechy, a potem nasrał do paszczy?!?

Niespodziewanie dla Valerii, Conan okazał się prawdziwym artystą w obrzucaniu potwora najbardziej kwiecistymi i oryginalnymi wulgaryzmami, jakie słyszała w życiu, choć edukację w tym zakresie odbierała na pokładach galer i w ciągu długich rejsów od niewątpliwych żeglarskich mistrzów w tej dziedzinie. Stała i przysłuchiwała się tej kwiecistej kanonadzie z otwartymi ze zdumienia ustami. Również i bestia musiała być pod ich sporym wrażeniem. Jak upierdliwe ujadanie psa drażni i wprawia w szal spokojne z natury zwierzęta, tak i hałaśliwy głos człowieka wzbudza wśród niektórych bestii strach, a inne doprowadza do wściekłości. Nagle, ze zdumiewającą szybkością, gigantyczne monstrum poderwało się na tylne łapy i wystrzeliło długą szyję, chcąc za wszelką cenę dorwać tego jazgoczącego karzełka, którego wrzaski i krzyki rozdzierały boleśnie pierwotną ciszę jego dominium.

Ale Conan precyzyjnie ocenił odległość. Niecałe pięć stóp pod nim ogromna paszcza kłapnęła zębiskami, przebijając kobierzec z listowia, a gdy potworne szczęki rozwarły się znowu niczym paszcza wielkiego węża, Conan wepchnął włócznię w czerwoną gardziel. Pchnął z całej siły drzemiącej w muskularnych ramionach, wbijając pokryte trucizną ostrze głęboko w ciało, tnąc skórę, mięśnie i ścięgna. Szczęki zamknęły się konwulsyjnie, łamiąc potrójny drzewiec. Conan zachwiał się i poleciałby głową w dół, gdyby nie koci refleks Valerii, która, stojąc za nim, dosłownie w ostatniej chwili złapała go za pas w desperackim chwycie. Przytrzymał się skalnego występu i mrużąc pod nosem, podziękował dziewczynie.

U podnóża skały potwór tarzał się, przypominając psa, któremu ktoś sypnął pieprzem po ślepiach. Potrząsał łbem, drapał go pazurami i najszerzej jak mógł rozdziawiał paszczę. W pewnej chwili czystym przypadkiem nadepnął potężną łapą na wystający z mordy drzewiec i w końcu wyrwał ostrze z gardła. A potem rozpoczęło się pandemonium obłąkańczej wściekłości. Potwór targnął wysoko łbem, rozdziawiając paszczę, obryzgując wszystko wokół śliną i tryskającą z rany krwią. Spojrzał na skałę z tak przerażającym błyskiem inteligencji w oczach i dziką furiją, że Valeria zadrżała i dobytek miecza. Łuski na jego grzbiecie i bokach zmieniły kolor z rdzawobrazowego na upiorną czerwień i, co najstraszniejsze, smok ryknął z tytaniczną siłą, a dźwięki wydobywające się ze skapanej we krwi gardzieli nie przypominały ryku żadnego ziemskiego stworzenia.

Potwór rzucił się na skałę, będącą schronieniem jego wrogów, z głuchym, przeraźliwym wrzaskiem. Tłukł raz za razem potężnym łbem o drzewa, próbując poprzez gąszcz listowia pochwycić ofiary, ale szczęki łapały tylko powietrze. Nagle stanął na tylnych nogach i niczym monstrualny zapaśnik pochwycił skałę przednimi kończynami, usiłując wyrwać ją z kamiennego podłoża, jakby to było drzewo.

Ów pokaz pierwotnej wściekłości i siły zmroził Valerii krew w żyłach, lecz Conan był w swych naturalnych, pierwotnych odruchach bardzo podobny do szalejącej na dole bestii, dlatego nie odczuwał niczego więcej poza ciekawością pełną zrozumienia. Nie uważał, że jego, a zatem i innych ludzi, dzieli od zwierząt aż tak wielka przepaść, jak sądziła Valeria. Dla niego smok był tylko inną formą życia, różniącą się od człowieka jedynie wyglądem. Przypisywał mu cechy podobne do swoich, dlatego w gniewie smoka widział odbicie własnej wściekłości, a w rykach i wyciu zwierzęcą wersję wulgaryzmów, którymi go obrzucił. Czując powinowactwo ze wszelkimi rodzajami stworzeń, nawet smokami, nie był w stanie doświadczyć przerażenia i odrazy, które ogarnęły Valerię na widok rozwścieczonej bestii, dlatego teraz siedział spokojnie i beznamiętnie obserwował wszelkie widoczne zmiany w zachowaniu potwora.

– Trucizna zaczyna działać – powiedział z przekonaniem.

– Nie wierzę. – Zimny osąd Conana wydawał się Valerii skończonym kretynizmem, bowiem była święcie przekonana, że nic na tym świecie, nie wiadomo nawet jak śmiertelne, nie mogło zaszkodzić tej ociekającej furją monstrualnej górze mięśni.

– W jego ryczeniu wyraźnie słychać ból – oznajmił Conan. – Na początku dostał szau, bo coś go ukuło w szczękę, ale teraz czuje ukąszenie trucizny. Patrz! Chwieje się! Za chwilę oślepnie. Czyż ja nie jestem genialny?

Smok niespodziewanie zachwiał się i łamiąc krzewy oraz młode drzewka, popędził w głąb lasu.

– Ucieka? – z niepewnością w głosie spytała Valeria.

– Wali prosto do sadzawki! – Conan zerwał się na równe nogi, rześki, rozpromieniony, z nowym zastrzykiem energii. – Trucizna pali mu bebechy, to i chce ugasić pragnienie. Chodź! Za parę chwil oślepnie, ale po zapachu bez problemu tu wróci i jeśli wtedy poczuje naszą woń, to usadzi tu dupsko, póki nie zdechnie, a my razem z nim. Poza tym nie jestem pewien, czy tym rykiem nie zwabi w końcu pod skałę kilku swoich koleżków. Uciekamy!

– Ożeż w mordę! Mamy zejść? Na dół?!? – Valeria była przerażona.

– Pewnie! Schronimy się w mieście! Co prawda, pewnie tam odrąbią nam głowy, ale to nasza jedyna szansa. Po drodze możemy wpaść na tysiąc innych smoków, ale na tej skale zdechniemy na pewno. Szybko, za mną!

Zbiegł w dół, zwinnie jak małpa, zatrzymując się tylko po to, by pomóc swej mniej zręcznej towarzyszce. Do tej pory Valeria uważała się za równą mężczyznom we wszystkim, także w olinowaniu galery czy wspinaniu się na skały. Obserwując Conana w akcji, zrozumiała, w jakim była błędzie.

Wpełzli w mrok poniżej baldachimu z listowia i cicho zeszli na ziemię, choć Valeria dałaby sobie rękę uciąć, że bicie jej serca słychać w dżungli na wiele mil. Usłyszeli dochodzące zza gęstwiny odgłosy chleptania i łapczywego przełykania, świadczące o tym, że smok pije wodę z sadzawki.

– Wróci, kiedy napełni brzuch – wymamrotał Conan. – Trucizna działa powoli, będzie zdychać przez wiele godzin, o ile w ogóle zdechnie.

Gdzieś w oddali słońce niknęło za linią horyzontu i dżungla pociemniała jeszcze bardziej, a w mglistym półmroku zaczęły falować mroczne cienie. Conan chwycił dłoń Valerii i rzucili się do szaleńczego sprintu, by jak najszybciej uciec od podnóża skały. Mimo to doświadczony barbarzyńca czynił mniej hałasu niż wiatr tańczący pomiędzy drzewami, ale i tak dziewczyna miała wrażenie, że jej miękkie buty zdradzały ich ucieczkę wszystkim mieszkańcom ponurego lasu.

– Pewnie nie da rady iść po śladach stóp – mruknął Conan – jeśli jednak wiatr poniesie nasz zapach, bez trudu nas wywącha.

– Mitro, spraw, by przestało wiać! – niemal błagalnie westchnęła Valeria.

Jej twarz przypominała w półmroku biały owal. Dzierżyła w wolnej dłoni miecz, ale dotyk szagrynowej rękonożki wzbudzał w niej tylko uczucie bezradności.

Od skraju dżungli dzieliła ich jeszcze spora odległość, gdy niespodziewanie usłyszeli za plecami narastające z każdą chwilą trzaski i łomot. Valeria zagryzła wargi, by powstrzymać cisnący się jej na usta płacz.

– Wpadł na nasz ślad! – szepnęła.

Conan potrząsnął głową.

– Nie. Już wie, że nie ma nas na skale i dlatego desperacko węszy po lesie, by wyniuchać w powietrzu nasz zapach. Chodź! Teraz albo miasto,

albo on! Bez problemu wyrwie każde drzewo z korzeniami, na którym się schronimy. Żeby tylko nie zaczęło wiać...

Wreszcie las przed nimi zaczął się przerzedzać, zaś za plecami był mroczną i nieprzeniknioną otchłanią cieni, w której co chwilę rozbrzmiewały złowieszcze trzaski łamanych gałęzi, gdy smok niestrudzenie szukał swych ofiar.

– O, bogowie, równina – westchnęła z ulgą Valeria. – Jeszcze tylko trochę i...

– Na Croma! – zaklął Conan.

– Mitro! – szepnęła Valeria.

Z południowego kierunku, wprost w ich twarze, uderzył silny podmuch, niosąc zapach uciekinierów głęboko do pochłoniętego mrokiem lasu. Ponad korony drzew wystrzelił wściekły, paraliżujący swą siłą ryk dzikiego triumfu i nieregularne trzaski błędzenia na ślepo zastąpił ogłuszający huk, gdy smok miażdżył wszystko na swojej drodze, prac jak schodząca z gór monstualna lawina do miejsca, skąd dochodził zapach jego wrogów.

– W nogi! – wrzasnął Conan z oczami płonącymi jak ślepie osaczonego wilka. – Tylko to możemy zrobić!

Buty żeglarza nie są stworzone do biegania, a życie pirata nie czyni zeń sprintera. Po przebiegnięciu jakichś stu kroków Valeria z trudem łapała powietrze, potykając się o kamienie i kępki trawy, a zza pleców uciekinierów nie dochodziło już nieregularne łomotanie, ale jednostajna istna kanonada grzmotu i ryku, bo smok wyleciał na otwartą przestrzeń z impetem zmiatającego wszystko na swojej drodze potwornego tsunami.

Żelazne ramię Conana pochwyliło talię dziewczyny mocnym uściskiem, unosząc ją nieco ponad ziemię tak, że ledwie dotykała jej stopami, i pędzili z szybkością, której sama, na własnych nogach, nigdy by nie osiągnęła. Może gdyby jeszcze przez jakiś czas, króciutką chwilę, jeden oddech, mogli uniknąć ociekającej śliną i rozwartej mordy potwora, wiatr mógłby zmienić kierunek... ale nie zmienił, i gdy Cymmeryjczyk spojrział w pełnym biegu przez ramię, ujrzał monstualne bydlę tuż za nimi, pędzące jak gigantyczna wojenna galera niesiona na skrzydłach potężnego huraganu. Zadziałał odruchowo: odepchnął od siebie Valerię z całych sił tak, że przeleciała w powietrzu kilkanaście stóp i niczym szmaciana lalka spadła na ziemię pod najbliższym drzewem, a sam obrócił się na pięcie i stanął na drodze rozpędzonej, gigantycznej górze mięśni.

Przekonany, że za chwilę zginie, Conan zaufał barbarzyńskiemu instynktowi i z całym impetem rzucił się w stronę rozwartej mordy, połyskującej garniturem ostrych jak brzytwa kłów. Skoczył jak rozpalona żądza mordy pantera i ciął z rozmachem z całych sił, czując, jak miecz przebija twarde, zrogowaciałe łuski i pogrąża się w łbie. I wtedy nieprawdopodobnie silne uderzenie wystrzeliło umięśnione ciało w powietrze, które przeleciało w powietrzu dobre pięćdziesiąt stóp i wyrznęło z łoskotem o twardą ziemię. W jednej chwili Conan stracił oddech i niemal przytomność.

Nigdy potem nie potrafił sobie wytłumaczyć, jakim cudem wstał i ponownie ruszył do boju. Jedyne, co pamiętał, to że jego myśli śmignęły ku nieprzytomnej, bezradnie leżącej Valerii, która znajdowała się na drodze szarżującego smoka. Nim zdążył złapać oddech, stał już nad nią z mieczem w dłoni.

Dziewczyna leżała tam, gdzie ją pchnął, ale już próbowała usiąść. Trudno było w to uwierzyć, ale przewalający się nad nią w opętańczym pędzie wściekłości smok ani nie zranił jej swymi kłami, ani nie wdeptał w ziemię kolumnowymi łapskami, Conana zaś musiał huknąć umięśnionym barkiem, gdy ten zatopił miecz w smoczym łbie. Zapominając o ofiarach, oślepiiony bólem, pędził na złamanie karku wprost przed siebie targany śmiertelnymi spazmami. W końcu nisko zwieszonym łbem wyrznął o pień wielkiego drzewa. Siła uderzenia była tak wielka, że wyrwała je z korzeniami, a z rozłupanej czaszki wystrzelił mózg. Drzewo runęło na smoka i niedoszące ofiary zobaczyły, jak gałęzie i liście drżą w rytmie konwulsji wstrząsających zdychającym cielskiem.

Naraz wszystko ucichło.

Conan pomógł dziewczynie wstać i oboje pobiegli na chwiejnych nogach. Nie minęła dłuższa chwila, jak wypadli na otwartą, rozległą i bezdrzewną równinę, spowitą całunem zachodzącego słońca.

Cymmeryjczyk zatrzymał się na moment i spojrzał do tyłu na hebanową zasłonę mrocznej zieleni. Nie zadrżał żaden liść, nie zaświergotał żaden ptak. Dżungla stała skuta ciszą absolutną, taką, jaka musiała tu panować przed stworzeniem człowieka.

– Chodź – wymamrotał Conan, biorąc towarzyszkę za rękę. – Nie jesteśmy jeszcze bezpieczni. Jeśli z lasu wyleżą inne smoki...

Nie musiał kończyć tego zdania.

Na równinie zrozumieli, że miasto leży znacznie dalej, niż przypuszczali, gdy obserwowali je z półki skalnej. Serce Valerii cały czas waliło jak młotem, odbierając oddech i powodując ataki duszności. Na każdym kroku oczekiwała trzasku oraz łaskotu miażdżonych krzewów i drzew, zwiastujących atak kolejnego pradawnego monstrum, ale nic nie mąciło ciszy wokoło.

Gdy od dżungli oddzielała ich już mila otwartej przestrzeni, Valeria w końcu odetchnęła z ulgą. Powoli odzyskiwała równowagę i pewność siebie. Słońce już zaszło, a gęstniejąca nad równiną ciemność, niemrawo rozświetlana światłem gwiazd, zatapiała w ponurych cieniach z rzadka rozsiane po okolicy kaktusy, nadając im pozoru kolczastych duchów.

– Żadnego bydła, żadnych pól uprawnych – mamrotał pod nosem Conan.
– Jak ci ludzie żyją?

– Może na noc zapędzili bydło do zagród – zasugerowała Valeria – a pola i pastwiska leżą po drugiej stronie miasta.

– Być może – odparł Cymmeryjczyk. – Ale niczego podobnego nie dojrzałem ze skały.

Ponad miastem księżyc wzniosł swe skąpane w zimnym świetle oblicze, a na tle żółtej poświaty można było dostrzec ciemne kontury murów i wież. Valeria zadrżała. Czarna w księżycowym świetle bryła sprawiała wrażenie posępnej i groźnej.

Conan najwyraźniej podzielał jej obawy, bowiem przystanął, rozejrzał się wokół i powiedział:

– Tutaj nocujemy, nie będziemy dobijać się nocą do miejskiej bramy, bo i tak nikt nas nie wpuści. Musimy odzyskać siły. Nie mam pojęcia, jakie czeka nas jutro powitanie. Parę godzin snu sprawi, że będziemy lepiej przygotowani albo do walki, albo ucieczki.

Podszedł do sporej kępki kaktusów rosnących jakby w kręgu, co na południowych pustyniach jest częstym zjawiskiem. Mieczem wyrąbał przejście i szerokim, szarmanckim gestem zaprosił dziewczynę do środka.

– Przynajmniej nie będziesz musiała obawiać się węży – rzekł z szerokim uśmiechem na twarzy.

Valeria rzuciła trwożliwe spojrzenie na majaczącą sześć mil za nimi ponurą ścianę dżungli.

– Co zrobimy, jeśli wylezie stamtąd kolejny smok?

– Będziemy na zmianę stać na warcie – odparł, chociaż nie powiedział, co mogliby zrobić w takiej sytuacji. Patrzył na miasto oddalone o kilka mil.

Stało pochłonięte ciemnością. Ani jedno światełko nie rozświetlało murów, wież czy kopuł. Było jedną wielką czarną bryłą mrocznej tajemnicy, tkwiącej pośrodku wielkiej równiny na tle rozświetlonego księżycem nieba.

– Połóż się i śpij. Ja obejmę pierwszą wartę.

Valeria zawahała się, zerkając na niego niepewnie, ale on usiadł ze skrzyżowanymi nogami w przejściu między ścianą z kaktusów i wpatrywał się w mrok, położywszy sobie ogromny miecz na kolanach. Bez słowa komentarla położyła się na piasku wewnątrz kolczastego kręgu.

– Obudź mnie, kiedy księżyc będzie w zenicie – rozkazała.

Nie odpowiedział, nawet na nią nie spojrział. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła przed zaśnięciem, była jego muskularna, ogromna postać, nieruchoma jak odlany z brązu posąg, rysująca się czarną plamą na tle nisko zawieszonych gwiazd.

ROZDZIAŁ DRUGI

W POŚWIACIE OGNISTYCH KAMIENI

Valeria przebudziła się, drżąc na całym ciele, i zobaczyła, że szary, zimny świt już zakradł się nad równinę. Usiadła, przecierając zaspane oczy. Conan zajęty był odcinaniem grubych, mięsistych liści kaktusów i wyrywaniem z nich kolców.

– Cholera, nie obudziłeś mnie – powiedziała z przyganą w głosie. – Pozwoliłeś mi spać całą noc!

– Byłaś zmęczona – odparł. – A i pewnie dupcię musiałaś mieć obolałą po tak długiej jeździe. Wy, piraci, nie jesteście przyzwyczajeni do siodła.

– Co w takim razie można powiedzieć o tobie? – odgryzła się dziewczyna.

– Zanim zostałem piratem, byłem kozakiem – odrzekł. – A domem każdego kozaka jest jego siodło. To wtedy nauczyłem się spać jak pantera, gdy przyczajona w gąszczu czeka obok ścieżki na tłuściutką sarnę. Moje uszy czuwają, gdy oczy śpią.

I rzeczywiście, potężny barbarzyńca wyglądał na rześkiego i wypoczętego, jak gdyby przespał całą noc w złotym łożu. Usunąwszy kolce i twardą skórę z grubego, soczystego liścia kaktusa, wręczył dziewczynie spory kawałek.

– Zjedz to. Dla mieszkańców pustyni to codzienna strawa. Byłem kiedyś wodzem Zuagirczyków, nomadów i złodziei, którzy żyją z rabowania karawan.

– A jest coś, czym nie byłeś? – spytała dziewczyna z drwiną, ale i fascynacją.

– Nigdy nie byłem królem hyboryjskiego królestwa. – Conan wyszczerzył zęby w uśmiechu, wpychając sobie do ust olbrzymią porcję kaktusa. – Nie powiem, żebym o tym nie marzył. Może kiedyś tak się stanie, bo niby czemu nie?

Valeria potrząsnęła głową, zdumiona jego zuchwalstwem, i wgryzła się w soczysty miąższ. Liść miał przyjemny smak i pełen był chłodnego, zaspokajającego pragnienie soku. Conan skończył posiłek, wytarł dłonie

w piasek, wstał, przeczesał palcami gęstą, czarną czuprynę, zapiął pas z mieczem i powiedział:

– Dobra, komu w drogę, temu kopa. Jeśli mieszkańcy tego miasta zamierzają poderżnąć nam gardła, lepiej żeby zrobili to teraz, gdy chłodno, niż w upalne południe.

Cymmeryjczyk słynął z ponurego poczucia humoru, ale tym razem Valeria pomyślała, że może być ono prorocze. Starannie zapięła pas, poprawiła miecz, sprawdziła, czy sztylet łatwo wychodzi z pochwy i wstała. Po towarzyszącemu jej w nocy lękowi nie pozostał nawet ślad, a ryczące smoki z odległego lasu były tylko mglistym wspomnieniem. Szła obok Conana pewnym krokiem z charakterystyczną dla niej odwagą w sercu. Niezależnie od tego, jakie niebezpieczeństwa na nich czekały, przynajmniej ewentualni wrogowie będą ludźmi, a legendarna Valeria z Czerwonego Bractwa na swojej drodze nie spotkała jeszcze człowieka, który wzbudzałby w niej strach.

Conan spojrział na swoją towarzyszkę z niekłamanym podziwem, gdy maszerowała obok niego energicznym krokiem, równie szybko jak on.

– Poruszasz się jak góral, a nie jak żeglarz – powiedział. – Musisz być Akwilonką. Słońce Darfaru nie zbrązowiło ci białej skóry. Wiele księżniczek byłoby zazdrosnych.

– Pochodzę z Akwilonii – odparła dziewczyna.

Musiła przyznać, że jego komplementy już jej nie irytowały, a wręcz kłujące po oczach uwielbienie sprawiało prawdziwą przyjemność. Gdyby jakikolwiek inny mężczyzna pełnił rolę zamiast niej, pozwalając jej słodko spać, po prostu wpadłaby we wściekłość, bowiem zawsze do szewskiej pasji doprowadzały ją wszelkie przejawy protekcyjnego traktowania ze strony mężczyzny tylko dlatego, że była kobietą. Tym razem jednak postępek Conana sprawił słynnej wojowniczkę wielką radość, co prawda głęboko skrywaną, ale szczerą. Najważniejsze, że w żaden sposób nie próbował wykorzystać jej lęku oraz płynącej z niego słabości i, na przykład, nie pakował łap pod koszulę. Nie dało się tego ukryć – Cymmeryjczyk bez wątpienia był mężczyzną nietuzinkowym.

Słońce rozbiły nad miastem, spowijając wieże w złowieszczym szkarłacie.

– Czarna plama na tle księżyca – mruknął Conan z oczami pełnymi barbarzyńskiego fatalizmu – a o poranku czerwone jak krew i pewnie krew obiecujące podczas dnia. Nie podoba mi się to miasto!

Szli jednak dalej, aż w końcu Conan zauważył, że od północy nie wiodła do miasta żadna droga.

– Żadnych śladów bywała po tej stronie – powiedział. – Od lat, a może i od wieków, nikt nie orał tej ziemi, ale przypatrz się uważnie: kiedyś, bardzo dawno temu uprawiano tu rolę.

Valeria ujrzała porośnięte kaktusami, w niektórych miejscach na wpół zasypane starożytne rowy irygacyjne, na które zwrócił uwagę Conan. Zakłopotana i zdziwiona zmarszczyła brwi, ogarniając wzrokiem rozciągającą się wokół miasta równinę aż do linii dżungli, która tworzyła niewyraźny, rozległy oraz mroczny krąg. Z niepokojem spojrzała na zbliżające się w rytmie ich kroków zabudowania. Na blankach nie było żywej duszy: w porannym słońcu nie błyszczały ani hełmy, ani ostrza włóczy, milczały trąbki sygnałowe, z wież nie padały rozkazy i wezwania. Valeria już raz słyszała tę absolutną, oblepiającą wszystko ponurą ciszę. W dżungli.

Słońce stało już wysoko nad wschodnim horyzontem, gdy zatrzymali się przed wielką bramą w północnej części muru, otoczeni cieniem wysokich szanćów. Żelazne okucia potężnej bramy z brązu pokrywała rdza. Gęste nici pajęczyny zwieszały się z zawiasów, rygli i ćwieków.

– Nie otwierano jej od lat! – oświadczyła Valeria.

– Wymarłe miasto – mruknął Conan. – To dlatego rowy irygacyjne są zarośnięte, a pola nieuprawiane.

– Kto je zbudował? Kto w nim mieszkał? Gdzie się podzieli jego mieszkańcy i dlaczego je opuścili?

– Nie wiem. Może jakieś plemię stygijskich banitów, może nie... Stygijska architektura wygląda inaczej. A może mieszkańców wygnali ich wrogowie, albo wykończyła jakaś zaraza.

– W takim razie te mury wciąż mogą skrywać ich skarby, porastające teraz pajęczyną i kurzem – zasugerowała Valeria, w sercu której znowu zaczęła się budzić typowa dla profesji awanturnika zachłanność, a także charakterystyczna kobieca ciekawość. – Damy radę otworzyć bramę? Wejźmy do środka i rozejrzyjmy się trochę.

Conan spojrzał z powątpiewaniem na ciężkie wrota, ale wsparł się o nie masywnymi ramionami i pchnął z całą siłą masywnych barków i nóg. Brama otwierała się ciężko z przeraźliwym zgrzytem zardzewiałych zawiasów. Conan wyprostował się, chwytając za miecz. Valeria zerknęła przez jego ramię i głośno westchnęła zdumiona widokiem.

Zwykle przez bramę miejską wchodziło się od razu na jakąś ulicę bądź obszerny plac, ale tutaj wrota wiodły do długiego, szerokiego korytarza, którego koniec nikał gdzieś w oddali. Jego twórcy zadbali, by sprawiał monumentalne wrażenie: niezwykle wysoki, posadzkę miał wyłożoną kwadratowymi płytami wyrzniętymi w dziwnym czerwonym kamieniu, który sprawiał wrażenie, jakby płonął, zaś jego ściany ozdobiono lśniącym zielonkawym minerałem.

– Jeśli to nie jadeit, to ja jestem Shemitą! – powiedział Conan.

– W takiej ilości? – zaprotestowała Valeria.

– Nakradłem go wystarczająco dużo khitajskim karawanom, bym wiedział, o czym mówię – upewnił ją. – To jadeit!

Łukowate sklepienie z lapis lazuli ozdabiały wielkie zielone kamienie, pobłyskujące jadowitą poświatą.

– Zielone kamienie ogniste! – mruknął zaskoczony Conan. – Tak nazywają je mieszkańcy Punt. Ludzie gadają, że to skamieniałe oczy prehistorycznych gadów, które starożytni nazywali Złotymi Wężami. Świecą w ciemności jak oczy kota. Nocą rozświetlą ten korytarz, ale moim zdaniem to demoniczna poświata. Rozejrzyjmy się. Może znajdziemy jakieś ukryte skarby.

– Zamknij wrota – poradziła Valeria. – Nie chciałabym przez ten korytarz uciekać przed smokiem.

Conan skrzywił się i odparł:

– Nie sądzę, by smoki kiedykolwiek wychodziły z lasu.

Spełnił jednak jej prośbę, po czym pokazał dziewczynie złamany rygiel po wewnętrznej stronie wrót.

– Gdy otwierałem bramę, usłyszałem jakiś trzask. Spójrz, ten rygiel pękł przed chwilą, tak bardzo jest przeżarty rdzą. Nie rozumiem jednego: jeśli mieszkańcy stąd uciekli, czemu brama była zamknięta od wewnątrz?

– Pewnie dali drapaka innym wyjściem – zasugerowała Valeria.

Zastanawiała się, ile stuleci upłynęło, odkądienne światło gościło w tym korytarzu, zaglądając przez otwartą bramę. Jednak jakimś sposobem promienie słońca wpadały do korytarza i szybko odkryli ich źródło. Wysoko, w łukowatym sklepieniu, wykuto podłużne szczeliny, w którym rozmieszczono świetliki wykonane z dziwnego materiału przypominającego kryształ. W plamach cienia pomiędzy nimi mrugały zielone kamienie jak oczy wściekłych kotów. Posadzka pod ich stopami żarzyła się istną feerią tęczy kolorów i różnymi odcieniami ognia. Było to jak stąpanie po

rozpalonym ogniem dnie piekła z błyszczącymi ponad głową złowrogimi gwiazdami.

Po obu stronach korytarza ciągnęły się obramowane misternie rzeźbionymi balustradami trzy galerie posadowione jedna nad drugą.

– Pomieszczenie ma cztery kondygnacje – stwierdził Conan – a ten korytarz sięga aż pod dach. Jest długi jak ulica i zdaje mi się, że na jego końcu widzę drzwi.

Valeria wzruszyła białymi ramionami.

– W takim razie masz lepszy wzrok ode mnie, choć wśród żeglarskiej braci uchodzę za bystrooką.

Przeszli przez pierwsze lepsze drzwi i przemaszerowali amfiladą pustych komnat z posadzką wyłożoną tym samym kamieniem, których ściany ozdobiono jadem, marmurem, kością słoniową i chalcedonem, dekorując dodatkowo wymyślnymi fryzami z brązu, złota i srebra. Tym samym upiornym blaskiem lśniły w sklepieniu zielone kamienie, sprawiając przerażające wrażenie, o czym zresztą chwilę wcześniej mówił Conan. W ich nieziemskiej poświacie intruzi poruszali się niczym duchy.

Niektóre z komnat były ciemne, najwyraźniej tam nie było świecących kamieni, a wiodące do nich drzwi ziały mroczną, lepką czernią, jakby były portalami do piekła. Conan i Valeria unikali ich, trzymając się oświetlonych pomieszczeń.

W kątach zwieszały się pajęczyny, ale na posadzce nie zalegał kurz, podobnie jak na stojących w komnatach stołach i siedziskach z marmuru, jadem i chalcedonu. Tu i ówdzie wisiały draperie z jedwabiu, zwanego powszechnie khitan i uznawanego za praktycznie niezniszczalny. Nigdzie nie zauważyli żadnych okien ani drzwi wychodzących na ulice czy dziedzińce. Każde z nich zawsze wiodły tylko do następnej komnaty lub korytarza.

– Dlaczego nie ma wyjścia na jakąś ulicę? – dziwiła się coraz bardziej Valeria. – Ten pałac, czy cokolwiek to jest, musi być równie wielki jak harem króla Turanu.



Conan spojrział z powątpiewaniem na ciężkie wrota, ale wsparł się o nie masywnymi ramionami i pchnął z całą siłą masywnych barków i nóg.

– Raczej nie zginęli od żadnej zarazy – powiedział Conan, zastanawiając się nad tajemnicą pustego miasta. – Gdyby tak było, w końcu natrafilibyśmy na szkielety. Może miasto jest nawiedzone i mieszkańcy stąd uciekli? Może...

– Do cholery, tylko może i może! – przerwała mu szorstko. – Nigdy się tego nie dowiemy! Popatrz na te malowidła. Widać na nich ludzi. Wiesz, do

jakiego ludu należą?

– Nigdy takich nie widziałem. Ale rysy twarzy mają jakieś takie... wschodnie. Nie jestem pewien... Vendia albo Kosala?

– Aha, czyli byłeś też królem Kosali? – spytała, ukrywając szczerą ciekawość pod maską drwiny.

– Nie byłem, ale za to przewodziłem Afgulisom, którzy zamieszkują Góry Himeliańskie wzdłuż granic z Vendią, a oni wspierają Kosalan. Ale, do jasnej cholery, po co tak daleko na zachodzie Kosalanie mieliby budować ufortyfikowane miasto i do tego jeszcze o tak dziwnej architekturze?

Malowidła przedstawiały szczupłych mężczyzn i kobiety o delikatnych egzotycznych rysach i oliwkowej cerze, odzianych w prześwitujące szaty, obwieszonych drogocennymi klejnotami, przeważnie podczas ucztowania, tańczenia i uprawiania radosnego seksu w pozycjach mogących przyprawić o zawrót głowy nawet zdolnego akrobatę.

– Wszystko jasne, to musi być jakiś lud pochodzący ze Wschodu – mruknął Conan, kontemplując oglądane sceny. – Ale skąd, nie wiem. Musieli jednak wieść dość spokojne życie, inaczej przedstawialiby także sceny wojen i bitew. Wejdźmy po tych schodach.

Wiodły one na górne kondygnacje spiralą z kości słoniowej. Przebyli trzy piętra i dotarli do obszernego pomieszczenia, które najwidoczniej znajdowało się na najwyższym poziomie. Światliki w sklepieniu oświetlały wnętrze, a skąpane w dziennym świetle ogniste klejnoty blado migotały. Zajrzeli przez wszystkie drzwi, które, za wyjątkiem jednych, prowadziły do podobnie oświetlonych komnat. Ów wyjątkowy portal prowadził jednak na galerię zawieszoną nad salą, która była znacznie mniejsza od tej, z której rozpoczęli swoją wspinaczkę.

– Niech to szlag! – Zasmucona i rozczarowana Valeria usiadła na jadeitowej ławie. – Ludzie, którzy opuścili to miasto, musieli zabrać ze sobą wszystkie skarby. Mam już dosyć łażenia bez celu po tych pustych komnatach.

– Wszystkie komnaty na górze wydają się oświetlone. Chciałbym znaleźć okno, z którego można wyjrzeć na miasto. Sprawdźmy, dokąd one prowadzą.

– Idź sam – powiedziała Valeria. – Ja tu posiedzę i odpocznę.

Conan zniknął w drzwiach prowadzących na galerię, a Valeria rozłożyła się wygodnie na ławie z rękami pod głową. Te skąpane w ciszy sale

i korytarze ze świecącymi, zielonymi kamieniami i ognistą posadzką zaczynały ją przygnębiać. Teraz nie pragnęła już skarbów, tylko znalezienia wyjścia z tego labiryntu i odetchnięcia świeżym powietrzem. Zastanawiała się, kto wieki temu skradał się po tych płomiennych posadzkach i jak wiele okrutnych i tajemniczych scen oświeślały niegdyś zielono świecące kamienie.

Z zamyślenia wyrwał ją cichy szmer. Zerwała się na równe nogi z mieczem w dłoni, zanim zdała sobie sprawę z tego, co ją zaniepokoiło. Conan nie wracał, ale dobrze wiedziała, że to nie jego kroki słyszała.

Dźwięk dochodził zza wychodzących na galerię drzwi. W swym butach z miękkiej skóry podbiegła do nich bezszelestnie, przeczołgała po balkonie i spojrzała w dół pomiędzy ciężkimi kolumnami balustrady.

Przez sień skradał się człowiek.

Widok ludzkiej istoty w mieście, które uznali z Conanem za wyludnione, był dla niej szokiem. Klęcząc za balustradą, z nerwami napiętymi jak postronki, obserwowała tajemniczą postać.

Człowiek ten na pewno nie miał nic wspólnego z ludźmi przedstawionymi na malowidłach. Był nieco powyżej średniego wzrostu, o bardzo ciemnej skórze, choć nie należał do czarnoskórych plemion; miał na sobie skąpą, jedwabną przepaskę na biodrach, która ledwie zakrywała muskularne uda, ściągniętą wokół szczupłej talii szerokim na dłoń skórzanym pasem. Wyglądał na chudego, wręcz wygłodzonego, ale na jego ramionach i nogach piętrzyły się imponujące mięśnie. Muskularny był na pewno, ale przystojny już nie. Swoją posturą sprawiał wrażenie człowieka zbudowanego tak oszczędnie, że niemal odpychająco.

Ale to nie jego wygląd, ale zachowanie zdziwiło najbardziej Valerię. Skradał się przygarbiony, ostrożny i czujny, cały czas gorączkowo rozglądając się na boki. W prawej dłoni trzymał nóż o szerokim ostrzu, który drżał, a którego drżenie powodowały łatwe do odczytania emocje. Mężczyzna najwyczejniej w świecie umierał ze strachu. Gdy odwrócił głowę w jej stronę, Valeria zauważyła blask dzikich oczu, spoglądających pomiędzy kosmyków czarnych włosów.

Nie zauważył jej. Przekradł się na palcach przez korytarz i zniknął w otwartych drzwiach. Chwilę później usłyszała zduszony krzyk i ponownie zapadła cisza.

Zżerana przez ciekawość przemknęła się przez galerię, docierając do drzwi położonych dokładnie nad tymi, przez które przeszedł nieznajomy.

Wiodły na inną galerię okalającą przestronną komnatę.

Komnata ta znajdowała się na trzecim poziomie, a jej sklepienie było znacznie niższe niż sufit w korytarzu. Oświetlały ją jedynie ogniste kamienie, a przez to ich ponura zielonkawa poświata nie docierała do zacienionych przez galerię miejsc.

Valeria szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Człowiek, którego zobaczyła wcześniej, wciąż był w komnacie. Leżał twarzą do dołu na ciemnopurpurowym dywanie na środku komnaty. Jego ciało było bezwładne, ręce szeroko rozrzucone. Zakrzywiony nóż leżał obok.

Zastanawiała się, dlaczego leży nieruchomo. Gdy jednak uważniej przyjrzała się dywanowi, wszystko zrozumiała: wokół nieznanego miał inny kolor – głębszy i jaśniejszy odcień purpury.

Drżąc lekko na całym ciele, przykłęka tuż za balustradą, starając się ze wszystkich sił przebić wzrokiem gęste cienie pod galerią. Nie kryły żadnych sekretów.

I nagle kolejna postać dołączyła do ponurego dramatu. Z drzwi po przeciwległej stronie wyłonił się człowiek łudzaco podobny do pierwszego. Gdy ujrzał ciało rozciągnięte na posadzce, jego oczy zalśniły i powiedział cichym, pełnym niepokoju głosem coś, co brzmiało jak „chicmec!”. Leżący mężczyzna nie drgnął.

Przybysz podbiegł do ciała, schylił się, chwycił je za ramię i przewrócił na wznak. Z jego szeroko rozwartych w przerażeniu ust wyrwał się zduszony krzyk, gdy głowa mężczyzny bezwładnie opadła do tyłu, ukazując poderżnięte od ucha do ucha gardło.

Przybysz natychmiast puścił ciało, pozwalając mu opaść z powrotem na dywan i zerwał się na równe nogi, drżąc na całym ciele, jak trawiony gorączką. Twarz mu pobladła. Już miał odwrócić się na pięcie i umknąć z komnaty, gdy stanął jak wryty i patrzył wprost przed siebie zmartwiałymi z przerażenia oczami.

W półmroku pod galerią zaczęło świecić coraz intensywniejsze, upiorne światło, które nie pochodziło od zielonych kamieni. Valeria poczuła, jak włosy stają jej dęba na głowie, gdyż w pulsującej poświacie unosiła się ledwo widoczna, dziwnie zniekształcona ludzka czaszka, z której emanowało owo widmowe światło. Wisiała tam złowroźnie – wydrapana z czerni i cienia; wisiała niczym ociekający okrucieństwem koszmar z każdą chwilą przybierający ostrzejsze kontury. Nie było w niej nic

ludzkiego, a przynajmniej nic ludzkiego w takim sensie, w jakim rozumiała to pojęcie Valeria.

Mężczyznę na dole sparaliżowało przerażenie, stał bezradnie, nie odrywając on niej oczu. A zjawa oddzieliła się od ściany, ciągnąc za sobą groteskowy cień, który z wolna przybrał człekopodobny kształt, połyskujący upiorną bielą ludzkich kości. Stercząca z ramion czaszka, otulona upiorną aureolą, intensywnie wżerała się spojrzeniem pustych oczodołów w oszołomionego mężczyznę, który, najwidoczniej albo nie potrafił, albo nie mógł oderwać od niej wzroku. Stał jak słup soli z nożem zwisającym z bezwładnych palców, przypominając ofiarę mrocznego hipnotyzera.

Nagle Valeria zrozumiała, że mężczyznę paraliżował nie tylko strach, bowiem w pulsującej poświacie było coś niepojętego, niezrozumiałego, coś, co pozbawiło go zdolności myślenia i działania. Choć sama znajdowała się w bezpiecznym miejscu na galerii, to wyraźnie czuła niezbyt silny, ale jednak wyraźny wpływ owej tajemniczej siły na jej umysł.

Zjawa pełzła do swojej ofiary, a ta wreszcie się poruszyła, nie po to, by uciec czy walczyć – padła bowiem na kolana, wypuszczając z ręki nóż i kryjąc twarz w dłoniach. Mężczyzna klęczał jak skazaniec, oczekując śmiertelnego cięcia mieczem, który nie wiadomo skąd pojawił się w dłoni zjawy, stojącej teraz nad nim niczym triumfująca śmierć nad rodzajem ludzkim.

Valeria postąpiła zgodnie z pierwszym impulsem swej nieobliczalnej natury. Jednym tygrysim ruchem przeskoczyła balustradę i zeskoczyła na posadzkę za plecami przerażającej istoty. Ta odwróciła się na pięcie na odgłos miękkich butów. Zdecydowanie za wolno. Była dopiero w połowie obrotu, gdy złaknione krwi ostrze Valerii opadło. Serce dziewczyny rozpalila dzika radość, gdy poczuła że miecz tnie realne ciało i twarde kości.

Zjawa krzyknęła rozzwierając, czysto po ludzku, i padła na posadzkę po mistrzowsku cięta przez ramię, mostek i kręgosłup, a wtedy płonąca czaszka potoczyła się po ziemi, odsłaniając czarne włosy i ciemną twarz wykrzywioną grymasem śmierci. Valeria oniemiała, bo koszmarna zjawa okazała się człowiekiem z krwi i kości i na dodatek bardzo podobnym do bezwolnie klęczącego na dywanie nieznanego. A ten uniósł głowę, słysząc świst opadającego miecza i wrzask szlachtowanego, a teraz patrzył

zaszokowanymi, dzikimi oczami na piękną, białoskórą kobietę, która stała nad trupem ze skrwawionym mieczem i wielce zadowoloną miną.

Wstał chwiejnie, mamrocząc coś pod nosem, jakby oglądany widok doprowadził go do obłędu. I wtedy Valeria oniemiała zupełnie, bo doskonale rozumiała mowę mężczyzny, który, choć mówił w nieznanym jej dialekcie, to jednak bez wątpienia po stygijsku.

– Kim jesteś? Skąd przyszłaś? Co robisz w Xuchotl? – I mówił dalej, nie czekając na odpowiedź. – Ale jesteś przyjacielem, nieważne czy demonem, czy boginią! Zabiłaś Płonącą Czaszkę! A pod nią skrywał się tylko człowiek! Człowiek, rozumiesz? Uważaliśmy go za demona z katakumb, wezwanego przez nich! Posłuchaj...

Mężczyzna zamilkł natychmiast, przerywając swe brednie, i zeszywniał, wyciągając słuch. Dziewczyna nic nie słyszała.

– Musimy się pospieszyć! – wyszeptał. – Oni są już na zachód od Wielkiej Sali. Mogą nas okrążyć! A może już się skradają!

Pochwycił jej nadgarstek w konwulsyjnym uścisku, z którego nie mogła się wyzwolić.

– Jacy „oni”? Kim są ci „oni”? – spytała.

Spojrzał na nią, jakby zaszokowany i zdumiony jej bezgraniczną indolencją.

– Oni? – zająkał się. – Przecież „oni” to lud Xotalanc! Klan, do którego należy zabity przez ciebie mężczyzna. Ci, którzy mieszkają przy wschodniej bramie.

– Czekaj, chcesz powiedzieć, że to miasto jest zamieszkałe?!? – wykrzyknęła.

– Ależ tak, tak, oczywiście, że tak! – Nieznajomy niecierpliwił się coraz bardziej. – Chodźmy stąd! Uciekajmy! Musimy powrócić do Tecuhltli!

– Gdzie to jest? – postanowiła dopytać Valeria.

– Miejsce przy zachodniej bramie! – Znów ucapił ją za nadgarstek i ciągnął w kierunku drzwi, przez które wcześniej wszedł. Wielkie krople potu lśniły na jego ciemnym czole, a oczy płonęły przerażeniem.

– Stój, do jasnej cholery! – warknęła kobieta, wyrrywając dłoń z uścisku. – Łapy precz, bo inaczej ci łeb rozwalę! Co tu się dzieje? Kim jesteś? Dokąd chciałbyś mnie zabrać?

Mężczyzna w końcu opanował skołatane nerwy, ale i tak rozglądał się trwożliwie wokoło, przy okazji wyrzucając z siebie słowa tak szybko, że zlewały się w jedną, właściwie niemożliwą do zrozumienia całość.

– Jestem Techotl jestem z Tecuhltli ja i ten co tam leży z poderżniętym gardłem przyszedliśmy do Sal Milczenia bo chcieliśmy spróbować zastawić pułapkę na paru Xotalanców... rozdzieliliśmy się a kiedy tu wróciłem on już tu leżał zaszlachtowany wiem oczywiście to robota Płonącej Czaszki i pewnie mnie by poderżnął to znaczy gardło poderżnął ale przecież go zabiłaś... może nie jest sam może inni z Xotalanc właśnie się skradają... pod samymi bogami uginają się nogi na myśl co oni robią z żywymi jeńcami!

Techotl trząsał się jak w febrze, a jego ciemna twarz gwałtownie pobladła. Valeria spoglądała na niego spode łba. Instynktownie czuła, że ta cała paplanina ma jakiś głębszy sens, ale jaki, nie miała najmniejszego pojęcia.

Podeszła do czaszki, która wciąż pulsowała upiorną poświatą na posadzce. Już miała delikatnie w nią puknąć obutą stopą, tak z czystej kobiecej ciekawości, ale wtedy człowiek, który nazwał się Techotlem, doskoczył do niej z przejmującym wrzaskiem.

– Nie tykaj jej! Nawet na nią nie patrz! Czai się w niej szaleństwo i śmierć. Czarnoksiężnicy z Xotalanc znają jej sekrety. Znaleźli ją w katakumbach, gdzie złożone leżą kości straszliwych królów, rządzących Xuchotl w mrocznych otchłaniach przeszłości. Patrzenie na nią mrozi krew w żyłach i deformuje mózg śmiałka, który nie pojmuje jej sekretów, zaś dotknięcie powoduje natychmiastowe szaleństwo i śmierć!

Valeria spojrzała na niego ponurym i niepewnym wzrokiem. Mężczyzna nie wzbudzał zaufania tym swoim dziwnym wyglądem: żyłastą sylwetką i zmierzwionymi włosami przypominającymi syczące węże. W jego oczach, za maską przerażenia, jaśniało tajemnicze światło, którego nigdy nie widziała w oczach człowieka w pełni zdrowego na umyśle. A mimo to jego ostrzeżenia brzmiały szczerze i wiarygodnie.

– Chodź! – błagał, wyciągając odruchowo dłoń w jej stronę, którą natychmiast cofnął na wspomnienie usłyszonej groźby. – Jesteś obca. Nie wiem, jak się tu dostałaś, ale gdybyś była boginią lub demonem, zesłanym ludowi Tecuhltli do pomocy, o nic byś nie pytała. W takim razie musiałas przybyć z za wielkiego lasu, skąd przybyli nasi przodkowie. Ale jesteś też naszym sprzymierzeńcem, w przeciwnym razie nie zabiłabyś mego wroga. Chodź szybko, inaczej Xotalancowie znajdą nas i zarzną!

Valeria przeniosła wzrok z jego przerażonej twarzy na odrażającą czaszkę, cały czas żarzącą się świetlicie na posadzce obok trupa. Wyglądała jak czaszka z najgorszych koszmarów, niewątpliwie ludzka,

a przecież zdeformowana w niepojęty sposób. Właściciel tej czaszki musiał za życia sprawiać potworne, wręcz nieludzkie wrażenie. Ale jakiego życia? Trudno było oprzeć się wrażeniu, że czaszka sama w sobie posiada jakiś rodzaj istnienia czy trwania. Nagle ohydny czerep rozwarł na dziewczynę szczęki i zatrzasnął je, a poświata stała się jaśniejsza, bardziej energiczna, wokoło rzeczywistość przestała nagle być rzeczywistością, jakby ktoś odwrócił ją na drugą stronę i uwolnił koszmary, majaki i zgrozę... może całe życie jest snem, ułudą, oszustwem...

Natarczywy głos Techotla wyrwał Valerię z nadchodzącego obłądu.

– Nie patrz na czaszkę! Nie patrz na czaszkę!!! – Odległy krzyk dochodził spoza niezmierzonej pustki.

Dziewczyna potrząsnęła głową niczym lew własną grzywą. Oprzytomniał jej wzrok.

Techotl gadał jak nakręcony:

– Za życia była domem dla odrażającego mózgu samego króla czarnoksiężników! I ciągle tli się w niej życie i płomień magii z niezbadanych czeluści!

Valeria miała już dosyć tej czaszki, komnaty, trupa na podłodze, paplaniny nieznanego o imieniu Techotl i nawet dywanu. Z siarczystym przekleństwem na ustach skoczyła jak pantera i jednym uderzeniem miecza roztrzaskała magiczny czerep na tysiące płonących kawałeczków. Gdzieś w komnacie, a może w czarnym kosmosie, a może tylko w ponurych zakątkach jej podświadomości, zawył z wściekłości i bólu nieludzki głos.

Techotl coraz mocniej szarpał jej ramię i bełkotał:

– Rozbiłaś ją! Zniszczyłaś! Teraz nawet mroczne sztuki Xotalanców nie zdołają jej wskrzesić! Uciekajmy! Uciekajmy prędko, teraz! Teraaaz!!!

– Na Mitrę, nie wydzieraj się tak! – ofuknęła go dziewczyna. – Nigdzie nie idę. Gdzieś tu w pobliżu jest mój towarzysz i...

Nie dokończyła, bo zauważyła, jak nagle zmienił się wyraz jego twarzy, która przybrała barwę popiołu, a oczy rozszerzyły się tak bardzo, że wyglądały jak talerze udekorowane krwistoczerwonym przerażeniem. Gwałtownie obróciła się na pięcie dokładnie w chwili, gdy czterech mężczyzn, którzy wpadli do komnaty przez czworo drzwi, zaczęło otaczać ją i Techotla. Wyglądali podobnie do tych, których już tutaj widziała – te same węzły mięśni przyczepione do chudego ciała, te same proste sinoczarne włosy, te same szeroko otwarte oczy okraszone lśnieniem dzikości i nienawiści. Byli uzbrojeni i ubrani jak Techotl, ale na piersiach

nosili wymalowany znak białej czaszki. Nie przeklinali, nie krzyczeli, nie wrzeszczeli, tylko z miejsca runęli do gardeł swych wrogów jak złaknione krwi tygrysy. Nieoczekiwanie Techotl ruszył ku nim z desperacką furią – zwinnie zszedł z linii ciosu, zwarł się z przeciwnikiem i samym tylko impetem obalił na posadzkę, gdzie zaczęła się bezlitosna, chaotyczna młocka pięści, zębów i pazurów. A wszystko to w przejmującej ciszy. Pozostali trzej skoczyli ku Valerii, a ich oczy płonęły czerwienią jak ślepie wściekłych psów.

Pierwszego zabiła bez wysiłku, niemalże od razu, gdy tylko znalazł się w jej zasięgu i nim zdążył unieść miecz. Cięcie było oszczędne, ale zabójcze, rozłupała mu czaszkę długim, prostym ostrzem. W zwinnym piruecie zeszła z linii pchnięcia, jednocześnie parując cios z góry. Jej oczy rozbłysły czystą radością, a piękne usta wykrzywiły się w bezlitosnym uśmiechu, bo znów była sobą, była Valerią z Czerwonego Bractwa i dźwięczna melodia uderzania stali o stal brzmiała w jej uszach jak najśladniejszy i najpiękniejszy marsz weselny.

Czując czystą rozkosz, bez żadnego problemu wyprowadziła swoim mieczem, obok niezdarnie postawionej zastawy, zabójcze pchnięcie. Ostrze na głębokość sześciu cali zatoneło w brzuchu, rozpruwając przeponę. Mężczyzna jęknął ścięty bólem i trzymając się za rozorany brzuch opadł na kolana. W tej samej chwili jego towarzysz zmienił taktykę i zaczął zwyczajnie walić mieczem z taką furią i tak zapamiętale, że Valeria nie miała okazji do kontrataku. Oczywiście, nie spanikowała, jej przeciwnik tłukł ostrzem jak oszalały, rozpalony żądzą mordy, a ona spokojnie, z zimną krwią, cofała się krok za krokiem, parując ciosy i wypatrując dogodnej chwili do kontrataku. Mężczyzna nie mógł zbyt długo obsypywać ją takim gradem uderzeń. Valeria wiedziała, że w końcu ramię mu osłabnie, straci oddech, zachwieje się na nogach, a wtedy wbije mu ostrze prosto w serce.

Kątem oka zauważyła, że Techotl klęczy na piersi wroga, usiłując wyrwać swoją dłoń ze sztyletem z jego uścisku, by potem wbić go głęboko w gardło leżącego.

Zaperlił się pot na czole atakującego ją furiata, a jego oczy płonęły jak węgle. Walił mieczem od dłuższej chwili ze wszystkich sił, a i tak nie potrafił przełamać obrony Valerii. Oddychał ciężko otwartymi ustami, zaczynał chwiać się na nogach i chybiać. Dziewczyna tylko na to czekała. Postąpiła krok do tyłu, chcąc go sprowokować do nieprzemyślanego

wypadu... I nagle poczuła, że na jej udach zacisnęły się kleszcze żelaznego uścisku.

Kompletnie zapomniała o rannym na podłodze.

Ten podniósł się na kolana i oburącz obłapił nogi dziewczyny. Na ten widok jego kompan triumfalnie zawył, pewien zwycięstwa. Z miejsca zaczął zachodzić Valerię z lewej strony. Próbowwała ze wszystkich sił wyrwać się, szarpiąc i tłukąc wolną ręką tę wielką, zdychającą dwunożną pijawkę, wszystko jednak na próżno. Oczywiście mogła w mgnieniu oka zarąbać mężczyznę, ale wtedy zakrzywione ostrze rosłego wojownika rozłupałoby jej czaszkę. Ranny zatopił swe zęby w jej ponętne udo, zaciskając szczęki z siłą głodnego krokodyla.

Valeria zawyła z wściekłości.

Odruchowo lewą ręką chwyciła go za długie włosy, odchylając mu głowę do tyłu, aż zobaczyła ociekające śliną, lśniące zęby i płonące dzikością oczy. W tej samej chwili rosły Xotalanc wrzasnął gniewnie i skoczył, uderzając z potworną siłą muskularnego ramienia. Sparowała niezgrabnie cios tak silny, że zastawa jej własnego miecza huknęła ją w czoło. Zobaczyła przed oczami cały gwiazdozbiór i straciła równowagę. Xotalanc ponownie uniósł miecz ze zwierzęcym, niskim rykiem triumfu i... I nagle za jego plecami wyrosła gigantyczna postać. Powietrze z szybkością błyskawicy przecięło ostrze olbrzymiego miecza. Z miejsca urwał się wrzask. Nidoszły zabójca Valerii padł na posadzkę jak wół pod toporem rzeźnika, a z rozłupanej aż po szyję czaszki prysnął mózg, obryzgując wszystkich wokół.

– Conan! – sapnęła Valeria. W porywie szału nachyliła się nad rannym wojownikiem, którego długie włosy wciąż jeszcze trzymała w lewej dłoni.

– Ty skurwiony, pojebany kundlu!!! – wrzasnęła, dając upust całej swojej wściekłości i jednym zamaszystym cięciem miecza odrąbała mu głowę. Bezgłowy tors, tryskając fontanną krwi, osunął się na posadzkę. Valeria cisnęła trzymany w dłoni czerep aż na drugi koniec komnaty.

– Co tu się dzieje, do ciężkiej cholery?! – Conan z mieczem w dłoni stanął okrakiem nad trupem, zdumiony rozglądając się wokoło.

Techotl podniósł się znad drgającej ciała ostatniego Xotalanca, otrząsając krople krwi ze swojego sztyletu. Krwawił z głębokiej rany na udzie i patrzył na Conana szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

– O co tu chodzi? – zapytał znowu Conan, zaskoczony widokiem Valerii walczącej na śmierć i życie z tymi dziwnymi ludźmi i to w mieście, które

uznał za wymarłe.

Gdy powrócił z bezowocnej wędrówki po górnych komnatach, i odkrył, że Valerii nie ma w komnacie, w której ją zostawił, ruszył za odgłosem walki docierającym do jego uszu.

– Pięć martwych psów! – podniecał się Techotl, w którego oczach płonęło upiorne podniecenie. – Pięć trupów! Pięć czerwonych ćwieków na czarną kolumnę! Bogom krwi niech będą dzięki!

Wzniósł drżące dłonie, po czym, z odrażającym wyrazem twarzy, opluł trupy i podeptał im twarze, tańcząc po nich z makabryczną radością. Jego świeżo zdobyci sojusznicy spojrzeli na niego w zdumieniu, a Conan zapytał po akwilońsku:

– Co to za czubek?

Valeria wzruszyła ramionami.

– Mówi, że zwał go Techotl. Z jego bełkotu wnioskuje, że on wraz ze swoimi mieszka na jednym końcu tego zwariowanego miasta, a ci przez nas porąbani na drugim końcu. Tak sobie myślę, że powinniśmy pójść za nim. Jak widzisz, jest przyjaźnie nastawiony, czego nie mogę powiedzieć o tych... drugich.

Techotl, nasyciwszy serce tańcem po trupach, przechylił głowę na bok jak pies i zaczął się czemuś bacznie przysłuchiwać. Na jego odrażającej twarzy triumf zmagił się z przerażeniem.

– Teraz uciekajmy! – szepnął. – Zrobiliśmy wystarczająco dużo! Pięć martwych psów! Moi rodacy przywitają was serdecznie! Uhonorują! Nagrodzą! Ale teraz musimy stąd uciekać! Daleka jest droga do Tecuhtli! W każdej chwili Xotalancowie mogą nas osaczyć w takiej liczbie, że nawet wasze wielkie miecze nic nie poradzą.

– Prowadź! – mruknął Conan.

Techotl natychmiast wspiał się na schody wiodące ku galerii, zachęcając ich wyraźnymi gestami, by podążali za nim. Szli szybko, bo nie chcieli stracić go z oczu. Gdy dotarli do galerii, śmignął przez drzwi po zachodniej stronie, prowadząc przez olbrzymią amfiladę komnat, oświetlanych albo przez świetliki w suficie, albo przez ogniste kamienie.

– Co to za miejsce? – mruknęła pod nosem Valeria. – O co w tym wszystkim chodzi?

– Cholera wie! – odparł Conan. – Ja już widziałem takich ludzi. Żyją na brzegach jeziora Zuad, niedaleko granicy z Kush. To jakiś rodzaj Stygijczyków, którzy zmieszali krew z innym narodem, przybyłym do

Stygii kilka stuleci temu gdzieś ze Wschodu. Ludzie nazywają się Tlazitlanami. Mogę się jednak założyć o beczkę wina, że oni tego miasta nie zbudowali.

Nic nie wskazywało na to, by strach Techotla minął, choć z każdą chwilą oddalali się od komnaty, w której pozostawili zarąbane ciała. Wciąż się oglądał, nasłuchując dźwięków pogoni i sprawdzał każde mijane przez nich drzwi.

Valeria zadrżała mimo woli. Nigdy nie bała się ludzi, ale osobiwa posadzka pod stopami, złowieszczo pobłyskujące klejnoty nad głową, dodatkowo zagęszczające już i tak lepkie od mroku cienie pod sklepieniem, i niezrozumiały strach ich przewodnika, wszystko to budziło w jej męznym sercu trwogę przed czającym się gdzieś nienazwanym, nieludzkim niebezpieczeństwem.

– Mogą czaić się na drodze do Tecuhltli – wyszeptał nagle Techotl. – Musimy być ostrożni, by nie wpaść w zastawioną przez nich zasadzkę.

– A czemu nie wyjdziemy z tego cholernego pałacu i nie ruszymy ulicami? – spytała Valeria.

– Bo w Xuchotl nie ma ulic – odparł. – Placów i dziedzińców pod otwartym niebem też nie. Całe miasto to pałac pod jednym, olbrzymim dachem. Jeżeli już coś przypomina ulicę, to Wielka Sala, ciągnąca się od południowej do północnej bramy. Jedyne wyjście na świat zewnętrzny są bramy miasta, których od pięćdziesięciu lat nie przekroczył żaden człowiek.

– Od jak dawna tu mieszkacie? – zapytał Conan.

– Urodziłem się w zamku Tecuhltli trzydzieści pięć lat temu i nigdy nie postawiłem stopy na zewnątrz miasta. Na miłość bogów, idźmy cicho! W tych komnatach mogą na każdym kroku czaić się demony. Gdy dojdziemy do Tecuhltli, Olmec opowie wam o wszystkim.

Szli więc w ciszy, a ogniste kamienie połyskiwały im nad głowami upiorną zielenią, pod stopami zaś posadzka żarzyła się krwistoczerwoną poświatą. Valeria miała nieustające wrażenie, że podążają otchłaniami piekła prowadzeni przez ciemnoskórego, kudłatego goblina.

Gdy mijali wyjątkowo obszerną komnatę, Conan gwałtownym gestem kazał im się zatrzymać. Jego wyćwiczony w dzikich ostępach słuch był ostrzejszy nawet od słuchu Techotla, wyostrzonego ponad wyobrażenie przez lata walk w cichych korytarzach.

– Naprawdę myślisz, że twoi wrogowie mogą gdzieś przed nami szykować zasadzkę?

– Oczywiście, przecież skradają się po tych salach przez cały czas – odparł Techotl. – Zresztą, tak jak i my. Komnaty i sale między Tecuhltli a Xotalanc to teren sporny i jak na razie nikt nie sprawuje nad nimi absolutnej kontroli. Nazywamy je Salami Milczenia. Dlaczego o to pytasz?

– Bo w komnacie przed nami są ludzie – odpowiedział Conan. – Usłyszałem brzęknięcie stali o kamień.

Techotl znowu zadrżał na całym ciele i musiał mocno zacisnąć szczęki, żeby mu zęby nie szczękały ze strachu.

– Może ktoś od ciebie? – zasugerowała Valeria.

– Lepiej nie ryzykować – rzucił w odpowiedzi spanikowanym głosem. Omiótł rozgorączkowanym wzrokiem pomieszczenie, po czym dał nura w drzwi do komnaty, z której schody z kości słoniowej wiodły w dół.

– Te schody prowadzą do nieoświetlonego korytarza poniżej – syknął, a na jego czole wystąpiły wielkie krople potu. – Mogą się czaić i tam. Może to tylko pułapka, żeby nas do nich zwabić. Ale musimy zaryzykować, bo i na górze mogą na nas czekać. Chodźcie teraz, prędko!

Zbiegli po schodach cicho niczym duchy i stanęli przed wejściem do korytarza ciemnego jak noc. Nasłuchiwali przez chwilę, próbując odgadnąć, czy czeka tam na nich jakieś niebezpieczeństwo, po czym wtopili się w atramentowy mrok. Valeria poczuła przebiegający jej ciało dreszcz, oczekując w każdej chwili zdradzieckiego ciosu mieczem w plecy. Tylko i wyłącznie żelazny uścisk palców Conana na ramieniu koił jej rozkołatanę nerwy i był dowodem, że w panującej wokoło nieprzeniknionej ciemności nie jest sama. Poruszali się cicho jak koty. Wyciągnąwszy dłoń, macała ściany, od czasu do czasu trafiając palcami na drzwi. Korytarz zdawał się nie mieć końca.

Nagle zelektryzował ich dźwięk dochodzący z tyłu. Valeria poczuła ostre pazury strachu orzące jej smukłe plecy, gdy rozpoznała szelest otwieranych drzwi. Do korytarza za ich plecami weszli jacyś ludzie. I wtedy, jak na złość, potknęła się o ludzką czaszkę, która potoczyła się po podłodze z głośnym stukiem, wyolbrzymionym przez głuchoe echo.

– Biegiem! – wrzasnął Techotl z histerią w głosie, i nim zdążyli się zorientować, pędził w dół korytarza na złamanie karku.

Po raz kolejny Valeria poczuła, jak Conan ją podnosi i ciągnie ze sobą w ślad za uciekającym przewodnikiem. Nie widział w ciemności lepiej niż

ona, ale wiedziony swym barbarzyńskim instynktem nie mylił drogi. Bez jego pomocy już dawno by upadła lub wyrznięta głową o ścianę. Biegli, a rozlegający się za nimi tupot stóp rozbrzmiewał z coraz mniejszej odległości. Nagle Techotl wrzasnął jak opętany:

– Tu! Schody! Za mną! Ach, prędko!

Z ciemności wystrzeliła jego ręka i pochwyciła dłoń Valerii, dzięki czemu utrzymała równowagę, gdy niespodziewanie zachwiała się na jednym ze stopni. I niesiona, i ciągnięta wspinała się w górę spiralnych schodów. Wtem Conan puścił ją. Obrócił się na pięcie i wyteżył słuch, bo kierowany niezawodnym instynktem wiedział, że pościg siedzi im niemal na karku. I wiedział coś jeszcze – nie wszystkie odgłosy kroków wydawały ludzkie stopy.

Coś pełzło po stopniach, coś, co szurało, wiło się, samą swoją obecnością mroząc okolicę oddechem śmierci. Conan z miejsca ciął swym ogromnym mieczem, czując, że ostrze przecina jakby ciało i kości, by uderzyć w końcu o posadzkę. Poczul dotyk na stopie, lodowaty jak pierwszy zimowy pocałunek mrozu o poranku w cymmeryjskich górach, a w chwilę potem w ciemności na dole eksplodowała kanonada przerażających dźwięków: jakieś głucho uderzenia, jęklive konwulsje i wreszcie rozdzierający krzyk człowieka w agonii.

Conan nie czekał końca upiornego koncertu. Pomknął w górę i wpadł w drzwi, do których wiodły spiralne schody. Valeria i Techotl byli już po ich drugiej stronie, a z chwilą, gdy dołączył do nich Cymmeryjczyk, Tecuhltlianin natychmiast zatrzasnął drzwi i zasunął rygiel, pierwszy, jaki zobaczył Conan, odkąd weszli do miasta przez główną bramę.

Nie czekali. Śmignęli przez dobrze oświetloną komnatę, a gdy Cymmeryjczyk spojrzął za siebie, spostrzegł, że drzwi uginają i trzeszczą, jakby napierało na nie stado słońi.

Techotl ani zwolnił, ani nie przestał z przestachem rozglądać się wokół, ale niespodziewanie wydawał się teraz znacznie pewniejszy siebie, wyglądając na człowieka, który wreszcie dotarł na świetnie znany sobie teren i w każdej chwili spodziewa się pomocy przyjaciół.

Stan ten dla Techotla trwał jednak krótko, bowiem Conan nagle go zapytał:

– Co to było za cholerstwo, które rąbnąłem mieczem na schodach?

– Pewnie jakiś Xotalanc – odparł, nie oglądając się za siebie. – Mówiłem ci przecież, że wszędzie ich tu pełno.

– To nie był człowiek – mruknął Conan – tylko coś pełzającego, zimnego jak lód. Myślę, że przeciąłem bydlę na pół. Spadło na ludzi, którzy biegli za nami i chyba przygniotło jednego w śmiertelnych spazmach.

W Techotla jakby piorun strzelił. Odwrócił się gwałtownie, a jego twarz znów pobladła. Czując ogarniającą go panikę, gwałtownie przyspieszył kroku.

– To był pełzacz! Potwór, którego wywołali z katakumb, by im pomagał! Nie wiemy, czym jest, ale niejednokrotnie znajdowaliśmy ludzi zmasakrowanych przez niego w odrażający sposób. Na Seta! Spieszmy się! Jeśli puścili go naszym tropem, będzie nas gonić aż do bram Tecuhltli!

– Nie sądzę – mruknął Conan. – Porządnie mu, tam na schodach, przypieprzyłem.

– Prędko! Prędko! – jęczał Techotl.

Przebiegli przez kolejny ciąg rozświetlonych na zielono komnat, przemierzili obszerną salę i zatrzymali się przed olbrzymimi wrotami z brązu.

– Jesteśmy w Tecuhltli! – powiedział Techotl.

ROZDZIAŁ TRZECI

LUDZIE WIECZNEJ WAŚNI

Techotl walił nerwowo pięścią we wrota z brązu, jednocześnie cały czas oglądając się za siebie i bacznie lustrując obszerną komnatę.

– Zginęło tu wielu moich rodaków, którzy myśleli, że są bezpieczni – powiedział.

– Czemu nikt nie otwiera? – zapytał Conan.

– Obserwują nas przez Oko – odparł Techotl. – Wasz widok musiał ich zaskoczyć. – Podniósł głos i zawołał: – Otwórz drzwi, Excelanie! To ja, Techotl, przyproważyłem przyjaciół z wielkiego świata za lasem!... Otworzą – gorączkowo zapewniał Conana i Valerię.

– Więc niech zbierają dupy w troki i się pośpieszą – powiedział ponuro Conan. – Słyszę wyraźnie, jak coś pełźnie po korytarzu przed wejściem do komnaty.

Techotl znów pobladł, tym razem waląc we wrota ze zdwojoną energią, wrzeszcząc wniebogłosy:

– Otwórzcie, głupcy, otwórzcie! Goni nas pełzacz!

Tłukł jeszcze jak oszalały i wydzierał się jak poparzony, gdy w końcu bezszelestnie otworzyły się masywne wrota, ukazując wejście przegrodzone wielkim i ciężkim łańcuchem, zza którego błyszczały ostrze włóczni oraz spoglądały ponure spojrzenia. Potem zrzucano łańcuch i Techotl, niemal w histerycznym geście, pochwycił przyjaciół za ramiona i dosłownie przeciągnął ich przez próg. Chwilę przed zamknięciem wrót Conan spojrzął za siebie i zauważył wyłaniający się z mroku korytarza, niewyraźny węzowy kształt, który sunął powoli i ciężko. Olbrzymie, matowe cielsko wylewało się z drzwi, a obrzydliwa, zakrwawiona łepetyna chwiała się niepewnie.

Jak tylko znaleźli się w kwadratowej komnacie, wrota zatrzaśnięto, zasunięto ciężkie rygle i założono ponownie łańcuch. Jeden rzut oka wystarczył Conanowi, by wiedzieć, że bramę skonstruowano tak, by mogła wytrzymać wielokrotnie uderzenia nawet najcięższego tarana. Strażników było czterech, tej samej prostowłosej i ciemnoskórej rasy, co Techotl. W dłoniach dzierżyli włócznie, a do bioder nosili przytroczone miecze. Na

ścianie obok wrót wisiał niesłychanie skomplikowany system luster. Ustawiono je w tak przemyślny sposób, że przez wąską szczelinę w murze wypełnioną tym samym kryształem, co świetliki w sklepieniu, można było spoglądać na zewnątrz, jednocześnie nie będąc samemu widzianym. Conan domyślał się, że musi to być wspomniane przez Techotla Oko.

Strażnicy stali zupełnie oniemiałymi na widok towarzyszy swego rodaka, i o nic nie pytali, a i Techotl nie śpieszył się z udzieleniem jakichkolwiek wyjaśnień. Poruszał się teraz z wyraźną pewnością siebie, jakby w momencie przestąpienia progu zrzucił z siebie gruby płaszcz niezdecydowania i strachu.

– Chodźcie! – ponaglił swych nowych przyjaciół, ale Conan rzucił okiem w stronę wrót.

– A co z tymi, którzy nas ścigali? Nie spróbują przypuścić szturm na bramę?

Techotl pokręcił głową.

– Wiedzą, że nie sforsują Bramy Orła. Wrócą z podkulonymi ogonami do Xotalanc ze swym pełzającym demonem! Chodźcie, zaprowadzę was do władców Tecuhltli!

Jeden z gwardzistów otworzył przed nimi drzwi dokładnie na wprost bramy, przez którą weszli, i znaleźli się w korytarzu, który, podobnie jak większość sal na tym poziomie, oświetlały świetliki oraz grube naręcza ognistych kamieni. W przeciwieństwie jednak do pomieszczeń mijanych wcześniej, tutaj komnaty wyglądały na ewidentnie zamieszkane. Grube, bajecznie kolorowe gobeliny zwieszały się ze lśniących, jodeitowych ścian, na skrzęcej się purpurą posadzce leżały wielkie dywany, a krzesła, ławy i sofy z kości słoniowej wyściełane były imponującymi rozmiarami, jak i miękkością, aksamitnymi poduchami.

Korytarz kończył się bogato zdobionymi drzwiami, przed którymi nie było straży. Techotl pchnął je bezceremonialnie i wprowadził przyjaciół do obszernej komnaty, gdzie na widok przybyszów, jak na zawołanie, zerwało się z aksamitnych leżanek trzydzieści ciemnoskórych osób, pokrzykując w bezgranicznym zdumieniu.

Mężczyźni, z wyjątkiem jednego, należeli do tej samej rasy co Techotl, zaś kobietom, podobnie jak oni ciemnoskórym i o dzikim spojrzeniu, wcale nie brakowało ani urody, ani powabu. Nosiły sandały, złote staniczki i skąpe, jedwabne spódniczki, przewiązane szarfami haftowanymi złotem.

Srebrne diademy połyskiwały blaskiem nałożone na czarne włosy, równo przycięte na wysokość ramion.

Na jadeitowym postumencie stały ustawione okazałe siedziska z kości słoniowej, a zajmowała je niezwykła para, zdecydowanie odróżniająca się wyglądem od reszty. Mężczyzna był olbrzymem o szerokiej piersi, wielkich barach i byczym karku, noszącym, w przeciwieństwie do innych, gęstą, sinoczną brodę, która sięgała niemal szerokiego pasa. Odziany był w szatę z purpurowego jedwabiu, zmieniającą odcień koloru z każdym ruchem jej właściciela. Jeden z szerokich rękawów, podwinięty aż do łokcia, ukazywał niezwykle muskularne przedramię. Jego kruczoczarne włosy podtrzymywała szeroka opaska usiana drogocennymi klejnotami.

Siedząca u jego boku kobieta zerwała się na równe nogi ze zdławionym okrzykiem zdumienia na widok Conana i Valerii. O ile Cymmeryjczyka obdarzyła szybkim i pobieżnym spojrzeniem, o tyle w dziewczynie utkwiła płonąca fascynacją wzrok. Była kobietą niezwyklej urody. Wysoka i gibka, na pewno wyróżniała się na tle innych kobiet zebranych w komnacie. To, co nosiła na sobie, trudno było nazwać szatą czy suknią: za przyodziewek służyły jej po prostu dwa niewielkie kawałki złotopurpurowej tkaniny opadające tuż za kolana, podtrzymywane z przodu i z tyłu szerokim pasem. Dopełnienie obscenicznie wręcz skąpego stroju stanowiły delikatny staniczek i diadem wysadzone wielkimi jak owoce winorośli brylantami. I tylko w jej oczach, w przeciwieństwie do całej reszty ciemnoskórych ludzi, nie odbijało się płomienne szaleństwo.

Wydawszy swój okrzyk zdumienia, zamilkła i w tym milczeniu stała spięta, z zaciśniętymi dłońmi, intensywnie wpatrując się w Valerię. Tymczasem kolos na siedzisku z kości słoniowej nawet nie drgnął.

– Książę Olmecu – przemówił kurtuazyjnie Techotl, pochylając się w służalczym ukłonie i szeroko rozkładając ramiona z dłońmi zwróconymi ku górze. – Oto przybyli ze mną nasi sojusznicy ze świata poza lasem. W Komnacie Tezcoti Płonąca Czaszka zaszlachtował Chicmeka, mego towarzysza...

– Płonąca Czaszka! – Ludzie z Tecuhltli szeptali lękliwie, drżącymi głosami.

– Tak! Wszedłem do komnaty i zobaczyłem, że Chicmec leży z poderżniętym gardłem. Zanim zdołałem uciec, dopadła mnie Płonąca Czaszka! Spojrzałem na nią, a wtedy krew zmroziło mi w żyłach i szpik w mych kościach stopniał. Nie mogłem walczyć. Nie mogłem uciec.

Czekałem więc na cios śmiertelny, co miał mnie głowy pozbawić. I wtedy spod sklepienia sfrunęła ta białoskóra kobieta i zarąbała kurewską czachę swym mieczem! A wtedy okazało się, że to żaden demon, a tylko jeden z tych zawszawionych kundli z Xotalanc, ze skórą zabarwioną bielą i żywą czaszką starożytnego maga na głowie. Teraz czaszka leży rozbita na tysiące kawałeczków, a pies, który ją nosił, jest zabitym na zupełną śmierć trupem!

W ostatnich słowach zabrzmiała okrutna i jednocześnie przerażająca euforia, niosąca się echem poprzez podniecone okrzyki cisnących się wokoło słuchaczy.

– To nie wszystko! – wrzasnął Techotl. – Słuchajcie dalej! Kiedy z nią rozmawiałem, z różnych części komnaty wypadło na nas czterech Xotalanców. Jednego z nich zarżnąłem – a rana na moim udzie udowadnia, jak desperacka była to walka. Dwóch zabiła białoskóra kobieta. Ale kiedy byliśmy już przyparci do muru, widząc nadchodzący koniec, ten mężczyzna włączył się do walki i rozwalił czaszkę czwartemu! Tak! Aż pięć czerwonych ćwieków wbijemy w kolumnę zemsty!

Wskazał palcem na czarną, hebanową kolumnę, stojącą za podwyższeniem. Setki czerwonych kropek lśniły na jej wypolerowanej powierzchni: jasnoszkarłatne łby ciężkich, miedzianych ćwieków wbitych w czarne drewno.

– Pięć czerwonych ćwieków za pięć xotalanckich żywotów! – podniecał się Techotl, a wykrzywione w odrażającym grymasie twarze rozemocjonowanych słuchaczy straciły pozory jakiegokolwiek człowieczeństwa

– Kim są ci ludzie? – spytał Olmec tubalnym, niskim głosem, przypominającym odległy ryk bawołu. Trudno było się oprzeć wrażeniu, że nikt z mieszkańców Xuchotl nie mówił głośno, jakby dusze tych ludzi nasiąkły ciszą pustych korytarzy i opuszczonych komnat.

– Jestem Conan Cymmeryjczyk – odparł krótko barbarzyńca. – A kobieta to Valeria z Czerwonego Bractwa, akwilońska piratka. Jesteśmy dezertkami z armii na granicach Darfaru, daleko na północy, i usiłujemy jak najszybciej dostać się na wybrzeże.

W przeciwieństwie do Olmeca, kobieta na podwyższeniu zaczęła mówić głośno i tak szybko, że aż połykała końcówki słów.

– Nigdy nie zdołacie dotrzeć do wybrzeża! Z Xuchotl nie ma ucieczki! Spędzicie w tym mieście resztę waszego życia!

– Co masz na myśli? – warknął gniewnie Conan, kładąc dłoń na rękojeści miecza, stając tak, by mieć na oku całe pomieszczenie i każdego z obecnych. – Czyli właśnie powiedziałaś, że jesteśmy więźniami?

– Nie to miała na myśli – wtrącił Olmec. – Jesteśmy waszymi przyjaciółmi i na pewno nie mamy zamiaru przetrzymywać was wbrew woli. Jednak obawiam się, że pewne... okoliczności mogą zdecydowanie utrudnić wam opuszczenie Xuchotl.

Spojrzał na Valerię i szybko opuścił wzrok.

– Pozwólcie, że przedstawię – rzekł – ta kobieta to Tascela, księżniczka Tecuhltłów. Teraz niech nasi goście i przyjaciele zaspokoją głód i pragnienie, bo na pewno są strudzeni długą drogą i niewiele jedli.

Szerokim gestem wskazał stół z kości słoniowej, przy którym po wymianie wymownych spojrzeń zasiedli Conan z Valerią. Cymmeryjczyk był podejrzliwy – jego ponure i dzikie błękitne oczy nieustannie omiatały całą komnatę, a miecz miał pod ręką. Nauczył się jednak, że nigdy nie warto było odrzucać zaproszenia do jedzenia i picia. Po jakimś czasie zaczął coraz bardziej uporczywie wpatrywać się w Tascelę, ale księżniczka z uporem wodziła powabnym i tajemniczym wzrokiem za jego białoskórą towarzyszką.

Techotl obandażował sobie ranne udo kawałkiem jedwabiu i usiadł obok przyjaciół, by usługiwać im podczas posiłku, co najwyraźniej poczytywał sobie za wielki zaszczyt. Osobiście smakował każdą wnoszoną na stół potrawę i sprawdzał każdy stawiany na stole puchar z napitkiem. Gdy podróżnicy jedli, Olmec w milczeniu siedział na swym siedzisku z kości słoniowej, obserwując ich spod szerokich czarnych brwi. Obok króla, z łokciami wspartymi na kolanach i podbródkiem schowanym w dłoniach, siedziała Tascela. Jej ciemne, zagadkowe oczy płonące dziwnym światłem ani na moment nie przestawały obserwować sprężystej postaci Valerii. Stojąca za księżniczką posępna, lecz nad wyraz piękna ciemnoskóra dziewczyna wachlowała z dostojeństwem wachlarzem ze strusich piór swoją władczynię.

Na posiłek składały się egzotyczne owoce, nieznane Conanowi i Valerii, ale za to przepyszne. Do picia zaserwowano czerwone wino o wyrazistym smaku.

– Przybyliście z daleka – powiedział w końcu Olmec. – Czytałem księgi naszych ojców. Akwilonia leży o wiele dalej niż Stygia i Shem, za królestwami Argos i Zingary, a Cymmeria leży jeszcze dalej niż Akwilonia.

– Mamy naturę podróżników i awanturników – odparł beztrąsko Conan.

– To oczywiście, jakkolwiek nie potrafię pojąć, jakim cudem udało wam się przedostać przez dżunglę – ciągnął Olmec. – W dawnych czasach z niepoliczalnych zastępów jeno tysiąc wojowników przeżyło wędrówkę przez ten las i wszystkie jego niebezpieczeństwa.

– Natknęliśmy się na krótkonogie cholerstwo większe ze cztery razy od mastodonta – powiedział od niechcienia barbarzyńca, wyciągając przed siebie kielich, który Techotl z widoczną przyjemnością natychmiast napełnił – ale kiedy ukatrupiliśmy bydlę, nie mieliśmy później większych problemów.

Techotl zdębiał, wypuszczając z dłoni dzban z winem, który rozbił się z hukiem o posadzkę. Jego ciemna skóra natychmiast pobladła. Olmec zerwał się na równe nogi, a na jego twarzy widać było zdumienie i strach, tak samo zresztą jak na obliczach wszystkich zebranych, którzy żywo gestykulowali, wydając z gardeł niskie sapnięcia lęku i zaskoczenia. Niektórzy opadli na kolana, jakby nagle ugięły się pod nimi nogi. Jedyne Tascela nie okazywała żadnych emocji. Conan rozglądał się wokół oszołomiony.

– Co jest? – spytał. – O co ten raban?

– Ty... ty zabiłeś boga-smoka?

– Boga? Smoka zabiłem. Co się tak dziwicie? Chciał nas pożreć.

– Ale smoki są nieśmiertelne – wykrzyknął Olmec. – Smoka może zabić tylko inny smok, ale na pewno nie człowiek! To się jeszcze nigdy nie zdarzyło! Tysiące wojowników pod komendą naszych przodków przedzierało się do Xuchotl i nie byli w stanie tego zrobić! Ich miecze łamały się jak gałązki na smoczych łuskach.

– Gdyby wasi przodkowie pomyśleli o zanurzeniu ostrzy włóczni w trującym soku Jabłek Derkety – rzekł Conan z pełnymi ustami, wchodząc w rolę zawodowego smokobójcy – i dźgali smoki w oczy, paszczę albo inne wrażliwe miejsce, szybko by zrozumieli, że smoki nie są bardziej nieśmiertelne niż pierwszy lepszy kawał chodzącego mięcha, na ten przykład wieprze. Ścierwo leży pośrodku drzew, na samym skraju lasu. Jeśli mi nie wierzycie, idźcie tam i sami to sprawdźcie.

Olmec pokręcił głową, nie tyle z niedowierzania, co raczej z bezgranicznego zdumienia.

– To przez te bestie nasi przodkowie schronili się w Xuchotl – rzekł. – Nie odważyli się raz jeszcze pokonać równiny i znowu wejść do dżungli.

Ginęli dziesiątkami, osaczani, a potem pożerani przez te potwory, zanim zdolali dotrzeć do miasta.

– Rozumiem więc, że to nie wasi przodkowie zbudowali Xuchotl? – spytała Valeria.

– Miasto już było, gdy po raz pierwszy tu zawędrowali. Nawet jego zdegenerowani mieszkańcy nie wiedzą, ile lat stoi na równinie.

– Twój lud przywędrował na te tereny znad jeziora Zuad? – indagował Conan.

– Tak, to prawda. Ponad pół wieku temu plemię Tlazitlanów zbuntowało się przeciw stygijskiemu królowi i po przegranej bitwie wszyscy uciekli na południe. Całymi tygodniami ponad tysiąc wojowników z rodzinami wędrowało przez sawanny, pustynie i wzgórza, aż dotarli do wielkiego lasu. Wtedy właśnie po raz pierwszy zaatakowały ich smoki. To była masakra. Rzeź. Na oczach bezradnych matek bestie rozrywały dzieci. Wojownicy padali jak muchy. W końcu rzucili się do panicznej ucieczki, wypadli na równinę i zobaczyli miasto Xuchotl. Rozbili obóz pod murami, bojąc się nawet pomyśleć o opuszczeniu równiny, bowiem nocami przeklęty las tonął w przerażającym wyciu, wrzasku i ryku walczących bestii. Tłukły się ze sobą bez ustanku. Jednak ani jeden nie wyszedł na równinę. Tymczasem mieszkańcy miasta zatrzasnęli bramy przed naszymi przodkami i obsypali ich gradem strzał. Tak zatem nieszczęśnicy zostali uwięzieni między wyniosłymi murami miasta a ścianą dżungli, okalającą okolicę pierścieniem śmierci. Próba ponownego sforsowania lasu byłaby czystym szaleństwem. Jeszcze tej samej nocy przybył do obozowiska pewien niewolnik, uciekinier z miasta, tej samej krwi co mieszkańcy Xuchotl, który jako chłopak z grupą wojowników nieodpowiedzialnie zapuścił się w las. Smoki pożarły wszystkich jego towarzyszy, ale on jakimś cudem ocalał. Został pojmany i wzięty do niewoli. Nazywał się Tolkemec.

Na dźwięk tego imienia w ciemnych oczach Olmeca zapłonął ogień nienawiści, a wielu obecnych kłęto pod nosem, spluwając na posadzkę.

– Obiecał otworzyć bramy wojownikom. Miał tylko jedną prośbę: chciał, by mu dostarczono żywych wszystkich pojmanyh. O wschodzie słońca faktycznie bramy otworzył, a wtedy wojownicy z Tlazitlan wtargnęli do środka. Korytarze i komnaty Xuchotl spłynęły krwią. Mieszkało tam tylko kilkuset ludzi, zdegenerowane resztki wspaniałej przed wiekami rasy. Tolkemec twierdził, że przybyli na równinę w zamierzchłej przeszłości ze Wschodu, ze Starej Kosali, kiedy przodkowie ludu, który obecnie tam

zamieszkuje, nadciągnął z południa i wygnał pierwotnych mieszkańców tych ziem. Tak długo wędrowali, że w końcu odkryli tę okalaną lasem równinę, zamieszkiwaną wówczas przez plemię czarnoskórych.

– Szybko uczynili z nich niewolników i zmusili do pracy przy wznoszeniu miasta. Ze wzgórz na wschodzie sprowadzali jadeit, marmur, lapis-lazuli, złoto, srebro i miedź. Nieprzebrane stada słoni dostarczały kość słoniową. Gdy budowa miasta została zakończona, Kosalanie wyrznęli wszystkich czarnoskórych niewolników, a ich potężni magowie, dzięki nekromancji i potężnym zaklęciom, wskrzesili pradawne bestie zamieszkujące ten ląd, bowiem po miesiącach poszukiwań odnaleźli w dżungli ich gigantyczne kości. Miało to zapewnić miastu bezpieczeństwo i ochronę przed wszelkimi wrogami. Tak zatem ponownie olbrzymie i krwiożercze potwory przemierzały te ziemie, tak jak w czasach zaraz po stworzeniu świata. Magowie siłą swej magii zadbali też, by smoki nie wychodziły poza obszar lasu.

– Przez wiele wieków lud Xuchotl zamieszkiwał swoje miasto i uprawiał żyzną równinę, dopóki mędrcy nie odkryli, jak uprawiać owoce wewnątrz murów bez ziemi, bo rośliny czerpały pożywienie prosto z powietrza. Dlatego pola leżały odłogiem, rowy irygacyjne zarosły, a sami mieszkańcy wiedli coraz bardziej dekadentcki żywot, powoli staczając się w degenerację i dążąc do upadku. Kiedy nasi przodkowie w dramatycznych okolicznościach w końcu pokonali las, mieszkańcy miasta właściwie stali na krawędzi zagłady. Ich magowie nie żyli, a lud zapomniał o starożytnej magii. Nie mogli pokonać nas ani magią, ani mieczem.

– Nie będę kłamał – nasi przodkowie wyrznęli wszystkich mieszkańców Xuchotl za wyjątkiem tej setki obiecanej Tolkemecowi. Przez wiele dni i nocy korytarze rozbrzmiewały echem ich krzyków, jęków, zawodzenia i agonii. Przez pewien czas Tlazitlani mieszkali w mieście rządzeni mądrze przez braci Tecuhltli i Xotalanca, i przez Tolkemeca, ten bowiem pojął za żonę dziewczynę z naszego plemienia, a ponieważ otworzył bramy, a także dlatego, że wiele wiedział o magii i osiągnięciach Xuchotlanów, dzielił władzę nad plemieniem z braćmi, którzy przewodzili i rebelii, i ucieczce.

– Przez parę lat w mieście panował względny pokój. Ludzie żyli normalnie, kochali się, wychowywali dzieci i ucztowali. Nie było potrzeby, by uprawiać ziemię, gdyż Tolkemec nauczył ich uprawy owych owoców rosnących z powietrza. Ale rzeź Xuchotlanów przerwała zaklęcie trzymające smoki w lesie i bestie pod osłoną nocy podchodziły aż pod mury

miasta. Wiedzione odwiecznym instynktem, poczęły walczyć ze sobą na otwartej przestrzeni i równina spłynęła ich krwią. Wtedy właśnie...

Olmec ugryzł się w język w połowie zdania, ale zaraz podjął na nowo opowieść. Mimo to Valeria i Conan czuli, że pominął coś, czego ujawnienie uznał za nieroztropne.

– Przez pięć lat żyli w pokoju. I wtedy... – oczy Olmeca spoczęły przez moment na milczącej księżniczce siedzącej u jego boku – Xotalanc pojął za żonę kobietę, której pożąдали zarówno Tecuhltli, jak i stary Tolkemec. W swym szaleństwie Tecuhltli porwał ją mężowi. Żeby być szczerym, kobieta niezbyt się opierała. Tolkemec, chcąc zrobić na złość Xotalancowi, wspomógł Tecuhltiego. Xotalanc zażądał, by zwrócić mu żonę, ale rada plemienna zadecydowała, że w tej kwestii ostateczne zdanie ma kobieta. Ta stwierdziła, że chce pozostać z Tecuhltlim. Wściekły Xotalanc usiłował odbić ją siłą i posadzka Wielkiej Sali spłynęła krwią walczących ze sobą stronnictw. To bardzo smutna historia. Krew przelewano po obu stronach. Spór przerodził się w kłótnię, kłótnia w zemstę, a zemsta w otwartą wojnę. Owocem tego zamieszania było powstanie trzech frakcji: Tecuhltiego, Xotalanca i Tolkemeca. Już wcześniej, w czasach pokoju, podzielili oni między siebie miasto. Tecuhltli zamieszkiwał zachodnią część miasta, Xotalanc – wschodnią, a Tolkemec zaś południową przy bramie. Raz uniesiony miecz nie chciał wrócić do pochwy, krew rodziła krew, zemsta była owocem okrucieństwa, a gwałty, mordy i tortury były na porządku dziennym. Tecuhltli walczył z Xotalankiem, Tolkemec zaś najpierw pomagał jednemu, a potem drugiemu, zdradzając obie strony wedle własnego upodobania. W końcu Tecuhltli i jego lud schronili się na terenach zachodnich, czyli tu, gdzie teraz siedzimy. Xuchotl wzniesione zostało na planie owalu. Tecuhltli, które bierze swą nazwę od imienia księcia, zajmuje całą zachodnią część tego owalu. Zablokowano wszystkie możliwe przejścia łączące ów kwartał z resztą miasta, pozostawiając po jednych drzwiach na każdym poziomie, takie, które było najłatwiej bronić. A potem lud Tecuhltli zszedł do lochów pod miastem i zbudował solidny mur, odcinający ich zachodnią część, gdzie spoczywają szczątki starożytnych Xuchotlan i tych Tlazitlani, którzy zginęli w trakcie sporu. Tak zatem żyli – odcięci, jak w obłożonej twierdzy, organizując najazdy i wypadki na swoich wrogów. Ludzie Xotalanca ufortyfikowali wschodni kwartał, a Tolkemec uczynił podobnie z częścią południową. Centralną

część miasta pozostawiono niezamieszkaną. Te puste korytarze i komnaty stały się jednym wielkim polem bitwy i miejscem wiecznego zagrożenia.

– Tolkemec wojował ze wszystkimi. Mówię wam, to był demon wcielony, zło i okrucieństwo, gorszy nawet od Xotalanca. Znał wiele tajemnic miasta, których nigdy nie zdradził przybyszom. Z katakumb i lochów skradł umarłym ich przerażające sekrety: tajemnice starożytnych królów i magów, o których zapomnieli nawet ci zdegenerowani Xuchotlanie, wyrznięci przez naszych przodków. Ale nawet ta cała jego magia na nic mu się zdała, gdy pewnej nocy przypuściliśmy szturm i zdobyliśmy jego twierdzę, wycinając w pień wszystkich mieszkańców. Tolkemeca torturowaliśmy przez wiele dni...

Olmec zniżył głos do szeptu, a jego oczy patrzyły gdzieś w dal, zupełnie jakby wracał myślami do owej nocy, co sprawiało mu niewysłowioną rozkosz.

– O tak, utrzymywaliśmy go przy życiu, aż zaczął pożądać śmierci jak młodej, chętnej kochanki. W końcu jeszcze żywego zabraliśmy z komnaty tortur i wrzuciliśmy do lochu, aby szczury żywcem obzarły jego ciało do kości. Zdołał jednak jakimś magicznym sposobem umknąć z celi i doczłapał się do katakumb. I zniknął. Tam niewątpliwie zdechł, gdyż jedyna droga z katakumb wiedzie przez Tecuhltli, a tędy nigdy nie przeszedł. Nie znaleźliśmy jego szkieletu, chociażby jednej kosteczki, więc co bardziej zabobonni członkowie naszego ludu wierzą, że jego duch nawiedza katakumby, jęcząc wśród rozkładających się ciał. Dwanaście lat temu wyrznęliśmy lud Tolkemeca, ale wojna między Tecuhltli a Xotalanc przybiera na brutalności i bezwzględności, i będzie się toczyć, aż od ciosu miecza padnie ostatni mężczyzna i ostatnia kobieta.

– Tecuhltli wykradł żonę Xotalanca pięćdziesiąt lat temu i pięćdziesiąt lat toczy się wojna, spowodowana krwawą zemstą. Urodziłem się, gdy już trwała, zresztą jak wszyscy zgromadzeni w tej komnacie, z wyjątkiem Tasceli. I wiem, że umrzemy, nim się skończy. Jesteśmy wymierającą rasą, jak założyciele miasta – Xuchotlani, wybici przez naszych przodków. Na początku wojny po obu stronach były nas setki. Teraz wszystkich Tecuhltłów, prócz tych, co strzegą bramy, masz przed oczami: razem czterdzieści osób. Potężny klan, prawda? Nie wiemy, ilu jest Xotalanców, ale wątpię, by byli liczniejsi niż my. Od piętnastu lat nie narodziło się u nas ani jedno dziecko, nie widzieliśmy też ani jednego u Xotalanców. Jak

widzisz, zdychamy powoli, ale zanim wymrzemy ostatecznie, zabijemy tylu Xotalanców, ilu pozwolą bogowie.

Olmec opowiadał bez emocji o okrutnych bitwach w ciemnych korytarzach, o zasadzkach na krętych schodach i straszliwych rzeziach. Z błyskiem w swych głębokich czarnych oczach opowiadał ze szczegółami o mężczyznach i kobietach obdzieranych żywcem ze skóry, masakrowanych i rozrywanych na części... O jeńcach wyjących z bólu na torturach zadawanych w tak upiorny sposób, że nawet barbarzyński Cymmeryjczyk poczuł się nieswojo. Nic dziwnego, że Techotl drżał z przerażenia na samą tylko myśl o pojmaniu! A jednak wyruszył zabijać, powodowany wrodzoną, nieokiełznaną nienawiścią, silniejszą nawet od strachu.

Olmec opowiadał dalej o mrocznych i tajemniczych sprawach, o czarnej magii uprawianej w skutych ciemnościach katakumbach, o odrażających bestiach przywoływanych z mroku po to, by uczynić z nich niepokonanych sprzymierzeńców. W tej materii Xotalancowie mieli przewagę, bowiem we wschodnich katakumbach spoczywały kości najpotężniejszego czarnoksiężnika starożytnych Xuchotlanów, a wraz z nim potężne i nieśmiertelne sekrety.

Valeria słuchała z coraz większym zainteresowaniem, wręcz niezdrową fascynacją. Kłótnia i zazdrość stały się straszliwą, pierwotną siłą, nieuchronnie prowadzącą mieszkańców Xuchotl do samozniszczenia. Wypełniała całe ich życie i była całym ich życiem. Trwała, gdy się rodzili, i wierzyli, że trwać będzie po ich śmierci. Swoją fortecę opuszczali tylko w jednym celu, by przekradać się do Sal Milczenia, dzielącym zwaśnione stronnictwa, i wyrzynać się nawzajem. Czasami wracali z wypraw, prowadząc spętanych i sparaliżowanych strachem jeńców lub przynosząc ponure trofea. Czasem nie wracali wcale lub wracali pod bramę ich poodcinane ręce, głowy, nogi podrzucane przez Xotalanców... Ludzie ci wiedli upiorny, nierzeczywisty i koszmarny żywot, odcięci od reszty świata, stłoczeni razem jak wściekłe szczury we wspólnej klatce, skaczące sobie gardeł. Skradali się od lat ponurymi korytarzami tylko w jednym celu, by nawzajem się mordować, zarzynać, wypruwać sobie flaki, by zaspokoić chorą żądzę zemsty za wydarzenia sprzed lat.

Podczas opowieści Olmeca Valeria czuła na sobie coraz bardziej natarczywe spojrzenie Tasceli. Księżniczka zdawała się obojętna na słowa brodatego olbrzyma. On z przerażającą pasją opowiadał dzieje konfliktu,

a na jej twarzy dominowały chłód i zubożenie, w przeciwieństwie do wszystkich innych Tecuhltlich, którzy żywo reagowali a to upiorną radością na wspomnienie odniesionych zwycięstw, a to dziką wściekłością, gdy władca mówił o klęskach. Można było odnieść wrażenie, że ta wojna, która była jedyną osią bytu klanu, jej jest zupełnie obojętna. Dla Valerii ten przerażający chłód był bardziej odrażający niż ohydne i dzikie okrucieństwo Olmeca.

– Nie możemy opuścić miasta – mówił dalej Olmec. – W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat nikt nie opuścił Xuchotl, za wyjątkiem... – Znów ugryzł się w język, by po chwili podjąć wątek:

– Nawet gdyby na równinie nie grasowały smoki, to my, urodzeni i wychowani w mieście, nie odważymy się go opuścić. Nigdy nie postawiliśmy stopy poza murami. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do otwartej przestrzeni i palącego słońca. Urodziliśmy się w Xuchotl i w Xuchotl umrzemy.

– Cóż, wasza wola – powiedział Conan. – Za waszym pozwoleniem zaryzykujemy jednak z Valerią i stawimy czoła smokom. Wasza wojenka, za przeproszeniem, głównie nas obchodzi. Jeśli wskażecie nam drogę do zachodniej bramy, wyruszymy jak najszybciej.

Tasceli zacisnęła pięści i zaczęła coś energicznie szeptać do ucha Olmeca, ale ten jej gwałtownie przerwał.

– Niedługo będzie zmierzch, a jeśli będziecie się po nocy włóczyć po równinie, to smoki na pewno zeżrą was szybciej, niż myślicie.

– Jakoś ostatnią noc spędziliśmy na równinie, spaliliśmy pod gołym niebem, chociaż w kaktusach, i nie przypominam sobie, żebyśmy zobaczyli chociaż jednego smoka – zimno zareplikował Conan.

Tascela uśmiechnęła się ponuro.

– Nie ośmielcie się opuścić Xuchotl!

Conan spojrzał na nią z instynktowną wrogością, ale księżniczka nawet tego nie zauważyła, cały czas wodząc spojrzeniem za Valerią.

– Myślę, że jednak się ośmielę – podsumował dyskusję Olmec. – Ale, drodzy goście, Conanie i Valerio, nie wierzę w przypadki i dlatego w waszym przybyciu widzę interwencję bogów, żebyśmy w końcu ostatecznie pokonali Xotolanców! Jesteście zawodowcami, a wojaczka to wasz chleb powszedni. Może zechcielibyście walczyć dla nas? Bogactwa ci u nas dostatek – bezcenne klejnoty są w Xuchotl równie powszechne, co kamienie w brukowanych ulicach w innych miastach świata. Niektóre to

jeszcze przywieźli ze sobą Xuchotlani z Kosali. Inne, jak ogniste kamienie, znaleźli na wzgórzach na wschodzie. Pomóżcie nam wyrznąć Xotalanców, a dostaniecie tyle klejnotów, ile zdołacie unieść.

– A czy pomożecie nam wybić smoki? – spytała Valeria. – Mając łuki i zatrute strzały, trzydziestu chłopów zdoła zabić wszystkie smoki w lesie!

– Oczywiście! – odparł Olmec bez chwili namysłu. – Przez całe lata walczyliśmy wręcz, więc zardzewieliśmy w temacie łucznictwa, ale trochę treningu i znowu będziemy strzelać, jakbyśmy rodzili się z łukami w rękę.

– Co ty na to? – zwróciła się Valeria do Conana.

– Jesteśmy zabijakami bez grosza przy duszy. – Conan wyszczerzył zęby w paskudnym uśmiechu. – Jeśli mi dobrze zapłacą, mogę szlachtować Xotalanców równie dobrze, jak innych.

– Zatem, zgadzacie się? – wykrzyknął Olmec, a Techotl o mało z radości nie spadł z krzesła.

– Zgadzamy się. A teraz może bylibyście tak łaskawi i wskazali nam nasze komnaty, bo żeby dobrze mordować, najpierw trzeba porządnie się wyspać.

Olmec przytaknął i kiwnął dłonią, na co Techotl i jedna z kobiet poprowadzili Conana i Valerię korytarzem, który zaczynał się za drzwiami po lewej stronie jadeitowego podwyższenia. Dziewczyna spojrzała przez ramię i zobaczyła, że Olmec, siedzący na swym tronie, wsparł podbródek na olbrzymiej pięści i spoglądał w ich stronę oczami pełnymi dziwnego blasku. Tascela, moszcząc się wygodnie obok niego, szeptała coś do swej ponurej służki, Yasali, która przechyliła się przez jej ramię, zbliżając ucho do ust swej pani.

Korytarz nie był tak szeroki jak inne, przez które wcześniej przechodzili, ale za to długi. W końcu towarzysząca im kobieta zatrzymała się, otworzyła drzwi i stanąwszy na boku w ciszy i ze spuszczoną głową, czekała, aż Valeria wejdzie do swojej komnaty.

– Zaraz! – warknął Conan. – A gdzie ja śpię?

Techotl wskazał mu komnatę po drugiej stronie korytarza, o jedne drzwi dalej. Conan zawahał się i już chciał coś powiedzieć, nim jednak zdążył otworzyć usta, Valeria uśmiechnęła się złośliwie i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Mruknął coś mało sympatycznego o kobiecej naturze, ich fanaberiach, fochach i braku zwykłej, ludzkości wdzięczności. Co mógł jednak zrobić? Grzecznie poszedł za Techotlem.

W bogato zdobionej komnacie, w której miał spać, spojrzął na świetliki w sklepieniu. Niektóre z nich były na tyle szerokie, że smukły, sprawny człowiek, po rozbiciu kryształu, mógłby bez większego trudu się przez nie przecisnąć.

– Dlaczego Xotalancowie nie rozbijają tych kryształków i nie zaatakują przez te szparki? – spytał.

– Bo nie da się ich rozbić – odparł Techotl. – Poza tym łożenie po dachach do strasznie niełatwa sprawa. Większa ich część to jakies strome płaszczyzny, zwieńczenia wież i kopuły.

Techotl, niepytany, nagle odkrył w sobie zamiłowanie do snucia różnych opowieści o „zamku” Tecuhltłów. Tak jak całe miasto, miał cztery kondygnacje i w wielu komnatach z dachu strzelały w niebo smukłe wieże. Każda kondygnacja nosiła osobną nazwę; w istocie mieszkańcy Xuchotl nazwali każdą komnatę, korytarz i schody, tak jak w normalnych miejscach nadaje się nazwy ulicom, placom i dzielnicom. I tak, zaczynając od kondygnacji najwyższej, poziomy nosiły nazwę: Orła, Małpy, Tygrysa i Węża.

– Kim jest ta cała Tascela? – spytał Conan. – Żoną, a może kochanką Olmeca?

Techotl zadrzał lekliwie i rozejrzał się wokoło, zanim odpowiedział:

– Nie. Tascela to... Tascela! Była żoną Xotalanca, kobietą, którą porwał Tecuhltli. Od niej zaczęła się wojna.

– Co ty bredzisz! – wykrzyknął Conan. – Ta świecąca zgrabnym tyłkiem panna jest młoda i piękna. Usiłujesz mi wmówić, że była czyjąś żoną pięćdziesiąt lat temu?

– Żebyś wiedział! Mogę przyrzec! Była już dojrzałą kobietą, kiedy Tlazitlanie wyruszyli znad jeziora Zuad. Królowi Stygii na jej punkcie odbiła szajba i bardzo się zafiksował, by została jego, jak to się mówi w wyższych sferach, konkubina, czyli po prostu zwykłą cichodajką. To dlatego Xotalanc i jego brat wznieśli bunt i uciekli aż tutaj. Jest wiedźmą, która poznała sekret wiecznej młodości.

– O czym ty znowu gadasz? – spytał Conan.

Techotl znowu zadrzał.

– O to mnie nie pytaj! Nie mam odwagi o tym mówić. To zbyt straszne, nawet jak na Xuchotl!

Po czym, kładąc palec na wargach, wyslizgnął się z komnaty.

ROZDZIAŁ CZWARTY

ZAPACH CZARNEGO LOTOSU

Valeria odpięła pas z mieczem i rzuciła go na łożo. Zauważyła zaryglowane drzwi i zapytała, dokąd wiodą.

– Te – wyjaśniła dziewczyna, wskazując na drzwi po lewej i prawej stronie – prowadzą do przyległych komnat.

– A te? – Valeria pokazała palcem na okute miedzią wrota na wprost wejścia z korytarza.

– Te prowadzą do pomieszczenia, z którego schody wiodą do katakumb. Nie bój się; nic ci tu nie grozi.

– Kto mówi o strachu? – warknęła Valeria. – Chciałam tylko wiedzieć, w jakim porcie rzucam kotwicę. Nie, nie chcę, żebyś spała w nogach mego łoża. Nie jestem przyzwyczajona, by mi służono, a już na pewno, by to robiła kobieta. Możesz odejść.

Gdy została sama, zasunęła wszystkie rygle, zrzuciła buty i wygodnie rozciągnęła się na łożu. Sądziła, że Conan po drugiej stronie korytarza pewnie zrobił to samo, ale kobieca próżność ukazywała w jej wyobraźni obraz zgoła odmienny: leżącego w łożu, wściekłego, mamroczącego pod nosem najgorsze cymmeryjskie przekleństwa rozpalonego żądzami giganta, który musi obejść się smakiem i co najwyżej skorzystać z własnej dłoni. Grymas najczystszej, złośliwej uciechy gościł na jej twarzy, gdy wolno zaczęła zapadać w sen.

Na zewnątrz zapadła noc. W korytarzach Xuchotl ogniste kamienie błyszcząły jak ślepiea prehistorycznych kotów. Gdzieś między ponurymi wieżami wiatr jęczał i wył jak potępiony duch. Przez skute mrokiem korytarze i komnaty zaczęły się skradać tajemnicze postacie – bezcielesne, rozmyte cienie.

Valeria nagle obudziła się. W gęstej szmaragdowej poświacie ognistych kamieni dostrzegła pochylony nad sobą cień o ludzkich kształtach. Przez chwilę myślała, że zjawą jest częścią snu, w którym, tak jak w realnym świecie, leży w łożu, a nad jej twarzą pulsuje i faluje olbrzymi czarny kwiat, tak wielki, że przesłaniający cały sufit. Jego egzotyczny zapach zawładnął jej świadomością całkowicie, sprowadzając rozlewającą się po

całym ciele rozkosz tak absolutną, tak totalną, że powodującą omdlenie, będące jednocześnie i czymś więcej, i czymś mniej, niż sen. Pochłaniały ją aromatyczne mgły nieopisanej błogości, gdy nagle coś dotknęło jej twarzy. W tej chwili dla nieludzko wręcz wyostrzonych zmysłów muśnięcie to było jak tytanicznie potężny cios, brutalnie i okrutnie przywołujący ją do rzeczywistości. Gwałtownie otworzyła oczy i ujrzała nad sobą nie ogromny kwiat rozkoszy, ale pochyloną ciemnoskórą kobietę.

Dziewczyna oprzytomniała w jednej chwili. Kobieta odwróciła się zwinnie, nim jednak zdołała uciec, wściekła Valeria zerwała się na równe nogi i chwyciła ją za ramię. Nieznajoma przez chwilę walczyła jak dzika kocica, ale gdy poczuła ogromną siłę napastniczki, niespodziewanie się poddała. Valeria brutalnie odwróciła ją i ujawszy podbródek wolną ręką, zmusiła, by ta spojrzała jej prosto w oczy. Była to ponura Yasala, służka Tasceli.

– Co ty chciałaś, do kurwy i nędzy, mi zrobić?!? Co tam trzymasz w dłoni?

Kobieta milczała, jednocześnie usiłując odrzucić ów przedmiot. Valeria wykręciła jej ramię i na podłogę spadł wielki egzotyczny kwiat na łodydze koloru jadeitowej zieleni, tak duży, jak głowa kobiety, ale maciupunki w porównaniu z olbrzymem, którego Valeria widziała we śnie.

– Czarny lotos! – wycedziła przez zęby. – Kwiat sprowadzający swym zapachem głęboki sen. Chciałaś mnie odurzyć! Gdybyś przypadkiem nie dotknęła mojej twarzy jego płatkami, mogłabyś... Dlaczego to zrobiłaś? O co tu chodzi?

Yasala milczała ponuro, więc Valeria, klnąc pod nosem, odwróciła ją, zmusiła do ukłęknięcia i zaczęła wykręcać jej rękę za plecami.

– Gadaj zaraz albo wyrwę ci ramię ze stawu!

Służka Tasceli wiła się z bólu, lecz jedyną odpowiedzią na groźbę było gwałtowne kręcenie głową.

– Jebana kurwa! – Valeria cisnęła Yasalą o podłogę i płonącymi furią oczami spoglądała na leżącą przed nią postać. Strach i wspomnienie ognistych oczu Tasceli obudziły w niej pierwotny tygrysi instynkt samoobrony. Ci ludzie byli dewiantami i degeneratami, zdolnymi do najgorszego z możliwych zwyrodnienia. Ale Valeria wyczuła coś więcej, jakąś potworną i odrażającą tajemnicę, bardziej obrzydliwą od pospolitego zboczenia czy perwersji. Opanowały ją zarazem i fala strachu, i odraza w czystej postaci na myśl o tym dziwnym mieście. Jego mieszkańcy nie

byli normalni. Zaczęła wątpić w to, czy w ogóle są ludźmi. W oczach prawie każdego mieszkańca płonęło szaleństwo. Prawie każdego, bowiem jedynie okrutne i pełne tajemnic oczy Tasceli skrywały prawdę o rzeczach bardziej przerażających niż szaleństwo.

Uniosła głowę i zaczęła pilnie nasłuchiwać. Korytarze i komnaty Xuchotl tonęły w ciszy, jakby naprawdę było to wymarłe miasto. Zielone ogniste kamienie kapały komnatę w koszmarnej poświacie, a w ich blasku oczy leżącej na podłodze kobiety skrzyły się od żywej nienawiści. Valeria poczuła dreszcze paniki na plecach, które z jej hardego serca przepędziły ostatnie resztki litości.

– Gadaj, suko, dlaczego chciałaś mnie otruć? – syknęła, chwytając kobietę za długie czarne włosy i odchylając jej głowę tak bardzo, aż miała tuż przed twarzą posępne i zimne oczy Yasali okolone długimi rzęsami. – Czy to Tascela cię nasłała?

Żadnej odpowiedzi. Valeria zaklęła jadowicie, po czym wymierzyła kobiecie dwa siarczyste policzki. Odgłos uderzeń poniósł się po komnacie, ale służka nawet nie jęknęła.

– Czemu nie drzesz mordy? – z wściekłością spytała Valeria. – Boisz się, że ktoś cię usłyszy? Przed kim tak trzęsiesz kulasami? Tascelą? Olmekiem? Conanem?

Ale służka milczała jak zaklęta. Skulona, obserwowała swą oprawczynię wzrokiem bazyliuszka. Uparte milczenie zawsze podsycą gniew. Valeria odwróciła się i zerwała garść sznurków z pobliskiej zasłony.

– Ty podstępna dziwko! – bliska furii wycodziła przez zęby. – Teraz zerwę z ciebie te szmaty, gołą przywiążę do łóżka i będę biczować tak długo, aż mi nie powiesz, po co tu przylazłaś i kto cię przysłał!

Yasala nie powiedziała słowa i nie stawiała też oporu, gdy Valeria spełniła pierwszą część swojej groźby, rozwścieczona do białości milczącym uporem jeńca. Potem na jakiś czas komnata wypełniła się świstem i trzaskiem ściśle splecionych jedwabnych sznurków, masakrujących nagą ciemną skórę. Yasala nie mogła poruszać ani mocno związanymi stopami, ani rękoma, jedynie jej ciało wiło się i drżało, a głowa chwiała się na boki w rytmie kolejnych razów. Zagryzła wargi z taką siłą, że pomiędzy nich poleciała strużka krwi, a mimo to nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

Odrażający odgłos siezonego ciała giętkimi sznurkami nie był w komnacie zbyt głośny, ale i tak po każdym uderzeniu na ciemnej skórze

Yasali rozkwitały kolejne krwawe smugi. Valeria tłukła zaimprovizowanym pejczem całą siłą muskularnego ramienia nawykłego do machania mieczem, a w tej torturze była bezlitosna, okrutna i brutalna, jak tylko może być człowiek przyzwyczajony do życia, w którym cierpienie i ból są zjawiskiem codziennym. I znęcała się nad swą ofiarą z tak cyniczną naturalnością, wręcz radością i ponurą satysfakcją, jakie kobiecie może okazać wyłącznie inna kobieta. Dlatego Yasala cierpiała o wiele bardziej, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, niż gdyby pejczem okładał ją nawet najsilniejszy mężczyzna.

W końcu ten właśnie kobiecy cynizm złamał Yasalę.

Cichy, z początku niepozorny, ale narastający szloch wyrwał się z jej ust. Valeria wstrzymała uniesione ramię, odrzucając z czoła mokry od potu pukiel płowych włosów.

– Masz już dość moich pieścot? Będiesz gadać? – spytała. – Wiesz, ja mogę cię tak okładać przez całą noc!

– Litości! – szepnęła kobieta. – Powiem wszystko!

Valeria przecięła krępujące służkę więzy i pomogła wstać, ale Yasala natychmiast opadła na łożo i legła tam w pozycji półleżącej, wspierając się na ramieniu. Skręcała się z bólu za każdym razem, gdy pocięta skóra dotykała jedwabnej pościeli. Drżała na całym ciele.

– Wina! – błagała, z trudem dobywając głos z wyschniętego gardła, pokazując rozdygotaną dłonią złoty kielich stojący na stole z kości słoniowej. – Pozwól mi się napić. Jestem wykończona. Potem ci wszystko opowiem.

Valeria podniosła kielich, a Yasala niepewnie wstała, aby wziąć go do ręki. Następnie przytknęła go sobie do spierzchniętych warg i nagle całą zawartością pucharu chlusnęła w twarz Akwilonki. Valeria zachwiała się, cofając dwa kroki, jednocześnie potrząsając głową i przecierając oczy, próbując jak najszybciej zetrzeć z oczu szczypiący napój. Jak przez mgłę zobaczyła, że Yasala mknie przez komnatę, dopada do okutych miedzią drzwi, wprawnym ruchem odsuwa rygiel, otwiera je i znika w głębi korytarza. Valeria natychmiast ruszyła za nią, z mieczem w dłoni i żądzą mordu w sercu.

Ale Yasala miała przewagę i mknęła przed siebie z rozpaczliwą szybkością kogoś, kogo przed chwilą wybatożono z brutalnym okrucieństwem, doprowadzając na krawędź szaleństwa i rozpaczy. Służka minęła najbliższy zakręt korytarza dobrych kilkanaście kroków przed

Valerię, a gdy ta wreszcie tam dobiegła, ujrzała jedynie pustkę, na której drugim końcu ziały czernią otwarte drzwi. Unosił się od nich wilgotny odór pleśni i dziewczyna zadrżała. Te drzwi musiały prowadzić do katakumb.

Yasala znalazła kryjówkę wśród umarłych.

Valeria podeszła do ziejącego mrokiem otworu i ujrzała kamienne schody, szybko rozpływające się w atramentowej ciemności. Najwyraźniej był to tunel wiodący bezpośrednio do katakumb pod miastem i nie miał wyjść na inne kondygnacje. Poczowała na plecach delikatną falę dreszczy, gdy pomyślała o tych tysiącach martwych ciał, leżących tam, w dole, w swych kamiennych łożach wiecznego snu, odzianych w przegniłe szaty. Nie miała zamiaru ścigać swej ofiary po omacku, bo bez wątpienia Yasala w podziemnych korytarzach znała każdy kąt.

Valeria właśnie się odwracała, bezradna i wściekła, gdy nagle ciemności przeciął rozpaczliwy krzyk. Dochodził ze znacznej odległości, ale słowa, choć ledwie słyszalne, można było bez trudu zrozumieć, zaś głos bez wątpienia należał do kobiety.

– Na pomoc! Litości, w imię Seta! Arghh! – Wtem wrzask agonii ucichł w oddali i Valeria dałaby sobie rękę uciąć, że słyszy jakiś upiorny, szydery chichot.

Krew w żyłach dziewczyny stęzała, a serce wypełnił niewytłumaczalny lęk. Co spotkało Yasalę tam, w lepkiem, przerażającym mroku? Bo to ona bez wątpienia krzyczała. Jakie spotkało ją nieszczęście? Jakiś Xotalanc czekał tam w zasadzce? Olmec przecież ze wszystkich sił ich zapewniał, że katakumby pod Teculhltli są odgrodzone od pozostałych murem zbyt solidnym i potężnym, by ktokolwiek mógł go sforsować. Poza tym ów upiorny chichot na pewno nie wydobył się z ludzkiego gardła.

Valeria nie trwoniła już więcej czasu na, przynajmniej w tej chwili, jałowe rozważania. Obróciła się na pięcie i biegiem wróciła do komnaty, starannie zamykając okute miedzią drzwi i zasuwając rygiel. Naciągnęła buty, przypięła pas z mieczem i podjęła decyzję: musi od razu iść do komnaty Conana i nakłonić go, jeśli jeszcze żył, do ucieczki z tego przeklętego miasta.

Otwierała właśnie drzwi na korytarz, gdy przez komnaty i sale poniósł się rozdzierający wrzask agonii. Potem usłyszała tupot biegnących nóg i szczekanie mieczy...

ROZDZIAŁ PIĄTY

DWADZIEŚCIA CZERWONYCH ĆWIEKÓW

Dwóch wojowników siedziało w komnacie strażników na piętrze znanym jako Poziom Orła. Ich niedbałe pozy nie świadczyły wcale o lekceważeniu obowiązków czy braku czujności. Atak z zewnątrz na wielkie wrota z brązu był możliwy w każdej chwili, ale od wielu już lat nic takiego się nie zdarzyło.

– Ci nieznajomi to silni sojusznicy – powiedział pierwszy. – Sądzę, że Olmec ruszy jutro na wroga.

Mówił to tak, jakby był żołnierzem na wojnie. W małym świecie Xuchotl każda grupka walczących była armią, a puste korytarze i komnaty między wrogimi twierdzami – rozległym polem bitwy.

Drugi wojownik zastanawiał się przez chwilę.

– Założmy, że z ich pomocą zdołamy zniszczyć Xotalanc – rzekł wreszcie. – A co będzie potem, Xatmecu?

– A co ma być? – odparł Xatmec. – Wbijemy po jednym czerwonym ćwieku za każdego z nich. Jeńców spalimy, oskórujemy i poćwiartujemy.

– Oczywiście, że tak, ale ja się pytam: co potem? – dopytywał się ten pierwszy. – Wyrzniemy ich wszystkich i...? Jakoś dziwnie będzie tak nagle nie mieć z kim walczyć. Całe życie zabijałem Xotalanców i nienawidziłem ich. Co nam pozostanie, gdy skończy się wojna między nami?

Xatmec tylko wzruszył ramionami. Jego myśli nigdy nie wybiegały dalej, niż mordowanie znienawidzonych wrogów. Dla niego nie było żadnego „co potem”.

Nagle obaj mężczyźni zeszywnieli na dźwięki dochodzące spoza wielkich wrót z brązu.

– Alarm, Xatmecu! Do wrót! – syknął jeden. – Sprawdź przez Oko, co się dzieje.

Xatmec z mieczem w dłoni przylgnął do wrót niczym rzep do psiego ogona, wyciągając słuch, a jego towarzysz spojrzął w zwierciadło i w pierwszej chwili zwyczajnie zbaraniał. Przed bramą kłębili się

wojownicy z Xotalanc – posępni, ciemnoskórzy ludzie z mieczami w zębach i palcami głęboko wetkniętymi w uszy. Jeden z nich z pióropuszem na głowie przyłożył do ust piszczałkę i nim strażnik przy Oku zdołał wykrzyknąć ostrzeżenie – w powietrze popłynęła melodia.

Krzyk utknął strażnikowi w gardle, gdy cienki, upiorny pisk przepłynął przez metalowe drzwi i dotarł do jego uszu. Xatmec tkwił przy wrotach dotknięty paralizem, a jego twarz zastygła w wyrazie przerażającego zasluchania. Drugi strażnik, bardziej oddalony od źródła dźwięku, doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, z kolosalnego zagrożenia niesionego demoniczną melodią. Czuł, że te niezwykle dźwięki szarpiają, jak niewidzialne palce, każdy fragment mózgu, jakby jego ciało stało się nagle jednym wielkim instrumentem, pogrążając serce w obcym i pełnym szaleństwa uczuciu. Jednak z gigantycznym, rozdzierającym duszę wysiłkiem, zdołał przełamać moc zaklęcia i obcym sobie głosem wykrzyknął ostrzeżenie.

Wtedy melodia zmieniła charakter, stając się nieznośnym, paralizującym piskiem, który siekł bębunki niczym ostrze miecza. Xatmec zawył z niewysłowionego bólu i nagle z jego twarzy zniknęły ostatki normalności i świadomości, jak płomień świecy zdmuchnięty porywem wiatru. Zatopiony w odmętach szaleństwa zdjął łańcuch, otworzył wrota i z uniesionym mieczem wbiegł do komnaty, nim jego towarzysz mógł go powstrzymać. Zginął natychmiast, gdy tuzin ostrzy dosłownie rozerwało go na strzępy. Nad zmasakrowanym trupem przewaliła się śmiercionośna fala Xotalanców, którzy wparowali do strażnicy z krwiożerczym rykiem, zwielokrotnionym po tysiącokroć tańczącym między ścianami echem, sunącym następnie przez wszystkie pomieszczenia Tecuhltli.

Drugi ze strażników, z duszą oszołomioną i zaszokowaną, stanął z nastawioną włócznią na drodze nadciągającej nawałnicy mieczy i sztyletów. Efekt przerażającego zaklęcia, którego przed chwilą doświadczył, prysł niczym bańka mydlana, gdy oprzytomniałymi oczami zobaczył i zrozumiał wreszcie, że odwieczni wrogowie są w Tecuhltli. Zdążył jeszcze nadzieć na ostrze włóczni jeden ciemnoskóry brzuch i nic już więcej w życiu nie zobaczył, bo świszczący miecz prowadzony pewną ręką zatoczył w powietrzu łuk i rozwalił mu czaszkę. Rozwścieczeni, żądni krwi, mordy i zemsty Xotalancowie wciąż napływali do wartowni.

Wrzask ludzi i szczęk broni obudziły Conana, który zerwał się z łóżka ze swoim ogromnym mieczem, w pełni przytomny, i jednym potężnym susem

dopadł do drzwi, otwierając je na oścież i wyglądając na korytarz dokładnie w chwili, gdy z płonącym od niedowierzania wzrokiem przebiegał obok Techotl.

– Xotalancowie! – ryczał nieludzkim głosem. – Dostali się do środka!

Cymmeryjczyk ruszył korytarzem i od razu spotkał Valerię, która wyskoczyła ze swojej komnaty.

– Conan, co tu się dzieje!?! – zawołała.

– Techotl mówi, że odwiedzili nas Xotalancowie – odparł pośpiesznie. – I chyba ma rację!

We trójkę wparowali do sali tronowej i na chwilę odebrało im mowę, bo ujrzeni widok, który mógłby co najwyżej wyśnić zupełnie zdegenerowany sadysta, kochający najbardziej krwawe obrazy makabry. Dwudziestu ludzi: kobiet i mężczyzn, z rozpuszczonymi czarnymi włosami i lśniącymi na piersiach symbolami białej czaszki zwarło się w walce z mieszkańcami Tecuhtli. Kobiety obydwu stronnictw walczyły równie zaciekle jak mężczyźni i posadzka komnaty już była usłana posieczonymi w przerażający sposób ciałami.

Olmec, odziany tylko w przepaskę na biodrach, walczył przy swoim tronie, a gdy w sali zjawili się Conan, Valeria i Techotl, ze swej komnaty nadbiegła Tascela z mieczem w dłoni.

Xatamec i jego towarzysz byli już martwi i dlatego nie mogli wytłumaczyć swoim rodakom, w jaki sposób wrogowie dostali się do twierdzy. Nie było też nikogo, kto byłby w stanie wyjaśnić, co skłoniło ich do tak desperackiego i szaleńczego kroku.

Ale straty Xotalanców były dużo większe, a ich położenie bardziej desperackie, niż mogliby sądzić Tecuhtli. Zranienie służącego im i pokrytego łuskami potwora, rozbitcie Płonącej Czaszki i wieść od konającego wojownika, że para tajemniczych morderców o jasnej skórze przyłączyła się do ich wrogów, przywiodły Xotalanców na skraj rozpacz i zmusiły do podjęcia szaleńczej misji: mieli zginąć wszyscy, w pierw zabijając tylu Tecuhtli, ilu zdołają.

Tymczasem Tecuhtli otrząsnęli się już z pierwszego szoku, wywołanego zaskoczeniem, który zepchnął ich do komnaty tronowej i zmusił do defensywy, co kosztowało kilka ludzkich istnień. Teraz jednak opanowali chaos w swoich szeregach, strażnicy z niższych kondygnacji już pędzili na złamanie karku, by dołączyć do bitwy, a wszystkich ogarnęła furia zabijania. To była rzeź, masakra i bezlitosna rąbanina, bój na śmierć i życie,

starcie wściekłych wilków, orgia wypruwanych wnętrzności, odcinanych kończyn, podrzynanych gardeł i rozłupywanych czaszek. Bój stłoczonych ciał, falami przewalających się od drzwi do tronu i z powrotem, w błyskach świszczących mieczy, w fontannach krwi, w łomocie nóg na purpurowej posadzce, na której co chwila powstawały nowe jeziora jasnoczerwonych plam. Stół z kości słoniowej szlag trafił, gdy wyrznięto o niego posieczone ciało; krzeselka i stoliki łamały się pod ciężarem upadających ciał lub służyły za broń; padały zerwane ze ścian zdobne draperie, nasiakając na posadzce ciepłą jeszcze krwią dopiero co zabitych. Było to apogeum trwającej pięćdziesiąt lat nieustannej rzezi i wszyscy świetnie o tym wiedzieli.

Koniec mógł być tylko jeden. Tecuhltli, dwukrotnie liczniejsi, poczuli dodatkowy zastrzyk zabójczej energii, gdy zobaczyli, że do boju wkraczają ich białoskórzy sprzymierzeńcy, a Conan i Valeria rzucili się do walki z dewastującą siłą huraganu wrywającego z korzeniami całe lasy. Nawet gdyby swe siły połączyło trzech najsilniejszych Tlazitlanów, to i tak nie mogli się równać z krzepą Cymmeryjczyka, który mimo swej ogromnej masy był szybszy od któregośkolwiek z nich. Poruszał się w tej szalejącej masie ludzkiej niczym błyskawica, siejąc spustoszenie jak szary wilk wśród watahy rynsztokowych kundli, pozostawiając za sobą stosy zmasakrowanych ciał.

Obok Conana, z dzikim uśmiechem na twarzy i błyskiem okrucieństwa w oczach, walczyła Valeria. Była dużo silniejsza i znacznie szybsza niż przeciętny mężczyzna, a na dodatek o niebo groźniejsza. Miecz w jej dłoni tańczył jak żywa istota. Conan po prostu powalał przeciwników swym brutalnym ciężarem i piekielną mocą gigantycznych mięśni, łamiąc włócznie, rozłupując czaszki i rozpruwając brzuchy, Valeria zaś szokowała i ogłupiała przeciwników mistrzowskim fechtunkiem, nim mordowała ich z zimną krwią. Co chwilę wojownik szykujący się do zadania zabójczego ciosu padał z przeciętą tętnicą z miną kompletnego zdziwienia na twarzy. Conan, którego ogromna sylwetka zdawała się niepodzielnie górować nad pobojobowiskiem, pruł przed siebie jak taran, waląc mieczem na lewo i prawo, ale Valeria poruszała się jak zwodnicza, szybsza od myśli mangusta w pojedynku z głodną kobrą. Cały czas wirowała, zmieniała pozycje i kąty natarcia, siekła i kłuła. Wymierzone w nią ciosy chybiały za każdym razem, a próbujący ją usiec wojownicy padali z przebitym sercem lub rozharatany gardłem, słysząc w uszach jej szydrczy śmiech.

Płeć czy stan fizyczny uczestników tej sieczki nie miały żadnego znaczenia. Nim Conan i Valeria przyłączyli się do walki, pięć kobiet z Xotalanc leżało na posadzce z poderżniętymi gardłami, a gdy ktokolwiek, czy to kobieta, czy mężczyzna, padali na podłogę w rozgorączkowany gąszcz nóg, zawsze znalazł się ktoś gotowy, by leżącemu poderżnąć gardło i wypruć flaki, czy obutą w sandał stopą zmiążyć mu twarz lub tchawicę.

Od ściany do ściany, od drzwi do drzwi przewalały się lawiny opętańczej rzezi, zalewając sąsiednie komnaty i korytarze. A wszystko to trwało tak długo, aż w końcu twardo na nogach stali już tylko mieszkańcy Tecuhltli i zabójczy duet białoskórych wojowników. Ocalali patrzyli na siebie pustym i otepiałym wzrokiem, sprawiając wrażenie co najwyżej godnych pożałowania niedobitków ludzkości, które niezrozumiałym zrządzeniem losu przeżyły piekło zagłady całego świata.

Patrzyli na siebie ponad zmasakrowanymi ciałami przyjaciół i wrogów, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, trzymając w dłoniach poszczerbione i poczerwieniałe miecze, a z ich ran strużkami spływała krew. Nie mieli dość siły, by triumfować wrzaskiem i krzykiem, ale z ich ust wystrzeliło w powietrze szalone wycie i zwierzęcy ryk. I nie był to ludzki okrzyk zwycięstwa, a wycie watahy rozwścieczonych wilków, chodzących między ciałami swych ofiar.

Conan złapał Valerię za ramię i przyciągnął do siebie.

– Ktoś dźgnął cię w łydkę – burknął.

Dziewczyna spojrzała w dół, dopiero teraz świadoma istnienia rany na nodze. Najwyraźniej jeden z umierających wojowników, leżąc już na podłodze, zdołał zatopić w niej sztylet.

– A ty wyglądasz jak skąpany we krwi rzeźnik – roześmiała się.

Cymmeryjczyk starł krew z rąk, wycierając je o spodnie.

– Nic mi nie jest. No, może mam jakieś zadrapanie tu i tam, więc nie ma się czym przejmować. Ale twoją łydkę trzeba opatrzyć.

Przez pobojuwisko nadszedł Olmec, pusząc szerokie, nagie ramiona obryzgane krwią i czarną brodę posklejaną w szkarłatne kołtuny. Wyglądał jak jasnoskóry upiór z oczami płonącymi czerwienią jak refleksy płomienia w czarnej wodzie.

– Zwyciężyliśmy! – skrzeknął opętańczo. – Wyrznęliśmy naszych odwiecznych wrogów! Psy z Xotalanc leżą martwe! Och, bogowie, jaka szkoda, że nie ostał się chociaż jeden żywy, by go oskórować! Jednak i tak

to prawdziwa rozkosz oglądać ich martwe ciała. Dwadzieścia zatłuczonych psów! Dwadzieścia czerwonych ćwieków na czarnej kolumnie!

– Już lepiej zająłbyś się swoimi rannymi – warknął Conan, odwracając się od niego. – Hej, dziewczyno, pokaż mi tę nogę.

– Chwila! – Niecierpliwie strząsnęła jego dłoń. Płomień walki wciąż jeszcze tańczył żywym ogniem w jej duszy. – Skąd wiemy, że ci tutaj to wszyscy? Co będzie, jeśli pozostali zaatakują z innej strony?

– Nie podzieliliby się na mniejsze grupy przed takim atakiem – powiedział Olmec, kręcąc głową. Zdążył już ochłonąć i odzyskiwał zdrowy rozsądek, choć bez purpurowej togi wyglądał bardziej na dziką, drapieżną bestię niż na księcia i wodza klanu. – Dam sobie głowę uciąć, że zabiliśmy ich wszystkich. Jak widzę, było ich znacznie mniej niż przypuszczałem, musieli więc być naprawdę zdesperowani. Ale jakim cudem weszli do Tecuhltli?

Podeszła do nich Tascela, czyszcząc miecz o nagie udo i trzymając w dłoni przedmiot, który wyciągnęła z martwych rąk noszącego pióropusz na głowie wodza Xotalanców.

– Piszczalka szaleństwa – rzekła. – Jeden z wojowników powiedział mi, że Xatmec otworzył wrota Xotalancom, a oni go zatłukli, gdy wtargnęli do strażnicy. Wojownik ów przyszedł z wewnętrznej komnaty w odpowiedniej chwili, by widzieć na własne oczy całe zajście i usłyszeć ostatnie takty melodii, co, jak twierdzi, zmroziło mu duszę. Tolkemec opowiadał kiedyś o tej piszczałce, a Xuchotlani zaklinali się, że leżała ukryta w katakumbach razem z kośćmi pradawnego maga. W jakiś sposób te psy zdołały ją odnaleźć i odkryły sekret drzemiącej w niej magii.

– Ktoś powinien pójść do Xotalanc i sprawdzić, czy aby czasami ktoś jednak nie pozostał – powiedział Conan. – Pójdę tam sam, ale potrzebuję przewodnika.

Olmec zerknął na ocalałych. Przeżyło ich tylko dwudziestu, a i tak wielu leżało poważnie rannych na posadzce, jęcząc i zawodząc. Pośród wszystkich Tecuhltlich tylko Tascela nie odniosła najmniejszej nawet rany, choć walczyła równie dziko jak wszyscy.

– Kto pójdzie z Conanem do Xotalanc? – zapytał Olmec.

Do króla przykuśtykał Techotl. Rana na jego udzie zaczęła znowu krwawić, a z nowego, paskudnie wyglądającego rozcięcia na piersi sączyła się strużka krwi.

– Ja pójdę!

– Nie, nie pójdziesz – zaproponował Conan. – I ty też nie, Valerio. Za parę chwil twoja noga zacznie sztywnieć.

– W takim razie ja pójdę – zgłosił się wojownik, który bandażował sobie zranione ramię.

– Bardzo dobrze, Yanath. Idź z Cymmeryjczykiem. I ty też, Topalu. – Olmec wskazał palcem jeszcze jednego wojownika, ledwie draśniętego w boju. – Ale najpierw pomóżcie przenieść ciężko rannych na łoża, trzeba ich szybko opatrzyć.

Rozkaz Olmeca wykonano natychmiast. Gdy pochylili się, by podnieść kobietę, która została ogłuszona ciosem pałki, jego broda dotknęła ucha Topala. Conanowi zdawało się, że księżę wymamrotał coś do wojownika, ale pewności nie miał. Parę chwil później cała trójka opuszczała salę tronową.

Stojąc w drzwiach, Conan obejrzał się przez ramię. Na skrzęcej się czerwonej poświatał posadzce leżały stosy zmasakrowanych ciemnoskórych ciał; poodcinane kończyny, bezgłowe korpusy, twarze zastygłe w grymasie nienawiści, szkliste puste oczy spoglądające w zielone ogniste kamienie, spowijające upiorne pobojuwisko szmaragdowym całunem. Żywi stąpali między umarłymi bez widocznego celu, jakby pogrążeni w transie. Conan usłyszał, że Olmec przywołuje do siebie jedną z kobiet i rozkazuje jej opatrzenie zranionej łydki Valerii, po czym obydwie poszły do sąsiedniej komnaty. Valeria wyraźnie utykała.

Dwóch Tecuhltlich ostrożnie przeprowadziło Conana przez komnatę za wrotami z brązu, a potem szli ciągnącym się w nieskończoność labiryntem pomieszczeń tonących w zielonkawym świetle. Wszędzie panowała głucha cisza. Nikogo nie zauważyli. Gdy dotarli do Wielkiej Sali, przecinającej Xuchotl z południa na północ, wzmogli czujność, wkraczali bowiem na terytorium odwiecznego wroga, jednak mijane sale ziały potworną pustką. W końcu przeszli przez szeroki i mroczny korytarz i stanęli przed masywnymi wrotami z brązu, łudząco podobnymi do Bramy Orła w Tecuhltli. Z wielką ostrożnością pchnęli je lekko, a one, niespodziewanie, cicho i bez oporu zaczęły się otwierać.

Towarzyszący Conanowi wojownicy z wyraźnym przerażeniem na twarzach, zdumieni i zaszokowani, przyglądali się oświetlonym na zielono komnatom. Od pięćdziesięciu lat nie postawił tu stopy żaden Tecuhltli, chyba że jako więzień idący na spotkanie straszliwego losu. Najgorszym koszmarem dla każdego mieszkańca zachodniej twierdzy było przejście

przez wrota wiodące do Xotalanc. Od najwcześniejszego dzieciństwa bali się tylko jednego – pojmania i tortur, dlatego dla Yanatha i Topala mijana właśnie brama była wejściem do otchłani samego piekła.

Skuleni i zdjęci strachem już chcieli uciekać, ale Conan odsunął ich zdecydowanym gestem i jak gdyby nigdy nic, po prostu wszedł do środka.

Ruszyli za nim nieśmiało, czujnie, a minawszy próg, trwożliwie rozglądali się wokoło. Ale w środku spotkali tylko ciszę, przerywaną ich przyspieszonymi oddechami.

Weszli do kwadratowej strażnicy, podobnej do tej znajdującej się za Bramą Orła, z której szeroki korytarz prowadził prosto do komnaty będącej odpowiednikiem sali tronowej Olmeca. Conan beznamietnym spojrzeniem omiół pomieszczenie, przyglądając się wzorzystym dywanom na posadzce, sofom i draperiom na ścianach. Wytężył słuch, ale niepotrzebnie, bo po raz kolejny usłyszał jedynie ciszę. W zasadzie był już pewien, że w Xuchotl nie ma ani jednego żywego Xotalanca.

– Chodźcie – mruknął i ruszył śmiało korytarzem.

Nie uszedł daleko, gdy odkrył, że podążał za nim tylko Yanath. Odwrócił się i zobaczył Topala stojącego nieruchomo jak posąg, z wyrazem przerażenia na ciemnej twarzy, szeroko otwartymi oczami i z wyciągniętym ramieniem, jakby chciał powstrzymać nadciągające niebezpieczeństwo. Wojownik trwał w jakimś dziwnym, niemalże hipnotycznym bezruchu, spięty i sztywny, wpatrując się w coś wystającego zza sofę.

– Co jest? – spytał i wtedy zobaczył to coś, co tak bardzo wystraszyło Topala. Poczuł lekki dreszcz przebiegający mu między olbrzymimi ramionami. Zza mebla wystawał potworny, wielki gadzi łeb, szeroki jak u największego krokodyla. Z odrażającej paszczy zwieszały się nad dolną szczęką monstrualne szabliste kły, ale bestia leżała w nienaturalny sposób bezwładnie, a jej obrzydliwe ślepia lśniły szklistym spojrzeniem.

Conan zajrzał za sofę. Leżał tam martwy wąż, wielki jak góra, tak wielki, jakiego Cymmeryjczyk nigdy jeszcze nie widział na oczy, a przemierzył światy wszerz i wzdłuż i z niejednym gadem tego rodzaju miał do czynienia. Śmierdział niemiłosiernie stęchlizną i wiało od niego chłodem nieodgadnionych ziemskich otchłani. Trudno było określić, jakiej był barwy, bowiem kolor cielska zmieniał się w zależności od kąta, pod którym się go oglądało. Wielka rana na karku dowodziła, co było przyczyną śmierci bestii.

– To Pełzacz! – szepnął Yanath.

– To jest to samo bydłę, które ciachnąłem mieczem na schodach – mruknął Conan. – Po tym, jak goniło nas aż do Bramy Orła, musiało najwidoczniej tu przypełzać, aby zdechnąć. Jakim sposobem Xotalancowie potrafili zapanować nad tą gadzią cholera?

Tecuhltli wzdrgnęli się i potrzęsneli głowami.

– Musieli go przywołać z czarnych tuneli pod katakumbami. Poznali sekrety nieznane Tecuhltlom.

– Srał go pies, jest martwy! Gdyby mieli ich więcej, popełżyby z nimi, by zaatakować Tecuhltli. Dobra, koniec oglądania! Idziemy!

Wojownicy szli osłonięci olbrzymią sylwetką Cymmeryjczyka, tak blisko jego pleców, że niemal deptali mu po piętach. Przeszli przez komnatę, a Conan, gdy dotarł do obitych srebrem drzwi na przeciwległym końcu pomieszczenia, pchnął je śmiało.

– Jeśli nie znajdziemy nikogo na tej kondygnacji – zaordynował – zejdziemy na niższe. Przeszukamy Xotalanc od dachu aż po katakumby. Jeśli jest tu jak w Tecuhltli, wszystkie komnaty na tym poziomie powinny być oświetlone... Co, do cholery?!

Wkroczyli do obszernej sali tronowej, bardzo podobnej do tej w Tecuhltli. Stało tam to samo jadeitowe podwyższenie i tron z kości słoniowej, na posadzce leżały takie same dywany, i takie same draperie ozdabiały ściany. Jedna tylko rzecz zasadniczo różniła obydwie sale tronowe – za podwyższeniem nie było czarnej, upstrzonej czerwonymi ćwiekami kolumny. Coś innego przypominało o trwającej latami okrutnej wojnie.

Na ścianie za podwyższeniem wisały rzędy szklanych półek, a na nich w równych szeregach z pieczołowitością poustawiano setki ludzkich głów, zachowanych w doskonałym stanie, patrzących obojętnymi oczami na zdumionych obserwatorów, tak jak pewnie robiły to przez nie wiedzieć ile miesięcy i lat.

Topał mamrotał pod nosem jakieś przekleństwa, ale Yanath stał w milczeniu, a w jego szeroko otwartych oczach narastał płomień szaleństwa. Conan zmarszczył brwi, doskonale wiedząc, że u mieszkańców tego miasta istnieje bardzo cienka granica między zdrowym rozsądkiem a szaleństwem.

Nagle Yanath wskazał drżącym palcem w stronę makabrycznej kolekcji trofeów.

– To głowa mojego brata! – wymamrotał. – A to młodszy brat mojego ojca! Za nimi z kolei leży głowa najstarszego syna mojej siostry!

Zaczął nagle łkać; choć w jego oczach nie perliły się łzy, całym ciałem wojownika wstrząsały spazmy chrapliwego, rozdierającego szlochu. Nie mógł oderwać wzroku od ponurych czerepów. Z każdą chwilą jego płacz stawał się coraz bardziej przeraźliwy, nagle przybrał formę histerycznego i piskliwego śmiechu, aż wreszcie pod sklepienie wystrzelił ryk tak przejmujący, że nie do zniesienia. Yanath oszalał.

Conan położył mu dłoń na ramieniu, ale zamiast ukojenia, dotyk wyzwolił z potworną siłą całe szaleństwo duszy. Wojownik zawył i obracając się na pięcie, zaatakował Cymmeryjczyka swym mieczem. Ten sparował cios bez trudu, a Topal spróbował pochwycić ramię Yanatha, który wywinął się z uchwytu i tocząc pianę z ust, wbił miecz głęboko w ciało kompana. Topal z jękiem osunął się na posadzkę, zaś Yanath wirował przez chwilę w upiornym tańcu szaleństwa, aż w końcu podbiegł do szklanych półek i przeklinając na czym świat stoi, zaczął je rąbać swym mieczem.

Conan doskoczył do szaleńca z tyłu, chcąc go zaskoczyć i rozbroić, jednak ten odwrócił się i wyjął jak potępiona dusza, runął do ataku. Cymmeryjczyk wiedział, że dla obłąkańca nie ma już ratunku, więc zwinnie, prostym zwodem zszedł z linii ataku, a gdy mijał go rozpedzony w szarży Yanath, oszczędnym ciosem rozrąbał mężczyźnie obojczyk i klatkę piersiową, a ten, nim osunął się na posadzkę, był już martwy.

Conan pochylił się nad rannym Topalem. Wystarczył tylko jeden rzut oka i już wiedział, że wojownik zaraz wyzionie ducha. Nie było nawet po co tamować lejącego się z rany strumienia krwi.

– Już po tobie, Topalu – mruknął Conan. – Chciałbyś coś przekazać swoim rodakom?

– Pochyl się niżej – wydyszał Topal, a barbarzyńca spełnił prośbę umierającego... i chwilę potem zacisnął swe palce w mocarnym uścisku na przegubie leżącego, gdy ten spróbował przeszyć go sztyłem.

– Nożeż kurwa! – zaklął. – Tobie też odbiło?!

– Rozkaz Olmeca... To był rozkaz Olmeca... – wysapał z trudem umierający. – Nie wiem dlaczego. Kiedy przenosiliśmy rannych na łoża, szepnął mi, bym cię ukatrupił, gdy będziemy wracać do Tecuhtli... – I były to ostatnie słowa, które wypowiedział.

Conan zdumiony i zdezorientowany spojrział na trupa. Cała ta sprawa wyglądała na jeden wielki obłąd. Czyżby Olmec też był szaleńcem? Czy

wszyscy mieszkańcy Tecuhtli byli bardziej stuknięci, niż przypuszczał? Wzruszył ramionami i przeszedłszy przez komnatę strażników, minął wrota z brązu, pozostawiając martwych Tecuhtli pod upiornym spojrzeniem setek głów ich pobratymców.

Nie potrzebował przewodnika, by w drodze powrotnej pokonać labirynt pomieszczeń. Jego pierwotny zmysł orientacji prowadził go bezbłędnie drogą, którą przeszli. Stąpał ostrożnie, czujnie, z uniesionym mieczem i wypatrując zagrożenia, mogącego zaić się w każdym mrocznym zakamarku, bowiem teraz obawiał się nie duchów pomordowanych Xotalanców, ale swoich niedawnych sojuszników.

Minął Wielką Salę i wchodził właśnie do komnat po drugiej stronie, gdy usłyszał, że coś ciężko i mozolnie porusza się przed nim, jęcząc, sapiąc i szurając. Chwilę później Conan ujrzał mężczyznę ledwie pełną po ognistej posadzce w jego stronę, znaczącego krwawym śladem przebytą drogę. Był to Techotl, a jego oczy już zaczynały się szklić. Spomiędzy kurczowo zaciśniętych palców wartkim strumieniem wyciekała krew z potwornej rany na piersi.

– Conan! – wydał z siebie zdławiony okrzyk. – Conanie! Olmec uprowadził płowowłosą kobietę!

– To dlatego kazał Topalowi mnie zabić! – wymamrotał Conan, klękając obok mężczyzny, który, jak ocenił wiedziony swym niemałym doświadczeniem w tej materii, umierał. – Olmec nie jest tak szalony, jak myślałem!

Techotl zacisnął palce na ramieniu Conana. W zimnym, pozbawionym miłości i odrażającym życiu Tecuhtlich jego podziw i sympatia dla przybyszów z zewnętrznego świata stworzyły jaśniejszą i cieplejszą oazę szlachetności, rozbudzając w nim płomień prawdziwego człowieczeństwa, którego zupełnie wyzbyci byli jego rodacy, znający jedynie furie nienawiści, żądę zemsty i umiłowanie sadystycznego okrucieństwa.

– Usiłowałem stawić mu opór – zbulgotał Techotl, gdy w otwartych ustach spieniła się krew. – Ale ciachnął mnie. Myślał, że jestem trupem... ale ja zdołałem uciec. Och, Secie!, jak długo musiałem pełznąć we własnej krwi! Bądź ostrożny, Conanie! Olmec pewnie zastawił gdzieś na ciebie pułapkę, na wszelki wypadek, gdybyś wrócił. Zabij go! To bestia! Zabierz stąd Valerię i uciekajcie! W lesie nic wam nie grozi, bo Olmec i Tascela kłamali, opowiadając o smokach. Bestie dawno temu wytrzebiły się nawzajem, pozostał ostatni, największy, i jeśli go ubiliście, między

drzewami będziecie bezpieczni. Olmec czcił go jak boga, składając mu ofiary ze starców i dzieci. Pętał nieszczęśnikom ręce i zrzucał z murów. Pospiesz się! Olmec zabrał Valerię do Komnaty...

Jego głowa z wolna zaczęła opadać, a nim spoczęła na posadzce, Techotl umarł.

Conan zerwał się na równe nogi, a jego oczy zapłonęły wściekłością jak węgle wrzucone do ognia. W taki więc sposób pogrywał sobie z nimi Olmec, używając do wyrżnięcia Xotolanców! Powinien był wyczuć, że coś podobnego urodzi się we łbie tego czarnobrodego degenerata i zwyrodnialca.

Cymmeryjczyk ruszył przed siebie, gnając na łeb, na szyję ku Tecuhtli, zapominając o ostrożności. Szybko policzył w myślach niedawnych sojuszników. Tylko dwudziestu jeden, wliczając w to Olmeca, przeżyło rzeź w sali tronowej. Od tego czasu zginęło jeszcze trzech, co w ostatecznym rozrachunku dawało siedemnastu przeciwników, z którymi należało się liczyć. Ogarnięty furią i wściekłością poczuł, że bez większych problemów rozprawi się z resztką klanu.

Jednak Conan nie był tylko wielgachną górą tępych mięśni kierowanych prymitywnymi odruchami. Błyskawicznie okiełznał instynkt i chęć mordu, pamiętając o ostrzeżeniu Techotla przed możliwą pułapką. Miało to sens, że książę zabezpieczył się w ten sposób na wypadek, gdyby Topal nie wykonał rozkazu. A gdyby tak było, to na pewno oczekiwał, iż barbarzyńca powróci do Tecuhtli tą samą drogą, którą poszedł do Xotalanc.

Cymmeryjczyk rzucił szybkie spojrzenie na mijany właśnie świetlik i ujrzał słaby blask gwiazd na nocnym niebie. Nie zaczęły jeszcze blednąć przed wschodem słońca. Nie mógł uwierzyć, świadkiem ilu makabrycznych wydarzeń była ta krótka noc.

Zboczył z oczywistego szlaku, na którym spodziewał się go książę, i kręconymi schodami zszedł na niższą kondygnację. Nie wiedział, gdzie na tym poziomie znajdują się drzwi prowadzące do twierdzy, ale wiedział, że wcześniej czy później je odnajdzie. Nie wiedział natomiast, jak poradzi sobie z zamkami, bo co do tego, że wrota będą zatrzaśnięte i zaryglowane, choćby z wieloletniego przyzwyczajenia, nie miał żadnych wątpliwości. Ale nie pozostawało mu nic innego, jak tylko spróbować.

Z mieczem w dłoni bezszelestnie pokonywał w pędzie labirynt skutych ciemnością lub tonących w zielonkawej poświacie korytarzy i komnat. Szóstym zmysłem wyczuwał, że jest już blisko Tecuhtli, gdy

niespodziewanie jakiś dźwięk sprawił, że stanął w miejscu. Od razu bezbłędnie go rozpoznał – ogarnięty przerażeniem człowiek usiłował krzyczeć z zakneblowanymi ustami. Stłumione wrzaski rozbrzmiewały przed nim, gdzieś z lewej strony. W pogrążonych w wiecznym milczeniu komnatach nawet najśłabszy odgłos niósł się daleko.

Poszedł za okrzykami, które rozbrzmiewały co chwila. W końcu dotarł do jednej z komnat i ujrzał przez uchylone drzwi przedziwną scenę. Pośrodku sali na posadzce umocowano niewysoką konstrukcję z żelaza, na pierwszy rzut oka przypominającą katowskie koło. Przywiązany do niej leżał gigantyczny mężczyzna, którego głowa spoczywała na wzniesieniu nabijanym żelaznymi szpikulcami. Ich ostrza zdążyły już skosztować krwi skazańca, cieknącej z wielu ran na jego czerepie. Głowę spowijał wymyślny rodzaj uprzęży założonej w taki sposób, by skórzany pas nie chronił przed szpikulcami. Ową uprząż połączono cienkim łańcuchem z maszyną podtrzymującą ogromną żelazną kulę dyndającą swobodnie nad włochatą pierśią torturowanego. Tak długo, jak mężczyzna leżał nieruchomo, kula wisiała w miejscu. Jednak gdy ból zadawany przez żelazne szpikulce zmuszał go do podniesienia głowy, kula opadała o kilka cali. Twórcy tego sadystycznego urządzenia doskonale wiedzieli, że w końcu zeszywniałe i obolałe mięśnie karku nie będą mogły dłużej podtrzymać głowy w tak bardzo nienaturalnej pozycji, a tortura kłujących ostrzy stanie się nie do zniesienia... Wtedy gigantyczna żelazna kula zgniecie skazańca na miazgę. Zakneblowana ofiara wielkimi, ociekającymi dzikością czarnymi oczami patrzyła na stojącego w drzwiach i oszołomionego oglądanym widokiem, milczącego Conana.

Torturowanym mężczyzną na piekielnej maszyni śmierci był Olmec, księżę Tecuhltli.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

OCZY TASCELI

– Musiałaś przyprowadzić mnie aż do tej komnaty? – spytała zniecierpliwiona Valeria. – Nie mogłaś tego zrobić w sali tronowej?

Siedziała na łożu z wyciągniętą nogą, którą Tecuhltlianka skończyła właśnie starannie opatrywać jedwabnym bandażem. Obok Valerii leżał jej skąpany we krwi miecz.

Zmarszczyła brwi, bo choć kobieta zrobiła, co jej kazano, cicho i sprawnie, to Akwilonce nie podobał się ani pieszczotliwy dotyk jej smukłych palców, ani wyraz jej oczu.

– Pozostałych rannych też przeniesiono do innych komnat – odparła miękkim, niemalże aksamitnym głosem, co jednak wcale nie miało nic wspólnego z łagodnością czy miękkością tecuhltlaskich kobiet, bowiem zaledwie parę chwil wcześniej Valeria widziała, jak jej opiekunka z zimną krwią zadźgała Xotalancę, a rannemu mężczyźnie wydłubała palcami oczy.

– Ciała umarłych zniosą do katakumb po to – dodała – aby ich duchy nie zbiegły do komnat i w nich nie zamieszkały.

– Wierzysz w duchy? – spytała Valeria.

– Wiem, że duch Tolkemeca mieszka w katakumbach – odpowiedziała, drżąc na całym ciele. – Widziałam go raz, gdy siedział w krypcie przy kościach martwej królowej. Przybrał postać upiornego starca o rozwianej białej brodzie i białych włosach, i święcących w ciemnościach oczach. To na pewno był Tolkemec. Kiedy byłam dzieckiem, widziałam go, gdy jeszcze żył, przypatrując się jego katuszom.

Nagle zaczęła mówić pełnym strachu szeptem.

– Olmec uważa mnie za wariatkę, ale ja wiem, że duch Tolkemeca zamieszkuje katakumby! Ludzie gadają, że to szczury obgryzają mięso z kości świeżo zmarłych, a ja na to: nie szczury, tylko duchy! Kto wie, czy...

Potężny cień padł na łoże i kobieta natychmiast zamilkła, spoglądając do góry. Valeria powiodła za nią wzrokiem i ujrzała wpatzonego w siebie Olmeca. Książę zmył z rąk, klatki piersiowej i brody krew, ale ciągle nie założył tuniki, a jego gigantyczne ciemnoskóre ciało emanowało czystą

i brutalną w swej naturze zwierzęcą dzikością. Mroczne, głębokie oczy płonęły pierwotnym blaskiem, a palce skubiące sinoczną brodę ukazywały szalejące w sercu pożądanie.

Spojrzał znacząco na swoją poddaną, która natychmiast zerwała się na równe nogi i wybiegła z komnaty. Mijając drzwi, odwróciła głowę, spoglądając na Valerię, a w spojrzeniu tym było tylko cyniczne szyderstwo i obleśna drwina.

– Nie postarała się moja poddana – rzekł książę, podchodząc wolno do łoża i pochylając się nad obandażowaną łydką. – Pozwól, że ja to obejrzę...

Z zadziwiającą jak na swą posturę zręcznością złapał miecz Valerii i cisnął na środek komnaty. A potem bezceremonialnie chwycił dziewczynę w olbrzymie ramiona.

Chociaż ją zaskoczył, reakcja Valerii była natychmiastowa i prawie skuteczna. Prawie, bowiem w mgnieniu oka w jej dłoni zabłysnął sztylet, którym zabójczo pchnęła w gardło napastnika, ale on, raczej bardziej dzięki szczęściu niż zręczności, obłapił jej nadgarstek i zaczęli ze sobą walczyć. Uderzała pięściami, stopami, kolanami, zębami i drapała paznokciami, z całą siłą i kunsztem, jaki doskonaliła przez całe lata wędrowania i wojaczki na morzu i na lądzie. Była jednak bezradna w zderzeniu z jego brutalną siłą. Niemal natychmiast straciła sztylet, a potem zrozumiała, że w żaden znany sobie sposób nie może nic zrobić odurzonemu dzikim pożądaniem muskularnemu gigantowi.

Czarne oczy księcia wciąż płonęły bestialskim ogniem, a ich wyraz doprowadzał Valerię do szału, potęgowaną dodatkowo przez sardoniczny uśmiech, można by rzec – wykuty na jego tłustych wargach skrytych za długą brodą. Właśnie te oczy i właśnie ten uśmiech mówiły wszystko o odrażającym cynizmie, kipiącym w sercach ludzi tej zdegenerowanej rasy. Po raz pierwszy w życiu Valeria przestraszyła się mężczyzny. Walka z tym bydlakiem to było jak starcie z tajemniczą pierwotną siłą. Jego żelazne ramiona miażdżyły i niweczyły wszelkie jej wysiłki z taką łatwością, że przez ciało i duszę Akwilonki przewalały się spienione bałwany paniki. Zdawał się nie odczuwać bólu, a przynajmniej tego, który była mu w stanie zadać. Jeden jedyny raz zareagował, gdy zatopiła zęby w jego nadgarstku z taką mocą, że aż trysnęła krew – wtedy huknęła dziewczynę w twarz otwartą dłonią. Valeria zobaczyła taniec gwiazd przed oczami, a głowa opadła jej na ramiona.

Podczas zmagañ rozdarł jej koszulę i z lodowatym, obleśnym okrucieństwem przejechał po jej odsłoniętych piersiach swą gęstą, szorstką brodą, znacząc szlak odrażającego pożądania podchodzącą pod skórę krwią. Wrzasnęła z furii i bólu. Jej desperacki opór był jednak bezcelowy; leżała przyciśnięta do łoża, zmiażdżona, bezradna, rozbrojona i zdyszana, spoglądając na niego wzrokiem pojmanej w śmiertelną pułapkę tygrysy.

Chwilę później, bardzo się śpiesząc, opuszczał komnatę, niosąc Valerię na rękach. Nie stawiała już oporu, ale rozpalony wzrok dowodził, że wcale nie przestała o tym myśleć. Nie krzyczała, bo wiedziała, że Conana nie ma w zasięgu głosu, a poza tym myśl, że jej wrzaski nakłonią któregokolwiek z Tecuhltlich do przeciwstawienia się swemu księciu, wydawała się idiotyczna. Dostrzegła jednak, że Olmec przemykał się przez komnaty oraz korytarze ukradkiem i ciągle oglądał się za siebie, jakby oczekiwał pościgu. Zdziwiło ją, że ominął salę tronową. Wyszedł przez drzwi znajdujące się po przeciwnej stronie do tych, przez które wszedł i minawszy następną komnatę, ruszył korytarzem w tylko sobie znanym kierunku. Gdy zrozumiała, że księżę jednak obawiał się, iż ktoś mu przeszkodzi, odrzuciła głowę do tyłu i wrzasnęła z całej siły.

Olmec wymierzył jej policzek tak silny, że prawie całkowicie dziewczynę ogłuszył, po czym przyspieszył kroku, przechodząc w ciężki trucht.

Ale rozdzierający krzyk, zwielokrotniony echem, nie pozostał bez odzewu. Odwróciwszy głowę, ujrzała przez łzy i tańczące przed oczami gwiazdy kuśtykającego za nimi Techotla.

Olmec odwrócił się z warknięciem i przełożywszy sobie Valerię pod jedno z ogromnych ramion, trzymał ją w niewygodnej i zdecydowanie uwłaczającej godności pozycji, mimo że wiła się i kopała jak dziecko w bezradnym buncie.

– Olmec! – krzyknął Techolt. – Nie możesz być aż takim plugawym i bezmyślnym kundlem, żeby się na to odważyć! To kobieta Conana! Pomogła nam pokonać Xotalanców i...

Olmec bez słowa zacisnął wolną rękę w wielką pięść i huknął rannego wojownika z przerażającą siłą, posyłając na wpół przytomnego na posadzkę tuż obok swoich stóp. Następnie pochylił się, nic sobie nie robiąc z szamotaniny i przeklinania branki, po czym wyciągnął z pochwy miecz wojownika i z lodowatą obojętnością zatopił ostrze w jego piersi. Chwilę

potem powoli wyciągnął miecz z drżącego ciała, cisnął gdzieś w kąt i ruszył dalej korytarzem.

Zajęty mordowaniem swego poddanego księżę nie zauważył, że spoza draperii obserwują go ciekawskie oczy lśniące okrucieństwem na ciemnej i pięknej kobiecej twarzy. Oblicze po chwili zniknęło. Techolt poruszył się i jęknął, by w końcu z trudem stanąć na chwiejnych nogach. Zataczając się od ściany do ściany, znacząc przebytą drogę smugą krwi, zaczął wykrzykiwać imię Conana.

Olmec dotarł w końcu do końca korytarza i zbiegł po spiralnych schodach z kości słoniowej. Minał kilkanaście komnat, by wreszcie przystanąć w obszernej sali, której wszystkie drzwi ukryto pod zdobnymi i ciężkimi gobelinami. Z jednym wyjątkiem – wrót odlanych z brązu do złudzenia przypominających Bramę Orła na najwyższej kondygnacji.

Był naprawdę podniecony, gdy je pokazywał Valerii.

– To jedna z zewnętrznych bram prowadzących do Tecuhtli. Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat nikt jej nie pilnuje, bo nie ma takiej potrzeby, przecież wyrzneliśmy wszystkich Xotalanców!

– Dzięki mnie i Conanowi, ty obmierzły złamasie! – warknęła z kłującym szyderstwem Valeria, drżąc na całym ciele z wściekłości i wstydu spowodowanego własnym położeniem. – Zdradziecki zawszawiony kundlu! Conan ci za to poderżnie gardło!

Olmec nie widział potrzeby, by uświadomić dziewczynie, że pewnie zgodnie z wyszeptanym wojownikowi rozkazem Conan leży gdzieś w labiryncie pomieszczeń z rozharataną tchawicą. Był zbyt cyniczny, by w ogóle interesować się tym, co myśli, sądzi lub ma do powiedzenia jego branka. Pożerał ją swymi płonącymi z pożądania oczami, szczególnie długo i ostentacyjnie pieszcząc wzrokiem te fragmenty ponętnego ciała, które lśniły białą skórą spod szat rozdartych w wielu miejscach.

– Zapomnij o Conanie, dziewczyno – powiedział szorstko. – Ja jestem władcą Xuchotl. Xotalanc już nie istnieje. Nadszedł koniec wojny. Spędzimy resztę życia, żłowiąc wino i pieprząc się jak małpy w rui. Najpierw się napijemy!

Usiadł na stole z kości słoniowej i przemocą posadził ją sobie na kolanie. Wyglądał jak ciemnoskóry satyr z białą nimfą w ramionach. Ignorując jej bluźnierstwa, pokazujące, że Valerii jednak daleko było do nimfy, mocno i brutalnie jedną ręką obejmował ją w talii, a drugą sięgnął po stojący na stole okazały puchar z winem.

– Masz, pij! – rozkazał, przyciskając jej kielich do ust, choć odsuwała głowę, jak mogła.

Trunek chlapał na wszystkie strony, szczypał w język, obficie spływał na obnażone piersi.

– Gościowi nie smakuje twoje wino, Olmecu! – przemówił drwiąco zimny głos.

Olmec zeszywniał. W jego płomiennych oczach pojawił się strach. Powoli odwrócił wielką głowę i ujrzał Tascelę, stojącą w niedbałej pozie w drzwiach, z jedną ręką położoną na smukłym gładkim biodrze. Valeria wykręciła się w żelaznym uścisku księcia, a gdy jej spojrzenie napotkało rozognione oczy Tasceli, poczuła między łopatkami lodowate dreszcze.

Trwająca ciągle noc zalała duszę i serce Valerii natłokiem nowych, mrocznych doświadczeń. Ledwo co zasmakowała, czym jest strach przed mężczyzną, a teraz odbierała kolejną lekcję życia: poznawała lęk przed kobietą.

Olmec siedział nieruchomo, poblady niczym kreda. Tascela wysunęła zza pleców drugą dłoń i ukazała mały, złoty kielich.

– Obawiałam się, że twojej nowej niewolnicy może nie smakować twoje wino, Olmecu – mruknęła księżniczka – dlatego przyniosłam trochę mojego, tego cudownego trunku przywiezionego przeze mnie znad jeziora Zuad. Wiesz, o czym mówię, prawda?

Nagle na czole Olmeca wystąpiły wielkie krople potu. Poluźnił uchwyt, jakby nagle zwiotczały mu wszystkie ogromne mięśnie, więc Valeria, wyrwawszy się z jego uścisku, przebiegła na drugą stronę stołu. Zdrowy rozsądek wręcz krzyczał w jej głowie, by uciekała stąd jak najszybciej i jak najdalej, jednak jakaś chora fascynacja przyszpiliła ciało dziewczyny do posadzki, nie pozwalając na ucieczkę i nakazując dalsze obserwowanie przedziwnej sceny

Tascela niespiesznie podeszła do księcia lekko rozkołysanym, hipnotyzującym krokiem, który sam w sobie wyrażał szyderstwo i drwinę. Jej głos był miękki i pieszczotliwy, choć w jej oczach płonęły drwina i okrucieństwo. Smukłe palce pogładziły brodę księcia.

– Ależ z ciebie egoista, Olmecu – mruknęła z uśmiechem słodziutkim głósikiem. – Chciałeś zatrzymać naszego pięknego gościa tylko dla siebie, a przecież dobrze wiedziałeś, że i ja mam ochotę ją zabawić. Oj, chyba zasługujesz na karę!

Na krótką chwilę z twarzy księżniczki opadła maska pozorów: jej oczy błysnęły dzikością, a twarz wykrzywił ohydny grymas złości. Konwulsyjnie wczepiła palce w długą brodę i z zadziwiającą siłą wyrwała z niej wielki pukiel włosów. Ten niesamowity pokaz nadludzkiej siły był równie przerażający, co wybuch piekielnej furii, kryjącej się pod pozorem łagodności i delikatności.

Olmec zerwał się na równe nogi, rycząc wniebogłoso i chwiejąc się jak niedźwiedź, a jego potężne dłonie zaciskały się i otwierały.

– Piekielna kurwo! – Jego wrzask, niczym huk gromu, przewalił się przez komnatę. – Wiedzmo! Demonie! Tecuhltli powinni cię zarznąć pięćdziesiąt lat temu! Znikaj stąd! Zbyt długo musiałem cię znosić! Ta białoskóra kocica jest moja! Spieprzaj stąd, zanim cię zarznę jak świnię!

Księżniczka roześmiała się i cisnęła mu w twarz krwawy kłak włosów. Jej śmiech był bardziej bezlitosny niż uderzenie stali o stal.

– Kiedyś mówiłeś inaczej, Olmecu! – drwiła. – Przecież za czasów swojej młodości tak bardzo mnie kochałeś! Niegdyś byliśmy ognistymi kochankami... Wiele razy spałeś w mych ramionach pod zaklętym lotosem... I wtedy w me ręce złożyłeś łańcuch swego jarzma i stałeś się moim niewolnikiem. Wiesz przecież, że nie możesz mi się przeciwstawić. Wiesz przecież i to, że wystarczy, iż spojrzę ci w oczy z tą mistyczną siłą, której nauczył mnie dawno temu stygijski kapłan, a jesteś bezsilny. Pamiętasz ową noc pod czarnym lotosem, kołyszącym się nad nami, choć jego płatkami nie poruszał ziemski wiatr? Znowu czujesz ów zniewalający zapach nie z tego świata, spowijający cię jak mgła i czyniący z księcia Techultli bezwolne narzędzie. Nie potrafisz ze mną walczyć. Tamtej nocy byłeś moim niewolnikiem i teraz też nim będziesz... I będziesz nim, póki nie wyzioniesz ducha, Olmecu z Xuchotl!

Jej głos przeszedł w szept, nieziemski, śpiewny i brzmący jak szmer strumyka, płynącego leniwie przez rozświetloną światłem gwiazd ciemność. Pochyliła się tuż nad księciem i swe rozwarłe smukłe, długie palce wsparła na muskularnej piersi. Oczy Olmeca zatoneły w mgle nieświadomości, a jego wielkie dłonie opadły bezwładnie wzdłuż ciała.

Z okrutnym, drwiącym uśmiechem Tascela podniosła kielich i przytknęła do ust księcia.

– Pij! – rozkazała.

Wykonał rozkaz, natychmiast i bezmyślnie. W jednej chwili odzyskał jasność spojrzenia, a w ciemnych wielkich oczach eksplodowały dzika

furia, zrozumienie i przerażający lęk. Otworzył usta, ale nie wydał żadnego dźwięku. Podniósł się z trudem na miękkich nogach, po czym bezwładnie osunął na posadzkę.

Ten widok wyrwał Valerię z odrętwienia. Odwróciła się na pięcie i biegiem ruszyła ku drzwiom, ale jednym susem, którego nie powstydziliby się zwinna pantera, Tascela znalazła się przed nią. Valeria huknęła pięścią, wkładając w uderzenie, które powaliłoby bez przytomności każdego mężczyznę, całą siłę swego sprężystego ciała. Tascela, jakby od niechcenia, w zwinnym piruecie, zeszła z linii morderczego ciosu i pochwyciła nadgarstek Akwilonki. Nie minęła nawet chwila, jak uwięziła drugą rękę dziewczyny i przytrzymując obie ręce jedną dłonią, spokojnie skrępowała sznurem, który wyciągnęła zza paska.

Valeria pomyślała, że oto tej nocy zasmakowała ostatecznego poniżenia, bowiem wstyd, jakiego zaznała, poniewierana przez Olmece, był niczym wobec uczuć, wstrząsających teraz jej ciałem. Zawsze miała skłonność, i chętnie to robiła, do pogardzania innymi przedstawicielkami swojej płci, ale teraz przytłoczył ją fakt, że spotkała kobietę, która rozprawiła się z nią jak z bezbronnym dzieckiem. Prawie nie stawiała oporu, gdy Tascela pchnęła ją na krzesło i przełożywszy skrępowane dłonie między kolanami, przywiązała do nóg od siedziska z kości słoniowej.

Obojętnie przestąpiła nad nieprzytomnym księciem, podeszła do wrót z brązu, odsunęła rygiel i otworzyła je, pokazując Valerii ciągnący się za nimi korytarz.

– Ta droga – powiedziała, po raz pierwszy zwracając się bezpośrednio do Valerii – wiedzie do komnaty, która w dawnych czasach służyła nam za salę tortur. Gdy wycofaliśmy się do Tecuhltli, zabraliśmy ze sobą większość narzędzi, ale pozostawiliśmy tam jedno z nich, zbyt ciężkie, by je nawet poruszyć. Wciąż jest w dobrym stanie i działa. Myślę, że teraz bardzo nam się przyda.

Olmec od razu pojął, o czym mówiła Tascela, i w jego oczach zapłonął ogień czystego, pierwotnego przerażenia. Księżniczka podeszła do niego, chwytając brutalnie za włosy.

– Paraliż jest tylko tymczasowy – stwierdziła. – Mój kochanek może słyszeć, myśleć i czuć... O taaak, czuć głęboko i prawdziwie...

Rzuciwszy tę ponurą uwagę, ruszyła do otwartych drzwi, ciągnąc olbrzymie ciało z łatwością, która sprawiła, że oczy Valerii rozszerzyły się w bezgranicznym zdumieniu. Wyszła na korytarz, pewnym krokiem

zmierzając ku jednym z wielu drzwi. Po chwili zniknęła w nich ze swym jeńcem. Nie minęło wiele czasu, jak z komnaty dobiegł szczęk żelaza.

Valeria zakłęła cicho i próbowała ze wszystkich sił, szarpiąc się i wijąc, zerwać krępujące więzy, ale bezskutecznie. Najwyraźniej sznur był nie do rozerwania.

Wreszcie Tascela wróciła, a w sali tortur dał się słyszeć zduszony jęk. Zamknęła za sobą drzwi, ale nie zasunęła rygla. Zupełnie obce jej były przyzwyczajenia mieszkańców Xuchotl, tak samo jak i obce jakiegokolwiek ludzkie instynkty i emocje.

Valeria wnikliwie obserwowwała księżniczkę, wiedziała bowiem doskonale, że w tych smukłych rękach spoczywa jej los.

Tascela chwyciła w garść jasne włosy Awilonki i odchyliwszy jej głowę do tyłu, z mrozzącą krew w żyłach obojętnością spojrzała w twarz. Ale błyski jej ciemnych oczu zdradzały złowrogie zamiary.

– Wybrałam cię, abyś dostąpiła wielkiego zaszczytu – oznajmiła. – Dzięki tobie Tascela znów będzie młoda! Och, zdumiewa cię to! Wiem, że wyglądam młodo, ale w moich żyłach czuję chłód nadchodzącej starości. Doświadczalam go już tysiące razy. Jestem stara, tak stara, że nie pamiętam swego dzieciństwa. Ale kiedyś byłam młodą dziewczyną i pokochał mnie stygijski kapłan, a wtedy zdradził mi sekret nieśmiertelności i wiecznej młodości. Potem umarł, podobno otruty. Zamieszkałam zatem w moim pałacu nad jeziorem Zuad, a czas się mnie nie miał. Po wielu latach zapragnął mnie król Stygii, ale mój lud zbuntował się przeciw niemu i przywiódł tutaj. Olmec tytułuje mnie księżniczką, ale w moich żyłach nie płynie królewska krew. Jestem kimś więcej – jestem Tascelą, której młodość powróci w glorii dzięki twym siłom witalnym!

Język Valerii przysechł do podniebienia. Wiedziała już, że w tym przeklętym mieście czai się tajemnica bardziej mroczna i odrażająca, niż najgorsze zwyrodnienie, jakiego mogła się spodziewać.

Wiedźma rozwiązała dłonie Akwilonki i postawiła ją na nogi. Ale to nie obawa przed nadludzką siłą księżniczki uczyniły z Valerii bezwolną, drżącą ze strachu ofiarę.

Były to płonące, hipnotyczne i przerażające oczy Tasceli.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ON NADCHODZI Z CIEMNOŚCI

– No cóż, jestem Kushytą.

Conan patrzył na przyszpilonego do żelaznego narzędzia tortur człowieka.

– Co, u diabła, na tym czymś robisz?

Zza knebla dobiegły nieskładne i niezrozumiałe dźwięki, dlatego Conan wyszarpał go ust więźnia, co wyrwało z jego gardła przejmujący ryk przerażania, ponieważ gwałtowny ruch spowodował nagłe opadnięcie gigantycznej żelaznej kuli tak bardzo, że niemal dotykała szerokiej piersi.

– Na Seta! Bądź ostrożny! – błagał Olmec.

– A po co? – spytał Conan. – Myślisz, że obchodzi mnie, co się z tobą stanie? Człowieku, chciałbym mieć tyle czasu, by tu sobie postać i popatrzeć, jak ten kawał żelaza, miażdżąc cię, wyciska ci z dupy flaki. Ale tego czasu nie mam, bo się naprawdę śpieszę. Gadaj, gdzie jest Valeria?

– Uwolnij mnie! – nalegał błagalnie Olmec. – A wszystko ci powiem.

– Najpierw mów.

– Nigdy! – odparował hardo ksiązę, kurczowo zaciskając masywne szczęki w geście uporu.

– To jebał cię pies. – Conan ostentacyjnie rozsiadł się na pobliskiej ławie.

– Sam ją znajdę po tym, jak ta cholernie wielka kula rozsmaruje cię po żelastwie na marmoladę. Wiesz, myślę, że mogę przyspieszyć ten proces, kręcąc ci w uchu tym oto czubkiem miecza – dodał, wyciągając broń w kierunku głowy Olmeca.

– Stój! – Spomiędzy poblaskłych warg skazańca popłynął wartki strumień słów. – Odebrała mi ją Tascela. Zawsze byłem tylko marionetką w jej rękach.

– Tascela? – warknął Conan i splunął. – Parszywa zdzi...

– Nie, nie! – wysapał pośpiesznie Olmec. – Jest znacznie gorzej, niż myślisz. Tascela jest stara... bardzo stara, tak na oko ma kilkaset lat. Przedłuża swe życie i przywraca młodość oraz urodę, od czasu do czasu składając w ofierze piękną, młodą kobietę. To jedna z przyczyn, dla których

nasz klan jest tak nieliczny. Wyssie z Valerii esencję życia i dzięki temu rozkwitnie nowym wigorem i pięknem.

– Drzwi są zamknięte? – zapytał Conan, sprawdzając kciukiem ostrze swego wielkiego miecza.

– Tak! Ale znam skrót, którym dostaniesz się do Tecuhltli. O jego istnieniu wie tylko Tascela i ja, a ona przecież sądzi, że ja jestem bezradny, a ty – martwy. Uwolnij mnie, a przysięgam, że pomogę ci uwolnić Valerię. Bez mojej pomocy nie dotrzesz do Tecuhltli. Chcesz, to torturami możesz ten sekret ze mnie wydobyć, jednak nie będziesz potrafił z niego skorzystać. Pozwól mi iść z tobą, a podkradniemy się do Tasceli i zarżniemy sukę, nim zdąży nas zahipnotyzować tym swoim paskudnym spojrzeniem. Wystarczy nóż w plecy. Powinienem to zrobić w ten sposób już dawno temu, ale bałem się, że bez jej pomocy Xotalancowie nas pokonają. Zresztą ona też potrzebowała mojej pomocy i tylko dlatego pozwoliła mi żyć tak długo. Ale sytuacja się zmieniła i nie jesteśmy sobie nawzajem do niczego potrzebni, czyli jedno z nas musi zginąć. Przysięgam, że gdy zabijemy tę wiedźmę, ty i Valeria będziecie mogli bez przeszkód opuścić Xuchotl. Gdy Tascela zginie, mieszkańcy miasta będą mi posłuszni.

Conan pochylił się i przeciął więzy krępujące księcia. Olmec ostrożnie wyśliznął się spod wielkiej kuli i stanął na nogi, potrząsając głową jak byk i mamrocząc pod nosem przekleństwa, gdy dotykał poranionej głowy. Stojąc ramię w ramię, ci dwaj giganci prezentowali sobą imponujący obraz prastarej siły. Olmec był równie wysoki jak Conan i jeszcze cięższy, ale było w nim coś nieuchwytnie odrażającego, coś nieuchwytnie demonicznego i nieuchwytnie potwornego, coś, co było przeciwne ostrej i zwartej srogości Cymmeryjczyka, który zrzucił z siebie pokrwawione strzepy koszuli i tak stał w pełnej krasie tytanicznie wspaniałych mięśni. Bary miał olbrzymie i równie szerokie jak księżę Tecuhltli, a potężna klatka piersiowa wspaniałym łukiem sięgała twardej talii, której zupełnie brakowało Olmecowi, bo on w tym miejscu mógł się pochwalić co najwyżej wielkim, topornym brzuchem. Conan mógłby być odlanym w brązie posągami pierwotnej siły. Olmec był ciemniejszy, ale nie od palącego słońca.

Jeśli Conan był uosobieniem świtu dziejów, to Olmec był zdeformowanym, pokracznym kształtem z mrocznych początków świata.

– Prowadź! – rozkazał mu Conan. – I trzymaj się przede mną. Nie ufam ci bardziej niż pociągniętemu za ogon bykowi.

Olmec szedł przed nim i drżącą dłonią tarmosił kudłatą brodę.

– Ten sekret był trzymany w tajemnicy przez pół wieku – powiedział. – Nie wiedział o nim nawet nasz własny klan, a Xotalancowie nie odkryli go nigdy. Sam Tecuhtli zbudował to tajemne przejście, zabijając potem niewolników, którzy mu pomagali, obawiał się bowiem, że może kiedyś zostać wygnany z własnego królestwa za sprawą Tasceli, której miłość do niego szybko zmieniła się w nienawiść. Odkryła jednak sekret i zatrzasnęła ukryte przejście, gdy wracał z nieudanego napadu. Xotalancowie pojмали go i obdarli żywcem ze skóry. Ale kiedyś, szpiegując Tascelę, zobaczyłem, jak wchodzi do Tecuhtli tą właśnie drogą i tak poznałem ów sekret.

Nacisnął na złote zdobienie w ścianie i drzwi ustąpiły, ukazując ich oczom prowadzące w górę schody z kości słoniowej.

– Są wbudowane w ścianę – powiedział Olmec. – Prowadzą do wieży na dachu. Stamtąd inne spiralne schody wiodą do wielu innych komnat. Pospieszmy się!

– Za tobą, towarzyszu! – odparł z humorem Conan, machając mieczem.

Olmec wzruszył ramionami i wstąpił na schody, zaś Cymmeryjczyk szedł tuż na nim. Drzwi zamknęły się bezszelestnie. Świejące gdzieś wysoko w górze ogniste kamienie sprawiały, że korytarz przypominał skapaną w zielonkawej poświacie mroczną studnię.

Wspinali się tak długo, aż Conan ocenił, że doszli wyżej niż poziom czwartej kondygnacji. Znajdowali się w cylindrycznej wieży, której sklepiony dach iskrzył od ognistych kamieni, oświetlających schody. Przez zakratowane złotymi prętami okna, w których tkwiły grube płyty z kryształu – pierwsze okna, jakie zobaczył w Xuchotl – barbarzyńca dostrzegł wysokie krawędzie dachów, kopuły i wieże, które odcinały się ciemnymi konturami od rozgwieżdżonego nieba. Conan patrzył na dachy miasta.

Olmec nawet nie wyjrzał przez okna. Ruszył w dół jednym z wielu schodów, które po chwili przekształciły się w wąski, kręty i długi korytarz. Tutaj Olmec przystanął.

Gdzieś w dole, w niewielkiej odległości, rozbrzmiewał zduszony, bez wątpienia kobiecy krzyk, pełen strachu, furii i wstydu. Conan rozpoznał głos Valerii.

W jednej chwili barbarzyńca, w nagłym wybuchu gniewu wywołanym przez ów krzyk i zupełnie zaskoczony, bo nie potrafił sobie wyobrazić, co za niebezpieczeństwo mogło wydobyć z gardła nieustraszonej Valerii te jęki

zgrozy, zapomniał o Olmecu. Bez zastanowienia ruszył w dół schodów, mijając księcia. Dosłownie w ostatniej chwili, wiedziony instynktem, odwrócił się, gdy Olmec zamierzał właśnie pięścią wielką jak bochen chleba huknąć Conana w podstawę czaszki. Niespodziewany ruch Cymmeryjczyka spowodował jednak, że zabójcze uderzenie wylądowało z boku jego szyi. Cios był tak silny, że każdemu innemu człowiekowi z pewnością przetrąciłby kark, lecz Conan tylko się zachwiał. Odrzucił bezużyteczny w walce na tak małej przestrzeni miecz i pochwycił wyciągnięte ramię Olmeca, ciągnąc go za sobą. Runęli schodami w dół w szaleńczej kotłowaninie rąk i nóg. Spadali jeszcze, gdy żelazne palce barbarzyńcy natrafiły na byczą szyję Olmeca i zacisnęły się na niej.

Conan miał zdrtwiałe ręce i szyję od potężnego ciosu pięścią księcia, który w uderzenie włożył wszystkie siły masywnego przedramienia, masywnych tricepsów i olbrzymiego barku. Ale nie miało to żadnego wpływu na jego szaleńczą determinację. Wpił się w ciało Olmeca niczym pies, podczas gdy staczali się z rosnącym impetem, obijani i wstrząsani, tłukąc o stopnie z głuchym echem. W końcu runęli na drzwi z kości słoniowej z taką mocą, że te roztrzaskały się w drobny mak, a oni wystrzelili przez nie, tonąc w chmurze szczątków. Olmec jednak był już martwy, ponieważ żelazne palce Conana skrzyły księciu kark.

Cymmeryjczyk wstał, strząsając drzazgi z ramion i pocierając oczy, aby pozbyć się z nich krwi i kurzu.

Stał w wielkiej sali tronowej. W komnacie oprócz niego przebywało piętnaście osób. Od razu bystrym spojrzeniem wyłowił Valerię. Przed podwyższeniem wznosił się dziwny czarny ołtarz, otoczony przez siedem świec w złotych lichtarzach, wydzielających spirale gęstego, zielonego dymu o niepokojącym zapachu. Spirale te łączyły się w chmurę pod sufitem, formując nad ołtarzem dymną kopułę. Na ołtarzu leżała naga Valeria, a jej białe ciało lśniło w szokującym kontraście z błyszczącym hebanowo kamieniem. Nie była związana. Leżała wyciągnięta jak struna z rękami za głową. U szczytu ołtarza klęczał młody mężczyzna, trzymający ją silnie za nadgarstki. Na drugim końcu ołtarza klęczała młoda kobieta, która przytrzymywała ją za kostki. Uwięziona między nimi dziewczyna nie mogła się ani podnieść, ani poruszyć.

Jedenaścioro mężczyzn i kobiet Tecuhltlich klęczało w upiornym milczeniu w półokręgu, obserwując całą scenę żarliwym, ociekającym od pożądania wzrokiem.

Na tronie z kości słoniowej rozwalila się obscenicznie Tascela. Spiżowe naczynia z kadzidłem snuły wokół niej długie wstęgi dymu; jego smugi owijały się wokół jej nagich członków niczym pieszczotliwe palce. Nie była w stanie siedzieć spokojnie. Wierciła się i kręciła w zmysłowym podnieceniu, jak gdyby dotyk zimnej i gładkiej kości słoniowej sprawiał jej smukłemu ciału czysto fizyczną rozkosz.

Huk rozpadających się drzwi, spowodowany uderzeniem dwóch rozpędzonych gigantycznych ciał, niczego nie zmienił w tej scenie. Klęczący mężczyźni i kobiety spojrzeli obojętnie, bez zainteresowania, na zwłoki swego księcia i na gigantycznego półnagiego wojownika, który podniósł się ze szczątek drzwi, by po chwili chciwie przesunąć wzrok z powrotem na wijące się białe ciało na czarnym ołtarzu. Tascela spojrzała na niego bezczelnie i rozparła się na swoim tronie, śmiejąc z odrażającą drwiną.

– Ty zdiro! – Wzrok Conana eksplodował gniewem. Jego dłonie zacisnęły się w żelazne młoty, kiedy do niej ruszył, ale już po pierwszym kroku coś szcęknięto złowróźnie i na nodze zatrzasnęła się wściekle stal. Potknął się i prawie upadł, zatrzymany nagle w swym szalonym marszu. Na jego nodze zacisnęły się szczęki żelaznej pułapki, której ostre zębiska wgryzły się głęboko w ciało i nie puszczały. Tylko wielkie masywne węzły mięśni łydki uchroniły mu kość od strzaskania. Ohydne szczęki wyskoczyły bez ostrzeżenia z żarzącej się posadzki. Dopiero teraz wypatrzył w podłodze szczeliny, dokładnie tam, gdzie żelazne wnyki wcześniej leżały perfekcyjnie zamaskowane i czekały na swą ofiarę.

– Głupcze! – roześmiała się Tascela. – Naprawdę sądziłeś, że nie zabezpieczę się na twój ewentualny powrót? We wszystkich drzwiach w tej komnacie znajdziesz podobne pułapki. A teraz stój tam i patrz, a ja dopełnię losu twojej pięknej przyjaciółki! Potem zadecyduję, co z tobą.

Conan odruchowo sięgnął do pasa, tylko po to, by natrafić na pustą pochwę. Jego ogromny miecz leżał teraz gdzieś na schodach, sztylet z kolei daleko w puszczy, gdzie smok wyrwał go sobie z mordy. Wrzynające się w nogę stalowe zęby paliły jak rozżarzone węgle, ale ból ten był niczym wobec wściekłej furii szalejącej histerycznie w jego duszy. Tkwił w pułapce, jak wilk. Gdyby miał miecz, najchętniej odrąbałby sobie nogę i poczołgałby się po posadzce, aby ukatrupić Tascelę. Valeria spojrzała na niego wzrokiem krzyczącym o pomoc i ratunek, a jego bezradność pogрузyła mu umysł w rozwścieczonym oceanie skrajnego szaleństwa.

Przyklęknął na wolnej nodze, usiłując wcisnąć palce między zębate szczęki pułapki, aby rozewrzeć je siłą. Spod paznokci trysnęła krew, lecz szczęki więziły nogę obręczą, której części złączyły się tak ściśle, że nie było mowy o wściubieniu palca pomiędzy ciało a metal. Widok nagiego ciała Valerii dolał oliwy do ognia jego gniewu.

Tascela go ignorowała. Powstała z tronu powoli, ociężale i omiotła badawczym spojrzeniem swoich poddanych, by po chwili zapytać:

– Gdzie są Xamec, Zlanath i Tachic?

– Nie powrócili z katakumb, księżniczko – odparł jeden z mężczyzn. – Tak jak my, znosili ciała zabitych do krypt, lecz nie powrócili. Niewykluczone, że wpadli w łapska ducha Tolkemeca.

– Milcz, głupcze! – rozkazała szorstko czarownica. – Ten wasz duch to bujda.

Tascela zeszła z podwyższenia, bawiąc się małym sztyletem o złotej rękojeści. Jej oczy płonęły żarem prosto z otchłani piekła. Zatrzymała się obok ołtarza i przemówiła w pełnej napięcia ciszy.

– Twoje życie uczyni mnie młodą, biała kobieto! – oznajmiła. – Pochylę się nad tobą i zamknę twe usta słodkim pocałunkiem, a potem powoli – ach, powoli! – zatopię to ostrze w twoim sercu, tak aby twoje życie, uchodząc ze sztywniejącego ciała, weszło w moje, sprawiając, że rozkwitnę na nowo młodością i wiecznym życiem!

Wolno, niczym wąż wygięty w zabójczą spiralę, pochylała się pośród spowijającego ołtarz dymu ku nieruchomej dziewczynie, wpatrującej się z bezradnością w jej błyszczące, skute mrokiem oczy. Oczy, które stawały się coraz większe i głębsze, świecąc w wirującym dymie jak czarne księżycy.

Klęczący ludzie chwycili się za ręce i wstrzymali oddech, oczekując krwawego finału, a jedynym dźwiękiem rozbrzmiewającym wokoło było wściekłe sapanie Conana, próbującego wyswobodzić nogę z pułapki.

Wszyscy wlepili wzrok w ołtarz i leżącą na nim białą postać z taką intensywnością, że nawet huk gromu nie zdołałby przełamać tego zaklęcia. Jednak to nagły cichy krzyk rozbił przerażającą harmonię tej sceny i sprawił, że uczestnicy odrażającego rytuału odwrócili się gwałtownie. Krzyk był cichy, ale tego rodzaju, który stawia włosy dęba na głowie.

Spojrzeli i zobaczyli.

W drzwiach po lewej stronie podwyższenia stała postać jak z najgorszego koszmaru. Był to mężczyzna o zmierzwionych białych włosach

i skołtunionej białej brodzie, która opadała mu na pierś. Strzępy szaty tylko częściowo okrywały jego wychudłą postać, ukazując półnagie członki o dziwnie nienaturalnym wyglądzie. Jego skóra nie przypominała skóry normalnego człowieka. Była w niej jakaś łuskowatość, jak gdyby jej właściciel długo przebywał w warunkach będących zaprzeczeniem tych, w których rozwija się ludzkie życie. Na próżno w jego oczach, płonących pośród zmierzwionych białych włosów, było szukać czegokolwiek ludzkiego. Lśniły w czaszce jak dwa wielkie, jaśniejące dyski, które patrzyły bez zmrużenia powiek, świetliste, białawe i bez śladu zwyczajnych emocji czy zdrowego rozsądku. Otworzył usta, ale z gardła kreatury nie wyleciały żadne składne słowa, lecz jedynie piskliwy chichot.

– Tolkemec! – szepnęła pobladła Tascela, a reszta postaci skuliła się zdjeta bezgranicznym strachem. – A zatem to nie żaden mit, żaden duch! Na Seta! Przez dwanaście lat pełzałeś w ciemności! Dwanaście lat spowity kośćmi trupów! Jakim koszmarnym jedzeniem się żywiłeś? Jak odrażającą parodię życia wiodłeś w atramentowych ciemnościach wiecznie trwającej nocy? Teraz już wiem, dlaczego Xatmec, Zlanath i Tachic nie wrócili z katakumb... I dlaczego już nigdy nie wrócą. Czemu jednak czekałeś na zemstę aż tak długo? Szukałeś czegoś w lochach? Jakiejś sekretnej broni, o której wiedziałeś, że spoczywa tam ukryta? Odnalazłeś ją w końcu?

Ten obrzydliwy chichot był jedyną odpowiedzią Tolkemeca, kiedy wskoczył do komnaty jednym długim skokiem, przeskakując nad zamaskowaną pułapką przy drzwiach. Może zrobił to przez przypadek, a może pomogło mu mgliste, odległe wspomnienie życia w Xuchotl. Nie był szalony, a już na pewno nie w takim sensie, jak bywa szalony człowiek. Wegetował odcięty od ludzkości tak długo, że zapomniał o człowieczeństwie. Jedynie cieniutka nić wspomnień uformowanych przez żywą nienawiść i żądzę zemsty łączyła go z ludzkością i sprawiała, że wciąż otulony mrokiem czaił się tuż obok ludzi, jednocześnie nienawidząc ich z całego serca. Tylko ta cienka nić powstrzymywała go przed pograżeniem się na zawsze w czarnych korytarzach i otchłaniach podziemnego świata, które odkrył dawno temu.

– Szukałeś czegoś dobrze ukrytego! – wyszeptała Tascela, kuląc się i cofając. – I znalazłeś to! Pamiętasz o waśni! Po wszystkich tych latach w mroku, ty wciąż pamiętasz.

W wychudzonej dłoni Tolkemeca tańczyła osobliwa różdżka w kolorze jadeitu, na której końcu żarzyła się szkarłatna kula w kształcie owocu

granatu. Tascela uskoczyła w bok, gdy machnął nią jak włócznią, a z kuli wystrzelił szkarłatny jęzor energii. Nie trafił w Tascelę, ale między łopatkę trzymającej Valerię za kostki kobiety, która znalazła się na jego drodze. Rozległ się ostry, jazgotliwy dźwięk i promień rozerwał klatkę piersiową nieszczęśnicy, uderzając następnie w czarny ołtarz, krzesając na kamieniu błękitne iskry. Kobieta runęła na bok, i nim dotknęła posadzki, jej ciało skurczyło się i obeschło jak mumia.

Przytrzymujący ręce Valerii mężczyzna zginął jako następny. Ogarnięty paniką, rzucił się do ucieczki, ale zdołał zrobić raptem kilka kroków, gdy Tolkemec z zadziwiającą przy takiej budowie zwinnością, stanął na jego drodze w ten sposób, że znalazł się między nim a ołtarzem. Wystarczyło jedno machnięcie różdżką, a wystrzelony z niej promień przebił pechowca na wylot, po raz drugi eksplodując wirem błękitnych isker na ołtarzu.

Valeria stoczyła się z ołtarza na drugą stronę i na czworakach ruszyła ku przeciwległej ścianie, a tymczasem w komnacie tronowej martwego Olmeca rozpętało się piekło.

Potem zaczęła się rzeź. Wrzeszczący bezrozumnie ludzie miotali się po komnacie, wpadając na siebie, potykając się i padając, a między nimi w tanecznym uniesieniu i z podłą radością w oczach Tolkemec rozdawał śmierć. Ucieczka przez drzwi była niemożliwa, bo najwyraźniej metalowe elementy framug, podobnie zresztą jak metalowe żyły w kamieniu ołtarza, jakimś niepojętym sposobem zamykały obwód zabójczej energii, czymkolwiek ona była, strzelającą z mocą błyskawicy z różdżki, którą dziarsko wymachiwał starzec. Gdy tylko pochwycił mężczyznę albo kobietę pomiędzy sobą a ołtarzem czy drzwiami, osoba ta natychmiast ginęła. Zabijał wszystkich, bez wytchnienia, z bezwzględną systematycznością, łopocząc łachmanami jak rozpedzone tornado, przy dźwiękach nieludzkiego chichotu miażdżącego i pochłaniającego przeraźliwe wrzaski umierających. Przy ołtarzu i przy drzwiach ciała padały niczym opadające jesienią liście z drzew. Jeden ze zdesperowanych wojowników runął na starca z uniesionym sztyletem tylko po to, by w mgnieniu oka eksplodować, nim zdążył zadać cios. Inni byli jak oszalałe, bezbronne bydło, nie myśląc o walce i bez żadnych szans na ucieczkę.

Padli już wszyscy Tecuhltli za wyjątkiem Tasceli. Księżniczka dopadła Conana i chroniącej się u jego boku dziewczyny. Pochyliła się i dotknęła posadzki, naciskając na jakiś wzór. Stalowe szczęki natychmiast puściły, uwalniając krwawiącą nogę i niknąc w podłódze.

– Zabij go, jeśli zdołasz! – wydyszała i wcisnęła w dłoń Conana ciężki nóż. – Nie potrafię go pokonać moją magią!

Rycząc jak wściekły lew, Conan zerwał się na równe nogi i nie zważając na ranną nogę, ruszył do boju. Tolkemec właśnie nadchodził w ich kierunku, jego osobliwe i niesamowite oczy płonęły żądzą dzikiej zemsty, ale niespodziewanie na widok sztyletu z dłoni Cymmeryjczyka zawahał się. I tak rozpoczęło się ponure polowanie, bowiem Tolkemec ze wszystkich sił usiłował obejść barbarzyńcę i zwabić przed ołtarz lub metalowe drzwi, z kolei Conan próbował tego uniknąć i w odpowiednim momencie zatopił w ciele czarnoksiężnika sztylet. Kobiety, wstrzymując oddech, obserwowały ich w napięciu.

W komnacie, oprócz szelestu i szurania energicznie przesuwanymi stopami, panowała cisza. Tolkemec nie wirował już jak tornado śmierci, doskonale bowiem wiedział, że teraz mierzy się z przeciwnikiem o wiele groźniejszym niż bezwolna i bezradna hołota, którą przed chwilą zmasakrował. W blasku oczu Conana dostrzegł żądzą mordy, równie silną, jak własną. Kluczyli to w jedną, to w drugą stronę, a kiedy ruszył się jeden, drugi szedł w jego ślady, jakby pętały ich niewidzialne łańcuchy. Conan jednak cały czas, krok za krokiem, cierpliwie i mozolnie podchodził coraz bliżej do swego przeciwnika. W końcu mięśnie jego ud spięły się do skoku, gdy Valeria krzyknęła. Na krótką chwilę barbarzyńca stanął w jednej linii ze spiżowymi drzwiami. Starzec błyskawicznie machnął różdżką. Conan instynktownie uskoczył, gdy zabójczy promień energii naznaczył mu bok wielką czerwoną szramą, i z całych sił cisnął sztyletem. Stary Tolkemec runął na posadzkę z ręką w sercu. Teraz wreszcie naprawdę był martwy.

Tascela tylko na to czekała – skoczyła z miejsca, ale nie w kierunku Conana, tylko różdżki błyszczącej na posadzce jak żywe stworzenie. Valeria zrobiła to samo, była jednak szybsza i zwinniejsza. W locie pochwyciła sztylet z martwej dłoni jednego z Tecuhltlich i dźgnęła kobietę z mocą swych wszystkich mięśni tak, że ostrze wbite w plecy wystawało między jej piersiami. Tascela wrzasnęła tylko raz i padła martwa, a Valeria z odrazą i wzdrgnięciem odepchnęła kopniakiem leżące ciało.

– Musiałam to zrobić, choćby z szacunku do siebie samej! – wydyszała, odwracając się ku Conanowi stojącemu nad trupem.

– Dobra, to załatwia sprawę i kłótni, i zemsty – burknął. – Co za piekielna noc! Gdzie oni trzymali żarcie? Jestem głodny.

– Musisz opatrzyć nogę – rzekła Valeria, jednocześnie odrywając kawałek jedwabiu z draperii i przewijając go sobie wokół talii. Następnie oderwała kilka mniejszych pasków i z wprawą opatrzyła poranioną nogę barbarzyńcy.

– Dramatu nie ma, mogę na niej chodzić – zapewnił ją Conan. – Wynośmy się stąd. Na zewnątrz tego piekielnego miasta już świta. Mam już po uszy Xuchotl. Dobrze, że ta zdegenerowana banda wyróżnęła się sama. Olewam te ich skarby. Pewnie i tak są przeklęte.

– Na świecie jest wystarczająco dużo zwykłych łupów dla nas obojga – stwierdziła dziewczyna, prostując przed nim swe wspaniałe, smukłe ciało.

W jego oczach pojawił się znów dawny blask i tym razem Valeria nie opierała się, kiedy pożądliwie wziął ją w ramiona.

– Do wybrzeża kawał drogi – stwierdziła, gdy wreszcie odsunęła swe usta od jego warg.

– I co z tego! – roześmiał się Conan. – Nie ma nic, czemu razem nie dalibyśmy rady. Staniemy na pokładzie galery, nim Stygijczycy otworzą swoje porty dla kupców na sezon handlowy. A wtedy pokażemy światu, co to znaczy łupić!

Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w „Weird Tales”:
(lipiec–październik 1936) pod tytułem *Red Nails*

GODZINA SMOKA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

OBUDŹ SIĘ, O ŚPIĄCY!

Płomienie długich świec migotały, rzucając na ściany czarne cienie. Drgnęły aksamitne gobeliny, choć w komnacie nie było wiatru. Czterech mężczyzn stało wokół hebanowego stołu, na którym leżał zielony sarkofag, błyszczący jak rzeźbiony jasek. We wzniesionych rękach mężczyzn zielonkawym światłem płonęły niezwykle, czarne świece. Na zewnątrz królowała czerń nocy, a zabłąkany wiatr jęczał między drzewami.

Wewnątrz komnaty panowała pełna napięcia cisza; cienie falowały, podczas gdy cztery pary oczu płonące gorącą żarliwością ślepiły na długą, zieloną skrzynię, naznaczoną zagadkowymi hieroglifami, które wiły się, jakby światło karmiło je energią i wolą życia. Mężczyzna u stóp sarkofagu pochylił się nad nim i poruszał swą świecą, niczym piórem, kreśląc w powietrzu mistyczny symbol. Potem umocował świecę w czarno-złotym świeczniku u stóp skrzyni i, mamrocząc niezrozumiałą dla swych towarzyszy formułę, schował białą szeroką dłoń pod lamowaną futrem szatę. Kiedy wyciągnął ją znowu, zdawało się, że trzyma kulę żywego ognia.

Pozostali trzej nabrali gwałtownie tchu, a ciemny, muskularnie zbudowany mężczyzna, stojący u szczytu sarkofagu, wyszeptał:

– Serce Arymana!

Tamten natychmiast uniósł rękę, nakazując gestem milczenie. Gdzieś na zewnątrz, pośród nocy, zawył bezpański kundel, a za zamkniętymi i zabezpieczonymi wielkimi ryglami drzwiami rozległo się ciche, ukradkowe stąpanie. Żaden z uczestników ceremonii nie odwrócił wzroku od mumii, nad którą mężczyzna w lamowanej gronostajami szacie poruszał wielkim, płomiennym klejnotem, mamrocząc inkantację, która była stara już wtedy, gdy morskie fale pochłonęły Atlantyde. Blask klejnotu oślepił ich, nie mogli zatem być pewni tego, co obserwują, lecz rzeźbiona pokrywa sarkofagu odskoczyła z dudniącym hukiem, jak gdyby pod wpływem jakiejś ogromnej siły z wnętrza, a czterej mężczyźni pochylili się do przodu z rozgorzałymi ciekawością oczami i ujrzeli leżącą w środku postać, której

zaschnięte, pomarszczone kończyny, wystające spomiędzy butwiejących bandaży, wyglądały jak nadkruszone zębem czasu obumarłe drzewo.

– I my mamy to coś przywrócić do życia? – mruknął z krótkim, sardonicznym uśmiechem ciemny karzeł stojący po prawej stronie. – Rozpadnie się przy pierwszym dotyku. Jesteśmy głupcami!

– Ciii...! – syknął nagle mężczyzna trzymający w dłoni klejnot. Na jego szerokim, białym czole perlił się pot, a oczy miał rozszerzone. Pochylił się i, nie dotykając stworzenia ręką, położył na piersi mumii płonący klejnot. Potem odsunął się i obserwował dalszy bieg wypadów z napiętą uwagą, cały czas mamrocząc pod nosem ledwie słyszalną inkantację.

Obecnym zdawało się, że na pomarszczonej, martwej piersi falowała i migotała kula żywego ognia, a przez zaciśnięte zęby dobywał się ich świszczący oddech. Patrzyli w osłupieniu, jak na ich oczach dokonywała się straszliwa przemiana. Pomarszczony, zaschnięty kształt w sarkofagu pęczniał, rósł i wydłużał się. Nagle rozerwane bandaże pękły, obracając się w brązowy pył. Skurczone członki napęczniały, wyprostowały się, zauważalnie ożyły. Ich ciemny kolor zaczynał blednąć.

– Na Mitrę! – szepnął wysoki, jasnowłosy mężczyzna po lewej. – Nie był Stygijczykiem. Przynajmniej to jest prawdą.

Drżący palec ponownie zarządził ciszę. Pies na zewnątrz już nie wył. Skamlał jak w koszmarze, ale w końcu i ten dźwięk ucichł, gdy jasnowłosy mężczyzna wyraźnie usłyszał wibrujący wizg masywnych drewnianych drzwi, jak gdyby potężna siła naparła na nie z drugiej strony. Obrócił się na pięcie z mieczem w dłoni, lecz mężczyzna w lamowanej gronostajami szacie wysyczał ostrzegawcze napomnienie:

– Ani kroku! Nie przerywaj kręgu! I za nic w świecie nie podchodź do drzwi!

Jasnowłosy mężczyzna wzruszył ramionami, odwrócił się z powrotem i stanął jak wryty. W jadeitowym sarkofagu leżała nie pomarszczona mumia, a żywy człowiek: wysoki, krzepki mężczyzna, nagi, o białej skórze, ciemnych włosach i brodzie. Spoczywał w bezruchu z szeroko otwartymi oczami, pustymi i nic nierozumiejącymi, jak u nowo narodzonego dziecka. Na jego piersi ciągle płonął i migotał olbrzymi klejnot.

Człowiek w gronostajach zatoczył się; najwyraźniej w tej niezwyklej chwili odczuł wielką ulgę.

– Na Isztar! – wysapał. – To Xaltotun! Żywy! Valeriusie! Tarascusie! Amalryku! Widzicie to? Widzicie? Wątpiliście w moje obietnice, ale ja was

nie zawiodłem! Nawet nie wiecie, jak blisko staliśmy tej nocy otwartych bram piekła i jak blisko podeszły istoty z ciemności... O tak, podążały za nim aż do samych drzwi! Oto przywróciliśmy do życia wielkiego maga!

– Nie wątpię też, że skazaliśmy nasze dusze na wieczne potępienie w mękach – mruknął ciemny karzeł, Tarascus.

Jasnowłosa mężczyzna, Valerius, roześmiał się szorstko.

– Nie istnieje piekło gorsze od samego życia! Wszyscy jesteśmy przekłeci od chwili narodzin. Poza tym, kto nie sprzedałby swej nędznej duszy za tron?

– On nie wygląda na specjalnie inteligentnego, Orastesie! – zauważył muskularny mężczyzna.

– Był martwy przez długi czas – odparł Orastes. – Jest jak świeżo wybudzony. Jego umysł jest pusty po długim śnie... Nie, nie po śnie, przecież on był martwy. Sprowadziliśmy jego duszę z pustkowi i otchłani nocy i zapomnienia. Przemówię do niego.

Mężczyzna pochylił się nad sarkofagiem i utkwivszy swój wzrok w wielkich, ciemnych oczach ożywionego w środku, powiedział wolno:

– Obudź się, Xaltotunie!

Usta poruszyły się bezwiednie.

– Xaltotunie! – powtórzył skrzącym się od niepewności szeptem. – Ty jesteś Xaltotun! – wykrzyknął Orastes niczym hipnotyzer, próbujący zaszcześcić nową ideę w świadomości śniącego. – Tyś Xaltotun z Python, w Acheronie.

W ciemnych oczach zamigotał słabiutki ogienek.

– Byłem Xaltotunem – szepnął. – Nie żyję.

– Jesteś Xaltotunem! – ryknął Orastes. – Nie należysz już do świata umarłych! Ty żyjesz!

– Jestem Xaltotunem. – W powietrze strzelił niesamowity szept. – Ale jestem też trupem. Umarłem w moim domu w Khemi, w Stygii.

– Zaś kapłani, którzy cię otruli, zmumifikowali twe ciało, dzięki czemu zachowały się twoje organy! – wykrzyknął Orastes. – Teraz znów jesteś żywy! Serce Arymana przywróciło cię do świata żywych, przywołując twoją duszę z przestrzeni i wieczności!

– Serce Arymana! – Płomień powracającej pamięci jaśniał z coraz większą siłą. – Ukradli mi je barbarzyńcy!

– On pamięta – mruknął Orastes. – Wyciągnijcie go z sarkofagu!

Reszta zebranych mężczyzn wykonała polecenie z wahaniem, jak gdyby nie chcieli dotykać odtworzonego przez siebie człowieka, a gdy poczuli pod palcami silne, umięśnione ciało, tętniące krwią i życiem, wcale nie byli spokojniejsi. Jednak przenieśli go na stół, a Orastes ubrał go w dziwną szatę z ciemnego aksamitu bogato inkrustowaną złotymi gwiazdami i półksiężycami, zaś głowę obwiązał zdobną złotymi nićmi opaską, ujarzmiając czarne, kręcone włosy, opadające mu na ramiona. Ten pozwalał im na wszystko w milczeniu, nawet gdy posadzili go na rzeźbionym, podobnym do tronu krześle z wysokim hebanowym oparciem o szerokich, srebrnych podłokietnikach i nogach przypominających złote szpony. Siedział na nim nieruchomo, zaś w jego ciemnych oczach powoli zakwitł kwiat rozumu i inteligencji, sprawiając, że stawały się one jeszcze głębsze, bardziej świetliste i zagadkowe. Wyglądało to tak, jakby dawno temu schowane czarodziejskie ogniki wypływały powoli na powierzchnię z najgłębszych poziomów mroku.

Orastes spojrział ukradkiem na swych towarzyszy, którzy z narastającą fascynacją obserwowali swego osobliwego gościa. Ich stalowe nerwy i żelazna wola zostały wystawione na ciężką próbę, która słabszych ludzi doprowadziłaby do szaleństwa. Wiedział jednak, że nie spiskował ze słabeuszami, ale z wojownikami, których odwaga była równie głęboka, jak ich bezprawne ambicje i skłonność do czynienia zła. Skupił się na postaci siedzącej na hebanowym krześle, a ta w końcu przemówiła:

– Pamiętam – rzekł mocnym, wibrującym głosem, używając języka nemedyjskiego z dziwnym, dawno zarzuconym przez ludzi akcentem. – Jestem Xaltotun, swego czasu najwyższy kapłan Seta w Python, które leżało w Acheronie. Serce Arymana... Śniło mi się, że znowu je odnalazłem... Gdzie ono jest?

Orastes wsunął mu klejnot w dłoń, a gdy wejrzał w głąb jego płonącego wnętrza, westchnął głęboko i z przejęciem.

– Wykradziono mi Serce Arymana dawno temu – stwierdził Xaltotun. – To krwawe serce mroku, które może dać, ale i zabrać życie. Przybyło z daleka, z zamierzchłych czasów. Kiedy nim władałem, byłem niepokonany. Jednak odebrano mi je, a Acheron upadł i musiałem szukać schronienia w mrocznej Stygii. Pamiętam wiele, ale wiele też zapomniałem. Przebywałem w odległej krainie poza zamglonymi pustkami i otchłaniami, gdzieś pośród ponurych i cienistych czeluści. Jaki mamy rok?

– Kończy się Rok Lwa, trzy tysiące lat po upadku Acheronu – pospieszył z odpowiedzią Orastes.

– Trzy tysiące lat! – wymamrotał Xaltotun. – Tak długo? Kim jesteście?

– Jestem Orastes, kiedyś byłem kapłanem Mitry. Ten mężczyzna to Amalryk, baron Toru w Nemedii, ten drugi to Tarascus, młodszy brat króla Nemedii, a ten wysoki to Valerius, prawowity dziedzic tronu Akwilonii.

– Dlaczego daliście mi życie? – spytał Xaltotun. – Czego ode mnie chcecie?

Był już zupełnie ożywiony i przytomny, a jego bystre oczy odzwierciedlały pracę w pełni sprawnego umysłu. W jego zachowaniu nie było wahania ani niepewności. Przeszedł od razu do sedna, jak ktoś, kto wie, że nikt nie daje niczego za darmo. Orastes postanowił być z nim szczerzy do bólu.

– Tej nocy otworzyliśmy drzwi piekła, aby uwolnić twą duszę i zwrócić ją twemu ciału, bo potrzebujemy twojej pomocy. Chcemy posadzić Tarascusa na tronie Nemedii i dla Valeriusa zdobyć koronę Akwilonii. Twoja nekromancja może nam się przydać.

Umysł Xaltotuna okazał się przebiegły i pełen nieoczekiwanych pomysłów.

– Ty sam musisz być, Orastesie, świetnym nekromantą, skoro potrafiłeś przywrócić mnie do życia. Jak to możliwe, że kapłan Mitry wie o Sercu Arymana i zna inkantacje Skelos?

– Nie jestem już kapłanem Mitry – odparł Orastes. – Pozbawiono mnie funkcji, ponieważ zgłębiałem tajniki czarnej magii. Gdyby nie pomoc Amalryka, pewnie spalono by mnie na stosie jako maga. To jednak spowodowało, że mogłem dalej i bez przeszkód kontynuować studia. Podróżowałem po Zamorze, Vendii, Stygii, a także nawiedzonych dżunglach Khitaju. Przeczytałem oprawione w żelazo Księgi Skelos, rozmawiałem z niewidzialnymi stworzeniami z głębokich studni, a także z pozbawionymi fizycznej formy istotami w czarnych, śmierdzących dżunglach. Strzępy wiedzy o twym sarkofagu z niemałym trudem uzyskałem w nawiedzanych przez demony kryptach pod czarną, otoczoną niebotycznie wielkim i ponurym murem świątynią Seta, w zapomnianych przez bogów i ludzi rejonach Stygii. Tam nauczyłem się sztuki, która była w stanie tchnąć życie w twoje zeschnięte ciało. W butwiejących manuskryptach odnalazłem zapiski o Sercu Arymana, a potem przez rok szukałem miejsca, w którym je ukryto, aż w końcu je odnalazłem.

– Dlaczego więc zadałeś sobie tyle trudu, by przywrócić mnie do życia?
– spytał Xaltotun, przeszywając kapłana zimnym spojrzeniem. – Dlaczego nie użyłeś Serca, by stać się jeszcze potężniejszym?

– Ponieważ żaden żyjący w naszych czasach człowiek nie zna sekretów Serca – odparł Orastes. – Sztuka, dzięki której można uwolnić całą potęgę Serca, nie przetrwała nawet w legendach. Wiedziałem, że może przywracać życie, ale nie mam zielonego pojęcia o jego głębszych tajemnicach. Użyłem go tylko raz, po to, by cię ożywić. Twa wiedza i umiejętności są nam po prostu niezbędne. Tylko ty jeden jedyne znasz wszystkie straszliwe tajemnice Serca.

Xaltotun potrząsnął głową, spoglądając w zamyśleniu w płonące głębie klejnotu.

– Moja wiedza nekromanty jest większa niż ta posiadana przez pozostałych ludzi łącznie – oznajmił. – A jednak nie znam całej mocy tego klejnotu. Nie posługiwałem się nią w dawnych czasach, jedynie dbałem, by nie użyto jej przeciwko mnie. W końcu Serce zostało skradzione i kierowane wolą barbarzyńskiego szamana z pióropuszem na głowie, bez problemu pokonało całą mą magię. Potem zniknęło, a ja zostałem otruty przez zazdrosnych kapłanów ze Stygii, zanim zdołałem się dowiedzieć, gdzie je ukryto.

– Klejnot ukryto w jaskini pod świątynią Mitry w Tarantii – powiedział Orastes. – Musiałem użyć całego swego sprytu i przebiegłości, by się o tym dowiedzieć, już po tym, jak odnalazłem twoje szczątki w podziemnej świątyni Seta w Stygii. Złodzieje z Zamory, chronieni częściowo potężnymi zaklęciami, których nauczyłem się ze źródeł, o których lepiej nie wspominać, wykradli twą mumię ze szponów tych, co strzegli jej w ciemności. Twa mumia, podróżując z karawaną wielbłądów, na galerze i na wozie ciągniętym przez woły, dotarła w końcu do tego miasta. Ci sami złodzieje – a raczej ci, którym udało się przeżyć te straszliwe poszukiwania – wykradli Serce Arymana z nawiedzanej jaskini pod świątynią Mitry; niewiele brakowało, aby na nic się zdały ich mistrzowskie umiejętności i moje zaklęcia. Jeden z nich przeżył jednak wystarczająco długo, by dotrzeć do mnie i wręczyć mi klejnot – potem umarł, śliniąc się i bełkocząc o tym, co zobaczył w tej przeklętej krypcie. Złodzieje z Zamory to najbardziej lojalni i godni zaufania złodzieje na świecie. Nawet mój rozkaz czy gorące życzenie nie skłoniłoby kogokolwiek innego do wykradzenia

klejnotu z miejsca, gdzie spoczywał przez trzy tysiące lat po upadku Acheronu – z pilnowanych przez demony czeluści.

Xaltotun uniósł swą lwią głowę i spojrzał daleko w przestrzeń, jak gdyby przyglądając się straconym wiekom.

– Trzy tysiące lat! – mamrotał. – Na Seta! Powiedz mi, co wydarzyło się na tym świecie.

– Barbarzyńcy, którzy zniszczyli Acheron, założyli nowe królestwa – rzekł Orastes. – Tam, gdzie kiedyś rozciągało się imperium, teraz wznoszą się królestwa Akwilonii, Nemedii i Argos, nazywane tak od plemion, które je założyły. Starsze królestwa Ofiru, Koryntii i zachodniego Koth, podlegające niegdyś królom Acheronu, wraz z upadkiem imperium odzyskały niepodległość.

– A co z ludem Acheronu? – dopytywał Xaltotun. – Kiedy zbiegłem do Stygii, Python zmieciono z powierzchni ziemi, a wszystkie wielkie miasta Acheronu o purpurowych wieżach spływały krwią, tratowane sandałami barbarzyńców.

– Pośród wzgórz do dzisiaj egzystują małe grupy, które wciąż chwalą się acheronckim pochodzeniem – odparł Orastes. – Jeśli zaś chodzi o resztę, fala mych barbarzyńskich przodków przetoczyła się po nich i wyróżnęła co do jednego. Oni, to znaczy moi przodkowie, wiele wycierpieli z rąk królów Acheronu.

Na ustach dumnego mieszkańca Python zakwitł ponury i straszliwy uśmiech.

– Tak! Wielu barbarzyńców, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, umarło, wrzeszcząc na ołtarzu pod mą ręką. Widziałem, jak z ich odciętych głów usypywano piramidy na głównym placu Python, kiedy królowie powracali z zachodu ze swymi łupami i nagimi jeńcami.

– Tak jest, dlatego właśnie gdy nadszedł dzień zemsty, nie szczędzono mieczy. A więc Acheron przestał istnieć, a Python o purpurowych wieżach stał się nie więcej jak tylko mglistym wspomnieniem dawno zapomnianych dni... Wszakże na ruinach imperium kiełkowały i dojrzewały młodsze królestwa, każdego dnia wzrastając i prosperując. A teraz my sprowadziliśmy cię z powrotem, abyś pomógł nam przejąć władzę w owych królestwach, nawet jeśli w twoich oczach to tylko marne odbicie dawnej potęgi Acheronu. Jednak są na tyle potężne i bogate, by warto o nie powalczyć. Spójrz! – Orastes rozwinął przed ożywieńcem wspaniałą mapę z wirtuozerią skreśloną na welinie.

Xaltotun spojrział na nią, po czym zupełnie zagubiony pokręcił głową.

– Zmieniły się nawet linie brzegowe kontynentów! To jak oglądanie we śnie znajomego, a jednak dziwacznie zniekształconego wspomnienia.

– Możliwe – odparł Orastes, wodząc palcem po mapie. – Tu jest Belverus, stolica Nemedii, gdzie znajdujemy się obecnie, a tu widzisz granice Nemedii. Na południu i na południowym wschodzie leżą Ofir i Koryntia, na wschodzie Brythunia, a na zachodzie Akwilonia.

– To mapa nieznanego mi świata – szepnął cicho Xaltotun, ale Orastes nie przegapił żywego płomienia nienawiści, który zapłonął w ciemnych oczach nekromanty.

– To mapa, którą pomożesz nam zmienić – oznajmił Orastes. – Pierwszym naszym życzeniem jest osadzenie Tarascusa na tronie Nemedii. Pragniemy osiągnąć to bez walki i w taki sposób, by nie padło na niego żadne podejrzenie. Nie chcemy, by kraj pogrążył się w wojnie domowej, bowiem wolelibyśmy zachować całą jego siłę do podboju Akwilonii. Gdyby król Nimed i jego synowie umarli śmiercią naturalną, na przykład wskutek zarazy, Tarascus wstąpiłby na tron jako prawowity następca, pokojowo i bez niczyich sprzeciwów.

Xaltotun skinął głową, nic nie odpowiadając, a Orastes kontynuował:

– Drugie zadanie będzie trudniejsze do wykonania. Nie damy rady umieścić Valeriusa na tronie Akwilonii bez krwawej wojny, a to królestwo jest trudnym i niebezpiecznym wrogiem. Zamieszkuje je lud należący do twardej, walecznej rasy, zahartowanej wieloletnimi wojnami z Piktami, Zingarczykami i Cymmeryjczykami. Od jakichś pięciuset lat z niewielkimi przerwami Akwilonia i Nemedia prowadzą wojnę, w której i tak na końcu zawsze triumfują Akwilończycy. Ich obecny król to najsłynniejszy, a jednocześnie najgroźniejszy ze wszystkich wojowników zachodniego świata. Jest obcokrajowcem i awanturnikiem, który sięgnął po koronę podczas wojny domowej, własnoręcznie dusząc króla Nemedidesa, gdy ten siedział na swoim tronie. Zwie się Conan i żaden człowiek w bezpośredniej walce nie ma z nim żadnych szans. Valerius jest teraz prawowitym dziedzicem tronu. Został skazany na banicję przez swego królewskiego krewniaka Nemedidesa, i od lat wiecie życie na wygnaniu, choć w jego żyłach płynie krew starej dynastii i wielu baronów z prawdziwą rozkoszą, oczywiście potajemnie, przyjęłoby obalenie Conana, który jest nikiem: w jego żyłach nie płynie nawet arystokratyczna krew, już nie wspominając o królewskiej. Jednak masy go kochają i są wobec niego lojalne, tak samo

jak mieszkająca w odległych prowincjach królestwa arystokracja. Gdyby jednak jego siły zostały rozbite podczas walnej bitwy na samym początku rebelii, a on zabity, myślę, że osadzenie Valeriusa na tronie nie nastęczałoby większych problemów. W rzeczy samej, jeśli Conan umrze, wraz z jego śmiercią upadnie jedyny ośrodek jego rządów. Ten przybłęda nie jest członkiem żadnej dynastii, to tylko prymitywny awanturник i barbarzyńca.

– Chciałbym zobaczyć tego króla – rzekł głęboko zamyślony Xaltotun, spoglądając w kierunku srebrnego zwierciadła wiszącego na jednej ze ścian. Nie rzucało ono odbicia jego twarzy, ale mina Xaltotuna pokazywała, że świetnie rozumie, do czego służy. Orastes skinął głową z dumą, z jaką dobry rzemieślnik przyjmuje uznanie od mistrza swej sztuki dla własnych umiejętności.

– Spróbuję ci go pokazać – powiedział i rozsiadając się wygodnie przed lustrem, spojrział hipnotycznie w jego głębię, w której po chwili zaczął nabierać kształtu niewyraźny cień.

Wyglądało to niesamowicie, lecz zebrani w komnacie mężczyźni doskonale wiedzieli, że to tylko odbicie myśli Orastesa materializujące się w tym zwierciadle na tej samej zasadzie, jak myśli maga pojawiają się w magicznym kryształ. Przez chwilę mglisty i niewyraźny obraz falował, by niespodziewanie nabrać niebywałej ostrości. Ujrzeni niemalże giganta, nieprawdopodobnie wielkiego mężczyznę o potężnych ramionach i szerokiej klatce piersiowej, o masywnej szyi i niezwykle muskularnych kończynach. Był odziany w jedwab i aksamit z królewskimi lwami Akwilonii bogato wyszywanymi złotem na pysznym kaftanie, a na głowie z prosto przyciętą czarną czupryną dumnie błyszczała złota korona. Wystarczał jednak tylko jeden rzut oka, by zrozumieć, że ogromny miecz przy boku króla bardziej mu pasował niż królewskie insygnia. Czoło miał niskie i szerokie, a oczy, jak wulkany plujące głębokim błękitem, jarzyły się jakimś wewnętrznym ogniem. Jego ogorzała od słońca, poorana bliznami i niemal złowróźbna twarz zdradzała wojownika z krwi i kości, zaś jedwabne szaty nie były w stanie zakryć potężnej muskulatury o twardym i groźnym wyglądzie.

– Ten człowiek nie jest Hyboryjczykiem! – wykrzyknął Xaltotun.

– Nie, jest Cymmeryjczykiem pochodzącym z jednego z tych dzikich górskich plemion, zamieszkujących szare wzgórza północy.

– Nie raz walczyłem z jego przodkami – wymamrotał Xaltotun. – Nawet królowie Acheronu nie mogli ich pokonać.

– Wciąż napęniają przerażeniem narody południa – rzekł Orastes. – A on jest nieodrodnym synem tej dzikiej rasy i jak dotąd – niepokonanym.

Xaltotun nic nie odpowiedział, tylko siedział, wpatrując się w błyszczące w jego dłoni jezioro żywego ognia. Na zewnątrz ponownie zawył pies. Długo i przejmująco.

ROZDZIAŁ DRUGI

WIEJE CZARNY WIATR

Rok Smoka narodził się wśród wojny, zarazy i niepokoju. Czarny mór szalał po ulicach Belverus, powalając i zabijając zarówno kupca w jego kramie, chłopa w chałupie, jak i rycerza przy biesiadnym stole. Wobec niego wiedza medyków była bezradna. Ludzie mówili, że zesłano go z piekła jako karę za grzechy pychy i chciwości. Był prędko i zabójczy jak ukąszenie żmii. Ciało ofiary stawało się fioletowe, potem czarne i w parę minut później nieszczęśnik dotknięty chorobą osuwał się na ziemię, konając w strasznych męczarniach. Smród rozkładu dochodził do jego nozdrzy nim śmierć zabrała duszę z gnijącego ciała. Gorący, ryczący wiatr bezustannie wiał z południa, zboża usychały na polach, a bydło padało podczas wypasu.

Ludzie błagali Mitrę o pomoc i szeptali przeciw królowi, bowiem w jakiś sposób po królestwie poniosła się wieść, że król w cieniu swego pałacu w wielkim sekrecie oddaje się odrażającym praktykom i wyuzdanym orgiom. Wtedy właśnie do królewskiego pałacu wtargnęła uśmiechnięta jadownicie śmierć, a wokół jej cichych stóp tańczyły potworne opary zarazy. Jednej nocy zmarł król i jego trzech synowie, a walenie bębnow, ogłaszające po nich żałobę, tonęło w ponurym i złowróżbnym dźwięku dzwonek zawieszonych przy wozach, błakających się po ulicach i zbierających gnijące trupy.

Owej nocy, tuż przed świtem, gorący wiatr, który wiał od tygodni, przestał złowieszczo szemrać wśród jedwabnych zasłon w oknach. Z północy nadciągnęła nawałnica, która zaryczała wśród wież, a powietrze cięły wieszczące zagładę grzmoty i oślepiające błyskawice, przynosząc deszcz, lecz poranek wstał przejrzysty – zielony i czysty; spalona ziemia pokryła się trawą, spragnione zboże strzeliło ku słońcu na nowo, a zaraza odeszła. Jej miazmaty wymiół z kraju potężny wiatr.

Ludzie mówili, że bogowie byli usatysfakcjonowani, ponieważ zły król i jego wyrodne potomstwo zginęli. Gdy w wielkiej sali koronacyjnej ogłoszono królem młodszego brata władcy – Tarascusa, lud wiwatował tak, że drżały wieże w posadach, wychwalając monarchę, do którego uśmiechali się bogowie.

Takie fale entuzjazmu i radości, które porwały całe królestwo, często zwiastują wojnę i podboje. Dlatego też nikt się nie zdziwił, kiedy ogłoszono, że król Tarascus uważa za nieważny rozejm zawarty między poprzednim królem a zachodnim sąsiadem i gromadzi armię, mającą najechać na Akwilonię. Intencje króla były szczerze, a głośno proklamowane motywy nadawały wszelkim działaniom pozory świętej krucjaty, bowiem nowy władca z całego serca popierał roszczenia Valeriusa, „prawowitego dziedzica tronu”. I tak świat dowiedział się, że Tarascus nie jest wrogiem, tylko przyjacielem Akwilonii, pragnąc uwolnić lud spod tyranii uzurpatora i obcokrajowca.

Jeśli w pewnych częściach miasta uśmiechano się cynicznie i szeptano na temat dobrego przyjaciela króla, Amalryka, którego ogromne bogactwo zdawało się wpływać szerokim strumieniem do raczej puściutkiego królewskiego skarbcza, to szybko o tym zapomniano w ogólnym ferworze i atmosferze powszechnego poparcia dla Tarascusa. Jeśli jakiegokolwiek przenikliwe jednostki podejrzewały, że Amalryk jest rzeczywistym władcą Nemedii, robiły wszystko, by publicznie nie ogłaszać takich herezji. I tak przy ogólnym zapale sprawy wojny posuwały się naprzód.

Król i jego sojusznicy ruszyli na północ na czele pięćdziesięciu tysięcy rycerzy w błyszczących zbrojach i z proporcami powiewającymi nad hełmami, pikinierów w stalowych hełmach oraz brygantynach i łuczników w skórzanych kaftanach. Przekroczyli granicę, zajęli przygraniczny zamek i spalili trzy górskie wioski, po czym w dolinie Valkii, oddalonej o dziesięć mil od granicy, spotkali wojska Conana, króla Akwilonii, w liczbie czterdziestu pięciu tysięcy rycerzy, łuczników i piechoty, kwiat akwilońskiej potęgi. Nie przybyły jeszcze pancerne zagony z Poitanii pod wodzą Prospera, gdyż musieli przebyć długą drogę z południowo-zachodniego krańca królestwa. Tarascus uderzył bez ostrzeżenia, a inwazja nastąpiła natychmiast, bez formalnego wypowiedzenia wojny.

Armie stanęły naprzeciw siebie wzdłuż szerokiej, płytkiej doliny o poszarpanych i urwistych stokach, przez której środek wił się płytki strumień porośnięty gąszczem trzin i wierzb. Obozowe ciury obydwu armii zeszły do strumienia po wodę, co skończyło się wzajemnym ciskaniem w siebie zarówno obelgami, jak i kamieniami. Ostatnie promienie słońca zajaśniały na złotym sztandarze Nemedii ze szkarłatnym smokiem, powiewającym na wietrze przed wystawnym namiotem króla Tarascusa, rozbitym na wzniesieniu blisko wschodniego urwiska. Obóz

armii Akwilonii i sztandar ze złotym lwem, powiewający nad bogato zdobionym namiotem króla Conana, niczym wielki fioletowy kir, przykrywał cień zachodniego urwiska.

Całą noc wzdłuż doliny płonęły ogniska, a wiatr niósł dźwięki trąbek sygnałowych, szczęk broni i ostre nawoływania wartowników, którzy nieustannie patrolowali na swych koniach obydwie brzegi obrośniętego wierzbami strumienia.

W ciemności, przed świtem, król Conan poruszył się na swym łożu, będącym w gruncie rzeczy stertą jedwabi i futer rzuconych na podwyższenie, i obudził się. Zerwał się na równe nogi, wrzeszcząc i chwytając za miecz. Pallantides, generał jego wojsk, usłyszawszy ten krzyk, wpadł do namiotu i ze zdziwieniem ujrzał króla siedzącego prosto z dłonią na rękojeści ogromnego miecza, z twarzą, na której obficie perlił się pot.

– Wasza wysokość! – wykrzyknął Pallantides. – Coś nie tak?

– Co z obozowiskiem? – zapytał Conan. – Straże na posterunkach?

– Pięciuset jeźdźców patroluje strumień, wasza wysokość – odparł generał. – Nemedycyzy nie próbowali ruszyć na nas pod osłoną nocy. Czekają do świtu, tak jak my.

– Na Croma! – wymamrotał Conan. – Obudziłem się w przeświadczeniu, że zbliża się ku mnie zagłada.

Spojrzał na wielką złotą lampę, rzucającą łagodny blask na aksamitne zasłony i dywany wielkiego namiotu. Byli sami; żaden niewolnik ani paź nie spał na usłanej dywanami podłodze, ale oczy Conana płonęły tak, jak działa się zawsze w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa, a miecz drżał w jego dłoni. Pallantides obserwował go z niepokojem. Conan zdawał się nasłuchiwać.

– Posłuchaj! – syknął król. – Słyszałeś to? Ukradkowy krok!

– Twojego namiotu pilnuje siedmiu rycerzy, wasza wysokość – wyjaśnił Pallantides. – Nikt nie przemknąłby się niezauważony.

– Nie na zewnątrz – warknął Conan. – Zdawało mi się, że słyszę kroki wewnątrz namiotu.

Pallantides omiótł namiot szybkim, zdumionym spojrzeniem. Aksamitne zasłony na rogach spowijał cień, ale gdyby w pawilonie był ktoś jeszcze, generał by go dostrzegł. Ponownie pokręcił głową.

– Na pewno nikogo tu nie ma. Śpisz w samym środku obozu swojej armii.

– Widziałem już, jak śmierć dopada króla pomiędzy tysiącami jego żołnierzy – wymamrotał Conan. – Coś, co kroczy na niewidzialnych stopach i nie można tego zobaczyć...

– Może śniłeś, wasza wysokość – odparł nieco zaniepokojony Pallantides.

– Pewnie właśnie tak było – burknął Conan. – Ale w takim razie to był jakoś cholernie dziwny sen. Znowu szedłem po tych wszystkich długich, wyczerpujących szlakach, które zawiodły mnie na tron.

Conan pograżył się w milczeniu, a Pallantides patrzył na niego bez słowa. Król stanowił dla generała nieprzeniknioną zagadkę, zresztą podobnie jak dla większości jego cywilizowanych poddanych. Pallantides wiedział, że Conan przemierzył wiele dróg w swym dzikim i pełnym przygód życiu, a także że przeżył wiele, zanim kaprys Losu posadził go na tronie Akwilonii.

– Ponownie zobaczyłem pole bitwy, na którym się urodziłem – powiedział Conan z ponurą miną, podpierając podbródek na masywnej pięści. – Ujrzałem siebie w skórze pantery na biodrach, rzucającego włócznią w górskie bestie. Znowu byłem najemnikiem, hetmanem kozaków, którzy mieszkają wzdłuż brzegów rzeki Zaporoska, korsarzem łupiącym wybrzeża Kush, piratem z Wysp Baracha, wodzem himeliańskich górali. Byłem każdym z nich i śniłem o nich wszystkich. Te wszystkie postacie, które były mną, przemaszerowały przede mną w niekończącej się procesji, wybijając w piasku stopami żałobny rytm. Ale potem moje sny dziwnie się zmieniły: zobaczyłem zamglone postacie i upiorne cienie, a odległy głos drwił ze mnie. Kiedy wszystko miało się ku końcowi, zobaczyłem chyba siebie samego, leżącego na mych skórkach we własnym namiocie, a nade mną pochylała się odziana w powłóczystą szatę i zakapturzona postać. Leżałem, nie mogłem się ruszyć. Wtedy kaptur opadł i wyszczerzyła się do mnie gnijąca czaszka. I obudziłem się.

– To potworny sen, wasza wysokość – powiedział Pallantides, powstrzymując drżenie rąk. – Ale tylko koszmar.

Conan pokiwał głową, wyrażając bardziej zwątpienie w słowa generała, niż nim zaprzeczając. Pochodził z barbarzyńskiej rasy i przesady oraz odziedziczone po przodkach instynkty, tkwiły tuż pod powierzchnią jego świadomości.

– Miałem wiele złowieszczych snów – stwierdził. – Większość z nich nie miała znaczenia. Ale, na Croma, ten sen nie przypominał innych!

Chciałbym już stoczyć i wygrać tę bitwę, bo miotają mną ponure przecucia od czasu, gdy król Nimed zmarł od czarnego moru. Dlaczego zaraza ustąpiła, kiedy on umarł?

– Ludzie mówią, że grzeszył...

– Ludzie są głupi, jak zwykle – warknął Conan. – Gdyby zaraza zaatakowała wszystkich grzeszników, wtedy, na Croma, nie byłoby nikogo, kto mógłby policzyć żywych! Dlaczego bogowie, którzy, jak mówił mi kapłan, są sprawiedliwi, mieliby zabić pięciuset chłopów, kupców i szlachciców, zanim zabili króla, jeśli cała zaraza była wymierzona w niego? Czy bogowie ciskali nią na oślep, jak wojownik machający mieczem we mgłę? Na Mitrę! Czy gdybym ja wymierzał ciosy z taką celnością, Akwilonia miałaby już od dawna nowego króla? Nie! Ten czarny mór to nie było byle choróbsko. Czai się w stygijskich sarkofagach i jest powoływana do istnienia jedynie przez czarnoksiężników. Byłem wojownikiem w armii księcia Almuryka, gdy ta najechała Stygię, i z trzydziestu tysięcy chłopów połowa zginęła od strzał stygijskich, a reszta od czarnego moru, który zwałił się na nas niczym wiatr z południa. Byłem jedynym, który ocalał.

– Ale w Nemedii zmarło tylko pięćset osób – zaproponował Pallantides.

– Ktokolwiek wywołał tę zarazę, umiał ją bez problemu powstrzymać – odparł Conan. – Wiem zatem, że było w tym coś przemyślnego i diabolicznego. Ktoś ją wywołał, ktoś ją odegnał, kiedy osiągnął swój cel – to znaczy kiedy Tarascus został osadzony bezpiecznie na tronie i ogłoszony wybawcą ludu od gniewu bogów. Na Croma, przeczuwam, że za tym wszystkim stoi jakiś czarny i sprytny umysł! Co wiemy o nieznanym, który, jak gadają ludzie, udziela porad Tarascusowi?

– Ukrywa twarz za welonem – odpowiedział Pallantides. – Mówią, że jest obcokrajowcem, przybyszem ze Stygii.

– Przybyszem ze Stygii, powiadasz... – powtórzył Conan z gniewnym wyrazem twarzy. – Raczej przybyszem z piekła!... Ha! Co jest?

– Trąby Nemedyczyków! – wykrzyknął Pallantides. – Posłuchaj, jak nasze odpowiadają im rykiem! Nadchodzi świt i dowódcy rozstawiają wojska do ataku! Niech Mitra będzie z nimi, gdyż wielu z nich nie ujrzy już, jak słońce zachodzi za granicami.

– Przyślij moich giermków! – wykrzyknął Conan, podnosząc się żwawo i zrzucając z siebie aksamitne nocne odzienie, najwidoczniej zapominając

o swoich obawach i uprzedzeniach. – Idź do dowódców i sprawdź, czy wszystko gotowe. Podejdę do was, kiedy tylko włożę zbroję.

Wiele zachowań Conana było niewytłumaczalnych dla cywilizowanych ludzi, którymi rządził, a jednym z nich był jego upór w kwestii samotnego spania w komnacie lub namiocie. Pallantides wybiegł z pawilonu, pobrzękując zbroją, którą włożył o północy po kilku godzinach snu. Rzucił okiem na obóz, który zaczynał z wolna budzić się do życia i gdzie w blasku poranka rozlegał się brzęk zbroi, a ludzie niepewnie poruszali się między długimi rzędami namiotów. Gwiazdy wciąż jeszcze błyszcząły blado na zachodniej części nieba, ale długie, różowe wstęgi zabarwione przez słońce rozciągały się wzdłuż wschodniego horyzontu, a na ich tle, falując, łopotwały jedwabne fałdy nemedyjskiego sztandaru ze smokiem.

Pallantides podchodził właśnie do stojącego blisko mniejszego namiotu, w którym spali królewscy giermkowie, gramolący się na zewnątrz, obudzeni przez dudniący śpiew królewskich tręb. Kiedy Pallantides nawoływał ich do pośpiechu, stanął jak wryty, bo zmroził go wściekły, pełen zawziętości okrzyk i odgłos silnego ciosu w królewskim namiocie, po którym nastąpił straszliwy huk padającego ciała. W chwilę potem rozbrzmiał tam szyderczy i okrutny śmiech, który zmroził generałowi krew w żyłach.

Pallantides wrzasnął, obrócił się na pięcie i ruszył pędem do namiotu króla. Wrzasnął ponownie, kiedy ujrzął potężną postać Conana rozciągniętą na dywanie. Ogromny oburęczny miecz króla leżał obok jego dłoni, a strzaskany maszt namiotu zdawał się wskazywać, gdzie zadano cios. Pallantides z miejsca wyciągnął miecz z pochwy i powiódł wokoło gniewnym spojrzeniem, ale nic podejrzanego nie rzuciło mu się w oczy. Oprócz króla i jego samego w namiocie nikogo nie było, tak samo jak w chwili, w której go opuszczał.

– Wasza wysokość! – Pallantides przyklęknął obok powalonego olbrzyma.

Oczy Conana były otwarte. Patrzyły na generała z pełnym zrozumieniem i inteligencją. Jego usta wykrzywił grymas, ale nie dobiegł z nich żaden dźwięk. Leżał nieruchomo, jak sparaliżowany.

Na zewnątrz rozległy się głosy. Pallantides szybko wstał i podszedł do wejścia. Stali tam królewscy giermkowie i jeden z rycerzy pilnujących namiotu.

– Usłyszeliśmy jakiś hałas dochodzący ze środka – powiedział, usprawiedliwiając się rycerz. – Czy u króla wszystko w porządku?

Pallantides spojrzał na niego badawczo.

– Ktoś wchodził albo wychodził z namiotu tej nocy?

– Nikt poza tobą, mój panie – odparł rycerz, a Pallantides nie mógł wątpić w jego szczerłość.

– Król potknął się i upuścił miecz – stwierdził generał krótko. – Wracaj na swój posterunek.

Kiedy rycerz odwrócił się, generał ukradkiem skinął na pięciu królewskich giermków, a kiedy ci weszli za nim do środka, zasłonił szczelnie połę namiotu. Giermkowie pobledli na widok rozciągniętego na dywanie króla, ale szybki gest Pallantidesa stłumił ich krzyki.

Generał znów nachylił się nad królem i raz jeszcze Conan usiłował coś powiedzieć. Z wysiłku napuchły mu żyły na skroniach, a napięte mięśnie szyi usiłowały zmusić gardło do wydania jakiegokolwiek dźwięku. Z trudem uniósł głowę nad ziemią. W końcu król wybełkotał na głos na wpół zrozumiałym głosem:

– To coś... to coś w kącie!

Pallantides uniósł głowę i rozejrzał się strachliwie dookoła. W świetle lampy ujrzał blade twarze giermków i aksamitne cienie, zalegające na ścianach namiotu. To było wszystko.

– Nic tu nie ma, wasza wysokość – rzekł.

– To było tam, w kącie – wymamrotał król, potrząsając na boki głową, okoloną lwią grzywą, kiedy usiłował wstać. – Jakiś człowiek... przynajmniej wyglądał na człowieka... owinięty w łachmany jak mumia w bandażu, ze zbutwiałą peleryną przerzuconą przez ramię, w kapturze. Kiedy czaił się tam, w ciemności, widziałem tylko jego oczy. Z początku myślałem, że to tylko cień, dopóki nie zobaczyłem tych oczu. Były jak czarne klejnoty. Ruszyłem na niego i machnąłem mieczem, ale zupełnie spudłowałem. Cholera wie, jakim cudem... I zamiast niego przypieprzyłem w maszt namiotu. A on, gdy straciłem równowagę, obłąpił mnie za nadgarstek, mówię ci, jego palce parzyły jak rozżarzone żelazo. Straciłem wszystkie siły, a podłoga uniosła się i walnęła mnie jak maczuga! Potem on zniknął, a ja padłem i... Niech to szlag! Nie mogę się ruszyć! Jestem sparaliżowany!

Pallantides podniósł rękę olbrzyma i przebiegł go dreszcz czystego przerażenia. Na królewskim przedramieniu widniały sine ślady długich,

wychudzonych palców. Jaka dłoń mogła złapać go z taką siłą, by zostawić ślad na tym grubym nadgarstku? Pallantides przypomniał sobie o niskim śmiechu, który usłyszał, pędząc do namiotu, i na jego skórze wystąpił zimny pot. To nie Conan wtedy się śmiał.

– To sprawka demonów! – wyszeptał, drżąc, jeden z giermków. – Ludzie gadają, że dzieci ciemności walczą po stronie Tarascusa.

– Zamknij się! – rozkazał Pallantides surowym tonem.

Na zewnątrz świt przyćmił gwiazdy. Lekki wietrzyk nadpłynął od strony wzgórz, niosąc ze sobą fanfarę tysiąca trąbek. Na ten dźwięk po muskularnym ciele Conana przebiegł konwulsyjny dreszcz. Po raz kolejny nabrzmiały żyły na jego skroniach, kiedy ze wszystkim sił mocował się z niewidzialnymi więzami, chcąc je zerwać za wszelką cenę.

– Nałóżcie mi zbroję i przywiążcie do siodła – wyszeptał. – Bez względu na wszystko poprowadzę armię do ataku!

Pallantides potrząsnął głową, ale jeden z giermków pociągnął go za koszulę.

– Mój panie, jeśli wojsko się dowie, że król został porażony, jesteśmy zgubieni! Tylko on może nas dziś poprowadzić do zwycięstwa!

– Pomóżcie mi przenieść go na posłanie – rozkazał generał.

Giermkowie natychmiast wykonali polecenie i położyli bezradnego giganta na skórach, okrywając jedwabną peleryną. Pallantides odwrócił się do pięciu giermków i długo patrzył w ich pobladłe twarze, zanim przemówił.

– To, co zdarzyło się w namiocie króla, pozostanie tylko między nami, a nasze usta będą o tym milczeć na wieki – oznajmił w końcu. – Od tego zależy los Akwilonii. Niech jeden z was pójdzie i sprowadzi tu oficera Valannusa, kapitana pellijskich włóczników.

Wskazany giermek skłonił się i wybiegł z namiotu, a Pallantides stał, patrząc na powalonego króla, podczas gdy na zewnątrz skąpane w promieniach jutrzeńki, grały trąbki, dudniły bębny i z każdą chwilą narastał gwar wojska. Wreszcie wrócił giermek z oficerem, którego wskazał Pallantides. Był to wysoki mężczyzna, niezwykle muskularny i wysoki, zbudowany bardzo podobnie do króla. Miał gęstą czarną czuprynę, ale zamiast błękitnych – szare oczy. Z twarzy nie przypominał Conana w ogóle.

– Król leży złożony dziwną chorobą – stwierdził krótko, po żołniersku Pallantides. – Przypadł ci w udziale wielki honor. Dziś założysz królewską

zbroję i poprowadzisz armię do ataku. Nikt nie może się dowiedzieć, że to nie król dosiada konia!

– Jest to honor, za który każdy mężczyzna oddałby swoje życie z radością – wyjąkał setnik przytłoczony propozycją. – Klnę się na Mitrę, że nie zawiodę tak wielkiego zaufania, jakim obdarzył mnie król!

I gdy bezsilny król spoglądał płonącymi oczami, w których odbijały się gorzki gniew i poniżenie zżerające mu serce, giermkowie rozebrali Valannusa z kolczugi, hełmu i nagolenników i odziali go w czarną płytową zbroję Conana oraz grzebieniasty hełm z przyłbicą, zwieńczony ciemnym pióropuszem. Na to wszystko narzucili jedwabną jakę z wyszytym złotem królewskim lwem na piersi i opasali go szerokim pasem ze złotą klamrą, który podtrzymywał szeroki miecz o wysadzanej klejnotami rękojeści, osadzony w pochwie ze złotogłowiu. Podczas gdy pracowali w pocie czoła, trąbki na zewnątrz ogłaszały zbiórkę, szczekała broń, zaś za rzeką z wolna narastał głuchy ryk, gdy szwadrony, jeden za drugim zajmowały odpowiednie pozycje.

W pełni opancerzony Valannus przyklęknął na kolanie i pochylił pióropusz przed leżącą na posłaniu postacią.

– Panie mój i królu, klnę się na Mitrę, że nie okryję hańbą zbroi, którą dziś noszę!

– Przynieś mi łeb Tarascusa, a uczynię cię baronem!

Pod presją bólu z Conana opadła cienka warstewka cywilizowanego człowieka. Jego oczy płonęły, a przez zaciśnięte zęby wręcz sączyła się dzika furia i pierwotna żądza krwi, bo teraz Conan nie był już królem Akwilonii, a nieokiełznaną bestią tak bardzo barbarzyńską, jak wszyscy mieszkańcy cymmeryjskich gór.

ROZDZIAŁ TRZECI

CHWIEJĄ SIĘ URWISKA

Armia akwilońska stała na pozycjach w długich, zwartych szeregach pikinierów i błyszczącej stałą ciężkozbrojną jazdą, kiedy z królewskiego namiotu wyłoniła się olbrzymia postać w czarnej zbroi. Gdy zwinnie i lekko wskoczyła na ogromnego czarnego bojowego rumaka przytrzymywanego z trudem przez czterech rosłych giermków, żołnierze ryknęli tak, że zadrżały pobliskie wzgórza. Potrząsali ostrzami i dzikim wrzaskiem wyrażali uznanie dla wojowniczego króla – okute w stal, zdobione złotem rycerstwo, pikinierzy w kolczugach i czepcach, łucznicy w skórzanych kaftanach z długimi łukami w lewej dłoni.

Po drugiej stronie doliny wroga armia była już w ruchu, przemieszczając się ku rzece w dół długiego, łagodnego stoku. Jej stal błyszczała w porannej mgłę, spowijającej kopyta ich koni.

Armia akwilońska ruszyła wolno, niemalże leniwie, na ich spotkanie. Miarowy stukot opancerzonych koni wprowadził ziemię w drżenie, a na porannym wietrze powiewały długie zwoje chorągwi. Kopie zafalowały jak las, to pochylając się, to opadając, a wokół nich załopotwały proporce.

Królewskiego namiotu strzegło dziesięciu uzbrojonych po zęby rycerzy, ponurych, małowównych weteranów, którzy umieli trzymać język za zębami. W namiocie przebywał jeden giermek, wyglądający co chwila przez szparę u wejścia. Poza garstką wtajemniczonych nikt z potężnej armii nie miał pojęcia, że to nie Conan dosiada wielkiego rumaka na czele wojska.

Armia akwilońska przyjęła swą klasyczną formację: najpotężniejsza grupa, składająca się wyłącznie z ciężkozbrojnych rycerzy, stanowiła środek zgrupowania, na flankach którego ustawiono lekkozbrojną jazdę, wspieraną przez pikinierów i łuczników. Ci ostatni byli Bossończykami z zachodnich marchii, muskularnie zbudowanymi mężczyznami średniego wzrostu w skórzanych kurtkach i żelaznych hełmach.

Armia nemedyjska ustawiła się w podobnym szyku i wrogie wojska ruszyły w kierunku rzeki; skrzydła wysunęły się przed środek. Pośrodku

armii akwilońskiej ponad głową okutej w stal gigantycznej postaci na czarnym rumaku powiewał olbrzymi sztandar z lwem.

W królewskim namiocie leżący na swym pościeli Conan jęczał, cierpiąc niewysłowione męki ducha i klął na potęgę dziwnymi, złowroźnie brzmiącymi pogańskimi przekleństwami.

– Armie ruszyły do ataku – rzekł obserwujący bój giermek stojący przy wejściu. – Słyszysz panie, grzmienie trąbek! Ha! Wschodzące słońce iskrzy na ostrzach kopii i stalowych zbrojach tak, że aż oślepiają. Sprawia, że rzeka mieni się szkarłatem... Tak, zanim ten dzień się skończy, woda spłynie prawdziwą purpurą! Nieprzyjaciel doszedł do rzeki. Teraz pomiędzy armiami śmigają strzały, niczym niosące śmierć chmury żelaznych grotów zakrywających słońce. Ha! Dobry strzał, łuczniku! Bossończycy strzelają celniej! Posłuchaj, panie, ich krzyku!

Do królewskich uszu doszedł ledwie przebijający się przez jazgot trąbek sygnałowych i brzęk stali wibrującej, wściekły wrzask Bossończyków, naciągających cięciwy i zwalnających je w doskonałej harmonii.

– Ich łucznicy usiłują osadzić naszych na pozycjach, podczas gdy ich rycerze wjeżdżają do rzeki – relacjonował giermek. – Brzegi nie są strome, schodzą łagodnym stokiem do wody. Rycerstwo prze naprzód, przedzierając się przez wierzby. Na Mitrę, strzały długie na łokieć znajdują każdą szczelinę w ich zbrojach! Padają ludzie i konie, miotając się szaleńczo w wodzie. Ta nie jest głęboka, nurt ma raczej powolny, lecz oni i tak w niej toną, ściągani na dno przez ciężkie zbroje i tratowani przez spanikowane konie. Teraz ruszyło nasze rycerstwo. Wjeżdża do wody i walczy z nemedyjskimi pancernymi. Woda wiruje wokół ich koni, a szcęk uderzających o siebie mieczy jest ogłuszający.

– Na Croma! – wykrzyknął z nie małym wysiłkiem Conan. Życie ospale wracało do jego żył, ale wciąż jeszcze nie mógł podnieść z podwyższenia swego potężnego ciała.

– Skrzydła się zwierają – ciągnął giermek. – Piechota walczy teraz wręcz w strumieniu, a z za ich pleców łucznicy szyją strzałami, salwa za salwą. Na Mitrę! Nemedyjscy kusznicy dostali tęgiego łupnia, a Bossończycy strzelają tak, żeby strzały wysokim łukiem opadały na tyły wrogich formacji. Nemedyjski środek stoi w miejscu, a ich skrzydła zostały wypchnięte ze strumienia.

– Na Croma, Ymira i Mitrę! – wściekał się Conan. – Na wszystkich bogów, demony, francę i cholere, gdybym tak tylko mógł brać udział

w bitwie, nawet jeśli miałbym paść od pierwszego ciosu!

Na zewnątrz bitwa trwała i szalała przez cały upalny, długi dzień. Dolina trzęsła się w od szarży, kontruderzeń, gwałtownych manewrów i sztuczek taktycznych; drżała od świstu strzał, huku pękających tarcz i rozlatujących się w drzazgi kopii. Armia akwilońska trzymała się dobrze. W pewnym momencie została zmuszona do odwrotu od brzegu, ale kontrnatarcie z czarną chorągwią powiewającą nad czarnym bojowym rumakiem pozwoliło na szybkie odzyskanie utraconego terenu. Trwali dzielnie i mężnie, utrzymując prawy brzeg rzeki jak żelazny wał kopii i mieczy, a w końcu giermek przekazał Conanowi wieść, że Nemedycyzy rozpoczynają odwrót znad rzeki.

– Ich skrzydła w rozsypce i pogrążone w chaosie! – krzyczał. – Nemedyjskie rycerstwo wycofuje się z boju. Ale, co to? Twoja chorągiew ruszyła! Na Mitrę! Valannus prowadzi wojsko przez rzekę!

– Co za kretyn! – jęknął Conan. – To może być podstęp! Powinien siedzieć na dupie i się nie ruszać, przecież o świcie nadciągnie Prospero z poitańskimi posiłkami.

– Rycerze wpadli w chmurę strzał! – wrzasnął giermek. – Dali radę i prą naprzód... Sforsowali rzekę! Szarżują w górę stoku. Pallantides rzucił skrzydła przez rzekę, aby ich wesprzeć! Tylko tyle może zrobić. Lwi sztandar łopoce, chwiejąc się ponad zgiełkiem. Rycerze Nemedii zaciekle się bronią. Hura, rozbici! Cofają się! Ich lewe skrzydło ucieka w panice, a nasi pikinierzy wyrzynają ich w biegu! Widzę Valannusa – pędzi na złamanie karku, rąbie, siecze, tnie jak szalony! Rozpaliła go żądza walki. Ludzie nie zważają już na Pallantidesa. Podążają za Valannusem, myśląc, że to Conan, bo jedzie z opuszczoną przyłbicą. Ale spójrz! W tym jego szaleństwie jest metoda! Okrąża szerokim łukiem nemedyjski front wraz z pięcioma tysiącami doborowej jazdy, najlepszą częścią naszej armii! Główne oddziały Nemedyczyków pogrążone w chaosie... i spójrz! Ich flankę chroni urwisko, ale zapomnieli o jednym z przesmyków! Wygląda jak wielka szczelina w skale, która wiedzie za linie Nemedyczyków. Na Mitrę, Valannus dostrzega to i wykorzystuje okazję! Prowadzi teraz rycerstwo w stronę przesmyku. Obchodzą szerokim łukiem główną bitwę. Masakrują włóczników, przechodzą przez ich szeregi jak przez masło i pędzą do przesmyku!

– To zasadzka! – wrzasnął Conan, usiłując pokonać słabość i usiąść prosto.

– Nie! – wykrzyknął podniecony relacją giermek. – Wszystkie nemedyjskie oddziały są jak na widelcu! Zapomnieli o przesmyku! Nie podejrzewali, że zepchniemy ich tak daleko. Och, głupi, głupi Tarascus, że popełnił tak oczywisty błąd! Ach, widzę nasze kopie i chorągwie wylewające się z drugiego wylotu wąwozu za liniami Nemedycyków. Rozniosą ich szeregi od tyłu, zmiażdżą ich... Na Mitrę, co to?

Giermek zachwiał się, kiedy ściany namiotu nagle zafalowały. Z daleka, ponad zgiełk bitwy, wzniósł się basowy, potężny, niewyobrażalnie złowrogi ryk.

– Urwiska się chwieją! – zajęczał piskliwie giermek. – Ach, bogowie, co to? Rzeka występuje z koryta, szczyty się wałają! Ziemia drży, a jeźdźcy w zbrojach padają wraz z końmi! Urwiska! Urwiska się wałają!

Słowa te zatoneły w miażdżącym łoskocie i grzmiących hukach, a ziemia zadrżała. Ponad ryk bitwy poniósł się wrzask szalonego przerażenia.

– Urwiska się zapadły! – wrzeszczał siny z przerażenia giermek. – Runęły w przesmyk i zmiażdżyły wszystkie żywe stworzenia! Widziałem, jak lwi sztandar chwieje się przez moment wśród pyłu i spadających kamieni i zaraz potem znika! Ha, Nemedycycy wrzeszczą triumfalnie! Mają prawo, bo zavalone urwiska zmiotły z powierzchni ziemi pięć tysięcy naszych najdzielniejszych rycerzy. Posłuchaj!

Do uszu Conana dobiegła potężna kaskada dźwięków, które wznosiły się i szaleńczo narastały.

– Król nie żyje! Król nie żyje! Uciekajcie! Uciekajcie! Król nie żyje!

– Kłamcy! – wydyszał Conan. – Podłe psy! Kanalie! Tchórze! Na Croma, gdybym tylko mógł wstać, choćby poczołgać się do rzeki z mieczem w ustach! I co, chłopcze, uciekają?

– Jeszcze jak! – zapłakał giermek. – Pędzą ku rzece. Są rozbici i gnają przed siebie jak wzburzona piana na grzbiecie morskiej fali. Widzę Pallantidesa, który usiłuje zastopować to szaleństwo. Padł! Tratują go konie! Wpadają do rzeki wszyscy: rycerze, łucznicy, pikinierzy... wszyscy pomieszani w jednym niepowstrzymanym strumieniu samodestrukcji. Nemedycycy depczą im po piętach, wycinając jak zboże.

– Ale stawia im jakiś opór po tej stronie rzeki! – krzyknął król. Z wysiłkiem, od którego zaperlił mu się pot na skroniach, uniósł się na łokciach.

– Nie! – krzyczał giermek. – Nie są w stanie! Są pokonani! Zmiażdżeni! Ach, bogowie, czemu dane mi było dożyć tego dnia! – Raptem

oprzytomniał i przypominając sobie o swych obowiązkach, przywołał chroniących króla rycerzy, którzy stali i beznamiętnie obserwowali ucieczkę swych towarzyszy. – Dajcie konia, prędko, i pomóżcie mi wsadzić na niego króla. Nie będziemy ryzykować, zostając tutaj!

Nie zdążyli wypełnić rozkazu, bo przez obóz przewalała się już pierwsza fala burzy. Rycerze, włócznicy i łucznicy uciekali między namiotami, potykając się o liny i tobołki, a tuż za nimi pędzili nemedyjscy jeźdźcy, siekając na prawo i lewo wszystkie obce sobie postaci. Podcięto odciąg, ogień wybuchł w stu miejscach na raz i rozpoczęło się plądrowanie. Posępni strażnicy przy namiocie Conana polegli, trwając na swoich posterunkach, tnąc i siekając, a po ich zmasakrowanych zwłokach przetoczyły się kopyta zwycięzców.

Giermek jednak zasunął szczelnie połę namiotu, dzięki temu w chaosie tej szaleńczej rzezi nikt nie zdawał sobie sprawy, że w bogato zdobionym namiocie przebywają jacyś ludzie, tak więc ucieczka i pogoń przelały się przez obozowisko i z dzikim rykiem popędziły dalej doliną. Giermek wyjrzał płochliwie przez połę namiotu i ujrzał grupę mężczyzn zbliżającą się do królewskiego namiotu w wiadomym celu.

– Nadchodzi tu król Nemedii z czterema towarzyszami i swoim giermkim – oświadczył. – Przyjmie twą kapitulację, mój panie...

– Poddaj im serce demona! – wycedził przez zaciśnięte zęby król.

Zmusił się do tego, by usiąść prosto. Z bólem zsunął nogi z podwyższenia i zachwiał się na nogach jak pijany. Giermek podbiegł, by mu pomóc, ale Conan go odepchnął.

– Daj mi ten łuk – warknął, wskazując na długi łuk i kołczan, które wisały na maszcie namiotu.

– Ależ wasza wysokość! – wykrzyknął zdziwiony giermek. – Bitwa jest przegrana! Król musi z godnością przyjąć porażkę, nie może skalać królewskiej krwi!

– We mnie nie płynie, do ciężkiej cholery, ani jedna kropla królewskiej krwi – przypomniał mu Conan. – Jestem barbarzyńcą i synem kowala.

Wyszarpał giermkowi łuk i strzały i podszedł na chwiejnych nogach do wejścia do namiotu. Wyglądał tak przerażająco, że gigantyczne muskularne ciało odziane jedynie w krótkie skórzane spodnie i koszulę bez rękawów, odsłaniającą wielką, owłosioną pierś i potężne członki oraz niebieskie oczy, błyszczące złowrogo spod zmierzwionej czarnej czupryny, sprawiły, iż

giermek skulił się, bardziej bojąc się swego króla niż całej nemedyskiej armii.

Słaniając się na szeroko rozstawionych nogach, Conan zdarł połę wejścia i wytoczył się pod osłaniający je od słońca baldachim. Król Nemedii i jego towarzysze zsiadli już z koni i stanęli jak wryci, patrząc z niedowierzeniem na stojącą przed nimi zjawę.

– Tu jestem, obrzygane hieny! – ryknął Cymmeryjczyk. – To ja jestem królem! Śmierć wam, śmierzące wieprze!

Nagle napiął strzałę aż po grot i strzelił, a zabójczy pocisk utkwiał w piersi rycerza, który stał obok Tarascusa. Conan cisnął łukiem w króla Nemedii.

– Przekłęte drzenie dłoni! No dalej, śmiało, chodźcie tu, jeśli macie jaja między nogami!

Zachwiał się w tył na niepewnych nogach, Conan oparł plecy o któryś z masztów namiotu i wspierając się nim, wyprostował się, jednocześnie unosząc oburącz swój wielki miecz.

– Na Mitrę, to jest król! – zaklął Tarascus. Rozejrzał się wokół siebie i wybuchnął ponurym śmiechem. – Tamten był tylko szakalem w zbroi króla. Do roboty, zawszawione kundle! Przynieście mi jego głowę!

Trzech uzbrojonych żołnierzy z emblematami straży królewskiej ruszyło na króla. Jeden z nich z miejsca powalił giermka ciosem maczugi. Pozostałym dwóm nie powiodło się już tak dobrze. Kiedy pierwszy zaatakował, Conan brutalnie ciął na odlew, a potwornie silny cios rozciął kolczugę jak łańchman, odrąbując od ciała Nemedycyka rękę i bark. Padające w tył ciało runęło pod nogi jego towarzysza. Ten zdążył przekroczyć trupa i potknął się, a zanim odzyskał równowagę, przeszył go wielki miecz.

Conan wyciągnął miecz, głośno przy tym sapiąc z bólu i ledwie stojąc na nogach cofnął się, opierając z powrotem o maszt. Jego potężne członki drżały, pierś unosiła się ciężko, pot ciekł po twarzy i szyi. Ale jego oczy płonęły pełną podniecenia dzikością, kiedy wydyszał:

– I czemu stoisz tak daleko ode mnie, kundlu z Belverusu? Tam cię nie sięgnę, więc zabieraj dupę w troki i podejdź tu! A potem zgiń!

Tarascus się zawahał, spojrzął na pozostałego przy życiu rycerza i na swojego giermka – chudego, posępnego mężczyznę w czarnej kolczudze, i zrobił krok do przodu. Przy potężnym Cymmeryjczykowi wyglądał jak szmaciana lalka – ustępował mu zarówno pod względem gabarytów, jak

i siły, jednak miał na sobie pełną zbroję, a ponadto uchodził wśród wszystkich narodów Zachodu za wybornego fechmistrza.

Giermek powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Nie, wasza wysokość, nie marnuj życia bez sensu! Zawołam łuczników, aby zastrzelili tego barbarzyńcę, tak jak zabija się lwy.

Nikt z nich nie zauważył, że podczas walki do namiotu zbliżał się rydwan, który teraz dojechał na miejsce i zatrzymał się przy nich, lecz Conan, zerkając ponad ich ramionami, zobaczył go od razu i po plecach przeszedł mu dziwny chłód. Już w samym wyglądzie karych rumaków, ciągnących pojazd, było coś nienaturalnego, ale uwagę króla przykuł pasażer rydwanu.

Był to człowiek wysoki, nadzwyczaj dobrze zbudowany, ubrany w długą, jedwabną szatę bez żadnych ozdób. Nosił shemickie nakrycie głowy, którego dolna część prawie zupełnie zakrywała twarz oprócz ciemnych, magnetycznych oczu. Ręce, które trzymały lejce i wstrzymywały konie na zadach, były białe, lecz silne. Conan przewiercał gniewnym spojrzeniem nieznanego, a jego pierwotny barbarzyński instynkt w jednej chwili ożył. Wyczuwał aurę zagrożenia i mocy emanującą z tej zakrytej postaci, groźby tak realnej jak falowanie traw, znaczące przy bezwietrznej pogodzie ścieżkę pełzającego węża.

– Bądź pozdrowiony, Xaltotunie! – wykrzyknął Tarascus. – Oto król Akwilonii. Nie zginął w naszej zasadzce, jak myśleliśmy.

– Wiem – odparł jego rozmówca, nie troszcząc się o to, by wytłumaczyć, skąd to wiedział. – Co zamierzacie teraz zrobić?

– Rozkażę łucznikom, żeby go zabili – odparł Nemedyczyk. – Dopóki żyje, będzie dla nas zagrożeniem.

– Tarascusie, zapamiętaj, że nawet bezpański kundel może być użyteczny – odparł Xaltotun. – Weźcie go żywcem.

Conan roześmiał się szorstko.

– Tylko podejdź i spróbuj! – rzekł wyzywająco. – Gdyby nie moje zdradzieckie nogi, ściąłbym cię z tego rydwanu, jak drwał ścina drzewo. Nigdy nie pojmiecie mnie żywcem, wy zasrane psy!

– Obawiam się, że on mówi prawdę – stwierdził Tarascus. – Ten człowiek jest barbarzyńcą i jest tak kurewsko zajadły, jak ranny tygrys. Pozwól, wezwę łuczników.

– Patrz i ucz się – poradził mu Xaltotun.

Jego dłoń zanurzyła się pod szatę, a gdy ją wyciągnął, jaśniała w niej dziwna, lśniąca kula. Rzucił nią nagle w Conana. Cymmeryjczyk pogardliwie odtrącił ją na bok swym mieczem. W momencie kontaktu nastąpiła nagła eksplozja – błysk białego, oślepiającego światła – i Conan runął bez zmysłów na ziemię.

– Nie żyje? – Tarascus bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Nie. Jest nieprzytomny. Świadomość mu wróci za kilka godzin. Każ swoim żołnierzom związać jego ręce i nogi i przenieście go do mojego rydwanu.

Tarascus gestem wskazał swym ludziom, co mają robić, a oni dźwignęli potężne ciało i z niemałym trudem złożyli w rydwanie. Xaltotun zarzucił na ciało Conana aksamitny płaszcz, zasłaniając go zupełnie przed ciekawskimi spojrzeniami. Zebrał lejce w dłoniach.

– Ruszam do Belverus – rzekł. – Powiedz Amalrykowi, że gdyby mnie potrzebował natychmiast do niego dołączę. Myślę jednak, że teraz, gdy Conan już nie jest zawadą, a jego armia została rozbita, do podboju Akwilonii wystarczy ogień i miecz. Prospero na pewno nie wystawi więcej niż dziesięć tysięcy ludzi, a gdy usłyszy o przegranej bitwie, pewnie ucieknie do Tarantii. Nie mów o naszym jeńcu nikomu, a już na pewno Amalrykowi i Valeriusowi. Niech myślą, że Conan zginął pod zwałowiskiem w przesmyku.

Przez długi czas przyglądał się gwardzistom, aż jeden z nich drgnął niespokojnie, speszony wzrokiem maga.

– Co tam masz zawiązane wokół talii? – spytał Xaltotun.

– To... to jest mój pas, skoro pytasz, mój panie! – wyjąkał zdumiony gwardzista.

– Kłamiesz! – Śmiech Xaltotuna był bezlitosny jak ostrze miecza. – To jadowity wąż! Jesteś głupi, że nosisz gada wokół talii.

Gwardzista spojrział w dół rozszerzonymi oczami. Ku swemu przerażeniu zobaczył, że klamra jego pasa unosi się ku jego twarzy. To była głowa węża! Dostrzegł złe oczy i ociekające jadem kły, usłyszał syk i poczuł na ciele obrzydliwy dotyk gada. Wrzasnął zdjęty przerażeniem i uderzył węża gołą dłonią. Natychmiast poczuł jak jego kły wpijają się w dłoń i... nagle zeszytywniał i runął bezwładnie na ziemię. Tarascus spojrział na niego z obojętnością. Widział tylko skórzany pas i klamrę, której ostry jęczyczek wbił się w dłoń gwardzisty. Xaltotun skierował swój hipnotyczny wzrok na

giermka Tarascusa, a ten pobladł na twarzy i zaczął się trząść, ale król zainterweniował.

– Nie, jemu możemy ufać.

– Zrób wszystko, co w twojej mocy, by nasza zdobycz pozostała sekretem. Jeśli będziesz mnie potrzebować, każ Altaro, słudze Orastesa, wezwać mnie tak, jak go nauczyłem. Będę w twoim pałacu w Belverus.

Tarascus uniósł dłoń w pozdrowieniu, ale wyraz jego twarzy wcale nie był przyjemny, kiedy spoglądał za odjeżdżającym magiem.

– Po jakie лихо oszczędził Cymmeryjczyka? – wyszeptał przestraszony giermek.

– Sam się nad tym zastanawiam – burknął Tarascus.

Za turkoczącym rydwanem powoli zanikał ryk bitwy i pościgu. Zachodzące słońce spowiło urwiska szkarłatną poświatą, a rydwan pędził w stronę przepastnych, błękitnych cieni, nadpływających ze wschodu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

„Z JAKIEGO ŻEŚ WYLAZŁ PIEKŁA?”

Conan nigdy nie dowiedział się, co wydarzyło się podczas długiej jazdy w rydwanie Xaltotuna. Leżał jak trup, podczas gdy spiżowe koła brzęczały na kamieniach górskich dróg i szlaków, szeleściły w głębokich trawach żyznych dolin, by w końcu zjechać z poszarpanych wzgórz i zadudnić rytmicznie na szerokiej, białej drodze, która wiła się poprzez zielone łąki prosto do murów Belverus.

Tuż przed zmrokiem odczuł niemrawy dotyk powracającego życia. Usłyszał pomruk głosów i jęk potężnych zawiasów. Przez szparę w okrywającym go płaszczu ujrzał nie tylko wielkie czarne sklepienie bramy, niewyraźnie rysujące się w słabym świetle pochodni, ale też brodate twarze uzbrojonych mężczyzn, w których hełmach i grotach włóczni odbijały się żagwie pochodni.

– Jak poszła bitwa, mój panie? – spytał jakiś gorliwy głos po nemedyjsku.

– Naprawdę dobrze. – Padła lakoniczna odpowiedź. – Król Akwilonii nie żyje, a jego świetna armia została pokonana.

Rósł gwar podnieconych głosów, w następnej chwili zagłuszony turkotem kół rydwanu na kamiennych płytach. Spod kręcących się obręczy strzelały iskry, kiedy Xaltotun, smagając batem swe rumaki, przejeżdżał pod bramą. Conan usłyszał, jak jeden z gwardzistów mamrocze: „Z granicy Nemedii do Belverus w jedną noc? A konie prawie nie zajeżdżone... Na Mitrę, one...”. Potem głos rozplynął się w ciszy i na ulicy słychać było już tylko stukot podków i turkot kół.

Conan, co prawda wszystko słyszał, ale nic mu to nie mówiło. Przypominał bezmyślną i bezradną kukłę, który słyszy i widzi, ale nic nie rozumie. Widoki i dźwięki przesuwają się przed nim bez znaczenia. Zapadł ponownie w ciężki letarg i był tylko ledwo świadomy tego, że rydwan zatrzymał się na ciemnym dziedzińcu, otoczonym wysokim murem. Z rydwanu podźwignęło go wiele rąk, a potem niosło po krętych kamiennych schodach, a następnie długim, tonącym w mrocznych cieniach

korytarzem. Szepty, ciche kroki, oderwane dźwięki, napływały falami, wirując wokół niego – nic nieznaczące i odległe.

Jednak jego całkowite oprzytomnienie było nagłe i brutalne. Doskonale pamiętał bitwę na wzgórzach i jej konsekwencje, a do tego, do pewnego stopnia był świadomy, gdzie się znajduje.

Leżał na aksamitnym łożu, odziany tak, jak poprzedniego dnia, ale jego kończyny krępowały potężne łańcuchy, których nawet on nie byłby w stanie zerwać. Komnatę, w której przebywał, urządzono z ponurym przepychem, ściany pokrywały czarne, aksamitne gobeliny, a posadzkę okazałe, purpurowe dywany. Nie wypatrzył ani drzwi, ani okien. Z bogato rzeźbionego sufitu zwisała tylko jedna, fantasmagorycznie rzeźbiona złota lampa, rzucająca wokół mdłe i rozproszone światło.

W tym świetle, postać siedząca przed nim na srebrnym, podobnym do tronu krześle, wydawała się nierzeczywista i fantastyczna, a ten fakt podkreślała jeszcze dodatkowo przezroczysta, jedwabna szata. Rysy twarzy miała jednak wyraźne i w tym mglistym świetle – nieco nienaturalne. Było tak, jakby osobliwy nimb krążył wokół głowy mężczyzny, rzeźbiąc brodatą twarz w osobliwy relief, czyniąc z niej jedyny wyraźny i realny jednocześnie element w tej tajemniczej, upiornej komnacie.

Twarz ta była po prostu wspaniała, emanując szlachetnymi rysami, skąpanymi w blasku klasycznego piękna. W jej spokojnym wyrazie było coś doprawdy przerażającego, jakaś zapowiedź czegoś zdecydowanie potężniejszego od ludzkiej wiedzy, a już na pewno głębszej, nieludzkiej wręcz pewności siebie. Conana tknęło niepokojące przeczucie, że miał z nią już do czynienia. Nigdy wcześniej nie widział twarzy tego mężczyzny, tego był pewien, a jednak rysy jego twarzy uporczywie przypominały mu coś lub kogoś. Było to jak spotkanie w fizycznej formie ucieleśnionego obrazu, nawiedzającego śniącego w najgorszych koszmarach.

– Kim jesteś? – spytał wojowniczo król, usiłując usiąść prosto mimo krępujących go łańcuchów.

– Ludzie nazywają mnie Xaltotunem. – Zabrzmiała odpowiedź, udzielona pięknym, melodyjnym głosem.

– Co to za miejsce? – zapytał następnie Cymmeryjczyk.

– To komnata w pałacu króla Tarascusa w Belverus.

Conan nie był zaskoczony. Belverus, stolica, było największym miastem nemedyjskim w pobliżu granicy.

– A gdzie jest Tarascus?

– Ze swoją armią.

– Dobra – warknął Conan. – Skoro zamierzasz mnie zamordować, dlaczego nie zrobisz tego, żebyśmy obydwaj mieli to już z głowy?

– Nie ocaliłem cię przed łucznikami króla, aby tak po prostu zabić cię w Belverus – odparł Xaltotun.

– Gadaj, co mi zrobiłeś? – dopytywał Conan.

– Sparaliżowałem twoją świadomość – odpowiedział Xaltotun. – Głupi jesteś, to i nie zrozumiesz, jak tego dokonałem. Jeśli chcesz, nazwij to czarną magią.

Conan doszedł do tego wniosku wcześniej, a teraz rozmyślał nad czymś jeszcze.

– Myślę, że wiem, czemu oszczędziłeś mi życie – zadudnił basowo. – Amalryk chce zatrzymać mnie jako źródło potencjalnego szantażu na Valeriusie, w razie gdyby stało się coś niezwykłego i ten został królem Akwilonii. Wszyscy wiedzą, że to baron Tor wymyślił osadzenie Valeriusa na moim tronie. A o ile znam Amalryka, a znam go dobrze, nie ma zamiaru pozwolić, by Valerius był czymś więcej niż tylko bezwolnym pionkiem, takim, jak obecnie jest Tarascus.

– Amalryk nie ma pojęcia o twoim pojmaniu – odparł Xaltotun. – Valerius zresztą też nie. Obaj myślą, że zginąłeś nad Valkią.

Oczy Conana zwężyły się, gdy spojrzał na maga.

– Wyczuwałem za tym wszystkim jakiś umysł – wymamrotał. – Ale myślałem, że to Amalryk. Czy Amalryk, Tarascus i Valerius są niczym więcej jak kukłami tańczącymi, gdy pociągasz za sznurki? Kim ty, do cholery, jesteś?

– A jakie to ma znaczenie? Gdybym ci powiedział, i tak byś mi nie uwierzył. A co, gdybym obiecał, że z powrotem mogę usadzić cię na tronie Akwilonii?

Świdrujące spojrzenie Conana, którym przeszywał maga, płonęło jak oczy wilka.

– Jaka jest twoja cena?

– Posłuszeństwo wobec mnie.

– Wal się, kutafonie! – Conan wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu. – Nie jestem jakąś tam kukielką! Zdobyłem koronę własnym mieczem. Inna sprawa, że chyba nieco za szybko zacząłeś handlować tronem Akwilonii, bo królestwo nie zostało jeszcze podbite, a jedna przegrana bitwa nie oznacza przegranej wojny.

– Walczysz przeciw czemuś więcej niż miecze – rzekł Xaltotun. – Czy to miecz śmiertelnika powalił cię w twoim namiocie w noc przed bitwą? Nie, było to dziecko ciemności, bękart z zewnętrznej przestrzeni, którego palce płonęły zabójczym chłodem czarnych otchłani, który zmroził ci krew w żyłach i szpik w kościach, a był on tak zimny, że poparzyło twoją ogorzałą od słońca skórę jak rozgrzane do białości żelazo! Czy to przypadek poprowadził mężczyznę w twojej zbroi w stronę przesmyku? A może też przypadek sprawił, że urwiska osunęły się na nich?

Conan patrzył w gniewnym milczeniu, czując przebiegający mu po plecach zimny dreszcz. Magowie i czarnoksiężnicy niejednokrotnie zajmowali poczesne miejsce w cymmeryjskiej mitologii i każdy głupek mógł stwierdzić, że ten mężczyzna na pewno nie jest zwykłym człowiekiem. Conan wyczuł w nim coś niewytłumaczalnego, coś uwypuklającego ową niezwykłość – obcą aurę Czasu i Przestrzeni, i to dojmujące wrażenie niepojętej i złowróżbnej pradawności. Ale Conan był uparty jak osioł i jego dusza za nic w świecie nie chciała się poddać tym uczuciom.

– Gadanie... – mruknął zadziornie. – Osunięcie się urwisk było przypadkiem, a szarża przez przesmyk naturalnym wyborem strategicznym i każdy wódz tak by postąpił.

– Wiesz, że kłamiesz. Ty nie poprowadziłbyś ataku przez przesmyk, bo zwietrzyłbyś zasadzkę, a już na pewno nie sforsowałbyś rzeki, póki nie miałbyś pewności, że paniczna ucieczka Nemedyczyków jest prawdziwa. Nawet w szaleństwie bitwy hipnotyczne sugestie nie miałyby na ciebie wpływu i pewnie byś nie oszalał, żeby ruszyć na oślep w zastawioną przeze mnie pułapkę, jak to zrobił ten pospolity człowiek, który paradował, udając ciebie.

– Jeśli zatem to wszystko zostało zaplanowane – warknął sceptycznie Conan – i jeśli to wszystko było spiskiem, który miał złapać w pułapkę moją armię, dlaczego to „dziecię ciemności” nie zabiło mnie w namiocie?

– Ponieważ chciałem pojmać cię żywcem. Przewidzenie tego, że Pallantides wyśle innego człowieka w twojej zbroi, nie wymagało czarów. Chciałem cię żywego i nienaruszonego. Możesz się przydać w mojej grze. Ty wręcz na każdym kroku rzygasz wigorem i życiową siłą, potężniejszymi od chytrłości i przebiegłości moich sojuszników. Nie jest dobrze mieć w tobie wroga, ale możesz być wspaniałym niewolnikiem.

Conan splunął dziko na te słowa, a Xaltotun, ignorując jego furję, wziął z pobliskiego stołu kryształową kulę i umieścił ją sobie przed oczami. Nie podtrzymywał jej w żaden sposób, ani nie postawił jej na czymś; kula zawisała nieruchomo w powietrzu, równie stabilna, jak gdyby spoczywała na żelaznym podwyższeniu. Conan prychnął drwiąco na ten drobny pokaz nekromancji, choć tak naprawdę był pod jej wrażeniem.

– Chciałbyś wiedzieć, co dzieje się w Akwilonii? – spytał Xaltotun.

Conan milczał, ale nagła sztywność jego ciała zdradzała zainteresowanie.

Xaltotun zanurkował spojrzaniem w chmurne głębie i zaczął relacjonować:

– Zapada teraz zmierzch po bitwie nad Valkią. Poprzedniej nocy główny trzon armii obozował jeszcze nad rzeką, podczas gdy szwadrony rycerzy dobijały uciekających Akwilończyków. O świcie wojska zwinęły obóz i ruszyły przez góry prosto na zachód. Prospero wraz z dziesięcioma tysiącami Poitańczyków znajdował się o mile od pola bitwy, kiedy wczesnym świtem napotkał uciekających niedobitków. Jechał całą noc, mając nadzieję, że dotrze na miejsce, zanim dojdzie do bitwy. Nie mógł jednak opanować rozbitych oddziałów, dlatego zarządził strategiczny odwrót do Tarantii. Z powodu forsownej jazdy, musi wymieniać zajężdżone bojowe rumaki na przechwycone w okolicy zwykłe konie. Widzę jego zmęczonych rycerzy o zbrojach lepkich od kurzu, jak pędzą przez równinę na wykończonych koniach ze smętnie zwisającymi sztandarami. Widzę także ulice Tarantii. W mieście panuje chaos. W jakiś sposób ludzie dowiedzieli się o klęsce i śmierci króla Conana. Motłoch oszalał ze strachu, krzyczy, że król nie żyje i nie ma nikogo, kto powiódłby ich przeciw Nemedyczykom. Wielki, wspaniały mrok powoli nadciąga nad Akwilonię ze wschodu, a niebo jest czarne od sępów.

Conan zaklął siarczyście.

– Pieprzysz jak potłuczony! To tylko słowa, słowa, słowa... Nawet najbardziej obszarpany żebrak na ulicy mógłby powiedzieć to samo. Jeśli chcesz mi wmówić, że zobaczyłeś to wszystko w tej dyndającej przed tobą szklanej kuli, to jesteś kłamcą i zwykłym skurwysynem, przy czym to ostatnie nie ulega żadnym wątpliwościom! Prospero utrzyma Tarantię, a baronowie przyłączą się do niego. Hrabia Trocero z Poitanii zarządza królestwem pod moją nieobecność i przepędzi te nemedyjskie kundły z powrotem do cuchnącej szczylni budy. Pięćdziesiąt tysięcy Nemedyczyków, a cóż to za siła? Akwilonia ich połknie, beknie, a ci idioci

już nigdy więcej nie zobaczą Belverus. To nie Akwilonia została pokonana nad Valkią, tylko Conan.

– Akwilonia jest skazana na klęskę – odparł niewzruszony Xaltotun. – Podbiją ją kopie, topory i pochodnie, a jeśli zawiodą, pomaszerują na nią moce z mrocznych wieków. Podobnie jak urwiska zwały się nad Valkią, tak padną mury miast i góry, jeśli zajdzie taka potrzeba, a rzeki wystąpią z brzegów i zaleją całe prowincje. Lepiej jednak będzie, jeśli wystarczą stal i łuki, bez dodatkowej pomocy magii, gdyż ciągłe używanie potężnych zaklęć pobudza czasami moce, od których może zatrząść się cały wszechświat.

– Z jakiego żeś wylazł piekła, ponury i zawszawiony kundlu? – wymamrotał Conan, patrząc na maga. Cymmeryjczyk zadrżał mimowolnie. Wyczuwał w rozmówcy coś niesamowicie pierwotnego i złego.

Xaltotun uniósł głowę, jak gdyby przysłuchując się szeptom gdzieś w próżni. Wydawało się, że zapomniał o swoim więźniu. Nagle potrząsnął niecierpliwie głową i spojrzał na Conana beznamiętnym wzrokiem.

– Co?... Gdybym ci powiedział, nie uwierzyłybyś. Ale nuży mnie już rozmowa z tobą. Mniej męczy mnie niszczenie murów miast, niż ubieranie myśli w słowa, które będzie mógł pojąć bezmózgi barbarzyńca.

– Gdybym miał wolne ręce – rzekł Conan – prędko zrobiłbym z ciebie bezmózgiego trupa.

– W to akurat nie wątpię, gdybym był tak głupi, by dać ci tę możliwość – odparł Xaltotun, klaszcząc w dłonie.

Jego zachowanie zmieniło się, w głosie wyraźnie było słychać zniecierpliwienie, a w ruchach – jakąś nerwowość. Conan nie sądził jednak, by to zachowanie dotyczyło w jakikolwiek sposób jego osoby.

– Zastanów się nad tym, co ci powiedziałem – rzekł Xaltotun. – Będziesz miał tu mnóstwo rozrywek. Nie zdecydowałem ostatecznie, co z tobą zrobię. Zależy to od wydarzeń, które jeszcze nie zaszły. Pamiętaj jednak, że jeśli zdecyduję się użyć cię w mej grze, lepiej dla ciebie będzie przyjąć wszystko bez oporu, niż cierpieć skutki mego gniewu.

Conan obrzucił go przekleństwami dokładnie w momencie, gdy rozsunęły się kotary ukrytych drzwi i do środka weszło czterech czarnoskórych olbrzymów. Byli odziani jedynie w przepaski na biodrach, podtrzymywane przez pasy, przy których wisały wielkie klucze.

Xaltotun wskazał im z niecierpliwością króla i odwrócił się, jak gdyby przestając przejmować się całą sprawą. Jego dłonie drgały dziwnie. Wziął

garść błyszczącego, czarnego proszku z rzeźbionego puzderka z zielonego jadeitu i umieścił go w piecyku, który stał na złotym trójnogu na wysokości jego łokcia. Kryształowa kula, o której zdawał się nie pamiętać, upadła nagle na podłogę, jak gdyby usunięto niewidzialną podpórkę.

Potem czarnoskórzy słudzy unieśli Conana, gdyż był tak spętany łańcuchami, że nie mógł iść, i wynieśli go z komnaty. Zanim ciężkie, okute złotem drzwi z drzewa tekowego zamknęły się za nimi, rzut oka za siebie ukazał Conanowi Xaltotuna rozciągającego się na swym podobnym do tronu krześle ze skrzyżowanymi ramionami, podczas gdy z piecyka unosiła się cienka smuga dymu. Conanowi włosy stanęły dęba. Widział już wcześniej ten czarny pył w Stygii, pradawnym i złym królestwie rozciągającym się daleko na południu. Był to pyłek czarnego lotosu, który sprowadza podobny do śmierci sen i potworne koszmary. Wiedział też, że tylko upiorni czarnoksiężnicy z Czarnego Kręgu, tego legendarnego ośrodka czystego zła, dobrowolnie szukali szkarłatnych koszmarów czarnego lotosu, który ożywia ich nekromanckie siły. Czarny Krąg był dla większości ludów zachodniego świata bajką i oszustwem, ale Conan znał jego upiorną rzeczywistość, a także ponurych adeptów, którzy praktykują swe ohydne sztuki wśród czarnych sklepień Stygii i pod nocnymi kopułami przekłętej Sabatei. Ponownie spojrzął na zagadkowe, okute złotem drzwi, wzdygając się na myśl, co się za nimi kryło.

Nie wiedział, czy był dzień, czy noc. Pałac króla Tarascusa okazał się cienistym, mrocznym miejscem, w którym brakowało naturalnego światła. Unosiły się nad nim duchy ciemności i cienia, a jeden z nich, jak czuł Conan, wcielił się w dziwnego Xaltotuna. Czarnoskórzy nieśli króla wzdłuż krętego korytarza oświetlonego tak nędznie, że przypominali czarne zjawy, unoszące ze sobą martwego mężczyznę. Zeszli po kamiennych schodach, które wiły się bez końca. Pochodnia w ręce jednego z nich rzucała na ścianę zdeformowane cienie. Przypominało to zejście do piekieł ciała niesionego przez mroczne demony.

W końcu dotarli do stóp schodów i przemierzili długi korytarz. Po jednej stronie znajdowała się gładka ściana, w której z rzadka przebito sklepione przejścia z prowadzącymi w górę schodami, a po drugiej następna ściana ukazywała ciężkie, zakratowane drzwi umieszczone od siebie w regularnych odstępach.

Zatrzymując się przed takimi drzwiami, jeden z czarnoskórych ujął wiszący u pasa klucz i przekręcił go w zamku. Potem, rozwierając kraty,

weszli do środka wraz ze swym jeńcem. Znajdowali się w małym lochu o grubych, kamiennych ścianach, podłodze i suficie; na drugim końcu widniały kolejne zakratowane drzwi. Conan nie był w stanie stwierdzić, co leżało po drugiej stronie tych drzwi, ale nie sądził, by był to kolejny korytarz. Błyszczące światło pochodni, mrugające zza krat, wskazywało na cienistą przestrzeń i rozbrzmiewające echem głębie.

W jednym kącie lochu, nieopodal drzwi przez które weszli, leżał pęk zardzewiałych łańcuchów, przyczepionych do wielkiej, wtopionej w kamień żelaznej obręczy. W łańcuchach tkwił szkielet. Conan spojrzał na niego z pewnym zainteresowaniem, zauważając stan nagich kości, w znacznej części połamanych i popękanych. Czaszka, która odpadła z kręgosłupa, była zmiażdżona, jak gdyby od dzikiego ciosu o straszliwej sile.

Jeden z czarnoskórych, nie ten, który otworzył drzwi, obojętnie usunął kajdany z obręczy, otwierając masywny zamek swoim kluczem, i odgarnął na bok stertę pordzewiałych łańcuchów i połamanych kości. Potem przypięli tam łańcuchy pętające Conana, a trzeci czarnoskóry przekręcił swój klucz w dalszych drzwiach, warcząc przy upewnianiu się, że były właściwie zamknięte. Potem hebanowe olbrzymy o zwężonych oczach spojrzały zagadkowo na Conana. Od światła pochodni lśniła ich skóra.

Ten, który trzymał klucz do najbliższych drzwi, czuł się w obowiązku zauważyć gardłowym tonem:

– Od tej pory to twój pałac, biały psi królu! Wiemy o tobie tylko mistrz i my. Cały pałac śpi. My dotrzemy sekretu. Będziesz tu żył, a może i przyjdzie ci tu umrzeć. Jak jemu! – Pogardliwie kopnął połamaną czaszkę, posyłając ją z klekotem po kamiennej podłodze.

Conan nie zniżył się do odpowiedzi na zaczepki i czarnoskóry, rozjuszony być może milczeniem swego więźnia, wymamrotał przekleństwo, pochylił się i splunął królowi prosto w twarz. Było to nieroztropne posunięcie z jego strony. Conan siedział na podłodze z łańcuchami krępującymi go w pasie. Jego kostki i nadgarstki były przyczepione do obręczy w ścianie. Nie mógł się podnieść ani ruszyć nawet o krok od ściany, jednak łańcuch spinający oba nadgarstki był całkiem luźny i zanim kulista głowa znalazła się poza jego zasięgiem, król zebrał ów luz w jedną garść i zdzielił czarnoskórego w głowę. Mężczyzna padł jak zarżnięty wół, a jego towarzysze spojrzeli na niego, leżącego z rozbitą głową i krwawiącego z nosa oraz uszu.

Nie poważyli się jednak na żadną zemstę, nie przyjęli też gorącego zaproszenia Conana do podejścia w zasięg skrwawionego łańcucha znajdującego się w jego dłoni. W końcu, pomrukując między sobą w swym małym języku, podnieśli nieprzytomnego kompana, i z wiszącymi bezwładnie rękoma i nogami wynieśli z celi jak worek zboża. Użyli jego klucza do zamknięcia za sobą drzwi, ale nie zdjęli go ze złotego łańcucha, który był przypięty do jego pasa. Zabrali ze sobą pochodnię, a kiedy ruszyli w górę korytarza, ciemność pomknęła za nimi jak żywe stworzenie. Lekki tupot ich kroków zamarł w oddali, podobnie jak światło pochodni. Nikt już nie zakłócał ciszy i ciemności.

ROZDZIAŁ PIĄTY

GROZA W KAZAMATACH

Conan leżał spokojnie, znosząc ciężar łańcuchów i desperackie położenie ze stoicyzmem, którego nauczyły go barbarzyńskie warunki życia. Nie ruszał się, gdyż brzęk jego łańcuchów, kiedy przesuwiał ciało, brzmiał dziwnie głośno w tej ciemności i ciszy. Instynkt odziedziczony po tysiącach wychowanych w dziczy przodków kazał mu nie zdradzać bezradności w położeniu, w jakim się znajdował. Nie był to efekt logicznego rozumowania; nie leżał cicho, bo doszedł do wniosku, że w ciemności kryły się przyczajone niebezpieczeństwa, które mogą wykorzystać jego położenie. Xaltotun zapewnił go, że nie stanie mu się krzywda, a Conan domyślał się, że w interesie mężczyzny leżało utrzymanie go przy życiu, przynajmniej w tym momencie. Ale instynkt dziczy robił swoje; były to te same przeczucia, które kazały mu w dzieciństwie leżeć w ukryciu i ciszy, podczas gdy wokół jego kryjówek roiło się od dzikich bestii.

Nawet jego bystre oczy nie mogły przebić się przez solidną ciemność. Po upływie jakiego czasu, którego nie miał jak oszacować, pojawił się przed nim daleki odblask, coś podobnego do pochylego, szarego promienia, dzięki czemu Conan mógł zobaczyć niewyraźny zarys krat obok swego łokcia, a nawet mógł niewyraźnie zobaczyć kraty drzwi w pobliżu. Zdumiało go to, ale w końcu znalazł wyjaśnienie. Znajdował się głęboko pod ziemią, w lochach pod pałacem; z jakiegoś powodu, gdzieś w górze zbudowano szyb. Na zewnątrz księżyc osiągnął punkt, w którym jego światło padało mgliście w dół szybu. Conan zdał sobie sprawę, że w ten sposób może być świadom upływu dni i nocy. Być może również słońce będzie przeświecać przez ten świetlik, chociaż z drugiej strony otwór mógł być zamykany na dzień. Być może była to jakaś wyrafinowana tortura, która dopuszczała do więźnia jedynie momentalny przebłysk słońca lub księżyca.

Jego wzrok spoczął na połamanych kościach, pobłyskujących blade w odległym kącie. Nie zajmował swego umysłu bezcelowym dochodzeniem, kim był ten nieszczęśnik, ani za co został skazany, ale zastanowił go stan jego kości. Nie zostały połamane na kole tortur. W miarę

jak patrzył, dotarł do niego kolejny przykry szczegół. Piszczele były pęknięte wzdłuż, a to miało tylko jedno wyjaśnienie – zostały złamane tak, aby dostać się do szpiku. Jakie stworzenie, poza człowiekiem, łamie kości, by dostać się do szpiku? Być może te szczątki były niemym świadectwem straszliwej, kanibalistycznej uczty jakiegoś nieszczęśnika, przywiedzionego przez głód do szaleństwa. Conan zastanowił się, czy jego własne kości, zwisające w zardzewiałych okowach, zostaną tu odnalezione w odległej przyszłości. Dusił w sobie bezsensowną panikę wilka złapanego w pułapkę.

Cymmeryjczyk nie klął, nie krzyczał, nie płakał ani nie szalał, tak jakby to zrobił cywilizowany człowiek. Ból i zamęt w jego ciele osiągnęły jednak zaiste dziki poziom. Jego potężne kończyny drgały od natężenia emocji. Gdzieś daleko na zachodzie oddziały nemedyjskie wyrzynały i wypalały sobie drogę przez serce jego królestwa. Mały oddział Poitańczyków nie mógł stawić im oporu. Prospero będzie w stanie utrzymać Tarantię tygodniami, może miesiącami. Ale w końcu, jeśli nikt nie przyjdzie mu z pomocą, będzie musiał poddać się liczniejszemu oddziałowi wroga. Na pewno baronowie wspomogą go przeciw najeźdźcom. Ale w tym czasie on, Conan, będzie leżeć bezradnie w ciemnej celi, kiedy inni walczą za jego królestwo... Król zgrzytnął zębami w nagłym przypiływie gniewu.

Potem zeszywniał, kiedy spoza dalszych drzwi dobiegł odgłos skradających się stóp. Wyteżając wzrok, dojrzał po drugiej stronie krat pochyloną, niewyraźną postać. Metal zazgrzytał o metal i usłyszał chrobot zamka, jak gdyby ktoś przekręcał w nim klucz. Potem postać wyszła cicho poza zasięg jego wzroku. „Jakiś strażnik sprawdzający zamek” – pomyślał. Po chwili usłyszał niewyraźnie, że dźwięk powtarza się gdzieś dalej, po nim nastąpił cichy zgrzyt otwieranych drzwi i w końcu prędko tupot miękko obutych stóp zniknął w oddali. Ponownie zapadła cisza.

Conan nasłuchiwał przez, jak mu się zdawało, długi czas, ale nie mogło to być prawdą, bo księżyc wciąż jeszcze przeświecał przez ukryty szyb. Nie usłyszał żadnych dźwięków. W końcu zmienił pozycję, a jego łańcuchy zabrzęczały. Potem znów dobiegł go – tym razem lżejszy – tupot nóg, delikatny dźwięk stóp przed bliższymi drzwiami, tymi, przez które wszedł do celi. Chwilę później w szarym świetle zarysowała się niewyraźnie gibka postać.

– Królu Conanie! – Delikatny głos brzmiał ponagląco. – Och, mój panie, jesteś tutaj?

– A gdzieżby indziej? – odparł ostrożnie, wykręcając głowę, by móc spojrzeć na zjawę.

Była to dziewczyna, trzymająca się kraty szczupłymi palcami. Niewyraźna poświata podkreślała jej szczupłą figurę, przeświecając przez zawiązany wokół talii pas jedwabiu i odbijała się niemrawo na inkrustowanych klejnotami staniczku. Jej ciemne oczy płonęły w ciemnościach, a białe członki błyszcząły łagodnie jak alabaster. Włosy były kaskadą ciemnej piany, a słabe światło podkreślało łagodnie ich lśniąca połyskliwość.

– To klucze do twoich kajdan i do dalszych drzwi! – szepnęła dziewczyna; szczupła, biała dłoń wysunęła się przez kraty i rzuciła z brzękiem trzy przedmioty na kamienie obok króla.

– Co to za gra? – spytał Conan. – Mówisz po nemedyjsku, a ja nie mam w Nemedii przyjaciół. Jakie diabelstwo knuje teraz twój mistrz? Czy przysłał cię tu, byś naigrawała się ze mnie?

– To nie drwiny! – Dziewczyna zatrzęsała się gwałtownie. Jej bransolety i napierśnik zadźwięczały o ściskane przez nią kraty. – Przysięgam na Mitrę! Wykrałam te klucze czarnoskórnym strażnikom. Oni są nadzorcami tych kazamatów, a każdy z nich ma przy sobie klucz, który otwiera tylko jeden zestaw zamków. Spiłam ich. Ten, któremu rozwalileś głowę, został zaniesiony do medyka i nie mogłam zabrać mu klucza. Ale wykrałam wszystkie inne. Błagam cię, nie zwlekaj! Za tymi lochami leżą pieczary, które są bramami piekieł!

W jakiś sposób poruszony słowami dziewczyny Conan wypróbował z powątpiewaniem klucze, oczekując jedynie klęski i wybuchu drwiącego śmiechu. Ale zdumiało go, że jeden z nich rzeczywiście uwolnił go z kajdan, pasując nie tylko do zamka, który przywiązywał go do obręczy, ale także do zamków na jego kończynach! Kilka chwil później stanął wyprostowany, dziko podniecony osiągnięciem względnej swobody. Szybkim krokiem podszedł do kraty i jego palce zamknęły się na kracie i szczupłym przegubie, który się do niej przyciskał; wzbudziło to poruszenie we właścicielce nadgarstka, która podniosła odważnie twarz, by spotkać jego dziki wzrok.

– Kim jesteś, dziewczyno? – zapytał Conan. – Dlaczego to robisz?

– Jestem Zenobia – wymamrotała dziewczyna bez tchu, jak gdyby w strachu. – Jedna z dziewczyn z królewskiego haremu.

– Jeśli to nie jakaś przeklęta sztuczka – wymamrotał Conan – nie widzę żadnego powodu, dla którego miałabyś mi przynieść te klucze.

Ona skłoniła swą ciemną głowę, po czym podniosła ją i spojrzała prosto w jego podejrzliwe oczy. Na jej długich, ciemnych rzęsach błyszczały łzy.

– Jestem tylko dziewczyną z królewskiego harem – powtórzyła ze szczerą pokorą. – Król nigdy na mnie nie spojrzał i prawdopodobnie nigdy tego nie zrobi. Znaczą mniej niż którykolwiek z tych psów, które ogryzają kości w sali biesiadnej. Nie jestem pustą, bezmyślną lalką; jestem człowiekiem z krwi i kości. Oddycham, nienawidzę, boję się, cieszę się i kocham. I pokochałam cię, królu Conanie, od momentu, w którym zobaczyłam, jak wjeżdżasz na czele swych rycerzy na ulice Belverus, kiedy lata temu odwiedziłeś króla Nimesa. Moje serce łomotało, jakby miało wyrwać się z piersi i upaść w kurz ulicy pod kopyta twego konia.

Kiedy to mówiła, na jej twarzy wystąpił rumieniec, ale oczy nawet jej nie mrugnęły. Conan nie odpowiedział od razu. Każdy mężczyzna, niezależnie od tego, jak dziki, namiętny i niepohamowany – jeśli tylko nie był zupełną bestią – poczułby pewne zdumienie czy też strach w obliczu obnażonej kobiecej duszy.

Wtedy ona pochyliła głowę i przycisnęła swe usta do palców, które więziły jej szczupły nadgarstek. Potem podniosła się gwałtownie, jak gdyby przypominając sobie o sytuacji, w jakiej znajdował się uwięziony król, i w jej oczach zapłonęło przerażenie.

– Pospiesz się! – szepnęła ponaglająco. – Już po północy. Musisz zniknąć.

– Czy nie obedną cię żywcem ze skóry za to, że ukradłaś klucze?

– Nigdy się nie dowiedzą. Jeśli nadzorcy przypomną sobie rano, kto dał im wino, nie ośmielą się przyznać, że skradziono im klucze, kiedy byli pijani. Nie mogłam zdobyć klucza, który otwiera te drzwi. Musisz znaleźć drogę na wolność w lochach. Nie potrafię nawet domyślić się, jakie straszliwości czają się za tymi drzwiami. Ale jeśli pozostaniesz w tej celi, czeka cię większe niebezpieczeństwo. Król Tarascus powrócił...

– Co? Tarascus?

– Tak! Powrócił w wielkim sekrecie i nie tak dawno temu zszedł do podziemi, po czym wyszedł blady i trzęsący się na całym ciele, jak człowiek, który podjął wielkie ryzyko. Słyszałam, jak szepcze do swego giermka, Arideusa, że musisz umrzeć, niezależnie od woli Xaltotuna.

– A co z Xaltotunem? – mruknął Conan. Poczł, że dziewczyna się wzdryga.

– Nie mów o nim! – szepnęła. – Demony często zjawiają się na dźwięk swojego imienia. Niewolnicy powiedzieli, że leży w swojej komnacie za zaryglowanymi drzwiami, śniąc lotosowe sny. Sądę, że nawet Tarascus boi się go w sekrecie, w przeciwnym razie zabiłby cię jawnie. Ale tej nocy zszedł do podziemi i tylko Mitra wie, co tam robił.

– Zastanawiam się, czy to nie Tarascus gmerał przed chwilą przy zamku mojej celi – wymamrotał Conan.

– Oto sztylet! – szepnęła dziewczyna, przeciskając coś przez kraty. Gorączkowe palce króla zacisnęły się na znanym kształcie. – Wyjdź szybko przez te drzwi, skręć w lewo i idź wzdłuż cel, aż dotrzesz do kamiennych schodów. Za nic w świecie nie odchodź od krat! Wejdź po schodach i otwórz drzwi na szczybie; jeden z kluczy będzie do nich pasował. Jeśli taka jest wola Mitry, będę tam na ciebie czekać. – Mówiąc to zniknęła z cichym tupotem lekko obutych stóp.

Conan wzruszył ramionami, po czym skierował się w stronę krat. Mógł to być jakiś diaboliczny plan uknuty przez Tarascusa, ale dla temperamentu Conana mniej wstrętym było wpadnięcie w zasadzkę niż smętne siedzenie i czekanie na śmierć. Obejrzał wręczoną mu przez dziewczynę broń i uśmiechnął się ponuro. Niezależnie od tego, kim mogła się okazać, wręczając mu ten sztylet udowodniła, że jest osobą o zmyśle praktycznym. Nie był to lekki sztylecik, wybrany ze względu na klejnoty na rękojeści czy błyszczące złoto, który pasowałby ewentualnie do zniewieściałego mordercy z kobiecego buduaru. Był to prosty sztylet, broń wojownika o szerokim, długim na piętnaście cali ostrzu i zwężającym się do ostro zakończzonego sztychu.

Conan mruknął z satysfakcją. Dotyk rękojeści dodawał mu animuszu i pewności siebie. Niezależnie od tego, jakie sieci intryg na niego czekały, jakie pułapki i zdrady szykowano, ten nóż był prawdziwy. Potężne mięśnie jego prawego ramienia napięły się w oczekiwaniu na mordercze ciosy.

Wypróbował dalsze drzwi, brzęcząc przy tym kluczami. Nie były zamknięte. Pamiętał jednak, że czarnoskóry nadzorca je zamykał. Tak więc owa ukradkowa, pochylona postać nie była strażnikiem więziennym, sprawdzającym, czy rygle były na swoim miejscu. Ktoś otworzył drzwi. Czaiła się w tym jakaś mroczna sugestia. Ale Conan nie zawahał się. Otworzył kratę i wyszedł z lochu w ciemność na zewnątrz. Tak jak myślał,

drzwi nie prowadziły na kolejny korytarz. Pod stopami poczuł kamienną podłogę, a rząd cel ciągnął się przed nim na lewo i prawo; nie mógł jednak dostrzec innych granic miejsca, w którym się znalazł – ani sklepienia, ani innej ściany. Światło księżyca wpadało tu tylko przez kraty cel i król niemal zgubił się w ciemności. Mniej bystre oczy nie byłyby w stanie odróżnić przyćmionych szarych plam, które unosiły się przed każdymi drzwiami.

Skręcając w lewo, Conan poruszał się prędko wzdłuż linii lochów, a jego stopy nie wydawały żadnego dźwięku, stąpając na kamieniach. Mijając kolejne lochy, zaglądał do nich przelotnie. Wszystkie były puste, ale zamknięte. W niektórych mógł dostrzec odbłask nagich, białych kości. Podziemia te stanowiły relikwię bardziej ponurego wieku; zbudowano je, kiedy Belverus było jeszcze bardziej fortecą niż miastem. Ale widać było, że obecnie używano ich na dużo większą skalę, niż mogliby podejrzewać poddani królestwa.

W końcu ujrzał przed sobą niewyraźny kontur pnących się stromo w górę stopni, i zrozumiał, że to właśnie muszą być schody, których szukał. Wtem odwrócił się, kryjąc w głębokim cieniu ich stóp.

Gdzieś za nim coś się poruszało, coś dużego i tajemniczego, coś, co przemieszczało się na stopach, które nie były ludzkie. Patrzył na długi rząd cel, przed którymi majaczyły kwadraty nikłego, szarego światła, będące niczym więcej niż plamami nieco mniej gęstej ciemności. Ale coś poruszało się wzdłuż tych kwadratów. Nie mógł stwierdzić, co to było, ale na pewno było ciężkie i duże, a mimo to przemieszczało się z nadludzką łatwością i prędkością. Dostrzegał zarys stworzenia, kiedy wkraczało w szare kwadraty półmroku, potem tracił je z oczu, kiedy chowało się w rozciągającą poza nimi ciemność. W tym szybkim ruchu, pojawianiu się i znikaniu, które zdawały się chwilowym zaćmieniem wzroku, było coś niesamowitego.

Słyszał klekotanie krat, kiedy istota próbowała wszystkich drzwi po kolei. Doszła w końcu do celi, którą opuścił tak niedawno, i drzwi otworzyły się pod jej pchnięciem. Przez krótką chwilę zobaczył niewyraźnie rysujący się u wejścia kształt, po czym stworzenie zniknęło w lochu. Pot wystąpił na czole i rękach Conana. Wiedział już teraz, dlaczego Tarascus podszedł tak cicho do jego drzwi i dlaczego potem uciekł tak prędko. Król otworzył kratę do jego celi, po czym, gdzieś w tych piekielnych lochach, otworzył inną celę albo klatkę, w której trzymano jakiegoś ponurego potwora.

Teraz stworzenie wyłoniło się z celi i znów szło w górę korytarza, trzymając zniekształconą głowę blisko przy ziemi. Nie zwracało już uwagi na zamknięte drzwi. Węszyło jego trop. Conan mógł je teraz widzieć wyraźniej. Szare światło padało na wielkie, antropomorficzne ciało, ale o większej niż u człowieka masie i długości. Szło na dwóch nogach, chociaż pochylone do przodu; wydawało się szare i włochate, a jego gęste futro poprządkane było srebrem. Łeb stanowił potworną karykaturę ludzkiej głowy, a długie łapska zwisały prawie do ziemi.

Conan w końcu zrozumiał. Pojął znaczenie tych roztrzaskanych i połamanych kości w lochu i rozpoznał jego mieszkańca. Był to szary małpolud, jeden z upiornych ludożerców z lasów okalających górskie, wschodnie wybrzeże morza Vilayet. Na wpół mityczne, pod każdym względem przerażające, małpoludy te stanowiły nieodłączny element hyboryskich legend i tak naprawdę były ogami świata przyrody, kanibalami i mordercami ze skutych mrokiem i lepkiemi cieniami lasów.

Conan wiedział, że małpolud zwierzył jego obecność, gdyż nadchodził prędko, tocząc swe podobne do baryłki cielsko na krótkich, pałkowatych nogach. Barbarzyńca rzucił okiem w górę długich schodów, ale wiedział, że stworzenie dopadnie go, zanim on sam zdąży dostać się do odległych drzwi. Zdecydował się zmierzyć z bestią.

Śmiało wkroczył w najbliższy kwadrat księżycowego światła, aby możliwie jak najlepiej wykorzystać przewagę oświetlenia; wiedział bowiem, że bestia widziała w ciemności lepiej niż on. W tej samej chwili dostrzegł go małpolud. Jego wielkie, żółte kły błysnęły w ciemności, ale nie wydało z siebie dźwięku. Stworzenia nocy i ciszy, szare małpy znad Vilayet, były nieme, ale niewyraźne, obrzydliwe rysy, będące bestialską trawestacją ludzkiej twarzy, odzwierciedlały upiorne podniecenie.

Conan napiął mięśnie i stał w gotowości, bez drżenia obserwując nadciągającego potwora. Wiedział, że musi zabić to bydlę jednym ciosem, bo nie będzie szansy na drugi, ani na uniki, ani na to, by uderzyć i odskoczyć. Pierwsze uderzenie musi zabić, i to zabić natychmiast, jeśli w ogóle marzy o przeżyciu tego starcia. Omiótł wzrokiem krótkie, szerokie gardło potwora, włochaty, trzęsący się brzuch i potężną pierś, prężącą się w dwóch wielkich łukach jak bliźniacze tarcze. Tam musi być serce. Lepiej, żeby ostrze odbiło się od ciężkich żeber, niż gdyby miał uderzyć tam, gdzie cios nie będzie od razu śmiertelny. Zdając sobie sprawę z trudności podjętego zamierzenia, Conan dostosował szybkość swego oka i ręki oraz

siłę mięśni do brutalnej potęgi i dzikości ludożercy. Musi zмагаć się z bestią piersią w pierś, zadać jej śmiertelny cios, a potem zaufać mocarności swego ciała, że przeżyje chwilę potwornej kotłowaniny, która na pewno stanie się jego udziałem.

Kiedy małpolud runął na niego, pochylony i z szeroko rozwartymi straszliwymi ramionami, zanurkował między nimi i uderzył z całą swą desperacką siłą. Poczul, że ostrze zatapia się aż po rękojeść we włochatej piersi i natychmiast, wypuszczając sztylet, pochylił głowę i skulił ciało w jedną, zwartą masę naprężonych mięśni. Kiedy to uczynił, złapał zamykające się ramiona i wepchnął swoje kolano dziko w brzuch potwora, zapierając się w ten sposób przed jego miażdżącym uściskiem.

Przez jedną krótką chwilę Conan czuł się tak, jakby rozrywało go potężne trzęsienie ziemi. Potem nagle był już wolny, leżąc bezładnie na podłodze, a bestia właśnie dogorywała. Jej czerwone ślepia wywróciły się, lśniąc białkami, a rękojeść morderczego sztyletu drżała w jej w piersi. Desperackie dźgnięcie Conana osiągnęło swój cel.

Król dyszał jak po długiej walce, drżąc na całym ciele. Czuł, że niektóre stawy pewnie ma zwichnięte, a krew ciekła z licznych zadrapań i rozdarć, gdy ostre pazury potwora orały mu skórę. Jego mięśnie i ścięgna zostały dziko poszarpane i powykręcane. Gdyby bestia żyła trochę dłużej, na pewno by go rozerwała, ale potężna siła Cymmeryjczyka stawiała skuteczny opór, przetrzymując tę krótką chwilę spazmów zdychającego małpoluda, który kogoś mniejszego i słabszego fizycznie zwyczajnie rozerwałby na strzępy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

PCHNIĘCIE NOŻEM

Conan schylił się i wyrwał nóż z piersi potwora. Potem prędko wszedł po schodach. Nie wiedział, jakie jeszcze stworzenia strachu kryły się w ciemnościach, ale nie miał ochoty spotkać żadnego z nich. Ten wyczerpujący styl walki był zbyt męczący nawet dla mocarnego Cymmeryjczyka. Światło księżyca nikło na podłodze, ciemność napierała i coś na kształt paniki kazało mu gnać w górę schodów. Kiedy dotarł na ich szczyt i poczuł, że trzeci klucz otwiera zamek, odetchnął z potężnym westchnieniem ulgi. Uchylił nieco drzwi i wyciągnął szyję, by zajrzeć do środka, na wpeł oczekując ataku ze strony jakiegoś ludzkiego lub zwierzęcego wroga.

Jego oczom ukazały się nagi, kamienny korytarz nędznie oświetlony i szczupła, smukła postać stojąca przed drzwiami.

– Wasza wysokość! – Był to cichy, wibrujący krzyk, rozbrzmiewający na wpeł z ulgą, na wpeł ze strachem. Dziewczyna podskoczyła do niego, potem zawahała się, jak gdyby zmieszana.

– Krwawisz – powiedziała. – Zostałeś zraniony.

Niecierpliwym ruchem dłoni przerwał ciąg dalszy tego spostrzeżenia.

– Zadrapania, które nie zaszkodziłyby dziecku. Mimo wszystko twój szpikulec okazał się bardzo poręczny. Gdyby nie on, mała Tarascusa rozłupywałyby mi teraz kości w poszukiwaniu szpiku. Ale, co teraz?

– Chodź za mną – szepnęła. – Wyprowadzę cię poza mury miasta. Mam tam ukrytego konia.

Odwróciła się, by poprowadzić go w głąb korytarza, ale on położył jej na ramieniu swą ciężką dłoń.

– Idź obok mnie – pouczył ją łagodnie, oplatając swoje masywne ramię wokół jej giętkiej talii. – Jak dotąd zachowujesz się wobec mnie w porządku i skłonny jestem ci wierzyć. Ale jeśli żyję tak długo, to tylko dlatego, że jeszcze nikomu nie zaufałem, ani mężczyźnie, ani kobiecie. Jeśli więc zachowasz się nieodpowiednio, nie dożyjesz momentu, w którym będziesz mogła się z tego cieszyć.

Dziewczyna nie wzdrygnęła się na widok czerwonego sztyletu ani pod dotykiem jego twardych mięśni, oplatających jej gibkie ciało.

– Jeśli cię zdradzę, zabij mnie bez litości – odparła. – Samo już to, że czuję dotyk twojego ramienia, nawet jeśli mi grozisz, jest spełnieniem moich snów.

Sklepiony korytarz kończył się drzwiami, które dziewczyna wcześniej otworzyła. Na zewnątrz leżał kolejny czarnoskóry mężczyzna, wielkolud w turbanie i jedwabnej przepasce na biodrach; obok jego ręki na podłodze spoczywał zakrzywiony miecz. Nadzorca się nie poruszał.

– Dodałam narkotyku do jego wina – szepnęła, skrzęcając gwałtownie, by obejść leżącą postać. – To ostatni, że tak powiem – zewnętrzny strażnik lochów. Nikt jeszcze nigdy z nich nie uciekł, tak jak nikt nigdy nie chciał ich przeszukiwać. Dlatego strzegą ich tylko ci czarnoskórzy. Tylko ci spośród wszystkich służących wiedzieli, że Xaltotun przywiózł w swoim wozie króla Conana. Wyglądałam z górnych okien, wychodzących na dziedziniec, nie mogąc zmrużyć oka, podczas gdy reszta dziewcząt spała. Wiedziałam, że gdzieś na zachodzie toczy się bitwa, a raczej, że już się odbyła, i bałam się o ciebie... Zobaczyłam, że czarnoskórzy niosą kogoś po schodach i rozpoznałam cię w świetle pochodni. Tej nocy wślizgnęłam się do tej części pałacu, akurat na czas, by zobaczyć, że wloką cię do lochów. Nie odważyłam się przyjść tu przed nocą. Musiałeś leżeć w komnacie Xaltotuna przez cały dzień, bez zmysłów i odurzony. Ach, bądźmy ostrożni. Dziwne rzeczy dzieją się nocą w pałacu. Niewolnicy powiedzieli, że Xaltotun śpi jak zwykle, oszołomiony lotosem ze Stygii, ale Tarascus jest w pałacu. Wszedł potajemnie sekretnym wejściem, owinięty swoim płaszczem, zakurczonym jak po długiej podróży, w asyście tylko jednego giermka, szczupłego i małomównego Arideusa. Nic z tego nie rozumiem, ale się boję.

Wyszli u stóp wąskich, krętych schodów i, wspiąwszy się po nich, przeszli przez wąskie sekretne wrota, które dziewczyna otworzyła, popychając z pozoru normalnie wyglądający kawałek muru. Kiedy je minęli, zasunęła go z powrotem na miejsce tak, że znów był tylko fragmentem zdobnej ściany. Znajdowali się teraz w bardziej przestronnym korytarzu z dywanami i gobelinami, rozświetlanym złotym blaskiem wiszących lamp.

Conan nasłuchiwał uważnie, ale w pałacu nie rozlegał się żaden dźwięk. Nie wiedział, w której części budynku się znajdował, ani gdzie leżała

komnata Xaltotuna. Dziewczyna drżała, prowadząc go przez korytarz i zatrzymała się w końcu obok alkowy ukrytej za satynowym gobelinem. Odciągając go na bok, skinęła na niego, by wszedł do środka i szepnęła:

– Poczekaj tu! Za tymi drzwiami na końcu korytarza o każdej porze dnia i nocy łatwo trafić na niewolników albo eunuchów. Pójdę i sprawdzę, czy mamy wolną drogę, zanim spróbujemy się przemknąć.

Natychmiast zadziałał instynkt, wyczuwający potencjalne zagrożenie.

– Prowadzisz mnie w pułapkę?

W jej ciemnych oczach błysnęły łzy. Upadła na kolana i objęła jego muskularną dłoń.

– Ach, mój królu, nie przestawaj mi ufać w tym momencie! – jej głos drżał, wyrażając desperackie ponaglenie. – Jeśli zwątpisz i zawahasz się, jesteśmy zgubieni! Dlaczego miałabym wypuścić cię z lochów i zdradzić dopiero teraz?

– Niech będzie – mruknął. – Zaufam ci, chociaż, na Croma, niełatwo jest odstąpić od życiowych zasad. I tak nie skrzywdziłbym cię, nawet gdybyś przywiodła ku mnie wszystkich wojowników z Nemedii. Gdyby nie ty, przekłeta mała Tarascusa zaskoczyłaby mnie w kajdanach i bez broni. Rób jak uważasz, dziewczyno!

Całując jego rękę, zerwała się na równe nogi i pobiegła w dół korytarza, znikając za ciężkimi podwójnymi drzwiami.

Conan patrzył za nią, zastanawiając się, czy nie był głupcem, ufając tej kobiecie. Potem wzruszył potężnymi ramionami i zasłonił kotary, maskując swoje schronienie. Nie wydawało mu się dziwnym, że namiętna, młoda piękność ryzykowała swe życie, aby mu pomóc; takie rzeczy zdarzyły się w jego życiu zbyt wiele razy. Niejedna kobieta patrzyła na niego przychylnym okiem, zarówno w czasach wędrówek, jak i kiedy zasiadł już na królewskim tronie.

Nie stał jednak w alkowie beczynnym, czekając na powrót dziewczyny. Podążając za swoim instynktem, zbadał pomieszczenie w poszukiwaniu innego wyjścia i w końcu takie znalazł. Był to zamaskowany za gobelinami otwór prowadzący do wąskiego pasażu, który biegł w kierunku zdobnych drzwi, ledwo widocznych w przyćmionym świetle sączącym się z zewnętrznego korytarza. Kiedy tam zajrzał, nagle zza zdobionych wrót dobiegł do niego odległy dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, a potem niski pomruk głosów. Znajomy dźwięk jednego z nich sprawił, że jego ciemna twarz przybrała straszliwy wyraz. Bez wahania prześlizgnął się

w głąb pasażu i przycupnął za drzwiami jak przyczajona pantera. Nie były zamknięte; pomanipulował przy nich i zdołał nieco otworzyć, lekkomyślnie ignorując możliwe konsekwencje swego czynu, który tylko on mógł wytłumaczyć albo obronić. Z drugiej strony drzwi były zasłonięte gobelinami, ale przez wąziutkie rozcięcie w aksamicie Conan zajrzał do komnaty, którą oświetlała stojąca na hebanowym stole świeca. W pokoju znajdowało się dwóch mężczyzn. Jednym z nich był pokryty bliznami wyrostek o mrocznym wyglądzie, odziany w skórzane spodnie i potarganą pelerynę, a drugim – Tarascus, król Nemedii.

Tarascus zdawał się zaniepokojony. Lekko blady, wciąż chodził, rozglądając się wokół siebie, jak gdyby czegoś oczekiwał i obawiał się, że usłyszy jakiś dźwięk albo kroki.

– Idź prędko, natychmiast – mówił. – Jest pogrążony w narkotycznym śnie, ale nie wiem, kiedy może się obudzić.

– Dziwnie jest słyszeć strach w słowach padających z ust Tarascusa – zadudnił tamten szorstkim, głębokim głosem.

Król zmarszczył brew.

– Dobrze wiesz, że nie boję się zwykłych ludzi. Ale kiedy zobaczyłem, jak urwiska osuwają się nad Valkią, wiedziałem, że ten wskrzeszony przez nas skurwysyn nie jest tylko pospolitym szarlatanem. Boję się jego mocy, ponieważ nie znam jej wszystkich możliwości. Wiem jednak, że w jakiś sposób mają one związek z tą przeklętą rzeczą, którą mu wykradłem. To ona przywróciła go do życia; musi więc być źródłem jego magii. Ukrył ją dobrze, lecz na mój sekretny rozkaz jeden z niewolników szpiegował go i zobaczył, że Xaltotun chowa ją do złotej szkatułki; zobaczył też, gdzie jest ukryta. Mimo wszystko nie byłbym w stanie jej skraść, gdyby mag nie pogrążył się w lotosowym śnie. Sądzę, że to sekret jego mocy. Za jej pomocą Orastes przywrócił go do życia, a jeśli Xaltotun użyje jej wedle swojego uznania, jest w stanie zniewolić nas wszystkich, jeśli nie będziemy ostrożni. Weź ją więc i wrzuć do morza, tak jak ci rozkazałem. Upewnij się jednak, że jesteś tak daleko od lądu, że ani przypływ, ani sztorm nie wyrzucą jej na plażę. Już ci zapłaciłem.

– W rzeczy samej – warknął wyrostek. – Poza tym zawdzięczam ci więcej niż złoto, królu. Masz u mnie dozwonny dług wdzięczności. Nawet złodzieje potrafią być wdzięczni.

– Niezależnie od tego, jaki u mnie masz dług – odparł Tarascus – spłacisz go, kiedy wrzucisz tę rzecz do morza.

– Pojadę do Zingary i poześlę do Kordavy – obiecał jego rozmówca. – Nie odważę pokazać się w Argos z powodu dawnego morderstwa czy czegoś podobnego...

– Nie dbam o to, jeśli wykonasz swoją robotę. Oto twoje zadanie. Na dziedzińcu czeka na ciebie koń. Idź, ale prędko!

Wręczył mu coś, coś co błyszczało jak żywy ogień. Conan uchwycił to wzrokiem tylko przez chwilę; potem wyrostek naciągnął sobie na oczy kapelusz z opadającym rondem, przerzucił pelerynę przez ramię i wybiegł z komnaty. Kiedy tylko drzwi zamknęły się za nim, Conan ruszył naprzód pełen furii i nieujarzmionej żądzy krwi. Powstrzymywał się tak długo jak umiał. Widok największego wroga w tak bliskiej odległości zagotował w żyłach jego dziką krew i rozwiął całą ostrożność i powściągliwość.

Tarascus szedł do wewnętrznych drzwi, gdy Conan rozdarł zasłony i wskoczył do pokoju jak spragniona krwi pantera. Tarascus odwrócił się, ale zanim zdołał rozpoznać napastnika, przebił go sztylet barbarzyńskiego króla.

Cios nie był śmiertelny i Conan wiedział o tym w momencie uderzenia. Kiedy skoczył, jego stopa ugrzęzła w fałdzie kotary, przytrzymując ją podczas skoku. Ostrze wbiło się w bark Tarascusa i przeorał mu żebra, a król Nemedii wrzasnął.

Siła ciosu i napierające ciało Conana odrzuciły go na stół, który przewrócił się, gasząc świecę. Gwałtowność ataku sprawiła, że obaj potoczyli się na podłogę, a brzeg gobelinu wplątał ich obu w zwoje tkaniny. Conan dźgał dziko w ciemności, a Tarascus wrzeszczał w gorączce panicznego przerażenia. Wyrwał się, jak gdyby strach użyczył mu nadludzkiej energii, po czym błądził w ciemności, wyjąc:

– Na pomoc! Straże! Arideusie! Orastesie! Orasteesie!!!

Conan podniósł się, uwalniając się spod płaczących mu się pod nogami gobelinów i kawałków połamanego stołu, przeklinając z goryczą. Żądał krwi, ale był rozczarowany, i przede wszystkim nie znał rozkładu pałacu. Krzyki Tarascusa wciąż jeszcze rozbrzmiewały w dali, a w odpowiedzi z przodu wybuchł dziki krzyk. Nemedyczyk uciekł gdzieś w ciemność i Conan nie wiedział, w którą stronę. Nierozważny mściwy atak Cymmeryjczyka nie powiódł się i teraz pozostawało mu tylko ocalić własną skórę – jeśli będzie w stanie tego dokonać.

Klnąc siarczyście, Conan biegiem wrócił przez pasaż do alkowy i wyjrzał na oświetlony korytarz, dokładnie w momencie, w którym Zenobia wróciła

do komnaty, a jej czarne oczy były rozszerzone z przerażenia.

– Och, co się stało? – zawołała. – Cały pałac zerwał się na nogi! Przymierzam, że cię nie zdradziłam...

– Nie, to ja wsadziłem kij do gniazda szerszeni – warknął Conan. – Usiłowałem wyrównać porachunki. Jaka jest najkrótsza droga, by się stąd wydostać?

Złapała go za nadgarstek i pobiegła prędko w głąb korytarza. Ale zanim zdążyli dotrzeć do ciężkich drzwi na jego drugim końcu, z tyłu dobiegły ich zduszone krzyki i wrota zadrżały pod naporem z drugiej strony. Zenobia załamała dłonie i zaszlochała.

– Jesteśmy odcięci! Zamknęłam te drzwi, kiedy przez nie wróciłam! Ale oni za chwilę je wyważą! Tędy wiedzie droga do tylnej bramy...!

Conan odwrócił się. W górze korytarza, chociaż wciąż jeszcze poza zasięgiem jego wzroku, wzrastał się hałas, który podpowiadał mu, że jego wrogowie byli zarówno za nim, jak i przed nim.

– Szybko! Do tamtych drzwi! – Dziewczyna wrzasnęła z desperacją, biegnąc przez korytarz i otwierając drzwi komnaty.

Conan podążył za nią, po czym zasunął za nimi złoty zamek. Stali w zdobnie urządzonej komnacie, nie licząc ich – zupełnie pustej. Dziewczyna zaciągnęła go do okna ze złotymi kratami, przez które widać było drzewa i zarośla.

– Jesteś silny! – westchnęła. – Jeśli zdołasz wyrwać te kraty, możesz jeszcze uciec. Ogrody są pełne strażników, ale zarośla są gęste i na pewno dasz radę przemknąć niezauważony. Południowy mur to zewnętrzne obwarowanie miasta. Kiedy na niego wejdziesz, może zdołasz uciec. W krzakach obok drogi biegnącej na zachód ukryty jest koń, o kilkaset kroków na południe od fontanny Thrallosa. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak! Ale co z tobą? Zamierzałem zabrać cię ze sobą.

Jej piękna twarz rozświeciła się w przyływie radości.

– W takim razie czara mojego szczęścia się przelała! Nie będę jednak utrudniać ci ucieczki. Jeślibym ci ciążyła, plan się nie powiedzie. Nigdy nie będą podejrzewać, że pomogłam ci z własnej woli. Idź! To, co właśnie powiedziałaś, uszlachetni moje życie przez długie lata!

Conan chwycił ją w swe żelazne ramiona, przygniótł do siebie jej szczupłe, drżące pożądaniem ciało i całował dziko oczy, policzki, szyję i usta, dopóki nie zaczęła dyszeć w jego uścisku; nawet jego pieszczoty były potężne i burzliwe jak sztorm.

– Pójdę – wymamrotał. – Ale na Croma, jeszcze po ciebie wrócę!

Odwracając się, chwycił za złote kraty i wyrwał je z miejsca jednym szarpnięciem. Przerzucił nogę przez parapet i zszedł prędko na dół, przylegając do zdobiących ścianę ornamentów. Opadł na ziemię, pobiegł i rozpląnął się jak cień w labiryncie wysokich krzaków róż i rozgałęzionych drzew. Jeden rzut oka ponad ramieniem pozwoliło mu raz jeszcze spojrzeć na wychylającą się przez okno Zenobię, która wyciągała za nim ramiona w geście niemego pożegnania i świadomego wyrzeczenia.

Strażnicy pędzili do pałacu przez ogród, skąd dochodziły coraz głośniejsze krzyki. Byli to wysocy mężczyźni w polerowanych pancerzach i błyszczących, brązowych hełmach z pióropuszcami. Światło gwiazd odbijało się w połyskujących między drzewami zbrojach, zdradzając każdy ich ruch. Ale głosy rozbrzmiewały daleko przed Conanem. Dla wychowanego w dziczy króla ich bieg przez krzaki był jak paniczny pęd bydła. Niektórzy z nich przebiegli o parę kroków od miejsca, w którym leżał płasko w gęstej kępie krzaków i żaden nie odkrył jego obecności. Biegając do pałacu, nie zwracali uwagi na otoczenie wokół siebie. Kiedy pobiegli dalej z krzykiem, Conan podniósł się i pomknął przez ogród, nie czyniąc więcej hałasu niż pantera.

W ten sposób szybko dotarł do południowego muru i wspiął się po schodach prowadzących na blanki. Mury były stworzone do tego, żeby nie wpuszczają ludzi z zewnątrz, a nie by zatrzymywać tych wewnątrz. W zasięgu wzroku nie widział żadnego patrolu straży. Kucnąwszy na blance, Conan rzucił jeszcze okiem na wielki pałac, wznoszący się za cyprysami. We wszystkich oknach paliły się światła i mógł dostrzec postacie, skaczące między pokojami jak marionetki na sznurkach. Wyszczерzył się w złośliwym grymasie, potrząsnął pięścią w geście pożegnalnej groźby i opuścił się po zewnętrznej stronie muru.

Niskie drzewo rozpościerające się o parę kroków pod murem przyjęło ciężar mężczyzny, kiedy bezszelestnie spadł na gałęzie. Chwilę później biegł pod osłoną cienia kołyszącym się krokiem górala, który może pokonać długie mile.

Mury Belverus były otoczone przez ogrody i przepyszne wille, w których szlachetnie urodzeni mieszkańcy miasta zażywali wszelakich rozkoszy. Senni niewolnicy, śpiący z pikami w dłoniach, nie zauważyli przekradającej się prędko postaci, która wspinała się po ścianach, przecinała aleje pod sklepionymi gałęziami drzew i wydeptywała bezszelestne ścieżki wśród

sadów i winorośli. Psy stróżujące obudziły się i wywęszywszy przekradający się cień, wzniosły gardłowy, psi jazgot, ale Conan już zdążył zniknąć.

W pałacowej komnacie Tarascus wił się i kłął na zakrwawionym łożu pod zręcznymi i prędkimi palcami Orastesa. Zamek był pełen osłupiałych, trzęsących się sług, ale w komnacie, w której leżał król, był tylko on i kapłan renegat.

– Jesteś pewien, że on wciąż śpi? – ponownie zapytał Tarascus, zaciskając szczęki z powodu piekących, ziołowych wywarów, którymi Orastes opatrywał długą, poszarpaną ranę na ramieniu i żebrach. – Isztar, Mitro, Secie! Pali mnie to jak roztopiona smoła z piekła!

– Której, gdyby nie szczęśliwy przypadek, pewnie teraz byś doświadczał – zauważył Orastes. – Ktokolwiek celował w ciebie tym nożem, uderzał, by zabić. Tak, powiedziałem ci, że Xaltotun wciąż jeszcze śpi. Dlaczego tak bardzo nalegasz w tej kwestii? Co on ma z tym wspólnego?

– Nie wiesz nic o tym, co zdarzyło się tej nocy w pałacu? – Tarascus spoglądał intensywnie w twarz kapłana.

– Nic, jak wiesz, już od paru miesięcy trudnię się tłumaczeniem manuskryptów dla Xaltotuna, przepisuję ezoteryczne tomy powstałe w młodszych językach na skrypty, które będzie mógł odczytać. Był całkiem zaznajomiony ze wszystkimi językami i skryptami swoich czasów, ale nie nauczył się jeszcze tych nowych, więc aby zaoszczędzić sobie czasu zatrudnił mnie do tłumaczenia tych ksiąg, żeby dowiedzieć się, czy od jego ery odkryto coś nowego. Nie wiedziałem, że powrócił poprzedniej nocy, dopóki nie posłał po mnie i nie opowiedział mi o bitwie. Potem znów zasiadłem do moich studiów; nie wiedziałem też, że ty wróciłeś, dopóki wrzawa w pałacu nie wyciągnęła mnie z mojej celi.

– Nie wiesz więc, że Xaltotun przywiózł tu ze sobą jako jeńca króla Akwilonii?

Niezbyt zdziwiony Orastes potrząsnął głową.

– Powiedział mi tylko, że Conan nie będzie już stał nam na przeszkodzie. Przyjąłem, że zginął, ale nie pytałem o szczegóły.

– Xaltotun uratował mu życie, kiedy chciałem go zabić – warknął Tarascus. – Przejrzałem go natychmiast. Po co mu Conan, jeśli nie po to, by użyć go przeciwko nam? Przeciw Amalrykowi, przeciw Valeriusowi i przeciw mnie. Dopóki Conan żyje, stanowi dla nas zagrożenie, jest czynnikiem jednoczącym Akwilonię i może zostać użyty, aby zmusić nas

do rzeczy, których w innym wypadku nigdy byśmy nie zrobili. Nie ufam temu ożywionemu Pythończykowi. Ostatnio zacząłem się go bać. Poszedłem za nim, parę godzin po tym, kiedy wyruszył na wschód. Chciałem dowiedzieć się, co zamierzał zrobić z Conanem. Odkryłem, że uwięził go w lochach. Chciałem jednak doprowadzić do śmierci tego barbarzyńcy, wbrew woli Xaltotuna. Co też uczyniłem...

U drzwi rozległo się ostrożne pukanie.

– To Arideus – warknął Tarascus. – Wpuść go.

Ponury giermek wszedł, a jego oczy błyszczały stłumionym podnieceniem.

– Co tam, Arideusie? – zakrzyknął Tarascus. – Czy znalazłeś człowieka, który mnie zaatakował?

– Czy nie widziałeś go, mój panie? – zapytał Arideus, jak gdyby chciał się upewnić co do faktu, o którym już wiedział. – Czy nie rozpoznałeś go?

– Nie. Wszystko zdarzyło się tak szybko, a świeca zgasła. Myślałem tylko o tym, że to jakiś diabeł, napuszczony na mnie przez magię Xaltotuna.

– Pythończyk śpi w swym zakratowanym i zaryglowanym pokoju. Ale zszedłem do lochów... – Arideus wzdrygnął się w podnieceniu.

– No mów, człowieku! – wrzasnął zniecierpliwiony Tarascus. – Co tam znalazłeś?

– Pusty loch – szepnął giermek. – I trupa wielkiego małpoluda!

– Co? – Tarascus zerwał się na równe nogi, aż z jego otwartej rany trysnęła krew.

– Tak! Małpolud nie żyje, a Conan zniknął!

Tarascus poszarzał na twarzy, mechanicznie pozwalając Orastesowi ponownie ułożyć się na łożu. Kapłan podjął przerwane starania nad jego storturowanym ciałem.

– Conan! – powtórzył. – Nie jest zmiażdżonym trupem... Uciekł! Na Mitrę! To nie człowiek, ale diabeł wcielony! Myślałem, że zaatakował albo sam Xaltotun, albo ktoś, kogo przysłał. Teraz rozumiem... Bogowie i demony! To Conan mnie dźgnął! Arideusie!

– Tak, wasza wysokość?

– Przeszukaj każdy zakątek pałacu. Może grasować teraz po ciemnych korytarzach jak głodny tygrys. Niech żadna nisza nie umknie twej uwadze. Bądź ostrożny. Nie polujesz na cywilizowanego człowieka, ale na oszalałego od żądzy krwi barbarzyńcę, którego siła i furia dorównują wściekłości dzikiej bestii. Przeszukaj piętra pałacu oraz miasto. Otocz

kordonem mury. Jeśli odkryjesz, że uciekł już z miasta, a mogło tak się zdarzyć, weź ze sobą oddział jeźdźców i szukajcie go. Kiedy miniecie bramy, będzie to przypominało polowanie na wilka wśród wzgórz. Pospiesz się, a może jeszcze go złapiesz!

– To jest kwestia, która wymaga inteligencji większej niż ludzka – powiedział Orastes. – Może powinniśmy poszukać porady u Xaltotuna?

– Nie! – krzyknął gwałtownie Tarascus. – Niech nasze oddziały podążą za Conanem i zabiją go! Xaltotun nie będzie miał nic do powiedzenia, jeśli zabijemy więźnia, aby zapobiec jego ucieczce.

– Cóż – powiedział Orastes. – Nie jestem Acheronczykiem, ale jestem biegły w paru sztukach i kontroluję pewne duchy, które przyoblekły materialną postać. Być może będę w stanie wam w tym pomóc.

Fontanna Thrallosa stała w zwartym kręgu dębów obok drogi, oddalona o milę od murów miasta. Jej muzykalny plusk dotarł do uszu Conana w ciszy rozgwieżdżonej nocy. Napił się z jej lodowatego strumienia, po czym pospieszył na południe w kierunku zauważonych już wcześniej małych, gęstych krzaków. Okrążając je, zobaczył wielkiego, białego rumaka, przywiązanego w zaroślach. Wzdychając głęboko i potężnie, doskoczył do niego jednym susem... Drwiący śmiech sprawił, że zawrócił z wściekłością.

Z cieni wyłoniła się lekko pobłyskująca postać. Nie był to lśniący i wystrojony w paradny pióropusz pałacowy gwardzista, ale wysoki mężczyzna w morionie i szarej kolczudze. Jeden z Awanturników, typ wojowników znanych tylko w Nemedii, ludzi, którzy nie mieli bogactw ani statusu rycerza, albo ci, którym ten status odebrano, jednym słowem zahartowani w boju weterani rozlicznych wojen, spędzający życie na wojaczce i przygodach. Stanowili własną kastę, czasami dowodząc oddziałami, nie ponosząc jakiegokolwiek odpowiedzialności przed nikim, poza królem. Conan wiedział, że został nakryty przez bardzo niebezpiecznego wroga.

Szybki rzut oka w stronę cienia przekonał go, że mężczyzna był sam. Conan napiął swą wielką pierś, zaparł się mocno stopami o ziemię, napiął mięśnie i... czekał.

– Jechałem do Belverus na polecenie Amalryka – powiedział Awanturnik, zbliżając się ostrożnie. Światło gwiazd odbijało się długim płomieniem na trzymanym w jego dłoni wielkim, nagim dwuręcznym mieczu. – Jakiś koń zarżał do mojego z tych krzaków. Sprawdziłem to i pomyślałem, że to dziwne, że ktoś przywiązał tu konia. Poczekalem i cóż to, zdaje się, że przypadła mi w udziale dość rzadka nagroda!

Awanturnicy utrzymywali się z machania swoimi mieczami.

– Znam cię – wymamrotał Nemedyczyk. – Jesteś Conanem, królem Akwilonii. Myślałem, że widziałem, jak umierasz w dolinie Valkii, ale...

W tym momencie Conan skoczył tak, jak robi to doprowadzony do ostateczności tygrys. Mimo że Awanturnik był doświadczonym wojownikiem, nie zdawał sobie sprawy z desperackiej prędkości, jaka czai się w barbarzyńskim ciele. Niespodziewany atak zaskoczył go z na wpół uniesionym ciężkim mieczem. Zanim zdołał uderzyć albo sparować cięcie, królewski sztylet wbił się mu w gardło, ponad obojczykiem, wchodząc pod kątem aż do serca. Ze zduszonym krzykiem Awanturnik zachwiał się i upadł, a Conan beznamiętnie uwolnił wyciągnął ostrze z martwego ciała. Biały koń zarżał gwałtownie i spłoszył się na widok i zapach krwi na trawie.

Patrząc ponuro na powalonego przeciwnika, z pierśią lśniąca od potu i z morderczym sztyletem w dłoni, Conan zastygł jak posąg, uważnie nasłuchując. Z okolicznych lasów nie dobiegł go żaden dźwięk, jeśli nie liczyć sennych treli obudzonych ptaków, ale wtem w oddalonym o milę mieście usłyszał przenikliwy dźwięk trąbki.

Pospiesznie pochylił się nad trupem. Trwające chwilę przeszukanie upewniło go, że wiadomość, jaką niósł posłaniec, miała zostać przekazana ustnie. Nie był to jednak koniec spraw, które miał do załatwienia z poległym Awanturnikiem.

Do świtu brakowało jeszcze kilku godzin. Parę minut później biały koń galopował na zachód po białej drodze, a jego jeździec ubrany był w szarą kolczugę nemedyjskiego Awanturnika.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ODSŁONIĘCIE ZASŁONY

Jego jedyna szansa ucieczki tkwiła teraz w prędkości. Nie zastanawiał się nawet nad ukryciem się gdzieś w pobliżu Belverus, dopóki nie ustanie pogoń. Był pewien, że niesamowity sojusznik Tarascusa będzie w stanie go odszukać. Poza tym w naturze Conana nie leżało skradanie się i ukrywanie. Otwarta walka albo otwarta pogoń, obie te rzeczy odpowiadały mu dużo bardziej. Wiedział, że sporo zyskał na czasie. Chciał zmusić ich do szaleńczej pogoni aż do granic królestwa.

Zenobia dobrze zrobiła, wybierając białego konia. Jego prędkość, siła i wytrzymałość były oczywiste. Dziewczyna знаła się na broni i koniach, a także, co zauważył Conan z pewną satysfakcją, na mężczyznach. Pędził na zachód, pożerając milę za milą.

Jechał przez uśpiony kraj, mijając schronione za gajami wioski o białych murach, między przestronnymi polami i sadami, które w miarę jak poruszał się na zachód, stopniowo stawały się coraz rzadsze. Kiedy wsie się kurczyły, teren stawał się coraz bardziej poszarpany, a górujące na wzniesieniach warownie opowiadały o wiekach walk granicznych. Nikt jednak nie wyjechał z zamku, aby go okrzyknąć lub zatrzymać. Panowie w warowniach podążali za sztandarem Amalryka; proporce, które zazwyczaj powiewały nad wieżami, trzepotały teraz na równinach Akwilonii.

Kiedy ostatnia ściśnięta wioska została w tyle, Conan opuścił drogę, która zaczęła skręcać na północny zachód i pojechał w kierunku odległych przełęczy. Gdyby trzymał się traktu, musiałby minąć wieże graniczne, w których wciąż stacjonowali uzbrojeni po zęby strażnicy, a ci nie pozwoliliby mu przemknąć nie zadając całej lawiny pytań. Wiedział, że po żadnej ze stron granicy nie będzie patroli, jak zazwyczaj, ale były przecież te wieże, a o świcie na pewno będą się tamtędy przetaczać kawalkady powracających żołnierzy z ciągniętymi przez woły wozami z rannymi ludźmi.

Ta droga z Belverus była jedynym przekraczającym granicę szlakiem w promieniu pięćdziesięciu mil na północ i południe. Ciągnęła się przez

serię przełęczy wśród wzgórz, a po obu jej stronach rozciągały się szerokie przestrzenie słabo zaludnionych gór. Conan utrzymywał zachodni kierunek, pragnąc przekroczyć granicę głęboko wśród dzikich wzgórz, które leżały na południe od uczęszczanych przejść. Była to krótsza trasa, bardziej wyczerpująca, ale bezpieczniejsza dla ściganego uciekiniera. Jeden człowiek na koniu mógł przemierzyć tereny, które dla armii byłyby nie do przejścia.

O świcie wciąż jeszcze nie dotarł do wzgórz, które rozciągały się przed nim na horyzoncie długim, niskim pasmem. Nie było tu ani farm, ani wiosek, ani willi o białych murach, wyłaniających się spomiędzy drzew. Poranny wiatr mierzwił wysoką, sztywną trawę; wokół niego nie było niczego poza długimi, pofałdowanymi pasami brązowej ziemi, pokrytej suchą trawą. W oddali widniały posępne mury fortecy na niskim wzgórzu. Akwilończycy zbyt często bezprawnie przekraczali tę granicę; działo się to w czasach niezbyt odległych – nie dziw więc, że te wiejskie tereny były zaludnione zdecydowanie rzadziej niż ziemie wschodnie.

Świt rozlewał się po trawie jak pożar po łąkach, a wysoko ponad uciekinierem rozległ się dziwny krzyk. Niewielki klucz dzikich gęsi przeleciał prędko na południe. Conan zatrzymał się w trawiastej kotlinie i zsiadł z konia. Boki zwierzęcia unosiły się ciężko, jego sierść kleiła od potu. Jeździec poganiał go bezlitośnie przez ostatnie parę godzin przed świtem.

Podczas gdy koń zajadał trawę i legł na ziemi, Conan położył się na szczycie niskiego wzgórza, patrząc na wschód. Daleko na północy mógł dojrzeć opuszczoną przez siebie drogę, która wiła się jak biała wstążka nad odległym wzniesieniem. Nie widział na niej poruszających się czarnych punktów. Żaden znak w odległym zamku nie wskazywał na to, że jego właściciele dostrzegli samotnego podróżnika.

Godzinę później również nikogo nie spotkał. Jedynym znakiem życia był błysk stali na odległych blankach i kruk na niebie, który kołował w tę i z powrotem, nurkując i wznosząc się, jak gdyby czegoś szukał. Conan dosiadł konia i pojechał na zachód spokojniejszym krokiem.

Kiedy osiągnął dalszy szczyt wzgórza, nad jego głową rozległ się ochryply dźwięk, a kiedy spojrzął w górę, zobaczył trzepoczącego wysoko nad nim kruka, który nieustannie krakał. Conan ruszył dalej, a ptak poleciał za nim, utrzymując swą pozycję i swoim przeszywającym krzykiem

sprawiając, że poranek zupełnie obrzydł barbarzyńskiemu królowi. Ptak kompletnie ignorował wszelkie próby przepędzenia.

Trwało to godzinami, aż Conan zazgrzytał zębami, doprowadzony do szewskiej pasji i obiecując bogom, że jeżeli tylko pozwolą mu ubić natrętne ptaszysko, chętnie odda połowę swego królestwa.

– Do jasnej, ciężkiej, jebanej cholery! – ryknął w bezcelowym gniewie, grożąc krukowi olbrzymią opancerzoną pięścią. – Czego tak mi kraczesz nad łbem? Szlag by cię trafił, skrzydlaty kutafonie! Spieprzaj na pole jakiegoś chłopca i tam kracz, sraj i wyżeraj mu plony!

Wjeżdżał właśnie na pierwsze szczyty wzgórz i zdało mu się, że słyszy echo ptasiego skrzeku gdzieś daleko za sobą. Odwracając się w siodle, zauważył teraz kolejną czarną plamę zwieszającą się ku niemu z błękitu. Z tyłu ponownie błysnęło odbite w stali południowe słońce. Mogło to znaczyć tylko jedno: uzbrojeni mężczyźni. Nie jechali po ubitej drodze, która znajdowała się za horyzontem, poza zasięgiem jego wzroku. Jechali za nim. Jego twarz spochmurniała i wzdrygnął się lekko, spoglądając na kołującego wysoko nad nim kruka.

– Zatem to takie buty... – wymamrotał. – To nie kaprys tego bezrozumnego ptaszyska. Ci jeźdźcy nie mogą zobaczyć ciebie, ale ciebie mogą wypatrzeć inne ptaki, a one z kolei mogą być widziane przez jeźdźców, czyli oni widzą ptaki, które widza ptaka, który widzi mnie... I co, ptaszysko, jesteś tylko sprytnie wytresowanym, pierzastym stworzeniem, czy może jakiś diabłem w ciele ptaka? Czy Xaltotun posłał cię moim tropem? Czy jesteś Xaltotunem?

Odpowiedział mu tylko przenikliwy skrzek, skrzek wibrujący bezlitosną drwiną.

Conan nie zdzierał sobie więcej gardła na mrocznego zdrajcę. Ponuro wkroczył między monotonne pasma wzgórz, ale nie miał odwagi popędzać za bardzo konia; odpoczynek, na który mu pozwolił, nie był wystarczający, by odświeżyć jego siły. Wciąż jeszcze znajdował się daleko od swoich prześladowców, ale ci na pewno szybko spróbują zmniejszyć dzielący ich dystans. Było prawie pewne, że ich konie są bardziej wypoczęte niż jego rumak, gdyż na pewno wymienili wierzchowce w niedawno mijanym zamku.

Podejście stawało się coraz trudniejsze, sceneria bardziej poszarpana, strome, trawiaste wzgórza przemieniały się w gęsto porośnięte górskie zbocza. Wiedział, że tu byłby w stanie zgubić swych prześladowców –

gdyby nie ten piekielny ptak, który nieustająco krakał mu nad głową. Nie mógł ich już zobaczyć w tym nierównym terenie, ale był pewien, że wciąż za nim pędzili, nieomylnie prowadzeni przez swego upierzonego sojusznika. Czarny kształt nad głową stał się dlań czymś podobnym do demonicznego inkuba, który tropił go z piekielnych otchłani. Kamienie, które rzucał z przekleństwem na ustach omijały go szerokim łukiem albo upadały bez skutku, chociaż w młodości Conan był w stanie powalać w ten sposób lecące jastrzębie.

Koń męczył się coraz szybciej. Conan zdał sobie sprawę ze swojego fatalnego położenia. Wyczuwał, że steruje tym wszystkim jakieś nieubłagane przeznaczenie. Nie mógł uciec. Był jeńcem w takim samym stopniu, jak w lochach Belverus. Ale nie był synem orientu, by poddawać się temu, co zdawało się nieuniknione! Skoro nie mógł uciec, spróbuje przynajmniej zabrać paru swoich wrogów ze sobą do wieczności. Skreślił w rozciągającą się szeroko gęstwinę modrzewi, za którymi kryło się wzgórze i rozejrzał się za miejscem, w którym mógłby stanąć na czatach.

Wtedy gdzieś przed nim rozległ się dziwny, przenikliwy dźwięk – ludzki, choć o dziwnym tembrze głosu. Przedarł się przez ścianę gałęzi i poznał źródło tego upiornego odgłosu. Na małej polanie pod nim czterech żołnierzy w nemedyjskich kolczugach zakładało pętlę na szyję wychudzonej, starej kobiecie w wieśniaczym stroju. Leżący nieopodal na ziemi pęk chrustu, przewiązany sznurkiem, zdradzał, czym zajmowała się staruszka w momencie, w którym zaskoczyli ją ci maruderzy.

Conan poczuł, że powolny gniew wzbiera w jego sercu, kiedy patrzył w dół i widział, jak banda zdegenerowanych oprychów ciągnie kobietę do drzewa, którego niskie gałęzie miały naturalnie posłużyć im za szubienicę. Przekroczył granicę godzinę temu. Stał na swoim własnym gruncie, obserwując mord na jednej ze swoich poddanych. Stara kobieta walczyła z zaskakującą siłą i energią; kiedy tak patrzył, podniosła głowę i krzyknęła raz jeszcze, dziwnym, nieziemskim, niosącym się daleko krzykiem, który słyszał już przedtem. Zawtórował jej drwiąco trzepoczący nad drzewami kruk. Żołnierze roześmiali się hardo, a jeden z nich huknął ją pięścią w usta.

Conan zsiadł ze swojego zmęczonego rumaka i rozpędzając się na skałach skoczył, lądując na murawie z brzękiem kolczugi. Maruderzy odwrócili się na ten dźwięk i wyciągnęli broń, patrząc w osłupieniu na stojącego przed nimi olbrzyma z mieczem w dłoni.

Conan roześmiał się bezlitośnie. Jego oczy były zimne i twarde jak kamień.

– Psy! – powiedział beznamiętnym i bezlitosnym głosem. – Czyżby nemedyjskie szakale rościły sobie pretensje do bycia katami i wieszania moich poddanych podług swojej woli? Najpierw musicie ściąć głowę króla tych ziem. Oto jestem i czekam, by sprawić wam przyjemność!

Żołdacy spojrzeli po sobie z niepewnością, kiedy kroczył w ich kierunku.

– Co to za szaleniec? – warknął brodaty oprych. – Nosi nemedyjską zbroję, ale mówi z akwilońskim akcentem.

– To bez znaczenia – rzekł inny. – Zarznijmy go, a potem powiesimy starą wiedźmę.

Mówiąc to, ruszył na Conana z uniesionym mieczem. Nie zdążył uderzyć, bo wielkie ostrze króla śmignęło w powietrzu, rozwalając hełm i czaszkę śmiałka. Mężczyzna upadł u stóp władcy Akwilonii, ale pozostali byli twardymi zbirami. Porozumiewali się jak wilki i roili się wokół samotnej postaci w szarej zbroi, a krzyk i szczęk stali zagłuszył nawet krakanie kołującego kruka. Conan nie krzyczał. Jego oczy jarzyły się błękitnym ogniem jak dwa węgle, a usta uśmiechały się ponuro, kiedy uderzał na prawo i lewo swym mieczem. Mimo pokaźnych rozmiarów był zwinny i szybki jak kot; ciągle w ruchu stanowił nieuchwytny cel, miecze przeciwników cięły puste powietrze. Kiedy jednak on uderzał, znajdował się w doskonałej równowadze i jego ciosy opadały z niszczycielską siłą. Trzech spośród czterech mężczyzn leżało już na ziemi, tonąc we własnej krwi, a czwarty krwawił z tuzina ran, potykając się w karkołomnym odwrocie i parując dziko ciosy przeciwnika. Nagle Conan potknął się o jednego z mężczyzn leżących na ziemi.

Zanim Król zdołał się pozbierać, Nemedyczyk w desperackim szaleństwie ruszył na niego z taką dzikością, że Conan zachwiał się i upadł bezładnie na jednego z trupów. Nemedyczyk wrzasnął triumfalnie i rzucił się do przodu, unosząc swój wielki miecz nad prawe ramię i rozstawiając szeroko nogi do ciosu... I wtedy nad powalonym królem przemknęło coś olbrzymiego i włochatego, uderzając jak błyskawica w pierś marudera. Jego triumfalny krzyk zmienił się w opętańczy wrzask śmierci.

Conan zerwał się na równe nogi i zobaczył leżącego trupa z rozszarpanym gardłem i stojącego nad nim z pochylonym łbem wielkiego, szarego wilka, węszącego krew, która utworzyła kałużę w trawie.

Król odwrócił się na słowa starej kobiety. Stała przed nim, wyprostowana i wysoka, a pomimo postrzępionego ubioru jej proste i orle rysy oraz bystre, czarne oczy nie przypominały twarzy zwykłej wieśniaczki. Zawołała wilka, a ten podbiegł do jej boku jak ogromny pies i potarł olbrzymim barkiem o jej kolano, patrząc na Conana wielkimi, zielonymi oczami niewinnymi jak u baranka. Poruszona zajściem kobieta położyła swą dłoń na jego potężnej szyi i tak stali, patrząc na króla Akwilonii. Ich spokojny wzrok wydał mu się niepokojący, choć nie było w nim wrogości.

– Ludzie mówią, że król Conan zginął pogrzebany pod kamieniami i pyłem, gdy zawaliły się urwiska nad Valkią – powiedziała głębokim, mocnym, wibrującym głosem.

– Tak mówią – warknął. Nie miał ochoty na sprzeczki i myślał o tych uzbrojonych jeźdźcach, którzy z każdą chwilą zbliżali się coraz bardziej. Kruk ponad nimi krakał przeraźliwie i Conan mimowolnie rzucił w górę spojrzenie, szczerząc zęby w spazmie nerwowego poirytowania.

Biały koń stał na skale z opuszczoną głową. Stara kobieta spojrzała na niego, potem na kruka, a następnie wzniosła dziwny i osobliwy krzyk, podobny do tego, jaki wydawała wcześniej. Jak gdyby rozpoznając zawołanie, kruk obrócił się, nagle zupełnie niemy, i popędził na wschód. Ale zanim zniknął im z oczu, przykrył go cień wielkich skrzydeł. Zza drzew wzbił się orzeł i wznosząc się ponad kruka, zanurkował i przygniótł czarnego posłańca do ziemi. Przenikliwy głos zdrady ucichł na zawsze.

– Na Croma! – wymamrotał Conan, patrząc na starą kobietę. – Jesteś wiedźmą?

– Nazywam się Zelata – odparła. – Ludzie w dolinach nazywają mnie wiedźmą. Czy to dziecię ciemności naprowadzało uzbrojonych mężczyzn na twój ślad?

– Tak. – Kobieta bynajmniej nie uznała tej odpowiedzi za niedorzeczną. – Nie mogą być daleko za mną.

– Weź swojego konia i chodź za mną, królu Conanie – powiedziała krótko.

Conan bez komentarza wspiął się na skały i sprowadził swego konia po krętej ścieżce na polanę. Kiedy nadszedł, po raz kolejny pojawił się orzeł, który spłynął leniwie z nieba i przysiadł na moment na ramieniu Zelaty, rozpościerając nieco swe wielkie skrzydła, aby nie przygnieść jej swoją wagą.

Kobieta bez słowa poprowadziła naprzód – z wielkim wilkiem u boku i z orłem kołującym ponad głową. Wiodła Conana przez gęste, głębokie zarośla i wzdłuż skalnych występów, rozciągających się nad głębokimi jarami. W końcu przeszli wąską ścieżką nad skrajem przepaści i doszli do dziwnego, kamiennego budynku – na wpół chatki, na wpół jaskini, ukrytej pod nawisem skalnym między rozpadlinami i rzędami skał. Orzeł wleciał na przypominający pinakiel ostry szczyt urwiska i zasiadł tam jak nieruchomy wartownik.

Wciąż milcząca Zelata zaprowadziła konia do pobliskiej jaskini, pełnej liści i trawy służących za paszę i z małym źródłem wesoło szemrzącym w skąpanym w półmroku zagłębieniu skały.

W chacie kobieta posadziła króla na prymitywnej, pokrytej skórą ławie, a sama zasiadła na niskim stołku przed maleńkim kominkiem, rozniecając ogień gałązkami tamaryszka i przygotowując skromny posiłek. Wielki wilk drzemał u jej stóp, zwrócony pyskiem do ognia, z wielką głową położoną na łapach i strzygł uszami we śnie.

– Nie boisz się siedzieć w chacie wiedźmy? – zapytała w końcu, przerywając milczenie.

Jedyną odpowiedzią gościa było niecierpliwe wzruszenie ramionami. Kobieta wręczyła mu drewniane naczynie pełne suszonych owoców, sera i chleba jęczmiennego, a także wielki dzban mocnego, górskiego piwa, warzonego z jęczmienia rosnącego w podgórskich dolinach.

– Tajemnicza cisza wąwozów jest mi bardziej droga niż gwar miast – powiedziała kobieta. – A dzieci dziczy milsze niż ludzkie. – Jej ręka pogłaskała prędko kark śpiącego wilka. – Dziś moje dzieci znajdowały się daleko ode mnie; w przeciwnym razie nie potrzebowałabym twojego miecza, mój królu. Zawsze przybywają na moje wołanie.

– Jaką urazę żywiły w stosunku do ciebie te nemedyjskie psy? – spytał Conan.

– Maruderzy z armii najeźdźców włóczą się po całym kraju, od granicy aż po Tarantię – odparła. – Głupi wieśniacy w dolinie powiedzieli im, że ukrywam gdzieś zapasy złota, chcąc w ten sposób odwrócić ich uwagę od swoich domostw. Zażądali ode mnie skarbu i rozeźliły ich moje odpowiedzi. Ale ani maruderzy, ani ścigający cię ludzie, ani żaden kruk nie znajdą cię tutaj.

Conan potrząsnął głową, jedząc łapczywie.

– Jadę do Tarantii.

Teraz kobieta pokiwała głową.

– Pakujesz głowę w paszczę smoka. Lepiej szukaj schronienia za granicą. Twojemu królestwu brakuje serca.

– Co masz na myśli? – zapytał. – Już nieraz ci, którzy przegrywali bitwy, wygrywali wojnę. Królestwo nie upada po jednej porażce.

– A więc pojedziesz do Tarantii?

– Tak! Prospero będzie jej bronił przed Amalrykiem.

– Jesteś pewien?

– Do stu diabłów, kobieto! – wrzasnął Conan z gniewem. – I co jeszcze?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Czuję, że jest inaczej, niż mówisz. Zobaczmy. Niełatwo jest odsłonić zasłonę, ale może mi się uda i dzięki temu zobaczysz swoją stolicę.

Conan nie widział, co kobieta dorzuciła do ognia, ale wilk zaskamlał przez sen, a w chacie zebrał się zielony dym, który skłębił się pod sufitem. Na oczach Conana ściany i sufit zdawały się rozszerzać, znacznie urosły i zniknęły, zlewając się z nieskończonymi przestrzeniami wokół. Spowijał ich dym, zakrywający przed nimi wszystko. W chmurze poruszały się i bladej różne kształty; nagle wszystko stało się jasne i przejrzyste.

Patrzył na znane sobie wieże i ulice Tarantii, na których krzyczał i wściekał się tłum; jednocześnie Conan był jednak w stanie w jakiś sposób dojrzeć flagi Nemedii, nieubłagane poruszające się naprzód poprzez dym i płomień łupionej ziemi. Na wielkim placu stolicy kłębił się i jazgotał histeryczny tłum, wrzeszcząc, że król umarł, że baronowie ochraniają się wzajemnie, by podzielić ziemię między siebie i że władza króla, nawet Valeriusa, będzie lepsza niż anarchia. Między nimi jechał Prospero w błyszczącej zbroi, usiłując ich uspokoić, prosząc, by zaufali hrabiemu Trocero i nalegając, by ruszyli na mury i pomogli jego rycerzom w obronie miasta. Skierowali się w jego stronę, skrzecząc ze strachu i bezsensownego gniewu, warcząc, że jest rzeźnikiem Trocero, gorszym wrogiem niż sam Amalryk. Rycerstwo obrzucane było przekleństwami i kamieniami.

Lekkie rozmazanie obrazu oznaczało zmianę scenerii. W następnej chwili Conan ujrzał, jak Prospero i jego rycerze wysypują się z bram i pędzą na południe. Za nimi grzmiała wrzawa mieszczan.

– Głupcy! – mruknął szorstko Conan. – Głupcy! Dlaczego nie ufają Prosperowi? Zelato, jeśli zwodzisz mnie w jakiś sposób, pokazując mi tu tylko sztuczki...

– Tak się zdarzyło – odparła Zelata niewzruszonym, choć ponurym tonem. – Był to zmierzch poprzedniego dnia, kiedy Prospero wyjechał z Tarantii, mając zastępy Amalryka niemal w zasięgu wzroku. Ludzie zobaczyli z murów płomienie z grabionych wsi, siół i miasteczek. Tak wyczytałam w dymie. O zmierzchu Nemedycy wjechali do Tarantii, nie napotykając oporu. Spójrz! Nawet teraz, w królewskim holu w Tarantii...

Nagle Conan zajrzał do wielkiej sali koronacyjnej. Valerius stał na królewskim podwyższeniu odziany w gronostajowe szaty, a Amalryk, wciąż w zakurzonej i poplamionej krwią zbroi, zakładał mu na blond głowę bogaty i błyszczący diadem – koronę Akwilonii! Ludzie wiwatowali. Długie rzędy odzianych w stal nemedyjskich wojowników przyglądały się im ponuro, a szlachta, która od dawna była w niełasce na dworze Conana, panoszyła się i puszyła z emblematami Valeriusa na rękawach.

– Na Croma! – To gwałtowne przekleństwo buchnęło z ust Conana, kiedy zerwał się na równe nogi z pięściami zaciśniętymi na kształt młotów, z pulsującymi na skroniach żyłami, z wykrzywioną konwulsyjnie twarzą. – Nemedyczyk zakładający temu renegatowi koronę na głowę... W królewskiej sali w Tarantii!

Jak gdyby jego głos złamał zakłęcie, dym rozproszył się i Conan zobaczył czarne oczy Zelaty spoglądające na niego z blaskiem poprzez mgłę.

– Widziałeś to. Ludzie w twojej stolicy zrzekli się wolności, na którą ty zapracowałeś potem i krwią, sprzedali się panom niewolników i rzeźnikom. Udowodnili, że nie wierzą w swoje przeznaczenie. Czy możesz im zaufać przy odbijaniu twego królestwa?

– Myśleli, że nie żyję – warknął on, odzyskując nieco rezon. – Nie mam syna. Wspomnienie nie może władać ludźmi. Co z tego, że Nemedycy wzięli Tarantię? Wciąż jeszcze pozostają prowincje, baronowie i wiejski lud. Valerius zdobył próżną chwałę.

– Jesteś uparty, jak przystało na prawdziwego barbarzyńcę. Nie mogę pokazać ci przyszłości, nie mogę pokazać ci całej przeszłości. Nie, nic ci nie pokażę. Po prostu sprawię, że zobaczysz, jak nieznane siły otwierają okna w zasłonie. Czy zajrzałbyś w przeszłość, poszukując klucza do teraźniejszości?

– Tak. – Conan usiadł gwałtownie.

Po raz kolejny uniósł się i zawirował zielony dym. Znów odsłaniały się przed nim obrazy, tym razem obce i pozornie nic nieznaczące. Ujrzał

wielkie, wysokie, czarne mury, częściowo ukryte w cieniu piedestały, podtrzymujące posągi obrzydliwych, na wpół zwierzęcych bogów. Wśród cieni poruszali się ludzie – ciemni, żyłaści, odziani w czerwone jedwabne przepaski na biodrach. Przenosili sarkofag z zielonego jaspisu wzdłuż olbrzymiego, czarnego korytarza. Ale zanim zdał sobie sprawę z tego, co się działo, scena zmieniła się. Ujrzał jaskinię, ponurą, cienistą i nawiedzoną dziwnym, nienamacalnym koszmarem. Na ołtarzu z czarnego kamienia stało osobliwe, złote naczynie w kształcie muszli małży. Do jaskini weszli niektórzy z tych ciemnych, żylastych mężczyzn, którzy nieśli wcześniej trumnę z mumią. Chwycili złote naczynie, lecz potem cienie zawirowały wokół nich i Conan nie wiedział, co się stało. W spirali ciemności ujrzał jednak światełko, podobne do kuli żywego ognia. Potem dym stał się już tylko dymem, unoszącym się z ogniska z tamaryszkowych gałęzi, by zniknąć w powietrzu.

– Co to wnosi do sprawy? – dopytywał w zdumieniu. – Mogę zrozumieć to, co zobaczyłem w Tarantii. Co ma jednak znaczyć ten rzut oka na zamoriańskich złodziei zakradających się do podziemnej świątyni Seta w Stygii? A ta jaskinia... Nigdy nie widziałem czegoś podobnego ani nie słyszałem o tym podczas swoich wędrówek. Jeśli możesz pokazać mi tyle, te strzępy wizji, które same w sobie nic nie znaczą, dlaczego nie możesz objaśnić mi tego, co się wydarzy?

Zelata rozgarnęła palenisko, nic nie mówiąc.

– Te rzeczy rządzą się niezmiennymi prawami – powiedziała w końcu. – Nie mogę sprawić, byś zrozumiał. Ja sama w pełni tego nie pojmuję, chociaż szukałam wiedzy w ciszy wysokich miejsc od tylu lat, że sama już ich nie liczę. Nie mogę cię uratować, choć zrobiłabym to, gdybym umiała. Koniec końców, człowiek sam musi zapracować na własne wybawienie. Ale być może mądrość spłynie na mnie podczas snu i o świcie będę mogła dać ci klucz do zagadki.

– Jakiej zagadki? – zapytał.

– Tajemnicy, której stawiasz czoła, odkąd straciłeś królestwo – odparła, po czym rozciągnęła owczą skórę na podłodze obok ognia. – Śpij! – powiedziała krótko.

Nic nie mówiąc, Conan rozciągnął się na skórze i zapadł w niespokojny, lecz głęboki sen, w którym poruszały się ciche duchy i pełgały monstrualne, bezkształtne cienie. Zobaczył potężne mury i miasta odznaczające się na tle purpurowego horyzontu bez słońca; były one wybudowane w stylu, jakiego

nie widział jeszcze na żadnym krańcu ziemi... Jego kolosalne pylony i szkarłatne minarety wznosiły się pod same gwiazdy, a ponad wszystkim, falując jak gigantyczna fatamorgana, wisiała brodata twarz Xaltotuna...

Conan otworzył oczy w chłodnej jasności wczesnego świtu i zobaczył, że Zelata przycupnęła obok małego ogniska. Nie obudził się w nocy ani razu, choć odgłosy wchodzenia lub wychodzenia wielkiego wilka powinny go wybić ze snu. Ale wilk znajdował się na swym miejscu obok paleniska; jego włochate futro było mokre od rosy, ale nie tylko. W gęstej sierści błyskała mokra krew, a na jego barku widniało rozcięcie.

Zelata skinęła głową, nie podnosząc głowy, jak gdyby odgadując myśli swego królewskiego gościa.

– Ruszył na polowanie przed świtem i było ono krwawe. Myślę, że ten, kto polował na króla, nie będzie już polował w ogóle – ani człowiek, ani bestia.

Idąc po jedzenie, które zaoferowała mu wiedźma, Conan spojrzął na wielkie stworzenie z dziwną fascynacją.

– Kiedy wrócę na tron, nie zapomnę o tym – powiedział krótko. – Okazałaś mi przyjaźń i udzieliłaś pomocy. Na Croma! Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni spałem jak dziecko, powierzając swoje bezpieczeństwo czy to kobiecie, czy mężczyźnie, tak jak tej nocy. Co jednak z zagadką, którą miałaś mi odczytać o świcie?

Zapadła długa cisza, w której niosło się tylko trzeszczenie tamaryszku w palenisku.

– Znajdź serce swojego królestwa – powiedziała w końcu. – Leży w nim twa klęska i twa moc. Walczysz z kimś więcej niż ze śmiertelnikiem. Nie wrócisz na tron, dopóki nie znajdziesz serca swego królestwa.

– Masz na myśli Tarantię?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Jestem tylko wyrocznią, przez której usta przemawiają bogowie. A ci zamkną mi je, jeśli powiem za dużo. Musisz znaleźć serce swojego królestwa. Nie mogę powiedzieć więcej. Moje usta otwierają się i zamykają na życzenie bogów.

Kiedy Conan ruszył na zachód, świt wciąż jeszcze bielił się wśród szczytów. Rzut oka za siebie ukazał mu stojącą w drzwiach swej chaty Zelatę, nieprzeniknioną jak zawsze, z wielkim wilkiem u boku.

Jechał pod sklepieniem szarego nieba, a jęczący wiatr mroził, zapowiadając nadejście zimy. Brązowe liście opadały powoli z nagich gałęzi i przyprószały jego opancerzone ramiona.

Conan pędził przez wzgórza cały dzień, unikając dróg i wiosek. O zmierzchu zaczął schodzić ku dolinom, poziom za poziomem i ujrzał rozciągające się pod jego stopami szerokie równiny Akwilonii.

Po zachodniej stronie gór wioski i gospodarstwa leżały niemal u stóp wzgórz; od półwiecza większość przygranicznych wypadów nadchodziła ze strony Akwilonii. Teraz jednak tam, gdzie niegdyś stały chaty farmerów i bogate domostwa, ziały niedopalone szczątki dobytku i wały się popioły.

W nadciągającej ciemności Conan poruszał się powoli naprzód. Nie bał się, że ktoś go zobaczy, czy to przyjaciel, czy to wróg. Nemedycyzy pamiętali dawne potyczki podczas swych zachodnich najazdów, a Valerius nie próbował nawet powstrzymać nowych sojuszników. Nie liczył na miłość ludu. Żniwo zniszczenia zostało zebrane od stóp pogórza ku zachodowi. Conan klął, przemierzając wypalone obszary, które niegdyś były żyznymi polami, patrząc na ponure resztki krokwi spalonych domów, odcinające się na tle nieba. Poruszał się przez pusty i opuszczony kraj jak duch zapomnianej i dawnej przeszłości.

Prędkość, z jaką wojsko przemierzyło kraj, świadczyła o tym, jak mały opór napotkało na swojej drodze. Gdyby to Conan prowadził swych Akwilończyków, armia najeźdźców musiałaby zapłacić krwią za każdą stopę zdobytego terenu. Gorzka świadomość ogarnęła jego duszę; nie był reprezentantem dynastii. Był tylko samotnym wędrowcem. Nawet jedna kropla dynastycznej krwi, którą tak się chwalił Valerius, utkwiałaby bardziej w pamięci ludu niż wspomnienie wolności i potęgi, jakie Conan dał królestwu.

Żaden prześladowca nie wyjechał za nim ze wzgórz. Conan szukał wzrokiem błakających się lub powracających oddziałów nemedyjskich, ale żadnego nie napotkał. Maruderzy dawali mu wolną drogę, sądząc po jego zbroi, że jest jednym ze zdobywców. Po zachodniej stronie wzgórz gaje i rzeki były bardziej obfite i nie brakowało mu miejsc, w których mógł się ukryć.

Poruszał się więc po splądrowanym terenie, zatrzymując się tylko po to, by dać odpocząć swemu koniowi i spożywając skromne posiłki, które dała mu Zelata. Pewnego dnia o świcie, kiedy leżał ukryty na brzegu rzeki w miejscu porośniętym gęsto dębami i sitowiem, w oddali, za falującymi równinami, upstrzonymi gęstymi zagajnikami, dostrzegł błękitne i złote wieże Tarantii.

Nie znajdował się już na opustoszałych terenach; ziemie tętniły tu życiem o różnorodnym natężeniu. Od tego momentu posuwał się powoli i uważnie, wyłącznie przez gęste lasy i nieuczęszczane boczne drogi. O zmierzchu dotarł na plantację Serviusa Gallanusa.

ROZDZIAŁ ÓSMY

GASNĄCE GŁOWNIE

Wiejskie tereny dookoła Tarantii uniknęły straszliwego losu bardziej wysuniętych na wschód prowincji. Widać było ślady przemarszu armii zdobywców: połamane płoty, splądrowane pola i spustoszone spichlerze, ale ogień i miecz nie rozpanoszyły się tu na całego.

Krajobraz mąciła tylko jedna ponura plama: zwęglony teren pełen popiołów i szerniałych kamieni. Conan wiedział, że w tym miejscu stała niegdyś okazała willa jednego z najbardziej mu oddanych ludzi.

Król nie odważył się zbliżyć otwarcie do farmy Gallanusa, która leżała o kilka mil od miasta. O zmierzchu przejechał przez szeroki las, aż dotarł do stojącej pomiędzy drzewami chatki strażnika. Zszedł z konia i uwiązał go, po czym podszedł do grubych, wygiętych w łuk drzwi, mając zamiar posłać dozorcę po Serviusa. Nie wiedział, jacy wrogowie mogą kryć się w dworku. Nie zauważył żadnych oddziałów, ale mogli przecież stacjonować w wielu miejscach we wsi. Kiedy jednak podszedł bliżej, zobaczył, że drzwi otwierają się i wychodzi z nich krępa postać w jedwabnych trykotach i bogato zdobionym kubraku. Mężczyzna stanął na wijącej się w stronę drzew drodze.

– Serviusie!

Na jego ciche zawołanie właściciel plantacji odwrócił się ze zdziwionym okrzykiem. Jego ręka poszybowała do krótkiego noża myśliwskiego u boku, po czym cofnął się na widok wysokiej, odzianej w szarą zbroję postaci, która stała przed nim w ciemności.

– Kim jesteś? – zapytał. – Jaki jest twój... Na Mitrę!

Servius wciągnął ze świstem powietrze, a jego rumiana twarz pobladła.

– Przepadnij! – wybuchnął. – Dlaczego wracasz z szarych krain śmierci, aby mnie straszyć? Przez całe twoje życie byłem twym wiernym wasalem...

– I oczekuję, że nadal nim będziesz – odparł Conan. – Przestań się trząść. Jestem człowiekiem z krwi i kości.

Pocąc się, Servius niepewnie podszedł i spojrzał w twarz odzianemu w zbroję gigantowi, po czym, przekonany o rzeczywistości tego, co

zobaczył, uklęknął na jedno kolano i zdjął swą ozdobioną piórami czapkę.

– Wasza wysokość! Doprawdy, to cud przechodzący ludzkie pojęcie! Kilka dni temu wielki dzwon z cytadeli obwieszczał głośno twoją śmierć. Ludzie mówili, że zginąłeś nad Valkią, przygnieciony milionami ton ziemi i odłupanego granitu.

– Inny człowiek przywdział moją zbroję – warknął Conan. – Ale pomówimy o tym później. Jeśli masz na stole coś takiego jak kawał wołowiny...

– Wybacz mi, mój panie! – krzyknął Servius, stając na równe nogi. – Na twojej zbroi szarzy się kurz podróży, a ja zabawiam cię tutaj, nie ofiarowując ci wypoczynku ani wieczerzy. Na Mitrę! Widzę teraz całkiem dobrze, że żyjesz, ale przysięgam, że kiedy odwróciłem się i ujrzałem cię, szarego i ponurego w świetle zachodzącego słońca, kolana ugięły się pode mną. To przerażająca rzecz, zobaczyć w lesie o zmierzchu człowieka, o którym myśli się, że nie żyje.

– Rozkaż dozorczy, by zajął się moim koniem, który stoi uwiązany za tamtym dębem – poprosił Conan, a Servius skinął głową, prowadząc króla w górę ścieżki. Mimo że odzyskiwał już równowagę po przejmującym strachu, wciąż był strasznie nerwowy.

– Wyślę służącego z dworu – powiedział. – Strażnik jest w swojej budce, ale w tych czasach nie mam odwagi zawierzać nawet moim służącym. Lepiej będzie, jeśli tylko ja będę wiedział o twojej obecności.

Podchodząc do wielkiego domu, który błyszczał niewyraźnie między drzewami, Servius skręcił w mało używaną ścieżkę, biegnącą pod gęsto zasadzonymi dębami. Ich splecione gałęzie tworzyły sklepienie, które odcinało dopływ nikłego światła zapadającego zmierzchu. Szedł pospiesznie w ciemności, bez słów, a coś w jego zachowaniu zdradzało panikę; w końcu wprowadził Conana przez małe boczne drzwi do wąskiego, marnie oświetlonego korytarza. Przemierzyli go naprędce w zupełnej ciszy. Servius zaprowadził króla do przestronnej komnaty o wysokim, obitym dębowym drewnem suficie i ścianami z bogatą boazerią. Na szerokim palenisku tliły się pniaki, gdyż w powietrzu czuć już było mróz. Na szerokim, mahoniowym stole na kamiennym talerzu parował mięsny pasztet. Servius zamknął masywne drzwi i zgasił świece, które stały na stole w srebrnym kandelabrze, pozostawiając komnatę w półmroku, rozświetlanym tylko przez ogień na palenisku.

– Wybacz, wasza wysokość – tłumaczył się. – To niebezpieczne czasy. Szpiedzy czają się wszędzie. Lepiej, jeśli nikt nie będzie w stanie zajrzeć przez okna i rozpoznać cię. Jednak ten pasztet jest prosto z pieca, ponieważ miałem zamiar wieczerzać po powrocie z obchodu z moim dozorcą. Jeśli wasza wysokość raczy...

– Światło jest wystarczające – mruknął Conan, rozsiadając się bez ceregieli i wyciągając swój sztylet.

Zatopił żarłocznie zęby w soczystym daniu i popił je wielkimi łykami wina z winogron wyhodowanych na plantacjach Serviusa. Zdawał się obojętny na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, ale Servius zastygł sztywno na ławie przed ogniem i nerwowo macał wielki złoty łańcuch na szyi. Nieustannie zerkał na opatrzone romboidalnymi fasetkami okna, błyszczące mdło w świetle ognia i nadstawiał ucha w kierunku drzwi, jak gdyby niemal oczekiwał odgłosu ukradkowych kroków na zewnętrznym korytarzu.

Zakończywszy wieczerzę, Conan podniósł się i usadowił na długiej ławie przed ogniem.

– Nie będę wystawiać cię na niebezpieczeństwo moją obecnością, Serviuse – powiedział nagle. – Świt zastanie mnie daleko za twoją plantacją.

– Mój panie... – Servius podniósł dłonie w proteście, ale Conan machnął tylko ręką.

– Znam twoją lojalność i twą odwagę. Obie są bez zarzutu. Ale skoro Valerius uzurpował sobie prawo do mojego tronu, trzymanie mnie tutaj będzie dla ciebie śmiertelnym niebezpieczeństwem, jeśli zostaniesz odkryty.

– Nie jestem wystarczająco silny, by wyzwać go otwarcie do boju – przyznał Servius. – Pięćdziesięciu mężczyzn, których mógłbym poprowadzić do bitwy, zostałyby zdmuchniętych jak piórko. Widziałeś zgliszcza plantacji Emiliusa Scavonusa?

Conan przytaknął, purpurowiejąc z gniewu.

– Jak wiesz, był to najsilniejszy patrycjusz w tej prowincji. Odmówił oddania hołdu Valeriusowi. Nemedycyzcy spalili go w ruinach jego własnej posiadłości. Po tym zdarzeniu reszta zrozumiała, że opór jest bezsensowny, zwłaszcza kiedy ludzie z Tarantii odmówili dalszej walki. Poddaliśmy się, a Valerius oszczędził nas, chociaż obłożył podatkiem, który wielu doprowadzi w końcu do ruiny. Co mogliśmy jednak zrobić? Myśleliśmy, że zginąłeś. Zabito wielu baronów, innych pojmano

i uwięziono. Armia została rozbita i rozproszona. Nie masz dziedzica, który przejąłby koronę. Nie było nikogo, kto by nas poprowadził.

– Czy nie było tu hrabiego Trocera z Poitanii? – zapytał szorstko Conan. Servius rozłożył ręce w bezradnym geście.

– To prawda, że jego generał, Prospero, stanął na polu z małą armią. Wycofując się przed Amalrykiem, nakłaniał ludzi, by zjednoczyli się pod jego flagą. Ale skoro zginąłeś, wasza wysokość, ludzie przypomnieli sobie dawne konflikty i wojny domowe, i to, że Trocero wraz ze swymi Poitańczykami najechał kiedyś te prowincje ogniem i mieczem, tak jak teraz Amalryk... Baronowie zazdrościli Trocerowi. Jacyś ludzie – być może szpiedzy Valeriusa – wykrzykiwali, że hrabia Poitanii spróbuje przywłaszczyć sobie koronę. Ożyła dawna nienawiść między klanami. Gdybyśmy mieli choćby jednego człowieka, w którego żyłach płynęłaby krew dynastii, obsadzilibyśmy go na tronie i poszli za nim przeciwko Nemedii. Ale nie było nikogo. Baronowie, którzy podążali za tobą lojalnie, nie pójdą za nikim z ich kasty, gdyż każdy z nich uważa się za równie dobrego jak jego sąsiad i każdy zna ambicje pozostałych. Ty byłeś sznurem, który trzymał razem tę wiązkę chrustu. Kiedy przecięto sznur, rozsypała się. Gdybyś miał syna, baronowie przyłączyliby się do niego lojalnie. Ale ich patriotyzm nie miał punktu zaczepienia. Lud i kupcy, wietrząc anarchię i powrót dni feudalnych, kiedy każdy baron sam stanowił prawo, wrzasnęli, że lepszy jakikolwiek król niż żaden, nawet jeśli miałby nim być Valerius, w którego żyłach przynajmniej płynie odrobina królewskiej krwi. Nikt mu się nie przeciwstawił, kiedy wjechał na czele żelaznych zastępów ze szkarłatnym smokiem Nemedii powiewającym nad głową i uderzył kopią we wrota Tarantii. Mieszkańcy otworzyli mu bramy i złożyli mu hołd. Odmówili Prosperowi pomocy w utrzymaniu miasta. Powiedzieli, że wolą być poddanymi Valeriusa niż Prospera. Mówili – i słusznie – że baronowie nie przyłączą się do Trocera, ale że wielu z nich zaakceptuje Valeriusa. Powiedzieli, że jeśli mu się poddadzą, unikną zniszczeń wojny domowej i furii Nemedyczyków. Prospero ruszył na południe ze swymi dziesięcioma tysiącami rycerzy i kilka godzin później Nemedyczycy wkroczyli do miasta. Nie pojechali za nim. Zostali w mieście, by zobaczyć koronację Valeriusa w Tarantii.

– A więc dym starej wiedzy ukazał mi prawdę... – wymamrotał Conan, czując dziwny dreszcz na plecach. – Czy to Amalryk ukoronował Valeriusa?

– Tak, w sali koronacyjnej, z ledwo zaschniętą krwią na dłoniach.

– I co, ludziom dobrze się wiedzie teraz pod jego łaskawymi rządami? – zapytał Conan z pełną gniewu ironią.

– Żyje tu jak obcy księżę na podbitych przez siebie terenach – odparł gorzko Servius. – Na jego dworze roi się od Nemedyczyków, oddziały pałacowe są tej samej rasy, a w cytadeli stacjonuje ich duży garnizon. Tak w końcu nadeszła Godzina Smoka. Nemedyczycy panoszą się na ulicach. Na co dzień dobierają się do każdej kobiety i plądrują stoiska kupców, a Valerius albo nie chce, albo nie może interweniować – w każdym razie nie robi nic, aby to ukrócić. Nie, on jest tylko marionetką, figurantem. Co bystrzejsi wiedzieli, że tak będzie i lud zaczyna zdawać sobie z tego sprawę. Amalryk pojechał naprzód na czele silnej armii, aby spacyfikować odleglejsze prowincje, gdzie niektórzy baronowie stawili im opór. Ale między nimi nie ma jedności. Ich wzajemna zazdrość jest silniejsza niż strach przed Amalrykiem. Zmiażdży ich jednego po drugim. Wiele miast i zamków zdało sobie z tego sprawę i posłało mu wiadomość o swej kapitulacji. Ci, którzy stawiają opór, radzą sobie kiepsko. Nemedyczycy podsycają dawną nienawiść, a ich szeregi pęcznieją od Akwilończyków, których do wstąpienia do armii zmusza strach, złoto albo potrzeba zajęcia. To naturalna konsekwencja.

Conan przytaknął ponuro, patrząc na czerwone refleksy ognia na bogato zdobionej dębowej boazerii.

– Akwilonia ma teraz króla zamiast przerażającej anarchii – powiedział w końcu Severius. – Valerius nie broni poddanych przed swymi sojusznikami. Setki osób, które nie były w stanie zapłacić nałożonych na nich podatków, zostały sprzedane kothańskim handlarzom niewolników.

Głowa Conana poderwała się do góry, a jego błękitne oczy rozgorzały śmiertelnym płomieniem. Przeklął srogo; jego dłonie zwinęły się w żelazne młoty.

– Tak, biali ludzie sprzedają białych mężczyzn i białe kobiety jak za feudalnych czasów. Spędzą resztę swego życia w pałacach Shemu i Turanu. Valerius jest królem, ale jedność, jakiej oczekiwał lud, nawet jeśli miałyby ona być zdobyta za pomocą miecza, nie nastąpiła. Gunderlandia na północy i Poitania na południu nie zostały jeszcze podbite, a i na zachodzie pozostają jeszcze nieujarzmione prowincje, gdzie przygraniczni baronowie mogą liczyć na wsparcie bossońskich łuczników. Ale te zewnętrzne ziemie nie stanowią dla Valeriusa realnego zagrożenia. Tamtejsi panowie muszą

pozostać w defensywie i będą mieli szczęście, jeśli uda im się zachować niepodległość. Tutaj jednak Valerius i jego rycerze są nie do pokonania.

– W takim razie niech ten pies dobrze to wykorzysta – powiedział Conan.

– Jego dni są policzone. Kiedy ludzie dowiedzą się, że żyję, powstaną. Odbijemy Tarantię, zanim Amalryk zdoła wrócić ze swoją armią. Potem wymiemiemy to nemedyjskie gówno z królestwa.

Servius milczał. Ogień trzaskał głośno wśród zapadłej teraz ciszy.

– Cóż to? – wykrzyknął zniecierpliwiony Conan. – Dlaczego siedzisz tak z pochyloną głową, gapiąc się w ogień? Wątpisz w moje słowa?

Servius unikał wzroku króla.

– Dokonasz wszystkiego, czego może dokonać śmiertelny człowiek, wasza wysokość – odparł. – Jeździłem z tobą w bój i wiem, że żadne śmiertelne stworzenie nie zdoła się oprzeć sile twego miecza.

– Cóż zatem?

Servius opatulił się szczelniej swym podbitym futrem kaftanem i wzdrygnął się mimo ognia.

– Ludzie mówią, że twój upadek spowodowała magia – odparł w końcu.

– I co?

– Jakież śmiertelnik może stawić czoła magii? Kim jest ten zawoalowany mężczyzna, który komunikuje się o północy z Valeriusem i jego sojusznikami, jak głoszą plotki, i który pojawia się i znika w tak tajemniczy sposób? Ludzie szepczą, że to wielki czarnoksiężnik, który umarł tysiące lat temu, ale powrócił z szarych krain śmierci, aby zrzucić z tronu króla Akwilonii i odrestaurować dynastię, której dziedzicem jest Valerius.

– Jakie to ma znaczenie? – wykrzyknął gniewnie Conan. – Uciekłem z nawiedzonych przez demony lochów Belverus, a także od diabelstw w górach. Jeśli lud powstanie...

Servius potrząsnął głową.

– Twój najbardziej zagorzali zwolennicy ze wschodnich i centralnych prowincji nie żyją, uciekli lub dostali się w niewolę. Gunderlandia leży daleko na północy, Poitania daleko na południu. Bossończycy wrócili do swoich włości na zachodzie. Zgromadzenie tych sił zajęłoby tygodnie, a zanim byś to zrobił, Amalryk zaatakowałby i zniszczył każde lenno z osobna.

– Ale powstanie w centralnych prowincjach przeważałoby szalę na naszą korzyść! – zakrzyknął Conan. – Moglibyśmy zająć Tarantię i bronić ją przed Amalrykiem, zanim nie dotrą tu Gunderlandczycy i Poitańczycy.

Servius zawahał się, a jego głos zniżył się do szeptu.

– Ludzie mówią, że zginąłeś jako człowiek przeklęty. Ten zawołany nieznajomy rzucił zaklęcie, aby cię zabić i rozgromić twą armię. Wielki dzwon bił na żałobę. Ludzie sądzą, że nie żyjesz. A centralne prowincje nie powstaną, nawet jeśli dowiedzą się, że to nieprawda. Nie odważą się. Magia pokonała cię nad Valkią. Magia przyniosła te wieści do Tarantii, bo już tej samej nocy ludzie krzyczeli o tym na ulicach. Nemedyjski kapłan rzucił zaklęcie na mieszkańców stolicy, aby zabić ludzi, którzy wciąż byli ci wierni. Sam to widziałem. Ubrojeni mężczyźni padali jak muchy i umierali na ulicach; w jaki sposób, tego nikt nie wiedział. A chudy kapłan roześmiał się i powiedział: „Jestem ledwie Altaro, jeden z akolitów Orastesy, który z kolei jest tylko akolitą tego, który nosi welon. Ta moc nie należy do mnie; to jego moc działa przeze mnie”.

– Cóż – odparł szorstko Conan. – Czy nie lepiej umrzeć z godnością, niż żyć w niewoli? Czy śmierć jest gorsza niż opresja, zniewolenie i ostateczna destrukcja?

– Kiedy pojawia się strach przed magią, znika rozsądek – powiedział Servius. – Strach na ziemiach centralnych jest zbyt duży, by pozwolił im podnieść się dla ciebie. Zewnętrzne prowincje będą walczyć dla swojego króla; ale ta sama magia, która rozgromiła twą armię nad Valkią, zniszczy cię ponownie. Nemedyjscy trzymają najszerze, najbogatsze i najgęściej zaludnione regiony Akwilonii i nie uda ci się pokonać ich siłami, które wciąż wierzą w twoje przywództwo. Poświęciłbyś bezsensownie życie twoich lojalnych poddanych. Mówię to z żalem, ale to prawda: królu Conanie, jesteś królem bez królestwa.

Conan patrzył w ogień, nic nie mówiąc. Żarzący się pień rozpadł się w płomieniach, nie wzniesając deszczu iskier. Tak właśnie zdawał się wyglądać przytłaczający upadek jego królestwa.

Po raz kolejny Conan poczuł obecność ponurej rzeczywistości poza materialną zasłoną iluzji. Znowu jego życiem kierowały nieubłagane zrządzenia bezlitosnego losu. Do duszy pukała panika, poczucie znalezienia się w pułapce, a także czerwony gniew, który płonął, by niszczyć i zabijać.

– Gdzie są moi nadworni oficjele? – zapytał w końcu.

– Pallantides został ciężko ranny nad Valkią i wykupiony przez rodzinę; leży teraz w swym zamku w Attains. Będzie miał szczęście, jeśli jeszcze kiedykolwiek dosiędzie konia. Kanclerz Publius uszedł z królestwa w przebraniu, nikt nie wie, dokąd. Rada została rozwiązana; niektórych

radców uwięziono, innych wygnano. Wielu twych lojalnych poddanych zostało skazanych na śmierć. Tej nocy na przykład pod toporem kata zginie hrabina Albiona.

Conan zerwał na równe nogi i spojrzał na Serviusa z takim gniewem w błękitnych oczach, że patrycjusz skurczył się pod jego spojrzeniem.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie zgodziła się zostać dziewczynką Valeriusa. Jej majątek skonfiskowano, jej popleczników sprzedano w niewolę, a o północy, w Żelaznej Wieży, kaci utną jej głowę. Przyjmij mą radę, mój królu – dla mnie zawsze będziesz królem – i uciekaj, zanim cię złapią. W tych dniach nikt nie jest tu bezpieczny. Między nami kręcą się szpiegowie i informatorzy, donosząc o najmniejszym słowie lub czynie niezadowolenia, jako o zdradzie lub rebelii. Jeśli ukażesz się swoim poddanym, zakończy się to tak, że pojmą cię i zgładzą. Moje konie i wszyscy ludzie, którym ufam, są do twojej dyspozycji. Przed świtem możemy znaleźć się daleko od Tarantii na drodze wiodącej ku granicy. Skoro nie mogę pomóc ci w odzyskaniu królestwa, przynajmniej udam się z tobą na wygnanie.

Conan potrząsnął głową. Servius spojrzał na niego z niepokojem; król siedział, patrząc w płomień, z podbródkiem opartym na potężnej pięści. Blask ognia odbijał się na czerwono w jego stalowej zbroi i lśniących złowrogo oczach. Płonęły w świetle ognia jak ślepie wilka, zupełnie jak za dawnych czasów, choć teraz z jeszcze większą mocą. Servius zdał sobie sprawę z tego, że w królu było coś obcego normalnym ludziom. Wielkie ciało pod kolczugą było zbyt twarde i giętkie dla cywilizowanego człowieka; w jego oczach płonął pierwotny ogień dziczy. Barbarzyńska aura króla była teraz wyraźniejsza, jak gdyby w kryzysowej sytuacji wierzchnia warstwa cywilizacji rozmyła się i ukazała pod sobą swój pierwotny rdzeń. Conan powracał do swej najlepszej kondycji. Nie zachowywał się tak, jak na jego miejscu postąpiłby cywilizowany człowiek, a jego myśli nie biegły tymi samymi torami. Króla Akwilonii i okrytego skórą mordercę z cymmeryjskich wzgórz dzieliła jedynie cienka linia głady.

– Jeśli mi się uda, dotrę do Poitanii – powiedział w końcu Conan. – Ale pojedę sam. Mam jeszcze do spełnienia ostatni obowiązek jako król Akwilonii.

– Co masz na myśli, wasza wysokość? – spytał Servius, wstrząśnięty podejrzeniem.

– Tej nocy pojedę do Tarantii po Albionę – odparł król. – Zdaję się, że zawiodłem wszystkich mych lojalnych poddanych. Jeśli wrogowie wezmą jej głowę, mogą wziąć i moją.

– To szaleństwo! – krzyknął Servius, wstając chwiejnie i chwytając się za gardło, jakby już czuł, jak zaciska się na nim pętla.

– Wieża ma parę sekretów, o których wie niewielu – powiedział Conan. – Zresztą, byłbym złamanym kutasem, gdybym zostawił Albionę na pastwę losu i wydał ją na śmierć przez to, że była mi wierna. Mogę być królem bez królestwa, ale nie jestem człowiekiem bez honoru.

– To pogrzy nas wszystkich! – szepnął Servius.

– Jeśli zawiodę, pogrzę tylko siebie. Zaryzykowałeś już wiele. Pojedę sam. To moja ostatnia prośba: postaraj się dla mnie o przepaskę na oko i o laskę, a także o odzienie podobne do tych, jakie noszą podróżni.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

„TO KRÓL ALBO JEGO DUCH!”

Przez wielkie sklezione bramy Tarantii między zmierzchem a północą przechodziło wielu ludzi: spóźnionych podróżników, kupców z dalekich stron z ciężko obciążonymi mułami, wolnych robotników z otaczających miasto farm i winnic. Teraz, kiedy Valerius był najwyższym władcą centralnych prowincji, nie pilnowano tak bardzo ludzi, którzy wpływali równym strumieniem przez szerokie bramy. Zelżała dyscyplina. Stojący na straży nemedyjscy żołnierze byli na wpół pijani i zdecydowanie zbyt zajęci wypatrywaniem ładnych wieśniaczek i bogatych kupców, których można było złupić, niż przypatrywaniem się robotnikom albo zakurczonym podróżnikom – nawet temu wysokiemu wędrowcowi, którego znoszona peleryna nie zdołała ukryć twardych linii mocarnego ciała.

Podróżny ten nosił się prosto i agresywnie. Było to dla niego zbyt naturalne, by mógł zdać sobie z tego sprawę, a już w żadnym razie nie potrafił tego ukryć. Wielka przepaska zakrywała mu jedno oko, a zaciągnięty nisko na oczy skórzany kaptur ocieniał jego twarz. Z długą, grubą laską w umięśnionej, opalanej dłoni przeszedł swobodnie przez bramę w świetle pochodni i, zignorowany przez podpite straże, wyszedł na szerokie ulice Tarantii.

Na tych dobrze oświetlonych arteriach kręcił się jak zawsze zajęty swoimi sprawami tłum; sklepy i stoiska były otwarte, kupcy prezentowali swój towar. Jeden element przewijał się nieustannie przez ten wielobarwny wzór: nemedyjscy żołnierze panoszyli się wśród ludzi, pojedynczo lub w grupkach, rozpychając się z wystudiowaną arogancją. Kobiety uciekały im z drogi, a mężczyźni rozstępowali się na boki z pociemniałym oczami i zaciśniętymi pięściami. Akwilończycy byli dumną rasą, a Nemedyjczycy – jej tradycyjnymi wrogami.

Palce wysokiego podróżnika zacisnęły się na sękatej lasce, ale podobnie jak inni odsunął się na bok, by ustąpić drogi mężczyznom w zbrojach. Wśród barwnego i wielorakiego tłumu nie zwracał zbytnej uwagi swym szarym, zakurczonym odzieniem. Gdy mijał stoisko płatnerza i padło na niego światło ze sklepu, poczuł na sobie intensywne spojrzenie; odwracając

się prędko, zobaczył przypatrującego mu się bacznie mężczyznę w brązowym kaftanie najemnych robotników. Ten zaraz jednak oddalił się z nadmiernym pośpiechem i rozpląnął w tłumie. Conan skręcił w wąską uliczkę i przyspieszył kroku. Mogła to być zwykła ludzka ciekawość, ale nie mógł ryzykować.

Ponura Żelazna Wieża stała oddalona od cytadeli, pośród labiryntu wąskich uliczek i zapchanych domów – tam, gdzie nędzniejsze budynki przywłaszczyły sobie przestrzeń, od której stronili co bardziej wybredni i zajęły część miasta, w której stać nie powinny. Wieża była tak naprawdę zamkiem, starożytną, imponującą budowlą z ciężkiego kamienia i czarnego żelaza, która sama służyła kiedyś – we wcześniejszym, bardziej prymitywnym wieku – za cytadelę.

Nieopodal, zagubiona w dżungli na wpół opuszczonych kamienic i magazynów, wznosiła się dawna strażnica, tak stara i zapomniana, że nie pojawiała się na mapach miasta od setek lat. Zapomniano o jej pierwotnym przeznaczeniu i nikt z tych, którzy w ogóle ją widzieli, nie zauważył, że pozornie wiekowa kłódka, która strzegła strażnicy przed przywłaszczeniem jej sobie na kwatery sypialne przez żebraków i złodziei, była tak naprawdę całkiem nowa i bardzo mocna, zręcznie ukształtowana tak, by roztaczać pozór starości. Na palcach jednej ręki można było policzyć ludzi w królestwie, którzy poznali sekret tej wieży.

W masywnym, zielonkawym zamku nie widać było dziurki od klucza. Ale wprawne palce Conana prześlizgnęły się po niej i nacisnęły niewidoczne gołym okiem wybrzuszenia. Drzwi otworzyły się i Conan wszedł w kompletną czerń, zamykając za sobą wrota. Gdyby było tu światło, wieża wyglądałaby jak pusty, cylindryczny szyb z masywnego kamienia.

Szukając po omacku z pewnością i rozeznanem, mężczyzna znalazł w narożniku płytę kamienną z wystającymi częściami, których szukał. Podźwignął prędko tajemną klapę i bez wahania zszedł do otworu pod sobą. Jego stopy poczuły kamienne schody, prowadzące w dół do – wiedział to – wąskiego tunelu, który biegł prosto w kierunku fundamentów Żelaznej Wieży, oddalonej o trzy przecznice.

Dzwon na cytadeli, który bił tylko na północ albo na śmierć króla, zagrzemiał nagle. W nędznie oświetlonej komnacie Żelaznej Wieży otworzyły się drzwi i jakaś postać wysunęła się z nich na korytarz. Wnętrze budowli robiło równie nieprzystępne wrażenie, jak jej zewnętrzny wygląd.

Masywne ściany były szorstkie i nagie. W kamiennej posadzce widniały koleiny pogłębiane przez kolejne pokolenia ociągających się stóp, a sklepienie wyglądało ponuro w nikłym świetle pochodni osadzonych w niszach. Mężczyzna, który biegł w głąb tego ponurego korytarza, pasował z wyglądu do swego otoczenia. Był wysoki i mocno zbudowany, odziany w obcisły, czarny jedwab. Na głowę naciągnął sobie czarny kaptur z dwiema dziurami na oczy, który opadał mu na barki. Na ramionach powiewała mu luźna, czarna peleryna, a na ramieniu niósł ciężki topór, który nie przypominał kształtem ani narzędzia, ani broni.

Kiedy szedł korytarzem, z drugiej strony wyszła mu na spotkanie kulejąca postać – pochyłony, zdecydowanie stary mężczyzna, który ugiął się pod ciężarem niesionych w ręce piki i lampy.

– Nie jesteś tak prędko jak twój poprzednik, mistrzu kacie – burknął. – Właśnie wybiła północ i zamaskowani ludzie poszli już do celi jaśnie pani. Czekają na ciebie.

– Dźwięki dzwonu wciąż jeszcze unoszą się echem wśród wież – odparł kat. – Może i nie jestem równie chętny, by skakać i biegać na skinienie Akwilończyków jak ten pies, który pełnił tę służbę przede mną; moje ramię znajdziecie jednak równie przygotowane. Wróć do swych zajęć, stary strażniku, a moje obowiązki pozostaw mnie. Myślę, że są one lepsze, na Mitrę, gdyż ty tylko przemierzasz zimne korytarze i zaglądasz przez zardzewiałe drzwi lochów, podczas gdy ja zetnę tej nocy najszlachetniejszą głowę w Tarantii.

Strażnik pokuśtykał dalej w głąb korytarza, wciąż jeszcze mamrocząc, a kat podjął swój spokojny marsz. Niedługo potem doszedł do zakrętu korytarza i obojętnie zauważył, że po jego lewej stronie widniały na wpół otwarte drzwi. Gdyby pomyślał, zdałby sobie sprawę, że drzwi musiały zostać otwarte po przejściu strażnika; myślenie jednak nie leżało w zakresie jego obowiązków. Przeszedł obok uchylonych wrót i zdał sobie sprawę, że coś było nie tak – ale wtedy było już za późno.

Ostrzegł go delikatny, tygrysi krok i szelest peleryny, ale zanim zdołał się odwrócić, na jego gardle zacisnęło się od tyłu ciężkie ramię i zdusiło krzyk, nim ten zdołał przejść mu przez usta. W krótkim momencie, który był mu dany, kat z paniką uzmysłowił sobie siłę napastnika, przeciw któremu jego własne, silne przecież mięśnie były zupełnie bezradne. Wyczuł, nie widząc, przygotowany sztylet.

– Nemedyski psie! – mruknął mu do ucha wezbrany pasją głos. – Nie zetniesz już więcej akwilońskich głów!

Była to ostatnia rzecz, jaką mężczyzna usłyszał w swym życiu.

W ciemnym lochu, rozświetlonym jedynie migoczącą pochodnią, trzech mężczyzn stało nad młodą kobietą, która klęczała na porozrzucanym po podłodze sianie, patrząc na nich dziko. Była odziana jedynie w skąpą halkę. Jej złote włosy opadały na ramiona świetlistymi falami, a ręce były związane z tyłu. Nawet w niepewnym świetle pochodni i pomimo nędznej kondycji i przejmującego kobietę strachu, nietrudno było zdać sobie sprawę z jej powalającej urody. Nieszczęsna klęczała w niemym milczeniu, spoglądając szerokimi oczami na swych oprawców. Mężczyźni byli szczelnie zamaskowani i ciemno odziani. Taki zawód wymagał masek, nawet na podbitym terytorium. Ona знаła ich wszystkich; jednak to, co wiedziała, po tej nocy nie miało już zaszkodzić żadnemu z nich.

– Nasz litościwy władca daje ci jeszcze jedną szansę, hrabino – powiedział najwyższy z mężczyzn, który mówił po akwilońsku bez akcentu. – Rozkazał mi, bym powiedział, że jeśli twój dumny, buntowniczy duch złagodnieje, wciąż jeszcze gotów jest otworzyć przed tobą swe ramiona. Jeśli nie... – wskazał na ponury, drewniany kłoc na środku celi. Był pokryty ciemnymi plamami i miał wiele głębokich nacięć; widać było, że ostra broń, przecinając ciało i kości, wielokrotnie tonęła w drewnie.

Albiona wzdrygnęła się i pobladła, kuląc ze strachu. Każdy nerw jej młodego, pełnego wigoru ciała drżał przepętniony żądzą życia. „Valerius też jest młody, w dodatku przystojny. Kocha go wiele kobiet” – powiedziała sobie, walcząc sama ze sobą o życie, ale nie była w stanie wyrzec słowa, które ocaliłoby jej delikatne, młode ciało przed katowskim kłocem i ociekającym krwią toporem. Nie mogła skłonić się do pójścia za głosem rozsądku. Wiedziała tylko, że kiedy myślała o uścisku ramion Valeriusa, jej ciało wzdrygało się ze wstrętem silniejszym od lęku przed śmiercią. Bezradnie potrząsnęła głową, przymuszona do tego impulsem mocniejszym niż instynkt samozachowawczy.

– W takim razie nie ma tu już nic do powiedzenia! – zakrzyknął inny z niecierpliwością. Ten mówił z nemedyskim akcentem. – Gdzie jest kat?

Jak gdyby na te słowa drzwi lochu otworzyły się cicho i stanęła w nich potężna postać podobna do czarnego cienia z podziemi.

Albiona na widok tej ponurej figury wydała niski, mimowolny krzyk, a inni przez moment patrzyli na kata w ciszy, być może sami ogarnięci

przesądnym strachem na widok tej cichej, zakapturzonej postaci. Spod kaptura błyszczały oczy jak dwa węgielki błękitnego ognia, a każdy mężczyzna, na którym spoczął ich wzrok, poczuł przebiegający mu po plecach dziwny dreszcz.

Potem wysoki Akwilończyk podniósł brutalnie dziewczynę z ziemi i pociągnął w stronę kłoca. Zakrzyknęła wbrew swej woli i raz jeszcze stanęła do beznadziejnej walki, oszalała z przerażenia. On jednak ją zmusił, by ukłękła i położył jej blond głowę na skrwawionym pieńku.

– Dlaczego się spóźniłeś, kacie?! – wrzasnął gniewnie. – Czyń swoją powinność!

Odpowiedział mu krótki, potężny huk śmiechu, napawający nieopisaną grozą. Wszyscy w lochu zamarli na swoich miejscach, patrząc na zakapturzoną postać: dwie owinięte w peleryny osoby, pochylające się nad dziewczyną zamaskowany mężczyzna, a nawet ona sama. Pozostając na kolanach, wykręciła swą uwięzioną głowę, by spojrzeć w górę.

– Co ma oznaczać ta niestosowna radość, psie? – zapytał z niepokojem Akwilończyk.

Mężczyzna w czerni zdarł sobie z głowy kaptur i rzucił go na ziemię. Oparł się o zamknięte drzwi i podniósł topór kata.

– Poznajecie mnie, psy?! – huknął. – Poznajecie?

Zapierająca dech w piersiach cisza została przerwana krzykiem dziewczyny:

– Król! – pisnęła Albiona, wrywając się z poluzowanego uchwytu swego oprawcy. – Ach, na Mitrę, król!

Trzej mężczyźni stanęli jak wryci. W końcu Akwilończyk ruszył się i przemówił, jak ktoś, kto wątpi we własne zmysły:

– Conan! – wybuchnął krzykiem. – To król albo jego duch! Co to za diabelska sztuczka?

– Diabelska sztuczka, aby dorwać diabły! – zadrwił Conan. Jego usta się śmiały, ale w oczach płonęło piekło. – Podejdźcie tu, tylko z życiem, panowie, z życiem... Macie swoje miecze, a ja ten toporek. No, myślę, że to narzędzie rzeźnika pasuje do tej roboty jak ulał, mości panowie!

– Na niego! – krzyknął Akwilończyk, wyciągając miecz. – To Conan i musimy go zabić albo polec!

Nemedyjczycy, jak gdyby wybici z transu, wyciągnęli swe ostrza i ruszyli na króla.

Topór kata nie został stworzony do takiego celu, ale Conan uniósł ciężką i nieporęczną broń zupełnie jakby była zwykłym toporkiem. Prędkość jego nóg i nieustanna zmiana pozycji zniweczyły plan poddanych Valeriusa, którzy chcieli dopaść olbrzyma wszyscy naraz.

Król przyjął pierwszy cios mieczem na czepiec topora i wyprowadził w pierś napastnika mordercze kontruderzenie, zanim ten zdołał odsunąć się albo sparować cios. Pozostały przy życiu Nemedyczyk, chybiwszy w potężnym zamachu, zanim zdołał odzyskać równowagę, runął na posadzkę z rozwaloną potwornie głową. Chwilę później Akwilończyk został zapędzony w róg pomieszczenia, desperacko parując miażdżące uderzenia, które spadały na niego deszczem tak, że nie miał nawet okazji zawołać o pomoc.

Nagle długie lewe ramię Conana wystrzeliło do przodu i zdarło przeciwnikowi maskę, odsłaniając jego pobladłą twarz.

– Psie! – zazgrzytał zębami król. – Wiedziałem, że cię znam. Zdrajca! Przeklęty renegat! Nawet ta prymitywna stal jest zbyt godna dla twej parszywej głowy. Nie, giń tak, jak ginie złodziej!

Topór zakreślił morderczy łuk i Akwilończyk wrzasnął, osuwając się na kolana i chwytając za kikut prawej ręki, z którego lała się krew. Conan uciał mężczyźnie rękę tuż powyżej łokcia, a topór, nie do zatrzymania, rozdarł mu bok tak głęboko, że z ciała wypłynęły wnętrzności.

– Leż tu i wykrwawiaj się! – warknął Conan, odrzucając z obrzydzeniem topór. – Chodź, hrabino!

Pochyliwszy się, przeciął sznury krepujące nadgarstki kobiety i podnosząc ją, jak gdyby była dzieckiem, wyszedł z lochu. Dziewczyna łkała histerycznie, zarzucając swe ramiona na jego muskularną szyję w szaleńczym uścisku.

– Już dobrze – mruknął Conan. – Jeszcze z tego nie wyszliśmy. Jeśli zdołamy dotrzeć do lochu, w którym sekretne drzwi otwierają się na schody prowadzące do tunelu... Niech to diabli wezmą, usłyszeli hałas mimo tych grubych ścian!

W głębi korytarza brzęczały zbroje, a pod sklepionym dachem niósł się echem odgłos kroków i krzyków. Z lochu wyłoniła się pochyłona postać z trzymaną wysoko latarnią, której światło padło prosto na Conana i dziewczynę. Cymmeryjczyk rzucił się w stronę starego strażnika z przekleństwem na ustach, ale ten odrzucił pikę i latarnię i rzucił się

szaleńczym biegiem w głąb korytarza, wrzeszcząc o pomoc ze wszystkich sił. W oddali odpowiedziały mu słabe głosy.

Conan odwrócił się prędko i pobiegł w drugą stronę. Był odcięty od lochu z sekretnym wejściem i od ukrytych drzwi, przez które wszedł do wieży z nadzieją na powrót tą samą drogą, ale znał nieźle ten ponury budynek. Zanim został królem, był tu przecież więźniem.

Skręcił w boczny korytarz i natychmiast znalazł się w innym, szerszym korytarzu, biegnącym równoległe do tego, którym przyszedł. Chwilowo było tu pusto. Conan przebiegł parę kroków, po czym zawrócił, skręcając w kolejne boczne przejście. To przywiodło go z powrotem na opuszczony wcześniej korytarz, ale w strategicznym miejscu. Parę stóp dalej znajdowały się ciężko zaryglowane drzwi, a przed nimi stał brodaty Nemedyczyk w pancerzu i hełmie. Kiedy Conan wyjrzał na korytarz, mężczyzna był odwrócony do niego plecami i zwrócony twarzą ku górze korytarza, w kierunku narastającego zgiełku i dziko chwiejących się lamp.

Conan nie zawahał się. Stawiając hrabinę na podłodze, podbiegł prędko i cicho w kierunku uzbrojonego strażnika. Mężczyzna odwrócił się w momencie, w którym król stał już przy nim; krzyknął z zaskoczenia i strachu, unosząc swą pikę. Zanim jednak zdołał cokolwiek zrobić ze swą nieporęczną bronią, Conan walnął go mieczem w hełm z siłą, która powaliłaby wołu. Hełm i czaszka rozprysnęły się równocześnie i strażnik runął na posadzkę.

W następnej chwili Conan odciągnął masywny rygiel, który blokował drzwi – zbyt ciężkie, by jeden normalny mężczyzna mógł je poruszyć – i zawołał ponaglająco Albionę. Podbiegła do niego chwiejnym krokiem. Chwytając ją bezceremonialnie pod ramię, Conan przeniósł ją przez drzwi prowadzące w ciemność na zewnątrz.

Weszli do wąskiej alejki, czarnej jak smoła, której jedną ścianę tworzyła Wieża, a drugą – gładkie, kamienne tyły rzędu budynków. Conan, pędząc w ciemności tak prędko, jak tylko był w stanie, przeszukiwał tę drugą ścianę w poszukiwaniu drzwi czy okien, ale nic nie znalazł.

Wielkie wrota za nimi otworzyły się z brzękiem i wysypali się z nich ludzie; pochodnie błyszcząły na napierśnikach i nagich mieczach. Rozejrzeli się dookoła z wrzaskiem, nie będąc w stanie przeniknąć ciemności, którą ich pochodnie rozświetlały tylko na parę stóp w każdym kierunku, po czym ruszyli w głąb alei na oślep, w przeciwną stronę niż trasa obrona przez Conana i Albionę.

– Szybko zdadzą sobie sprawę z błędu – wymamrotał, przyspieszając kroku. – Jeśli kiedykolwiek znajdziemy jakąś szczelinę w tej piekielnej ścianie... Cholera! Uliczny patrol!

Przed nimi pojawił się odległy blask, w miejscu, w którym alejka wychodziła na wąską ulicę i Conan zobaczył niewyraźne postacie odbijające się od tła błyskiem stali. W rzeczy samej, był to uliczny patrol, badający przyczyny hałasu dobiegającego z głębi alejki.

– Kto tam? – zakrzyknęli, a Conan zgrzytnął zębami, słysząc znienawidzony nemedyski akcent.

– Trzymaj się za mną – rozkazał dziewczynie. – Musimy utorować sobie drogę, zanim wrócą strażnicy więzienni i wezmą nas z dwóch stron.

I chwytając swój miecz, pobiegł wprost na nadchodzące postacie.

Zaskoczenie stanowiło jego przewagę. Dość dobrze widział przeciwników, gdyż ich postacie odcinały się na tle odległej poświaty, oni jednak nie mogli zobaczyć, że ktoś biegnie ku nim z czarnych głębi alei. Zanim zdali sobie z czegośkolwiek sprawę, Conan znajdował się już między nimi, rażąc ich z furią rannego lwa.

Jego jedyna szansa tkwiła w przedarciu się przez nich, zanim zdołają się pozbierać, ale było ich może dziesięciu – w pełni uzbrojonych, wytrawnych weteranów przygranicznych wojen, w których instynkt walki błyskawicznie zagłuszył zaskoczenie. Trzech z nich leżało na ziemi, zanim zdali sobie sprawę, że atakowała ich tylko jedna osoba. Mimo wszystko ich reakcja była natychmiastowa. Szczęk stali stał się ogłuszający, a gdy miecz Conana spadał na hełmy i kolczugi, sypały się iskry. Widział lepiej niż oni, a w nikłym świetle jego prędko poruszająca się postać była jak rozmyta plama. Opadające miecze cięły powietrze albo odbijały się od jego ostrza, ale kiedy on uderzał, działał z furią i pewnością huraganu.

Po chwili żarty się skończyły, bo za nim niosły się już krzyki strażników więziennych, którzy powracali pędem w górę alei. Uzbrojeni ludzie znajdujący się przed nim wciąż tarasowali mu drogę, tworząc najeżoną żelazem ścianę. W momencie, w którym strażę były o krok od niego, Conan w desperacji podwoił swe uderzenia, waląc jak kowal w kowadło i po chwili zdał sobie sprawę, że coś się zmieniło. Nagle, jak gdyby znikąd, za strażnikami wyrosła grupa czarnych postaci i rozległ się dźwięk morderczych ciosów. Stał zablęśla w półmroku i mężczyźni śmiertelnie rażeni od tyłu wydali zbiorowy wrzask. W jednej chwili alejka była usłana konającymi ciałami. Ciemny, odziany w pelerynę kształt skoczył

w kierunku Conana, który uniósł swój miecz, zobaczywszy w prawej dłoni mężczyzny błysk stali. Druga, pusta ręka wyciągała się jednak w jego kierunku i czyjś głos syknął ponagląjąco:

– Tędy, wasza wysokość. Prędko!

Mamrocząc pod nosem pełne zdziwienia przekleństwa, Conan wsadził sobie Albionę pod masywne ramię i ruszył za swym nieznanym sprzymierzeńcem. Nie miał zamiaru się wahać, mając za sobą trzydziestu strażników więziennych. Pospieszył w dół ulicy otoczony przez tajemnicze osoby, niosąc hrabinę jak dziecko. Nie mógł zobaczyć twarzy swoich wybawców; widział tylko, że nosili czarne peleryny i kaptury. Przez myśl przeszło mu pewne podejrzenie, ale przynajmniej wyróżnili jego wrogów, a on nie miał lepszego wyjścia, niż podążyć za nimi.

Jak gdyby wyczuwając jego wahanie, przywódca dotknął delikatnie jego ramienia i powiedział:

– Nie bój się, królu Conanie. Jesteśmy twymi lojalnymi poddanymi. – Głos nie był mu znany, ale akcent pochodził z centralnych prowincji Akwilonii.

Biegający za nimi strażnicy wrzeszczeli i potykali się w błocie; pomstując szli w głąb alei, gdzie dostrzegali między sobą a światłem odległej ulicy nieokreśloną, ciemną masę. Ale zakapturzeni mężczyźni skręcili nagle w kierunku pozornie zwykłej ściany i Conan dojrzał w niej drzwi. Wymamrotał przekleństwo. W dawnych czasach przemierzał tę ulicę za dnia i nigdy nie zauważył tam drzwi! Przeszli przez zamaskowany otwór, a drzwi zamknęły się za nimi ze szczękiem zamka. Ten dźwięk nie był uspokajający, ale jego przewodnicy pospieszali go naprzód, poruszając się z rozeznaniami. Prowadzili Conana, trzymając ręce na jego łokciach. Wnętrze, w którym się znaleźli, przypominało tunel; Conan czuł, jak smukłe członki Albiony drżą w jego ramionach. Potem gdzieś przed nimi pojawił się niewyraźny otwór – mniej czarny łuk w otaczającej ich ciemności. Przeszli pod nim rzędem.



Nie mógł zobaczyć twarzy swoich wybawców; widział tylko, że nosili czarne peleryny i kaptury.

Potem nastąpiła zdumiewająca seria ciemnych dziedzińców, cienistych alejek i krętych korytarzy, którymi podążali w kompletnej ciszy, aż w końcu znaleźli się w szerokiej, oświetlonej komnacie, której położenia Conan nie mógł odgadnąć. Okrężna droga zmyliła nawet jego pierwotny zmysł orientacji.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

MONETA Z ACHERONU

Nie wszyscy jego towarzysze weszli z nimi do komnaty. Kiedy drzwi się zamknęły, Conan zobaczył przed sobą tylko jednego człowieka: szczupłą postać kryjącą się pod czarną peleryną z kapturem. Mężczyzna odrzucił tkaninę z głowy, odsłaniając blady owal twarzy o spokojnych, delikatnie naznaczonych rysach.

Król postawił Albionę na nogi, ale ona wciąż przywierała do niego i rozglądała się dokoła ze strachem. Znajdowali się w dużej komnacie o marmurowych ścianach, częściowo pokrytych czarnymi, aksamitnymi zasłonami; mozaikową podłogę zdobiły bogate, czarne dywany, skąpane w delikatnej, złotej poświacie spiżowych kaganków.

Conan instynktownie położył rękę na rękojeści miecza. Na jego dłoni była krew, ciekła także z otworu pochwy miecza, gdyż włożył tam broń, nie oczyściwszy jej uprzednio.

– Gdzie jesteście? – zapytał.

Nieznajomy odpowiedział z niskim, głębokim ukłonem, w którym podejrzliwy król nie mógł się doszukać ani krzty ironii:

– W Świątyni Asury, wasza wysokość.

Albiona krzyknęła słabo i przyłgnęła bliżej do Conana; patrzyła ze strachem na czarne, sklepione drzwi, jak gdyby oczekując wejścia jakiegoś ponurego kształtu zrodzonego w ciemności.

– Nie lękaj się, moja pani – powiedział ich przewodnik. – Nie ma tu nic, co mogłoby cię skrzywdzić, na przekór powszechnym plotkom i idiotycznym zabobonom. Gdyby twój monarcha był wystarczająco przekonany o niewinności naszej religii, by chronić nas przed prześladowaniami ignorantów, żaden z jego poddanych nie musiałby odczuwać najmniejszego lęku.

– Kim jesteś? – zapytał Conan.

– Hadrathus, kapłan Asury. Jeden z moich wyznawców rozpoznał cię, kiedy wszedłeś do miasta i przyniósł mi tę wieść.

Conan warknął bluźnierczo.

– Nie bój się, nikt nie odkryje twojej tożsamości – zapewnił go Hadrathus.
– Twoje przebranie zmyliłoby wszystkich, ale nie wyznawców Asury, którego kult polega na poznawaniu rzeczy poza ich iluzorycznym wyglądem. Śledzono cię aż do wieży strażniczej, a niektórzy z moich ludzi weszli do tunelu, aby pomóc ci, gdybyś wrócił tą samą drogą. Inni, w tym ja, otoczyli wieżę. A teraz, królu Conanie, możesz rozkazywać. Tu, w świątyni Asury, wciąż jesteś królem.

– Dlaczego ryzykowaliście dla mnie życiem? – zapytał król.

– Kiedy zasiadłeś na tronie, byłeś naszym przyjacielem – odparł Hadrathus. – Obroniłeś nas, kiedy kapłani Mitry chcieli wygnać nas z kraju.

Conan rozejrzał się wokół siebie z ciekawością. Nigdy wcześniej nie odwiedził świątyni Asury, a już na pewno nie wiedział, że taka istnieje w Tarantii! Kapłani tej religii mieli zwyczaj ukrywania swych przybytków w doskonały sposób. Kult Mitry był przytłaczająco dominującym wyznaniem narodów hyboryjskich, ale wyznawcy Asury przetrwali – mimo oficjalnego zakazu przynależenia do tej sekty i ogólnego antagonizmu. Conanowi opowiadano mroczne historie o ukrytych świątyniach, w których gęsty dym unosił się bezustannie z czarnych ołtarzy, gdzie uprowadzeni ludzie byli składani w ofierze przed wielkim, zwiniętym węzem, którego straszliwa głowa kołysała się po kres czasów w nawiedzonych cieniach.

Prześladowania sprawiły, że wyznawcy Asury zręcznie ukryli swe świątynie i utajnili swoje rytuały. Tajemniczość ta wzbudzała jeszcze potworniejsze podejrzenia i mroczne opowieści.

Conan jednak, kierowany wszechogarniającą, barbarzyńską tolerancją, odmówił prześladowań wyznawców Asury; nie pozwolił też robić tego ludziom, nie mających żadnych dowodów, poza tymi, które mu przedstawiono, a były to plotki i oskarżenia, których nie dało się udowodnić. „Jeśli są czarnoksiężnikami” – powiedział wtedy – „dlaczego mieliby cierpieć prześladowania? Jeśli zaś nie są, to nie ma w nich żadnego zła. Do wszystkich diabłów! Niech ludzie wyznają sobie bogów, jakich chcą wyznawać!”.

Na pełne uszanowania zaproszenie ze strony Hadrathusa Conan usiadł na krześle z kości słoniowej, a poruszona Albiona na drugim – chociaż ona wolałaby raczej usiąść na złotej ławie u jego stóp, napierając na udo króla w poszukiwaniu bezpieczeństwa w fizycznym kontakcie. Jako jedna z najbardziej ortodoksyjnych wyznawczyń Mitry, intuicyjnie bała się wyznawców kultu Asury, gdyż w dzieciństwie i młodości wpajano jej

szalone historie o ofiarach z ludzi i antropomorficznych bogach, krążących po zacienionych świątyniach.

Hadrathus stanął przed nimi ze skłonioną głową.

– Jakie jest twoje życzenie, wasza wysokość?

– Najpierw jedzenie! – warknął Conan, a kapłan uderzył w złoty gong srebrną pałką.

Zaledwie ucichło echo łagodnych tonów, a już cztery zakapturzone postacie przeszły przez przesłonięte kotarą drzwi, niosąc wielką tacę, pełną parujących dań i kryształowych kielichów. Postawili to wszystko przed Conanem z głębokim ukłonem, a król wytarł dłonie w adamaszek i mlasnął ustami z niekrytym zachwytem.

– Uważaj, wasza wysokość! – szepnęła Albiona. – Ci ludzie jedzą ludzkie mięso!

– Stawiam moje królestwo, że to tylko uczciwa pieczeń wołowa – odparł Conan. – No już, panienko, zabieraj się za jedzenie! Po więziennym wikcie musisz być głodna.

Otrzymałszy taką radę i mając przed sobą przykład tego, którego słowo było dla niej wyrocznią, hrabina spełniła jego polecenie i jadła z wilczym apetytem, choć elegancko, podczas gdy jej władca rwał kawały mięsa i żłopał wino z takim smakiem, jak gdyby nie jadł z miesiąc.

– Wy, kapłani, jesteście sprytni, Hadrathusie! – powiedział król z wielką kością wołową w dłoni i z ustami pełnymi mięsa. – Z chęcią przyjąłbym was na służbę w mojej kampanii o utracone królestwo.

Hadrathus potrząsnął wolno głową, a Conan walnął kością wołową w stół w przypływie nagłego gniewu.

– Na Croma! Co też ugryzło ludzi w Akwilonii? Najpierw Servius, teraz ty! Czy możecie zrobić coś innego, niż kręcić pustymi łbami, kiedy mówię o usunięciu tych psów?

Hadrathus westchnął i odpowiedział powoli:

– Mój panie, ciężko to wyznać i chciałbym móc powiedzieć coś innego. Ale wolność Akwilonii może dobiegać końca! Nie, to wolność całego świata może dobiegać końca! W historii świata wiek następuje za wiekiem; teraz wkraczamy w wiek horroru i niewolnictwa, tak jak dawno temu.

– Co masz na myśli? – zapytał zaniepokojony król.

Hadrathus opadł na krzesło i złożył łokcie na udach, wbijając wzrok w podłogę.

– Korony, tronu i królestwa nie pozbawili cię wyłącznie zbuntowani arystokracji Akwilonii i nemedyjskie armie – odparł Hadrathus – ale przede wszystkim czarna magia: wstrętna czarna magia z ponurej młodości świata. Z cieni przeszłości powstał okropny kształt, któremu nikt nie może się oprzeć.

– Co masz na myśli? – powtórzył Conan.

– Mówię o Xaltotunie z Acheronu, który umarł trzy tysiące lat temu, a jednak stąpa dziś po ziemi!

Conan zamilkł, a w jego głowie pojawiło się wspomnienie: obraz nieludzko pięknej, brodatej twarzy. Po raz kolejny ogarnęło go wrażenie jakiegoś niepokojącego podobieństwa. Acheron – dźwięk tego słowa wzbudził w jego umyśle instynktowne wibracje pamięci i ciąg skojarzeń.

– Acheron – powtórzył. – Xaltotun z Acheronu... Człowieku, czyś ty oszalał? Acheron był mitem już w czasach, których moja pamięć nie sięga! Zastanawiałem się, czy w ogóle kiedykolwiek istniał!

– Należał do czarnej rzeczywistości – odparł Hadrathus. – Było to imperium czarnych magów, przesiąknięte dawno już zapomnianym złem. Ostatecznie zostało pokonane przez hyboryjskie plemiona zachodu. Czarnoksiężnicy z Acheronu praktykowali odrażającą nekromancję, najgorszego pokroju cudotwórstwo, upiorną magię, której nauczyły ich demony. A ze wszystkich czarnoksiężników tego przeklętego królestwa żaden nie przewyższał Xaltotuna z Python.

– Jak zatem zdołali go obalić? – zapytał sceptycznie Conan.

– W jakiś sposób wykradziono mu źródło kosmicznej mocy, którego zazdrośnie pilnował, i użyto go przeciwko niemu. Teraz zwrócono mu je i jest niezwyciężony.

Albiona, opatulona w czarną pelerynę kata, wodziła wzrokiem od kapłana do króla, niewiele rozumiejąc z ich rozmowy. Conan potrząsnął gniewnie głową.

– Nabijasz się ze mnie! – warknął. – Jeśli Xaltotun zmarł trzy tysiące lat temu, jak ten człowiek dzisiaj może nim być? To jakiś zbir, który przybrał pradawne imię.

Hadrathus pochylił się nad stołem z kości słoniowej i otworzył stojącą na nim złotą szkatułkę. Wyciągnął z niej coś, co błyszczało matowo w delikatnym świetle: szeroką, złotą monetę ze starożytnej mennicy.

– Widziałeś Xaltotuna bez welonu? Spójrz więc na to. To moneta wybita w starożytnym Acheronie, przed jego upadkiem. To czarne imperium było

tak przesiąknięte czarami, że nawet ta moneta ma swoje magiczne właściwości. – Conan wziął ją do ręki i spojrzał spod oka. W żaden sposób nie można było zakwestionować wieku monety. Conan miał do czynienia z różnymi monetami w czasach swych grabieży i zebrał sporą praktyczną wiedzę na ten temat. Krawędzie sprawiały wrażenie zużytych, a inskrypcje – niemal zamazanych. Ale twarz wybita z jednej strony wciąż była wyraźna i rozpoznawalna. Oddech Conana świsnął między zaciśniętymi zębami. Była to twarz brodatego mężczyzny, nieodgadniona, pełna spokojnego, nieludzkiego piękna.

– Na Croma! To on! – wymamrotał Conan. Zrozumiał teraz wrażenie podobieństwa, jakie wywołał w nim od pierwszej chwili widok tego brodatego mężczyzny. Widział już raz taką monetę, dawno temu i w odległej krainie.

Burknął, wzruszając ramionami:

– Podobieństwo to tylko przypadek; a może, jeśli jest wystarczająco sprytny, by przyjąć zapomniane imię czarnoksiężnika, potrafi również upodobnić się do niego? – mówił to jednak bez przekonania. Widok monety zatrzęsął podstawami jego świata. Czuł, że rzeczywistość i stabilność zawałały się w otchłanie iluzji i czarnoksiężstwa. Czarnoksiężnik – to mógł zrozumieć. Ale to, to już było diabelstwo przekraczające zdrowy rozsądek!

– Nie ma wątpliwości, że to rzeczywiście jest Xaltotun z Python – powiedział Hadrathus. – To on zatrzęsął urwiskami nad Valkią za pomocą swych zaklęć, które ujarzmiają ziemskie żywioły. To on wysłał przed świtem do twego namiotu stworzenie ciemności.

Conan obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

– Skąd o tym wiesz?

– Wyznawcy Asury mają swoje sekretne dojścia. Nie ma to większego znaczenia. Ale zdajesz sobie teraz sprawę z bezsensowności poświęcania Akwilończyków w próżnym wysiłku odzyskania twej korony?

Conan oparł podbródek na pięści i spojrzał przed siebie pustym wzrokiem. Albiona obserwowała go niespokojnie, a jej umysł krążył po omacku w labiryntach problemu, któremu władca musiał stawić czoła.

– Nie ma na świecie żadnego czarnoksiężnika, który byłby w stanie czynić magię tak potężną, by pokonała zaklęcia Xaltotuna? – zapytał w końcu.

Hadrathus potrząsnął głową.

– Gdyby był ktoś taki, my, wyznawcy Asury, wiedzielibyśmy o nim. Ludzie mówią, że nasz kult to pozostałości po starożytnych czcicielach węża ze Stygii. To kłamstwo. Nasi przodkowie pochodzą z Vendii, leżącej za morzem Vilayet i błękitnymi górami Himelian. Jesteśmy dziećmi Wschodu, nie Południa, i posiadamy wiedzę dotyczącą wszystkich czarnoksiężników Wschodu, którzy są potężniejsi niż zachodni magowie. Ale wobec czarnej potęgi Xaltotuna wszyscy oni są tylko trzcina na wietrze.

– Ale został raz pobity – naciskał Conan.

– Tak. Zwrócono przeciw niemu kosmiczne źródło. Ale dziś jest ono znów w jego rękach, a on zadba o to, żeby mu go nie wykradziono.

– A czym jest to przeklęte źródło? – zapytał poirytowany Conan.

– Nazywają je Sercem Arymana. Kiedy podbito Acheron, prosty kapłan, który wykradł je Xaltotunowi i obrócił przeciwko niemu, ukrył klejnot w nawiedzanej jaskini i zbudował nad nią małą świątynię. Potem odbudowywano ją trzykrotnie, za każdym razem była większa i bardziej dostojna, zawsze jednak stała na miejscu pierwotnego ołtarza, chociaż zapomniano już, jaka była tego przyczyna. Pamięć o ukrytym symbolu zagasła w umysłach pospolitych ludzi i zachowała się tylko w kapłańskich księgach i ezoterycznych tomach. Nie wiadomo, skąd pochodzi. Niektórzy mówią, że to prawdziwe serce boga, inni – że to gwiazda, która spadła z nieba dawno temu. Aż do momentu kradzieży nikt nie patrzył na nie od trzech tysięcy lat.

– Kiedy magia mitryjskich kapłanów zawiodła wobec magii akolity Xaltotuna, Altara, ci przypomnieli sobie o pradawnej legendzie Serca i najwyższy kapłan ze swym akolitą zeszli w głąb ciemnej i straszliwej świątyni, w którą od trzech tysięcy lat nie zagłębiał się żaden śmiertelnik. W starożytnych, okutych żelazem tomach, które opowiadały o Sercu w swym zagadkowym, symbolicznym języku, wspomina się także o stworzeniu ciemności, którą starożytny kapłan postawił na straży klejnotu. Dużo niżej, w kwadratowej komnacie o sklepionych drzwiach, prowadzącej w niezmierną czerń, kapłan i jego akolici znaleźli czarny, kamienny ołtarz, który błyszczał ponuro, promieniejąc niewytłumaczalną poświatą.

Na ołtarzu leżało dziwne, złote naczynie podobne do zamykanej muszli, która przywierała do kamienia jak skorupiak. Była jednak otwarta i ziała pustką. Serce Arymana zniknęło! Kiedy patrzyli na to z przerażeniem, strażnik krypty, stworzenie ciemności, zaskoczył ich i rozerwał

najwyższego kapłana na strzepy, ale akolita pokonał tę bestię: bezrozumnego, bezdusznego bękart z czeluści, wywołanego dawno temu, by strzegł Serca. Akolita uciekł w górę długich, wąskich schodów, unosząc ze sobą umierającego kapłana, który przed śmiercią zdołał wydyszeć nowinę swym wyznawcom, rozkazując im poddać się mocy, której nie mogli stawić czoła; nakazał im dochowanie tajemnicy. Ale słowo poniosło się po kapłanach i my, wyznawcy Asury, dowiedzieliśmy się o tym.

– I Xaltotun czerpie swoją moc z tego symbolu? – zapytał wciąż sceptyczny Conan.

– Nie. Jego magia pochodzi z czarnych otchłani. Ale Serce Arymana nadeszło z odległego uniwersum oślepiającego światła, przeciw któremu nie mogą walczyć siły ciemności, jeśli znajduje się w rękach adepta. To jak miecz, który mógłby go zranić, a nie miecz, którego mógłby użyć. Serce przywraca życie, a on może tylko niszczyć życie. Ukradł je nie po to, by użyć go przeciw swym wrogom, ale by powstrzymać ich przed użyciem go przeciwko niemu.

– Złota czara w kształcie muszli na czarnym ołtarzu w głębokiej jaskini... – wymamrotał Conan, marszcząc brwi i usiłując wyobrazić sobie ten iluzoryczny obraz. – To przypomina mi o czymś, co widziałem lub słyszałem... Ale jak wygląda, na Croma, to osławione Serce?

– Ma ono formę wielkiego klejnotu, podobnego do rubinu, z tym że pulsuje oślepiającym ogniem, jakim nigdy nie płonął żaden rubin. Błyszczący jak żywy płomień...

Conan skoczył nagle na równe nogi i grzmotnął prawą pięścią w lewą dłoń.

– Na Croma! – ryknął. – Ależ ze mnie głupiec! Serce Arymana! Serce mojego królestwa! „Znajdź serce twego królestwa”, powiedziała Zelata. Na Ymira, w zielonym dymie zobaczyłem klejnot, klejnot, który Tarascus wykradł Xaltotunowi, kiedy ten leżał pogrążony w śnie czarnego lotosu!

Hadrathus również stanął na nogi, a spokój opadł z niego jak maska.

– Co ty mówisz? Xaltotunowi wykradziono Serce?

– Tak! – huknął Conan. – Tarascus obawiał się Xaltotuna i chciał ograniczyć jego moc, myśląc, że tkwi ona w Sercu. Może myślał, że czarnoksiężnik umrze, jeśli Serce przepadnie. Na Croma, ach! – z dzikim grymasem rozczarowania i obrzydzenia Conan opuścił zaciśniętą dłoń. – Zapomniałem o jednym. Tarascus dał je złodziejowi, aby ten wrzucił je

w morze. W tym momencie opryszek musi być już prawie w Kordavie. Zanim zdążymy za nim ruszyć, wynajmie statek i wrzuci Serce do oceanu.

– Morze go nie przyjmie! – odrzekł podniecony Hadrathus. – Xaltotun sam wrzuciłby je do morza dawno temu, gdyby nie to, że wiedział, iż pierwszy sztorm wyniesie je na brzeg. Ale klejnot może wylądować na każdej nieznannej plaży!

– Cóż... – Conan odzyskiwał już nieco swej zwyczajnej pewności siebie. – Nie ma pewności, że złodziej wyrzuci je do morza. Jeśli znam się na złodziejach – a powinienem, gdyż we wczesnej młodości sam byłem złodziejem w Zamorze – nie wyrzuci go. Sprzeda je jakiemuś bogatemu kupcowi. Na Croma! – Conan chodził w kółko w rosnącym podnieceniu. – Można go poszukać! Zelata kazała mi odszukać serce mego królestwa, a wszystkie inne rzeczy, które mi pokazała, okazały się prawdziwe. Czy może się okazać, że moc potrzebna do pokonania Xaltotuna drzemie w tym szkarłatnym cacku?

– Tak! Ręczę ci za to głową! – wrzasnął Hadrathus, a jego twarz rozświetlało podniecenie; oczy kapłana błyszcząły, jego pięści były zaciśnięte. – Mając go w rękach, możemy pokonać Xaltotuna! Przyrzekam! Gdybyśmy je odzyskali, mielibyśmy nawet szansę na odzyskanie twej korony i na odepchnięcie spod bram naszych najeźdźców. Akwilonia nie boi się nemedyjskich mieczy, lecz czarnej magii Xaltotuna.

Conan patrzył na niego przez moment, pozostając pod wrażeniem płomiennego wybuchu kapłana.

– To jak poszukiwanie w koszmarnej śnie – rzekł w końcu. – Jednak twe słowa powtarzają myśli Zelaty, a wszystko, co do tej pory powiedziała, okazało się prawdą. Poszukam tego klejnotu.

– Zależy od tego los Akwilonii – powiedział z przekonaniem Hadrathus. – Wyślę z tobą ludzi...

– Nie! – zakrzyknął król ze zniecierpliwieniem, nie chcąc, by kapłani przeszkadzali mu w poszukiwaniach, niezależnie od ich wiedzy ezoterycznej. – To zadanie dla wojownika. Pójdę sam. Najpierw udam się do Poitanii, gdzie zostawię Albionę z Trocerem. Potem do Kordawy, a jeśli będzie trzeba, to i na morze. Może się zdarzyć, że nawet jeśli złodziej będzie usiłował wykonać rozkaz Tarascusa, napotka jakieś trudności ze znalezieniem statku wypływającego o tej porze roku.

– Jeśli znajdziesz Serce – wykrzyknął Hadrathus – przygotuję drogę twego podboju! Zanim wrócisz do Akwilonii, pošlę sekretnymi kanałami

wieść, że żyjesz i że powracasz z magią silniejszą niż czary Xaltotuna. Kiedy przybędziesz, będę miał przygotowanych do powstania ludzi. A oni pójdą za tobą, jeśli będą mieli pewność, że coś ochroni ich przed czarną magią Pythończyka.

Po chwili dodał:

– Będę pomagać ci w podróży. – Kapłan podniósł się i uderzył w gong. – Jest tu sekretny tunel, który prowadzi z tej świątyni do miejsca poza murami miasta. Popłyniesz do Poitanii na łódce pielgrzymów. Nikt nie odważy się ci przeszkadzać.

– Jak chcesz. – Mając w głowie określone cele, Conan płonął z niecierpliwości, przepełniony ożywiającą jego ciało energią. – Niech tylko stanie się to szybko.

W tym czasie w innej części miasta zdarzenia następowały po sobie szybko. Do pałacu, w którym Valerius zabawiał się ze swymi tancerkami, wtargnął bez tchu posłaniec i padając na kolana, wydyszał zniekształconą historię o tym, co zdarzyło się w więzieniu i o ucieczce hrabiny. Przyniósł także wieść o tym, że hrabia Thespius, któremu powierzono egzekucję Albiony, umiera i prosi o rozmowę z Valeriusem. Ten narzuciwszy pelerynę na ramiona, pośpieszył za posłańcem krętymi korytarzami i wszedł do komnaty, w której leżał Thespius. Hrabia konał ponad wszelką wątpliwość. Z każdym drgającym oddechem z jego ust toczyła się krwawa piana. Okaleczone ramię zostało opatrzone, by zatamować upływ krwi, ale i tak rana w jego boku była śmiertelna.

Zostawszy sam na sam z umierającym mężczyzną, Valerius zaklął pod nosem.

– Na Mitrę, sądziłem, że istniał tylko jeden mężczyzna, który mógłby zadać taki cios.

– Valeriusie! – wydyszał umierający. – On żyje! Conan żyje!

– O czym ty mówisz? – wybuchnął nowo obrany król.

– Przysięgam na Mitrę! – zabalgotał Thespius, krztusząc się spływającą mu do gardła krwią. – To on uprowadził Albionę! Nie zginął, nie nawiedził nas duch z piekła! Jest człowiekiem z krwi i kości i jest bardziej przerażający niż kiedykolwiek. Aleja za wieżą jest pełna trupów. Uważaj, Valeriusie, on wrócił... żeby zabić nas wszystkich.

Umazaną krwią postacią wstrząsnął mocny dreszcz i ciało hrabiego zwiotczało.

Valerius spojrział gniewnie na zmarłego człowieka, rzucił wzrokiem na pustą komnatę, po czym, podchodząc prędko do drzwi, otworzył je nieoczekiwanie. Posłaniec i grupka nemedyjskich strażników stali o kilka kroków w głąb korytarza. Nowy król wymamrotał coś, co mogło wskazywać na zadowolenie.

– Czy zamknięto wszystkie bramy? – zapytał.

– Tak, wasza wysokość.

– Potroić strażę przy wszystkich. Niech nikt nie wchodzi ani nie opuszcza miasta bez dokładnego sprawdzenia. Z pomocą akwilońskiego buntownika uciekł bardzo cenny więzień. Czy ktoś z was rozpoznał człowieka?

– Nie, wasza wysokość. Widział go stary strażnik, ale mógł tylko powiedzieć, że był to olbrzym odziany w czarne szaty kata, którego nagie ciało znaleźliśmy w pustej celi.

– To niebezpieczny człowiek – powiedział Valerius. – Nie traćcie czasu na szukanie go. Wszyscy znacie hrabinę Albionę. Szukajcie jej, a jeśli natkniecie się na nią, natychmiast zabijcie ją i jej towarzysza. Nie próbujcie pojmać ich żywcem.

Powróciwszy do swej pałacowej komnaty, Valerius przywołał do siebie czterech mężczyzn o dziwnym i obcym wyglądzie. Byli wysocy, mieli żółtawą skórę i nieruchome rysy twarzy. Wszyscy byli do siebie bardzo podobni i odziani tak samo w długie, czarne szaty, spod których ledwo wystawały ich obute w sandały stopy. Ich twarze były zasłonięte kapturami. Stanęli przed królem z dłońmi w szerokich rękawach i ze skrzyżowanymi ramionami. Valerius spojrział na nich bez przyjemności. W swych dalekich podróżach spotkał już wiele dziwnych ras.

– Kiedy znalazłem was, umierających z głodu w dżunglach Khitaju – powiedział szorstko – wyrzuconych z waszego królestwa, przyrzekliście mi wierność. Na swój obrzydliwy sposób służyliście mi całkiem dobrze. Wymagam od was ostatniej posługi, a potem zwolnię z danej przysięgi. Conan z Cymmerii, król Akwilonii, wciąż jeszcze żyje, pomimo czarów Xaltotuna – a może właśnie dzięki nim, nie wiem. Ciemny umysł tego zmartwychwstałego diabła jest zbyt pokrętny i subtelny, by mógł go pojąć człowiek. Ale nie jestem bezpieczny, dopóki Conan żyje. Lud zaakceptował mnie jako mniejsze zło, bo myślał, że król umarł. Jeśli tylko się pojawi, tron

zatrzęsie się pode mną, zanim zdołam podnieść rękę. Być może moi sojusznicy chcieli go użyć, aby mnie zastąpić, kiedy uznają, że spełniłem już swoją rolę. Nie wiem. Wiem natomiast, że ten świat jest za mały dla dwóch królów Akwilonii. Odnajdźcie Cymmeryjczyka. Użyjcie swego osobliwego talentu, aby wypłoszyć go z kryjówki i wytropić jego ślad. W Tarantii ma wielu przyjaciół. Ktoś pomógł mu przy uprowadzeniu Albiony. Potrzeba więcej niż jednego mężczyzny, nawet jeśli jest nim Conan, aby urządzić taką rzeźnię w alei przed wieżą. Ale koniec z tym! Zbierzcie swoich ludzi i podejmijcie jego ślad. Nie wiem, dokąd was zaprowadzi. Ale znajdźcie Conana! A kiedy go znajdziecie, zabijcie!

Cztery mroczne postacie skłoniły się jednocześnie, odwróciły bez słowa i wyszły bezszelestnie z komnaty.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

MIECZE POŁUDNIA

Wstający nad odległymi wzgórzami świt błyszczał na żaglach małej łodzi, która płynęła w dół rzeki, wijącej się w odległości mili od murów Tarantii i zapętłającej się na południe jak wielki, świetlisty wąż. Łódź ta różniła się od zwykłych czółen, niosących szerokich w barach rybaków z Khorotas i od kupieckich barek wyładowanych dobrami. Była długa i wiotka, miała wysoki, zagięty dziób i była czarna jak heban, a na jej nadburciu wymalowano białe czaszki. Pośrodku wznosiła się mała kabina ze szczelnie zasłoniętymi oknami. Inne statki omijały szerokim łukiem tę złowrogo wymalowaną łódź, bowiem z całą pewnością była jedną z „tych łódek pielgrzymów”, które unosiły umarłych wyznawców Asury w ostatnią, tajemniczą pielgrzymkę na południe, gdzie, daleko za górami Poitanii, rzeka wpadała w końcu do błękitnego oceanu. W kabinie ponad wszelką wątpliwość znajdowało się ciało zmarłego. Ludzie byli przyzwyczajeni do widoku tych ponurych łodzi, a nawet najbardziej zażarty wyznawca Mitry nie odważyłby się ich dotknąć albo zakłócić ich podróży do krainy cieni.

Nie wiedziano, gdzie leży miejsce ich przeznaczenia. Niektórzy mówili, że w Stygii; inni – że na bezimiennej wyspie poza horyzontem; jeszcze inni, że zmarli docierają w końcu do wspaniałego i tajemniczego lądu Vendii. Nikt nie był tego pewien. Wiedzieli tylko, że kiedy umiera wyznawca Asury, jego ciało podąża na południe, w dół wielkiej rzeki, w czarnej łódce, sterowanej przez olbrzymiego niewolnika, i że ani łódka, ani trup, ani niewolnik nie wracają już nigdy – chyba że rzeczywiście niektóre mroczne legendy mówiły prawdę i to zawsze ten sam niewolnik popychał łodzie na południe.

Człowiek, który napędzał tę konkretną łódkę, był równie wielki i brązowy jak pozostali, chociaż bliższe śledztwo mogłoby ujawnić fakt, że kolor jego skóry pochodził ze starannie nałożonego pigmentu. Mężczyzna był odziany w skórzaną przepaskę na biodrach i sandały; radził sobie z długimi wiosłami z wyjątkową zręcznością i siłą. Ale nikt nie przybliżył się za bardzo do ponurej łódki, gdyż dobrze wiedziano, że wyznawcy Asury są przeklęci i że te pielgrzymie stateczki pulsują od czarnej magii. Ludzie

omijali zatem łódź szerokim łukiem i mamrotali inkantacje, kiedy czarna szalupa prześlizgiwała się obok nich, w żadnym razie nie przypuszczając, że są świadkami ucieczki ich prawowitego króla i hrabiny Albiony.

Była to dziwna podróż – w czarnej łódce, w dół wielkiej rzeki przez prawie dwieście mil, aż do miejsca, w którym Khorotas odbija na wschód, granicząc z górami Poitanii. Nieustannie zmieniające się widoki przesuwały się przed nimi jak sen. Za dnia Albiona leżała cierpliwie w małej kabinie, cicho jak trup, którego miała udawać. Dopiero późną nocą, po tym jak rzekę opuszczały ostatnie łodzie, na pokładach których bogaci i wpływowi ludzie oddawali się wszelkim możliwym rozkoszom, rozpierając się na jedwabnych poduszkach w blasku trzymanyh przez niewolników pochodni, dziewczyna mogła wyjść na zewnątrz. Wtedy to ona chwyciła za długi ster, zręcznie przymocowany na miejscu linami, aby ułatwić jej zadanie, podczas gdy Conan ucinął sobie parogodzinną drzemkę. Ale król nie potrzebował wiele odpoczynku. Toczył go bezlitosny płomień pragnienia odzyskania tronu, a jego ciało poddawane było testowi wytrzymałości. Płynęli bez zatrzymywania się.

Uciekali w dół rzeki, na południe. Nocami wartki nurt odbijał światła tysiąca gwiazd, a za dnia podróżowali pod złotym słońcem; w pędzie na południe zostawili za sobą zimę. Czasami mijali nocą miasta, nad którymi migotała i pulsowała poświata: odblask tysiąca świateł, pańskich dworców nad rzekami i płodnych sadów. W końcu wyrosły przed nimi błękitne góry Poitanii – poziom nad poziomem, niczym palisady bogów, a wielka rzeka, gwałtownie odbijając od spiczastych urwisk, płynęła burzliwie przez rzędy wzgórz wśród prędkich i pieniających się katarakt.

Conan uważnie obserwował linię brzegową; w końcu zatoczył łagodne koło i skierował łódkę ku brzegowi w miejscu, w którym pas łądu schodził do wody, a jodły rosły w dziwnie symetrycznych kręgach wokół szarej skały o dziwnym kształcie.

– Nie mogę pojąć, jak te łódki są w stanie przepłynąć przez wodospady, których huk słyszemy przed sobą – warknął. – Hadrathus powiedział, że to robią. Ale my zatrzymamy się tutaj. Mówił, że będzie tu na nas czekał człowiek z końmi, ale nikogo nie widzę. I tak nie rozumiem, jak wieść o naszym przybyciu mogłaby dotrzeć tu przed nami.

Dopłynął do brzegu i przywiązał dziób łodzi do korzenia wystającego z niskiego brzegu, po czym, wskakując do wody z siebie brązową farbę. Wypłynął i ociekający wodą wyszedł w swym naturalnym kolorze

skóry. Wyniósł z kabiny akwilońską kolczugę, o którą wystarał się dla niego Hadrathus, a także swój miecz. Odziewał się, podczas gdy Albiona nakładała na siebie ubrania stosowne do górskiej podróży. Kiedy Conan był już w pełni uzbrojony i odwrócił się, by spojrzeć na brzeg, podskoczył, a jego dłoń powędrowała do miecza. Na brzegu bowiem, w cieniu drzew, stała owinięta w czarną pelerynę postać, trzymająca za lejce białego wierzchowca i gniadego rumaka.

– Kim jesteś? – zapytał król.

Postać pochyliła się nisko.

– Wyznawcą Asury. Nadeszło polecenie, a ja usłuchałem.

– Jak to: „nadeszło”? – dopytywał się Conan, ale jego rozmówca po prostu skłonił się raz jeszcze.

– Przyszedłem tu, aby przeprowadzić was przez góry do pierwszej twierdzy poitańskiej.

– Nie potrzebuję przewodnika – odparł Conan. – Dobrze znam te wzgórza. Dziękuję ci za konie, ale hrabina i ja będziemy mniej przykuwać uwagę, podróżując samotnie niż w towarzystwie akolity Asury.

Mężczyzna skłonił się głęboko, wręczył Conanowi lejce i wszedł na łódkę. Odbiwszy od brzegu, popłynął w dół wartkiego nurtu, w kierunku odległego ryku niewidocznego progu wodnego. Potrząsając w zdumieniu głową, Conan usadził hrabinę w siodle wierzchowca, po czym sam dosiadł bojowego rumaka i skierował się w stronę górujących na tle nieba szczytów.

Pofałdowana kraina u stóp wysokich gór znajdowała się obecnie w stanie wzburzenia; baronowie powrócili tu do feudalnych zwyczajów, a bandy banitów grasowały niepowstrzymywane przez nikogo. Poitania nie ogłosiła formalnie swej separacji od Akwilonii, ale była teraz, jak by na to nie patrzeć, oddzielnym królestwem, rządzonym przez dziedzicznego hrabiego Trocera. Pofałdowane południowe państwo teoretycznie wciąż było podporządkowane Valeriusowi, ale nowy król bynajmniej nie usiłował przedzierać się przez górskie przełęcze. Przejść strzegły wieżyce, na których powiewała wyzywająco szkarłatna, zdobna leopardem, chorągiew Poitanii.

Król i jego szlachetna towarzysza wjechali na pasmo długich, błękitnych wzgórz w zapadającym łagodnie zmierzchu. Kiedy wspięli się wyżej, pofałdowane państwo rozciągnęło się przed nimi jak szeroki, purpurowy koc, błyszczący blaskiem rzek i jezior, światłem żółtych,

szerokich pól oraz białą poświatą odległych wież. Daleko przed sobą dostrzegli pierwszą strażnicę poitańską: była to mocna forteca, która dominowała nad wąskim przejściem, a jej czerwona chorągiew powiewała na błękitnym, czystym niebie.

Zanim do niej dotarli, zza drzew wyjechała banda rycerzy w polerowanych zbrojach, a ich dowódca surowo zażądał, by się zatrzymali. Byli to wysocy mężczyźni Południa o ciemnych oczach i kruczoczarnych włosach.

– Zatrzymaj się, panie i powiedz, czym się parasz, a także dlaczego jedziesz do Poitanii!

– Czy Poitania jest wzburzona na tyle – zapytał Conan, obserwując z bliska przywódcę – że człowiek w akwilońskiej zbroi jest zatrzymywany i przepytywany jak obcokrajowiec?

– Ostatnimi czasy zapuszcza się tu wielu zbirów z Akwilonii – odparł drugi chłodno. – A jeśli chodzi ci o rewoltę i masz na myśli odtrącenie uzurpatora, to owszem, Poitania jest zbuntowana. Wolimy raczej służyć wspomnieniu umarłego króla, niż ugiąć się pod berłem żyjącego psa.

Conan ściągnął hełm i potrząsając czarną grzywą, spojrzał prosto na swego rozmówcę. Poitańczyk podskoczył gwałtownie i posiniał.

– Bogowie! – wydyszał. – Toż to król... żywy!

Pozostali patrzyli na Conana w zdumieniu, po czym z ich gardeł wydobył się ryk zdumienia i radości. Zakręcili się wokół króla rozentuzjasmowani, wykrzykując bojowe okrzyki i potrząsając mieczami. Wrzask poitańskich wojowników mógłby przerazić co bardziej bojaźliwego człowieka.

– Ach, Trocero zapłacze z radości na twój widok, panie! – wrzasnął jeden.

– Tak, a także Prospero! – krzyknął inny. – Generał zachowuje się, jakby spowił go płaszcz melancholii i dzień i noc przeklina siebie, że nie osiągnął Valkii na czas, by umrzeć obok swego króla!

– Teraz będziemy mogli uderzyć na imperium! – zawył jeszcze inny, wymachując nad głową wielkim mieczem. – Cześć ci, Conanie, królu Poitanii!

Brzęk jasnej stali wokół niego i ich głośnie wyrazy uznania wystraszyły ptaki, które podniosły się wielobarwną chmurą z okolicznych drzew. Gorąca południowa krew wrzała, a rycerze chcieli tylko jednego: by ich odnaleziony na nowo władca poprowadził ich do walki.

– Jakie są twoje rozkazy, panie? – pytali. – Pozwól, by jeden z nas pojechał naprzód i zaniósł do Poitanii wieści o twym przybyciu! Z każdej wieży będą zwieszać się flagi, róże wyścielą ci drogę, a piękności i rycerstwo Południa oddadzą ci należny honor...

Conan potrząsnął głową.

– Któż mógłby wątpić w waszą lojalność? Ale wiatr z tych gór wieje do państwa moich nieprzyjaciół i nie chciałbym, żeby dowiedzieli się, że żyję... Jeszcze nie teraz. Zabierzcie mnie do Trocera i nie zdradzajcie mej tożsamości.

Tak więc to, z czego rycerze zrobiliby najchętniej pochód triumfalny, było raczej sekretnym pędem ku stolicy prowincji. Poruszali się prędko, nic nie mówiąc, jeśli nie liczyć szeptów do kapitana gwardii na każdym przejściu. Conan jechał między nimi z opuszczoną przyłbicą.

Góry były zamieszkane jedynie przez banitów i garnizony strzegących przejść żołnierzy. Wielbiący przyjemności Poitańczycy nie pragnęli ciężkiego i skromnego życia ani też nie mieli potrzeby, by je wieść. Na południe od wzgórz rozciągały się aż po rzekę Alimane żyzne i przepiękne równiny Poitanii. Za rzeką leżały już tereny należące do Zingary.

Nawet teraz, kiedy wiatr strząsał liście z drzew za górami, żyzna i bujna trawa falowała na równinach, na których pasły się konie i bydło, z których słyneśli Poitańczycy. Palmy i gaje pomarańczowe uśmiechały się do słońca, złote światło odbijało się we wspaniałych purpurowych, złotych i szkarłatnych wieżach zamków i miast. Był to kraj gorąca i dobrobytu, pięknych kobiet i zaciekłych wojowników. Nie tylko szorstkie tereny wydają z siebie twardych ludzi. Poitanie otaczali zawistni sąsiedzi i jej dzieci hartowały się w nieustających wojnach. Od północy kraj był strzeżony przez góry, ale na południu od równin Zingary dzieliła go tylko rzeka Alimane; nie raz, lecz tysiące razy jej wody spływały krwią. Na wschodzie leżało Argos, a jeszcze dalej Ofir – królestwa dumne i chciwe. Rycerstwo Poitanii utrzymywało swe tereny za pomocą miecza; nie zaznali oni tu zbyt wiele spokoju i bezczynności.

Conan dojechał w końcu do zamku hrabiego Trocera.

Siedział teraz na jedwabnym dywanie w bogato urządzonej komnacie, której przezroczyście kotary falowały w gorącej bryzie. Trocero kroczył po podłodze jak pantera: był to zwinny, niespokojny mężczyzna o talii kobiety i barkach szermierza, którego nie imaly się upływające lata.

– Pozwól, byśmy proklamowali cię królem Poitanii – nalegał hrabia. – Niech te północne świnie uchylą się pod jarzmem! Południe wciąż jest twoje. Zamieszkaj tu i rządz nami, między kwiatami i palmami.

Ale Conan potrząsnął głową:

– Nie ma na ziemi bardziej szlachetnego kraju niż Poitania. Ale sama nie ustoi, niezależnie od tego, jak odważni są jej synowie.

– Od pokoleń była niezależna – odparł Trocero, ukazując na moment charakterystyczną dumę swej rasy. – Nie zawsze byliśmy częścią Akwilonii.

– Wiem. Lecz teraz warunki nie są takie same jak niegdyś, kiedy wszystkie królestwa były podzielone na walczące ze sobą pryncypaty. Dni księstw i wolnych miast odchodzą już w przeszłość, nadchodzą czasy imperiów. Śnią o nich władcy, ale siła wielkich królestw leży tylko w jedności.

– A więc połączmy Zingarę z Poitanią – przekonywał Trocero. – Pół tuzina książąt walczy tam między sobą, a państwo jest rozdarte przez wojnę domową. Podbijemy je, prowincja za prowincją, i dodamy je do twoich dominiów. Potem z pomocą Zingarczyków podbijemy Argos i Ofir. Stworzymy imperium...

Conan ponownie potrząsnął głową.

– Pozostawmy innym sny o imperiach. Chciałbym jednak utrzymać to, co moje. Wcale nie pragnę rządzić imperium spojonym za pomocą ognia i miecza. Jedną rzeczą to sięgnięcie po tron z pomocą własnych poddanych i władanie nimi za ich przyzwoleniem, a już zupełnie inną kwestię stanowi podporządkowanie sobie obcego królestwa i rządzenie nim za pomocą strachu. Nie chcę być kolejnym Valeriuszem. Nie, Trocero: albo będę rządził całą Akwilonią i niczym więcej, albo nie będę rządził w ogóle.

– Poprowadź więc nas przez góry i rozniesiemy Nemedyczyków.

Dziki oczy Conana błysnęły z wdzięcznością.

– Nie, Trocero. Byłby to próżny trud. Powiedziałem ci, co muszę zrobić, aby odzyskać moje królestwo. Muszę znaleźć Serce Arymana.

– Ależ to szaleństwo! – zaprotestował Trocero. – Jakieś pomiaukiwanie heretyckiego kapłana, bełkot oszalałej wiedźmy.

– Nie było cię w moim namiocie przed bitwą nad Valkią – odparł ponuro Conan, mimowolnie zerkając na swój prawy nadgarstek, na którym wciąż jeszcze widać było niewyraźne, błękitne ślady. – Nie widziałeś, jak urwiska wałęsały się z rykiem i miażdżą kwiat mego rycerstwa. Nie, Trocero, jestem

o tym przekonany... Xaltotun nie jest śmiertelnikiem i jedynie posiadając Serce Arymana, mogę się z nim zmierzyć. Dlatego jadę do Kordavy. Sam.

– Przecież to niebezpieczne! – sprzeciwił się Trocero.

– Życie jest niebezpieczne! – huknął król. – Nie pojedę tam jako król Akwilonii ani nawet jako rycerz Poitanii, ale jako wędrowny najemnik – tak, jak dawno temu przybyłem do Zingary. Och, mam wielu wrogów na południu Alimane, na terenach i na wodach Południa. Wielu nie rozpozna we mnie króla Akwilonii, ale będą mnie pamiętać jako Conana od barachańskich piratów albo Amrę od czarnych korsarzy. Mam tam jednak także przyjaciół, a także ludzi, którzy pomogą ze swoich prywatnych powodów. – Na jego ustach pojawił się na moment odległy grymas wspomnienia.

Trocero opuścił bezsilnie dłonie i spojrzał na Albionę, która siedziała nieopodal na dywanie.

– Rozumiem twe wątpliwości, mój panie – powiedziała ona. – Ale ja też widziałam monetę w świątyni Asury i popatrz: Hadrathus powiedział, że została wybita pięćset lat przed upadkiem Acheronu. Jeśli zatem Xaltotun jest człowiekiem uwiecznionym na monecie, jak zaklina się jego wysokość, znaczy to, że nie jest to żaden pospolity czarownik, nawet w jakimś nowym wcieleniu, gdyż lata jego życia liczą się na wieki, nie jak życia innych ludzi.

Zanim Trocero zdołał coś odpowiedzieć, po drugiej stronie drzwi rozległo się pełne szacunku pukanie i głos zawołał.

– Mój panie, złapaliśmy mężczyznę, który kręcił się wokół zamku i mówi, że chce rozmawiać z twoim gościem. Czekam na twoje rozkazy.

– Akwiloński szpieg! – syknął Trocero, chwytając za sztylet, ale Conan podniósł głos i zawołał:

– Otwórz drzwi i pozwól, że go zobaczę.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich mężczyzna, trzymany z każdej strony przez uzbrojonych ludzi o surowym wyglądzie. Był to szczupły człowiek odziany w ciemną szatę z kapturem.

– Jesteś wyznawcą Asury? – zapytał Conan.

Mężczyzna przytaknął, a niezłomni, uzbrojeni mężczyźni wyglądali na zaszokowanych i spojrzeli z powątpiewaniem na Trocera.

– Na południe dotarła wieść – powiedział człowiek. – Nie będziemy w stanie pomóc ci za Alimane, gdyż nasza sekta nie rozciąga się dalej na południe, lecz mamy swoich wyznawców na wschód, z biegiem Khorotas. Dowiedziałem się jednak, co następuje: złodziej, który zabrał Tarascusowi

Serce Arymana, nie dojechał nigdy do Kordavy. Został zabity przez złodziejasków w górach Poitanii. Klejnot wpadł w ręce ich przywódcy, który, nie znając jego prawdziwej natury i będąc ściganym po tym, jak jego banda została rozbita przez poitańskich rycerzy, sprzedał go kothańskiemu kupcowi Zorathusowi.

– Ha! – Conan zerwał się na równe nogi, podniecony. – A co z Zorathusem?

– Cztery dni temu przekroczył Alimane i skierował się do Argos z małą grupą uzbrojonych sług.

– Głupio zrobił, przeprawiając się do Zingary w obecnych czasach – powiedział Trocero.

– Tak, za rzeką nastaly burzliwe czasy. Ale Zorathus jest odważnym człowiekiem i nieco nierozsądnym. Spieszy do Messantii, gdzie ma nadzieję znaleźć kupca na ten klejnot. Może chce sprzedać go ostatecznie w Stygii. Być może odgadł jego prawdziwą naturę. Tak czy siak, zamiast iść długą drogą, która wije się wzdłuż granicy Poitanii i w końcu dochodzi do Argos daleko od Messantii, ruszył prosto przez wschodnią Zingarę, podążając krótszą i bardziej bezpośrednią trasą.

Conan walnął w stół zaciśniętą pięścią, aż zatrzęsnął się wielki blat.

– W takim razie, na Croma, w końcu uśmiecha się do mnie szczęście! Daj mi konia, Trocero, i zbroję Wolnych Kompanii! Zorathus ma dużą przewagę, ale nie tak dużą, bym go nie dogonił. Podążę za nim i na koniec świata!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

SMOCZY KIEŁ

O świcie Conan przeprowadził konia przez bród na Alimane i pognął szerokim szlakiem karawan, który wił się na południowy wschód. Za nim, na dalszym brzegu, Trocero zatrzymał swojego konia, stojąc na czele swych odzianych w żelazo rycerzy. Szkarłatna flaga z lampartem, herbem Poitanii, powiewała nad nim w porannej bryzie. Czarnowłosi mężczyźni w błyszczących zbrojach patrzyli cicho, aż postać ich króla zniknęła w odległym błękicie, który stopniowo białiał w świetle wschodzącego słońca.

Conan dosiadał wielkiego, czarnego rumaka, który był prezentem od Trocera. Nie nosił już akwilońskiej zbroi. Jego rynsztunek obwieszczał, że jest weteranem Wolnych Kompanii, na które składali się ludzie wszelkich ras. Na głowie miał płaski, wyszczerbiony i poobijany morion. Skóra i oczka jego kolczugi były zużyte i lśniące, jak gdyby widziały wiele kampanii, a szkarłatna peleryna powiewająca beztrosko za jego opancerzonymi ramionami była poszarpana i poplamiona. Wyglądał jak najemny wojownik, który zaznał zmienności losu: jednego dnia pładrowanie i bogactwo, następnego – pusta sakiewka i zaciśnięty pas.

Ale nie tylko wyglądał jak członek Wolnych Kompanii – czuł się ich częścią. Obudziły się w nim stare wspomnienia, ponownie przypomniał sobie o dzikich, szalonych i chwalebnych dniach, zanim jego stopy wstąpiły na królewską ścieżkę. Był wtedy wędrownym najemnikiem, który hulał, kłócił się, żłopał piwo, szukał przygód i nie myślał o jutrze, a jego jedynymi potrzebami były pieniący się trunek, czerwone kobiece usta i ostry miecz, aby wywijać nim na wszystkich bitewnych polach tego świata.

Nieświadomie wrócił na stary szlak. W jego postawie pojawiła się nowa дума, widoczna w tym, jak siedział na koniu. Na wpół zapomniane przekleństwa same cisnęły mu się na usta, podczas jazdy nucił stare piosenki, które ryczał niegdyś w chórze swych lekkomyślnych towarzyszy w wielu tawernach, na setkach zakurzonych dróg i na krwawych polach.

Zagłębiał się w niespokojne tereny. Nie widać było kompanii kawalerii, które zazwyczaj patrolowały rzekę w obawie przed najazdami z Poitanii.

Zamieszki wewnętrzne pozostawiły granice bez straży: długa, biała droga była pusta jak okiem sięgnąć. Teraz nie poruszały się po niej ani wyładowane wozy zaprzęgnięte w wielbłądy, ani ryczące bydło – jedynie przelotne grupy jeźdźców w skórze i stali, mężczyźni o jastrzębich twarzach i twardych oczach, którzy trzymali się razem i ostrożnie posuwali naprzód. Spoglądali na Conana chciwym wzrokiem, ale jechali dalej, gdyż zbroja samotnego jeźdźcy nie obiecywała łupu, a co najwyżej – ciężkie ciosy.

Wsie leżały w zgliszczach, opuszczone, a pola i łąki świeciły pustkami. Tylko najodważniejsi zdecydowaliby się na jazdę po drodze w tych dniach. Tutejsza populacja została zdziesiątkowana w wojnach domowych i w napadach z drugiej strony rzeki. Dawniej na drogach tych roilo się od kupców jadących z Poitanii do Messantii w Argos albo w drugą stronę. Teraz jednak doszli oni do wniosku, że będzie mądrzej podążać drogą leżącą bardziej na wschód, przez Poitanie, po czym skręcić na południe w Argos. Była to dłuższa, lecz bezpieczniejsza trasa. Tylko wyjątkowo lekkomyślny człowiek ryzykowałby życie i utratę towaru na drodze przez Zingarę.

Południowy horyzont w ciągu nocy obrębiony był płomieniami, a za dnia pod niebo wzbijały się kolumny dymu. W miastach i na równinach Południa umierali ludzie, trzęsły się trony, płonęły zamki. Conan poczuł dawny instynkt zawodowego wojownika, który nakazywał mu zawrócić konia i ruszyć do walki, grabieży i łupienia jak za dawnych, dobrych czasów. Dlaczego miałyby przejmować się odzyskiwaniem władzy nad ludźmi, którzy zdążyli już o nim zapomnieć? Po co polować na błędny ogień, po co podążać za koroną, która przepadła na zawsze? Dlaczego nie szukać zapomnienia, nie pograć się w czerwonych falach wojny i grabieży, które niegdyś pochłaniały go tak często? Czy nie był w stanie wznieść sobie nowego królestwa? Świat witał wiek żelaza, wiek wojny i imperialistycznych ambicji; jakiś potężny człowiek mógłby wznieść się nad ruinami narodów jako ich najwyższy zwierzchnik... A gdyby to był on?

Takie rzeczy szeptał mu do ucha dobrze mu znany diabeł, a duchy jego krwawej i banickiej przeszłości krążyły mu nad głową. Ale nie zawrócił – jechał dalej w poszukiwaniu czegoś, co stawało się coraz bardziej odległe, aż czasami zdawało mu się, że podąża za snem, który nigdy nie był rzeczywistością.

Poganiał swego czarnego wierzchowca tak bardzo, jak tylko pozwalał mu zdrowy rozsądek, ale przed nim, od horyzontu po horyzont, wciąż wiała się

tylko długa, biała droga. Zorathus miał dużą przewagę, ale Conan poruszał się naprzód w miarowym tempie, wiedząc, że obciążeni kupcy wędrują dużo wolniej. W ten sposób dotarł w pobliże należącego do hrabiego Valbroso zamku, który wznosił się na nagim wzgórzu ponad drogą jak sępie gniazdo.

Valbroso zjechał ku niemu ze swymi uzbrojonymi ludźmi. Był to szczupły, ciemny mężczyzna o błyszczących oczach i drapieżnym nosie. Nosił czarną zbroję płytową; podążało za nim trzydziestu włóczników – jastrzębi o czarnych wąsach wyhodowanych na przygranicznych wojnach – równie chciwych i bezlitosnych, jak on sam. Ostatnio strumień karawan był cienki i Valbroso przeklinał wojny domowe, które blokowały ich normalny ruch, a z drugiej strony błogosławił je, gdyż pozwalały im poczynać sobie ze swymi sąsiadami wolną ręką.

Nie oczekiwał wiele po samotnym jeźdźcu, którego zobaczył z wieży, ale nie miał w zwyczaju marnować żadnej okazji. Wprawnym okiem ocenił użytą zbroję Conana i jego ogorzałą, pooraną bliznami twarz; jego wnioski były takie same jak żołnierzy, którzy mijali Cymmeryjczyka po drodze: pusta sakiewka i ostrze w gotowości.

– Kim jesteś, kanalio? – zapytał hrabia.

– Najemnikiem jadącym do Argos – odparł Conan. – Imiona nie mają znaczenia.

– Jedziesz w niewłaściwym dla Wolnego Kompana kierunku – warknął Valbroso. – Na południu jest sporo walk i miejsc do plądrowania. Wstąp do mojej kompanii. Nie będziesz głodny. Na drodze nie ma tłustych kupców do złupienia, ale zamierzam zebrać mych zbirów i wyprawić się na południe, aby tam, za odpowiednią zapłatą, oddać swe miecze na usługi najsilniejszej strony konfliktu.

Conan nie odpowiedział od razu, wiedząc, że jeśli odmówi bezpośrednio, może zostać zaatakowany przez uzbrojonych ludzi Valbroso. Zanim zdołał podjąć decyzję, Zingarczyk przemówił raz jeszcze:

– Wy, zbiry z Wolnych Kompanii, znacie sztuczki, które rozwiązują ludziom języki. Mam więźnia, ostatniego złapanego przez nas kupca, na Mitrę! – Jedyne, jakiego widziałem tu od tygodnia. Ten pies jest uparty. Ma żelazną szkatułkę, której nie chce otworzyć, i nie byłem w stanie zmusić go, by to zrobił. Na Isztar, myślałem, że dysponuję już wszystkimi środkami perswazji, ale może ty, jako weteran Wolnych Kompanii, znasz jakieś inne. Tak czy siak, chodź ze mną i zobaczymy, co zdasz.

Słowa Valbroso sprawiły, że Conan zdecydował się natychmiast. Było wielce prawdopodobnym, że był to Zorathus. Conan nie znał kupca, ale ktokolwiek tak uparty, by próbować przeprawić się przez zingarskie drogi w takich czasach, mógł być równie konsekwentny w milczeniu na torturach.

Stanął w szeregach Valbroso i pojechał w górę wijącej się dróżki na szczyt wzgórza, na którym wznosił się posępny zamek. Jako zbrojny człowiek powinien jechać za hrabią, ale siła przyzwyczajenia sprawiła, że nie dbał o to, a i Valbroso nie zwrócił na to uwagi. Lata życia na granicy nauczyły księcia, że pogranicze nie jest królewskim dworem. Był świadomy niezależności najemników, których miecze wyrąbywały wielu królom drogę na tron.

– I co, Beloso? – rzekł Valbroso do kapitana. – Więzień przemówił?

– Jest uparty – mruknął Beloso, łypiąc podejrzliwie na Conana.

Valbroso wyrwało się przekleństwo i wbiegł z wściekłością po krętych schodach, a za nim ruszyli Conan i kapitan. Kiedy weszli na górę, dało się słyszeć agonialne jęki mężczyzny. Sala tortur Valbroso znajdowała się wysoko ponad dziedzińcem, a nie w umieszczonym w podziemiach lochu. W komnacie, w której wychudzona ludzka bestia w skórzanych bryczesach ogryzała żarłocznie kość wołową, stały maszyny do zadawania nieopisanego bólu: koło tortur, buty, haki i wszystkie narzędzia stworzone przez myśl ludzką do darcia mięsa, łamania kości i przecinania żył i ścięgien.

Na kole tortur rozciągnięty był nagi mężczyzna. Conan szybko zdał sobie sprawę, że kupiec umiera. Nienaturalne wydłużenie jego członków i ciała świadczyło o rozerwanych stawach i niezliczonych złamaniach. Był to człowiek o śniadej karnacji, inteligentnej, orlej twarzy i rozbieganych, ciemnych oczach. Te były szkliste i przekrwione z bólu, a na twarzy perlił się pot agonii. Jego wargi odsłaniały szerniałe dziąsła.

– To jest wspomniane pudełko! – Valbroso kopnął ze złością małą, lecz ciężką żelazną szkatułkę, która stała nieopodal na podłodze. Była dziwnie wyżłobiona, wiły się na niej dziwne, małe czaszki i powykęcane smoki, ale Conan nie zauważył uchwyty ani zasuw, które mogłyby ją otworzyć. Na jej powierzchni widniały ślady ognia, topora, młota i dłuta, ale były to tylko powierzchowne zadrapania.

– To skrzynia skarbów tego psa – powiedział gniewnie Valbroso. – Wszyscy ludzie na południu znają Zorathusa i jego żelazną skrzynkę. Mitra tylko wie, co w niej jest. Ale on nie zdradzi nam tego sekretu.

Zorathus! Conan miał więc rację. Człowiek, którego szukał, leżał przed nim. Serce króla łomotało, kiedy pochylił się nad skręcającą się postacią, choć nie okazał swego bolesnego rozgorączkowania.

– Popuść liny, kanalio! – rozkazał szorstko katowi, a Valbroso i jego kapitan zdumieni się. Zapominając się na moment, Conan użył swego władczego głosu, a brutal w skórze instynktownie posłuchał ostrego polecenia. Poluzował liny stopniowo, gdyż w innym razie rozluźnienie byłoby dla powyrywanych ze stawów członków równie wielką torturą jak dalsze rozciąganie.

Chwytnąjąc za stojący nieopodal kielich wina, Conan przysunął jego krawędź do ust nieszczęśnika. Zorathus pił spazmatycznie, płyn rozlewał się po jego drgającej klatce piersiowej.

W przekrwionych oczach pojawił się błysk zrozumienia i otworzyły się usmarowane pianą usta. Zza nich dobiegł Conana łamiący się szept w kothańskim narzeczu:

– Czy to śmierć już nadeszła? Czy skończyła się długa agonia? To przecież król Conan, który umarł nad Valkią, a ja jestem już między zmarłymi...

– Nie umarłeś – powiedział Conan. – Ale umierasz. Nie będą cię więcej torturować, zadbam o to. Ale nie mogę pomóc ci bardziej. Jednak zanim odejdziesz, powiedz mi, jak otworzyć twą żelazną szkatułkę.

– Moja żelazna szkatułka! – bełkotał Zorathus, z jego ust wydobywały się deliryczne, niepowiązane zdania. – Skrzynka wykuta w bluźnierczych ogniach wśród płonących gór Khroshy; metal, którego nie przetnie żadne ostrze. Ach, jak wiele skarbów nosiła już po całym świecie! Ale nigdy podobnego klejnotu.

– Powiedz mi, jak ją otworzyć – nalegał Conan. – Tobie nic po niej nie przyjdzie, a mi może pomóc.

– Tak, ty jesteś Conan – wymamrotał Kothańczyk. – Widziałem, jak zasiadasz na tronie w wielkiej sali audiencyjnej w Tarantii, w koronie na głowie i z berłem w dłoni. Ale ty nie żyjesz. Zginąłeś nad Valkią. Wiem więc, że mój koniec jest bliski.

– Co mówi ten pies? – zapytał z niecierpliwością Valbroso, gdyż nie rozumiał po kothańsku. – Powie nam, jak otworzyć szkatułkę?

Głos Valbroso zdawał się wskrzeszać isierkę życia w powykręcanej piersi Zorathusa; ten skierował swe przekrwione oczy w stronę rozmówcy.

– Powiem to tylko Valbrosowi – wydyszał po zingarsku. – Śmierć już nade mną. Pochyl się, Valbroso!

Hrabia to uczynił, jego czarna twarz gorzała z chciwości. Tuż za nim przycupnął jego ponury kapitan, Beloso.

– Naciśnij siedem czaszek na krawędzi, jedną po drugiej – sapnął Zorathus. – Potem głowę smoka wijącego się na wieku. Następnie przyciśnij kulę w szponach smoka. To otworzy sekretny zamek.

Conan podniósł szkatułkę i postawił na podwyższeniu, a Valbroso odepchnął go na bok.

– Pozwól mi ją otworzyć! – krzyknął Beloso, ruszając na przód.

Valbroso kazał mu zawrócić, a w jego oczach płonęła cała jego chciwość.

– Otworzę ją ja! – wrzasnął.

Conan, którego ręka instynktownie powędrowała do rękojeści, spojrzał na Zorathusa. Jego oczy były szkliste i przekrwione, ale patrzyły na Valbroso z gorączkową uwagą. Czy to uśmiech wykrzywił usta umierającego człowieka? Kupiec nie zdradził sekretu, dopóki nie wiedział, że już umiera. Conan odwrócił się i spojrzał na Valbroso, podobnie jak umierający człowiek.

Wzdłuż brzegu pokrywy, między splątanymi gałęziami dziwnych drzew, wyrzeźbiono siedem czaszek. Inkrustowany smok wił się po szczycie wieka między zdobnymi arabeskami. Valbroso naciskał na czaszki w pośpiechu, a kiedy dotknął kciukiem rzeźbionej głowy smoka, zaklął szorstko i odciągnął rękę, trzęsąc się ze zdenerwowania.

– Ostre te zdobienia – warknął. – Ukłułem się w palec.

Nacisnął złotą kulę ściśniętą między łapami smoka i wieko podskoczyło gwałtownie do góry. Ich oczy oślepił złoty blask. Zdawało im się, że rzeźbiona szkatułka pełna jest migoczącego ognia, który przelewał się przez krawędź i kapał drżącymi kroplami. Beloso wrzasnął, a Valbroso wciągnął ze świstem powietrze. Conan stał bez słowa, porażony blaskiem.

– Na Mitrę, co za klejnot! – Dłoń Valbroso zanurkowała w szkatułce i wysunęła się z wielką, pulsującą, szkarłatną kulą, która spowiła pokój łagodną poświatą. W jej blasku Valbroso wyglądał jak trup. Umierający mężczyzna na obluzowanym łożu tortur roześmiał się nagle i dziko.

– Głupcze! – wrzasnął. – Masz swój klejnot! Wraz z nim daję ci śmierć! Zdraśnięcie na twym kciuku... Spójrz na głowę smoka, Valbroso!

Cała trójka odwróciła się w zdumieniu. Z rzeźbionej otwartej paszczy wysuwało się coś małego o matowym blasku.

– Smoczy kiel! – wycharczał Zorathus. – Zanurzone w jadzie czarnego skorpiona ze Stygii! Głupiś, głupiś, otworzyłeś szkatułkę Zorathusa naga dłonią! Śmierć! Jesteś już martwy!

Po czym skonał z krwawą pianą na ustach.

Valbroso zachwiał się z wrzaskiem:

– Na Mitrę, płonę! – wrzeszczał. – W moich żyłach toczy się płynny ogień! Moje stawy pękają! Śmierć! Śmierć! – po czym zachwiał się i runął jak długi. Opanowały go straszliwe konwulsje, w których jego członki wykręcały się obrzydliwie i nienaturalnie i po chwili mężczyzna wyzionął ducha. Jego szkliste oczy patrzyły w górę, nic nie widząc, a wargi odsłoniły szerniałe dziąsła.

– Śmierć! – wymamrotał Conan, pochylając się, by podnieść klejnot, który wypadł ze sztywnej dłoni Valbroso. Leżał na podłodze jak drżąca sadzawka promieni zachodzącego słońca.

– Śmierć! – odburknął Beloso z szaleństwem w oczach. Po czym ruszył naprzód.

Conan został zaskoczony, jego oczy były oślepienie, a umysł oszołomiony blaskiem wielkiego klejnotu. Nie przeczuł zamiarów Belosa, dopóki coś nie rozbilo się ze straszliwą siłą na jego hełmie. Błysk klejnotu został przyćmiony przez czerwieniszy płomień, a Conan runął na kolana.

Usłyszał tupot stóp, bawoli ryk agonii. Był oszołomiony, ale nie do końca nieprzytomny; zdał sobie sprawę z tego, że Beloso podniósł żelazną szkatułkę i rozbil mu ją na głowie, kiedy Cymmeryjczyk pochylał się nad klejnotem. Tylko dzięki hełmowi ocalił swoją czaszkę. Podniósł się chwiejnie i wyciągnął miecz, usiłując otrząsnąć się z oszołomienia. Pokój wirował przed jego oczyma. Drzwi były otwarte i odgłos uciekających stóp malał na dole krętych schodów. Na podłodze bestialski kat wydawał ostatnie tchnienie z wielką raną pod piersią. Serce Arymana zniknęło.

Conan wytoczył się chwiejnie z komnaty z mieczem w dłoni, krew spod burgonetki spływała mu po twarzy. Pobiegł jak pijany w dół schodów, słysząc szcęk stali dobiegający z dziedzińca poniżej, a także krzyki i szaleńczy stukot kopyt. Wybiegłszy na dziedziniec zobaczył kręcących się, zdezorientowanych zbrojnych ludzi i usłyszał pisk kobiet. Tylne bramy stały otworem, a przed nią leżał żołnierz z piką i rozerwaną głową. Wciąż osiodłane konie biegały rżąc, po dziedzińcu, wśród nich czarny rumak Conana.

– Oszalał! – wyła kobieta, załamując ręce i biegając bezładnie dokoła. – Wybiegł z zamku jak wściekły pies, rąbiąc na lewo i prawo! Beloso oszalał! Gdzie jest pan Valbroso?

– Którędy pobiegł?! – ryknął Conan. Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na poplamioną krwią twarz nieznanego i na jego nagi miecz.

– Tylą bramą! – krzyknęła przeraźliwie kobieta, wskazując na wschód, a inna z nich wrzasnęła:

– Co to za zbir?

– Beloso zabił Valbroso! – wrzasnął Conan, podskakując i chwytając się grzywy rumaka, podczas gdy uzbrojeni mężczyźni zmierzali niepewnie w jego kierunku. Na tę wieść z ich ust wydobył się dziki wrzask, ale ich reakcja była dokładnie taka, jak przewidział. Zamiast zamknąć bramy i uwięzić go, wpadli w jeszcze większą dezorientację. Te wilki trzymały się razem tylko ze względu na strach przed Valbrosem; nie zależeli od zamku ani od siebie nawzajem.

Na dziedzińcu zadźwięczały miecze i krzyki kobiet. W całym zamieszaniu nikt nie zauważył, że Conan wystrzelił przez tylną bramę i przeleciał pędem w dół wzgórza. Rozciągała się przed nim szeroka równina, a poza wzgórzem droga karawan rozdzielała się: jedna odnoga biegła na północ, druga na wschód. Na wschodniej drodze dostrzegł jeźdźca, który pochylił się nisko i kłął konia ostrogami. Równina chwiała się przed oczyma Conana, słońce było gęstą, czerwoną poświatą... Zachwiał się w siodle, chwytając się powiewającej grzywy. Krew lała się na jego zbroję, ale on tylko ponuro ponaglał swego rumaka.

Za jego plecami zaczął buchać dym; płonął zamek na wzgórzu, w którym ciało hrabiego leżało zapomniane i bez opieki obok zwłok więźnia. Słońce zachodziło. Na tle jaskrawoczerwonego nieba pędziły dwie postacie. Rumak Conana nie był wypoczęty, ale koń, na którym jechał Beloso też nie był świeży. Wielka bestia dawała z siebie wszystko, przywołując głębokie pokłady witalności.

Dlaczego Zingarczyk uciekał przed jednym prześladowcą, tego Conan nie wiedział, ale nie trudził tym swego potłuczonego mózgu. Być może Beloso gnany był bezmyślną paniką, która zrodziła się z szaleństwa tkwiącego w błyszczącym klejnocie. Słońce zniknęło; biała droga odbijała się niewyraźnym blaskiem w upiornym zmierzchu i niknęła daleko przed nimi w purpurowej poświacie. Rumak dyszał ciężko, pędząc ze wszystkich sił. Tereny zmieniały się, nadchodził zmierzch. Na nagiej równinie zaczęły

pojawić się kępy dębów i olch. W oddali widać było rząd niskich wzgórz. Zaczynały pojawiać się gwiazdy. Rumak parsknął i zachwiał się. Ale przed nimi, aż po wzgórza na horyzoncie, rozciągał się las, i między nim a sobą Conan dojrzał niewyraźną postać zbiega. Ponaglił wyczerpanego rumaka, widział bowiem, że sukcesywnie dogania swoją ofiarę.

Ponad stukot kopyt wzniósł się w ciemności dziwny krzyk, ale ani ścigający, ani ścigany nie przywiązywali do niego uwagi.

Kiedy wpadli pod zwieszające się nad drogą gałęzie, pędzili już niemal bok w bok. Z ust Conana dobył się dziki krzyk, kiedy jego miecz uniósł się w górę. Wszedł mu na spotkanie biały owal twarzy, w na wpół widocznej dłoni błysnął miecz i Beloso odpowiedział krzykiem. Wtedy zmęczony rumak potknął się w cieniu i chwiejąc się z jękiem, przekoziółkował, zrzucając z siodła oszołomionego jeźdźca. Pulsująca głowa Conana walnęła w kamień, a gwiazdy zniknęły w jeszcze ciemniejszej nocy.

Conan nie wiedział, jak długo leżał tam bez zmysłów. Pierwszym wrażeniem, jakie zarejestrowała jego powracająca świadomość, było to, że jest ciągnięty za ramię po szorstkim i kamiennym terenie, pokrytym gęstym poszyciem. Potem rzucono go bezceremonialnie na bok i może to ten wstrząs przywrócił mu zmysły.

Jego hełm zniknął, piekielnie bolała go głowa. Czuł nadchodzące mdłości, a w jego czarnych włosach krzepła krew. Ale dzięki witalności dzikiego stworzenia wróciły do niego życie i świadomość; zaczął ogarniać wzrokiem okolicę.

Między drzewami świecił olbrzymi, czerwony księżyc, dzięki czemu król zrozumiał, że było już dawno po północy. Od wielu godzin leżał w omdleniu; wystarczająco długo, by wydobrzeć po strasliwym ciosie zadany mu przez Belosa, a także po upadku, który powalił go bez zmysłów. Jego umysł pracował teraz sprawniej niż podczas szalonej szarży za zbiegiem.

Nie leżał przy białej drodze! Zauważył to nagle z zaskoczeniem, kiedy okolica zaczęła rysować się przed jego oczami. Drogi nie było w zasięgu wzroku. Leżał na pokrytej trawą ziemi, na małej polanie otoczonej przez czarną ścianę pni i splątanych gałęzi. Jego twarz i ręce były podrapane i pokaleczone, jak gdyby ciągnięto go przez jeżyny. Podnosząc swe ciało, rozejrzał się dokoła. Nagle wzdrygnął się gwałtownie: coś pochylało się nad nim...

W pierwszej chwili Conan zwątpił w swoje zmysły, pomyślał, że to część delirium. To dziwne, nieruchome szare stworzenie nie mogło być prawdziwe! Kucało na tylnych nogach i patrzyło na niego nieruchomymi oczami bez duszy.

Conan leżał i patrzył, na wpeł oczekując, że stworzenie rozplynie się jak senny koszmar, a potem dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Przypomniał sobie na wpeł zapomniane, upiorne i opowiadane cichym głosem historie o stworzeniach, które nawiedzały te niezamieszkane lasy u stóp wzgórz, stanowiących zingarsko-argossańską granicę. Ludzie nazywali je ghulami; były ludożercami, bękartami ciemności, dziećmi z bluźnierczych związków zaginionej i zapomnianej rasy z demonami podziemi. Gdzieś w tym pierwotnym lesie znajdowały się ruiny starożytnego, przeklętego miasta – te opowieści krążyły wśród ludzi. W grobach grodu grasowały szare, antropomorficzne cienie... Conan wzdrygnął się gwałtownie.

Leżał, patrząc na zdeformowaną głowę, która wznosiła się nad nim w niewyraźnym świetle i ostrożnie wyciągnął dłoń w kierunku miecza przy biodrze. Ze straszliwym wrzaskiem, powtórzonym mimowolnie przez mężczyźnę, potwór skoczył mu do gardła.

Conan wyrzucił w górę prawe ramię. Zacisnęły się na nim podobne do psich szczęki, rozrywając zbroję do mięsa. Zdeformowane, choć podobne do ludzkich dłonie usiłowały chwycić go za gardło, ale Conan unikał ich, unosząc i przetaczając całe ciało, lewą ręką sięgając jednocześnie po sztylet.

Toczyli się po trawie, zadając ciosy i szarpiąc się ze sobą. Ukryte pod szarą i trupa skórą potwora mięśnie były prężne i twarde jak żelazne druty, przewyższające ludzką siłę. Ale ramiona Conana również były jak ze stali, a jego zbroja chroniła go przed zatraskującymi się szczękami i rozdzierającymi pazurami wystarczająco długo, by zdołał wbić sztylet, raz, drugi, trzeci. Straszliwa żywotność tej na poły ludzkiej maskary zdawała się niewyczerpana, a król dostawał gęsiej skórki, stykając się ze śliskim i wilgotnym ciałem.

Pchnął ostrzem z obrzydzeniem i dziką odrazą; nagle potwór wzniósł się nad nim w konwulsjach. To ostrze trafiło w jego upiorne serce. Stwór zaległ bezwładnie.

Conan wstał. Wstrząsały nim mdłości. Stał niepewnie pośrodku polany, z mieczem w jednej dłoni i ze sztyletem w drugiej. Nie stracił instynktownego zmysłu orientacji, jeśli chodzi o strony świata, ale nie

wiedział, po której stronie leży ścieżka. Nie miał jak dowiedzieć się, skąd przyciągnął go ghul. Spojrzał na otaczające go ciche, czarne, skąpane w świetle księżyca drzewa i poczuł, że jego czoło oblewa się zimnym potem. Nie miał konia i był zagubiony w lesie, a ta nachalna, zdeformowana rzecz u jego stóp była niemyym świadectwem czających się tu koszmarów. Stał tak, wstrzymując oddech w bolesnej koncentracji i nadstawiając ucha na jakiś trzask gałązki albo szmer trawy.

Kiedy usłyszał dźwięk, podskoczył gwałtownie. Noc rozbrzmiała nagle kwikiem przerażonego konia. Jego rumak! W lesie były pantery albo ghule, które jadły zwierzęta równie chętnie, jak ludzi.

Ruszył dziko przez zarośla w kierunku rozbrzmiewającego w oddali dźwięku, gwiżdżąc przeraźliwie, a jego strach ustąpił miejsca wściekłości. Jeśli jego koń zostanie zabity, Conan straci ostatnią szansę na dogonienie Beloso i odzyskanie klejnotu. Koń zarżał ze strachu i furii gdzieś bliżej. Rozległ się dźwięk kopyt. Coś upadło ciężko i ustąpiło pod naporem zwierzęcia.

Conan znalazł się nagle z powrotem na szerokiej, białej drodze i w świetle księżyca ujrzał szarżującego i rżącego rumaka z uszami położonymi po sobie, z dziko błyskającymi oczami i zębami. Zwierzę celowało kopytami w zakradający się doń cień, który uchylał się i podskakiwał dookoła zdobyczy. Nagle wokół Conana poruszyły się inne cienie: szare, przemykające się, otaczające ich ze wszystkich stron. W nocnym powietrzu unosił się obrzydliwy smród rozkładającego się ciała.

Z przekleństwem na ustach król rozdzielał ciosy mieczem na lewo i prawo, dźgał i ciął swoim sztyletem. W świetle księżyca błyskały śliniące się szczęki, obrzydliwe łapy wyciągały się w jego stronę. On jednak utorował sobie drogę do rumaka, chwycił za uzdę i wskoczył w siodło. Jego miecz unosił się i opadał jak mroźny łuk w świetle księżyca, wzbudzając fontanny krwi, kiedy król rozłupywał zniekształcone głowy i rozdzierał pełzające ciała. Rumak rżał, gryzł i kopał. Przebili się przez zaklęty trupi krąg i popędzili dalej drogą. Przez krótki moment po obu stronach przemykały szare, odrażające cienie. Potem zostały z tyłu, a Conan, wjeżdżając na porośnięte lasem wzniesienie, ujrzał olbrzymią przestrzeń rysujących się przed nim nagich wzgórz.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

„DUCH Z PRZESZŁOŚCI”

Krótko po świcie Conan przekroczył argossańską granicę. Ani śladu Beloso. Kapitan mógł dobrze wykorzystać przewagę, kiedy król leżał nieprzytomny. Mógł też paść ofiarą ponurych ludojadów w zingarskim lesie. Ale Conan nie zauważył niczego, co wskazywałoby na tę ostatnią możliwość. Sam fakt, że przez tak długi czas leżał nietknięty, zdawał się wskazywać na to, że potwory były zajęte daremnym pościgiem za kapitanem. Jeśli mężczyzna przeżył, z pewnością jechał szlakiem i musiał być gdzieś przed Cymmeryjczykiem. Gdyby nie kierował się do Argos, w żadnym wypadku nie wybrałby wcześniej drogi na wschód.

Strażnicy w hełmach na granicy nie pytali Conana o nic. Pojedynczy wędrowny najemnik nie potrzebował paszportu ani glejtu, zwłaszcza że jego zbroja bez herbu dowodziła, że nie jest na niczych usługach. Przemierzał niskie, trawiaste wzgórza, między którymi szeptały strumienie, a dębowe gaje pstrzyły murawę cętkami światła i cienia. Jechał długą drogą, która wznosiła się i opadała przed nim w dolinach i na wzniesieniach błękitnej dali. Ten trakt, ciągnący się od Poitanii aż do morza, był bardzo starym szlakiem.

Argos okazało się spokojne; po drodze toczyły się obładowane, zaprzęgnięte w muły wozy, a rolnicy o nagich, ogorzałych i silnych ramionach pracowali w sadach i polach, zasłoniętych gałęziami przydrożnych drzew. Starzy ludzie przy stołach przed tawernami, pod rozłożystymi konarami dębów, pozdrawiali wędrowca.

Conan szukał wiadomości o Beloso u robotników pracujących na polach, u gadatliwych staruszków w tawernach, w których gasił swoje pragnienie spienionym piwem, a także u bystrych, odzianych w jedwabie kupców, których spotykał na drodze.

Historie były sprzeczne, ale Conan dowiedział się przynajmniej tyle: szczupły, żylasty Zingarczyk o niebezpiecznych czarnych oczach i wąsach na zachodnią modłę znajdował się gdzieś przed nim na szlaku i prawdopodobnie zmierzał do Messantii. Było to logiczne; wszystkie porty w Argos były kosmopolityczne, w przeciwieństwie do wewnętrznych

provincji, a Messantia była najbardziej wielojęzyczna. Do jej portu zawijały statki wszystkich morskich narodów, gromadzili się tam także uciekinierzy i zbiegowie z wielu krajów. Prawo było przestrzegane dość swobodnie; Messantia prosperowała bowiem dzięki handlowi morskemu, a jej mieszkańcy uznawali za korzystne przemykać nieco oko na interesy z marynarzami. Do portu wpływał nie tylko legalny towar – pojawiali się tu też szmuglerzy i korsarze. Conan wiedział o tym dobrze, bo ileż to razy w dawnych czasach, kiedy był barachańskim piratem, wpływał nocą do portu w Messantii i rozładowywał dziwne transporty! Większość piratów z Wysp Baracha, małego atolu na południowo-zachodnim wybrzeżu Zingary, było argossańskimi marynarzami, więc dopóki koncentrowali swą uwagę na flotyllach innych nacji, władze Argos nie były zbyt restrykcyjne w interpretacji prawa morskiego.

Ale działalność Conana nie była związana tylko z Barachanami. Pływał także z zingarskimi piratami, a nawet z dzikimi, czarnoskórymi korsarzami, którzy nadpływali z dalekiego Południa, by nękać północne wybrzeża – a to stawiało go poza wszelkim prawem. Gdyby rozpoznano go w Argos, straciłby głowę. A jednak bez wahania jechał w stronę Messantii, zatrzymując się na dzień lub noc tylko po to, by dać odpocząć rumakowi i by samemu uciąć sobie krótką drzemkę.

Wjechał do miasta bez żadnych pytań, mieszając się z tłumem, który przelewał się przez to wielkie centrum handlu. Messantii nie otaczały mury. Tego wielkiego, południowego, handlowego miasta pilnowały morze i statki.

Zmierzchało już, kiedy Conan przemierzał spokojnie opadające w dół ku wybrzeżu ulice. Na końcu traktu dostrzegł przystań, maszty i żagle statków. Po raz pierwszy od wielu lat poczuł zapach słonej wody, usłyszał chrobot takielunku i skrzypienie rei w powiewie bryzy, która podnosiła morskie bałwany za cyplem. Po raz kolejny do jego serca załomotało pragnienie wędrówek.

Nie pojechał jednak w stronę nadbrzeża, tylko skręcił i udał się w górę po szerokich, wygładzonych, kamiennych schodach w stronę szerokiej ulicy, na której ozdobne, białe rezydencje górowały nad przystanią i portem. Mieszkali tu ludzie, którzy dorobili się fortuny na ciężko zdobytych łupach morza: paru starych kapitanów, którzy znaleźli jakiś odległy skarb, a także wielu handlowców i kupców, którzy nigdy nie postawili nogi na pokładzie ani nie znali ryku burzy i smaku morskich wędrówek.

Conan skręcił w jedną z połączonych bram i wjechał na dziedziniec, na którym szemrała fontanna, a gołębie przelatywały z marmurowych parapetów na taką samą posadzkę. Podszedł do niego dociekliwy paż w poszarpanym, jedwabnym kaftanie i pończochach. Kupcy Messantii mieli do czynienia z wieloma dziwnymi i szorstkimi osobowościami, ale większość z nich przybywała z morza. To, że najemny żołdak wjechał tak swobodnie na dziedziniec handlowca, było co najmniej dziwne.

– Czy mieszka tu kupiec Publio? – Brzmiało to raczej jak stwierdzenie niż pytanie, a coś w tonie głosu Conana sprawiło, że paż ściągnął swój ozdobiony piórem berecik i skłonił się nisko, po czym odpowiedział:

– Tak, w rzeczy samej, mój kapitanie.

Conan zsiadł z konia i paż przywołał sługę, który podbiegł, aby przytrzymać lejce rumaka.

– Czy twój pan jest w środku? – Conan ściągnął rękawicę i otrzepał przydrożny kurz z peleryny i zbroi.

– Tak, mój kapitanie. Kogo mam zaanonsować?

– Sam się zaanonsuję – warknął Conan. – Znam drogę całkiem nieźle. Zostań tutaj.

Paż pozostał na miejscu, podporządkowując się tej władczej komendzie. Patrzył jak Conan wchodzi po krótkich marmurowych schodach, zastanawiając się, co może łączyć jego pana z tym olbrzymim wojakiem, który wyglądał na północnego barbarzyńcę.

Zajęta swymi zadaniami służba zatrzymała się i rozdziawiła gęby, kiedy Conan przeszedł przez szeroką zacienioną galeryjkę, z której widać było dziedziniec, i wszedł na szeroki korytarz, owiewany morską bryzą. W połowie drogi usłyszał skrzywienie gęsiego pióra i skręcił do szerokiego pokoju z licznymi oknami wychodzącymi na port.

Publio siedział przy rzeźbionym, czarnym biurku, pisząc złotym piórem po drogim pergaminie. Był to człowiek niskiego wzrostu o masywnej głowie i rozbieganych, ciemnych oczach. Jego błękitna szata była utkana z najwspanialszego jedwabiu i obrębiona złotem, a na jego grubej, białej szyi wisiał ciężki, złoty łańcuch.

Kupiec podniósł na Cymmeryjczyka poirytowany wzrok. Zamarł w połowie gestu. Rozdziawił usta; patrzył na króla Akwilonii jak na ducha przeszłości. W jego oczach odbijały się niedowierzanie i strach.

– Cóż to? – zapytał Conan. – Nie masz dla mnie słów powitania, Publio? Kupiec zwilżył usta.

– Conan – szepnął z niedowierzaniem. – Na Mitrę! Conan! Amra!

– A któż by inny? – Conan odpiął pelerynę i rzucił ją wraz z rękawicami na stół. – Cóż to, człowieku? – krzyknął z irytacją. – Mógłbyś mi przynajmniej zaoferować puchar wina! Moje gardło jest zaschnięte od kurzu drogi!

– Tak, wino! – powtórzył mechanicznie Publio. Jego dłoń odruchowo sięgnęła w stronę gongu, po czym odsunęła się od niego jak od rozżarzonego węgla. Kupiec zadrżał.

Podczas gdy Conan obserwował go z błyskiem ponurego rozbawienia w oczach, mężczyzna podniósł się i prędko zamknął drzwi, rozglądając się na obie strony korytarza, aby upewnić się, że żaden sługa nie kręci się wokół. Potem, odwracając się, wziął z pobliskiego stołu złotą karafkę wina i miał właśnie napełnić delikatny kielich, kiedy Conan niecierpliwie zabrał mu dzban i unosząc go w rękach, pociągnął zeń z przyjemnością długi łyk.

– Tak, to na pewno Conan – wymamrotał Publio. – Człowieku, czyś ty oszalał?

– Na Croma, Publio! – powiedział Conan, obniżając dzban, lecz wciąż trzymając go w rękach. – Mieszkasz teraz w innych pomieszczeniach. Trzeba argossańskiego kupca, żeby wyciągnąć zyski z małego portowego sklepiku, śmierdzącego zgniłą rybą i tanim winem!

– Czasy się zmieniły – wymamrotał Publio, okręcając się szczerzej szatą, kiedy przeszedł go mimowolny dreszcz. – Odłożyłem na bok przeszłość jak znoszoną pelerynę.

– Cóż – odgryzł się Conan. – Mnie nie możesz odłożyć jak starą pelerynę. Nie chcę od ciebie dużo, ale tego, czego od ciebie potrzebuję, wymagam zdecydowanie... I nie możesz mi odmówić. W dawnych czasach łączyło nas zbyt wiele interesów. Myślisz, że jestem takim głupcem, że nie wiem, iż ta wspaniała posiadłość została zbudowana kosztem mojego potu i krwi? Jak wiele ładunku z mych galer przeszło przez ten sklep?

– Wszyscy kupcy z Messantii mieli kiedyś układy z morskimi piratami – wymamrotał nerwowo Publio.

– Ale nie z czarnoskórymi korsarzami – odparł ponuro Conan.

– Na Mitrę, zamilcz! – wybuchnął Publio, a na jego czole wystąpił pot. Jego palce szarpnęły za pozłacany brzeg szaty.

– Cóż, chciałem jedynie przypomnieć ci o tym – odpowiedział Conan. – Nie bój się. W przeszłości podejmowałeś się wielu ryzykownych spraw, gdy walczyłeś o życie i bogactwo w tym parszywym małym sklepiku nad

przystania. Współpracowałeś ściśle z każdym korsarzem, szmuglerem i piratem stąd aż po Wyspy Baracha. Dobrobyt musiał cię ucywilizować.

– Jestem szanowanym obywatelem... – zaczął Publio.

– To znaczy, że jesteś bogaty jak diabli – warknął Conan. – Dlaczego? Dlaczego obrosłeś w piórka szybciej niż twoja konkurencja? Może dlatego, że robiłeś wielkie interesy na kości słoniowej i strusich piórach, miedzi, skórach, perłach i wykuwanych złotych ozdobach, a także na innych rzeczach z wybrzeża Kush? A gdzie dostawałeś je tak tanio, podczas gdy inni kupcy płacili za nie Stygijczykom ich wagą w srebrze? Powiem ci, na wypadek gdybyś zapomniał: kupowałeś je ode mnie, za cenę znacznie niższą niż ich wartość, a ja zabierałem je plemionom Czarnego Wybrzeża i ze statków Stygijczyków. Ja i czarnoskórzy korsarze.

– Na Mitrę, przestań! – błagał Publio. – Nie zapomniałem. Ale co ty tu robisz? Jestem jedynym człowiekiem w Argos, który wie o tym, że król Akwilonii był kiedyś Conanem korsarzem. Ale na Południe przyszła wieść o podboju Akwilonii i o śmierci króla.

– Moi wrogowie zabijali mnie plotkami setki razy – warknął Conan. – A jednak siedzę tutaj i żłopię wino z Kyros – tu poparł swe słowa czynem.

Odstawiając od ust dzban, teraz prawie pusty, Conan powiedział:

– Proszę cię tylko o małą przysługę, Publio. Wiem, jesteś świadom wszystkiego, co dzieje się w Messantii. Chcę wiedzieć, czy Zingarczyk o imieniu Beloso, czy jakkolwiek się teraz nazywa, przebywa w mieście. Jest wysoki, szczupły i czarny jak cała jego rasa; bardzo prawdopodobne, że będzie chciał sprzedać bardzo rzadki klejnot.

Publio potrząsnął głową.

– Nie słyszałem o tym człowieku. Ale tysiące ich przelewają się przez Messantię. Jeśli jest tutaj, moi agenci go znajdą.

– Dobrze. Wyślij ich na przeszpiegi. W tym czasie zadbaj o mojego konia i zatroszcz się o to, by podano mi tu jedzenie.

Publio przystał na to z chęcią, a Conan opróżnił dzban wina, rzucił go niedbale w kąt i podszedł do pobliskiego okna, mimowolnie rozprostowując klatkę piersiową, kiedy nabierał głęboki haust morskiego powietrza. Patrzył na meandry portowych ulic. Obdarzył przychylnym spojrzeniem statki w porcie, po czym podniósł głowę i spojrzął poza zatokę, daleko w oslepiającą błękitem dal, gdzie morze styka się z niebem. Pamiętał, jak pędził poza horyzont, na złote morza Południa, pod palącym słońcem, gdzie nie było prawa, a życie toczyło się w upale... Jakiś zabłąkany zapach

przyprawy albo liść palmy przywoływały w jego pamięci wyraźne obrazy dziwnych wybrzeży, na których rosły namorzyny i dudniły tam-tamy; obrazy smukłych statków i ociekających krwią pokładów, dymu, płomienia, zamętu i rzezi... Pograżony w rozmyślniach, prawie nie zauważył, że Publio wymknął się z komnaty.

Podciągając szatę, pobiegł po korytarzach, aż doszedł do pokoju, w którym wysoki, chudy mężczyzna z blizną na skroni pisał coś bez przerwy na papirusie. Było w nim coś, co sprawiało, że jego urzędnicze zajęcia wyglądało groteskowo. Publio zakomunikował mu szorstko:

– Conan powrócił!

– Conan? – Chudy mężczyzna aż podskoczył, a pióro wypadło mu z rąk.
– Korsarz?

– Tak jest.

Chudy mężczyzna posiniał.

– Czy on oszalał? Jeśli go odkryją, jesteście straceni! Człowieka, który daje schronienie albo handluje z korsarzami, powieszają równie prędko, co samego korsarza! A co jeśli rządca dowie się o naszych przeszłych kontaktach?

– Nie dowie się – odparł ponuro Publio. – Wyślij twych ludzi na rynek i do przybrzeżnych tawern i niech dowiedzą się, czy niejaki Beloso, Zingarczyk, przebywa w Messantii. Conan powiedział, że człowiek ten ma klejnot, którego prawdopodobnie będzie chciał się pozbyć. Jubilerzy powinni coś o nim wiedzieć, jeśli ktokolwiek go widział. A oto kolejne zadanie: zbierz z tuzin zdesperowanych łotrów, którym można ufać w kwestii pozbycia się człowieka, a którzy później będą milczeć. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem – powoli i ponuro przytaknął jego rozmówca.

– Nie po to kradłem, oszukiwałem, kłamałem i walczyłem w rynsztoku, żeby to wszystko legło teraz w gruzach przez jednego ducha mej przeszłości – wymamrotał Publio, a złowieszcza ciemność malująca się w tym momencie na jego twarzy zaskoczyłaby bogatych szlachciców i kobiety, którzy kupowali jedwabie i perły na jego licznych stoiskach. Ale kiedy chwilę potem wrócił do Conana, niosąc we własnych rękach tacę pełną owoców i mięs, skierował do swego nieproszonego gościa uśmiechnięte oblicze.

Conan wciąż jeszcze stał przy oknie, spoglądając na port i na jego purpurowe, szkarłatne, rudawe i karmazynowe żagle galeonów, galer, karak

i dromonów.

– Jeśli nie jestem ślepy, to stygijska galera – zauważył, wskazując na długi, niski, wąski, czarny statek, który stał w pewnej odległości od innych, zakotwiczony na szerokiej piaszczystej plaży, która rozciągała się łagodnym łukiem aż po cypel. – Panuje więc pokój między Stygią a Argos?

– Tego samego pokroju co wcześniej – odparł Publio, stawiając tacę na stole z westchnieniem ulgi, gdyż była wyładowana po brzegi. Znał swego gościa od dawna. – Porty stygijskie są tymczasowo otwarte dla naszych statków, a nasze dla nich. Ale lepiej, żeby żaden z moich statków nie spotkał tych przeklętych galer poza zasięgiem lądu! Zeszłej nocy ten okręt wpłynął ukradkiem do zatoki. Nie wiem, czego chce jego kapitan. Jak dotąd nic jeszcze nie sprzedali, niczego nie kupili. Nie dowierzam tym ciemnoskórym diablom. Zdrada narodziła się w ich ponurym kraju.

– Sprawiałem, że wyli – odparł Conan niedbale, odwracając się od okna. – Nocami podpływałem moją galerą, pełną czarnoskórych korsarzy, aż pod same bastiony obmywanych przez morze zamków Khemi o czarnych murach, i paliłem zakotwiczone tam galeony. A mówiąc o zdradzie, mój gospodarzu, mam nadzieję, że skosztujesz tych wiktuałów i napijesz się nieco wina, po to, by pokazać mi, że twoje serce znajduje się po właściwej stronie.

Publio przystał na to z gotowością, która uśpiła podejrzenia Conana, więc bez dalszego wahania zasiadł do stołu i jadł za trzech.

Kiedy się posilał, wielu mężczyzn chodziło po rynku i przystani, szukając Zingarczyka, który miałby klejnot na sprzedaż, albo który szukałby statku mogącego powieźć go do odległych portów. Chudy urzędnik z blizną na skroni usiadł zaś na poplamionym winem stole w zapuszczonej piwnicy ze spiżowymi kagankami, zwisającymi z poczerniałych od dymu belek, i prowadził rozmowy ze zdesperowanymi łotrami, których złowrogie twarze i postrzępione ubrania zdradzały ich profesję.

Gdy na niebie pojawiła się pierwsza gwiazda, jej światło padło na dziwną bandę pędzącą po białej drodze wpadającej do Messantii od zachodu. Jeźdźcy bezlitośnie pospieszali swe rumaki; były one równie chude jak oni sami, spoczone i zmęczone, jakby po długiej podróży i dalekich wyprawach.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

CZARNA DŁOŃ SETA

Conan obudził się z głębokiego snu natychmiast, jak kot. I podobnie jak kot skoczył na równe nogi z mieczem w dłoni tak, że mężczyzna, który go dotknął, ledwo zdołał się odsunąć.

– Jakie wieści, Publio? – zapytał Conan, rozpoznając swego gospodarza. Złota lampa płonęła niskim płomieniem, rzucając łagodny poblask na grube gobeliny i pyszne narzuty łoża, na którym odpoczywał.

Publio, odzyskując równowagę po szoku spowodowanym nagłym ruchem jego budzącego się gościa, odparł:

– Zingarczyk został odnaleziony. Przyjechał wczoraj o świcie. Zaledwie parę godzin temu próbował sprzedać wielki, dziwny klejnot shemickiemu kupcowi, ale Shemita nie miał co z nim zrobić. Ludzie mówili, że na jego widok pobladł pod czarną brodą, zamknął swoje stoisko i uciekł od niego jak od czegoś przekłętego.

– To musi być Beloso – wymamrotał Conan, czując jak krew pulsuje mu w skroniach z niecierpliwości i rozgorączkowania. – Gdzie jest teraz?

– Śpi w domu Servia.

– Od dawna znam tę norę – mruknął Conan. – Muszę się pospieszyć, bo jeszcze któryś z tych złodziei z przystani poderżnie mu gardło, by położyć łapska na klejnocie.

Założył pelerynę i odrzucił ją na ramię, po czym przywdział hełm, o który wystarał się Publio.

– Niech mój rumak czeka na mnie osiodłany na dziedzińcu – powiedział.

– Możliwe, że wrócę w wielkim pośpiechu. Nigdy ci tego nie zapomnę, Publio.

Kilka chwil później Publio, stojąc przy małych drzwiach na zewnątrz, obserwował malejącą w głębi ulicy postać króla.

– Żegnaj, korsarzu – wymamrotał kupiec. – Musi to być niezwykle klejnot, skoro szuka go człowiek, który właśnie stracił królestwo. Mogłem powiedzieć moim łotrom, by zabezpieczyli klejnot, zanim wykonają swoją robotę, ale w takim wypadku coś mogłoby pójść źle. Niech Argos zapomni

o Amrze i niech moje kontakty z nim przypadną w mroku przeszłości. W alei za domem Servia; właśnie tam Conan przestanie mi zagrażać.

Dom Servia, obskurna nora o złej sławie, usytuowany był nieopodal przystani, z drzwiami wychodzącymi na nabrzeże. Do tego walącego się budynku z kamienia i ciężkich belek okrętowych prowadziła długa, wąska alejka. Conan przybył tam aleją, a kiedy zbliżał się do domu, ogarnęło go niepokojące uczucie – zupełnie jakby był obserwowany. Rozejrzał się uważnie wśród cieni zapuszczonych budynków, ale nic nie zauważył, choć w pewnym momencie doszedł go niewyraźny odgłos ocierania się tkaniny czy skóry o ciało. Nie było to jednak niczym dziwnym. Złodzieje i żebracy wałęsali się nocą po tych alejach, ale po jednym rzucie oka na jego rozmiary i zbroję raczej nie powinni mieć ochoty go zaatakować.

Nagle w murze przed nim otworzyły się drzwi; Conan wślizgnął się w cień łuku. Z otwartych wrót wyszła postać i ruszyła wzdłuż alei, nie przemykając się, lecz posuwając się z naturalną bezszelestnością, jak zwierzę w dżungli. W ulicy było wystarczająco dużo światła, by profil postaci zarysował się niewyraźnie, kiedy przechodził obok łuku, gdzie przyczał się Conan. Nieznajomy był Stygijczykiem. Jego jastrzębia twarz, ogolona głowa i opończa na ramionach były nie do pomylenia. Przeszedł obok Akwilończyka w głąb ulicy, kierując się na plażę, i w pewnym momencie Conan stwierdził, że musi mieć ukrytą pod ubraniem lampę, gdyż uchwycił odblask łagodnego światła dokładnie w chwili, w której mężczyzna zniknął w oddali.

Ale Cymmeryjczyk zapomniał o nieznajomym, kiedy zauważył, że wrota, przez które wyszedł mężczyzna, wciąż stały otwarte. Conan planował wejść głównymi drzwiami i zmusić Servia do pokazania mu pokoju Zingarczyka, ale tym lepiej, jeśli mógł wejść do domu, nie przykuwając niczyjej uwagi.

Kilka długich kroków przeniosło go pod drzwi, a kiedy jego ręce opadły na zamek, z ust dobyło się niekontrolowane mruknięcie. Wprawne palce, wytrenowane dawno temu między złodziejami Zamory, mówiły mu, że zamknięcie zostało sforsowane najprawdopodobniej za pomocą ogromnego nacisku z zewnątrz, który wykręcił i wygiął żelazne rygle, wrywając nawet zawiasy z framugi. Conan nie wyobrażał sobie, w jaki sposób taka szkoda mogła zostać wyrządzona bez obudzenia wszystkich dookoła, ale był pewien, że zrobiono to tej nocy. Rozwalony zamek w domu Servia, jeśli by

go odkryto, zostałby natychmiast zreperowany, gdyż sąsiedztwo pełne było złodziei i podrzynaczy gardeł.

Conan wślizgnął się ukradkiem ze sztyletem w dłoni, zastanawiając się, jak ma znaleźć komnatę Zingarczyka. Poruszając się po omacku w kompletnej ciemności, zatrzymał się nagle. Wyczuł śmierć w pokoju obok, tak jak wyczuwa ją dzika bestia: nie jako zagrażające jej niebezpieczeństwo, ale jak martwe stworzenie, coś świeżo zabitego. W ciemności jego noga uderzyła w jakiś ciężki i giętki przedmiot. Ustąpił; w nagłym przeczuciu poszedł po omacku w kierunku ściany, aż znalazł półkę, na której stał spiżowy kaganek wraz z krzesiwem, stalą i hubką. Kilka sekund później podskoczył w górę migocący płomyk i Conan rozejrzał się ostrożnie wokół siebie.

Prycza wbudowana w szorstką kamienną ścianę, nieprzykryty stół i ławka stanowiły całe umeblowanie tej zapuszczonej izby. Wewnętrzne drzwi były zamknięte i zaryglowane. A na ubitej, brudnej podłodze leżał Beloso – na wznak, z głową odrzuconą między ramionami tak, że zdawał się oglądać szerokimi, szklistymi oczami belki pokrytego pajęczynami sufitu. Jego wargi odsłoniły zęby w zamarłym grymasie agonii. Miecz opryszka leżał obok, niewyjęty z pochwy. Jego koszula była rozdarta, a na brązowej, muskularnej piersi odciśnięto czarną rękę; wyraźnie było widać jej kciuk i cztery palce.

Conan spojrział na to w ciszy, czując jak krótkie włosy jeżą mu się na karku.

– Na Croma! – wymamrotał. – Czarna dłoń Seta!

Dawno temu widział raz ten znak, śmiertelny symbol czarnych kapłanów Seta – ponurego kultu dominującego w ciemnej Stygii. I nagle przypomniał sobie o tym dziwnym blasku, który zdawał się emanować z tajemniczego Stygijczyka, który wyłonił się z drzwi budynku.

– Serce, na Croma! – bełkotał. – Niósł je pod opończę. Wykradł je. Rozwalił te drzwi za pomocą magii i zabił Beloso. To był kapłan Seta!

Prędkie śledztwo potwierdziło część jego podejrzeń. Klejnot nie znajdował się przy Zingarczyku. W Conanie rosło niepokojące przeczucie, że nie zdarzyło się to przez przypadek, i przekonanie, że tajemnicza galera stygijska przybiła do portu Messantii w bardzo konkretnym celu. Skąd kapłani Seta mogli wiedzieć, że Serce przybyło na Południe? Myśl ta jednak była nie mniej absurdalna niż nekromancja, która mogła zabić uzbrojonego mężczyznę dotykaniem otwartej, pustej dłoni.

Ukradkowy odgłos kroków pod drugiej stronie drzwi przywrócił go do rzeczywistości, jak kota. Jednym ruchem zgasił lampę i wyciągnął miecz. Uszy podpowiadały mu, że w ciemności na zewnątrz znajdowali się ludzie, i że zbliżali się do drzwi. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do braku światła, mógł odróżnić niewyraźne postacie szepczące u wejścia. Nie mógł odgadnąć ich tożsamości, ale jak zwykle przejął inicjatywę: wyskoczył nagle zza drzwi, nie czekając na atak.

Jego nieoczekiwany ruch zaskoczył szpiegów. Conan czuł i słyszał ludzi wokół siebie i zobaczył w końcu rozmazaną, zamaskowaną postać, stojącą przed nim w świetle gwiazd. Potem jego miecz wbił się w jej ciało; po chwili Cymmeryjczyk uciekał już w głąb ulicy, zanim wolniej myślący i działający napastnicy zdołali zorientować się w sytuacji.

W biegu usłyszał gdzieś z przodu odległe skrzywienie wiosła i zapomniał o ludziach za sobą. Łódź wypływała do zatoki! Zaciskając zęby, Conan przyspieszył, ale zanim dotarł na plażę, usłyszał szuranie i skrzywienie lin, a także zgrzyt wielkiego rumpla.

Gęste, kłębiące się od strony morza chmury zasłoniły gwiazdy. W zawieszistej ciemności Conan wyszedł na plażę, wysilając wzrok i patrząc na czarne, niespokojne wody. Coś się tam poruszało: długi, niski, czarny kształt malał w ciemności, stopniowo nabierając pędu. Do jego uszu dotarły rytmiczne uderzenia długich wiosła. Conan zgrzytnął zębami w bezradnej furii. Była to galera stygijska i pędziła na otwarte morze, unosząc ze sobą klejnot, który dla niego był równoznaczny z tronem Akwilonii!

Z dzikim przekleństwem na ustach zrobił krok w kierunku liżącej piasek wody, chwytając za kolczugę i usiłując zedrzeć ją z siebie, aby popłynąć za znikającym statkiem. Nagle zgrzyt stopy na piasku przywrócił go do rzeczywistości. Zapomniał o swoich prześladowcach.

Ciemne postacie rzuciły się do ataku razem, w grupie, wierząc, że przewaga liczebna zapewni im zwycięstwo. Pierwszy upadł pod opadającym mieczem Cymmeryjczyka, ale reszta nie ociągała się. Ostrza śmigły niewyraźnie w ciemności obok niego albo zgrzytały na jego zbroi. Na dłoń Conana trysnęła krew i wnętrze, a ktoś krzyknął, kiedy barbarzyńca ciął morderczo w górę. Mamroczący głos, ponaglący do ataku brzmiał nieco znajomo. Conan wyrąbywał sobie drogę do postaci o znajomym głosie wśród szczekania broni, rozdzierających okrzyków konających i w krwawym deszczu. Momentalny błysk nikłego światła przedarł się przez pędzące na niebie chmury i ukazał mu wysokiego,

szczupłego mężczyznę o wielkiej sonej bliźnie na skroni. Miecz Conana rozwałił jego czaszkę jak dojrzały melon.

Potem w hełm króla uderzył rozbujany, błyszczący w ciemności topór. Gwiazdy zatańczyły mu przed oczami. Zachwiał się i ruszył do przodu, czując, jak jego miecz zatapia się głęboko i usłyszał krzyk agonii. Kiedy padł na trupa, pałka zrzuciła mu hełm, a w następnym momencie uderzyła z całej siły w odsłoniętą głowę.

Król Akwilonii zwałił się na mokry piach. W ciemności dyszały nad nim wilcze postacie.

– Utnij mu głowę – wymamrotał jeden.

– Zostaw go tak – warknął drugi. – Pomóż mi opatrzyć moje rany, zanim wykrwawię się na śmierć. Przypływ zabierze go ze sobą do zatoki. Widzisz, że upadł na skraju wody. Ma rozwaloną czaszkę; żaden człowiek nie przeżyłby takiego ciosu.

– Pozwól mi go rozebrać – nalegał jeszcze inny. – Jego zbroja będzie warta parę sztuk złota. Pospieszmy się. Tyberio nie żyje i słyszę śpiew chwiejących się na plaży marynarzy. Znikajmy stąd.

Potem słychać było jeszcze jakieś dźwięki i krzątanie, a na koniec odgłos spiesznie oddalających się stóp. Pijackie piosenki marynarzy stawały się coraz głośniejsze.

W swej komnacie Publio krążył nerwowo wokół okna, które wychodziło na ocienioną zatokę; odwrócił się nagle, napięty do granic możliwości. Według jego wiedzy drzwi zostały zaryglowane od środka; teraz jednak stały otworem. Do komnaty wkroczyło gęsiego czterech mężczyzn. Na ich widok dreszcz przeszedł kupcowi po plecach. Publio widział w swoim życiu wiele dziwnych stworzeń, ale takich – jeszcze nigdy. Wszyscy byli wysocy i chudzi, odziani w czarne szaty, a ich twarze były ponurymi, żółtymi owalami, skrywanymi w cieniu kapturów. Nie widział dokładnie ich rysów i cieszył się nierozsądnie, że tak było. Każdy z nich miał ze sobą długą, dziwnie rzeźbioną laskę.

– Kim jesteście? – zapytał, a jego głos brzmiał łamliwie i głucho. – Czego tu szukacie?

– Gdzie jest Conan, ten, który był królem Akwilonii? – dopytywał najwyższy z czwórki z tak beznamiętną monotonią, że Publio aż się

wzdrygnął. Brzmiało to jak głuchy ton khitajskiego dzwonu świątynnego.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – wyjąkał kupiec, a jego zwyczajne opanowanie zniknęło na widok niesamowitego wyglądu jego gości. – Nie znam tego człowieka.

– Był tu wcześniej – odparł jego rozmówca, nie zmieniając tonu. – Jego koń stoi na dziedzińcu. Powiedz nam, gdzie jest, zanim wyrządzimy ci krzywdę.

– Gebalu! – wrzasnął przeraźliwie Publio, cofając się, aż przycupnął pod ścianą. – Gebalu!

Czterech Khitajczyków obserwowało go bez emocji, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Jeśli wezwiesz swojego niewolnika, zginie – ostrzegł go jeden z nich, co tylko przeraziło Publina jeszcze bardziej.

– Gebalu! – wrzasnął. – Gdzie jesteś, przeklęty? Złodzieje mordują twego pana!

Rozległ się szybki odgłos kroków w korytarzu na zewnątrz i Gebal wpadł do komnaty: był to średniego wzrostu Shemita o bardzo muskularnym ciele. Jego sina broda zjeżyła się, a w ręku mignął krótki miecz o ostrzu w kształcie liścia. Patrzył na czterech intruzów z głupim zdziwieniem, nie będąc w stanie pojąć ich obecności. Pamiętał mgliście, że w niewytłumaczalny sposób usnął na pilnowanych przez siebie schodach, po których musieli wejść. Nigdy wcześniej nie zasnął na straży. Ale jego pan zawodził z nutką hysterii w głosie, więc Shemita zaatakował nieznanomych jak byk, zamachując się swym potężnym ramieniem, by zadać rozrywający cios. Ale ten nigdy nie nastąpił.

Ramię w czarnym rękawie wystrzeliło naprzód i skierowało w jego stronę długą laskę. Jej koniec ledwo dotknął potężnej piersi Shemity i natychmiast się cofnął. Cios był potworny i szybki jak ukąszenie węża: błyskawiczny ruch naprzód i natychmiastowy odwrót.

Gebal zatrzymał się jak wryty w swej karkołomnej szarzy, zupełnie jakby napotkał solidną przeszkodę. Jego bycza głowa opadła na pierś, miecz wyslizgnął mu się z dłoni, po czym służący opadł wolno na podłogę. Wyglądało to tak, jak gdyby wszystkie kości jego ciała nagle się ugięły. Publio oszalał.

– Nie krzycz znów – poradził mu najwyższy Khitajczyk. – Twoja służba jest pogrążona w głębokim śnie, ale jeśli ich obudzisz, umrą, a ty razem z nimi. Gdzie jest Conan?

– Poszedł do domu Servia, niedaleko brzegu, w poszukiwaniu Zingarczyka Beloso – wydyszał Publio, którego opuściła cała odwaga. Kupcowi jej zwykle nie brakowało, ale ci osobliwi goście spowodowali, że jego nogi trzęsły się jak galareta. Podskoczył z przerażeniem na nagły odgłos stóp pędzących w górę po schodach, rozlegający się w złowrogiej ciszy.

– Twój sługa? – zapytał Khitajczyk.

Publio potrząsnął niemo głową, jego język przywarł do podniebienia.

Nie mógł wydusić z siebie słowa.

Jeden z Khitajczyków chwycił za jedwabną narzutę łoża i zarzucił ją na trupa. Potem wszyscy schowali się za gobelinem, ale zanim zniknął najwyższy z nich, wymamrotał:

– Porozmawiaj z tym, kto nadchodzi i spław go szybko. Jeśli nas zdradzisz, ani on, ani ty nie zdołacie dojść do drzwi żywi. Nie czyn żadnych znaków, wskazujących na to, że nie jesteś sam. – Po czym, podnosząc sugestywnie laskę, żółty człowiek zniknął za zasłonami.

Publio wzdrygnął się i zdusił w sobie chęć wymiotowania. Mogła to być gra świateł, ale odnosił wrażenie, że laski co jakiś czas ruszały się nieznacznie, jak gdyby same posiadały niewytłumaczalne życie.

Zebrał się w sobie z potężnym wysiłkiem i stanął przed opryskiem, który wpadł do komnaty.

– Zrobiliśmy to, czego sobie życzyłeś, mój panie – wykrzyknął mężczyzna. – Barbarzyńca leży na piasku na brzegu morza.

Publio poczuł za sobą ruch arrasu i niemal eksplodował ze strachu. Mężczyzna ciągnął, nie zwracając na to uwagi:

– Twój sekretarz, Tyberio, nie żyje. Barbarzyńca zarznął jego i czterech moich towarzyszy. Zanieśliśmy ich ciała do burdelu. Przy tamtym nie było nic wartościowego, jedynie parę srebrnych monet. Czy są jeszcze jakieś rozkazy?

– Nie! – sapnął Publio z pobielałymi wargami. – Idź!

Oprych skłonił się i wybiegł z pokoju, z lekkim wrażeniem, że Publio był mężczyzną małowódnym i że musiał chyba mieć słaby żołądek.

Czterech Khitajczyków wyszło zza arrasu.

– O kim on mówił? – chciał wiedzieć najwyższy z nich.

– O błakającym się nieznanym, który mnie zranił – wydyszał Publio.

– Kłamiesz – powiedział spokojnym głosem Khitajczyk. – Mówił o królu Akwilonii. Wyczytałem to w twojej twarzy. Siadaj na dywanie i nie ruszaj się

ani nic nie mów. Ja zostanę z tobą, podczas gdy moich trzech towarzyszy pójdzie poszukać ciała.

Tak więc Publio usiadł i trząsł się ze strachu przed cichą, nieodgadnioną postacią, która obserwowała go, aż trzech Khitajów wróciło do pokoju z informacją, że ciała Conana nie ma na piasku. Publio nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy płakać.

– Znaleźliśmy miejsce, w którym odbyła się walka – powiedzieli. – Na piasku widać ślady krwi. Ale króla tam nie było.

Czwarty Khitajczyk rysował swoją laską niewidzialne symbole na dywanie, które błyszcząły jak łuski w świetle lampy.

– Czy wyczytaliście coś z piasku? – zapytał.

– Tak – odparli. – Król żyje i popłynął na statku na południe.

Wysoki Khitajczyk podniósł głowę i spojrzał na Publia w taki sposób, że kupiec zaczął pocić się obficie.

– Czego ode mnie chcesz? – wyjąkał.

– Statku – odparł Khitaj. – Statku z dużą załogą, zdolnego do bardzo długiej podróży.

– Jak długiej? – wymamrotał Publio, nawet nie myśląc o odmowie.

– Może i na koniec świata – odparł Khitajczyk. – Albo do płynnych mórz piekła, które leżą tam, skąd wschodzi słońce.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

POWRÓT PIRATA

Pierwszym wrażeniem, jakie doszło do powracającej świadomości Conana, był ruch. Nie leżał na niczym solidnym; czuł nieustające unoszenie się i zanurzanie. Potem usłyszał, jak wiatr mamrocze wśród lin i rei i zanim jego zamazany wzrok zaczął dostrzegać rzeczy wyraźnie, król Akwilonii zrozumiał, że znajduje się na statku. Usłyszał pomruk głosów, a później woda chlusnęła mu w twarz, pobudzając go gwałtownie. Uniósł się z siarczystym przekleństwem, zaparł na szeroko rozstawionych nogach i rozejrzał wokół, słysząc wybuchy korsarskiego śmiechu i czując w nozdrzach smród niemytych ciał.

Znajdował się na pokładzie długiej galery, która pędziła z wiejącym z północy wiatrem, a jej pasiasty żagiel wydymał się i prężył. Właśnie wstawało słońce w oślepiającym blasku złota, błękitu i zieleni. Na lewo od linii brzegowej kładł się ciemny, purpurowy cień. Po prawej rozpościerał się otwarty ocean. Tyle tylko zobaczył Conan w pierwszym momencie. Rzucił okiem także na statek.

Był to długi, wąski, typowy dla południowych wybrzeży okręt handlowy o wysokiej rufie i dziobie, z kabinami po obu stronach. Conan spojrzął na śródburcie, skąd dochodził ten przyprawiający o mdłości, paskudny smród. Znał go od dawna: zapach ciał przywiązanych do ławek wioślarzy. Wszyscy byli czarnoskórzy. Siedzieli po czterdziestu z każdej strony okrętu; każdy z nich był przypięty łańcuchem zapiętym wokół talii, którego drugi koniec przykuto do ciężkiej obręczy, usadzonej głęboko w solidnej belce, rozciągającej się między ławkami od dziobu aż po rufę. Życie niewolnika na pokładzie argossańskiej galery było naprawdę nieznośne. Większość z galerników była Kushytami, ale może trzydziestu czarnoskórych, odpoczywających teraz na swych beczynnych wiosłach i patrzących na nieznanego z lekkim zaciekawieniem, pochodziło z odległych południowych wysp – ojczyzny korsarzy. Conan rozpoznał ich po ich prostszych rysach i włosach, potężniejszej i surowej budowie. Między nimi dojrzał mężczyznę, który podążał za nim od dawna.

Wszystko to jednak zarejestrował w okamgnieniu, kiedy się podnosił, zanim zwrócił na siebie uwagę stojących wokół niego postaci. Chwiejąc się na rozstawionych nogach, zacisnął z gniewem pięść i spojrzał na zgromadzonych obok ludzi. Marynarz, który oblał go wodą, stał wykrzywiony w grymasie, a pusty kubeł wciąż jeszcze tkwił w jego ręce. Conan zaklął szpetnie, odruchowo sięgając do rękawicy. Wtedy odkrył, że nie ma broni i że stoi nagi, jeśli nie liczyć krótkich, skórzanych spodni.

– Co to za parszywa łajba? – ryknął. – Jak znalazłem się na pokładzie?

Marynarze, będący co do jednego krępymi, brodatymi Argossanami, roześmieli się szyderczo, po czym jeden z nich – z przywódczej charyzmy i bogatego stroju Conan wywnioskował, że mężczyzna musi być kapitanem – skrzyżował ramiona i powiedział władczy tonem:

– Znaleźliśmy cię leżącego na piasku. Ktoś walnął cię w łeb i zabrał twoje ubranie. Potrzebowaliśmy dodatkowego członka załogi i wzięliśmy cię na pokład.

– Co to za statek? – zapytał Conan.

– To „Śmiałek” spoza Messantii, z ładunkiem luster, szkarłatnych jedwabnych peleryn, tarcz, pozłacanych hełmów i mieczy na handel z Shemitami w zamian za miedź i rudę złota. Nazywam się Demetrio, jestem kapitanem tego statku i od tej pory także twym zwierzchnikiem.

– W takim razie koniec końców płynę we właściwym kierunku – wymamrotał Conan, nie zwracając uwagi na to ostatnie stwierdzenie. Pędzili na południowy wschód wzdłuż długiego zakola argossańskiego wybrzeża. Te statki handlowe nigdy nie zapuszczały się daleko od brzegu. Król wiedział, że gdzieś przed nim pędziła na południe stygijska galera.

– Widzieliście może stygijską galerę... – zaczął mówić Conan, ale broda krzepkiego kapitana o zwierzęcej twarzy zjeżyła się. Nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany pytaniami swego więźnia i poczuł, że już czas najwyższy pokazać przybłędzie należne mu miejsce w okrętowej hierarchii.

– Zjeżdżaj! – ryknął. – Zmarnowałem tu już za dużo czasu! To zaszczyt dla ciebie, że przyniosłem cię na pokład i ocuciłem, i odpowiedziałem już na dużo twych piekielnych pytań. Złaż z rufy! Zapracujesz sobie na pobyt na tej galerze...

– Kupię ten statek – zaczął Conan, zanim przypomniał sobie, że był wędrowcem bez grosza przy duszy.

Słowa te zostały przywitane rykiem szorstkiego śmiechu, a kapitan spurpurowiał, myśląc, że wyszedł na głupka.

– Ty buntownicza świni! – zawył, stąpając groźnie naprzód i zbliżając dłoń do noża za pasem. – Zjeżdżaj, zanim cię wychłoszczę! Będziesz trzymał swój język za zębami albo, na Mitrę, przykuję cię między czarnoskórymi do machania wiosłem!

Wulkaniczny temperament Conana, nigdy właściwie nietrzymany na wodzy, eksplodował. Przez całe jego życie, nawet zanim został królem, nie zdarzyło się, żeby ktoś odezwał się do niego w ten sposób i przeżył.

– Nie podnoś na mnie głosu, ty psie w spodniach majtka! – ryknął głosem potężnym jak morski wiatr, a marynarze spojrzeli na niego, porażeni tymi słowami. – Wyciągnij tę zabaweczkę, a nakarmię tobą ryby!

– Co ty sobie wyobrażasz? – sapnęła kapitan.

– Pokażę ci! – ryknął rozwścieczony Cymmeryjczk, odwracając się i pochylając w stronę burty, gdzie wisiała broń.

Kapitan wyciągnął nóż i rzucił się na niego z wyciem, ale zanim zdołał uderzyć, Conan chwycił go za nadgarstek z siłą, która wyrwała marynarzowi ramię ze stawu. Kapitan zaryczał jak wół w agonii, po czym potoczył się po pokładzie, odepchnięty z pogardą przez swego napastnika. Conan porwał ciężki topór i odwrócił się jak kot, aby wyjść na spotkanie pozostałym marynarzom. Nadbiegli, ujadając jak psy, poruszając się niezdarnie i dziwnie w porównaniu do tygrysich ruchów Cymmeryjczyka. Zanim zdołali dosięgnąć go nożami, skoczył między nich, rozdzielając ciosy na lewo i prawo zbyt szybko, by mogli za nim nadążyć; połała się krew i bryznęły mózgi, kiedy dwa ciała uderzyły o pokład.

Noże dziko cięły powietrze, kiedy Conan przedzierał się przez potykający się, zadyszany tłum i skoczył w kierunku wąskiego mostka, który spinał pokład od dziobu do rufy, znajdując się poza zasięgiem niewolników. Grupa marynarzy z rufy wyrywała się zajadle w jego kierunku, rozwścieczona śmiercią towarzyszy, a reszta załogi, w sumie może trzydziestu ludzi, biegła ku niemu po mostku z mieczami w dłoniach.

Conan zeskoczył z mostku i stanął między zwróconymi ku niemu czarnymi twarzami ze wzniesionym toporem i rozwianą przez wiatr czarną grzywą.

– Kim jestem?! – wrzasnęła. – Spójrzcie, psy! Popatrz, Ajongo, Yasungo, Larango! Kim jestem?

Ze śródokręcia podniósł się krzyk, który urósł do potężnego ryku:

– Amra! To Amra! Lew powrócił!

Marynarze, którzy zrozumieli przesłanie tego niesamowitego krzyku, pobledli i skurczyli się, patrząc z nagłym strachem na dziką postać na mostku. Czy to naprawdę ten żądny krwi potwór z południowych mórz, który zniknął tajemniczo lata temu, lecz wciąż jeszcze żył w ponurych legendach? Czarni pieklili się teraz szaleńczo, potrząsając okowami, rozrywając łańcuchy i wykrzykując imię Amry. Kushyci, którzy nigdy wcześniej nie widzieli Conana, podjęli ten krzyk. Niewolnicy w zagrodzie pod tylną kabiną zaczęli walić w ściany, wrzeszcząc jak potępieni.

Demetrio, podciągający się po pokładzie na dwóch nogach i jednej ręce, siny z bólu wyrwanego stawu, wrzasnął:

– Na niego i zabijcie go, psy, zanim niewolnicy wyrwą się na wolność!

Marynarze rozpalili się do czerwoności na te słowa, gdyż bunt niewolników był największym koszmarem wszystkich morskich handlarzy; ruszyli na mostek z obu końców. Ale Conan opuścił go jednym lwim skokiem i wylądował jak kot – stopami na szynie między ławkami.

– Śmierć panom! – zagrzmiął, a jego topór wzniósł się i opadł miażdżąc prosto na kajdany, tnąc je jak zapalki. Chwilę później uwolnił się pierwszy niewolnik, łamiąc swoje wiosło i robiąc z niego pałkę. Na górze, ludzie nacierali dziko po mostku i na „Śmiałku” rozpętała się prawdziwa rzeź. Topór Conana unosił się i opadał bez przerwy, a z każdym uderzeniem uwalniał się jeden spieniony i wrzeszczący czarny olbrzym, szalony z nienawiści i upojony furią wolności i zemsty.

Marynarze, którzy skakali na śródkręcie, aby mocować się i mierzyć na miecze z jednym nagim, białym gigantem, który jak opętany ciął niewolnicze pęta, zostali nagle pociągnięci w dół przez przykutych jeszcze galerników. Tymczasem inni, z pękniętymi łańcuchami trzaskającymi jak bicze wokół ich członków, ruszyli ku nim jak oślepiająca, czarna burza, wrzeszcząc jak diabły, rażąc połamanymi wiosłami i kawałkami żelaza, drąc i szarpiąc znienawidzone pańskie ciała pazurami i zębami. W środku tego zamieszania niewolnicy w klatkach rozbili kraty i zaczęli wylewać się na pokłady. Uwolniwszy z ławek pięćdziesięciu czarnoskórych, Conan zaprzestał cięcia żelaza i skoczył na mostek, aby dodać moc swego wyszczerbionego topora do siły pałek swych wojowników.

Rozpętała się masakra. Argossanie byli mocni, krzepcy i nie znali strachu jak cała ich rasa. Byli także wytrenowani w brutalnej szkole morza. Nie mogli jednak oprzeć się rozwścieczonym olbrzymom pod wodzą tygrysięgo

barbarzyńcy. Ciosy, maltretowanie i piekielne cierpienia zostały pomszczone w jednym wielkim wybuchu furii, który szalał jak tajfun od jednego krańca statku do drugiego, a kiedy w końcu wygasł, na pokładzie „Śmiałka” żywy pozostał już tylko jeden biały mężczyzna – poplamiony krwią olbrzym. Wokół niego stłoczyli się czarnoskórzy, którzy, śpiewając, padali przed nim na skrwawiony pokład i uderzali głowami o deski w ekstazie kultu bohatera.

Potężna pierś Conana unosiła się i błyszczała potem; dzierzył swój czerwony topór w zakrwawionej dłoni. Spojrzał na nich takim wzrokiem, jakim pierwszy człowiek mógł przywitać jakiś pierwotny świt i potrząsnął swą czarną czupryną. W tym momencie nie był już królem Akwilonii; znów był panem czarnoskórych korsarzy, który utorował sobie drogę do władzy ogniem i krwią.

– Amra! Amra! – załoga wznosiła ku niebu opętańcze krzyki. – Lew powrócił! Teraz Stygijczycy będą wyć jak kundły po nocach, czarne psy Kush też będą wyć! Ach, jak będą płonąć wsie, jak będą tonąć statki! Tak, poniesie się lament kobiet i grzmot włóczy!

– Przestańcie już jazgotać, psy! – ryknął Conan głosem, który zagłuszył huk wiatru wśród żagli. – Dziesięciu z was zejdzie pod pokład i uwolni wiosłarzy, którzy jeszcze są przykuci. Reszta z was rusza do wiosł i szotów! Na Croma, nie widzicie, że podryfowaliśmy do brzegu podczas walki? Chcecie żebyśmy dobili do brzegu i zostali odbici przez Argossan? Wyrzucicie te trupy za burtę. Ruszajcie się, zbiry, albo wygarbuję wam skóry!

Ze śmiechem, krzykiem i dziką pieśnią na ustach ruszyli do wykonywania rozkazów. Trupy, zarówno czarnoskóre, jak i białe, zostały wyrzucone za burtę, gdzie trójkątne płetwy przecinały już powierzchnię wody.

Conan stanął na rufie, patrząc na swą załogę, która spoglądała na niego z oczekiwaniem. Jego ciężkie ramiona były skrzyżowane na piersiach, a czarne włosy, które urosły podczas jego wędrówek, powiewały na wietrze. Na mostku statku nigdy jeszcze nie stanęła bardziej dzika i bardziej barbarzyńska postać. Niewielu akwilońskich dworzan rozpoznałoby w tym nieokiełznanym korsarzu swojego króla.

– Mamy jedzenie w ładowni! – zagrzemiał. – Mamy broń dla wielu, gdyż statek transportował ostrza i zbroje dla Shemitów, którzy mieszkają na wybrzeżu. Jest nas wystarczająco dużo do pracy na statku, tak, i do walki!

Wiosłowaliście w kajdanach dla argossańskich psów: powiosłujecie dla Amry jako wolni ludzie?

– Tak! – huknęli. – Jesteśmy twymi dziećmi! Prowadź nas, gdzie chcesz!

– A więc do roboty, i wyczyśćcie ten pokład – rozkazał. – Wolni ludzie nie pracują w takim bagnie. Trzech z was pójdzie ze mną i weźmie jedzenie z tylnej kabiny. Na Croma, zanim ten rejs się skończy, wyhoduję tłuszcz na waszych żebrach!

Odpowiedział mu wrzask aprobaty, a na wpół zagłodzeni czarni pospieszyli, by wykonać jego rozkazy. Żagiel łopotał, kiedy wiatr pędził nad falami z nową siłą, a biała piana tańczyła w rytm jego porywów. Conan rozstawił stopy na kołyszącym się pokładzie, wziął głęboki oddech i rozwarł swe mocarne ramiona.

Króla Akwilonii mogło już nie być. Wciąż jednak żył król błękitnego oceanu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

KHEMI O CZARNYCH MURACH

„Śmiałek” płynął na północ jak żywe stworzenie: jego wiosła były teraz prowadzone przez wolne i chętne do pracy dłonie. Zmienił się ze spokojnego statku handlowego w galerę wojenną – w takiej mierze, w jakiej tego typu transformacja była możliwa. Ludzie siedzieli teraz na ławach z mieczami u boku, a na ich włóchatych głowach błyszcząły hełmy. Przy burcie wisiały tarcze i pęki włócznie, łuki i strzały zdobiły maszt. Nawet żywioły zdawały się grać teraz na korzyść Conana; szeroki, purpurowy żagiel wydymał się na mocnym wietrze, który popychał statek z dnia na dzień coraz dalej, nie wymagając wielkiej pomocy wioślarzy.

Chociaż Conan wystawiał ludzi na gniazdo bocianie dniem i nocą, wciąż nie zauważyli długiej, niskiej, czarnej galery, która pędziła gdzieś przed nimi na południe. Dzień za dniem błękitne wody falowały puste, czasami ukazując tylko statki rybackie, które na widok rozwieszonych wzdłuż burty tarcz uciekały przed nimi jak przestraszone ptaki. Sezon handlowy chylił się już praktycznie ku końcowi i nie zauważyli żadnych innych statków.

Kiedy obserwator zauważył żagiel, było to na północy, nie na południu. Daleko na linii horyzontu za nimi pojawił się statek pędzący na pełnym wyścigu purpurowego żagla. Czarnoskórzy nalegali, by odwrócić się i splądrować go, ale nowo obrany kapitan potrząsnął głową. Gdzieś na południe od niego wąska, czarna galera pędziła w kierunku portów Stygii. Tej nocy, zanim nastąpiła ciemność, ostatni rzut oka obserwatora ukazał mu pędzącą galerę na horyzoncie; o świcie wciąż jeszcze wisiała na ich szlaku, daleko od nich; z tej odległości wydawała się maleńka. Conan zastanowił się, czy nie podążają za nim, chociaż nie mógł znaleźć dla tego przypuszczenia żadnego logicznego wytłumaczenia. Nie zwracał na to jednak uwagi. Każdy dzień, który niósł go w głąb Południa, napełniał go coraz bardziej dziką niecierpliwością. Nigdy nie dopadały go wątpliwości. Wierzył w to, że kapłan Seta ukradł Serce Arymana, tak jak wierzył w to, że słońce wstaje i zachodzi. A dokąd mógł je zawieźć stygijski kapłan, jeśli nie do Stygii? Załoga wyczuwała jego gorliwość i pomagała mu tak, jak nigdy nie pracowała pod uderzeniami bata, mimo iż nie znała swego celu.

Oczekiwała krwawej trasy grabieży i plądrowania; była zadowolona. Ludzie z południowych wysp nie znali innego handlu, zaś Kushyci z załogi przyłączyli się z radosnym sercem do planów łupienia własnego ludu, z właściwą swej rasie gruboskórnością. Więzy krwi znaczyły tu niewiele. Zwycięski herszt i własne korzyści – to wszystko.

Wkrótce zmienił się wygląd linii brzegowej. Nie żeglowali już wzdłuż płaskich klifów z ciągnącymi się za nimi błękitnymi wzgórzami. Teraz brzeg tworzyła krawędź szerokich łąk, które ledwo wznosiły się ponad poziom wody i rozciągały hen, daleko, niknąc na mglistym horyzoncie. Było tam mało przystani i jeszcze mniej portów, ale zielone połacie upstrzone były miastami Shemitów; szmaragdowe morze lizało brzegi zielonych równin, a w słońcu białe błyszcząły zigguraty miast, dziwnie małe z tej odległości.

Po pastwiskach poruszali się pasterze, bydło oraz przysadziści jeźdźcy w cylindrycznych hełmach i o kręconych sinych brodach, z łukami w dłoniach. Były to tereny Shemu, które nie znały prawa, chyba że któreś państwo-miasto było w stanie narzucić sąsiadom swoje reguły. Conan wiedział, że daleko na wschodzie łąki ustępowały pustyni, na której nie było miasta i gdzie grasowały niepowstrzymane plemiona nomadów.

Parli spokojnie na południe, mijając niezmienną panoramę upstrzonych miastami łąk, aż w końcu sceneria znów zaczęła się zmieniać. Pojawiły się kępki drzew tamaryndowca, gaje palmowe zdawały się coraz gęstsze. Linia brzegowa stała się bardziej obszarpana – jak ciągnący się wał zielonych liści i drzew; za nimi wznosiły się nagie, piaszczyste wzgórza. Strumienie wpadały do morza, a wokół ich żyznych brzegów buchała gęsta i różnorodna roślinność.

W ten sposób w końcu minęli rozlewisko szerokiej rzeki, która kończyła swój bieg w oceanie, i zobaczyli wielkie czarne mury i wieże Khemi, wznoszące się na horyzoncie od południa.

Rzeka ta nosiła miano Styks i stanowiła prawdziwą granicę Stygii. Khemi było największym stygijskim portem, a zarazem jej najważniejszym miastem. Król mieszkał w bardziej starożytnym Luxurze, ale w Khemi rządziło kapłaństwo, chociaż ludzie mówili, że centrum ich czarnej religii leży daleko w głębi kraju, w tajemniczym, opuszczonym mieście niedaleko brzegów Styksu. Rzeka wypływała z jakiegoś bezimiennego źródła daleko w nieznanym krainach na południe od Stygii, toczyła swe wody na północ

przez tysiące mil, zanim w końcu skręcała i przez kolejne setki mil płynęła na zachód, by w końcu wpaść do oceanu.

Nieoświetlony „Śmiałek” przekradł się nocą za port; przed świtem załoga odkryła małą zatoczkę o kilka mil na południe od miasta. Zakotwiczyli w niej. Laguna była otoczona przez moczary, zieloną płataninę namorzyn, palm i lian i roiła się od krokodyli i węży. Było mało prawdopodobne, by ktoś zdołał ich tam odkryć. Conan znał to miejsce od dawna; krył się tu wcześniej podczas swoich korsarskich przygód.

Przekradali się cicho w stronę miasta, którego wielkie, czarne baszty wznosiły się na wystających odnogach lądu, zamykających port. Pochodnie świeciły i migotały jasno; do uszu załogi doszedł niski pomruk bębnow. Port nie był pełen statków jak w przystaniach Argos. Stygijczycy nie opierali swej chwały na statkach. Mieli co prawda handlowe okręty i bojowe galery, ale były one nieproporcjonalne do sił lądowych Stygii. Dużo łódek handlowało raczej w górze i w dole rzeki, więcej niż wzdłuż morskiego wybrzeża.

Stygijczycy byli starożytną rasą ciemnych, nieodgadnionych ludzi, potężnych i bezlitosnych. Dawno temu ich władza rozciągała się daleko na północ od Styksu, poza łąki Shemu, aż na żyzne wyżyny zamieszkiwane teraz przez ludy Koth, Ofiru i Argos. Ich granice przypominały dawne rubieże starożytnego Acheronu. Ale Acheron upadł, a barbarzyńscy przodkowie Hyboryjczyków pomknęli na południe w wilczych skórach i hełmach chałupniczego wyrobu, wypierając dawnych władców z leżących przed nimi krain. Stygijczycy nigdy o tym nie zapomnieli.

Przez cały dzień „Śmiałek” stał na kotwicy w małej zatoczce, ogrodzony zielonymi gałęziami i splecionymi winoroślami, w których trzepotały krzykliwie ubarwione ptaki o ostrych głosach, i między którymi błyskały ciche gady o barwnych łuskach. Przed zmierzchem od statku oderwała się mała szalupa i popłynęła wzdłuż brzegu. Jej załoga szukała i znalazła to, czego Conan pragnął: stygijskiego rybaka w płytkiej łódce z płaskim dziobem.

Przyprowadzili go na pokład galery: był to wysoki, ciemny, dobrze zbudowany mężczyzna, poblady ze strachu przed swymi porywaczami, których uważano za ogry tego wybrzeża. Był nagi, jeśli nie liczyć jedwabnych spodni – w Stygii, podobnie jak wśród Hyrkan, nawet lud i niewolnicy nosili jedwab; w jego łódce znajdowały się szerokie oponcze,

które rybacy, tacy jak on, zakładali sobie na ramiona, chroniąc się przed nocnym chłodem.

Rybak upadł na kolana przed Conanem, oczekując tortur i śmierci.

– Powstań, człowiecze, i przestań się trząść – powiedział zniecierpliwiony Cymmeryjczyk, któremu ciężko było zrozumieć przerażenie chłopca. – Nie stanie ci się krzywda. Powiedz mi jednak tyle: czy jakaś czarna, szybka galera powracająca z Argos, wpłynęła do Khemi w ciągu ostatnich kilku dni?

– Tak, mój panie – odparł rybak. – Zaledwie wczoraj o świcie kapłan Thutothmes powrócił z dalekiej wyprawy na północ. Ludzie mówią, że był w Messantii.

– Co przywiózł ze sobą z Messantii?

– Niestety, mój panie, nie wiem tego.

– Po co tam popłynął? – chciał wiedzieć Conan.

– Ach, mój panie, kim jestem, żeby pojmować umysły kapłanów Seta? Jako prosty człowiek mogę tylko powiedzieć ci o tym, co widziałem, i o tym, co usłyszałem wśród ludzi szepczących w przystani. Mówią, że na Południe przysły wieści wielkiej wagi, chociaż nikt nie wie, jakie. Wiadomo też powszechnie, że pan Thutothmes wyruszył w swej czarnej galerze w wielkim pośpiechu. Teraz znów jest wśród nas, ale nikt nie potrafi powiedzieć, co robił w Argos ani z jakim ładunkiem powrócił. Nawet marynarze z pokładu galery nic nie wiedzą. Ludzie mówią, że sprzeciwił się Thoth-Amonowi, który jest mistrzem wszystkich kapłanów Seta i mieszka w Luxurze, a także, że Thutothmes szuka ukrytej siły, aby zniszczyć Potężnego. Ale kim jestem, by ci o tym opowiadać? Kiedy kapłani wojują między sobą, prosty człowiek może tylko leżeć na brzuchu i mieć nadzieję, że nic nad nim nie stoi.

Conan prychnął z rozdrażnieniem na przejaw tej usługowej filozofii i zwrócił się do swych ludzi:

– Pójdę samotnie do Khemi, aby odszukać tego złodzieja Thutothmesa. Uwięźcie tego mężczyznę, ale uważajcie, by go nie skrzywdzić. Na Croma, przestańcie skowyczeć! Myślicie, że możemy wpłynąć do portu i wziąć miasto szturmem? Muszę iść sam.

Ucisząc krzyk protestu, zdjął z siebie szaty i przywdział jedwabne spodnie i sandały więźnia, a także jego przepaskę na włosy; wzgardził jednak krótkim nożem rybaka. Lud Stygii nie mógł nosić mieczy, a opończa nie była wystarczająco obszerna, by ukryć długie ostrze Cymmeryjczyka,

ale Conan przypasał sobie do biodra nóż Ghanta – broń noszoną przez dzikich ludzi pustyni, którzy mieszkają na południe od Stygii: szerokie, ciężkie, lekko zakrzywione ostrze z dobrej stali, tnące jak brzytwa i wystarczająco długie, by rozplątać człowieka na dwoje.

Potem, zostawiając Stygijczyka pod strażą korsarzy, Conan wspiął się na łódkę rybaka.

– Czekajcie na mnie do świtu – powiedział. – Jeśli nie przyjdę do tego czasu, nie wrócę już nigdy, pospieszcie więc na południe, do domu.

Kiedy wgramolił się na burłę, czarni podnieśli za nim smętny lament, aż musiał odrzucić głowę i przekleństwem zmusić ich do ciszy. Potem, wskakując do łodzi, Conan chwycił za wiosła i pędem posłał małą łódkę poprzez fale – zdecydowanie szybciej, niż robił to jej właściciel.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

„TO ON ZABIŁ ŚWIĘTEGO SYNA SETA!”

Port Khemi leżał między dwoma pasami lądu wcinającymi się w ocean. Conan okrążył południowy cypel, na którym wznosiły się zamki, jakby były wzgórzami usypanymi przez człowieka, i o zmierzchu wpłynął do portu, gdy wciąż jeszcze było wystarczająco dużo światła, żeby strażnicy rozpoznali łódź rybacką i opończę, ale już niewystarczająco wiele, by mogli dojrzeć zdradzieckie szczegóły. Niezaczepiony Conan lawirował między wielkimi, czarnymi galerami wojennymi, które stały ciche i nieoświetlone na kotwicy, i podpłynął do szerokich, kamiennych schodów, wznoszących się przy brzegu. Tam przycumował łódź do żelaznej obręczy wkutej w kamień, podobnie jak przycumowane były inne statki tego typu. Nie było nic dziwnego w tym, że zostawia tu swą łódkę. Tylko inny rybak mógłby mieć z niej jakąś korzyść, a ci nie okradali się wzajemnie.

Nikt nie rzucił mu nic więcej niż przypadkowe spojrzenie, kiedy wchodził po szerokich schodach, dyskretnie unikając światła pochodni, które płonęły w regularnych odstępach ponad chlupoczącą, czarną wodą. Wyglądał jak zwykły rybak z pustymi rękami, powracający po nieudanym połowiu. Gdyby ktoś przyjrzał mu się uważniej, mógłby zauważyć, że jego krok był nieco zbyt sprężysty i zawadiacki, a jego postawa trochę zbyt wyprostowana i pewna siebie jak na skromnego rybaka. Ale Conan kroczył szybko, trzymając się cienia; Stygijczycy mieli też zdecydowanie mniej zapału do analizowania wyglądu przybyszów niż mieszkańcy mniej egzotycznych państw.

Z budowy nie różnił się bardzo od kasty wojowników stygijskich – wysokiej i muskularnej rasy. Ogorzały od słońca, był prawie tak ciemny jak wielu z nich, a jego czarne włosy, proste i przewiązane miedzianą wstążką, zwiększały tylko podobieństwo. Wyróżniającymi go cechami były subtelna różnica w chodzie oraz jego obce rysy i błękitne oczy, ale opończa stanowiła dobre przebranie, a on trzymał się cieni, jak tylko to możliwe, odwracając głowę, kiedy tubylec przechodził zbyt blisko niego.

Była to jednak desperacka gra i wiedział, że niedługo nie zdoła powstrzymać rozpoznania. Khemi nie było podobne do portów Hyboryjczyków, gdzie roiło się od przedstawicieli wielu ras. Tu jedynymi obcymi byli czarnoskórzy i shemiccy niewolnicy, a on przypominał ich w jeszcze mniejszym stopniu niż Stygijczyków. Obcy nie byli mile widziani w stygijskich miastach; tolerowano ich wyłącznie jeśli przyjeżdżali jako ambasadorowie albo licencjonowani handlarze. Ale nawet w takim wypadku ci ostatni nie mogli schodzić na brzeg po zmroku. Ponadto o tej porze roku w porcie nie było w ogóle hyboryjskich statków. W mieście panowało dziwne wzburzenie, ścieranie się pradawnych ambicji, szeptów, których nie mógł zrozumieć nikt poza szepczącymi... Conan raczej to czuł, niż wiedział; jego wyostrzone pierwotne zmysły raz po raz niespokojnie omiatały okolicę.

Gdyby został odkryty, jego los byłby przesądzony. Zabiliby go tylko dlatego, że jest obcy; gdyby został rozpoznany jako Amra, przywódca korsarzy, którzy najeżdżali ich wybrzeża ogniem i mieczem... Niekontrolowany dreszcz wstrząsnął szerokimi ramionami Conana. Nie bał się ludzkich wrogów ani żadnej śmierci od ognia czy miecza. Był to jednak mroczny kraj czarów i bezimiennego koszmaru. Mówiono, że Stary Wąż Set, wygnany dawno temu spośród ras hyboryjskich, wciąż jeszcze krył się w cieniach zagadkowych świątyń, a rytuały, które odprawiano na nocnych ołtarzach, były potworne i tajemnicze.

Oddalił się od ulic przystani o szerokich, prowadzących do wody schodach i zagłębił się w długie, cieniste ulice głównej części miasta. Nie sposób było znaleźć taką scenerię w żadnym z hyboryjskich miast: nie było tu blasku lamp ani kaganków, na chodnikach nie widywało się śmiejących się i spacerujących, kolorowo odzianych ludzi ani otwartych sklepów i straganów wystawiających swój towar.

W tym mieście sklepy zamykano o zmroku. Jedyne światło padające na ulicę pochodziło od pochodni, które płonęły i dymiły w szerokich odstępach. Na ulicy było względnie mało ludzi; ci szli prędkim krokiem i w milczeniu, a ich liczba zmniejszała się wraz z upływem czasu. Conanowi ta scena wydawała się ponura i nierzeczywista: milczenie, ukradkowy pośpiech mieszkańców, wielkie, czarne kamienne ściany wznoszące się po obu stronach ulicy... W stygijskiej architekturze było coś ponurego i masywnego, coś, co stwarzało uczucie obezwładnienia i opresji.

Budynki były nieoświetlone, nie licząc ich wyższych pięter. Conan wiedział, że większość ludzi leżała na płaskich dachach, pod palmami sztucznych ogrodów pod gwiazdami. Skądś dochodził pomruk dziwnej muzyki. Czasami po bruku zaturkotał spżizowy rydwan, w którym na krótko ukazywała się wysoka postać szlachcica o jastrzębiej twarzy, owinięta w jedwabną pelerynę, ze złotą przepaską z emblematem w kształcie unoszącego głowę węża. Kilka razy dojrzał też hebanowych, nagich woźniców, zapierających się swymi muskularnymi nogami, by nie dać się porwać przez dzikie, stygijskie konie.

Ludzie, którzy o tej porze chodzili po ulicach, należeli do pospólstwa: byli niewolnikami, handlarzami, robotnikami i prostytutkami, a i ci pojawiali się coraz rzadziej, w miarę jak Conan posuwał się naprzód. Szedł w stronę świątyni Seta, gdzie znalezienie poszukiwanego kapłana było najbardziej prawdopodobne. Sądził, że będzie w stanie rozpoznać Thutothmesa, kiedy go zobaczy, chociaż jedyny raz widział go w ciemnej alei w Messantii. Conan był pewien, że mężczyzna, którego tam zobaczył, to właśnie Thutothmes. Jedynie okultyści wtajemniczeni w labirynty obrzydliwego Czarnego Kręgu posiadali moc czarnej ręki, która zadawała śmierć samym dotknięciem. Tylko taki człowiek odważyłby się wyzwąć Thoth-Amona, którego zachodni świat znał tylko jako postać z koszmarów i legend.

Ulice stawały się oraz szersze i Conan zdał sobie sprawę z tego, że dochodzi do świątynnej części miasta. Olbrzymie struktury wznosiły się na tle bladych gwiazd, nieopisanie groźne w świetle pochodni. Nagle usłyszał przytłumiony krzyk pochodzący od kobiety po drugiej stronie ulicy, nieco przed nim: była to dziwka w wysokim, pierzastym nakryciu głowy, właściwym jej profesji. Kuliła się przy ścianie, patrząc na coś, czego nie mógł jeszcze zobaczyć. Na jej krzyk tych paru ludzi, którzy jeszcze byli na ulicach, zamarło w przerażeniu. W tym samym momencie Conan zdał sobie sprawę, że coś złowieszczo pełza przed nim. Potem zza ciemnego narożnika budynku, do którego się zbliżał, wychynęła obrzydliwa głowa w kształcie klina, a za nią wypęły pomarszczone zwoje ciemno błyszczącego cielska.

Cymmeryjczyk cofnął się, przypominając sobie zasłyszane historie o węzach poświęconych Setowi, bogowi Stygii, o którym ludzie mówili, że sam jest wężem. Podobne potwory trzymano w świątyniach Seta, a kiedy zgłodniały, pozwalano im wyczołgiwać się na ulicę, by żerowały na

wybranej przez siebie ofierze. Ich upiorne uczty uważano za ofiary składane łuskowatemu bogowi.

Znajdujący się w zasięgu wzroku Conana mężczyźni i kobiety osunęli się na kolana i pasywnie oczekiwali swego losu. Ten, którego wybierze wielki wąż, dostanie się między jego zwoje, zostanie rozgnieciony na krwawą miazgę i połknięty – tak jak mniejsze węże pożerają myszy. Pozostali przeżyją. Taka jest wola bogów.

Nie było to jednak wolą Conana. Pyton pełzł w jego kierunku; jego uwagę przyciągnął najprawdopodobniej fakt, że barbarzyńca był jedynym człowiekiem stojącym prosto. Chwytając za swój wielki nóż pod tuniką, Conan miał nadzieję, że oślizgła bestia go ominie, ale zwierzę zatrzymało się przed nim i wyprężyło się straszliwie w migoczącym świetle pochodni; jego rozwidlony język wsuwał się do paszczy i wysuwał z niej, a zimne oczy błyszczały pradawnym okrucieństwem gadziego pomiotu. Szyja potwora wygięła się, ale zanim zdołał wycelować, Conan wyciągnął nóż spod oponczy i zaatakował jak błyskawica. Szerokie ostrze rozłupało głowę w kształcie klina i zagłębiło się w grubą szyję.

Cymmeryjczyk wyrwał swój nóż i odskoczył, a wielkie ciało zwijało się, zapętało i traskało straszliwie w śmiertelnych drgawkach. Przez tę chwilę, kiedy stał, patrząc z obrzydliwą fascynacją na zdychającego gada, jedynym rozbrzmiewającym dźwiękiem było dudnienie i świst ogona na kamieniach.

Potem z ust zdumionych wyznawców podniósł się straszliwy krzyk:

– Błuznierca! To on zabił Świętego Syna Seta! Zabijcie go! Zabijcie! Zabijcie!

Wokół Conan świsnęły kamienie i rozwścieczeni Stygijczycy ruszyli na niego z histerycznym wrzaskiem; ze wszystkich okolicznych budynków wyłonili się następni i podjęli ten krzyk. Z przekleństwem na ustach Conan odwrócił się i wystrzelił w czarną gardziel alei. Za sobą słyszał uderzenia nagich stóp na bruku, a on biegł bardziej na wyczucie niż kierując się wzrokiem. Ściany odbijały mściwe krzyki pogoni. Potem jego lewa dłoń znalazła przerwę w ścianie i skręcił gwałtownie w inną, węższą aleję. Po obu jej stronach wznosiły się strome ściany z czarnego kamienia. Wysoko ponad sobą mógł zobaczyć cienką linię gwiazd. Wiedział, że te gigantyczne mury były ścianami świątyni. Usłyszał, jak pędzące za nim stado przebiega obok czarnego wejścia, wrzeszcząc na całe gardło. Ich krzyk stawał się odległy, malał. Nie zauważyli mniejszej alejki i pobiegli prosto w mrok. On

też poszedł prosto przed siebie, chociaż myśl o spotkaniu w ciemności kolejnego „syna” Seta przyprawiała go o dreszcze na karku.

Potem gdzieś nad sobą zauważył poruszającą się poświatę, podobną do pochodzącej od unoszącego się robaczka świętojańskiego. Zatrzymał się, rozpląszczył na ścianie i chwycił za nóż. Wiedział, co to jest: zbliżający się z pochodnią mężczyzna. Był teraz tak blisko, że barbarzyńca mógł rozróżnić cień dłoni, która trzymała źródło światła, i niewyraźny owal ciemnej twarzy. Kilka kroków i zostanie zauważony. Przykucnął w tygrysim przysiadzie. Pochodnia zatrzymała się. W poświacie szybko mignęły drzwi; niosący latarnię człowiek chwilę przy nich manipulował. Potem wrota otworzyły się i wysoka figura zniknęła w środku, a nad alejką ponownie zapanowała ciemność. W tej sunącej cicho postaci, która wchodziła przez drzwi w mrocznej alejce, była jakaś ponura sugestia ukradkowości. Być może był to kapłan powracający z jakiejś ciemnej wędrówki.

Conan ruszył po omacku w stronę drzwi. Jeśli ktoś nadszedł z pochodnią tą alejką, reszta może przyjść w każdym momencie. Gdyby wrócił, skąd przyszedł, wpadłby prosto w ręce tłumy, od którego uciekał. W każdym momencie mogli wrócić, znaleźć węższą alejkę i rzucić się w nią z rykiem. Poczł się osaczony przez te gładkie mury, po których nie sposób było się wspiąć. Chciał uciec, nawet jeśli ucieczka wiązała się z wkroczeniem do nieznanego budynku.

Ciężkie drzwi z brązu nie były zamknięte. Ustąpiły pod jego dłonią; Conan zajrzał przez utworzoną szczelinę. Zobaczył wielką, kwadratową komnatę z masywnego czarnego kamienia. W niszy na ścianie płonęła pochodnia. Komnata była pusta. Barbarzyńca wślizgnął się przez polakierowane drzwi i zamknął je za sobą.

Stopy w sandałach nie wydawały żadnego dźwięku, kiedy stapał po czarnej marmurowej podłodze. Drzwi z drzewa tekowego były uchylone i prześlizgując się przez nie z nożem w dłoni, wszedł do wielkiego, ponurego, cienistego miejsca o wysokim suficie, który był tylko ciemną plamą nad jego głową. Po wszystkich stronach na wielki, spokojny hol otwierały się bramy o czarnych łukach. Oświetlały go dziwne, spiżowe lampy, rzucające przyćmione, niezwykle światło. Na drugim końcu wielkiego przedsionka znajdowały się szerokie czarne schody z marmuru, bez poręczy, które pięły się w górę i nikały w mroku. Ponad holem

zwieszały się szare skalne półki, wyglądające jak galerie z czarnego kamienia.

Conan zadrżał. Znajdował się w świątyni jakiegoś stygijskiego boga – jeśli nie samego Seta, to kogoś tylko nieznacznie mniej ponurego. Kaplica nie wyglądała na opuszczoną. Pośrodku wielkiego holu wznosił się czarny kamienny ołtarz – masywny, ponury, bez rzeźb ani ornamentów, a na nim spoczywał jeden z wielkich, świętych węży. Jego tęczowe łuski błyszcząły w świetle lamp. Nie ruszał się i Conan przypomniał sobie historie o tym, że kapłani czasem narkotyzowali te stworzenia. Cymmeryjczyk wkroczył niepewnie przez drzwi, po czym schował się nagle – nie do pokoju, z którego właśnie wyszedł, ale do osłoniętej aksamitem niszy. Gdzieś blisko usłyszał ciche kroki.

Spod jednego z czarnych łuków wyłoniła się wysoka, mocarna postać w sandałach i jedwabnej przepasce, z szeroką opończą opadającą z ramion. Ale twarz i głowa mężczyzny kryły się za monstrualną maską, na wpół zwierzęcą, na wpół ludzką; na jej czubku powiewała kita ze strusich piór.

Stygijscy kapłani do niektórych ceremonii przystępowali w maskach. Conan miał nadzieję, że mężczyzna go nie nakryje, ale jakiś instynkt ostrzegł Stygijszczyka. Przystanął i ruszył w stronę przeciwną do tej, do której pierwotnie zmierzał, czyli do schodów, by po chwili stanąć na wprost niszy. Gdy zajrzał za aksamitne zasłony, z cienia wystrzeliła ręka, zdusiła krzyk w jego gardle i wciągnęła go prędko do niszy, a nóż przebił go na wylot. Następne posunięcie Conana było powodowane logiką. Zdjął mężczyźnie uśmiechniętą maskę i założył ją sobie na głowę. Ciało kapłana przykrył opończą rybaka, schował trupa za zasłonami i zarzucił na swoje silne ramiona płaszcz zabitego. Los dał mu przebranie. Całe Khemi może teraz szukać bluźniercy, który miał czelność obronić się przed świętym wężem. Ale któż mógł wpaść na pomysł, by szukać go pod maską kapłana?

Wyszedł odważnie z alkowy i skierował się na chybił trafił w kierunku jednego z łuków; nie uszedł jeszcze tuzina kroków, kiedy musiał odwrócić się ponownie. Wszystkie jego zmysły wietrzyły niebezpieczeństwo. Ze schodów zeszła grupa zamaskowanych postaci, ubranych dokładnie tak, jak on. Conan zawahał się, przyłapany na otwartym terenie i stanął w bezruchu, zawierając swemu przebraniu, chociaż zimny pot zbierał mu się na czole i na dłoni. Nie padło żadne słowo. Grupa zeszła jak duchy do wielkiego holu i ruszyła w kierunku czarnego łuku. Przywódca niósł ze sobą hebanową laskę, zakończoną szczerzącą się białą czaszką, a Conan

zrozumiał, że była to jedna z tych rytualnych, niewytłumaczalnych dla obcych procesji, które stanowiły znaczną – i często złowieszczą – część stygijskiej religii. Ostatnia postać odwróciła się nieznacznie w stronę nieruchomego Cymmeryjczyka, jak gdyby spodziewając się, że pójdzie za nimi. Niezrobienie tego, czego bez wątpienia od niego oczekiwano, obudziłoby natychmiastowe podejrzenia. Conan poszedł za ostatnim mężczyzną i dostosował swój krok do ich miarowego marszu.

Przeszli przez długi, czarny, sklepiony korytarz, w którym, co Conan zauważył z niepokojem, czaszka na lasce migotała fosforyzująco. Poczłł przyplływ nieracjonalnej, dzikiej, zwierzęcej paniki, która ponaglała go do wyciągnięcia noża i dżgania nim tych niepokojących postaci oraz do szaleńczej ucieczki z tej posępnej, ciemnej świątyni. Ale zmitygował się szybko, zwalczył ponure i potworne intuicje, które kłębiły się z tyłu jego głłowy i zaludniały mrok cienistymi kształtami koszmaru. W końcu niemal wydał z siebie westchnienie ulgi, kiedy minęli rzędem wielkie, dwuskrzydłłowe drzwi, trzykrotnie wyższe niż człowiek, i wyszli pod rozgwieżdżone niebo.

Conan zastanowił się, czy odważyłłby się zniknąć w jakiejś czarnej alei; ale zawahał się i ruszył za innymi cicho w głłęb długiej, czarnej ulicy; wszyscy spotykani przez nich ludzie odwracali głłowy i uciekali. Procesja trzymała się daleko od murów; nagły skręć i zniknięćie w jednej z mijanych przez kapłanów alejek za bardzo rzucałyby się w oczy. Podczas gdy on złościł się i klął w myśłach, cały pochód zbliżył się do bramy o niskim łuku w południowej części muru i przeszedł przez nią gęsiego. Przed nimi i wokół nich znajdowały się grupki niskich domów z mułu, o płaskich dachach oraz gaje palmowe, cieniste w świetle gwiazd. „Teraz lub nigdy” – pomyśłł Conan – „należy uciec od tych milczących towarzyszy!”.

Ale w momencie, w którym opuścili bramę, kapłani przerwali milczenie. Zaczęli mamroć w podnieceniu między sobą. Zwolniono miarowy, rytualny krok, laska z czaszką została wetknięta bez ceregieli pod ramię przywódcy, a cała grupa złamała szyk i pobiegła naprzód. A Conan razem z nią, gdyż w niskim pomruku zdołał wychwycić słowo, które go poraziłł. Słowem tym było „Thutothmes”!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

„JESTEM KOBIETĄ, KTÓRA NIGDY NIE UMARŁA”

Conan patrzył z płomiennym zainteresowaniem na swych zamaskowanych towarzyszy. Albo jeden z nich był Thutothmesem, albo celem ich wędrówki było spotkanie z poszukiwanym przez niego mężczyzną. Dowiedział się, dokąd idą, gdy za palmami zobaczył górujący na tle ciemnego nieba trójkątny kształt.

Grupa minęła pas chat i gajów, a jeśli ktokolwiek ją widział, zadbał o to, żeby się nie pokazywać. Chaty były ciemne. Za nimi wznosiły się ponuro czarne wieże Khemi, odbijające się na tle gwiazd, które przeglądały się w wodach portu. Przed nimi rozciągała się niknąca w ciemności pustynia. Gdzieś zaszczekał szakal. Szybko przesuwane się sandały milczących kapłanów nie wydawały dźwięku na piasku. Wyglądali jak duchy, kierujące się w stronę kolosalnej piramidy, która wznosiła się w mroku pustyni. Nad śpiącą krainą nie unosił się żaden dźwięk.

Serce Conana zabiło szybciej, kiedy popatrzył na ponury, czarny klin, odcinający się na tle gwiazd, a jego niecierpliwa chęć zwarcia się w pojedynku z Thutothmesem, niezależnie od tego, co by to mogło oznaczać, nie była pozbawiona strachu przed nieznanym. Nikt nie mógł podejść bez trwogi do tych mrocznych hałd czarnego kamienia. Sama ich nazwa symbolizowała wśród północnych ras odrażający koszmar, a legendy wskazywały na to, że mury te nie zostały wzniesione przez Stygijczyków i że były tu już niewyobrażalnie dawno temu, zanim ciemnoskórzy ludzie osiedlili się w krainie wielkiej rzeki.

Kiedy podchodzili do piramidy, Conan zauważył nikłą poświatę nieopodal podstawy, która teraz okazała się drzwiami, obok których, po obu stronach, wznosiły się posągi lwów z głowami kobiet – zagadkowe, niepojęte koszmary obrócone w kamień. Przywódca bandy ruszył prosto do drzwi, w których Conan dostrzegł cień postaci.

Przywódca zatrzymał się na moment obok niej, po czym zniknął w mrocznym wnętrzu. Każdy z zamaskowanych kapłanów, którzy

przechodzili przez ponury portal, był zatrzymywany na moment przez tajemniczego strażnika i coś działo się między nimi; wymieniali jakieś słowa lub gesty. Conan nie wiedział co, więc specjalnie ociągał się, pochylał i udawał, że majstruje przy zapięciu sandała. Dopiero kiedy ostatnia z zamaskowanych postaci zniknęła, wyprostował się i podszedł do drzwi.

Przypominając sobie niektóre z zasłyszanych opowieści, zastanawiał się z niepokojem, czy strażnik świątyni był człowiekiem. Jego wątpliwości zostały w końcu rozwiane. Niewielki spiżowy kaganek tuż przy wejściu oświetlał długi, wąski korytarz, który nikł w ciemności, a w drzwiach stał milczący mężczyzna, owinięty szeroką, czarną peleryną. Nie widać było nikogo więcej. Najwyraźniej zamaskowani kapłani zniknęli w głębi korytarza. Stygijskie, przenikliwe oczy spojrzały na Conana spod peleryny, która zakrywała dolną część twarzy. Lewą ręką wykonał dziwny gest. Conan usiłował go powtórzyć. Ale najwyraźniej oczekiwano innego gestu; prawa ręka Stygijczyka wynurzyła się spod peleryny z błyskiem stali; jego mordercze dźgnięcie przeszłooby w mgnieniu oka serce zwykłego człowieka. Ale miał do czynienia z kimś o zmysłach działających prędko jak u kota dżungli. Kiedy sztylet błysnął w nikłym świetle, Conan złapał ciemny nadgarstek i walnął zaciśniętą pięścią w szczękę Stygijczyka. Głowa mężczyzny rozbiła się o kamienną ścianę z głuchym trzaskiem, który zdradzał pęknięcie czaszki. Stojąc nad nim, Conan nasłuchiwał uważnie.

Kaganek płonął nikłym światłem, rzucając niewyraźne cienie wokół drzwi. Nic nie poruszało się w ciemności za nimi, chociaż gdzieś daleko w dole, jak mu się zdawało, usłyszał odległy, zduszony ton gongu.

Pochylił się i zaciągnął ciało strażnika za otwarte wielkie spiżowe drzwi. Zabezpieczywszy zwłoki, Cymmeryjczyk ruszył ostrożnie, lecz prędko w głąb korytarza na spotkanie losu, o którym nie chciał nawet myśleć. Nie uszedł daleko, kiedy zatrzymał się zdezorientowany. Korytarz dzielił się na dwoje i Conan nie miał jak dowiedzieć się, w którą stronę poszli zamaskowani kapłani. Na chybił trafił wybrał lewy korytarz. Podłoga przechylała się nieco w dół i stawała się gładka, jak gdyby była regularnie uczęszczana. Tu i ówdzie nikły płomień kaganka rzucał koszmarną poświatę. Conan zastanowił się z niepokojem nad tym, w jakim celu wzniesiono te kolosalne piramidy i w jakim zapomnianym wieku miało to miejsce. Był to pradawny kraj. Nikt nie wiedział, od ilu wieków czarne

świątynie Stygii patrzyły na rozgwieżdżone niebo. Wąskie, czarne łuki otwierały się czasami po lewej i po prawej stronie, ale on trzymał się głównego korytarza, chociaż wzrastało w nim przekonanie, że poszedł złą odnogą. Nawet jeśli mieli nad nim przewagę czasu, w tym momencie powinien już dojść do kapłanów. Zaczynał się niepokoić. Cisza była czymś namacalnym, a jednak miał wrażenie, że nie jest sam. Niejednokrotnie, kiedy przechodził obok ciemnego łuku, zdawało mu się, że czuje na sobie spojrzenie niewidzialnych oczu. Zatrzymał się, niemal zdecydowany wrócić do miejsca, w którym korytarz rozwidłał się po raz pierwszy. Odwrócił się nagle ze wzniesionym nożem, drżąc na całym ciele.

U wejścia węższego tunelu stała dziewczyna, patrząca na niego bez mrugnięcia okiem. Jej alabastrowa skóra zdradzała w niej Stygijkę z jakiejś starożytnej rodziny szlacheckiej i jak wiele z tych kobiet była wysoka i zwinna. Miała ponętą figurę, a jej włosy były wielką kaskadą czarnej piany, w której błyszczał iskrzący się rubin. Była zupełnie naga, jeśli nie liczyć aksamitnych sandałów i szerokiego, inkrustowanego klejnotami pasa wokół jej szczupłej talii.

– Co tu robisz? – zapytała.

Odpowiedź zdradziłaby jego obce pochodzenie. Pozostał w bezruchu – ponura, ciemna postać w obrzydliwej masce z piórami powiewającymi mu nad głową. Jego zdumiony wzrok przeszukiwał cienie za nią i zobaczył, że nie ma tam nikogo. Ale w zasięgu krzyku mogły znajdować się całe hordy wojowników.

Dziewczyna podeszła do niego, pozornie bez trwogi, chociaż z podejrzeniem.

– Nie jesteś kapłanem – powiedziała. – Jesteś wojownikiem. Widać to, nawet jeśli masz maskę. Między tobą a kapłanami jest taka sama różnica jak między mężczyzną a kobietą. Na Seta! – zakrzyknęła, zatrzymując się nagle, a jej oczy zapłonęły blaskiem. – Nie sądzę nawet, byś był Stygijczykiem!

Szybkim ruchem, zbyt szybkim dla ludzkiego oka, jego ręka zacisnęła się na jej okrągłym gardle, lekko, jak w pieszczocie.

– Morda w kubek, dziewczyno! – mruknął.

Jej gładkie alabastrowe ciało było zimne jak marmur, a jednak w jej szerokich, ciemnych, cudownych oczach nie było strachu.

– Nie bój się – odparła spokojnie. – Nie zdradzę cię. Chyba postradałeś zmysły, przychodząc do zakazanej świątyni Seta, ty, nieznajomy i obcy?

- Szukam kapłana Thutothmesa – odparł. – Jest w świątyni?
- Dlaczego go szukasz? – spytała.
- Ma coś, co należy do mnie i zostało mi skradzione.
- Zaprowadzę cię do niego – powiedziała nagle tak chętnie, że natychmiast ogarnęły go podejrzenia.
- Nie igraj ze mną, dziewczyno – mruknął.
- Nie igram z tobą. Nie darzę Thutothmesa miłością.

Conan zawahał się, po czym podjął decyzję. Koniec końców, on znajdował się w jej mocy tak samo, jak ona w jego.

– Idź u mego boku – rozkazał jej, przesuając swój uścisk z gardła na nadgarstek. – Radzę ci uważać. Jeśli wykonasz jakiś ruch...

Dziewczyna poprowadziła go w głąb obniżającego się korytarza, w dół i w dół; kiedy nie było już więcej kaganków, Conan szukał sobie drogi po omacku, wyczuwając nie tyle wzrokiem, co dotykiem obecność kobiety u swego boku. Kiedy w pewnym momencie przemówił do niej, dziewczyna zwróciła swą głowę w jego kierunku, a on zdumiał się, zobaczywszy, że jej oczy płoną w ciemności jak złoty ogień. Ponure wątpliwości i niewyraźne, potworne przypuszczenia zakwitły w jego mózgu, ale zagłębiał się za nią w labirynt czarnych korytarzy, które zmyliły nawet jego pierwotne poczucie kierunku. W myślach przeklinał siebie za głupotę, gdyż dał się prowadzić w głąb ciemnego domostwa tajemnicy. Teraz jednak było już za późno na odwrót. Po raz kolejny poczuł życie i ruch w ciemności wokół siebie; niebezpieczeństwo i głód płonęły niecierpliwie w mroku. Jeśli nie zwodził go słuch, dobiegał go odległy odgłos skradających się kroków, który ustał i cofnął się na wypowiedziany cichym tonem rozkaz dziewczyny.

W końcu wprowadziła go do komnaty oświetlonej dziwnym siedmioramiennym świecznikiem, w którym migotały niespokojnie czarne świece. Wiedział, że znajdowali się głęboko pod ziemią. Komnata była kwadratowa, ze ścianami i sufitem z polerowanego czarnego marmuru. Urządzona była na modłę starożytnych Stygijczyków; znajdowało się tu hebanowe łoże pokryte aksamitną narzutą, a na czarnym, kamiennym piedestale leżała rzeźbiona trumna mumii.

Conan stał w oczekiwaniu, zaglądając pod czarne łuki, które wychodziły na komnatę, ale dziewczyna nie miała zamiaru iść dalej. Rozciągając się na łożu z kocią giętkością, zaplotła sobie palce za lśniąca głową i obdarzyła go długim spojrzeniem spod opadających rzęs.

- No i co? – zapytał niecierpliwie. – Co robisz? Gdzie jest Thutothmes?

– Nie ma pośpiechu – odparła leniwie dziewczyna. – Czym są w tym wypadku godzina, dzień, rok czy wiek? Zdejmij maskę. Pozwól, że zobaczę twoje rysy.

Z pomrukiem zdenerwowania Conan ściągnął przebranie z głowy, a dziewczyna pokiwała głową z przyzwoleniem, studiując jego ciemną, rozoraną bliznami twarz i błyszczące oczy.

– Jest w tobie siła... Wielka siła. Mógłbyś ukreślić szyję wołu.

Conan ruszał się niespokojnie, gdyż wzrastały w nim podejrzenia. Z dłonią na rękocyfci zaglądał w ponure łuki.

– Jeśli sprowadziłaś mnie w pułapkę – powiedział – nie dożyjesz chwili, w której będziesz mogła cieszyć się swym dziełem. Zleziesz z tego łóżka i pomożesz mi, tak jak obiecałaś, czy mam...

Głos uwiązał mu w krtani. Zagapił się na sarkofag, na którym ze zdumiewającą obrazowością zapomnianej sztuki wyryto w kości słoniowej twarz właściciela. W podobiznie tej było coś niepokojąco znajomego; z pewną dozą szoku Conan zdał sobie sprawę, dlaczego. Między tą twarzą a rysami dziewczyny rozpartej na hebanowym łożu zachodziło uderzające podobieństwo. Mogła równie dobrze być modelem pozującym do tej płaskorzeźby, ale Conan wiedział, że portret miał przynajmniej parę wieków. Na polakierowanej pokrywie wyryto archaiczne hieroglify, i szukając w pamięci resztek wiedzy, zebrał do kupy parę przypadków swego awanturczego życia i wymówił głośno odczytane słowo:

– Akivasha!

– Słyszałaś o księżniczce Akivashy? – zapytała dziewczyna na łóżku.

– A kto nie słyszał? – warknął. Imię tej pradawnej, złej i pięknej księżniczki wciąż zamieszkiwało świat pieśni i legend, choć minęło już dziesięć tysięcy lat, odkąd córka Toth-Amona zabawiła się po raz ostatni w czasie purpurowych uczt w czarnych holach starożytnego Luxuru.

– Jej jedyny grzech polegał na tym, że kochała życie i wszystkie jego odcienie – powiedziała stygijska dziewczyna. – Aby wygrać życie, igrała ze śmiercią. Nie była w stanie znieść myśli o zestarzeniu się, skurczeniu i zużyciu, a także o tym, że kiedy już będzie starą wiedźmą, czekać ją będzie tylko śmierć. Czciła Ciemność jako kochanka, a jej ślubnym prezentem było życie; życie, które nie będąc życiem śmiertelników, nigdy nie starzeje się i nie przemija. Zstąpiła w mrok, aby oszukać wiek i śmierć.

Conan patrzył na nią wzrokiem nagle zwężonych w szparki, płomiennych oczu. Odwrócił się i zerwał pokrywę sarkofagu. Skrzynia stała pusta. Za

nim dziewczyna zanosła się śmiechem, który zmroził mu krew w żyłach. Odwrócił się do niej ze zjezonymi włosami na głowie.

– Ty jesteś Akivashą!

Dziewczyna roześmiała się ponownie, otrząsnęła swe świetliste loki i rozciągnęła zmysłowo ramiona.

– Jestem Akivashą! Jestem kobietą, która nigdy nie umarła i nigdy się nie zestarzała! Głupcy mówią, że zostałam uniesiona w niebiosa w kwiecie młodości, aby rządzić tam po wieki wieków w jakichś niebiańskich stronach! Nie, to w ciemnościach śmiertelni znajdują życie wieczne! Dziesięć tysięcy lat temu umarłam do wiecznego życia! Daj mi swe usta, silny człowieku! – Podnosząc się zwinnie, dziewczyna podeszła do niego, wspięła się na palce i zarzuciła mu ramiona wokół masywnej szyi. Spoglądając w jej zwróconą ku niemu piękną twarz, Conan poczuł drżącą fascynację i zimny strach. – Kochaj mnie! – szepnęła z odrzuconą głową, zamkniętymi oczami i rozchyłonymi ustami. – Daj mi swą krew, bym odnowiła mą młodość i ustanowiła na nowo me wieczne życie! Ciebie też uczynię nieśmiertelnym! Nauczę cię mądrości wszystkich wieków, wszystkich sekretów, jakie kiedykolwiek wychynęły z eonów ciemności w tych czarnych świątyniach. Uczynię cię królem tej cienistej hordy, która igra tu pośród grobów pradawnych, kiedy noc spowija północ, a nietoperze latają w świetle księżyca. Mam już dosyć kapłanów i czarnoksiężników, pojmanyh dziewcząt, zaciąganych z wrzaskiem do wrót śmierci. Pożadam mężczyzny! Kochaj mnie, barbarzyńco!

Dziewczyna wtuliła swą głowę w jego potężną pierś, a on poczuł ostre ukłucie u podstawy szyi. Z przekleństwem na ustach odrzucił ją i jednym rzutem posłał na łóżko.

– Przeklęty wampir! – Z małej rany na gardle płynęła krew. Dziewczyna uniosła się na łożu jak przygotowujący się do ataku wąż, a cały złoty ogień piekła gorzał w jej szerokich oczach. Jej wargi odsłoniły się, ukazując białe, spiczaste zęby.

– Głupcze! – krzyknęła. – Myślisz, że możesz mi uciec? Będiesz żył i umrzesz w ciemności! Przeprowadziłam cię głęboko pod świątynię. Sam nigdy nie znajdziesz wyjścia. Nigdy nie przedrzesz się przez zgraje tych, którzy pilnują tuneli. Gdyby nie moja ochrona, synowie Seta dawno by cię połknęli i znalazłbyś się w ich brzuchach! Głupcze, jeszcze napiję się twojej krwi!

– Nie podchodź do mnie, bo wypruję ci flaki! – warknął, a jego ciało skręcało się z odrazy. – Może i jesteś nieśmiertelna, ale stał cię przepołowi.

Kiedy cofał się w kierunku drzwi, przez które weszli, nagle zgasło światło i wszystkie świece; Conan nie wiedział, jak to się stało, gdyż Akivasha ich nie tknęła. Przed sobą usłyszał jednak drwiący chichot wampirzycy, trująco słodki jak muzyka z piekła, a on, pocąc się w panice, szukał po omacku drzwi. Jego palce odnalazły jakiś otwór; rzucił się do środka. Nie wiedział, czy był to łuk, pod którym weszli, ale nie obchodziło go to za bardzo. Jego jedynym pragnieniem było wydostać się z tej nawiedzanej pieczary, w której mieszkała piękna i obrzydliwa jednocześnie, nieumarła od wielu stuleci diablica.

Jego błąkanie się po czarnych krętych korytarzach było jak najgorszy koszmar. Za sobą i wokół siebie słyszał ciche przekradanie i przesuwanie się niewidzialnych postaci; raz dobiegło go także echo tego słodkiego, diabelskiego śmiechu, który usłyszał w komnacie Akivashy. Dźgał dziko w kierunku słyszanych przez siebie dźwięków i ruchów w ciemności, które może sobie tylko wyobrażał; raz jego miecz przeciął jakąś ustępującą, wiotką substancję – być może była to pajęczyna. Miał desperackie przeczucie, że z nim igrano, że wchodzi coraz głębiej i głębiej w ostateczną noc, by za chwilę zostać rozerwanym przez demoniczne pazury i szczęki.

Wraz ze strachem ogarniała go mdląca odraza względem ostatniego odkrycia. Legenda o Akivashy była okropnie stara, w dodatku nad opowieściami o niej unosił się piękny i idealistyczny nimb wiecznej młodości. Dla zbyt wielu śniących, poetów i kochanków była ona nie tylko złą księżniczką ze stygijskich legend, ale także symbolem wiecznej młodości i piękna, błyszcząca po wieki wieków w jakimś odległym królestwie bogów. Cymmeryjczyk poznał zaś obrzydliwą rzeczywistość, która mówiła prawdę o wiecznym życiu księżniczki. W swym fizycznym wstręcie miał świadomość, że oto rozbity został ludzki bałwochwalczy sen, a jego złota warstewka okazała się skrywać śliski, kosmiczny brud. Poraził go bezsens tego wszystkiego, ponury strach przed tym, że wszystkie ludzkie sny i bóstwa mogą być fałszywe.

Nagle usłyszał coś i wiedział, że słuch go nie okłamuje. Ktoś za nim szedł; jego prześladowcy zbliżali się do niego. W ciemności rozbrzmiewało szuranie i przekradanie się, które nie mogły pochodzić od człowieka ani prawdopodobnie spod stóp żadnego normalnego zwierzęcia. Być może podziemia miały także swoją faunę?

Stworzenia znajdowały się za nim. Odwrócił się do nich, chociaż nie mógł nic zobaczyć, i powoli zaczął się cofać. Potem – nawet zanim odwrócił głowę i zobaczył błysk światła gdzieś w głębi długiego korytarza – dźwięki umilkły.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W SALI UMARŁYCH

Conan poruszał się ostrożnie, z uszami nadstawionymi w kierunku dostrzeżonego światła, ale nie dochodził już do niego żaden odgłos pościgu – mimo iż barbarzyńca czuł, że ciemność jest brzemienna życiem.

Poświata nie tkwiła w bezruchu. Poruszała się naprzód, podskakując groteskowo. Potem znalazł jej źródło. W pewnej odległości przed nim tunel, którym szedł, krzyżował się z innym, szerszym korytarzem. Po tym ostatnim poruszała się dziwaczna procesja: czterech wysokich, chudych mężczyzn w czarnych szatach z kapturami, podpierających się na laskach. Ich przywódca trzymał nad głową pochodnię, która płonęła dziwnym, równomiernym światłem. Przeszli jak duchy przed oczami Conana i zniknęli w dalszej części tunelu; tylko malejące światło przypominało jeszcze o ich pochodzie. Ich wygląd był nieopisanie upiorny. Nie byli Stygijczykami ani w ogóle żadną rasą, jaką Conan kiedykolwiek widział. Przypominali czarne duchy przemykające się makabrycznie po nawiedzonych korytarzach.

Jego sytuacja nie mogła być już gorsza. Zanim nieludzkie stopy podjęły przekradanie się za Cymmeryjczykiem, Conan ruszył biegiem w głąb korytarza. Rzucił się w inny tunel i zobaczył, daleko w dole, małą z tej odległości procesję, poruszającą się w sferze światła. Przekradł się bezszelestnie, po czym skulił się nagle przy ścianie, kiedy zobaczył, że pochód zatrzymuje się, a jego członkowie zbierają się, jak gdyby nad czymś debatując. Odwrócili się, planując chyba wrócić po swoich śladach, a on wślizgnął się w najbliższy zaułek. Poruszając się po omacku w ciemności, do której przywykł już tak, że niemal mógł w niej widzieć, Conan odkrył, że tunel nie biegł prosto, lecz wił się; schował się więc za pierwszym zakrętem tak, że światło pochodni nieznajomych nie mogło na nim spocząć, kiedy przechodzili obok.

Kiedy tak stał, jego uszu doszedł jednak niski pomruk skądś z tyłu; podobny był do ludzkich szeptów. Idąc w głąb korytarza w kierunku źródła dźwięku, Conan potwierdził swe podejrzenia. Porzuciwszy swój pierwotny plan pójścia za upiornymi podróżnikami, ruszył teraz w kierunku głosów.

W końcu dojrzał przed sobą przeblysk światła i skręcając w korytarz, z którego ono dochodziło, na drugim końcu lochu ujrzał szeroki łuk spowity ponurą poświatą. Po lewej stronie prowadziły w górę wąskie, kamienne schody; wiedziony instynktową ostrożnością, wdrapał się na ich stopnie. Słyszane przez niego głosy dochodziły z za oświetlonego łuku.

W miarę jak Conan się wspinał, głosy pod nim zdawały się milknąć; w końcu wyszedł przez nisko sklepione drzwi na szeroką, otwartą przestrzeń, wydzielającą dziwną poświatę.

Stał pośrodku cienistej galerii, z której spoglądał na szeroki, nędznie oświetlony hol kolosalnych rozmiarów. Była to Sala Umarłych, której poza cichymi kapłanami Stygii nie widział prawie nikt. Wzdłuż czarnych ścian wznosiły się kolejne poziomy rzeźbionych i malowanych sarkofagów. Każdy z nich stał w niszy wyrytej w ciemnym kamieniu, a kolejne poziomy wspinały się coraz wyżej i wyżej, niknąc w półmroku spowijającym górną część pomieszczenia. Tysiące rzeźbionych masek patrzyło beznamiętnie w dół na grupę stojących pośrodku holu; wyglądała ona na małą i zupełnie nieistotną wobec tych potężnych szyków umarłych.

Choć dziesięciu kapłanów zdjęło maski, Conan wiedział, że byli to akolici, którym towarzyszył w drodze do piramidy. Stali oni przed wysokim człowiekiem o jastrzębiej twarzy, nieopodal czarnego ołtarza, na którym leżała mumia w gnijących bandażach. Ołtarz zdawał się zaś stać w samym sercu żywego ognia, które pulsowało i błyszczało, rzucając na czarny kamień drżący, złoty promień. Ten oszałamiający blask emanował z leżącego na ołtarzu wielkiego, czerwonego klejnotu; odbijające się w nim twarze kapłanów wyglądały popielato jak u trupów. Kiedy Conan spojrział na Serce, poczuł presję wszystkich przebytych w trudzie kilometrów, wszystkich męczących dni i nocy wypełnionych poszukiwaniami. Zatrząś się gorliwie, chcąc ruszyć między tych cichych kapłanów, otworzyć sobie drogę potężnymi ciosami nagiej stali i chwycić czerwony klejnot w swe palce. Uspokoił się jednak i przycupnął w cieniu kamiennej balustrady. Rzut oka uświadomił mu, że z galerii na korytarz prowadziły schody, na wpół ukryte w rzucanych przez ściany cieniach. Spojrział w półmrok panujący w tym olbrzymim pomieszczeniu w poszukiwaniu innych kapłanów bądź wyznawców, ale dostrzegł tylko grupę wokół ołtarza.

W wielkiej pustce sali głos człowieka przy ołtarzu zabrzmiał głęboko i upiornie:

– ...I tak wieść nadeszła na Południe. Szeptał o tym nocny wiatr, krakały o tym kruki, niosąc wieść w locie, a ponure nietoperze opowiadały o tym puchaczom i węzom, które czają się w wiekowych ruinach. Wilkołaki i wampiry wiedziały o tym, jak również czarne demony, które grasują po nocach. Śpiąca Noc Świata przeciągnęła się i potrzęsnęła swą grzywą; w głębokich ciemnościach poczęto bić w bębny, a odległe echa dziwnych krzyków straszyły spacerujących po zmierzchu ludzi. Oto Serce Arymana wróciło na ten świat, by wypełnić jego zagadkowe przeznaczenie. Nie pytajcie mnie, jak ja, Thutothmes z Khemi i Nocy, dowiedziałem się tego przed Thoth-Amonem, który nazywa siebie księciem wszystkich czarnoksiężników. Są sekrety, których nie powinny słyszeć nawet wasze uszy, a Thoth-Amon nie jest jedynym panem Czarnego Kręgu. Dowiedziałem się tego i wyszedłem na spotkanie podróżującemu na południe Sercu. Było ono jak przyciągający mnie nieomylnie magnes. Szło od śmierci do śmierci, pędząc w rzece ludzkiej krwi. Krew żywi je i przyciąga. Jego moc jest największa, kiedy na trzymających je rękach znajduje się krew; wtedy jego siła pochodzi od rzezi, jaką urządził właściciel klejnotu. Ilekroć błysnie, leje się krew i walą się królestwa, a siły natury powstają i burzą się. I oto stoję tu, ja, pan Serca; zwołałem was w sekrecie, was, którzy jesteście mi wierni, abyście wzięli udział w czarnym królestwie, które wkrótce nadejdzie. Dziś staniecie się świadkami opadających łańcuchów Thoth-Amona, które nas zniewalają. Staniecie się świadkami narodzin imperium. Kimże ja jestem, nawet ja, Thutothmes, by wiedzieć, jakie moce kryją się i śnią w tych karmazynowych otchłaniach? Wiążą one sekrety zapomniane od trzech tysięcy lat. Ale nauczę się tego. Oni mi to powiedzą! – wskazał ręką na ciche kształty, leżące rzędem w holu. – Spójrzcie, jak śpią, wyglądając przez swe wyżłobione maski! Królowie i królowe, generałowie i kapłani, czarnoksiężnicy, całe dynastie i szlachta dziesięciu tysięcy lat Stygii! Dotyk Serca obudzi ich z długiego snu. Przez długi czas Serce biło i pulsowało w starożytnej Stygii. Tu był jego odwieczny dom, zanim ruszyło do Acheronu. Starożytni znali jego moc i przekażą mi tę wiedzę, kiedy za sprawą magii Serca przywrócę ich do życia i sprawię, że będą dla mnie pracować. Podniosę ich, obudzę ich, pojmę ich zapomnianą wiedzę, mądrość zamkniętą w tych zbielałych czaszkach. Przy pomocy martwych zniewolę żyjących! Tak, dawni królowie, generałowie i czarnoksiężnicy będą naszymi pomocnikami i niewolnikami. Kto zdoła się nam oprzeć?

Spójrzcie! Ta wyschnięta i pomarszczona rzecz na ołtarzu była niegdyś Thothmekrim, najwyższym kapłanem Seta, który umarł trzy tysiące lat temu. Był on adeptem Czarnego Kręgu. Wiedział wiele o Sercu. Opowie nam o jego mocach.

Podnosząc wielki klejnot, mówca położył go na zbielełej piersi mumii i podniósł dłoń, intonując intaktację. Nigdy jej jednak nie skończył. Zamarł z podniesioną ręką i otwartymi ustami, patrząc ponad akolitami, którzy odwrócili się, by podążyć za jego wzrokiem.

Cztery chude, odziane na czarno postacie weszły przez wielki łuk drzwi do olbrzymiego holu. Ich twarze były niewyraźnymi, żółtymi owalami, kryjącymi się w cieniach kapturów.

– Kim jesteście? – wybuchnął Thutothmes głosem groźnym jak syk kobry. – Czyście oszaleli, ośmielając się wtargnąć do świętej świątyni Seta?

Najwyższy z nieznanym przemówił, a jego głos był bezdźwięczny jak khitański dzwon świątynny:

– Podążamy za Conanem z Akwilonii.

– Nie ma go tutaj – odparł Thutothmes, strząsając opończę z prawej dłoni dziwnym, groźnym gestem, przypominającym wysuwającą pazury panterę.

– Kłamiesz. Conan znajduje się w świątyni. Śledziliśmy go od trupa, którego zostawił za spiżowymi drzwiami zewnętrznej bramy, przez labirynt korytarzy. Szliśmy jego okreśną drogą, kiedy zdaliśmy sobie sprawę z tego zgromadzenia. Teraz odejdziemy, aby na nowo podjąć trop. Ale najpierw daj nam Serce Arymana.

– Śmierć jest udziałem szaleńców – wymamrotał Thutothmes, podchodząc bliżej do swego rozmówcy. Jego kapłani podbiegli na kocich stopach, ale obcy nie zdawali się zwracać na to uwagi.

– Któż może spojrzeć na klejnot, nie pożądamy go? – rzekł Khitajczyk. – Słyszeliśmy o nim w Khitaju. Da nam moc nad ludźmi, którzy nas wygnali. W jego karmazynowych głębiach śpią chwała i cuda. Daj nam go, zanim cię zabijemy.

Rozległ się dziki krzyk, kiedy kapłan podskoczył z błyskiem stali ku żółtoskórnym wojownikom. Ale zanim zdołał uderzyć, łuskowata laska wychyliła się i dotknęła jego piersi. W następnej chwili mumie stały się świadkami krwawej i przerażającej sceny. Błysnęły zakrzywione noże i splamiły się szkarłatem; węzowe laski wysuwały i cofały swoje główki, a kiedy dotykały któregoś z mężczyzn, ten wydawał z siebie krótki wrzask i umierał.

W momencie pierwszego ataku Conan podskoczył i popędził w dół schodów. Widział tylko fragmenty tej krótkiej, diabelskiej walki. Zobaczył słaniających się mężczyzn zwartych w walce i tryskających krwią; zobaczył jednego Khitajczyka, niemal rozszarpanego na strzępy, a jednak wciąż stojącego i zadającego śmierć; Thuthomes zdzielił go w pierś otwartą, pustą dłonią, a ten upadł martwy, choć naga stał nie była w stanie zniszczyć jego niesamowitej żywotności.

W momencie, w którym rozpedzone stopy Conana opuściły schody, walka już się zakończyła. Trzech Khitajczyków zostało powalonych, zadźganych i poszarpanych na kawałeczki, a po stronie Stygijczyków na nogach pozostał jeden tylko Thuthomes.

Kapłan ruszył na ostatniego Khitajczyka, a jego pusta dłoń uniosła się jak broń. Była ona jak ręka czarnoskórego. Zanim zdołał zadać cios, wysunęła się ku niemu laska w dłoni wysokiego Khitajczyka; zdawała się wydłużać. Żółtoskóry zaatakował. Czubek laski dotknął piersi Thuthomesa, ten zachwiał się; węzowa głowa wysunęła się jeszcze dwa razy i czarownik upadł martwy, a jego rysy zamazały się w ciemności, która spowiła go kolorem jego zaczarowanej dłoni.

Khitajczyk odwrócił się stroną klejnotu, który płonął na piersi mumii, ale Conan stał już przed nim.

Mierzyli się w pełnej napięcia ciszy na poboju, na które zerkwały wyrzeźbione twarze umarłych.

– Długo za tobą podążałem, o królu Akwilonii – powiedział spokojnie Khitajczyk. – W dół długiej rzeki, przez góry, przez Poitanię, Zingarę, potem przez wzgórza Argos i w dół wybrzeżem. Nie było łatwo podjąć twój trop w Tarantii, gdyż kapłani Asury są mistrzami zacierania śladów. Zgubiliśmy go w Zingarze, ale znaleźliśmy twój hełm w lesie nieopodal wzgórz granicznych, gdzie walczyłeś z leśnymi ghulami. Dziś niemal zgubiliśmy twój trop w tym labiryncie.

Conan pomyślał, że miał szczęście, uchodząc z komnaty wampirzycy inną trasą niż tą, którą został do niej wprowadzony. W przeciwnym razie wpadłby na te żółte diabły, zamiast dojrzeć ich z daleka, kiedy za pomocą swych nadprzyrodzonych zdolności węszyli jego ślad jak pół-ludzie, pół-psy.

Khitajczyk potrząsnął nieznacznie głową, jak gdyby czytał mu w myślach.

– Nie ma to znaczenia. Długi trop kończy się tutaj.

– Dlaczego mnie śledziliście? – chciał wiedzieć Conan, ustawiony tak, by móc zbiec w którąkolwiek stronę z prędkością tygrysa.

– Dług do spłacenia – odparł Khitajczyk. – Nie będę skrywał mej wiedzy przed tobą, bo zaraz umrzesz. Byliśmy wasalami króla Akwilonii, Valeriusa. Służyliśmy mu długo, lecz jesteśmy już zwolnieni ze służby: moi bracia śmiercią, a ja za sprawą wypełnienia obowiązku. Powrócę do Akwilonii z dwoma sercami; sobie wezmę Serce Arymana, a Valeriusowi zaniosę twoje. Pocałunek laski, która została wycięta z żywego Drzewa Śmierci...

Laska wysunęła się jak żmija, ale błysk noża Conana był szybszy. Laska upadła na podłogę i wiła się po niej dwoma strużkami; potem nastąpił kolejny, błyskawiczny błysk ostrej stali i głowa Khitajczyka potoczyła się po posadzce.

Conan odwrócił się i wyciągnął dłoń po klejnot; nagle skulił się, włos zjeżył mu się na głowie, a krew zastygła w żyłach.

Na ołtarzu nie leżały już bowiem te przypominające przedmiot brązowe, skurczone zwłoki, co wcześniej. Klejnot błyszczał na pełnej, sklepionej piersi nagiego, żyjącego człowieka, który leżał wśród zmurszałych bandaży. Żyjącego? Conan nie mógł tego stwierdzić. Jego oczy były jak ciemne, ponure szkło, pod którym błyszczały nieludzkie, posępne ognie.

Mężczyzna podniósł się powoli, biorąc klejnot do ręki. Górował nad ołtarzem – ciemny, nagi, o twarzy jak wyżłobiona maska. Niemo wyciągnął w stronę Conana dłoń z pulsującym jak żywe serce klejnotem. Conan wziął go, mając dziwne uczucie przyjmowania podarunków z ręki trupa. Zdał sobie sprawę, że nie poczyniono odpowiednich intaktacji. Czar nie dopełnił się i życie nie wróciło w pełni do tego ciała.

– Kim jesteś? – zapytał Cymmeryjczyk.

Odpowiedź była monotonna jak kapanie wody ze stalaktytów w podziemnych jaskiniach:

– Byłem Thothmekrim. Jestem umarły.

– Cóż, możesz mnie wyprowadzić z tej przeklętej świątyni? – zapytał Conan z ciarkami na plecach.

Miarowym, mechanicznym krokiem umarły człowiek skierował się pod czarny łuk. Conan poszedł za nim. Rzut oka do tyłu ukazał mu raz jeszcze szeroki, cienisty hol z rzędami sarkofagów i trupami wokół ołtarza. Głowa zabitego Khitajczyka patrzyła bez wyrazu na pełgające cienie.

Płomień klejnotu oświetlał czarne tunele jak zaczarowana lampa, rzucając złoty płomień. W pewnym momencie Conan uchwycił odbłask alabastrowego ciała kryjącego się w cieniu i pomyślał, że musiała to być wampirzyca Akivasha, która kurczyła się na widok klejnotu. Razem z nią w ciemności uciekały i chowały się inne, mniej ludzkie kształty.

Martwy człowiek posuwał się naprzód, nie rozglądając się wokół, a jego krok był równie niezmienny jak marsz śmierci. Na ciele Conana gromadził się zimny pot. Ogarnęły go mrozące krew w żyłach wątpliwości. Skąd mógł wiedzieć, czy ta potworna postać z przeszłości wyprowadzi go na wolność? Wiedział jednak także, że pozostawiony własnemu losowi nigdy nie zdoła rozwiązać tego zakłętego labiryntu korytarzy i tuneli. Podążał więc za swym paskudnym przewodnikiem w ciemności, która zamykała się za nim i przed nim i wypełniona była zakradającymi się kształtami koszmaru czy też szaleństwa, które uciekały przed oślepiającą poświatą Serca.

Potem stanęli przed spiżowymi drzwiami i Conan poczuł wiejący po pustyni nocny wiatr; ujrzał gwiazdy i skąpaną w świetle gwiazd pustynię, po której pełgał wielki, czarny cień piramid. Thothmekri pokazał mu cicho pustynię, po czym odwrócił się i wślizgnął bezszelestnie z powrotem w ciemność. Conan patrzył za tą milczącą postacią, która wracała w mrok na bezszelestnych, nieubłaganych stopach, tak jak ktoś, kto jest świadomy nieuniknionej zagłady lub też powraca do wiecznego snu.

Z przekleństwem na ustach Cymmeryjczyk przeskoczył próg i ruszył ku pustyni, jak gdyby goniło go stado demonów. Nie spojrzał już na piramidę ani na czarne wieże Khemi, górujące niewyraźne nad piaskami. Ruszył na południe w kierunku wybrzeża, biegnąc jak ktoś ogarnięty niekontrolowaną paniką. Gwałtowny wysiłek otrząsnął jego umysł z czarnych pajęczyn. Czysty pustynny wiatr wywiął mu z duszy koszmara i jego odraza zmieniła się w dziki przypływ radości jeszcze zanim pustynia ustąpiła gęstwinie bagiennej roślinności, przez którą dojrzał czarną wodę i zakotwiczonego w lagunie „Śmiałka”.

Rzucił się przez poszycie; zagłębił się po pas w moczarach i zanurkował prosto w głęboką wodę, nie zważając na rekiny czy krokodyle. Dopłynął do galery i już wspinał się po łańcuchu na pokład, ociekający wodą i podniecony, kiedy zauważył go strażnik.

– Wstawać, psy! – ryknął Conan, odpychając włócznię, którą wstrząśnięty wartownik wymierzył w jego pierś. – Podnieście kotwicę! Biegiem do wiosła! Dajcie rybakowi hełm pełen złota i odstawcie go na

brzeg! Zaraz wstanie świt, a przed wschodem słońca musimy już pędzić do najbliższego portu Zingary!

Uniósł nad głowę wielki klejnot, który rzucał skry światła, zalewające pokład żywym, złotym ogniem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

I POWSTANIE Z PROCHU ACHERON

W Akwilonii minęła zima. Na gałęziach wyrastały nowe liście, a świeża trawa zdawała się śmiać pod dotykiem gorącej, południowej bryzy. Ale wiele pól leżało odłogiem, wiele spopieliałych resztek przypominało o miejscach, gdzie niegdyś wznosiły się dumne posiadłości czy dobrze prosperujące miasta. Wilki grasowały otwarcie po porośniętych trawą szlakach, a w lasach zakradały się grupy wychudzonych, bezpańskich ludzi. Jedynie w Tarantii trwały uczty, dobrobyt i ceremonie.

Valerius rządził jak ktoś porażony szaleństwem. Nawet wielu baronów, którzy poparli jego powrót na tron, protestowało teraz przeciw niemu. Jego poborcy podatkowi miażdżyli bogatych i biednych; dobra złupionego królestwa spływały do Tarantii, która nie była już stolicą królestwa, lecz garnizonem zdobywców na podbitej ziemi. Kupcy w mieście dorobili się fortuny, ale był to nędzny dobrobyt. Nikt bowiem nie wiedział, kiedy zostanie oskarżony o zdradę na podstawie fałszywych dowodów, kiedy skonfiskują mu jego własność, a jego samego wrzucą do więzienia lub położą głowę pod katowski topór.

Valerius nie wysiłał się nawet, by udobruchać poddanych. Utrzymywał się na tronie dzięki nemedyjskiemu żołdactwu i zdesperowanym najemnikom. Wiedział, że jest marionetką Amalryka. Miał świadomość tego, że rządził tylko dlatego, że Nemedyczyk go tolerował. Wiedział, że nie może nawet marzyć o zjednoczeniu Akwilonii pod swym berłem i zrzuconiu jarzma tyranii swych władców, gdyż zewnętrzne prowincje będą się opierać do ostatniej kropli krwi. A do tego Nemedyczycy zrzucą go z tronu, jeśli tylko spróbuje skonsolidować królestwo. Wpadł we własne sidła. Jego duszę przepehniała gorycz upadłej dumy, więc rzucił się w wir rozpusty, jak ktoś, kto żyje z dnia na dzień, nie myśląc ani nie dbając o jutro.

A jednak w jego szaleństwie tkwiła metoda; tkwiła tak głęboko, że nie odgadł tego nawet Amalryk. Być może dzikie, chaotyczne lata wędrówek na wygnaniu przyzwyczyły go do życia w niehumanicznym, trudnym do pojęcia rozgoryczeniu. Być może jego nędzna sytuacja rozbuchała w nim tę gorycz

do granic szaleństwa. Tak czy siak, żył on tylko jednym pragnieniem: przywieść do upadku wszystkich, którzy znajdowali się wokół niego.

Wiedział, że jego władza będzie trwała dopóty, dopóki będzie służyć celom Amalryka. Zdawał sobie także sprawę z tego, że póki będzie uciskał swe własne królestwo, Nemedia będzie tolerować jego rządy, gdyż Amalryk pragnął ostatecznie zmiążyć i podporządkować sobie Akwilonię, zdeptać w niej ostatnie źdźbło niepodległości. Kiedy już to nastąpi, chciał wznieść ją samemu od nowa, z pomocą swego olbrzymiego bogactwa przebudowując ją we własnym stylu, by potem użyć ludzi i bogactw naturalnych kraju do wyrwania korony Nemedii Tarascusowi. Valerius nie wiedział, czy Tarascus to podejrzewał, ale był pewien, że król Nemedii aprobował jego bezlitosny styl rządzenia. Tarascus nienawidził Akwilonii, a była to nienawiść zrodzona jeszcze w starych wojnach. Pragnął jedynie destrukcji zachodniego królestwa.

Valerius postanowił zatem zniszczyć państwo tak bardzo, by nawet bogactwa Amalryka nie były w stanie go odbudować. Nienawidził barona prawie tak, jak ten nienawidził Akwilończyków, i miał tylko nadzieję dożyć dnia, w którym Akwilonia legnie w gruzach, a Tarascus i Amalryk zetrą się w beznadziejnej wojnie domowej, która kompletnie pograży Nemedię.

Sądził, że podbój wciąż niezależnych prowincji Gunderlandii, Poitanii oraz marchii bossońskiej będzie końcem jego królewskiej kariery. Przestałby wtedy służyć celom Amalryka i zostałby niewątpliwie odrzucony. Dlatego wciąż przekładał podbój prowincji, zasłaniając się przed ponagleniami Amalryka wszelkimi, jakkolwiek prawdopodobnie brzmiały, wymówkami i odkładaniem daty wyjazdu.

Jego życie było pasmem uczt i dzikiej rozpusty. Sprowadzał do swojego pałacu najpiękniejsze kobiety królestwa, za ich przyzwoleniem lub wbrew ich chęciom. Błuźnił przeciw bogom i zwał się pijany na podłogę sali biesiadnej w koronie na głowie, plamiąc winem swe królewskie, purpurowe szaty. W przyływie żądry krwi przyozdabiał szubienice rynku dyndającymi trupami, zapełnił miasto toporami katów i posłał swych nemedyjskich jeźdźców, by przetaczali się jak grzmot po kraju, plądrując go i pałac. Przywiedziony do szaleństwa kraj wrzał od rewolt, które krwawo tłumiono. Valerius grabił i niszczył, aż w końcu zaprotestował sam Amalryk, ostrzegając króla, że najedzie i zniszczy królestwo tak, że nie będzie się dało go już naprawić. Nie wiedział jednak, że taki właśnie był tajny zamysł króla.

Podczas gdy w Akwilonii i Nemedii rozprawiano o szaleństwie króla, w Nemedii ludzie mówili raczej o zamaskowanym Xaltotunie. Niewielu widziało go na ulicach Belverus. Donoszono, że spędzał wiele czasu wśród wzgórz, gdzie spotykał się na dziwnych zebraniach z ocalałymi pozostałościami dawnej rasy: cichym, ciemnym ludem, który chwalił się swym pochodzeniem od starożytnego królestwa. Ludzie szeptali o bębnach dudniących wysoko na śpiących wzgórzach, o płonących w ciemności ogniach i o przynoszonych przez wiatr dziwnych inwokacjach i rytuałach zapomnianych wieki temu, które przetrwały tylko w postaci bezsensownych formuł, mamrotanych w samym sercu gór w wioskach, których mieszkańcy dziwnie różnili się od ludzi z dolin.

Nikt nie znał przyczyny tych spotkań, chyba że Orastes, który często towarzyszył Pythończykowi, a na którego twarzy zaczął pojawiać się cień wychudzenia.

W pełnym wybuchu wiosny, przez marniejące królestwo przetoczył się nagły szept, który obudził kraj do życia. Nadszedł on wraz z mamrocącym wschodnim wiatrem, budząc pogrążonych w apatii ludzi. Nikt nie mógł stwierdzić, w jaki sposób powstał. Niektórzy mówili o dziwnej, ponurej starej kobiecie, która zeszła z gór z rozwianymi na wietrze włosami w towarzystwie wielkiego wilka, który szedł za nią jak pies. Inni szeptali o kapłanach Asury, którzy przemykali ukradkiem jak duchy, od Gunderlandii przez marchię Poitanii aż po leśne osady Bossończyków.

Niezależnie od tego, skąd przyszła wieść, płomień rewolucji zapłonął wzdłuż granic. Osamotnione garnizony Nemedyczyków zostały wzięte szturmem i zrównane z ziemią, a grasujące oddziały wyrznięto w pień. Zachód zbroił się i w tym powstaniu brzmiała jakaś nowa nuta, dzika determinacja, która wzbudzała raczej gniew niż szaleńczą desperację, właściwą poprzednim rewoltom. Nie dotknęła samego tylko ludu. Baronowie również umacniali swe zamki i okazywali nieposłuszeństwo rządcom prowincji. Widziano bandy Bossończyków poruszające się wzdłuż brzegów włości: krępych, zdeterminowanych mężczyzn w brygantynach i stalowych hełmach z długimi łukami w dłoniach. Królestwo podniosło się nagle z ruin i stało się pełne życia i niebezpieczne. Dlatego też Amalryk posłał spieszenie po Tarascusa, który wkrótce nadciągnął ze swoją armią.

Obaj królowie i Amalryk dyskutowali nad powstaniem w królewskim pałacu w Tarantii. Nie wezwali Xaltotuna, pogrążonego w tajemniczych studiach wśród nemedyjskich wzgórz. Od krwawego dnia w dolinie Valkii

nie poprosili go ani razu o magiczną pomoc, a on odsunął się od nich; nie widywał się z nimi, pozornie obojętny wobec ich intryg.

Nie posłali także po Orastesę, ale ten przyszedł, a był blady jak morska piana przed sztormem. Stał przed nimi w komnacie ze złotą kopułą, w której królowie celebrowali swe zgromadzenia. Zdumieli się na widok jego mizernego wzroku i strachu, o którego nigdy nie podejrzewaliby tego zarozumiałego czarodzieja.

– Jesteś zmęczony, Orastesie – powiedział Amalryk. – Usiądź na dywanie, a ja poślę po niewolnika, by przyniósł ci wina. Przyjechałeś szybko...

Orastes zamachał ręką.

– Zajechałem na śmierć trzy konie na drodze z Belverus. Nie mogę się napić, nie mogę odpocząć, dopóki nie powiem, co mam do powiedzenia.

Dreptał w kółko, jak gdyby nie dawał mu spokoju jakiś wewnętrzny ogień. W końcu zatrzymał się przed swymi zdumionymi towarzyszami.

– Kiedy użyliśmy Serca Arymana, aby przywrócić umarłego człowieka do życia – powiedział nagle Orastes – nie oceniliśmy należycie konsekwencji wzburzenia czarnych popiołów przeszłości. To moja wina i mój grzech. Myśleliśmy tylko o naszych ambicjach, zapominając o tym, że nieumarły również może mieć jakieś własne plany. Wypuściliśmy na ziemię demona, diabła niepojętego dla zwykłej ludzkości. Zgłębiłem zło, ale są limity, których ani ja, ani nikt mojej rasy i wieku nie może przekroczyć. Moi przodkowie byli czystymi ludźmi bez demonicznej skazy. Upadłem nisko jako jedyny z mego rodu i mogę grzeszyć tylko na tyle, na ile pozwala mi moja indywidualność. Za Xaltotunem stoją tysiące wieków czarnej magii i diabelstwa pochodzące z pradawnej tradycji zła. Znajduje się on poza naszym pojmowaniem nie tylko dlatego, że jest czarnoksiężnikiem, ale także dlatego, że jest synem czarnoksiężkiej rasy. Widziałem rzeczy, które poraziły mą duszę. W samym sercu drzemiących wzgórz widziałem, jak Xaltotun współżyje z duszami potępionych i jak wzywa starożytne demony z zapomnianego Acheronu. Widziałem przeklętych potomków tego czarnego imperium, którzy czczą go i wychwalają jako swego arcykapłana. Dowiedziałem się, co knuje, i zaprawdę powiadam wam, że w grę wchodzi tu nic innego, jak restauracja starożytnego, czarnego, upiornego królestwa Acheronu!

– O co ci chodzi? – zapytał Amalryk. – Acheron obrócił się w proch. Nie ma wystarczającej ilości ocalałych, by mogli wznieść imperium. Nawet

Xaltotun nie jest w stanie na powrót ukształtować ruin sprzed trzech tysięcy lat!

– Niewiele wiesz o jego mocy – odparł ponuro Orastes. – Widziałem, że nawet same wzgórza przybierają obcy i pradawny wygląd od jego zaklęć i intaktacji. Dojrzałem ponure kształty i kontury dolin, lasów i gór, nie te, jakie znamy dzisiaj, ale jakimi były w ponurej przeszłości. Były to cienie rzeczywistości. Wyczułem także, bardziej niż zobaczyłem, purpurowe wieże zapomnianego Python, które błyszczały o zmierzchu. A na ostatnim spotkaniu, na które z nim poszedłem, pośród bicia bębnów i podobnych do bestii wyznawców, którzy wyli przed nim z głowami zakopanymi w piasku, spłynęło na mnie w końcu zrozumienie jego czarów. Mówię wam, że za sprawą magii odrestauruje Acheron, za pomocą zaklęć czerpiących siłę z gigantycznych krwawych ofiar, jakich jeszcze świat nie widział. Z niewoli ten świat i utopi we krwi teraźniejszość, by wskrzesić przeszłość!

– Oszalałeś! – wykrzyknął Tarascus.

– Oszalałem? – Orastes zwrócił w jego stronę swą wymizerowaną twarz.
– Czy ktokolwiek może pozostać przy zdrowych zmysłach, zobaczywszy to, co ja widziałem? A jednak mówię prawdę. Xaltotun szykuje powrót Acheronu, takiego jak dawniej, ze swymi wieżami, czarnoksiężnikami, królami i koszmarami. Potomkowie imperium posłużą mu za jądro, wokół którego rozpocznie swe dzieło; krew i ciała ludzi dzisiejszego świata posłużą za fundamenty do odnowy. Nie mogę powiedzieć wam, w jaki sposób. Mój umysł ciemnieje, kiedy usiłuję to pojąć. Ale widziałem to! Acheron znów stanie się Acheronem i nawet wzgórza, lasy i rzeki przybiorą na powrót swój pradawny wygląd. Dlaczegoż by nie? Jeśli nawet ja, z moją nikłą wiedzą, byłem w stanie wskrzesić człowieka umarłego trzy tysiące lat temu, dlaczego najpotężniejszy czarnoksiężnik świata nie może wskrzesić nieistniejącego od trzech tysięcy lat królestwa? Na jego rozkaz Acheron powstanie z prochu!

– Jak możemy go unicestwić? – zapytał przejęty Tarascus.

– Jest tylko jeden sposób – odparł Orastes. – Musimy wykraść mu Serce Arymana!

– Ale ja... – zaczął wbrew swojej woli Tarascus, po czym szybko zamknął usta.

Nikt nie zwrócił na to uwagi i Orastes mówił dalej:

– To jedyna moc, jakiej można użyć przeciw niemu. Z Sercem w dłoni mógłbym mu się sprzeciwić. Ale jak zdołamy je wykraść? Xaltotun ukrył je

w jakimś sekretnym miejscu, z którego nie zwędzi go nawet zamoriański złodziej. Nie znam tej kryjówki. Gdyby chociaż zasnął raz jeszcze w lotosowym śnie... Ale ostatnim razem zrobił tak po bitwie nad Valkią, kiedy był zmęczony po poczynionych przez siebie zaklęciach i...

Drzwi były zamknięte i zaryglowane, ale nagle otworzyły się cicho i stanął przed nimi Xaltotun, spokojny i opanowany, skubiący swą patriarchalną brodę. Ale w jego oczach błyszcząły gorejące światła piekła.

– Nauczyłem cię zbyt wiele – powiedział spokojnie, celując palcem jak wyrokiem śmierci w Orastesa. I zanim ktokolwiek zdołał się ruszyć, Xaltotun rzucił garść kurzu pod stopy kapłana, który stał jak zaklęty w kamień. Kurz palił się i błyszczał; błękitna spirala dymu unosiła się i chwiała wokół Orastesa smukłą spiralą. Kiedy uniosła się ponad jego ramiona, dym owinał się wokół jego szyi z prędkością błyskawiczną jak atak węża. Krzyk maga został zduszony i z jego ust dobył się tylko bulgot. Jego ręce pomknęły do szyi; oczy nieszczęśnika były rozszerzone, język wywieszony. Dym zaciskał się wokół jego szyi jak błękitna pętla. Potem mgła zbladła i rozmyła się, a martwy Orastes zwałił się na podłogę.

Xaltotun uderzył w dłonie i do komnaty weszło dwóch mężczyzn, których często widziano w jego towarzystwie: niskich, obrzydliwie ciemnych posługaczy o czerwonych, rozbieganych oczach i ostrych jak u szczura zębach. Nic nie powiedzieli. Uniósłszy ciało, wywlekli je z komnaty.

Kwitując sprawę machnięciem dłoni, Xaltotun usadził się przy stole z kości słoniowej, wokół którego siedzieli pobledli wodzowie.

– Jaka jest przyczyna zgromadzenia? – zapytał rozkazującym tonem.

– Akwilończycy podnieśli się na zachodzie – odparł Amalryk, odzyskujący równowagę po straszliwym wstrząsie, jaki stanowiła dla niego śmierć Orastesa. – Głupcy sądzą, że Conan żyje i że nadejdzie na czele armii poitańskiej, aby upomnieć się o swoje królestwo. Nawet gdyby pojawił się natychmiast po bitwie nad Valkią, albo gdyby poniosła się plotka, że żyje, centralne prowincje i tak nie zgromadziłyby się pod jego wodzą – tak bardzo boją się twojej potęgi. Ale pod złymi rządami Valeriusa stali się tak zdesperowani, że są gotowi podążyć za pierwszym lepszym człowiekiem, który będzie w stanie ich zjednoczyć. Wolą szybką śmierć od tortur i ciągłej mizerności. Oczywiście, po kraju krążyła uparcie opowieść o tym, że Conan tak naprawdę nie zginął nad Valkią, ale do niedawna masy nie akceptowały tego. Z wygnania w Ofirze powrócił jednak Pallantides,

który zarzeka się, że król owego dnia leżał złożony niemocą w swym namiocie, i że jeden z zaufanych ludzi założył jego zbroję. Podobnie giermek, który dopiero niedawno wydobrzył po ciosie maczugą, zadany mu w bitwie, potwierdza tę historię, albo przynajmniej próbuje. Stara kobieta z udomowionym wilkiem wędrowała wzdłuż i wszerz kraju, głosząc, że król Conan nie zginął, i że pewnego dnia wróci, by upomnieć się o koronę. Na dodatek przekłęci kapłani Asury już od dawna nucą na tę samą nutę. Twierdzą, że jakimiś tajemniczymi kanałami dotarła do nich wieść o tym, że Conan powraca, aby odebrać swoją władzę. Nie mogą pojmać ani kobiety, ani kapłanów. To naturalnie jakaś sztuczka Trocera. Moi szpiegowie powiedzieli mi, że są niepodważalne dowody na to, że Poitańczycy wybierają się na Akwilonię. Sądzę, że Trocero przywiezie ze sobą jakiegoś pretendenta, którego nazwie królem Conanem.

Tarascus roześmiał się, ale jego śmiech zabrzmiał niepewnie. Ukradkiem pomacał się po bliźnie pod koszulą i przypomniał sobie o kraczących za zbiegiem krukach. Zobaczył też ciało swego giermka, Arideusa, przyniesione w strasznym stanie z przygranicznych gór; jego przerażeni żołnierze powiedzieli, że został rozszarpany przez wilka. Przytłoczony jednak wspomnieniem tego, że wykradł klejnot ze złotej szkatułki, kiedy czarnoksiężnik spał – nic nie powiedział.

Valerius zaś przypomniał sobie o umierającym szlachcicu, który wydyszał straszliwą historię, a także o czterech Khitajczykach, którzy zniknęli w południowych labiryntach i nigdy nie wrócili. Trzymał jednak język za zębami, gdyż nie chciał, by jego nienawistni i podejrzliwi sojusznicy rozerwali go na strzępy. Poza tym niczego nie pragnął bardziej, niż ujrzenia obu rebeliantów i Nemedyczyków zwartych w śmiertelnym uścisku.

Ale Amalryk wrzasnął:

– Przecież to absurd wyobrażać sobie, że Conan żyje!

W ramach odpowiedzi Xaltotun rzucił na stół zwój pergaminu.

Amalryk podniósł go i spojrział. Z jego ust wybuchł wściekły, nieskładny krzyk. Przeczytał, co następuje:

Do Xaltotuna, wielkiego fakira Nemedii: acheronki psie, powracam do mojego królestwa i zamierzam powiesić twą skórę na drzewie.

CONAN

– To fałszerstwo! – wykrzyknął Amalryk.

Xaltotun potrząsnął głową.

– Jest oryginalny, porównałem list z podpisami na królewskich dokumentach w bibliotece dworskiej. Nikt nie podrobiłby tego tłustego gryzmołu.

– Zatem, jeśli Conan żyje – wymamrotał Amalryk – to powstanie nie będzie podobne do poprzednich, gdyż jest on jedynym człowiekiem zdolnym do zjednoczenia Akwilończyków. Ale – zaprotestował po chwili – to nie w stylu Conana. Dlaczego miałyby zwracać naszą uwagę swoimi przechwałkami? Oczekiwałem raczej, że zaatakuje bez ostrzeżenia, w barbarzyńskim stylu.

– Już jesteśmy ostrzeżeni – zwrócił mu uwagę Xaltotun. – Nasi szpiedzy poinformowali nas o trwających w Poitanii przygotowaniach do wojny. Nie byłby w stanie przekroczyć gór bez naszej wiedzy, dlatego też informuje nas na swój charakterystyczny sposób.

– Dlaczego wysłała te pisma do ciebie? – zapytał Valerius. – Dlaczego nie do mnie albo do Tarascusa?

Xaltotun zwrócił swe nieprzeniknione oblicze ku królowi.

– Conan jest mądrzejszy od ciebie – powiedział w końcu. – On wie już o tym, czego wy, rządzący, jeszcze nie pojęliście. Mianowicie o tym, że to nie Tarascus, ani Valerius, ani Amalryk, ale Xaltotun jest prawdziwym władcą zachodnich narodów.

Nikt mu nie odpowiedział; siedzieli, gapiąc się na niego, ogarnięci nagłą świadomością tego, że twierdzenie to było prawdziwe.

– Moje przeznaczenie to droga do imperium – powiedział Xaltotun. – Ale najpierw muszę zmiażdżyć Conana. Nie wiem, jak zdołał uciec mi w Belverus, gdyż nie mam wiedzy o tym, co się dzieje, kiedy jestem pogrążony we śnie czarnego lotosu. Ale Conan jest na południu i gromadzi wojsko. To jego ostatni, desperacki cios, możliwy tylko dzięki wściekłości ludzi, którzy cierpieli pod władzą Valeriusa. Niech powstaną; mam ich wszystkich w garści. Poczekamy, aż na nas ruszy i wtedy zmiażdżymy go raz na zawsze. Potem złamiemy Poitanię, Gunderlandię i głupich Bossończyków. Później Ofir, Argos, Zingareę, Koth... Wszystkie narody świata zostaną połączone w jedno, potężne imperium. Będziecie rządzić jako moi satrapowie, a jako moi kapitanowie będziecie potężniejsi niż obecni królowie. Jestem niezwyciężony, gdyż Serce Arymana jest ukryte w miejscu, w którym żaden człowiek nie może użyć go przeciw mnie.

Tarascus odwrócił wzrok, żeby Xaltotun nie odczytał jego myśli. Wiedział, że czarnoksiężnik nie zajrzał jeszcze do złotej szkatułki z wyrytymi na niej śpiącymi wężami, odkąd złożył w niej Serce. Choć wydawało się to dziwne, Xaltotun nie wiedział o kradzieży Serca. Dziwny klejnot leżał poza kręgiem jego czarnej mądrości; jego niesamowite zdolności nie ostrzegły go o tym, że skrzynka jest pusta. Tarascus nie sądził, by Xaltotun znał wszystkie rewelacje Orastesy, gdyż Pythończyk nie wspomniał o restauracji Acheronu, a tylko o budowie nowego ziemskiego imperium. Nie podejrzewał też, by starzec był całkiem pewien swej mocy; tak jak oni potrzebowali jego pomocy, by zaspokoić swe ambicje, tak Xaltotun potrzebował ich. Do pewnego stopnia również magia zależała od uderzeń miecza i kopii. Król wyczytał znaczenie ukradkowego spojrzenia Amalryka. Niech czarnoksiężnik użyje swej mocy, aby pomóc im zwyciężyć ich najbardziej niebezpiecznego wroga. Potem będą mieli wystarczająco wiele czasu, by zwrócić się przeciw niemu. Może jeszcze znajdzie się sposób, by przechytrzyć tę wskrzeszoną przez nich czarną moc.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ZŁOWRÓŻBNE BICIE BĘBNÓW

Wojna została potwierdzona, kiedy armia Poitanii, w sile dziesięciu tysięcy mężczyzn, przemaszerowała przez południowe przejścia z powiewającymi chorągwiami i błyskiem stali. Na ich czele, jak zaklinali się szpiedzy, jechała olbrzymia postać w pysznej, jedwabnej opanczy i w czarnej zbroi ze złotym królewskim lwem Akwilonii na piersi. Conan żył! Król żył! Między ludźmi, zarówno przyjaciółmi, jak i wrogami, nie było już co do tego wątpliwości.

Wraz z wieściami o inwazji ze wschodu, do stolicy dotarła także wiadomość przyniesiona przez prędko poruszających się kurierów, że zastępy Gundermanów, wsparte przez baronów z północnego zachodu i północnych Bossończyków, poruszają się na południe. Tarascus pomaszerował z trzydziestoma jeden tysiącami ludzi do Galparan nad rzeką Shirki, przez którą musieli przeprowić się Gundermani, chcąc uderzyć na wciąż trzymane przez Nemedyczyków miasta. Shirki była prędką, wzburzoną rzeką, płynącą na południowy zachód przez skaliste wąwozy i kaniony. Było na niej niewiele miejsc, w których o tej porze roku mogła przeprowić się armia, gdyż przez topniejące śniegi koryto było prawie pełne. Całe państwo na wschód od Shirki było w rękach Nemedyczyków i należało przypuszczać, że Gundermani spróbują przeprowić się w Galparan albo w położonym na południe od niego Tanasul. Z dnia na dzień oczekiwano posiłków z Nemedii, aż dotarła wieść o tym, że król Ofiru manifestował wojowniczo swoją siłę na południowej granicy Nemedii i że wysłanie większej ilości oddziałów mogło narazić Nemedię na najazd z południa.

Amalryk i Valerius wyruszyli z Tarantii z dwudziestoma pięcioma tysiącami ludzi, zostawiając drugie tyle w garnizonach, ponieważ chcieli zniechęcić miejską ludność do buntu podczas ich nieobecności. Mieli nadzieję spotkać i pokonać Conana, zanim dołączą do niego buntownicze siły królestwa.

Król i jego Poitańczycy przeprowili się przez góry, ale nie było żadnego zbrojnego starcia, żadnego ataku na miasta czy fortece. Conan pojawił się

i zniknął. Zdawało się, że skierował się na zachód, przez dziką, rzadko zasiedloną wyżynną krainę i wkroczył do włości bossońskich, gromadząc po drodze rekrutów. Amalryk i Valerius ze swoją armią, składającą się z Nemedyczyków, akwilońskich renegatów i dzikich najemników, poruszali się przez ląd w pełnym zdumienia gniewie, szukając wroga, który się nie pojawiał.

Amalryk nie zdołał uzyskać niczego więcej niż nieokreślone, ogólne wieści na temat ruchów Conana. Zwiadowcy mieli w zwyczaju wyjeżdżać i nigdy nie wracać, często znajdowano szpiega ukrzyżowanego na dębie. Wieś podniosła się i walczyła tak, jak to robią wieśniacy: dziko, morderczo i w sekrecie. Amalryk zaś wiedział na pewno tylko tyle, że znaczna siła Gundermanów i północnych Bossończyków znajdowała się gdzieś na północ od niego, za rzeką Shirki, i że Conan z mniej liczną grupą Poitańczyków i południowych Bossończyków krążył gdzieś na południowy zachód od poszukującej go armii.

Amalryk zaczął obawiać się, że jeśli on i Valerius zagłębią się bardziej w dzikie tereny, Conan może zupełnie ich ominąć, okrążyć i najechać za ich plecami centralne prowincje. Baron Tor wyjechał z doliny Shirki i rozbił obóz na równinie, położonej o dzień drogi od Tanasul. Tam czekał. Tarascus utrzymywał się na pozycji w Galparan, gdyż bał się, że manewry Conana miały na celu odciążenie go na południe, a tym samym – pozwolenie Gundermanom na wjazd do królestwa północnym przejściem.

Xaltotun przyjechał do obozu Amalryka w swoim rydwanie zaprzęgniętym w niesamowite, nigdy niemęczące się konie i wszedł do namiotu barona, który debatował z Valeriussem nad mapą rozłożoną na stole z kości słoniowej.

Xaltotun zgniótł mapę i odrzucił ją na bok.

– To, czego twoi zwiadowcy nie są w stanie się dowiedzieć – rzekł – opowiadają mi moi szpiegowie, chociaż ich informacje są dziwnie zamazane i nieścisłe, jak gdyby jakieś niewidzialne moce sprzymierzyły się przeciw mnie. Conan ciągnie w górę rzeki z dziesięcioma tysiącami Poitańczyków, trzema tysiącami południowych Bossończyków i baronami z zachodu i południa, wraz z orszakami – jakieś pięć tysięcy zbrojnych. Z południa ciągnie armia trzydziestu tysięcy Gundermanów i północnych Bossończyków, aby połączyć się z nimi. Zdołali nawiązać kontakt za pomocą sekretnej komunikacji przeklętych kapłanów Asury, którzy zdają się być mi przeciwni, i których po skończonej walce wydam wężom na

pożarcie. Przrzekam na Seta! Obie armie ciągną do przejścia w Tanasul, ale nie sądzę, że to Gundermani przejdą przez rzekę. Myślę raczej, że to Conan będzie próbował przeprowić się przez Shirki i przyłączyć się do nich, dlatego, że w jego interesie leży opóźnienie bitwy. Im dłużej będzie czekał, tym bardziej urośnie w siłę jego armia, a nasza pozycja stanie się bardziej beznadziejna. Wzgórza po drugiej stronie roją się od ludzi namiętnie oddanych jego sprawie. Są to jednostki skończone, zbiedzy, uciekinierzy od okrucieństwa Valeriusa. Ludzie spieszą do jego armii z całego królestwa, pojedynczo lub całymi kompaniami. Każdego dnia zwiady naszych armii wpadają w zasadzki i są zabijane przez wieśniaków. Wzburzenie narasta w centralnych prowincjach i wkrótce stanie się otwartą rebelią. Pozostawione przez nas garnizony nie są wystarczające, a w obecnej sytuacji nie możemy liczyć na żadne wsparcie z Nemedii. We wzburzeniu na granicy ofiryjskiej widzę rękę Pallantidesa. Ma w Ofirze rodzinę. Jeśli szybko nie złapiemy i nie pokonamy Conana, prowincje staną w ogniu rewolucji za naszymi plecami. Będziemy musieli wrócić do Tarantii i bronić tego, co im zabraliśmy; możliwe jest także, że będzie trzeba walczyć o drogę przez wzburzone państwo, z całą siłą Conana depczącą nam po piętach, po czym znieść oblężenie samego miasta, z wrogami zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Nie, nie możemy czekać. Musimy zmiażdżyć Cymmeryjczyka, zanim jego armia stanie się zbyt wielka, zanim podniosą się centralne prowincje. Kiedy jego głowa zawiśnie nad bramą Tarantii, zobaczysz, jak prędko rebelia stanie się tylko wspomnieniem.

– Dlaczego nie rzucisz zaklęcia na armię i nie zabijesz ich wszystkich? – zapytał Valerius na wpół drwiącym tonem.

Xaltotun spojrział na Akwilończyka, jak gdyby zdołał wyczytać ładunek drwiącego szaleństwa czający się w jego krnąbrnych oczach.

– Nie martw się – powiedział po chwili. – Moja sztuka rozgniecie w końcu Conana jak jaszczurkę pod podkową. Ale nawet czarnoksiężstwo jest wspomagane przez piki i miecze.

– Jeśli przeprawi się przez rzekę i zajmie pozycję na wzgórzach goraliańskich, może być ciężki do ruszenia – powiedział Amalryk. – Ale jeśli złapiemy go w dolinie po tej stronie rzeki, możemy zmieść go z powierzchni ziemi. W tempie, w jakim się porusza, powinien dotrzeć do przejścia jutro w nocy. Jego ludzie są wytrzymali, idą szybko. Powinni dotrzeć tam przynajmniej dzień wcześniej od Gundermanów.

– Dobrze! – Amalryk walnął w stół zaciśniętą pięścią. – Mogę zjawić się w Tanasul przed nim. Wyślę jeźdźca do Tarascusa, każąc mu iść za mną do Tanasul. W momencie, kiedy przyjedzie, odetnę już Conana od przejścia i zniszczę go. Potem nasze połączone siły będą mogły przekroczyć rzekę i zająć się Gundermanami.

Xaltotun potrząsnął niecierpliwie głową.

– Całkiem dobry plan, gdybyś nie walczył z Conanem. Nasze dwadzieścia pięć tysięcy ludzi nie wystarczy, by zniszczyć jego osiemnaście tysięcy, zanim nadejdą Gundermani. Będą walczyć z desperacją zranionych panter. A co, jeśli posiłki dotrą akurat wtedy, kiedy armie będą zwarte w walce? Zostaniesz wzięty w dwa ognie i zniszczony, zanim nadjedzie Tarascus. Dojedzie do Tanasul zbyt późno, by ci pomóc.

– Co robimy w takim razie? – zapytał Amalryk.

– Rusz całą siłą przeciwko Conanowi – odparł człowiek z Acheronu. – Poślij jeźdźca i każ Tarascusowi przyłączyć się do nas tutaj. Będziemy oczekiwać jego przyjazdu. Potem razem ruszymy do Tanasul.

– Ale kiedy my będziemy czekać – zaprotestował Amalryk – Conan przejdzie przez rzekę i przyłączy się do Gundermanów.

– Conan nie przejdzie przez rzekę – odparł Xaltotun.

Głowa Amalryka podskoczyła i spojrzał w ciemne, tajemnicze oczy.

– Co masz na myśli?

– A co jeśli daleko na północy, u źródeł Shirki, spadną obfite burzowe deszcze? Co, jeśli rzeka wystąpi z taką siłą, że uczyni przejście w Tanasul niemożliwym? Moglibyśmy wtedy spokojnie przywieść całą naszą armię, złapać Conana na naszym brzegu rzeki i zmiażdżyć go, a potem, kiedy powódź ustanie – a myślę, że nastąpi to następnego dnia – przeprowadzić się przez spokojną wodę i zniszczyć Gundermanów. Moglibyśmy wtedy użyć naszej pełnej siły kolejno przeciw dwóm mniejszym armiom.

Valerius roześmiał się, jak to czynił zawsze na myśl o zniszczeniu przyjaciela czy też wroga i przeciągnął krótko swą niespokojną dłoń po nieujarzmionych, złotych lokach. Amalryk patrzył na mężczyznę z Acheronu z mieszaniną strachu i podziwu.

– Jeśli złapiemy Conana w dolinie Shirki między pasmami gór po prawej i występującą z brzegów wodą po lewej... – przyznał – możemy zniszczyć go, jeśli uderzymy całą naszą siłą. Myślisz... Jesteś pewien... Sądzisz, że takie deszcze spadną?

– Pójdę do mojego namiotu – odparł Xaltotun, podnosząc się ze swego miejsca. – Nekromancja to nie machanie czarodziejską różdżką. Poślij jeźdźca do Tarascusa. I niech nikt nie zbliża się do mojego namiotu.

Ostatnie polecenie było zbędne. Nikt w całej armii za żadne skarby nie podszedłby do tego tajemniczego namiotu z czarnego jedwabiu, którego wejście było zawsze szczelnie zasunięte. Poza Xaltotunem nikt nigdy tam nie wszedł, chociaż często słyszano dochodzące ze środka głosy. Ściany chwiały się czasami w bezwietrzną pogodę, a ze środka dochodziła dziwna muzyka. Bywało, że głęboką nocą jego jedwabne ściany były w środku rozświetlone płomieniami błyszczącymi na czerwono, rzucającymi na płótno odbicia zdeformowanych sylwetek, które kręciły się wewnątrz pawilonu.

Tej nocy leżący w swoim własnym namiocie Amalryk usłyszał miarowy huk bębna dochodzący z obozowiska Xaltotuna. Bił on równomiernie w ciemności, a momentami – Nemedyczyk gotów był przysiąc – z pulsowaniem bębna mieszał się głęboki, skrzeczący głos. Amalryk zaś trząsł się, gdyż wiedział, że nie był to głos Xaltotuna. Bęben szemrał i mamrotał dalej jak głęboki odgłos grzmotu, słyszany z dużej odległości. Przed świtem, baron, który wyrzął ze swego namiotu, zobaczył czerwoną błyskawicę daleko na północy. Na reszcie nieba płonęły blado wielkie gwiazdy. Ale odległe wyładowania migotały nieustannie jak karmazynowy błysk ogniska albo małe, obracające się ostrze.

Następnego dnia o zmierzchu przyjechał Tarascus ze swoją armią, zakurzony i zmęczony po ciężkiej wędrówce; piechota wlokła się godzinami za jazdą. Rozbili obozowisko na równinie nieopodal obozu Amalryka i o świcie połączone armie ruszyły na zachód.

Przed nimi zaroilo się od zwiadowców; Amalryk wyczekiwał niecierpliwie ich powrotu i opowieści o Poitańczykach uwięzionych przez dziką powódź. Gdy jednak zwiadowcy spotkali się z kolumną, przekazali mu wiadomość, że Conan przekroczył Shirki!

– Co? – zakrzyknął Amalryk. – Zdołał przejść przed powodzią?

– Nie było żadnej powodzi – odpowiedzieli zdeorientowani rycerze. – Doszedł do Tanasul wczoraj późną nocą i przeprowadził swą armię przez rzekę.

– Żadnej powodzi? – wrzasnął Xaltotun, po raz pierwszy wytrącony z równowagi przy Amalryku. – Niemożliwe! Przy źródłach Shirki ostatniej i poprzedniej nocy spadły potężne deszcze!

– To możliwe, wasza miłość – odparł zwiadowca. – To prawda, że woda była zamulona, a ludzie z Tanasul powiedzieli, że poziom rzeki urósł wczoraj może o stopę. Ale to nie powstrzymało przeprawy Conana.

Zawiodły czary Xaltotuna! Myśl ta podziałała na Amalryka jak uderzenie obuchem. Jego koszmarny strach przed człowiekiem z przeszłości wzrastał równomiernie od owej nocy w Belverus, kiedy zobaczył, jak brązowa, wyschnięta mumia pęcznieje i rozrasta się, stając się żywym człowiekiem. Śmierć Orastesa zmieniła czające się przerażenie w aktywny strach. W sercu żywił ponure przekonanie, że ten człowiek, czy może diabeł, był niezwyciężony. A jednak teraz miał niezaprzeczalny dowód jego porażki!

Baron pomyślał jednak, że nawet najpotężniejszy nekromanta może się czasami pomylić. Tak czy siak, nie ważył się stawić czoła człowiekowi z Acheronu. Jeszcze nie. Orastes nie żył, wijąc się w znanym tylko Mitrze bezimiennym piekle, a Amalryk wiedział, że jego miecz nie będzie dużo bardziej skuteczny tam, gdzie zawiodła czarna mądrość kapłana-renegata. Uknuta przez Xaltotuna upiorna abominacja leżała w nieodgadnionej przeszłości. Conan i jego zastępy stanowiły aktualne zagrożenie, przeciwko któremu czarnoksiężstwo Pythończyka mogło być bardzo potrzebne zanim rozpocznie się gra.

Przenieśli obóz do Tanasul, małej, ufortyfikowanej wioski usytuowanej w miejscu, w którym skalna rafa tworzyła naturalny most na rzece, dostępny zawsze oprócz czasów wielkich powodzi. Zwiadowcy przyszedli z wiadomością, że Conan zajął pozycję na wzgórzach goraliańskich, które wznosiły się kilka mil za rzeką. Gundermani dojechali do jego obozu tuż przed zmierzchem.

Amalryk spojrział na Xaltotuna, który siedział nieprzenikniony i wyobcowany w świetle pochodni. Zapadła noc.

– Co teraz? Twoja magia zawiodła. Conan staje przeciw nam z armią prawie tak silną jak nasza, zajmuje także lepszą strategicznie pozycję. Wybieramy między jednym a drugim złem: albo rozbijamy tu obóz i czekamy na atak barbarzyńcy, albo wracamy do Tarantii i wyglądamy posiłków.

– Jeśli będziemy czekać, jesteśmy zgubieni – odparł Xaltotun. – Przeprawcie się przez rzekę i rozbijcie się na równinie. Zaatakujemy o świcie.

– Ale jego pozycja jest za silna! – zakrzyknął Amalryk.

– Głupcze! – Warstewka spokoju czarodzieja prysła w porywie pasji. – Czy zapomniałeś o Valkii? Tylko dlatego, że jakaś ciemna, pierwotna zasada zapobiegła powodzi, uważasz mnie za bezradnego? Postarałem się o to, by twoje włócznie wyeliminowały naszych przeciwników; nie lękaj się jednak, moja magia zmiażdży ich armię. Conan jest w pułapce. Nie zobaczy już kolejnego zachodu słońca. Przepraw się przez rzekę!

Przekroczyli wzburzony nurt przy świetle pochodni. Końskie kopyta zabrzęczały na kamiennym moście, rozbryzgując wodę na płycznach. Odblask pochodni na tarczach i napierśnikach odbijał się na czerwono w czarnej wodzie. Kamienny most, po którym szli, był szeroki, ale i tak minęła północ, zanim armia rozbiła obóz na równinie po drugiej stronie Shirki. Ponad sobą, w oddali, mogli ujrzeć czerwone migotanie ognisk. Conan zagłębił się we wzgórze goraliańskie, które już nieraz służyły królowi Akwilonii za ostatni przyczółek. Amalryk opuścił swój namiot i przechadzał się niespokojnie po obozowisku.

W namiocie Xaltotuna tańczyła dziwna poświata, a od czasu do czasu ciszę przerywał demoniczny krzyk; dochodziło stamtąd także niskie, mroczone mamrotanie bębna, który bardziej dziś szemrał, niż dudnił.

Amalryk, którego instynkty obudziły się wraz z nocą i na skutek zaistniałej sytuacji, czuł, że Xaltotunowi opierała się nie tylko fizyczna siła. Dopadły go wątpliwości dotyczące mocy czarnoksiężnika. Rzucił okiem na płonące wysoko ponad nim ogniska i jego twarz wykrzywiła się w grymasie. On i jego armia znajdowali się w głębi wrogiego państwa. Tam na górze czaiły się tysiące wilczych postaci, z których dusz ulotniły się wszystkie emocje i nadzieje z wyjątkiem szalonej nienawiści w stosunku do zdobywców i dzikiej rządu zemsty. Klęska równała się totalnej destrukcji, powrotowi przez kraj rojący się od spragnionych krwi wrogów. A w dodatku baron musiał rzucić swą armię przeciw najbardziej ponuremu wojownikowi wśród zachodnich nacji i jego zdesperowanym hordom. Jeśli Xaltotun zawiedzie ich teraz...

Pół tuzina zbrojnych mężczyzn wyłoniło się z cienia. Światło ognia błyszczało na ich napierśnikach i czubkach hełmów. Między sobą na wprost prowadzili, a na wprost ciągnęli wychudłą postać w postrzępionych szmatach. Salutując Amalrykowi, jeden z nich przemówił:

– Mój panie, ten człowiek podszedł na skraj obozowiska i powiedział, że chce zamienić słowo z królem Valeriuszem. Jest Akwilończykiem.

Mężczyzna przypominał bardziej wilka, naznaczonego bliznami pochodzącymi od pułapek niż człowieka. Na jego nadgarstkach i kostkach widniały dawne rany, takie, jakie pozostają tylko po kajdanach. Wielkie piętno, ślad po rozpalonym żelazie, zniekształcało jego twarz. Jego oczy gorzały pod gęstwiną splecionych włosów, kiedy na wpół ukląkł przed baronem.

– Kim jesteś, paskudny psie? – chciał wiedzieć Nemedyczyk.

– Mów na mnie Tyberiasz – odparł człowiek, a jego zęby zadrgały w mimowolnym skurczu. – Przyszedłem, by powiedzieć ci, jak usidlić Conana.

– Zdrajca, co? – huknął baron.

– Ludzie mówią, że masz złoto – powiedział mężczyzna, kuląc się pod szmatami. – Daj mi trochę! Daj mi złoto, a pokażę ci, jak pokonać króla! – jego oczy rozwarły się szeroko, a wyciągnięte, zwrócone do góry dłonie rozcapierzyły się jak drżące szpony.

Amalryk wzruszył ramionami z niesmakiem. Ale żadne narzędzie nie było zbyt prymitywne, jeśli pasowało do jego planów.

– Jeśli powiesz prawdę, dostaniesz więcej złota, niż zdołasz unieść – powiedział. – Jeśli zaś jesteś kłamcą i szpiegiem, ukrzyżuję cię głową w dół. Wprowadźcie go do namiotu.

W pawilonie Valeriusa baron wskazał człowieka, który kucał przed nimi i trzął się, owijając się ciasniej swymi szmatami.

– Mówi, że wie, jak pomóc nam jutro. Będziemy potrzebowali wsparcia, jeśli plan Xaltotuna nie jest lepszy niż to, co pokazał do teraz. Mów, psie.

Ciało człowieka wiło się w dziwnych konwulsjach. Słowa z pośpiechem wypadały z jego ust.

– Conan rozbił obóz u wejścia do Doliny Lwów. Ma ona kształt wachlarza, po obu stronach rozciągają się strome wzgórza. Jeśli zaatakujecie go jutro, będziecie musieli maszerować w górę doliny. Nie zdołacie się wspiąć po żadnej stronie. Ale jeśli król Valerius raczy zaakceptować mą służbę, poprowadzę go przez wzgórza i pokażę mu, jak może zaatakować króla Conana od tyłu. Jeśli jednak mamy tak zrobić, musimy wyruszyć zaraz. To wiele godzin jazdy, gdyż trzeba pojechać kilka mil na zachód, potem na południe i tamtędy wejść do Doliny Lwów od tyłu – tak jak przyszli Gundermani.

Amalryk zawahał się, poszczypując podbródek. W tych chaotycznych czasach często można było napotkać ludzi gotowych sprzedać swą duszę za

parę sztuk złota.

– Jeśli wywiedziesz mnie w pole, zginiesz – powiedział Valerius. – Jesteś tego świadom, prawda?

Człowiek zatrząsł się, ale jego spojrzenie nie zawahało się.

– Jeśli cię zdradzę, zabij mnie!

– Conan nie podzieli swoich sił – zadumał się Amalryk. – Będzie potrzebował wszystkich swoich ludzi, aby odeprzeć nasz atak. Nie może zmarnować żadnego oddziału na zastawianie zasadzek po wzgórzach. Poza tym – ten człowiek wie, że jego skóra zależy od tego, by poprowadził cię tak, jak obiecał. Czy taki pies jak on mógłby się poświęcić? Nonsens! Nie, Valeriusie, wierzę, że ten człowiek jest uczciwy.

– Albo jest jednym z większych złodziei, jakich widziałem, bo sprzedaje swojego wyzwoliciela! – roześmiał się Valerius. – Doskonale. Pójdę za tym psem. Ilu ludzi możesz mi użyzyć?

– Pięć tysięcy powinno podołać temu zadaniu – odparł Amalryk. – Nieoczekiwany atak na tyłach powinien ich dezorientować, a to już wystarczy. Będę oczekiwał twego ataku w południe.

– Kiedy zaatakuję, dowiesz się o tym – odparł Valerius. Kiedy Amalryk wrócił do swego namiotu, zauważył z ulgą, że Xaltotun wciąż jeszcze przebywał w swoim namiocie, jeśli sądzić po mrozącym krew w żyłach krzykach, jakie rozlegały się od czasu do czasu w powietrzu. A kiedy w otaczającej go ciemności usłyszał szcęk stali i dzwonienie ostróg, uśmiechnął się ponuro. Valerius prawie wypełnił już swoją rolę. Baron wiedział, że Conan był jak zraniony lew, który kąsa nieprzyjaciół i rozrywa ich na strzępy nawet w śmiertelnych drgawkach. Gdy Valerius uderzy z tyłu, desperackie, a nawet agoniczne uderzenia Cymmeryjczyka mogą równie dobrze zmieść jego rywala z powierzchni ziemi. Tym lepiej. Amalryk czuł, że może obyć się bez Valeriusa, gdy ten położy już podstawy pod zwycięstwo Nemedii.

Pięć tysięcy towarzyszących Valeriusowi jeźdźców było w większości wytrawnymi akwilońskimi renegatami. W spokojnym świetle gwiazd wyruszyli ze śpiącego obozu, podążając na zachód w kierunku wyznaczonym przez wielkie, czarne masy, które wznosiły się przed nimi na tle gwiazd. Valerius jechał na czele, a obok niego Tyberiasz z nadgarstkami związanymi skórzanym rzemieniem, trzymany przez zbrojnego człowieka po jego drugiej stronie. Inni jechali blisko z wyciągniętymi mieczami.

– Oszukaj nas, a natychmiast zginiesz – podkreślił Valerius. – Nie znam każdej owczej dróżki w tych wzgórzach, ale jestem wystarczająco dobrze obeznany z generalną topografią kraju, by wiedzieć, jaki kierunek obrać, aby wyjść za Dolinę Lwów. Pamiętaj o tym i nie wyprowadź nas w pole.

Mężczyzna pochylił głowę, a jego zęby zadzwoniły, kiedy elokwentnie zapewniał prowadzącego go na postronku władcę o swej lojalności, gapiąc się przy tym głupkowato na powiewającą nad nim chorągiew ze złotym wężem starej dynastii.

Okrążając brzegi wzgórz zamykających Dolinę Lwów, grupa zatoczyła szerokie koło na zachód. Po godzinnej jeździe skierowali się na północ, przemierzając dzikie i pofałdowane wzgórza i podążając po niewyraźnych szlakach i morderczych ścieżkach. Świt zastał ich o parę mil na północny zachód od pozycji Conana; w tym momencie przewodnik skręcił na wschód i przeprowadził ich przez labirynt skał. Valerius kiwał głową, wnioskując o ich pozycji na podstawie rzędu widocznych szczytów. W generalnych zarysach rozeznawał się w ich położeniu i wiedział, że wciąż kierowali się we właściwą stronę.

Ale nagle, bez ostrzeżenia, z północy nadjechała szara, wełnista i kłębiąca się masa. Pokryła wzgórze i rozpostarła się nad dolinami. Zatarła słońce; świat stał się ślepy, szarą pustką, w której widzialność ograniczona była do paru jardów. Poruszanie się naprzód stało się pełnym zamętu macaniem po omacku. Valerius zaklął. Nie mógł już dojrzeć szczytów, które służyły mu za punkt orientacji. Musiał polegać wyłącznie na swym zdradzieckim przewodniku. Złoty wąż zawisł w nieruchomym powietrzu.

W końcu sam Tyberiasz zdawał się zdezorientowany. Zatrzymał się i rozejrzał się wokół z niepewnością.

– Zgubiłeś się, psie? – zapytał szorstko Valerius.

– Posłuchaj!

Gdzieś przed nimi rozległa się odległa vibracja, rytmiczny huk bębna.

– Bęben Conana! – wrzasnął Akwilończyk.

– Jeśli znajdujemy się wystarczająco blisko, by słyszeć bęben – powiedział Valerius – dlaczego nie słyszymy krzyków i brzęku zbroi? Bitwa na pewno już się zaczęła.

– Kotliny i wiatr płatają czasami dziwne figle – odparł Tyberiasz, a jego zęby dzwoniły z gorączką występującą często u ludzi, którzy spędzili dużo czasu w wilgotnych, podziemnych lochach. – Słuchajcie! Walczą w dole doliny! – wrzasnął. – Bęben dudni na wysokościach! Pospieszmy się!

Mężczyzna ruszył wprost w kierunku odległego bębna jak ktoś, kto w końcu zorientował się, gdzie się znajduje. Valerius pojechał za nim, przeklinając mgłę. Potem przyszło mu do głowy, że mgła zamaskuje ich nadejście. Conan ich nie zobaczy. Mogliby znaleźć się za plecami Cymmeryjczyka, zanim południowe słońce rozwieje mgły.

Teraz nie był w stanie odróżnić, co rozciągało się naokoło – urwiska, krzaki czy może wąwozy. Bęben pulsował nieustająco, stając się coraz głośniejszy, ale nie usłyszeli już więcej bitwy. Valerius nie miał pojęcia, w którą stronę świata się kierowali. Prawie podskoczył, kiedy zobaczył szare skały wznoszące się po obu stronach w smużkach dymu i zdał sobie sprawę z tego, że wjeżdżali w wąski przesmyk. Jego przewodnik nie okazywał nerwowości i Valerius wydał z siebie westchnienie ulgi, kiedy ściany rozszerzyły się i stały się niewidoczne we mgle. Przeszli przez wąwóz. Jeśli ktoś planowałby zasadzkę, zastawiłby ją w tym przejściu.

Nagle Tyberiasz zatrzymał się ponownie. Bęben huczał głośnie, a Valerius nie mógł określić, z której strony dochodził dźwięk. Raz wydawało mu się, że przodu, raz że z tyłu, a za moment – z jednej albo z drugiej strony. Valerius rozglądał się wokół ze zniecierpliwieniem, siedząc na swym bojowym rumaku. Smużki mgły owijały się wokół niego, a na jego zbroi błyszczała wilgoć. Długa linia żołnierzy niknęła za nim jak duchy we mgle.

– Dlaczego się ociągasz, psie? – zapytał władcym tonem. Mężczyzna zdawał się przysłuchiwać upiornemu bębnowi. Powoli wyprostował się w siodle, odwrócił głowę i spojrzał w twarz Valeriusowi, a uśmiech na jego ustach był strasznym widokiem.

– Mgła się przeredza, Valeriusie! – powiedział nowym głosem, wskazując coś kościstym palcem. – Patrz!

Bęben ucichł. Mgła rozpływała się. Spoza szarych chmur wyłoniły się pierwsze szczyty, wysokie i upiorne. Mgła pełzła coraz niżej i niżej, kurcząc się i blednąc. Valerius podniósł się w strzemionach z dzikim krzykiem, któremu zawtórował krzyk jego jeźdźców. Urwiska wznosiły się ze wszystkich stron. Nie znajdowali się w szerokiej, otwartej alei, tak jak przypuszczał, ale w ślepych jarze, ogrodzonym stromymi, wysokimi na setki stóp szczytami. Jedynym wyjściem był wąski przesmyk, przez który wjechali.

– Psie! – Valerius zdzielił Tyberiasza w usta zaciśniętą, zbrojną dłoń. – Co to za diabelskie sztuczki? – Tyberiasz wypluł krew z ust i zaniósł się

straszliwym śmiechem.

– Sztuczka, która uwolni świat od bestii! Spójrz, psie! – Tyberiusz wydarł się po raz kolejny, bardziej ze wściekłości niż strachu. Przesmyk został zablokowany przez dziką i straszną bandę ludzi, stojących cicho jak posągi: obszarpanych mężczyzn o zmierzwiionych włosach z włócznie w dłoniach. Były ich setki. A na urwiskach pojawiały się kolejne twarze, tysiące twarzy: dzikie, wychudłe, wściekłe fizjonomie, naznaczone ogniem, żelazem i głodem.

– Sztuczka Conana! – pieklił się Valerius.

– Conan nic o tym nie wie – roześmiał się Tyberiasz. – Jest to zмова ludzi skończonych, ludzi, których doprowadziłeś do ruiny i zamieniłeś w bestie. Amalryk miał rację. Conan nie podzielił swej armii. Jesteśmy motłochem, który podążył za nim, wilkami przemykającymi się wśród wzgórz, ludźmi bezdomnymi, ludźmi bez nadziei. To był nasz plan, a kapłani Asury pomogli nam swoją mgłą. Spójrz na nich, Valeriusie! Wszyscy nosimy znamię twojej dłoni, na ciele i w sercu! Spójrz na mnie! Nie poznajesz mnie, prawda, po tej bliźnie, którą wypalił na mnie twój kat? Kiedyś mnie znałeś. Kiedyś byłem lordem Amiliusem, mężczyzną, którego synów zabiłeś, a którego córkę zgwałcili i zabili twoi najemnicy. Powiedziałeś, że nie będę w stanie się poświęcić, aby zwabić cię w pułapkę? Bogowie wszechmogący, gdybym miał tysiąc żyć, oddałbym je wszystkie, aby kupić twą zagładę! I udało mi się! Spójrz na zrujnowanych przez ciebie mężczyzn, martwy człowieku, który kiedyś zabawiałeś się w króla! Wasza godzina nadeszła! Ten wąż jest twoją trumną. Spróbuj wejść na urwiska; są wysokie, strome. Spróbuj wyrąbać sobie drogę przez przesmyk: włócznie zagrodzą ci drogę, zmiażdżą cię spadające z góry głazy! Psie! Będę czekał na ciebie w piekle!

Odrzucając głowę do tyłu, mężczyzna roześmiał się, aż rozdzwoniły się skały. Valerius wychylił się z siodła i ciął w dół swym wielkim mieczem, trafiając w obojczyk i pierś przeciwnika. Tyberiasz osunął się na ziemię, wciąż śmiejąc się upiornie poprzez bulgot tryskającej krwi.

Potem bębny zadudniły ponownie, otaczając wąż głuchym grzmieniem; w dół runęły kamienie. Świsł strzał opadających z urwisk wzniósł się ponad krzyki umierających ludzi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

DROGA DO ACHERONU

Świt dopiero co wstawał na wschodzie, kiedy Amalryk skierował swe oddziały w gardziel Doliny Lwów. Wąwóz był otoczony niskimi, pofałdowanymi, lecz stromymi wzgórzami, a podłoże wznosiło się w górę w linii nieregularnych, naturalnych tarasów. Na najwyższym z nich zajęła pozycję armia Conana i oczekiwała na atak. Oddziały, które do niej dołączyły, maszerując ku południu z Gunderlandii, nie składały się wyłącznie z włóczników. Nadeszło z nimi także siedem tysięcy bossońskich łuczników oraz cztery tysiące baronów wraz z orszakami, które zasiły szeregi kawalerii.

Pikinierzy byli ustawieni w zwartej, klinowej formacji w wąskim szczycie doliny. Było ich dziewiętnaście tysięcy; rekrutowali się głównie z Gundermanów, choć jakieś cztery tysiące pochodziły z innych akwilońskich prowincji. Flanki składały się z pięciu tysięcy bossońskich łuczników. Za szeregami pikinierów siedziało na nieruchomych rumakach rycerstwo z uniesionymi kopiami: dziesięć tysięcy rycerzy Poitanii, dziewięć tysięcy Akwilończyków, baronów i ich orszaków.

Była to mocna pozycja. Flanki nie mogły zostać otoczone, bo do tego trzeba byłoby wspiąć się na strome, porośnięte lasem wzgórze w deszczu strzał i wirze mieczów Bossończyków. Obóz Conana leżał dokładnie za jego armią, w wąskiej dolinie o stromych zboczach, która tak naprawdę była tylko dalszym ciągiem Doliny Lwów, wznoszącym się na jeszcze wyższy poziom. Król nie obawiał się ataku z tyłu, gdyż wzgórze za nim były pełne uciekinierów i straconych ludzi, których lojalności nie śmiałyby zakwestionować.

Jego pozycja była mocna, ale tak naprawdę uniemożliwiała ucieczkę w przypadku porażki. Ta naturalna forteca stanowiła równocześnie pułapkę dla obrońców – desperacki, ostatni przyczółek ludzi, którzy nie spodziewali się przeżyć, jeśli nie wygrają. Jedyne możliwa linia odwrotu prowadziła przez wąską dolinę za nimi.

Xaltotun wspiął się na wzgórze po lewej stronie doliny, nieopodal szerokiej gardzieli. Wznosiło się wyżej niż inne, a z dawno zapomnianej

przyczyny zwano je Ołtarzem Króla. Wiedział o tym tylko Xaltotun, a to dlatego, że jego pamięć sięgała trzy tysiące lat wstecz.

Nie był sam. Stało przy nim dwóch jego znajomych – milczących, owłosionych, skrytych i ciemnych mężczyzn. Trzymali w rękach młodą akwilońską dziewczynę ze związanymi dłońmi i stopami. Położyli ją na pradawnym kamieniu, który dziwnie przypominał ołtarz i wieńczył szczyt wzgórza. Stał tam od wielu wieków, niszczony przez żywioły, aż wielu ludzi zaczęło wątpić, by był czymś więcej niż tylko naturalną skałą o dziwnym kształcie. Ale kamień rzeczywiście miał swoją historię; Xaltotun pamiętał, dlaczego się tam znajdował. Jego znajomi odeszli z pochylonymi plecami, zupełnie jak milczące gnomy. Mag został sam obok kamiennego ołtarza. Jego czarna broda powiewała na wietrze, kiedy spoglądał w dolinę.

Za sobą mógł widzieć wszystko aż po krętą Shirki; przed nim wznosiły się wzgórza za głową doliny. Widział błyszczący, stalowy klin, który rozciągał się na szczycie tarasów, lśniące między skałami i krzakami burgonetki łuczników, cichych rycerzy na rumakach, proporce powiewające nad ich głowami, wznoszące się w najeżonym gąszczu lance.

Spoglądając w drugą stronę, rozróżniał długie, zębate szeregi Nemedyczyków, zmierzające w równych szeregach w kierunku gardzieli doliny. Za nimi rozciągały się prawie do rzeki kolorowe pawilony lordów i rycerstwa, a także bure namioty pospolitych wojowników.

Nemedyczyki włali się do doliny jak rzeka roztopionego żelaza; powiewał nad nimi wielki, szkarłatny smok. Najpierw maszerowały równe rzędy łuczników, z na wpół uniesionymi kuszami o naciągniętych cięciwach i z palcami na spustach. Za nimi szli pikinierzy, a po nich prawdziwa siła armii: kawaleria z chorągwiami rozwianymi na wietrze i wzniesionymi kopiami, prowadząca swe konie tak, jak gdyby rycerze wybierali się właśnie na ucztę.

Wyżej na wzgórzach mniejsza armia akwilońska stała w ponurym milczeniu.

Nemedyjskich rycerzy było trzydzieści tysięcy i, jak w większości hyboryjskich narodów, stanowili oni trzon armii – kawalerię. Piechota była używana tylko po to, by przetrzeć szlak dla szarzy oddziałów konnych. Składała się z pikinierów i łuczników i było jej wszystkiego dwadzieścia jeden tysięcy.

Łucznicy zaczęli spuszczać strzały w miarę jak podchodzili naprzód, nie łamiąc szyków i ciskając furkoczącymi, brzęczącymi strzałami. Pociski jednak spadały za blisko albo odbijały się, nie czyniąc krzywdy skrytym za tarczami Gundermanom. Zanim kusze zdołały wkroczyć we właściwy promień, długie strzały Bossończyków zasiały spustoszenie w szykach nieprzyjaciela.

W chwilę później, po daremnej próbie wymiany ostrzału, nemedyjscy łucznicy zaczęli cofać się bezładnie. Ich zbroje były lekkie, a broń nie mogła się równać z bossońskimi łukami. Zachodni łucznicy kryli się za krzakami i skałami. Poza tym piechocie nemedyjskiej brakowało nieco temperamentu jazdy – ostatecznie używano jej tylko po to, by oczyszczała pole dla jeźdźców.

Kusznicy cofnęli się, a spomiędzy ich rozstępujących się linii wyszli pikinierzy. Byli to głównie najemnicy, a ich panowie nie mieli skrupułów, poświęcając ich życia. Mieli usiłować ochronić od natarcia rycerzy, aż ci znajdą się w zasięgu walki wręcz. Kiedy kusznicy ślali swe strzały na oślep z obu skrzydeł, pikinierzy wchodzili w grad spadających z góry pocisków, a za nimi nadjeżdżali rycerze.

Gdy pikinierzy zaczęli chwiać się pod dzikim deszczem śmierci, spadającym ze świstem ze wzgórz, zagrzmiała trąbka; ich kompanie rozeszły się na lewo i prawo, a spomiędzy nich wytoczyli się jak grzmot uzbrojeni rycerze.

Wpadli prosto w śmiertelną chmurę strzał. Długie ostrza znajdowały każdą szczelinę w ich zbrojach i w osłonach rumaków. Gramolące się po trawiastych tarasach konie rżały i padały, przygniatając pod sobą jeźdźców. Stalowe postacie poczęły ślać się na wzgórzach. Szarża zachwiała się i odpłynęła w dół.

Znalazłszy się z powrotem na dole, Amalryk przeformował szyki. Tarascus walczył z mieczem w dłoni pod szkarłatnym smokiem, ale to baron Tor dowodził tego dnia. Amalryk zaklął na widok lasu kopii, który wznosił się ponad hełmami Gundermanów i za nimi. Miał nadzieję, że jego odwrót spowoduje, że sprowokowani rycerze przypuszczą za nim szarżę w dół wzgórz – tak, by jego łucznicy mogli zaatakować ich z obu skrzydeł i przytłoczyć armię Conana liczbą jazdy. Ci jednak nie ruszyli się. Służba obozowa przyniosła wodę z rzeki. Rycerze zdjęli hełmy i polali swe spocone głowy. Ranni na stokach nadaremno krzyczeli o wodę. W górze

doliny obrońcy byli zaopatrzeni w źródlaną wodę. Nie odczuwali pragnienia tego długiego, gorącego, wiosennego dnia.

Xaltotun obserwował odpływy i przyływy stalowej fali znad Ołtarza Króla, stojąc obok pradawnego, rzeźbionego kamienia. Rycerstwo ruszyło naprzód, powiewając piórami i pochylając kopie. Brnęli przez świszczącą chmurę strzał, usiłując przedrzeć się przez mur najeżony włóczniami i tarczami. Nad pierzastymi hełmami wznosiły się i opadały topory, włócznie wyskakiwały nagle w górę, powalając konie i jeźdźców. Duma Gundermanów nie ustępowała pysze rycerzy. Nie stanowili łatwego pokarmu dla włóczni, poświęcanego dla chwały innych, lepszych ludzi. Była to najzdolniejsza piechota zachodniego świata o tradycji, która czyniła ich morale niewzruszonym. Królowie Akwilonii od dawna znali jej wartość. Ich formacja nie została rozbita. Ponad ich błyszczącymi szeregami powiewała wielka lwia chorągiew, a na czubku klina ryczała i nacierała jak huragan potężna postać w czarnej zbroi; jej ociekający krwią topór rozłupywał za jednym zamachem stal i kości.

Nemedyjczycy walczyli godnie, tak jak wymagała od nich tradycja świadcząca o wielkiej odwadze. Nie mogli jednak złamać żelaznego szyku wroga, a z zalesionych wzgórz po obu stronach na ich zwarte linie sypały się bezlitosne strzały. Ich łucznicy byli bezużyteczni, a pikinierzy nie mogli wspiąć się na wysokość i zewrzeć się z Bossończykami w walce wręcz. Ponurzy rycerze cofali się powoli, z uporem i posępnie, licząc puste siodła. Ponad nimi Gundermani nie wydali jednak ryku triumfu. Zwarli szyki, zamykając przerwy po upadłych wojownikach. Pot lał się im na oczy spod żelaznych czap. Chwycili mocniej swe włócznie i czekali, a ich dzikie serca pękały z dumy; oto ich król walczył na nogach razem z nimi! Za nimi rycerstwo akwilońskie nie poruszyło się. Wojacy siedzieli na swoich rumakach ponurzy i nieruchomi.

Na wzgórzu zwane Ołtarzem Króla wtoczył się rycerz na spoconym koniu i spojrzał na Xaltotuna gorzkim wzrokiem.

– Amalryk każe ci powiedzieć, że już czas, byś użył swej magii, czarnoksiężniku – rzekł. – Padamy w dolinie jak muchy. Nie możemy złamać ich szeregów.

Xaltotun zdawał się rozszerzać i rosnąć; stawał się zdumiewający i w jakiś sposób straszny.

– Wróć do Amalryka – oświadczył. – Powiedz mu, by przeformował swe szyki do szarży, ale niech czeka na mój sygnał. Zanim go usłyszy, ujrzy

widok, którego nie zapomni aż do śmierci!

Rycerz zasalutował jak gdyby wbrew własnej woli i potoczył się jak grzmot w dół wzgórza z karkołomną prędkością.

Xaltotun stanął obok ciemnego ołtarza i spojrzął na dolinę, na umarłych i rannych ludzi na tarasach, na ponurą, skrwawioną bandę na szczycie wzgórz i na zakurzone, stalowe szeregi, które przeformowały się u stóp doliny. Wzniósł oczy w górę ku niebu i spojrzął w dół na szczupłą, białą postać na ciemnym kamieniu. Wznosząc sztylet pokryty starożytnymi hieroglifami, zaintonował zapomnianą intonację:

– Secie, boże mroku, łuskowaty panie ciemności, wołam do twoich synów pod czarną ziemią poprzez krew dziewicy i siedmioraki stary symbol! Dzieci głębi, pod czerwoną ziemią, pod czarną ziemią, obudźcie się i potrząśnijcie straszliwymi grzywami! Niech wzgórza zatrzęsą się, a kamienie potoczą na moich wrogów! Niech niebo pociemnieje nad nimi! Niech ziemia zachwieje się pod ich stopami! Niech wiatr z głębokich czarnych otchłani uniesie się spod ich stóp, niech zmarszczą się i zmarnieją...

Urwał nagle z wzniesionym sztyletem. W napiętej ciszy dochodził do niego niesiony z wiatrem ryk armii.

Po drugiej stronie ołtarza stał człowiek w czarnej szacie z kapturem, który oceniał białe i delikatne rysy oraz ciemne, spokojne i kontemplujące oczy.

– Pies Asury! – szepnął Xaltotun, a jego głos brzmiał jak syk wściekłego węża. – Czy oszalałeś, że szukasz tu swojej zagłady? Ha, Baalu! Chironie!

– Krzyknij jeszcze raz, psie z Acheronu! – powiedział kapłan i roześmiał się. – Wzywaj ich głośno. Nie usłyszą cię, dopóki twoje krzyki nie poniosą się po piekle.

Z zarośli na skraju wzgórza wyszła ponura, stara kobieta w wieśniaczym stroju o rozwianych włosach opadających na ramiona. Tuż za nią podążał wielki, szary wilk.

– Wiedźma, kapłan i wilk – wymamrotał ponuro Xaltotun, po czym wybuchnął śmiechem. – Głupcy, chcecie mierzyć swe szarlatańskie sztuczki z moją wiedzą! Zmiotę was z drogi jednym skinieniem ręki.

– Twoje sztuki są jak trzcina na wietrze, psie z Python – odparł kapłan Asury. – Nie zastanowiło cię, dlaczego Shirki nie wystąpiła z brzegów i nie uwięziła Conana na drugim brzegu? Kiedy ujrzałem w nocy błyskawice, przejrzałem twoje plany, a moje zaklęcia rozproszyły chmury, które

wezwał, zanim zdążyły eksplodować deszczem. Nigdy nawet nie dowiedział się, że twoje zaklęcie deszczu zawiodło.

– Kłamiesz! – wrzasnął Xaltotun, ale jego pewność siebie została mocno zachwiana. – Poczulem siłę potężnej magii przeciwstawiającej się mojej... Ale żaden człowiek na ziemi nie byłby w stanie odczynić raz poczynionego zaklęcia deszczu, chyba że posiadałby samo serce magii!

– Jednak planowana przez ciebie powódź nie nastąpiła – odparł kapłan. – Spójrz na twych sojuszników w dolinie, Pythończyku! Przywiodłeś ich na rzeź! Wpadli w sidła, a ty nie możesz im pomóc.

Wskazał coś palcem. Z wąskiej gardzieli w wyższej części doliny, za Poitańczykami, nadleciał pędem jeździec, obracając nad głową czymś, co błyszczało w słońcu. Karkołomnie sunął wzdłuż wzgórz, przedzierając się przez linię Gundermanów, którzy wydobyli z głębi gardeł ryk i poczęli trzaskać włóczniami o tarcze; dźwięk poniósł się jak grzmot między skałami. Na tarasie, między obydwoma armiami, zarżał i poniósł koń oblepiony potem, a jego dziki jeździec wrzasnął i jak pomyłony zatrzęsł trzymaną przez siebie rzeczą. Była to podarta pozostałość szkarłatnej chorągwi; słońce odbijało się od oślepiających łusek wijącego się na niej węża.

– Valerius nie żyje! – krzyknął donośnie Hadrathus. – Mgła i bęben przywiodły go do zguby! To ja zgromadziłem tę mgłę, psie z Python, i ja ją rozproszyłem! Ja, za pomocą swej magii, która jest potężniejsza od twojej.

– Jakie to ma znaczenie? – ryknął Xaltotun, który prezentował się teraz naprawdę strasznie. Jego oczy płonęły, rysy twarzy skurczyły się. – Valerius był głupcem. Nie potrzebuję go. Mogę zmiażdżyć Conana bez ludzkiej pomocy!

– Dlaczego więc zwlekasz? – zadrwił Hadrathus. – Dlaczego pozwoliłeś, by tak wielu twoich sojuszników upadło przeбитych przez strzały i nadzianych na włócznie?

– Bo krew pomaga wielkim czarom! – zagrzemiał Xaltotun głosem, który wstrząsnął skałami. Jaskrawa aureola pojawiła się wokół jego obmierzłej głowy. – Bo żaden czarnoksiężnik nie marnuje bezmyślnie swojej energii! Bo wolę zachować moją moc na przyszłe wielkie dni, niż angażować ją w potyczki górzystego państewka. Ale teraz, na Seta, uwolnię ją zupełnie! Patrz, psie Asury, fałszywy kapłanie marnego bożka i ujrzyj widok, który zniszczy twój umysł na wieki wieków!

Hadrathus odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, a w jego głosie pobrzmiwało piekło.

– Patrz, czarny diable z Python!

Jego ręka wyłoniła się spod szat, trzymając coś, co błyszczało i płonęło w słońcu, zmieniając światło w pulsującą złotą poświatę, w której Xaltotun wyglądał jak trup.

Acherończyk wrzasnął, jakby ktoś dźgnął go nożem:

– Serce! Serce Arymana!

– Tak, jedyna moc, która przewyższa twoją!

Xaltotun zdawał się marszczyć i starzeć. Jego broda nagle pokryła się śniegiem, a loki zszarzały.

– Serce! – wybełkotał. – Ukradłeś je! Psie! Złodzieju!

– Nie ja! Serce wybrało się w długą podróż daleko na Południe. Ale teraz tkwi w moich rękach i twoja czarna magia nie może się mu przeciwstawić! Tak, jak cię wskrzesiło, tak samo wrzuci cię teraz z powrotem w noc, z której cię wyciągnęło. Pójdiesz w głąb czarnej drogi do Acheronu, która jest drogą ciszy i nocy. Czarne imperium, które nie powstanie powtórnie, pozostanie legendą i złym wspomnieniem! Conan znów będzie rządzić, a Serce Arymana powróci do jaskini pod świątynią Mitry, by płonąć tam jako symbol mocy Akwilonii przez tysiące lat!

Xaltotun wrzasnął nieludzkim głosem i ruszył wokół ołtarza z uniesionym sztyletem. Ale nagle skądś – być może z nieba albo z wielkiego klejnotu, który płonął w dłoni Hadrathusa – wystrzelił promień oślepiającego błękitnego światła. Uderzył prosto w pierś Xaltotuna, a wśród wzgórz poniosło się echo grzmotu. Czarnoksiężnik z Acheronu osunął się na ziemię jak od trafienia pioruna, ale zanim dotknął ziemi, zmienił się straszliwie. Obok ołtarza na kamieniu nie leżało świeżo zabite ciało, ale skarłowaciała mumia – brązowy, suchy, nierozpoznawalny trup, który rozpadał się wśród gnijących bandaży.

Stara Zelata spojrzała ponuro w dół.

– Nie był żywym człowiekiem – powiedziała. – Serce użyło mu fałszywego pozoru życia, które oszukało nawet jego samego. Ja zawsze widziałam go jako mumię.

Hadrathus pochylił się, by rozwiązać omdlałą na ołtarzu dziewczynę, kiedy pomiędzy drzewami pojawiła się dziwna zjawka: wóz Xaltotuna zaprzęgnięty w dziwaczne konie. Rydwan skierował się cicho w stronę ołtarza i zatrzymał się przy nim, a koło rydwanu niemal dotykało

brązowego, skurzonego truchła na trawie. Hadrathus podniósł ciało czarnoksiężnika i umieścił je w rydwanie. Niesamowite rumaki bezzwłocznie odwróciły się i odjechały na południe, w dół zbocza. Hadrathus, Zelata i szary wilk patrzyli, jak Xaltotun odchodzi w swą drugą drogę do Acheronu – krainy poza ludzkim pojmowaniem.

U stóp doliny Amalryk zeszywniał w siodle, kiedy zobaczył na wzgórzach pędzącego jeźdźca, który wymachiwał skrwawioną flagą Valeriusa. Potem za sprawą jakichś pierwotnych instynktów odwrócił głowę w kierunku wzgórza znanego jako Ołtarz Króla. Jego usta rozchyliły się. Sceny, które się tam rozegrały, widział każdy mężczyzna w dolinie: łuk oślepiającego światła, które wzniosło się ze szczytu wzgórza, rozpryskiwał po okolicy złoty ogień. Wysoko ponad górami coś zabłysło oślepiającym blaskiem, który na moment przyćmił słońce.

– To nie sygnał Xaltotuna! – ryknął baron.

– Nie! – krzyknął Tarascus. – To znak Akwilończyków!

– Spójrz! – ponad nimi ruszyły się w końcu nieruchome linie akwilońskich jeźdźców i głęboki ryk potoczył się grzmiotem po dolinie.

– Xaltotun nas zdradził! – zawył dziko Amalryk. – Valerius nas zawiódł! Daliśmy się złapać w pułapkę! Niech Mitra przeklnie Xaltotuna, który nas tu wprowadził! Zatrąb na odwrót!

– Za późno! – wrzasnął Tarascus. – Spójrz!

Na wzgórzach pochylił się i wyrównał las kopii. Szyki Gundermanów rozstały się na obie strony jak rozsuwana kotara. Z grzmiotem, przypominającym podnoszący się huk huraganu, rycerze Akwilonii rzucili się w dół wzgórza.

Siła tej szarży była nie do odparcia. Strzały wysyłane w ich kierunku przez przerażonych kuszników odbijały się od tarcz i pochylonych hełmów. Pióra i proporce Akwilończyków powiewały z tyłu, ich kopie się zniżyły; przedarli się przez chwiejące się linie pikinierów i popędzili z rykiem w dół jak fala.

Amalryk wykrzyczał rozkaz do szarży, a Nemedycjczy z desperacką odwagą spięli swe konie i pomknęli ku zbocz. Wciąż jeszcze liczebnie przewyższali wroga.

Nemedycjczy byli jednak zmęczeni i mieli strudzone rumaki, a musieli szarżować pod górę. Atakujący rycerze nie zadali tego dnia ani jednego ciosu. Ich konie były wypoczęte. Pędzili w dół wzgórza jak błyskawica.

Również jak błyskawica razili chwiejące się szyki Nemedycyków; siekli je, rozdzielali, rwali na pół i popędzali pozostałości armii w dół wzgórza.

Za nimi nadeszli pieszo spragnieni krwi Gundermani, a Bossończycy wylewali się spośród wzgórz, strzelając w biegu do każdego ruszającego się jeszcze wroga.

Fala bitwy przelała się w dół; oślepieni Nemedycyzy pędzili na jej przedzie. Ich łucznicy odrzucili swą broń i uciekali. Ci z pikinierów, którzy przetrwali druzgocącą szarżę jeźdźców, byli rozrywani na strzępy przez bezlitosnych Gundermanów.

W dzikim zamęcie walka przetoczyła się przez szeroką gardziel doliny na równinę. Zaroiło się tam od wojowników, uciekających lub ścigających uciekinierów, zwartych w pojedynczej walce lub w grupki tnących i siekących się wzajemnie rycerzy na rżących, wierzgających koniach. Nemedycyzy jednak byli rozgromieni, złamani, niezdolni do przeformowania szyków ani do stawienia oporu. Uciekali całymi setkami, poganiając konie w stronę rzeki. Wielu udało się do niej dojść, przepawić się przez nią i ruszyć na wschód. Wieś już tam na nich czekała; ludzie polowali na nich jak wilki. Tylko niewielu w ogóle dotarło z powrotem do Tarantii.

Ostateczna klęska nadeszła jednak dopiero w momencie, w którym zginął Amalryk. Baron, który na próżno usiłował namówić swoich ludzi na szarżę, ruszył prosto w kierunku grupy rycerzy podążających za olbrzymem w czarnej zbroi, w opończy z wyszytym królewskim lwem, nad którego głową powiewała złota lwia chorągiew ze szkarłatnym lampartem Poitanii u boku. Wysoki wojownik w błyszczącej zbroi pochylił kopię i ruszył na spotkanie lorda Tor. Ich starcie było jak grzmot. Celująca w hełm wroga kopia Nemedycyzyka przełamała zastawę, zdruzgotała tarczę i huknęła w stalowy hełm, zrzucając go z głowy jeźdźca. Spod niego ukazały się rysy Pallantidesa. Kopia Akwilończyka przebiła jednak tarczę i napierśniki wroga, trafiając prosto w serce barona.

Kiedy Amalryk runął z siodła, łamiąc pod swym ciężarem kopię, na którą został nadziany, w górę wzbil się ryk, a Nemedycyzy poczęli uciekać; podobnie jak falochron pęka od uderzającej fali przypływu. Pędzili w stronę rzeki w ślepych popłochu, który szalał po równinie jak trąba powietrzna. Godzina Smoka minęła.

Amalryk nie żył, chorąży nie żył, zaś samo królewskie godło Nemedii zostało wdeptane w krew i kurz. Większość rycerstwa uciekała,

a Akwilończycy pędzili za nimi w dół; Tarascus nie uciekł, wiedział, że przegrali, ale wraz z garstką wiernych zwolenników wił się w ogólnym rozgardiaszu, świadomy tylko jednego pragnienia: starcia się z Conanem z Cymmerii. W końcu go spotkał.

Formacje zostały zupełnie zniszczone, zwarte bandy przełamane i rozniesione po całej równinie. Pióra Trocera błyszczały po jednej stronie równiny, a Prospera i Pallantidesa w innych. Conan był sam. Oddziały Tarascusa topniały. Dwaj królowie spotkali się sam na sam.

Kiedy szarżowali na siebie, wierzchowiec Tarascusa zarżał i upadł pod nim. Conan wyskoczył z siodła i pobiegł w kierunku próbującego wydostać się spod konia króla Nemedii. W słońcu błysnęła oślepiająco stal; brzęknęła głośno i poleciały błękitne iskry. Potem rozległ się trzask zbroi, kiedy Tarascus padł jak długi na ziemię pod potężnym ciosem miecza Conana.

Cymmeryjczyk postawił swą obutą w żelazo stopę na piersi swego wroga i uniósł miecz. Jego hełm znów gdzieś przepadł. Otrząsnął swą czarną czuprynę, a jego błękitne oczy rozświeciły się dawnym blaskiem.

– Poddajesz się?

– Czy okażesz mi łaskę? – zapytał Nemedyjczyk.

– Tak. Lepszą niż ty mi okazałeś, psie. Życie dla ciebie i wszystkich twoich ludzi, którzy rzucają swą broń. Chociaż powinienem rozłupać ci głowę za to, żeś złodziej rodem z piekła – dodał król Akwilonii.

Tarascus wykręcił szyję i rozejrzał się po równinie. Pozostałości armii nemedyjskiej uciekały po kamiennym moście przed grupami zwycięskich Akwilończyków, deptających im po piętach i dźgających niedobitków z mściwą wściekłością. Bossończycy i Gundermani roili się w obozowisku wroga, rozdierając namioty na kawałki w poszukiwaniu łupu, biorąc więźniów, prując bagaże i rozładowując wozy.

Tarascus zaklął szpetnie, po czym teatralnie wzruszył ramionami – najlepiej, jak potrafił w zaistniałych okolicznościach.

– Dobrze. Nie mam wyboru. Jakie są twoje roszczenia?

– Podporządkujesz mi wszystkie twe obecne posiadłości w Akwilonii. Rozkażesz, by twoje garnizony wymaszerowały bez broni z zamków i miast, które zajmują, a także zabierzesz swą piekielną armię z Akwilonii tak szybko, jak to możliwe. Poza tym oddasz mi wszystkich Akwilończyków sprzedanych jako niewolników i wypłacisz im odszkodowanie, którego sumę uzgodnimy później, kiedy właściwie oszacujemy szkody, jakie wyrządziło temu krajowi twoje panowanie.

Pozostaniesz u mnie jako zakładnik, dopóki nie zostaną spełnione te warunki.

– Dobrze – zgodził się zrezygnowany Tarascus. – Poddam bez oporu wszystkie zamki i miasta trzymane teraz przez moje garnizony; zrobię też wszystkie inne rzeczy. Jaki chcesz okup za me ciało?

Conan roześmiał się i zsunął stopę ze zbrojnej piersi wroga, złapał go za ramię i podniósł na nogi. Zaczął coś mówić, ale odwrócił się i zobaczył, że podchodzi do niego Hadrathus. Kapłan był równie spokojny i pewny siebie jak zwykle; wyszukiwał sobie drogę między rzędami trupów i martwych koni.

Conan otarł skrwawioną dłońią pot i kurz z czoła. Walczył przez cały dzień, najpierw pieszo z pikinierami, a potem w siodle, dowodząc szarżą. Gdzieś zniknęła jego opończa, jego zbroja była obryzgana krwią i powyginana od uderzeń mieczy, maczug i toporów. Jego olbrzymia sylwetka odcinała się na tle wszechogarniającej rzezi jak jakiś mitologiczny, ponury pogański bohater.

– Dobra robota, Hadrathusie! – wykrzyknął. – Na Croma, cieszę się, że ujrzałem twój sygnał. Moi ludzie niemal szaleli z niecierpliwości i zzymali się, nie mogąc ruszyć do walki wręcz. Nie mógłbym utrzymać ich dłużej. Co z czarnoksiężnikiem?

– Odszedł ponurą drogą do Acheronu – odparł Hadrathus. – A ja... Ja jadę do Tarantii. Wykonałem tu swoją pracę, a mam jeszcze zadanie do spełnienia w świątyni Mitry. Wszyscy już skończyliśmy. Na tym polu uratowaliśmy dzisiaj Akwilonię – i coś więcej niż Akwilonię. Twój wjazd do miasta będzie pochodem triumfalnym przez oszalałe z radości królestwo. Cała Akwilonia będzie świętować powrót króla. A więc żegnaj, dopóki nie spotkamy się znowu w wielkiej sali tronowej.

Conan stał cicho, obserwując odejście kapłana. Rycerze spieszyli do niego z różnych części pola. Ujrzał Pallantidesa, Trocera, Prospera, Serviusa, Galanusa w zbrojach opryskanych szkarłatem krwi. Grzmot walki ustępował rykowi triumfu i uznania. Wszystkie oczy, gorejące jeszcze od walki i świecące z podniecenia, były skierowane w kierunku wielkiej, czarnej postaci króla. Uzbrojone ramiona wymachiwały skrwawionymi mieczami. W górę uniósł się głęboki i potężny jak morska fala ryk:

– Bądź pozdrowiony, Conanie, królu Akwilonii!

Przemówił Tarascus:

– Nie wspomniałeś jeszcze o moim okupie.

Conan roześmiał się i z głośnym trzaskiem wsunął miecz do pochwy. Napiął swe potężne ramiona i przeczesał czarne loki splamionymi krwią palcami, jak gdyby czując już na głowie odzyskaną koronę.

– W twoim haremie jest dziewczyna o imieniu Zenobia.

– Cóż, tak, jest taka.

– Bardzo dobrze. – Król uśmiechnął się, jak gdyby ogarnęło go niezmiernie przyjemne wspomnienie. – Ona będzie twym okupem, ona i nic innego. Przyjadę po nią do Belverus, tak jak obiecałem. W Nemedii była niewolnicą, ale ja uczynię ją królową Akwilonii!

Powieść opublikowana po raz pierwszy w odcinkach w „Weird Tales”: (grudzień 1935–kwiecień 1936) pod tytułem *The Hour of the Dragon*

POSŁOWIE

Drogi Czytelniku,

i taki jest właśnie Conan z Cymmerii – ten oryginalny, literacki, zrodzony w wyobraźni niezastąpionego Roberta E. Howarda.

To bardzo ważne, że *oryginalny*, a nie popkulturowy, filmowy, serialowy, czy komiksowy. Żyjący w masowej wyobraźni barbarzyńca ma tak naprawdę niewiele wspólnego z literackim pierwowzorem. Bo ten, jest postrzegany jako...

Wielka góra barbarzyńskich mięśni ze szczątkowym mózgiem

Heroic fantasy postrzegana i odbierana jest jako mało wartościowa rozrywka dla zakompleksionych chłopców, którzy albo nie chcą, albo nie potrafią dorosnąć. Conan wydaje się idealnym herosem, by takie kompleksy leczyć. Ogromny, naładowany mięśniami i testosteronem brutal, rozwiązujący wszelkie problemy szybko i skutecznie, przeważnie poprzez machanie wielkim mieczem, walenie mocarną pięścią, z rzadka tylko zastanawiający się nad celowością swych poczynań, bo i tymi kieruje przeważnie chęć zysku, nażarcia się, włania w przepastne gardło jak największej ilości piwa lub wina i przede wszystkim zaszlachtowania jak największej liczby wrogów. W takiej wizualizacji Conan szczęśliwy to Conan stojący po kolana w trupach w zbroi ociekającej krwią i z tym charakterystycznym dzikim błyskiem w błękitnych oczach. To mężczyzna prosty, wręcz prymitywny, dla którego świat w samej naturze to zjawisko mało skomplikowane. Conanem nie miotają lęki egzystencjalne, każące stawiać pytania o jakikolwiek sens czegokolwiek. Cymmeryjczyk nie zastanawia się, czy akurat wypada zarżnąć tego czy owego, tylko po prostu urzyna delikwentowi głowę i idzie do gospody poszukać nie tylko napitku, ale i bitki. Conan, co ważne, wydaje się myśleć tylko o sobie, bo życie jest proste, krótkie i trzeba z niego brać jak najwięcej, jak najszybciej i jak

najbardziej zachłannie. Zabijanie nie wiąże się z żadnymi rozterkami moralnymi czy etycznymi, bo przecież takie pojęcia w uniwersum Ery Hyboryjskiej są tylko pustymi frazesami.

Taki stan rzeczy zawdzięczamy przede wszystkim popkulturze, która błyskawicznie spauperyzowała wizerunek Conana. Po tragicznej śmierci Roberta Howarda czytelnicy pragnęli więcej szalonych przygód ulubionego barbarzyńcy. Nie można zatem się dziwić, że rzesze² literackich imitatorów, kontynuatorów, wyrobników, adaptatorów, opowiadając kolejne przygody Conana (lepiej lub gorzej), bazowała raczej na słabszych literacko, ale bardziej pasujących do image'u *heroic fantasy*, tekstach Howarda, a szerokim łukiem omijali ewidentne perełki, wręcz małe arcydzieła, świadczące o niezwykłym talencie autora. Nie bez znaczenia w tworzeniu się takiego, a nie innego wizerunku Conana z Cymmerii miały okładki i ilustracje, które próbowały słowa i wyobrażenia przyoblec w konkretny rys i kształt. Tak zatem widywaliśmy i widzimy do dzisiaj isticie tytanicznego herosa, przeważnie półnagiego, z ogromnym mieczem, z ustami wykrzywionymi w demonicznym wrzasku i obowiązkowo bezbronną panienką pod pachą w epickim starciu z bestią, magiem, potworem, jednym słowem odrażającym maszkaronem³.

Trudno zatem oczekiwać, że tak wizualizowany bohater będzie traktowany poważnie, prawda?

Popkultura jednak poszła dalej, bo w roku 1982 Dino de Laurentiis, znany producent filmowy⁴ postanowił Conana zapoznać z taśmą celuloidową i ekranami kin. Zaangażował do tego zadania samego Johna Miliusa⁵ (jako współscenarzystę i reżysera), a także Oliviera Stone'a⁶, a panowie wynaleźli samego Arnolda Schwarzeneggera. I uczynili z Conana filmowego mruka, niemalże niemowę, u którego na próżno by szukać śladów bardziej lotnej myśli na twarzy. Co więcej, jako że nie ekranizowali żadnego konkretnego opowiadania, poczynali sobie dowolnie i swawolnie. Z siedemnastu oryginalnych tekstów złożyli szybki kolaż wątków i postaci, starając się zachować brutalne realia. Wymyślili Conanowi przeszłość, oczywiście, jak to ma miejsce z postaciami isticie epickimi, tragiczną. Tak zatem filmowy Cymmerijczyk ściga swą nemezis w takt natchnionej muzyki Basila Poledourisa⁷. Efekt był piorunujący, choć tak naprawdę film niewiele miał wspólnego z literackim pierwowzorem. Sukces kasowy zaprocentował nakręconą dwa lata później słabiutką kontynuacją (*Conan Niszczyciel* w reżyserii Richarda Fleischera). Kino na

kilkanaście lat zapomniano o Cymmeryjczyku, aż w końcu w roku 2011 w kinach obejrzelśmy *Conana Barbarzyńcę 3D* w reżyserii Marcusa Nispela z Jasonem Momoa w tytułowej roli⁸.

I tym razem ekranowy wizerunek Conana miał się nijak do literackiego pierwowzoru.

Zatem, jaki jest ten prawdziwy, *oryginalny* Conan?

To człowiek z krwi i kości, skomplikowany i nietuzinkowy. Howard świetnie panował nad literackim materiałem, toteż podrzucał czytelnikom różne wersje swego cymmeryjskiego herosa. W *Wieży słonia*⁹ czy *Domie pełnym łotrów*, Conan to zapalczywy, bezczelny, arogancki młokos, który najpierw działa, potem myśli, a na koniec zastanawia się, czy aby na pewno wie, co robi. To emanacja tego, co zawsze czytelnicy uwielbiali w *heroic fantasy*: bezkompromisowi bohaterowie nie deliberujący godzinami nad sensem życia, tylko prujący przez to życie dziko, rozwiązujący wszelkie problemy szybko, konkretnie i bardzo, ale to bardzo, widowiskowo. To postacie, które potrafią stawić czoła najgorszym nawet maskaronom nie dlatego, że nie znają strachu, ale właśnie dlatego, że go odczuwają, ale potrafią go pokonać i zamiast ich paraliżować, ten strach wywołuje w nich istne tsunami żądy walki.

Z drugiej strony Howard pokazuje i opisuje Conana dojrzałego, doświadczonego, sprytnego i... odpowiedzialnego. Spójrzmy choćby na *Szkarłatną cytadelę* czy *I narodzi się wiedźma*. Conan staje na czele wielkich armii, dowodzi niczym Aleksander Wielki na sterydach, ma głowę pełną wyśmienitych strategicznych pułapek. Co ciekawe, gdy Cymmeryjczyk walczy samotnie, robi to wedle zasady: najlepszą obroną jest atak. Gdy jednak dowodzi armiami, okazuje się wodzem cierpliwym, stonowanym, jakby czuł się odpowiedzialnym za życie każdego podległego mu człowieka.

Howard pokazuje też Conana zmęczonego... rządzeniem. *Feniks na mieczu* nie pozostawia żadnych wątpliwości. Barbarzyńca osiągnął cel swojego życia, zdobył tron, ale, jak się przekonuje, władza absolutna potrafi być nie ekscytująca, ale wręcz nudna, a dworski ceremoniał i skostniałe zasady czynią nawet z barbarzyńcy rodzaj marionetki.

Takich perełek w twórczości Howarda jest znacznie więcej. Trzeba tylko umieć je wyłowić. W genialnych *Czerwonych ćwiekach* mamy istną wojnę żeńsko-męską, a Conan przekonuje się, że zdobycie kobiety, i do tego wojowniczką, jest znacznie trudniejsze niż zarżnięcie smoka, czy podbój

królestwa. *Dom pełen łotrów* ukazuje ciężkie, rubaszne, ponure, ale zawsze szczere poczucie humoru naszego ulubionego barbarzyńcy, przecież trudno nie wybuchnąć śmiechem, gdy człowiek wyobrazi sobie półnagiego muskularnego giganta drepczącego po parapecie z szamoczącą się szaleńczo zdrajczynią, która zaraz wyląduje w szambie.

Ten sam jednak Conan potrafi także być melancholijny, wręcz poetycki. Zakończenie *Królowej Czarnego Wybrzeża* chwyta za serce, a my się zastanawiamy, jakim cudem w literaturze pulp, takie sceny i obrazy. Czasem Howard ukazuje także niezwykle fatalistyczne podejście Conana do życia. *Za Czarną Rzeką* ze swoim smutnym zakończeniem i słowami o barbarzyństwie, jako naturalnym stanie ludzkości, nie wróży najlepiej nam, cywilizowanym ludziom.

Wspominając o *Za Czarną Rzeką* trudno jest nie wspomnieć, o wizji świata przedstawionego. Najprościej można by powiedzieć, że Howard z lubością zderza ze sobą świat cywilizowany ze światem pierwotnym i barbarzyńskim. Oczywiście, świadomi biografii autora, wiedząc, że urodził się w Teksasie i że był świadkiem bodajże ostatniej wielkiej osiedleńczej fali prującej w głąb Stanów Zjednoczonych, możemy spekulować, iż odnotowuje to zjawisko w swoich conanowskich opowiadaniach, czyniąc z piktyjskich losów odbicie gehenny Indian amerykańskich. Jest w tym na pewno trochę racji, ale Howarda bardziej zdaje się interesować sam fakt funkcjonowania tak zwanej cywilizacji. To ona przecież w świecie ery hyboryjskiej niesie to, co złe, wypaczone, koślawe, nienaturalne, destrukcyjne, chociaż z drugiej strony tworzy rzeczy wspaniałe, piękne i nieprzemijające. Ale, co najważniejsze, w jego tekstach nie funkcjonuje prosta opozycja barbaria *versus* cywilizacja. Howard, jak się zdaje, był zwolennikiem idei, że cywilizacja jest niczym innym jak rodzajem pewnej mimikry, rodzajem społeczno-kulturowej narzuty, którą wytworzyły społeczeństwa próbując przykryć swe naturalne, wrodzone barbarzyńskie „ja”.

Oczywiście, zjawisko to jest znacznie bardziej złożone, ale nie miejsce tu i pora na głębsze rozważania, dlatego jedynie je sygnalizuję, zachęcając Ciebie, Drogi Czytelniku, do dalszych przemyśleń.

Warto jeszcze zauważyć rolę kobiety w conanowskim świecie.

Stereotyp nie pozostawia złudzeń. Kobiety to ofiary magów, bestii, czarnej magii i bez silnych mężczyzn w tym świecie są bezbronne. W niejednym opowiadaniu Conan przecież musi ratować jakąś pannę.

Tymczasem, gdy przyjrzymy się temu zjawisku bliżej, ze zdumieniem odkrywamy, że Howard wcale nie jest zainteresowany tworzeniem takiego wizerunku kobiety.

Bêlit, Jasmina, Valeria to silne osobowości, kobiety w pełne świadome swojej kobiecości, seksualności, ale także siły, przymiotów ducha. To kobiety, które same kształtują swój los. Jedną z bardziej znamienitych scen w twórczości, jest krótki dialog między Conanem a Valerią, gdy ta, wściekła, rozczarowana i zła zadaje mu proste pytanie: „Dlaczego mężczyźni nie pozwalają mi żyć jak oni?”. Conan potrafi jedynie odpowiedzieć: „Bo tak...”. Oto kwintesencja świata, także naszego, w którym to mężczyzna tworzy normy, wzorce i przydziela społeczne role. Pamiętajmy, że opowiadania o Conanie powstawały w latach trzydziestych dwudziestego wieku, a wtedy kobiety musiały w realnym świecie walczyć o wiele swoich praw. Zresztą, w ogóle pytanie Valerii odnosi się do wszystkich, bowiem, jak można odczytać intencje Howarda, jedną z najważniejszych, odrażających cech cywilizacji jest narzucanie jednostkom z góry przypisanych ról do odegrania.

Jasmina z kolei to literacka emanacja kobiety u władzy, potężnej i zdecydowanej w swoim działaniu. Gdyby Howard chciał władczynię Vendii skreślić liniami stereotypu, to po śmierci jej brata zamordowanego przez magów z Imszy, powinna leżeć, tonąc we łzach, bezradna, załamana, oczekująca pomocy mężczyzny zdolnego rozwiązać jej problemy. Tymczasem – nic z tego. Jasmina natychmiast bierze sprawę w swoje ręce. Jest postacią aktywną, dynamiczną i nie stroniącą od ryzyka. Potrzebuje co prawda Conana, ale nie jako rycerza na białym na koniu, a najemnika, który będzie grał według *jej* reguł. I choć zrzędzeniem losu ostatecznie Conan będzie musiał wyruszyć na ratunek Jasminie, to ostatnia scena *Ludzi Czarnego Kręgu* po mistrzowsku ukazuje prawdziwe oblicze władczyni Vendii. Na czele swej armii, świadoma władzy i odpowiedzialności rozbłyska pełnią światła tak bardzo, że aż wzbudza niekłamany podziw i szacunek Conana.

Z kolei Bêlit jest wulkanem kobiecej seksualności, agresywną przywódczynią bandy bezwzględnych piratów. To kobiecość, której mężczyźni w realnym świecie boją się podobno najbardziej. Zdecydowana, brutalna, zawsze wiedząca, czego chce i gotowa na każde ryzyko, by swój cel osiągnąć.

Rzadko, gdy analizuje się teksty o Conanie, zauważa się znakomite poczucie humoru Howarda, który potrafi w zaledwie kilku scenach genialnie operować mikstem czystej grozy i ponurego, często absurdalnego poczucia humoru. *Pełzający cień* jest tego najlepszym dowodem. Scena na dziedzińcu pałacu z trupem, który trupem nie jest, i który ostatecznie skończy w studni, sama w sobie, z powodu swej bezpośredniości, wzbudza śmiech. Gdy jeden z mieszkańców przeklętego miasta, wybudzony z narkotycznego snu widzi Conana i Natalę, przed naszymi oczami odgrywa się jedna z najlepszych scen w twórczości Howarda. Rozogniony romantyczny dialog, zimny barbarzyńca, zaskoczona Brythunka, i narkoman, który ostatecznie ze strachu będzie uciekał tak szybko, że aż wyrznie głową w ścianę. Trudno się nie śmiać. A potem bać, bo, co powtarzam z całą mocą, Howard potrafi jak nikt zestawiać ze sobą sceny przejmującej grozy z absurdalnym humorem, nie pozwalając, by czytelnik się nudził.

Drogi Czytelniku,

Powyższe akapity to zaledwie wstęp do bogatego w treść i znaczenia conanowskiego świata. Chciałem pokazać, że umiejętność czytania między wierszami i zajrzenie za zasłonę rzezi, rabunków, magii i potworów, może przynieść nieoczekiwane rezultaty. Dyskutując o świecie przedstawionym można przecież śmiało zastanawiać się, dlaczego w opowiadaniach o Conanie Howard chętnie odwołuje się do istniejących w historii krain. Każdy przecież odkryje bez trudu, że Afgulistan to Afganistan, Vendia to Indie, a Akwilonia to Imperium Rzymskie. Autorowi na pewno nie brakowało wyobraźni, zatem był to zabieg celowy. Rozważając postępowanie Conana, gdy wgryziemy się w tekst, nagle odkrywamy, że Howard nie wierzył w żaden rodzaj życiowego determinizmu, bo Cymmeryjczyk sam kieruje swoim losem, sam jest jego kowalem i nie wierzy w przeznaczenie. Nie jest zatem bezwolnym narzędziem w gierkach bóstw i magów.

Takich niespodzianek jest znacznie więcej. Największą zaś przyjemność sprawia samodzielne ich odkrycie. Ta chwila refleksji nad przeczytanym tekstem. Ta chwila przyjemności, gdy w pełni odkrywa się ukryty pozornie

przed naszymi oczami świat. Trzeba mieć tylko otwarty umysł i odrzucić stereotypowe myślenie o opowiadaniach o Conanie.

W tym miejscu jako autor nowego językowo-literackiego opracowania, widzę potrzebę wyjaśnienia kilku ważnych kwestii.

Ambicją moją i Wydawnictwa było podarowanie Czytelnikom tekstów spisanych współczesną polszczyzną, z zachowaniem wszelkich smaczków i niuansów howardowskiej prozy i stylu. Wymagało to jednak podjęcia kilku trudnych decyzji. Tak – w tej wersji tekstu bohaterowie bluźnią, czasem na potęgę. Nie wynika to z faktu, że chciałem wzbudzać tanią sensację. Chciałem uniknąć śmieszności, gdy w niektórych scenach tytaniczny olbrzym obryzganym krwią i mózgiem zaszlachtowanych wrogów, podsumowuje swoje dokonania archaicznym: „Wy, psubraty!”. Zamiast grozy, otrzymujemy wtedy niezamierzoną śmieszność, o którą na pewno nie chodziło Howardowi.

Tekst jest absolutnie wierny howardowskiej prozie, ale o jednej rzeczy trzeba pamiętać szczególnie: żaden język nowożytny nie przekłada się bezpośrednio na inny język nowożytny. Taka możliwość nie istnieje. Tłumaczenie jest raczej rodzajem interpretacji oryginalnego tekstu. Zresztą w teorii literatury mówi się o wielkim paradoksie: każdorazowe tłumaczenie tekstu na inny język, jest jednocześnie odkrywaniem tego tekstu na nowo.

Moją ambicją było ukazanie Conana nie jako archaicznego literackiego barbarzyńcy, ale bohatera nowoczesnego, skomplikowanego i ciekawego.

Mam nadzieję, że chociaż po części ten efekt udało mi się, wspólnie z tłumaczką osiągnąć. I mam także nadzieję, że, Drogi Czytelniku, będziesz do tych tekstów wracał jak najczęściej.

Andrzej Olejnik

-
- ¹ W kręgu polskiej literatury opowiadanie to funkcjonuje pod tytułem *Szmaragdowa toń*. W niniejszej edycji Wydawca postanowił posługiwać się bezpośrednim tłumaczeniem tytułu, zgodnie z zamierzeniem Roberta E. Howarda.
 - ² Po tragicznej śmierci Howarda kruczata po szufladach jego biurka zaowocowała wydanymi później, często kończonymi przez innych, opowiadaniem i powieściami. Tych było osiem. Późniejsza lawina tekstów o Conanie liczy sobie dziesiątki tytułów, a samych co bardziej znaczących autorów było aż siedemnastu, w tym jeden Polak (Jacek Piekara pod pseudonimem Jack de Craft).
 - ³ Oczywiście koniecznie należy pamiętać, że nawet w ilustracyjnym wyrobniectwie zdarzały się obrazy genialne, tworzone przez prawdziwych artystów; wystarczy wspomnieć niezastąpionego Franka Frazette.
 - ⁴ Ten zmarły w 2010 roku producent filmowy przed ekranizacją prozy Howarda miał na swoim koncie pracę przy tak znanych filmach, jak: *La Strada*, *Trzy dni Kondora*, *King Kong*, *Serpico*, *Życzenie śmierci*... Prawdziwa legenda kinematografii.
 - ⁵ John Milius już wtedy był znanym i cenionym twórcą filmowym, tworząc jako współscenarzysta takie filmy, jak: *Czas Apokalipsy*, *Szczęki*, *Jeremiah Johnson*, *Brudny Harry*...
 - ⁶ ...a Olivier Stone już wtedy był laureatem Oscara za scenariusz adaptowany do filmu *Midnight Express*.
 - ⁷ Autor niniejszego *Posłowa* wyraźnie zaznacza, że uwielbia i kocha *Conana barbarzyńcę*, co wcale nie przeszkadza mu w dostrzeganiu pewnych... ułomności tego znakomitego filmu.
 - ⁸ Z kronikarskiego obowiązku należy wspomnieć o koszmarnie nieudanym serialu (22 odcinki), emitowanym po raz pierwszy w latach 1997–1998, w którym główną rolę powierzono Ralfowi Möllerowi.
 - ⁹ Warto zauważyć, że pierwsza scena w opowiadaniu, w której pojawia się Conan, jest żywcem wyjęta z estetyki westernu: nieznajomy wchodzi do baru, a potem to się dzieje...